

HERMANN BROCH

LUNATYCY

Przełożył
Sławomir Blaut

1888

Pasenow, czyli romantyzm

Anji Herzog

W roku 1888 pan von Pasenow miał siedemdziesiąt lat i zdarzało się, że ludzie doznawali osobliwego i niewytłumaczalnego uczucia odrazy widząc, jak kroczy ulicami Berlina, ba, w swojej odrazie twierdzili zgoła, iż musi to być zły stary człowiek. Niski, ale o właściwych proporcjach, nie chudy staruch, ale i nie tłuścioch: był zbudowany harmonijnie, a cylinder, wkładany zazwyczaj w Berlinie, bynajmniej nie wyglądał śmiesznie. Nosił brodę cesarza Wilhelma I, lecz krócej przystrzyżoną, a na jego policzkach nie dostrzegało się ani śladu białego meszku, nadającego władcy przystępny wygląd; nawet czupryna, tylko nieznacznie przerzedzona, miała zaledwie kilka białych nitok; mimo siedemdziesiątki na grzbiecie zachował kolor blond z młodości, ów rudawy blond, przypominający zgniłą słomę i właściwie nie pasujący do starszego pana, którego chciałoby się raczej wyobrazić sobie z godniejszym owłosieniem. Ale pan von Pasenow przywykł do swojego koloru włosów, a i monokl nie wydawał mu się nazbyt młodzieńczy. Patrząc w lustro rozpoznawał w nim ową twarz, która spoglądała na niego przed pięćdziesięciu laty. I aczkolwiek pan von Pasenow nie był wobec tego niezadowolony z siebie, to jednak zdarza się, że ludziom nie podoba się wygląd tego starego człowieka i nie mieści się też w głowie, iż kiedykolwiek znalazła się kobieta, która miałaby spoglądać na tego mężczyznę pożądliwymi oczyma, obejmować go pożądliwie; przypisują mu co najwyżej polskie dziewczki z rodzinnego majątku i to, że zabierał się do nich z ową nieco histeryczną, a przeciwieństwem władczą agresją, właściwą często niskim mężczyznom. Prawda to czy nie, taka w każdym razie była opinia obu jego synów i rozumie się, że on by tej opinii nie podzielił. Opinia synów częstokroć zresztą bywa subiektywna i łatwo dałoby się im zarzucić niesprawiedliwość i stronniczość, mimo trochę przykrego uczucia, jakie może ogarnąć na widok pana von Pasenowa, uczucia osobliwej przykrości, które jeszcze przybiera na sile, gdy pan von Pasenow przejdzie i ten, z którymi się minął, przypadkiem obejrzy się za nim. Może bierze się to stąd, że wiek tego człowieka jest dla obserwatora sprawą całkowicie niepewną, bo nie porusza się on ani starczo, ani jak młodzieniec, ani jak mężczyzna w sile wieku. A jako że wątpliwość rodzi niechęć, niewykluczone, iż któryś z przechodniów uzna ten sposób poruszania się za wyzbytą godności, i nie ma się czemu dziwić, jeśli potem będzie wyrzekał, iż jest arogancki i wulgarny, nieudolnie zawadiacki i ostentacyjnie poprawny. To naturalnie kwestia temperamentu; bardzo łatwo można sobie wyobrazić, że zaślepiony nienawiścią młody człowiek chciałby pospieszenie zawrócić, aby temu, co tak chodzi, wsadzić łaskę między kulasy, jakoś go przewrócić, połamać mu nogi, unicestwić taki chód raz na zawsze. A tamten idzie bardzo rażnym krokiem wprost przed siebie, zadziera głowę, jak to zwykli czynić ludzie niskiego wzrostu, a że trzyma się też bardzo prosto, wysuwa trochę naprzód swój niewielki brzuch, można by wręcz powiedzieć, że niesie go przed sobą, ba, że tym samym niesie dokądś całą swoją osobę, szpetny podarek, którego nikt nie chce. Ponieważ jednak porównanie niczego jeszcze nie wyjaśnia, takie wyrzekania pozostają bezpodstawne i być może człowiek się ich wstydzi, aż dostrzeże łaskę koło nóg. Łaska porusza się miarowo, unosi prawie na wysokość kolan, opada na ziemię z lekkim, twardym stukiem i znowu się unosi, stopy zaś idą obok. A i one unoszą się wyżej, niż to ogólnie przyjęte, czubek stopy podąża odrobinę za daleko w górę, jakby z pogardy dla nadchodzących z przeciwka chcąc im pokazać podeszwę buta, a obcas ląduje na bruku z lekkim, twardym stukiem. Zatem nogi i łaska idą obok siebie i oto pojawia się wyobrażenie, że gdyby ten człowiek przyszedł na świat jako koń, to zostałby inochodźcem; ale najstraszniejsze i najwstrętniejsze jest w tym, że to trójnożny inochód,

trójnóg, który wprawił się w ruch. I okropna myśl, że owo trójnożne zmierzanie do celu musi być równie fałszywe jak to podążanie naprzód wprost przed siebie: wiedzie donikąd! Bo w taki sposób nie chodzi nikt, kto zamierza coś poważnego, i jeśli też przez chwilę trzeba pomyśleć o lichwiarzu, który w celu bezwzględnego ściągnięcia długu udaje się do mieszkania biedaka, to jednak wie się od razu, że byłoby to o wiele za mało i o wiele za bardzo ziemskie, przeraża zrozumienie, że tak łązi diabeł, pies, który kuśtyka na trzech nogach, że jest to proste jak strzelił chodzenie zygzakiem... dosyć; tego wszystkiego można się bowiem doszukać analizując z serdeczną nienawiścią chód pana von Pasenowa. Ale w końcu czegoś takiego można próbować w odniesieniu do większości ludzi. Zawsze coś tam się zgodzi. I jeśli pan von Pasenow nie pędził zagonionego życia, lecz poświęcał sporo czasu na wypełnianie dekoracyjnych i innych zobowiązań, jakie przynosi ze sobą spokojnie zabezpieczony majątek, to we wszystkim tym – co też odpowiada jego charakterowi – przejawiał dużą gorliwość, a właściwe wałęsanie się było mu obce. I przyjeżdżając dwa razy do roku do Berlina miał mnóstwo zajęć. Teraz znajdował się w drodze do swego młodszego syna, porucznika Joachima von Basenowa.

Zawsze, ilekroć Joachim von Pasenow spotykał się z ojcem, budziły się młodzieńcze wspomnienia, to było samo przez się zrozumiałe, ale przede wszystkim ożywały zdarzenia poprzedzające jego wstąpienie do szkoły kadetów w Chełmnie. Były to wszelako jedynie okruchy wspomnień, które wyłaniały się przelotnie, mieszając bez ładu i składu ważne i nieważne. Toteż rzeczą chyba całkowicie nieważną i zbędną jest wymienianie szafarza Jana, którego wizerunek, choć była to postać zupełnie drugorzędna, wysuwał się przed wszystkie inne. Może wynikało to stąd, że Jan był właściwie nie tyle człowiekiem, ile brodą. Godzinami można było przyglądać mu się i zastanawiać, czy za nastroszonym krajobrazem pełnym nieprzeniknionych, choć miękkich chaszczy gnieździ się ludzka istota. Nawet kiedy Jan mówił – ale mówił niewiele – nie było się tego pewnym, bo słowa powstawały za brodą jak za kurtyną i równie dobrze mógł być je wypowiadać ktoś inny. Najciekawiej było, kiedy Jan ziewał: włochata powierzchnia rozwierała się wtedy w ustalonym z góry miejscu, wykazując, że również tą drogą Jan zwykł był wcinać jadło. Gdy Joachim przybiegł do niego, aby opowiedzieć, że czeka go wstąpienie do szkoły kadetów, Jan był akurat przy jedzeniu, siedział sobie, kroił chleb w kostkę i słuchał w milczeniu. Na koniec powiedział: – No to panicz pewnikiem się raduje? – I wtedy do świadomości Joachima dotarło, że wcale się nie radował; chętnie by nawet popłakał, ale że nie było po temu bezpośredniego powodu, kiwnął tylko głową i rzekł, że się raduje.

Potem był jeszcze Krzyż Żelazny, wiszący w dużym salonie pod szkłem i w ramce. Stanowił pamiątkę po jednym z Pasenowów, który w tysiąc osiemset trzynastym piastował stanowisko dowódcze. Ponieważ i tak wisiał sobie na ścianie, było cokolwiek niepojęte, że tyle narobiono szumu, kiedy stryj Bernhard też dostał to odznaczenie. Joachim wstydział się jeszcze dzisiaj, że mógł być wówczas taki głupi. Ale może był wówczas tylko rozgoryczony, że chciano mu upiększyć szkołę kadetów perspektywą Krzyża Żelaznego. W każdym razie jego brat Helmut bardziej by nadawał się do tej szkoły i mimo długiego czasu, jaki dotąd upłynął, Joachim nazywał to śmieszną zasadą, że pierworodny musiał pozostać na roli, młodszy zaś iść na oficera. Jemu Krzyż Żelazny był obojętny, ale Helmut popadł w szaleńczy entuzjazm, gdy stryj Bernhard z dywizją Goebena wziął udział w zdobyciu szturmem Kissingen. Zresztą nie był to prawdziwy stryj, tylko kuzyn ojca.

Matka była wyższa od ojca i w gospodarstwie wszystko jej podlegało. Osobliwe, w jak niewielkim stopniu obaj z Helmutem chcieli jej słuchać; to ich właściwie łączyło z ojcem. Puszczali mimo uszu jej rozwlekłe i niemrawe „Dajcież spokój” i jedynie zzymali się, kiedy potem dorzucała: „Tylko się pilnujcie, żeby ojciec was nie przyłapał”. I nie bali się wcale, kiedy sięgała po swój ostateczny środek: „Teraz to już naprawdę powiem ojcu”, bodaj nie bali się też, kiedy spełniała groźbę, bo ojciec tylko rzucał im złe spojrzenie i sztywnym, prostym

jak strzelił krokiem szedł swoją drogą. Była to dla matki zasłużona kara, gdyż próbowała sprzymierzyć się ze wspólnym wrogiem.

W owym czasie sprawował jeszcze urząd poprzednik obecnego pastora. Miał żółtawobiałe bokobrody, które nie odcinały się niemal od koloru skóry, i przychodząc na święta na obiad zwykł był porównywać matkę do królowej Luizy pośród gromadki dzieci. Było to trochę śmieszne, a mimo to wbijało człowieka w dumę. Ostatnio pastor nabrał jeszcze nowego zwyczaju, kładł mianowicie dłoń na głowie Joachima i mówił: „młody wojak”, bo wszyscy, nawet polskie dziewczki kuchenne, mówili już o szkole kadetów w Chełmnie. Mimo to Joachim nadał czekał na właściwą decyzję. Któregoś razu matka powiedziała przy stole, że nie widzi potrzeby oddawania Joachima; może przecież wstąpić do wojska później jako aspirant; od dawna tak bywało i zawsze się tego trzymano. Stryj Bernhard odparł jednak, że nowa armia potrzebuje dzielnych ludzi, a chłopakowi z krwi i kości w Chełmnie może się naprawdę spodobać. Ojciec milczał nieprzyjemnie – jak zawsze, kiedy matka coś powiedziała. Nie zważał na nią. Tylko na urodziny matki stukając w szklanekę przywłaszczał sobie porównanie pastora i nazywał ją swoją królową Luizą. Może matka rzeczywiście była przeciwna jego wyjazdowi do Chełmna, ale nie można było na niej polegać, w końcu przecież stanęła po stronie ojca.

Matka była bardzo punktualna. Nigdy jej nie zabrakło w oborze podczas udoju, przy wybieraniu jajek na wybiegu dla kur, przed południem można ją było zastać w kuchni, a po południu w bieliźniarni, gdzie z dziewczkami liczyła sztywne płótno. Wówczas właściwie dopiero się o tym dowiedział. Był z matką w oborze, nos miał pełen ciężkiego krowiego zapachu, gdy wyszli na chłodne zimowe powietrze, a stryj Bernhard podążył ku nim przez podwórze. Stryj Bernhard wciąż jeszcze chodził o lasce; po zranieniu wolno było chodzić o lasce, wszyscy rekonwalescenci chodzą o lasce, nawet jeśli już tak strasznie nie kuleją. Matka przystanęła, a Joachim chwycił się łaski stryja Bernharda. Jeszcze dziś wyraźnie pamiętał ozdobioną herbem rączkę z kości słoniowej. Stryj Bernhard powiedział: – Proszę mi pogratulować kuzynko, właśnie zostałem majorem. – Joachim popatrzył w górę na majora; ten był nawet wyższy od matki, poderwał się lekko, poniekąd dumnie, a zarazem przepisowo, wydawał się jeszcze bardziej rycerski i dziarski niż zwykle, i może też naraz odrobinę urósł, w każdym razie bardziej do niej pasował niż ojciec. Miał krótki bujny zarost, ale można było dostrzec usta. Joachim zastanawiał się, czy to duży zaszczyt móc trzymać łaskę majora, i potem postanowił, że będzie troszkę dumny. – Tak – ciągnął dalej stryj Bernhard – ale oto znów kończą się piękne dni w Stołpinie. – Matka odrzekła, że jest to zarazem dobra i zła wiadomość, i była to skomplikowana odpowiedź, dla Joachima niezupełnie zrozumiała. Stali w śniegu; matka miała na sobie brązową futrzaną kurtkę, równie miękką jak ona sama, a spod futrzanej czapki wyzierały jej jasne włosy. Joachim zawsze był rad, że ma takie same jasne włosy jak matka; będzie także wyższy od ojca, może taki wysoki jak stryj Bernhard, i gdy ten wskazał na niego: – Już niedługo będziemy towarzyszami broni – przez chwilę całkowicie się z tym zgadzał. Ale ponieważ matka tylko westchnęła i wcale nie zaoponowała, poddała się, jak gdyby stała naprzeciw ojca, puścił łaskę i pobiegł do Jana.

Z Helmutem nie dało się porozmawiać o sprawie; ten zazdrościł mu i gadał jak dorośli, którzy mówili jak jeden mąż, że przyszyły żołnierz powinien być radosny i dumny. Jeden tylko Jan nie był obłudnikiem i zdrajcą; zapytał jedynie, czy panicz się raduje, i nie udawał, że w to wierzy. Naturalnie cała reszta, łącznie z Helmutem, miała dobre intencje, chciano go po prostu pocieszyć. Joachim nigdy nie przebolewał tego, że był wtedy przeświadczony o zdradzie i obłudzie Helmuta; bo choć chciał to od razu naprawić i podarował mu wszystkie swoje zabawki, to i tak nie mógłby ich zabrać do szkoły kadetów, więc nie było to zadośćuczynienie. Podarował mu również połowę kucyka, który należał do obu chłopców, tak że Helmut miał teraz na własność całego konia. Te tygodnie to był czas złowieszczy, a zarazem dobry; nigdy, ani wcześniej, ani później, nie łączyły go z bratem tak bliskie więzy

przyjaźni. Potem wszelako przyszło nieszczęście z kucykiem: Helmut na ten czas zrezygnował ze swoich nowych praw i Joachim mógł sam rozporządzać wierzchowcem. Co prawda nie było to nazbyt wielkie wyrzeczenie, bo grunt był w tych tygodniach rozmiękły i grząski, a przy takim gruncie obowiązywał surowy zakaz wyjeżdżania na pola. Joachim jednak będąc na wylocie czuł się wyższy ponad to, a że na dodatek Helmut się zgadzał, pod pretekstem rozruszania kucyka na ogrodzonym pastwisku wyjechał na pole. Ledwie poszedł krótkim galopem, a już stało się nieszczęście; kucyk wpadł przednią nogą w głęboki dół, przewrócił się i nie mógł wstać. Nadbiegł Helmut, potem także stangret. Kucyk leżał tam złożony na skibach ziemi i bokiem wysunął język z pyska. Joachim miał to jeszcze przed oczyma, jak obaj z Helmutem klęczeli na polu i głaskali łeb zwierzęcia, ale nie mógł już sobie przypomnieć, jak wrócili do domu, pamiętał tylko, że stał w kuchni, w której raptem zrobiło się cicho jak makiem zasiał, i że wszyscy patrzyli na niego, jak gdyby był zbrodniarzem. Potem usłyszał głos matki: – Trzeba to powiedzieć ojcu. – I oto stał nagle w gabinecie ojca i wydawało się, że kara, którą matka tyle razy im groziła wypowiadając zniechęcone zdanie, musi go teraz dosięgnąć, nagromadzona i spotęgowana. Ale nic nie nastąpiło. Ojciec przechadzał się tylko po pokoju bez słowa, tam i z powrotem, prosto jak strzeżnik, a Joachim usiłował stać na baczność przypatrując się jelenim rogom na ścianie. Gdy nadal nic nie następowało, jego spojrzenia zaczęły wędrować i spoczęły na niebieskim piasku w papierowej kryzje wypolerowanej na brązowo sześciokątnej spluwaczki koło pieca. Prawie zapomniał, dlaczego tu przyszedł; jedynie pokój wydawał się rozleglejszy niż zwykle, a w piersiach ciążyło lodowate brzemie. W końcu ojciec wcisnął monokl w oko: – Najwyższy czas, żebyś opuścił dom – i oto Joachim uprzytomnił sobie, że wszyscy oni udawali, także Helmut, i w tym momencie nawet mu dogadzało, że kucyk złamał nogę, a i matka stała skarżyła na niego, żeby pozbyć się go z domu. Potem zobaczył jeszcze, jak ojciec wyjmując pistolet z szuflady. Tak, a potem z wymiotowałam. Nazajutrz dowiedział się od lekarza, że doznał był wstrząsu mózgu, i był z tego dumny. Helmut siedział przy jego łóżku i chociaż Joachim wiedział, że kucyk został zastrzelony przez ojca, nie wspomnieli o tym ani słowem i był to znów dobry czas, dziwnie bezpieczny i odsunięty od wszystkich ludzi. Mimo to dobiegł końca i z kilkutygodniowym opóźnieniem zawieziono Joachima do szkoły w Chełmnie. Ale gdy stanął tam przed swym wąskim łóżkiem, które tak było oddalone i odsunięte od jego łoża boleści w Stołpinie, wydawało się wręcz, że on owo odsunięcie przywiózł ze sobą, i to uczyniło mu pobyt na razie znośnym.

Naturalnie w owym czasie zdarzyło się jeszcze mnóstwo rzeczy, o których zapomniał, ale mimo to pozostawała niepokojąca resztką i we śnie sądził nieraz, że mówi po polsku. Po awansie na porucznika podarował Helmutowi konia, na którym przedtem długo jeździł. Jednakże nie opuszczało go uczucie, że nadal jest mu coś winien, ba, że Helmut to niewygodny wierzyciel. Wszystko to było niedorzeczne i on bardzo rzadko o tym myślał. Tylko kiedy ojciec przyjeżdżał do Berlina, budziło się na nowo i, pytając o matkę i Helmuta, Joachim nigdy nie omieszkał dowiedzieć się o zdrowie wierzchowca.

Po tym, jak Joachim von Pasenow przyodział cywilny surdut i jego podbródek poruszał się z niezwykłą swobodą między obu końcami rozpiętego stojącego kołnierza, po tym, jak włożył cylinder z podwiniętym rondem i wziął w rękę laskę ze spiczasto zwężoną rączką z kości słoniowej, w drodze do hotelu, skąd miał zabrać ojca na obowiązkową hulankę, nagle pojawił mu się przed oczami obraz Edwarda von Bertranda i było mu przyjemnie, że cywilny strój nie leży na nim z taką oczywistością jak na tym człowieku, którego w duchu nazywał czasem zdrajcą. Należało niestety przewidywać i obawiać się, że w birbanckich lokalach, które musiał dzisiaj odwiedzić z ojcem, spotka Bertranda, i już w trakcie przedstawienia w Ogrodzie Zimowym rozglądał się za nim i bardzo był zaprzętny pytaniem, czy takiego człowieka wolno mu zaznajomić z ojcem.

Problem nurtował go jeszcze, gdy jechali dorożką przez Friedrichstrasse do kasyna Pod Jegrami. Siedzieli sztywno, trzymając laski między kolanami, w milczeniu, na sfatygowanych, krytych czarną skórą siedzeniach i kiedy któraś z przechodzących dziewczyn coś do nich wolała, Joachim von Pasenow spoglądał wprost przed siebie, natomiast ojciec, z monoklem tkwiącym nieporuszenie w oku, mówił: – Niebywale. – Tak, od pierwszej bytności pana von Pasenowa w Berlinie dużo się zmieniło i choć człowiek przyjmował to do wiadomości, nie mógł przemykać oczu na fakt, że żadna nowinek polityka założyciela Rzeszy wydała nader cierpkie owoce. Pan von Pasenow stwierdził, co zdarzało mu się stwierdzać każdego roku: – Nawet w Paryżu nie może być gorzej – a jego dezaprobatę wzbudziło i to, że szereg gazowych płomieni zwracał uwagę przechodniów na wejście do kasyna Pod Jegrami, przed którym się właśnie zatrzymali.

Wąskie drewniane schody prowadziły na piętro, gdzie znajdowały się pomieszczenia kasyna, i pan von Pasenow wspinał się po nich prosto jak strzełił z właściwą sobie zamaszystością. Naprzeciwko nim schodziła czarnowłosa dziewczyna, wcisnęła się w kąt na zakręcie schodów, żeby przepuścić gości, a że najwidoczniej rozśmieszyła ją zamaszystość starszego pana, Joachim zrobił trochę zakłopotany i przepaszający gest. Znowu pojawiło się nieodparte wyobrażenie Bertranda, czy to jako kochanka tej dziewczyny, czy to jej sutenera, czy też w jakiejś innej fantastycznej roli, i tuż po wejściu na salę rozglądał się za nim wokoło. Ale oczywiście Bertranda nie było, byli za to dwaj panowie z pułku i Joachim dopiero teraz przypomniał sobie, że przecież sam namówił ich do odwiedzenia kasyna, aby nie być sam na sam z ojcem lub jeszcze na dodatek z Bertrandem.

Pana von Pasenowa z racji wieku i pozycji powitano jak przełożonego krótkim, sztywnym ukłonem i trzaśnięciem obcasami, a on niczym generał dowodzący zapytał, czy panowie dobrze się bawią; gdyby zechcieli wypić z nim kieliszek szampana, byłby to dla niego zaszczyt, na co panowie wyrazili zgodę ponownie trzaskając obcasami. Przyniesiono świeżego szampana. Panowie siedzieli na swoich krzesłach milczący i sztywni, przepijali do siebie bez słowa i przypatrywali się sali, biało-złotym dekoracjom, płomieniom gazowym, które brzęczały spowite tytoniowym dymem w wielkim kręgu świecznika, przypatrywali się tańczącym, którzy wirowali na środku sali. W końcu pan von Pasenow powiedział: – Cóż, moi panowie, mam nadzieję, że to nie przeze mnie wyrzekliście się uroczego damskiego towarzystwa! – Ukłony i uśmiechy. – Są tu przecież wdzięczne dziewczyny. Po drodze spotkałem na schodach bardzo ponętne stworzenie, czarnowłose i z oczyma, które wam, młodzi panowie, nie mogą pozostać obojętne. – Joachim von Pasenow ze wstydu byłby gotów ścisnąć starego za gardło, żeby powstrzymać takie sprośne gadanie, ale już jeden z kolegów odpowiedział, że była to widać Rużena, rzeczywiście wyjątkowo ładna dziewczyna, której nie można było odmówić pewnej dystynkcji, jak w ogóle panie tutaj w dużej części nie są tym, za co się je bierze, gdyż dyrekcja ze znaczną surowością dokonuje selekcji i zwraca uwagę na zachowanie dobrego tonu. A tymczasem Rużena ponownie zjawiała się na sali, trzymając pod rękę jasnowłosą dziewczynę: kiedy tak ze swymi wysokimi turniurami i wąskimi taliami przechodziły koło stolików i łóż, robiły naprawdę dystyngowane wrażenie. Gdy mijaly stolik Pasenowów, padło żartobliwe pytanie, czy pannie Rużenie nie dzwoniło przed chwilą w uszach, a pan von Pasenow dorzucił, że sądząc z imienia widzi chyba przed sobą piękną Polkę, a więc nieomal krajankę. Nie, odparła Rużena, ona nie jest Polką, tylko Czeszką, tutaj powiedziałoby się pewnie: Bohemianką, ale Czeszka brzmi lepiej, bo kraj naprawdę nazywa się Czechy. – Tym lepiej – powiedział pan von Pasenow – Polacy są do niczego... nie można na nich polegać... no, mniejsza z tym.

Obie dziewczyny przysiadły się niebawem i Rużena mówiła niskim głosem i śmiała się z samej siebie, bo wciąż jeszcze nie opanowała niemieckiego. Joachim zły był na starego, że ten przywołał wspomnienie Polek, sam jednak musiał pomyśleć o żniwiarce, która jako małego chłopca posadziła go na wóz ze snopami. Ale nawet jeśli Rużena wybijając mocnym

staccato poszczególne sylaby mieszała wszystkie rodzajniki i mówiła ten dyrekcja i ta trotuar, to była przecież młodą damą, która w sztywnym gorsecie z ogładą unosiła do ust kieliszek szampana i bardzo różniła się od polskiej żniwiarki; bez względu na to, czy gadanina o ojcu i dziewczkach była prawdziwa, czy nie, Joachim nie miał z tym nic wspólnego, ale z tą tutaj delikatną dziewczyną niech sobie stary nie poczyna w sposób, do jakiego być może przywykł. Mimo to życia czeskiej dziewczyny nie sposób było wyobrazić sobie inaczej niż życie Półek – już przecież w wypadku niemieckich cywilów wydawało się niemożliwością wyobrazenie sobie czegoś żywego pod powierzchnią marionetkowych zachowań – i gdy usiłował zobaczyć oczyma wyobraźni salon wokół Rużeny, poczciwą, matronowatą matkę, przyzwoitego konkurenta w rękawiczkach, nic z tego nie wychodziło i Joachima nie odstępowało uczucie, że tam wszystko musi odbywać się dziko, uległe, po tatarsku: żal mu jest Rużeny, chociaż z pewnością wyczuwa w niej coś z małego, uległego drapieżnego zwierzątka, w którego gardle kryje się ciemny krzyk, ciemny jak czeskie lasy, i chciałby wiedzieć, czy można z nią rozmawiać jak z damą, bo wszystko to jest przerażające, a zarazem kuszące i w jakiejś mierze przyznaje rację ojcu i jego lubieżnym zamiarom. Obawia się, że Rużena mogłaby je przejrzeć, i szuka odpowiedzi w jej twarzy; ona to spostrzega i uśmiecha się do niego, ale dłoń, zwisającą miękko na brzegu stołu, pozwala głąaskać staremu, a ten czyni to całkiem jawnie i stara się przy tym wykorzystać znane sobie okruchy polskiego, aby otoczyć siebie i dziewczynę językowym żywopłotem. Naturalnie nie powinna by była dopuszczać go do takiej poufałości i jeśli w Stołpinie ciągle się mówiło, że polskie dziewczki to latawice, to kto wie, czy nie było to słuszne. Ale może ona jest po prostu zbyt słaba i honor nakazywałby bronić jej przed starym. Byłoby to wszelako powinnością kochanka; gdyby Bertrand zachował choć odrobinę rycerskości, miałby wręcz obowiązek zjawić się wreszcie, aby to wszystko bez wysiłku doprowadzić do porządku. Ni stąd, ni zowąd Joachim zaczyna rozmawiać z kolegami o Bertrandzie: jak dawno nic o Bertrandzie nie słyszeli, co też on porabia, tak, dziwny, skryty człowiek z tego Edwarda von Bertranda. Ale koledzy wypili już za dużo szampana, dają opaczne odpowiedzi i niczemu się nie dziwią, nawet wytrwałości, z jaką Joachim obstaje przy temacie Bertranda, a choć on tak chytrze raz po raz wymawia to nazwisko nadzwyczaj głośno i wyraźnie, również obie dziewczyny ani okiem nie mrugną i kielkuje w nim podejrzenie, iż może Bertrand upadł już tak nisko, że bywa tutaj pod przybranym nazwiskiem; zwraca się więc wprost do Rużeny z pytaniem, czy ona jednak nie zna von Bertranda... aż stary, czujny i zapobiegliwy mimo całego szampana, zapytuje, czemu to Joachim wyjeżdża teraz z tym von Bertrandem. – Tropisz go, jak gdyby niechybnie gdzieś tutaj się ukrył. – Joachim czerwieniąc się zaprzecza, ale stary już gada jak najęty: tak, dobrze znał ojca, starego pułkownika von Bertranda, pożegnał się z tym światem, całkiem możliwe, że to ten Edward wpędził go do grobu. Pułkownik, jak mówiono, bardzo sobie wziął do serca, że nicpoń się znarowił, nikt nie wie dlaczego i czy nie kryły się za tym jakieś brudne sprawy. Joachim zaprotestował: – Najmocniej przepraszam, ale to są posądzenia bez pokrycia. W żadnym razie nie wolno Bertranda nazywać nicponiem. – Spokojnie – odpowiada stary i zwraca się znów ku dłoni Rużeny, na której wyciska teraz długi pocałunek; Rużena przyjmuje to obojętnie i przypatruje się Joachimowi, którego miękkie, jasne włosy przypominają jej dzieci ze szkoły w rodzinnych stronach. – Ja mu nie chcę mówić komplementy – zwraca się do starego w swoim staccato – ale syn ładnych ma włosów – potem chwyta głowę przyjaciółki, przysuwa ją do głowy Joachima i jest zadowolona, że mają ten sam kolor włosów: – Piękny by z was była par – oznajmia obu głowom i zanurza palce we włosach obojga. Dziewczyna piszczy, bo Rużena targa jej fryzurę, Joachim czuje miękką dłoń na potylicy, w głowie lekko mu się kręci, przechyla ją w tył, jak gdyby chciał uwięzić dłoń między głową a karkiem, zmusić do pozostania, lecz oto dłoń samorzutnie przesuwają się na kark, głaszcząc go szybko i ostrożnie. – Spokojnie, spokojnie! – słyszy Joachim znowu suchy głos ojca, a potem dostrzegaj jak ten wyciąga portfel, wyjmując dwa duże banknoty i zamierza je wetknąć obu dziewczynom. Cóż,

tak stary, będąc w dobrym humorze, rzuca żniwiarkom jednomarkówki i aczkolwiek Joachim chciałby się wtrącić, nie może przeszkodzić temu, że Rużena dostaje wciśnięte w rękę swoje pięćdziesiąt marek i chowa je zgoła radośnie: – Dzięki, papciu – mówi – teściuniu – poprawia się i mruga do Joachima. Joachim jest blady ze złości; czy stary ma mu kupować dziewczynę za pięćdziesiąt marek? Stary czujnie zauważa uchybienie Rużeny i podkreśla: – No, coś mi się zdaje, że ci się mój szczeniak podoba... nie zabraknie mojego błogosławieństwa... – Drań, myśli Joachim. Ale stary jest teraz górą: – Rużeno, piękna dziecino, jutro przyjadę do ciebie w swaty, jak się należy, tip-top; co mam ci przywieźć w prezencie ślubnym... ale musisz mi powiedzieć, gdzie znajduje się twój zamek... – Joachim odwraca wzrok, jak ktoś, kto będąc świadkiem egzekucji nie chce patrzeć na spadający topór, ale oto Rużena nagle sztywnieje, jej oczy zachodzą mgłą, wargi stają się bezradne, odtrąca dłoń, która pomocnie lub czule chce jej dotknąć, i ucieka, żeby się wypłakać u babki klozetowej.

– No, mniejsza z tym – mówi pan von Pasenow – ale zrobiło się późno. Chyba już pójdziemy, moi panowie. – W dorożce ojciec i syn siedzieli obok siebie, sztywni, trzymając laski między kolanami, wrodzy. W końcu odzywa się stary: – No, pięćdziesiątkę jednak wzięła. Potem łatwo jej było umknąć. – Biedaczysko, myśli Joachim.

Bertrand mógłby na temat munduru powiedzieć mniej więcej tak: Niegdyś to tylko Kościół panował jako sędzia nad ludźmi i każdy wiedział, że jest grzesznikiem. Teraz grzesznik musi osądzać grzesznika, a żeby nie wszystkie wartości padły pastwą anarchii, i zamiast z nim płakać brat musi mówić bratu: „Źle postąpiłeś”. I jeśli niegdyś sama szata duchownego odcinała się jako coś nieczłowieczego od szat innych, a nawet przez mundur i strój urzędowy prześwitywała wówczas cywilność, to wobec zatracenia się wielkiej niewyrozumiałości wiary trzeba było wprowadzić ziemski strój urzędowy w miejsce niebiańskiego, a społeczeństwo musiało podzielić się na ziemskie hierarchie i mundury wznosząc je zamiast wiary na wyżyny absolutu. A jako że podnoszenie ziemskiego na wyżyny absolutu zawsze jest romantyzmem, ścisły i właściwy romantyzm tej epoki to romantyzm munduru, poniekąd jakby istniała ponadziemska i ponadczasowa idea munduru, idea, która nie istnieje, a jednak ma taką moc, że ogarnia człowieka dużo silniej, niż zdołałoby to uczynić jakiegokolwiek inne ziemskie powołanie, nie istniejąca, a przecież tak mocna idea, że czyni z umundurowanego bodaj opętanego mundurem, nigdy jednak zawodowca w cywilnym znaczeniu, może właśnie dlatego, że człowiek noszący mundur nasycony jest świadomością wypełniania właściwego swoim czasom sposobu życia i tym samym zapewniania bezpieczeństwa własnemu życiu.

Tak chyba mówiłby Bertrand; ale jeśli uświadamia to sobie z pewnością nie każdy, kto chodzi w mundurze, to bodaj nie ulega wątpliwości, że każdy, kto nosi mundur przez wiele lat, znajduje w nim lepszy porządek rzeczy aniżeli człowiek, który jedynie zamienia cywilny strój nocny na cywilny strój dnia. Na pewno nie musi specjalnie się nad tym zastanawiać, bo odpowiedni mundur daje nosicielowi poczucie wyraźnego odgrózenia własnej osoby od otoczenia; stanowi jakby twardy futerał, strefę ostrego i wyraźnego zderzenia się oraz rozgraniczenia świata i osoby; mundur to przecież prawdziwe zadanie ukazywania i ustanawiania porządku w świecie i eliminowania tego, co w życiu zacierające się i płynne, mundur ukrywa to, co w ludzkim ciele miękkie i rozplływające się, ośłania bielizną, skórę, a wartownik na posterunku musi wkładać białe rękawiczki. Tak to mężczyźnie, który rano zapina swój mundur na ostatni guzik, dana jest w rzeczywistości druga, gęstsza skóra i wydaje się, że powraca on do swego właściwego i trwalszego życia. Zamknięty w twardszym futerale, pozapinany na paski i klamry, zaczyna zapominać, co ma pod spodem, a niepewność życia, ba, życie samo oddala się. Kiedy potem obciągnie kurtkę munduru, żeby leżała gładko, bez fałd na piersi i na plecach, to wtedy nawet dziecko, które mężczyzna przecież kocha, żona, którą całując spłodził to dziecko, odsuwają się w tak odległą i cywilną dal, że prawie

już nie poznaje ust, które ona podaje mu na pożegnanie, a własny dom staje się czymś obcym, czego nie wolno odwiedzać w mundurze. Idąc potem w mundurze do koszar lub do biura nie z pychy nie dostrzega ubranych inaczej; on po prostu nie może już pojąć, że pod innym, barbarzyńskim ubraniem znajduje się coś, co mogłoby mieć cokolwiek wspólnego z właściwym człowieczeństwem, jakie odczuwa w sobie. Lecz z tego powodu mężczyzna w mundurze nie staje się ślepy ani też wypęhiony ślepym uprzedzeniem, jak się tylekroć przypuszcza; jest nadal człowiekiem jak ty i ja, myśli o jedzeniu i spółkowaniu, czyta również gazetę przy śniadaniu; ale nie jest już powiązany z rzeczami, a że przestały go dotyczyć, potrafi teraz dzielić je na dobre i złe, bo na niewyrozumiałości i niezrozumieniu opiera się życiowe bezpieczeństwo.

Ilekroć Joachim von Pasenow musiał ubierać się po cywilnemu, zawsze przypominał mu się Edward von Bertrand i zawsze był wtedy rad, że cywilne rzeczy nie leżały na nim z taką oczywistością jak na tamtym człowieku, i właściwie zawsze nurtowała go ciekawość, co też Bertrand myśli w kwestii munduru. Bo Edward von Bertrand miałby naturalnie wszelkie powody, żeby rozmyślać o tych problemach, raz na zawsze zdjął przecież mundur i zdecydował się na strój cywilny. Było to dość zaskakujące. Skończył szkołę kadetów w Chełmnie dwa lata przed Pasenowem i niczym tam nie różnił się od innych, latem nosił szerokie białe spodnie jak inni, siedział z innymi przy tym samym stole, zdawał egzaminy jak inni, a jednak, gdy został podporucznikiem, zdarzyło się coś niepojętego: bez uchwytnej przyczyny porzucił służbę i zniknął w obcym życiu, zniknął w mroku wielkiego miasta, jak to się mówi, w mroku, z którego wynurzał się tylko co jakiś czas. Spotykając go na ulicy człowiek nigdy nie miał pewności, czy wolno go pozdrowić, bo w przeświadczeniu, że ma przed sobą zdrajcę, który przeniósł na drugą stronę życia i tam wyjawiał coś, co było wspólną własnością ich wszystkich, czuł się wystawiony na pokaz jakoś bezwstydnie i nago, podczas gdy sam Bertrand nie wyjawiał niczego ze swych motywów i swego życia zachowując stale tę samą uprzejmą skrytość. Może jednak źródłem niepokoju był tylko cywilny garnitur Bertranda, biały wykrochmalony gors wyzierający z wycięcia kamizelki, tak że właściwie człowiek musiał się za niego wstydzić. Przy tym Bertrand sam kiedyś oznajmił w Chełmnie, że prawdziwy żołnierz nie dopuszcza, by mankiety koszuli wystawały z rękawów kurtki, ponieważ wszystko, co dotyczy narodzin, spania, kochania, umierania, krótko mówiąc wszystko cywilne, jest sprawą bielizny; i choć wygłaszanie takich paradoksów należało do zwyczajów Bertranda, podobnie jak lekkie machnięcie ręką, którym niedbale i pogardliwie zbywał wypowiedziane przedtem słowa, najwidoczniej już wtedy musiał zajmować się problemem munduru. Z bielizną i mankietaми chyba miał po części rację; wystarczyło bowiem pomyśleć – Bertrand zawsze budził takie nieprzyjemne myśli – że wszyscy mężczyźni, nie wyłączając cywilów i ojca, noszą koszulę wsuniętą w spodnie. Toteż Joachim nie lubił zastawać w izbie żołnierskiej podkomendnych w rozpiętych kurtkach; było w tym coś nieprzyzwoitego, co wprawdzie niezbyt przejrzyście, lecz zrozumiale doprowadziło do ustanowienia przepisu, że na odwiedzanie pewnych lokali i inne konstelacje erotyczne trzeba było ubierać się po cywilnemu, mało tego, doprowadziło do uznania faktu, że bywali żonaci oficerowie i podoficerowie, wręcz za wykroczenie przeciwko regulaminowi. Kiedy żonaty wachmistrz zgłaszał się na poranną służbę i rozpinał dwa guziki kurtki, aby z powstałej szczeliny, w której ukazywała się koszula w kratkę, wydobyć duży, oprawny w czerwoną skórę notatnik, Joachim przeważnie sięgał do guzików własnej kurtki i czuł się bezpiecznie dopiero wtedy, gdy się upewnił, że wszystkie były zapięte. Pragnął wręcz, żeby mundur był niejako bezpośrednią emanacją skóry, i nieraz myślał też, że jest to dla munduru właściwe zadanie, albo że z pomocą odznak i dystynkcji należałoby przynajmniej uczynić bieliznę częścią munduru. Bo to było niesamowite, że każdy nosi pod kurtką wspólny wszystkim anarchizm. Może świat całkiem by wypadł z wiązań, gdyby w ostatniej chwili nie wymyślono dla cywilów krochmalonej bielizny, która zmienia koszulę w białą deskę i czyni niepodobną

do spodniej garderoby. Joachim przypomniał sobie zdumienie z dzieciństwa, kiedy przyglądając się portretowi dziadka stwierdził, że nosił on nie wykrochmaloną koszulę, ale koronkowy żabot. Wszelako ludzie ówczesni mieli gorętszą i głębszą wiarę chrześcijańską i nie musieli gdzie indziej szukać obrony przed anarchią. Wszystkie te rozmyślenia nie miały chyba sensu i na pewno były jedynie rezultatem niedorzecznych wypowiedzi takiego Bertranda; Pasenow wstydził się niemal, że snuje podobne myśli w obecności wachmistrza, a gdy się narzucały, odsunął je na bok i w jednej chwili zmusił się do przybrania służbowo sprężonej postawy.

Ale chociaż odsuwał na bok te myśli jako pozbawione sensu i przyjmował mundur jako dar natury, kryło się w nich coś więcej niż sama sprawa ubioru, więcej niż coś, co nadawało jego życiu nie treść wprawdzie, chyba jednak postawę. Często sądził, że zdoła zbyć całą sprawę, a także Bertranda słowami: „towarzysze broni w monarszych barwach”, aczkolwiek daleki był od wyrażania nadzwyczajnego szacunku dla monarszych barw czy folgowania szczególnej próżności, a nawet dbał o to, żeby jego elegancja nie wykraczała poza ściśle przestrzeganą regulaminową poprawność bądź od niej nie odbiegała i nie było mu niemiło usłyszeć wypowiedzianą pewnego razu w gronie pań uzasadnioną opinię, że niezbyt mu do twarzy w mundurowej kurtce niezgrabnie długiego kroju i jaskrawych kolorach barwnego sukna, ba, że w surducie artysty z brązowego aksamitu i luźnym krawacie wyglądałby daleko lepiej. Fakt, że mimo to mundur znaczył dla niego o wiele więcej, da się częściowo wytłumaczyć odziedziczoną po matce stałością, która zazwyczaj niewzruszenie trzymała się tego, do czego raz przywykła. I niekiedy jemu samemu wydawało się, że i dla niego inna postawa nie wchodzi w rachubę, choć nadal żywił wielką urazę do matki, która wówczas bez sprzeciwu podporządkowała się postanowieniom stryja Bernharda. Ale co się stało, to się nie odstanie i jeśli ktoś od dziesiątego roku życia nawykł do noszenia munduru, to ów mundur zrósł się z nim jak suknia Dejaniry i nikt, a już w żadnym razie Joachim von Pasenow, nie potrafi potem podać, którędy przebiega granica między jego ja a mundurem. A przecież było to coś więcej niż przyzwyczajenie. Bo chociaż zawód żołnierski nie zrósł się z nim ani też on z zawodem, mundur stał się dla niego wielorakim symbolem; a on z biegiem lat podszył go i wywatował tyłu wyobrazeniami, że nie mógłby już, bezpieczny w nim i oddzielony, obejść się bez niego, oddzielony od świata i rodzinnego domu, zadowolając się taką pewnością i bezpieczeństwem albo już bodaj nie zauważając, że mundur pozostawiał mu bardzo wąski skrawek osobistej, ludzkiej godności, nie szerszy od wąskiego skrawka wykrochmalonego mankietu, na jaki mundur pozwala oficerom. Nie lubił przebierać się po cywilnemu i odpowiadało mu, że mundur powstrzymywał go od odwiedzania podejrzanych lokali, w których spodziewał się zastać cywila Bertranda w towarzystwie kobiet lekkich obyczajów. Bo często nachodził go niesamowity lęk, że on także mógłby się stoczyć dzieląc niewytłumaczalny los Bertranda. Dlatego też miał za złe ojcu, że musiał mu towarzyszyć, i to towarzyszyć po cywilnemu, w obowiązkowej wędrówce po berlińskim nocnym życiu, którą tradycyjnie kończyła się wizyta w stolicy Rzeszy.

Gdy nazajutrz Joachim odprowadzał ojca na pociąg, ten powiedział: – No, jak teraz dostaniesz awans na rotmistrza, będziemy chyba musieli pomyśleć o ożenku. Co byś powiedział na Elżbietę? W końcu Baddensenowie mają w Lesiowie paręset morgów, a dziewczę kiedyś to wszystko odziedziczy. – Joachim milczał. Wczoraj ojciec omal mu nie kupił dziewczyny za pięćdziesiąt marek, a dzisiaj wyjeżdża z prawowitym związkiem. A może stary ma jeszcze chrapkę na Elżbietę jak na tę dziewczynę, której dłoń Joachim w tej chwili znów poczuł na karku! Ale trudno było sobie wyobrazić, by ktoś ośmielił się pożądać Elżbiety, a jeszcze trudniej, by chciał doprowadzić do zgwałcenia świętej przez własnego syna, ponieważ sam tego dokonać nie może. Joachim byłby niemal rad przeprosić ojca za okropne podejrzenia; wszelako po starym można było spodziewać się wszystkiego. Ba,

wszystkie kobiety świata należałoby chronić przed tym starcem, myśli przemierzając peron u jego boku, myśli też tak jeszcze salutując i spoglądając za pociągiem. Ale gdy pociąg znika, myśli o Rużenie.

Również wieczorem myśli jeszcze o Rużenie. Bywają wiosenne wieczory, kiedy to zmierzch trwa o wiele dłużej, niżby to wynikało z astronomicznych obliczeń. Potem przydymiona, rzadka mgła opada na miasto i nadaje mu owo z lekka napięte przyćmienie wolnego wieczoru, który poprzedza dzień świąteczny. I jest też tak, jak gdyby światło tak bardzo zaplątało się w tę przyćmioną, szarawą mgłę, że wciąż jeszcze są w niej jasne nici, aczkolwiek ona szerniała już i zaksamitniała. Toteż ten zmierzch trwa bardzo długo, tak długo, że sklepikarze zapominają o zamknięciu sklepów; stoją przed wejściem gawędząc z klientami, aż nadejdzie policjant i uśmiechając się zwróci uwagę, że minęła już pora zamykania. Również potem w wielu sklepach jarzy się jeszcze światło, bo na tyłach lokalu rodzina siedzi przy wieczerzy; nie założyli, jak to się zwykle robi, sztaby na drzwi, tylko wystawili krzesło, aby pokazać, że klientów już się nie obsługuje, a kiedy się najedzą, wyjdą na ulicę, przyniosą sobie krzesła i będą odpoczywać przed drzwiami sklepu. Można im pozazdrościć, drobnym sklepikarzom i rzemieślnikom, którzy mają mieszkanie za sklepem, są godni pozazdrozczenia zimą, gdy zamykają drzwi na ciężkie sztaby, żeby podwójnie się zabezpieczyć i cieszyć się ciepłem jasnej izby, z której oszklonych drzwi w okresie Bożego Narodzenia uśmiecha się na cały sklep przystrojone drzewko, godni pozazdrozczenia w łagodne wiosenne i jesienne wieczory, kiedy trzymając kota na kolanach lub gładząc miękki kark psa siedzą u wejścia jak na tarasie w swoim ogrodzie.

Wracając z koszar Joachim idzie przedmiejską ulicą. Nie jest to rzecz stosowna do stanu i zazwyczaj oficerowie jeżdżą do swoich mieszkań pułkowymi bryczkami. Nikt tu nie spaceruje, nawet Bertrand by nie spacerował, i fakt, że oto on sam sobie tu idzie, jest dla Joachima tak niesamowity, jakby zaczął się już staczać. Ale czy w gruncie rzeczy nie chce w ten sposób poniżyć się dla Rużeny? A może ma to być wręcz poniżenie Rużeny? Bo jego wyobrażenie osadza ją całkiem wyraźnie w mieszkaniu na przedmieściu, może nawet w owym piwnicznym lokalu, przed którego mrocznym wejściem wystawiono na sprzedaż zieleninę i jarzyny, a tymczasem matka Rużeny siedzi tam z robótką w ręku i gada ciemną, obcą mową. Joachim czuje swąd naftowych lamp. W piwnicznym sklepie rozbłyskuje światło. Jest to lampa przytwierdzona do brudnego muru w głębi. Mógłby nieomal sam siedzieć z Rużeną przed tym sklepem w suterenie, mając na karku jej głaszczącą dłoń. Ale wzdryga się, gdy ten obraz dociera do świadomości, i żeby go odegnać, usiłuje wyobrazić sobie, jak to nad Lestowem rozpościera się ten sam jasnoszary wieczorny zmierzch. I w mgławo ucichłym parku, który pachnie już mokrą trawą, odnajduje Elżbietę; idzie ona wolnym krokiem ku domowi, z którego okien pada łagodny blask naftowych lamp rozświetlając gęstniejący zmrok, jest też z nią jej mały piesek, jak gdyby także już zmęczony. Ale wyteżając wyobraźnię widzi z bliska i ostro siebie i Rużenę na tarasie przed domem, a Rużena dotyka jego karku głaszczącą dłoń.

To samo przez się zrozumiałe, że przy tej pięknej wiosennej pogodzie było się w dobrym nastroju i że sprawy zapowiadały się dobrze. Tak myślał również Bertrand, który przebywał od kilku dni w Berlinie. Ale w istocie rzeczy wiedział, że jego dobry humor miał swoje źródło jedynie w sukcesach, jakie już od lat odnosił we wszystkich poczynaniach, i że z drugiej strony potrzebował tego dobrego humoru, żeby odnosić sukcesy. Było to przyjemne posuwanie się po gładkiej powierzchni, niemal takie, jakby nie musiał podążać ku rzeczom, lecz jakby to one napływały ku niemu. Może też był to jeden z powodów, dla których wystąpił z pułku: tak wiele rzeczy nastęczało się wokół, a człowiek był z nich wówczas wyłączony. Cóż mu niegdyś mówiły szyldy banków, adwokatów, spedytorów? Były to martwe słowa, których się nie dostrzegało albo które przeszkadzały. Teraz wiedział mnóstwo

o bankach, wiedział, co się odbywa poza okienkami, ba, nie tylko rozumiał napisy, jakimi były opatrzone, Dyskonto, Waluty, Żyro, Wymiana, lecz wiedział także, co się dzieje w biurach dyrekcji, umiał ocenić bank na podstawie zgromadzonych wkładów i rezerw, a ceduła giełdowa dostarczała mu żywej informacji. Był obeznany z takimi wyrażeniami spedytorów jak tranzyt i skład bezcłowy, przyswoił sobie to wszystko naturalnie, aż stało się dla niego tak oczywiste jak owa mosiężna tabliczka przy Steinweg w Hamburgu: „Edward von Bertrand, Import Bawełny”. A to, że taką samą tabliczkę można było zobaczyć przy Rolandstrasse w Bremie i w Cotton Exchange w Liverpoolu, wprost napawało go dumą.

Gdy na Unter den Linden spotkał Pasenowa, kanciastego w długiej kurtce munduru z epoletami, o kanciastych ramionach, a tymczasem on swoimi poruszał swobodnie w angielskim suknie, poczuł się nadzwyczaj radośnie i powitał go równie poufale i lekko jak zawsze, ilekroć spotykał kogoś z dawnych kolegów, ba, spytał go bez ogródek, czy jest już po obiedzie i czy nie zechce przekąsić czegoś z nim u Dressela.

Wobec nagłości spotkania i raptownej serdeczności Pasenow zapomniał, jak dużo w ostatnich dniach myślał o Bertrandzie; znowu wstyd mu się zrobiło, że on, stosownie odziany w mundur, rozmawia z kimś, kto musi stać przed nim jakby nago, bo po cywilnemu, i najchętniej wymówiłby się od zaproponowanego wspólnego posiłku. Ale zdobył się jedynie na skonstatowanie, że już strasznie długo nie widział Bertranda. Ano, nic to dziwnego przy jednostajnym, osiadłym trybie życia, jaki prowadzi Pasenow, stwierdził Bertrand. Natomiast jemu, w gorączce i zapędzeniu, wydaje się, że to zaledwie wczoraj po raz pierwszy przypasawszy oficerskie szpady przeszli się razem po Unter den Linden i zjedli kolację u Dressela – weszli tymczasem do środka – a tu przecież człowiekowi lat przybywa. On za dużo mówi, pomyślał Pasenow, ale że było mu przyjemnie, iż Bertrand ma jakąś brzydkią cechę, albo że zachował w pamięci, iż dotychczasowa małomówność dawnego przyjaciela zawsze mu doskwierała, mimo swej niechęci do wszelkiej niedyskrecji zapytał, gdzie też to Bertrand się podziewał; ten lekceważąco machnął ręką, jakby odsuwając coś drugorzędnego: – Ach, różnie bywało, ostatnio w Ameryce. – Zatem w Ameryce – Ameryka zawsze była dla Joachima krainą niewydarzonych, odtrąconych i wykolejonych synów, no i chyba stary von Bertrand umarł jednak ze zgryzoty! Wszelako Pasenow słyszał już o takich niewydarzeniach, którzy doszedłszy za oceanem na farmerstwie do zamożności wracali do Niemiec, żeby poszukać niemieckiej oblubienicy, a ten być może złapał sobie teraz Rużenę; ale nie, ona nie jest Niemką, tylko Bohemianką czy też, jak należałoby mówić, Czeszką. Jednakże zaabsorbowany tą myślą pytał dalej: – I wraca pan tam? – Nie, na razie nie, najpierw muszę jechać do Indii. – A więc awanturnik! Pasenow rozejrzał się po lokalu, speszony, że siedzi przy stole z awanturnikiem; wypadło jednak wytrzymać: – Jest pan więc ciągle w podróży. – Mój Boże, na tyle, na ile tego wymagają interesy – ale lubię podróżować. Jak wiadomo, zawsze należy czynić to, do czego popycha człowieka demon. – A zatem wyszło szydło z worka; teraz Joachim wiedział: Bertrand porzucił służbę, aby robić interesy, z żądzy zysku, z zachłanności. Ale Bertrand, gruboskórny jak te groszorozy, nie wyczuł pogardy, lecz nieskrępowanie mówił dalej: – Widzi pan, Pasenow, dla mnie jest coraz bardziej niepojęte, że wy tu w ogóle wytrzymujecie. Czemu nie zgłosi się pan przynajmniej do służby kolonialnej, skoro już Rzesza zafundowała panu tę przyjemność? – Pasenow i jego koledzy nigdy nie zaprzęтали sobie głowy problemem kolonii; była to dziedzina zastrzeżona dla marynarki; ale mimo to obruszył się: – Przyjemność? – Bertrand miał teraz znów ten ironiczny rys wokół ust: – No cóż, a czego należy po tym oczekiwać? Trochę wojennej przyjemności i wojennej sławy dla bezpośrednich uczestników. Jestem naturalnie z całym szacunkiem dla doktora Petersa i gdyby pojawił się wcześniej, doprawdy wziąłbym udział, ale czegoż innego należy w istocie po tym oczekiwać prócz romantyzmu?

Wszystko przecież jest romantyzmem – z wyjątkiem naturalnie katolickiej i ewangelickiej działalności misyjnej, która nastawia się na trzeźwą, pożyteczną robotę. Ale cała reszta to

przyjemność, nic innego jak przyjemność. – Mówił tak lekceważąco, że Pasenow był szczerze wzburzony, ale w jego głosie brzmiała raczej uraza: – Dlaczego my, Niemcy, mamy ustępować innym narodom? – Coś panu powiem, Pasenow, po pierwsze, Anglia to Anglia, po drugie, nawet Anglia nie wie, jak się to wszystko skończy, po trzecie, nadwyżki kapitału wolę lokować w angielskich papierach kolonialnych niż w niemieckich, tak że można nawet mówić o gospodarczym romantyzmie kolonialnym, i po czwarte, jak już mówiłem, tylko Kościół jest zawsze prawdziwie, trzeźwo zainteresowany ekspansją kolonialną. – Rosło urażone zdumienie Joachima von Pasenowa, a także podejrzenie, że ten Bertrand swym nieprzejrzystym i napsuszonym gadaniem chce go omamić, zwieść i pociągnąć w dół. Jakoś wiązało się to z całkiem niewojskowymi, prawie że trefionymi włosami Bertranda. Jakoś było aktorskie. Joachimowi przyszły na myśl słowa „bagno” i „bagno piekielne”; czemu ten człowiek wciąż gadał o wierze i Kościele? Ale zanim zebrał się na odpowiedź, Bertrand już chyba dostrzegł jego zdziwienie: – Ano, widzi pan, Europa stała się dla Kościoła miejscem dość niepewnym. Natomiast Afryka! Setki milionów dusz jako surowiec dla wiary. I może pan być przekonany, że jeden ochrzczony Murzyn jest lepszym chrześcijaninem niż dwudziestu Europejczyków. Jeśli katolicyzm i protestantyzm chcą rywalizować o pozyskanie tych zagorzalców, to jest to nader zrozumiałe; tam przecież leży przyszłość wiary, tam są owi przyszli bojownicy za wiarę, którzy mają kiedyś ruszyć na pławiącą się w pogaństwie i zabagnioną Europę, niosąc pozołogę w imię Chrystusa, aby w końcu pośród dymiących zgliszczy Rzymu osadzić na Piotrowym tronie czarnego papieża. – To jest Apokalipsa świętego Jana, pomyślał Pasenow; on bluźni. I co chce zrobić z duszami Murzynów? Handlarzy niewolników już nie ma, choć po kimś, kto jest opętany żądzą zysku, i tego można by się spodziewać. Przecież dopiero co mówił o swoim demonie. Ale może tylko żarty sobie stroi; już w szkole nigdy nie było wiadomo, co Bertrand myśli naprawdę. – Pan żartuje! A co się tyczy spahisów i Turczynów, to już raz daliśmy sobie z nimi radę. – Bertrand musiał się uśmiechnąć, a uśmiechał się tak przyjaźnie i ujmująco, że również Joachim nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Uśmiechali się zatem przyjaźnie do siebie, a ich dusze kiwały sobie z okien ich oczu, jedynie przez chwilę, jak dwaj sąsiedzi, którzy nigdy się sobie nie kłaniali i oto przypadkiem równocześnie wychylają się ze swoich okien, uradowani i zawstydzeni tym niespodziewanym pozdrowieniem i jego równoczesnością. Ratunku na swe zawstydzienie szukali w konwenansie i Bertrand unosząc szklanek powiedział: – Do dna, Pasenow – a Pasenow odparł: – Do dna, Bertrand – po czym obaj musieli jeszcze raz się uśmiechnąć.

Gdy opuściwszy lokal stanęli na Unter den Linden, wobec tych trochę przywiedłych, nieporuszonych drzew w gorącym blasku popołudniowego słońca, Pasenow przypomniał sobie, co krępował się powiedzieć przy stole: – Właściwie nie pojmuję, co pan ma do zarzucenia naszej europejskiej wierze. Myślę, że będąc mieszkańcem wielkiego miasta nie ma pan należytego spojrzenia. Kiedy ktoś, jak ja, wyrósł na wsi, ma jednak do tych rzeczy inny stosunek. A i nasz wiejski lud jest dużo silniej związany z chrześcijaństwem, niż pan zdaje się sądzić. – Poczuli się w jakiś sposób odważny, że tak to Bertrandowi powiedział prosto w oczy, stary wiarus, który oficerowi ze sztabu generalnego wytyka strategiczne uchybienia, i bał się troszkę, że Bertrand może się rozgniewać. Ale ten po prostu odrzekł pogodnie: – Ano, w takim razie pewnie wszystko będzie w najlepszym porządku. – A potem wymienili adresy i obiecali sobie nawzajem, że pozostaną w kontakcie.

Pasenow wziął dorożkę, żeby pojechać do Westendu na wyścigi. Wino reńskie, skwar popołudnia i chyba też osobliwość tego spotkania pozostawiły za kością czołową i pod ciemieniem – chętnie by zdjął sztywną czapkę – niejasne i łamliwe odczucie, dość podobne do skóry dorożkarskiego siedzenia, którą wyczuwał czubkami palców przez białą rękawiczkę, była nawet trochę lepka od prażącego słońca. Z jednej strony żałował, że nie zaprosił na przejażdżkę Bertranda, i był rad, że przynajmniej ojca nie było już w Berlinie, bo w

przeciwnym razie ten z pewnością siedziałby obok niego. Z drugiej jednak odczuwał zadowolenie, że nie towarzyszy mu Bertrand w cywilnym ubraniu. Ale może Bertrand chce go zaskoczyć, zabierze Rużenę i wszyscy spotkają się na hipodromie. Jak jedna rodzina. Ale przecież to wszystko bzdura. Z taką dziewczyną nawet Bertrand nie pokazałby się na wyścigach.

Gdy w parę dni później kolega Leindorff gościł swego starego, Pasenow czuł, że musi niejako z woli niebios zajrzeć do kasyna Pod Jegrami, aby ubiec starego Leindorffa, którego widział już, jak zamaszystym krokiem prosto jak strzełił wspina się po wiodących tam wąskich schodach. Pojechał pułkową bryczką do domu i przebrał się po cywilnemu. Potem ruszył w drogę. Na rogu spotkał dwóch żołnierzy; chciał już sięgnąć niedbale do daszka czapki, żeby odwzajemnić ich pozdrowienie, kiedy uprzytomnił sobie, że oni wcale mu nie salutowali i że on sam zamiast czapki ma na głowie cylinder; wszystko to było dość niedorzeczne i nawet musiał się uśmiechnąć na myśl, że stary, na poły sparaliżowany hrabia Leindorff, któremu w głowie były tylko lekarskie konsultacje, miałby dzisiaj pójść do kasyna Pod Jegrami. Najmądrzej byłoby chyba po prostu zawrócić, ale ponieważ mógł to zrobić w każdej chwili, miał niewielkie poczucie wolności i szedł dalej. Wolałby co prawda wybrać się na przedmieście, żeby znów zobaczyć sklep warzywny w suterenie z kopcącą lampą naftową na murze; lecz przecież w surducie i cylindrze nie mógł paradować po północnych peryferiach. Tam również dzisiejszego wieczoru zapadał chyba zmierzch równie czarowny jak wtedy, ale tu, w samym centrum miasta, wszystko wydawało się wrogie naturze, ponad krzykliwym światłem, wieloma wystawami i ruchliwym życiem ulicy nawet niebo i podniebne przestworza były tak bardzo miejskie i wyzute ze swojskości, że w sposób uszczęśliwiający i uspokajający, a jednak i niepokojący poczuł się swojo odkrywając mały sklepik płócienny, który w wąskim okienku wystawiał koronki, falbanki, zaczęte robótki z drukowanymi na niebieskim papierze wzorami, i dostrzegłszy oszklone drzwi w głębi sklepu prowadzące najwidoczniej do izby mieszkalnej. Za kontuarem siedziała białowłosa kobieta, niemalże dama, obok niej młoda dziewczyna, której twarzy nie mógł dojrzeć, obie zajęte robótkami. Oglądał towary w witrynie i zastanawiał się, czy takimi koronkowymi chusteczkami nie można by sprawić Rużenie serdecznej przyjemności. Wszelako i to znów wydało mu się absurdalne i poszedł dalej; przy najbliższej przecznicy zawrócił jednak do sklepu, wiedziony pragnieniem zobaczenia odwróconej twarzy dziewczyny; nabył trzy cieniusiennie chusteczki, właściwie nie przeznaczając ich dla Rużeny, tak na los szczęścia i ukontentowany, że tym zakupem może też ucieszyć starszą panią. Dziewczyna miała natomiast obojętną minę, ba, spoglądała nieomal złym okiem. Potem Joachim wrócił do domu.

Zimą, w czasie dworskich uroczystości, które były cichą nadzieją baronowej, wiosną, w sezonie wyścigów i letnich zakupów, rodzina Baddensenów zamieszkiwała wytworny dom w Westendzie i któregoś niedzielnego popołudnia Joachim von Pasenow złożył paniom wizytę. Rzadko bywał w tym odległym willowym osiedlu, które rozrastało się szybko biorąc wzór z angielskich dworków, chociaż tylko rodziny zamożne, które miały własne ekipaże, mogły tutaj mieszkać nie odczuwając zbyt niedogodności znacznego oddalenia od miasta. Ale dla owych uprzywilejowanych, którym dane było takim sposobem łagodzić przestrzenną niedogodność, okolica ta stanowiła mały wiejski raj i przemierzając wypielegnowane ulice między willami Pasenow utwierdzał się w przyjemnym i serdecznym przeświadczeniu, że jest to wyśmienite miejsce do mieszkania. W ostatnich dniach niejedno popadło w wątpliwość i wiązało się to w niewytłumaczalny sposób z Bertrandem: nadwerężony został jakiś filar życia i choć wszystko stało jeszcze po staremu, bo poszczególne części podtrzymywały się nawzajem, to wiąz z niejasnym pragnieniem, żeby runęło także sklepienie tej zrównoważonej budowli grzebiąc spadających i osuwających się pod gruzami, kiełkowała obawa, iż coś

takiego się spełni, i rosła tęsknota za trwałością, pewnością i spokojem. Tymczasem ta zamożna dzielnica willowa ze swymi palacopodobnymi budowlami w znakomitym stylu renesansowym, barokowym czy szwajcarskim, w otoczeniu starannie utrzymanych ogrodów, z których dochodziły odgłosy grabienia przez ogrodników, strumieni węży ogrodowych, pluskania fontann, tchnęła wielkim, wyspiarskim bezpieczeństwem, tak że prorocत्वu Bertranda, iż nawet Anglia nie wie, jak się to wszystko skończy, doprawdy trudno było dać wiarę. Z otwartych okien rozbrzmiewały etiudy Stephena Hellera i Clementiego: w ustronnym zaciszu panny z tych rodzin mogą oddawać się swoim ćwiczeniom; dobre połączenie bezpieczeństwa i łagodności, wypełnione przyjaźnią, póki miłość nie zastąpi przyjaźni i z kolei nie znajdzie w przyjaźni wybrzmienia. Gdzieś, niezbyt daleko, piał kogut, jak gdyby i on chciał zaznaczyć sielskość tego wypielęgowanego miejsca: ba, gdyby Bertrand wyrastał na roli, nie szerzyłby zwątpienia, i gdyby jego samego pozostawiono w rodzinnych stronach, nie byłby podatny na zwątpienie. Przyjemnie byłoby chodzić z Elżbietą po polach, dla sprawdzenia brać dojrzewające ziarno w palce i wieczorem, gdy wiatr przynosi ciężką woń stajen, przemierzać porządnie zamieciono podwórze, aby doglądać udoju. Elżbieta stałaby wtedy pomiędzy dużymi wiejskimi zwierzętami, o wiele za szczupła jak na ciężkość tego otoczenia, i co u matki było po prostu naturalne i swojskie, u niej stałoby się zarazem swojskie i wzruszające. Ale dla niego było na to wszystko za późno, bo zrobiono z niego obcego, bo jest – w tej chwili przyszło mu to na myśl – bezdomny jak Bertrand.

Otoczyła go teraz zacisznosc ogrodu, którego parkan był zasłonięty żywopłotem. A zacisznosc tej natury zwiększał jeszcze fakt, że baronowa kazała wynieść sobie do ogrodu jeden z pluszowych foteli z salonu: wyposażony w toczono nogi podkute kółkami stał on na ogrodowym żwirze jak coś egzotycznego i spragnionego ciepła sławiąc przychylnosc klimatu i ucywilizowanej natury, która pozwalała mu przebywać na dworze; fotel miał wszelako barwę więdnącej czarno-czerwonej róży. Elżbieta i Joachim siedzieli na żelaznych krzesłach ogrodowych, których blaszane siedzenia niczym zeszytywniałe koronki brukselskie miały otwory w kształcie gwiazd.

Po wyczerpującym omówieniu tej okolicy, która przypada do smaku szczególnie tym, co nawykli do życia wiejskiego i mają w nim upodobanie, zapytano Joachima, jak mu się żyje w stolicy, a on nie omieszkał wypowiedzieć i uzasadnić swojej tęsknoty za wsią. Zyskał pełną aprobatę pań; zwłaszcza baronowa zapewniała wciąż od nowa, że często, niech on się nie dziwi, całymi dniami, ba, tygodniami nie bywa w centrum miasta, tak bardzo ją przeraża, tak, przeraża, rozgardiasz, hałas i gigantyczny ruch. No cóż, stwierdził Pasenow, tutaj mają prawdziwe ustronie, po czym rozmowa znów przez jakiś czas krążyła wokół tej wyśmienitej okolicy, aż baronowa, jakby chcąc mu zrobić radosną niespodziankę, oznajmiła wręcz tajemniczo, iż zaproponowano im kupno domu, który tak polubiły. I ciesząc się przyszłą własnością zaprosiła go do obejrzenia tegoż domku, do odbycia *le tour du propriétaire*¹, jak dorzuciła z odrobiną zawstyżenia i ironii.

Jak to zwykle bywa, na parterze znajdowały się pomieszczenia reprezentacyjne, na piętrze sypialnie rodziny. Tak, do jadalni, która dzięki rzeźbionym staroniemieckim meblom tchnęła mroczną przytulnością, dołączając ciepłarnię z fontanną i chyba też przebudują salon. Potem wspięli się po schodach, zasłoniętych u góry i u dołu ładnie udrapowanymi portierami z aksamitu, i baronowa nie poniechała otwierania żadnych drzwi, pomijając tylko te dyskretniejsze. Z ociąganiem i lekkim rumieńcem pokazany został męskiemu oku pokój Elżbiety, ale w jeszcze większym stopniu niż owe kłęby koronek, którymi zawieszono było łóżko, okna, umywalnia i lustro, wstydlivych i przykrych doznań dostarczyła Joachimowi sypialnia małżonków, ba, podejrzewał niemal baronową, że pokazując mu ją uczyniła z niego powiernika domowych tajemnic, wyjawiając rodzinną sromotę. Bo oto przed jego oczami,

¹ Zwiedzanie posiadłości (fr.).

przed oczami ich wszystkich, nie utajone przed Elżbietą, dla której ten widok był w jego odczuciu obciążeniem i gwałtem, stały łóżko przy łóżku, gotowe służyć seksualnym poczynaniom baronowej, którą ujrzał teraz w wyobraźni co prawda nie naga, ale nie mającą w sobie nic z damy i jakby rozwartą, stała oto ta sypialnia i raptem wydała mu się centralnym miejscem domu, jego ukrytym, a przecież jawnym ołtarzem, wokół którego zbudowano całą resztę. I równie nagle uprzytomnił sobie, że w każdej z długiego szeregu will, które miał po drodze, centralnym miejscem jest taka sama sypialnia i że dźwięki sonat i etiud, wysyłane z otwartych okien, w których wiosenny wiatr łagodnie porusza białymi koronkowymi firankami, mają tylko maskować prawdziwy stan rzeczy. Wieczorami wszędzie szykuje się łóżka dla państwa rozścielając prześcieradła, które tak obłudnie gładko składa się w bielizniarni, a czeladź i dzieci wiedzą, po co się to robi; wszędzie służący i dzieci śpią niewinnie i w pojedynkę wokół zajmowanego przez złączonych w parę centralnego miejsca domu, czysti i nabożni, ale w służbie i pod rozkazami nieczystych i bezwstydných. Jednakże baronowa, wychwalając przymioty tej okolicy, śmiała zaliczyć do nich bliskość kościoła: czyż nie powinna by wchodzić do kościoła ostatnia, wręcz boso? Może Bertrand to miał na myśli mówiąc o niechrześcijańskości i Joachimowi trafiało do przekonania, że czarni bojownicy Boga natrą na to tałatajstwo ogniem i mieczem, aby przywrócić prawdziwą niewinność i chrześcijańskość. Spoglądał na Elżbietę i odnosił wrażenie, że w jej oczach odczytuje akceptację swojego oburzenia. A myśl, że ona mogłaby paść ofiarą takiego zbezczeszczenia, ba, że to on sam miałby być tym, kto będzie musiał dopuścić się takiego zbezczeszczenia wobec niej, napęliła go takim wzruszeniem, że byłby gotów ją porwać, po to tylko, by strzec jej drzwi i by ona bez przeszkód i bez pohańbienia śniła wieczny sen o białych koronkach.

Uprzejmie odprowadzony przez panie na parter pożegnał się obiecując, że niedługo przyjdzie ponownie. Na ulicy zdał sobie sprawę z pustki tej wizyty; pomyślał o tym, jak panie byłyby skonsternowane gadaniem Bertranda, i zaprzagnął nawet, żeby go kiedyś usłyszały.

Jeśli człowiek z racji zarówno życia w kastowym odosobnieniu, jak i pewnej ociężałości w reagowaniu nabrał zwyczaju niedostrzegania innych, to jemu samemu musi wydać się zastanawiające i dziwne, gdy jego wzrok przykuje dwóch nieznanymi młodych ludzi, którzy rozmawiają w jego pobliżu. Coś takiego przydarzyło się któregoś wieczora Joachimowi w foyer opery. Obaj panowie byli najwidoczniej cudzoziemcami i mieli niewiele ponad dwadzieścia lat; najłatwiej wzięłyby ich za Włochów, nie tylko dlatego, że krój ich garniturów wydawał się trochę niezwykły, lecz że jeden, czarnooki i czarnowłosy, nosił włoską bródkę. I aczkolwiek Joachim brzydził się podsłuchiowaniem cudzych rozmów, to jednak zmiarkował, że posługiwali się obcą mową, która jednak nie była włoska, tak że poczuł się zmuszony baczniej nadstawić ucha, aż z lekkim przestraszeniem doszedł do przekonania, że obaj młodzieńcy rozmawiają po bohemiańsku czy lepiej powiedziawszy po czesku. Ten przestraszenie był bezpodstawny, a jeszcze bardziej bezpodstawne wydało mu się poczucie wiarołomstwa wobec Elżbiety, które pojawiło się w tej sytuacji. Naturalnie było możliwe, choć mało prawdopodobne, że Rużena też przyszła do teatru i że obaj młodzi ludzie tak samo odwiedzą ją w loży, jak on sam nieraz odwiedzał Elżbietę, i być może młodzieniec z czarną bródką i nazbyt kędzierzawą czarną czupryną był rzeczywiście podobny do Rużeny, nie tylko z powodu koloru włosów: może to te same, trochę za małe usta, których wargi zbyt wyraźnie odcinały się od żółtawej cery, ten za krótki i za delikatny nos i uśmiech, który był jakoś wyzywający – tak, wyzywający to właściwe słowo – a mimo to prosił o wybaczenie. Wszelako cała sprawa wydawała się niedorzeczna i pewnie zdarzyło się tak, że on sobie to podobieństwo po prostu uroił; bo myśląc teraz o Rużenie musiał się przyznać, że jej obraz zupełnie zbladł, ba, że na ulicy z pewnością by jej nie poznał i że potrafił ją ujrzeć tylko przez maskę i medium owego młodego człowieka. To go uspokoiło i jakby odebrało sprawie

niebezpieczny charakter, lecz nie było się z czego cieszyć, bo jednocześnie w innej warstwie odczuwał jako rzecz niebywałą i straszną, że dziewczyna kryje się pod maską mężczyzny, i ta myśl nie odstępowała go również po przerwie. Dawano Fausta i słodkie dźwięki były nie mniej bezsensowne aniżeli operowa akcja, w trakcie której żaden z uczestników, łącznie z samym Faustem, nie spostrzegł, że w ukochanych rysach Małgorzaty kryje się oblicze Walentego i że Małgorzata musi pokutować za to i za nic innego. Może wiedział o tym Mefistofeles i Joachim był rad, że Elżbieta nie ma brata. Gdy po przedstawieniu jeszcze raz spotkał brata Rużeny, poczuł się wdzięczny, że tym samym i siostra była dla niego zakazana, i nabrał takiej pewności, iż mimo munduru ruszył ku Jägerstrasse. A poczucie wiarołomstwa też się ulotniło.

Jednakże skręciwszy we Friedrichstrasse wiedział, że w mundurze nie będzie mógł wejść do lokalu. Był rozczarowany i podązał dalej przez Jägerstrasse. Co ma robić? Skręcił za następnym kwartałem domów, wrócił na Jägerstrasse, przyłapał się na tym, że zagląda przechodzącym dziewczynom pod runda kapeluszy, często z nadzieją, iż usłyszy włoską mowę. Kiedy wszakże znów przyszedł w pobliże kasyna, zabrzmiało nie po włosku, lecz śpiewnym staccato: – To już mnie wcale nie chce znać? – Pasenow mimo woli powiedział: – Rużena – i równocześnie pomyślał: jakie to przykre. Stał w mundurze na środku ulicy z taką dziewczyną, on, który jeszcze kilka dni temu wstydził się na Unter den Linden Bertranda i jego cywilnego ubrania, i zapominając o wszelkich wymogach zamiast odejść był wręcz szczęśliwy, był nawet szczęśliwy z tego, że ta dziewczyna zamierzała paplać dalej: – A gdzie to dzisiaj papcio? Dzisiaj nie przyjdą? – Nie powinna była przypominać mu o ojcu: – Nie, dziś nic z tego, mała Rużeno; również – jakże ona go nazywa? – starszy pan nie przyjdzie do kasyna... – A na niego jest już czas. Rużena przypatrywała się zbita z tropu: – Tak długo mnie czekać kazał i teraz nie... – ale, i twarz jej się rozjaśniła, musi ją odwiedzić. Spoglądał na tę trwożnie pytającą twarz, jak gdyby chcąc zapamiętać ją na dobre, a mimo to szukając, czy nie kryje się w niej oblicze brodatego brata z południa. Jakieś tam podobieństwo istniało; ale podczas gdy zastanawiał się, czy dziewczyna, która nosi w swojej twarzy wizerunek brata, mogłaby mu wyrządzić jakąś szkodę, przypomniał mu się jego własny brat, który nosząc krótko przyciętą bujną brodę był jasnowłosy i męski, i to przywołało go z powrotem do rzeczywistości. Naturalnie było to coś innego; Helmut zrosł się z wsią, był myśliwym, nie miał nic wspólnego z tymi zniewieściałymi mieszczuchami z południa, a mimo to odczuwał zaniepokojenie. Jego wzrok jeszcze badał, ale niechęć wygasła i czuł potrzebę zrobienia jej przyjemności, powiedzenia czegoś miłego, żeby zachowała o nim dobre wspomnienie; jeszcze się ociągał: nie, mała Rużeno, on jej nie odwiedzi, ale... – Ale? – zabrzmiało z lękiem i nadzieją. Joachim nie wiedział z początku, co by miało nastąpić po tym „ale”, i oto już wiedział: – Moglibyśmy spotkać się za miastem, zjeść coś razem. – Tak, tak, tak, ona zna taką małą gospodę: jutro! Nie, jutro to niemożliwe, ale w środę on nie ma służby, i umówili się, że spotkają się w środę. Potem ona stanęła na palcach i szepnęła mu na ucho: – Tyś to jest miły i dobry, ty... – i umknęła, zniknęła w drzwiach, ponad którymi płonęły gazowe płomienie. Pasenow ujrzał ojca, jak rażnym i zdecydowanym krokiem wspina się na schody, i serce ścisnęło mu się wyraźnie i bardzo boleśnie.

Rużena była zachwycona ceremonialną uprzejmością, z jaką Joachim odnosił się do niej w restauracji, i w rezultacie zapomniała nawet o rozczarowaniu, że przyszedł w cywilu. Dzień był deszczowy i chłodny; ona jednak nie chciała zrezygnować z ustalonego programu, więc po obiedzie pojechali do Charlottenburga i nad Hawelę. Już w dorożce Rużena ściągnęła Joachimowi rękawiczkę, ale teraz, gdy szli nadbrzeżną drogą, wzięła go za rękę i wsunęła ją sobie pod ramię. Szli powoli, przemierzając krajobraz, który był spowity ciszą i pełen oczekiwania, a przecież nie mógł oczekiwać niczego innego niż deszczu i wieczoru. Niebo rozpościerało się miękko nad nimi, częstokroć smugami deszczu zespolone z ziemią jakby głębszą jednością, i również im, przechadzającym się w ciszy, wydawało się, że nie pozostaje

im nic innego poza oczekiwaniem, że wszystko, co było w nich żywe, spłynęło w palce, które splecione i splątane ze sobą spoczywały jak płatki nie rozchylonego pąka. Oparci ramię w ramię, z daleka przypominający trójkąt, szli nadbrzeżną drogą, milczący, bo oboje nie wiedzieli, co ich popchnęło ku sobie. Ale kiedy tak szli, Rużena zniechęta pochyliła się nad jego dłonią, uwięzioną w jej dłoni, i ucałowała ją, zanim zdążył się wyrwać. Patrzył w oczy pełne łez, na usta, które już składały się do płaczu, lecz powiedziały jeszcze: – Jakem ja cię na schodach spotkała, to ja se pomyślałam, Rużena, ja se pomyślałam, ten to nie jest dla ciebie, ten to nigdy nie będzie dla ciebie. A teraz tyś jest tutaj... – Ale nie podała mu warg do spodziewanego pocałunku, tylko znowu, wręcz łapczywie, przypadła twarzą do jego dłoni, a gdy się wzbraniał, ugryzła go, nie za mocno, lecz ostrożnie i delikatnie jak mały psiak, który się bawi; potem oglądając z zadowoleniem pozostawiony znak oznajmiła: – No to my dalej spacerujemy. Deszcz nam krzywdów nie robi. – Deszcz łagodnie siąpił na rzekę, spływał cicho po liściach wierzby. Na pól zatopiona łódka leżała w przybrzeżnej wodzie; pod małą drewnianą kładką do spokojnych rzecznych wód wartką kaskadą uchodził strumyk i Joachim czuł, że też unosi się z prądem, jak gdyby wypełniające go pragnienie było miękkim, delikatnym spływaniem, tchnącą tonią, czuł tak łaknąc tego, by zatracić się w oddechu ukochanych ust i przepaść niejako w morzu bezmiernego spokoju. Było tak, jakby lato topniało, wilgoć na razie nie dawała się we znaki, sączyła się z liści, krople rosy zawisały na trawach. Opary ulotnej mgły rozciągały się w oddali, a gdy się obejrzeni, mieli je również zgęstniałe za sobą, tak że ich spacerowanie było niczym stąpanie w miejscu. Deszcz przybrał na sile, więc poszukali schronienia wśród drzew, pod którymi ziemia była jeszcze sucha, skrawek wyschniętego, nie roztopionego letniego pyłu, wręcz żalony wśród całego roztopienia dokoła. Rużena wyciągnęła szpilki z kapelusza, nie tylko dlatego, że przeszkadzało jej skrępowanie miejskim strojem, lecz też by ustrzec Joachima przed ostrymi końcami, zdjęła kapelusz i oparła się plecami o Joachima, jak gdyby był osłaniającym drzewem. Przechyliła głowę w tył i gdy przysunął twarz, jego wargi dotknęły jej czoła i okalających je czarnych pukli. Nie widział cienkich i trochę niemądrych zmarszczek na czole, może dlatego, że był za blisko, by je dostrzec, może dlatego, że wszelkie widzenie rozplynęło się w dotykaniu. Natomiast ona czuła obejmujące ją ramiona, dłonie w swoich dłoniach, czuła się jak w gałęziach drzewa, jego oddech na jej czole był jak mżenie deszczu na liściach; stali nieporuszenie, a tymczasem szare niebo tak dalece złączyło się w jedno z powierzchnią rzeki, że wierzby na wyspie opodal unosiły się jakby na szarym jeziorze, nie wiadomo było: zawieszane u góry czy oparte w dole. Ale potem Rużena spojrzała na mokry rękaw swego żakietu i powiedziała cicho, że powinni wracać. Plucha siekła ich teraz w twarze, ale nie wolno im było przyspieszyć kroku, bo wtedy rozwiałby się czar, a o tym, że nadal trwał, upewnili się dopiero pijąc kawę w małej gospodzie. Coraz gęstszy deszcz spływał po szybach oszklonej wiejskiej werandy i ciurkał z rynny dachowej. Gdy gospodyni wyszła z izby, Rużena odstawiła swoją filiżankę, zabrała filiżankę z ręki Joachima, ujęła jego głowę, przyciągnęła do siebie, bardzo blisko oczu, tak blisko i wciąż jeszcze bez pocałunku, że spojrzenia obojga zaszły mgłą i napięcie było w swej słodyczy wprost nie do zniesienia. Wszelako kiedy w dorożce pod postawionym dachem ze spuszczoną płachtą od deszczu siedzieli jak w ciemnej pieczarze, przy akompaniamencie cichego, łagodnego bębnienia deszczowych kropeł po rozpostartej skórzaney powłoce, widząc jedynie skraj peleryny dorożkarza, a ze świata zewnętrznego tylko dwa szare pasemka mokrej jezdni w wycięciach z lewej i z prawej, wkrótce zaś nie widząc i tego, ich oblicza pochyliły się ku sobie, zespoliły się i pogrążyły w sobie nawzajem, nieruchomiejąc i płynąc jak rzeka, nieodwracalnie zatracone, raz po raz odnajdywane i zanurzane w beczasowości. Był to pocałunek, który trwał godzinę i czternaście minut. Potem dorożka zatrzymała się przed domem Rużeny. Lecz gdy Joachim chciał wejść razem z nią, ona potrząsnęła głową i on skierował się do odejścia: ale ból tego rozstania był tak wielki, że już po paru krokach zawrócił i chwycił wyciągniętą

jeszcze dłoń, która tęsknie znieruchomiła w powietrzu, popychany przez własne i przyciągany przez jej trwożne pragnienie, po czym już we dwoje jak we śnie wspięli się lunatycznie po trzeszczących pod stopami ciemnych schodach, przemierzili ciemny przedpokój i w pokoju, który spoczywał w cieniu wczesnego deszczowego zmierzchu, padli na łóżko przykryte ciemną, szorstką kapą, znów szukając pocałunku, z którego zostali przedtem wyrwani, i mając mokre twarze – nie wiedzieli: od deszczu czy łez. Rużena wyswobodziła się jednak, poprowadziła jego rękę ku haftkom, które opinały na plecach jej talię, a jej śpiewny głos miał przytłumione brzmienie: – Odepnij – wyszeptwała szarpiąc jednocześnie jego krawat i guziki kamizelki. I jakby w nagłym przystępie pokory, czy to wobec niego, czy to z wdzięczności wobec Boga, osunęła się na kolana, dotykając głową brzegu łóżka, i gwałtownym ruchem rozpięta guziki jego butów. O, jakie to było okropne, czemu nie paść po prostu, nie zważając na odzienie, w którym tkwili, a przecież jakże był jej wdzięczny, że wzruszająco to ułatwiała: o, jej zbawczy uśmiech, z jakim rozesłała łóżko, na które się rzucili. Przeszkadzał jeszcze ostrobrzeżny, wykrochmalony plastron koszuli, który uwierał ją w podbródek, więc rozpinając go i wciskając twarz między ostre brzegi rozkazała: – Zdejmij – i oto przyszło wyzwolenie i czucie, miękkość ciała. Oddechy, dławienie się przyływem uczuć, wyrosłe z łękiem podszytej tęsknoty uniesienie. O, właściwe życiu trwożne pragnienie, którym tchnie cielesność, które odkłada się w kościach, miękkość powlekającej i opinającej je skóry, straszna przestroga szkieletu, wyposażonej w liczne żebra klatki piersiowej, którą możesz objąć i która tuli się do ciebie z sercem bijącym tuż przy twoim. O, słodki zapachu skóry, wilgotna woni, miękki rowku pod piersiami, mroku w zagłębieniu pach. Ale jeszcze Joachim był zbyt oszołomiony, oboje byli zbyt oszołomieni, żeby mieć świadomość uniesienia, wiedzieli tylko, że są razem i że jednak muszą się szukać. W ciemności widział twarz Rużeny, ale jakby płynną, przepływającą między ciemniejszymi zaroślami pukli na brzegach, i jego dłoń musiała jej szukać, upewniać się, że istnieje, znajdowała czoło i powieki, pod którymi spoczywają twarde gałki oczu, znajdowała uszczęśliwiająca krągłość policzka i linię ust otwartych do pocałunku. Jedna za drugą przelewały się fale pożądania, podążając z prądem jego pocałunek zetknął się z jej pocałunkiem i podczas gdy wierzby wzdłuż rzeki wyrastały w górę i rozpinają gałęzie od brzegu do brzegu otaczając ich niczym błoga jaskinia, w której niezmaconym spokoju zastygła cisza wiekuistego morza, zabrzmiało to, choć wypowiedział te słowa cicho, zdławionym głosem, nie oddychając już, tylko jeszcze szukając jej oddechu, zabrzmiało to jak krzyk, który usłyszała:

– Kocham cię – który ją otworzył, po którym otworzyła się jak muszla w morzu, a on zapadł w nią tonąc.

Niespodziewanie przyszła wiadomość o śmierci brata. Zginął w pojedynku z polskim ziemianinem w Poznaniu. Gdyby to się zdarzyło parę tygodni wcześniej, być może Joachim nie byłby wstrząśnięty. W ciągu dwudziestu lat, które spędził poza domem, postać brata coraz bardziej blakła i myśląc o nim widział przed sobą jedynie jasnowłosego malca w chłopięcym ubranku – zawsze, póki Joachima nie wysłano do szkoły kadetów, byli jednakowo ubrani – a i teraz musiał najpierw pomyśleć o dziecięcej trumnie. Lecz raptem obok niej wyłonił się obraz jasnobrodego i męskiego Helmuta, taki sam, jaki ukazał mu się owego wieczoru na Jägerstrasse, gdy bał się, że w obliczu pewnej dziewczyny nie dojrzy już tego, czym było: ach, wówczas jaśniejsze oczy myśliwego ocaliły go od urojeń, w które ktoś inny chciał go wciągnąć i uwikłać, i to te oczy, których mu wtedy użył, Helmut zamknął na zawsze, być może aby mu je na zawsze podarować! Czy on domagał się od Helmuta czegoś takiego? Czuli się wolni od wszelkiej winy, a przecież było tak, jak gdyby ta śmierć nastąpiła przez wzgląd na niego, ba, jak gdyby to on ją spowodował. Osobliwe, że Helmut nosił taki zarost jak stryj Bernhard, te same krótkie bokobrody i wąsy, które odsłaniają usta, i teraz Joachimowi

wydawało się, iż odpowiedzialnością za szkołę kadetów i karierę wojskową stale obarczał Helmuta, nie zaś stryja Bernharda, który wszakże był właściwym winowajcą. No cóż, Helmut mógł pozostać w domu, do tego jeszcze zachowywał się obłudnie – chyba to było przyczyną, ale wszystko tak dziwnie się pomieszało, tym dziwniej, że od dawna wiedział, iż życie brata nie było godne pozazdroszczenia. Znów ujrzał przed sobą dziecięcą trumnę i wezbrała w nim złość na ojca. A więc starszemu panu udało się wypędzić z domu również i tego syna. Fakt, że mógł czynić ojca odpowiedzialnym za tę śmierć, dawał podszyte goryczą poczucie wyzwolenia.

Pojechał na pogrzeb. Po przybyciu do Stołpina zastał list od Helmuta: „Nie wiem, czy wyjdę żywy z tej trochę niepotrzebnej sprawy. Naturalnie mam taką nadzieję, ale jest mi to jednak niemal obojętne. Cieszę się z faktu, że istnieje coś takiego jak kodeks honorowy, bo w tym obojętnym życiu stanowi on odrobinę wyższej idei, której można się podporządkować. Mam nadzieję, że Ty znalazłeś w życiu więcej wartości niż ja w moim; nieraz zazdrościłem Ci kariery wojskowej; to przynajmniej służba czemuś większemu, niż sam człowiek jest. Nie wiem, jak Ty się na to zapatrujesz, ale piszę do Ciebie, żeby Cię ostrzec przed porzuceniem (gdybym zginął) wojska i objęciem majątku. Wcześniej czy później będzie to konieczne, ale póki ojciec żyje, lepiej zapewne, żebyś był poza domem, chyba że matka by Cię potrzebowała. Życzę Ci dużo dobrego”. Następował cały szereg rozmaitych zarządzeń, nad których wykonaniem miał czuwać Joachim, i na koniec dość zaskakujące życzenie, by Joachim był mniej samotny niż on.

Rodzice, nawet matka, byli dziwnie opanowani. Ojciec uściśnął mu dłoń na powitanie i powiedział: – On zginął broniąc honoru, honoru swojego nazwiska – po czym ciężkimi, prostymi jak strzelił krokami w milczeniu przechadzał się tam i z powrotem po gabinecie. Wkrótce powtórzył: – On zginął broniąc honoru – i wyszedł z pokoju.

Helmuta złożona na marach w dużym salonie. W sieni Joachim poczuł silny zapach kwiatów i wieńców: za silny jak na dziecięcą trumnę, uparta i niedorzeczna myśl, a mimo to Joachim stanął z ociąganiem w udrapowanych ciężką materią drzwiach, nie śmiał spojrzeć, patrzył w podłogę. Znał ten parkiet, znał dochodzące do progu trójkątne płytki, znał ornament, który ciągnął się dalej, i podążając za nim wzrokiem, tak jak w dzieciństwie starał się chodzić podług kunsztownych wzorów, dociera do skraju czarnego dywanu rozpostartego pod katafalkiem. Leży tam kilka liści, odpadłych od wieńców. Miałby ochotę znowu spróbować ornamentowego szlaku, robi parę kroków i widzi trumnę. Na szczęście nie była to trumna dziecięca; ale jeszcze wzdragał się spojrzeć swymi widzącymi oczyma w martwe oczy tego mężczyzny, w oczy, które musiały zgasnąć do cna, aby utonęła w nich twarz chłopca, być może pociągając za sobą brata, któremu oczy jednak się ofiarowały, i wyobrazenie, iż to on sam tam leży, nabrało takiej mocy, że odczuł to jak wybawienie i uśmiech losu, gdy podchodząc bliżej zobaczył, iż trumna była zamknięta. Ktoś powiedział, że twarz zmarłego została zeszepecona przez ranę postrzałową. Prawie tego nie słuchał, zatrzymał się przy trumnie, położył dłoń na wieku. I w nieporadności, która ogarnia człowieka wobec zwłok i milczenia śmierci i w której wszystko, co dane, rozciąga się i rozpada, a to, do czego nawykliśmy, wali się i ulegając rozkładowi kostnieje, powietrze rzednie i traci nośność, było tak, jakby miał już nigdy nie ruszyć się sprzed katafalku, i jedynie z wielkim wysiłkiem zdołał sobie przypomnieć, że to jest duży salon i że trumna stoi w miejscu zajmowanym zazwyczaj przez fortepian, a za przeciwległym skrajem dywanu musi znajdować się kawałek parkietu, po którym jeszcze nikt nie stąpał; powoli podszedł do przodu, dotknął zakrytej kirem ściany, wyczuł pod czarną materią ramy obrazu i ramkę Krzyża Żelaznego, a odzyskany fragment rzeczywistości w sposób nowy i nieomal intrygujący przeobraził śmierć w sprawę poniekąd dla tapeciarki, połączył z rozweseleniem, że Helmuta w trumnie, przybranej tymi wszystkimi kwiatami, wtaszczo do tego pokoju jak nowy mebel, tak dalece zawęził to, co niepojęte, do granic pojętego i przywrócił niezachwianą pewność, tak dalece, że doznania tych minut – a

może były to tylko sekundy? – przyniosły krzepiące poczucie spokojnej ufności. Zjawił się ojciec w towarzystwie kilku panów i Joachim znów kilkakrotnie usłyszał jego słowa: – On zginął broniąc honoru. – Lecz gdy panowie wyszli i Joachim sądził, że znowu jest sam, nagle usłyszał ponownie: – On zginął broniąc honoru – i zobaczył, iż ojciec, mały i samotny, stoi przy katafalku. Czuł się w obowiązku podejść do niego. – Chodź, ojcze – powiedział i wyprowadził go z salonu. W drzwiach ojciec popatrzył mu w twarz i oznajmił: – On zginął broniąc honoru – jak gdyby chciał nauczyć się tego na pamięć i jak gdyby życzył sobie, żeby Joachim zrobił to samo.

Przyszło dużo ludzi. Na dziedzińcu stała miejscowa straż pożarna. Przybyły również okoliczne związki weteranów i uformowały wyrównaną kompanię cylindrów i czarnych surdutów, na których nierzadko widniał Krzyż Żelazny. Zajeżdżali sąsiedzi i podczas gdy powozy skierowywano w odpowiednie zacienione miejsce, Joachim był zajęty witaniem państwa i czynieniem honorów przy trumnie brata. Baron von Baddensen przybył sam, ponieważ jego panie pozostawały jeszcze w Berlinie, i witając go Joachim nie mógł oprzeć się gniewnie odrzucanej myśli, że ów pan uważa obecnego wyłącznego dziedzica Stołpina za pożądanego zięcia, i wstydził się za Elżbietę. Ze szczytu spokojnie zwisała czarna flaga i sięgała niemal do tarasu.

Matka zeszła ze schodów trzymając ojca pod rękę. Dziwiono się, ba, podziwiano ją za hart ducha., Ale może była to tylko właściwa jej otępiałość uczuciowa. Uformował się orszak żałobny i kiedy powozy skręciły w wiejską ulicę i miały przed sobą świątynię, wszyscy ucieszyli się serdecznie, że ze skwarne go popołudniowego słońca, które ostro i pyliście wżerało się w ciężkie sukno strojów żałobnych i mundurów, dane jest im wejść do chłodnego, białego kościoła. Pastor wygłosił kazanie, w którym dużo było mowy o czci, zrećcznie powiązanego ze zwrotami nawiązującymi do czci Najwyższego; przy wtórze organów zabrzmiała pieśń, że co najukochańsze, z tym rozstać się trzeba... bo taka jest wola nieba, i Joachim jeszcze czekał, czy ten rym nastąpi. Potem szło się pieszo na cmentarz, nad którego bramą lśniły złoto metalowe litery; „Spoczywaj w pokoju!”, a ekwipaże podążały w wydłużonym tumanie kurzu. Purpurowy błękit rozświetlonego nieba rozpościerał się łukowato nad suchą, spękaną ziemią, która czekała na to, by przekazać jej ciało Helmuta, choć to właściwie nie ziemia, lecz krypta rodzinnego grobowca, mała otwarta piwnica, rozwierała się znudzona na przyjęcie przybysza. Sypiąc trzy łopatki ziemi Joachim popatrzył w dół, zobaczył końce dziadkowych i stryjkowych trumien i pomyślał, że jedno miejsce pozostawiono dla ojca i pewnie dlatego nie pochowano tutaj stryja Bernharda. A potem, gdy sypana ziemia rozkurzała się na wieku Helmuta i kamiennych płytach grobowca, z dziecięcą łopatką w garści musiał wrócić myślą do czasów dzieciństwa i zabaw w miękkim rzeczonym piasku, znów ujrzał przed sobą brata jako chłopca, ujrzał samego siebie leżącego na katafalku i wydawało się, że suchość tego letniego dnia oszukała Helmuta nie tylko na starzeniu się, lecz i na śmierci. I mając na uwadze własne umieranie Joachim zapragnął, żeby dokonano się ono w łagodny, deszczowy dzień, kiedy to niebo samo się zniża chcąc przyjąć duszę, aby rozplynęła się w nim jak w ramionach Rużeny. Były to myśli nieprzyzwoite, niestosowne w tym miejscu, ale nie on jeden ponosił za nie odpowiedzialność, lecz również wszyscy inni, którym ustąpił teraz miejsca nad otwartym grobem, w tej odpowiedzialności miał swój udział także ojciec; bo wiara ich wszystkich była obłudna, była krucha i miarka, była zależna od blasku słońca i deszczu. Czyż nie należało życzyć sobie nadejścia murzyńskich zastępów, aby to wszystko zostało zmiecione, Zbawiciel wzniósł się ku nowej chwale i powiodł ludzi z powrotem do swojego królestwa? Nad grobowcem wisiał Chrystus na marmurowym krzyżu, mając na sobie tylko materię osłaniającą przyrodzenie i cierniową koronę, z której spływały krople krwi z brązu, i Joachim też poczuł krople na policzku: może były to łzy, których nie zauważył, a może był to tylko skutek dokuczliwego skwaru; nie wiedział tego i ścisnął dłonie, które wyciągały się ku niemu.

Związki weteranów i oddziały straży pożarnej oddały zmarłemu ostatnią posługę przemaszerowując wojskowym, defiladowym krokiem, z głowami zwróconymi mocno w lewo, buty stukotały głucho na cmentarnym żwirze, wyprężone czwórki tupotały w stronę bramy, dowódcy rzucali krótkie, urywane komendy. Stojąc na stopniu grobowcowej kaplicy defiladę odbierali pan von Pasenow z kapeluszem w ręce, Joachim z dłonią przy hełmie, pani von Pasenow między nimi. Również inni wojskowi obecni na cmentarzu stali na baczność dotykając dłonią brzegu hełmu. Następnie zajechały ekwipaże i Joachim wsiadł z rodzicami do powozu, którego klamki i pozostałe metalowe części, jak i metal uprzęży zostały przez stangreta starannie owinięte krepą; Joachim stwierdził, że także na bacie znajdowała się rozeta z krepy. Matka teraz płakała i Joachim, który nie wiedział, co jej powiedzieć na pocieszenie, znów nie mógł pojąć, dlaczego to Helmuta, nie zaś jego dosięgła śmiertelna kula. Ojciec natomiast siedział sztywno na czarnej skórze poduszki, która nie była twarda i popękana jak w berlińskich dorożkach, lecz elastyczna i starannie ozdobiona skórzanymi guzikami. Kilka razy wydawało się, że ojciec chce coś powiedzieć, coś, co zakończy ciąg myśli, który go najwidoczniej zaprzętał i wciągał bez reszty, bo otwierał usta, zaraz jednak popadał z powrotem w odrętwienie i tylko niemo poruszał wargami; wreszcie powiedział ostro: – Oddali mu ostatnią posługę – podniósł palec, jakby jeszcze na coś czekając albo chcąc coś dodać, a w końcu położył dłoń z powrotem płasko na udzie. Między brzegiem czarnej rękawiczki a mankietem z dużą czarną spinką widać było kawałek skóry z rudawymi włosami.

Następne dni upłynęły w milczeniu. Matka oddawała się swoim zajęciom; była przy dojeniu w oborze, przy wybieraniu jajek na wybiegu dla kur, w bieliźniarni. Joachim kilkakrotnie jeździł po polach; dosiadał konia, którego kiedyś podarował Helmutowi, i był to jakby gest wobec zmarłego. Wieczorami podwórce było uprzątnięte i na ławkach przed domem czeladzi siedzieli ludzie ciesząc się z chłodnego, łagodnego wiatru. Raz w nocy zerwała się burza i Joachim uprzytomnił sobie z przerażeniem, że prawie zapomniał o Rużeniu. Rzadko widywał ojca; ten siedział przeważnie przy swoim biurku i czytał kondolencje albo spisywał je na osobnym arkuszu. Tylko pastor, który teraz przychodził codziennie w odwiedziny i często zostawał na kolacji, mówił o zmarłym, ale że było to dość hermetyczne, nie poświęcano mu zbytnej uwagi i jedynym jego słuchaczem zdawał się pan von Pasenow, bo nieraz kiwał głową i można było sądzić, że chce powiedzieć coś, co bardzo mu leży na sercu; ale w rezultacie najczęściej powtarzał tylko z potwierdzającym potakiwaniem któreś z ostatnich słów pastora, na przykład: – Tak, tak, pastorze, ciężko doświadczeni rodzice.

Potem Joachim wyjechał. Kiedy przyszedł pożegnać się z ojcem, starszy pan znów przechadzał się po gabinecie. Joachim przypominał sobie niezliczone pożegnania w tym pokoju, którego nie lubił, jakkolwiek był mu bardzo dobrze znany z trofeami łowieckimi na ścianie, ze spluwaczką w kącie koło pieca, z przyborami do pisania, ułożonymi tak już chyba za czasów dziadka, z wieloma pismami myśliwskimi na stole, które przeważnie były nie rozcięte. Spodziewał się, że ojciec jak zawsze wrzuci monokl w oko i odprawi go krótkim „No to dobrej drogi, Joachimie”. Ale tym razem stary nic nie mówił, tylko kontynuował spacer po pokoju, założywszy ręce na plecy, tak że Joachim odezwał się po raz drugi. – Bo ja, ojcze, muszę już jechać, czas na pociąg. – No to dobrej drogi, Joachimie – padła wreszcie zwyczajowa odpowiedź – ale co to ja jeszcze chciałem powiedzieć? Myślę, że niedługo jednak wrócisz do nas. Pusto się zrobiło, tak pusto.., – rozejrzał się – ale nie każdy to pojmuje... Naturalnie honor trzeba wysoko cenić... – Ponownie ruszył w swoją drogę, po czym dorzucił poufale: – A jak tam sprawa z Elżbietą? Rozmawialiśmy przecież o tym...? – Ojcze, na mnie już najwyższy czas – odrzekł Joachim – bo spóźnię się na pociąg. – Ojciec podał mu rękę i Joachim niechętnie ją ujął.

Jadąc przez wieś zobaczył na kościelnym zegarze, że do pociągu było jeszcze sporo czasu; wiedział o tym i tak. Wrota kościoła były przypadkiem otwarte i Joachim polecił zatrzymać powóz. Wypadało zmyć winę wobec kościoła, który był przedtem dla niego tylko przyjemnym chłodem, wobec pastora, którego zaczętej mowy nie słuchał, wobec Helmuta, którego pogrzeb zbeczczył niegodnymi myślami, jednym słowem winę wobec Boga. Wszedł do środka i szukał nastroju dzieciństwa i ówczesnych bytności w kościele, kiedy to on, Joachim von Pasenow, powalany wciąż na nowo, stawał tu co niedziela przed obliczem samego Boga. Znał wtedy dużo pieśni kościelnych i śpiewał je z żarliwością. Ale nie wypadało teraz w pojedynkę zaczynać śpiewać w kościele. Musiał poprzestać na skupieniu myśli i skierowaniu ich na Boga i swoją grzeszność wobec Boga, na swoją małość i marność wobec Boga; ale jego myśli ani rusz nie znajdowały Boga. Przypominały mu się tylko słowa Izajasza, usłyszane kiedyś w tym miejscu: „Poznał wół pana swego i osioł żłób pana swego, a Izrael mnie nie poznał, a lud mój nie zrozumiał”. Tak, Bertrand miał rację, zatracili chrześcijańskość; i spróbował odmówić Ojciec nasz, z zamkniętymi oczami i bacząc, żeby nie wygłaszać pustych słów, lecz w każdym słowie uchwycić sens; a kiedy doszedł do zdania: „jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”, pojawiło się znowu miękkie, lęklive, a przecież ufne uczucie z dzieciństwa: przypomniał sobie, że zawsze odnosił to zdanie do ojca i czerpał z niego pewność, że potrafi ojcu wybaczyć, ba, wyświadczyć mu jeszcze całą dobroć, do jakiej zobowiązane jest dziecko; i oto dotarło do jego uszu, że starszy pan mówił o osamotnieniu, którego widać się lękał i które trzeba było mu jakoś umilić. Wychodząc z kościoła Joachim przypomniał sobie słowa „podniesiony i umocniony”, ale te słowa nie były dla niego puste, lecz miały dobry, młodzieńczy sens. Postanowił odwiedzić Elżbietę.

W przedziale słowa pojawiły się znowu, znowu zabrzmiały: „podniesiony i umocniony”, ale tym razem wiązały się z wyobrażeniem wykrochmalonego gorsu i uszczęśliwiającą tęsknotą za Rużeną.

Od strony Kónigstrasse podążał przechodzień. Był otyły i przysadzisty, ba, właściwie niski, a wszystko w nim miało jakąś taką miękkość, że można było sądzić, iż rano jego ubranie zostało nim napełnione. Był to przechodzień poważny, w szarym alpakowym surducie do czarnych sukiennych spodni, z brązową brodą zakrywającą pierś. Widać spieszyło mu się, ale nie szedł prostym jak strzeł, żwawym krokiem, lecz poważnie kolebał się niczym kaczką, jak przystało na takiego miękkiego, poważnego mężczyznę, któremu się spieszy. Wszelako twarz była ukryta nie tylko za brodą, ale też za binoklami, przez które mężczyzna rzucał surowe spojrzenia na innych przechodniów, i właściwie trudno było sobie wyobrazić, że taki mężczyzna, kolebiący się w wielkim pośpiechu ku swoim nader pilnym interesom i na przekór swej miękkości strzelający surowymi, twardymi spojrzeniami, w innych sytuacjach życiowych zachowywał się miło, że mimo wszystko istniały kobiety, do których lgnął z miłością, kobiety i dzieci, wobec których jego broda odsłaniała przyjazny uśmiech, kobiety, które szukały być może różowego ciała i ciemnej czeluści w brodzie do ucałowania.

Zobaczywszy tego mężczyznę Joachim automatycznie ruszył za nim. Było mu wszystko jedno, dokąd tamten szedł. Od kiedy dowiedział się, że firma Bertranda ma swego berlińskiego przedstawiciela i że jego biuro mieści się przy jednej z ulic między Alexanderplatz a Giełdą, nieraz chodził po tej okolicy, tak jak przedtem chadzał po proletariackim przedmieściu – a fakt, że nie musiał już szukać Rużeny na peryferiach, stanowił dla niej niejako awans. Ale nie zaglądał tutaj, żeby spotkać Bertranda; przeciwnie, unikał tej okolicy, ilekroć wiedział, że Bertrand jest w Berlinie, a i przedstawiciel Bertranda właściwie wcale go nie interesował. Tylko jakie to było osobliwe, że to na tym terenie należało sobie wyobrazić życie Bertranda, i zdarzało się, iż chodząc tymi ulicami Joachim nie tylko lustrował fasady kamienic, jak gdyby chcąc dociec, jakie to biura kryją się za nimi, lecz też zaglądał cywilom pod runda kapeluszy, jakby byli kobietami. Czasem sam się temu dziwił, bo nie bardzo zdawał sobie sprawę, że w ich twarzach szukał potwierdzenia, czy są to istoty zupełnie innego rodzaju i czy odznaczają się właściwościami, które Bertrand już od nich przejął, ale jeszcze się z nimi krył. Cóż, skrytość tych istot była tak duża, że wcale nie potrzebowały bród, aby za nimi się chować. Nosząc brody prezentowały się nawet bardziej swojsko i mniej obłudnie i może to było powodem, dla którego szedł za śpiesznym grubym mężczyzną. Nagle wydało mu się, że ów mężczyzna przed nim wygląda kubek w kubek tak, jak sobie od dawna wyobrażał przedstawiciela Bertranda. Być może było to nedorzeczne, ale gdy kilka osób ukloniło się mężczyźnie, ucieszył się, że przedstawiciel Bertranda ma takie poważanie. W końcu nie zdziwiłby się, gdyby to sam Bertrand, po aktorsku odmieniony, niski, otyły i brodaty, kolebiąc się szedł ku niemu: bo jakże miałyby zachować dawną powierzchowność, skoro stoczył się w inny świat. I choć Joachim wiedział, że w tym, co myślał, nie było ładu ani składu, odniósł jednak wrażenie, iż zagmatwana na pozór sieć kryła w sobie dobry porządek: wystarczyło tylko uchwycić nić łączącą Rużenę z tymi ludźmi, owo głębsze i ściśle tajne powiązanie, i być może jeden koniec tej nici znajdował się w jego ręce, wówczas, kiedy podejrzewał, że Bertrand to prawdziwy kochanek Rużeny, ale teraz jego ręka była pusta i tylko przyszło mu na pamięć, że pewnego razu Bertrand tłumaczył się przed nim, iż musi spędzić wieczór z partnerami w interesach, i Joachim nie mógł uwolnić się od myśli, że owym partnerem był ten mężczyzna. Prawdopodobnie obaj siedzieli razem w kasynie Pod Jegrami i mężczyzna wetknął Rużenie pięćdziesiąt marek.

Kiedy na ulicy ktoś za kimś podąży, choćby tylko automatycznie i z pozorną obojętnością, to wkrótce dochodzi do tego, że budzi w sobie pod adresem tego kogoś rozmaite życzenia, przyjazne i nieprzyjazne. Może chce zobaczyć przynajmniej twarz tamtego i życzy sobie, żeby się odwrócił, chociaż sam od śmierci brata uważa się za uodpornionego na pokusę szukania w owym budzącym lęk obliczu oblicza Rużeny. W każdym razie Joachimowi ni stąd, ni zowąd przyszło na myśl, że prosta postawa wszystkich ludzi na tej ulicy nie ma żadnego uzasadnienia, jest nie do pogodzenia z tym, o czym dobrze wiedzą, albo wynika ze smutnej niewiedzy, jako że wszystkie te ciała będą musiały się położyć, by umrzeć. Tymczasem mężczyzna przed nim wcale nie szedł ciężkimi, odmierzonymi, prostymi krokami, nie istniało też niebezpieczeństwo, iż padając mógłby sobie złamać nogę, na to był przecież o wiele za miękki.

Na rogu Rochstrasse mężczyzna przystanął, jakby na coś czekając; być może czekał na to, iż Joachim zwróci mu teraz pięćdziesiąt marek. Do tego Joachim był właściwie zobowiązany i nagle wezbrał w nim palący wstyd, ponieważ ze zwykłego strachu, iż mógłby powstać wrażenie, że kupił sobie kobietę, albo iż sam mógłby z takiego powodu zacząć wątpić w miłość Rużeny, pozostawił ją w zniechęconym zawodzie dziewczyny do towarzystwa; i jakby łuski spadły mu z oczu: on, pruski oficer, był potajemnym kochankiem kobiety, którą opłacali inni mężczyźni. Plamę na honorze można zmyć tylko kulą z pistoletu, lecz zanim zdążył to rozważyć ze wszystkimi strasznymi konsekwencjami, ta myśl rozplynęła się, rozplynęła się jak wizerunek Bertranda, gdyż mężczyzna przeszedł na drugą stronę Rochstrasse i Joachim nie mógł stracić go z oczu, póki... ba, póki co? – tego właśnie nie dało się uchwycić. Bertrandowi to było łatwo, żył w tamtym i zarazem w tym świecie, ale także Rużena żyje między dwoma światami. Czy to z tej przyczyny łączyła jednak oboje prawowita więź? Jego myśli przemieszały się wszelako jak ludzie w otaczającej go ciżbie i choć widział przed sobą cel, do którego chciał dotrzeć w swoich rozważaniach, był on wszakże chwiejny, zamazany i raz po raz przesłaniany jak plecy idącego przed nim miękkiego mężczyzny. Jeśli zrabował Rużenę jej prawowitemu właścicielowi, to pewnie to prawda, że trzyma ją teraz w ukryciu jak łup. Starał się zachować postawę, sztywną i wyprostowaną, starał się już więcej nie przyglądać cywilom. Ciżba ludzi wokół niego, rozgardiasz, jak mówiła baronowa, cały ten ożywiony ruch pełen twarzy i pleców zdawał się rozmazaną, płynną, miękką masą, nad którą nie można było zapanować. Do czego to jeszcze doprowadzi! I narzucając sobie regulaminową postawę pomyślał z ulgą, że kochać można tylko istotę z obcego świata. Dlatego nigdy nie miał prawa kochać Elżbiety i dlatego chyba Rużena musiała być Czeszką. Miłość oznacza ucieczkę z własnego świata w świat drugiej osoby i tak to on, mimo wszelkiej zawstydzającej zazdrości, pozostawił Rużenę w jej świecie, aby wciąż na nowo rozkosznie uciekała do niego. Wyrosła przed nim kaplica garnizonowa i Joachim trzymał się jeszcze sztywniej, tak sztywno jak na niedzielnej mszy dla żołnierzy. Na rogu Spandauer Strasse mężczyzna zwołał kroku, zwlekał z wejściem na jezdnię; prawdopodobnie taki człowiek interesu boi się przejeżdżających koni. To, że powinien był temu człowiekowi oddać pieniądze, nie miało naturalnie sensu; ale Rużenę trzeba wyrwać z kasyna, to nie ulegało wątpliwości. Mimo to pozostanie Czeszką, istotą z obcego świata. A gdzie było jego miejsce? Dokąd się już stoczył? A Bertrand? Znów ujrzał przed sobą Bertranda, dziwnie miękkiego, niskiego i spoglądającego surowo przez binokle, obcego jemu, obcego Rużenie, która jest Czeszką, obcego Elżbiecie, która idzie przez cichy park, obcego im wszystkim, a przecież dobrze znanego, kiedy się odwróci i rozchyli brodę w przyjaznym uśmiechu, wzywając kobiety, żeby pośród zarostu szukały ciemnej czeluści do całowania. Z dłonią na rękojęści szpady Joachim zatrzymał się, jakby bliskość kaplicy garnizonowej mogła udzielić mu siły i obrony przed złem. Połyskliwy, niesamowity był wizerunek Bertranda. Pojawił się i zniknął; „zniknął w mrokach wielkiego miasta”, pomyślał Joachim, a mroczność miała markę piekielnego umierania. Bertrand tkwił we wszystkich postaciach i wszystkie zdradzał; jego,

kolegów, kobiety, wszystkich. Ale oto zauważył, że przedstawiciel Bertranda krótkim truchtem zdrów i cały przedostał się na drugą stronę Spandauer Strasse. Joachim był szczęśliwy, że teraz obydwu odbierze Rużenę. Nie, tu nie można było mówić o rabunku; przeciwnie, miał też obowiązek osłaniać Elżbietę przed tamtymi. O, wiedział, że zły jest obłudny. Ale wojskowemu nie wypadało uciekać. Gdyby uciekł, wydałby bezbronną Elżbietę na pastwę tamtego, sam byłby jednym z tych, co kryją się w mrokach wielkiego miasta i boją się koni, i byłoby to nie tylko przyznaniem się do rabunku, lecz należałoby także na zawsze zrezygnować z wydarcia tamtemu tajemnicy zdrady. Musi dalej podążać za nim, ale nie skrycie jak szpieg, tylko jawnie, jak przystoi, a i Rużeny nie będzie trzymał w ukryciu. Tak to w centrum dzielnicy giełdowej, aczkolwiek nie opodal kaplicy garnizonowej, nagle zrobiło się spokojnie wokół Joachima von Pasenowa, tak spokojnie i przejrzyste, jak przejrzyste było jasnoniebieskie niebo, które spoglądało przez szczelinę ulicy.

Odczuwał niezbyt co prawda wyraźne, ale naglące pragnienie, by zaraz dopędzić mężczyznę i oznajmić mu, że zabierze Rużenę z kasyna i odtąd nie będzie jej ukrywać; ale zaledwie zrobił parę kroków, tamten spieszenie wkolebał się do Giełdy. Joachim przez chwilę patrzył na bramę; czy było to miejsce przemiany? Czy zaraz wyjdzie stamtąd sam Bertrand? Zastanawiał się, czy będzie musiał natychmiast doprowadzić do jego spotkania z Rużeną, i odpowiedział sobie, że nie: Bertrand należy przecież do świata nocnych lokali, a on właśnie z tego świata musi wyrwać Rużenę. Ale to się jakoś ułoży; przyjemnie byłoby nic o tym wszystkim nie wiedzieć i przechadzać się z Rużeną po cichym parku i nad cichym stawem. Stał pod Giełdą. Tęsknił za wsią. Wokół huczał ruch kołowy; górą dudniła kolej miejska. Nie przyglądał się już przechodniom, wiedział, że wyglądali obco i niesamowicie. Od dziś będzie unikat tej okolicy. Pośród falowania pod Giełdą Joachim von Pasenow trzymał się prosto i sztywno. Będzie bardzo kochał Rużenę.

Bertrand złożył mu wizytę kondolencyjną i Joachim znów nie był pewien, czy uznać ją za przejaw kurtuazji, czy natręctwo; można było to potraktować i tak, i siak. Bertrand pamiętał Helmuta, który czasami, ale dość rzadko, przyjeżdżał do Chełmna, i była to pamięć bądź co bądź zaskakująca: – Tak, był jasnowłosym, spokojnym chłopcem, bardzo zamkniętym w sobie... myślę, że nam zazdrościł... później chyba niewiele się zmienił... był zresztą podobny do pana. – Znów było to trochę zbyt poufałe, wydawało się wręcz, że Bertrand chce wykorzystać śmierć Helmuta do swoich celów; nawiasem mówiąc nie było w tym nic dziwnego, że Bertrand tak zdumiewająco dokładnie pamiętał wszystkie zdarzenia ze swej dawnej kariery wojskowej: chętnie wspomina się czasy świetności, którą się utraciło. Ale mimo to Bertrand mówił w sposób daleki od sentymentalizmu, rzeczowo i spokojnie, tak że śmierć brata zyskała bardziej ludzki i lżejszy aspekt, w ujęciu Bertranda stała się jakoś obiektywna, ponadczasowa i pojednawcza. Joachim właściwie nie zaprzętał sobie zbytnio głowy pojedyńkiem brata; wszystko, co usłyszał o tym zdarzeniu i co niezliczoną ilość razy powtarzało się we wszystkich kondolencjach, zmierzało w tym samym kierunku: Helmuta tragicznie dosięgnęło nieuchronne fatum honorowości, od którego nie było ucieczki. Bertrand natomiast mówił: – Najdziwniejsze wszelako jest to, że żyjemy w świecie maszyn i kolei żelaznych i że w tym samym czasie, kiedy jeżdżą koleje i pracują fabryki, dwaj ludzie stają naprzeciw siebie i strzelają się.

On już nie ma poczucia honoru, powiedział sobie Joachim, a mimo to opinia Bertranda wydawała się naturalna i przekonująca. A Bertrand kontynuował: – Pewnie bierze się to stąd, że w grę wchodzi uczucia...

– Poczucie honoru – podsunął Joachim.

– Poczucie honoru i temu podobne.

Joachim podniósł wzrok – czyżby Bertrand znowu żarty sobie stroił? Chętnie by powiedział, że nie można przemawiać tylko z pozycji mieszkańca wielkiego miasta; na wsi

uczucia są prawdziwsze i znaczą więcej. Bertrand zatem nic z tego nie rozumiał; naturalnie nie wypadało tego mówić gościowi i Joachim milcząco zaproponował cygara. Ale Bertrand wyciągnął z kieszeni angielską fajkę i skórzany woreczek z tytoniem: – Jakie to osobliwe, że właśnie to, co najbardziej ulotne, najbardziej przemijające, jest prawdziwie trwałe. Cieleśnie człowiek niewiarygodnie szybko potrafi się dopasować do nowych warunków życia. Ale nawet skóra i kolor włosów są trwalsze niżli kościec.

Joachim spoglądał na jasną skórę i nazbyt kędzierzawe włosy Bertranda i czekał, do czegoż to ten zmierza. Bertrand spostrzegł się od razu, że wyraził się nie dość zrozumiale: – Cóż, najtrwalsze w nas są chyba tak zwane uczucia. Nosimy ze sobą niezniszczalne zasoby konserwatyzmu. Są to uczucia, a raczej uczuciowe konwencje, bo to w gruncie rzeczy obumarłe atawizmy.

– Więc zasady konserwatywne uważa pan za atawizmy?

– Och, czasem tak, nie zawsze. Chociaż właściwie nie o to tu chodzi. Uważam, że posiadane przez człowieka poczucie życia z reguły o jakieś pół wieku albo i cały wiek pozostaje w tyle za życiem rzeczywistym. To poczucie jest w istocie zawsze mniej ludzkie aniżeli otaczające życie. Niech pan tylko pomyśli, że taki Lessing czy taki Wolter bez sprzeciwu godzili się z tym, iż za ich czasów jeszcze łamano kołem, od dołu do góry, jak się patrzy, rzecz dla naszego poczucia niewyobrażalna – a sądzi pan, że dzisiaj jest inaczej?

Nie, tym Joachim nigdy jeszcze nie zaprzętał sobie głowy. Bertrand pewnie ma rację. Ale po co mu to wszystko mówi? Gada jak pismak. Bertrand ciągnął: – Spokojnie godzimy się na to, że dwaj ludzie, obaj z pewnością przywoici, bo z innym pański brat by się nie pojedynkował, któregoś ranka stają naprzeciw siebie i strzelają się. Jaką konwencją uczuciową muszą być obaj spętani i jak bardzo spętani nią jesteśmy my sami, że możemy to znieść! Uczucie jest bezwładne i stąd tak niezrozumiałe okrutne. Światem rządzi bezwład uczuć! Bezwład uczuć! Joachim był tym porażony; czy on sam nie cierpiał na bezwład uczuć, czy to nie za sprawą karygodnego bezwładu nie zdobył się na tyle fantazji, by wbrew oporom Rużeny dawać jej pieniądze i zabrać ją z kasyna? Odrzekł skonsternowany: – Naprawdę chce pan określić honor mianem uczuciowego bezwładu?

– Ach, Pasenow, pan zadaje zbyt jednoznaczne pytania. – Bertrand znów przybrał ten ujmujący uśmiech, którym zwykle łagodził nieporozumienia. – Uważam, że honor to bardzo żywe uczucie, jestem wszakże też przekonany, że przeżyte formy zawsze są pełne bezwładu i że trzeba wielkiego znużenia, by poświęcić się martwej i romantycznej konwencji uczuciowej. Trzeba dużej dozy rozpaczliwej bezwysięciowości...

Tak, Helmut był znużony. Ale o co chodziło Bertrandowi? Jak można się od tej konwencji uwolnić? Joachim ze zgrozą czuł niebezpieczeństwo, że chcąc uciec od konwencji można stoczyć się jak Bertrand. Na pewno on w swoim związku z Rużeną już wymknął się najsurowszej konwencji, lecz dalej to się tak toczyć nie powinno, a żywe poczucie honoru wymagało, żeby pozostał przy Rużenie! Może Helmut to przeczuwał ostrzegając go przed powrotem do majątku. Bo wtedy Rużena byłaby stracona. Toteż raptem zapytał: – Co pan sądzi o niemieckim rolnictwie? – nieomal z nadzieją, iż Bertrand, który stałe miał na oku względy praktyczne, również będzie go przestrzegał przed objęciem Stołpina. – Trudno powiedzieć, Pasenow, zwłaszcza kiedy ktoś zna się na rolnictwie tak mało jak ja... wszyscy przecież hołdujemy jeszcze feudalnemu przesądowi, że na Bożej ziemi zajmowanie się tą ziemią stanowi najsolidniejszy sposób życia. – Bertrand pogardliwie machnął ręką i Joachim von Pasenow był tym rozczarowany, wszelako i zadowolony, iż należy do owej kasty uprzywilejowanych, podczas gdy wątpliwą kupiecką egzystencję Bertranda można było uznać jedynie za pierwszy stopień do solidniejszego życia. Przypuszczalnie żałował on wystąpienia z pułku; jako oficer gwardii jakże łatwo mógłby być wżenić się w majątek ziemski! Były to wszakże rozważania godne jego ojca i Joachim odsunął je na bok, zapytał tylko, czy Bertrand nosi się z myślą, by później osiąść gdzieś na stałe. Bertrand odrzekł, że nie, chyba tego nie

zrobi, raczej nie jest człowiekiem, który wytrzyma długo w jednym miejscu. Mówili jeszcze to i owo na temat Stołpina i tamtejszych terenów łowieckich, przy czym Joachim zaprosił Bertranda na jesienne polowanie. I nagle zadzwonił dzwonek u drzwi: Rużena! przemknęło Joachimowi przez myśl i niemal wrogo popatrzył na Bertranda: siedzi tu od dwóch godzin, pije herbatę i pali; to już nie jest wizyta kondolencyjna. Ale jednocześnie Joachim musiał przyznać, że to on sam zmusił Bertranda do zajęcia miejsca w fotelu i pozostania, to on częstował go cygarami, mimo iż w gruncie rzeczy dobrze wiedział, że przyjdzie Rużena. Naturalnie teraz, skoro to się stało, nie było już odwrotu; naturalnie byłoby stosowniej, gdyby zapytał przedtem Rużenę. Może będzie skrepowana, może sama chciała utrzymywać sprawę w tajemnicy, z czym on zamierzał teraz skończyć, może nawet w swojej dobroci wolałaby uniknąć sytuacji, w której musiałby się jej wstydzić – może ona rzeczywiście nie całkiem nadaje się do towarzystwa; on tego nie potrafił już ocenić, bo wyobrażając ją sobie widział tylko jej głowę i rozpuszczone włosy na poduszce obok siebie, wdychał zapach jej ciała, nie bardzo jednak pamiętał, jak wyglądała w ubraniu. Co tam, Bertrand jest cywilem, sam ma za długie włosy, nie będzie tak źle. Powiedział więc: – Niech pan posłucha, Bertrand: składa mi wizytę miła młoda dama; czy mogę pana zaprosić na wspólną kolację? – O, jakie to romantyczne – odparł Bertrand, naturalnie, on chętnie zje z nimi kolację, jeśli nie będzie przeszkadzał.

Joachim wyszedł z pokoju, żeby przywitać się z Rużeną i przygotować ją na gościa. Wyraźnie speszyła się obecnością nieznanego. Ale była miła dla Bertranda i Bertrand był miły dla niej. Rutynowa uprzejmość, z jaką oboje odnosili się do siebie, drażniła Joachima. Postanowili, że zjedzą kolację w domu; posłano ordynansa po szynkę i wino, Rużena wybiegła za nim: niech przyniesie też szarlotkę z bitą śmietaną. Była szczęśliwa, że dane jest jej gospodarować w kuchni i przyrządzać placki ziemniaczane. Później wywołała Joachima do kuchni; myślał z początku, że chce mu się tylko pokazać w obszernym, białym fartuchu, z warząchwią w ręce, i był jak najbardziej gotów chłonąć ten widok powabnej gospodyni z wielkim wzruszeniem, ona jednak oparła się o kuchenne drzwi i zaczęła płakać; było niemal trochę tak jak kiedyś: on, mały chłopiec, przyszedł do matki w dużej kuchni i tam jedna z dziewczek – być może matka akurat ją odprawiła – łkała tak gorzko, że gdyby się nie wstydził, najchętniej załkałby do wtóru. – Ty to mnie już nie kochasz – szlochała Rużena zarzuciwszy mu ręce na szyję i choć całowali się goręcej niż kiedykolwiek, nie dawała się uspokoić. – To koniec, ja to wiem, to jest koniec – powtarzała – ale ty już pójdź, mnie trzeba gotować. – Otarła Izy, uśmiechnęła się. On wszakże niechętnie wracał do pokoju i niechętnie przyjmował do wiadomości, że tam jest Bertrand; naturalnie to była dziecinada z jej strony, to była dziecinada sądzić, że mógłby z nimi być koniec z powodu Bertranda, a mimo to był to też niezawodny kobiecy instynkt, tak, niezawodny kobiecy instynkt, inaczej tego nie można było nazwać i Joachima ogarnęło przygnębienie. Bo choć Bertrand przyjął go, dość cynicznie, słowami: – Ona jest uroczą – i zbudził w nim wdzięczną dumę króla Kandaulesa, groźba pozostawała niezmienna: jeśliby wrócił do Stołpina, to Rużena byłaby stracona i to musiałby być koniec. Gdyby chociaż Bertrand odradził mu zajmowanie się rolnictwem! A może chciał – kto wie, czy nie wbrew swemu przekonaniu – pchnąć go w tę dziedzinę, byle pozbyć się go z Berlina i zagarnąć Rużenę, którą mimo wszystko mógł ewentualnie uważać za swoją prawowitą własność? To było nie do przyjęcia!

Rużena, w asyście ordynansa, weszła z dużą tacą. Zdjęła kuchenny fartuch i siedząc między dwoma mężczyznami przy małym okrągłym stole odgrywała grandę damę, śpiewnym staccato konwersowała z Bertrandem, któremu kazała opowiadać o odbytych podróżach. Obydwa okna pokoju stały otworem i mimo ciemnej letniej nocy za nimi łagodny blask lampy naftowej nad stołem przypominał bożonarodzeniową zimę i przytulność małych izdebek na tyłach sklepów. Jakie to osobliwe, że mógł zapomnieć o koronkowych chusteczkach, które kupił dla Rużeny tamtego wieczoru trawiony niejasną tęsknotą. Leżały

sobie nadal w szafie i chętnie dalby je teraz Rużenie, gdyby nie było Bertranda i gdyby ona nie słuchała z takim zaciekawieniem jego opowieści o plantacjach bawełny i biednych Murzynach, których ojcowie byli jeszcze niewolnikami, a jakże, prawdziwymi niewolnikami, takimi, co to można było ich sprzedać. Jak to, więc dziewczęta też wystawiano na sprzedaż? Rużena wzdygnęła się, a Bertrand się zaśmiał, zaśmiał się lekko i przyjemnie: – O, pani nie musi się bać, mała niewolnico, pani nic się nie stanie! – Czemu Bertrand to powiedział? Czy zmierzał do tego, żeby Rużenę kupić albo dostać w prezencie? Joachimowi nasuwa się myśl o brzmieniowym podobieństwie w niemieckim „niewolników” i „Słowian”² i o tym, że wszyscy Murzyni są do siebie podobni, tak iż trudno ich rozróżnić, i znów było tak, jakby Bertrand chciał wpędzić go w urojenie, przypomnieć mu, że nie sposób było odróżnić Rużeny od jej włosko-słowiańskiego brata! Czy po to Bertrand przywoływał kiedyś czarne zastępy? Ale ten tylko uśmiechał się do niego przyjaźnie i był jasnym blondynem, prawie tak jasnym jak Helmut, chociaż bez zarostu, i miał włosy kędzierzawe, nazbyt kędzierzawe, nie zaś gładko zaczesane do góry; i na chwilę wszystko się pogmatwało i nie było wiadomo, do kogo Rużena prawowicie należy. Gdyby to jego trafiła kula, Helmut byłby tu zamiast niego i miałby też dość siły, żeby bronić Elżbiety. Rużena byłaby chyba dla Helmuta zbyt pospolita; jednakże on sam nie był niczym innym jak zastępcą brata. Joachima ogarnął strach, kiedy sobie to uprzytomnił, ogarnął go strach, ponieważ jednego można było zastąpić drugim, ponieważ Bertrand miał niskiego, miękkiego, brodatego przedstawiciela i ponieważ w tej sytuacji nawet zapatrywania ojca były wybaczone: dlaczego właśnie Rużena, dlaczego właśnie on? dlaczego zatem rzeczywiście nie Elżbieta? wszystko było jakieś takie obojętne i rozumiał znużenie, które Helmuta wpędziło w śmierć. Choćby Rużena miała rację i ich miłość była bliska końca, wszystko nagle odsunęło się w siną dal, w której twarze Rużeny i Bertranda były bodaj nie do odróżnienia. Konwencja uczuciowa, powiedział przedtem Bertrand.

Rużena tymczasem jakby zapomniiała o swej ponurej przepowiedni. Chwyciła pod stołem dłoń Joachima, a gdy on, w panicznym odruchu dobrego wychowania, spoglądając spod oka na Bertranda, umknął z dłonią w jawność jasno oświetlonego obrusa, Rużena ujęła ją ponownie i pogłaskała; i Joachim, znowu rad z dotknięcia własności, z pewnym wysiłkiem pokonał wstyd i zatrzymał jej dłoń w swojej, tak że tym samym bez osłonek stało się widoczne, na ile prawowicie należeli do siebie. A oni przecież nie robili nic niewłaściwego; w Biblii jest bowiem napisane: jeśli brat przed drugim bezdzietnie umiera, to żona jego nie powinna brać obcego, lecz powinna wziąć brata jego. Tak, coś takiego musi być napisane i było absurdem, że on mógłby zdradzić Helmuta z kobietą. A potem Bertrand zastukał w kieliszek i wygłosił krótki toast, przy czym znów nie było wiadomo, czy mówi poważnie, czy żartuje, czy też parę kieliszków szampana to już było dla niego za dużo, jego słowa były bowiem nader trudno zrozumiałe, jako że mówił o niemieckiej pani domu, która ma najwięcej uroku będąc imitacją, ponieważ gra pozostaje jedyną realnością tego życia, wobec czego sztuka jest zawsze piękniejsza niżli krajobraz, bal kostiumowy barwniejszy niżli prawdziwe stroje, a dom niemieckiego wojaka dopiero wtedy nabiera kompletności, kiedy, daleki od przyjętej zazwyczaj jednoznaczności, zostanie co prawda sprofanowany przez wyzbytego tradycji kupca, ale za to uświęcony przez najmilszą dziewczynę z Czech, i dlatego prosi on obecnych, żeby wypili z nim za zdrowie najpiękniejszej pani domu. Tak, wszystko to było dość mętne i przewrotne, toteż nie bardzo się wiedziało, czy te aluzje do imitacji i naśladownictwa nie odnoszą się w jakiś sposób do własnych myśli o zastępcy, ale że Bertrand mimo pewnego ironicznego grymasu wokół ust nie przestawał patrzeć na Rużenę bardzo przyjaźnie, wiedziało się też, że był to hołd dla niej i że można nie przejmować się mętными

² *Sklaven* – niewolnicy, *Slaven* – Słowianie

niezrozumiałościami, więc kolacja skończyła się dla nich wszystkich w atmosferze przyjemnej wesołości i niefrasobliwości.

Nie omieszkali później odprowadzić Bertranda na kwaterę, pewnie i dlatego, iż nie chcieli ostentacyjnie pokazywać, że Rużena zostanie jeszcze u Joachima. Z Rużeną w środku, szli cichymi ulicami, każde z osobna, bo Joachim nie śmiał podać ramienia dziewczynie. Gdy Bertrand zniknął w bramie, oboje popatrzyli na siebie i Rużena bardzo poważnie i ulegle spytała: – Ty mnie zaprowadzisz do kasyno? – Widział, z jakim trudem i z jaką powagą wypowiedziała te słowa, ale czuł tylko znużoną obojętność, tak że omal z równą powagą nie odpowiedział twierdząco na jej pytanie i zniósłby teraz nawet rozstanie na zawsze, a gdyby wrócił Bertrand, by uprowadzić Rużenę, Joachim zniósłby i to. Nie do zniesienia była jednak myśl o kasynie. I zawstydzony, że wymagało to takiego impulsu, milcząco wziął ją pod rękę. Tej nocy kochali się bardziej niż kiedykolwiek. Niemniej jednak i tym razem Joachim zapomniał, że miał dać Rużenie koronkowe chusteczki.

Codziennie, gdy mały, jednokonny ambulans pocztowy wracał od porannego pociągu i zajeżdżał pod pocztę we wsi, przy okienku stał już opierając się o ścianę posłaniec z majątku, co prawda tylko posłaniec prywatny, jednakże należący do pocztowego inwentarza, sam będący niejako osobą urzędową, może nawet wyżej postawioną od obu zatrudnionych tam osób urzędowych, nie tyle z racji osobistych dokonań, choć zdążył już posiwieć w służbie, ile raczej dlatego, że przybywał z majątku, a jego godność była instytucją istniejącą już od wielu dziesięcioleci, z pewnością sięgającą owych czasów, kiedy to nie było jeszcze poczty Rzeszy Niemieckiej, lecz z rzadka przejeżdżał przez wieś dylizans pocztowy i zostawiał listy w karczmie. Duża, czarna torba pocztowa, której pasek w okolicach barku odcisnął na jego ubraniu poprzeczny znak, przeżyła niejednego posłańca i zapewne pochodziła z owych dawno minionych i chyba też lepszych czasów; bo nikt we wsi nie jest aż tak stary, żeby w najodleglejszych dniach jego młodości torba nie wisiła już na swoim haku i żeby posłaniec nie opierał się o ścianę przy okienku pocztowym; każdy ze starców przypomina sobie i potrafi wyliczyć wszystkich posłańców z majątku, którzy z poprzeczną pręgą na kurtce dzielnie przemierzali swój szlak i teraz jeden w drugiego spoczywali na cmentarzu. Torba zatem była starsza i bardziej szacowna aniżeli nowomodny urząd pocztowy, powstały w burzliwym roku 1848, starsza niż hak, który na cześć torby poniekąd w ostatnim urzędowym hołdzie właścicielom majątku podczas urzędowania poczty wbito w ścianę, może też na znak przestrogi, że mimo napierającego postępu nie powinno się zapominać o starych zwyczajach. Bo i na nowej poczcie przestrzegano i prawdopodobnie przestrzega się po dziś dzień dawnego nawyku uprzywilejowanego traktowania korespondencji państwa z majątku: kiedy wchodził woźnica z szarobrazowym workiem pocztowym i owym pogardliwym ruchem, na jaki w oczach zwyczajnego woźnicy zasługuje worek pocztowy, rzucał go na sfatygowany stół, poczmistrz, który więcej wie o godności ludzkich i urzędowych instytucji, z nie ukrywanym namaszczeniem zrywał pieczęć, rozplątywał sznurki i wymieszane przesyłki układał podług rozmiarów na małe kupki, żeby je wygodniej przejrzeć i rozdzielić, co rozgrywało się wedle uświęconego porządku, po czym poczmistrz zawsze wybierał najpierw korespondencję adresowaną do majątku i zanim zrobił cokolwiek innego, wyjmował klucz z szuflady stołu i podchodził do zawieszanej torby, która, zaopatrzona w żółty mosiężny pałak, czekała w ciszy na zakończenie tej procedury; poczmistrz odmyka zamek pośrodku pałaka, tak że torba zajeje otworem i bezwstydnie ukazuje szarą podszewkę z żaglowego płótna, a on szybko, jakby nie mogąc znieść dłużej widoku rozdziawionego płóciennego pyska, wsuwa do środka listy, gazety, a także mniejsze pakiety, zadaje pyskowi lekki cios w dolną szczękę, żeby się zatrzasnęła, i zamyka na klucz mosiężne wargi, chowa go do szuflady A posłaniec, który był dotąd tylko widzem, bierze ciężką torbę pocztową z twardym, spękany paskiem, przewiesza sobie przez ramię, chwyta w rękę większe paczki i takim sposobem dostarcza przesyłkę do

majątku o godzinę lub dwie wcześniej, niżby to się udało urzędowemu listonoszowi, który musi najpierw oblecieć całą wieś; nadzwyczaj przyspieszone doręczenie, które dowodzi, że instytucja posłańca i jego torby nie tylko jest kontynuacją starej, pięknej tradycji, lecz wciąż jeszcze potrafi też zaspokajać praktyczne potrzeby właścicieli i służby z majątku.

Joachim częściej niż dawniej dostawał teraz wieści z domu; ojciec przeważnie spisywał tylko krótkie informacje owym półpochyłym, ciągłym pismem, które tak bardzo przypominało jego chód, że można było wprost mówić o trójnożności tego pisma. Joachim dowiadywał się o gościach, którzy odwiedzali rodziców, o zwierzyńce łownej i widokach na jesień, coś niecoś o żniwach, a po wiadomościach rolniczych na ogół następowały słowa: „Dobrze byś zrobił podejmując rychło przygotowania do Twych przenosin, jako że byłoby wskazane, abyś jak najprędzej się wciągnął, a wszystko wymaga czasu. Twój wierny ojciec”. Jak zawsze Joachim odczuwał silną niechęć do ojcowskiego pisma i czytał listy może jeszcze bardziej nieuważnie niż zwykle, bo każde napominanie do porzucenia służby i przeniesienia się w rodzinne strony było jakby wciąganiem w cywilność i wyzuwaniem z zasad, niewiele różnym od chęci pozbawienia go osłony i wypchnięcia nagiego w okolice Alexanderplatz, żeby każdy z obcych i zapędzonych panów mógł się ocierać o niego. Niech to sobie nazywa ktoś bezwładem uczuć: nie, on nie był tchórzliwy i spokojnie stanąłby naprzeciw pistoletu przeciwnika czy ruszył w pole przeciwko odwiecznemu francuskiemu wrogowi, ale niebezpieczeństwa życia cywilnego miały obcy, mroczny i niepojęty charakter. Tam wszystko było w nieładzie, bez hierarchii, bez dyscypliny i chyba też bez punktualności. Kiedy w drodze między mieszkaniem a koszarami mijał fabrykę maszyn Borsiga w porze rozpoczęcia lub kończenia pracy i robotnicy stali przed fabryczną bramą jak egzotyczny, rdzawy lud, nie różniący się zbyt od ludu Czechów, czuł ich nieprzyjemne spojrzenia, a kiedy ten czy ów w geście pozdrowienia sięgał do czarnej skórzanej czapki, nie śmiał podziękować, bo obawiał się, że napiętnuje uprzejmego człowieka jako przeniewiercę, jako kogoś, kto trzyma jego stronę. Gdyż nienawiść pozostałych przyjmował za rzecz uprawnioną, pewnie też przeczuwając, iż mimo cywilnego stroju Bertranda nienawidziliby nie mniej niż jego. Coś z tego kryto się chyba także w niechęci Rużeny do Bertranda. Wszystko to było niepokojące i bezładne i Joachimowi zdawało się, że oto jego statek ma dziurę, do której powiększenia chce się go zmusić. A już całkiem niedorzeczne było w jego oczach to, iż ojciec domagał się od niego, aby porzucił służbę ze względu na Elżbietę; jeśli w ogóle istniało coś, co starającego się mogłoby uczynić jej godnym, to fakt, że przynajmniej strojem odbijał od całej tej nieczystości i nieporządku; pozbawić go munduru znaczyło zhańbić Elżbietę. Odsuwał więc od siebie myśl o życiu cywilnym i powrocie do ojcowskiego domu jak natarczywą i niebezpieczną pretensję, lecz nie chcąc być całkowicie nieposłusznym ojcu przyszedł z kwiatami na dworzec, kiedy Elżbieta i jej matka udawały się na lato do Lestowa.

Konduktor przed czekającym pociągiem wyprężył się na widok Joachima i doszło do milczącego porozumienia między obu mężczyznami, porozumienia widocznego w spojrzeniu zacnego podoficera, który obejmował pieczę nad paniami przełożonego. I choć pozostawienie baronowej samej w przedziale, gdzie zainstalowano ją z pokojówką i bagażem, kłóciło się trochę z konwenansem, Joachim odebrał to jako przyjemne wyróżnienie, że Elżbieta wyraziła chęć pospacerowania wzdłuż pociągu aż do dzwonka. Przechadzali się po ubitej ziemi między torami tam i z powrotem, a ilekroć mijali otwarte drzwi przedziału, Joachim nie omieszkął skłonić się lekko ku górze, podczas gdy baronowa uśmiechała się spoglądając w dół. A Elżbieta mówiła o tym, jak bardzo się cieszy na pobyt w rodzinnym domu i że bardzo liczy na to, iż Joachim w czasie swego urlopu, który jak zawsze tak i w tym roku, tyle że z większą jeszcze pewnością, spędzi u rodziców, będzie często pokazywać się w Lestowie. Miała na sobie obcisły angielski kostium podróżny z lekkiego szarego sukna, a błękitna podróżna woalka, która przesłaniała mały kapelusz, harmonizowała z kolorem kostiumu. Było rzeczą

wręcz osobliwą, że istota o tak poważnym wyrazie twarzy umiała zdobyć się jednak na zainteresowanie i kokieteryjny smak w doborze twarzowej garderoby, zwłaszcza jeśli ktoś chciał domniemywać, iż szarość stroju i błękit woalki zapewne zostały dopasowane specjalnie do koloru jej oczu, które mieniły się to poważną szarością, to znów wesołym błękitem. Lecz ujęcie tej myśli w słowa wydawało się trudne, toteż Joachim był rad, gdy zabrzmiał dzwonek i konduktor poprosił o zajmowanie miejsc. Elżbieta weszła na stopień i kontynuując rozmowę, na poły odwrócona, potrafiła zręcznie maskować nieładny widok pochylonej, wspinającej się do przedziału damy; dopiero na najwyższym stopniu, kiedy już nie dało się tego uniknąć, zdecydowanie wlaźła przez niskie drzwi do środka. Joachim stał z zadartą głową koło wagonu i wspomnienie ojca, z którym niezbyt dawno temu w tym samym miejscu rozmawiał w drzwiach, tak dziwnie mieszało się z myślą o polach żakietu Elżbiety i projekcie małżeństwa, który ojciec wtedy w brzydki sposób mu sugerował, że imię tej dziewczyny o szarobłękitnych oczach i szarych polach żakietu, choć przecież widział ją we własnej osobie tam w górze, w drzwiach przedziału, zobojętniało nagle i poszło w zapomnienie, osobliwie i nieładnie pograżyło się w zdumionym oburzeniu, że istnieją ludzie jak jego ojciec, którzy w swej nikczemności mają czelność przeznaczyć jakiemuś mężczyźnie na całe długie życie dziewiczą istotę niejako ku poniżeniu i pokalaniu. Ale jakkolwiek w chwili, kiedy to zdecydowanie wsiadała do pociągu, w pełni dostrzegł w niej kobietę, to jednocześnie uzmysłowił sobie, że nie mógłby oczekiwać od niej słodczy nocy spędzanych z Rużeną, jej tęsknych powitań i odejść, lecz że byłoby to poważne, być może religijne przyzwalanie, niewyobrażalne nie tylko dlatego, iż musiałoby się to odbywać bez podróznego kostiumu i munduru, niewyobrażalne wszak i z tego powodu, iż porównanie z Rużeną, którą uratował od dotykania i kalania przez mężczyzn, zdawało się wprost bluźnierstwem. Jednakże dzwonek zabrzmiał już po raz trzeci i podczas gdy on swobodnie salutując stał na peronie, panie powiewały koronkowymi chusteczkami, trwało to tak długo, aż w końcu widoczne były już tylko dwie białe kropki i z serca Joachima wychynęła delikatna tęsknota, pomknęła prostą linią przed siebie i zdążyła jeszcze w ostatniej chwili dosięgnąć białej kropeczki, zanim ta zniknęła w dali.

Pozdrawiany po wojskowemu przez odźwiernego i kolejarzy opuścił dworzec i wyszedł na Küstriner Platz. Ciągnął się on nijaki i trochę zaniedbany, mroczny, aczkolwiek cały skąpany w jasnym słońcu, wypożyczonym słońcu, podczas gdy prawdziwe świeciło nad złotymi polami. I choć to w sposób bardzo trudno zrozumiały przypominało o Rużenie, to przecież nie ulegało kwestii, że Rużeną, osobliwie pełną słońca, była jednak mroczna i trochę zaniedbana, tak blisko związana z Berlinem jak Elżbieta z polami, przez które teraz jechała, i z dworem, który wznosi się w parku. Był w tym jakiś zadowolający, schludny porządek. Mimo to Joachim był rad, że odwiódł Rużenę od mrocznej profesji dziewczyny do towarzystwa i jej fałszywej świętości, rad, że akurat uwalnia ją z płątaniny nici, które spowijały całe miasto, z tej sieci, którą czuł wszędzie, przy Alexanderplatz i pod rdzawą fabryką maszyn, i na przedmieściu z piwnicznym sklepem z jarzynami, nieprzejrzystej, nieuchwytej sieci cywilności, która była niewidzialna, a przecież zaciemniała wszystko. Wypadało uwolnić Rużenę z tego uwikłania, bo i tutaj wypadało okazać się godnym Elżbiety. Ale było to tylko bardzo niewyraźne życzenie, życzenie, którego wcale nie chciał sobie uzmysławiać, gdyż prawdopodobnie jemu samemu wydałoby się absurdalne.

Edward von Bertrand, który zamierzał rozszerzyć swoje interesy na przemysłowe obszary Czech, przypomniał sobie w Pradze Rużenę, poniekąd zatęsknił za nią i chciał jej powiedzieć coś miłego na pocieszenie. A że nie znał adresu Rużeny, napisał do Pasenowa, iż zachowując we wdzięcznej pamięci ich ostatni wieczór spodziewa się, że w drodze powrotnej do Hamburga zastanie go w Berlinie, dołączył serdeczne pozdrowienia dla Rużeny i pochwalił jej piękną ojczyznę. Potem ruszył na włóczęgę po mieście.

Po wieczorze z Bertrandem i Rużeną Pasenow oczekiwał, że nastąpi coś szczególnego i podniosłego, może nawet coś strasznego, na przykład że za wyróżnienie i zaufanie, z jakim potraktował go aranżując ów wieczór, Bertrand odpłaci mu tą samą monetą, chociaż uprowadzenie Rużeny nie należało do rzeczy całkiem niemożliwych; kupcy nie mają skrupułów. Ale gdy nie nastąpiło ani jedno, ani drugie, a Bertrand po cichutku wyjechał zgodnie z planem i nie dawał znaku życia, Joachim był właściwie urażony. Aż tu niespodziewanie przyszła wiadomość z Pragi; pokazał ją Rużenie: – Zdaje się, że na Bertrandzie zrobiłaś wrażenie – powiedział z wahaniem. Rużena skrzywiła się: – Jeśli nawet, to mnie ten twój przyjaciel się nie podoba, on jest brzydki człowiek. – Joachim wziął Bertranda w obronę; brzydki to on nie jest. – Ja sama nie wiem, on mnie się nie podoba, on takie rzeczy mówi – zdecydowała Rużena – niech on więcej nie przychodzi. – Joachim całkowicie się z tym zgadzał, choć właściwie teraz pilnie go potrzebował, tym bardziej że Rużena dodała: – Ja tam jutro pójdę do teatralna szkoła. – Wiedział, że ona nie pójdzie, jeśli on jej nie zaprowadzi, to oczywiście, ale jak mógł ją zaprowadzić? Jak zabrać się do czegoś takiego? Rużena bardzo chciała trochę „pracować” i planowanie nowych rodzajów zajęć stanowiło nowy temat rozmów tchnących urokiem nie znanej przedtem powagi, mimo że wobec wszelkich poruszanych kwestii Joachim był zupełnie bezradny. Może czuł, że stateczna praca pozbawi ją egzotycznego powabu, z jakim balansowała między dwoma światami, i przeniesie ją z powrotem w stan dzikości, i właśnie dlatego jego fantazja nie docierała dalej aniżeli do teatralnej profesji, co do której Rużena zgodziła się z nim entuzjastycznie: – Ty zobaczysz, jaka ja będę sławna, ty mnie za to kochać będziesz! – Ale droga do tego była daleka i nic się nie działo. Bertrand mówił kiedyś o wegetatywnym zubożeniu, w jakim żyje większość ludzi; było to chyba coś podobnego do owego bezwładu uczuć. Ba, gdyby Bertrand był tutaj; przy swoim obyciu i praktycznym doświadczeniu mógłby pewnie pomóc. I tak to Bertrand po powrocie do Berlina znalazł pilne zaproszenie do Pasenowa jako odpowiedź na swe przyjazne pozdrowienie.

To się chyba da zrobić, stwierdził Bertrand ku wielkiemu zaskoczeniu obojga, to się chyba da zrobić, aczkolwiek nie powinni sądzić, iż teatr to szczególnie obiecująca czy zgoła łatwa kariera. Wprawdzie on w Hamburgu ma lepsze stosunki, ale chętnie spróbuje. A potem sprawy potoczyły się dużo szybciej, niż się spodziewano; już po kilku dniach wezwano Rużenę na próbne przesłuchanie, które wypadło niezłe, i w krótkim czasie zaangażowano ją na chórzystkę. Podejrzenie Joachima, że skwapliwa uczynność Bertranda wiąże się z jego zamiarami wobec Rużeny, nie mogło się utrzymać z racji uprzejmie obojętnej, można by niemal powiedzieć: lekarskiej postawy Bertranda. Niewątpliwie sytuacja byłaby jaśniejsza, gdyby Bertrand podejmowane starania w sprawie Rużeny wykorzystał jako okazję do otwartego wyznania swej miłości do niej. W gruncie rzeczy Joachim był mocno rozeźlony na Bertranda, który co prawda spędził trzy wieczory w towarzystwie jego i Rużeny i nagadał się różności, jednakże w odniesieniu do samego siebie zademonstrował jedynie aż nadto dobrze znaną uprzejmą skrytość, pozostał obcym, który w dodatku zrobił dla Rużeny więcej niż on sam w bezwładzie swej romantycznej fantazji. Wszystko to było bardzo przykre. Czego chciał ten Bertrand? Teraz, żegnając się z nim i, jak przystało, nie przyjmując żadnych podziękowań od czy w imieniu Rużeny, znów wyraził nadzieję, że niezadługo ponownie zobaczy się z Joachimem von Pasenowem. Dlaczego chciał się z nim zobaczyć? Czy to nie było obłudne? I Joachim, sam siebie nie rozumiejąc, powiedział: – Cóż, Bertrand, kiedy zawita pan następnym razem do Berlina, raczej mnie tu nie zastanie, bo po manewrach wyjeżdżam na kilka tygodni do Stołpina. Jeśli jednak rzeczywiście zechce pan mnie tam odwiedzić, to szczerze się ucieszę. – A Bertrand obiecał, że go odwiedzi.

Odwiecznym zwyczajem pana von Pasenowa było oczekiwanie na pocztę w swoim gabinecie. Na stole od niepamiętnych czasów obok stosu gazet łowieckich trzymano wolne

miejsce i w tym miejscu posłaniec codziennie kładł torbę. I choć na ogół skórka nie opłacała się za wyprawę i często plon składał się tylko z jednej czy dwóch gazet, pan von Pasenow zawsze z tą samą łapczywością zdejmował klucz pocztowy z jelenich rogów, na których go zazwyczaj wieszał, i otwierał żółty mosiężny pałąk czarnej torby. I podczas gdy posłaniec z czapką w ręce czeka w milczeniu i patrzy w podłogę, pan von Pasenow bierze korespondencję i siada z nią przy biurku, odkłada przede wszystkim listy dla siebie i swej rodziny, a sprawdzwszy starannie adresy na pozostałych wręcza te przesyłki posłańcowi, aby ten doręczył je odbiorcom pośród domowników. Nieraz musiał się przemóc, żeby nie otworzyć tego czy innego listu skierowanego do którejś z dziewczek, bo wydawało mu się to równie oczywiste jak *ius primae noctis* dziedzica, a że tajemnica korespondencji miała obejmować także podwładnych, to był nowomodny wymysł, który nie trafiał mu do gustu. Wszelako wśród czeladzi byli tacy, co sarkali nawet na oględziny listów z zewnątrz, zwłaszcza że dziedzic nie krępował się wypytywać później o ich treść czy drażnić z dziewczkami. Na tym tle dochodziło już do poważnych zatargów, które jednak skończyły się wymówieniami, tak że buntownicy teraz nie protestowali jawnie, lecz albo sami odbierali swoje listy na poczcie, albo po kryjomu umówili się z poczmistrzem, że będzie je przynosił urzędowy listonosz. Ba, jakiś czas widywano nawet świętej pamięci młodego dziedzica, jak pod urzędem pocztowym zsiadał z konia, żeby własnoręcznie odebrać pocztę do siebie: być może oczekiwał wówczas listów od kobiety, które chciał uchronić przed oczami starego, albo prowadził interesy, które miały być utrzymane w tajemnicy; ale poczmistrz, który na ogół nie krył się ze swymi spozrzeżeniami, nie mógł podejrzewać ani jednego, ani drugiego, gdyż skąpa korespondencja, jaką otrzymywał Helmut von Pasenow, nie pozwalała na wysnuć jakichkolwiek wniosków. Niemniej jednak uparcie krążyła pogłoska, że stary jakimś machinacjami z korespondencją zniszczył małżeństwo i szczęście syna. Obstawały przy tym zwłaszcza kobiety w majątku i na wsi i chyba miały trochę racji, bo Helmut robił się coraz bardziej zobojętniały i znużony, niebawem zaprzestał konnych przejażdżek na wieś i zarządził, żeby jego korespondencję znów dostarczano w dużej pocztowej torbie do majątku i na ojcowski stół.

Pan von Pasenow zachował namiętność do poczty, toteż nie rzucało się w oczy, że może ją nawet trochę spotęgował. Na poranną przejażdżkę lub spacer wybierał się tak, że musiał po drodze spotkać posłańca, a wtedy okazywało się, że nie zostawił kluczyka od torby na jelenich rogach, lecz wziął ze sobą, żeby w szczerym polu móc otworzyć torbę. Tam też spieszenie przeglądał listy, po czym jednak odkładał je z powrotem do torby, aby nie zakłócać domowego rytuału, który następował w sposób uświęcony zwyczajem. A raz zapuścił się rankiem aż pod urząd, w którym posłaniec stał jeszcze przy okienku opierając się o ścianę, i czekał, aż worek pocztowy zostanie wypróżniony na sfatygowany stół, potem zaś wspólnie z poczmistrzem sortował i rozdzielał przesyłki. Gdy posłaniec opowiedział w majątku o tym niepospolitym zdarzeniu, ochmistrzyni Agnieszka, znana powszechnie z ostrego języka, stwierdziła: – Teraz zaczyna już nie dowierzać samemu sobie. – Było to naturalnie gadanie bez racjonalnego podłoża, a w niewzruszoności, z jaką ona bardziej niż ktokolwiek inny czyniła dziedzica odpowiedzialnym za śmierć syna, można by się chyba było doszukać późnego rezultatu owej złości, która tkwiła w niej już od lat, kiedy to stary drażnił się z nią, młodą jeszcze i urodziwą, z powodu jej korespondencji.

Nie, pan von Pasenow zawsze miał słabość do poczty i to, co teraz wyprawiał, wcale nie rzucało się w oczy. Nie zwracało też uwagi, że pastor bywał teraz częściej zapraszany na kolację i że nawet sam pan von Pasenow podczas spacerów od czasu do czasu wstępował na plebanię. Nie, to nie wydawało się dziwne i pastor uważał te odwiedziny za owoc udzielonej duchowej pociechy. Jedynie pan von Pasenow wiedział, że do pastora, chociaż nie lubił tego człowieka, popychał go niewytłumaczalny i tajemniczy impuls, niejasna nadzieja, że usta, które głosiły kazania w kościele, muszą oznajmić mu coś, czego oczekiwał i czego – mimo

całego lęku, że to się nigdy nie ziści – nie potrafił nawet nazwać. Kiedy pastor zaczynał mówić o Helmucie, pan von Pasenow rzucał czasami: – Przecież to wszystko jedno... – i ku swemu własnemu zdumieniu przerywał rozmowę, zgoła w popłochu, jakby bał się nieznanego, którego przecież pragnął. Ale czasami bywały dni, gdy znosił to, że nieznanie się zbliżało, i wtedy była to jakby zabawa, w której brał udział jako dziecko: ukrywało się pierścień w widocznym miejscu, na przykład zawieszając go na świeczniku albo na kluczu, i kiedy szukający oddalali się, mówiło się: „zimno”, a kiedy zbliżali się do ukrytego przedmiotu, mówiło się: „ciepło” albo nawet „gorąco”. Było więc całkiem oczywiste, że pan von Pasenow nagle powiedział gwałtownie i wyraźnie: – Gorąco, gorąco – i omal nie zaklaskał w dłonie, gdy pastor znowu mówił o Helmucie. Pastor uprzejmie potwierdził, że dzień jest rzeczywiście bardzo ciepły, i pan von Pasenow powrócił do teraźniejszości. Jakie to jednak osobliwe, że różne rzeczy tak blisko ze sobą sąsiadują: dopiero co człowiek był jakby pograżony w grze, a tu i śmierć wchodzi w grę. – Tak, tak, ciepło jest dzisiaj – powiedział więc pan von Pasenow, a wyglądało na to, że jest mu zimno – tak, w takie gorące noce stodoły palą się aż miło.

Myśl o upale nie opuszczała go również przy kolacji: – W Berlinie musi teraz być nieznośnie gorąco. Joachim co prawda nic na ten temat nie pisze... cóż, on w ogóle pisze tak mało. – Pastor wspomniął o trudach służby. – Jakiej służby? – spytał ostro pan von Pasenow, tak że speszony pastor nie znalazł odpowiedzi. – Bo nasz pastor – skomentowała pani von Pasenow – właśnie uważa, że służba pozostawia Joachimowi mało wolnego czasu na pisanie, zwłaszcza teraz, w okresie manewrów. – No to niech rzuci służbę – burknął pan von Pasenow. Potem wypił prędko kilka kieliszków wina, jeden po drugim, i oświadczył, że już mu lepiej; nalał pastorowi: – Proszę pić, pastorze, jak się pije, to człowiekowi robi się ciepło, a jak się widzi podwójnie, to jest się mniej samotnym. – Kto jest z Bogiem, nigdy nie jest samotny, proszę szanownego pana – odrzekł pastor, a pan von Pasenow odczuł tę odpowiedź jako upomnienie i nietakt. Czyż zawsze nie oddawał Bogu, co boskie, a cesarzowi lub raczej królowi, co mu należne? Jeden syn służy królowi i nie pisze, drugiego Bóg zabrał do siebie i wokół jest pusto i zimno. Cóż, pastorowi łatwo było mówić wyniośle; miał pełen dom, zbyt pełen jak na swoje warunki, a teraz znów zanosilo się na powiększenie rodziny. Wtedy nietrudno być z Bogiem, chciałby odpowiedzieć proboszczowi, ale nie mógł psuć sobie stosunków, kto by mu pozostał, skoro już nikt nie chce z nim przestawać, z wyjątkiem... tu myśl obleczona właśnie w uchwytny kształt urwała się, ukryła i pan von Pasenow powiedział miękko i marzycielsko: – W oborze jest ciepło. – Pani von Pasenow ze strachem popatrzyła na małżonka; czyżby jednak za szybko wypił wino? Ale pan von Pasenow wstał i nadstawił ucha w stronę okna; gdyby lampa oświetlała nie tylko stół, pani von Pasenow musiałaby dostrzec w jego rysach wyraz lęklivego wyczekiwania, który wszelako zniknął, gdy rozległy się kroki nocnego stróża na trzeszczącym żwirze. Pan von Pasenow podszedł do okna, wychylił się i zawołał: – Jürgen! – A gdy ciężki krok Jürgenowi zatrzymał się pod oknem, pan von Pasenow rozkazał mieć baczenie na spichrze: – Akurat przed dwunastu laty takiej ciepłej nocy wielka stodoła na folwarku spaliła się do szczętu. – I gdy Jürgen przypomniał sobie zgodnie z rozkazem i powiedział: – Bez obawy! – również dla pani von Pasenow zdarzenie powróciło do zwyczajowej normy, tak że nie czuła zaniepokojenia, gdy pan von Pasenow pożegnał się, aby jeszcze napisać list, który miał wyjść z poranną pocztą. Przy drzwiach jeszcze się odwrócił: – Proszę powiedzieć, pastorze, dlaczego mamy dzieci? Pan powinien wiedzieć, pan przecież ma praktykę.

– I oddalił się spieszenie, dysząc, ale trochę jak pies, który biega na trzech łapach.

Pozostawszy sam na sam z pastorem pani von Pasenow powiedziała: – Taka jestem szczęśliwa, kiedy on znów ma lepszy humor. Od zgonu naszego biednego Helmuta cały czas był przybity.

Sierpień zbliżał się do końca i wrota teatrów znów stały otworem. Rużena teraz miała wizytówki, z których wynikało, że jest aktorką, a Joachim musiał jechać na manewry do Górnej Frankonii. Był zły na Bertranda, że ten znalazł Rużenie pracę w zawodzie, który koniec końców miał równie złą opinię jak przesiadywanie w kasynie Pod Jegrami. Naturalnie odpowiedzialnością trzeba było też obarczyć samą Rużenę, że w ogóle trafiła do takiego zawodu, a może jeszcze bardziej jej matkę, że nie upilnowała swego dziecka jak należy. Ale jego chęci naprawienia tego stanu rzeczy wydawały się zniweczone przez Bertranda. Może nawet teraz zrobiło się jeszcze gorzej niż dawniej. Bo w kasynie wszystko było jednoznaczne i obowiązywało tak – tak i nie – nie; natomiast scena miała swoistą atmosferę; tutaj były hołdy i kwiaty i młodej dziewczynie, która chciała prowadzić się przyzwoicie, chyba nigdzie indziej nie przychodziło to z większym trudem. To przecież rzecz ogólnie znana. Ach, było to staczanie się coraz niżej i Rużena nie mogła tego zrozumieć, lecz była nawet dumna ze swego nowego zawodu i swych kart wizytowych. Z emfazą opowiadała o zakulisowych przeżyciach i wszelkich teatralnych plotkach, których on nie chciał słuchać, i w półmroku ich współżycia rozbłyskiwały teraz nieustannie smugi świateł rampy. Jakże on mógł kiedykolwiek wierzyć, że znajdzie do niej drogę albo że ona będzie należała do niego, ona, z góry stracona. Jeszcze jej szukał, ale teatr wyrastał jak groźba i kiedy ona opowiadała z zapalem o miłostkach koleżanek, on widział w tym niebezpieczeństwo i niewzruszony zamiar jej rozbudzonej ambicji, żeby im dorównać, widział w tym powrót Rużeny do dawniejszego życia, które być może toczyło się niewiele inaczej; bo człowieka zawsze ciągnie do punktu wyjścia. Zburzone szczęście półmrocznej bierności, utracona słodycz smutku, który co prawda ogarniał serce i wyciskał łzy, ale nosił w sobie cień wiecznego pograżania się.

Oto znów pojawiły się urojenia, na które czuł się uodporniony, i choć w twarzy Rużeny nie musiał już szukać oblicza włoskiego brata, było ono wyryte w niej w sposób chyba jeszcze gorszy, wyryte jako niezatarte oblicze owego życia, z którego nie zdołał jej wyrwać. I znów zbudziło się podejrzenie, że to Bertrand wywoływał te urojenia, to on wszystko zamierzył, chciał jak Mefisto zniszczyć wszystko nie oszczędzając nawet Rużeny. Na dobitek nadeszły manewry; jak po powrocie znajdzie Rużenę? Czy w ogóle jeszcze ją znajdzie? Nieraz obiecywali sobie, że będą pisać codziennie; ale Rużena z pisaniem po niemiecku miała masę kłopotów, a że w dodatku była dumna ze swoich wizytówek, on zaś nie odważył się unicestwiać dziecinnej radości, poczta często przynosiła mu tylko taką kartę wizytową ze znieawidzonym słowem „aktorka” i dopiskiem „zasyła wiele całusów”, przy czym to słowo zdawało się profanować delikatność jej pocałunków. Wszelako gdy przez kilka dni nie dostawał od niej żadnej wiadomości, był wielce zaniepokojony, mimo że perswadował sobie, iż koczowniczy tryb życia w terenie tłumaczy pocztowe opóźnienia; i ucieszył się, gdy potem nadeszła jedna z niemiłych wizytówek. I ni z tego, ni z owego pojawiło się jakby wspomnienie, że Bertrand też jest swego rodzaju aktorem.

Rużena tymczasem tęskniła za Joachimem. Jego listy zawierały opisy życia na manewrach i wieczorów w małych wioskach, którymi prawdziwie by się radował, „gdybyś Ty, kochana, mała, słodka Rużeno, była przy mnie”. I kiedy prosił ją, żeby w tym samym czasie co on, o dziesiątej wieczorem, patrzyła w księżyc, bo wtedy ich spojrzenia spotkają się tam w górze, to ona na przerwie wybiegała przed teatr i posłusznie spoglądała w górę, nawet jeśli przerwa wypadła dopiero o wpół do dziesiątej. Czuta się tak, jak gdyby owo wiosenne popołudnie w deszczu wciąż jeszcze trzymało ją w swych okowach, jak gdyby coś w niej paraliżowało; fala przyływu, która zalała ją wówczas, cofała się bardzo powoli i chociaż wola dziewczyny nie była na tyle silna, a zresztą nie miała też żadnych możliwości, żeby wznosić tamy dla zatrzymania przyływu, to powietrze, które wdychała i wydychała, nadal jednak było nasycone łagodną wilgocią. Wprawdzie zazdrościła koleżankom, którym przynoszono kwiaty do garderoby, ale właściwie było jej żal tylko ze względu na Joachima, którego kochanka wedle jej życzeń powinna być podziwianą diwą. I chociaż kobieta zakochana często

roztacza ową aurę erotyzmu będącą dla wielu najsubtelniejszym powabem, to mężczyźni, którzy składali hołdy artystkom, byli jednak z gatunku tych, co nie potrafią dosłyszeć tak delikatnego tonu. W rezultacie gdy Joachim wrócił z manewrów do Berlina, Rużena przyjęła go bardziej nietknięta niż kiedykolwiek; oboje odczuli to jak zwycięstwo, mimo że wiedzieli, iż po nim nastąpi klęska; ale nie chcieli tego wiedzieć i w uściskach szukali obrony przed tą świadomością.

Odkąd pociąg opuścił halę dworca i Elżbieta przestała powiewać chusteczką na pożegnanie, usiłowała sobie uświadomić, czy kocha Joachima. Doznawała niemal radosnego uspokojenia, że uczucie, które chciała określić mianem miłości, poczyniło sobie tak bardzo oględnie i cywilizowanie; trzeba było wręcz zastanowienia, by je dostrzec, był to bowiem twór tak lekki i zwiewny, że ukazywał się dopiero na tle srebrzystej nudy. Lecz oto blakły delikatne kontury obrazu, jako że nuda przemieniała się w rosnącą niecierpliwość, im bardziej zbliżały się do swoich rodzinnych stron, a gdy na stacji czekał na nie baron z nowymi końmi i zwłaszcza gdy dotarły do Lestowa, gdy pojawiła się natura okolona zielonymi wierchołkami parkowych drzew, spokojna masywność wysuniętej naprzód bramy, pierwsza niespodzianka, bo po obu stronach wejścia do parku przybudowano dwie nowe stróżówki, tak że panie wydawały żywe okrzyki zdumienia, to zaś był zaledwie początek tego, co miały jeszcze zobaczyć i przeżyć w następnych dniach, jest aż nadto zrozumiałe, że Elżbieta nie myślała już o miłości. Nieobecność obu swoich pań czy – jak niekiedy mawiał wbijając Elżbietę w dumę – obu swoich kobiet baron wykorzystał bowiem znowu do wprowadzenia w domu różnorodnych ulepszeń i upiększeń, które zachwyciły je i przyniosły baronowi wiele słów pochwały i czułego podziękowania. Miały one też wszelkie powody, żeby być dumnymi ze swego znajomego się na sztuce papy, który co prawda nie okazywał nadmiernego respektu dla tego, co jest, i ozdabiał już stary dwór różnego rodzaju ornamentacją, ale bynajmniej nie ograniczał się do strony architektonicznej, nigdy nie zapominając, że na ścianach zawsze musi być miejsce, do którego jak ułał pasuje nowy obraz, musi być kąt, który można przystroić ciężkim wazonem, kredens, który należało przykryć haftowaną złotą aksamitną serwetą, i był człowiekiem działającym w tym duchu. Od ślubu baron i baronowa stali się kolekcjonerami i ciągle udoskonalanie domu było dla nich uwiecznieniem narzeczeństwa, nawet wtedy jeszcze, kiedy dołączyła do nich córka. Elżbieta nie miała wątpliwości, że dla rodziców pasja obchodzenia urodzin i rozmaitych innych uroczystości z prezentami i stałe nastawianie się na nowe niespodzianki miały głębokie znaczenie i w głębszy, choć trudny do przeniknięcia sposób wiązały się z radością, ba, można by powiedzieć wprost: namiętnością otaczania się coraz to nowymi przedmiotami; Elżbieta wprawdzie nie wiedziała, że każdy kolekcjoner z dążeniem do nieosiąganej nigdy i nigdy nieosiągalnej, a przecież wciąż upragnionej całkowitej kompletności zbiorów wykracza poza zebrane przedmioty, wkracza w nieskończoność i że pograżając się w swojej kolekcji ma także nadzieję na osiągnięcie własnej kompletności i zniesienie własnej śmierci, tego Elżbieta nie wiedziała, ale w otoczeniu wszystkich tych licznych pięknych martwych rzeczy, które były zebrane i nagromadzone wokół niej, w otoczeniu licznych pięknych obrazów przeczuwała jednak, że obrazy wisiały na ścianach, jak gdyby miały wzmacniać mury i jak gdyby wszystkie te martwe rzeczy miały ukrywać coś bardzo żywego, może również przechowywać i chronić, coś, z czym ona sama tak bardzo była związana, że nieraz myślała nieodparcie, iż to młodsze rodzeństwo, gdy przynoszono nowy obraz, coś, co wymagało pielęgnacji i co rodzice pielęgnowali, jakby od tego zależało wspólne bytowanie ich wszystkich: przeczuwała strach, który się za tym krył i który powszedniość, będącą starzeniem się, usiłował zagłuszyć odświętnością, strach, który raz po raz upewniał się – wciąż na nowo przeżywana niespodzianka – że są żywi, cali i ostatecznie razem, a ich krąg jest po wsze czasy zamknięty. I podczas gdy baron coraz to nowe połacie swej ziemi włączał do parku, którego gęsty,

ciemny drzewostan już niemal zewsząd był otoczony rozległymi obszarami sympatycznego, rzadkiego młodnika, Elżbiecie wydawało się, że pragnie on z niemal kobiecą pieczołowitością uczynić życie ich wszystkich coraz większym, ogrodzonym parkiem pełnym uroczych miejsc do odpoczynku, że będzie u celu i wolny od wszelkiego strachu dopiero wówczas, gdy park rozprzestrzeni się na całą kulę ziemską, stanie się parkiem nad parkami, aby Elżbieta wiecznie przechadzała się po nim. Co prawda niekiedy coś w niej sprzeciwiało się takiemu łagodnemu a nieuchronnemu zaangażowaniu, ale że bunt prawie nigdy nie był zbyt wyraźny, zlewał się z jasnymi konturami wzgórz leżących za parkowym ogrodzeniem.

– Ojej – powiedziała baronowa, gdy podziwiała nową pergolę w rozarium – ojej, jakie to śliczne: jakby stworzone dla oblubieńców. – Uśmiechnęła się do Elżbiety, ojciec też się uśmiechnął, ale w oczach ich obojga można było wyczytać wyraźny lęk przed nieuniknioną groźbą, bezradność, wiedzę o niewierności i zdradzie, jednakże i wybaczenie z góry, jako że sami nie byli bez grzechu. Jakie to było smutne, że rodzice już na samą wzmiankę o jej przyszłym zamążpójściu wydawali się przygnębieni, i Elżbieta odsunęła daleko od siebie wszelką myśl o małżeństwie, tak daleko, że mogła sobie pozwolić na chętnie przysłuchiwanie się, kiedy rodzice niejako w uznaniu powołania córki do miłości mówili o ewentualnych zaślubinach, w uznaniu, które przenosiło córkę w sferę dorosłych, czyniło z niej niemal siostrę matki i chyba dlatego Elżbieta musiała przypomnieć sobie dzień ślubu ciotki Brygidy, gdy matka teraz wycisnęła na jej policzku czuły pocałunek, musiała też odczuć go jak pocałunek na pożegnanie, bo tak matka ucałowała wówczas siostrę, ucałowała ze łzami w oczach, ze łzami, chociaż wszyscy twierdzili, że są bardzo szczęśliwi i cieszą się z nowego młodego wuja. Ale naturalnie to się zdarzyło już dawno temu; dziecinadą było rozpamiętywanie tego i Elżbieta, pomiędzy rodzicami, położyła dłonie na ich ramionach i poszła z nimi do środkowej altany pergoli, gdzie usiedli. Grządki róż, poprzecinane wąskimi, symetrycznie krętymi ścieżkami, pyszniły się wszystkimi barwami i rozsiewały mocną woń, ale cienie jeszcze nie uleciały i baron, wskazując kępę krzaków, powiedział smutno: – A tam spróbowałem zasadzić trochę róż Manettiego, ale nasz klimat może być dla nich za surowy – i jak gdyby zamierzając taką obietnicą zatrzymać córkę ciągnął: – A jeśli się uda i wyrosną, to będą należały do Elżbiety. – Elżbieta poczuła uścisk jego dłoni i była to dla niej jakby aluzja, że istniało coś, czego nie mogli utrzymać w rękach dość mocno, coś, o czym sądziło się może, iż to był czas, skręcony i ściśnięty jak sprężyna zegara, a teraz powstało niebezpieczeństwo, że się odkręci, odwinie w palcach, wydłuży, przerażająco długa cienka biała taśma, która zaczyna pełzać i usiłuje zawładnąć nimi jak zły wąż, tak iż człowiek robi się gruby, stary i brzydki. Może matka też to wyczuła, bo rzekła: – Jak dziecko kiedyś od nas odejdzie, to zostaniemy tutaj sami. – A Elżbieta powiedziała w poczuciu winy: – Przecież ja zawsze będę z wami – powiedziała to w poczuciu winy i z zawstydzeniem, ponieważ sama nie wierzyła w te słowa, a jednak zabrzmiały one jak odnowienie starego ślubowania. – Ja zresztą nie widzę powodu, dla którego miałyby potem nie zamieszkać z mężem u nas – podsunęła baronowa, ojciec zaś odparował: – Do tego mamy jeszcze dużo czasu – i Elżbieta znów musiała pomyśleć o ciotce Brygidzie, która siedziała w Wierzbowie i grubiała, wyklócała się z dziećmi i z nadobną postacią sprzed lat miała tak niewiele wspólnego, że nie sposób było sobie wyobrazić, jak kiedyś wyglądała, i człowiek niemal wstydził się szczęścia, jakie dawniej dawała jej bliskość. A przy tym Wierzbowo jest jaśniejsze i przytulniejsze niż Stołpin i wszyscy cieszyli się, że w osobie wuja Alberta zyskali nowego młodego kuzyna. Być może ona wcale tak bardzo nie kochała ciotki Brygidy, a tylko wejście do rodziny nowego powinowatego stało się takim podniecającym i urzekającym zdarzeniem. Gdyby więzy powinowactwa łączyły nas z wszystkimi ludźmi, świat byłby jak wypielegnowany park i wprowadzenie nowego kuzyna oznaczałoby zasadzenie w ogrodzie nowego gatunku róży. Niewierność i zdrada stałyby się wtedy lżejszym występkiem: czuła to chyba już wówczas, gdy tak bardzo się cieszyła z wuja Alberta, i w morzu wyrządzanych im krzywd była może ta

wysepka przebaczenia, na którą teraz schronili się rodzice, gdyż o ewentualnym zamążpójściu córki mówili jak o radosnym przeznaczeniu. Również baronowa nie porzuciła tej myśli; a ponieważ życie składa się z samych kompromisów, powiedziała: – Poza tym nasz domek w Westendzie zawsze będzie stał przed nią otworem. – Ale dłoń Elżbiety spoczywała jeszcze w dłoni ojca, czuła jej uścisk, Elżbieta nie chciała słyszeć o żadnym kompromisie. – Nie, ja będę z wami – powtórzyła nieomal knąbnie i przypomniała sobie, jak gorzko odczuwała w dzieciństwie to, że nie miała wstępu do sypialni rodziców i że nie dane jej było czuwać nad ich oddechami; baronowa lubiła często mówić o śmierci, która zwykła zaskakiwać człowieka we śnie, i jeśli napędzała tym małżonkowi i Elżbiecie stracha, to rano przynosił błogą niespodziankę, że noc nie rozdzieliła ich na zawsze, przynosił ponawiane codziennie gwałtowne pragnienie, żeby wzięli się za ręce, żeby się trzymali, żeby nigdy nie dali się rozłączyć. Tak też siedzieli teraz tutaj w pergoli wypełnionej wonią róż; przybiegł w podskokach psiak Elżbiety, powitał ją jakby odnalezioną na zawsze i położył łapy na jej kolanach. Krzaki róż stały sztywno i twardo na tle zielonej ściany ogrodu pod jasnoblękitnym niebem. Nigdy nie będzie mogła rankiem powitać z ową radością kogoś obcego, choćby i najbliższej spowinowaczonego, nigdy nie pomyśli o jego urodzinach z tak żarliwą, wręcz nabożną usilnością, nigdy nie ogrozi go owym niepojętym a przecież wysokim strachem, który jest miłością. A uprzytomniwszy to sobie obdarzyła rodziców kochającym uśmiechem i pogłaskała łeb psiaka Bello, który z oddaniem spoglądał na nią lękliwie kochającymi oczyma.

Później zaczęło się jej nudzić i znów pojawiło się też uczucie lekkiego buntu. Wtedy nie było rzeczą nieprzyjemną pomyśleć o Joachimie i ujrzała jego smukłą sylwetkę, ujrzała, jak w długiej, czworokątnej kurtce munduru skłoniwszy się lekko stał na peronie. Ale jego wizerunek zmieszał się osobliwie nierozzerwalnie z wizerunkiem młodej ciotki Brygidy i pomału traciła rozeznanie, czy to Joachim miał poślubić eteryczną Brygidę, czy ona sama młodego wuja z czasów dzieciństwa. I choć wiedziała, że miłość to nie jest to, co bywa przedstawiane w operze i w powieściach, to jednak nie ulegało wątpliwości, że myślała o Joachimie bez strachu; ba, nawet gdy wyobraziła sobie, że odjeżdżający pociąg wówczas zaczepił o jego szpadę i Joachim wpadł pod koła, obraz ten nappełnił ją zgrozą, lecz nie owym słodkim smutkiem, trwogą i drzeniem, z jakim odnosiła się do życia rodziców. Uświadomiwszy to sobie, nabrała jakby poczucia rezygnacji, ale także małej, smutnej ulgi. Niemniej jednak postanowiła, że przy okazji zapyta Joachima, kiedy ma urodziny.

Joachim wrócił do Stołpina. Już w drodze ze stacji, zaraz po tym, jak przejechali wieś i dotarli do pierwszych pól majątku, znienacka zakiełkowało w nim nowe doznanie; szukał słów na jego określenie i znalazł: moja własność. Wysiadając przed dworem miał nowe poczucie przynależności.

Siadał teraz do stołu razem z ojcem i matką i gdyby to ograniczało się do śniadań, byłoby całkiem znośne; cieszył się, że może przesiadywać pod dużą lipą mając przed sobą świeży i rozświetlony ogród; dobre żółte masło, miód i patera z owocami, wszystkie te smakowitości przyjemnie kontrastowały ze śniadaniem łykanym naprędce przed służbą. Ale już obiady, kolacje i wspólne picie kawy o stałej porze były udręką; przebywanie razem dzień w dzień stawało się w miarę upływu godzin coraz bardziej apatyczne i jeśli rano rodzice cieszyli się widokiem rzadko oglądanego syna i być może codziennie oczekiwali, że spotka ich z jego strony coś pięknego i wypełniającego życie, to przebieg dnia – odmierzany rytmem posiłków – był coraz większym rozczarowaniem i gdzieś po południu obecność Joachima zgoła potęgowała ich wzajemne animozje, nawet nadzieja na pocztę, jedynie rozjaśnienie powszedniej szarzyzny, była pomniejszona przez bytność syna i jeśli mimo to stary jeszcze teraz codziennie wychodził posłańcowi na spotkanie, to był to niemal akt rozpacz, było to skryte wezwanie pod adresem Joachima, żeby wreszcie wyjechał i przysyłał listy. Przy tym

pan von Pasenow zdawał się sam wiedzieć, że czekał na coś zupełnie innego niż listy od Joachima i że posłaniec, którego wypatrywał, to nie był ten z pocztową torbą.

Joachim podejmował niezdecydowane próby zbliżenia z rodzicami. Odwiedzał ojca w ozdobionym jelenimi rogami pokoju i pytał o zbiory, o polowania, miał też nadzieję, że ucieszy starego to, iż on przynajmniej pobieżnie usłuchał wezwania, by „się wciągnąć”. Ale ojciec albo zapomniał o tym wezwaniu, albo sam nie wiedział, co się dzieje w majątku, bo dawał tylko niechętne, wymijające odpowiedzi, ba, raz powiedział wprost: – O to na razie nie musisz się martwić – i Joachim, wprowadzając uwolniony od uciążliwego zobowiązania, musiał przypomnieć sobie czasy, kiedy to oddano go do szkoły kadetów i po raz pierwszy wyzuto z ojczyznej ziemi. Teraz jednak wrócił i oczekiwał swego własnego gościa. Było to przyjemne uczucie i choć zawierało sporą dawkę wrogości wobec ojca, Joachim nie zdawał sobie z tego sprawy, ba, miał nawet nadzieję, że również rodzice będą zadowoleni z tego przerwania narastającej nudy i będą wyglądali przybycia Bertranda z taką samą jak on niecierpliwością. Nie miał za złe, że ojciec lustrował jego korespondencję, a kiedy potem wręczał mu ją ze słowami: – Zdaje się, że niestety wciąż jeszcze nie ma wiadomości od twojego przyjaciela. Czy on w ogóle przyjedzie? – Joachim, mimo że pobrzmiwały złośliwą satysfakcją, chciał dosłuchiwać się w nich jedynie ubolewania. Jego zły humor dawał o sobie znać dopiero wówczas, gdy w rękach ojca widział list od Rużeny. Ale stary nic nie mówił, co najwyżej wciskał monokl w oko i upominał: – Doprawdy już czas, żebyś wybrał się do Baddensenów – co mogło oznaczać uszczypliwą aluzję albo i nie, w każdym razie wystarczało, żeby Joachimowi tak bardzo obrzydziło spotkanie z Elżbietą, iż stale przesuwając wizytę, aczkolwiek jej sylwetka i powiewająca koronkowa chusteczka dotychczas wiernie mu towarzyszyły, wszelako coraz dobitniej w połączeniu z pragnieniem i wyobrażeniem, że zajeżdżając przed schody zewnętrzne pałacu w Lestowie musi mieć u swego boku na koźle powozu Edwarda von Bertranda.

Ale do tego nie doszło, przynajmniej na razie, bo któregoś dnia Elżbieta i jej matka złożyły państwu von Pasenowom spóźnioną wizytę kondolencyjną. Elżbieta czuła się rozczarowana, a zarazem w jakiś sposób wyzwolona, że Joachima przypadkiem nie było w domu, i czuła się też trochę urażona. Towarzystwo siedziało w małym salonie i panie dowiedziały się od pana von Pasenowa, że Helmut zginął broniąc honoru nazwiska. Elżbiecie nieodparcie przyszło na myśl, że być może w niezbyt dalekiej przyszłości również ona będzie nosić nazwisko, za które ktoś zginął, i z odrobiną dumy i przyjemnego zdziwienia stwierdziła, że wtedy także państwo von Pasenowowie byłiby nowymi powinowatymi. Mówiono jeszcze o tej śmierci i pan von Pasenow powiedział: – Tak to jest, kiedy ma się synów; giną broniąc honoru albo króla... To śmieszne mieć synów – dorzucił ostro i agresywnie. – Ach, za to córki wychodzą nam za mąż, ani się człowiek spostrzeże – rzekła baronowa z nieomal wieloznacznym uśmiechem – i w każdym razie my, starzy, zostajemy sami. – Ale pan von Pasenow nie odparł na to, jak by wypadało, że baronowej żadną miarą do starych zaliczyć nie można, lecz zastygł w bezruchu z otępiętym wzrokiem i po dłuższym milczeniu powiedział: – Tak, zostajemy sami, zostajemy sami – a po chwili wyteżonego namysłu dodał: – umieramy sami. – Ależ, szanowny panie, nie ma co myśleć o umieraniu – zabrzmiała wypowiedziana obowiązkowo wesołym głosem replika baronowej – och, długo jeszcze nie ma co o tym myśleć; po deszczu przychodzi słońce, proszę drogiego pana, i to powinniśmy zawsze mieć przed oczami. – Pan von Pasenow powrócił do rzeczywistości i znów był dżentelmenem: – Pod warunkiem, że słońce przyjdzie do naszego domu w pani postaci, baronowo – i nie czekając na odpowiedź pochlebionej baronowej ciągnął dalej: – Lecz jakże rzadko to się zdarza... dom jest pusty, nawet poczta nic nie przynosi. Napisałem do Joachima, ale on rzadko odpowiada; jest na manewrach. – Wystraszona pani von Pasenow zwróciła się do męża: – Ale... ale przecież Joachim jest tutaj. – Jadowitym spojrzeniem została skarcona za to sprostowanie.

– A co, napisał? I gdzie się teraz obraca? – i z pewnością doszłoby do malej scysji, gdyby zamknięty w klatce kanarek harceński nie wystrzelił cienką, żółtą kaskadą dźwięków. I oto siedzieli wokół niego jak dokoła fontanny i na parę chwil zapomnieli o wszystkim innym: było tak, jak gdyby ta wąska, żółta smuga kanarkowego głosu wspinając się i opadając spowijała ich i zespałała w ową wspólnotę, w której ugruntowana była błogość ich życia i umierania; było tak, jak gdyby ta smuga, która mknęła w górę i wypełniała ich, a przecież wracała do źródła i znajdowała pełnię, odebrała im mowę, może dlatego że w pokoju była ta cienka, żółta ozdoba, może dlatego, że na parę chwil dotarło do ich świadomości, iż przynależą do siebie, i wydobyło ich z przeraźliwej ciszy, której hałasu i której niemoty nieprzeniknione brzmienie staje między człowiekiem a człowiekiem, ściana, która nie przepuszcza już głosu człowieka ani w jedną, ani w drugą stronę, tak że musi ona zadrzeć. Lecz teraz, słuchając śpiewu kanarka, nawet pan von Pasenow nie słyszał już przeraźliwej niemoty i wszyscy byli szczerze wzruszeni, gdy pani von Pasenow powiedziała: – A teraz przejdziemy na kawę. – A kiedy przechodzili przez dużą salę, której okna były zasłonięte z uwagi na popołudniowe słońce, nikt nie pomyślał o tym, że Helmut był tu złożony na marach.

Potem przyszedł Joachim i Elżbieta znów doznała rozczarowania, bo zachowała w pamięci jego postać w mundurze, a on miał teraz na sobie wiejski strój myśliwski. Byli obcy sobie i skrępowani; nawet gdy z resztą towarzystwa wrócili do salonu i Elżbieta stanęła przy klatce kanarka wtykając palec między pręty, żeby dziobał go ze złością, nawet gdy postanowiła, że w swoim własnym salonie – jeśli kiedykolwiek wyjdzie za mąż – zawsze będzie chciała mieć takiego małego, żółtego ptaszka, nawet wtedy nie potrafiła już skojarzyć Joachima z małżeństwem. Ale było to właściwie po prostu przyjemne i uspokajające, dzięki czemu przy pożegnaniu łatwiej jej przyszło umówić się, że on wkrótce zabierze ją na konną przejażdżkę. Przedtem naturalnie złoży im wizytę.

Bertrand miał wreszcie możliwość skorzystania z zaproszenia Pasenowa i przyjechał wieczornym pociągami do Berlina, żeby po drodze spędzić tam dwa dni. Było rzeczą zrozumiałą, że chciał zatroszczyć się o Rużenę: poszedł prosto do teatru i z paru kwiatami posłał jej wiadomość do garderoby. Rużena ucieszyła się z jego karteczki, ucieszyła się z kwiatów i była pochlebiona, że Bertrand czekał na nią przy wejściu dla artystów. – No, jak się mamy, mała Rużenko? – A Rużena natychmiast opowiedziała z ożywieniem, że ma się bardzo dobrze, bardzo dobrze, och, właściwie to wcale nie dobrze, ponieważ tak bardzo tęskni za Joachimem, ale teraz naturalnie ma się dobrze, ponieważ okropnie się cieszy, że Bertrand, który jest przecież takim dobrym przyjacielem Joachima, przyszedł po nią. Gdy potem siedzieli przy kolacji naprzeciw siebie i naopowiadali już różności na temat Joachima, Rużena, jak to się jej często zdarzało, nagle posmutniała: – On to teraz do Joachima pojedzie, a ja tutaj zostać muszę; jaka to jest niesprawiedliwość na tym świecie. – Naturalnie jest niesprawiedliwość na tym świecie i to jeszcze dużo gorsza, niż myślisz, mała Rużeno – obojgu wydawało się stosowne, że mówił jej na ty – i po trosze sprowadził mnie tutaj niepokój o ciebie. – Jak to rozumie? – Cóż, nie odpowiada mi, że chodzisz w tym teatralnym kieracie. – Dlaczego? To przecie piękna rzecz. – Zbyt pochopnie wam uległem... tylko dlatego, że wy, romantycy, wyobrażacie sobie teatr jako Bóg wie co. – Nie rozumiem, co ma na myśli. – Nie szkodzi, mała Rużeno, ale to wykluczone, żebyś tam została. Do czego to w końcu doprowadzi? Co z tobą, dziecko, w końcu będzie? Trzeba przecież zadbać o ciebie, a z romantyzmem nie można zadbać o nikogo.

– Rużena odparła sztywno i dumnie, że ona już sama zadba o siebie; nie potrzebuje nikogo i Joachim niech sobie idzie, jak chce ją opuścić, to niech sobie idzie – a on jest zły człowiek, przyszedł tylko, żeby przyjaciela oczernić. – Płakała i przez łzy wrogo patrzyła na Bertranda. Niełatwo było ją uspokoić, bo obstawała przy tym, że z niego zły człowiek i zły przyjaciel, który chce jej zepsuć taki piękny wieczór. I naraz zbladła zupełnie i wlepiła w niego przerażone oczy: – Przysłał go, żeby mi powiedzieć, że to koniec?! – Ależ, Rużeno! – Nie,

dziesięć razy może mówić, że nie, a ja wiem, że tak jest, och, obaj źli jesteście. Doprowadziliście mnie do hańby. – Bertrand zorientował się, że racjonalnymi argumentami nic tu się nie wskóra; ale może w jej niezdatnym podejrzeniu było nawet przecucie prawdziwego stanu rzeczy i jego beznadziejności. Wyglądała na bezradne małe zwierzątko, które już nie wie co począć. A jednak chyba byłoby dobrze, gdyby trzeźwiej patrzyła w przyszłość. Toteż tylko przecząco potrząsnął głową: – Proszę mi powiedzieć, dziecko, czy dopóki nie ma tu Joachima, nie mogłaby pani wrócić w swoje strony? – Ona usłyszała jedynie, że Bertrand chce ją spławić. – Ależ, Rużeno, kto chce panią spławić! Wszelako zamiast być tutaj samej w Berlinie i w tym bezsensownym teatrze byłoby przecież lepiej pojechać do swoich... – Nie dała się przekonać: – Ja nikogo nie mam, wszyscy na mnie są źli... ja nikogo nie mam, a on mnie spławić chce. – Opamiętaj się, Rużeno; jak Pasenow przyjedzie znów do Berlina, wrócisz tu i ty. – Rużena już go nie słuchała, chciała iść sobie, nie chciała nic więcej wiedzieć. Ale on nie mógł jej tak puścić i zastanawiał się, czym by tu naprowadzić ją na inne myśli; w końcu przyszło mu do głowy, że powinni napisać wspólnie list do Joachima. Rużena zgodziła się od razu; kazał więc przynieść papier i napisał: „Wesoły wieczór jak najserdeczniej Pana wspominając najlepsze pozdrowienia przesyłają Bertrand...” – a ona dopisała: „i dużo całusów od Rużeny”. Wycisnęła pocałunek na papierze, ale Izy nie chciały wyschnąć. – To koniec – powtórzyła i zażądała, żeby ją odwiózł do domu. Bertrand ustąpił. Ale nie chcąc zbyt prędko zostawiać jej sam na sam z bezradnością zaproponował pójście na piechotę. Aby ją uspokoić – słowa i tak zawodziły – ujął jej dłoń jak dobry, pocziwy lekarz; ona z wdzięczności i szukając oparcia przytuliła się trochę do niego i z lekkim uściskiem pozostawiła dłoń w jego dłoni. Jest jak małe zwierzątko, pomyślał Bertrand i dla wyjaśnienia sytuacji powiedział: – Rużeno, ja przecież jestem złym człowiekiem i twoim wrogiem – ale nic nie odrzekła. Wezbrała w nim lekka a przecież czuła złość na mętlik w jej głowie i rozciągnęła się także na Joachima, którego obarczał odpowiedzialnością za los Rużeny i który zdawał się nie mniej zagubiony niż dziewczyna. Być może poczuł ciepło jej ciała, bo przez chwilę myślał złośliwie, że Joachim zasłużył na to, by go zdradził z Rużeną, ale nie była to myśl poważna i niebawem powrócił do uprzejmej życzliwości, jaką zazwyczaj darzył Joachima. Joachim i Rużena wydawali mu się istotami, które tylko częścią swojego bytu uczestniczyły w przeżywanym czasie, w osiąganym wieku, podczas gdy większa część przebywała gdzieś indziej, może na innej planecie albo w innym czasie, albo jedynie w dzieciństwie. Bertranda zastanowiło, że w ogóle tylu ludzi z różnych epok żyło jednocześnie i było nawet w równym wieku: stąd chyba chwiejność ich wszystkich i trudność w racjonalnym porozumiewaniu się między sobą; dziw tylko, że mimo to istnieje coś takiego jak ludzka wspólność i ponadczasowe zrozumienie. Prawdopodobnie w wypadku Joachima też wystarczyłoby pogłaskać go po dłoniach. O czym powinien i mógł z nim rozmawiać? Jaki w ogóle cel miała ta wizyta w Stołpinie? Bertrand był poirytowany, ale potem przypomniał sobie, że porozmawia z Joachimem o losie Rużeny; to nadawało podróży i stracie czasu określony sens i odzyskawszy dobry humor Bertrand ścisnął dłoń Rużeny.

Pożegnali się pod jej domem, stali parę chwil w milczeniu naprzeciw siebie i zdawało się, że Rużena jeszcze na coś czeka. Bertrand uśmiechnął się i zanim zdążyła podać mu usta, trochę po wujowsku pocałował ją w policzek. Pogłaskała szybko jego dłoń i chciała czmychnąć do domu; zatrzymał ją przy drzwiach: – Wiesz, Rużeno, wyjeżdżam jutro rano; co mam przekazać Joachimowi? – Nic a nic – odparła prędko i gniewnie; potem jednak zmieniła zdanie: – On to jest zły człowiek, ale ja przyjdę na dworzec. – Dobranoc, Rużeno – powiedział Bertrand i znów wezbrała w nim lekka złość, ale że wciąż jeszcze czuł na wargach skórę jej policzka jak puch, począł przechadzać się po ciemnej ulicy tam i z powrotem i spoglądał na dom Rużeny w oczekiwaniu, że w jednym z okien zapali się światło. Lecz albo u niej już się paliło, albo pokój wychodził na podwórze – Joachim mógł być chyba zadbać także o lepszą kwaterę! – jednym słowem Bertrand czekał na próżno i poobserwawszy dom

przez jakiś czas uznał, że dla romantyzmu dość zostało zrobione, zapalił cygaro i poszedł do siebie.

Podczas gdy salony były wyłożone parkietem, pokoje gościnne na drugim piętrze miały tylko woskowane podłogi, duże płyty z białego, miękkiego drewna, oddzielone od siebie trochę ciemniejszymi listwami. Pnie, z których kiedyś wycięto te płyty, musiały być potężne i choć było to bardzo miękkie drewno, to ich foremność i rozmiar świadczyły o zamożności dawnego właściciela. Listwy i płyty te były dokładnie dopasowane, a tam gdzie później wskutek wysychania drewna porobiły się szpary, zostały tak starannie wypełnione drzazgami, że się tego bodaj nie zauważało. Meble wyszły chyba spod ręki wiejskiego stolarza i pochodziły zapewne z owych czasów, kiedy to wojska napoleońskie przeciągały przez te okolice; takie w każdym razie nasuwało się przypuszczenie, gdyż przypominały nieco styl zwany *empirem*, ale mimo to mogły być trochę starsze lub trochę nowsze, bo rozmaitymi pękatymi kształtami odbiegały od prostoty linii tamtej epoki. Była tu szafa z lustrem, którego szklaną taflę najzupełniej niespodziewanie dzielił pionowy drewniany pręt, były komody, które zbyt dużą lub zbyt małą ilością szuflad uchybiały czystej architektonice. Ale chociaż te meble poustawiano pod ścianami nieomal bez ładu i składu, chociaż łóżko nader niepraktycznie umieszczono pośród dwojga drzwi, a duży, biały kaflowy piec, stojący ukosem w rogu, wciśnięto między dwie szafy, to jednak obszerny pokój robił wrażenie wygodnego i statecznego, a przy tym miłego, kiedy słońce świeciło przez białe zasłony i krzyżowe okna odbijały się w błyszczącej politurze mebli. Wówczas nawet i teraz mogło się zdarzyć, że dużego krucyfiksu, który wisząc nad łóżkiem ozdabiał pomieszczenie, nie traktowało się już jak dekoracji czy zwyczajnego składnika wyposażenia, lecz przywracało mu się rolę, w jakiej go tu ongiś zawieszono: rolę strażnika i upomnienia, przestrzegającego gościa, że mieszka w domu chrześcijańskiej wspólnoty, w domu, który na różne sposoby zatroszczył się o jego cielesną pomyślność i z którego dane mu było w wesołym towarzystwie wyruszyć na polowanie, a potem wrócić na myśliwską biesiadę z mnóstwem ciężkich win, w domu, w którym myśliwi pozwalali sobie na niejedną dosadny dowcip i gdzie w owych czasach, kiedy to zostało sporządzone umeblowanie tego pokoju, przymykano jeszcze oko, jeśli komuś spodobała się któraś z dziewczek, gdzie jednak mimo to uważano za oczywiste, że gość, choćby nie wiem jak zmożony winem, zapragnie wieczorem pomyśleć o swojej duszy i żałować za grzechy. I takiemu, w gruncie rzeczy ascetycznemu sposobowi myślenia odpowiadało to, że nad pokrytą zielonym rypsem kanapą wisiał surowy i zimny staloryt, który wielu gościom kojarzył się z królową Luizą, bo była na nim przedstawiona dostojna kobieta w antycznych szatach – *La mère des Gracches* brzmiał tytuł sztychu i nie tylko ten ubiór przypominał o stroju królowej, lecz również ołtarz, ku któremu podążała, nasuwał myśl o ołtarzu ojczyzny. Zapewne większość myśliwych, którzy już nocowali w tym pokoju, wiodła życie światowe, nie przepuszczając nadarzających się korzyści i przyjemności, nie stroniąc też od sprzedawania handlarzowi zbiorów czy świń z dużym zyskiem, oddając się barbarzyńskim łowom, w czasie których dochodziło do masowej rzezi boskich stworzeń, a wielu z nich łaknęło kobiecego ciała; ale jakkolwiek prowadzone przez siebie pańskogrzeszne życie uznawali za dane od Boga, należne prawo i przywilej, to przecież byli gotowi w każdej chwili złożyć je w ofierze dla dobra ojczyzny lub na chwałę Bożą, a jeśli do tego nie dochodziło, to gotowość traktowania życia jako czegoś podrzędnego i niegodnego wzmianki była tak silna, że jego grzeszność niewiele ważyła. I czuli się wolni od wszelkiej winy idąc w porannej mgle przez trzaskające cicho zarośla albo wspinając się wieczorem po wąskiej, stromej drabinie do czatowni i ponad krzakami i polaną, na której tańczyły jeszcze roje komarów, spoglądając na skraj lasu: kiedy potem wznosił się ku nim wilgotny zapach trawy i drzewa, a po wyschniętej poręczy czatowni sunęła mrówka, żeby skryć się w korze, wtedy mogło się zdarzyć, że choć byli to przecież faceci, którzy mocno i niewzruszenie stali na

nogach, w ich duszy coś się budziło, co brzmiało jak muzyka i do tej jednej jedynej chwili tak dalece ścieśniało życie, jakie mieli już za sobą i jeszcze przed sobą, że czuli dłoń matki spoczywającą na dziecięcych włosach jakby przez całą wieczność, a przecież przed nimi, nie oddzielona ani chwilą czasu, ani piędzą przestrzeni, stała już ta, której się nie lękali: śmierć. Wtedy wszelkie drewno wokoło mogło stać się drewnem krucyfiksu, bo nigdzie magiczność i ziemskość nie sąsiadują ze sobą tak blisko jak w sercu myśliwego, a gdy na skraju polany ukazuje się byk, wtedy olśnienie jest jeszcze oczekiwane, a życie nadal wydaje się ponadczasowe, chwilowe i wieczne, ściśnięte we własnej dłoni, tak że strzał, który zabija cudze życie, jest jakby symbolem i koniecznością ocalenia własnego życia w łasce. Myśliwy zawsze wyrusza, żeby zobaczyć krzyż w wieńcu jelenia, i przez wzgląd na olśnienie cena zabijania nie wydaje mu się za wysoka. Toteż wróciwszy do swego pokoju po sutej myśliwskiej biesiadzie potrafi jeszcze raz unieść wzrok ku krucyfiksowi i wspomnieć, choć już z większego oddalenia, wieczność, w której umieszczone jest jego życie. I może wobec tej wieczności również czystość ciała nie waży więcej niż grzeszność ziemskiego życia: na umywalce stoi miednica, której małość osobliwie kontrastuje z kształtami myśliwego i pozostałymi wymiarami jego życia, a i dzbanek mieści dużo mniej wody, niż myśliwy potrafi wypić wina. Także wąska szafka nocna przy łóżku, która w postaci zamaskowanej szuflady udziela gościny nocnemu naczyniu, narzuca mu niewielkie rozmiary. Myśliwy korzysta z niego i rzuca się na trzeszczące łóżko.

W tym pokoju, od pokoleń dobrze przygotowanym na potrzeby myśliwego, ulokowano Bertranda po jego przyjeździe do Stołpina.

Do osobliwych wspomnień, jakie Bertrand przywiózł z pobytu w Stołpinie, należała, zajmując niepoślednie miejsce, postać starego pana von Pasenowa. Już pierwszego dnia, zaraz po śniadaniu, stary zaprosił go na spacer i zwiedzanie majątku. Był pochmurny, parny ranek, powietrze znieruchomiało, lecz ciszę przerywał głuchy łomot cepów dochodzący z obu klepisk. Panu von Pasenowowi ten rytm zdawał się dogadzać: kilkakrotnie przystawał i stukał laską w takt. Potem spytał: – Chce pan zobaczyć oborę? – i podążył w stronę wydłużonego, niskiego budynku; na środku podwórza zatrzymał się jednak i potrząsnął głową: – Nic z tego, bydło jest na pastwisku. – Bertrand dopytywał się przez uprzejmość, jakie on rasy trzyma; pan von Pasenow najpierw popatrzył na niego, a następnie wzduszając ramionami powiedział: – Przecież to wszystko jedno – i wyprowadził gościa z podwórza; wokół płytkiej niecki, w której leżały zabudowania, ciągnęły się pagórki, łąn za łąnem, a wszędzie trwały prace żniwne. – Wszystko należy do majątku – oznajmił pan von Pasenow, dumnie zataczając laską krąg; potem jego uniesiona ręka z laską zawisła bez ruchu wskazując jeden kierunek; Bertrand powiódł oczami i dojrzał wystającą zza pagórków wieżę wiejskiego kościoła: – Tam jest poczta – usłyszał, po czym pan von Pasenow ruszył drogą do wsi. Dokuczała parność; stukot cepów milki powoli za nimi i w stojącym powietrzu unosił się jeszcze tylko syczący dźwięk żeńców, klepanie kos, szelest zarzucanych snopów. Pan von Pasenow przystanął. – Czy pan też czasem się boi? – Bertrand był zaskoczony, ale poczuł się sympatycznie poruszony tym ludzkim pytaniem: – Ja? Och, często. – Pan von Pasenow zbliżył się zaciekawiony:

– Kiedy pan się boi? Jak jest cicho? – Bertrand zorientował się, że coś tu nie jest w porządku: – No, cisza bywa nieraz wspianiała; ja jestem wręcz szczęśliwy z tej ciszy nad polami. – Pan von Pasenow był niezadowolony i zły: – Nic pan nie rozumie... – A po pauzie: – Ma pan dzieci? – O ile mi wiadomo, proszę pana, to nie. – Coś takiego – pan von Pasenow zerknął na zegarek i popatrzył na drogę; potrząsnął głową: – To niezrozumiale – potem znów do Bertranda: – To kiedy właściwie pan się boi? – ale nie czekając na odpowiedź znów zerknął na zegarek: – Powinien już być...

– Potem spojrział Bertrandowi prosto w oczy: – Napisze pan do mnie czasem, jak będzie pan w podróżach? – Bertrand odpowiedział twierdząco; chętnie to zrobi i pan von Pasenow wydawał się bardzo ukontentowany:

– Tak, niech pan koniecznie do mnie napisze, mnie to interesuje, wiele spraw mnie interesuje... niech mi pan też napisze, kiedy się pan boi... ale jego wciąż nie ma; widzi pan, nikt do mnie nie pisze, nawet synowie...

– W oddali pojawił się mężczyzna z czarną torbą. – To on! – Pan von Pasenow posługując się łaską i nogami ruszył spiesznie prosto jak strzelec i zbliżywszy się do mężczyzny na odległość głosu wrzasnął na niego:

– Gdzie on znów podziewa się tak długo? Dzisiaj ostatni raz poszedł na pocztę... Jest odprawiony, słyszy, jest odprawiony! – Poczterwieniął i począł wymachiwać łaską przed nosem mężczyzny; ten zaś, widząc nawykły do takich spotkań, spokojnie zdjął torbę z ramienia i wręczył swojemu panu, który niemal posłusznie wyciągnął klucz z kamizelki i drżącą ręką otworzył zamek. Drżąc sięgnął do wnętrza pocztowej torby, lecz gdy wyjął zaledwie parę gazet, wydawało się, że powtórzy się atak wściekłości, gdyż bez słowa podsunął ten plon pod nos posłańcowi. Widocznie jednak przypomniał sobie, że ma u boku gościa, bo wyciągnął gazety w stronę Bertranda: – O, sam pan widzi... – poskarżył się i wpuścił je z powrotem do torby, zamknął ją na klucz i idąc dalej oznajmił: – W tym roku będę chyba musiał przenieść się do miasta; tu jest dla mnie za cicho.

Gdy spadły pierwsze krople nawałnicy, doszli akurat do wsi i pan von Pasenow zaproponował, żeby przeczekali burzę w domu pastora. – I tak musi go pan poznać – dorzucił. Wpadł w złość, ponieważ nie zastali pastora, a gdy pastorowa na dodatek powiedziała, że jej mąż jest w szkole, wybuchł:

– Pani także zdaje się sądzić, że staremu człowiekowi można wmówić wszystko, co się żywnie podoba, ale ja nie jestem aż taki stary, żeby nie wiedzieć, iż teraz są wakacje. – Po prawdzie to nikt nie twierdził, że pastor jest w szkole na lekcji, zresztą on zaraz wróci. – Wykręty – burknął pan von Pasenow, ale pastorowa nie dała się zbić z tropu, lecz poprosiła, żeby panowie usiedli, a ona tymczasem zatroszczy się o lampkę wina. Kiedy wyszła z pokoju, pan von Pasenow pochylił się do Bertranda: – On lubi chować się przede mną, bo wie, że przejrzałem jego sprawki. – Jakie sprawki, proszę pana? – No, to naturalnie, że jest bardzo nierozgarniętym i nieudolnym pastorem. Ale niestety mimo to muszę utrzymywać z nim dobre stosunki. Tu, na wsi, ludzie są zdani jeden na drugiego... – Zawahał się i dodał cicho:

– Grób również pozostaje pod jego opieką. – Przyszedł pastor i Bertrand został przedstawiony jako przyjaciel Joachima. – Tak, jeden przychodzi, drugi odchodzi – oznajmił w zamyśleniu pan von Pasenow, a obecni nie wiedzieli, czy ta aluzja do biednego Helmuta miała być uprzejmością czy impertynencją pod adresem Bertranda. – No, a to jest nasz teolog – przedstawiał dalej, podczas gdy teolog uśmiechał się blado. Pani pastorowa podała trochę szynki i wino i pan von Pasenow raz-dwa wypił kieliszek. Tamci siedli przy stole, a tymczasem on stał pod oknem, wystukiwał na szybach rytm cepów i patrzył na chmury, jak gdyby nie mogąc się doczekać, żeby stąd wyjść. Przerewając leniwie płynącą rozmowę zawołał spod okna: – Niech pan powie, panie von Bertrand, czy widział pan już wyuczonego teologa, który nic nie wie o tamtym świecie? – Pan von Pasenow znów raczy sobie żartować – odrzekł onieśmielony pastor. – Proszę, niech pan sam powie: czym ma się różnić kapłan Boga od nas, reszty ludzi, jeśli nie ma kontaktu z tamtym światem? – Pan von Pasenow odwrócił się i spojrział na pastora gniewnie i ostro przez monokl. – A jeśli nauczył się nawiązywać kontakt, w co ja pozwalam sobie wątpić, to jakim prawem ukrywa to przed nami?... przede mną, ukrywa przede mną! – Trochę złagodniał: – Przede mną... jak sam przyznaje, ciężko doświadczonym ojcem. – Pastor odrzekł cicho: – Jeden tylko Bóg może przysłać szanownemu panu nowinę, proszę w to wreszcie uwierzyć. – Pan von Pasenow wzruszył ramionami: – Ja przecież w to wierzę... tak, wierzę, niech pan to przyjmie do wiadomości...

– I po pauzie, zwrócony do okna, znów wzruszając ramionami: – Przecież to wszystko jedno – i bębniąc dalej w szyby wyglądał na drogę. Deszcz padał wolniej i pan von Pasenow zarządził: – Możemy już iść – a przy pożegnaniu uściśnił rękę pastora: – Niech pan się znów pokaże... na kolacji, dobrze? Nasz miody przyjaciel też będzie z nami. – Potem wyszli. Na wiejskiej drodze stały kałuże, ale na polach znów było niemal sucho; deszczu nie wystarczyło, żeby rozmyć szczeliny w spękanej ziemi. Niebo zasnuwały jeszcze lekkie białe opary, czuło się już ostre słońce, które przebija się lada chwila. Pan von Pasenow milczał, nie reagował na konwersacyjne wysiłki Bertranda. Przystanął tylko raz i z uniesioną łaską pouczającym tonem powiedział:

– Z tym uczonym w piśmie trzeba się bardzo mieć na baczności. Niech pan to sobie zapamięta.

Później te poranne spacerunki powtarzały się i nieraz dołączał do nich Joachim. Wówczas stary był mrukiwy i małomówny, rezygnował nawet z prób dowiedzenia się czegoś o strachu Bertranda. O ile zazwyczaj zadawał ostrożne i zakamuflowane pytania, o tyle teraz milki całkowicie. Ale Joachim też był małomówny. Bo i jemu nie dane było pytać o to, czego chciał się dowiedzieć od Bertranda, a Bertrand uparcie nie kwapił się z wyjaśnieniami. Tak to wędrowali w trójkę po polach i zarówno ojciec, jak i syn mieli Bertrandowi za złe, że zawiódł ich pełne ciekawości oczekiwania. A Bertrand nie szczędził starań, żeby podtrzymać konwersację.

Jeśli z początku Joachim przesuwiał wizytę w Lestowie, ponieważ wbił sobie w głowę, że zajędzie tam z Bertrandem, to teraz lekka niechęć, jaką żywił do Bertranda, była chyba winna temu, iż ponownie odkładał jazdę: była w nim niewyraźna nadzieja, że jeśli tylko Bertrand zechce mówić, wszystko ułoży się tak dobrze i prosto, iż będzie potem mógł bez problemu zabrać go do Lestowa. Jako że Bertrand jednak mimo tego wabika, o którym wszelako nic nie wiedział, trwał w budzącym rozczarowanie milczeniu, Joachim musiał w końcu się zdecydować i wybrać się sam. Któregoś popołudnia pojechał do Lestowa powozem na wysokich kołach, nogi równiutko i przepisowo owinięte derką, bat trzymany ukosem przed sobą, lejce przesuwające się gładko po brązowej rękawicze. Ojciec powiedział na odjeździe „No, nareszcie”, a Joachim był teraz pełen odrazy do fantastycznych planów małżeńskich. Przed nim wyłonił się czubek wieży kościoła w sąsiedniej wsi; jest to kościół katolicki i przypomina mu o rzymskokatolickim wyznaniu Rużeny; Bertrand opowiadał o niej. Czy nie byłoby najśluszniej po prostu przerwać ten bezsensowny pobyt, po prostu pojechać do niej? Tutaj wszystko zaczynało go brzydzić; wstrętny był kurz na drodze, wstrętne były zakurzone, podwiedłe liście przydrożnych drzew zapowiadające przyjście jesieni. Od przyjazdu Bertranda znowu tęsknił za mundurem: dwaj mężczyźni w takim samym mundurze to było coś bezosobowego, to było wojsko króla jegomości; dwaj mężczyźni w podobnych cywilnych ubraniach to był bezwstyd, to byli jakby dwaj bracia; i za bezwstydną uważał krótką cywilną kurtkę, która odsłaniała nogawki i górę spodni. Wypadało ubolewać nad Elżbietą, że musiała oglądać mężczyzn w krótkich marynarkach i widocznych w całej okazałości spodniach – dziwna rzecz, że coś takiego nigdy jeszcze nie przyszło mu do głowy w odniesieniu do Rużeny – ale przynajmniej na tę wizytę powinien był przywdziać mundur. Szeroki biały krawat ze szpilką w kształcie podkowy zakrywał całe wycięcie kamizelki; to dobrze. Sięgnął, by się upewnić, że krawat leży jak trzeba. Nie bez powodu zmarłym kładzie się do trumny chustę na podbrzusze. Tędy, tą drogą do Lestowa, jeździł również Helmut, odwiedzał Elżbietę i jej matkę i takiego kurzu nasypało mu do grobu. Czy właściwie brat zostawił mu w spadku Elżbietę? Może Rużenę? A może zgoła Bertranda? Należało przydzielić Bertrandowi pokój Helmuta zamiast lokować go w ustronnym pokoju gościnnym; ale to by nie bardzo uchodziło. Wszystko to było jak nieuchronny mechanizm, który wszakże w jakiś sposób zależał od jego własnej woli i dlatego właśnie wydawał się nieuchronny i oczywisty, z pewnością bardziej nieuchronny niż mechanizm służby. Jednakże nie mógł dalej snuć tej myśli, za którą być

może ziało coś straszego, gdyż skręcił teraz do wsi i musiał uważać na bawiące się dzieci; tuż za wsią między domkami ogrodników po obu stronach bramy wjechał do parku.

– Cieszę się, drogi panie, że meszcie znowu pana u nas widzę – powiedział baron witając go w holu, a gdy Joachim wspomniał o gościu, przez którego jego wizyta się opóźniła, wytknął mu, że od razu nie przywiózł Bertranda. Joachim sam tego teraz nie rozumiał; na pewno nie było to uchybienie; ale kiedy weszła Elżbieta, uznał, że słusznie postąpił przyjeżdżając sam. Uważał, że jest bardzo piękna, och, z pewnością i Bertrand nie zdołałby się oprzeć czarowi takiej piękności i z pewnością w jej obecności nie śmiałby zachować nazbyt swawolnego tonu, jaki zazwyczaj był mu właściwy. Wszelako Joachim pragnąłby to zobaczyć, jak człowiek na przykład pragnie usłyszeć w kościele brzydkie słowa albo zgoła być świadkiem egzekucji.

Herbatę piło się na tarasie i Joachim siedząc obok Elżbiety miał wrażenie, że nie tak dawno temu doświadczył już tej sytuacji. Ale kiedy to było? Od jego ostatniej wizyty w Lestowie minęło blisko trzy lata, przyjechał wówczas późną jesienią i siedzenie na tarasie nie byłoby możliwe. Lecz gdy jeszcze nad tym rozmyślał i jakby przypominał sobie, że wówczas w pałacu zapalono światła, dość osobliwe skojarzenie naprowadziło go na absurdalny pomysł, wręcz nie do rozwikłania, że jego kompan Bertrand – poczuł lekkie obrzydzenie, kiedy przyszło mu do głowy słowo „kompan” – że kompan i świadek jego zażyłości z Rużeną powinien być z nim razem tutaj u Elżbiety! Znów odezwało się niemiłe uczucie, iż przez Bertranda zaczął się staczać, i nagle zrobiło mu się nieprzyjemnie, że po herbacie będzie musiał wstać od stołu w swoim cywilnym stroju; rad byłby zostawić serwetkę na kolanach, ale wszyscy szli już do parku. Gdy ukazały się zabudowania gospodarcze, baron wyraził przypuszczenie, że Pasenow chyba rychło wróci na rolę; przynajmniej starszy pan dawał to do zrozumienia. Joachim, w nowym przypiływie odrazy do podejmowanych przez ojca prób decydowania o jego życiu, najchętniej by odrzekł, iż nie myśli o powrocie do rodzinnego domu; naturalnie czegoś takiego nie można było powiedzieć; niezupełnie by to odpowiadało faktom, a także odnalezionemu poczuciu przywiązania do rodzinnych stron i własności, toteż odparł jedynie, że niełatwo jest opuścić służbę, zwłaszcza teraz, tuż przed awansem na rotmistrza. I niełatwo jest bez oporów, choćby w imię uczuciowej konwencji, porzucić ulubiony zawód; on widzi to najlepiej na przykładzie swego przyjaciela, pana von Bertranda, który mimo niejednego znacznego sukcesu w duchu prawdopodobnie wciąż jeszcze tęskni za pułkiem. I niejako bezwiednie zaczął opowiadać o rozgałęzionych na cały świat interesach Bertranda, o jego wielkich podróżach i otoczył go, niemal po chłopięcemu, takim nimbem podróżnika-odkrywcy, że panie musiały dać wyraz radości, iż poznają niebawem tak interesującego człowieka. Niemniej jednak Pasenow miał wrażenie, że wszyscy oni lękali się, nie tyle Bertranda, ile życia, jakie prowadził, bo Elżbieta była dość speszona i stwierdziła, że to po prostu niewyobrażalne, by mieć brata czy jakiegoś innego bliskiego krewnego gdzieś w dalekim świecie i nigdy nie móc powiedzieć na pewno, gdzie on się w danej chwili znajduje. A baron oznajmił w tym samym duchu, że jedynie człowiek bez rodziny może prowadzić takie życie. Życie marynarza, dodał. Lecz Joachim, nie chcąc zbytnio pozostawać w tyle za swym przyjacielem, ba, czując się tutaj wręcz jego przedstawicielem, opowiedział jeszcze, iż Bertrand zachęcał go, by zgłosił się do służby kolonialnej, na co baronowa rzekła surowo: – Tego nie może pan zrobić swoim biednym rodzicom. – Nie – poparł ją baron – pańskie miejsce jest na ojcowiznie – i Joachim słuchał tego nie bez przyjemności. Potem zawrócili i w asyście psów Elżbiety dotarli znów na dużą polanę przed dworem. Trawa pachniała już wilgotno i rosiście, we dworze zapalono światła; wieczory bowiem robiły się coraz krótsze.

Kiedy Joachim ruszył w powrotną drogę, ściemniło się całkowicie. Ostatnie, co zobaczył, to był cień Elżbiety na tarasie; zdjęła kapelusz ogrodowy i w zmierzchu gasnącego dnia stała na tle jasnego nieba, poprzecinanego czerwonymi smugami. Wyraźnie było widać ciężki węzeł włosów na jej karku i Joachim zastanawiał się, dlaczego za tak piękną uważał tę

dziewczynę, tak piękną, że w porównaniu z nią słodycz Rużenyomal nie pierchła z jego pamięci. A przecież tęsknił do Rużeny, nie do czystości Elżbiety. Dlaczego Elżbieta była piękna? Drzewa przy drodze sterczały ciemno, a kurz pachniał chłodem, może jak w pieczarze albo w piwnicy. Lecz na zachodzie utrzymywała się jeszcze czerwona smuga na ciemniejszym niebie nad falistym krajobrazem.

Tego popołudnia, kiedy to Joachim składał wizytę w Lestowie, zaraz po jego wyjeździe pan von Pasenow wdrapał się po schodach na drugie piętro i zapukał do drzwi Bertranda: – Muszę i ja raz pana odwiedzić... – I z porozumiewawczą przebiegłością: – Wysłałem go w drogę... nie było to łatwe!

– Bertrand powiedział parę uprzejmych słów; on chętnie by zszedł na dół.

– Nie – oznajmił pan von Pasenow – trzeba przestrzegać form. Ale po herbacie przejdziemy się trochę. Muszę z panem omówić to i owo. – Usiadł na krótką chwilę, żeby zmanifestować formę swej wizyty, lecz wkrótce gnany właściwym sobie niepokojem opuścił pokój, aby wrócić, zanim jeszcze zamknął za sobą drzwi: – Chcę tylko zobaczyć, czy ma pan wszystko, czego panu potrzeba. W tym domu na nikim nie można polegać. – Przeszedł się po pokoju, obejrzał *La mère des Gracches*, popatrzył też na podłogę, po czym powiedział przyjaźnie: – No to przy herbacie.

Zapalili cygara i poszli przez park, przemierzili ogród, na którego drzewach dojrzewały właśnie owoce, i znaleźli się wśród pól. Pan von Pasenow był widać w dobrym humorze. Z naprzeciwka nadciągała grupa żniwiarek. Żeby wyminąć pana, ustawiły się gęsiego na skraju pola i przechodząc jedna za drugą pozdrawiały. Pan von Pasenow zaglądał każdej pod chustkę na głowie i gdy przemaszerowały, powiedział: – Hoże dziewuchy. – Polki? – spytał Bertrand. – Naturalnie, to znaczy chyba większość... cóż, to hołota, na której nie można polegać. – Bertrand stwierdził, że tu jest pięknie i że właściwie zazdrości każdemu rolnikowi. Pan von Pasenow poklepał go po ramieniu: – Pan też mógłby nim być. – Bertrand potrząsnął głową; to nie jest takie proste i trzeba mieć stosowne wychowanie. – Już ja bym się postarał – brzmiała okraszona poufałym uśmiechem odpowiedź. Potem stary zamilkł i Bertrand czekał. Zdawało się, że pan von Pasenow zapomniał, co właściwie chciał mu powiedzieć, bo po dłuższym namyśle oświadczył: – Naturalnie musiałyby pan do mnie pisać... często pisać. – Potem: – Jak pan kiedyś tutaj zamieszka, to nie będziemy się już bali; obaj nie będziemy się już bali... prawda? – Położył dłoń na ramieniu Bertranda i patrzył na niego lekliwie.

– A dlaczego to, proszę szanownego pana, mamy się bać? – Pan von Pasenow był zdumiony: – Ale sam pan mówił... – Zapatrzył się przed siebie. – No, przecież to wszystko jedno... – Przystanął, obrócił się i wyglądało na to, że chce wracać. Potem rozmyślił się i poprowadził Bertranda dalej. Po pewnym czasie zapytał: – Był pan już u niego? – ...? – No, w grobowcu.

– Bertrand nieco się zawstydził; ale w atmosferze tego domu doprawdy nie nadarzyła się sposobność ku temu, by wyrazić chęć pójścia na grób. Gdy zamierzał udzielić stosownie przeczącej odpowiedzi, pan von Pasenow roześmiał się uszczęśliwiony: – No, to mamy jeszcze coś do nadrobienia – i sprawiając niejako miłą niespodziankę gościowi wskazał laską cmentarny mur, który ciągnął się przed nimi. – Niech pan idzie, ja tu na pana zaczekam – rozkazał, a że Bertrand trochę się ociągał, zachnął się gniewnie: – Nie, ja tam nie pójde – i odprowadził Bertranda do bramy, nad którą lśniły złote litery napisu: „Spoczywaj w pokoju!” Bertrand wszedł na cmentarz i spędziwszy przy grobie należny czas wrócił do starego. Pan von Pasenow patrolował teren wzdłuż muru, wyraźnie zniecierpliwiony: – Był pan u niego... i co? – Bertrand uścisnął mu rękę, ale stary najwidoczniej nie chciał kondolencji, tylko chciał coś usłyszeć; zrobił ruch, który miał jakby Bertrandowi pomóc, a gdy mimo to nic nie nastąpiło, westchnął: – On zginął broniąc honoru nazwiska... a tymczasem Joachim składa wizytę. – Znów wskazał laską, tym razem w kierunku Lestowa. Później chichocząc uzupełnił

tę myśl: – Wysłałem go w konkury – co jakby mu przypomniało, że przecież chciał coś z Bertrendem omówić: – Słusznie, mówią mi, że zna się pan na interesach. – Owszem, to prawda, odparł Bertrand, wszelako tylko w swojej specjalności. – No, na nasze potrzeby to chyba wystarczy. Widzi pan, drogi przyjacielu, teraz, skoro on zginął, muszę naturalnie zasięgnąć rady. – Zrobił pauzę, po czym oznajmił z namaszczeniem: – Sprawy spadkowe. – Bertrand zauważył, że pan von Pasenow na pewno ma zaufanego notariusza, który będzie musiał pomóc mu w tej kwestii, lecz stary nie słuchał: – Joachim zapewni sobie zabezpieczenie przez ożenek; można by go wydziedziczyć. – Znowu się zaśmiał. Bertrand próbował zmienić temat rozmowy i pokazał zająca: – Już niedługo, proszę pana, znów będzie rozbrzmiewało: darzbór. – Tak, tak, na polowanie on zawsze może przyjechać, do tego bądź co bądź się nadaje... zaprosimy go, co? Naturalnie będzie musiał do nas napisać; nauczymy go tego, nie? – Jako że pan von Pasenow się śmiał, Bertrand też się uśmiechnął, choć czuł się bardzo nieswojo. Był trochę zły, że Joachim wydał go na pastwę tego człowieka; ale jak niezręcznie zdawał się ten Joachim postępować również tutaj, zostawiając zdzieciniałego starca w takim nastroju. Czyżby ten nieszczęśnik ściągnął go, żeby i tu doprowadził jego sprawy do porządku? Odrzekł więc: – Tak, tak, my już go wychowamy – i tym utrafił w ton, jaki stary chciał usłyszeć. Wziął Bertranda pod rękę, zwracał baczną uwagę, żeby szli noga w nogę, i nie puścił ramienia gościa, kiedy już wrócili. Mimo zapadnięcia ciemności spacerowali tam i z powrotem po podwórzcu, aż zajechał Joachim. Gdy zeskoczył z kozia, pan von Pasenow powiedział: – Przedstawiam ci mojego przyjaciela, pana von Bertranda – i z lekceważącym gestem: – A to jest mój syn... wraca z konkurów – dodał ubawiony. Zaleciał zapach obory i pan von Pasenow poczuł się swojsko.

Właściwie nie jest piękna, mówił sobie Bertrand obserwując Elżbietę przy fortepianie, ma za duże usta i te wargi o dziwnie miękkiej i niemal gniewnej zmysłowości. Ale jak się uśmiechnie, jest czarująca.

Joachim i Bertrand byli zaproszeni na muzyczny podwieczorek. Stary dziedzic z sąsiedztwa i niewydarzony nauczyciel towarzyszyli Elżbiecie w „Trio” Spohra i Joachimowi wydawało się, że to zasługa Elżbiety, kiedy srebrne, przezroczyste krople fortepianu spadały na brązową rzekę obu smyczkowych instrumentów. Lubił muzykę, chociaż mało się na niej znał, ale teraz wierzył, że rozumie jej sens: była czymś, co czyste i jasne unosiło się ponad wszystkim jakby na srebrzystym obłoku i z boskich wyżyn spuszczało w ziemskie rejony zimne, czyste krople. I może istniało tylko dla Elżbiety, chociaż Bertrand, jak wiedział ze szkolnych czasów, grał trochę na skrzypcach. Nie, nie wyglądało na to, by Bertrand chciał zdobyć Elżbietę za pomocą muzyki. Na pytanie o swoją grę na skrzypcach odrzekł wymijająco i z lekceważeniem machnął ręką, a czystą obłudą było chyba to – brzmiało przecież wystarczająco cynicznie – gdy w drodze powrotnej nie miał nic lepszego do powiedzenia niż: – Gdyby tylko nie chciała grać tego preraźliwie nudnego Spohra!

Umówili się na przejażdżkę; Joachim z Bertrendem wstąpili po Elżbietę. Joachim dosiadał konia Helmuta, który na powrót stał się jego własnością. Pogalopowali przez ścierniska, na których stały jeszcze snopy, a potem krótkim kłusem skręcili w wąską leśną drogę. Joachim wypuścił naprzód gościa z Elżbietą i gdy podążał za nimi, wydawało mu się, że ona w długiej, czarnej amazonce jest jeszcze wyższa i smuklejsza niż zwykle. Chętnie patrzyłby gdzie indziej, ale Elżbieta siedziała na koniu niezupełnie bez zarzutu i to mu przeszkadzało; trzymała się trochę za bardzo wychylona do przodu, a kiedy w kłuse unosiła się i opadała z powrotem, dotykając siedzeniem siodła i podskakując, w górę i w dół, nieodparcie przypominał sobie ich pożegnanie na dworcu i ponownie nasunęło mu się nikczemne pragnienie, żeby mógł pożądać jej jako kobiety, podwójnie nikczemne, odkąd ojciec, i to w obecności Bertranda, powiedział o konkurach. Ale bodaj jeszcze straszniejsze było, że również rodzice Elżbiety, ba, nawet jej własna matka, przypuszczalnie widzieli w nim stosowny obiekt dla miłosnego pożądania córki, oferowali go jej, w zgodnym przekonaniu, że

wolno im rozporządzać tym miłosnym pożądaniem, że ono się zbudzi i w żadnym razie nie zawiedzie. Wprawdzie kryło się za tym jeszcze coś istotniejszego, głębszego, mgliste wyobrażenie, o którym Joachim nic nie chciał wiedzieć, aczkolwiek czuł suchość w ustach i gorąco na twarzy; było to mgliste, wszakże oburzające, że śmiano po Elżbiecie spodziewać się takich rzeczy, on wstydził się przed nią i wstydził się za nią. Niech tam przypadnie Bertrandowi, pomyślał zapominając, że oto popełnia ten sam grzech, który dopiero co z takim oburzeniem od siebie odpędzał. Lecz nagle zrobiło się to bez znaczenia, nagle wydało się, że Bertrand nie wchodzi w rachubę: był taki kobiecy z tymi swoimi kędzierzawymi włosami, taki jakiś siostrzany, pełen siostrzanej pieczy, której można chyba powierzyć Elżbietę. Było to chyba dalekie od prawdy, ale przynosiło chwilowe uspokojenie. Dlaczego zresztą ona jest właściwie piękna? i obserwował jej unoszące się i opadające ciało, którego punkt ciężkości raz po raz spoczywał w siodle. Dokonał przy tym odkrycia, że to nie piękno, lecz w dużo większym stopniu szpetota wywołuje pożądanie; odsunął jednakże tę myśl na bok i mając jeszcze przed oczyma scenę wsiadania na dworcu uciekł do Rużeny, którą liczne niedoskonałości czyniły tak pociągającą. Powściągnął konia i przeszedł w stępa, żeby zwiększyła się odległość między nim a dwójką w przodzie, i z kieszeni na piersi wyjął ostatni list od Rużeny. Papier pachniał perfumami, które dał jej w prezencie, i Joachim wdychał woń żywiołowej zażyłości ich spotkań. Tak, tam było jego miejsce, tam chciał być, czuł się człowiekiem dobrowolnie wygnanym z towarzystwa, a przecież odrąconym, czuł się niegodny Elżbiety. Bertrand był co prawda jego kompanem, miał jednak czystsze ręce i uświadomiwszy to sobie Joachim pojął też, dlaczego Bertrand właściwie zawsze traktował jego i Rużenę trochę z góry, jak wujaszek albo lekarz, i ukrywał przed nim własne tajemnice. Nikt nie odsłania tajemnic ojca; to słuszne, że tak było, i dlatego tamten w przodzie miał prawo i mógł jechać u boku Elżbiety, też niegodny, ale lepszy niż on sam. Przyszedł mu na myśl Helmut. I jak gdyby chcąc doprowadzić przynajmniej konia Helmuta w ich pobliże, puścił się kłusem. Podkowy tupały miękko po leśnym gruncie, a gdy trafiały na gałązkę, rozlegał się ostry trzask drewna. Skóra siodła trzeszczała przyjemnie, z ciemnej głębi listowia tchnął chłodny powiew.

Dotarł na skraj wydłużonej polany, która wznosiła się łagodnie. Chłód lasu skończył się tu raptownie i czuło się zapach słońca ponad trawą. Elżbieta końcem szpicruty odganiała gzy, które wczepiały się w skórę jej wierzchowca, a koń, znający drogę, był niespokojny, bo spodziewał się galopu przez polanę. Joachim odczuwał wyższość nad Bertrandem; choćby jego interesy nie wiem jak się rozwijały, w kantorze nie nabiera się wprawy w przeskakiwaniu przeszkód. Elżbieta kolejno je pokazywała: kępę zarośli, którą zwykle brała, zwalony pień drzewa, rów. Nie były to trudne przeszkody. Stajennego zostawili na skraju polany; Elżbieta objęła komendę i Joachim znów podążał ostatni, nie tylko z uprzejmości, lecz i dlatego, że chciał zobaczyć, jak będzie skakał Bertrand. Łąka nie była jeszcze skoszona i trawa ocierając się o nogi koni wydawała cichy ostry syk. Elżbieta poprowadziła najpierw do rowu; to była drobnostka, nic zatem dziwnego, że Bertrand sobie z nią poradził. Ale gdy i kępa zarośli została pokonana przez Bertranda w dobrym stylu, Joachim szczerze się zezłościł; pień drzewa był za łatwy, z nim nie dało się już wiązać żadnych nadziei. Rumak Joachima chcąc dopędzić pozostałe konie szedł ostro w cuglach i Joachim musiał go powstrzymywać, żeby zachować dystans. Przyszła kolej na pień drzewa; Elżbieta i Bertrand pokonali go lekko i nieomal elegancko, a Joachim nabierając rozpędu puścił koniowi cugle. Jednakże gdy ten szykował się do skoku, on powściągnął go nagle, z nigdy nie wyjaśnionej przyczyny, koń potknął się o pień, przewrócił się na bok i przetoczył się po nim na trawę. Naturalnie odbyło się to bardzo szybko i kiedy tamtych dwoje obejrzało się, on, który nie wypuścił cugli z rąk, i wierzchowiec stali spokojnie obok siebie przed pniem drzewa. – Co się stało? – Ba, tego sam nie wiedział; zbadał nogi zwierzęcia, kulało na jedną z przednich, trzeba było odprowadzić je do domu. Palec Boży, pomyślał Joachim; to nie Bertrand, tylko on się

przewrócił i było teraz rzeczą ze wszech miar słuszną usunąć się i zostawić Elżbietę tamtemu. Kiedy Elżbieta zaproponowała, żeby wziął konia jej stajennego i odesłał chłopaka z kulawym wierzchowcem do domu, zmarkotniały Joachim pod wrażeniem boskiego wyroku odmówił. Ostatecznie był to również koń Helmuta i nie każdemu wypadało go powierzyć. Noga za nogą ruszył w stronę domu i postanowił jak najprędzej wrócić do Berlina.

Jechali obok siebie leśną drogą. Chociaż stajenny podążał w niedużej odległości, Elżbieta miała poczucie, że Joachim zostawił ich samych, i było to poczucie pełne zatrwożenia. Być może czuła wzrok Bertranda, który muskał jej twarz. Dziwne są jej usta, mówił sobie Bertrand, a oczy mają jasność, którą lubię. Musiałaby być kruchą i podniecającą, a w istocie rzeczy uciążliwą kochanką. Dłonie ma za duże jak na kobietę, chude i wąskie. Jest w niej zmysłowy chłopiec. Ale ma wdzięk. Elżbieta z zatrwożeniem wszczęła rozmowę, mimo że na krótko przedtem już to samo raz powiedziała: – Pan von Pasenow dużo nam opowiadał o panu i pańskich wielkich podróżach.

– Tak? Mnie dużo opowiadał o pani wielkiej urodzie.

Elżbieta nie odpowiedziała.

– Nie cieszy się pani?

– Nie lubię, jak mówi się o tej tak zwanej urodzie.

– Pani jest bardzo piękna.

Elżbieta rzekła trochę niepewnie:

– Nie zaliczałam pana do tych, co prawią komplementy.

Jest mądrzejsza, niż sądziłem, pomyślał Bertrand i odparł:

– Nie wydobylbym z siebie tego okropnego słowa, nawet gdybym chciał urazić. Ale ja nie prawię pani komplementów; pani bardzo dobrze wie, jaka jest piękna.

– W takim razie dlaczego mi pan to mówi?

– Bo więcej pani nie zobaczę.

Elżbieta popatrzyła na niego skonsternowana.

– To naturalne, że nie lubi pani, jak się mówi o jej urodzie, bo za tymi komplementami wyczuwa pani umizgi. A skoro ja wyjadę i więcej pani nie zobaczę, to logicznie biorąc nie mogę się do pani umizgać i mam wszelkie prawo mówić pani najmilsze rzeczy.

Elżbieta nie mogła powstrzymać się od śmiechu: – Straszne, że miłych rzeczy wolno słuchać tylko z ust kogoś zupełnie obcego.

– Przynajmniej wierzyć można w nie tylko komuś zupełnie obcemu. W zażyłości od samego początku tkwi zarodek nieszczerości i zakłamania.

– Gdyby to była prawda, byłaby w istocie przerażająca.

– Naturalnie, że to prawda, ale z tego powodu wcale nie przerażająca. Poufałość jest najbardziej podstępna i najbardziej właściwie pospolitą formą umizgów. Zamiast po prostu powiedzieć pani, że jej pożąda, bo pani jest piękna, taki zalotnik cichaczem wkłada się w pani zaufanie, aby poniekąd niepostrzeżenie nią zawładnąć.

Elżbieta zastanowiwszy się chwilę rzekła: – Czy za pańskimi słowami nie kryje się swoista bezwzględność?

– Nie, bo ja przecież wyjeżdżam... obcy ma prawo mówić prawdę.

– Boję się wszelkiej obcości.

– Bo pani jej ulega. Jest pani piękna, Elżbieto. Wolno mi przez tę godzinę tak panią nazywać?

Jechali obok siebie w milczeniu. Potem ona powiedziała trafiając w sedno: – Czego pan właściwie chce?

– Niczego.

– W takim razie to przecież jest bez sensu.

– Chcę tego samego co każdy, kto umizga się do pani i z tego powodu mówi, że pani jest piękna, ale ja jestem bardziej szczerzy.

– Nie lubię umizgiwania się do mnie.

– Może tylko nie cierpi pani nieszczerej formy.

– Czy pan nie jest jeszcze bardziej nieszczerzy niż inni?

– Ja wyjadę.

– Czego to dowodzi?

– Między innymi tylko mojej wstydlivości.

– ???

– Umizgać się do kobiety to znaczy oferować jej siebie, oddychającego dwunoga, a to jest bezwstydne. I mimo wszystko jest możliwe, choć nieprawdopodobne, że dlatego nie cierpi pani wszelkich umizgów.

– Nie wiem.

– Miłość jest czymś absolutnym, Elżbieto, i kiedy absolutne ma być wyrażone w ziemskim, zawsze wpada w patos, gdyż nie daje się udowodnić. A że sprawa staje się tak okropnie ziemską, patos nabiera niebywałego komizmu, ten pan, co pada na kolana, ażeby pani przystała na jego różne pragnienia; a kiedy panią się kocha, trzeba tego unikać.

Czyżby chciał przez to powiedzieć, że ją kocha? Gdy milczał, popatrzyła na niego pytająco; zdawało się, że ją zrozumiał:

– Istnieje tylko jeden prawdziwy patos, a temu na imię wieczność. A że dla człowieka nie ma pozytywnej wieczności, musi ona nabrać charakteru negatywnego i znaczyć; niezobaczyć-się-nigdy-więcej. Kiedy teraz wyjadę, nastąpi wieczność; będzie pani wówczas oddalona o całą wieczność i ja będę miał prawo powiedzieć, że panią Kocham.

– Niech pan nie mówi takich ważkich rzeczy.

– Może to wielka jasność uczuć zmusza mnie do tego, by tak z panią rozmawiać. A może też jest trochę niechęci i resentymentu w tym, że zniewalam panią do wysłuchiwania takich monologów, może zazdrość, że pani zostanie tutaj i będzie dalej żyta...

– Naprawdę zazdrość?

– Tak, zazdrość, a także odrobina pychy. Bo jest i pragnienie, żeby wrzucić kamień do studni pani duszy, aby spoczywał tam niezatrącalnie.

– Więc i pan chce się ze mną spoufalić.

– Być może. Ale jeszcze silniejsze jest pragnienie, żeby ten kamień stał się dla pani talizmanem.

– Kiedy?

– Gdy uklęknie przed panią ten, o którego już teraz jestem zazdrosny i który tym staroświeckim gestem zaoferuje pani swą cielesną bliskość: wówczas wspomnienie, powiedzmy, aseptycznej formy miłości mogłoby również przypomnieć pani, że za każdym estetyzującym gestem w miłości kryje się jeszcze większa brutalność.

– Mówi pan to wszystkim kobietom, od których pan odjeżdża?

– Powinno się to mówić wszystkim, ale ja przeważnie wyjeżdżam, zanim co do czego przyjdzie.

Elżbieta spoglądała w zamyśleniu na grzywę swego konia. Potem powiedziała: – Nie wiem, ale mnie wszystko to wydaje się dziwnie nienaturalne i zdrożne.

– Jeśli ma pani na myśli rozmnażanie się rodzaju ludzkiego, to w samej rzeczy jest to nienaturalne. Ale czy za bardziej naturalne uważa pani to, że kiedyś z jakimś panem, który teraz gdzieś tam sobie żyje, coś tam je i pije, zajmuje się swoimi interesami i którego pozna pani pewnego razu przez głupi przypadek i który potem przy stosownej okazji powie pani, jaka jest piękna, a do tego padnie na kolana, że pani z tym panem po załatwieniu paru formalności będzie potem miała dzieci: to uważa pani za naturalne?

– Niechże pan zamilknie, to przecież straszne... to okropne.

– Tak, to straszne, ale nie dlatego, że ja to wypowiadam, bo dużo straszniejsze jest to, że pani mogłaby i byłaby gotowa to przeżyć, ale nie usłyszeć.

Elżbieta walczyła z płaczem; wykrztusiła: – A dlaczego, na miłość boską, mam tego słuchać... proszę, niechże pan zamilknie.

– Czego pani się boi, Elżbieto?

Odparła cicho: – Ja już i tak jestem w wielkim strachu.

– Przed czym?

– Przed tym, co obce, inne, przed tym, co nadejdzie... nie potrafię tego wyrazić. Mam niejasną nadzieję, że to, co ma kiedyś nadejść, będzie mi tak samo znajome jak wszystko, co teraz jest mi znajome. Moi rodzice przecież także należą do siebie. A pan chce mi tę nadzieję odebrać.

– I ze strachu przed niebezpieczeństwem nie chce go pani dostrzec. Czy nie trzeba zatem potrząsnąć panią, aby ze znużenia, z konwenansu, z niejasności nie pozwoliła pani na to, że jej los rozplynie się, rozpuści, rozproszy czy coś w tym rodzaju... Elżbieto, ja pani dobrze życzę.

Elżbieta, mówiąc cicho, z wahaniem, z oporami, znów trafiła w sedno: – Wobec tego czemu pan nie zostanie?

– Do pani sprowadził mnie wszak czysty przypadek. I gdybym został, byłaby to taka sama inwazja na pani uczucia jak ta, przed którą chciałem panią przestrzec; nieco bardziej aseptyczna, ale jednak inwazja.

– Co mam robić?

– Na to da się odpowiedzieć jedynie negatywnie: nie robić nic, czego nie może pani zaakceptować całą sobą. Tylko ktoś, kto wolny i swobodny poddaje się rozkazowi swych uczuć i swej natury, może dojść do spełnienia – niech pani wybaczy ten patos.

– I nikt mi nie pomoże.

– Nie, jest pani samotna, tak jak będzie samotna w swoim samotnym umieraniu.

– To nieprawda. To nieprawda, co pan mówi. Nigdy nie byłam samotna, moi rodzice nie są samotni. Pan tak mówi, bo pan chce być samotny... albo sprawia panu przyjemność dręczenie mnie...

– Elżbieto, pani jest taka piękna, być może w pani wypadku spełnienie, pełnia zawiera się już w pani urodzie. Jakże miałbym panią dręczyć! Ale wszystko to prawda i jeszcze dużo gorsza.

– Niech mnie pan nie dręczy.

– Gdzieś tam w każdym tkwi szalona nadzieja, że ta odrobina erotyzmu, jaka jest nam dana, mogłaby przerzucić most. Niech się pani strzeże patosu erotyzmu.

– Przed kim pan znów ostrzega?

– Wszelki patos ma na celu obiecywanie misteriów i mechaniczne spełnianie obietnicy. Chciałbym panią ostrzec przed tym rodzajem miłości.

– Bardzo jest pan biedny.

– Bo pokazuję, że mam puste kieszenie? Niech się pani strzeże wszystkich, którzy ich nie pokazują.

– Nie tak, nie, czuję, że jest pan godny politowania bardziej niż inni, nawet niż ci, których ma pan na myśli...

– Znów muszę panią ostrzec. Niech pani w tych sprawach nigdy nie powoduje się litością. Miłość z litości nie jest lepsza od miłości sprzedajnej.

– Och!

– Tak, pani tego nie chce słuchać, Elżbieto. Cóż, inaczej mówiąc: kto z litości grzeszy, przedkłada potem najbardziej bezlitosny rachunek.

Elżbieta patrzyła na niego wręcz wrogo.

– Ja nad panem wcale się nie lituję.

– Ale też nie powinna pani patrzeć na mnie takim złym okiem, chociaż może byłoby lepiej, gdyby pani tak patrzyła.

– Dlaczego lepiej?

Bertrand milczał. Po chwili: – Proszę posłuchać, Elżbieto, także szczerść trzeba doprowadzić do końca. Nie lubię mówić takich rzeczy. Ale kocham panią. Stwierdzam to z całą powagą i całą szczerością, do jakich człowiek jest zdolny w tych uczuciowych kwestiach. I wiem, że pani mogłaby mnie kochać...

– Na miłość Boską, niechże pan zamilknie...

– Dlaczego? Ja bynajmniej nie przeceniam tych niejasnych stanów uczuciowych, nie będę też patetyczny. Lecz żaden człowiek nie może pogrzebać tej szalonej nadziei, że jeszcze nie znalazł mistycznego mostu miłości. Ale ja muszę wyjechać również z tego powodu. Istnieje bowiem tylko jeden prawdziwy patos, patos oddalenia, bólu... chcąc uczynić most nośnym trzeba go przerzucić, a wówczas nie można kłaść na nim ciężarów. Jeśli potem...

– Och, niech pan zamilknie.

– Jeśli potem jednak potrzeba będzie silniejsza od wszystkiego, co człowiek dobrowolnie jej przeciwstawia, jeśli napięcie niewysłowionej tęsknoty będzie tak ostre, że zagrozi rozplataniem świata, to powstanie nadzieja, że biedne poszczególne losy ludzkie wydobędą się z chaosu przypadku, z płaskiej i sentymentalnej melancholii, z mechanicznej i przypadkowej poufałości.

I jak gdyby mówiąc do siebie, już nie do Elżbiety, kontynuował: – Wierzę, a jest to wiara najgłębsza, że jedynie w ogromnym spotęgowaniu obcości, zwielokrotniając ją niejako w nieskończoność, można przeobrazić ją w przeciwieństwo, w absolutne poznanie i wówczas rozkwitnie to, co majaczy jako nieosiągalny cel miłości i jednak ją stanowi: misterium jedności. Z powolnego przyzwyczajania się do siebie i spoufalania nie powstanie misterium.

Elżbieta płakała.

On powiedział cicho: – Chciałbym, żebyś nigdy nie zaznała i nie przeżyła miłości inaczej aniżeli w tej ostatniej i nieosiągalnej formie. I gdyby nawet nie zdarzyło się to ze mną, nie byłbym zazdrosny. Lecz cierpię, jestem zazdrosny i bezsilny, kiedy pomyślę, że ulegniesz byle czemu. Płaczesz, bo pełnia jest nieosiągalna? W takim razie masz prawo płakać. Och, ja cię kocham, pragnę pogrążyć się w twojej obecności, pragnę, żebyś była tą ostateczną i przeznaczoną...

Znów jechali obok siebie w milczeniu; konie wyszły z lasu, polna droga prowadziła do gościńca, którym musieli podążyć, aby dotrzeć do domu. Na widok pylistego gościńca, który ciągnął się biało pod słońcem i białawym niebem, Bertrand zatrzymał konia i chcąc to wypowiedzieć w cieniu drzew odezwał się ponownie cicho i jakby na pożegnanie: – Kocham cię... kocham cię, to jest fantastyczne. – Obojgu wydawało się niemożliwe, by mieli w dalszym ciągu jechać razem suchym, rozświetlonym gościńcem, i Elżbieta była wdzięczna Bertrandowi, gdy znowu się zatrzymał i powiedział: – Postaram się teraz dogonić naszego niefortunnego jeźdźca... – i ciszej: – Żegnaj. – Podała mu rękę, on pochylił się nad nią i jeszcze raz usłyszała: – Żegnaj. – Milczała, lecz gdy ruszył, zawołała: – Proszę pana! – Zawrócił; ona po chwili wahania powiedziała: – Do widzenia. – Miałaby chęć powiedzieć „żegnaj”, ale wydało się to jej niestosowne i teatralne. Kiedy Bertrand po jakimś czasie obejrzał się, nie mógł już odróżnić, która z dwóch postaci była Elżbietą, a która stajennym; za bardzo już się oddalił, a słońce oślepiało.

Sługa Piotr stał na tarasie dworu w Lestowie i uderzał w gong. Zwyczaj zapowiadania posiłków za pomocą tych dźwięków wprowadziła baronowa po powrocie z Anglii, gdzie przebywała z małżonkiem. I choć sługa Piotr już od kilku lat obsługiwał ten instrument, wciąż jeszcze wstydził się trochę wywoływania dziecinnego hałasu, zwłaszcza że dźwięki dochodziły do drogi przez wieś i przyniosły mu kiedyś przydomek „bębnista”. Toteż uderzał

w gong powściągliwie, wydobywając zeń bardzo niewiele dźwięków niskich, które przetaczały się krągło w ciszy parku, a reszta była płaskim, niemuzycznym, blaszanym czymś, co cienko rozwałkowane przebrzmiewało.

Jadąc powoli przez wieś o południowej porze Elżbieta słyszała, jak sługa Piotr cicho uderza w gong na tarasie i wzywa do przebrania się. Mimo to nie przyspieszyła kroku konia i gdyby nie była taka zatopiona w myślach, zwróciłaby uwagę, że dzisiaj może po raz pierwszy w życiu odczuwała pewną niechęć do wspólnoty obiadowego stołu, ba, że powrót do pięknego, spokojnego parku, z bramą pomiędzy dwoma domkami odźwiernych wprowadził ją w stan dużego zatrwożenia. Zakiełkowała w niej niepokojąca tęsknota za dalą, a wraz z nią absurdalna myśl, podwójnie absurdalna w owym skwarze południa: że życiu Bertranda nie sprzyja ten surowy klimat i że to dlatego uciekając musi on rozstawać się wciąż na nowo. Uderzenia w gong przebrzmiały. Na podwórzu zsiadła z konia, stajenny przytrzymał jej strzemień i pospieszyła do dworu: przerzuciwszy tren przez ramię wstępowała po stopniach, szła znajomą drogą, wszelako trochę jakby we śnie. Ogarnęła ją delikatna śmiałość, nieco smutna radość, że może pójść, dokąd zechce, wziąć własny los w swoje ręce i stanąć o sobie; ale wszystko to nie sięgnęło zbyt daleko, utknęło na zastanowieniu, co by powiedzieli rodzice, gdyby pojawiła się przy stole w stroju do konnej jazdy. Również Joachim von Pasenow byłby kimś, kogo takie uchybienie mogłoby zaszokować. Psiak Bello ujadając zbiegł chyżo ze schodów, ona machinalnie dała mu szpicrutę, ale nie uśmiechnęła się widząc, z jaką dumą niósł ją do buduaru, i chociaż Bello grzecznie położył szpicrutę u jej stóp, z uwielbieniem patrząc na swoją panią, jak gdyby w jej urodzie znajdował spełnienie i pełnię, Elżbieta nie pogłaskała go, lecz podeszła do lustra, długo w nie patrzyła, nie rozpoznając siebie, widziała tylko czarną, smukłą sylwetkę i było tak, jakby lustrzane odbicie, jakby ona sama umykała przed sobą w zastygłym bezruchu, który pomału rozluźnił się dopiero, gdy weszła pokojówka, aby zgodnie z codziennym zwyczajem pomóc przy rozpinaniu amazonki. Ale kiedy dziewczyna uklękła przed nią, żeby zdjąć jej buty do konnej jazdy, kiedy wyciągnięta stopa z uczuciem lekkiego chłodu wyłoniła się z lakierowanej cholewy i wąska, w czarnej pończosze, spoczęła na kolanie dziewczyny, ponownie szukała w lustrze umykającego odbicia, które niejako umykało do kogoś, kto gdzieś tam sobie żył i kiedyś tam być może uklęknie przed nią. Szpicruta nadal leżała na dywanie. Elżbieta próbowała sobie wyobrazić Bertranda na dworcu w kanciastej, długiej kurtce munduru i to, że umykający pociąg mógłby go porwać. Była w tym wyobrażeniu jakaś gniewna radość i jednak dławiący, nigdy jeszcze nie odczuwany strach. Siedziała z przechyloną w tył głową, z rękoma na skroniach, jak gdyby w tej pozycji mogła się uwolnić i wyrwać spod władzy niezwyklego przymusu. – Przecież nic się nie stało – powiedziało w niej coś i nie pojmowała mglistego napięcia, które mimo to wydawało się tak osobliwie wyraźne, że można było niemal ująć je w słowa: świat rozplątany. Na pewno nie było to całkiem wyraźne, ale została przeciągnięta granica i co kiedyś było jednolite, ten świat zwartości, rozpadło się i rodzice znaleźli się po tamtej stronie granicy. Znalazł się tam strach, ów strach, przed którym rodzice chcieli ją uchronić, jakby od tego zależało bycie razem ich wszystkich: coś, co dotychczas budziło lęk, wdarło się teraz, z dziwnym wstrząsem i napięciem, a przecież wcale nie straszne. Komuś obcemu można mówić na ty; to było wszystko. I było tego tak niewiele, że Elżbieta nieomal posmutniała. Podniosła się dziarsko; nie, ona nie podda się płaskiej i sentymentalnej melancholii. Podchodzi do lustra i poprawia włosy.

U stóp wielkich schodów wisi w hebanowej ramie gong z matowożółtego mosiądzowanego brązu, ozdobiony płaskimi chińskimi ornamentami. Prawdziwy okaz, nabyty przez barona w Londynie. Sługa Piotr trzyma w ręce pałkę z miękką, szarą skórzaną główką, patrzy na zegar i czeka. Minęło czternaście minut od pierwszego sygnału, a kiedy wskazówka zegara dotrze do piętnastej minuty, sługa Piotr zaaplikuje tarczy z brązu trzy powściągliwe uderzenia.

Nazajutrz Bertrand kazał przeprosić, że nie będzie na wspólnym śniadaniu, potem udał się do Joachima i oznajmił, że ku swemu szczeremu ubolewaniu został wezwany do powrotu: musi wyjechać już następnego ranka. W pierwszej chwili Joachim poczuł ulgę: – Jadę z panem – powiedział i z wdzięcznością popatrzył na Bertranda, który widać zrezygnował z Elżbiety. I aby mu pokazać, że on ze swej strony też zrezygnował, dorzucił pocieszająco: – Nie wiem, co by mnie tu miało zatrzymywać.

Joachim poszedł do ojca, żeby go powiadomić o podjętej decyzji. Ale gdy pan von Pasenow zdumiał się i z właściwą sobie niedyskrecją spytał podejrzliwie: – Jakże to możliwe? Przecież on od przedwczoraj nie dostał żadnej poczty – zdumiał się i on: Właśnie, jakże to było możliwe? Co mogło skłonić Bertranda do rezygnacji? I wraz z przykrością, że zadając takie pytania bierze udział w niedyskrecji ojca, pojawiła się wizja przyjemnego zwycięstwa: ponieważ Elżbieta kocha jego, Joachima von Pasenowa, Bertrand dostał kosza. Co prawda było wprost nie do pomyślenia, żeby ktoś tak prędko, można by rzec: w okamgnieniu, miał czelność zadeklarować się damie. Wszelako w wypadku człowieka interesu, który sądzi, że ma widoki na bogatą dziedziczkę, chyba wszystko jest możliwe. Ale nie zdołał kontynuować tych rozważań, bo stary nagle nabrał dziwnego wyglądu: osunął się na fotel przy biurku, wybałuszył oczy i mamrotał: – Drań, drań... złamał dane słowo. – Potem spojrzął na Joachima i wrzasnął: – Wynoś się, ty z tym swoim wspaniałym przyjacielem... konspirujesz z nim. – Ależ, ojcze! – Precz z wami, wynoś się! – Stary zerwał się i krok po kroku szedł za cofającym się synem do drzwi. I przystając za każdym razem wyciągał szyję i syczał: – Wynoście się. – Gdy Joachim znalazł się na korytarzu, stary przyciągnął drzwi do siebie, zaraz jednak otworzył je z powrotem i wysunął głowę: – I powiedz mu, żeby nie śmiał pisać do mnie. Powiedz mu, że już mi na tym wcale nie zależy. – Drzwi zatrasnęły się i Joachim usłyszał chrobot klucza przekręcanego w zamku.

Matkę zastał w ogrodzie; nie była zbyt zaskoczona: – Zawsze jest bardzo małowówny, ale w ostatnich dniach wydawało się, że gniewa się na ciebie. Sądzę, iż ma ci za złe, że jeszcze nie porzuciłeś służby. Mimo wszystko jest to dziwne. – Kiedy przyszli do domu, dodała: – Może też był urażony, że od razu sprowadziłeś sobie gościa; myślę, że lepiej będzie, jeśli najpierw ja sama do niego zajrzę. – Towarzyszył jej do drzwi na korytarz: były zamknięte, a jej pukanie pozostało bez odpowiedzi. Było to niepokojące i ruszyli do dużego salonu, gdyż istniała bądź co bądź możliwość, że ojciec tamtędy wyszedł ze swego pokoju. Przez amfiladę pustych pomieszczeń dotarli do gabinetu i okazało się, że nie jest zamknięty na klucz; pani von Pasenow otworzyła i Joachim ujrzał, że ojciec siedzi nieruchomo przy biurku, z piórem w ręce. Ani drgnął, gdy żona podeszła bliżej i pochyliła się nad nim. Tak mocno przycisnęła pióro do papieru, że się złamało; a na papierze było napisane: „Ze względu na niehonorowe postępowanie wydziedziczam moje...”, po czym następował rozpryskany kleks spod złamanego pióra. – Na litość Boską, co to się stało? – ale on nie odpowiadał. Patrzyła na niego bezradnie; kiedy spostrzegła, że kałamarz też był przewrócony, skwapliwie chwyciła bibularz i próbowała zebrać rozlaną ciecz. Stary odtrącił ją łokciem, a potem zobaczył Joachima w drzwiach, zaśmiał się szyderczo i usiłował dalej pisać złamanym piórem. Gdy znów utknął i wyrwał dziurę w papierze, jęknął, wyciągnął palec wskazujący w stronę syna i krzyknął: – Precz z tym tam! – próbował wstać, widać jednak nie starczyło mu sił, bo zaraz osunął się z powrotem i nie zważając na rozlany atrament padł na biurko, po

czym złożył głowę na rękach, jak gdyby był płaczącym dzieckiem. Joachim szepnął matce: – Kaze sprowadzić lekarza – i wybiegł, żeby wyprawić do wsi posłańca.

Przyszedł lekarz i zapakował pana von Pasenowa do łóżka. Dał mu brom i mówił o hydroterapii; śmierć syna z pewnością pociągnęła za sobą załamanie nerwowe. Tak, to było banalne wyjaśnienie lekarza. Ale niczego nie wyjaśniało. Kryło się za tym coś więcej i nie mógł to być przypadek: pierwszą jakby przestrogą było to, że przewrócił się koń Helmuta, a teraz, kiedy mimo to zanosilo się na triumf nad Bertrandem, teraz, kiedy Elżbieta ze względu na niego wzgardziła Bertrandem, a on zamierzał dopuścić się wiarołomstwa wobec Bertranda i Rużeny, z pozoru po to, by spełnić wolę ojca, teraz musiało zwalić się nieszczęście. Kompan, który zdradza kompana i przez ojca słusznie jest obwiniany, że konspiruje z Bertrandem! Czy cała konfiguracja nie musi się rozpaść, zdrada rozpląnąć się w kontrzdradzie? A Bertrand znów obejmie Rużenę w posiadanie, tym sposobem dowodząc ojcu, że nie jest już kompanem syna, mszcząc się, ponieważ Elżbieta nim wzgardziła! I w całej tej nieczystej i brzydkiej podejrzliwości, z jaką patrzył na jazdę Bertranda do Berlina, Joachim widział tylko, że jego własna odsuwa się w nieokreśloną przyszłość, i to bardziej mu doskwierało aniżeli troska o chorego ojca. Pogmatwane rozsypywało się, aby utkać nowe pogmatwanie. Czy taka była wola ojca, kiedy przynaglał go do odwiedzin w Lestowie? Pozostawało to zagadką wobec tego wszystkiego, co zaszło między ojcem a Bertrandem. Może by się wyjaśniło, gdyby mógł Bertrandowi powiedzieć coś niecoś o chaotycznych aluzjach ojca, a tak musiał się ograniczać do poinformowania go o nagłej chorobie. Prosił, żeby Bertrand przedstawił Rużenie sytuację; on sam zresztą także niebawem wpadnie na parę dni do Berlina, w sprawie przedłużenia urlopu i w ogóle. No tak, odezwał się Bertrand, gdy Joachim odprowadzał go na stację, no tak, co właściwie będzie teraz z Rużeną? Trzeba naturalnie mieć nadzieję na rychłe wyzdrowienie pana von Pasenowa, ale mimo to obecność Joachima w Stołpinie będzie coraz bardziej i bardziej konieczna. – Należałoby – stwierdził – wyrobić jej jakieś porządne zajęcie, z którego będzie miała frajdę; pomogłoby to jej przebrnąć przez nadchodzące trudności. – Joachim poczuł się urażony, ostatecznie to była jego sprawa; z ociąganiem powiedział: – Z teatru, w którym ją pan umieścił, ma przecież frajdę. – Bertrand lekceważąco machnął ręką, a Joachim nie rozumiejąc wlepił w niego wzrok. – Ale niech się pan nie martwi, Pasenow, już my coś znajdziemy. – I chociaż dla Joachima ta troska dopiero teraz nabrała kształtu, był naprawdę rad, że Bertrand rozproszył ją tak lekką ręką.

Odkąd ojciec chorował i nadal większą część dnia spędzał w łóżku, życie było dziwnie uproszczone; o niejednym dało się teraz rozmyślać spokojniej i niektóre kwestie okazywały się bardziej przejrzyste albo przynajmniej wydawało się, że można się z nimi zmierzyć. Lecz tutaj miało się do czynienia z problemem wręcz nierozwiązywalnym i nic nie dawało doszukiwanie się rozwiązania w obliczu Elżbiety; w samej twarzy tkwiła zagadka. Rozsiadłszy się na krześle spoglądała przymrużonymi oczyma na jesienny krajobraz, a przechylona do tyłu twarz, odgięta od naprężonej szyi niemal pod kątem prostym, była osadzona na tej szyi jak nierówny dach. Można też chyba powiedzieć, że pływała na kielichu szyi jak liść lub że zamykała go jak płaska pokrywka, bo właściwie nie była to już twarz, lecz jedynie część szyi, wyzierała z szyi, przypominając bardzo odległe twarz węża. Joachim podążał za linią szyi; niczym wzgórze sterczał podbródek, a za nim rozciągał się krajobraz twarzy. Miętko rysowały się brzegi ust, ciemna pieczara nosa, przedzielona białą kolumną. Na podobieństwo niedużego wąsika wyrastał gaj brwi, a za polaną czoła, poprzecinaną cienkimi bruzdami, był skraj lasu. Joachimowi znów nasunęło się pytanie, co czyni kobietę godną pożądania, ale nie znajdował odpowiedzi; sprawa pozostawała nie rozwikłana i zagmatwana. Przymknął oczy i spoglądał przez szparki na krajobraz rozpościerającej się twarzy. Zlewał się on z krajobrazem otoczenia, leśny skraj włosów przechodził w żółtawe listowie boru, szklane kule, zdobiące krzaki róż w ogródku, migotały wespół z kamieniem, który w cieniu policzka – ach, był jeszcze policzek – błyskał zwykle w charakterze kolczyka.

Było to zarazem przerażające i uspokajające i kiedy wzrok stapał to, co oddzielone, w osobliwą jedność już nie do odróżnienia, człowiek miał dziwne uczucie, że o czymś tam mu się przypomina, że gdzieś tam się go przenosi, daleko, poza wszelką konwencję, w sferę dziecinności, a nie rozwikłane pytanie było jak coś, co wyłania się z pamięci niby przestroga.

Siedzieli w cienistym ogródku małej gospody; stajenny był z końmi na podwórzu na tyłach domu. W szeleście liści nad ich głowami słyszało się wrzesień. Bo nie było to jasne, miękkie brzmienie wiosennego listowia i nie był to już dźwięk lata: o ile latem drzewa po prostu szumią, bez zróżnicowania, o tyle w dniach wczesnej jesieni dochodzi srebrzysta, metaliczna ostrość, jak gdyby chodziło o rozpuszczenie w żyłkowaniu rozlewnego, jednolitego tonu. Kiedy zaczyna się jesień, południowe godziny są zupełnie ciche: letnio żarzy się jeszcze słońce i jeśli skądś tam powieje leciutki, chłodnawy wiatr i poruszy gałęziami, to jest to jakby wąska smuga wiosny w powietrzu. Liście, które spadają z koron drzew na surowy stół gospody, nie są jeszcze pożółkłe, ale już łamliwe i suche mimo swej zieleni i letnia stoneczność dnia wydaje się wówczas podwójnie cenna. Z dziobem zwróconym pod prąd unosi się na rzece łódź rybaka; woda płynie bez fal, jakby przesuwana dużymi taflami. Takie jesienne dni nie mają nic z senności letniego południa; wszędzie spoczywa miękki, czujny spokój.

– Dlaczego żyjemy tutaj? – odezwała się Elżbieta. – Na Południu przez cały rok byłyby takie dni. – Joachim ujrzał przed sobą południową twarz Włocha z czarną bródką. Natomiast w obliczu Elżbiety nie można było doszukać się twarzy Wiocha lub choćby brata, tak odcziowieczone i skrajobraziałe stały się jej rysy. Starał się odnaleźć znajomy kształt i gdy nagle pojawił się on na nowo w jej twarzy, nos stał się na powrót nosem, oko na powrót okiem, ta zmiana ponownie była przerażająca i uspokoiło go jedynie to, że miała włosy gładko zaczesane i nie za bardzo skręcone. – A co? Nie lubi pani zimy? – Pański przyjaciel ma rację: trzeba podróżować – brzmiała odpowiedź. – Ciągnie go do Indii – rzekł Joachim i pomyślał o oliwkoskórej nacji i Rużenie. Czemu nigdy nie przyszło mu do głowy wyjechać gdzieś z Rużeną? Poczuł wzrok Elżbiety na swojej twarzy i odwrócił się jak przyłapany. Lecz jeśli ktoś ponosił winę za chęć podróżowania, to był nim Bertrand. Ponieważ po utracie życiowej stabilizacji musiał szukać rekompensaty i zapomnienia w interesach i egzotycznych podróżach, działał zaraźliwie i kiedy Elżbieta mówiła o Południu, być może ubolewała – choćby odtrąciła Bertranda – że nie podróżuje razem z nim. – Jak długo właściwie my się znamy? – usłyszał głos Elżbiety. Policzył; nie dało się tego tak dokładnie powiedzieć: kiedy jako dwunastoletni chłopiec był w domu na wakacjach, rodzice nieraz zabierali go do Lestowa. A wtedy Elżbieta dopiero co się urodziła. – Zatem właściwie znałam pana zawsze, przez całe moje życie – stwierdziła Elżbieta – ale chyba nie zwracałam na pana uwagi. W moich oczach zaliczał się pan do dorosłych. – Joachim milczał. – Pan pewnie też nie zwracał na mnie uwagi – ciągnęła. – Och, owszem, odrzekł, owszem, wtedy, jak ni z tego, ni z owego stała się młodą damą. – Ale teraz – powiedziała Elżbieta – jesteśmy niemal rówieśnikami... Kiedy ma pan urodziny? – I nie czekając na odpowiedź dorzuciła: – Pamięta pan, jak wyglądałam jako dziecko? – Joachim musiał się zastanowić; w salonie baronowej wisiał portret Elżbiety z czasów dzieciństwa i uparcie przesłaniał żywe wspomnienie.

– Dziwna rzecz – oznajmił – bardzo dobrze pamiętam, jak pani wyglądała, jednakże... – Chciał powiedzieć, że w jej twarzy nie może odnaleźć dziecięcego oblicza, choć z pewnością musi w niej być, ale kiedy teraz spojrzął na nią, ta twarz znów zniknęła i były tylko wzgórza i doliny, powleczone czymś, co się nazywa skórą. Jakby podejmując jego myśl Elżbieta powiedziała: – Jak wyteżę siły, to mogę mimo wąsów rozpoznać pańską chłopięcą twarz. – Zaśmiała się. – Właściwie to zabawne; muszę kiedyś spróbować tego z moim ojcem. – Może pani również zobaczyć mnie jako starego człowieka? – Elżbieta wpatrywała się intensywnie: – Dziwne, nic mi z tego nie wychodzi... chociaż nie, wychodzi: jeszcze bardziej upodobni się pan do matki, będzie pan miał dobrą, okrągłą twarz i sumiaste, siwe wąsy... A ja jako starsza

kobieta? Będę robiła wrażenie bardzo dostojnej? – Joachim oświadczył, że nie potrafi sobie tego wyobrazić. – Niech pan nie będzie taki rycerski i jednak powie... – Proszę wybaczyć, ale to nie w moim guście. Przecież to nieprzyjemne wyglądać nagle jak własni rodzice, brat czy jeszcze ktoś inny... Wtedy tyle rzeczy traci sens. – Czy pański przyjaciel Bertrand też tak mówi? – Nie, o ile wiem nie: czemu pani tak sądzi? – Ach, tylko tak, to by mogło mu odpowiadać. – Sam nie wiem, ale wydaje mi się, że Bertrand tak bardzo jest zaprzątnięty zewnętrznymi sprawami swojego niespokojnego życia, iż na coś takiego w ogóle nie zwraca uwagi. Nigdy nie jest całkiem sobą. – Elżbieta uśmiechnęła się. – Uważa pan, że widzi wszystko z wielkiego oddalenia? Niejako oczyma kogoś obcego? – Co ona chciała przez to powiedzieć? Do czego piła? Gardził sobą za tę ciekawość, czuł się nie w porządku, znów pojął, że to był nierycerski gest pozostawić kobietę innemu zamiast jej bronić, bronić przed każdym innym. Właściwie jego obowiązkiem byłoby jednak poślubienie Elżbiety. Natomiast Elżbieta nie sprawiała bynajmniej wrażenia nieszczęśliwej mówiąc: – Było przyjemnie, ale teraz musimy zdążyć na obiad, rodzice czekają.

Gdy w drodze powrotnej wyłoniła się przed nimi wieża lestowskiego dworu, ona jakby przemyślała ich rozmowę, bo powiedziała: – To jednak dziwne, jak nie sposób rozróżnić poufałości i obcości. Może ma pan rację nie chcąc nic wiedzieć o starości. – Joachim, zajęty myślami o Rużenie, co prawda nie zrozumiał, ale tym razem nie łamał sobie głowy.

Jeśli coś przyczyniło się do wyzdrowienia pana von Pasenowa, to była to poczta. Któregoś ranka, leżał jeszcze w łóżku, przypomniało mu się: – Kto odbiera torbę pocztową? Może Joachim? – Nie, Joachima to nie obchodzi. Stary burknął, że Joachima to w ogóle nic nie obchodzi, zdawał się jednak ukontentowany, postanowił wstać i powoli poszedł do swego pokoju. Gdy zjawił się posłaniec, wszystko odbyło się według znanego rytuału, który odąd znów powtarzał się codziennie. I jeśli pani von Pasenow była akurat obecna, to musiała wysłuchiwać skargi, że nikt nie pisze. Stary często też dopytywał się, czy Joachim jest w majątku, ale nie chciał go widzieć. A kiedy usłyszał, że syn musi na jakiś czas pojechać do Berlina, powiedział: – Przekaż mu, że ja zabraniam. – Czasami zapominał o tym i narzekał, że nawet własne dzieci do niego nie piszą, i to naprowadziło panią von Pasenow na myśl, że Joachim mógłby na pojednanie napisać list do ojca. Joachim przypomniawszy sobie laurki, które obaj z bratem na urodziny rodziców musieli wymalowywać na oplecionym różami papierze; była to okropna męka. Wzbraniał się przed jej powtórzeniem i oświadczył, że wyjeżdża. Przed ojcem można to ukryć.

Jechał nie odczuwając tęsknoty; jeśli kiedyś buntował się, że chce mu się narzucić małżeństwo, to teraz w taki sam sposób nie godził się z tym, że trzydniowy pobyt w Berlinie zobowiązuje go do trzech nocy miłosnych z Rużeną. Uważał, że jest to i dla niej poniżające. Najchętniej odwłókliby spotkanie i żeby przynajmniej nie wychodziła na dworzec, poniechał zawiadomienia jej o godzinie przyjazdu. W drodze przyszło mu na myśl, że właściwie powinien przywieźć jej jakiś prezent; ale że ani kuropatwy, ani pozostała dziczyzna nie nadawały się do tego celu, i tak nie miał innego wyjścia jak kupienie czegoś w Berlinie; to dobrze, że Rużena nie wyjdzie na dworzec. Usiłował wymyślić stosowny podarek, ale jego fantazja była spętana, nie mógł nic wykombinować i miotał się między perfumami a rękawiczkami; no cóż, w Berlinie już coś się znajdzie.

Po przybyciu do swego mieszkania napisał przede wszystkim bilecik do Bertranda, który z pewnością się ucieszy, że będzie miał okazję omówić z nim wreszcie okropne zdarzenia ostatniego dnia w Stołpinie. Napisał też do Rużeny i posłał obie wizytówki przez posłańca polecając mu zaczekać na odpowiedź. W mieszkaniu czuł się swojsko. Lato wciąż jeszcze prażyło uwięzione za zamkniętymi oknami. Joachim otworzył skrzydło jednego z nich i napawał się spokojem ulicy; było późne popołudnie. W nocy należało spodziewać się deszczu, na zachodzie zalegała szara ściana chmur. Winorośl czerwieniła się na płotach ogródków przed domami, na chodniku leżały żółte liście kasztana, a konie z czterech dorożek

na rogu miały smutno i spokojnie ugięte przednie nogi. Joachim wychylił się z okna i patrzył jak ordynans otwiera pozostałe; gdyby i on się wychylił, Joachim uśmiechnąłby się do niego w drugi koniec fasady domu i kiwnąłby głową. A gdy ordynans wziął się do rozpakowywania, Joachim pozostał przy oknie i spoglądał w ciemniejącą, spokojną ulicę. Potem cofnął się w głąb mieszkania, gdzie pochłodziło i tylko tu i ówdzie w powietrzu unosiła się jeszcze odrobina lata, napęlniając Joachima coraz większym smutkiem. Ale dobrze było wreszcie poczuć mundur na sobie; obchodził swoją bliższą własność, oglądał rzeczy i książki. Tak, tej zimy chciał więcej czytać. Potem wzdrygnął się, przecież za trzy dni ma to wszystko na powrót opuścić. Usiadł, jak gdyby w ten sposób mógł dowieść sobie osiadłości, kazał zamknąć okna i zaparzyć herbatę. Trwało to jakiś czas; wrócił posłaniec, o którym zdążył już zapomnieć; pana von Bertranda nie ma w Berlinie, jest jednak w najbliższych dniach oczekiwany, a pani nie dała żadnej odpowiedzi, oznajmiła tylko, że zaraz przyjdzie. Joachim poczuł się tak, jakby rozplynęła się niewielka nadzieja; pragnął wręcz, żeby było odwrotnie i żeby to Bertrand miał zaraz przyjść. W dodatku przecież chciał jeszcze kupić prezent. Ale już po paru minutach rozległ się dzwonek; przyszła Rużena. Na nauce pływania w szkole kadetów przed laty bał się skakania, aż raz instruktor bez ceregieli wepchnął go do wody; a wtedy woda była bardzo przyjemna i on się śmiał. Rużena wpadła jak burza i rzuciła mu się na szyję. Przyjemnie było w wodzie, siedzieli trzymając się za ręce, wymieniali pocałunki i Rużena bez przerwy opowiadała o rzeczach, których tła nie znał. Nic nie pozostało z niemilego uczucia i szczęście byłoby niezmaczone, gdyby nagle z nową siłą nie dała o sobie znać irytacja z powodu zapomnianego prezentu. Ale jako że Bóg wszystkim jak najlepiej, a co najmniej dobrze kieruje, poprowadził Joachima do szafy, w której od miesięcy spoczywały nie zauważane koronkowe chusteczki. I gdy Rużena zwyczajowo szykowała kolację, Joachim wyszukał niebieską wstążeczkę i bibułkę i położył paczuszkę pod talerzem Rużeny. I ani się obejrzawszy poszli spać.

Dopiero następnego dnia przypomniało mu się, że wkrótce musi przecież wyjechać. Z ociąganiem oznajmił o tym Rużenie. Ale spodziewany wybuch rozżalenia czy złości nie nastąpił, tylko Rużena powiedziała po prostu: – Nie ma tak: ty zostaniesz. – Joachim zdumiał się; ona miała rację, dlaczego on nie miałby tu rzeczywiście zostać? Cóż to go opętało, że snuł się bez celu po podwórzu i krył się przed ojcem? Poza tym bezwarunkowo konieczne wydawało się zaczekanie w Berlinie na Bertranda. Może to było uchybienie, coś w rodzaju cywilnej niepunktualności, w jaką wciągnęła go Rużena, ale dawało mu niewielkie poczucie wolności. Postanowił, że przemyśli sprawę przez noc, a ponieważ spędzał ją z Rużeną, nazajutrz napisał do matki, że sprawy służbowe zatrzymują go w Berlinie dłużej, niż to było zamierzone; podobny list, który załączył, miała ona, jeśli uzna to za stosowne, przekazać ojcu. Później uprzytomnił sobie, że ta metoda niewiele miała sensu, skoro i tak poczta przechodzi przez ręce ojca; ale było już za późno; list został nadany.

Zgłosił się do służby; wylądował w ujeżdżalni. Wachmistrz i kapral, obaj z długimi batami w ręce, prowadzili szkolenie i wzdłuż ścian poruszało się stado koni z rekrutami w drelichowych kurtkach. Zalaatywało piwnicą i mokry piasek, w którym grzęzły stopy, przypomniał mu, z lekka nostalgicznie, o Helmucie i piasku sypanym na jego trumnę. Wachmistrz strzelił z bata i zarządził kłus. Drelichowe postacie pod ścianami zaczęły rytmicznie się huścić. Wkrótce Elżbieta powinna przyjechać do Berlina na jesienny pobyt. Ale to nie była prawda: Baddensenowie nigdy nie przyjeżdżali przed październikiem, a i dom nie mógł być jeszcze gotowy. A właściwie to oczekiwał nie Elżbiety, lecz Bertranda; naturalnie, to jego miał na myśli. Ujrzał przed sobą jego i Elżbietę, jak oboje jechali kłusem, unosząc się w strzemionach i opadając. Dziwne było, jak wówczas twarz Elżbiety przeistoczyła się w krajobraz i jak on się męczył, żeby ją wyodrębnić. Spróbował, czy to samo przydarzyłoby się mu z twarzą Bertranda, usiłował wyobrazić sobie, że Bertrand,

unosząc się w strzemionach i opadając, jedzie wzdłuż ściany, ale poniechał tego; wydawało się to bluźniercze i był rad, że nie zobaczył już twarzy Helmuta. Wachmistrz zarządził jazdę stępą i do maneżu wniesiono białe bariery do skoków i przeszkody. Przyszli mu na myśl kłowni i nagle zrozumiał, dlaczego Bertrand mógł kiedyś powiedzieć: ojczyzny broni cyrk. To wciąż niepojęte, że wtedy przewrócił się o pień drzewa.

Znów przejeżdżał koło fabryki maszyn Borsiga. Znów stali tam robotnicy. Właściwie nie chciał już tego wszystkiego oglądać. Nie przynależał do tego świata i nie było potrzeby odcinać się wojskowym mundurem. Pewnie, Bertrand przynależał, może z oporami, ale się wciągnął; jednakże o Bertrandzie on też już nie chciał nic wiedzieć; najlepiej jednak byłoby wrócić do Stołpina. Mimo to kazał woźnicy zatrzymać się pod mieszkaniem Bertranda i ucieszył się słysząc, że pan von Bertrand przyjedzie wieczorem. To dobrze, on w każdym razie wieczorem wstąpi – i zostawił bilecik, który wyjawiał ten zamiar.

Poszli do teatru, na którego scenie występowała Rużena i wykonywała ubożuchne gesty chórzystek. Podczas antraktu Bertrand powiedział: – To jednak nie dla niej; znajdziemy coś innego – i Joachim znowu doznał uczucia bezpieczeństwa. Kiedy siedzieli przy kolacji, Bertrand zwrócił się do Rużeny: – Niech pani powie, Rużeno, czy teraz zostanie panią sławną i wspaniałą aktorką? – Naturalnie, że zostanie, jeszcze jak zostanie! – No, ale co będzie, jak pani zmieni zdanie i rzuci nam to wszystko? Tyle się namęczyliśmy, żeby stała się pani sławna i wspaniała, a tu nagle puszcza pani nas w trąbę i jesteśmy zblamowani. Co wtedy zrobimy? – Po chwili namystu Rużena odparta: – Ech, jest kasyno Pod Jegrami. – O nie, Rużeno, nigdy nie wolno się cofać, jak się już zaszło wyżej. Chodzi więc o to, co więcej znaczy niż teatr. – Rużena zaczęła płakać: – Dla takich jak my nic przecież nie ma. Joachimie, on jest zły przyjaciel. – Joachim powiedział: – Bertrand żartuje, Rużeno. – Ale sam poczuł się nieswojo i uznał, że Bertrand nie zachowuje się taktownie. Ten natomiast zaśmiał się: – Nie ma co płakać, skoro my głowimy się nad tym, jak Rużenę uczynić sławną i bogatą. A wtedy będzie musiała znosić nas wszystkich. – Joachim był zaszokowany; oto widać jak na dłoni, że życie człowieka interesu prowadzi do zdziczenia.

Później powiedział do Bertranda: – Dlaczego pan ją dręczy? – A Bertrand odrzekł: – Trzeba wybiegać w przyszłość, a operować można tylko na zdrowym organizmie. Teraz jeszcze jest na to czas. – Mówił jak lekarz.

Ziściło się to, czego na poły się obawiał. List wpadł w ręce ojca i ten zaczął widać znowu szaleć, bo matka pisała, że nastąpiło nowe pogorszenie. Joachim dziwił się, jak właściwie mało go to obeszło. Nie czuł się zobligowany do jazdy do domu, zawsze zdąży przyjechać w porę. Helmut zlecił mu pomaganie matce, lecz ach, cóż jej można było pomóc; sama musiała dźwigać los, jaki wzięła na siebie. Odpowiedział, że przyjedzie jak najprędzej, i został, pozostawił wszystko po staremu, pełnił służbę, nie czynił żadnych przygotowań do zmiany i z niewytłumaczalną obawą odsuwał od siebie wszelką myśl, która chciała się tym zająć. Bo czasami trzeba było pewnego wysiłku, żeby utrzymać znany wygląd rzeczy, i mogło dochodzić do tego, iż ludzie, którzy nadal zajmowali się tymi rzeczami, jakby wszystko było w porządku, wydawali się często ciaśni, zaślepieni i wręcz pomyleni. Z początku nie zwracało to uwagi; lecz uprzytomniwszy sobie ponownie cyrkowość służby obciążał odpowiedzialnością Bertranda. Ba, nawet munduru nie wkładało się jak dawniej: raptem przeszkadzały mu epolety na ramionach, przeszkadzały mankiety koszuli, a któregoś ranka patrząc w lustro zadał sobie pytanie, czemu właściwie musi nosić szablę z lewej strony. Uciekał w myślach do Rużeny, mówił sobie, że miłość do niej, jej miłość do niego jest czymś, co wznosi się ponad wszelkie podawane w wątpliwość konwencje. Kiedy potem długo patrzył jej w oczy i delikatnie przesunął palcem po jej powiekach, co ona brała za miłość, wdawał się często w podszytą strachem grę pozwalając, by to oblicze coraz bardziej i bardziej traciło na wyrazistości, aż do granicy, za którą groziło odczłowieczenie i twarz już w niczym nie

przypominała twarzy. Wiele stawało się jakby melodią, której człowiek, jak sądzi, nie może zapomnieć i którą jednak zatracą, aby wciąż na nowo boleśnie jej szukać. Była to gra niesamowita i beznadziejna, a w rozdrażnieniu i złości chciało mu się, żeby odpowiedzialność za ten dziwny stan też można było zrzucić na Bertranda. Czyż nie mówił on o swoim demonie? Rużena wyczuwała rozdrażnienie Joachima i powodowana nieufnością, jaką od tamtego wieczoru żywiła do Bertranda, po długim, ponurym milczeniu wybuchnęła gwałtownie i niezręcznie: – TV to mnie już nie lubisz... albo ty musisz najpierw spytać przyjaciela, czy tobie wolno... a może Bertrand już tobie zakazał? – i chociaż były to słowa gniewne i napastliwe, Joachim chętnie ich słuchał, bo przynosiły ulgę potwierdzając własne podejrzenie, że demoniczne źródło wszelkich nieszczęść tkwi w Bertrandzie. A zgoła najgorszym rezultatem takiego zgubnego mefistofelesowskiego i obłudnego oddziaływania wydawało mu się to, że mimo wspólnej niechęci Rużena nie lgnęła silniej do niego, lecz swymi nieokrzesanymi i nieopanowanymi wybuchami ciążyła bardziej ku Bertrandowi i jego nie mniej obraźliwym żartom: pomiędzy przyjacielem a kochanką, pomiędzy tą dwójką cywilów, na których nie mógł liczyć, czuł się wciągnięty między dwa młyńskie kamienie nietaktowności, które meły go nieubłaganie. Zalaatywało złym towarzystwem i nieraz Joachim nie wiedział, czy to Bertrand przyprowadził mu Rużenę, czy też on przez Rużenę dotarł do Bertranda, aż z przerażeniem uświadamiał sobie, że nie potrafi już zapanować nad rozplywającą się i zalewającą masą życia i że coraz prędzej i coraz głębiej zapada w urojenia, a wszystko staje się niepewne. Lecz gdy pomyślał, że wyjścia z takiego chaosu powinien szukać w religii, na nowo rozwarła się przepaść, która dzieliła go od cywilów, bo po drugiej stronie tej przepaści stał cywil Bertrand, wolnomyśliciel, stała katoliczka Rużena, oboje poza jego zasięgiem, i wydawało się wręcz, że będą się cieszyć z jego osamotnienia.

Odpowiadało mu, że w niedzielę miał służbę w kościele. Ale nawet aż po wojskowy ceremoniał prześladowała go cywilność. Bo miny żołnierzy, którzy zgodnie z rozkazem wmaszerowali do świątyni dwiema równoległymi kolumnami, nie wyglądały inaczej niż te, które przybierali na ćwiczeniach albo na nauce jazdy; żadna z min nie była nabożna, żadna nie była przejęta. Musieli chyba to być robotnicy z fabryki maszyn Borsiga; prawdziwi chłopscy synowie z rodzinnych stron nie staliby tak obojętnie. Poza podoficerami, którzy spoglądali ze służbową nabożnością, pewnie żaden nie słuchał kazania. Pokusa, żeby i to nazwać cyrklem, była zastraszająco bliska. Joachim zamknął oczy i usiłował się modlić, jak przedtem usiłował być się modlić w wiejskim kościele. Może też nie modlił się wcale, lecz gdy żołnierze zaintonowali chorał, zabrzmiał i jego głos, wtórując bezwiednie, bo z pieśnią, którą śpiewał w dzieciństwie, nasunęło się wspomnienie obrazu, wspomnienie małego, kolorowego świętego obrazka, a że ów obrazek stanął mu wyraźnie przed oczyma, przypomniał sobie również, że przyniosła mu go czarnowłosa polska kucharka, słyszał jej niski, śpiewny głos i widział jej pomarszczony palec ze splekanym czubkiem, jak przesuwając się po całej tej kolorowości, pokazywał, że tutaj była ziemia, na której mieszkali ludzie, a ponad nią, niezbyt wysoko, na srebrzystej deszczowej chmurze siedziała sobie spokojnie, ramię w ramię, Święta Rodzina, sportretowana w bardzo kolorowych strojach, a złoto, którym ozdobione były szaty, konkurowało z blaskiem złotych aureoli. Dziś jeszcze nie śmiał myśleć o tym, jakie to było błogie wyobrazić sobie, że samemu jest się częścią tej katolickiej Świętej Rodziny, samemu na owej srebrzystej chmurze spoczywa się w ramionach dziewiczej Matki Boskiej lub na kolanach czarnowłosej Polki... tego już teraz nie można było rozstrzygnąć, nie ulegało jednak wątpliwości, że zachwyty przepojony był drżeniem z powodu bluźnierczej usurpacji i kacerstwa, których takim pragnieniem i taką błogością dopuszczał się urodzony protestant, i że nie miał odwagi umieścić zagniewanego ojca na obrazie; ale też nie chciał go tam widzieć. I podczas gdy on z wielką uwagą i wyteżoną wolą starał się dokładniej sobie obraz uzmysłowić, było tak, jak gdyby posrebrzana chmura uniosła się nieco wyżej, ba, jak gdyby zaczęła rozplywać się ku górze, a z nią postacie, które na niej spoczywały, zdawały się

lekką roztopiać, rozpuszczać w melodii chorału, a to delikatne rozpląwanie się nie było bynajmniej wygaszeniem wspomnienia, lecz pewnym rozjaśnieniem i wyostrzeniem, tak że przez chwilę mógł nawet myśleć, że tym samym doszło do niezbędnego ewangelickiego rozłożenia katolickiego świętego obrazu: włosy Matki Boskiej nie wydawały się już ciemne, bodaj nie była już Polką, była jeszcze Rużeną, lecz miała jaśniejsze i bardziej połączone pukle, a równie dobrze mogłaby to być dziewicza jasnowłosość Elżbiety. Wszystko to było dość dziwne, a przecież wyzwajające, promień światła i przecucie przyszłej laski pośród chaosu; bo czy łaską nie należało nazwać już tego, że katolicki obraz uległ ewangelickiemu rozkładowi? I w rozpląwaniu się kształtów, rozpląwaniu się, które było łagodne jak ciurkotanie wody i mgła w deszczowy wiosenny wieczór, uświadomił sobie, że budzący tak wielkie obawy rozkład ludzkiego oblicza w nicą niespokojnych wzniesień i zagłębień ma być wstępem do nowej i jaśniejszej jedności w błogim, chmurowym połączeniu, już nie odbicie ziemskiej twarzy, lecz na znak obietnicy podobieństwa krystaliczna kropla, która śpiewnie spada z chmury. I nawet jeśli to wyższe oblicze nie miałoby ziemskiej urody i swojskości, byłoby na razie obce i przerażające, może jeszcze bardziej niż roztopianie się twarzy w krajobrazie, był to po prostu pierwszy krok, przecucie boskiej grozy, jednakże i pewność boskiego życia, w którym ginie ziemskość, tonąc jak twarz Rużeny i jak twarz Elżbiety, może też tonąc jak postać Bertranda. Toteż obraz, który znów się pojawił, nie był właściwie tym z dzieciństwa, sprzed lat, z ojcem i matką: unosił się chyba jeszcze w tym samym miejscu, unosił się na tej samej srebrnej chmurze, a on sam wciąż jeszcze w ten sam sposób siedział u stóp obrazu jak kiedyś u stóp matki, on jako dzieciątko Jezus, ale obraz stał się dojrzały, to już nie pragnienie chłopca, lecz pewność celu, i wiedział, że uczynił pierwszy bolesny krok w jego kierunku, został dopuszczony do egzaminu, choć stał dopiero na początku serii prób. Wręcz rozpięła go duma. Ale oto zbladł uszczęśliwiający obraz, zaniki jak ustający deszcz, a to, że miała w tym udział Elżbieta, było jak ostatnia kropla z welonu mgły. Może to był palec Boży. Otworzył oczy; chorał dobiegł końca i Joachim był przekonany, że niektórzy młodzi ludzie spoglądali w niebo tak jak on z ufnością i niezachwianą żarliwością.

Po południu spotkał się z Rużeną. Powiedział: – Bertrand ma rację; teatr to nie jest odpowiednie miejsce dla ciebie. Nie byłoby ci przyjemnie mieć sklep, sprzedawać ładne rzeczy, na przykład koronki i piękne hafty? – I ujrzał przed sobą oszklone drzwi, za którymi swojsko płonęła lampa. Lecz Rużena popatrzyła na niego w milczeniu i jak to teraz często bywało, łzy stanęły w jej ciemnych oczach. – Wy to jesteście źli ludzie – rzekła trzymając go za rękę.

Wobec ponownego pogorszenia lekarz zażądał zwołania konsylium i na Joachima spadł oczywisty obowiązek wyjazdu do Stołpina w towarzystwie specjalisty od nerwów. Uważał to za część pokuty, którą sobie nazaczył, i utwierdził się jeszcze w tym wyobrażeniu, gdy podczas jazdy lekarz z uprzejmą obojętnością zadawał pytania o rodzaj choroby, jej historię i sytuację rodzinną. Bo te pytania wydawały się Joachimowi łagodnym wprowadzaniem, ale przez to nie mniej dociekliwym i ostrym śledztwem i spodziewał się, że śledczy patrząc surowo przez szkła okularów wyciągniętym palcem wskaże na niego, słyszał już słowo oskarżenia i potępienia: morderca. Ale uprzejmego starszego pana w okularach nic nie skłoniło do wypowiedzenia tego strasznego a przecież wyzwajającego słowa, uznał tylko, że wstrząsy spowodowane przez śmierć syna zapewne wywołały owe pożałowania godne objawy, na które cierpi obecnie pan von Pasenow, aczkolwiek pierwotne źródła mogą tkwić głębiej. Joachim zaczął patrzeć na specjalistę od nerwów z podejrzliwością i jednak z pewnym zadowoleniem, przekonany, że człowiek, który wygłasza takie opinie, nie będzie mógł choremu pomóc.

Potem rozmowa ustała i Joachim patrzył, jak umykają z dawna znane pola i drzewa. Specjalista od nerwów zdrzemnął się w rytm jazdy, z podbródkiem między rogami wykrochmalonego kołnierzyka, biała broda leżała w wycięciu kamizelki zasłaniając je. Joachimowi nie mieściło się w głowie, że on sam też mógłby kiedyś tak się zestarzeć, że ten był niegdyś młody i że pośród tej brody jakaś kobieta szukała pewnie pocałunku; coś tam z tego powinno być jeszcze być zauważalne, uczepione brody jak pióro czy źdźbło. Przesunął dłonią po twarzy; to oszukańcze wobec Elżbiety, że pocałunki, którymi obdarzyła go na pożegnanie Rużena, nie pozostawiły śladu: Bóg błogosławi człowieka zasłaniając przed nim przyszłość i potępia go kryjąc przed nim przeszłość; czy to nie byłaby łaska, gdyby za wszystko piętnował człowieka? Ale Bóg naznacza piętnem tylko sumienie i nawet specjalista od nerwów nie potrafi się na tym poznać. Helmut doczekał się piętna; dlatego nie wolno było oglądać go w trumnie. Ale ojciec też jest napiętnowany; ktoś, kto chodzi jak on, powinien właściwie zezować.

Pan von Pasenow nie leżał w łóżku, ale znajdował się w stanie całkowitej apatii; mimo to obawiając się nowych wybuchów gniewu ukryto przed nim obecność Joachima. Do nieznanego lekarza odnosił się z początku obojętnie, wkrótce jednak wziął go za notariusza i zażądał spisania nowego testamentu. Tak, Joachim ze względu na niehonorowe zachowanie ma zostać wydziedziczony, lecz on nie jest okrutnym ojcem, życzy sobie tylko, żeby Joachim spłodził z Elżbietą wnuka. To dziecko ma trafić pod jego dach i wtedy wszystko odziedziczy. Po pewnym namyśle dorzucił, że Joachim nigdy nie będzie miał prawa zobaczyć dziecka, bo w przeciwnym razie i ono zostanie wydziedziczone. Matka później z ociąganiem opowiedziała to Joachimowi i wbrew swoim przyzwyczajeniom podniosła lament: do czego to jeszcze doprowadzi! Joachim wzruszył ramionami; znów odczuwał tylko wstyd, że oto ktoś śmiał mówić o tym, iż on ma z Elżbietą płodzić dzieci. Również specjalista od nerwów wzruszył ramionami; nie ma co porzucać wszelkiej nadziei, pan von Pasenow jest jeszcze nadzwyczaj krzepki, ale na razie trzeba odczekać; nie wolno chorego pozostawiać zbyt długo w łóżku, to przy podeszłym wieku pacjenta może być jednak szkodliwe. Pani von Pasenow odparła, że jej mąż raz po raz chce się położyć, wciąż mu zimno i wydaje się też, że dręczy go skrywany strach, który dopiero w sypialni trochę się uspokaja. Cóż, trzeba się dostosowywać do nastroju danej chwili, oznajmił specjalista od nerwów, on w gruncie rzeczy może tylko powiedzieć, że pan von Pasenow pozostając pod opieką pana kolegi – ten skłonił się dziękując – znajduje się w jak najlepszych rękach.

Zrobiło się późno, nadszedł pastor i podano kolację. Nagle w drzwiach stanął pan von Pasenow: – Zatem gości tu się podejmuje, mnie o tym nie zawiadamiając; prawdopodobnie dlatego, że jest tu już nowy pan domu. – Joachim chciał wyjść z pokoju. – Zostać i na swoje miejsce – zarządził pan von Pasenow i usiadł na krześle pana domu, którego nawet pod jego nieobecność nikt inny nie zajmował; widać to go trochę udobruchało. Zażądał, żeby obsłużono go dodatkowo: – Musi tutaj znów zapanować porządek; panie notariuszu, czy o pana zadbano? Zapytano pana, czy pije pan wino czerwone, czy białe? Ja widzę tylko czerwone. Dlaczego nie ma szampana; testament trzeba oblać szampanem. – Zaśmiał się do siebie.

– No i co jest z tym szampanem? – wrzasnął na usługującą dziewczynę.

– Mam sam pójść doić? – Specjalista od nerwów pierwszy połapał się w sytuacji i żeby ją ratować, powiedział, że chętnie wypije kieliszek szampana. Pan von Pasenow triumfalnie popatrzył wokoło: – Tak, tutaj znów musi zapanować porządek. Nikt nie ma poczucia honoru... – Potem ciszej do lekarza: – Helmut bowiem zginął w obronie honoru. Ale nie pisze do mnie. Może ma jeszcze urazę... – Zastanowił się. – A może to ten pastor przechwytuje moje listy. Chce swoją tajemnicę zachować dla siebie, nie chce, żeby ktoś z nas go przejrzał. Ale przy pierwszym nieporządku na cmentarzu sługa Boży wyleci. Ręczę za to. – Ależ, proszę szanownego pana, przecież tam wszystko jest w najlepszym porządku. – Na

pozór, panie notariuszu, na pozór, nic innego jak mydlenie oczu, tylko nam niełatwo jest na to wpaść, bo nie rozumiemy ich języka; są widzialnie ukryci. My, inni, słyszymy tylko, jacy są milczący, ale oni ciągle nam się uskarżają. Dlatego wszyscy tak bardzo się boją i kiedy mam gościa, muszę go sam wyprowadzać, ja, stary człowiek – wrogie spojrzenie musnęło Joachima – bo nikczemnik naturalnie na to się nie odważy, woli chować się w oborze. – Cóż, proszę pana, pan sam musi częściej doglądać wszystkiego, czuwać nad polami, w ogóle wychodzić z domu. – Ja bym chciał, panie notariuszu, i ja to robię. Ale jak człowiek wyjdzie przed drzwi, oni często zastępują drogę, tak ich pełno w powietrzu, tak pełno, że żaden dźwięk się przez nich nie przedostanie. – Wzdrygnął się, chwycił kieliszek lekarza i zanim zdążyło mu się przeszkodzić, opróżnił go jednym haustem. – Musi pan często bywać u mnie, panie notariuszu, zrobimy testament. A tymczasem będzie pan do mnie pisał? – zapytał błagalnie. – A może pan też mnie zawiedzie? – Popatrzył na niego podejrzliwie. – Może pan też z nimi konspiruje?... On mnie już raz z jednym zdradził, ten tam... – Zerwał się, a jego palec wskazywał Joachima. Potem złapał talerz, i przymknął oko, jakby zamierzał celować; krzyknął: – Kazałem mu się ożenić... – Ale lekarz stanął obok, położył mu dłoń na ramieniu: – Chodźmy, proszę pana, pogadamy jeszcze trochę w cztery oczy w pańskim pokoju. – Naprawdę sami? I ja nie będę się już bał... – Uśmiechał się teraz bezradnie, pogłaskał lekarza po policzku. – Tak, my już im pokażemy... – Machnął pogardliwie ręką w stronę stołu i pozwolił się wyprowadzić.

Joachim ukrył twarz w dłoniach. Tak, ojciec go napiętnował; oto rzecz się spełniła, a on mimo to się buntował. Podszedł pastor i Joachim usłyszał z daleka banalne słowa pocieszenia: tak, ojciec zdawał się i tutaj mieć rację; ten sługa Kościoła źle wykonywał swój urząd, w przeciwnym razie powinien był wiedzieć, że przekleństwo ojca nie do wymazania ciąży na dzieciach, powinien był wiedzieć, że to głos samego Boga przemawia ustami ojca i zapowiada próbę: och, dlatego ojciec miał zmacony umysł, bo nikt bezkarnie nie staje się tubą Boga. I naturalnie pastor mógł być tylko człowiekiem banalnym; również on musiałby gadać niestworzone rzeczy, gdyby rzeczywiście był narzędziem Boga na ziemi. Ale Bóg wskazywał drogę ku łasce bez pośrednictwa kapłana; przeciwko temu nie można było się buntować, łaskę trzeba było wywalczyć samemu i okupić własnym cierpieniem. Joachim powiedział: – Dziękuję panu za dobre słowa, pastorze; teraz pewnie często będziemy potrzebowali pańskiej pociechy.

– Potem przyszli lekarze; pan von Pasenow dostał zastrzyk i zasnął.

Bertrand wrócił do Berlina. Po południu chciał odwiedzić Joachima, jednakże w mieszkaniu zastał tylko Rużenę. Robiła porządki w sypialni i na widok Bertranda powiedziała: – Z nim to ja nie rozmawiam. – Halo, Rużeno, co za mile spotkanie. – Z nim to ja nie rozmawiam, ja wiem, co myśleć o nim. – Znowu jestem zły przyjaciel, mała Rużeno? – Ja nie jestem jego mała Rużena. – Wspaniale, więc co się stało? – Co się stało? Ja wiem wszystko, to on go odesłał. Ja gwizdzę na jego sklep z koronkami.

– Dobrze, niech ci będzie, mam sklep z koronkami, czemu nie, ale mimo to można jeszcze ze mną rozmawiać. No to co jest z tym moim sklepem z koronkami? – Rużena w milczeniu układała bieliznę w komodzie; Bertrand przysunął krzesło i cieszył się na ciąg dalszy. – Jak by to było moje mieszkanie, to ja bym go wyrzuciła, to ja bym nie dała mu siedzieć. – No więc, Rużeno, teraz na poważnie, co to się dzieje? Czy starszemu panu znowu tak się pogorszyło, że Pasenow musiał tam pojechać? – On by nie udawał, że on nie wie; ja taka głupia nie jestem. – Wierzę ci, mała Rużeno. – Ona nie odwracając się porządkowała dalej: – Ja nie dam dworować ze siebie... ja nikomu nie dam dworować. – Bertrand podszedł, ujął głowę Rużeny w dłonie, żeby spojrzeć jej w twarz. Wyrwała się. – Niech on mnie nie dotyka. Najpierw mi go odsyła, a potem jeszcze sobie dworuje. – Bertrand wszystko zrozumiał oprócz sprawy ze sklepem z koronkami. – No więc, Rużeno, nie wierzy pani, że stary pan von Pasenow jest chory? – Ja to tam w nic nie wierzę, wszyscy są przeciwko mnie. – Bertrand

lekką się zirytował: – I prawdopodobnie stary pan umrze, bo jest przeciwko malej Rużenie. – Jak on go zabije, to umrze. – Bertrand chciałby jej pomóc, ale było to trudne; wiedział, że na ten stan ducha niewiele da się poradzić, i szykował się do odejścia. – Jego to się powinno zabić – powiedziała na zakończenie Rużena. Bertrand był ubawiony. – Dobrze – odparł – ja nie mam nic przeciwko temu, ale czy potem będzie lepiej? – A tak, on nie ma nic przeciwko temu, nic przeciwko – Rużena nerwowo grzebała w szufladzie komody – ale wyśmiewa się ze mnie, co?... – grzebała dalej – nic przeciwko... – i znalazła, czego szukała; ze służbowym rewolwerem Joachima w dłoni stanęła wrogo naprzeciw Bertrandowi. To jakaś głupota, pomyślał Bertrand: – Rużeno, zaraz odłóż tę pukawkę. – On przecie nie ma nic przeciwko temu. – Niewielki gniew i odrobina wstydu nie pozwalały Bertrandowi opuścić pokoju; zamierzał podejść do Rużeny, żeby odebrać jej broń, a tu już rozległ się huk wystrzału, po nim drugi, kiedy rewolwer, upuszczony przez Rużenę, upadł na podłogę. – To jest doprawdy głupota – powiedział Bertrand i schylił się po niego. Wpadł ordynans, lecz Bertrand oświadczył, że rewolwer spadł na podłogę i wypalił. – Proszę powiedzieć panu porucznikowi, że broń należy przechowywać nie naładowaną. – Ordynans wyszedł. – No i jak, Rużeno, jesteś głupią dziewczyną czy nie? – Rużena stała blada i skamieniała, wskazała na Bertranda i powiedziała: – Tam – z rękawa skapywała krew. – Teraz to mnie do więzienia wsadzą – wybełkotała. Bertrand zrzucił surdut i koszulę; nic przedtem nie poczuł; było to lekkie draśnięcie w ramię, ale powinien jednak pójść do lekarza. Krzyknął na ordynansa, że ma sprowadzić dorożkę. Z bielizny Joachima zrobił sobie prowizoryczny opatrunek i kazał Rużenie zetrzeć ślady krwi; ale była tak zdenerwowana i oszołomiona, że musiał jej pomóc. – Ty, Rużeno, pojedziesz ze mną, bo ja cię teraz samej nie zostawię. A do więzienia cię nie wsadzą, jeśli zrozumiesz, że jesteś głupią dziewczyną. – Usłuchała bezwolnie. Pod drzwiami lekarza poprosiła, żeby wolno jej było poczekać w dorożce.

Powiedział lekarzowi, że na skutek nieszczęśliwego wypadku otrzymał lekki postrzał. – No cóż, może pan mówić o szczęściu, ale proszę nie lekceważyć sprawy i na parę dni położyć się w klinice. – Bertrand uważał to za przesadną ostrożność, ale idąc w dół po schodach czuł się z lekka osłabiony. Ku swojemu zaskoczeniu w dorożce nie zastał już Rużeny. Nieładnie z jej strony, pomyślał.

Pojechał najpierw do domu, zabrał wszystko, czego człowiek praktyczny i świadomy swej pozycji potrzebuje na pobyt w szpitalu, a po zainstalowaniu się w klinice posłał do Rużeny bilecik z prośbą, żeby go odwiedziła. Posłaniec przyniósł wiadomość, że paniuszka jeszcze nie wróciła do domu. Było to dziwne i dość niepokojące; ale on nie miał siły na podejmowanie tego dnia jeszcze jakichś działań. Nazajutrz rano znów posłał do niej: nadal nie było jej w domu, nie widziano jej też w mieszkaniu Joachima. Wówczas postanowił zatelefonować do Stołpina i w dwa dni później przyjechał Joachim.

Bertrand nie czuł się zobowiązany do opowiedzenia Joachimowi zgodnego z prawdą przebiegu sceny; historia z nieszczęśliwym wypadkiem i niezręcznością Rużeny brzmiała dostatecznie przekonująco. Na zakończenie oznajmił: – Od tego czasu nie dała znaku życia. Może to nic nie znaczy, ale takiej wzburzonej dziewczynie łatwo popełnić głupstwo. – Co on z nią zrobił? pomyślał Joachim; lecz potem z nagłym przerażeniem przypomniał sobie, iż Rużena wielokrotnie, czasem tylko żartem, czasem jednak na serio, groziła, że się utopi. Ujrzał szare wierzby na brzegu Haweli, drzewo, pod którym wtedy szukali schronienia, tak, pewnie leży tam w rzece. Przez moment pochlebiało mu to romantyczne wyobrażenie. Potem jednak znów ogarnęło go przerażenie. Nieuchronne przeznaczenie, nieuchronna próba! Jeśli przed wyjazdem pełen jeszcze nadziei modlił się w kościele, żeby choroba ojca była nie pokutą nałożoną na niego, syna, tylko zwykłym życiowym przypadkiem, to teraz Bóg pokazał mu, że już ta myśl była grzeszna; nie wolno podawać w wątpliwość prób Bożych, nie ma żadnego przypadku; bo zapewne Bertrand rozstając się z ojcem w pozornej waśni i

lekceważąco sprowadzając teraz nieszczęście z rewolwerem do rządu głupiego przypadku chciał jedynie ukryć, że jest wysłannikiem zła, wybranym przez Boga i ojca, aby zgotował pokutnikowi pokutę, wyprzedzał go kusząc, wciągał w pułapkę, aby kuszony przekonał się tam bezradnie, że jest równie zły jak kusiciel i że jego powinnością jest, zawsze było stać się podobnie jak tamten niszczącym losem dla kolejnej ofiary i że nigdy nie uda mu się wydrzeć zdobyczy ze szponów kusiciela. Czy dla kogoś, kto to rozumiał, nie lepiej jest samemu skończyć ze sobą? Czy nie byłoby lepiej, gdyby jego dosięgnęła kula zamiast Helmuta! Ale było już za późno, Rużena spoczywała na dnie Haweli, patrzyła szklanymi oczyma na ryby, które przemykały nad nią w szarej wodzie. Ni z tego, ni z owego jej obraz zmieszał się znowu z wizerunkiem Włocha z opery; jednakże i to się zatarło, gdy Joachim odkrył, że tym mężczyzną w wodzie był on sam. Tak, w jego własnych niebieskich oczach kryło się przynoszące nieszczęście złe spojrzenie, w które wierzą Włosi, i chyba byłoby słuszne, żeby nad tymi oczami przepływały ryby. – Ma pan jakieś przypuszczenia? – odezwał się Bertrand. – Ufajmy, że z miejsca pojechała w swoje strony. Miała dość pieniędzy? – Joachim poczuł się dotknięty tym pytaniem, było w nim coś ze śledczej obojętności lekarza; co też Bertrand myśli sobie o nim; naturalnie miała przy sobie pieniądze. Bertrand nie zauważył jego rozdrażnienia: – Mimo to chyba zawiadomimy policję; niewykluczone, że dziewczyna gdzieś się błąka. – Oczywiście, trzeba zawiadomić policję, Bertrand ma rację, ale Joachim odczuwał lęk przed tym; będą go wypytywali o stosunki z Rużeną i chociaż mówił sobie, że byłoby to bez znaczenia, bał się tajemniczo niewyobrażalnych komplikacji. Może Bóg chciał przy pomocy policji zaznajomić się z jego związkiem z Rużeną, nazbyt długo karygodnie ukrywanym, może i to było jedną z szeregu prób, tym ostrzejszą, że gmach policji znajdował się przy Alexanderplatz, a on przed pójściem tam wzdragał się bardziej niż kiedykolwiek. Mimo to wstał: – Jadę na policję. – Nie, Pasenow, ja to za pana załatwię; pan jest zbyt wzburzony, poza tym ci panowie węższą zaraz wszelkie możliwe dramaty. – Joachim był mu szczerze wdzięczny: – Zgoda, ale pańska ręka... – Ach, to nic nie szkodzi, stąd mnie wypuszczą. – Ale ja pojedę z panem. – Dobrze, mam nadzieję, że przynajmniej pan będzie siedział w dorożce, jak wrócę. – Bertrand był znowu wesół i Joachim poczuł się bezpiecznie. W dorożce prosił Bertranda, żeby namówił policję do przeszukania brzegów Haweli. – Pańska wola, Pasenow, ale ja sądzę, że Rużena dawno już siedzi w Czechach; szkoda, że nie zna pan nazwy tej dziury, ale my już się dowiemy. – Joachim sam się dziwił, że nie wiedział, jak się nazywa rodzinna miejscowość Rużeny, znał tylko jej nazwisko. Często dla zabawy kazała mu je wymawiać, ale on sobie z tym nie radził i nie mógł zapamiętać obcych dźwięków. Teraz przyszło mu na myśl, że właściwie nigdy go nie chciał znać ani zapamiętać, tak jak gdyby lękał się tego niewinnego nazwiska.

Towarzyszył Bertrandowi w wędrowce po korytarzach gmachu policji; pod drzwiami jakiegoś pokoju musiał zaczekać. Bertrand niebawem wrócił: – Już wiemy – i pokazał kartkę z nazwą czeskiej miejscowości.

– Zwrócił pan uwagę tych ludzi na brzegi Haweli? – Bertrand oczywiście to zrobił: – Ale pana, drogi. Pasenow, czeka dziś wieczorem nieprzyjemna misja, w której niestety z powodu mojej ręki nie mogę pana zastąpić. Ubierze się pan po cywilnemu i przeszuka z grubsza nocne lokale. Nie chciałem na to naprowadzać policji; z tym zawsze zdążymy; w przeciwnym razie jeszcze nam w końcu aresztują poczciwą Rużenę w jakimś lokalu. – O takiej najbanalniejszej i najobrzydliwszej możliwości Joachim nie pomyślał, ten Bertrand to po prostu wstrętny cynik. Przyglądał się Bertrandowi: czy on wiedział więcej? Jedynie Mefisto wiedział, za co Małgorzata musiała pokutować. Ale Bertrand nie dał nic poznać po sobie. Nie było innego wyjścia niż podporządkować się i wziąć na siebie rozkaz Bertranda jak próbę.

Rozpoczął upokarzającą drogę, dowiadywał się u kelnerów i bufetowych i poczuł ulgę, gdy w kasynie Pod Jegrami usłyszał, że Rużeny tam nie widziano. Na schodach wszelako spotkał jedną z tęgich dam do towarzystwa:

– Pewnie szukasz swojej narzeczonej, mały; nawiąła ci? No, chodź, zawsze znajdziesz inną. – Co ona wiedziała o jego związku z Rużeną? Kto wie, czy nie spotkała Rużeny, ale mimo to brzydził się wypytywania jej, minął ją i pognął do następnego lokalu; owszem, była tutaj, powiedziała dama przy bufecie, wczoraj albo przedwczoraj, więcej ona nie wie, może babka klozetowa będzie mogła udzielić mu jakichś informacji. Musiał kontynuować swą drogę przez mękę, raz za razem pełen wstydu zasięgać języka przy bufecie, u babki klozetowej, dowiadywał się, że ją widziano albo nie widziano, że się umyła, że raz wyszła z jakimś panem, że wyglądała bardzo marnie: – Wszyscy namawialiśmy ją, żeby poszła do domu; dziewczyna w takim stanie nie przynosi lokalowi chluby, ale ona usiadła i milczała. – Część tych ludzi bez ogródek tytułowała Joachima „panem porucznikiem”, tak że zrodziło się w nim podejrzenie, iż Rużena uczyniła ich wszystkich powiernikami swojej miłości, zdradziła ich miłość tym ludziom, zwłaszcza babkom klozetowym, do których wciąż go odsyłało.

I znalazł ją w toalecie. Siedziała śpiąc w kącie umywalni pod gazowym płomieniem; dłoń z pierścionkiem, który dostała od niego, spoczywała miękko na marmurowej płycie umywalki. Rozpięła wysokie buty i ze stopy wyzierającej spod sukni zwisała rozpięta cholewka ukazując szarą płócienną podszewkę. Kapelusz zsunął się trochę w tył, a że był przypięty szpilkami, potargał fryzurę. Joachim najchętniej poszedłby sobie; robiła wrażenie pijanej. Dotknął jej dłoni; Rużena z trudem otworzyła oczy; zobaczywszy, że to on, zamknęła je z powrotem. – Rużeno, musimy iść.

– Z zamkniętymi oczyma potrząsnęła głową. Stał przed nią bezradnie. – Pan jej da porządnego buziaka – zachęcała go babka klozetowa. – Nie!

– krzyknęła ze strachem Rużena, zerwała się i chciała biec do drzwi. Potknęła się o zwisające cholewki rozpiętych butów i Joachim ją zatrzymał.

– Panienko, z takimi butami i fryzurą nie można wyjść na ulicę – perswadowała babka klozetowa – pan porucznik nie robi pani nic złego. – Puścić, wypuścić, mówię... – parsknęła Rużena i rzuciła Joachimowi w twarz: – Skończone, żebyś wiedział, skończone. – Jej oddech zalatywał niewyspaniem i niestrawnością. Lecz Joachim nie ustąpił jej z drogi; wtedy Rużena odwróciła się, szarpnęła drzwi kabiny i zamknęła się.

– Wszystko skończone – wrzasnęła stamtąd – niech mu powie, żeby sobie poszedł, wszystko skończone. – Joachim osunął się na krzesło przy umywalce; niezdolny do powzięcia jakiegokolwiek myśli wiedział tylko, że i to zaliczało się do prób postanowionych przez Boga, i wlepił wzrok w półotwartą brązową szufladę umywalki, w której kłębiły się bez ładu i składu drobiazgi babki klozetowej, ręczniki, korkociąg, szczotka do ubrania. – Poszedł sobie? – usłyszał głos Rużeny. – Wyjdz, Rużeno – poprosił. – Panienska wyjdzie – dołączyła się babka klozetowa – to jest damska toaleta i pan porucznik nie może tu być. – Niech sobie pójdzie – brzmiała odpowiedź Rużeny. – Proszę cię, Rużeno, wyjdz – błagał jeszcze raz Joachim, ale Rużena już się nie odezwała zza zamkniętych drzwi. Babka klozetowa pociągnęła go za rękaw do sieni, szepnęła mu: – Ona wyjdzie, jak już pana porucznika nie będzie słyszała. Pan porucznik może przecie poczekać na dole. – Joachim usłuchał jej rady i w cieniu sąsiedniego domu czekał chyba godzinę. Potem ukazała się Rużena; u jej boku szedł jak kaczką gruby, brodaty, miękki mężczyzna. Rozejrzała się ostrożnie z dziwnym, jakby przylepionym złośliwym uśmiechem, po czym mężczyzna przywołał dorożkę i odjechali. Joachim musiał zmagać się z mdłościami; powlókł się do domu, nie bardzo wiedział, jak zaszedł, i może najbardziej dręczyło go, że nie pozbył się myśli, iż właściwie należało współczuć grubemu mężczyźnie, gdyż Rużena jest nie umyta i zalatyje od niej niewyspaniem. Rewolwer leżał jeszcze na komodzie; sprawdził go, brakowało dwóch naboí. Z bronią w złożonych dłoniach zaczął się modlić: – Boże, przyjmij mnie jak mojego brata, nad nim się zmiłowałeś, zmiłuj się

i nade mną. – Potem jednak przypomniał sobie, że musi jeszcze spisać testamentowe rozporządzenia; i Rużeny nie wolno mu było pozostawić bez zaopatrzenia, w przeciwnym razie wszystko, co mu wyrządziła, byłoby słuszne, choć tak niezrozumiałe. Poszukał atramentu i papieru. Ranek zastał go śpiącego na prawie nie zapisanym arkuszu.

Ukrył to, co przeszedł z Rużeną, wstydził się Bertranda, nie chciał, żeby ten triumfował, i chociaż brzydził się kłamstwem, opowiedział, że znalazł ją w jej mieszkaniu. – Też dobrze – odparł Bertrand. – Zawiadomił pan policję? Jeśli nie, to ona może jeszcze mieć kłopoty. – Naturalnie Joachim nie pomyślał o tym i Bertrand pchnął na policję posłańca ze stosowną wiadomością. – Gdzie się podziewała przez te trzy dni? – Tego nie powiedziała. – Też dobrze. – Ten spokój i ta rzeczowość były denerwujące; on o mały włos się nie zastrzelił, a ten mówi tylko: Też dobrze. Ale on się nie zastrzelił, ponieważ musi zadbać o Rużenę, a do tego potrzebuje rady Bertranda: – Niech pan posłucha, Bertrand, teraz będę chyba musiał objąć majątek; z początku nosiłem się z myślą, żeby Rużenie, której potrzeba przecież zarobku i zajęcia, postarać się o sklep czy coś w tym rodzaju... – Aha – wtrącił Bertrand. ... ale to nie bardzo wychodzi. Chciałbym więc wyznaczyć jej pewną sumę. Jak to się robi? – Przekazuje się jej pieniądze. Ale niech pan lepiej ustanowi jej rentę na określony czas; w przeciwnym razie ona zaraz te pieniądze przepuści. – Dobrze, ale jak to się robi? – Wie pan, ja bym to chętnie panu załatwił, ale będzie lepiej, jak zlecimy sprawę mojemu adwokatowi. Na jutro lub pojutrze umówię spotkanie. Nawiasem mówiąc marnie pan wygląda, mój drogi. – Joachim zauważył, że to nie ma znaczenia. – Ale czemu pan się tak przejmuje? Naprawdę niepotrzebnie tak pan to sobie bierze do serca – powiedział Bertrand z odcieniem dobroduszości. Jego ironiczne niedyskrecje i ten ironiczny rys wokół ust są nienawistne, pomyślał Joachim i znów w głębi wezbrało w nim podejrzenie, że za niewytłumaczalnym postępowaniem Rużeny i jej niestałością stały intrygi Bertranda i jakaś ogólna więź, która popchnęła Rużenę do absurdalnych działań. Małą satysfakcją dawało to, że z grubym mężczyzną zdradziła poniekąd również Bertranda. Obrzydzenie, jakie ogarnęło go wczorajszego wieczoru, znów dało znać o sobie. W jakież bagno popadł. Po szybach spływał jesienny deszcz. Teraz budynki u Borsiga musiały być czarne od splukanej sadzy, czarny bruk i fabryczne podwórze, które można było zobaczyć przez bramę, morze czarnego, błyszczącego grzęzawiska. Czuł dym, jaki deszcz spychał z poczerniałych czubków wysokich, czerwonych kominów; załatywało rozkładem, niewyspaniem, siarką. To było bagno; tam znajdowało się odpowiednie miejsce dla grubego mężczyzny, Rużeny i Bertranda; wszystko to było takie samo jak nocne lokale ze swymi płomieniami gazowymi i toaletami. Dzień zamienił się w noc, jak noc w dzień. Przyszły mu do głowy słowa: nocne koszmary, jednakże niewiele potrafił sobie przez nie wyobrazić. Czy były również koszmary dzienne? Usłyszał słowa: „dziewicza świetlista postać”. Tak, to było przeciwieństwo nocnych koszmarów. I oto znów ujrzał Elżbietę, która była inna od całej reszty, unoszącą się w górze na srebrzystym obłoku, wysoko ponad wszelkim bagnem. Może już to przeczuwał zobaczywszy białe obłoki koronek w pokoju Elżbiety, kiedy to zapragnął czuwać nad jej snem. Wkrótce ona przyjedzie z matką, wprowadzi się do nowego domu. To, że i tam były toalety, wydawało się osobliwe; myślenie o tym uważał za bluźniercze. Lecz nie mniej bluźniercze było to, że Bertrand o jasnych, kręconych włosach leżał tutaj w białym pokoju jak młoda dziewczyna. Tak to ciemność skrywa swoją prawdziwą naturę, nie daje sobie wydrzeć swej tajemnicy. Wszelako Bertrand ciągnął z zatroskaną uprzejmością: – Wygląda pan tak kiepsko, Pasenow, że należałoby pana wystać na urlop; trochę podróżowania dobrze by panu zrobiło. Naprowadziłoby na inne myśli. – On chce się mnie pozbyć, pomyślał Joachim; udało mu się z Rużeną, to teraz chce także Elżbietę przywieść do zguby. – Nie – powiedział – ja teraz nie mogę się stąd ruszyć... – Bertrand milczał jakiś czas, a potem było tak, jakby wyczuł podejrzliwość Joachima i musiał sam wyjawic swe złe zamiary wobec Elżbiety, bo

zapytał: – Czy panie Baddensen są już w Berlinie? – Bertrand nadal uśmiechał się współczująco, ba, nieomal promiennie, ale Joachim z niezwykłą szorstkością odrzekł krótko: – Panie zapewne przedłużą jeszcze trochę swój pobyt w Lestowie. – I oto wiedział, że musi pozostać przy życiu, że było to jego rycerskim obowiązkiem, aby jeszcze jedna istota nie poszła z jego winy na zatracenie i nie wpadła w szpony Bertranda; a Bertrand pogodnie powiedział na pożegnanie: – Zawiadomię zatem mojego adwokata... a jak sprawa z Rużeną będzie załatwiona, to niech mi pan idzie na urlop. Naprawdę jest panu potrzebny. – Joachim nic już nie odrzekł; podjął decyzję i odsunął się od ciężkich myśli. To Bertrand zawsze budził takie myśli. I dodając sobie nieco jakby przepisowego animuszu, żeby uwolnić się od myśli, Joachim von Pasenow poczuł się nagle tak, jakby to Helmut wziął go za rękę, jakby Helmut chciał mu znowu wskazać drogę, poprowadzić z powrotem ku konwencji skrupulatności, na nowo otworzyć oczy. Tego wszakże, iż Bertrand, któremu wczorajsza wyprawa do prezydium chyba nie posłużyła, w tym dniu gorączkował, Joachim von Pasenow nie zauważył.

Wieści o chorobie ojca brzmiały niezmiennie przygnębiająco. Nikogo już nie poznawał: po prostu wegetował. Joachim przyłapał się na brzydkiej, acz przyjemniej myśli, że teraz można bez ryzyka wysłać do Stołpina każdy list, wyobraził sobie, jak posłaniec wkracza z torbą do pokoju i jak stary bez zrozumienia wypuszcza z ręki list za listem, nawet jeśli znalazłoby się pośród nich zawiadomienie o zaręczynach. I było to coś w rodzaju ulgi i mglista nadzieja na przeszłość.

Możliwość ponownego zobaczenia się z Rużeną napełniała go lękiem, chociaż nieraz wracając ze służby nie pojmował, iż nie zastaje jej w swoim mieszkaniu. Jednakże codziennie czekał na wiadomość od niej, bo z adwokatem Bertranda załatwił sprawę renty i musiał zakładać, że Rużenę już powiadomiono. Zamiast tego przyszło pismo od adwokata zawiadamiające, że darowizna nie została przyjęta. Nie można było na to przystać; wybrał się do Rużeny: dom, schody i mieszkanie napełniały go wielkim niepokojem, ba, wręcz lękliwą tęsknotą. Bał się, że znów będzie musiał stać pod zamkniętymi drzwiami, że może nawet zostanie spławiony przez sprzątaczkę, i choć wdzieranie się do pokoju damy napawało go wstrętem, zapytał tylko, czy jest w domu, zapukał i wszedł. Pokój i Rużeną przedstawiały obraz nędzy i rozpacz, uderzały nieładem i zaniedbaniem. Ona leżała na kanapie i zrobiła nieprzychylny, znużony gest, jakby wiedziała, że on przyjdzie. Przeciągając sylaby powiedziała: – Ja od ciebie nic nie wezmę. Pierścionek zatrzymam, na pamiątkę. – Joachim nie potrafił zdobyć się na litość; jeśli jeszcze na schodach zamierzał oznajmić jej, że w gruncie rzeczy nie rozumie, co ona mu właściwie zarzuca, to teraz był jedynie rozgoryczony; dostrzegał w tym wszystkim tylko rosnącą zapiekłość. Mimo to odezwał się: – Rużeno, nie wiem, co właściwie zaszło... – Zaśmiała się drwiąco, a w nim powróciła gorycz z powodu jej zapiekłości i niestałości, która wyrządziła mu tyle zła i bólu. Nie, nie było sensu przekonywać jej, toteż powiedział jedynie, że nie może znieść myśli, iż miałby jako tako nie zabezpieczyć jej losu, że zrobiliby to już dawno, obojętnie, czy byliby razem, czy nie, a że teraz łatwiej mu to przyjdzie, gdyż – dodał to z rozmysłem – musi objąć majątek i dzięki temu będzie miał większą swobodę w rozporządzaniu pieniędzmi. – Ty to jesteś dobry człowiek – rzekła Rużena – ty masz tylko złego przyjaciela. Tak też w głębi ducha uważał Joachim, ale nie chcąc się do tego przyznać powiedział tylko: – A dlaczego to Bertrand ma być złym przyjacielem? – Szkoda słów – odparła Rużena. Kuszące wydawało się utworzenie z Rużeną wspólnego frontu przeciwko Bertrandowi, ale czy i to nie było jeszcze jedną pokusą szatana i intrygą Bertranda? Widać Rużena to wyczula, bo powiedziała: – Ty jego musisz się strzec. – Znam jego wady – zauważył Joachim. Ona wyprostowała się na kanapie i teraz siedzieli obok siebie. – Ty jesteś biedny pocziwiec, ty nie możesz wiedzieć, jaki zły potrafi być człowiek. – Joachim zapewnił, że wie to bardzo dobrze i że zbyt łatwo nie można go omamić. I tak mówili jakiś czas o Bertrandzie nie wymieniając jego nazwiska, a że nie chcieli przestać

mówić, trzymali się tego tematu, aż mdły smutek, który przepływał między ich słowami, coraz bardziej przybierał na sile, słowa tonęły w nim i łączyły się ze łzami Rużeny w rzekę, która stawała się coraz bardziej rozlewna i powolna. Również Joachim miał łzy w oczach. Oboje byli bezradnie wydani na łup absurdalności bytu, jako że przekonali się, iż u siebie nawzajem nie mogą już znaleźć pomocy. Nie mieli odwagi patrzeć na siebie i w końcu zabrzmiał strapiony głos Joachima: – Proszę cię, Rużeno, weź przynajmniej pieniądze. – Ona nic nie odpowiedziała, lecz chwyciła jego dłoń. Gdy chciał skłonić się ku niej, żeby ją pocałować, ona pochyliła głowę, tak że jego wargi wylądowały między szpilkami w jej włosach. – Idź już – powiedziała – idź zaraz – i Joachim opuścił po cichu pokój, w którym już zmierzchało.

Powiadomił adwokata, że ten ma ponownie doręczyć dokument o darowiźnie; tym razem Rużena chyba ją przyjmie. Ale łagodność, z jaką Rużena i on się rozstali, przygnębiała go bardziej aniżeli bezradna gorycz, o jaką przyprawiło go jej niepojęte postępowanie. Wciąż jeszcze było niezrozumiałe i straszne. Jego myśli o Rużenie były pełne niejasnej tęsknoty, pełne owej niechętniej nostalgii, z jaką na początku czasów kadeckich myślał o domu rodzinnym i o matce. Czy gruby mężczyzna był teraz u Rużeny? Musiał przypomnieć sobie żarty, którymi ojciec dokuczał Rużerii, i także tutaj widział przekleństwo ojca, który, sam chory i bezradny, przysłał przecież swojego zastępcę. Tak, Bóg wypełniał ojcowskie przekleństwo; i należało się poddać.

Czasem podejmował nieśmiałe próby odnalezienia Rużeny; ale zbliżywszy się na parę ulic do jej mieszkania zawsze potem zawracał albo skręcał gdzie popadło, trafiając do dzielnicy proletariackiej lub w ciżbę nie opodal Alexandeiplatz, a raz nawet pod Dworzec Kostrzyński. Ostatnio sieć stała się nie do rozplątania, wymknęły mu się wszystkie nici. Jedyna pociecha to fakt, że przynajmniej sprawa renty przybrała wreszcie pomyślny obrót, i Joachim dużo czasu spędzał u adwokata Bertranda, właściwie więcej czasu, niżby to było obiektywnie potrzebne. Ale godziny, jakie tam mitrężył, stanowiły swoiste uspokojenie i chociaż te długotrwałe i mato treściwe wizyty pewnie adwokatowi nie bardzo były na rękę, a Joachim nie dowiadywał się nic, czego miał nadzieję dowiedzieć się od przedstawiciela Bertranda, to jednak mecenas nie uchylał się od roztrząsania na poły tylko rzeczowych i niemal prywatnych pytań swego dystygowanego klienta i okazywał mu też owo zawodowe zatroskanie, które wprawdzie przypominało trochę zatroskanie lekarza, jednakże dobrze Joachimowi robiło. Adwokat, przysadzisty pan, bez zarostu, choć był przedstawicielem prawnym Bertranda, wyglądał na Anglika. Gdy ze znacznym opóźnieniem nadeszła w końcu deklaracja Rużeny o przyjęciu darowizny, adwokat powiedział: – No to sprawa byłaby załatwiona. Ale jeśli mogę wyrazić swoje zdanie, proszę pana, to zalecałbym, żeby pan pozostawił rzeczonej damie możliwość podjęcia odpowiedniego kapitału zamiast renty. Cóż – zauważył Joachim – kiedy ja omówiłem z panem von Bertrandem właśnie rentę, ponieważ... – Znam pańskie motywy i wiem również, że nie bardzo pan lubi – proszę wybaczyć to wyrażenie – chwytać byka za rogi; ale to, co proponuję leży w interesie obu stron: dla damy jest to pokaźna suma, która w razie czego da jej lepsze oparcie życiowe niż renta, dla pana natomiast jest to radykalne załatwienie sprawy. – Joachim był dość bezradny; czy chciał radykalnego załatwienia? Adwokat dostrzegł jego bezradność: – Jeśli wolno mi dotknąć prywatnej strony tej kwestii, to doświadczenie nauczyło mnie, że zawsze należy wyżej stawiać rozwiązanie, które pozwala uznać dawny związek za niebyły – Joachim podniósł wzrok – tak, proszę pana, za niebyły. Konwencja jest chyba nadal najlepszym przewodnikiem. – Słowo „niebyły” zapadło w pamięć. Dziwne było jedynie, że Bertrand ustami swojego przedstawiciela zmieniał zdanie i oto uznawał nawet uczuciową konwencję. Czemu to zrobił? – Niech pan zatem rozważy sprawę także pod tym kątem; poza tym wobec pańskiej pozycji wyzbycie się tego kapitału nie gra żadnej roli. – Tak, wobec jego pozycji; w sercu Joachima znów ciepło i uspokajająco wezbrało przywiązanie do rodzinnej ziemi. Tym razem opuścił biuro adwokata w szczególnie

dobrym nastroju, można by wręcz rzec: podniesiony i umocniony. Co prawda nie widział jeszcze drogi z pełną jasnością, bo wciąż jeszcze peszyła go sieć niewidzialnego, która zdawała się zarzucona na to miasto, wszelkiego niewidzialnego, które było nie do uchwycenia i które głuchą, niezatraconą tęsknotę za Rużeną wyzuwało z treści, a mimo to napełniało treścią nową, pełną lęku, jego samego zaś w tak nowy i tak nierzeczywisty sposób wiązało z Rużeną i ze światem miejskości, że sieć fałszywej jasności stawała się siecią strachu, która rozpościerała się wokół niego i w której wielkim splątaniu czaiła się groźba, że oto i Elżbieta wracając do świata miejskości, który nie jest jej światem, zostanie schwytana w sieć, niewinna i nietknięta, schwytana i złączona z diabelskim i nieuchwytnym, złączona z jego winy, wciągnięta przez niego, który nie zdołał się uwolnić od niewidzialnego uścisku zła: nadal groziło pomieszanie jasności z ciemnością, choć niewidzialnie i z dużego oddalenia, choć mgławo i niewyraźnie, to przecież nieczysto jak to, co ojciec w domu matki wyrabiał z dziewczkami. Mimo wszystko jednak Joachim opuszczał kancelarię adwokata w poczuciu zwrotu, bo było tak, jakby Bertrand ustami swego adwokata zadał sobie kłam: to był Bertrand, to Bertrand chciał go wciągnąć w sieć niewidzialnego, nieuchwytnego i oto jego przedstawiciel musiał sam przyznać, że pozycja takiego Pasenowa jest inna, nie ma nic wspólnego z tym miastem i jego ciżbą, jeśli tylko całą tę upiorność zechce się uznać za niebyłą. Tak, to mu powiedział Bertrand przez swego przedstawiciela, a zatem w końcu zło samo siebie usuwa, również zło poddane jest jeszcze woli Boga, który ustami ojca żąda unicestwienia i niebyłości tego, co ojciec przeklął. Diabeł udaje pokonanego i chociaż nie rezygnuje wyraźnie z Elżbiety, to jednak sam poleca mu usłuchać rozkazu ojca. I nie zasięgając już w tej kwestii rady Bertranda Joachim postanowił udzielić adwokatowi pełnomocnictwa do wypłacenia kapitału.

I również nie pytając Bertranda o zdanie Joachim włożył galowy mundur i nowe rękawiczki, otrzymawszy wiadomość o przyjeździe baranowskiej rodziny, i zajechał do Baddensenów w porze, w której spodziewał się zastać barona i baronową. Chcieli mu od razu pokazać nowy dom, lecz on poprosił najpierw barona o rozmowę w cztery oczy, a skoro baron udał się z nim na osobność, Joachim poderwał się przybierając przepisową postawę, wyprężył się jak przed przełożonym i poprosił o rękę Elżbiety. Baron powiedział: – Bardzo jestem rad, bardzo jestem zaszczycony, mój drogi, drogi Basenów – i zawołał do pokoju baronową. Ta rzekła: – Och, ja się tego spodziewałam, matka bardzo dużo widzi – i otarła zwilgotniałe oczy. Tak, oni bardzo by sobie życzyli mieć w nim drogiego syna, lepszego nie mogliby chyba sobie wyobrazić i są przekonani, że on uczyni wszystko, żeby ich dziecko było szczęśliwe. A jakże, on to uczyni, odparł Joachim po męsku. Baron wziął go za rękę: ale teraz oni muszą przede wszystkim porozmawiać z dzieckiem; to przecież całkiem zrozumiałe. Joachim odrzekł, że to rozumie, po czym spędzili jeszcze kwadransik na w połowie oficjalnej, w połowie poufalej rozmowie, w której toku Joachim nie omieszkał wspomnieć o ranie odniesionej przez Bertranda; następnie pożegnał się krótko, nie zobaczywszy ani nowego domu, ani Elżbiety, ale to teraz niewiele znaczyło, gdyż będzie miał czas po temu przez całe życie.

Sam się spostrzegł, że nie wyczekiwał na jej zgodę ze zwiększoną niecierpliwością i że nic nie popychało go ku temu, by skrócić czas oczekiwania, a czasem dziwił się, że nijak nie może wyrobić sobie wyobrażenia przyszłego życia: widział co prawda siebie, wspartego na lasce z białą rączką z kości słoniowej i stojącego na środku podwórza gospodarczego obok Elżbiety, ale gdy wyteżał myśl, pojawiał się w pobliżu wizerunek Bertranda. Nie będzie łatwo powiadomić go o zaręczynach; w końcu godziło to w Bertranda i to przed Bertrandem należało strzec Elżbiety, a ściśle biorąc zakrawało to trochę na zdradę, jako że już raz poniekąd pozostawił mu Elżbietę. I chociaż Bertrand nie zasługiwał na nic innego, nieprzyjemnie było zadawać mu ten ból. Nie był to naturalnie powód do odsuwania zaręczyn;

ale oto nagle wydawało się, że do tych zaręczyn może w ogóle nie dojść, jeśli przedtem nie poinformuje się Bertranda. Joachim był przecież zobowiązany mieć oko na Bertranda i nie pojmował, jak to się stało, iż już od kilku dni tak zupełnie zapomniał o Bertrandzie, jakby został uwolniony od wszelkich obowiązków. Tymczasem Bertrand prawdopodobnie nadal chorował; Joachim pojechał do kliniki. Bertrand rzeczywiście wciąż jeszcze tam przebywał; musieli go operować; Joachim był szczerze przerażony, że mógł tak bardzo zaniedbać pacjenta, i jeśli teraz zamierzał opowiedzieć o zbliżającym się wielkim wydarzeniu, to było to jednocześnie czymś w rodzaju przeprosin za niedostatek zainteresowania: – Ale ja, drogi Bertrand, nie mogę wciąż molestować pana moimi prywatnymi sprawami. – Bertrand uśmiechnął się i w tym uśmiechu było coś z lekarskiej lub kobiecej troskliwości: – Nuże, Pasenow, nie jest tak źle; ja lubię pana słuchać. – I Joachim opowiedział o swych staraniach o rękę Elżbiety. – Nie wiem, czy uzyskam jej zgodę. Wszelako jakkolwiek bardzo na to liczę, to jeszcze bardziej obawiam się odmowy, ponieważ wówczas poczuję się wepchnięty na powrót w całe to straszne zamieszanie ostatnich miesięcy, którego pan w dużej części był świadkiem, podczas gdy u jej boku miałbym nadzieję odnaleźć na nowo drogę ku wolności. – Bertrand znów się uśmiechnął: – Wie pan, Pdsenow, to zostało co prawda przepięknie powiedziane, tylko że ja na tej podstawie nie chciałbym pana poślubić; ale pan nie ma się czego obawiać, jestem przekonany, że niebawem będzie można panu gratulować. – Jaki to wstrętny cynizm; ten człowiek rzeczywiście jest złym przyjacielem, w ogóle nie jest przyjacielem, choć za okoliczność łagodzącą trzeba uznać zazdrość i rozczarowanie. Joachim nie przejął się więc cynicznymi słowami, lecz powrócił do swojego toku myśli i zapytał: – Co mam zrobić, jeśli powie „nie”? – A Bertrand odpowiedział to, co on chciał usłyszeć: – Ona nie powie „nie” – a wyrzekł te słowa z takim zdecydowaniem i taką pewnością, że Joachim znów doznał owego poczucia bezpieczeństwa, którego już często doświadczał za sprawą Bertranda. Wydało mu się wręcz niesprawiedliwe, że Elżbieta miałaby się zadowolić nim, zawodnym, rezygnującym z pewnego i niezawodnego przewodnika. I jakby na znak samopotwierdzenia coś w nim powiedziało: – Kompani od żołnierskiego munduru. – I nagle ujrzał przed sobą Bertranda w randze majora. Skąd wszakże ten miał swoją pewność? Skąd mógł wiedzieć, że Elżbieta nie powie „nie”? Dlaczego przy tym uśmiechał się tak ironicznie? Co ten człowiek wiedział? I Joachim pożałował, że go wtajemniczył.

Bertrand jednakże miałby powody, żeby uśmiechać się ironicznie, czy raczej: uśmiechać się z wyższością; ale był to jednak tylko uśmiech życzliwości.

Poprzedniego dnia niespodzianie odwiedziła go Elżbieta. Przyjechała do kliniki i kazała poprosić go do rozmównicy. Bertrand mimo bólów szedł natychmiast. Była to dziwna wizyta i na pewno kłóciła się z obowiązującym obyczajem; lecz Elżbieta nie zadała sobie trudu, żeby zamaskować towarzyskie uchybienie; w stanie widocznego wzburzenia powiedziała bez ogródek: – Joachim poprosił o moją rękę.

– Jeśli pani go kocha, to nie ma problemu.

– Nie Kocham go.

– W takim razie także nie ma problemu, bo da mu pani kosza.

– Więc nie chce pan mnie wesprzeć?

– Obawiam się, Elżbieto, że nikt się tego nie podejmie.

– A ja myślałam, że pan by mógł.

– Nie chciałem znów pani zobaczyć.

– Nie żywi pan dla mnie uczucia przyjaźni?

– Nie wiem, Elżbieto.

– Joachim mnie kocha.

– Miłość wymaga niestety pewnej roztropności, wręcz mądrości. Pozwoli pani więc, że będę miał do tej miłości stosunek trochę sceptyczny. Raz już panią ostrzegałem.

– Jest pan złym przyjacielem.

- Nie, ale zdarzają się chwile, kiedy trzeba być absolutnie szczerym.
- Czy można być za głupim na miłość?
- Właśnie to powiedziałem.
- Może ja też jestem za głupia...
- Niech pani posłucha, Elżbieto, nie zajmujmy się takimi rozważaniami, nie tymi motywami kierujemy się decydując o swoim życiu.
- Może ja go kocham... był czas, kiedy myślałam o tym małżeństwie bez niechęci. – Elżbieta siedziała na szerokim fotelu dla chorych, wstawionym do tej małej rozmównicy, i patrzyła w podłogę.
- Dlaczego pani przyszła, Elżbieto? Przecież nie dlatego, że potrzebuje pani rady, której nikt pani dać nie może.
- Pan nie chce mi pomóc.
- Przyszła pani, bo nie może pani ścierpieć, że ktoś jej ucieka.
- Jestem w bardzo poważnym nastroju... nie wolno panu tego bagatelizować... zbyt poważnym, żeby znów próbował pan mówić mi złe rzeczy. Sądziłam, że znajdę u pana swego rodzaju oparcie...
- Ale ja muszę pani powiedzieć prawdę. Właśnie dlatego muszę ją pani powiedzieć. Przyszła pani, ponieważ pani czuje, że ja poniekąd pozostaję gdzieś poza pani światem, ponieważ pani sądzi, że w owym gdzieś może jeszcze istnieć trzecia instancja obok banalnej alternatywy: kocham go, nie kocham go.
- Może tak jest; sama już nie wiem.
- I przyszła pani, ponieważ pani wie, że ja panią kocham – powiedziałem to pani przecież wystarczająco wyraźnie – i ponieważ chciała mi pokazać, dokąd mnie prowadzi moja dość absurdalna forma miłości – spojrzała na nią spod oka – a może i wypróbować, jak prędko obcość przechodzi w poznanie...
- To nieprawda!
- Bądźmy szczerzy, Elżbieto, dla pani i dla mnie chodzi tu o pytanie, czy pani wyszłaby za mnie za mąż. A raczej: czy pani mnie kocha.
- Panie von Bertrand, jak pan śmie w taki sposób wykorzystywać sytuację!
- Cóż, tego nie powinna pani była powiedzieć, bo dobrze pani wie, że tak nie jest. Stoi pani przed życiową decyzją, więc nie wolno pani gubić się w konwencjonalizmach. Naturalnie liczy się jedynie to, czy kobieta chce mężczyzny jako kochanka, nie to, czy chcą prowadzić wspólne gospodarstwo. Jeśli mam temu Joachimowi coś za złe, to tylko to, że tej jedynej istotnej kwestii nie wyjaśnił z panią otwarcie, lecz uderzając w tak zwane konkury do rodziców wprost poniżył panią. Proszę uważać, później dojdzie jeszcze do tego, że padnie na kolana.
- Znowu pan chce mnie dręczyć. Nie powinnam była przychodzić.
- Nie. Pani nie powinna była przychodzić, ponieważ ja nie chciałem już pani więcej widzieć, ale ty musiałaś przyjść, ponieważ mnie...
- Zatkała sobie uszy.
- A raczej: ponieważ z daleka wydaje się pani, że mogłaby mnie kochać.
- Niechże mnie pan nie dręczy; czyż nie jestem już dość udręczona? – Siedziała w fotelu z dłońmi na skroniach, z przechyloną w tył głową i zamkniętymi oczyma; tak zwykła siedzieć w Lestowie i to przejście do zwyczajności skłoniło go do uśmiechu i niemal czułości. Stał za jej plecami. Ręka na temblaku bolała i czyniła go niezdatnym. Ale udało mu się pochylić i dotknąć jej warg swoimi. Zerwała się: – To szaleństwo.
- Nie, to tylko pożegnanie.
- Głosem, który był nie mniej blady niż jej twarz, powiedziała: – Pan nie ma prawa, nie ma prawa...
- Kto ma prawo panią całować, Elżbieto?

– Pan mnie nie kocha...

Bertrand przechadzał się teraz tam i z powrotem po pokoju. Ręka bolała i czuł, że ma gorączkę. Ona miała rację, to było szaleństwo. Nagle odwrócił się, stanął tuż przed nią; choć tego nie zamierzał, jego słowa zabrzmiały groźnie: – Ja cię nie kocham?

Ona stała bez ruchu, z opuszczonymi rękami, nie opierała się, gdy przechylał jej głowę w tył. Jeszcze przysuwając twarz do jej twarzy powtórzył groźnie: – Ja cię nie kocham? – i miała wrażenie, że ugryzie ją w usta, ale wyszedł z tego pocałunek. I podczas gdy zeszywnienie jej ust niepojęcie rozpląnęło się w uśmiechu, ustąpił paraliż jej dłoni, które dotąd zwisały, a teraz uniosły się w przyływie uczucia, aby chwycić się jego ramion, aby ich już nigdy nie puścić. Wtedy on powiedział: – Proszę uważać, Elżbieto, ja mam tam ranę.

Puściła go przerażona. – Przepraszam! – Ale potem siły ją opuściły: bezwładnie osunęła się na fotel. On przysiadł na poręczu, wyciągnął szpilki z kapelusza, gładził jasne włosy. – Jaka ty jesteś piękna i jak bardzo ja cię kocham. – Ona milczała, nie oponowała, gdy wziął ją za rękę, czuła gorączkowy żar jego dłoni, czuła żar jego twarzy, kiedy ponownie zbliżył się ku niej. Gdy powtórzył ochryple: – Kocham cię – potrząsnęła głową, pozostawiła mu jednak swoje wargi. Potem wreszcie mogła zapłakać.

Bertrand siedział na poręczu fotela, gładził ją lekko po włosach; powiedział:

– Pragnę cię. – Ona odrzekła miękko: – Przecież to nieprawda.

– Pragnę cię.

Nie odezwała się, patrzyła w pustkę. On już jej nie dotknął; wstał i jeszcze raz powiedział: – Pragnę cię niewypowiedzianie.

Teraz ona się uśmiechnęła: – I odchodzisz?

– Tak.

Podniosła wzrok z niedowierzaniem, pytająco; on powtórzył: – Nie, my się już więcej nie zobaczymy.

Ona wciąż jeszcze nie pojmowała. Bertrand uśmiechnął się:

– Możesz sobie wyobrazić, że będę teraz prosił twego ojca o twoją rękę? Że zaprę się wszystkiego, co przedtem mówiłem? Byłaby to nadzwyczaj nędzna komedia; nadzwyczaj prostackie oszukaństwo.

Ona wzięła się jakoś w garść, nie mogła jednak zrozumieć.

– Ale dlaczego w takim razie? Dlaczego...?

– Nie mogę przecież cię prosić, żebyś została moją kochanką, wyjechała ze mną... naturalnie mógłbym to zrobić i ty w końcu też... może z romantyzmu... może dlatego, że teraz naprawdę mnie lubisz... teraz naturalnie... och, ty... – pogrążyli się w pocałunku ...ale w końcu nie mogę doprowadzić cię do fałszywej sytuacji, nawet gdyby miała być dla ciebie więcej warta niż... powiedzmy to prosto z mostu, niż małżeństwo z tym Joachimem.

Patrzyła na niego zdumiona.

– Wciąż jeszcze potrafi pan myśleć o tym, że ja wyjdę za niego?

– Naturalnie. – I żeby uciec od nieznośnego napięcia w żart, spojrział na zegarek: – Dwadzieścia minut temu myśleliśmy tak oboje. Albo ta myśl już przed dwudziestu minutami była nieznośna, albo jest znośna również teraz.

– Nie powinien pan teraz żartować... – I z lękiem: – Chyba że mówisz poważnie?

– Nie wiem... tego o sobie nikt nie wie.

– Wykręcasz się albo sprawia ci przyjemność dręczenie mnie. Jest pan cyniczny.

Bertrand odrzekł poważnie: – Mam cię okłamywać?

– Może ty okłamujesz samego siebie... może dlatego że... nie wiem dlaczego... ale jest tu jakaś nieprawda... nie, ty mnie nie kochasz.

– Jestem egoistą.

– Nie kochasz mnie.

– Kocham cię.

Poważnie popatrzyła mu w oczy: – Mam więc wyjść za Joachima?

– Mimo wszystko nie mam prawa powiedzieć ci: nie.

Wysunęła dłonie z jego dłoni, długo siedziała w milczeniu. Potem wstała, znalazła kapelusze, wpięła szpilki: – Żegnaj, ja wyjdę za męża... może to cyniczne, ale ciebie nie powinno dziwić... może oboje popełniamy na sobie najcięższą zbrodnię... żegnaj.

– Żegnaj, Elżbieto, i nie zapomnij tej chwili; to moja jedyna zemsta na Joachimie... już nigdy nie potrafię zapomnieć o tobie.

Przesunęła dłonią po jego policzku. – Masz gorączkę – powiedziała i spiesznie wyszła z rozmównicy.

Taka to zdarzyła się historia i Bertrand przyplacił ją ciężkim atakiem gorączki. Ale to wydawało mu się właściwe i dobre, stwarzało dystans między wczoraj a dziś. I pozwalało mu znowu patrzeć ze zwykłą życzliwością na Joachima, który tutaj, pod tym samym dachem – czy był ten sam? – siedział przed nim. Nie, tamto byłoby groteskowe. Toteż powiedział: – Niech pan się nie martwi, Pasenow, już pan zawija do małżeńskiej przystani. I życzę dużo szczęścia. – Co za nierycerski i cyniczny człowiek, musiał ponownie pomyśleć Joachim, a mimo to był wdzięczny i uspokojony. Może sprawiło to wspomnienie ojca, a może jedynie widok Bertranda, ale myśl o małżeństwie zmieszała się osobliwie z wyobrażeniem cichego pokoju chorego, przez który przemykały ubrane na biało mniszki. Zwiewna i mnisza była Elżbieta, biała w swym srebrnym obłoku, i przypomniał sobie obraz Matki Boskiej Wniebowziętej, oglądany bodaj w Dreźnie. Joachim zdjął czapkę z wieszaka. Czuł się wmanewrowany w to małżeństwo przez Bertranda i wpadł na dziwaczny pomysł, że Bertrand chce w ten sposób wciągnąć go w cywilność, chce pozbawić go munduru i miejsca w pułku, aby zamiast niego awansować na majora; a gdy Bertrand podał mu rękę na pożegnanie, Joachim nie zauważył, jaka była rozpalona. Podziękował jednak Bertrandowi za dobre słowa, po czym sztywny i kwadratowy w długiej kurtce munduru wyszedł. Bertrand słyszał jeszcze lekkie pobrząkiwanie ostróg na schodach i musiał pomyśleć, że Joachim przechodzi właśnie koło rozmównicy.

Jego starania o rękę panny zostały przyjęte. Wszelako, pisał baron, Elżbieta nie chce jeszcze święcić oficjalnych zaręczyn. Ma pewien lęk przed ostatecznym krokiem; ale Joachima oczekuje się nazajutrz wieczorem na kolacji.

Choć nie były to jeszcze właściwe zaręczyny, choć ani Elżbieta, ani przyszli teściowie nie zaproponowali Joachimowi poufałego „ty”, ba, choć zachowanie przy stole było zgoła sztywne, niezaprzeczalnie czuło się w powietrzu uroczysty nastrój, zwłaszcza gdy baron zastukał w kieliszek i w wielu pięknych słowach rozwinął myśl, że rodzina jest zamkniętą całością i nie tak łatwo dopuszcza do swojego grona nowego członka; jeśli wszakże dzieje się to z woli Boga, to całym sercem jest się za tym, a miłość, która scala rodzinę, obejmuje potem również nowego przybysza. Baronowa miała łzy w oczach i wzruszona trzymała małżonka za rękę, gdy ten mówił o miłości, i Joachim doznał ciepłego uczucia, że będzie mu tutaj dobrze; na łonie rodziny, powiedział sobie i przyszła mu na myśl Święta Rodzina. Tak, Bertrand prawdopodobnie by się uśmiechał i pokpiwał z mowy barona, ale jakże tania była taka drwina. Niezrozumiałe dowcipkowanie, z którego składała się wówczas mowa biesiadna Bertranda – jakież to odległe – na pewno bardziej nadawało się do podważania niż wylewna serdeczność, jakiej można było się dosłuchać w słowach barona. Potem wszyscy stuknęli się kieliszkami, aż rozległ się jasny dźwięk, i baron zawołał: – Za przyszłość!

Po kolacji młodzi zostali sami, żeby mogli porozmawiać. Siedzieli w nowo urządzonym pokoju muzycznym z obitymi czarnym jedwabiem meblami, do których przypięto szpilkami wykonane przez baronową i Elżbietę koronkowe pokrowce, i Joachim szukając jeszcze odpowiednich słów usłyszał nieomal wesołe słowa Elżbiety: – A zatem pan mnie chce poślubić, Joachimie; czy dobrze się pan nad tym zastanowił? – Zupełnie jak nie dama,

pomyślał, tak mógłby wręcz mówić Bertrand. Cóż jednak powinien był zrobić? Miał teraz paść na kolana, żeby się oświadczyć? Szczęście mu sprzyjało, bo taboret, na którym usiadł, był tak niski, że gdy zwrócił się w stronę Elżbiety, i tak kolanem niemal dotykał podłogi, i na upartego można to było wziąć bądź co bądź za namiastkę padnięcia na kolana. Pozostał zatem w tej nieco wymuszonej pozycji i spytał: – Wolno mi mieć nadzieję? – Elżbieta nie odpowiedziała; spojrział na nią; przechyliła głowę w tył i miała przymknięte powieki. Patrząc teraz na jej twarz miał niemiłe wrażenie, że można fragment krajobrazu przenieść do domu; ach, było to wspomnienie, którego się lękał, było to południe pod jesiennymi drzewami, był to rozplywający się obraz, za którego sprawą zapragnął niemal, żeby na zgodę barona trzeba było jeszcze poczekać. Bo gorszy od twarzy brata w obliczu kobiety jest krajobraz, który je zarasta, krajobraz, który obejmuje w posiadanie i który wsysa to odczłowieczone oblicze, tak że nawet Helmut nie zdołałby już pomóc w opanowaniu rozplywania się i zacierania. Elżbieta odezwała się: – Omawiał pan plany małżeńskie ze swoim przyjacielem Bertrandem? – Nie uchybiając prawdzie miał prawo temu zaprzeczyć. – Ale on wiedział o nich? – Joachim odrzekł, że tak, że wspomniał mu o swoich zamiarach. – I co powiedział? – Po prostu życzył mi szczęścia. – Bardzo pan jest do niego przywiązany, Joachimie? – Jej słowa i jej głos przyjemnie brzmiały w uszach Joachima; uprzytomniły mu, że siedzi naprzeciw ludzkiej istoty, nie krajobrazu. Jednakże było w tym coś niepokojącego. O co jej chodziło z Bertrandem? Do czego zmierzała? To jakieś niestosowne, żeby w takim momencie mówić o Bertrandzie, chociaż to ulga, że w ogóle znaleźli temat do rozmowy. A że nie mógł go poniechać, ponadto zaś czuł się w obowiązku być z przyszłą małżonką zupełnie szczerym, powiedział z wahaniem: – Sam nie wiem; właściwie zawsze miałem wrażenie, że on jest aktywniejszą stroną w naszej przyjaźni, ale bardzo często to ja go odwiedzam. Nie wiem, czy można to określić mianem przywiązania. – Budzi w panu niepokój? – Tak, to jest właściwe słowo... raz po raz budzi niepokój. – Jest człowiekiem niespokojnym i pewnie też dlatego budzącym niepokój – zauważyła Elżbieta. Joachim przyznał, że tak, taki on jest, i poczuł na sobie spojrzenie Elżbiety, ponownie nie mógł oprzeć się zdziwieniu, że te przejrzyste, wypukłe gwiazdy, po obu stronach nosa, potrafią wysyłać coś w rodzaju spojrzenia. Czym jest spojrzenie? Sięgnął do własnych oczu i oto pojawiła się Rużena, oczy Rużeny, których w zachwycie dotykał przez jej powieki. Nie do wyobrażenia, żeby kiedykolwiek mógł przesunąć palcami po oczach Elżbiety; może to była prawda, jak tego uczono w szkole, i istniał chłód, od którego człowiek nabawia się oparzeń; przypomniał mu się chłód wszechświata, chłód gwiazd. Tam unosiła się Elżbieta na srebrnym obłoku, niedotykalne było jej zatarte, rozplywające się oblicze i wydało mu się okrutnym zakłóceniem, że wstawszy po kolacji od stołu ojciec i matka ją ucałowali. Lecz z jakiej sfery wywodził się ten, którego tworem i ofiarą omal się nie stała? Jeśli Bóg zesłał jej i jemu kusiciela, to częścią wyznaczonej próby stało się wybawienie Elżbiety od takiego ziemskiego kuszenia! Bóg tronuje w absolutnym chłodzie i jego nakazy są bezlitosne, łączą się jak koła zębate w maszynach Borsiga – wszystko to było tak zniewalające, że Joachim wręcz się ucieszył widząc tylko jedną drogę do wybawienia, prostą drogę obowiązku, choćby sam miał się na niej poparzyć. – On niedługo jedzie do Indii – powiedział. – Ba, do Indii – odrzekła. – Długo się wahałem – podjął Joachim – bo mogę ofiarować pani jedynie proste życie na wsi. – My jesteśmy inni niż on – stwierdziła Elżbieta. Joachim był wzruszony, że powiedziała „my”. – Chyba zatracił korzenie oznajmił – i pewnie do nich tęskni. – Każdy ma swój wewnętrzny świat. – Ate czy my nie zachowaliśmy lepszej części? – Tego nie wiemy – powiedziała Elżbieta. – Owszem, wiemy – obruszył się Joachim – bo on żyje interesami, musi być zimny i nieczuły. Niechże pani pomyśli o swoich rodzicach, o słowach ojca pani. A on to nazywa konwencją: brak mu prawdziwej żarliwości i chrześcijańskości. – Zamilkł: ach, te wypowiedziane słowa, nie były przecież prawdziwe, bo to, czego oczekiwał od Boga i od Elżbiety, nie było równoznaczne z tym, co nauczono go uważać za chrześcijańskie ognisko domowe; ale właśnie dlatego że od Elżbiety oczekiwał

więcej, chciał za wszelką cenę dotrzeć swymi słowami w pobliże owej sfery niebiańskości, w której Elżbieta miała mu się objawić jako najdelikatniejsza, najsrebrzystsza, najzwiewniejsza Madonna. Może najpierw powinna by umrzeć, żeby móc tak do niego przemawiać, bo siedząc przechylona w tył wyglądała jak Królowna Śnieżka w szklanej trumnie i miała w sobie tyle owego wyższego, cudownego powabu i niebiańskiej żywości, że jej twarz nie była już bodaj podobna do tamtej, którą znalazł w życiu, zanim została przerażająco i nierozzerwalnie wpleciona w krajobraz. Pragnienie, by Elżbieta była martwa, a jej głos obwieszczał mu anielsko nowiny z tamtego świata, nabrało wielkiej siły i niezwykle napięcie, wywołane tym pragnieniem lub nawet samo będące jego źródłem, osiągnęło taką moc, że chyba i Elżbietę ogarnęła fala pełnego trwogi chłodu, gdy powiedziała: – On nie potrzebuje, tak jak my, osłaniającego ciepła bycia razem. – Wszelako Joachima rozczarowała tymi ziemskimi słowami i choć pobrzmiwająca w nich potrzeba osłony poruszyła jego serce i zbudziła w nim wyobrażenie Maryi pędzącej ziemski żywot, nim wstąpiła w niebo, to przecież wiedział, że na taką osłonę nie starczy mu sił, i w takim to podwójnym rozczarowaniu zapragnął ze zdwojoną żarliwością lekkiej i łagodnej śmierci dla nich obojga. A że przed śmiercią, wystawiona na tchnienie wieczności, spada maska z oblicza, Joachim oznajmił: – Na zawsze pozostałby dla pani obcy – i to wydało się im obojgu wielką i doniosłą prawdą, chociaż nie bardzo już zdawali sobie sprawę, że rozmawiają o Bertrandzie. Niczym żółte motyle, z czarnymi pręgami na żółto ząbkowanych skrzydłach, płonął krąg gazowych płomieni w wieńcu świecznika nad katafalkiem z czarnego jedwabiu, na którym Joachim nadal siedział nieruchomo ze sztywno zwróconym tułowiem i ugiętym kolaniem, a białe koronkowe pokrowce przedstawiały trupie głowy. W nieporuszoną wśliznęły się słowa Elżbiety: – Jest bardziej samotny niż inni... – a Joachim odpadł: – Jego demon go gna. – Elżbieta zaś ledwie dostrzegalnie potrząsnęła głową: – On ma nadzieję na spełnienie – a potem dodała jakby sięgając do zastygłego wspomnienia: – Na spełnienie i poznanie w samotności i obcości. – Joachim milczał; bardzo niechętnie podjął myśl zawisłą między nimi zimno i niezrozumiale: – Jest obcy... odtrąca nas wszystkich, bo Bóg chce, żebyśmy byli samotni. – Tak, tego chce – powiedziała Elżbieta i nie sposób było rozstrzygnąć, czy miała na myśli Boga, czy Bertranda; ale już nie o to teraz chodziło, bo samotność, na którą skazani byli i ona, i Joachim, przecież wtargnęła, sprawiła, że pokój mimo swojskiej wytworności drzewia w coraz to większej, pełnej trwogi nieporuszonosci; dwoje nieporuszonych miało wrażenie, że przestrzeń wokół nich poszerza się i że wraz z ustępującymi ścianami powietrze staje się coraz rzadsze i chłodniejsze, tak rzadkie, iż głos już bodaj przestał się nieść. I choć wszystko zdrętwiało w nieporuszonosci, wydawało się, że meble, w tym pianino, na którego czarnej lakierowanej powierzchni odbijał się jeszcze krąg gazowych świateł, nie stoją już w tym miejscu, w którym stały przedtem, pierzchły także złote smoki i motyle na czarnym chińskim parawanie, niejako wessane przez cofające się ściany, które były jakby zawieszane czarnym suknem. Światła brzęczały z lekkim, jadowitym świstem i oprócz ich nikłego, mechanicznego żywota, który wystrzeliwał drwiąco z nieprzyzwoicie rozwartych wąskich szpar, nie było już żadnego życia. Ona wkrótce umrze, pomyślał Joachim i nieomal na potwierdzenie usłyszał jej głos w próżni: – Jego śmierć będzie samotna. – Zabrzmiało to jak wyrok śmierci i jak obietnica, obietnica, którą on podtrzymał: – Jest chory i to może niedługo nastąpić; choćby w tej chwili. – Właśnie – powiedziała Elżbieta z tamtego świata i było to jak kropla, która spadając lodowacieje – właśnie, w tej chwili – i w zastygłym zawieszeniu tej sekundy, w której śmierć stała obok nich, Joachim nie wiedział, czy dotknęła ich obojga, czy też Bertranda lub ojca, nie wiedział, czy siedziała tu matka, by czuwać nad jego umieraniem, akuratnie i spokojnie, tak jak czuwała nad dojeniem w oborze i nad umieraniem ojca, i oto stało się rzeczą zrozumiałą i osobliwie jasną, że ojcu było zimno i że tęsknił za mrocznym ciepłem obory. Czy nie lepiej było umrzeć teraz z Elżbietą, pozwolić, by wprowadziła go w szklistą jasność, która unosiła się nad ciemnością! Powiedział: – Będzie wokół niego straszna ciemność i nie przyjdzie nikt,

żeby mu pomóc. – Jednakże Elżbieta odparła twardo: – Nikomu nie wolno przyjść – i tym samym szarym, bezdźwięcznie twardym głosem mówiła dalej w próżnię, kończąc jednym tchem, który jednak tchem już nie był: – Zostanę pańską żoną, Joachimie – i sama już nie wiedziała, czy to powiedziała, bo Joachim siedział z przekreślonym tułowiem niezmiennie nieruchomo i nic nie odrzekł. Nic nie nastąpiło i chociaż nie trwało to dłużej niż chwila, w której oko gaśnie i nieruchomieje, to jednak napięcie było wypełnione taką pustką i niepewnością, że Elżbieta powtórzyła: – Tak, zostanę pańską żoną. – Joachim wszakże nie chciał tego usłyszeć, bo jej głos zmuszał go, by wrócił drogą, na której nie było już powrotu. Próbował z dużym wysiłkiem obrócić się ku niej; nie bardzo to się udało, tylko na pół ugięte kolano rzeczywiście dotknęło teraz podłogi, jego czoło, na które wystąpił zimny pot, pochyliło się i jego usta, suche i chłodne jak pergamin, musnęły jej dłoń, tak lodowatą, że nie miał odwagi ująć czubków jej palców, również wtedy, gdy pokój pomału z powrotem się skurczył i meble zajęły swe stare miejsca.

Pozostawali tak, póki z sąsiedniego pokoju nie doszedł ich głos barona. – Musimy tam pójść – powiedziała Elżbieta. Potem weszli do jasno oświetlonego salonu i Elżbieta oznajmiła: – Zareczyliśmy się. – Moje dziecko! – wykrzyknęła baronowa i ze łzami uściskała Elżbietę. Natomiast baron, którego oczy były nie mniej wilgotne, zawołał: – Będziemy się teraz radować i dziękować Bogu za ten szczęśliwy dzień! – i Joachim pokochał go za te serdeczne słowa i poczuł się powierzony jego pieczy.

Z apatycznego półsnu, w jaki wracając do domu zapadł znużony przy akompaniamencie turkotu kół dorożki, wyłoniła się wyraźniej myśl, że jego ojciec i Bertrand dzisiaj umarli, i był wręcz zdumiony nie zastawszy u siebie żadnej żałobnej wieści, bo to by się mieściło w ramach odzyskanej akuratności życia. Bądź co bądź zaręczyn nie powinno się ukrywać również przed martwym przyjacielem. Ta myśl nie opuszczała go i nazajutrz rano przeobraziła się nawet w pewność, jeśli już nie śmierci, to przynajmniej nieistnienia: ojciec i Bertrand rozstali się z tym życiem i chociaż on sam był współwinny ich śmierci, to jednak wszystko pozostawało w stanie spokojnej obojętności i nie musiał już nawet więcej rozmyślać nad tym, czy tamtemu zabrał Elżbietę, czy Rużenę. Jego zadanie polegało na tym, żeby iść za tamtym, mieć go na oku, i droga, którą musiał za nim podążać, dobiegła do końca, tajemnica wygasła; wypadło już tylko pożegnać się z martwym przyjacielem. – To dobra i zarazem zła wiadomość – powiedział do siebie. Miał czas; kazał zatrzymać dorożkę, żeby zamówić bukiet dla narzeczonej i dla baronowej, i bez pośpiechu udał się do kliniki. Ale gdy przybył na miejsce, nikt mu nic nie powiedział o nieszczęściu; jak gdyby nic się nie stało, skierowano go jak zwykle do pokoju Bertranda: dopiero od siostry, którą spotkał na korytarzu, usłyszał, że noc była wprawdzie zła, ale teraz Bertrand czuje się lepiej. Joachim powtórzył mechanicznie: – Czuje się lepiej... tak, to miło, bardzo miło. – Było tak, jak gdyby Bertrand ponownie go oszukał i podszedł, a to odczucie przekształciło się w przekonanie, gdy chory powitał go wesoło: – A więc mniemam, że można dzisiaj gratulować. – Skąd on o tym wie, zapytywał się Joachim i mimo irytacji był wręcz dumny, gdyż taką nieufność poniekąd uwierzytelniała jego nowa pozycja narzeczonego; owszem, on jest taki szczęśliwy, że może mu oznajmić o swoich zaręczynach. Bertrand wydawał się nastrojony łagodnie. – Wie pan, że pana lubię, Pasenow – powiedział (Joachim uznał to za natręctwo) – i dlatego z całego serca życzę szczęścia panu i pańskiej narzeczonej. – Znowu brzmiało to serdecznie i szczerze, a przecież jak drwina: ten, co to wszystko z góry wiedział, ten, co tego chciał i to spowodował, choćby tylko jako narzędzie wyższej woli, teraz, widząc, że sprawa dobiega kresu, wymyka się gładkimi, serdecznymi gratulacjami. Joachim poczuł się jakoś wyczerpany; usiadł przy stole na środku pokoju, patrzył na Bertranda, który leżał w łóżku jasnowłosy i nieomal dziewczęcy, i powiedział poważnie: Mam nadzieję, że wszystko teraz dobrze się ułoży – a Bertrand z ową lekką pewnością, która pociągała Joachima wciąż na nowo uspokajając i niepokojąc, odparł: –

Niech pan będzie przekonany, drogi Pasenow, że wszystko ułoży się jak najlepiej... przynajmniej dla pana. – Joachim powtórzył: – Tak, jak najlepiej – ale potem nie mógł zrozumieć: ...dlaczego tylko dla mnie? – Bertrand uśmiechnął się zbywając kwestię dość pogardliwym machnięciem ręki: – Cóż, my... my jesteśmy straconym pokoleniem. – Nie udzielił jednak dalszych wyjaśnień, lecz dorzucił znienacka: – A kiedy będzie ślub? – tak że Joachim zapomniał o dalszym wypytywaniu i natychmiast odpowiedział: no, to jeszcze trochę potrwa; przede wszystkim trzeba przecież mieć na względzie chorobę ojca. Bertrand przyglądał się Joachimowi, który siedział przy stole nienagannie sztywno, zwrócony ku niemu: – Żeby wziąć ślub, nie musi pan przecież wracać zaraz do majątku – powiedział. Joachim przestraszył się: Czyżby wszystko miało pójść na marne! Bertrand stale mówił o konieczności objęcia majątku, wpędził Rużenę w nieszczęście, a teraz mówi, że on nie musi wracać na wieś, jak gdyby chciał odebrać mu radość z własności i jeszcze pozbawić go rodzinnej ziemi! Jakimi to kruczkami Bertrand doprowadził go do tego wszystkiego, a teraz zrzuca z siebie odpowiedzialność i rezygnuje nawet ze zwycięstwa, jakim byłoby ściągnięcie go ku sobie, w cywilność, odpycha go jeszcze tutaj! To, co tamten wyprawiał, było złem dla samego zła i Joachim patrzył na niego z oburzonym zdumieniem. Wszelako Bertrand dostrzegł tylko pytanie w jego wzroku: – Cóż – powiedział – wspomniał pan niedawno, że ma pan rychło dostać rotmistrza, i pewnie zechce pan doczekać tego awansu. Rotmistrz w stanie spoczynku to rzeczywiście brzmi lepiej niż porucznik w stanie spoczynku. – Teraz mu wstyd, podporucznikowi, pomyślał Joachim i dodał sobie niejako przepisowego animuszu. – A w ciągu tych paru miesięcy wyjaśni się sytuacja z chorobą pańskiego ojca. – Joachim chętnie by powiedział, że żonaci oficerowie wydawali mu się dziwni i że tęskno mu do ojcowizny, ale nie mógł tego powiedzieć, toteż stwierdził jedynie, że proponowane przez Bertranda rozwiązanie zbiegałoby się z gorącym pragnieniem jego przyszłych teściów, którzy byliby radzi, gdyby Elżbieta zamieszkała w domu na Westendzie. – A zatem, drogi Pasenow, wszystko składa się jak najlepiej – powiedział Bertrand i w jego słowach była znów niestosowna i brzydka wyniosłość. – Poza tym mógłby pan z pewnością przyspieszyć swój awans zawiadamiając dowódcę, że po otrzymaniu patentu chce pan wycofać się z czynnej służby. – W tym też miał rację, ale było irytujące, że wtrącał się nawet w sprawy wojskowe. W zamyśleniu wziął ze stołu łaskę Bertranda, obejrzał rączkę, przejechał palcem po elastycznym zgrubieniu czarnej gumowej końcówki; łaska rekonwalescenta. To, że tamten przynaglał do ślubu, nappełniło go nową nieufnością. Co się za tym znowu kryło? Wczoraj wieczorem oboje z Elżbietą oznajmili rodzicom, że nie mają zamiaru spieszyć się zbytnio ze ślubem, wyliczyli wszystkie przeszkody, a tu ten Bertrand po prostu ma te trudności w pogardzie. – My jednak nie będziemy mogli przyspieszyć ślubu – powiedział z uporem Joachim. – Cóż – odrzekł Bertrand – bardzo mi jest przykro, że ja będę mógł jedynie przysłać państwu telegram z życzeniami z bardzo daleka, z Indii czy skądś indziej. Bo jak tylko stanę na nogi, to zaraz wyjadę... Ta sprawa dała mi jednak w kość. – Jaka sprawa? Rana postrzałowa? To prawda, że Bertrand wyglądał na cierpiącego, rekonwalescenci zawsze chodzą o lasce, ale co zaszło przedtem? Co Bertrand wiedział o dzisiejszej nocy? Właściwie nie miał prawa wyjeżdżać, póki to wszystko nie zostanie wyjaśnione, i Joachim zastanawiał się, czy Helmut, który stanął oko w oko ze swoim przeciwnikiem, nie był jednak dużo bardziej honorowy niż on sam; czyż i tutaj nie obowiązywała zasada: wyjaśnienie albo śmierć? On zaś chciał i jednocześnie nie chciał obu rzeczy naraz. Ojciec miał rację; on był wyzuty z honoru, wyzuty z honoru jak ten Bertrand, przyjaciel, którego nie bardzo już było można nazywać przyjacielem. I mimo wszystko było to zadowalające, bo w intencjach ojca musiało leżeć niezaprośzenie Bertranda na ślub. Niemniej jednak spokojnie wysłuchał Bertranda: – Jeszcze jedno, Pasenow; mam wrażenie, że majątek, o iie nie zajmie się nim pańska matka i o ile rzeczy nie idą automatycznie, jest wszakże dość bezpieczny. Ponadto wskutek choroby ojciec pana może w razie czego narobić znacznych szkód. Niech pan daruje,

jeśli czuję się w obowiązku zwrócić pana uwagę na możliwość ubezwłasnowolnienia. I niech pan weźmie rzutkiego administratora; to się w każdym wypadku opłaci. Sądzę, że powinien pan pomówić o tym z teściem; wszak jest też rolnikiem. – Tak, mówił jak pośledni agent provocateur, ale Joachim mimo to musiał mu podziękować za radę, której życzliwą słuszość dostrzegł, a nawet wyrazić nadzieję, że do czasu wyzdrowienia będą się jeszcze często widywać. – Będzie mi miło – powiedział Bertrand – i ściele się do stóp pańskiej narzeczonej. – Potem wyczerpany opadł na poduszki.

W dwa dni później Joachim dostał list, w którym Bertrand powiadał, że jego stan znacznie się poprawił i że przenosi się do kliniki w Hamburgu, aby być bliżej siedliska swoich interesów. Wszelako przed jego podróżą na pewno jeszcze się spotkają. Wobec tej zarozumiałej oczywistości, z jaką Bertrand planował spotkanie, Joachim postanowił unikać go za wszelką cenę. Ale bolał nad tym, że będzie mu odtąd brakowało pewności i lekkości przyjaciela oraz jego życiowego obycia.

Za Leipziger Platz znajduje się sklep, który z zewnątrz nie różni się niczym od sąsiadów, chyba że kogoś razi to, że na jego wystawach nie ma jakichkolwiek towarów, a szyby z matowego szkła z pięknie wytrawionymi pompejańskimi i renesansowymi motywami nie pozwalają zajrzeć do środka. Ale taką dekorację sklep dzieli z wieloma domami bankowymi i biurami maklerskimi, a i w obwieszzeniach, nalepionych na szyby i nieładnie przerywających ornamenty, nie ma właściwie nic nadzwyczajnego. Na tych obwieszzeniach można przeczytać słowo „Indie”, spojrzenie zaś na szyld firmowy informuje, że w sklepie mieści się „Panorama Cesarska”.

Przekraczając próg wchodzi się najpierw do jasnego, przyjemnie ogrzanego pomieszczenia, w którym starsza, najwidoczniej dobrotliwa pani przy małym stoliku spełnia powinności kasjerki i sprzedaje bilety na odwiedzenie lokalu. Większość gości korzysta jednak z tej kasy jedynie po to, żeby ostemplować swoje abonamenty i zamienić ze starszą panią parę poufałych słów. Kiedy sędziwy sługa, który wyłania się bezszelestnie z czarnej portiery zawieszanej u końca pomieszczenia i lekkim, przepaszającym gestem prosi o trochę cierpliwości, gość z cichym westchnieniem siada na jednym z trzcinowych krzeseł i dalej gawędzi, obserwuje też podejrzliwie wychodzące na ulicę oszklone drzwi, a gdy zjawi się nowy gość, patrzy na niego ze wstydliwie zazdrosną wrogością. Potem słychać przytłumiony szurgot odsuwanych krzeseł za portierą i człowiek, który z za niej wychodzi, mruga trochę w blasku światła i skłoniwszy się lekko starszej pani oddala się szparko, nie patrząc na oczekujących, jakby się wstydził. Natomiast gość, który czeka, podnosi się spiesźnie, żeby nie ubiegi go nikt inny, nagle przerywa rozmowę i znika za osłaniającą kurtyną. Rzadko się zdarza, żeby goście rozmawiali ze sobą, choć wielu z biegiem lat powinno by znać się z widzenia, i jedynie paru bezwstydnym starców zdobywa się na to, żeby rozmawiać nie tylko z panią przy kasie, lecz też z innymi oczekującymi, i chwalić spektakle; jednakże otrzymują przeważnie tylko lakoniczne odpowiedzi.

A w środku jest ciemność i można by sądzić, że to ciemność stara i ciężka, która nagromadzona zalega tu już wiele lat. Sługa delikatnie bierze cię za rękę i ostrożnie prowadzi do miejsca, które czeka na ciebie okrągłe i bez oparcia. Przed sobą widzisz dwoje jasnych oczu spoglądających ku tobie trochę niesamowicie z czarnej ściany, a pod tymi oczami są usta, których ostry czworokąt jest złagodzony przez tkwiące w nich przyćmione światło. Stopniowo zauważasz, że stoisz przed wielokątną, podobną do świątyni konstrukcją, jej częścią jest ściana, przed którą cię zaprowadzono i przed którą znajduje się twoje krzesło, widzisz też, że z lewej i z prawej siedzą obok ciebie zafascynowani, którzy przyłożyli oczy do oczu w ścianie, i robisz teraz to samo, spojrzawszy na rozjaśnioną czworokątną szybę i zapamiętawszy, że głosi ona: „Dom Rządowy w Kalkucie”. Lecz kiedy ty zaczynasz się wpatrywać w rozwarłe przed tobą oczy, Dom Rządowy akurat znika z delikatnym uderzeniem

dzwonek i mechanicznym chrobotem: jeszcze widzisz, jak się oddala, lecz już nasuwa się inny widok, tak że czujesz się jakoś oszukany, ale potem rozbrzmiewa nowy dzwonek, widok podrywa się jeszcze, jak gdyby chciał się korzystnie ustawić, żebyś go oglądał, i zastyga. Widzisz palmy i wypielegnowaną dróżkę; w głębi, gdzie jest cień, siedzi na ławce mężczyzna w jasnym ubraniu; fontanna strzela w powietrze sztywnym, biczokształtnym strumieniem, lecz ty jesteś zadowolony dopiero wtedy, gdy spojrzenie na przyćmioną szybę świetlną informuje cię: „Fragment Parku Królewskiego w Kalkucie”. Potem znów rozlega się dzwonek, następuje przesuwanie się palm, ławek, budowli, masztów, poprawianie się, dzwonek i skąpany w słońcu „Fragment portu w Bombaju”. Mężczyzna, który dopiero co siedział na ławce w Parku Królewskim, stoi oto na pierwszym planie w hełmie tropikalnym na kamiennych ciosach mola. Wsparty na lasce nie porusza się, ponieważ urzeczony nieruchomym takielunkiem statków, ich kominami i dźwigami, urzeczony belami bawełny na nabrzeżu, spogląda ku nim i nie sposób rozpoznać jego zacienionej twarzy. Wszelako może wkroczy w magiczną przestrzeń, która gładka i brązowawa – abstrakcyjna skrzynka, a przecież cała podróż – rozciąga się między tobą a obrazem, będzie tam chodził po drewnie, swobodnie i wspaniale, a ty rozpoznasz w nim Bertranda, który łagodnie, a jednak budząc strach przypomina ci, że nie da się go wykreślić z twojego życia, choćby przebywał nie wiedzieć jak daleko. Ale jest to pewnie twoje urojenie, bo już Bóg daje mu dzwonekiem znak i on bez pożegnania, sztywny i nieporuszony, nie postąpiwszy kroku, umyka. Zerkasz na sąsiada z lewej, czy on tam się nie pokaże, lecz na jego świetlnej tabliczce czytasz: „Dom Rządowy w Kalkucie” i niemal masz nadzieję, że Bertrand pojawił się tu jedynie dla ciebie, aby cię tylko pozdrowić. Ale brak ci czasu, żeby nad tym rozmyślać, bo gdy szybko spoglądasz znów w swoje oba szkła, czeka cię radosna niespodzianka: „Tubylcza matka na Cejlonie” jest nie tylko opromieniona łagodnie żółtawym słońcem, lecz ponadto przedstawiona w naturalnych barwach: uśmiecha się pokazując białe zęby pomiędzy czerwonymi wargami i być może oczekuje białego sahiba, który przybył z Zachodu, gdyż wzgardził Europejkami. Również „Świątynie w Delhi” jaśnieją barwami Orientu w głębi brązowej skrzynki: tam niechrześcijanin może się nauczyć, że również niższe rasy umieją służyć Bogu. Ale czy on sam nie mówił, że powinnością Murzyna będzie przywrócenie panowania Chrystusa? Wystraszony patrzysz na mrowie brązowoskórych postaci i bez przykrości słyszysz sygnał, który je odprawia, aby zrobić miejsce „Wyprawie myśliwych na słońce”. Stoją tu potężne czworonogi, jeden z nich ugina miękko przednią nogę. Miejsce jest pełne drobnego białego piasku i kiedy oślepiiony na chwilę spojrzysz w bok, dostrzeżesz powyżej matowej szyby mały guzik, który dla zabawy pociągniesz. Ku twojej uciechu obraz natychmiast zmienia się w łagodny krajobraz księżycowy, tak że od ciebie zależy, czy myśliwi wyruszą za dnia, czy w nocy. Teraz, skoro jaskrawe słońce już ci nie sprawia bólu, korzystasz z okazji przyjrzenia się twarzom wyruszających i jeśli cię oko nie myli, to przecież Bertrand siedzi za kornakiem w koszu na grzbiecie słonia, ze strzelbą gotową do strzału w prawej ręce, zapowiadając śmierć. Zmieniasz światło i znowu to zupełnie obcy mężczyzna uśmiecha się do ciebie, a kornak dzidą dotyka zwierzęcia za uchem, żeby je nakłonić do przewidzianego startu. Oddalają się i nikną w gąszczu, ty jeden nie słyszysz nic z tupotania stada i trąbienia samców, bo z cichym dzwonieniem i odrobiną mechanicznego chrobotania dziwnie nagle zaczyna się przesuwać krajobraz za krajobrazem i kiedy ów przemykający ktoś wydaje się rzeczywiście tym, którego wiecznie musisz szukać, za którym wiecznie tęsknisz, który znika, podczas gdy ty trzymasz jeszcze jego dłoń, odzywa się sygnał i ani się obejrzywszy, jak u sąsiada z prawej, na którego już lekko zerkasz, dostrzeżesz napis: „Pałac Rządowy w Kalkucie”, tak że wiesz, iż niedługo wybijie i twoja godzina. Wtedy jeszcze rzucasz okiem upewniając się, że ukażą się teraz rzeczywiście palmy Parku Królewskiego, a że ukazują się bezlitośnie, odsuwasz krzesło, podbiega sługa i lekko mrugając oczyma, z postawionym kornakiem, biedak przyłapano na tym, że oddawał się przyjemności, której przecież nie zna,

skłoniwszy się lekko opuszczasz pomieszczenie, w którym oczekują już inni, a starsza pani sprzedaje abonamenty.

Do tego lokalu trafili Joachim i Elżbieta, chodząc po mieście, w asyście przydzielonej Elżbiecie damy do towarzystwa, za sprawunkami dla domu i na wyprawę. Bo chociaż wiedzieli, że Bertrand jest w Hamburgu, i chociaż nigdy więcej nie rozmawiali o nim, słowo „Indie” miało dla nich magiczne brzmienie.

W Lestowie odbył się cichy ślub. Stan ojca nie uległ zmianie; stary miał umysł zaćmiony, zatracił kontakt z otoczeniem i trzeba było nastawić się na to, że ta sytuacja może jeszcze trwać latami. Co prawda baronowa mówiła, że cicha, kameralna uroczystość jej i jej małżonkowi o wiele bardziej odpowiada aniżeli huczne świętowanie, ale Joachim wiedział już, jaką wagę teściowie przywiązują do rodzinnych ceremonii, i czuł się odpowiedzialny za ojca, przez którego ślub nie mógł być tak okazały. Również on sam życzyłby sobie chyba okazałej i głośnej towarzyskiej oprawy, aby podkreślić socjalny charakter tych wyzbytch miłostnego podkładu zaślubin; z drugiej strony jednak wydawało mu się bardziej dopasowane do powagi i chrześcijańskości takiego związku, jeśli oboje z Elżbietą pójdą do ołtarza bez rozgłosu. Toteż zrezygnowano z urządzenia wesela w Berlinie, choć w Lestowie nie brakowało rozmaitych trudności zewnętrznych, które niełatwo było pokonać, zwłaszcza gdy nie stało rady Bertranda. Joachim wzdragał się przed wprowadzeniem oblubienicy w wieczór poślubny pod swój dach; perspektywa spędzenia tej nocy w domu chorego napełniała go odrazą, ale jeszcze bardziej nie do przyjęcia wydawało mu się to, że Elżbieta miałaby udawać się na spoczynek na oczach znajomej służby; zaproponował więc, żeby Elżbieta przenocowała w Lestowie, a on nazajutrz po nią przyjedzie; dziwnym trafem ta propozycja natrafiła na opór baronowej, która uznała takie rozwiązanie za niewłaściwe: – A jeśli na to pójdziemy, to co sobie pomyśli nieokrzesa czeladź! – W końcu postanowiono wyznaczyć ślub na tak wczesną porę, żeby młoda para zdążyła jeszcze na południowy pociąg. – Wtedy znajdziecie się raz-dwa w swoim wygodnym berlińskim domu – powiedziała baronowa, ale Joachim również o tym nie chciał słyszeć. Nie, to było za daleko, bo już wczesnym rankiem chcieli przecież jechać dalej, a prawdopodobnie wsiądą nawet od razu w nocny pociąg do Monachium. Tak, nocne podróżowanie było bodaj najprostszym rozwiązaniem małżeńskiego problemu, było ratunkiem przed obawą, że ktoś mógłby uśmiechać się domyślnie, kiedy oboje z Elżbietą będą musieli położyć się spać. Teraz jednak wahał się, czy faktycznie będą mogli natychmiast jechać dalej do Monachium; czy od Elżbiety po trudach tego dnia można wymagać nocnej jazdy? I jak należałoby spędzić dzień w Monachium w oczekiwaniu na to, co ma nastąpić? To zrozumiałe, że również z Bertrandem nie można by omawiać takich spraw, można to załatwić jedynie z samym sobą; niejedno wszakże byłoby dużo prostsze, gdyby Bertrand znajdował się w pobliżu. Zastanawiał się, co Bertrand zrobiłby w takiej sytuacji, i doszedł do wniosku, że nie zawadzi zamówić pokoi w berlińskim „Hotel Royal”; gdyby Elżbieta sobie tego życzyła, można by jeszcze mimo to jechać dalej. I był w gruncie rzeczy dumny, że sam znalazł to zręczne rozwiązanie.

Chwyciła tęga zima i kryte powozy, którymi jechało się do kościoła, poruszały się naprzód w śniegu jedynie noga za nogą. Joachim jechał z matką; siedziała w powozie zażywna i rozłożysta i Joachim irytował się, kiedy powtarzała: – Ojciec to by się z tego serdecznie cieszył. Jaka szkoda. – Tak, tego by jeszcze brakowało; Joachim był rozdrażniony – nikt nie pozostawił mu czasu na skupienie tak potrzebne w tej uroczystej chwili, podwójnie potrzebne jemu, dla którego to małżeństwo znaczyło więcej niż założenie chrześcijańskiego ogniska domowego, jemu, dla którego oznaczało ocalenie z bagna i otchłani i było obietnicą wiary na drodze do Boga. Elżbieta w ślubnej sukni wyglądała niczym Madonna jak jeszcze nigdy, wyglądała jak Królowa Śnieżka, a jemu nieodparcie przyszła na myśl baśń o oblubienicy, która padła martwa przy ołtarzu, ponieważ raptem spostrzegła, że w postaci

oblubieńca kryje się diabeł. To wyobrażenie ani rusz nie ustępowało, zawładnęło nim tak bardzo, że nie słyszał ani śpiewu chóru, ani mowy pastora, ba, nawet nie chciał jej słyszeć, ze strachu, że będzie musiał mu przerwać, będzie musiał mu powiedzieć, iż przed ołtarzem stoi niegodny, odrażony, ktoś, kto bezcześci święte miejsce, i poderwał się wystraszony, kiedy musiał wypowiedzieć „tak”, wystraszony i tym, że ceremonia, która miała być dla niego objawieniem nowego życia, przeszła tak szybko i prawie niezauważenie. Jedyłą przyjemność sprawiło mu to, że Elżbieta została nazwana jego żoną, właściwie jeszcze nią nie będąc, lecz okrucieństwem wydawało mu się, że ten stan nie miał być trwały. W drodze powrotnej wziął ją za rękę i powiedział: „moja żona”, Elżbieta zaś odwzajemniła uścisk jego dłoni. A potem wszystko pogrążyło się w zamęcie życzeń, przebierania się, wyjazdu, tak że dopiero na stacji zdali sobie sprawę, co zaszło.

Gdy Elżbieta wsiadała do przedziału, odwrócił się, żeby znów nie stać się pastwą nieczystych myśli. Oto byli sami. Elżbieta zmęczona usiadła wygodnie w kącie i uśmiechnęła się lekko do niego. – Jesteś zmęczona, Elżbieto – powiedział z radosną nadzieją, ciesząc się, że musi ją ochraniać, że ma prawo ją ochraniać. – Tak, jestem zmęczona, Joachimie. – Nie miał jednak odwagi zaproponować jej, żeby zatrzymali się w Berlinie, obawiając się, że mogłaby mu to poczytać za lubieźność. Jej profil rysował się ostro na tle okna, za którym zalegało szare zimowe popołudnie, i Joachim był szczęśliwy, że nie pojawiła się owa nieznośna i budząca strach wizja, w której jej twarz zamieniała się w krajobraz. Ale jeszcze przyglądając się jej ujrzał, iż walizka, postawiona na przeciwległym siedzeniu, odcina się nie mniej ostro od szarego horyzontu, i ogarnął go bezsensownie spotęgowany lęk, że Elżbieta jest rzeczą, martwym przedmiotem, nawet nie krajobrazem. Wstał pospiesznie, jakby chcąc walizce coś zrobić, ale jedynie otworzył ją i wyjął koszyk z prowiantem: był to prezent ślubny i małe cudo elegancji, przydatne zarówno w podróży, jak i na polowaniu; wykonane z kości słoniowej trzonki noży i widelców były ozdobione ornamentalnymi scenami myśliwskimi, które przechodziły w cyzelunki części metalowych, i nawet maszynka spirytusowa nie została przez nie oszczędzona; a między ornamentami można było na każdej sztuce dostrzec splecione herby Elżbiety i Joachima. Środkowa przegródka koszyka służyła przechowywaniu zapasów jedzenia i została przez baronową pieczołowicie wypełniona. Joachim zaprosił Elżbietę, żeby się pokrzepiła, co ona zrobiła chętnie, jako że nie zdążyli już wziąć udziału w weselnym śniadaniu. – Nasz pierwszy małżeński posiłek – powiedział Joachim i nalał wina do wsuwanych jeden w drugi srebrnych kubków, a Elżbieta trąciła się z nim. Tak to mijają im jazda i Joachim znów doszedł do przekonania, że podróżowanie koleją to najlepsza forma małżeńskiego życia. Ba, zaczął rozumieć Bertranda, który dużą część swego czasu potrafił spędzać w pociągu. – Czy wieczorem nie pojedziemy od razu dalej do Monachium? – zapytał; Elżbieta odrzekła, że jest dość znużona i wolałaby przerwać podróż. Wtedy nie omieszkał jej wyjawić, że już uprzedził jej życzenie i zamówił pokoje.

Był wdzięczny Elżbiecie, że nie zatraciła swobody, choć była to może swoboda tylko pozorna, bo odwlekała nocny spoczynek, zażądała, żeby poszli na kolację, po czym dość długo siedzieli w sali jadalnej; muzycy przygrywający do wieczery odłożyli już instrumenty, na sali pozostali bardzo nieliczni goście i jakkolwiek Joachimowi dogadzała wszelka zwłoka, to jednak znowu poczuł ciśnienie owego chłodu rozrzedzonego powietrza w restauracji, owego chłodu, który w dniu zaręczyn stał się dla nich strasznym przecuciem śmierci. Elżbieta pewnie też to odczuła, bo powiedziała, że już czas iść spać.

Ta chwila zatem nadeszła. Elżbieta pożegnała go uprzejmym: „Dobranoc, Joachimie” i oto on przechadzał się po swoim pokoju tam i z powrotem. Czy miał prawo położyć się do łóżka? Popatrzył na rozścielone pościelenie. Przecież przysięgał sobie, że będzie czuwał pod jej drzwiami, strzegł jej niebiańskiego snu, aby śniła wiecznie na swym srebrnym obłoku: i oto nagle utracił sens i cel, gdyż wszystko zdawało się kończyć na tym, że on się tu rozgości. Spojrzał po sobie i uznał długą kurtkę munduru za osłonę; to bezwstydnym, że ludzie idą do

ślubu we fraku. Jednakże musiał pomyśleć o umyciu się i po cichu, jakby popełniał świętokradztwo, zdjął kurtkę i nalał wody do miednicy na brązowo polerowanej umywalce. Jakie to wszystko było nieprzyjemne, jakie bezsensowne, chyba że stanowiło ogniwo w łańcuchu wyznaczonych prób; wszystko byłoby łatwiejsze, gdyby Elżbieta zamknęła za nim drzwi na klucz, ale przez delikatność z pewnością tego nie zrobiła. Joachim przypomniał sobie, że już raz przeżył tę sytuację, i z karcącą mocą pojawiło się teraz wspomnienie brązowej umywalki pod gazowym płomieniem i zaryglowanych drzwi: straszne jako wspomnienie Rużeny, nie mniej straszne jako problem, jak we współżyciu z aniołem da się w ogóle pomieścić dyskretną myśl o pewnej toalecie, w obydwu wypadkach spostonowanie Elżbiety i kolejna próba. Umył twarz i ręce, wykonując lekkie, nieznaczne ruchy, aby uniknąć wszelkiego pobrzękiwania porcelany o marmur, ale oto wyłoniło się coś niewyobrażalnego: kto w bliskości Elżbiety ośmieliłby się gulgotać płuczając gardło? A przecież powinien byłby zanurzyć się dużo głębiej w płynnym oczyszczającym kryształ, powinien byłby zatopić się, wyjść z głębszego oczyszczenia jak z chrztu w Jordanie. Ale na co przyda się nawet kąpiel? Rużena poznała się na nim i wyciągnęła konsekwencje. Prędko włożył kurtkę z powrotem, zapiał ją przepisowo i zaczął znów przechadzać się po pokoju. Za ścianą nic się nie ruszało i czuł, że jego obecność musi jej ciążyć. Czemu nie krzyczała jak Rużena z zamkniętych drzwi, żeby sobie poszedł! Wówczas miał przynajmniej u boku babkę klozetową, a teraz był sam i bez pomocy. Nazbyt wczesnie odwrócił się od Bertranda i jego niedbałej pewności, a fakt, że kiedyś wierzył, iż musi przed nim chronić Elżbietę, zakrawał teraz w jego oczach na pretekst. Dopadła go pełna zgrozy skrucha: to nie ją chciał osłaniać i ratować, to swoją własną duszę chciał ocalić dzięki jej ofierze. Czy padłszy na klęczki modliła się teraz, aby Bóg uwolnił ją z okowów, które wzięła na siebie z litości? Czy on nie powinien powiedzieć Elżbiecie, że zwraca jej wolność, jeszcze dzisiaj, że jeśli ona rozkaże, to zaraz zawiezie ją do jej domu w Westendzie, do jej nowego, pięknego domu, który na nią czeka. W wielkim wzburzeniu zapukał w drzwi między pokojami, jednocześnie pragnąc, żeby tego był nie uczynił. Zapytała cicho: – Joachim? – i on nacisnął klamkę. Leżała w łóżku, na nocnej szafce paliła się świeca. Zatrzymał się w drzwiach, przybrał z lekka przepisową postawę i powiedział ochryple: – Elżbieto, chciałem tylko oznajmić, że zwracam ci wolność; to nie uchodzi, żebyś się dla mnie poświęcała. – Elżbieta była zdziwiona, lecz poczuła ulgę, że nie zbliżał się do niej w roli zakochanego małżonka. – Uważasz, Joachimie, że się poświęciłam? – Uśmiechnęła się nieznacznie. – Właściwie dość późno przychodzi ci to na myśl. – Jeszcze nie jest za późno, Bogu dziękuję, że nie jest za późno... teraz dopiero dotarło to do mojej świadomości... Mam cię zawieźć do Westendu?

– Elżbieta nie mogła powstrzymać się od śmiechu; teraz, w środku nocy! Ludzie z sąsiedztwa zrobiliby oczy. – Nie poszedłbyś po prostu spać, Joachimie? Przecież to wszystko możemy omówić jutro w największym spokoju. Ty też musisz być zmęczony. – Joachim odparł jak krnąbrne dziecko: – Nie jestem zmęczony. – Świeca migocząc oświetlała jej bladą twarz leżącą pośród rozpuszczonych włosów na białej poduszce. Róg poduszki sterczał niczym nos, a jego cień na ścianie nie różnił się od cienia nosa Elżbiety. – Proszę, Elżbieto, przyklep róg poduszki, lewy górny – powiedział spod drzwi.

– Dlaczego? – zapytała Elżbieta i sięgnęła we wskazane miejsce. – Rzuca taki brzydki cień – wyjaśnił Joachim; tymczasem podniósł się drugi róg i ukazał na ścianie inny nos. Joachim był poirytowany, chętnie sam by to doprowadził do porządku i postąpił krok w głąb pokoju. – Ale, Joachimie, czemu ci przeszkadza cień? Teraz już dobrze? – Joachim odparł: – Cień twojej twarzy na ścianie jest jak łańcuch górski. – Co to szkodzi? – Mnie się nie podoba. – Elżbieta obawiała się trochę, że będzie to przejście do zgaszenia świecy, ale ku jej miłemu zaskoczeniu Joachim oznajmił: – Należałoby postawić koło ciebie dwie świece, wtedy nie byłoby żadnego cienia i wyglądałabyś jak Królowna Śnieżka. – I faktycznie poszedł do swego pokoju, po czym wrócił z drugą zapaloną świecą. – O, jaki ty jesteś zabawny – musiała teraz

powiedzieć Elżbieta. – Gdzie to chcesz postawić drugą świecę? Nie możesz jej przecież umieścić na ścianie. A poza tym między dwiema świecami wyglądałabym jak umarła. – Joachim ogarnął spojrzeniem sytuację; Elżbieta miała rację, więc spytał: – Mogę ją postawić na nocnej szafce? – Naturalnie, że możesz... – Zrobiła małą pauzę i z ociąganiem, a jednak i pewnym zadowoleniem dodała: – Jesteś teraz moim mężem. – Osłaniając dłonią płomień zaniósł świecę na nocną szafkę, przyglądał się z namysłem obu światłom i przypomniawszy sobie cichy, wyzbyty blasku ślub powiedział: – Trzy to byłoby uroczyściej – jak gdyby w ten sposób mógł Elżbiecie i jej rodzicom zaofiarować rekompensatę za skromność ceremonii. Ona też patrzyła na obie świece; podciągnęła kołdrę pod szyję, tylko dłoń, okolona w przegubie koronkową kryzą, zwisała miękko u brzegu łóżka. Myśli Joachima krążyły jeszcze wokół małego uroczystego ślubu; to tę dłoń w powozie trzymał w swojej dłoni. Trochę ochłonął i niemal zapomniał, po co przyszedł; teraz przypomniał sobie o swojej propozycji i poczuł się w obowiązku ją powtórzyć: – Więc nie chcesz jechać do Westendu, Elżbieto? – Czy ty oszalałaś, Joachimie, żebym teraz musiała wstawać! Czuję się tu bardzo dobrze, a ty chcesz mnie stąd wykurzyć. – Joachim stał niezdecydowanie przy nocnej szafce; raptem nie mieściło mu się w głowie, jak rzeczy potrafią zmieniać charakter i przeznaczenie; łóżko było przyjemnym meblem do spania, przy Rużenie miejscem tęsknoty i nieopisanej słodyczy, a teraz czymś niedostępnym, czymś, czego brzegu nie miał odwagi dotknąć. Drewno jest przecież drewnem, ale także drewna trumny człowiek nie chce dotykać. – To takie trudne, Elżbieto – oznajmił raptem – wybac mi. – Wszelako prosił ją o wybaczenie nie tylko dlatego, jak pewnie sądziła, że o tej późnej godzinie chciał ją nakłonić do wstania, lecz że ponownie porównał ją z Rużeną i – co zauważył z przerażeniem – wręcz pragnął, aby tu była nie ona, tylko Rużena.

I przekonał się, jak jeszcze głęboko tkwił w bagnie. – Wybac mi – powiedział jeszcze raz i ukląkł, aby na pożegnanie ucałować białą, niebiesko pożyczowaną dłoń na brzegu łóżka. Ona milczała nie wiedząc, czy miało to oznaczać budzące lęk zbliżenie. Jego usta przywarły do jej dłoni i czuł zęby, napierające na wewnętrzną stronę warg, jak krawędź twardych kości czaszki, których kontynuacją był szkielet. Czuł ciepły oddech w jamie ustnej i język ułożony w niecce między żuchwami, i wiedział, że musi raz-dwa pozbyć się tego wszystkiego, aby Elżbieta się nie spostrzegła. Nie chciał wszakże przyznać Rużenie tego szybkiego zwycięstwa i trwał w milczeniu na klęczkach przy łóżku, póki Elżbieta, jakby przypominając sobie o pożegnaniu, nie uściśnęła leciutko jego dłoni. Może z rozmysłem błędnie zrozumiał ten znak, bo to pozwalało mu poczuć w oddaleniu błogi dotyk dłoni Rużeny; nie puścił jej ręki, mimo że w gruncie rzeczy było mu już dość pilno opuścić ten pokój. Czekał na cud, na znak łaski, który miał mu dać Bóg, i było tak, jakby strach stał u wrót łaski. Poprosił: – Elżbieto, powiedz coś – i Elżbieta odrzekła powoli, jak gdyby to nie były jej własne słowa: – Jesteśmy sobie nie dość obcy i nie dość bliscy. – Joachim spytał: – Elżbieto, odejdziesz ode mnie? – Ona odpowiedziała miękko: – Nie, Joachimie, myślę raczej, że będziemy teraz szli razem. Nie smuć się, Joachimie, wszystko dobrze się ułoży. – Tak, chciał odpowiedzieć Joachim, to są również słowa Bertranda; ale powstrzymał się, nie tylko dlatego, że wspomnianie o tym byłoby niewłaściwe, lecz że słowa Bertranda w jej ustach były dla niego jak mefistofeliczny znak demona i zła zamiast oczekiwanego, upragnionego wymodlonego znaku Boga. Na chwilę ukazał się obraz Bertranda niczym w głębi brązowej skrzynki, widoczny, a mimo to ukryty, i to był diabeł, którego twarz i postać rzucały tam na ścianę cień pasma gór. I jakkolwiek pojawiło się to nieruchomo i zastygłe, po czym pierzchno spieszenie i jakby na sygnał dzwonka, było to przecież przestrożą, że zło nie zostało jeszcze pokonane i że nawet Elżbieta była jeszcze podległa złemu, gdyż go przywołała jego własnymi słowami i nie potrafiła odegnać widma i urojenia słowem Bożym. I choć przyniosło to rozczarowanie, było też dobre i budziło głębokie wzruszenie tym, co człowiecze, stworzone i słabe. Elżbieta jest celem w niebiańskim wymiarze, ale drogę do tego celu w ziemskim życiu musi dla nich

obojga mimo własnej wielkiej słabości znaleźć i utorować on sam; jednakże gdzie jest drogowskaz ku owemu poznaniu w samotności? Skąd nadejdzie pomoc? Przyszło mu do głowy zdanie Clausewitza, że zawsze postępujemy opierając się jedynie na domyślaniu się i wyczuwaniu prawdy, i jego serce przeczuwało, że im, tworzącym chrześcijańskie stadło, pisana będzie ocalająca pomoc laski, to ona ich uchroni, aby nie musieli nieświadomie, bezradnie i bezsensownie bytować na ziemi i zatracać się w nicości. Nie, tego nie można było nazwać konwencją uczuciową. Wyprostował się i łagodnie przesunął ręką po jedwabnej kołdrze, pod którą leżało jej ciało; czuł się trochę jak pielęgniarz i można by sądzić, że chce pogłaskać chorego ojca lub jego wysłańca. – Biedna mała Elżbieta – rzekł; były to pierwsze pieśzcotliwe słowa, jakie ośmielił się wypowiedzieć. Uwolniła dłoń i przejechała nią teraz po jego włosach; Rużena też tak robiła, pomyślał. Lecz ona powiedziała cicho: – Joachimie, jesteśmy jeszcze nie dość znajomi. – Podciągnął się nieco wyżej i usiadł na brzegu łóżka, pogłaskał ją po głowie. Potem oparłszy się na łokciu patrzył w jej twarz, która nadal leżała na poduszce blada i obca, nie będąc twarzą kobiety, nie będąc twarzą jego żony, i stało się tak, że powoli, sam tego nie zauważając, znalazł się obok niej w pozycji leżącej. Odsunęła się trochę i jej dłoń, wyzierająca samotnie spod kołdry z okolonym koronką przegubem, spoczęła na jego dłoni. W tym położeniu mundur Joachima zatracił nienaganny wygląd, poły rozstąpiły się odsłaniając czarne spodnie i spostrzegłszy to Joachim czym prędzej doprowadził się do porządku i przykrył odsłonięte miejsce. Podciągnął też nogi i nie chcąc dotykać lakierkami pościeli położył stopy trochę niewygodnie na krześle stojącym koło łóżka. Świece migotały; najpierw zgasła jedna, potem druga. Od czasu do czasu słyszało się przytłumione kroki na korytarzu, raz trzasnęły drzwi, a z daleka dochodziły odgłosy olbrzymiego miasta, którego gigantyczny ruch nie milkł całkowicie także w nocy. Leżeli bez ruchu i patrzyli w sufit pokoju, poprzecinany żółtymi smugami światła ze szpar w żaluzjach; było to trochę podobne do żeber szkieletu. Potem Joachim zapadł w sen i zobaczywszy to Elżbieta nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. A potem zasnęła i ona.

Mimo wszystko po blisko osiemnastu miesiącach przyszło na świat ich pierwsze dziecko. Jak się to stało, tego już nie trzeba opowiadać. Na podstawie przedstawionej charakterystyki postaci czytelnik może to sobie sam wyobrazić.

1903

Esch, czyli anarchia

2 marca 1903 roku to był zły dzień dla trzydziestoletniego biuralisty Augusta Escha; pożarł się z szefem i został zwolniony, zanim zdążył sam wymówić. Toteż złościł go nie tyle fakt zwolnienia, ile to, że nie postawił się ostrzej. Czegóż to by nie mógł wyrębać prosto w oczy temu człowiekowi, który nie wiedział, co się właściwie w jego firmie dzieje, który dawał posłuch podszeptom takiego Nentwiga, nie mając pojęcia, że ten Nentwig bierze prowizje, gdzie się tylko da, i chyba rozmyślnie przymykając oczy, ponieważ Nentwig musiał wiedzieć o jakichś świństwach. A jak idiotycznie dał się im zaskoczyć: w obrzydliwy sposób zarzucili mu błąd w księgowaniu, a kiedy teraz zastanawiał się nad tym, nie był to wcale błąd. Ale obaj wrzeszczeli na niego bez opamiętania i scena wyrodziła się w głupią pyskówkę, w której trakcie okazało się nagle, że jest zwolniony. Naturalnie wtedy nie przyszło mu do głowy nic innego niż cytaty z Götza³, tymczasem teraz miał na podorędziu najrozmaitsze celne riposty; „panie”, tak, „panie”, powinien był powiedzieć patrząc przy tym na czubki jego stóp, i oto Esch sarkastycznie mruknął pod nosem: – Panie, pan nie ma pojęcia, jak to jest w pańskiej firmie... – ano, tak powinien był powiedzieć, ale było już za późno. Po wszystkim upił się i przespał z dziewczynką, lecz to nic nie pomogło, złość pozostała i Esch, idąc do miasta brzegiem Renu, kłął półgłosem.

Usłyszał za sobą kroki i obejrzawszy się zobaczył Martina, który przyciskając palce krótszej nogi do drewna pospieszał co sił na dwóch kulach. Akurat jego mu jeszcze brakowało. Esch chętnie podążyłby dalej swoją drogą, narażając się na niebezpieczeństwo, że dostanie kulą po łbie – zasłużył sobie, żeby go zatłuc – ale czując, iż byłoby podłością kazać kuternodze biec za sobą, przystanął. Poza tym musiał rozejrzeć się za posadą i może Martin, który wszystkich znał, będzie wiedział o czymś dla niego. Kaleka dogonił go, zwiesił chromą nogę i rzucił po prostu: – Wyrzucony? – A więc już wiedział. Esch odrzekł zjadliwie: – Wyrzucony. – Masz jakieś pieniądze? – Esch wzruszył ramionami; na parę dni wystarczy. Martin zastanowił się: – Miałbym miejsce dla ciebie. – Dobra, ale ja nie wstąpię do twojej organizacji. – Wiem, wiem, za bardzo się cenisz... no, jeszcze przyjdiesz. Dokąd idziemy? – Esch nie miał nic na oku, tedy poszli do gospody matki Hentjen. Na Kastellgasse Martin zatrzymał się: – Dali ci porządne świadectwo? – Muszę je dopiero odebrać. – Żegluga Środkoworeńska w Mannheim potrzebuje kasjera okrętowego czy czegoś w tym rodzaju... Jeśli nie masz nic przeciwko temu, żeby się wynieść z Kolonii... – Weszli do środka. Sala była niezbyt duża, mroczna, chyba już od setek lat służyła za knajpę reńskim marynarzom; wszelako z długiej przeszłości prócz zakopconego beczkowego sklepienia nic już się nie rzucało w oczy. Ściany za stołami były do połowy wysokości wyłożone brązową boazerią, wzdłuż jednej z nich biegła dobudowana ława. Wyżej stały na półce monachijskie litrowe kufie, dostrzegało się tam również wieżę Eiffla z brązu. Wieża była przybrana czarno-biało-czerwoną flagą i jeśli ktoś przyjrzał się uważniej, to mógł odcyfrować na niej zatarte złote litery słów „stół stałych bywalców”. Pomiedzy obu oknami stał orkiestron z otwartymi dwuskrzydłowymi drzwiczkami i ukazywał w swym wnętrzu walec nutowy i mechanizm. Właściwie drzwiczki powinny były być zamknięte i chcąc posłuchać muzyki należałoby wrzucić nikłową monetę. Jednakże matka Hentjen nie miała węża w kieszeni i gościowi

³ Aluzja do kwestii wypowiedzianej przez tytułowego bohatera w trzecim akcie *Götza und Berlichingen* Goethego (dosłownie: „ten twój rotmistrz może mnie gdzieś pocałować”).

wystarczyło sięgnąć do mechanizmu i pociągnąć dźwignię; wszyscy goście matki Hentjen wiedzieli, jak się obsługuje aparat. Naprzeciwko orkiestronu całą tylną wąską stroną lokalu zajmował bufet, a za bufetem, między dwiema oszklonymi szafami z kolorowymi butelkami likieru, znajdowało się duże lustro. Kiedy wieczorem matka Hentjen zajmowała swoje miejsce za bufetem, zwykła co jakiś czas się odwracać i w lustrze obmacywać jasnawłosą fryzurę, osadzoną jak mała, sztywna bryła cukru na okrągłej, ciężkiej głowie. Na bufecie stało kilka dużych butli z winem i wódką. Bo kolorowe likiery z oszklonych szaf rzadko zamawiano. Wreszcie między bufetem a oszkloną szafą mieścił się dyskretnie wmontowany zlew z cynkowej blachy z kranem.

Lokal był nie ogrzewany, a jego chłód cuchnął. Obaj mężczyźni rozcierali sobie dłonie i podczas gdy Esch ciężko siadł na ławie, Martin sięgnął do orkiestronu, który wypełnił zimne powietrze sali rykiem *Marsza gladiatorów*. Mimo hałasu usłyszeli niebawem kroki na trzeszczących drewnianych schodach, po czym pozbawione zamka wahadłowe drzwi koło bufetu zostały pchnięte przez panią Hentjen. Była w porannym stroju roboczym, przepasała spódnicę dużym niebieskim perkalowym fartuchem i nie włożyła jeszcze wieczornego gorsetu, tak że jej piersi jak dwa worki spoczywały w barchanowej bluzce w dużą kratę. Tylko fryzura wieńczyła niczym sztywna i nienaganna bryła cukru bladą, pozbawioną wyrazu twarz, której wieku nie sposób było określić. Ale wszyscy wiedzieli, że pani Gertruda Hentjen liczyła sobie trzydzieści sześć lat i od długiego, długiego czasu – dopiero niedawno wyliczono, że z pewnością musiało to być czternaście lat – była wdową po panu Hentjenie, którego żółto wyblakła fotografia pyszniła się powyżej wieży Eiffla, między licencją na prowadzenie gospody a księżycowym krajobrazem, cała trójka w pięknych, czarnych, złotem zdobionych ramach. I choć pan Hentjen ze swą kozią bródką miał wygląd mizernego czeladnika krawieckiego, wdowa dochowywała mu wierności; przynajmniej nie można było o niej nic powiedzieć, a jeśli ktoś ośmielił się zbliżyć do niej w uczciwych zamiarach, to ona mówiła twardo: – No, przydałaby mu się taka gospoda. O nieee, to już ja wolę gospodarzyć sama.

– Dzień dobry, panie Geyring, dzień dobry, panie Esch – powiedziała.

– Ale z panów dzisiaj ranne ptaszki. – Już dość długo jesteśmy na nogach, matko Hentjen – odrzekł Martin. – Kto pracuje, ten chce też jeść. – I zamówił ser i wino; Esch, któremu wczorajsze wino wciąż jeszcze paraliżowało usta i żołądek, dostał kieliszek wódki. Pani Hentjen przysiadła się do mężczyzn, żeby posłuchać nowin; Esch był małowówny i choć nie wstydził się wcale, iż został zwolniony, to jednak złościło go, że Geyring tak się rozwodził nad tym zdarzeniem. – Ot, jeszcze jedna ofiara kapitalizmu – zakończył opowieść związkowiec. – Ale teraz trzeba znów brać się do roboty. Naturalnie nasz pan baron może sobie leniuchować. – Uregulował należność, również za wódkę Escha. – Bezrobotnych trzeba wspomagać...

– Wziął stojące obok kule, przycisnął czubek stopy do drewna i kołysząc się pokuśtykał na dwóch podpórkach.

Po wyjściu Martina oboje jakiś czas milczeli; potem Esch wskazał podbródkiem drzwi: – Anarchista – powiedział. Pani Hentjen wzruszyła mięsistymi ramionami: – A choćby nawet, przecież to przyzwoity człowiek... – Przyzwoity to on jest – potwierdził Esch; a pani Hentjen kontynuowała: – Ale niedługo znowu się do niego dobiorą... raz już zamknęli go na sześć miesięcy... – Potem: – Takie ma zajęcie. – Znowu milczeli; Esch rozmyślał nad tym, czy Martin kulał już od dziecka; niezdarzeniec, powiedział do siebie, a głośno: – Chciałby mnie wciągnąć do swojej socjalistycznej kompanii. Ale ja się nie dam. – Dlaczego? – spytała pani Hentjen bez zainteresowania.

– Nie odpowiada mi. Ja chcę się wybić; musi być porządek, jak człowiek chce się wybić. – Pani Hentjen nie omieszkała przytaknąć: – Co racja, to racja, musi być porządek. A ja muszę już iść do kuchni. Zje pan dzisiaj u nas, panie Esch? – Esch mógł zjeść równie dobrze

tutaj jak i gdzie indziej, ale w końcu po co miałyby się włóczyć na lodowatym wietrze? – Że też w tym roku nie ma śniegu – dziwił się – od tego kurzu człowiek po prostu ślepie. – Tak, paskudnie jest na dworze – przyznała pani Hentjen. – Więc pan trochę posiedzi. – Zniknęła w kuchni, wahadłowe drzwi drżały jeszcze jakiś czas i Esch otępiełe śledził to drżenie, póki drzwi się nie uspokoiły. Potem próbował zasnąć. Ale zaraz poczuł, jak zimno było w tej sali; zaczął przechadzać się tam i z powrotem, dość ciężkimi i niezdarnymi krokami, wziął leżącą na bufecie gazetę, zgrabiętymi palcami nie mógł jednak przewracać stron; bolały go też oczy. Postanowił tedy zajrzeć do ciepłej kuchni; wszedł z gazetą w ręce. – Chce pan pewnie pozaglądać do garnków – powiedziała pani Hentjen, zdawała sobie wszakże sprawę, że w lokalu było za zimno, a że zwykła była palić tam dopiero po południu i trzymała się tej reguły, zezwoliła, by dotrzymywał jej towarzystwa. Esch obserwował, jak krzątała się przy palenisku, i chętnie złapałby ją za biust, lecz fama o jej nieprzystępności zdusiła to pragnienie w zarodku. Gdy dziewczka kuchenna, która pomagała jej w gospodzie, wyszła z kuchni, powiedział: – Że też pani może tak żyć sama... – A to co znowu? – odrzekła. – Pan też wyjeżdża z tą śpiewką. – Nie – zapewnił Esch – tak sobie tylko pomyślałem. – Pani Hentjen przybrała osobliwie stężoną minę; wydawało się, że poczuła wstręt do czegoś, bo wstrząsnęła się, aż jej piersi zachybotwały, po czym wróciła do pracy ze znudzoną, pustą twarzą, do której wszyscy się przyzwyczaili. Esch, przy oknie, czytał swoją gazetę, a w końcu wyglądał na podwórze, gdzie wiatr wzbijał małe cyklony kurzu.

Później nadeszły dwie dziewczyny, które wieczorem zamieniały się w kelnerki, niedomyte i zaspane. Pani Hentjen, obie dziewczyny, mała dziewczka i Esch zasiedli przy kuchennym stole, każdy wystawił łokieć daleko od siebie, pochylił się nisko nad talerzem i jadł.

Esch przygotował ofertę dla mannheimczyków; musiał jeszcze tylko dołączyć świadectwo. Właściwie był rad, że sprawy tak się potoczyły. Niedobrze jest siedzieć wciąż na jednym miejscu. Trzeba się wyrwać, im dalej, tym lepiej. I trzeba się rozglądać; on stale się tego trzymał.

Po południu poszedł po świadectwo do firmy Stemberg & Co., Hurtownia Win i Piwnice. Nentwig kazał mu czekać przy drewnianej barierce, siedział za biurkiem, gruby i okrągły, i liczył. Zniecierpliwiony Esch twardo zastukał palcem w barierkę. Nentwig podniósł się: – Cierpliwości, panie Esch – podszedł do barierki i powiedział z góry: – Co do pańskiego świadectwa to nie ma piekarni. Więc data urodzenia? Data rozpoczęcia pracy? – Esch, z odwróconą głową, podał te dane, Nentwig je zanotował, następnie podyktował i przyniósł świadectwo. Esch przeczytał tekst: – To nie jest świadectwo – powiedział i zwrócił papier. – Nie? A co to jest?

– Musi pan poświadczyć, że pracowałem jako buchalter. – Pan i buchalter! Pokazał pan, co potrafi. – Nadeszła chwila rozrachunku: – Wyobrażam sobie, że do księgowania pańskich rejestrów trzeba specjalnego buchaltera!

– Nentwig spieszył się... – Co to ma znaczyć? – To, co znaczy. – Nentwig raptem zmienił front, zrobił się uprzejmy: – Swoją agresywnością zawsze szkodzi pan tylko samemu sobie. Żeby mając taką dobrą posadę pokłócić się z szefem! – Esch poczuł zwycięstwo, zaczął się nim delectować: – Ja jeszcze pogadam z szefem. – A niech pan sobie z nim gada, o czym pan zechce – odparował Nentwig. – No to co ma być w tym świadectwie?

– Esch zamówił sobie: – Obowiązkowy, niezawodny, biegły we wszystkich pracach buchalteryjnych i innych czynnościach biurowych. – Nentwig chciał się go pozbyć. – Nie jest to prawda, ale niech tam. – Zwrócił się znów do kancelisty, żeby podyktować nową wersję. – Co, to nie jest prawda? Co?... To niech pan jeszcze dopisze: „w najwyższym stopniu godzien polecenia”, rozumie pan? – Nentwig skłonił się: – Do usług, panie Esch.

– Esch przeczytał nowy tekst i był zadowolony. – Podpis szefa – zarządził. Tego Nentwigowi było za wiele; krzyknął: – Mój panu nie wystarczy?!

– Jeśli ma pan odpowiednie pełnomocnictwa, to nie będę się upierał – brzmiała wspaniała i wspaniałomyślna odpowiedź Escha. I Nentwig podpisał.

Esch wyszedł na ulicę kierując się do najbliższej skrzynki pocztowej. Pogwizdywał; czuł się zrehabilitowany. Miał świadectwo, dobra jest; wsadził je do koperty z ofertą dla Żeglugi Środkoworeńskiej. To, że Nentwig ustąpił, świadczyło o jego nieczystym sumieniu. Rejestry były zatem sfalszowane, tego człowieka zatem trzeba oddać w ręce policji. Tak, to po prostu obywatelski obowiązek złożyć natychmiastowe doniesienie. List miękko i głucho plasnął w skrzynce i Esch, nie wyciągnąwszy jeszcze palców ze szczeliny do wrzucania, zastanawiał się, czy iść wprost do prezydium policji. Niezdecydowany powlókł się dalej. To nie było w porządku, że wysłał świadectwo, powinien był odnieść je Nentwigowi; najpierw wymusić świadectwo, a potem donieść to nieprzyzwoitość. Ale już się stało, a bez świadectwa trudno by było dostać posadę w Środkoworeńskiej Żegludze – nie pozostawałoby mu nic innego jak tylko wrócić do Steinberga. I wyobraził sobie, że za wykrycie oszustwa szef da mu stanowisko Nentwiga, który tymczasem będzie musiał gnić w więzieniu. Ba, ale jeśli szef sam maczał palce w tych świństwach? Wtedy za sprawą policyjnego dochodzenia wszystko weźmie w łeb. Wtedy firma padnie i nie będzie już miejsca dla buchaltera. A w gazecie napiszą o „zemście zwolnionego urzędnika”. I w końcu jego będą podejrzewali, że wiedział o sprawie. A wtedy ani by nie dostał świadectwa, ani by nie znalazł posady gdzie indziej. Esch ucieszył się, że z taką przenikliwością wyciągnął wszystkie wnioski, ale był wściekły. – Parszywy chlew – przeklinał pod nosem. Stał na Ringu przed operą, kłął pod wiatr, który sypał mu w oczy zimnym kurzem, wahał się i wreszcie postanowił sprawę odłożyć; jeśli nie dostanie posady w Żegludze, to zawsze jeszcze zdąży zabawić się w Nemezis. Szedł w wieczornym zmierzchu, schowawszy ręce do kieszeni wytartego palta, właściwie tylko dla formy dotarł do prezydium policji. Tam obserwował wartownika, a że zajechał ambulans z więźniami, poczekał, aż wszyscy wysiądą, i poczuł się zawiedziony, gdy policjant na koniec zatrzasnął drzwiczki ambulansu, a Nentwig się nie ukazał. Postać jeszcze parę chwil, po czym definitywnie zawrócił i ruszył w stronę Alter Markt. Obie podłużne bruzdy, znaczące jego policzki, pogłębiły się. – Falszywin, octolej – sarkał pod nosem. I markotny i niezadowolony z powodu zatrutego zwycięstwa musiał znowu się upić i przespać z dziewczynką.

W brązowej jedwabnej sukni, którą zwykle wkładała dopiero na wieczór, pani Hentjen spędziła popołudnie u przyjaciółki i oto ogarnął ją znajomy gniew, gdy wracając z odwiedzin znów zobaczyła przed sobą ten dom i ten lokal, w którym już tak długo była zmuszona pędzić życie. Pewnie, prowadząc gospodę można było coś sobie odłożyć i kiedy przyjaciółki podziwiała ją i wychwalały za pracowitość, pojawiało się niewielkie uczucie zadowolenia, które wynagradzało niejedno. Ale czemu nie miała raczej sklepu z bielizną albo pracowni gorseciarskiej czy salonu fryzjerskiego dla pań zamiast co wieczór przestawać z tymi pijanymi facetami! Gdyby nie krępował jej gorset, zatrząsłaby się z odrazy na widok swego domu: tak bardzo nienawidziła mężczyzn, którzy w nim bywali i których musiała obsługiwać. Aczkolwiek chyba jeszcze bardziej nienawidziła kobiet, które wciąż były takie głupie i uganiały się za mężczyznami. Nie, ani jedna z jej przyjaciółek nie należała do tych bab, co to trzymają z mężczyznami, poufała się z tymi kreaturami, oddają się im jak suki. Wczoraj na podwórzu przyłapała dziewczkę kuchenną z chłopakiem i jeszcze teraz przyjemnie swędziła ją ręka, którą wymierzała policzki: miała wielką ochotę powtórnie dobrać się dziewczyninie do skóry. Nie, kobiety były chyba nawet wstrętniejsze od mężczyzn. Najbardziej jeszcze lubiła swoje kelnerki i wszystkie ladacznice, które zmuszone do sypiania z mężczyznami gardziły nimi: z tymi kobietami rozmawiała chętnie i długo, wysłuchiwała z detalami ich historii, pocieszała i dogadzała, żeby im zrekompensować cierpienia. Toteż praca w gospodzie matki Hentjen miała duże wzięcie, dziewczyny widziały w niej coś, o co warto zabiegać i co ze wszystkich sił trzeba utrzymać. A matkę Hentjen cieszyło takie przywiązanie i miłość.

Na pierwszym piętrze mieściła się jej bawialnia: ogromna, z trzema oknami od ulicy, zajmowała całą szerokość domu nad gospodą i sienią; w głębi, tam, gdzie na dole stał bufet, izba tworzyła coś w rodzaju alkowy, oddzielonej zaciągniętą jasną zasłoną. Uniósłszy zasłonę można było, skoro wzrok przywykł do ciemności, dostrzec małżeńskie łoża. Ale pani Hentjen nie używała tego pomieszczenia i nikt nie wiedział, czy było ono używane kiedykolwiek przedtem. Pokój takich rozmiarów daje się ogrzać tylko z dużym trudem i przy znacznych kosztach, nie można więc było mieć za złe pani Hentjen, że na salon i sypialnię wybrała mniejszą izbę nad kuchnią, natomiast zaciemnioną salę i jej lodowate zimno wykorzystywała do przechowywania łatwo psujących się produktów. Składowała tam również orzechy, kupowane zazwyczaj na jesieni: leżały rzadką warstwą na podłodze, po której biegły na krzyż dwa szerokie zielone pasy linoleum.

Pani Hentjen, jeszcze pełna gniewu, przysła do pokoju, żeby na wieczór znieść kielbasę do lokalu, a że człowiek zagniewany bywa nieuważny, wpadła pomiędzy orzechy, które potoczyły się sprzed jej stóp z denerwująco ostrym hałasem. Kiedy na dodatek jeden rozdeptała, jej gniew wzmógł się – żeby nie powiększać straty, podniosła orzech i ostrożnie wydobywała jądro z rozgniecionej łupiny, wkładając do ust białe okruchy z gorzką brązowożółtą skórką, a jednocześnie wrzaskliwie przywoływała dziewczkę kuchenną; bezczelne ścierwo w końcu usłyszało, potykając się na schodach wlaźło na górę i zostało powitane stekiem bezładnych wyzwisk: naturalnie, zadawanie się z chłopakiem i podkradanie orzechów pasuje do siebie jak ulał – orzechy leżały pod oknem, a teraz wpada się na nie już przy drzwiach – z własnej woli nie przespacerowały się spod okna – zamierzyła się już do uderzenia, a dziewczynina skuliła się zasłaniając ramieniem, ale wtedy pani Hentjen poczuła w ustach łupinę orzecha i tylko pogardliwie splunęła; potem zeszła do lokalu, a za nią podążyła zapłakana dziewczynina.

Po wejściu do gospody, gdzie zalegał już gęsty tytoniowy dym, ogarnęło ją, jak prawie codziennie, owo trwożliwe odrętwienie, nad którym z niezrozumiałych względów trudno było zapanować. Podeszła do lustra i machinalnie obmacała jasnowłosą bryłę cukru na swej głowie, wygładziła suknię i dopiero upewniwszy się, że wygląda korzystnie, odzyskała spokój. Dostrzegała teraz wśród gości znajome twarze i choć na napojach lepiej się zarabiano niż na potrawach, była bardziej rada z tych, co jedli, niż z pijaków. Ruszyła z za bufetu ku stolikom i pytała, czy smakuje. I z pewnym uszcześliwieniem przywoływała kelnerkę, kiedy gość zamawiał jeszcze jedną porcję. Tak, kuchnia matki Hentjen miała czym się pochwalić.

Geyring był już na sali; jego kule stały przechylone obok; mięso na talerzu pokrajał na małe kawałki i jadł mechanicznie, trzymając w lewej ręce jedną z owych socjalistycznych gazet, których cały plik zawsze wystawał mu z kieszeni. Pani Hentjen lubiła go, z jednej strony dlatego, że jako kaleka nie był prawdziwym mężczyzną, z drugiej zaś, że nie przychodził dla wrzasków, picia i dziewczyn, lecz jego praca wymagała pozostawania w styczności z marynarzami i robotnikami portowymi; a przede wszystkim lubiła go za to, że co wieczór spożywał posiłki w gospodzie i chwalił jej jadło. Przysiadła się do niego, p Esch już był? – spytał Geyring. – Dostał posadę w Środkoworeńskiej Żegludze, zaczyna od poniedziałku. – To pewnie pan mu załatwił, panie Geyring – powiedziała pani Hentjen.

– Nieee, matko Hentjen, jeszcze tak daleko nie zaszliśmy, żeby organizacja mogła załatwiać posady... nieee, daleko nam do tego... no, wszystko przed nami. Ale dałem Eschowi cynk. Czemu nie pomóc przyzwoitemu gościowi, nawet jeśli nie jest jednym z nas. – Matka Hentjen okazała niewielkie zainteresowanie: – Niechże pan je ze smakiem, panie Geyring, dostanie pan ode mnie jeszcze coś ekstra. – Poszła do bufetu i przyniosła na talerzu niezbyt grubo nakrojoną kielbasę, ozdobioną łydźką pietruszki. Geyring z wdzięcznością uśmiechnął się do niej pomarszczoną twarzą czterdziestoletniego dziecka, odsłaniając popsute zęby i pogłaskał jej białą, tłustawą dłoń, którą ona lekko drętwiejac natychmiast cofnęła.

Później zjawił się Esch. Geyring spojrział znad gazety i powiedział:

– Moje gratulacje, Auguście. – Dzięki – odparł Esch. – Więc już wiesz. Gładko poszło, od razu odpowiedzieli i zaangażowali. Bardzo dziękuję, że mi to poradzili. – Ale jego rysy pod krótką ciemną czupryną na jeża miały drewniany, pusty wyraz człowieka naburmuszonego. – Cała przyjemność po mojej stronie – oznajmił Martin, po czym zawołał w stronę bufetu: – Oto mamy naszego nowego pana rachmistrza. – Dużo szczęścia, panie Esch – odrzekła sucho pani Hentjen, potem jednak podeszła i podała mu rękę. Esch chcąc pokazać, że nie wszystko było zasługą Martina, wyciągnął z kieszeni na piersi swoje świadectwo: – Chyba nie poszłoby jak po maśle, gdyby Steinberg nie musiał mi wydać takiego porządnego świadectwa. – Podkreślił z naciskiem słowo „musiał” i dorzucił: – To świńska ferajna. – Pani Hentjen przeczytała dokument nieuważnym wzrokiem i powiedziała: – Piękne świadectwo. – Również Geyring przeczytał, kiwnął głową: – No cóż, Żegluga Środkoworeńska może być zadowolona z pozyskania tak pierwszorzędnej sity... teraz to naprawdę zażądam od prezesa Bertranda prowizji za pośrednictwo.

– Doskonały buchalter, doskonały, co? – chełpił się Esch.

– To przyjemnie móc o sobie coś takiego powiedzieć – potwierdziła pani Hentjen. – Na pewno jest pan teraz bardzo dumny, ma pan też wszelkie powody po temu. Zechce pan coś zjeść? – Naturalnie zechciał i podczas gdy pani Hentjen przyglądała się z ukontentowaniem, jak mu smakuje, opowiadał, że już rychło wyjedzie w górę Renu i że ma nadzieję dostać się do służby zamiejscowej; odbywałby wtedy podróże do Kehl i Bazylei. Z czasem dosiadło się kilku innych znajomych i pani Hentjen wycofała się. Z odrazą musiała stwierdzić, że ilekroć kelnerka Hede przechodziła koło stołu, Esch nie omieszkiał jej obmacać, a w końcu zmusił ją, żeby usiadła obok i piła z nimi. Ale rachunek był duży i kiedy panowie wyszli po północy zabierając ze sobą Hede, wetknęła jej jednomarkówkę.

Niemniej jednak Esch nie potrafił się cieszyć z nowej posady. Miał wrażenie, że kupił ją sobie za cenę zbawienia duszy, a przynajmniej za cenę przyzwoitości. Teraz, gdy sprawy zaszły tak daleko i on podjął już nawet w kolońskiej filii Środkoworeńskiej Żeglugi zaliczkę na podróż, znów ogarnęły go wątpliwości, czy nie powinien mimo wszystko złożyć doniesienia. Wszelako wówczas musiałyby być obecny przy dochodzeniach, nie mógłby wyjechać, a to by oznaczało zgola utratę posady. Przez chwilę myślał o tym, żeby rozwiązać sytuację z pomocą anonimowego listu, ale odrzucił ten pian: jednej nieprzyzwoitości nie można wymazać drugą. Na koniec irytowały go nawet własne wyrzuty sumienia; ostatecznie nie był małym dzieckiem, guzik go obchodziły klechy i moralność; naczytał się już różności i gdy Geyring ponownie zaproponował mu wstąpienie do partii socjaldemokratycznej, rzekł: – Nie, do was, anarchistów, nie pójdę, ale żeby ci choć w części dogodzić, może przystanę do wolnomyślicieli. – Niewdzięcznik odparł, że jemu to jest obojętne. Tacy są ludzie; cóż, Eschowi też mogło być obojętne.

W końcu zrobił rzecz najrozsądniejszą: wyjechał w terminie. Ale czuł się nieswojo, nie było ani śladu znajomej uciechy z podróżowania, bądź co bądź zostawiał w Kolonii część swego dobytku; zostawiał też rower. Jednakże zaliczka na podróż wprawiła go w nastrój szczodrości. I stojąc na mogunckim peronie, ze szklanką piwa w ręce, z biletem zatkniętym za wstążkę kapelusza, wspominał tych, co pozostali, chciał zrobić dla nich coś dobrego, a że właśnie przejeżdżał gazeciarz z wózkami, kupił dwie widokówki. Przede wszystkim Martin zasługiwałby na pozdrowienia; tylko że mężczyźni nie posyła się widokówek. Toteż najpierw napisał jedną do Hede; drugą przeznaczył dla matki Hentjen. Potem zastanawiał się, czy dla pani Hentjen, która miała przecież swoją dumę, nie będzie to obraźliwe, jeśli dostanie pocztówkę równocześnie z pracownicą, i że dzisiaj mu nie zależało, podarł pierwszą i wysłał tylko tę do matki Hentjen: z pięknej Moguncji serdecznie pozdrawia ją i wszystkich drogich przyjaciół i znajomych oraz panny Hede i Thusneldę. Po tym znowu poczuł się trochę samotnie, wypił drugą szklankę piwa i pojechał dalej do Mannheim.

Do pracy miał się zgłosić w biurze centralnym. Żegluga Środkoworeńska SA posiadała własny budynek niedaleko portu Mühlau, masywny gmach z kamienia z kolumnami przy bramie. Ulica przed nim była wyasfaltowana, dobra do jazdy na rowerze; była to nowa ulica. Ciężka, oszklona brama z kutego żelaza, która z pewnością poruszała się lekko i bezgłośnie, była na pół otwarta i Esch wszedł do środka; podobały mu się marmury w westybulu; nad schodami wisiała szklana tabliczka, na której przezroczystej powierzchni można było przeczytać złote litery napisu „Dyrekcja”. Ruszył wprost tam. Ledwie postawił nogę na pierwszym stopniu, usłyszał za plecami: – A dokąd to? – Odwróciwszy się zobaczył portiera w szarej liberii; błyszcząły na niej srebrne guziki, a czapka miała srebrną naszywkę. Wszystko to wyglądało bardzo ładnie, ale Esch zezłościł się: Co to faceta obchodzi? Powiedział krótko: – Mam się tu zgłosić – i chciał iść dalej. Tamten nie ustępował: – W dyrekcji? – A niby gdzie? – odrzekł szorstko Esch. Na pierwszym piętrze schody wychodziły na duży, mroczny hall. Pośrodku stał duży dębowy stół, wokół niego kilka wyściełanych krzeseł. Niewątpliwie było bardzo wytwornie. Znowu pojawił się ktoś ze srebrnymi guzikami i zapytał, czego Esch sobie życzy. – Idę do dyrekcji – powiedział Esch. – Panowie są na posiedzeniu rady nadzorczej – odrzekł woźny. – To coś ważnego? – Chcąc nie chcąc Esch musiał wyjawić sprawę; wyciągnął swoje papiery, pismo angażujące, polecenie wypłacenia zaliczki na podróż. – Mam też ze sobą parę świadectw – oznajmił i chciał okazać świadectwo Nentwiga. Był nieco rozczarowany, że tamten nawet nie spojrział: – Z tym to nie ma pan tu czego szukać... na parterze korytarzem i do drugich schodów... dowie się pan na dole. – Esch postać chwilę; nie chciał pozwolić woźnemu na triumf, spytał jeszcze raz: – Więc to nie tutaj? – Woźny już się obojętnie odwrócił: – Nie, tu jest sekretariat prezesa. – W Eschu wezbrał gniew; ci to puszą się swoim prezesem, wyściełanymi meblami i służbą w srebrze; Nentwig chciałby się czegoś takiego dochrapać; no, taki prezes to pewnie nie za bardzo różni się od jakiegoś Nentwiga. Ale rad nie rad Esch musiał przystąpić do odwrotu. Na dole stał portier. Esch popatrzył na niego, czy nie zrobi złośliwej miny; tamten jednak spoglądał całkowicie obojętnie, więc Esch powiedział:

– Muszę iść do biura przyjąć – a portier wskazał mu drogę. Po dwóch krokach Esch zawrócił, wskazał kciukiem schody wiodące na górę: – Jak się nazywa ten tam, wasz prezes? – Prezes von Bertrand – odparł portier, a w jego głosie pobrzmiwał pewien respekt. I Esch powtórzył również z odrobiną respektu: – Prezes von Bertrand. – Musiał już kiedyś słyszeć to nazwisko.

W biurze przyjąć dowiedział się, że będzie pracował w magazynie portowym. Gdy wyszedł na ulicę, przed gmachem stał powóz. Było zimno; przy krawężnikach i w załomach ścian leżał zmieciony przez wiatr syпки śnieg; jeden z koni walił kopytem w gładki asfalt. Był najwidoczniej zniecierpliwiony i to słusznie. Pan prezes to się bez powozu nie ruszy, powiedział sobie Esch, a tacy jak my mogą sobie chodzić pieszo. Ale mimo wszystko podobało mu się to i był zadowolony, że znalazł tu dla siebie miejsce. Było to przecież zwycięstwo nad Nentwigiem.

W magazynach Żeglugi Środkoworeńskiej urzędował za szklanym przepierzeniem znajdującym się na końcu długiej szopy. Obok jego biurka stało biurko celnika, a za nim żarzył się żelazny piecyk. Jeśli praca przestawała cieszyć albo człowiek czuł się znów osamotniony i opuszczony, to przy wagonach i pracach załadunkowych zawsze było coś do roboty. W najbliższych dniach miało dojść do wznowienia żeglugi i przy łajbach wrzał ruch. Były dźwigi, które obracały się i opuszczały, jak gdyby chcąc ostrożnie wydziobać jakieś rzeczy z wnętrza kadłubów, i były takie, które sterczały nad wodą jak rozpoczęte i nie dokończone mosty. Dla Escha naturalnie nie było to niczym nowym, bo w Kolonii wyglądało podobnie, ale tam długi szereg magazynów był czymś zwyczajnym, czymś, czego człowiek nie przyjmował do wiadomości, i gdyby kiedykolwiek musiał zastanowić się nad nimi, to uznałby budowle, dźwigi, rampy za rzecz zgoła bezsensowną, służącą pewnie jakimś

niewytłumaczalnym ludzkim potrzebom. Teraz wszakże, kiedy sam tkwił pośród tego, wszystkie te urzędnictwa stały się naturalne i sensowne, a to przynosiło ulgę. Podczas gdy przedtem co najwyżej dziwił się, niekiedy nawet irytował, że istniało tyle firm spedycyjnych i że jednakowe szopy na terenach nadbrzeżnych były opatrzone różnymi szyldami, obecnie poszczególne przedsiębiorstwa stały się indywidualnymi i indywidualnościami, rozpoznawanymi po osobach grubych i chudych magazynierów, opryskliwych i jowialnych dozorców. Również wywieszki Cesarsko-Niemieckiego Urzędu Celnego przy wejściu na ogrodzony teren portu podnosiły na duchu: uświadamiały, że wkracza się na obcą ziemię. W tym azylu towarów, które można tu było składować bez oclenia, wiodło się życie skrępowane i zarazem swobodne, za żelaznymi sztachetami obszaru celnego oddychało się powietrzem pogranicza. I choć Esch jeszcze nie nosił munduru, będąc niejako tylko urzędnikiem prywatnym, to w tym przedstawianiu z celnikami i kolejarzami stawał się osobą wręcz urzędową, gdyż ponadto miał w kieszeni legitymację, z którą mógł bez przeszkód krążyć po terenie, witany już przez wartowników przy głównej bramie uprzejmym salutowaniem. Tak, wtedy człowiek salutowuje w odpowiedzi, dużym łukiem odrzuca papierosa, aby przestrzegać wywieszzonego wszędzie zakazu palenia, i jako przykładnie nie palący, gotów w każdej chwili ofuknąć mijanych cywilów za ewentualne wykroczenie przeciwko przepisom, długimi, ciężkimi krokami udaje się do biura, gdzie magazynier położył już spisy na biurku. Potem wkłada szare wełniane rękawiczki z obciętymi palcami, bo w przeciwnym razie w szarym, pełnym kurzu zimnie szopy ręce by mu zgrabiwały, bierze spisy w garść i kontroluje ułożone w stosy skrzynie i bele. Jeśli jakaś skrzynia się zawieruszy, to on nie omieszka spojrzeć karcąco albo też niecierpliwie na magazyniera, do którego obowiązków należy układanie, aby ten odpowiednio rugnął robotników magazynowych. A kiedy później za szklane przepierzenie dokonując obchodu wejdzie celnik, pochwali ciepło rozżarzonego piecyka, rozepnie kołnierz bluzy munduru i wśród błogich jęków z uniesionymi rękami ziewając rozpięra się na krześle, spisy są już sprawdzone i przeniesione do kartoteki, a kontrola nie jest ostra, bo obaj mężczyźni siedząc obok siebie przy biurku spokojnie omawiają ostatni transport. Potem funkcjonariusz niebieskim ołówkiem i znajomym zawijaszem zatwierdza spis, zabiera kopię, zamyka ją w swoim biurku i jeśli to im odpowiada, idą razem do kantyny.

Tak, Esch dokonał dobrej zamiany, chociaż dołożyła się do tego także sprawiedliwość. Często musiał myśleć o tym – i tylko tej jednej rzeczy brakowało mu do pełnego zadowolenia – czy jednak nie znalazłby się sposób na złożenie – jak to nakazywała powinność – doniesienia; bo dopiero wtedy wszystko byłoby w porządku.

Inspektor celny Baltazar Korn pochodził z bardzo prozaicznej części Niemiec. Urodził się na pograniczu kultury bawarskiej i saskiej i młodzieńcze wrażenia chłonał w pagórkowatym mieście Hof w Bawarii. Jego skłonności oscyływały między przyziemnym grubiaństwem a przyziemną chciwością, a doszedłszy w czynnej służbie wojskowej do stopnia feldfebla Korn pochwycił okazję, jaką przezorne państwo daje wiernym żołnierzom, i przeszedł do służby celnej. Nieżonaty mieszkał ze swą również niezamężną siostrą Erną w Mannheim, a że stojąca w jego mieszkaniu pustką izba od podwórza była mu solą w oku, nakłonił Augusta Escha do rezygnacji z kosztownego pokoju w gospodzie i do taniego zakwaterowania się u niego. I aczkolwiek nie w pełni akceptował Escha, gdyż ten jako Luksemburczyk nie mógł się wykazać służbą w wojsku, to jednak byłby nie od tego, żeby nie tylko wynajmować Eschowi izbę, ale i wydać za niego siostrę; nie szczędził odnośnych aluzji, na które podstarzała panna reagowała zawstydzonym i chichoczącym wzbranianiem się. Ba, posuwał się nawet do wystawiania na szwank dobrej reputacji siostry, bo w kantynie nie krępował się przy wszystkich nazywać Escha „panem szwagrem”, tak iż każdy musiał sądzić, że tak nazywany sublokator dzieli już łożo swojej gospodyni. Wszelako Korn nie czynił tego bynajmniej tylko dla udanego żartu, lecz chciał po części przez uporczywe osvajanie z tą myślą, po części

przez nacisk opinii zmusić Escha do zamiany fikcyjnego życia, w którym go takim sposobem lokował, na solidną rzeczywistość.

Esch dość chętnie przeprowadził się do Korna. Choć tyle się już natulał, tym razem czuł się opuszczony. Może to była wina numerowanych mannheimskich ulic, może brakowało mu zapachu gospody matki Hentjen, może nurtowała go jeszcze historia z tym szubrawcem Nentwigiem, krótko mówiąc czuł się samotny i trzymał się rodzeństwa, trzymał się, mimo że dawno zwietrzył, o co Komom szło, trzymał się, mimo że ani myślał zadawać się z tą starszawą osobą: nie zrobiła na nim wrażenia obfitość wyprawnej bielizny, którą Erna zgromadziła z biegiem lat i którą mu pokazała z pewną dumą, nie podniecała go też książeczka oszczędnościowa z dwoma tysiącami marek, do której kiedyś pozwoliła mu zajrzeć. Ale wysiłki Korna, żeby zwabić go w pułapkę, były tak zabawne, że warto było dla nich coś zaryzykować, naturalnie mając się na baczności i nie dając się wystrychnąć na dudka. Kilka przykładów: ilekroć przed wspólnym powrotem do domu spotykali się w kantynie, Korn z reguły stawiał mu piwo; a kiedy już zdrowo napsioczyli na bylejąkość mannheimskiego sikacza, Korn upierał się, żeby zaszli jeszcze do piwiarni Spatena. Jeśli potem pan Esch spiesznie sięgał do kieszeni, to Korn znów go powstrzymywał: – Jeszcze mi się pan zrewanżujesz, panie szwagier. – A gdy potem wlekli się przez Rheinstrasse, pan inspektor celny przystawał akurat przed oświetlonymi wystawami i kładł łapę na ramieniu Escha: – O takiej parasolce moja siostra marzy już dawno; kupię jej na imieniny. – Albo: – Takie żelazko na gaz powinno być w każdym domu. – Albo: – Jak by moja siostra miała pralkę, to bym się cieszył. – A że Esch nic na to nie odpowiadał, Korn wybuchał taką złością jak kiedyś do rekrutów, którzy ani rusz nie mogli zrozumieć, jak się rozbiera karabin, a im bardziej milczący szedł Esch obok niego, tym większą złość budziła w grubym Kornie bezczelna mina, jaką przy tym przybierał sublokator.

A Esch milkł w takich wypadkach bynajmniej nie ze skąpstwa. Bo chociaż był oszczędny i chętnie chwycił drobne korzyści, to jednak solidna i sumienna buchalteria jego duszy nie pozwalała przyjmować towaru bez zapłaty; przysługa wymaga odwzajemnienia, towar dopomina się o zapłatę; wszelako za zbyteczne uznawał dokonywanie pochopnych zakupów, ba, uleganie bezceremonialnym wezwaniom Korna wydawałoby mu się wręcz prostackie i gruboskórne. Toteż na razie obmyślił sobie osobliwy sposób rewanżu, który pozwalał jakoś tam dogadzać Kornowi, a jednocześnie wskazywał, że nie śpieszno mu do żeniaczki; po kolacji zwykł był zapraszać Korna na małą przechadzkę, która wiodła do knajp z damską obsługą i nieuchronnie kończyła się dla obu na ulicach o tak zwanej złej sławie. Wspólne pijaństwo – chociaż Korn musiał sam zapłacić swojej dziewczynce – kosztowało nieraz kupę forsy, jednakże wszystkich pieniędzy wart był widok Korna, jak potem w drodze powrotnej kroczył obok niego z naburmuszoną miną, z potarganymi czarnymi krzaczastymi wąsami, często przygryzając je i zrzędząc, że trzeba wreszcie skończyć z takim rozwiązłym życiem, w jakie Esch go wciąga. A poza tym nazajutrz Korn był zawsze tak źle usposobiony do siostry, że bez ceregieli urażał jej najczulsze uczucia, wyrzucając jej, że nigdy jej się nie uda przywiązać do siebie mężczyzny. A kiedy potem ona jazgocząc wyliczała, ileż to razy tego dokonywała, on z lekceważącą uwagą wskazywał na jej wolny stan.

Któregoś dnia Eschowi udało się w przeważającej mierze spłacić dług. W trakcie wędrowki po magazynach spedycyjnych jego czujną uwagę przykuły niezwykle w kształcie skrzynie i elementy wyposażenia teatralnego, które akurat załadowywano. Obok stał gładko ogolony pan i zachowywał się nerwowo, krzyczał, że jego drogocenne mienie, które ma niezmierną wartość, traktuje się tak brutalnie, jakby to było drzewo na opal, a że Esch, który przypatrywał się z poważną miną znawcy, udzielił robotnikom magazynowym jakiejś zbytecznej rady i tym sposobem dał niedwuznacznie do zrozumienia, że ów pan powinien w nim dostrzec osobistość fachową, skierował na siebie niemały potok słów nieznanego i

wkrótce wywiązała się między nimi przyjazna rozmowa; w jej toku gładko ogolony pan uchylając kapelusza przedstawił się jako dyrektor Gernerth, Gernerth przez th, i nowy dzierżawca teatru Talia, dla którego byłoby szczególną przyjemnością – tymczasem prace załadunkowe się skończyły – gdyby pan inspektor spedycyjny wraz ze swą szanowną rodziną zechciał przyjść na świetne przedstawienie inauguracyjne, zwłaszcza że on chętnie udostępni mu zaraz bilety po niżkowej cenie. A gdy Esch z radością obiecał, że przyjdzie, dyrektor sięgnął nawet do kieszeni i raz-dwa wypisał zlecenie na trzy karty wolnego wstępu.

I oto Esch siedział z rodzeństwem Kornów przy nakrytym białym stole w teatrze rewiowym, którego program zapoczątkowała nowa atrakcja, ruchome, tak zwane kinematograficzne obrazy. Te obrazy zarówno u nich jak i u pozostałej publiczności nie zyskały co prawda wielkiego uznania, gdyż wydawały się tylko niepoważnym przejściem do bardziej soczystych przyjemności, jednakże mimo to wszystkich zafascynowała ta nowoczesna forma sztuki, kiedy pokazano komedię, która przedstawiała komiczne skutki działania pigułek przeczyszczających, a momenty krytyczne były podkreślane biciem w bęben. Korn walił dłonią w stół, aż dudniło, panna Erna śmiała się zasłaniając usta i filuternie spoglądała ukradkiem przez palce na Escha, a Esch był dumny, jak gdyby to on sam wymyślił i ułożył ten udany spektakl. Dym ich cygar wzbijał się w górę i mieszał z tytoniową chmurą, która niebawem kłębiła się pod niskim sufitem sali, przeciętym srebrzyście smugą reflektora oświetlającego scenę z galerii. W przerwie, która nastąpiła po występach artysty popisującego się gwizdaniem, Esch zamówił trzy szklanki piwa, choć w drogim lokalu teatralnym kosztowało to znacznie więcej niż gdzie indziej, był jednak zadowolony, gdy okazało się zwietrzałe i mdłe, tak że postanowili wstrzymać się z dalszymi zamówieniami i po przedstawieniu napić się u Spatena. Znowu wpadł w nastrój szczodrości i podczas gdy primadonna wykonywała ogniste i smętne pienia, powiedział aluzyjnie: – Ach, ta miłość, panno Erno. – Lecz gdy po brawach, którymi ze wszystkich stron hojnie obdarzono śpiewaczkę, kurtyna ponownie poszła w górę, na scenie zaśniło jakby srebrem od poniklowanych stoliczków oraz innych niklowych przyborów żonglera. Na czerwonym aksamicie, którym stojaki były częściowo zawieszzone, częściowo przykryte, spoczywały kule i butelki, chorągiewki i maczugi, a także duży stos białych talerzy. Na spiczasto zakończonym drabinie, sporządzonej również ze lśniącego niklu, wisały ze dwa tuziny sztyletów, a ich długie ostrza błyszcząły nie mniej niż wszystek polerowany metal dokoła. Żonglera w czarnym fraku wspierała pomocnica, którą najwidoczniej wziął ze sobą tylko po to, żeby pokazać publiczności jej wielką urodę, a i lśniący trykot, jaki miała na sobie, służył chyba jedynie temu celowi, bo jej wyłącznym zajęciem było podawanie żonglerowi talerzy i chorągiewek bądź rzucanie mu ich w trakcie ćwiczenia, ilekroć tego żądał klaszcząc w dłonie. Wykonywała to zadanie z wdzięcznym uśmiechem, a rzucając mu maczugę wydawała krótki, cudzoziemsko brzmiący okrzyk, może chcąc ściągnąć na siebie uwagę swego władcy, może też zebrząc w ten sposób o odrobinę miłości, której okrutnik jej nie okazywał. I aczkolwiek powinien był właściwie wiedzieć, że przez swą nieczułość naraża się lekkomyślnie na utratę sympatii tłumu, nie zaszczycił piękności ani jednym spojrzeniem i tylko kiedy należało podziękować za oklaski, robił w stronę pomocnicy niedbały gest sugerując, że pozostawia jej parę procent braw. A potem idzie w głąb sceny i przyjaźnie, jak gdyby dopiero co wcale jej nie uchybił, przynoszą razem dużą czarną tablicę, która czekała tam przez nikogo nie zauważona, taszczą ją do czekającego niklowego rusztowania, ustawiają i przymocowują do stojaka. Następnie, zagrzewając się nawzajem ściszonymi okrzykami i uśmiechami, przesuwać ustawioną już pionową czarną tablicę do rampy i drutami, które pojawiają się nagle, przytwierdzają do podłogi i do kulis. Ledwie to z wielkim przejściem zrobili, piękna pomocnica znów wydaje krótki okrzyk i podskakuje ku tablicy, która jest tak wysoka, że ona wyprostowanymi rękami z trudem sięga do jej górnej krawędzi. Teraz też widać, że tam u góry umieszczone są na tablicy dwa uchwyty, i pomocnica, oparta już plecami o tablicę, łapie

je i ta trochę wymuszona i sztuczna poza nadaje jej sylwetce, w błyszczącym, naszywanym cekinami kostiumie odcinającej się ostro od czerni tablicy, wygląd ukrzyżowanej. Mimo to nadal uśmiecha się ona swym ujmującym uśmiechem, nawet jeszcze w tej chwili, gdy mężczyzna, który przyglądał się jej mocno zmrużonymi oczami, podchodzi i zmienia jej ustawienie co prawda nieznacznie, ale przecież tak, że każdy zauważa, iż chodzi tutaj o najdrobniejszy milimetr. Wszystko to odbywa się przy cichych dźwiękach walca, który wkrótce milknie na lekki znak żonglera. Na sali zrobiło się zupełnie cicho; niezwykła samotność, pozbawiona wszelkiej muzyki, zaległa na scenie, kelnerom nie wolno podawać do stołowania potraw, ani piwa, stoją, sami w wielkim napięciu, przy żółto oświetlonych drzwiach w głębi; kto zabrał się do jedzenia, ten odkłada widelec z nadzianym jeszcze kęsem z powrotem na talerz i tylko reflektor, skierowany przez oświetlacza wprost na ukrzyżowaną, brzęczy dalej. A żongler już wypróbował jeden z długich sztyletów w morderczej dłoni; odchyła się w tył i to on wydaje teraz chrapliwy, egzotyczny okrzyk, gdy nóż świszcząc wylatuje z jego dłoni, mknie przez scenę i z głuchym uderzeniem wbija się obok ciała ukrzyżowanej dziewczyny w czarne drewno. Nim się człowiek spodzieje, on ma już obie ręce pełne mieniących się sztyletów i podczas gdy jego okrzyki następują po sobie coraz prędzej, są coraz bardziej zwierzęce, ba, coraz bardziej ogniste, noże w coraz szybszym rytmie świszczą w drżącym powietrzu sceny, z coraz większym impetem wbijają się w drewno, obramowują szczupłe ciało, delikatne nagie ramiona, obramowują twarz, która wciąż jeszcze się uśmiecha, zdrętwiała i pokonana, zalotna i wyzywająca, śmiała i zarazem zatrwożona. Esch sam by wręcz wznosił ręce ku niebu, sam dałby się ukrzyżować, pragnąłby osłonić delikatną dziewczynę, własnym ciałem wyłapywać niebezpieczne noże, i gdyby żongler, jak to się zwykle zdarza, zapytał, czy któryś z panów wśród publiczności ma ochotę wejść na scenę, aby stanąć przed czarną tablicą, to doprawdy Esch by się zgłosił. Tak, była to dla niego myśl zgoła rozkoszna, że stoi tam sam jeden, opuszczony i że długie noże mogą go przyszpilić do tablicy jak chrząszcza, ale wtedy, poprawił się, musiały stać twarzą do tablicy, bo żadnego chrząszcza nie przyszpiliła się od strony brzucha: myśl, że byłby zwrócony ku ciemności tablicy, nie wiedząc, kiedy śmiertcionośny nóż nadleci z tyłu, aby przebić mu serce i przyszpilić, miała tak niezwykły i tajemniczy powab, że ocknął się jakby z błędnego snu, gdy orkiestra biciem w bębny i kotły oraz fanfarami uczciła żonglera, który zwycięsko posłał ostatni nóż, a tymczasem dziewczyna wyskoczyła z dopełnionego już obramowania i oboje w symetrycznym piruecie, trzymając się za ręce i wolnymi ramionami wykonując koliste ruchy, kłaniali się odprężonej publiczności. Były to fanfary sądu. Winowajcę rozdepcze się jak robaka; czemu nie miałyby się go przyszpilić jak chrząszcza? Czemu śmierć zamiast kosa nie miałyby nosić długiej szpilki, a przynajmniej lancy? Wciąż czekamy, że zbudzą nas na sąd, bo choćby człowiek bliski był wstąpienia do stowarzyszenia wolnomyślicieli, to mimo wszystko ma swoje sumienie. Usłyszał, jak Korn mówi: – To było wspaniałe – i te słowa zabrzmiały jak bluźnierstwo; a kiedy panna Erna zgoła stwierdziła, że gdyby ją ktoś zapytał, to ona nie chciałaby się pokazywać tak nago i na oczach wszystkich pozwalać się obrzucać nożami, tego już Eschowi było za wiele i w najwyższym stopniu niedelikatnie odepchnął kolano Erny, które dotykało jego kolana; takim ludziom nie należy pokazywać czegoś lepszego; ci ludzie to przybłędy bez sumienia i wcale mu nie imponowało, że panna Erna co chwila biegła do spowiedzi, wydawało się raczej, że to jego kolońscy przyjaciele żyli stateczniej i przyzwoiciej.

U Spatena Esch w milczeniu popijał ciemne piwo. Przyszedł tu z uczuciem, które można by było nazwać po prostu tęsknotą. Zwłaszcza że przybrało postać widokówki do matki Hentjen. To, że Erna zechciała się dopisać, „serdeczne pozdrowienia Erna Korn”, było oczywiste, ale że napał się również Baltazar i pod swoim „ukłony Korn insp. celny” mocną ręką nakreślił końcowy zawijas, to stanowiło swego rodzaju hołd dla pani Hentjen i nastroiło Escha tak łagodnie, że zatracił pewność siebie: czy rzeczywiście w całej rozciągłości wypełnił

powinność przyzwoitego rewanżu? Właściwie dla zwieńczenia uroczystości powinien by był zakraść się pod drzwi Erny i gdyby jej przedtem tak niedelikatnie nie odtrącił, zastałby je z pewnością nie zamknięte na klucz. Cóż, tak chyba powinno wyglądać właściwe i stosowne zakończenie, wszelako on nie podejmował nic, aby do niego doprowadzić. Owładnął nim swoisty paraliż, nie dbał już o Ernę, nie szukał jej kolana i nie wydarzyło się nic, ani w drodze powrotnej, ani później. Gdzieś tam doskwierało nieczyste sumienie, lecz potem August Esch skonstatował, że bądź co bądź wykosztował się dostatecznie i że gdyby zbyt zakręcił się koto panny Erny, mogłoby to nawet pociągnąć za sobą niedobre skutki: czuł nad sobą przeznaczenie, które uniosło lancę do wymierzenia grożącej kary, gotowe uderzyć, gdyby on nadal zachowywał się jak Świnia, i czuł, że musi komuś pozostać wierny, tylko nie wiedział komu.

Podczas gdy Esch czuł jeszcze klucie sumienia w plecach, tak wyraźnie, że już sądził, iż go zawiąło od zimnego przeciągu, i wieczorem natarł plecy, jak daleko zdołał sięgnąć, ostrym płynem, matka Hentjen cieszyła się z obu widokówek, jakie do niej napisał, i zanim powędrowały na ostateczne przechowanie do albumu z pocztówkami, wetknęła je w ramę lustra za bufetem. Wieczorem wyjęła je i pokazała stałym bywalcom. Może zrobiła to także dlatego, by nikt nie mógł jej posądzić, że z jakimś mężczyzną prowadzi potajemną korespondencję: jeśli puściła widokówki w obieg, to były one skierowane już nie do niej, ale do gospody, którą ona tylko przypadkiem uosabiała. Toteż dogadzało jej, że odpowiedzią zajął się Geyring, wszelako nie dopuściła, by koszty spadły na pana Geyringa, i następnego dnia sama kupiła nadzwyczaj piękną, tak zwaną panoramiczną widokówkę, która będąc trzykrotnie dłuższa od zwykłej pocztówki ukazywała całą Kolonię w pełnym wymiarze jej ciemnoniebieskiego nadreńskiego brzegu i miała bardzo dużo miejsca na podpisy. U góry napisała: „Serdeczne podziękowania za piękne kartki przesyła matka Hentjen”. Potem Geyring przywołał „najpierw panie” i podpisały się Hede i Thusnelda. A po nich następowały nazwiska Wilhelma Lassmanna, Brunona Maya, Hoelsta, Wrobka, Htilsensmitta, Johna, następowało nazwisko angielskiego montera Andrewa, sternika Wingasta i na koniec po kilku innych, które nie zawsze dało się odcyfrować, nazwisko Martina Geyringa. Potem Geyring napisał adres: „Pan August Esch, obec. starszy buchalter, magazyn spedycyjny Żegluga Sr, SA, Mannheim” i wręczył gotowy produkt pani Hentjen, a ta po uważnym przeczytaniu otworzyła szufladę kasy, aby z drucianego koszyczka, w którego szerszej przegródce leżały banknoty, wyjąć znaczek pocztowy. Ogromna widokówka z wieloma podpisami wydała się jej teraz zgoła zbyt dużym uhonorowaniem Escha, który przecież wcale nie zaliczał się do znakomitych bywalców gospody. Lecz że we wszystkim, co robiła, dążyła do wielkiej doskonałości, a na obszernej karcie pozostało jeszcze tyle pustego miejsca, iż nie tylko raziło to jej poczucie piękna, ale dawało też pożądaną okazję usadzenia Escha przez wypełnienie pustego miejsca nazwiskiem niższego stanu, chcąc, żeby dziewczka się podpisała, matka Hentjen zaniósła pocztówkę do kuchni, podwójnie zadowolona, bo mogła tym sposobem i dziewczce sprawić tanią przyjemność.

Kiedy wróciła do lokalu, Martin siedział na swoim zwykłym miejscu w kącie koło bufetu, pogrążony w lekturze jednej ze swych socjalistycznych gazet. Pani Hentjen przysiadła się do niego i jak to często bywało, powiedziała żartem: – Panie Geyring, jeszcze pan zepsuje opinię mojej gospodzie, jak będzie pan tu stale czytał te swoje wichrzyielskie gazety. – Mnie samemu ci gazetowi pismacy działają na nerwy – brzmiała odpowiedź. – My to możemy tyrać, a oni wypisują brednie. – Pani Hentjen znów była z lekka rozczarowana Geyringiem, bo raz za razem oczekiwała od niego wywrotowych i pełnych nienawiści wypowiedzi, którymi mogłaby się sycić jej własna odraza do świata. Zaglądała czasami do socjalistycznych gazet, jednakże to, co w nich znajdowała, wydawało się jej zwykle dość potulne, miała więc nadzieję, że słowo żywe przyniesie jej więcej niż drukowane. Tym

sposobem z jednej strony była usatysfakcjonowana, że Geyring też miał pismaków za nic, jak w ogóle zawsze jej odpowiadało, kiedy ktoś tam miał kogoś innego za nic, z drugiej strony jednak był jej winien to, czego oczekiwała. Nie, na tego anarchistę nie można liczyć, na kogoś takiego, co siedzi w swoim związkowym biurze, nie inaczej niż feldfelbel policji w komisariacie, i pani Hentjen utwierdziła się w mocnym przekonaniu, że cały świat jest tylko grą u kartowaną przez mężczyzn, ułożoną po to jedynie, żeby szkodzić kobietom i przynosić im rozczarowania. Podjęła jeszcze jedną próbę: – Co panu nie pasuje w tych pańskich gazetach, panie Geyring? – Podnoszą głupią wrzawę – mruknął Martin – zawracają naszym w głowie swoim rewolucyjnym gadaniem, a potem my musimy ponosić konsekwencje. – Pani Hentjen nie bardzo rozumiała; zresztą już jej to nie interesowało. Raczej z grzeczności westchnęła: – Cóż, nie jest łatwo. – Geyring przewrócił stronę i powiedział roztargniony: – Tak, nie jest łatwo, matko Hentjen. – I taki człowiek jak pan, ciągle na nogach, ciągle niezmordowany od wczesnego ranka do późnego wieczora... – Geyring odrzekł wręcz zadowolony: – Dla takich jak my długo jeszcze nie będzie ośmiogodzinnego dnia pracy. Najpierw dojdą do tego wszyscy inni... – I takiemu człowiekowi rzuca się kłody pod nogi. – Pani Hentjen ze zdziwieniem potrząsnęła głową, a potem rzuciła okiem na swoją fryzurę w lustrze za bufetem. – W Reichstagu i w prasie to panowie Żydzi potrafią gardłować – powiedział Geyring – ale migają się od pracy związkowej. – To pani Hentjen zrozumiała; urażona dorzuciła: – Wszędzie sobie siedzą, mają masę pieniędzy i na każdą kobietę rzucają się jak capy. – Wyraz zastygłego wstrętu znowu zagościł na jej twarzy; Martin uniósł wzrok znad gazety i musiał się uśmiechnąć: – Nie będzie aż tak źle, matko Hentjen. – O, to może teraz pan też już z nimi trzyma? – W jej głosie pojawił się lekki ton histerycznej agresji: – Wy, mężczyźni, nie potraficie inaczej jak tylko trzymać jeden z drugim. I najzupełniej niespodziewanie: – Inna miścina, inna dziewczyna. – Zdarza się, matko Hentjen – zaśmiał się Martin – ale takiej dobrej kuchni jak u matki Hentjen to długo się gdzie indziej nie znajdzie. – Pani Hentjen udobruchała się: – W Mannheim chyba też nie – powiedziała wręczając Geyringowi widokówkę do Escha, którą ten miał wysłać.

Dyrektor teatru Gernerth należał teraz do grona bliższych przyjaciół Escha. Bo Esch, człowiek porywczych zachowań, już następnego dnia kupił sobie bilet na przedstawienie, nie tylko dlatego, że chciał ponownie zobaczyć odważną dziewczynę, lecz uczynił to również po to, by po spektaklu odwiedzić cokolwiek zaskoczonych Gernertha w biurze dyrekcji i zaprezentować siebie w roli płacącego widza; przy okazji podziękował mu raz jeszcze za piękny wczorajszy wieczór, a dyrektor Gernerth, który już węszył kolejną prośbę o darmowe bilety i był zdecydowany nie dać się naciągnąć, musiał zamiast tego okazać wzruszenie. I wobec tak uprzejmego przyjęcia zostając po prostu na dłużej Esch osiągnął następny cel i poznał żonglera, pana Teltschera, oraz jego odważną przyjaciółkę Ilonę, oboje – jak się okazało – rodem z Węgier, zwłaszcza Ilona, która słabo znała niemiecki, podczas gdy Teltscher, występujący pod pseudonimem artystycznym Teltini i posługujący się na scenie mową angielską, pochodził z Bratysławy.

Pan Gernerth natomiast był chebańczykiem, co na pierwszym spotkaniu sprawiło dużą uciechę Kornowi; bo miasta Cheb i Hof łączy tak bliskie sąsiedztwo, że Korn uznał to za nadzwyczajny przypadek, iż dwaj ludzie będący nieomal krajanami zetknęli się akurat w Mannheim. Ale jego wybuchy uciechy i zaskoczenia miały charakter bardziej retoryczny, gdyż przy mniej pożądanej okazji odniósłby się do faktu niemalże ziomkostwa z pospolitą obojętnością. Zaprosił Gernertha do siebie i swojej siostry, pewnie i z tego powodu, że nie chciał tolerować tego, iż jego domniemany szwagier ma niezależne prywatne znajomości, a niebawem został zaproszony na kawę również pan Teltscher.

Oto siedzieli przy okrągłym stole, na którym obok pękatego dzbanka z kawą piętrzyła się kunsztowna piramida ufundowanych przez Escha ciastek, a deszcz ponurego niedzielnego popołudnia spływał po szybach. Pan Gernerth usiłując nawiązać rozmowę powiedział: –

Bardzo ładnie pan mieszka, panie inspektorze, przestronnie tu, jasno... – i popatrzył w okno i na smętną przedmiejską ulicę, na której stały wielkie kałuże. Panna Erna oznajmiła, że jest po prostu skromnie, stosownie do ich warunków, ale własny kąpielownia to naprawdę jedyna rzecz, która czyni życie pięknym. Pan Gernerth wpadł w nastrój elegijny: domowe ognisko drogie ponad wszystko, cóż, ona może tak mówić, jednakże dla artysty jest to marzenie nie do spełnienia; ach, gdzie mu tam do własnego kąpielownia, ma co prawda mieszkanie, piękne, wygodne mieszkanie w Monachium, w którym mieszka jego żona z dziećmi, ale on już prawie nie zna własnej rodziny. Czemu w takim razie nie weźmie jej ze sobą? To nie jest życie dla dzieci, co sezon gdzie indziej. Nie, jego dzieci nie będą artystami, co to, to nie. Był widać dobrym ojcem i nie tylko pannę Erne, lecz także Escha wzruszyło jego dobre serce. I może dlatego, że czuł się samotny, Esch powiedział: – Ja jestem sierotą, matki prawie nie znałem. – O Boże – jęknęła panna Erna. A pan Teltscher, któremu smutna rozmowa jakby nie przypadła do gustu, zakręcił filiżanką do kawy na czubku palca, tak że wszyscy musieli się roześmiać, wszyscy z wyjątkiem Ilony siedzącej obojętnie na swoim krześle i pewnie odpoczywającej po wielu uśmiechach, którymi musiała upiększać wieczór. Teraz, z bliska, wcale nie była tak powabna i delikatna jak na scenie, może nawet była trochę korpulentna, miała dość gąbczastą twarz i ciężkie worki pod oczami, pełne piegów, i Esch, nastrojony nieufnie, podejrzewał, że piękne jasne włosy być może nie są prawdziwe, że to tylko peruka; ale ta myśl pierzchła, bo ujrzał znowu noże świszczące wokół jej ciała. Potem zauważył, że również oczy Korna obmacują to ciało, i dlatego próbował ściągnąć uwagę Ilony na siebie, pytał, czy podoba się jej w Mannheim, czy była już nad Renem i takie tam geograficzne kawałki. Niestety nie udawało mu się, bo Ilona odpowiadała z rzadka, i to w nieodpowiednich miejscach: – Tak, bardzo proszę – i zdawała się nie życzyć sobie jakiegokolwiek kontaktu ani z nim, ani z Kornem; ociężała i poważnie pila swoją kawę i nawet gdy Teltscher syczał coś do niej w rodzimej mowie, widocznie jakieś nieprzyjemne rzeczy, ona prawie nie słuchała. Panna Erna powiedziała tymczasem do Gernertha, że harmonijne życie rodzinne to przecież najpiękniejsza rzecz na świecie, i czubkiem stopy lekko trącała Escha, czy to chcąc go zachęcić, by poszedł w ślady Gernertha, czy też tylko, by odciągnąć go od Węgierki, której urodę mimo to chwaliła: bo pożądlivość, z jaką jej brat przyglądał się tej kobiecie, nie uszła przed jej uważnym jaszczurczym spojrzeniem i Erna uznała za bardziej stosowne, żeby piękność przypadła bratu, nie zaś Eschowi. Pogłaskała więc dłonie Ilony i pochwaliła ich biel, odwinęła też jej rękaw i powiedziała, że panienka ma delikatną skórę, niechże się Baltazar przekona. Baltazar położył na nich owłosioną łapę. Teltscher zaśmiał się i rzekł, że wszystkie Węgierki mają skórę jak jedwab, na co Erna, która też nie obydwała się bez skóry, odparła, że cała rzecz sprowadza się tylko do pielęgnacji, a ona myje twarz codziennie w mleku. Pewnie, podchwycił Gernerth, ona ma wspaniałą, wręcz międzynarodową skórę, i zwiędłe oblicze panny Erny otworzyło się, ukazało żółtawe zęby i szczerbę między nimi z lewej u góry, a ona sama zarumieniła się aż po włosy na skroniach, które zwisały z fryzury, cienkie, brązowe i trochę spłowiałe.

Zapadał zmrok; łapa Korna coraz silniej obejmowała dłoń Ilony i panna Erna oczekiwała, że Esch lub przynajmniej Gernerth zrobi to samo z jej dłonią. Zwlekała z zapaleniem lampy, również dlatego, że Baltazar zdecydowanie wyprosiłby sobie takie zakłócenie, ale w końcu musiała wstać, żeby przynieść likier własnej roboty, który pysznił się na komodzie w niebieskiej karafce. Oświadczając dumnie, że przepis jest jej tajemnicą, poczęstowała cieżką o smaku zwietrzałego piwa, którą jednak Gernerth uznał za wyśmienitą; i na potwierdzenie ucałował dłoń gospodyni. Esch przypomniał sobie, że matka Hentjen nie lubiła ochlapusów, i szczególną satysfakcją napełniła go myśl, że do Korna miałyby dużo zastrzeżeń, bo ten wychylał kieliszek za kieliszkiem, mlaskając za każdym razem i oblizując sumiaste, ciemne wąsy. Korn nalewał też Ilonie i pewnie wynikało to z jej niezmiennego obojętności i otepiałości, że pozwalała, by przykładał kieliszek do jej ust, i nie zważała na to, że raz upił

łyk, zanurzył swój wąs i oznajmił, iż jest to pocałunek. Ilona prawdopodobnie tego nie zrozumiała, natomiast Teltscher musiał wiedzieć, co się święci. Niepojęte, że przyglądał się temu tak spokojnie. Może cierpiał w głębi duszy i tylko miał za dużo oglądy, żeby podnieść wrzask. Esch miał wielką ochotę zrobić to za niego, ale przypomniało mu się, jak szorstkim tonem na scenie Teltscher nakazywał odważnej dziewczynie wykonywanie pomocniczych czynności; a może zgoła rozmyślnie chciał ją poniżyć? Coś trzeba było zrobić, ktoś musiał wkroczyć z rozpostartymi ramionami! A Teltscher wesoło klepnął go po ramieniu, nazwał kolegą i konfratrem, a gdy Esch popatrzył na niego pytająco, wskazał obie pary i rzucił: – No, my, kawalerowie, musimy trzymać sztamę. – To ja muszę się nad panami ulitować – powiedziała na to panna Erna i zmieniła miejsce, tak że siedziała teraz między Gernerthem a Eschem, pan Gernerth zaś rzekł urażony: – Taki to już los biednego artysty... ach, ci kupcy. – Teltscher stwierdził, że Esch nie powinien się z tym godzić, bo tylko w stanie kupieckim można jeszcze znaleźć solidność i dalekowzroczność. Prowadzenie teatru też należy uznać za zajęcie kupieckie, i to nawet najtrudniejsze, i z całym szacunkiem dla pana Gernertha, który jest nie tylko jego dyrektorem, ale poniekąd i kompanem, i na swój sposób może uchodzić za obrotowego kupca, nawet jeśli nie zawsze w odpowiedni sposób wykorzystuje możliwości odniesienia sukcesu. On, Teltscher-Teltini, potrafi to całkiem dobrze ocenić, bo zanim pociągnął go zawód artysty, zaczynał jako kupiec. – I czym się kończy ta historia? Siedzę tutaj, a mógłbym mieć w Ameryce występy pierwsza klasa... a może mój numer nie jest pierwsza klasa? – W Eschu buntowało się niejasne wspomnienie: czemu oni tak zachwalają stan kupiecki: z wysławianą solidnością wcale tak dobrze nie jest. Powiedział im to bez ogródek i zakończył: – Naturalnie występują różnice, na przykład taki Nentwig i prezes von Bertrand, obaj to kupcy i jeden jest świnią, a drugi... jest po prostu czymś innym, lepszym. – Korn burknął pogardliwie, że Bertrand jest oficerem, który rzucił służbę, wszyscy o tym wiedzą, i nie ma co się wynosić. Esch słuchał tego bez przykrości, a więc różnica nie była taka strasznie duża. Ale to nic nie szkodziło; Bertrand był czymś lepszym, a w ogóle to Esch nie bardzo chciał zapuszczać się w takie myśli. Teltscher tymczasem nie przestawał mówić o Ameryce: tam, za oceanem, to dopiero można się dorobić, tam to człowiek nie musi jak tutaj harować za darmo. I zacytował: – Ameryko, tobie lepiej się wiedzie. – Gernerth westchnął: cóż, gdyby tylko człowiek miał w sobie trochę więcej z kupca, niejedno wyglądałoby teraz inaczej: on był już raz bardzo bogaty, ale przy całym kupieckim podejściu ma po prostu dziecięcą ufność artysty i przez oszukaństwo postradał cały kapitał, prawie milion marek. Ano, niech pan Esch tylko popatrzy, taki bogaty był kiedyś dyrektor Gernerth! Było, minęło. Ale co tam, on się jeszcze odkuje. Myśli o teatralnym truście, wielkim towarzystwie akcyjnym, o którego udziały ludzie jeszcze będą się bić. Trzeba tylko iść z duchem czasu, no i zdobyć kapitał. I ponownie całując dłoń panny Erny pozwolił sobie jeszcze raz nalać kieliszek, powiedział delektując się: – Wyśmienite! – i już nie puścił dłoni, która została mu pozostawiona z ochotą i zadowoleniem. Natomiast Esch, pod wrażeniem tego, co usłyszał, skłonny do rozmyślań, bodaj nie zwrócił uwagi, że pantofel panny Erny wylądował na jego bucie, widział tylko z daleka i po ciemku żółtą dłoń Korna – leżała ona mianowicie na ramieniu Ilony i łatwo było odgadnąć, że Baltazar Korn krzepką ręką obejmował jej plecy.

Potem trzeba było wreszcie zapalić światło i wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego, tylko Ilona milczała. A że nadeszła pora teatru, oni zaś nie chcieli się rozchodzić, Gernerth zaprosił swoich gospodarzy na przedstawienie. Zatem naszykowali się i pojechali tramwajem do miasta. Obie panie siedziały we wnętrzu wagonu, a panowie na pomoście palili cygara. Deszcz ciskał zimne krople na ich rozgrzane twarze i było to przyjemne.

Sklepiarz, u którego August Esch zwykł był kupować swoje tanie cygara, nazywał się Fritz Lohberg. Był to młody człowiek, mniej więcej w jego wieku, i pewnie z tej przyczyny Esch, przebywający na ogół w towarzystwie starszych od siebie, traktował go jak idiotę.

Jednakże owemu idiotcie miało przypaść w jego życiu pewne znaczenie, na pewno nie przemożne, ale właściwie samego Escha powinno być zdumienie, że akurat do tego sklepu tak prędko się przyzwyczaił i został stałym klientem Lohberga. Owszem, sklep znajdował się na jego trasie, ale to jeszcze nie powód, by od razu poczuć się w nim swojsko. W samej rzeczy był to ładny sklep i człowiekowi chciało się w nim przebywać: unoszący się w pomieszczeniu aromatyczny, czysty zapach tytoniu lekko drażnił powonienie i przyjemnie było pogłodzić wypolerowaną ladę, u której końca obok lśniąco poniklowanej automatycznej kasy stało zwykle kilka otwartych pudełek jasnobrązowych cygar na spróbowanie i skrzyneczka z zapawkami. Dokonawszy zakupu człowiek dostawał gratis pudełko zapalek i czuło się w tym jakąś miłą wspaniałomyślność. Był tam ponadto olbrzymi obcinacz, który pan Lohberg zawsze miał pod ręką, i jeśli komuś przyszła ochota od razu zapalić cygaro, to on z krótkim, ostrym trzaskiem obcinał podsuwany mu czubek. Było to dobre miejsce do przebywania, jasne, słoneczne i przyjazne za błyszczącymi szybami wystaw, a w te zimne dni pełne przyjemnego, niejako gładkiego ciepła, które zalegało ponad białymi kamiennymi płytami i korzystnie różniło się od przegrzanego zakurzenia szklanej klatki w magazynie spedycyjnym. Ale to właśnie wystarczało, żeby po pracy albo w przerwie obiadowej chętnie tu zachodzić, i nie znaczyło nic więcej. Chwaliło się wtedy porządek, wyrzekało na brud, w którym samemu trzeba było tyrać; lecz nie mówiło się tego całkiem serio, bo Esch dobrze wiedział, że wzorowego porządku, jaki utrzymywał w swych księgach i spisach magazynowych, nie można było przenieść na składowanie skrzyń, bel i beczek, choćby magazynierowi nie wiem jak na tym zależało. Tutaj, w sklepie, panowała natomiast osobiwie uspokajająca przejrzystość i wręcz kobieca precyzja, która wydawała się tym dziwniejsza, że Eschowi nie bardzo – budząc co najmniej niesmak – mieściło się w głowie, by to dziewczyny mogły sprzedawać cygara; przy całej schludności była to praca męska, przywodząca na pamięć dobre koleżeństwo: tak powinna wyglądać męska przyjaźń, nie tak okazjonalnie i niedbale jak chaotyczna uczynność jakiegoś związkowca. Ale nad tymi rzeczami Esch właściwie wcale się nie zastanawiał; pojawiały się ot tak, mimochodem. Zabawne i cudaczne było zaś to, że Lohberg nie był zadowolony z losu, jaki mu się przytrafił i mógł dać szczęście, a jeszcze zabawniejsze były wysuwane przez Lohberga powody, które nie pozostawiały wątpliwości, że to idiota. Bo choć na kasie automatycznej zawiesił tekturową tabliczkę: „Palenie nikomu jeszcze nie zaszkodziło” i choć do swoich skrzynek cygar dołączał ładną firmową wizytówkę, która nie tylko podawała adres sklepu i wymieniała specjalne gatunki, lecz zawierała też wierszyk: „Kto przez całe życie palił tylko tytoń czysty, nie szedł nigdy do lekarza ani do dentysty”, to jednak sam w to nie wierzył, ba, palił papierosy tylko z poczucia obowiązku i winy i w ciągłym strachu przed tak zwanym rakiem palaczy doświadczał na własnej skórze, na swym żołądku, swym sercu, swym gardle, wszystkich złych skutków nikotyny. Był chuderlawym, niedużym mężczyzną z nikłym wąsikiem i oczami bez połysku, w których dostrzegało się dużo białka, a trochę opaczne maniery i ruchy kontrastowały z resztą jego przekonań nie mniej dziwnie niż sklep, który prowadził i którego nie zamierzał zamieniać na inny: nie dość, że w tytoniu widział źródło zatrucia ludu i marnotrawienia narodowego dobrobytu, nieustannie powtarzając, iż powinno się wybawić lud od tej trucizny, to w ogóle opowiadał się za wielkim, zgodnym z naturą, prawdziwie niemieckim życiem i charakterem i bardzo bolał nad tym, że nie dane mu jest oddychać potężną pierśią i cieszyć się potężną jasnowłosością. Bądź co bądź to upośledzenie dawało się częściowo zrekompensować przynależnością do towarzystw: antyalkoholowego i wegetariańskiego, toteż koło kasy rejestrującej trzymał stale pewną ilość odnośnych czasopism, które przysyłało mu głównie ze Szwajcarii. Bez wątpienia: był idiota.

Esch, który lubił zapalić, pochłaniał duże porcje mięsa i pił wino, kiedy tylko się dało, nie przejąłby się tak bardzo argumentami pana Lohberga, mimo pobrzmiewającego w nich raz po raz kuszącego słowa o wybawieniu, gdyby jego uwagi nie zwróciła osobiwa paralela do

postawy matki Hentjen. Wszelako matka Hentjen była kobietą rozumną, nawet nadzwyczaj rozumną, i nie miała nic wspólnego z takim gadaniem bez ładu i składu. Jeśli jednak Lohberg, wierny kalwińskim zapatrywanom, które wraz z czasopismami dostarczano mu ze Szwajcarii, grzmiał niczym pastor przeciwko zmysłowym rozkoszom i równocześnie jak socjalistyczny mówca występował na zebraniu wolnomyślicieli za swobodnym, prostym życiem na łonie natury, jeśli w taki sposób swoją mizerną osobą podsuwał myśl, że ze światem jest coś nie po kolei, że ma on na swoim koncie jakiś okropny błąd w księgowaniu, od którego wybawienie mógł przynieść tylko cudowny nowy zapis, to w tym pomieszaniu z poplątaniem przede wszystkim to jedno było jasne, że z gospodą matki Hentjen rzecz miała się tak samo jak ze sklepem z cygarami Lohberga: ona musiała zarabiać na pijanych mężczyznach i też darzyła nienawiścią i pogardą swój zarobek i swoją klientelę. Był to niewątpliwie osobliwy traf i Esch zamierzał już napisać o tym pani Hentjen, żeby również ona zdumiała się takim przypadkiem. Ale dał sobie spokój wyobraziwszy sobie, jaka pani Hentjen byłaby zdziwiona, może nawet urażona, iż porównywał ją z człowiekiem, który mimo całej cnotliwości był idiotą. Zachował więc to na ustną relację; wkrótce i tak będzie służbowo w Kolonii.

Mimo wszystko przypadek Lohberga pozostawał wart omówienia; któregoś wieczora, siedząc z Kornem i panną Erną przy stole, Esch dał upust potrzebie zwierzeń.

Rodzeństwo znało oczywiście sklepikarza od cygar. Korn już nieraz u niego bywał, lecz swoistości tego człowieka w ogóle nie zauważył: – Tego po nim nie widać – zakończył milczący ciąg myśli, w którym zgodził się z Eschem, że chodzi tutaj o idiotę. Panna Erna zaś nabrała żywej niechęci do duchowego sobowtóra pani Hentjen i zapytała przede wszystkim, czy pani Hentjen jest tak długo ukrywaną ukochaną pana Escha. Musi to być dama bardzo cnotliwa, ale ona sądzi, że może się z nią zmierzyć. A co się tyczy cnotliwości pana Lohberga, to naturalnie nie należy do przyjemności, kiedy ktoś, jak jej pan brat, zapaskudza dymem całe firanki, jednakże spostrzega się wtedy przynajmniej, że w domu jest mężczyzna.

– Mężczyzna, który nic a nic nie robi, tylko pije wodę... – szukała słów – byłby dla mnie wstrętny. – A potem dopytywała się, czy pan Lohberg zakosztował już kobiecej miłości. – Pewnie idiota jest jeszcze prawiczkim – stwierdził Esch, a Korn, przewidując, że będą z nim jeszcze mieli zabawę, krzyknął: – Cnotliwy Józef!

Czy to z tego powodu, czy chcąc mieć sublokatora pod kontrolą, czy też dlatego, że tak się po prostu złożyło, Korn odtąd stał się również klientem sklepu Lohberga, a ten martwił ze strachu, ilekroć pan inspektor celny wkraczał z wielkim hałasem. Strach nie był bezpodstawny. Jednego z następnych wieczorów stało się; tuż przed zamknięciem sklepu Korn przyszedł z Eschem do Lohberga i zarządził: – Zbieraj się, chłoptasiu, dzisiaj stracisz cnotę. – Lohberg bezradnie przewrócił oczyma i wskazał na mężczyznę w mundurze Armii Zbawienia, który przebywał w sklepie.

– Przebieraniec – powiedział Korn, a speszony Lohberg przedstawił: – To mój przyjaciel. – My też jesteśmy przyjaciele – stwierdził Korn i wyciągnął łapę do gościa z Armii Zbawienia. Był to piegowaty, trochę wągrowaty, rudowłosy chłopina, który wyuczył się, że do każdej duszy trzeba się odnosić przyjaźnie; zaśmiał się w głos do Korna i pospieszył Lohbergowi na ratunek: – Brat Lohberg obiecał nam, że będzie dzisiaj walczył w naszych szeregach. Przyszedłem po niego. – A, idziecie walczyć! To my idziemy z wami. – Korn był zachwycony. – My jesteśmy przyjaciele...

– Każdy przyjaciel jest u nas mile widziany – oznajmił radosny żołnierz Armii Zbawienia. Lohberga nikt nie pytał; ten zmieszany, z miną człowieka przyłapanego na czymś, zamykał sklep. Esch z rozbawieniem śledził rozwój wydarzeń, ale rozeźlony na obcesowość Korna życzliwie poklepał Lohberga po ramieniu, zupełnie tak, jak to w stosunku do niego zwykł robić Teltscher.

Pomaszerowali na Neckarskie Przedmieście. Już na Kafertalerstrasse słyhać było bicie w bębny i talerze i żołnierskie nogi Korna podchwyciły takt. Zostawiwszy ulicę za sobą zobaczyli w półmroku na skraju parku ludzi z Armii Zbawienia. Śnieżyło rzadko i wodniście, a tam, gdzie zebrała się grupka ludzi, śnieg rozpuścił się w czarną breję, która zimno wżerała się w buty. Porucznik stał na ławce, wołał w zapadającą ciemność:

– Chodźcie do nas, chodźcie po ratunek, Zbawiciel jest blisko, ratujcie uwięzione dusze! – Ale zaledwie garstka usłuchała jego wołania, a gdy podlegli mu żołnierze z biciem w bębny i czyniele śpiewali o zbawiennej miłości i zaintonowali swoje alleluja: „Pan Zastępów nam króluje, on od śmierci nas ratuje”, spośród otaczających cywilów mało kto im wtórował i na pewno większość przyglądała się spektaklowi jedynie z ciekawości. I chociaż dzielni żołnierze śpiewali co tchu, a obie dziewczyny waliły w tamburyny ze wszystkich sił, coraz bardziej przeredzało się wokół nich, im niebo mocniej ciemniało, i wkrótce zostali sami ze swoim porucznikiem mając za widzów tylko Lohberga, Korna i Escha. Lohberg może jeszcze teraz chętnie by zawtórował, z całą pewnością by to zrobił nie wstydząc się ani nie obawiając Escha i Korna, gdyby Korn kuksając go pod żebro nie rozkazywał w kółko: – Śpiewaj, Lohberg! – Nie była to dla Lohberga sytuacja przyjemna, więc ucieszył się, kiedy nadszedł policjant i wezwał ich do odejścia. Wszyscy ruszyli w drogę do piwiarni Tomasza. A jakże byłoby dobrze, gdyby Lohberg zawtórował, ba, może wtedy zdarzyłby się nawet mały cud, bo mało brakowało, a także Esch podniósłby głos na chwałę Pana i zbawiennej miłości, tak, trzeba by było tylko niewielkiego impulsu i może tym impulsem stałby się śpiew Lohberga. Ale ponieważ nie da się już tego orzec.

Co się zdarzyło tam w parku, tego Esch sam nie rozumiał; obie dziewczyny bębniły na całego, podczas gdy ich komendant stał na ławce i dawał im znak na wejście, a to dziwnie przypominało rozkazy, jakie na scenie Teltscher wydawał Ilonie. Może to był tężejący nagle spokój wieczoru, który tu, na skraju miasta, milki jak muzyka w teatrze, nieporuszonosc czarnych gałęzi drzew sterczących ku ciemniejszemu niebu, a w tyle, na placu, rozbłysły lampy łukowe. Wszystko pozostawało niezrozumiałe. Przez buty wdzierało się gryzące zimno mokrego śniegu; ale nie tylko dlatego Esch wolałby stać na suchej ławce głosząc odkupienie i wybawienie, znów bowiem pojawiło się dziwne uczucie osierociałej samotności i raptem uprzytomnił sobie przerażająco wyraźnie, że będzie musiał umierać sam jak palec. Zbudziła się jakaś niejasna, a przecież zaskakująca nadzieja, iż wyszłoby lepiej, dużo lepiej, gdyby to jemu dane było stanąć na ławce: i ujrzał przed sobą Ilonę, Ilonę w mundurze Armii Zbawienia, Spoglądającą w górę ku niemu i oczekującą jego wyzwającego znaku, aby zabębnić i zawołać „alleluja”. Ale obok niego stał Korn, szczyrzył zęby znad postawionego kołnierza mokrego mundurowego płaszczka i na ten widok nadzieja pierzchła. Esch wykrzywił usta, przybrał pogardliwą minę i wręcz dogadzało mu to, że nie było żadnej wspólnoty. W każdym razie on też się ucieszył, iż policjant ich przeświścił.

Przodem szedł Lohberg z wągrowatym żołnierzem Armii Zbawienia i jedną z dwu dziewczyn. Esch człapał za nimi. Cóż, czy taka wali w bęben, czy rzuca talerze, to zależy wyłącznie od rozkazu, jaki się jej wyda, zawsze jest to samo, tylko strój różny. Śpiewają o miłości zarówno tutaj, jak i tam. „Miłość zbawienna, doskonała”, Esch nie mógł się powstrzymać od śmiechu i postanowił sprawdzić pod tym kątem dzielną żołnierzycę. Gdy doszli w pobliże piwiarni Tomasza, dziewczyna przystanęła, postawiła stopę na występie muru i pochyliwszy się zaczęła zawiązywać sznurowadła mokrego nieforemnego buta. W tym pochyleniu, czarnym słomkowym kapeluszem dotykając niemal kolana, była w najwyższym stopniu nieczłowieczą masą, poczwarą, jednakże o pewnej, niejako mechanicznej rzeczowości, i Esch, który przy innej okazji skwitowałby taką postawę kłapsem w wysuniętą część ciała, był z lekka przestraszony, gdy nie pojawiła się chętką na coś takiego, i wprost wydawało mu się, że oto znów zerwany został most łączący z bliźnim, i zatęsknił za Kolonią. Wówczas w kuchni chciał złapać matkę Hentjen za biust; ba, ona mogłaby sobie pozwolić na

pochylenie się i sznurowanie sobie butów. A jako że wszyscy mężczyźni myślą o tym samym, Korn, który będąc w dobrym humorze wszystkim mówił na ty, wskazał dziewczynę: – Uważasz, że nie będzie miała nic przeciwko? – Esch rzucił mu jadownicę spojrzenie, wszelako Korn nie ustępował: – Między sobą ci żołnierze na pewno to robią.

– Tymczasem dotarli do piwiarni Tomasza i weszli do jasnej, hałaśliwej sali, w której przyjemnie pachniało pieczenią, cebulą i piwem.

Tutaj wszakże Korna spotkało rozczarowanie. Bo ludzie z Armii Zbawienia nie dali się namówić na zajęcie miejsc przy stole, lecz pożegnali się, aby na sali kwestować i sprzedawać swoje gazety. Esch też by wołał, żeby nie zostawiali go samego z Kornem: w jego duszy kołatała się jeszcze jakaś resztką nadziei, że zdołają przywrócić mu to, czego doznał pod ciemniejącymi drzewami i czego jednak nie potrafił pojąć. Mimo wszystko dobrze było, że uniknęli kpin Korna, a byłoby jeszcze lepiej, gdyby wzięli ze sobą Lohberga, bo Korn próbował powetować sobie zawiedzione nadzieje i zabawić się kosztem Lohberga, chcąc za pomocą porcji mięsa z cebulą i kufła piwa sprawić, by bezradny młodzieniec złamał swoje zasady. Jednakże słabeusz opierał się, powiedział tylko spokojnie: – Nie igrasz się z ludzkim życiem – i nie tknął ani mięsa, ani piwa, tak że Korn, powtórnie rozczarowany, musiał ze złością wziąć się do pałaszowania jego porcji, aby nie ruszonej nie zabrała obsługa. Esch wpatrywał się w ciecz na dnie swego kufła; zabawne, że zbawienie miało zależeć od tego, czy się ją wypije, czy nie. Mimo to był niemal wdzięczny łagodnie upartemu idiotcie. Lohberg siedział uśmiechając się spokojnie i czasami można było sądzić, że z jego dużych, białych oczu popłyną łzy. A gdy ludzie z Armii Zbawienia wędrując między stolikami znów znaleźli się w pobliżu, wstał i zdawało się, że chce coś do nich zawołać. Wbrew oczekiwaniom nie zrobił tego, tylko po prostu stał. Raptem ni z tego, ni z owego, bezsensownie, niepojęcie dla każdego, kto to słyszał, powiedział jedno jedyne słowo; głośno i wyraźnie powiedział słowo „zbawienie”, po czym z powrotem usiadł. Korn popatrzył na Escha, Esch na Korna. A kiedy Korn sięgnął palcem do czoła, żeby kolistym ruchem przedstawić stan umysłu Lohberga, scena zmieniła się w sposób nadzwyczaj dziwny i przejmujący lękiem, i było tak, jakby słowo „zbawienie”, wyswobodzone, unosiło się nad stołem, utrzymywane i przecież odrywane przez niewidzialnie krążący mechanizm, odrywane również od ust, które je wymówiły. I chociaż pogarda dla idioty nie zmniejszyła się ani trochę, królestwo zbawienia zdawało się istnieć, mogło istnieć, musiało istnieć, choćby tylko dlatego, że Korn, ten kawał bydlęcego mięsa z szerokim tyłkiem, siedział w piwiarni Tomasza i nie umiał wybiec myślą nawet do najbliższego rogu, nie mówiąc już o zbawiennej wolności dali. I aczkolwiek Esch bynajmniej nie stał się z tego powodu chodzącą cnotą, lecz grzmotnął kuflem w stół i kazał przynieść sobie jeszcze jedno piwo, to jednak zrobił się milczący jak Lohberg, a gdy Korn po skończonej biesiadzie zaproponował, żeby poszli teraz z cnotliwym Józefem na dziewczynki, Esch tym razem odmówił udziału, zostawił na ulicy kompletnie rozczarowanego Baltazara Korna i odprowadził sprzedawcę cygar do domu, bardzo zadowolony, że Korn wykrzykiwał za nimi plugawe słowa. Śnieg ustał i w letnim wietrze, który począł dmuchać, brzydkie wyrazy trzepotały jak lekkie wiosenne wstążeczki.

W owej niezwykłej opresji, w której znajduje się każdy, kto wyrósłszy z dzieciństwa zaczyna przeczuwać, że będzie musiał kroczyć samotnie i bez oparcia ku swej nieporównanej śmierci, w tej niezwykłej opresji, którą właściwie wypada już nazwać bożą bojaźnią, człowiek szuka towarzysza, żeby zmierzać z nim ręką w rękę ku ciemnej bramie, a jeśli wie z doświadczenia, jaka to niezaprzeczalna rozkosz leżeć w łóżku z inną istotą, to sądzi, że owo bardzo gorące zespolenie skóry ze skórą mogłoby trwać do grobowej deski: aczkolwiek zatem niejedno wygląda wstrętnie, ponieważ odbywa się w źle wietrzonych i szorstkiej pościeli albo ponieważ można by mniemać, że dziewczynie chodzi jedynie o to, by w późniejszym wieku mężczyzna zapewnił jej utrzymanie, to jednak nigdy nie wolno zapominać, że każda istota,

nawet jeśli ma żółtawą karnację, jest uszczypliwa i niska, a przy tym brak jej zęba u góry po lewej, że ta istota, mimo że szczerbata, łaknie miłości, mającej zapewnić jej wieczność i ustrzec przed śmiercią, przed śmiertelnym strachem, który codziennie z zapadnięciem nocy na nowo dopada samotnie śpiące stworzenie, strachem, który je otacza i liże niczym płomień, kiedy ono się rozbiera, jak to teraz robiła panna Erna: zrzuciła z siebie wypłowiały stan z czerwonego aksamitu i spuściła ciemnozieloną sukienną spódnicę, a także halkę. Zdjęła również pantofle; zostawiła natomiast pończochy, podobnie jak biały, krochmalony spód, ba, nie mogła się nawet zdecydować na rozpięcie gorsetu. Bała się, ale skrywała strach pod chytrym uśmiechem i przy blasku niespokojnego płomienia świecy na nocnym stoliku, nie rozbiegając się dalej, wśliznęła się do łóżka.

Otóż zdarzyło się następnie, że słyszała, jak Esch kilkakrotnie przechodził przez przedpokój czyniąc więcej hałasu, niż tego wymagały wykonywane czynności. Może nawet były to czynności trochę zbędne, bo po co jeszcze o tej porze dwa razy nosił wodę? A już z pewnością wiadro nie było takie ciężkie, żeby stawiać je w przedpokoju z hukiem na podłodze akurat pod drzwiami Erny. I panna Erna za każdym razem, kiedy coś takiego słyszała, nie chciała być dłużna i również hałasowała: przeciągała się w trzeszczącym łóżku, kopała nawet umyślnie w ściankę w nogach i wzdychała głośno jak człowiek senny: „O Boże”, posługiwała się w tym celu także kaszlem i chrząkaniem. Esch wszelako był człowiekiem porywczych zachowań i po krótkim czasie takiej wymiany telegraficznych sygnałów nie namyślając się zbytnio wszedł do niej.

Panna Erna leżała w swoim łóżku i uśmiechała się do niego szczerbato, chytrze i przebiegle, a zarazem trochę przyjaźnie i właściwie nie bardzo mu się podobała. Mimo to nie usłuchał jej wezwania: – Ależ, panie Esch, niech pan zaraz stąd wyjdzie – i spokojnie został w pokoju, a zrobił to nie tylko dlatego, że był, jak po prostu większość ludzi, człowiekiem nieokiełznanej zmysłowości, zrobił to nie tylko z tego powodu, że dwie osoby różnej płci żyjące w poufałości wspólnego mieszkania nie bardzo mogą ujść mechanizmowi swojej cielesności i z myślą: „w końcu dlaczego nie?” łatwo się mu poddają, zrobił to nie tylko z tego względu, że przypuszczał, iż ona odczuwa podobnie, i nie potraktował jej wezwania poważnie, zrobił to zatem nie tylko pod wpływem niskich popędów, nawet jeśli zalicza się do nich także zazdrość, która budzi się w każdym mężczyźnie, ilekroć musi patrzeć, jak dziewczyna wdzięczy się do pana Gernertha, ale dla Escha jako człowieka ważne też było, że rozkosz, której człowiek szuka w swoim mniemaniu jako celu samego w sobie, służy wyższemu celowi, ten zaś, ledwie przeczuwany, a przecież przemożny, to przecież nic innego jak zadanie zagłuszenia owego wielkiego strachu, który sięga daleko poza niego, nawet jeśli czasami zdaje się być taki tylko, jaki ogarnia komiwojażera, kiedy z dala od żony i dzieci leży samotnie w hotelowym łóżku: strach i rozkosz podróźującego, który śpi z brzydką, podstarzałą pokojówką, nieraz opowiadając przejmujące historyjki, często doznając wyrzutów sumienia. Naturalnie Esch, stawiając głośno na podłodze wiadro z wodą, nie myślał już o samotności, która dopadła go na nowo, odkąd opuścił Kolonię, nie myślał też o samotności, jaka zalegała na scenie, zanim Teltscher począł ciskać błyskające, lśniące noże. Lecz jeśli teraz, siedząc na brzegu łóżka panny Erny i pochylając się nad nią, pożądał jej, to chciał od niej czegoś więcej niż to, co w utartym znaczeniu wyobrażamy sobie przez pragnienia podnieconego mężczyzny, bo za czymś tak bardzo na pozór namacalnym, ba, pospolitym kryje się zawsze tęsknota, tęsknota uwięzionej duszy za wybawieniem z samotności, za ocaleniem, które powinno objąć jego i ją, ba, może wszystkich ludzi i na pewno również Ilonę, za ocaleniem, którego dziewczyna imieniem Erna nie mogła mu ofiarować, ponieważ ani ona, ani on nie wiedzieli, co miał na myśli. Toteż gniew, jaki go ogarnął, gdy nie chciała dać mu wszystkiego i wzbraniała się delikatnie: – Jak będziemy mężem i żoną – był nie tylko gniewem rozczarowanego samca i nie tylko wściekłością, że odkrył jej figlarny ubiór, był czymś więcej i w jego odpowiedzi, szorstkiej i otrzeźwionej, pobrzmiwała, choćby nic nie

wskazywało na szlachetniejszą motywację, rozpacz: – No to nie. – I aczkolwiek jej odmowa wydała mu się upomnieniem Boga, aby przestrzegał czystości, natychmiast wybiegł z domu i poszedł do bardziej ochoczej dziewczyny. Uraziło to Ernę.

Od owego wieczoru między Eschem a panną Erną toczyła się otwarta wojna. Ona nie pomijała żadnej okazji, żeby podrażnić jego pożądanie, a on z kolei wykorzystywał każdą sposobność, żeby ponowić próbę i bez obietnicy małżeństwa zaciągnąć oporną do łóżka. Walka zaczynała się rano, kiedy przynosiła mu, jeszcze niekompletnie ubranemu, śniadanie do pokoju, lubieżnie matkując, i kończyła wieczorem, obojętnie, czy zamykała się na klucz, czy pozwalała mu się wdzierać. Żadne z nich nie wypowiedziało słowa „miłość” i jeśli nie rozgorzała między nimi jawna nienawiść, lecz niejedno przybierało formę złośliwych żartów, to brało się to jedynie stąd, że jeszcze siebie nawzajem nie posiadli.

Często myślał, że z Iloną musiałyby być inaczej i lepiej, ale dziwna rzecz, jego myśli nie miały odwagi dobrać się do niej. Ilona to było coś lepszego, mniej więcej tak jak czymś lepszym był prezes Bertrand. I Esch nawet bez niechęci znosił fakt, że do żartów Emy należało udaremnianie wszelkich jego kontaktów z Iloną, ba, to mu w zupełności odpowiadało, choć zżymał się mocno na figlarne zgrywanie się i tę rozchichotaną wesołość. A Ilona bywała teraz w mieszkaniu prawie codziennie i między nią a Erną nawiązało się coś w rodzaju przyjaźni. Co one razem robiły, to było dla Escha w samej rzeczy niezrozumiałe: ilekroć przychodził do domu i czuł silny zapach tanich perfum Ilony, który zawsze go podniecał, zastawał obie kobiety w osobliwie milczącej rozmowie: Ilona nie poduczyła się niemieckiego i panna Erna była zmuszona ograniczać się do głaskania przyjaciółki, stawiania jej przed lustrem i podskubywania z podziwem jej fryzury i sukni. Lecz przeważnie Escha nie dopuszczano do towarzystwa. Bo Ernę wręcz zależało na ukrywaniu przed nim obecności przyjaciółki. I tak któregoś wieczora siedział sobie Bogu ducha winny w swoim pokoju, gdy zabrzmiał dzwonek w przedpokoju. Słyszał, jak Erna otwiera, i nadal nie pomyślałby nic złego, gdyby klucz w jego drzwiach nie został nagle przekręcony. Esch jednym susem dopadł do drzwi: był zamknięty! To babsko go zamknęło! I chociaż z czasem powinien był ignorować te głupie żarty, było to silniejsze od niego i zaczął wrzeszczeć i walić w drzwi, aż w końcu panna Erna otworzyła, aby chichocząc wśliznąć się do środka. – No tak – powiedziała – teraz mogę poświęcić się panu... mamy bowiem gościa, ale nim zajmuje się już Baltazar. – Esch wybiegł wściekły.

Gdy któreś nocy wrócił późno do domu, w przedpokoju znów pachniało jej perfumami. A więc była tu znowu, a może jest jeszcze, bo na wieszaku zobaczył jej kapelusz. Ale gdzie się podziewała? W bawialni było ciemno. Korn chrapał u siebie. Przecież nie wyszła bez kapelusza! Esch przyłożył ucho do drzwi Emy; miał podniecające i dławiące wyobrażenie, że obie kobiety leżą tam razem. Ostrożnie nacisnął klamkę; drzwi nie ustąpiły, były zamknięte na klucz, jak zwykle, kiedy panna Erna naprawdę chciała spać. Esch wzruszył ramionami i z hałasem poszedł do swego pokoju. Ale nie mógł uleżeć w łóżku; wyrzwał na przedpokój; zapach perfum wciąż jeszcze się unosił i kapelusz wisiał nadal. Coś było nie w porządku, to się czuło i Esch cichaczem obszedł mieszkanie. Wydało mu się, że z pokoju Korna dochodzą szepty; wszelako Korn nie był człowiekiem, który potrafi szeptać, i Esch wyteżył słuch: Korn jęczał, wyraźnie jęczał i Esch, facet, który na pewno nie miał się co bać takiego Korna, na bosaka uciekł do swojej izby, jak gdyby goniło go jakieś straszdyło. Najchętniej zatkałby sobie uszy.

Rano Erna zbudziła go z kamiennego snu i nim zdążył zadać jakieś pytanie, powiedziała: – Pst, niespodzianka. Niech pan prędko wstaje!

– Ubrał się w pośpiechu i gdy zaszedł do kuchni, gdzie krzątała się Erna, ta wzięła go za rękę i na palcach doprowadziła do swojej izby, uchyliła drzwi i kazała mu zajrzeć. Zobaczył

Ilonę; pulchne białe ramię, na którym nadal nie było śladów ran od noży, zwiesiła poza brzeg łóżka, miała ciężkie worki pod oczami w lekko opuchniętej twarzy i spała.

Odtąd Ilona często przychodziła do mieszkania o późnej porze i stosunkowo długo to trwało, zanim Esch zrozumiał, że spędzała noce z Baltazarem Kornem i że Erna osłaniała miłośćkę brata niejako własnym ciałem.

Martin odwiedził go w magazynowym biurze. Dziwne to było, jak ten potępieniec, którego każdy portier febryczny miał rozkaz wyrzucić za bramę, zawsze potrafił wejść i z niezmaconym spokojem całkiem jawnie kuśtykał na swoich kulach po miejscach pracy, przez nikogo nie zatrzymywany, przez wielu przyjaźnie pozdrawiany, na pewno i z tego powodu, że każdy krępował się nastawać na kalekę. Wszakże akurat u siebie w pracy Esch nie potrzebował sekretarza związkowego; nic by się nie stało, gdyby Martin zaczekał na zewnątrz, ale z drugiej strony na nim można było polegać: wiedział, kiedy wolno mu przyjść i kiedy powinien odejść, był z niego porządny chłop. – Sie masz, Auguście – powiedział po prostu.

– Chciałem raz zobaczyć, co porabiasz. Ładnie tutaj masz; zrobiłeś dobrą zamianę. – Czyżby kuternoga chciał mu przypomnieć, że powinien być wdzięczny za ten przeklęty Mannheim? Bądź co bądź za historię między Iloną a Kornem trudno było winić Martina, toteż Esch tylko odparł mruklawie: – Tak, dobrą. – I jakoś to odpowiadało prawdzie. Bo teraz, kiedy Martin przywołał mu na pamięć poprzednią posadę i Nentwiga, Esch był bardzo zadowolony, że nie ma już nic wspólnego z Kolonią. Niczym paser w dalszym ciągu krył przestępstwo Nentwiga, a że tego oszukańca można było w Kolonii spotkać na każdym rogu, odbierało to wszelką chęć na powrót tam kiedykolwiek. Kolonia albo Mannheim, to w ogóle nie była zamiana – gdzie właściwie należałoby żyć, żeby się wyzwolić od tego całego brudu! Mimo to spytał, co tam słychać w Kolonii. – Później ci powiem – rzekł Martin – teraz nie mam czasu. Gdzie jesz obiad? – A dowiedziawszy się pokuśtykał spieszenie w swoją stronę.

Esch jednak cieszył się z tego spotkania, a że był człowiekiem niecierpliwym, nie mógł się doczekać pory obiadowej. Przez noc zrobiła się wiosna i Esch zostawił płaszcz w magazynie; kamienie brukowe między szopami lśniły przyjemnie w letnim południowym słońcu i naraz przy narożach budynków pojawiła się też młoda, świeża trawa pośród kamieni. Przechodząc koło pomostów ładunkowych położył dłoń na żelaznej listwie, którą obramowane były chropawe, szare drewniane podłogi, i żelazo też było ciepłe. Jeśli nie przeniosą go do Kolonii, to niedługo będzie musiał postarać się o sprowadzenie swojego roweru. Oddychało się głęboko i lekko, a jedzenie smakowało zupełnie inaczej, może dlatego, że okna gospody były pootwierane. Martin opowiadał, że przyjechał ze względu na akcję strajkową; gdyby nie to, wcale by się nie spieszył. Ale w południowoniemieckich i alzackich fabrykach coś się dzieje, a takie rzeczy łatwo się szerzą: – A niech sobie strajkują, ile dusza zapagnie, nam jednak nie trzeba teraz żadnego zamieszania. Strajk robotników transportowych byłby dzisiaj czystym szaleństwem... Jesteśmy biednym związkiem, a z centrali nie wyciśnie się ani grosza... Byłaby to sromotna klęska. Naturalnie na marynarza nie można liczyć, jak taki głąb zechce strajkować, żaden diabeł go nie powstrzyma. Prędzej czy później jeszcze mnie zatłuką. – Mówił to pogodnie, bez goryczy. – Znowu za mną wołają, że jestem opłacany przez armatorów. – Przez Bertranda? – spytał Esch zainteresowany. Geyring przytaknął: – Oczywiście, także przez Bertranda.

– A to Świnia – wymknęło się Eschowi. Martin zaśmiał się: – Bertrand? To nadzwyczaj porządny człowiek. – No, no, więc on jest porządny... czy to prawda, że to oficer, który rzucił służbę? – Tak, podobno wystąpił z wojska, co tylko dobrze o nim świadczy. – No, no! To dobrze o nim świadczy? Nic nie jest jednoznaczne, myślał Esch ze złością, nic nie jest jednoznaczne, nawet w taki piękny wiosenny dzień: – Chciałbym tylko wiedzieć, czemu ty dalej tkwisz w tym kieracie? – Każdy stoi tam, gdzie go Bóg postawił – odparł Martin i jego

twarz starego dziecka przybrała pobożny wyraz. Potem przekazał pozdrowienia od matki Hentjen i oznajmił, że wszyscy cieszą się już na rychłą wizytę Escha.

Po obiedzie udali się do sklepu z cygarami Lohberga. Mieli trochę czasu i Martin odpoczywał na ciężkim dębowym krześle, które stało przy ladzie i było lśniące i solidne jak wszystko inne w sklepie. Z nawyku chwytania w zasięgu ręki wszystkiego, co drukowane, Martin przeglądał antyalkoholowe i wegetariańskie szwajcarskie gazety. – Do stu piorunów – powiedział – prawie bratnia dusza. – Lohberg był pochlebiony, ale Esch zepsuł mu przyjemność: – Tak, on należy do lemoniadowego bractwa – i żeby całkiem go zniszczyć, dorzucił: – Geyring ma dzisiaj duże zebranie, ale prawdziwe, nie jakaś tam Armia Zbawienia! – Niestety – potwierdził Martin. Lohberg, który miał wielką słabość do publicznych zgromadzeń i krasomówczych występów, ofiarował się zaraz, że przyjdzie. – Lepiej będzie się wstrzymać – powiedział Martin – przynajmniej Esch nie powinien iść, mogłoby mu zaszkodzić, jak go tam zobaczą. Poza tym chyba sprawa nie przejdzie gładko. – Esch nie bał się specjalnie o swoją posadę, lecz dziwnym trafem pójście na zebranie wydawało mu się nielojalnością wobec Bertranda. Lohberg natomiast oznajmił śmiało: – Ja na pewno pójdę – i Esch poczuł się zawstydzony przez lemoniadowego słabeusza: nie, nie wypadało zostawić bezbronного przyjaciela w niebezpieczeństwie, a gdyby się tak zrobiło, to nie można by już było pokazać się na oczy matce Hentjen. Jednakże przemilczał swoją decyzję. Martin wyjaśniał: – Sądzę, że armatorzy przyślą nam paru prowokatorów; im przecież bardzo zależy, żeby doszło do takiego dzikiego strajku. – I chociaż Nentwig był nie armatorem, lecz najtłustszym prokurentem hurtowni win, Eschowi wydało się, że nikczemnik maczał palce również w tej perfidii.

Zebranie odbywało się, jak to jest przyjęte, w sali malej gospody. Przed wejściem stało kilku policjantów, lustrowali wchodzących, a ci udawali, że nie dostrzegają stróżów porządku. Esch przyszedł późno; gdy chciał wejść, ktoś klepnął go w ramię, a odwróciwszy się zobaczył inspektora z komisariatu portowego. – Co pana tu sprowadza, panie Esch? – Esch naprędce zebrał myśli. Właściwie to zwykła ciekawość; słyszał, że sekretarz związkowy Geyring, którego zna z Kolonii, będzie tu przemawiał, a że on poniekąd jest teraz z branży, ciekawi go cała ta impreza. – Ja bym panu odradzał, panie Esch – powiedział inspektor – właśnie dlatego, że jest pan z branży; sprawa podejrzanie pachnie i nic dobrego panu nie przyniesie. – Zajrzę tylko na chwilę – zdecydował Esch i wszedł do środka.

Niska sala, ozdobiona portretami cesarza, wielkiego księcia Badenii i króla Wirtembergii, była wypełniona po brzegi. Na estradzie stał biało nakryty stół, za którym siedziało czterech mężczyzn; jednym z nich był Martin. Esch, z początku trochę zazdrosny, że nie dane mu było zasiąść przy stole dla uprzywilejowanych, zdziwił się w następnej chwili, że w ogóle dostrzegł tamten stół, tak niesamowity tumult panował na sali. Ba, dopiero po pewnym czasie zauważył, że na środku sali jakiś człowiek wszedł na krzesło i wygłaszając niezrozumiałą mowę podkreślał każde słowo – szczególnie upodobał sobie „demagoga” – gestem miotacza ciskał je na stół na podium, był to swoiście nierówny dialog, bo w odpowiedzi rozbrzmiewał od stołu nikły dźwięk dzwonka, który nie mógł się przebić, w końcu jednak zachował ostatnie słowo, gdy Martin wstał, wsparty na kuli i poręczy krzesła, i harmider ucichł. Co prawda nie całkiem można było zrozumieć, co mówił Martin z nieco znużoną i ironiczną rutyną wytrawnego zebraniowego mówcy, ale Esch czuł, że był on więcej wart niż wszyscy, którzy wydzierali się wokół niego. Zdawać by się mogło, że Martinowi wcale nie zależało na zjednaniu sobie posłuchu, bo lekko uśmiechając się zamilkł i spokojnie znosił okrzyki: „ślugus kapitalistów”, „państwo-draństwo”, „cesarski socjalista”, aż nagle wśród masy gwizdów rozległ się jeden ostrzejszy – w raptownej ciszy na estradzie stanął oficer policji i oznajmił zwięźle: – W imieniu prawa zebranie jest rozwiązane. Należy opróżnić salę. – Esch, wypychany za drzwi przez tłum prących do wyjścia, zdążył jeszcze zauważyć, że oficer zwrócił się ku Martinowi.

Większość, jakby na mocy umowy, tłoczyła się przy wyjściu na podwórze. Wszelako nic to ludziom nie dawało, bo tymczasem cały dom został obstawiony przez policję i każdy musiał się wylegitymować albo pójść na posterunek. Przy głównym wejściu tłok nie był taki straszny; Esch miał szczęście trafiając znów na inspektora z portu i zdołał mu szybko powiedzieć: – Miał pan rację, raz i nigdy więcej. – Dzięki temu uniknął indagacji. Ale sprawa jeszcze się nie skończyła. Ludzie stali przed lokalem, zachowywali się spokojnie i tylko pomstowali cicho na komitet, na związek i na Geyringa. Lecz naraz rozeszła się wieść, że komitet i Geyring zostali aresztowani i że czeka się tylko, aż tłum się rozejdzie, żeby ich wywieźć. Nastrój raptownie się zmienił; znów rozległy się gwizdy i tłum gotów był rzucić się na policję. Sympatyczny inspektor, w którego pobliżu pozostał Esch, szturchnął go: – Teraz, panie Esch, niech pan wreszcie znika – a ten zorientowawszy się, że na nic się już tu nie przyda, ruszył na najbliższy róg ulicy, mając nadzieję, że gdzieś natknie się przynajmniej na Lohberga.

Przed lokalem jakiś czas jeszcze utrzymywała się wrzawa. Potem rączym kłusem nadjechało sześciu konnych policjantów, a że konie, będąc zwierzętami posłusznymi, ale jednak trochę szalonymi, na wielu ludzi wywierają jakiś magiczny wpływ, to niewielkie hippiczne wzmocnienie okazało się decydujące. Esch widział jeszcze, jak pewną liczbę robotników ze skutymi rękami wyprowadzono wśród okropnego milczenia pozostałych, a potem ulica opustoszała. Gdziekolwiek stał jeszcze jeden z drugim, tam nie patyczkując się przeganiali ich opryskliwi i zniecierpliwieni policjanci i Esch powziąwszy uzasadnione przypuszczenie, że potraktują go nie mniej bezwzględnie, usunął się z drogi.

Poszedł do Lohberga. Ten do tej pory nie wrócił do domu i Esch stanął przed bramą, czekał w ciepłej wiosennej nocy. Oby Lohberga też nie wyprowadzili ze skutymi rękami. Chociaż właściwie byłoby to raczej pomyślnie. Rany, co by powiedziała Erna, gdyby zobaczyła przed sobą cnotliwca w kajdanach! Esch miał już zrezygnować z czekania, gdy nadszedł Lohberg, okropnie zdenerwowany, prawie płacząc. Czegoś takiego jeszcze nie widział i było to niesłychane. Pomału, z bardzo nieskładnej relacji, Esch dowiedział się, że zebranie miało z początku całkiem spokojny przebieg, choć pod adresem pana Geyringa, który bardzo pięknie mówił, padały różne plugawe okrzyki. Tak, a potem wstał taki jeden, najwidoczniej któryś z tych prowokatorów, co to sam pan Geyring o nich w południe wspominał, i wygłosił okropną mowę przeciwko posiadaczom, przeciwko państwu i nawet przeciwko cesarzowi, tak że oficer policji już zagroził, że zakończy zebranie, jeśli będzie dalej przebiegało w takim tonie. Z niezrozumiałych względów pan Geyring, który musiał przecież zdawać sobie sprawę, z jakim to ptaszkiem ma do czynienia, nie zdemaskował prowokatora, lecz nawet wziął go w obronę i domagał się wolności słowa. No, a potem robiło się coraz gorsze zamieszanie i w końcu zebranie zostało rozwiązane. Członków komitetu i pana Geyringa rzeczywiście aresztowano: on może to powiedzieć z całą pewnością, bo opuścił salę jako jeden z ostatnich.

Esch był skonsternowany, właściwie bardziej skonsternowany, niż się przed sobą przyznawał. Wiedział jedynie, że musi napić się wina, żeby świat doprowadzić do porządku: Martin, który był przeciwko strajkowi, został aresztowany, aresztowany przez policję, która trzymała z armatorami i byłym oficerem, co rzucił służbę, przez policję, która w niecny sposób targnęła się na niewinnego – może dlatego, że było się jej winnym głowę Nentwiga! Przy tym inspektor z portu zachował się wobec niego tak przyjaźnie, nawet go osłonił. Wzięła go nagła złość na Lohberga; przekłety idiota ze swoją wieczną lemoniadą przypuszczalnie tylko dlatego taki był wytracony z równowagi, że spodziewał się nieszkodliwego i budującego zebranka i nie pojmował, iż naprawdę może dojść do ostrego starcia. Ta zebraniomania raptem wydała się Eschowi wstrętna: po co istnieje tyle stowarzyszeń i zebrań? One tylko powiększają bałagan i prawdopodobnie one to wszystko spowodowały; szorstko ofuknął Lohberga. – Zabieraj się pan wreszcie z tą przekłętą lemoniadą, bo zwalę ją

ze stołu... jak byś pan się napił porządnego wina, to byś pan przynajmniej potrafił rozsądnie odpowiedzieć. – Ale Lohberg tylko patrzył na niego nierozumnie wielkimi oczami, których białka były poprzecinane czerwonymi żyłkami, i bynajmniej nie umiał rozproszyć wątpliwości Escha, wątpliwości, które na drugi dzień jeszcze przybrały na sile, gdy okazało się, że ładowacze i marynarze ze względu na aresztowanie swojego sekretarza związkowego Geyringa przerwali pracę. A prokuratura wniosła przeciwko Geyringowi oskarżenie o przestępstwo podżegania.

W czasie przedstawienia Esch siedział u Gernertha w tak zwanym biurze dyrekcji, które zawsze przypominało mu jego szklaną klatkę w magazynie. Na scenie występowali Teltscher z Iloną i słyszał, jak świszczące noże uderzają w czarną tablicę. Nad biurkiem znajdowała się biała, ozdobiona genewskim krzyżem skrzyneczka, która powinna zawierać opatrunki. Z pewnością już dawno żadnego w niej nie było i od dziesiątków lat nikt tej skrzyneczki nie otwierał, ale Esch był przekonany, że lada chwila wniosą Ilonę, aby opatrzyć jej krwawiące rany. Zamiast tego przyszedł Teltscher, nieco spocony i nieco dumny, wytarł rękawkiem dłonie i powiedział: – Za rzetelną pracę, za dobrą, solidną pracę... należy się płaca.

– Gernerth liczył w swoim notesie: wynajęcie sali – 22 marki, podatki – 16 marek, oświetlenie – 4 marki, honoraria... – Niech pan da spokój – odezwał się Teltscher – I tak znam to na pamięć... Cztery tysiące koron włożyłem w ten interes, nigdy już ich nie zobaczę... Że mnie coś takiego musi się przytrafiać... Panie Esch, może pan ma kogoś, kto wykupi mój udział! Może dostać dwadzieścia procent rabatu i jeszcze ekstra dziesięć prowizji dla pana. – Esch znał już te wybuchy i te oferty i nie reagował na nie, aczkolwiek chętnie by spłacił Teltschera, żeby ten zniknął razem z Iloną.

Esch był w złym humorze. Od uwięzienia Martina życie nabrało z gruntu mrocznych barw: że przekomarżanie się z Emą zrobiło się uciążliwe i nieznośne, to ostatecznie nie miało znaczenia, że jednak Bertrand miał konszachty z policją, że policja zachowała się nikkzemnie, to było co najmniej prowokujące, a na romans Ilony z Kornem, którego nie ukrywali już ani oni oboje, ani Erna, patrzyło się z przykrością. Był wstrętny. Nie chciał w ogóle o tym myśleć; Ilona to było przecież coś lepszego. Tak, najprzyjemniej byłoby, gdyby już nic się o niej nie wiedziało i gdyby zniknęła na zawsze. I tak samo prezes Bertrand wraz ze swoją Środkoworeńską Żegluga. Esch uprzytomnił to sobie w pełni dopiero, gdy weszła przebrana Ilona i usiadła, milcząca i poważna, a żaden z mężczyzn nie zwracał na nią uwagi. Niedługo przyjdzie po nią Korn; ostatnio stale tu bywał.

Ilonę ogarnęła prawdziwa namiętność do tego otyłego mężczyzny, może dlatego, że Baltazar Korn przypominał jej przynależną do podoficerskiego stanu młodzieńczą miłość, a może tylko, że był zupełnie inny od gładkiego, cherlawego, obojętnego i przy swojej cherlawości obdarzonego jednak sercem zimnym jak gład Teltschera. Nad tym wszakże Esch się nie zastanawiał; dość, że kobieta, z której sam zrezygnował, bo była powołana do wyższych celów, zamiast tego doznawała teraz poniżenia ze strony takiego Korna. Niewytłumaczalne pozostawało co najwyżej zachowanie Teltschera. Facet był niewątpliwie sutenerem, ale to nie musiało nikomu przeszkadzać. Zresztą cała ta historia niewiele mogła przynieść Teltscherowi: Korn co prawda nie kutwił i Ilona w nowej sukni, którą jej podarował, wyglądała wspaniale, tak wspaniale, że panna Erna nie sprzyjała już kosztownej miłostce brata z taką samą życzliwością jak na początku, ale przy tym wszystkim Ilona nie brała od Korna pieniędzy i swoje prezenty musiał on jej dosłownie wmuszać; tak bardzo go kochała.

Korn ukazał się w drzwiach i Ilona przy akompaniamencie wschodnich pieszczotliwych słów przypadła do jego opiętej mundurem piersi. Nie, na to nie można było patrzeć! Teltscher roześmiał się: – Niech się tam zabawi – a gdy tamci ruszyli do wyjścia, zawołał za nią po węgiersku jakieś najwidoczniej złośliwe słowa, które przyniosły mu nie tylko nienawistne

spojrzenie Ilony, lecz również na poły żartobliwą, na poły poważną zapowiedź Korna, że jeszcze kiedyś zatłucze tego żydowskiego nożownika. Teltscher się tym nie przejął i powrócił do swych ulubionych rozważań o interesach: – Musimy pokazać coś, co nie będzie nas drogo kosztowało i chwyci. – Oto pan Teltscher-Teltini dokonał wielkiego odkrycia – powiedział Gernerth i wrócił do swych notatek z obliczeniami. Potem podniósł wzrok: – A jakby to było z damskimi zapasami? – Teltscher gwizdnął przez zęby: – Trzeba by się zastanowić, naturalnie całkiem bez pieniędzy to nie przejdzie. – Gernerth kreślił jakieś cyfry: – Trochę pieniędzy trzeba, nie takich strasznych, baby dużo nie kosztują. Jednakże trykoty... Należałoby kogoś tym zainteresować. – Ja bym je przyuczył – powiedział Teltscher – i byłbym za sędziego. Ale Mannheim? – Zrobił pogardliwą minę. – Jak gdyby ktoś nie zauważył, jak tu interes idzie. Co pan o tym myśli, Esch? – Esch nie miał wyrobionej opinii, lecz zbudziła się w nim nadzieja, że wraz ze zmianą miejsca można by wyrwać Ilonę ze szponów Korna. A że nasunęło mu się to samo przez się, odparł, że Kolonia wydaje mu się znakomitą areną dla walk zapaśniczych; zeszłego roku w tamtejszym cyrku dawali zapasy, wszelako na poważnie, i było pełnusiętko. – My też poważnie podejmiemy do sprawy – oznajmił Teltscher. Długo jeszcze rozprawiali i na koniec stanęło na tym, że w czasie rychłej bytności w Kolonii Esch rozmówi się z agentem Oppenheimerem, do którego Gernerth uprzednio napisze. A gdyby Eschowi udało się na dodatek wystraszyć skądś pieniądze na to przedsięwzięcie, to byłaby to nie tylko przyjacielska przysługa, ale i jemu samemu też by coś kapnęło.

Esch nie wiedział na razie o żadnym nadzianym protektorze. Ale w skrytości ducha myślał o Lohbergu, który mógł uchodzić za człowieka nieomal bogatego. Czy cnotliwy Józef zdoła się zainteresować damskimi zapasami?

Mimo że wskutek aresztowań marynarze i robotnicy portowi zostali od razu pozbawieni kompetentnego kierownictwa, strajk ciągnął się już dziesięć dni. Było wprawdzie trochę łamistrajków, lecz że nie wystarczało ich do obsługi załadunków kolejowych, a żegluga i tak została częściowo sparaliżowana, używano ich tylko do najpilniejszych robót. W składach panował niedzielny spokój. Esch był poirytowany, ponieważ przed końcem strajku prawdopodobnie nie będą mogli go przenieść, i wałęsał się beczynnym po magazynie, ocierał się plecami o futrynę drzwi i w końcu ułożył list do matki Hentjen. Opowiedział o okolicznościach uwięzienia Martina, opowiedział o Lohbergu, nic jednak nie wspomniał o Ernie i Kornie, bo go to brzydziło. A potem znowu kupił widokówki i powysyłał je do pewnej liczby dziewczyn, z którymi sypiał w ostatnich latach i których imiona pamiętał. Na dworze majstrowie i magazynierzy stali razem w cieniu, a za półotwartymi rozsuwanymi drzwiami towarowego wagonu grano w karty. Esch rozmyślał, do kogo by tu jeszcze napisać, i usiłował zliczyć kobiety, które dotychczas posiadał. Gdy mu się nie udało, było to jak zniszczony spis magazynowy i żeby dojść z tym do ładu, zaczął na kartce spisywać imiona, dodając do nich miesiąc i rok. Potem zsumował i był zadowolony, zwłaszcza kiedy przyszedł Korn i zgodnie ze swoim zwyczajem znowu mu obwieścił, że Ilona to wspaniała kobieta i ognista Węgierka. Esch wetknął spis do kieszeni i dał się Kornowi wygadać; długo to on już gadać nie będzie. Najpierw musi skończyć się strajk, a potem pan inspektor celny będzie mógł pognać za swoją Iloną do Kolonii albo jeszcze dalej, na koniec świata. I było mu go wręcz żal, że nie wiedział, co go czeka; Baltazar Korn beztrudno chępił się swoją zdobyczą, a nagadawszy się już dość o Ilonie wyciągnął talię kart. Po bratersku szukali trzeciego i grali potem cały dzień.

Wieczorem Esch zaszedł do Lohberga, który siedział w sklepie z papierosem w ustach, zatopiony w wegetariańskich pismach. Odłożył je po wejściu Escha i zaczął mówić o Martinie: – Świat jest zatruty – powiedział – nie tylko nikotyną, alkoholem i zwierzęcym pożywieniem, ale jeszcze gorszą trucizną, której prawie nie znamy... Jest zupełnie tak jak wówczas, gdy pękają wrzody. – Oczywiście miał wilgotne i jakby rozgorączkowane, robił wrażenie

niezdrowego; może faktycznie trawiła go trucizna. Esch stał przed nim, chudy i krzepki, ale po długim graniu w karty miał pustkę w głowie i nie pojął sensu idiotycznego gadania, nie pojął bodaj, że odnosiło się ono do uwięzienia Martina; wszystko spowijała idiotyczna mgła i wyraźne było jedynie pragnienie, żeby jasno postawić kwestię udziału w teatralnym interesie. Nie uznawał kluczenia: – Chcesz pan mieć udział w teatrze Gernertha? – Było to dla Lohberga zaskakujące pytanie i z wybałuszonymi oczyma wykrztusił tylko: – Hm? – Właśnie, czy chcesz pan wejść do teatralnego interesu? – Ale ja już mam interes z cygarami. – Cały czas jęczałeś pan, że go nie lubisz, więc pomyślałem, że może w czymś innym będziesz pan szczęśliwszy. – Lohberg potrząsnął głową: – Póki żyje moja matka, muszę prowadzić dalej sklep z cygarami; w połowie jest przecież jej własnością. – Szkoda – stwierdził Esch. – Teltscher mówi, że na damskich zapasach można zarobić sto procent. – Lohberg nawet nie zapytał, co to za historia z tymi zapasami, ale też powiedział jedynie: – Szkoda. – Esch ciągnął: – Ja też mam dość swojej roboty. Teraz strajkują; porzygać się można, jak tępo się tam wysiaduje. – To co pan pocznie? Też zajmie się pan teatrem? – Esch zastanowił się; zajmując się teatrem to znaczyło siedzieć razem z Gernerthem i Teltscherem w jakimś zakurzonej biurze dyrekcji. Artystki też już mu obrzydły, odkąd obijał się za kulisami; nie różniły się zbyt od Hede czy Thusneldy. Właściwie dzisiaj w ogóle nie wiedział, czego chce, taki jałowy był ten dzień. Powiedział: – Wyjadę, do Ameryki. – W ilustrowanym piśmie widział zdjęcia z Nowego Jorku; przypomniały mu się teraz; była tam również fotografia z amerykańskiej walki bokserskiej i naprowadziła go z powrotem na walki zapaśnicze. – Jak raz-dwa zarobię na podróż, to już mnie nie ma. – Sam był zdumiony, że mówił to poważnie i zaczął na serio liczyć; miał prawie trzysta marek; gdyby je włożył w zapaśniczy interes, mógłby je rzeczywiście pomnożyć, i dlatego to on, silny, zdolny do pracy człowiek z buchalteryjną praktyką, nie miałby równie dobrze jak tu spróbować szczęścia w Ameryce. Przynajmniej zobaczyłby wtedy kawałek świata. Może Teltscher i Ilona zostaną już wówczas zaangażowani do Nowego Jorku, o czym Teltscher stale mówił. Lohberg przerwał jego tok myśli: – Pan to akurat zna języki, czego ja niestety o sobie nie mogę powiedzieć. – Esch przytaknął z zadowoleniem; tak, z francuskim to on już sobie jakoś poradzi, a angielski to też nie będzie czarna magia – ale na to, żeby mieć udział w zapaśniczym interesie, Lohberg nie musi znać języków. – Nie, na to nie, ale na Amerykę – odparł Lohberg. I choć nie mieściło mu się w głowie, że ktoś tam czy on sam miałby mieszkać w innym mieście niż Mannheim, stali się nieomal towarzyszami podróży, omawiali koszty przejazdu i sposoby ich pokrycia. Toteż naturalną, logiczną kolejną rzeczy powrócili do szans zarobienia na damskich walkach zapaśniczych i Lohberg po rozważeniu różnych okoliczności doszedł do wniosku, że może bez problemu wycofać z interesu tysiąc marek i ulokować je u Gernertha. To wprawdzie nie wystarczało na wykupienie udziału Teltschera, stanowiło jednak zupełnie ładny początek, zwłaszcza jak się doliczyło trzysta marek Escha.

Dzień skończył się lepiej, niż się zaczął. Wracając do domu Esch rozmyślał nad tym, skąd wytrzasnąć resztę pieniędzy, i przyszła mu na myśl panna Erna.

Jakkolwiek Ernę bardzo kusilo, żeby przywiązać Escha do siebie świadczeniami finansowymi, to i w tej dziedzinie równie mocno trzymała się zasady, że przedmiot pożądania odda dopiero poślubionemu małżonkowi. Gdy filuternie wyjawiała ten pogląd, Esch się rozżłościł: Co ona sobie o nim myśli! Czy on może żąda pieniędzy dla siebie? Ale wypowiadając te słowa czuł, że to nieprawda, że właściwie wcale nie szło o pieniądze i że panna Erna była jeszcze w dużo większym błędzie, niż to można było jej wytłumaczyć – naturalnie pieniądze miały posłużyć do wykupienia Ilony, naturalnie należało jedynie zapobiec temu, żeby kiedykolwiek ktoś znów rzucał nożami w bezbronną dziewczynę, naturalnie on nie chciał pieniędzy dla siebie, ale to bynajmniej nie było wszystko, bo poza tym nie chciał już nic od samej Ilony – za nic na świecie, skoro pieniądze dawali inni – i

nawet mu odpowiadało, że musi zrezygnować, gwizdał na Ilonę! Jemu chodziło o sprawę wyższego rzędu i słusznie był oburzony, że Erna posądzała go o chciwość, usprawiedliwione było, że ją szorstko ofuknął: to już niech ona da sobie spokój i zatrzyma swoje pieniądze. A ona jego impertynencję wzięła za poczucie winy, cieszyła się, że go przyłapała, i chichotała, że to dla niej nic nowego, wspominając przy tym owego komiwojażera w Hof, który nie tylko wkradł się w jej łaski, lecz co gorsza ograbił ją z pięćdziesięciu marek.

W ogóle panna Erna miała dziś dobry dzień. Esch zażądał od niej czegoś, czego mogła mu odmówić, a poza tym włożyła nowe pantofle, które dostarczały jej radosnych doznań i w których dobrze się stało. Usiadła na kanapie, a że był to gest swawolny i trochę szyderczy, wysunęła stopy spod sukni i zaczęła kołysać ich czubkami; mile brzmiało lekkie skrzywienie skóry i przyjemnie robiło się w podbiciu. Nie czuła więc ochoty kończyć zabawnej rozmowy i mimo kropki nad i, jaką gburowato postawił Esch, zapytała powtórnie, na co mu tyle pieniędzy. Esch znowu odpowiedział, żeby zatrzymała swoje pieniądze. Taki Lohberg cieszy się z tego, że może mieć udział w teatralnym przedsięwzięciu. – O, pan Lohberg – odparła panna Erna. – Ten to jest przy forsie, może sobie pozwolić. – I z przekorą, która cechuje pewne sytuacje miłosne i za której sprawą panna Erna prędzej oddałaby się teraz komuś obojętnemu aniżeli panu Eschowi, bo ten mógł tego dostąpić tylko po ślubie, była zdecydowana podrażnić Escha i oddać pieniądze do dyspozycji nie jemu, lecz Lohbergowi. Kołysała czubkami stóp: – Ba, w spółce z panem Lohbergiem to byłoby coś innego. To solidny kupiec. – To idiota – oznajmił Esch częściowo z przekonania, częściowo z zazdrości i ta zazdrość podobała się pannie Ernie, bo przecież ją miała na celu. Próbowwała jąrzyć ranę: – Panu ich nie dam. – Ale okazało się to dziwnie bezskuteczne. Co go to właściwie obchodziło? Przecież zrezygnował z Ilony i w gruncie rzeczy to Korn powinien był postarać się wybawić ją od noży. Esch spoglądał na kołyszące się czubki pantofli Erny. Ale by zrobiła wielkie oczy, gdyby się jej powiedziało, że koniec końców ma dać te swoje pieniądze dla Baltazara. Naturalnie to też by nie załatwiało sprawy. Może właściwie powinien by był zapłacić Nentwig. Bo żeby świat został wybawiony, trzeba, jak mówi Lohberg, dopaść do siedliska trucizny; a siedliskiem trucizny był Nentwig, może nawet coś, co kryło się za Nentwigiem, coś większego – może tak wielkiego i tak ukrytego jak pewien prezes w swej niedostępności – coś, czego się nie znało. Wszystko to mogło doprowadzić człowieka do wściekłości i Esch, chłop przecież silny i bynajmniej nie nerwowy, miał chęć kopnąć pannę Ernę w rozkołysane stopy, żeby znieruchomiały. Zapytała: – Podobają się panu moje pantofle? – Nie – odrzekł Esch. Panna Erna była zaskoczona: – Panu Lohbergowi będą się podobały... Kiedy pan go przyprowadzi? W ostatnim czasie po prostu go pan ukrywa... Może z zazdrości, panie Esch? – Proszę bardzo, on może go przyprowadzić natychmiast, skoro ona tak za nim tęskni, stwierdził Esch mając nadzieję, że tych dwoje dogada się w interesach. – Nie musi przychodzić zaraz – powiedziała panna Erna – ale wieczorem na kawę. – W porządku, on mu to przekaże, odparł Esch i oddalił się.

Lohberg przyszedł. Trzymał w dłoni filiżankę z kawą i machinalnie w niej mieszał. Nawet pijąc zostawił łyżeczkę w filiżance, tak że szturchała go w nos. Esch siedział nadęty, pytał, czy przyjdzie Baltazar z Iloną, i zadawał jeszcze inne nietaktowne pytania. Panna Erna nie słuchała. Z zainteresowaniem przyglądała się rachitycznej głowie pana Lohberga i jego wielkim białym gałkom ocznym; doprawdy, wyglądał całkiem tak, jak gdyby niewiele trzeba by było zrobić, żeby go doprowadzić do płaczu. I zastanawiała się, czy płakałby w uniesieniu i miłosnym szale; była zła na brata, bo to on wpakował ją w tę beznadziejną sprawę z Eschem, tym grubianinem, co zbijał ją z tropu, podczas gdy o parę domów dalej był sobie zamożny kupiec, który rumienił się, ilekroć na nią spojrział. Czy miał już do czynienia z kobietą? I z tych wszystkich powodów i żeby podrażnić Escha, zręcznie skierowała rozmowę na miłość: – Czy pan, panie Lohberg, też jest zatwardziałym kawalerem? Jeszcze pan pożałuje na stare lata, kiedy nie będzie miał kto pana pielęgnować w chorobie.

Lohberg zarumienił się: – Czekam po prostu na tę właściwą, panno Korn.

– I jeszcze się nie pokazała? – Panna Erna uśmiechnęła się obiecująco i wysunęła stopę spod rąbka spódnicy. Lohberg odstawił filiżankę i wyglądał na bezradnego. Esch powiedział zjadliwie: – On zwyczajnie jeszcze nie próbował.

Lohberg przywołał na pomoc swoje przekonania: – Kocha się tylko raz, panno Korn.

– O! – rzekła panna Erna.

Było to jednoznaczne i jasne. Esch wręcz wstydził się swego rozwiązłego życia i wydawało mu się rzeczą nieodległą od prawdy, że to wielka i jednorazowa miłość związała panią Hentjen z jej małżonkiem i że może to z tego powodu od swoich gości wymagała ona obyczajności i powściągliwości. Jednakże dla pani Hentjen było to z pewnością straszne, że za krótkotrwałe szczęście musi płacić wyrzeczeniem się wszelkiej późniejszej miłości, i dlatego powiedział: – No dobrze, ale jak to w takim razie jest z wdowami? Żadna nie miałyby prawa dalej żyć... W szczególności nie mając dzieci... – A ponieważ zapamiętywał niejedno, co wyczytał w ilustrowanych pismach, dorzucił: – Wdowy należałoby właściwie palić, żeby... tak, żeby je w jakiś sposób wybawić.

– Z pana to jest brutalny człowiek, panie Esch – odezwała się panna Erna. – Czegoś tak szkaradnego pan Lohberg nigdy by nie powiedział.

– Wybawienie leży w ręku Boga – oznajmił pan Lohberg. – Kogo obdarzył łaską miłości, ten zachowuje ją poza śmierć.

– Pan jest mądrym człowiekiem, panie Lohberg, i niejednen powinien wziąć sobie do serca pańskie piękne słowa – stwierdziła panna Erna. – To by dopiero było: dać się spalić dla mężczyzny! Taka nikczemność...

– Gdyby nam się żyło sprawiedliwie – powiedział Esch – niepotrzebne do wybawienia byłyby pańskie głupie stowarzyszenia... tak, tak, dziw się pan... – Krzyknął niemal: – Nie trzeba by było żadnej Armii Zbawienia, gdyby policja zamykała tych, co na to zasługują... zamiast niewinnych.

– Ja to bym wyszła tylko za takiego, co ma widoki na emeryturę albo wdowie po sobie zostawi coś na życie, jakieś zabezpieczenie – oświadczyła panna Erna. – Na to człowiek po zamążpójściu zasługuje.

Esch poczuł do niej pogardę. Matka Hentjen nigdy by nie mówiła w ten sposób. A Lohberg zauważył: – Kto o dom swój zadbać nie potrafi, złym jest gospodarzem.

– Pańska żona będzie bardzo szczęśliwa – powiedziała panna Erna. Lohberg kontynuował: – Jeżeli Bóg da mi to szczęście, że znajdę sobie towarzyszkę, to mam nadzieję oznajmić z całą stanowczością, że będziemy żyli w małżeństwie chrześcijańskim. Odseparujemy się od świata żyjąc tylko własnym szczęściem.

– Jak Baltazar z Iloną... – zadrwił Esch. – A wieczorem taki jeden może w nią rzucać nożami.

Lohberg był oburzony: – Kto się takim fuzlem upija, ten nie zdoła docenić łyku kryształowej wody, panno Kora. Namiętność to nie jest miłość.

Panna Erna wzięła kryształowość do siebie i była pochlebiona: – Suknia, co jej podarował, kosztowała trzydzieści osiem marek; dowiedziałam się w sklepie. Żeby tak ograbić mężczyznę... Ja bym się na to nigdy nie zdobyła.

Esch powiedział: – Trzeba zaprowadzić porządek. Jeden siedzi niewinnie, a drugi chodzi sobie wolno; zabić by go należało albo zabić się samemu.

Lohberg mitygował: – Nie igra się z ludzkim życiem.

– Nie – oznajmiła panna Erna – żonę, co nie ma uczucia dla męża, należałoby zabić... Ja tam, troszcząc się o męża, powodowałabym się uczuciem.

– Prawdziwa, ewangeliczna miłość – powiedział Lohberg – zasada się na wzajemnym szacunku.

– I będzie pan szanował swoją żonę, choćby nie była taka jak pan wykształcona... też powodując się uczuciem, tak bardziej po kobiecemu.

– Tylko powodując się uczuciem jest się zdolnym i gotowym do przyjęcia prawdziwej, zbawczej łaski.

Panna Erna stwierdziła: – Pan to z pewnością jest dobrym synem, panie Lohberg, takim, co to potrafi być wdzięcznym swojej mamusi.

Esch wpadł w złość, sam nie pojmował, dlaczego aż tak wielką: – Dobry syn czy niedobry... ja tam gwizdę na wdzięczność... Dopóki przyglądamy się beczynnemu, że dzieje się niesprawiedliwość, nie będzie na tym świecie wybawienia... Czemu Martin poświęcił się i siedzi?

Lohberg odparł: – Pan Geyring jest ofiarą trucizny, która zżera świat. Dopiero jak ludzie powrócą do natury, przestaną sobie wyrządzać zło.

Panna Erna oznajmiła, że też kocha naturę i często chodzi na spacer. Lohberg ciągnął: – Dopiero w swobodnej Bożej naturze, która nas orzeźwia, budzą się szlachetne uczucia człowieka.

– Tym sposobem – powiedział Esch – nikogo pan nie wyciągnie z mamra.

Panna Erna stwierdziła: – To pan tak mówi... a ja mówię, że człowiek pozbawiony uczucia nie jest człowiekiem. Ktoś tak niestały jak pan, panie Esch, w ogóle nie ma prawa głosu... A tacy są wszyscy.

– Jak można tak źle myśleć o świecie, panno Korn?

Panna Erna westchnęła: – Życiowe rozczarowania, panie Lohberg.

– Jednakże podtrzymuje nas nadzieja, panno Korn.

Panna Erna w zamyśleniu powiedziała w pustkę:

– Ba, gdyby nie było nadziei... – Potem potrząsnęła głową. – Mężczyźni nie mają uczucia, a jak jest za dużo rozumu, to też źle.

Esch zastanawiał się, czy pani Hentjen i jej małżonek zaręczając się mogli tak rozmawiać. Jednakże Lohberg powiedział: – W Bogu i Bożej naturze cała nadzieja.

Erna nie chciała być gorsza od Lohberga: – Ja, chwala Bogu, regularnie chodzę do kościoła i do spowiedzi... – I triumfalnie dodała: – A nasza święta religia katolicka ma chyba jeszcze więcej uczucia niż luterńska – gdybym była mężczyzną, to nie chciałabym wziąć luteranki.

Lohberg był zbyt uprzejmy, żeby się sprzeciwić: – Każde zwrócenie się ku Bogu na taki sam szacunek zasługuje... Kogo Bóg łączy, temu daje też możliwość pozostania razem... Musi być tylko dobra wola.

Cnotliwość Lohberga znów zbudziła w Eschu odrazę, choć przecież z tego właśnie względu porównywał go często z matką Hentjen. Wybuchnął: – Gadać to potrafi każdy idiota.

Panna Erna powiedziała lekceważąco: – Pan Esch to naturalnie weźmie każdą, nie pytając o uczucie i o świętą religię; byle tylko miała pieniądze.

Pan Lohberg odparł, że po prostu nie może w to uwierzyć.

– Niech pan spokojnie uwierzy, ja go znam, on nie ma żadnego uczucia i w ogóle nad niczym się nie zastanawia... Nie każdemu przychodzą do głowy takie myśli jak panu, panie Lohberg.

W takim razie jemu bardzo go żal, wyznał Lohberg, bo dla takiego człowieka niedostępne jest wszelkie szczęście świata. Esch wzruszył ramionami; co tam on wiedział o nowym świecie! Powiedział drwiąco: – Najpierw zrób pan porządek.

Panna Erna natomiast znalazła rozwiązanie: – Jak dwoje ludzi pracuje razem, jak panu na przykład w sklepie pomaga żona, to cała reszta przyjdzie sama, nawet jeśli mąż jest luteraninem, a żona katoliczką.

– Na pewno – zgodził się Lohberg.

Jaszczurcze spojrzenie panny Erny muskało Escha, kiedy mówiła: – Czy miałby pan coś przeciwko temu, panie Lohberg, żebym i ja przystąpiła do tego teatralnego przedsięwzięcia, o którym mówił pan Esch? Teraz, kiedy mój brat taki jest lekkomyślny, ja przynajmniej muszę zadbać, żeby w domu nie zabrakło pieniędzy.

Jakże pan Lohberg mógłby mieć coś przeciwko temu! I gdy panna Erna powiedziała, że chce wyłożyć połowę swoich oszczędności, a więc około tysiąca marek, wykrzyknął, a pannie Ernie miło było to usłyszeć: – Ach, wobec tego będziemy współnikami!

Mimo to Esch był niezadowolony. To, że przeforsował swoją wolę, straciło naraz na znaczeniu, czy przez to, że i tak zrezygnował z Ilony, czy przez to, że chodziło mu o ważniejsze cele, ale może tylko dlatego – i to była jedyna rzecz, którą sobie uprzytomnił – że nagle obudziły się w nim poważne wątpliwości: – Proszę najpierw porozmawiać z Gernerthem, z dyrektorem Gernerthem. Ja tylko zwróciłem uwagę na przedsięwzięcie, ale nie biorę żadnej odpowiedzialności.

Cóż, powiedziała panna Erna, ona już wie, że z niego człowiek nieodpowiedzialny, ale niech się nie obawia, iż zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. Z niego to w ogóle typ niechrześcijański i mały palec pana Lohberga jest jej miłszy niż pan Esch w całej okazałości. A pan Lohberg niech częściej przychodzi do niej na kawę. Tak? A że zrobiło się późno i oni już się podnieśli, wzięła Lohberga pod rękę. Lampa z góry oblewała ich głowy łagodnym blaskiem i oto stali oboje przed Eschem jak nowo skojarzona para narzeczonych.

Esch zdjął surdut i powiesił na wieszaku. Potem zaczął go szcztokować, otrzepał i obejrzał znoszony kołnierz. Znów coś mu ani rusz nie grało. Zrezygnował z Ilony, a teraz musi patrzeć, jak Erna odwraca się od niego i ofiarowuje serce temu idiotcie. To było wbrew wszelkim buchalteryjnym regułom, które wymagają, jak wiadomo, żeby każda pozycja po jednej stronie miała swój odpowiednik po drugiej. Wszelako – energicznie zamachał surdudem w rękę – gdyby zechciał, to jakiś tam Lohberg tak szybko by go nie wysadził z siodła, on mu jeszcze pokaże, nie, takim ciamajdą to August Esch na pewno nie jest, i zrobił już kilka kroków w stronę drzwi, zatrzymał się jednak, nim otworzył: ach, co tam, przecież wcale mu się nie chciało. Tamta osoba mogłaby sobie pomyśleć, że przylazł do niej tylko i wyłącznie przez wdzięczność za jej nędzny tysiąc marek. Esch wrócił do łóżka, usiadł i rozsznurował buty. W zasadzie wszystko było w porządku. I to, że w gruncie rzeczy było mu żal, iż nie może przespać się z Erną, też było w porządku. Jak poświęcenie, to poświęcenie. Mimo to pozostawał nie wyjaśniony błąd w księgowaniu, na który nie potrafił od razu wpaść: dobra, nie pójdzie do tego babska, wyrzeknie się przyjemności; jednakże dlaczego to robi? żeby wykręcić się od małżeństwa? Bierze zatem na siebie mniejsze poświęcenie, żeby uniknąć prawdziwego poświęcenia i nie musieć płacić sobą. Esch powiedział: – Jestem Świnia. – Tak, był świnia, ani odrobinę nie lepszą od Nentwiga, który też wykręcał się od odpowiedzialności. Mętlik, w którym może diabeł by się rozeznał.

A bez porządku w księgach nie ma również porządku w świecie, póki zaś nie nastanie porządek, Ilona będzie nadal wystawiona na noże, Nentwig w dalszym ciągu będzie zuchwale i obłudnie uchylać się od kary i Martin będzie wiecznie gnić w więzieniu. Głowił się i głowił, aż gdy spuszczał kalesony, przyszło olśnienie: tamci na projektowane walki zapaśnicze dali swoje pieniądze, więc on, nie mając pieniędzy, powinien zapłacić sobą, co prawda nie wiążąc się małżeństwem, lecz oddając się nowemu projektowi. A że było to niestety nie do pogodzenia z jego mannheimską posadą, będzie musiał wymówić. W taki to sposób mógł zapłacić.

I uznał w tym momencie, że to dla niego sprawdzian: nie wypada mu pozostawać dłużej w firmie, która wpakowała Martina do więzienia. I nikt nie miał prawa zarzucać mu z tego powodu przewierstwa; nawet pan prezes będzie musiał zdać sobie sprawę, że Esch to porządny chłop. Teraz Esch nie myślał już o Ernie i uspokojony położył się do łóżka. Fakt, że

przyjemnie byłoby mimochodem wrócić do Kolonii i do lokalu matki Hentjen, pomniejszał co prawda poświęcenie, zbytnio jednak nie ważył; matka Hentjen nawet nie odpowiedziała na jego list. A lokali i w Mannheim było pod dostatkiem. Nie, powrót do Kolonii, do tego okropnego miasta, był bardzo nieznacznym pomniejszeniem poświęcenia, stanowił co najwyżej skonto przy zapłacie, a skonto na pewno było dozwolone.

Chęć podzielenia się wieścią o sukcesie już wczesnym rankiem pognała go do Gernertha: tak prędko wytrzasnąć dwa tysiące marek to był wyczyn! Gernerth poklepał go po ramieniu i nazwał chwatem. Jego decyzja, że zrezygnuje z posady i zajmie się zapasami, zdumiała Gernertha; jednakże nie mógł mieć nic przeciwko temu. – Już my sobie poradzimy, panie Esch – powiedział i Esch pojechał do centrali Środkoworeńskiej.

Na wyższych piętrach biurowca Żeglugi Środkoworeńskiej były długie, ciche korytarze, wyłożone brązowym linoleum. Drzwi były opatrzone porządnymi tabliczkami, a na końcu jakiegoś korytarza siedział za stołem woźny, spytał, do kogo się idzie, i w kopiale ołówkowym zapisał nazwisko i życzenie petenta. Esch szedł korytarzem, a że robił to po raz ostatni, obserwował wszystko dokładnie. Odcyfrowywał tabliczki z nazwiskami na drzwiach, a natknąwszy się niespodziewanie na nazwisko kobiety przystanął i próbował wyobrazić sobie osobę za tymi drzwiami: czy była zwykłą urzędniczką, która w czarnych zarękawkach liczyła przy ukośnym pulpicie i jak wszyscy inni rozmawiała z interesantem chłodno i obojętnie? Zapragnął nagle tej nieznajomej kobiety zza drzwi i zrodziło się w nim wyobrażenie nowej, prostej, niejako urzędowej i pouczającej formy miłości, miłości, która powinna być tak gładka, tak chłodna, a przecież tak rozległa i przestronna jak te wyłożone gładkim linoleum korytarze. A potem zobaczył długi szereg drzwi z wieloma nazwiskami mężczyzn i nasunęła mu się nieodparta myśl, że owa samotna kobieta była z pewnością takim męskim otoczeniem nie mniej zbrzydzone niż matka Hentjen swoją gospodą. Znowu zbudziła się w nim złość na świat interesu, złość na organizację, która pod pozorem wzorowego porządku, gładkich korytarzy, nienagannej buchalterii skrywa wszelkie bezczelności. I to mieni się solidnością. Czy ktoś jest prokurentem, czy prezesem, między kupcem a kupcem nie ma różnicy. I jeśli Esch przez chwilę żałował, że już nie jest członkiem wzorowej organizacji, że już nie należy do tych, co mogą tu bywać bez zatrzymywania, wypytywania czy anonsowania przez woźnych, to teraz przestał żałować czegokolwiek, za każdymi drzwiami widząc tylko Nentwiga, samych Nentwigów, wszyscy sprzysiężeni i dbający o to, żeby Martin gnił w więzieniu. Najchętniej zszedłby na dół do buchalterii, najchętniej powiedziałby tamtejszym zaślepięcom, że oni też powinni wreszcie wyrwać się z niewoli złudnych cyfr i kolumn, wyzwolić się jak on, tak, powinni to zrobić, nawet podejmując ryzyko, że potem jak on i razem z nim musieliby emigrować do Ameryki.

– To pan miał u nas tylko krótki występ gościnny – powiedział przyjaźnie szef personalny, w którego biurze złożył rezygnację i zażądał świadectwa, i Esch gotów był wyjawić prawdziwe powody odejścia z tej nikczemnej firmy. Ale musiał poniechać tego, bo przyjazny szef personalny zajął się zaraz innymi sprawami, powtarzając wszelako: – Krótki występ gościnny... krótki występ... – powtarzając całkiem sympatycznie, jak gdyby te słowa szczególnie mu się podobały i jak gdyby słowami „występ gościnny” usiłował zasugerować, że teatr nie jest zbyt różny czy zgoła lepszy od instytucji, którą Esch zamierzał właśnie opuścić. Cóż szef personalny mógł o tym wiedzieć? Czyżby w końcu chciał mu zarzucić zdradę i zaatakować znieścacka? Obrzydzić mu nowe zajęcia? Podejrzliwie śledził Esch ruchy tego mężczyzny i podejrzliwie sprawdzał wręczony dokument, choć dobrze wiedział, iż przy zapasach nikt nie będzie pytał o świadectwo. A że nie odstępowała go myśl o teatrze, nawet wówczas, gdy po brązowym linoleum zdązał ku schodom, nie zwracał już uwagi na spokój i porządek tego budynku, nie myślał o drzwiach z kobiecym nazwiskiem, koło których przemknął, i nie widział też tabliczki: „Buchalteria”, ba, nawet dyrekcja i prezydium z całą swoją pompą w głównym gmachu były mu obojętne. Dopiero na ulicy przyjrzał mu się, na

pożegnanie, jak sobie powiedział, i był z lekka rozczarowany, że przed głównym wejściem nie stoi ekwipaż. W gruncie rzeczy Bertranda chętnie by raz zobaczył. On się wciąż ukrywa; jak Nentwig. Naturalnie lepiej go nie oglądać, w ogóle nie oglądać, jego i całego Mannheim ze wszystkimi szykanami. Żegnaj na zawsze, powiedział sobie Esch, ale okazało się, że nie potrafi rozstać się tak szybko, stanął mrużąc oczy, bo na asfalcie nowej ulicy lśniło gładko południowe słońce, stanął i czekał, że może jednak szklane wrota obrócić się bezszelestnie w zawiasach i ukaże się pan prezes. Ale chociaż w migotliwym blasku słońca mogło się wydawać, iż skrzydła wrót drgają, tak że przypomniały się nieodparcie skrzydła wahadłowych drzwi za bufetem, było to tak zwane złudzenie zmysłowe i skrzydła trwały nieporuszenie w swych marmurowych obramieniach. Nie otworzyły się i nikt nie wyszedł. Esch odczuł to jako bezczelność; oto on musi tu stać w prażącym słońcu, ponieważ Środkoworeńska rozsiadła się przy butnej, nowej, asfaltowej ulicy zamiast jednej z chłodnych, piwnicznie mrocznych uliczek; nasunął mu się cytat z Götza, zrobił w tył zwrot, długimi, nieco sztywnymi krokami przeszedł na drugą stronę ulicy, skręcił na najbliższym rogu, a wskakując na stopień turkoczącego tramwaju był ostatecznie zdecydowany już nazajutrz opuścić Mannheim i pojechać do Kolonii, aby podjąć pertraktacje z agentem teatralnym Oppenheimerem.

Naturalnie był to dla Escha dyshonor, że pani Hentjen wciąż jeszcze nie odpowiedziała na jego list, skoro przecież w życiu kupieckim przyjęte jest załatwianie korespondencji w stosownym terminie, a już list prywatny to niewątpliwie rzecz specjalna, niepowседневna. Wszelako milczenie matki Hentjen można było wytłumaczyć jej charakterem. Jak wiadomo, wystarczyło, żeby ktoś złapał ją za rękę albo spróbował pogłaskać którąś z jej krągłości, a już pojawiała się owa zastygła, pełna odrazy mina, którą bez słowa poskramiała natrętów; być może z podobnymi uczuciami wzięła też do ręki jego list. W końcu list to coś, co zostało powalane ręką autora, coś zbliżonego mniej więcej do brudnej bielizny, i taki pogląd bez wahania można było przypisać matce Hentjen. Była po prostu inna niż inne kobiety; nie należała do tych, co to rano wchodzą do jego nie posprzątanego pokoju i nawet im nie przeszkadza, że on akurat stoi przy umywalce: nie była Erną, nigdy by się nie domagała, żeby o niej myślał i pisał piękne, czule listy. I nie była taką, co by się zadawała z jakimś tam Kornem, choć stąpała po ziemi dużo bardziej pewnie niż Ilona. Na pewno matka Hentjen to było coś lepszego, jednakże miał wrażenie, że musi ona w ziemskości sztucznie bronić tego, co Ilonie było dane z góry. I jeśli by poczuła odrazę do jego listu, to byłoby to zupełnie słuszne; nieomal pragnął usłyszeć od niej złe słowa: wydawało się, iż ona wie, jak on się znowu prowadził, i poczuł znowu owo spojrzenie, którym stale go karciała, ilekroć zadał się z Hede; nawet tego nie chciała tolerować, a przecież dziewczyna pracowała bądź co bądź w jej własnej gospodzie.

Gdy wszakże Esch wrócił do Kolonii i pierwsze kroki skierował do matki Hentjen, został powitany bez upragnionej poufałości i bez oczekiwanej z lękiem odrazy. Powiedziała jedynie: – To jest pan z powrotem, panie Esch, miejmy nadzieję, że na dłużej – i on wydał się sobie kimś, kto już przestał się liczyć, poczuł się wręcz skazany na to, by po wsze czasy wegetować kątem u Kornów. A gdy później pani Hentjen przyszła jednak do jego stolika, uraziła go nawet jeszcze głębiej pytając jedynie o Martina: – No to pan Geyring się doczekał – ona ostrzegała go dostatecznie często. Esch udzielił lakonicznej odpowiedzi; to, co wie, i tak już spisał. – Racja, muszę panu jeszcze podziękować za list – powiedziała pani Hentjen i to było wszystko. Mimo rozczarowania wyjął pakiecik: – Przywiozłem pamiątkę z Mannheim. – Była to wykonana z brązu kopia pomnika Schillera sprzed mannheimskiego teatru i Esch wskazał półkę, z której spoglądała w dół wieża Eiffla z czarno-biało-czerwoną flagą: tam na górze całkiem dobrze by wyglądała. I choć on niejako tylko dostarczył ten pomnik, pani Hentjen objawiła zaskakująco szczerą radość, bo to było coś, co mogła pokazać przyjaciółkom: – O, nie, tutaj to nikt na niego nie zwróci uwagi. Jest o wiele za piękny, pójdzie do mojego pokoju na piętro... Ale że pan przeze mnie robi sobie wydatki, panie Esch, to nie w porządku z pańskiej strony. – Jej serdeczność przywróciła mu dobry humor i zaczął opowiadać o pobycie w Mannheim, nie omieszkał przy tym wyrażać poglądów, które pochodziły wprawdzie z ust idioty Lohberga, ale – jak przypuszczał – powinny być miłe matce Hentjen. Przerwywając od czasu do czasu, kiedy ona musiała podejść do bufetu, wychwalał piękno natury, a zwłaszcza Renu, dziwił się, że ona siedzi cały czas w Kolonii, nie ciesząc się nigdy tym, co jest tak łatwo dostępne. – To dobre dla zakochanych – powiedziała pogardliwie pani Hentjen, a Esch z szacunkiem zauważył, że na taką wycieczkę mogłaby się wybrać równie dobrze sama, jak i w towarzystwie przyjaciółki. Dla uszu pani Hentjen zabrzmiało to przekonująco i uspokajająco, więc oświadczyła, że może kiedyś weźmie to pod uwagę. – Zresztą – rzuciła lekceważąco – ja znam Ren jeszcze z panięskich czasów. – Ledwie to

wypowiedziawszy zdrewniała zapatrzona w przestrzeń. Esch nie był zdziwiony, bo znał u matki Hentjen te nagłe stany przygnębienia. Tym razem jednak miało to szczególny powód i Esch naturalnie nie mógł się go domyślić: zdarzyło się po raz pierwszy, że pani Hentjen wobec gościa napomknęła coś o swoim własnym życiu, i tak była tym wystraszona, że uciekła do bufetu, aby przed lustrem obmacać bryłę cukru na swojej głowie. Była zła na Escha, że wyciągnął ją na zwierzenia, i nie wróciła do niego, chociaż pomnik Schillera pozostał na jego stoliku. Najchętniej kazałaby mu schować go z powrotem, tym bardziej że do Escha przysiadło się paru przyjaciół, którzy męskimi oczami i męskimi palcami obmacywali prezent. Uciekła dalej, do kuchni i Esch zrozumiał, że popełnił jakieś niewytłumaczalne uchybienie. Gdy w końcu znów pokazała się w lokalu, wstał i zaniósł statuetkę do bufetu. Przetarła ją ścierką do szklanek; nie wiedząc, jak odejść, Esch nie ruszał się z miejsca i opowiedział, że w teatrze, naprzeciwko którego postawiono pomnik, odbyła się premiera – to słowo było mu dobrze znane dzięki przestawianiu z Gernerthem – premiera sztuki Schillera. On teraz w ogóle ma rozliczne stosunki z teatrem i jeśli wszystko się powiedzie, to niedługo będzie mógł jej służyć biletami. Tak? Ma stosunki z teatrem? No cóż, zawsze prowadził rozwiązłe życie. Dla matki Hentjen stosunki z teatrem mogły uosabiać jedynie rozpustne aktorki, więc odpowiedziała z pogardą i wyższością, że nie lubi teatru, ponieważ tam mówi się wciąż o miłości; a to ją nudzi. Esch nie śmiał sprzeciwić się choćby słowem, ale gdy pani Hentjen poszła do siebie, żeby zanieść prezent, nawiązał rozmowę z Hede, która przedtem powitała go chłodno, widać obrażona, że szkoda mu było zachodu, by napisać pocztówkę również do niej. Hede w ogóle wydawała się markotna i markotny wydał się cały lokal, zalewany teraz rykiem automatu muzycznego, wprawionego w ruch przez jednego z podochoconych gości. Hede rzuciła się, żeby wyłączyć mechanizm, bo muzykowanie o tak późnej porze było policyjnie zabronione, a mężczyźni śmiali się z udanego kawału. Przez półotwarte okno wtargnął powiew nocnego wiatru i Esch, który nim odetchnął, wymknął się na łagodny chłód, prędko, zanim Hede zdąży wrócić do niego, prędko, żeby nie spotkać się ponownie z panią Hentjen; w przeciwnym razie jeszcze by z niego wydobyła, że rzucił posadę w Środkoworeńską: matka Hentjen nie dałaby sobie wmówić, że zapaśnictwo to poważny interes, nie wierzyłyby w niezawodne przyszłe sukcesy, lecz przeciwnie, nie szczędziłyby złośliwych uwag – może nawet słusznie. Ale on miał na dzisiaj dość i dał nogę.

W piwnicznie czarnych uliczkach cuchnęło chłodem, jak to zawsze bywało latem. Esch był w niepojęty sposób zadowolony. Powietrze i ciemne mury były swojskie; człowiek nie czuł się samotny. Pragnął niemal natknąć się teraz na Nentwiga. Rad byłby dać mu łupnia. I Esch cieszył się, że życie oferuje czasem proste rozwiązania. Wygrane na loterii są rzadkie i dlatego trzeba było pozostać przy zapasach.

Agent teatralny Oppenheimer nie miał ani poczekalni z wyściełanymi meblami, ani woźnego z bloczkiem zgłoszeń. To było samo przez się zrozumiałe. Ale człowiek nie lubi zamieniać dobrego na gorsze i Esch gdzieś tam zachował nadzieję, że trafi na firmę bądź co bądź przypominającą Środkoworeńską, tyle że przeniesioną w dziedzinę teatru. Cóż, było inaczej. Wspiąwszy się po wąskich, ciemnych schodach na półpiętro i dostrzegłszy tabliczkę agencji Oppenheimera musiał, skoro nikt nie odpowiedział na jego pukanie, wejść nie zapowiedziany. Wkroczył do izby, w której stała żelazna umywalnia z brudną wodą; na rozmaitych półkach walało się mnóstwo makulatury. Na jednej ścianie wisiał duży kalendarz reklamowy towarzystwa ubezpieczeniowego, na drugiej pod szkłem i w ramie dar Hapagu⁴ kolorowy statek „Cesarzowa Augusta Wiktorja” wypływający z portu w otoczeniu mniejszych łajb i przecinający spienione niebieskie fale Morza Północnego.

⁴ Hamburg – Amerika Linie – najstarsze i największe towarzystwo żeglugowe w Niemczech.

Esch nie tracił czasu na szczegółowe oględziny, bo był tu w interesach; a że powściągliwość nie leżała w jego zwyczajach, wtargnął, choć z pewnym ociąganiem, do drugiego pokoju. Ujrzał tam biurko, które w przeciwieństwie do całego pozostałego bałaganu demonstrowało jedynie pusty blat bez śladu jakichkolwiek przyborów do pisania, za to poplamiony atramentem; brązowe drewno pełne było starych szarych i nowych żółtych nacięć, a zielone sukno w wielu miejscach podarte. Nie było dalszych drzwi. Natomiast również tutaj nie brakowało godnych uwagi ozdób na ścianach, poprzipinanych pluskiewkami do tapety, mnóstwa fotografii, tak że Esch zainteresował się podobiznami wszystkich tych pań, które w trykotach lub sukniach z cekinami przybierały uwodzicielskie i zalotne pozy, i szukał, czy jest między nimi Ilona. Potem wszakże uznał, że przyzwoiciej będzie wycofać się i zasięgnąć języka, gdzie też pan Oppenheimer przebywa. Ponieważ nie udało się znaleźć stróża, zadzwonił do kilkorga drzwi i otrzymał, sam traktowany z pogardą, pogardliwą odpowiedź, że Oppenheimer ma nader nieregularne godziny urzędowania. – Może pan zaczekać, jak pan nie ma w planie nic lepszego – powiedziała jakaś kobieta.

No to teraz wiedział. Sposób, w jaki tu człowieka traktowano, nie był przyjemny i jeśli taka pogarda przynależała do jego nowego zawodu, to nie wyglądało to pociesząco. Jednakże nie dało się tu nic zmienić, wziął to na siebie ze względu na Ilonę (i na tę myśl poczuł odrobinę rozkoszy w okolicy serca), to był po prostu jego nowy zawód, toteż Esch czekał. Ładne biurowe obyczaje zafundował sobie ten pan Oppenheimer. Esch musiał się roześmiać; nie, to nie była firma, w której trzeba okazywać świadectwa. Stał przed bramą, spoglądał na ulicę, aż w końcu do kamienicy zbliżył się jasnowłosy, różowy mężczyzna nikkczemnego wzrostu i wszedł na schody. Esch podążył za nim. Był to pan Oppenheimer. Gdy Esch wyłuszczył mu cel swoich odwiedzin, pan Oppenheimer powiedział: – Chodzi o damskie zapasy? Ja to załatwię, ja to załatwię. Ale niech mi pan powie, na co tu pan jest Gernerthowi potrzebny? – Właśnie, na co tu był Gernerthowi potrzebny? Dlaczego był tutaj? Jak w ogóle tu trafił? Teraz, skoro rzucił posadę w Środkoworeńskiej, nie była to już wcale podróż służbowa, na którą zawsze liczył. Dlaczego więc w gruncie rzeczy przyjechał do Kolonii? Przecież nie z tego powodu, że z Kolonii bliżej jest do morza?

Kiedy zacny człowiek emigruje do Ameryki, jego krewni i przyjaciele stoją na nabrzeżu i machają odjeżdżającemu chusteczkami. Orkiestra na statku gra Muszę ja, muszę ja jechać do miasta i choćby wobec regularności wyjazdów uznać to za pewną obłudę ze strony kapelmistrza, to przecież te dźwięki wielu chwytają za serce. Potem napręża się lina łącząca z małym holownikiem, transoceaniczny olbrzym płynie po ciemnym, nośnym lustrze, a ponad wodą rozbrzmiewa nikłe i zagubione blaszane ćwierkanie wesołych melodii, którymi zatroskany kapelmistrz usiłuje rozweselić odjeżdżających. Wtedy niejeden uprzytamnia sobie, jak rzadko rozsiani są ludzie na powierzchni ziemi i wody i że między nimi istnieją tylko cieniusieńkie nitki, sięgające od jednego do drugiego. Kiedy transoceaniczny olbrzym wysuwa się z portu, woda pod nim traci barwę i nie dostrzega się już nurtu rzeki, a wręcz wygląda na to, że nurt się odwrócił i to morze wpływa do portu, to ów transoceaniczny olbrzym sunie często w dużej chmurze niewidzialnego, lecz stężonego strachu, tak że wielu chce go zatrzymać. Mijając statki, które stoją wzdłuż zadymionych, zapuszczonych brzegów, a ich dźwigi obracają się z turkotem, załadowując i wyładowując nieokreślone rzeczy w nieokreślonych celach, mijając zapuszczone brzegi, które w dół rzeki pokrywają się zakurzoną zielenią i kończą w nędznej wiejskości, mijając wreszcie wydmy, gdzie widać już latarnię morską, transoceaniczny olbrzym płynie na holu, przykuty do swego małego strażnika jak wygnaniec, a na statkach i na brzegach stoją ludzie i przyglądają się, jak to się odbywa, unoszą dłonie, jakby chcieli go zatrzymać, zdobywają się jednak tylko na ociężałe i sztywno nieporadne machanie. A gdy potem olbrzym wypływa daleko, jego kadłub stapia się niemal z linią horyzontu i prawie już nie widać jego trzech kominów, niejedyn z tych, co z

wybrzeża patrzą na morze, zadaje sobie pytanie, czy statek zdąży do portu, czy zmierza w samotność, której człowiek na brzegu nigdy nie zdoła pojąć. Stwierdziwszy potem, że trzyma się on kursu na wybrzeże, każdy się uspokaja, jak gdyby ów statek przywoził mu najdroższy skarb, a przynajmniej list, na który nie wiedząc o tym długo czekał. Nieraz tam daleko, w rzadkiej mgłę granicy, spotykają się dwa statki i widać, jak się mijają. Jest to chwila, w której obie delikatne sylwetki zlewają się ze sobą i jednoczą, chwila zwiewnej wzniosłości, póki łagodnie nie oderwą się od siebie, tak spokojnie i łagodnie jak daleka mgła, i każdy z osobna znów podąży swoim szlakiem. Słodka, nigdy nie spełniona nadzieja.

Lecz ten, co jest hen tam na statku, nie wie, że my lękaliśmy się o niego. Bodaj wcale nie widzi płynnych, falujących pasm wybrzeża i tylko domyśliwszy się żółtej smugi latarni morskiej, zdaje sobie sprawę, że tu, na lądzie, są jeszcze tacy, co lękają się o niego i myślą o grożącym mu niebezpieczeństwie. On nie rozumie niebezpieczeństwa, w jakim się znajduje, nie uświadamia sobie, że wysoka góra wody dzieli go od dna morza, które jest ziemią. Tylko ten, kto ma przed sobą cele, boi się niebezpieczeństwa, bo boi się o cel. On natomiast stąpa po gładkich deskach, które jak tor kolarski obiegają pokład w koło i są równiejsze od wszystkich dróg, którymi dotychczas chodził. Kto jest na morzu, ten nie ma celu przed sobą i nie potrafi się dopełnić; jest zamknięty w sobie. To, co jest w nim możliwe, spoczywa. Ten, kto go kocha, może to czynić jedynie za to, co on obiecuje, za to, co w nim tkwi, nie za to, co osiągnie lub osiągnął; on tego nigdy nie osiągnie. Dlatego człowiek na lądzie nie wie, co to jest miłość, i bierze swój lęk za miłość. A podróżny na morzu rychło to dostrzeże i nitki, które łączyły go z tymi na brzegu, zrywają się, zanim jeszcze wybrzeże zniknie z oczu. To wręcz zbędne, że kapelmistrz rozwesela go swoimi melodiami, bo podróżnemu wystarczy przesuwać dłońią po gładkim, wypolerowanym brązowym drewnie i po lśniących mosiężnych okuciach. Rozpóściera się przed nim błyszczące morze; jest zadowolony. Poruszają go potężne maszyny, a ich dudnienie wskazuje drogę, która prowadzi donikąd. Spojrzenie podróżnego zmieniło się, jest to osierociałe spojrzenie, które nas już nie zna. Podróżny na morzu zapomniał, co niegdyś było zadaniem, nie wierzy już w słuszność sumowania kolumn, a przechodząc koło kabiny telegrafisty i słysząc tykotanie aparatów podziwiał pewnie mechanizm, ale nie może pojąć, że tamten w ten sposób dostaje wiadomość z lądu, przesyła wiadomość na ląd, i gdyby podróżny na morzu nie był człowiekiem trzeźwym, sądziłby, że tamten rozmawia ze wszechświatem. Lubi wieloryby i delfiny, które igrają wokół statku, i nie boi się gór lodowych. Ale gdy wyłoni się dalekie wybrzeże, on nie chce go oglądać i być może chowa się we wnętrzu statku, aż ono zniknie, ponieważ wie, że czeka go tam nie miłość, nie swoboda i wolność, lecz spiętrzony strach i mur celu. Kto jednak szuka miłości, ten szuka morza: może jeszcze mówi o lądzie, który leży po tamtej stronie morza, ale nie zaprzęta sobie nim głowy, bo z całą mocą myśli o podróży, nadziei samotnej duszy na otworzenie się i przyjęcie innej, która pojawia się w rzadkiej mgłę i wlewa się w niego, wyzwolonego, dostrzegając w nim to, czym jest: istniejące, nie narodzone i nieśmiertelne.

Tak Esch z pewnością nie myślał, aczkolwiek nadal był opętany myślą o wyemigrowaniu do Ameryki i zabranii ze sobą na statek buchalterów ze Środkoworeńskiej. Jednakże przyszedłszy do biura pana Oppenheimera długo i usilnie przyglądał się „Cesarzowej Auguście Wiktorii”, przecinającej morskie fale.

Podjął na nowo dawne życie, zamieszkiwał ten sam pokój co kiedyś i często bywał na obiedzie u matki Hentjen. Pilnie korzystał z roweru, tylko codzienna droga wiodła go już nie do Stemberga & Co., lecz do pana Oppenheimera. Pani Hentjen na zmianę jego działalności patrzyła wzrokiem, w którym mimo całej obojętności było coś z pogardy, niezadowolenia, może nawet trochę niepokoju, i chociaż Esch musiał jej niepokoju przyznać rację, albo właśnie dlatego, starał się przedstawić jej zalety i widoki nowego zawodu w jasnym świetle. Częściowo mu się to udawało.

Aczkolwiek tylko jednym uchem słuchała śmiałych opowieści o wielkim życiu, na którego progu teraz stał i które miało się rozpostrzeć nie tylko na Amerykę, lecz na wszystkie części świata, to ta mieszanina świetnego bogactwa, świata artystów i zapamiętałego podróżowania, jaką przed nią roztaczał, ten cel, który nie ona, lecz on miał osiągnąć, taka wielkość zbudziła zazdrość w kobiecie, która od piętnastu lat nienawidziła swojego bytowania w brudnym i ciasnym świątku. Można by rzec, że wypełniał ją swego rodzaju złośliwy podziw, bo podczas gdy z jednej strony unaoczniła mu czczość i nieosiągalność jego celów, to z drugiej przelicytowywała go w fantazjowaniu, udzielała mu wyniosłych rad i wytykała, że mógłby się wybić na pana czy też, jak mówiła, prezesa rzeszy artystów, komedianatów i dyrektorów. – Najpierw trzeba tę bandę nauczyć porządku i żelaznej dyscypliny – zwykł był wtedy odpowiadać – tego przede wszystkim brakuje. – Tak, o tym był święcie przekonany, a ta głęboka pogarda dla wszelkiego komedianctwa opierała się nie tylko na wyglądzie tłustego notesu Gernertha i anarchicznego biura Oppenheimera, lecz tak dalece pokrywała się z opinią matki Hentjen, że w chwilach takiego podszytego podziwem porozumienia – to, co globalne, często znajduje ujście w tym, co domowe – pani Hentjen godziła się powierzyć, jak proponował, swoje rachunki i zapisy jego buchalteryjnej kontroli; godziła się na to z lekceważącym uśmiechem, w niezachwianym przeświadczeniu, że jej prosta księga kasowa jest i tak prowadzona w sposób szczególnie sensowny i wzorowy. Jednakże ledwie Esch pochylał się nad kolumnami, matka Hentjen wrzeszczała na niego, że nie musi przybierać takiej bezczelnej miny, jakieś tam buchalteryjne dyrdymałki ani trochę jej nie imponują, niech on lepiej zajmie się teatralnymi interesami, które bardziej potrzebują takiej kontroli niż jej gospoda. I wyrywała mu książki.

Ba, teatralne interesy! Za sprawą ich dorywczego charakteru Oppenheimer przywykł znosić przypadki bez zbytniego zastanawiania, a na swój sposób rozbrojony wytrzymałością Escha śmiał się z tego, że co rano przyjeżdżał na rowerze człowiek, który zachowywał się niemal jak współnik; ale chętnie się z tym godził, odkąd usłyszał, że na walki zapaśnicze Esch wyłoży pieniądze, i przymykał oczy na grubiańskie uwagi, jakie Esch robił codziennie na temat nieporządku w biurze. Wspólnie pertraktowali z właścicielem teatru Alhambra w sprawie wynajęcia go na czerwiec i lipiec, a że właściwy Eschowi zapał do pracy musiał się gdzieś wyładować, otrzymał on misję przygotowania werbunku zapaśniczek.

Esch, otraskany z knajpami, burdelami i dziewczynami, był do tego jakby stworzony. Odwiedzał lokale i znalazłszy odpowiednie dziewczyny, którym uśmiechały się sportowe występy, w specjalnie założonym notatniku zapisywał ich nazwiska i personalia, nie omieszkając przy każdym nazwisku, w oddzielnej rubryce zatytułowanej niewinnie „Uwagi”, pomieszczać swojej opinii o walorach kandydatki według swoistej klasyfikacji. Faworyzował w szczególności dziewczyny o obco brzmiących nazwiskach i obcym pochodzeniu, jako że miała to przecież być konkurencja międzynarodowa, wykluczał jedynie Węgierki. Czasem sprawdzanie muskułów dziewczyn bywało całkiem zabawnym zajęciem, a czasem też dawał się skusić krzepkim wdziękom. Mimo wszystko nie cieszyła go ta praca i jeśli matce Hentjen mówił o tym tylko mimochodem i w lekceważącym tonie, to mówił prawdę: takiego zajęcia nie mógł już uważać za godne siebie i wolał siedzieć przy gołym biurku Oppenheimera albo doglądać Alhambry.

Często przechodził tam przez pustą, szarą salę, w której rozlegały się kroki na podłodze z desek, po chybotliwych dylach, położonych nad rowem dla orkiestry, wspinał się na scenę, której szare, nagie, cyklopowe mury były wręcz zbyt potężne dla lekkich, tapetowych kulis, jakie wkrótce je zasłonią. Przemierzając scenę dużymi krokami odczuwał pewien triumf, że tutaj nie będzie się już rzucać nożami, i zaglądał do gabinetu dyrekcji zastanawiając się, czy już teraz nie powinien się tam zainstalować. Myślał też o tym, że swoje nowe królestwo musi kiedyś pokazać pani Hentjen. Powietrze było zadziwiająco szare i chłodne, podczas gdy na dworze restauracyjny ogródek prażył się w jasnym, gorącym słońcu, i to zamknięte w sobie

królestwo o zakurzonej obcości było jakby odosobnioną wyspą nieznanego w znanym świecie, było obietnicą i wskazaniem na to, co obce i obiecujące znajdowało się za wielkim, szarym morzem. Także wieczorami jeździł nieraz do Alhambry. Wtedy restauracyjny ogródek był rozświetlony, a na drewnianym podium pod drzewami przygrywała orkiestra. Teatr spoczywał ciemny i zgoła niezauważalny za światłami, aż po strych wypełniony ciemnością, i chyba nikt nie wyobrażał sobie jego przestronności i jego urządzenia. Esch lubił przychodzić o takiej porze, ponieważ przyjemnie mu było pomyśleć, że to jemu i nikomu innemu dane będzie tchnąć nowe życie w ten mroczny przybytek.

Zaszedłszy jednego z następnych przedpołudni znow do Alhambry Esch zastał właściciela przy partyjce kart nie opodał szynkwasu. Przysiadł się i grali do późnego popołudnia. Wieczorem własna twarz wydała się Eschowi pusta i zdrewniała i uświadomił sobie, że pędzi takie samo życie jak w mannheimskim magazynie podczas strajku. Brakowało jedynie, żeby nadciągnął Kom i przechwalał się miłością Ilony. Jaki więc sens miało rzucenie posady w Środkoworeńskiej? Spędzał czas na skrętnym nieróbstwie, przejadał pieniądze i nawet nie pomścił Martina. Gdyby został w Mannheim, mógłby go być przynajmniej odwiedzić w więzieniu.

Przy kolacji oskarżał się, że tak haniebnie opuścił Martina, lecz gdy pani Hentjen odrzekła, iż każdy jest kowalem swego losu i pan Geyring, którego wystarczająco często ostrzegała, nie może wymagać, aby przyjaciel pozostał dla niego w Mannheim i wyrzekł się świetnej kariery, wpadł w złość i ofuknął ją tak ostro, że uciekła za bufet i zajęła się swoją fryzurą. Esch natychmiast zapłacił i wyszedł z lokalu, wściekły, że ona wychwala takie próżnowanie jako świetną karierę. Wszelako nie przyznawał się przed sobą, że taki był powód jego gniewu, lecz zarzucał jej tylko zimną nieczułość wobec Martina i całą noc rozmyślał nad krokami, które mogłyby pomóc Martinowi.

Już wczesnym rankiem udał się do Oppenheimera. Zaopatrzył się w materiały piśmienne i spędził całe przedpołudnie na sporządzaniu zjadliwej relacji, w której tłumaczył, iż zasłużony sekretarz Geyring padł ofiarą szatańsko demagogicznej intrygi Żeglugi Środkoworeńskiej i mannheimskiej policji. Z miejsca zaniósł ten artykuł do redakcji socjaldemokratycznej „Volkswacht”.

Dom, w którym swoją siedzibę miała „Volkswacht”, nie był gazetowym pałacem. Ani śladu marmurowych westybuli i bram z kutego żelaza. W ogóle niejedno przypominało biuro Oppenheimera, tylko że tu panował większy ruch; ale w niedzielę, kiedy gazeta świętowała, musiało to wyglądać zupełnie tak jak u Oppenheimera. Czarna żelazna poręcz schodów była lepka w dotyku, odrapane, złuszczone ściany nosiły ślady częstego odmalowywania, a z okna można było popatrzeć na wąskie podwórko, na którym stał wóz z belami papieru. Gdzieś tam z astmatyczną zadyszką chodziły maszyny drukarskie. Przez ongiś białe drzwi, które szczękały twardo, ponieważ zamek się nie zatrzaśniał, wchodziło się do redakcji. Zamiast kalendarza ubezpieczeniowego wisiał tam rozkład jazdy, zamiast zdjęć tancerek fotografia Karola Marksa. Nie było żadnej różnicy, a to, że tu przyszedł, stało się naraz tak całkowicie zbyteczne, że nawet artykuł, który brzmiał przecież mocno i groźnie, wydał się nagle błady i niepotrzebny. Wszędzie ta sama zgraja, pomyślał pełen gniewu Esch, zgraja demagogów, która żyje wszędzie w takim samym bałaganie. Nie, nie było sensu wciskać tym czy tamtym bronie do ręki; stanie się w ich rękach do niczego, bo żaden nie wie, co i jak.

Skierowano go do drugiego pokoju. Za stołem, który być może kiedyś był wyłożony sukniem, siedział mężczyzna w aksamitnym surducie. Esch dał mu rękopis. Redaktor przejrzał go naprędce, złożył i umieścił w koszu obok siebie. – Przecież pan tego nie przeczytał – powiedział ostro Esch. – Owszem, owszem, jestem zorientowany... strajk mannheimski; zobaczymy, czy będziemy mogli to wykorzystać. – Esch był zdumiony, że tamten nie był ciekaw treści i udawał, że już ją zna. – Proszę pana, to są fakty, które rzucają na strajk

zupełnie nowe światło – upierał się. Redaktor jeszcze raz sięgnął po rękopis, aby jednak zaraz odłożyć go z powrotem. – Jakie fakty? Ja nie znajduję tu nic nowego. – Esch miał wrażenie, że tamten chce się chełpić wszechwiedzą. – Byłem przecież naocznym świadkiem; byłem na tym zebraniu! – No i co? Nasi ludzie też tam byli. – Więc pan to już ogłosił? – O ile mi wiadomo, nie zdarzyło się tam nic nadzwyczajnego. – Esch był tak zaskoczony, że po prostu usiadł, chociaż tamten wcale go o to nie prosił. – Drogi panie i towarzyszu – ciągnął redaktor – my w końcu nie możemy czekać, aż panu się spodoba przynieść nam relację. – Tak, ale – Esch nic nie rozumiał – ale dlaczego panowie nic nie zrobiliście, dlaczego pozwalacie, żeby Martin – poprawił się – dlaczego pozwalacie, żeby Geyring siedział niewinnie w więzieniu? – Ach, tak... z całym szacunkiem dla pańskiej znajomości prawa – redaktor spojrział na rękopis, który był opatrzone nazwiskiem Escha – panie Esch... Więc pan uważa, że moglibyśmy tym sposobem uwolnić Geyringa? – Zaśmiał się. Esch nie dał się tą wesołością zbić z tropu: – Tamci powinni pójść za kratki... to jasne jak słońce dla każdego, kto przy tym był! – Więc pan uważa, że zamiast Geyringa powinno się z naszą pomocą zamknąć dyrekcję Środkoworeńskiej? – Wstrętny śmiech, pomyślał Esch i milczał. Zamknąć Bertranda? Więc również Bertranda, nie tylko Nentwiga! Ale w końcu po dłuższym namyśle różnica między prezesem a jakimś Nentwigiem wcale nie jest taka wielka. W samej rzeczy ten w Mannheim to było coś lepszego, takiego nie wystarczy zamknąć. Zamyślony powiedział: – Zamknąć Bertranda. – Redaktor nadal się śmiał. – Tego by nam jeszcze brakowało. – Dlaczego? – zapytał z irytacją Esch. – To jest miły, uprzejmy, przystępny pan – odparł grzecznie redaktor – znakomity przedsiębiorca, z którym bądź co bądź da się żyć. – To z takim, co trzyma z policją, chcecie panowie żyć? – Boże wielki, że przedsiębiorcy współpracują z policją, to przecież oczywiste; jak my będziemy górą, to też tego nie zmienimy... – Ładna sprawiedliwość – oburzył się Esch. Redaktor podniósł ręce w geście wesołej rezygnacji: – Czego pan chce, to jest właśnie kapitalistyczny porządek prawny. Na razie rada nadzorcza, która dba o to, żeby przedsiębiorstwo prosperowało, musi być nam miłsza od kogoś, kto je rujnuje. Gdyby to zależało od pana i wszyscy szefowie fabryk, którzy są przeciwko nam, zostali zamknięci, doszłoby co najwyżej do kryzysu w przemyśle, a my mielibyśmy to sobie do zawdzięczenia, nie? – Esch z uporem powtórzył wściekle: – Mimo to powinno się go zamknąć. – Wesołość redaktora stała się znów irytująca: – Ach, teraz się rozumiemy, chodzi panu o to, że to pedał... – Esch nastawił ucha, redaktor był coraz bardziej rozbawiony więc to panu przeszkadza? No, w tej kwestii mogę pana uspokoić: on załatwia te sprawy na Południu, we Włoszech. A w ogóle to takiego pana nie zamyka się tak łatwo jak jakiegoś socjaldemokratę. – A więc to było: wyściełane meble, woźni w srebrze, ekwipaże i pedał, a Nentwig lata sobie wolno! Esch wlepił wzrok w wesołe oblicze redaktora: – Ale Martin siedzi! – Redaktor odłożył ołówek, lekko rozpostarł ręce: – Drogi przyjacielu i towarzyszu, tego obaj w niczym nie zmienimy. Strajk w Mannheim to był szczyt głupoty, w tej sytuacji po prostu nie pozostawało nic innego jak zaczekać, aż ta historia się skończy, i pogodzić się z porażką; teraz możemy się tylko cieszyć, że trzy miesiące Geyringa dają nam materiał agitacyjny. Więc piękne dzięki za pański artykuł, drogi przyjacielu i towarzyszu, a jak pan znów będzie coś miał, to niech pan nam to przyniesie szybciej niż tym razem. – Podał Eschowi rękę, a ten mimo wściekłości wykonał niezdarny ukłon.

Zbliżał się czerwiec. Esch kursował w imieniu Oppenheimera do drukarni i plakaciarni; wszystko było przygotowane, przyciągające uwagę obwieszczenia na słupach i parkanach powiadały miasto, że spotykają się tutaj najsilniejsze kobiety różnych narodowości, aby zmierzyć swe siły, a kto by w to wątpił, może po liście nazwisk przekonać się o prawdziwości tego twierdzenia: była tam Tatiana Leonow, mistrzyni Rosji, Maud Ferguson, zwyciężczyni czempionatu Nowego Jorku, Mirzl Oberleitner, obrończyni pucharu Wiednia, nie zapominajmy też o mistrzyni Niemiec Irmentraud Kroff. Te nazwiska były w dużej mierze

tworem fantazji Oppenheimera, któremu prawdziwe wydawały się przeważnie zbyt mało charakterystyczne. Esch na próżno oponował przeciw temu szachrajstwu; więc po to się mordował wyszukując rzeczywiście międzynarodowe dziewczyny, żeby taki Żyd zonglował nazwiskami! Brał to za kolejną oznakę anarchicznego stanu świata, w którym nikt nie wie, czy stoi na prawo, czy na lewo, czy jest po tej, czy po tamtej stronie, i w którym ostatecznie nie ma to znaczenia, czy pan Oppenheimer zaaplikuje komuś takie czy inne nazwisko; należało się cieszyć, póki Oppenheimer nie wymyślił jeszcze jakiegoś węgierskiego. Bóg świadkiem, że te Węgry wcale nie musiały istnieć, a to, iż Oppenheimer w zapaśniczym szeregu umieścił między innymi Włochy, też wydawało mu się niestosowne. Czy miało się pewność, że tam na Południu w ogóle są kobiety? Kręcą się tam same pedały. Jednakże na plakat z międzynarodowymi nazwiskami spoglądał nie bez przyjemności: jeden kraj następował za drugim i szeroki świat był tu niejako jego własnym dziełem, dawał mu pewność i zapowiedź przyszłej drogi. Zaniósł plakat do gospody matki Hentjen i bez pytania przymocował go do drewnianej ściany pod wieżą Eiffla.

Pani Hentjen nadal jednak żywiła do niego urazę, że z powodu Geyringa tak ją wówczas ofuknął, i zawołała od bufetu, żeby łaskawie zechciał wieszać swoje plakaty tam, gdzie mu wolno; tutaj decyzja to do niej należy. Esch, który już dawno nie myślał o tym zdarzeniu i któremu dopiero jej gniewna mina przypominała o nim wciąż na nowo, udawał, że chce usłuchać jej rozkazu. Taka ustępliwość rozbroiła matkę Hentjen; nie przestając pomstować wyszła zza bufetu, żeby sobie plakat obejrzeć. Odcyfrowawszy szereg kobiecych nazwisk pełna była litości i odrazy: uważała, że te kobieciska, zmagając się na oczach obrzydliwych mężczyzn, zasługują na poniżenie, a zarazem litowała się nad nimi. Esch, który do tego wszystkiego doprowadził, był w jej oczach paszą pośród gromady kobiet, a to wydawało się świadczyć o szczególnej niegodziwości, o nikczemności tak wielkiej, że stawiała Escha na innej, niemal wyższej płaszczyźnie od wszystkich pozostałych mężczyzn, którzy tu wysiadali ze swymi małymi, nędznymi żądzami i niegodziwościami. Jego krótkie włosy przystrzyżone na jeża, ta ciemna głowa, żółtawo-czerwonawa cera, brrr!, to przejmowało ją strachem, nie, ona nie rozumiała, jak mogła tu jeszcze tolerować tego człowieka razem z jego plakatami, i przestraszyła się, gdy złapał ją teraz za przegub ręki: czy nie wyglądało to tak, że on chce się również targnąć na nią, obezwładnić, aby dołączyć ją do wszystkich tych kobiecych nazwisk na plakacie? Była wręcz rozczarowana, że nic takiego nie nastąpiło i Esch prowadził jedynie jej posłusznie wyciągnięty palec od nazwiska do nazwiska: – Rosja, Niemcy, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Belgia, Włochy, Austria, Czechy – czytał przy tym na głos, a że brzmiało to imponująco i niegroźnie, pani Hentjen się uspokoiła. Powiedziała: – Tego i owego jeszcze tu brakuje, na przykład Szwajcarii i Luksemburga. – Potem wszakże odwróciła się od plakatu z kobiecymi nazwiskami, jak gdyby wydzielął brzydki zapach: – Że też panu chce się zadawać z tymi babami! – Esch odpowiedział słowami Martina, że każdy człowiek stoi tam, gdzie go Bóg postawił, i że obcowanie z zapaśniczkami będzie zresztą sprawą nie jego, lecz Teltschera; on zajmuje się jedynie stroną administracyjną.

Teltscher przyjechał do Kolonii i w biurze Oppenheimera dokonał przeglądu wybranych przez Escha pań. Urzędował całe przedpołudnie, wiele z nich odrzucił na samym wstępie, a pozostałe zaprosił do Alhambry, żeby udzielić im pierwszej lekcji i wypróbować ich przydatność do występów.

Był to ucieszny ewenement: Teltscher od razu przywiózł trykoty i skoro Esch na podstawie swoich notatek sprawdził listę obecności, pan Teltini zaprosił panie do garderoby, aby tam włożyły owe trykoty. Większość wzdragała się przed tym, chciała najpierw zobaczyć inne w tym niecodziennym stroju. Ale gdy wyszły z garderoby roznegliżowane i nader skrepowane, żadna nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Drzwi prowadzące do restauracyjnego ogródka były szeroko otwarte; zieleń drzew zaglądała wesoło do środka i kiedy dmuchnął wiatr, czuło się w sali ciepłe poranne słońce. Przy drzwiach stał właściciel

lokalu, stały kucharki z restauracji, a Teltscher wdrapał się na scenę, aby na rozłożonej tam miękkiej, brązowej macie zademonstrować reguły zapasów grecko-rzymskich. Potem wezwał parę dziewczyn na próbę i żadna nie chciała się zgłosić; poszturchiwały się chichocząc, wypychały naprzód to jedną, to drugą, która opierała się i dawała nura z powrotem w ciżbę.

W końcu dwie z nich się zdecydowały; lecz gdy Teltscher zamierzał pokazać im pierwsze chwyt, one śmiały się tylko, zwiesiły ręce i nie miały odwagi dotknąć się nawzajem. Teltscher zaprosił inną panią, ale że historia się powtórzyła, polecił Eschowi jeszcze raz wyczytać nazwiska i żartobliwymi uwagami usiłował wytworzyć swawolny i zuchwały nastrój. Gdy padało francuskie nazwisko, on chwalił galijską śmiałość i prosił na scenę „chlubę Francji”, tak samo „gigantkę z Polski”, krótko mówiąc pokazywał już, jakimi to zaszczytnymi i zagrzewającymi słowami będzie przedstawiał Danie publiczności. Niektóre przychodziły teraz na scenę, podczas gdy inne piskliwie wołały w odpowiedzi, że to mimo wszystko nie dla nich i że chcą się z powrotem ubrać, co Teltscher kwitował wyrazami ubolewania i komiczną rozpaczą. Wszelako nie obyło się bez zgrzytów: gdy Esch wyczytał nazwisko Rużeny Hruski, a Teltscher zawołał: – Pokaż nam się, czeska lwico! – do rampy precisnęła się tęga, pulchna kobieta, jeszcze nie rozebrana, i z twardą, śpiewną intonacją swego ludu krzyknęła, że z niej za nędzne pieniądze nikt się wyśmiewać nie będzie: – Ja to już więcej pieniędzy straciłam, bo nędznikom śmiać się z siebie nie pozwalam! – wrzasnęła na Teltschera i podczas gdy on szukał dowcipnego słówka, żeby wybrnąć z sytuacji, ona uniosła swoją parasolkę, jak gdyby chciała ją cisnąć na scenę. Jednakże potem zamilkła; jej okrągłe, pulchne ramiona zaczęły drżeć i widać było, że płacze. Kiedy zawróciwszy szła szpalerem wystraszonych dziewczyn, jej wzrok padł na Escha siedzącego ze swoimi listami przy stole; nachyliła się do niego i syknęła: – Z pana, z pana to zły przyjaciel, na pohańbienie pan mnie tu sprowadził. – I z płaczem wyszła. Teltscher natomiast wkrótce opanował sytuację, a incydent miał też swoją dobrą stronę: dziewczyny, jakby wstydzając się wcześniejszego rozbrykania, były teraz gotowe do poważnej pracy; Teltscher nie żałował im pochwał i niebawem wszyscy zapomnieli o narowistej Czeszce. Nawet Esch nie myślał już o jej zarzutach, aczkolwiek musiał przyznać, że był złym przyjacielem, ale spokojnie, on jeszcze zmusi facetów do wypuszczenia Martina. Pośród takich myśli szedł do domu.

Pani Hentjen starannie wytarła nos i obejrzała rezultat na chusteczce. Opowiedział jej o zdarzeniu z narowistą Czeszką, może z poczucia winy, a pani Hentjen naskoczyła na niego i powiedziała, że zasłużył sobie na to, by ta pożałowania godna baba wydrapała mu oczy. To są skutki zadawania się z takimi babami. Czemu on zupełnie się nie szanuje. Osoba, która powinna się cieszyć, że dał jej okazję do zarobku. Tak, to jest wdzięczność. Ale ta Czeszka ma całkowitą rację, tak powinno się traktować mężczyzn; nie zasługują na nic lepszego. Żeby się cieszyć, bo parę biednych kobiecinków w trykotach siłuje się na scenie! One i tak są dziesięć razy lepsze od tych mężczyzn, od których wszystko muszą znosić. I powiedziała jadowniczo: – Niechże pan wreszcie odłoży to cygaro. – Esch zniósł to z pokorą nie tylko dlatego, że za śmieszny zapłatę zaserwowała mu nadzwyczaj obfity obiad, lecz że przyznawał jej prawo do ukazywania jego grzesznego trybu życia w takim świetle, na jakie zasługiwał. Był w kiepskiej sytuacji; ze swoich trzystu marek, które były przeznaczone na zorganizowanie walk zapasniczych, posiadał już zaledwie dwieście pięćdziesiąt i chociaż od pierwszego dnia miał uczestniczyć w zyskach, to przecież nie wiedział, ku czemu zdąży. Potrzebował zarobkowego zajęcia, jeśli owo poświęcenie, o którym w gruncie rzeczy już nie pamiętał, że wziął je na siebie dla Ilony, nie miało wyrodzić się w katastrofę; rad byłby na ten temat pomówić, jednak próżność mu na to nie pozwalała, bo matka Hentjen nie była w nastroju, który pozwoliłby jej uznać, że nawet najświetniejsza kariera musi wyrastać z marnych początków. Toteż powiedział jedynie: – Lepsze zapasy niż rzucanie nożami. – Pani Hentjen popatrzyła na nóż w garści Escha; wprawdzie nie zrozumiała, co powiedział, ale zabrzmiało to jej

nieprzyjemnie. Dlatego odparła po prostu: – Być może. – Dobrze mięso – powiedział Esch pochylony nad talerzem, a ona odrzekła z godnością osoby fachowej: – Polędwica. – Żarcie, jakie dają teraz biednemu Martinowi... – Rani Hentjen oznajmiła: – Mięso tylko w niedziele... – i dorzuciła z odrobiną uciechy: – Poza tym głównie brukiew, tak jest. – Dla kogo Martin musiał żreć brukiew? Dla kogo się poświęcił? Czy Martin sam to wiedział? Martin był męczennikiem i traktował to męczeństwo jako po części przyjemne, po części dokuczliwe powołanie; mimo to był porządnym chłopem. Pani Hentjen powiedziała: – Kto nie chce słuchać, ten musi czuć. – Esch się nie odezwał. Może Martin coś ukrywał, o czym prócz niego nikt nie wiedział; męczennik zawsze musi cierpieć za jakieś przekonania, za posiadaną wiedzę, która wytycza jego postępowanie. Męczennicy są porządni. Pani Hentjen oświadczyła: – Wszystko przez te anarchiczne gazety. – Esch zgodził się: – Tak, to banda drani, zostawili go teraz na lodzie. – Prawdę mówiąc sam Martin nabijał się z socjalistycznych gazet, jakkolwiek należało sądzić, że właśnie ich obowiązkiem jest reprezentowanie i propagowanie socjalistycznych przekonań. Czy więc Martin miał socjalistyczne przekonania, czy ich nie miał? Esch był zły, że Martin coś przed nim zataił. Kto posiadał prawdę, ten potrafi wybawić innych; tę zasadę stosowali także męczennicy chrześcijańscy. A że był dumny ze swego wykształcenia, powiedział: – Za czasów rzymskich też odbywały się zapasy, ale z lwami. Wtedy łała się krew. W Trewirze jest taki cyrk. – Pani Hentjen spytała zaciekawiona: – I co? A ponieważ nie padła żadna odpowiedź, ciągnęła: – Prawdopodobnie i to jeszcze chce pan wprowadzić, nie? – Esch milcząco potrząsnął głową. Jeśli Martin poświęcił się i żarł brukiew nie z przekonania, nie w imię niedostępnej innym wiedzy i nie z wdzięczności wobec kogokolwiek, to zrobił to dla samego poświęcenia. Może trzeba najpierw się poświęcić, żeby – jak to powiedział ten idiota w Mannheim? – żeby doświadczyć łaski wybawienia. Ale wówczas może również Ilona potrzebowałaby noży dla samego poświęcenia; kto by się w tym połapał! Zatem Esch powiedział: – Ja w ogóle nic nie chcę. Możliwe, że te całe zapasy to bzdura. – Tak, przyznała matka Hentjen, bzdura. I oto on znów żywił dla matki Hentjen ów wysoki szacunek, który daje człowiekowi poczucie bezpieczeństwa.

Pachniało potrawami i tytoniowym dymem, poza tym słodkawo winem. Matka Hentjen miała rację; baby nie chcą żadnej zmiany. Dlatego Ilona wzięła sobie Korna. I jeśli podstępny kuternoga rzeczywiście posiadał niedostępną innym wiedzę, to zachowywał ją przy sobie, nie dzielił się nią z nikim. Zasuwa radośnie jak pies na trzech nogach, pędzi za róg i do więzienia, a więzienie może mu zaszkodzić tyle co psu lanie. – Jak są bici, poświęcają się, może to im nawet sprawia przyjemność... – powiedział w zamyśleniu. – Komu? – spytała z zainteresowaniem matka Hentjen. – Komu? Babom? – Esch zastanowił się. – Tak, im wszystkim... – Matka Hentjen była ukontentowana: – Przynieść panu jeszcze kawałek mięsa? – Poszła do kuchni. Eschowi żal było Czeszki; płakała tak bezbrinnie. Ale i tutaj matka Hentjen miała chyba rację; Hruska również nie chciała żadnej zmiany. A gdy pani Hentjen wróciła z talerzem, dorzucił: – Ta Czeszka to jeszcze trafi na swojego gościa od rzucania nożami. – Pewnie – przyznała matka Hentjen. – Biedaczysko – westchnął Esch i sam nie wiedział, czy miał na myśli Martina, czy Czeszkę. Natomiast matka Hentjen pomyślała jedynie o Czeszce i rzekła uszczypliwie: – No to może pan ją pocieszyć, jak jej pan tak żałuje... niech pan zaraz do niej idzie.

On nic nie odpowiedział; zjadł jak się patrzy, po czym bez słowa wziął do ręki gazetę i zaczął studiować część ogłoszeniową, która stała się dla niego najważniejsza, odkąd ukazywały się w niej zapowiedzi walk zapaśniczych. Jednakże solidna buchalteria jego duszy domagała się, by założył konto również matce Hentjen: czy miała do tego mniejsze prawo niż Ilona, która nawet gardzi tym, że robi się dla niej coś dobrego? Jego wzrok spoczął na zapowiedzi aukcji wina w St. Goar i zapytał matkę Hentjen, gdzie ona zaopatruje się w wino. Wymieniła kolońskiego handlarza win; Esch zmarszczył noc: – To mu pani napycha kabzę!

Czemu już dawno mnie pani nie zapytała? Nie twierdzą, że wszędzie odchodzą takie kanty jak u mojego nieskazitelnego pana Nentwiga, ale mógłbym się założyć, że zdrowo pani przepłaca. – Przybrała zmartwioną minę: jak się jest samotną, słabą kobietą, to dużo trzeba znieść. zaproponował jej, że pojedzie do St. Goar i kupi dla niej wino. – Szkoda wydatków – powiedziała. Esch zapalił się: wydatki łatwo można wliczyć w cenę, a jeśli trafi się coś dobrej jakości, to można to mieszać z tańszym gatunkiem; on się na tym zna. A jemu ostatecznie tak bardzo nie zależy na zwrocie poniesionych wydatków; wycieczka w górę Renu – przypomniała mu się idiotyczna gadanina Lohberga o rozkoszach natury – jest zawsze przyjemnością, a ona zwróci mu wydatki dopiero, jak sprawa zostanie załatwiona z rzeczywistą korzyścią. – To chyba weźmie pan ze sobą swoją Czeszkę? – spytała podejrzliwie matka Hentjen. Myśl wydała mu się dość kusząca; wszelako na głos odrzucił ją z oburzeniem: niechże matka Hentjen przekona się i z łaski swojej sama z nim pojedzie; przecież dopiero niedawno oznajmiła, że kiedyś tam znów zechce napawać się pięknem natury – połączyłaby przyjemne z pożytecznym, dodał poirytowany. Ona spojrzała mu w twarz, popatrzyła na jego żółtobrązową cerę i drętwiąc odsunęła się od niego: – A kto by został w gospodzie?... Nie, to niemożliwe.

Cóż, on też nie przykładął do tego takiej dużej wagi; jego finanse i tak nie pozwalałyby teraz na wycieczkę we dwoje, zatem Esch nie mówił o tym więcej i matka Hentjen na nowo nabierała zaufania. Wzięła gazetę, ku swemu uspokojeniu zobaczyła, że aukcja odbędzie się dopiero za dwa tygodnie, i oświadczyła, że będzie jeszcze się nad tym zastanawiać. Tak, niech się zastanowi, powiedział sucho Esch i wstał. Musi iść do Alhambry, gdzie Teltscher prowadzi próbę. Wybrał trasę nie opodal lokalu, w którym była zatrudniona Czeszka. Ale wsiadł na rower i przejechał obok.

Zjechał teraz również dyrektor Gernerth i Esch, desygnowany do tego z racji swych spedycyjnych kompetencji i gnany potrzebą działania, bywał codziennie w porcie, aby zapytać o wyposażenie teatralne, które zostało wysłane Renem. I jeśli być może przemierzał tę drogę tylko po to, aby na widok magazynów spedycyjnych delektować się żalem po zbyt pochopnie rzuconej posadzie w Środkoworeńskiej, a na widok składów wina ponownie odczuć istnienie Nentwiga jak tkwiący w ciele ostry cierń: oglądał i przeżywał to wszystko nie bez przyjemności, bo unaoczniało mu, że jego poświęcenie mogło się ostać przy poświęceniu Martina. Również to, że Ilona nie przyjechała do Kolonii, lecz została z Kornem, pasowało do całości i było jakby wyższym zrządzeniem. Ale nie ma co wyobrażać sobie, że Esch był jakimś cierpiętnikiem. O, bynajmniej! W rozmowach z samym sobą nie wahał się nazwać Ilony kurwą, a nawet obmierzłą kurwą, Teltschera zaś alfonsiem i skrytobójcą. I gdyby pośród spiętrzonych beczek wina spotkał tego mordownika Nentwiga, to cóż, złoilby mu skórę. Lecz gdy potem przechodził koło ciągnących się długo magazynów Środkoworeńskiej, gdy widział znieawidzony napis firmowy, to wysoko ponad całą tą obmierzłą hałastrą drobnych morderców wznosiła się postać dystygowana i ponadnaturalnej wielkości, postać nadzwyczaj przyzwoitego człowieka, którego trudno było jeszcze nazywać człowiekiem, tak bowiem daleko i wysoko się odsunęła, a jednak postać arcymordercy, niewyobrażalnie i groźnie wznosił się wizerunek Bertranda, łajdackiego prezesa tej spółki, pedała, który wpakował Martina do więzienia. A ta powiększona i właściwie niewyobrażalna postać zdawała się wchłaniać obu drobniejszych łotrów i nieraz było tak, jakby wystarczyło porazić tego antychrysta, żeby unicestwić też wszystkich pomniejszych morderców na świecie.

Naturalnie można by się było wypiąć na to wszystko, miało się większe zmartwienia; ktoś, kto obja się w porcie bez zapłaty, czuł się wystarczająco parszywie. Człowieka pozbawionego godziwego zarobku należałoby zabić. W gruncie rzeczy te słowa powinny by też paść z ust matki Hentjen i osobiście przyjemnie było wyobrazić sobie taką groźbę. Tak, to

by chyba było najmądrzejsze wyjście, żeby zjawił się taki arcymorderca i z miejsca zabił człowieka. I snując się po nabrzeżu i znów spoglądając na tablicę Żeglugi Środkoworeńskiej SA Esch powiedział głośno i wyraźnie: – Albo on, albo ja.

Oto Esch stał przy barce i nadzorował wyładunek teatralnego wyposażenia. Widział, jak nadchodzi Teltscher z różowym Oppenheimerem: obaj posuwali się poniekąd etapami, bo raz po raz przystawali, często trzymając się za guzik albo wyłóg surduta, i Esch zastanawiał się, co też oni takiego pilnego mają do omówienia. Gdy zbliżyli się dostatecznie, usłyszał Teltschera: – I powiadam panu, Oppenheimer, to dla mnie żaden interes – zobaczy pan, sprowadzę Ilonę i głowę dam sobie uciąć, jeśli za pół roku nie wystąpię w Nowym Jorku. – Ho, ho, to Teltscher wciąż jeszcze nie zrezygnował z Ilony. No, inaczej będzie gadał, jak się zaprowadzi porządek. I Esch nie miał już ochoty na śmierć. Warknął na obu, że czego tu szukają, może myślą, że on jeszcze nigdy nie prowadził prac przeładunkowych, boją się, że chce coś buchnąć, może panowie zamierzają go kontrolować? W ogóle to on bardzo żałuje, że wpakował w ten interes pieniądze obcych ludzi, nie mówiąc już o swoich własnych. Niemal od miesiąca pracuje za darmo na rzecz tego wątpliwego przedsięwzięcia, daje z siebie wszystko i po co? Po to, żeby obgadywał go niejaki pan Teltscher, który sam chce dać drapak. Pełen złości zaczął nieporadnie naśladować żydowską intonację pana Oppenheimera. – Znaczący się to antysemita – powiedział pan Oppenheimer, a Teltscher orzekł, że humor pana dyrektora od spedycji poprawi się już pojutrze, po pierwszym raporcie kasowym. A że sam był w dobrym humorze i chciał podrażnić Escha, obszedł naokoło platformę, na którą załadowano przedmioty, i zaczął je przeliczać, potem zbliżył się do koni, wyjął z kieszeni cukier, żeby podsunąć go zwierzętom. Esch, który wściekły i obrażony odwrócił się od obu Żydów i spisywał skrzynie, obserwował go spod oka i dziwił się dobroduszości Teltschera; w gruncie rzeczy nie chciał wierzyć własnym oczom, oczekiwał wręcz, że zwierzęta potrząsając łbami nie przyjmą poczęstunku. Jednakże konie, jak to konie, przyjaźnie miękkiymi pyskami wyjadały cukier z dłoni Teltschera i Esch złościł się: bądź co bądź on też mógł być wpaść na coś takiego, podsunąć im kawałek chleba; a tak po skończonym załadunku nie pozostawało nic innego jak każdego z dwójki koni na sucho klepnąć w zad. Esch to zrobił, a potem wszyscy siedząc na skrzyniach wrócili do miasta. Oppenheimer pożegnał się przy Moście Reńskim; Teltscher i Esch pociągnęli dalej, aby zajechać do matki Hentjen.

Teltscher parę razy odwiedził gospodę i już zachowywał się jak stary bywalec. Esch czuł się winien, że sprowadza matce Hentjen taką hołotę... zamiast czegoś lepszego. Chętnie zrzuciłby faceta z wozu. Siada taki Judasz na miejscu Martina i nie ma pojęcia, że są ludzie lepsi, wytworni, nadzwyczaj przyzwoici, nie ma pojęcia, że Martina pognębił człowiek, który na takiego od rzucania nożami nawet by nie splunął. A ten magik, ten alfons zgrywa się na zwycięzcę, któremu należy się miejsce Martina. Kuglarskie sztuczki, żonglowanie martwymi rzeczami, bezproduktywne popisy oparte na kłamstwie i oszukaństwie.

Dotarli na miejsce. Teltscher wysiadł pierwszy. Esch krzyknął za nim:

– No to kto będzie wyładowywał? Kontrolować i szpiegować to panu pasuje, ale jak trzeba popracować, to się pan migasz. – Jestem głodny – odrzekł Teltscher po prostu i pchnął drzwi lokalu. Nie było rady na tego Żyda; Esch podążył za nim wzruszając ramionami. I żeby zrzucić z siebie odpowiedzialność za tego rodzaju gości, zażartował: – Przyprawiam pani znakomitego gościa, matko Hentjen, lepszy już nigdy się nie trafi. – Raptem jednak poczuł się pogodzony ze wszystkim: niech sobie Teltscher siedzi na miejscu Martina, a Martin na miejscu Nentwiga; nie można się było połapać, a mimo to było to jakoś w porządku. Jakoś nie chodziło już o ludzi, którzy byli wszyscy tacy sami, i nic się nie działo, kiedy jeden rozplątywał się w drugim, kiedy jeden siedział na miejscu drugiego – nie, należało uporządkować świat już nie podług dobrych i złych ludzi, lecz podług jakichś tam dobrych i złych sił. Nienawistnie patrzył na Teltschera, który pokazywał kuglarskie sztuczki z nożem i widelcem, a teraz zapowiedział, że wyciąganie pani Hentjen nóż z gorsetu. Ona wzdrygnęła się z

piskiem, wszelako Teltscher już zaprezentował ów nóż między kciukiem a palcem wskazującym: – No, no, matko Hentjen, żeby coś takiego nosić w gorsecie! – Potem chciał ją zahipnotyzować i ona momentalnie zeszywniała. Co za dużo, to niezdrowo; Esch rugnął Teltschera: – Panie, pana powinno się zamknąć. – To ci nowina – odparł Teltscher. Esch warknął: – Hipnoza jest zakazana przez prawo. – Interesujący człowiek – powiedział Teltscher i podbródkiem wskazał Escha, zachęcając takim sposobem panią Hentjen, żeby również ona pokpiła z interesującego człowieka; ta jednak nie otrząsnęła się jeszcze z przestרחu i zeszywniałymi palcami dotykała swej fryzury. Esch przyjął do wiadomości sukces swojej akcji ratunkowej i był zadowolony. Tak, jednemu, Nentwigowi, przepuścił, drugi raz coś takiego już się nie zdarzy; chociaż nie chodziło o osobę i chociaż jeden rozpływa się w drugim i faceci są już nie do rozpoznania i nie do rozróżnienia; oderwana od sprawy trwa niesprawiedliwość i tylko niesprawiedliwość musi być okupiona.

Gdy szedł później z Teltscherem do Alhambry, było mu lekko na duszy. Posiadł nową wiedzę. I niemal było mu żal Teltschera. A także Bertranda.

I nawet Nentwiga.

Powołując się na swój wkład pracy wytargował u Gernertha gwarancję udziału w zyskach w wysokości stu marek miesięcznie – bo z czego miałyby żyć? – ale już wieczór inauguracyjny przyniósł mu siedem marek udziału. Jak tak dalej pójdzie, to włożony kapitał za miesiąc się podwoi. Nie dało się namówić pani Hentjen, żeby poszła na inauguracyjne widowisko, i Esch przy obiedzie z ożywieniem opowiadał o wczorajszym sukcesie. Gdy doszedł do momentu – można by chyba rzec: kulminacyjnego – jak to Teltscher rozciął jeden z trykotów i kazał zszyć bardzo luźno, tak że podczas zmagania faktycznie pęki w owym krągłym miejscu, i jak to zdarzenie będzie się powtarzać co wieczór, gdy on już po wszystkim do tego stopnia nie mógł powstrzymać się od śmiechu, że zamiast mówić ciągle machał ręką, pani Hentjen wstała i powiedziała, że ma już dość. To niesłychane, żeby człowiek, którego uważała za przyzwoitego i który dawniej miał przyzwoity zawód, mógł upaść tak nisko. Wycofała się do kuchni.

Esch, który zbaraniały pozostał przy stoliku, wytarł sobie mokre jeszcze od śmiechu oczy. W jakimś zakamarku jego serca usadowiło się nieczyste sumienie, w tym zakamarku matka Hentjen miała rację; podarte trykoty na scenie były niejasno spokrewnione z nożami, którymi w tym teatrze miało się już nie rzucać; ale o tym matka Hentjen z pewnością nic nie wiedziała i w gruncie rzeczy jej gniew był niezrozumiały. Żywił dla niej głęboki szacunek, nie chciał jej zwymyślać jak idiotę Lohberga, z którym ona jednak na pewno lepiej by się rozumiała, i po prostu nie był taki delikatny jak Lohberg. Przyglądał się wizerunkowi pana Hentjena nad półką, czy wskazuje jakieś podobieństwo do Lohberga, i gdy popatrzył wystarczająco długo, twarze zmarłego szynkarza i mannheimskiego sprzedawcy cygar faktycznie się złąły. Tak, gdziekolwiek popatrzył, okazywało się, że jeden rozpływa się w drugim i nie można nawet odróżnić martwego od żywego. Nikt nie jest tym, za co się uważa: człowiek sądzi, że jest facetem, który mocno stoi na nogach, który zgarnia swoje siedem marek udziału w zyskach i który idzie sobie tam, gdzie chce; a w rzeczywistości stoi raz w tym, raz w tamtym miejscu i nawet poświęcając się nie jest się samym sobą. Ogarnęło go niepohamowane pragnienie dostarczenia dowodu, że tak nie jest, że tak nie może być, a jeśli już nie mógł udowodnić tego nikomu innemu, to musiał przynajmniej pokazać tej tam kobiecie, że nie powinna go mylić ani z panem Lohbergiem, ani z panem Hentjenem. Nie namyślając się długo poszedł do kuchni i przypomniał pani Hentjen, że w najbliższy piątek jest aukcja wina w St. Goar. – Bez kłopotu znajdzie pan sobie towarzystwo – odparła pani Hentjen znad paleniska. Jej opór zirytował go. Czego żądała od niego ta osoba? Czy miał wypowiadać jedynie te słowa, które ona mu podsuwała i które chciała usłyszeć? Siłą rzeczy pomyślał o automacie muzycznym, do którego każdy mógł sięgnąć. Ale przecież ona go nie lubiła. Gdyby nie było dziewczki

kuchennej, to by ją całkiem chętnie, tak jak stała przy palenisku, po prostu obskoczył, żeby się przekonała o jego istnieniu. A tak powiedział tylko: – Już to ułożyłem: pojedziemy koleją do Bacharach, stamtąd statkiem do St. Goar. Będziemy tam o jedenastej, w sam raz zdążymy na aukcję. Po południu możemy się wybrać do Lorelei. – Zesztywniała trochę wobec tak stanowczego postawienia sprawy, jednakże starała się nadać swojemu głosowi drwiące brzmienie: – Wielkie plany, panie Esch. – Esch nabrał pewności siebie: – To dopiero początek, matko Hentjen; do przyszłego tygodnia zarobię już w każdym razie swoje sto mareczek. – Pogwizdując opuścił kuchnię.

Na sali przejrzał jeszcze przyniesione przez siebie gazety i czerwonym ołówkiem zaznaczał relacje z inauguracyjnego spektaklu. Zezłościło go, że w „Volkswacht” nie znalazł nic na ten temat. Pozwolić, żeby towarzysz partyjny i przyjaciel, który się poświęcił, gnił w więzieniu, to potrafili. Ale nie zdobyli się choćby na nędzną relację. Tutaj też należało właściwie zrobić porządek. Czuł w sobie odpowiednią siłę i miał przeświadczenie, że uda mu się przeniknąć chaos, w którym wszystko było boleśnie splątane, w którym zaciekle, a przecież bez walki zwarli się przyjaciel i wróg, i przynieść wybawienie.

Przechodząc na przerwie przez salę przeraził się mocno – przyszło mu na myśl powiedzenie: „serce zamiera ze strachu” – na widok Nentwiga. Siedział on przy stoliku w towarzystwie czterech innych mężczyzn, była też z nimi jedna z zapaśniczek, w płaszczu kąpielowym narzuconym na trykot. Płaszcz rozchyłał się i Nentwig podstępny ruchami krągłych dłoni usiłował powiększyć szparę. Esch przechodził patrząc w inną stronę, ale zawołała go dziewczyna, tak że musiał się odwrócić. – Halo, panie Esch, co pan tutaj robi? – usłyszał Nentwiga. Esch ociągał się; powiedział krótko: – ...bry wieczór – ale Nentwig nie dosłuchał się w tym odpowiedzi odmownej, lecz przepił do niego, a dziewczyna powiedziała: – Już panu robię miejsce, panie Esch, ja i tak muszę iść na scenę. – Nentwig będąc już podpity ścisnął dłoń Escha, a nalewając mu szklanek patrzył na niego rozrzuwionym wzrokiem: – Nie, coś takiego, to prawdziwa niespodzianka. – Esch powiedział, że on też musi iść na scenę, na co Nentwig, nie wypuszczając jego dłoni, parsknął śmiechem: – A jakże, do pań na scenę, ja też idę, ja też. – Esch próbował mu wytłumaczyć, że ma tutaj zawodowe obowiązki. W końcu Nentwig zrozumiał: – Aaa, to pan tu pracuje? Dobra posada? – Poczucie własnej wartości nie pozwoliło Eschowi odpowiedzieć na to pytanie twierdząco; nie, on tu nie pracuje, on ma udział w interesie. – Coś takiego, coś takiego – dziwił się Nentwig – robi interesy, dobre interesiki, interesik jak się patrzy – rozejrzał się po zatłoczonej sali – i zapomina, że ma dobrego, starego przyjaciela Nentwiga, który w czymś takim zawsze lubi mieć udział. – Ocknął się całkowicie: – A jak tam z dostawami wina, Esch? – Ten oznajmił, że z winem nie ma nic do czynienia; to sprawa właściciela sali. – No, ale cała reszta – Nentwig szerokim gestem ogarnął salę i scenę – to pańska? Niechże pan przynajmniej wypije szklanek – i Esch rad nierad musiał trącić się z Nentwigiem, podać rękę jego towarzyszącej i wypić z nimi. Mimo że Nentwig, by go zawołać, zza pleców, uciekł się do podstępu, Esch nie mógł wykrzesać w sobie nienawiści, do której czuł się zobowiązany. Starał się na nowo uprzytomnić sobie występki prokurenta; nie wychodziło; były to jakieś machlojki w bilansach, grube machlojki, i Esch lekko wyciągnął szyję, żeby rozejrzeć się za przebywającym na sali policjantem. Ale rzecz stała się tak osobliwie nieuchwytna i pozbawiona konturów, że od razu zdał sobie sprawę z bezsensowności tego zamiaru i zawstydzony dość niezdarnie sięgnął po swoją szklanek z winem. Nentwig tymczasem patrzył na swego starego, dobrego buchaltera mętными spojrzeniami i Esch miał takie wrażenie, jakby wraz z tym mętniejszym spojrzeniem cała ta okrągława postać chciała się rozplątać w obojętności. Ten oszukaniec perfidnie zarzucił mu błąd w księgowaniu, chciał go pozbawić chleba i życia i będzie raz po raz na niego perfidnie nastawać. Trudno jednak było mieć złość na niego. Ze splątanego kłębowiska wystaje ręka, grozi pięść ze sztyletem i okazuje się, że

jest to ręka Nentwiga, i sprawa przybiera charakter głupiego i zgoła szubrawego przypadku. Śmierci zadanej ręką Nentwiga nie bardzo można by już było nazwać morderstwem, a sąd odprawiony nad Nentwigiem nie byłby niczym innym jak najbardziej osobistą i najszubrawszą zemstą za błąd w księgowaniu, którego nie było. Nie, na nic się nie zda oddanie jakiegoś prokurenta w ręce sprawiedliwości, bo nie chodzi o odrąbanie ręki, nawet jeśli ta ręka dzierży niebezpieczny sztylet, chodzi o to, żeby ugodzić całość, a przynajmniej głowę. W Eschu coś powiedziało: – Kto się poświęca, jest porządny – i postanowił nie zajmować się dłużej Nentwigiem. Mały tłusciuch zapadł z powrotem w stan odurzenia, a że rozległ się właśnie Marsz gladiatorów, przy którego dźwiękach zapaśniczki pod wodzą Teltschera wmaszerowały na scenę, Nentwig nie zauważył, że Esch zniknął od jego stolika.

Gernerth natomiast siedział przy szklance piwa w biurze dyrekcji i biadolił, gdy wszedł Esch: – Co to za życie, co to za życie... – Oppenheimer przechadzał się tam i z powrotem potrząsając głową i w ogóle trzęsąc się cały: – Chciałbym wiedzieć, co też pana tak zdenerwowało...? – Gernerth miał przed sobą swój notatnik: – Czysze człowieka zżerają. Na co my pracujemy i harujemy? Na czysze! – Ze sceny dochodziło chlastanie chwytów o spocony tłuszcz kobiecych ciał i Esch oburzył się, że ktoś mówi tutaj o harowaniu, ponieważ robi obliczenia w notatniku. Gernerth biadolił dalej: – Teraz dzieci powinny jechać na wakacje; na to trzeba pieniędzy... Skąd je mam wziąć? – Tu Oppenheimer okazał zrozumienie: – Dzieci to błogosławieństwo, dzieci to utrapienie, dyrektorze; no, już jakoś to będzie, niech pan się za bardzo nie martwi. – Esch współczuł Gernerthowi, bo to był zacny człowiek; a mimo to sprawy świata się gmatwały, kiedy pomyślało się o tym, że na scenie musi teraz pęknąć trykot, aby dzieci Gernertha mogły pojechać na wakacje. W jakimś punkcie matka Hentjen ze swoją odrazą miała rację, jednakże w zupełnie innym, niż sama sądziła. Również Esch tego nie wiedział; może to nieporządek napełnił go odrazą i wściekłością. Wyszedł z biura; w kulisach stało kilka zapaśniczek, od których czuć było potem; Esch torując sobie drogę łapał je od tyłu za grube ramiona lub piersi i przyciskał się do nich podbrzuszem, tak że parę zaczęło śmiać się pożądliwie. Potem wyszedł na scenę i zasiadł przy stoliku jury jako tak zwany protokolant. Teltscher z gwizdkiem w ustach leżał na podłodze i patrzył przenikliwie pod mostek wykonywany przez jedną z pań, podczas gdy druga miotała się na niej i próbowała na pozór złamać ten mostek, bo leżąca pod spodem była Germanką, do której obowiązków należało rychłe wyswobodzenie się patriotycznym szarpnięciem z zawstydzającej opresji. A chociaż Esch znał ukartowaną grę, poczuł ulgę, gdy niemal zwyciężona stanęła znów na nogi, i był jednak pełen wzburzonego współczucia dla jej przeciwniczki, gdy Irmentraud Kroff rzuciła się teraz na nią i przy narodowym uniesieniu sali przycisnęła do maty łopatki rywalki.

Gdy pani Hentjen wstała, ledwie zaczynało świtać. Otworzyła okno, żeby zobaczyć, jaka będzie pogoda. Niebo rozciągało się jasno i bezchmurnie nad ciemną jeszcze szarością podwórza, które spoczywało przed nią w nieporuszonej milczeniu, mały czworokąt między murami. Oparte o ścianę stały tam w dole spokojnie jasne balie po dniu prania. Chłodny wiatr zabłąkał się pomiędzy mury i niósł zapach miasta. Poczłapała na górę do izby dziewczki kuchennej i zastukała w drzwi; nie miała zamiaru wychodzić bez śniadania, tego by jeszcze brakowało. Potem zaczęła staranną toaletę i włożyła brązową jedwabną suknię. Kiedy Esch przyszedł po nią, siedziała mrukiwie nad kawą w gospodzie. Mrukiwie powiedziała: – Idziemy – wszelako w sieni przypomniała sobie, że może Esch też by chciał napić się kawy; dostał ją naprędce w kuchni i chleptał na stojąco. Na ulicach było już słońce, lecz jasny blask leżący na bruku między długimi cieniami murów nie zdołał poprawić humoru ich obojga. Esch ograniczał się do zwięzłych i szorstkich informacji: – Idę po bilety – i: – Peron piąty. – Milcząco siedzieli obok siebie w przedziale; w Bonn co prawda on wychylił się, spytał, czy jest już świeże pieczywo, i kupił jej bułeczkę. Zjadła ją mrukiwie i pełna wyrzutu. Za

Koblencją, gdy ludzie jak zwykle podchodzili do okna, żeby chłonąć nadreński krajobraz, pani Hentjen zachęcała się, żeby zrobić to samo. Esch natomiast nie ruszył się z miejsca; znał tę okolicę aż do przesyty, a poza tym miał zamiar pokazywać pani Hentjen naturę dopiero ze statku. Teraz złościł się, że uprzedziła tę przyjemność, ponadto zaś zasięgała pouczających objaśnień u współpasażerów z przedziału. Toteż każdy tunel, który przerywał widok, zadowalał jego niezadowolenie, a jego złość spotęgowała się do tego stopnia, że w Ober-Wesel bez ceregieli odwołał ją od okna: – W Ober-Wesel też miałem kiedyś robotę... – Pani Hentjen wyjrzała: na stacji nie było nic godnego uwagi. Powiedziała uprzejmie: – Ano, człowiek bywa tu i tam. – Esch jeszcze nie skończył: – Posada była marna, mimo to wytrzymałem, parę miesięcy, z powodu tutejszej dziewczyny... nazywała się Hulda. – To niech on zaraz wysiądzie i odwiedzi ją, brzmiała podrażniona odpowiedź pani Hentjen, przez nią nie musi sobie zadawać żadnego przymusu. Ale oto byli już w Bacharach i Esch po raz pierwszy w życiu doświadczył bezradności turysty, który stoi na stacji i ma przed sobą wolną godzinę. Wedle jego programu mieli zjeść śniadanie na parowcu i tylko z zakłopotania zaproponował, żeby wstąpić tutaj do jednej ze znanych mu gospód. Lecz kiedy szli wąskimi uliczkami miasta, które spokojnie i przytulnie spoczywały w świetlistym blasku przedpołudnia, matka Hentjen, przed jednym z domów z pruskiego muru, nagle wyrzuciła z siebie słowa: – Tutaj chciałabym mieszkać, to byłby mój ideał. – Może to skrzynki kwiatów pod oknami zrobiły na niej takie wrażenie, może było to tylko odetchnięcie z ulgą, jakie często wydobywa się z człowieka na widok czegoś nieznanego, a może po prostu jej zły humor się wyczerpał – krótko mówiąc świat pojaśniał; zgodnie oglądali teraz wszystko, doszli nawet do położonej wysoko ruiny kościoła, która specjalnie ich nie zainteresowała, pospieszyli przedwcześnie na przystań, żeby nie spóźnić się na statek, i nie przejmowali się tym, że muszą jeszcze czekać pół godziny.

Na statku wszakże przemawiali się kilkakrotnie, bo duma pani Hentjen na dłuższą metę nie pozwalała, by jedynie Esch miał być znawcą okolicy. Wygrzebywała z pamięci znajome nazwy, zaczęła ze swej strony wyciągając rękę wygłaszać przypuszczenia i pouczenia i była urażona, gdy skrupulatność Escha nie przepuszczała żadnego błędu. Lecz i to nie zdołało zmącić ich dobrego humoru i po przybyciu do St. Goar żal im było opuszczać statek, ba, w pierwszej chwili nawet nie bardzo wiedzieli, czemu tutaj schodzą na ląd. Handlowy cel ich podróży jakoś im zubożał, a gdy w lokalu aukcyjnym dowiedzieli się, że sprzedaż poszukiwanych tanich gatunków już się odbyła, wcale to ich nie strapiło, poczuli się wręcz uwolnieni od obowiązku, bo dużo ważniejsze było dla nich pójść na prom, który na daleko rozpiętej linii przepływał do kusząco rozświetlonego Goarshausen. I jeśli Esch, udając zaaferowanie prawdziwego kupca, notował osiągnięte na aukcji ceny, „na drugi raz”, jak powiedział, to w tej handlowej postawie bądź co bądź było coś z lekka hochsztaplerskiego, co znalazło odbicie w dziwnie nieczystym sumieniu, które z jednej strony zmuszało go do rozmyślnego pomijania nazbyt korzystnych cen, z drugiej zaś doskwierało mu tak dalece, że już na promie dopisywał do listy z pamięci pominięte ceny i mierzył panią Hentjen niezyczliwymi spojrzzeniami.

Pani Hentjen siedziała na rozpalonej od słońca drewnianej burcie promu, z zadowoleniem zanurzyła palec w wodzie, bardzo ostrożnie, żeby nie zamoczyć kremowej jedwabnej mitenki, i gdyby to od niej zależało, to jeszcze kilka razy przeprawiliby się przez Ren, bo osobliwe uczucie lekkiego zawrotu głowy, z jakim można było patrzeć na przemykającą skosem wodę, było przyjemne. Ale pora zrobiła się już bardzo późna, a pod drzwiami w ogródku nadbrzeżnej gospody też było dobrze. Jedli rybę, pili wino, a przy cygarze Esch rozważał konieczność intensyfikacji, zastanawiając się poważnie, czy matka Hentjen, która rozsiadła się ciężko i okazała, też takiej intensyfikacji nie oczekiwała. Wszelako nie była ona jak inne kobiety, toteż zaczął bardzo ostrożnie mówić o Lohbergu, któremu właściwie zawdzięczał pomysł tej pięknej wyprawy, pochwalił za to Lohberga, aby po tym przejściu wyłożyć w

odpowiedniej formie wegetariańskie poglądy na prawdziwą miłość: jednakże pani Hentjen, która spięta zorientowała się, do czego on zmierza, przerwała rozmowę i choć sama czuła zmęczenie i wolałaby odpocząć, powołała się na program, zgodnie z którym powinni teraz udać się do Lorelei. Esch był oburzony; wysilał się, żeby mówić jak Lohberg, i nie znalazł uznania. Prawdopodobnie był dla niej wciąż jeszcze nie dość delikatny.

Wstał i zapłacił. Kiedy przemierzali ogródek gospody, dostrzegł letników; były wśród nich młode ładne kobiety i młode dziewczyny: Esch przestał nagle pojmować, jakie właściwie miał zamiary wobec tej podstarzałej kobiety, choć w tej brązowej jedwabnej sukni wyglądała naprawdę dorodnie. Dziewczyny nosiły lekkie, jasne letnie sukienki, a brązowa jedwabna suknia wkrótce zszarzała od kurzu drogi i zrobiła się niepozorna. Niemniej jednak wszystko to jakoś mu odpowiadało; miało się przecież sumienie i jeśli pomyślało się o Martinie, który w więzieniu łaknął słońca i który za swoje poświęcenie spotkał się z nikczemną niewdzięcznością, to właściwie człowiekowi wiodło się jeszcze o wiele za dobrze! I brnąć teraz z panią Hentjen w kurzu gościńca zamiast z jedną z pięknych dziewczyn leżeć na trawie był nawet rad, że ta kobieta nie okaże mu za poświęcenie żadnej wdzięczności. Kto się poświęca, jest porządny. Zastanawiał się, czy potrafiłby jej należycie uzmysłowić swoje poświęcenie, ale potem przypomniał sobie Lohberga i machnął ręką: człowiek delikatny cierpi w milczeniu. Kiedyś, kiedy być może będzie już za późno, dotrze to do jej świadomości. Ogarnęło go bolesne wzruszenie i podążając przodem zdjął najpierw surdut, potem kamizelkę. Matka Hentjen z odrazą patrzyła na dwie duże mokre plamy, pod którymi koszula przylegała do łopatek, i gdy on skręcając w leśną drogę przystanął, a ona nadeszła, wzdragając się poczuła rozgrzany zapach jego ciała. Esch odezwał się dobrodusznie: – No, matko Hentjen? – Niech pan włoży surdut – powiedziała ostro, ale po macierzyńsku dodała: – Chłodno jest tutaj, przyjemnie chłodno, ale pan się przeziębi. – Jak człowiek idzie, to mu gorąco – odparł. – Niech pani lepiej rozepnie parę haftek pod szyją. – Potrzęsnęła głową w staromodnie przybranym małym kapeluszu: nie, ona nie chce, jak by to wyglądało! – Cóż, tutaj nikt nas przecież nie widzi – powiedział Esch i ta nagle stwierdzona samotność i wspólność, w której nie trzeba się wstydzić siebie nawzajem, bo nikt tego nie widzi, speszyła ją. Naraz uznała za zrozumiałe, że on niejako z pełnym zaufaniem odsłonił przed nią swój pot; i jeśli czuła jeszcze odrazę, to właściwie już nie na powierzchni, lecz przytępioną i przytłumioną, brzydziła się tylko jakby pod skórą i nie bała się już nawet jego końskiego użębienia, lecz potraktowała je jako część tej tak dziwnie dozwolonej wolności od wstydu, jako że on teraz znowu obnażył je w uśmiechu: – No to żwawo dalej, matko Hentjen, nie zasłaniajmy się zmęczeniem! – Była urażona, ponieważ on widać nie wierzył, żeby mogła dotrzymać mu kroku, i z lekka zadyszana ruszyła ponownie, opierając się na wątlej parasolce od słońca. Esch trzymał się teraz obok niej i w bardziej stromych miejscach usiłował jej pomagać. Ona z początku spoglądała na niego nieufnie, czy nie ma to być czasem niestosowne zbliżenie, i z wielkim ociąganiem przyjęła wreszcie jego ramię, aby wszakże tę podporę natychmiast puścić, ba, odtrącić, skoro tylko zbliżał się do nich z naprzeciwka jakiś wędrowiec czy choćby dziecko.

Wspinali się powoli, a zatrzymując się dla odsapnięcia zaczęli stopniowo dostrzegać, co było wokół nich: spękaną od upału, białawą glinę leśnej drogi, rośliny, których wypłowiła zielen tkwiła w suchym gruncie, korzenie, które z pokrytymi pyłem włóknami kładły się na wąskiej drodze, zwiędły, suchy zapach ledwie w upale oddychającego lasu, byliny, które pomiędzy liśćmi miały czarne, martwe jagody, gotowe jesiennie uschnąć. Dostrzegali je nie umiając ich nazwać, lecz gdy dotarli do pierwszej ławki widokowej, ujrzeli przed sobą dolinę i chociaż do wdrapania się na skałę Lorelei było jeszcze daleko, wydało się im, że są już u celu i mogą napawać się krajobrazem, bo usiedli; a pani Hentjen starannie wygładziła spód brązowej jedwabnej sukni, żeby się nie zgmiotła pod jej ciężarem. Było tak cicho, że słyszało się głosy z przystani i gospód w St. Goar po tamtej stronie, a także głuchy dźwięk, z jakim

prom uderzał o pomost; i dla obojga niecodzienność takiego wrażenia była niezbyt miła. Pani Hentjen oglądała serca i inicjały wyryte w oparciu ławki i na siedzeniu koło niej i ściśniętym głosem zapytała Escha, czy on też uwiecznił się tutaj ze swoją Huldą z Ober-Wesel. Kiedy dla żartu zaczął szukać tego śladu, kazała mu przestać: czy to widać, czy nie widać, gdziekolwiek stąpi mężczyzna, tam zawsze znajdzie swoją splamioną przeszłość. A Esch, nie przestając żartować, odrzekł, że być może znajdzie również jej imię wycięte w sercu, czym ją na serio rozgniewał; na cóż to on jeszcze sobie pozwoli? Jej przeszłość jest, chwała Bogu, czysta i ona może się zmierzyć z każdą młodą dziewczyną. Wszelako ktoś, kto przez całe życie bez ustanku zabawiał się z kobietami, tego nie zrozumie. I Esch, którego ten zarzut ugodził do głębi, czuł się nikczemny i podły, gdyż oceniał ją niżej od młodych dziewczyn w ogródku gospody, z których być może niejedna nie byłaby godna podać wody matce Hentjen. Przyniosło mu to ulgę, że oto był tu człowiek, który przedstawiał się jednoznacznie i zdecydowanie, człowiek, który wiedział, co robi prawica, a co lewica, gdzie jest dobro i gdzie zło. Przez chwilę miał wrażenie, że tu jest upragniony punkt, który jasno i niezmiennie odbija od powszechnego nieporządku i którego można się chwycić; ale przeszkadzała mu myśl o panu Hentjenie i jego zdjęciu w gospodzie, nie opuszczało go podejrzenie, że gdzieś jednak musi być wyryte owo serce, które obejmowało ciasno splecione inicjały jej i pana Hentjena. Nie śmiał dotykać tego tematu i zapytał jedynie, gdzie był jej dom rodzinny. Odparła krótko, że pochodzi z Westfalii; a zresztą co to kogo obchodzi. I nie mogąc dostać się do swojej fryzury zaczęła gmerać przy kapeluszu. Nie, ona w ogóle nie znosi, kiedy bez ustanku wtyka się nos w cudze życie, a tak zachowują się tylko ludzie pokroju Escha czy podobnych klientów, którzy nie umieją wyobrazić sobie, że nie za każdym ciągnie się zaszargana przeszłość. Jak już tacy faceci sami nie mogą zdobyć kobiety, to starają się przynajmniej pomówić ją o życie miłosne i przeszłość. Oburzona odsunęła się troszkę od niego i Esch, którego myśli nadal krążyły wokół pana Hentjena, nabrał pewności, że musiała być bardzo nieszczęśliwa. Na jego twarzy malował się wyraz wielkiego zatroskania. Całkiem możliwe, że to biciem wpędzono ją w to małżeństwo. Powiedział więc, że nie miał nic złego na myśli. I nawykły do pocieszania kobiet, które płakały lub w inny sposób wydawały mu się nieszczęśliwe, przez kontakt fizyczny, wziął jej dłoń i pogłaskał. Może sprawiła to niezwykle cisza w przyrodzie, może jednak tylko jej wyczerpanie; nie broniła się. Wypowiedziała swoje zdanie, ale już ostatnie słowa wyrwały się jej z ust jak zużyte sprężyny, tak że sama ledwie je poznawała, a teraz była całkowicie pusta, niezdolna już nawet do odczuwania niechęci czy odrazy. Patrzyła na rozpostartą dolinę nie widząc jej i nie wiedziała już, gdzie jest. Wiele bezwiednych lat spędzonych między bufetem a paru znajomymi ulicami skurczyło się do wymiarów małego punktu i było nieomal tak, jak gdyby zawsze siedziała tutaj, w tym nieznanym miejscu. Świat tak nieznanym, że nie sposób go ogarnąć, i już nic jej z nim nie łączyło, nic prócz cienkiej gałęzi z kolczastymi liśćmi, która zwisała nad oparciem ławki i po której przesuwały się tam i z powrotem palce jej lewej ręki. Esch zadawał sobie pytanie, czy powinien ją pocałować, ale nie czuł pożądania i uznał też, że nie byłoby to delikatne.

Siedzieli zatem w milczeniu. Słońce chyliło się ku zachodowi i świeciło im w twarz, ale matka Hentjen nie czuła skwaru ani pieczenia napiętej, zaczerwienionej i zakurzonej skóry. I wydawało się zgoła, że pół jawa, pół sen przeniesie się na Escha i jego ogarnie, bo on też widział przed sobą coraz szersze i dłuższe cienie gór w dolinie jako ochładzającą pokusę, bał się jednak zmiany sytuacji i z dużym ociąganiem sięgnął w końcu po leżącą obok kamizelkę, w której znajdował się duży srebrny zegarek. Czas był na pociąg i bezwolna usłuchała jego wezwania. Schodząc w dół opierała się ciężko na jednym jego ramieniu, on zaś na drugim niósł cienką różową parasolkę od słońca: dyndały na niej kamizelka i surdut. Żeby ułatwić jej marsz, rozpiął dwie haftki przy jej opiętej talii i matka Hentjen przystała na to, nie odpychała też go od siebie, kiedy z naprzeciwka pojawiali się wędrowcy; ona ich nie widziała. Spódnica jej brązowej jedwabnej sukni omiatała kurz gościńca, a gdy na stacji Esch posadził ją na

ławce i zostawił, żeby ugasić pragnienie, siedziała otępiła i bezradna czekając, aż wróci. Przyniósł i dla niej szklanę piwa, którą wypila na jego polecenie. W ciemnym przedziale pociągu osobowego położyła głowę na jego ramieniu. Nie wiedział, czy ona śpi, i ona sama też chyba tego nie wiedziała. Jej głowa kolebała się niewygodnie na jego twardym ramieniu. Próbie przyciągnięcia jej do siebie nieugięty opór stawiało jej rozłożyste ciało w fiszbinowym futerale, a szpilki w kapeluszu na jej rozkołysanej głowie zagrażały jego twarzy. Zdecydowanym ruchem odsunął jej kapelusz, który przemieszczając się wraz z fryzurą w tył nadawał jej wygląd pijanej. Jedwab jej sukni zalatywał kurzem i przegrzaniem; tylko momentami czuło się delikatny zapach lawendy, który utrzymywał się jeszcze w fałdach. Potem pocałował policzek, który musnął jego usta, a w końcu wziął okrągłą, ciężką głowę w dłonie i obrócił ku sobie. Odwzajemniła pocałunek suchymi, grubymi wargami, na podobieństwo zwierzęcia, które przyciska pysk do szklanej szyby.

Dopiero znalazłszy się w sieni połapała się, na jakim świecie żyje. Odtrąciła Escha i niepewnym jeszcze krokiem dotarła na swoje miejsce za bufetem. Usiadła tam i patrzyła na lokal, który leżał przed nią jakby we mgle. Wreszcie rozpoznała Wrobka przy pierwszym stoliku i powiedziała: – Dobry wieczór, panie Wrobek. – Ale nie widziała, że Esch wszedł za nią do lokalu, i nie zauważyła też, że był jednym z ostatnich, którzy opuścili lokal. Gdy skłonił się jej na pożegnanie, powiedziała obojętnie: – Dobranoc, moi panowie. – Jednak Esch wychodząc z gospody miał osobliwe i wręcz dumne uczucie: był kochankiem matki Hentjen.

Jeśli raz pocałowało się kobietę, to cała reszta następuje nieodparcie i nieuchronnie. Można to przyspieszyć, można to spowolnić, ale nie można uchylić prawa natury. Esch o tym wiedział. Mimo to nie potrafił sobie wyobrazić dalszego ciągu swojej znajomości z matką Hentjen i dlatego było mu przyjemnie, że nazajutrz w południe do gospody przyszedł z nim Teltscher; spotkanie z matką Hentjen było przez to ułatwione i w ogóle: tak było prościej.

Teltscher wykombinował coś nowego: trzeba wystraszyć Murzynkę, to nada końcowym rundom szczególny smaczek; chciał ją nazwać „Czarną Gwiazdą Afryki” i Germanka po dwóch nie rozstrzygniętych rundach musiałaby w końcu zwyciężyć Czarną Gwiazdę. Esch trochę się obawiał, że Teltscher wyłoży te afrykańskie plany matce Hentjen, i nie pomylił się, bo już od progu Teltscher obwieścił nowinę: – Pani Hentjen, nasz Esch postara się nam o Murzynkę! – Ona z początku nie pojmowała, nawet wtedy, gdy Esch zgodnie z prawdą zapewnił, że nie ma pojęcia, skąd miałby wziąć czarnuchę, nie, matka Hentjen w ogóle nie chciała słuchać, tylko uzbroiła się w cierpki sarkazm: – Jedna więcej czy mniej to dla niego chyba nie gra roli. – Teltscher podochocony klepnął go kolano: – Naturalnie, to mężczyzna, na którego panie lecą jak muchy, jemu nikt nie dorówna.

– Esch popatrzył na wizerunek pana Hentjena: oto ktoś, kto mu dorównał. – Cóż, taki jest Esch – powtórzył Teltscher. Dla pani Hentjen było to potwierdzenie jej własnej złej opinii i próbowała rozbudować sojusz z Teltscherem; przyglądała się ostrzyżonemu na jeża włosom Escha, tej ciemnej szcztocie, spod której żółtawo prześwitywała skóra głowy, i czuła, że dzisiaj trzeba jej sprzymierzeńca. Odwracając się od Escha pochwaliła Teltschera; to aż nadto zrozumiałe, że szanujący się mężczyzna nie chce nic wiedzieć o tych historiach z babami i woli zlecić tę misję takiemu panu Eschowi. Esch odparł podrażniony, że o taką misję niejeden by się dobijał, tylko że mało kto potrafi ją wykonać. I miał w pogardzie Teltschera, któremu nie udało się nawet zatrzymać przy sobie Ilony. – No, panie Esch – powiedziała pani Hentjen – nuże, Murzynka czeka, niech pan się czym prędzej zabiera do pracy. – Owszem, on to zaraz zrobi, odrzekł Esch i dokończywszy obiadu wstał i zostawił nieco zaskoczoną panią Hentjen w towarzystwie Teltschera.

Jakiś czas się wałęsał. Nie miał nic do roboty. Był zły, że zostawił ją sam na sam z Teltscherem, i w końcu pognało go z powrotem. Trudno było przypuszczać, że zastanie jeszcze Teltschera, wołał jednak się upewnić. Sala była pusta, w kuchni też nie znalazł

nikogo. Teltscher zatem poszedł sobie i on również mógłby się oddalić; ale było mu wiadomo, że pani Hentjen o tej porze przebywała zazwyczaj w swoim pokoju, i raptem uświadomił sobie, że to z tego powodu wrócił tutaj. Zwlekał chwilę, po czym wspiął się cicho po drewnianych schodach na górę. Wszedł bez pukania. Matka Hentjen siedziała przy oknie i cerowała pończochy; na jego widok wydała lekki okrzyk i zeszywniała. Podszedł wprost do niej, wcisnął ją z powrotem na krzesło i pocałował w usta. Broniąc się i uchylając przesuwając ciężkie ciało to w tę, to wewtę, gulgotała chrapliwie: – Niech pan wyjdzie... Tu nie ma pan czego szukać. – Bardziej niżli jego gwałtowność doskwierała jej myśl, że on, wracający od jakiejś Czeszki czy Murzynki, był tutaj w jej pokoju, w pokoju, do którego nigdy jeszcze nie wszedł mężczyzna. Walczyła o ten pokój. Lecz on trzymał ją mocno i w końcu zaczęła odwzajemniać jego pocałunki suchymi, grubymi wargami, być może po to tylko, aby taką łagodnością nakłonić go do odejścia, bo co parę chwil przez zaciśnięte zęby powtarzała wciąż od nowa: – Tu nie ma pan czego szukać. – Na ostatek już tylko błagała: – Nie tutaj. – Esch, znużony beznamiętną walką, przypomniał sobie, że ma przed sobą kobietę, której należy się wysoki szacunek i respekt. Jeśli życzyła sobie zmiany miejsca, to czemu nie? Puścił ją, ona zaś popchnęła go ku drzwiom. Gdy stanęli na korytarzu, zapytał ochryple: – Gdzie? – Ona nie zrozumiała, bo sądziła, że on sobie teraz pójdzie. Esch, tuż przy jej twarzy, spytał jeszcze raz: – Gdzie? – a że ona trwała nieruchomo, nie odpowiadając, ponownie wziął ją w ramiona, aby skierować ją z powrotem do pokoju. Ona obronę tego pokoju uważała za jedyne zadanie. Rozglądała się bezradnie, zobaczyła drzwi do aia wialni, nagle powzięła nadzieję, że wytworność tego pomieszczenia przywiedzie go na powrót do rozsądku i dobrych obyczajów, i wskazała wzrokiem w tamtą stronę; ustąpił z drogi, podążył jednak za nią, z dłonią na jej ramieniu, jakby prowadził więźnia.

Wchodząc powiedziała niepewnie: – No, panie Esch, teraz to chyba będzie pan rozsądny – i chciała podejść do okna, aby otworzyć zaciemniające okiennice. On wszakże objął ją teraz od tyłu i pani Hentjen nie mogła ruszyć się z miejsca. Starła się uwolnić, w rezultacie czego zatoczyli się nieco i wpadli na orzechy, omal się nie przewracając. Orzechy trzaskały pod ich stopami i gdy pani Hentjen, chcąc chronić zapas, poczęła się cofać i zbliżała się do alkowy, żeby tam znaleźć oparcie i mocno stanąć na nogach, przyszła na nią chwila lunatycznej refleksji: Czy to nie ona sama zwabiła go tutaj? Jednakże to zirytowało ją jeszcze bardziej i syknęła: – Niechże pan idzie do tej swojej Murzynki... ze mną nie pójdzie tak jak z pańskimi babami. – Chciała ucześcić się narożnika alkowy, lecz złapała kotarę; drewniane kółka na drążku zagrzechotały lekko i ona ze strachu, że uszkodzi dobrą rzecz, puściła kotarę, tak że teraz można było popchnąć ją w głąb ciemnej wnęki ku małżeńskim łóżkom. Esch, nadal stojąc za nią, pociągnął jej wolne teraz dłonie w tył i do siebie, tak że musiała poczuć podniecenie jego męskości. Czy to z tego powodu, czy też dlatego że na widok małżeńskich łóżek popadła w bezbronne odrętwienie, oklapła pod jego zdyszonym naporem. A że niezdarnie zrywał z niej ubranie i że z kolei to jej bielizna znalazła się w niebezpieczeństwie, tam, gdzie jemu się nie udawało, pomagała ona sama jak skazaniec, który przychodzi z pomocą katowi, i napełniło go to zgrozą, jak gładko wszystko się teraz potoczyło i jak matka Hentjen, gdy padli na łóżko, praktycznie położyła się na plecach, aby go przyjąć. A jeszcze głębszą zgrozą napełniło go to, że ona, nieporuszona i odrętwiła, znosiła wszystko bezdźwięcznie i beznamiętnie, jakby spełniając stary obowiązek, jakby kontynuując jedynie stary i rutynowy obowiązek. Tylko jej krągła głowa miotła się na kołdrze to tu, to tam niby w ciągłej odmowie. Czując ciepło jej odsłoniętego ciała potęgował swe pożądanie, aby to samo wzbudzić w niej i pokonać. Trzymał jej głowę w dłoniach, obejmował ją, jak gdyby chcąc wycisnąć myśli, które w niej zastygły i nie należały do niego, a jego usta przesuwwały się po nieładnych, masywnych powierzchniach tłustych policzków i niskiego czoła, a te pozostawały nieczułe i nieporuszone, równie nieporuszone i nieczułe jak masy, dla których poświęcił się Martin i które pozostały jednak nie wybawione. Może Ilona tak odczuwała

tłustą masywność Korna i przez chwilę doznawał uczucia szczęścia, że poszedł w jej ślady, że jest to sprawiedliwe i że dzieje się to dla niej i dla wybawienia ku sprawiedliwości. Och, wymazać siebie, stawać się coraz bardziej osierociałym, unicestwić się samemu z całą niesprawiedliwością, którą się dźwiga i którą się nagromadziło, jednakże wymazać również tę, której ust się szuka, wymazać czas, który był także jej czasem, czas, który osiadł w podstarzałych policzkach, pragnienie, by unicestwić kobietę, która żyła w czasie, sprawić, że poza czasem powstanie na nowo, zeszytniała i pokonana w zespoleniu z nim! Oto jej usta przyłgnęły do jego szukających ust jak pysk zwierzęcia do szklanej szyby i Esch był pełen wściekłości, że ona nie chcąc, by zawładnął jej duszą, więziła ją za zaciśniętymi zębami. A gdy w końcu z chrapliwym pochrząkiwaniem rozchyliła wargi, poczuł błogość, jakiej nigdy jeszcze z kobietą nie zaznał, zatopił się w niej bez reszty, pragnąc posiąść ją, która była już nie sobą, lecz odzyskanym, wydartym nieznanemu matczynym życiem, wymazując własne ja, które przełamało swe granice, przepadły i pogrążony w swojej wolności. Bo człowiek, który chce dobra i sprawiedliwości, chce absolutu i Esch po raz pierwszy przekonał się, że nie rozkosz się liczy, lecz że chodzi o zespolenie, które wyrasta ponad przypadkową i smutną, ba, nawet nędzną okazję, o zespolone zatracenie, które samo będąc ponadczasowe uchyla czas, i że odrodzenie człowieka jest zawieszony jak wszechświat, który wszakże maleje i zamyka się przed nim, kiedy pokona go ekstatyczna wola owego człowieka, aby stał się dla niego tym, co tylko jemu jest właściwe: wybawieniem.

A cóż to takiego być kochankiem matki Hentjen! Wielu mężczyzn uważa, że sednem życia jest istnienie określonej kobiety. Esch od dawien dawna umiał się bronić przed takimi przesadami. Co to to nie, nawet jeśli w jego myślach pani Hentjen dziwnie wysuwała się na pierwszy plan. Co to to nie. W jego życiu były większe i wyższe cele.

W pobliżu Neumarktu stanął przy księgarni. Jego wzrok padł na podobiznę Statui Wolności, wytłoczoną złoto na zielonym płótnie; pod spodem tytuł: Ameryka dziś i jutro. W swoim życiu niewiele kupił książek i sam się zdziwił, że teraz wszedł do środka. Księgarnia z gładkimi ładami i czworokątnymi książkami ustawionymi we wzorowym porządku przypominała nieco sklep z cygarami. Chętnie pobylby dłużej, aby pogadać, ale że nikt nie zwracał na niego uwagi, zapłacił za książkę i miał oto w ręku paczuszkę, z którą nie wiedział co zrobić. Prezent dla pani Hentjen? Z pewnością nie okazałaby najmniejszego zainteresowania, a mimo to w niewytłumaczalny sposób coś wiązało ją z tym zakupem. Niezdecydowanie zatrzymał się jeszcze raz przed wystawą. Na sznurze za szklaną szybą wisiały kolorowe zeszyty przewodników językowych, a na ich okładkach powiewały flagi przynależnych państw jak radosna zachęta dla amatorów nauki. Esch udał się na obiad do gospody.

Z niestosownym prezentem lepiej się nie wyrywać i Esch poszedł z książką pod okno; tutaj po obiedzie czytał zwykle gazetę, czemu więc nie miałyby też tutaj usiąść z książką. Niedługo to trwało i przez pustą salę matka Hentjen zawołała do niego: – No, panie Esch, pan to naturalnie ma czas, żeby w biały dzień czytać książki. – Owszem – zawołał ucieszony w odpowiedzi – zaraz pani pokażę. – Wstał i zaniósł tom do bufetu. – A to co znowu? – zapytała, gdy podsunął jej książkę; ruchem głowy dał jej do zrozumienia, że ma ją sobie obejrzeć; przerzuciła trochę kartek, obejrzała kilka ilustracji i ze słowami: – No dobrze – po prostu zwróciła mu książkę. Esch był rozczarowany; przecież domyślał się, że to jej nie zainteresuje, cóż taka kobieta wiedziała o większych i wyższych celach! Niemniej jednak nie odchodził czekając, że jeszcze coś nastąpi... ale nastąpiło jedynie to, że matka Hentjen powiedziała: – Pewnie pan myśli przesiedzieć tu z tym książczyskiem całe popołudnie. – Esch odparł: – Ja nic nie myślę – i obrażony zabrał książkę do domu, aby poczytać ją w samotności. I postanowił, że wyemigruje sam. Sam jeden jak palec. A mimo to wciąż sobie wyobrażał, iż studiuje to amerykańskie dzieło nie tylko dla siebie, lecz i dla matki Hentjen.

Co dzień czytał kawałek. Najpierw obejrzał tylko ilustracje i kiedy myślał teraz o Ameryce, to wydawało mu się, że tamtejsze drzewa już nie są zielone, łąki nie kolorowe, niebo nie błękitne, ale że całe życie rozgrywa się tam w błyszczących i eleganckich odcieniach szarobrazowych fotografii lub w ostrych konturach delikatnie szrafirowanych rysunków piórkiem. Później zagłębił się w tekst. Liczne dane statystyczne co prawda go nudziły, lecz był zbyt sumienny, żeby je przeskakiwać, i udało mu się całe ich mnóstwo zapamiętać. Duże zainteresowanie okazywał amerykańskiej policji i sądownictwu, które – jak twierdziła książka – były oddane na służbę demokratycznej wolności, tak że dla każdego, kto potrafił czytać książkę, stawało się jasne, że tam nie pakuje się kalek do więzienia na rozkaz występnych armatorów; Martin zatem powinien jechać razem z nim. Esch przewrócił kartkę i dziwna rzecz: fotografia oceanicznego olbrzyma koło hali nowojorskiej przystani ukazywała matkę Hentjen w brązowej jedwabnej sukni, z cienką różową parasolką od słońca w dłoniach, ze wzrokiem skierowanym na ciżbę przybyszy, podczas gdy Martin ze swoimi kulami siedział na skrzyni, wokół zaś rozbrzmiewały dźwięki angielskiej mowy.

I będąc człowiekiem skrupulatnym Esch po pewnym wahaniu zdecydował się ponownie odwiedzić księgarnię, której urządzenie wydało mu się swojskie. Nie zważając na nowy wydatek nabył angielski przewodnik językowy z kusząco radosnym Union Jackiem i niezwłocznie zabrał się do wkuwania angielskich słówek, a za każdym z nich stało słowo „wolność” w szarobrazowych, eleganckich odcieniach błyszczącej jedwabście fotografii, jak gdyby za sprawą tego słowa wszystko, co było przedtem i zostało wyrażone w dawnym języku, miało pograżyć się w zapomnieniu i dostąpić wybawienia. Postanowił, że nawet między sobą będą posługiwać się językiem angielskim i że w tym celu trzeba matkę Hentjen nauczyć angielskiego. Ale żywiąc zdrową pogardę dla wszelkiego marzycielstwa nie poprzestawał na próżnych pragnieniach: jego udział w zyskach rósł i chociaż w ostatnich dniach frekwencja na walkach zapaśniczych trochę spadła, to w każdym razie pozostała z tego przedsięwzięcia nadwyżka w wysokości blisko dwustu marek, którą ostatecznie przeznaczył na podstawę funduszu podróznego; tedy można było działać, wyrwać się z więzienia, zacząć nowe życie. Często gnało go teraz do katedry. Kiedy patrzył ze stopni na plac katedralny i pojawiali się ludzie mówiący po angielsku, to czuło się wtedy jakby tchnienie wolności, które muskało czoło, jeśli zdjęło się kapelusz w ciepłym letnim wietrze. Nawet ulice Kolonii nabrały innego, można by wręcz rzec: bardziej niewinnego wyglądu i Esch obserwował je z życzliwością i zgoła odrobiną złośliwej satysfakcji. Trzeba tylko znaleźć się tam, za wielką wodą, a i tutaj inaczej będzie wyglądało. A jak człowiek kiedyś wróci, każe mówiącemu po angielsku przewodnikowi pokazać sobie katedrę.

Po spektaklu zaczął na Teltschera; w łagodnym, deszczowym powietrzu szli przez noc. Esch przystanął: – Teltscher, zawsze przechwalałeś się pan swoimi amerykańskimi kontraktami: trzeba teraz zabrać się do nich na serio. – Teltscher lubił rozmowy o wielkiej wygranej: – Jak zechcę, to będę miał kontraktów, ile dusza zapragnie. – Esch sprzeciwił się:

– Z tym pańskim rzucaniem nożami... no cóż... nie uważasz pan, że tam też można by robić zapasy czy coś w tym stylu? – Teltscher zaśmiał się lekceważąco: – Może chce pan się tam wybrać z naszymi babami?

– W końcu czemu nie? – Dureń z pana, Esch, z takim materiałem wybiera się pan za ocean! Jeśli w ogóle... tam wymagają sportowego poziomu, a to, co pokazują nasze baby... – zaśmiał się znowu. – Dałoby się coś sklecić – podsunął Esch. – Bzdura, za oceanem akurat na nas czekają – powiedział Teltscher. – I skąd pan tu zbierze wyszkolone siły... – Teltscher zastanowił się – ... gdyby te krowy przynajmniej jakoś wyglądały, to łatwiej byłoby coś zrobić. Co prawda tylko w Meksyku albo w Południowej Ameryce. – Esch nie od razu skapował i Teltscher zżymał się na taką niepojętność: – No, przy kłopotach z mięsem, jakie mają tam za oceanem... Jak nie wyjdzie z zapasami, to w każdym razie obora dla krów będzie już przygotowana, a koszty podróży i prowizja trafią do naszej kieszeni. – To wydawało się

przekonujące. Ostatecznie czemu nie Meksyk albo Południowa Ameryka. I szarobrazowy fotograficzny obraz w głowie Escha przeobraził się w bajecznie kolorową południowość. Tak, to było przekonujące. Teltscher powiedział: – Pan się tym razem całkiem gracko spisał, Esch. Niech pan się postara, żebyśmy ten nasz cyrk podszykowali na świeżo, z babami, które są do czegoś podobne. Znam paru ludzi, którzy tam za oceanem namotają nam klientelę. A wtedy my pojedziemy z całym majdanem. – Esch wiedział, że to piekielnie zalatuje handlem żywym towarem. Ale nie musiał tego wiedzieć, bo walki zapaśnicze były przedsięwzięciem legalnym, a jeśli wykluje się jakaś nieczysta historia, to co z tego: konto policji, która niewinnych wsadza za kratki, zostałyby w ten sposób trochę wyrównane. Policja, która działa w służbie wolności i nie bierze pieniędzy od armatorów, nie będzie się spodziewać takich korekt. Pewnie, handel żywym towarem to nic dobrego, w końcu jednak matka Hentjen też prowadzi gospodę wbrew swoim przekonaniom. A i Lohberg nie lubi swojego sklepu. I zawsze to lepiej wyprawić Teltschera z cyrkiem do Ameryki, niż tutaj pozwolić mu rzucać nożami. Minęli policjanta, który w nocnym deszczu patrolując przechadzał się znudzony tam i z powrotem, i Esch chętnie by go zapewnił, że policja mimo to nie będzie musiała narzekać, dostanie jeszcze swojego Nentwiga i to on go dostarczył Taki Esch przestrzega porządku i dotrzymuje zobowiązań, nawet jeśli partner jest świnią. – Świńska policja – mruknął. Mokry asfalt lśnił w blasku żółtych lamp czarno-brązowo jak papier fotograficzny i Esch ujrzał przed sobą Statuę Wolności, której pochodnia spali i wybawi to wszystko, co się tutaj zostawi, wyda ogniovi wszystko przeszłe i wszystko martwe, a jeśli to jest morderstwo, to takie, którego policji nie wolno już ścigać. Przez wzgląd na wybawienie. Decyzja zapadła i gdy Teltscher zawołał na pożegnanie: – I niech pan nie zapomina: za oceanem liczy się blond i jeszcze raz blond! – nie ulegało dla niego wątpliwości, że wyszuka i ściągnie blond dziewczyny. Musi jeszcze tylko przedtem wyrównać stare rachunki, a potem ruszą z całym blond majdanem. Z wysokiego pokładu oceanicznego olbrzyma popatrzą na mrowie mniejszych statków. Pożegnają się ze Starym Światem – na zawsze. Być może blond dziewczyny zaintonują na statku pieśń pożegnalną, zaśpiewają ją chórem, a kiedy statek, ciągnięty na mocno naprężonej linie, będzie sunął wzdłuż brzegów, być może wyjdzie tam na spacer Ilona i pomacha, sama blond, jednakże wolna od wszelkiego niebezpieczeństwa, a powierzchnia wody będzie coraz szersza.

Właściwie musiałyby przyznać, że jego kochanka była równorzędną partnerką: ledwie uporali się z miłością, matka Hentjen nie chciała o niej nic więcej wiedzieć. Była w tym podobna do niego, choć powodowały ją inne motywy. Miłość bowiem była dla niej czymś tak sekretnym, że nie potrafiła bodaj wymówić jej imienia. Wciąż na nowo zapominała o istnieniu kochanka, którego oto miała i którego nie mogła powstrzymać od zakradania się do niej popołudniami, w porze drzemki, lub nocą, po wyjściu ostatnich gości z lokalu, i wciąż na nowo wraz z jego zbliżaniem się dopadało ją zeszywniałe zaskoczenie, zeszywnienie, które powoli ustępowało dopiero, kiedy już gościł ich mroczny pokój i alkowa: wówczas rozpływało się w uczuciu wyzbytego odpowiedzialności osamotnienia i ciemna alkowa, w której leżała patrząc w sufit, zaczynała się unosić, wydawała się rychło już nie częścią dobrze znanego domu, lecz bujającym w powietrzu wehikułem, zawieszonym gdzieś w ciemności i nieskończoności. Wtedy dopiero pojmowała, że ma przy sobie kogoś, kto ją obłapia, a nie jest to już Esch, nie jest to w ogóle nikt z ludzi jej znanych, jest to istota, która osobiwie i gwałtownie wdarta się w tę samotność i której nie można jednak zarzucić gwałtowności, bo owa istota jest częścią samotności i dopiero przez samotność znajduje się ją, istota przyczajona i groźna, żądająca, by uśmierzyć jej gwałtowność; toteż trzeba było prowadzić z nią gry, których się domagała, i choć gra została wymuszona, była też osobiwie dozwolona, ponieważ spowijała ją samotność i nawet Bóg przymykał oczy. Ten wszakże, z którym dzieli łoże, nie ma pojęcia, że taka samotność istnieje, ona zaś czuwa pilnie, żeby samotności nie rozsadził. Otacza go głęboka niemota i ona nie pozwala podważyć tej niemoty, choćby nawet

on brał to nieporadne milczenie za nieśmiałość i otepiałość. W niemocie kruszy się wstyd, bo to słowo dopiero go stworzyło. To, co ona przeżywa, jest nie rozkoszą, tylko wyzwaniem od wstydu: wokół niej tak jest samotnie, że już, jakby po wsze czasy była sama, nie wstydzi się ani skrawka ciała. On nie rozumie tej niemoty, a przecież jest porażony tym bezwstydnym milczeniem, które objawia się i wyzywa ze zwierzęcą niewzruszonością. Ona nie obdarza go choćby westchnieniem, a w nim wszystko jest dręczącym czekaniem i nadzieją, że głos rozładuje się wreszcie w krzyku wyzwolonej, chrapliwej rozkoszy. W rzeczy samej nader często czeka on nadaremnie i potem nienawidzi pojednawczego gestu, którym ona zaprasza go, by zasnął na jej nieporuszonym, mięsistym ramieniu. Za każdym razem jednak odprawia ona kochanka krewko i stanowczo; jakby chcąc nagle unicestwić jego i posiadaną przezeń tajemnicę; popycha go do drzwi, a kiedy on skradając się schodzi ze schodów, czuje na plecach jej wrogość. Domyśla się wtedy, że był w najbardziej obcej krainie, a mimo wszystko zrozumienie tego, dręcząc i potęgując pożądanie, zmusza go, by wciąż na nowo do niej wracał. Bo pograżając się w błogości, rozplývając się niemo i bezimiennie w bezwstydnym płci pragnie z całej mocy zmusić kobietę, by go rozpoznała, by chwila terażniejsza zapłonęła w niej jak pochodnia i spaliła wszystko inne, by dostrzegła go w blasku pożaru i by z nocnego milczenia, które ogarnia wszystkich, dobył się chrapliwy głos i by do niego, jedyne, powiedziała jak do swego dziecka: ty. On już nie pamięta, jak ona wygląda, jej nie mają się takie kategorie jak piękna i brzydka, młoda i stara, jest dla niego tylko milczącym zadaniem: zdobywając ma ją wybawić.

Chociaż pod wieloma względami Esch nie mógł sobie życzyć czegoś innego, ba, musiał nawet przyznać, że rodzaj miłości, pod której urokiem się znajdował, wyrastał ponad zwykłą miarę i w pewnym sensie nie miał sobie równych, to jednak za każdym razem czuł się na nowo dotknięty, kiedy wchodził do lokalu i matka Hentjen w obawie, że goście mogliby coś zauważyć, zwracała na niego tak mało uwagi, iż to wbrew jej zamiarom wręcz rzucało się w oczy. Gdyby nie chęć unikania dalszych sensacji czy zgoła gadaniny i gdyby nie to, że zależało mu na tanich i obfitych obiadach, z miejsca przestałby w ogóle bywać w gospodzie. Starał się więc być elastyczny i znaleźć właściwą częstotliwość swoich odwiedzin, ale to się nie udawało, po prostu nie mógł zadowolić matki Hentjen: ilekroć zjawiał się w lokalu, przybierała nieprzystępną minę i najwidoczniej chciała, żeby zniknął, a gdy nie przychodził, pytała sycząc zjadliwie, czy nie zawieruszył się czasem u swojej Murzynki.

Teltscher był zdania, że dla przyzwoitości należy Gernerthowi zaproponować udział w południowoamerykańskim projekcie. Dzięki temu projekt w oczach Escha nabrałby pewnej solidności. Gernerth jednak odmówił ze względu na rodzinę, którą na jesieni, jak tylko zacznie się nowa dzierzawa, chciał jednak sprowadzić. Jedyнным współnikiem pozostał więc pędziwiatr Teltscher. Z nim co prawda dużo się nie zwojuje, ale sprawy nie można było odwlekać; Esch z miejsca przystąpił do werbunku i ruszył na poszukiwanie eksportowych zapaśniczek. Może przy okazji rzeczywiście uda się jeszcze wytrzasnąć brakującą Murzynkę; byłaby to naturalnie ekstra atrakcja.

Znowu odwiedzał knajpy i burdele, a jeśli czasem miewał tamże coś w rodzaju nieczystego sumienia, to tylko dlatego, że gdyby pani Hentjen kiedykolwiek go na tym przyłapała, nie uwierzyłaby nigdy, iż wybrał się do nich ze względów zawodowych. Niejako na dowód braku ze swojej strony erotycznego zainteresowania, poniekąd dla moralnego, aczkolwiek bezsensownego alibi, rozciągał te zawodowe wędrówki na lokale miłości homoseksualnej, lokale, których dotychczas wręcz w popłochu unikał. A mimo to czuł niejasno, że jeszcze jakiś inny motyw musiał ciągnąć go do tych lokali. To, co się tam działo, mogłoby go naturalnie pozostawić obojętnym i właściwie było to zabawne, jaka zgroza go ogarniała na widok mężczyzn, którzy tańczyli ze sobą tuląc policzki do policzka. Zawsze przypominał sobie wtedy nieodparcie pierwszą bytność w takiej speluncie, jak to on, chłopak

borykający się ze światem, który prawie nie znał swojej matki, najchętniej by wybiegł i uciekł do niej, gdy po raz pierwszy zobaczył transwestytę, który w sznurówce i jedwabnej sukni z trenem śpiewał falsetem nieprzyzwoite piosenki. Kiedy teraz znów oglądał to paskudztwo nie bacząc, że widok tych pedałów przyprawiał go o wymioty, to pani Hentjen, ta kwoka, mogłaby w gruncie rzeczy zrozumieć, jaką przyjemność dawały mu owe zawodowe wędrowniki. Bóg świadkiem, że wolałby pomknąć do niej, niż obijać się tutaj szukając czegoś niczym utraconej niewinności. To wręcz śmieszne, żeby w tej kompanii człowiek miał się natknąć na prezesa towarzystwa żeglugowego, jako że te męskie kurwy na pewno nie są towarem dla takiego tuza. Wszelako przy tej ferajnie trzeba być przygotowanym na wszystko. A że w ryzykownych sytuacjach życiowych należy panować nad sobą, Esch nie strzelił w pysk żadnego z uszminkowanych chłopaczków, kiedy go zagadywali; przeciwnie, był uprzejmy, stawiał im likier, dopytywał się o zdrowie, a także – skoro nabrali zaufania – o źródła dochodów i płacących wujków. Co prawda dziwił się nieraz, czemu słucha tej paplaniny, nadstawił jednak ucha, kiedy padło nazwisko prezesa Bertranda; wówczas konturowy, lekko szrafirowany obraz tego wytwornego człowieka, jaki nosił w sobie ledwie uchwytny, jednakowoż ponadnaturalnej wielkości, powoli wypełniał się kolorami, nabierał dziwnej, delikatnej barwności i jednocześnie trochę malał, gdyż wyostrzał się i gęstniał: na jachcie motorowym pływa on po Renie, ma najpiękniejszych marynarzy; wszystko na tym bajecznym statku jest białe i błękitne; kiedyś przyjechał do Kolonii i mały Harry miał szczęście wpaść mu w ręce; popłynęli czarodziejskim jachtem do Antwerpii i żyli w Ostendzie jak bogowie; ale on zazwyczaj nie zadaje się z takimi jak my; jego zamek stoi w wielkim parku pod Badenweiler; na łąkach pasą się sarny, swoje wonie rozsiewają najrzadsze kwiaty; tam on mieszka, o ile nie przebywa w najodleglejszych krajach; nikt nie ma przystępu, a jego przyjaciele to Anglicy i Hindusi o nieopisanym bogactwie; on posiada automobil, i to tak duży, że może mu służyć za sypialnię. Jest bogatszy od cesarza.

Esch niemal zapomniał o werbunku, tak bardzo owładnęło nim pragnienie odnalezienia Harry'ego Kohlera; a gdy mu się to udało, dostał palpacji i zachowywał się z takim respektem, jakby nie wiedział, że ten mały chłopiec nie był niczym innym jak męską kurwą. Zapomniał o swojej nienawiści, zapomniał, że Martin musiał cierpieć, aby ci chłopackowie mogli wieść wykwintne życie, ba, był wprost zazdrosny, że chłopakowi, który był przyzwyczajony do wytwornego i zamożnego towarzystwa, nie miał do zaofiarowania nic podobnego, chyba że pójście na walki zapaśnicze, do czego jak najuprzejmiej pana Harry'ego zaprosił. Temu to jednak wcale nie zaimponowało, prychnął tylko z niechęcią i obrzydzeniem, tak że Esch musiał się zawstydić tej niestosownej propozycji; ale ponieważ równocześnie się zezłościł, powiedział gburowato: – No, ja nie mogę pana zaprosić na jacht. – Jak pan to łaskawie rozumie? – brzmiała z lekka nieufna, jednakże bardzo łagodna odpowiedź. Alfons, gruby, jasnowłosy muzyk, który siedział przy stoliku bez surduta w kolorowej jedwabnej koszuli osłaniającej podobne do kobiecych piersi wálki tłuszczu, zaśmiał się błyskając białymi zębami: – On rozumie jak należy, Harry. – Harry zrobił urażoną minę: – Mam nadzieję, że szanowny pan nie chce nikogo obrazić. – Uchowaj Boże, łagodził Esch, skądże znowu, jemu tylko jest przykro, bo wie, że pan Harry przywykł do wykwintu. Harry, ze słabym, zrezygnowanym uśmiechem, machnął ręką znużonym gestem: – Minęło. – Alfons pogłaskał go po ramieniu: – Nie martw się, mały, tylu jest facetów, co cię chcą pocieszyć. – Harry potrząsnął głową z lekkim smutkiem: – Kocha się tylko raz w życiu. – Ależ on gada jak Lohberg, pomyślał Esch i powiedział: – To prawda. – Bo choćby mannheimski idiota rzadko miał rację, to powinien ją mieć w tej kwestii, i Esch powtórzył: – Tak, to prawda. – Harry był wyraźnie ucieszony, że znalazł uznanie, i z wdzięcznością popatrzył na Escha, ale Alfons, nie chcąc słuchać czegoś takiego, oburzył się:

– A cała przyjaźń, jaką ci się okazuje, Harry, nic dla ciebie nie znaczy?

– Harry potrząsnął głową: – Czym jest ta odrobina zażyłości, którą nazywacie przyjaźnią? Jak gdyby miłość miała cokolwiek wspólnego z waszą przyjaźnią i tą zażyłością! – Cóż, mały, ty masz po prostu swoje własne poglądy na miłość – powiedział czule Alfons. Harry, jakby nawiązując do wspomnień, oznajmił: – Miłość to wielka obcość. – Eschowi od razu przyszło na myśl milczenie pani Hentjen, a tymczasem Alfons powiedział:

– To dla biednego muzyka za trudne, mój mały. – Orkiestra grała bardzo hałaśliwie i Harry, pochylając się nisko nad stolikiem, żeby nie krzyknąć, odrzekł cicho i tajemniczo: – Miłość to wielka obcość; oto dwie osoby, a każda na innej planecie i żadna o drugiej nic nie wie. I naraz nie ma już oddalenia i nie ma czasu, obie dopadają do siebie, nic już nie wiedząc o sobie samych i nic o sobie nawzajem, nic już nie potrzebując wiedzieć. To jest miłość. – Esch pomyślał o Badenweiler: daleka miłość w dalekim zamku; coś takiego było chyba pisane Ilonie. Ale podczas gdy jeszcze nad tym rozmyślał, przeszył go wściekły ból – on nigdy nie dojdzie, czy to za sprawą tak wielkiej, czy też innej miłości pokochali się i znaleźli państwo Hentjen. Harry ciągnął dalej i wyrecytował jak cytat z Biblii: – Dopiero w najstraszniejszym wyolbrzymieniu obcości, dopiero gdy obcość przybierze niejako nieskończone rozmiary, może rozkwitnąć to, co uchodzić winno za nieosiągalny cel miłości i co ją stanowi: misterium jedności... właśnie, tak to się nazywa. – Na zdrowie – powiedział smutno Alfons, jednakże Esch miał wrażenie, jakby chłopiec posiadał wyższą wiedzę, a to zbudziło nadzieję, że wiedza, jaką chłopiec nosił w sobie, może też zawierać odpowiedź na jego własne pytania. I choć jego myśli zupełnie nie pasowały do tych przedstawionych przez Harry'ego, powiedział to, co kiedyś powiedział był do Lohberga: – Ale wtedy nikt nie ma prawa przeżyć – wypełniony po części radosną, po części gorzką pewnością, że wdowa Hentjen, ponieważ jeszcze żyła, nie mogła kochać swojego małżonka. Alfons szepnął Eschowi: – Na miłość Boską, niech pan przy małym nie gada takich rzeczy – wszelako nie zdało się to już na nic, Harry popatrzył na niego przerażony i rzekł bezdźwięcznie, tylko ździebko bezdźwięczniej, niż to było konieczne: – Ja przecież już nie żyję. – Alfons podsunął mu podwójny kieliszek likieru: – Biedaczysko, od tamtej historii wygłasza takie mowy... On go wykończył. – Esch poczuł się przywołany do rzeczywistości; udał głupiego: – Kto? – Alfons wzruszył ramionami: – No on, wielki Bóg, biały anioł... – Zamknij gębę, bo ci oczy wydrapię – parsknął Harry i Esch, któremu żal było małego, ofuknął Alfonsa: – Zostaw go w spokoju.

– Harry zaniósł się nagle histerycznym płaczem: – Ja przecież już nie żyję, już nie żyję... – Esch był dość bezradny, ponieważ nie mógł użyć tych samych metod, jakie stosował zazwyczaj wobec płaczących dziewczyn. Więc tamten zniszczył również życie tego chłopca; chciał zrobić coś dla Harry'ego i powiedział znienacka: – Zastrzelimy tego Bertranda. – Harry wrzasnął: – Nie zrobisz tego! – Dlaczego? To musi ci sprawić przyjemność, on chyba na to zasłużył. – Ty, ty tego nie zrobisz... – zaskrzeczał mały z obłędem w oczach – ... nie masz prawa go tknąć... – Esch zirytował się, że chłopak taki był głupi i nie doceniał dobrych zamiarów. – Trzeba zarżnąć taką świnię – upierał się. – On nie jest świnią – błagał Harry – jest najszlachetniejszy, najlepszy, najpiękniejszy na świecie. – Mały na pewno miał trochę racji: tamtemu nie wolno było nic zrobić – Esch omal tego nie przyrzekł. – Beznadziejna sprawa – powiedział smętnie Alfons i wychylił swój likier. Harry z twarzą w dłoniach kiwając się jak bożek zaczął się śmiać: – On i Świnia, on i Świnia. – Potem jego śmiech znów przeszedł w łkanie. Gdy Alfons chciał go przyciągnąć do okrytej jedwabiem tłustej piersi, Esch musiał ich rozdzielić, żeby zapobiec bójce. Kazał Alfonsowi odczepić się i oznajmił Harry'emu: – Idziemy. Gdzie mieszkasz? – Chłopiec usłuchał bezwolnie i podał adres. Na ulicy Esch wziął go pod rękę, jakby szedł z dziewczyną, i używając opieki, korzystając z opieki obaj byli zgoła szczęśliwi. Od Renu ciągnął lekki wiatr. Pod swoimi drzwiami Harry przytulił się do Escha i zdawało się, że chce podsunąć mężczyźnie twarz do pocałunku. Esch wepchnął go w drzwi. Wszelako Harry wymknął się jeszcze i szepnął mu: – Ty mu nic nie

zrobisz – i nim się Esch spostrzegł, chłopak objął go, niezdarnie pocałował w rękaw i zniknął w kamienicy.

Frekwencja na walkach zapaśniczych znacznie spadła i trzeba było podjąć jakieś propagandowe kroki. Nikogo nie pytając Esch postanowił na własną rękę zareklamować walki relacją w „volkswacht”. Ale pod brudnobiałymi drzwiami redakcji uprzytomnił sobie z pełną jasnością, że znów sprowadziło go co innego. Sama w sobie ta wizyta była zupełnie bezcelowa i bezsensowna: zubożniały mu całe te zapasy, bo nawet Ilonie nic nie przyniosły, także dla Ilony musiało nastąpić coś ważniejszego, bardziej nieodwołalnego, i zdawał sobie też sprawę, że „Volkswacht” nie zamieści żadnych relacji, jeśli w imię jakichś tam proletariackich uprzedzeń nie zrobiła tego dotychczas. W gruncie rzeczy postawa socjalistycznej gazety była godna pochwały; tu miało się przynajmniej pewność, co po lewej, co po prawej, miało się wyraźne rozróżnienie między mieszczańskim a proletariackim poglądem na świat. Właściwie należałoby matce Hentjen zwrócić uwagę na tego rodzaju siłę charakteru: nie zbywałąby już lekceważąco tych ludzi, którzy są wprawdzie zwyczajnymi socjalistami, ale tak jak ona potępiają zapasy, a i na socjalistę Martina nie mogłaby patrzeć z góry. Escha zdumiało, że pomyślał o Martinie, jeden diabeł pewnie wiedział, po co on, August Esch, przyszedł dzisiaj do tej redakcji! Było jasne, że nie w sprawie walk zapaśniczych. Bił się z myślami jeszcze wchodząc i dopiero gdy redaktor w nader przykry sposób nie chciał go sobie przypomnieć, dopiero gdy historia ze strajkiem musiała posłużyć do odświeżenia tak złej pamięci, dopiero wtedy zaświtało Eschowi, że chodzi mu o Martina. Wybuchnął: – Mam dla pana ważną wiadomość. – Ach, ten strajk – redaktor usiłował zbagatelizować to zdarzenie machnięciem ręki – przecież on dawno się skończył. – Owszem – odparł Esch – ale Geyring jest jeszcze w więzieniu. – No i co? Po prostu musi odsiedzieć trzy miesiące. – Coś musi wreszcie się stać – usłyszał Esch swoje słowa wypowiedziane z większym natężeniem głosu, niż zamierzał. – No, niech pan tak na mnie nie krzyczy, to nie ja go zamknąłem. – Esch nie był z tych, co ustępują: – Coś musi się stać – upierał się zawzięcie i niewyrozumiale. – Znam chłopaczków, z którymi zadaje się pański nieskazitelny pan Bertrand... oni są w Kolonii, nie we Włoszech! – dorzucił triumfalnie. – My ich znamy już kilka lat, drogi przyjacielu i towarzyszu. Czy to jest ta nowina, którą chciał pan nam przynieść? – Esch był jak uderzony obuchem: – Tak, ale dlaczego w takim razie nic pan nie robi? Przecież on się poświęcił. – Drogi towarzyszu – powiedział tamten – pan ma, zdaje się, trochę dziecinne wyobrażenia. Bądź co bądź mógłby pan wiedzieć, że żyjemy w państwie prawa. – Czekał, że Esch zaraz się pożegna, ten się jednak nie ruszył i tak obaj mężczyźni siedzieli jakiś czas naprzeciw siebie, nie wiedzieli, co począć ze sobą nawzajem, nie rozumieli się, a każdy widział tylko nagość i brzydotę drugiego. Na policzkach Escha pokazały się czerwone plamy wzburzenia, przygasłe w brązowawej skórze. Redaktor z kolei miał na sobie lekki, brązowy aksamitny surdut, a dość pełna twarz z brązowym, obwisłym wąsem była jak aksamit surduta miękka i zarazem mocna. W tej zgodności kryła się pewna kokieteria i Esch przypomniał sobie pretensjonalne stroje chłopaczków w męskich lokalach. Ruszył do ataku: – Więc pan osłania tego pedała? A tamten niech za to gnije w więzieniu. – Z obrzydzeniem wykrzywił usta odsłaniając końskie uzębienie. Redaktor stracił cierpliwość: – Niech pan powie, drogi panie, co to właściwie pana obchodzi? – Esch poczerwieniał: – Utrąca pan wszystko, co może go uratować... Artykułu pan nie wydrukował. Osłania pan faceta, tego Bertranda, który wpakował go do więzienia... I pan, pan udaje obrońcę wolności? – Roześmiał się gorzko. – To już wolność nie mogła trafić w lepsze ręce! – Widać to wariat, pomyślał redaktor i z tego powodu odpowiedział spokojnie: – Niech pan posłucha, ze względów czysto dziennikarskich nie możemy ogłaszać jako nowiny czegoś, co pan przynosi nam o całe tygodnie i miesiące za późno: coś takiego... – Esch zerwał się: – Jeszcze pan ode

mnie usłyszysz nowiny! – krzyknął i wypadł na schody, trzaskając za sobą drzwiami, które nie chciały się zamknąć, lecz postukiwały kilkakrotnie o futrynę.

Na ulicy przystanął osłupiały. Czemu postąpił w ten sposób? Czyż mógł wpłynąć na zmianę faktu, że ci socjaliści to świnie? Znowu rację miała pani Hentjen gardząc tą bandą. – Sprzedajna prasa – powiedział pod nosem. A przy tym przyszedł w najlepszych zamiarach, chciał dać im szansę rehabilitacji wobec pani Hentjen. Rzeczy i punkty widzenia od nowa zaczęły w jak najprzykrzejszy sposób przesuwac się i mieszać. Nie ulegało wątpliwości, że redaktor zachował się jak Świnia, po pierwsze: w ogóle, a po drugie dlatego, że starał się osłaniać tego prezesa Bertranda wszystkimi środkami sprzedajnej prasy, tak jest, sprzedajnej. A z tego prezesa to ci dopiero była Świnia, mimo że mały nie chciał w to wierzyć i że temu świńskiemu prezesowi nie wolno było nic zrobić. Natomiast to, co mały gadał o miłości, było słuszne. Nic nie jest jednoznaczne! Co najwyżej to jedno okazało się niezbitcie: pani Hentjen nie mogła kochać męża; została zmuszona do małżeństwa z tą świnia. A że Esch takim sposobem z wielką nienawiścią wspominał świat otaczający i świnie, które trzeba by było zarżnąć, jak to się świniom należy, nienawidził coraz mocniej prezesa Bertranda, nienawidził go za jego przywary i jego występki. Usiłował wyobrazić go sobie, jak pośród zbytku, z grubym cygarem w dłoni, siedzi na wyściełanych meblach przy zamkowym stole, a kiedy dystygowany obraz wyłonił się wreszcie jakby z tytoniowej mgły, przypominał wizerunek fircykowatego krawca, bardzo podobny do portretu pana Hentjena, który wisiał nad półką w gospodzie.

Na urodziny matki Hentjen, co roku świętowane odpowiednio przez stałych bywalców, Esch wytrzasnął małą Statuę Wolności z brązu i ten prezent wydawał mu się stosowny nie tylko jako nawiązanie do amerykańskiej przyszłości, ale i jako udatne *pendant* do posążku Schillera, który tak się w swoim czasie podobał. Stawił się ze statuą w porze obiadowej.

Niestety spotkało go niepowodzenie. Gdyby wetknął jej prezent na osobności, to z pewnością potrafiłaby dostrzec piękno rzeźby; ale paniczny lęk, jaki budziła w niej wszelka poufałość przy ludziach i wszelka zażyłość, tak ją zaślepił, że okazała niewiele radości, i nie usposobiła jej życzliwiej jego rzucona na usprawiedliwienie uwaga, iż być może statua harmonizowałaby z pomnikiem Schillera. – Jeśli pan tak uważa... – powiedziała obojętnie i to było wszystko. Naturalnie mogłaby była wykorzystać i ten prezent do ozdobienia swojego pokoju; ale żeby sobie nie wyobrażał, iż dla wszystkiego, co przyniesie, może domagać się takiego uprzywilejowanego miejsca, i żeby raz na zawsze przyjął do wiadomości, iż nadal wysoko sobie ceni niepokalaność swojego pokoju, poszła na górę i przyniosła pomniczek Schillera, aby go wraz z nową Statuą Wolności postawić na półce obok wieży Eiffla. Oto monument piewcy wolności, amerykańska statua i francuska wieża stały jako symbole przekonań, których pani Hentjen nie podzielała, a statua wyciągała rękę, wyciągała pochodnię w stronę pana Hentjena. W odczuciu Escha spojrzenie pana Hentjena profanowało jego prezenty i chętnie by zażądał przynajmniej usunięcia portretu; wszelako co by to dało? Lokal, w którym kiedyś krzątał się pan Hentjen, pozostałby mimo to taki sam, więc już wołał, żeby wszystko jasno i uczciwie zostało na swoim miejscu. Po co nieuczciwie ukrywać coś, czego nie można było ukryć! I dokonał odkrycia, że nęciła go nie tylko taniaść jedzenia podawanego mu pod okiem pana Hentjena, lecz że do czegoś tam tajemniczego potrzebował też jego twarzy jak szczególnej i gorzkiej przyprawy do tego jedzenia: była to ta sama nieuchronna gorzkość, z jaką znosił mrukliwe fanaberie matki Hentjen, i poczuł się nieuchronnie jej uległy, gdy mu teraz mrukliwie szepnęła, że może przyjść na noc.

Spędził popołudnie pośród lubieżnych myśli o rzeczowych zwyczajach miłosnych matki Hentjen. I znów dręczyła go ta rzeczowość, pozostająca w tak jaskrawej sprzeczności z jej uprzednią nieprzystępnością. W jakie noce nabrała tych przyzwyczajajeń? Zaświtała nadzieja, w którą sam nie wierzył, że wszystko to odpadnie, byle tylko znaleźli się w Ameryce, za

oceanem, i łagodność takiej nadziei stapiała się z podnieceniem, jakie go ogarniało, gdy czuł w kieszeni klucz do jej bramy. Wyjął go, położył na dłoni, dotykał gładkiego żelaza trzonu. Ona wprawdzie nie chciała uczyć się angielskiego, ale ulicami znów przeleciało tchnienie przyszłości. Klucz do wolności, pomyślał Esch. Katedra wznosiła się szeroko w późnym zmierzchu, szaro jak żelazo sterczały wieże, owiewane podmuchem nowego i nieznanego. Esch liczył godziny do nocy. Ważniejsze od Alhambry byłoby werbowanie dziewczyn na Amerykę Południową. Pięć bitych godzin, potem otworzy się bramę. Esch ujrzał przed sobą alkowę, ujrzał ją leżącą tam w łóżku: na myśl, że on legnie przy niej, że ona zdrzży w zetknięciu z jego skórą i jego podnieceniem, gardło mu się ścisnęło i w ustach zrobiło się sucho. Bo jeszcze w zeszłym tygodniu i przez wszystkie poprzednie tygodnie przyjmowała go z otępiłą nieporuszonnością i choćby to krótkie, zdrętwiałe drżenie było czymś bardzo nieznacznym, to jednak masa tego, co uświęcone zwyczajem, przetrwała w jednym miejscu, małym co prawda, jednakże dziewiczym, i to było jakby sygnałem przyszłości i nadziei. I Eschowi wydało się nieprzyzwoitością, żeby dzisiaj, w dniu urodzin matki Hentjen, zachodzić do kurewskich lokali; udał się do Alhambry.

Gdy potem szedł do gospody, już z daleka zauważył żółty blask padający na wyboisty bruk. Dwuskrzydłowe drzwi ze szklanych gomółek były otwarte i widziało się w środku solenizantkę siedzącą sztywno w jedwabnej sukni, otoczoną przez hałaśliwych gości; na stole stał kruszon. Esch pozostał w ciemności, odraza nie pozwalała mu wejść do wnętrza. Zawrócił, nie po to jednak, żeby z obowiązku odwiedzać lokale i werbować kandydatki; miotał się wściekle po ulicach. Na Moście Reńskim oparł się o żelazną balustradę, spoglądał na czarną wodę, spoglądał na szopy po drugiej stronie. Kolana ugięły się pod nim, z taką mocą dopadła go żądza, żeby rozsadzić skorupę gorsetu, w której tkwiła kobieta; fiszbinowe pręty mają traskać w szalonej walce, jaka musi się przy tym wywiązać. Z pustą twarzą powlókł się z powrotem do miasta; przesunął dłonią po prętach okratowania mostu.

Dom był ciemny. Matka Hentjen, z lichtarzem w ręce, czekała na niego u szczytu schodów. Zdmuchnął po prostu ogarek i objął ją. Lecz ona zdjęta już gorset i wcale się nie broniła, tylko czule go pocałowała. I chociaż to powitanie wielce go zaskoczyło i chociaż być może było nie mniej nowe niż owo drżenie, którego niecierpliwie oczekiwał, to mimo to w tym pocałunku zawierało się jasne, zatrwajające i niezaprzeczone potwierdzenie, że wedle jej dawnych przyzwyczajzeń po świętowaniu urodzin następowało czule świętowanie miłości; i kiedy teraz nadeszła upragniona chwila, kiedy jej ciałem wstrząsnęło uszczęśliwiające drżenie, Esch doświadczył przejmującego bólu, że skóra pana Hentjena i jego ciało, którego w tej sytuacji wołał sobie nie wyobrażać, w taki sam sposób sprawiały, że drżała: widmo, które zdawało się unicestwione, zmartwychwstało, bardziej szydercze, bardziej niezwykłe niż kiedykolwiek, i żeby je pokonać, a kobiecie dowieść, że tylko on istnieje, rzucił się na nią i wbił swe końskie zęby w jej mięsisty bark. Musiało ją boleć, jednak cierpiała w milczeniu, co prawda z miną, jakby sama ugryzła cytrynę, a gdy osłabły odsunął się od niej, niby z wdzięczności, ale i z siłą imadła objęła go ciężkim, nieruchawym ramieniem tak mocno, że on ledwie oddychał i gniewnie starał się oswobodzić. Ona jednak nie popuszczała i powiedziała do niego – zdarzyło się to po raz pierwszy w tej alkowie – swoim zwykłym, beznamytnym głosem, w którym wszakże on, gdyby był bardziej subtelny, dosłuchałby się czegoś w rodzaju strachu: – Czemu tak późno przyszedłeś?... Dlatego że ja znów jestem o rok starsza? – Esch był tak oszołomiony tym, iż nieoczekiwanie przemówiła, że nie chwycił sensu jej słów, ba, nawet nie próbował chwycić: bo niespodziewany dźwięk jej głosu był dla niego jakby finałem, był jakby olśnieniem po długim i bolesnym ciągu myśli, znakiem, że wszystko może się odmienić. Powiedział: – Mam dość, kończę z tym. – Pani Hentjen krew zastygła w żyłach; nie miała siły wycofać uciskającego ramienia z jego pleców, zrobiło się w niej lodowato i ciężko, i ramię opadło bezwładnie. Zdawała sobie sprawę już

tylko z tego, że nie wolno mężczyźnie okazać konsternacji, że powinna była puścić go kantem, zanim sam ucieknie, i z wielkim wysiłkiem wykrztusiła cicho:

– Proszę, droga wolna. – Esch puścił to mimo uszu i ciągnął dalej:

– W przyszłym tygodniu jadę do Badenii. – Dlaczego musiał jeszcze o tym ją zawiadomić? Czuliła się jakoś pochlebiona, bo widać zamiar skończenia sprawy tak nim wstrząsnął, że gna go w świat. Jednakże jeśli chciał skończyć, to nie bardzo do tego pasowało, że znów przycisnął usta do jej barku. A może chciał jedynie do ostatka folgować swojej żądzy. Po mężczyznach można się spodziewać wszystkiego! Niemniej jednak znowu powzięła nadzieję i choć mówienie jeszcze przychodziło jej z trudem, zapytała: – Dlaczego? Tam też jest taka dzierlatka jak w Ober-Wesel? – Esch zaśmiał się: – Tak, to jest swego rodzaju dziewczyna. – Pani Hentjen była oburzona, że on jeszcze się z niej natrzęsa: – To żadna sztuka szydzić ze słabej kobiety. – Esch wciąż jeszcze kojarzył to z kobietą w Badenweiler i musiał zaśmiać się jeszcze głośniej: – No, taka zupełnie słaba to ona nie jest. – Jej podejrzliwość zyskała nową pożywkę: – Kto to jest? – Tajemnica. – Milczała obrażona i tolerowała jego nowe czułości. W ich trakcie:

– Po co ci inna? – Musiał przyznać przed sobą, że ta kobieta swoim rzeczowym, ba, urzędowym, a jednak tak osobliwie opornym i czystym oddaniem wzbudziła w nim większe pożądanie i dała mu większą rozkosz niż którakolwiek inna i że naprawdę nie trzeba mu było żadnej innej. Powtórzyła: – Po co ci inna? Wystarczy, żebyś powiedział, jeśli ja nie jestem dla ciebie dość młoda. – Nic nie odpowiedział, bo nagle podnieciło go i uszczęśliwiło to, że zaczęła teraz mówić, ona która dotychczas leżała w jego ramionach niemo, tylko rzucając głową to tu, to tam, tak nieodmiennie niemo, że ta niemota zawsze wydawała mu się dziedzictwem z czasów pana Hentjena. Wyczuła jego uszczęśliwienie i dumnie ciągnęła:

– Nie trzeba ci młodszej, ja dorównam każdej dzierlatce... – To przecież bzdura, pomyślał boleśnie Esch, albo ona kłamie. I boleśnie przyszedł mu na pamięć Harry; wypowiedział to zdanie: – Kocha się tylko raz – a że pani Hentjen odrzekła po prostu: – Tak – jak gdyby chcąc w ten sposób dać do zrozumienia, że on był tym, kogo kochała, stało się jasne, iż kłamała jak z nut: udawała, że brzydzi się mężczyznami, i siedziała pijąc z nimi przy stole i pozwalając się adorować, teraz zaś udaje, że tylko jego kocha, a jest przecież pełna rzeczowości. Ale może wszystko nie było prawdą; wszakże nie miała dzieci. Znowu jego pragnienie jednoznaczności i absolutności trafiło na mur nie do przebycia. Żeby to wszystko już się przewaliło! Podróż do Badenweiler wydała mu się w tym momencie nieodzownym początkiem. Widać odgadła te podrózne myśli, bo spytała: – Jak ona wygląda?

– Kto? – No, ta dziewczyna z Badenii? – Ba, jak wyglądał Bertrand? I wyraźniej niż kiedykolwiek uzmysłowił sobie, że potrafi wyobrazić sobie Bertranda tylko przez pryzmat portretu Hentjena. Odparł opryskliwie: – Portret trzeba zdjąć. – Nie zrozumiała: – Jaki portret? – Ten na dole... – unikał nazwania rzeczy po imieniu – nad wieżą Eiffla. – Z grubsza rozumiała, ale buntowała się, bo on chciał się wtrącać w jej sprawy: – Dotąd nikomu nie przeszkadzał. – Właśnie dlatego – obstawał przy swoim i na dobre uświadamiając sobie, że z Bertrandem musi porachować się również za sprawę z Hentjenem, kontynuował myśli: – ...i w ogóle: trzeba skończyć. – No cóż... – odrzekła z wahaniem i wskutek buntu niezbyt pojęta dorzuciła: – Z czym skończyć? – Jedziemy do Ameryki. – Tak – powiedziała – wiem.

Esch wstał. Chętnie by się przechadzał tam i z powrotem, jak to zwykle czynił, kiedy go coś zaprzętało, ale w alkowie nie było miejsca, a w bawialni leżały orzechy. Usiadł więc na brzegu łóżka. I chociaż chciał jedynie powtórzyć zdanie Harry'ego, to zdanie zmieniło się w jego ustach:

– Miłość jest możliwa tylko na obczyźnie. Jak się chce kochać, to trzeba zacząć nowe życie, zniszczyć wszystko stare. Dopiero w nowym, całkiem obcym życiu w którym wszystko przeszłe jest tak martwe, że już nawet nie trzeba go zapominać, dwoje ludzi może tak się zespolić, że nie będzie już dla nich przeszłego i w ogóle żadnego czasu.

– Ja nie mam przeszłości – powiedziała urażona matka Hentjen.

– Wtedy dopiero – Esch zrobił gniewną minę, której pani Hentjen w ciemności na szczęście nie widziała – wtedy dopiero człowiek nie musi już niczego się wypierać, wtedy dopiero jest prawda, a prawda jest bez czasu.

– Ja nigdy niczego się nie wypierałam – zastrzegła się matka Hentjen.

Esch nie dal się zbić z tropu: – Prawda nie ma już nic wspólnego ze światem, nic z Mannheim... – krzyknął wręcz: – nie ma nic wspólnego z tym starym światem!

Matka Hentjen westchnęła. Esch popatrzył na nią ostro: – Tu nie ma co wzdychać, trzeba zerwać ze starym światem, żeby samemu zostać wybawionym...

Matka Hentjen westchnęła z z troskaniem: – Co będzie z gospodą? Sprzedamy ją?

Esch powiedział z przekonaniem: – Trzeba ponieść ofiary... z pewnością nawet, bo bez ofiar nie ma wybawienia.

– Jak wyjedziemy, to musimy wziąć ślub – i znów trochę lękliwie: – ...jestem dla ciebie za stara do ślubu?

Esch, siedząc na brzegu łóżka, obserwował ją w blasku migoczącej świecy. Jego palec nakreślił na pierzynie liczbę 37. Mógł być ofiarować jej tort z trzydziestoma siedmioma świeczkami; ale tak było lepiej, ona ukrywała swój wiek i tylko by się zezłościła. Obserwował jej grube, nieruchome rysy i nagle rad byłby zobaczyć ją jeszcze dużo starszą. To wydawało mu się pewniejsze, sam nie wiedział dlaczego. Gdyby ni z tego, ni z owego odmłodziła, gdyby leżała tu w blichtrze młodości, byłyby nici z poświęcenia. A poświęcenie było nieodzowne, z oddaniem się starzejącej kobiecie musiało coraz bardziej rosnąć, ażeby w świecie zapanował porządek i Ilona była bezpieczna od noży, ażeby wszystkiemu, co żywe, przywrócony został stan niewinności, ażeby żaden człowiek nie musiał już gnąć w więzieniu. Cóż, można było zdać się na to, że matka Hentjen kiedyś zestarzeje się i zbrzydnie. Świat jawił mu się jak płaski, nieskończony, gładki korytarz i powiedział zamyślony: – Lokal powinno się wyłożyć brązowym linoleum, byłoby ładnie.

Matka Hentjen powzięła nową nadzieję: – Tak, i odmalować; cały dom jest już w kiepskim stanie... przez te wszystkie lata nic się nie zrobiło... ale jak chcesz jechać do Ameryki...?

Esch powtórzył: – Przez te wszystkie lata...

Matka Hentjen czuła się zobowiązana do wytłumaczenia: – Trzeba oszczędzać i wtedy przesuwa się to po prostu z roku na rok... i tak upływa czas... – a potem dodała: – ... a człowiek się starzeje.

Esch obruszył się: – Jak się nie ma dzieci, to oszczędzanie jest śmieszne... dla mnie też nikt nie oszczędzał.

Ale matka Hentjen nie słuchała. Chciałaby tylko wiedzieć, czy warto jeszcze odmalować gospodę; zapytała: – Wezmiesz mnie do Ameryki?... Czy jakąś młodszą?

Esch powiedział szorstko: – Po co to gadać w kółko: młoda, stara!... Potem nie będzie już młodych ani starych... w ogóle nie będzie już czasu...

Esch zająknął się. Kto jest stary, ten nie rodzi dzieci. Może było to częścią poświęcenia. Ale w stanie niewinności dzieci nie rodzą się nikomu. Dziewice nie mają dzieci. I wślizgując się z powrotem do łóżka uzupełnił: – Wszystko potem będzie pewne i trwałe. A to, co człowiek ma za sobą, już mu nie będzie mogło zaszkodzić.

Uklepał pierzynę i troskliwie naciągnął ją na plecy matki Hentjen. Następnie sięgnął po mosiężne gasidło, zawieszane na lichtarzu i przy podobnych okazjach używane również przez pana Hentjena, i nadział je na migoczącą świecę.

Po drodze do Badenu leży Mannheim. I Esch przypomniał sobie, że ma się przyjacielskie obowiązki. Coś gnębiło go od dawna i teraz uprzytomnił sobie, co to było: w tak podupadającym interesie nie wolno pozostawiać wkładów przyjaciół. To, że dotychczas mogli odnotować przeszło 50% zysku, było dobre i przyjemne, ale teraz należało ten zysk zabezpieczyć. Wycofać się z interesu. Jego własne 300 marek to inna para kaloszy. Gdyby przepadły, byłoby to w gruncie rzeczy sprawiedliwe. Bo zarobić 50% i do tego jeszcze żyć dwa miesiące, i to żyć nieźle – gdzież tu poświęcenie, którym chciało się wybawić Ilonę? A przeznaczenie tej trefnej forszy na koszty ucieczki do amerykańskiej wolności to też była chybiona kalkulacja! Najwyższy czas zatem, żeby zapasy szczyły razem z forsą. Chyba znowu spełni się proroctwo matki Hentjen, że cały ten babski cyrk przyniesie mu sromotną klęskę.

Lecz teraz chodziło o pieniądze dla Lohberga i Erny. Niełatwo było rozmówić się w tej sprawie z Gernerthem: wieczorem pan dyrektor użalał się na pustą salę, a w ciągu dnia był jeszcze mniej uchwytny; w Alhambrze nigdy nie bywał, do swego mieszkania zdawał się w ogóle nie przychodzić, a u Oppenheimera były dwa brudne, puste pokoje i ani żywego ducha. Kiedy jednak pytało się go, gdzie jada, odpowiadał: – Ach, ja się zadowalam chlebem z masłem, ojciec rodziny nie może hulać – co naturalnie nie całkiem odpowiadało prawdzie, bo wtedy, gdy z katedry do hotelu przechodziła angielska wycieczka, któż to wyszedł z marmurowego westybulu hotelu Pod Katedrą? Pan Gernerth we własnej osobie, syty i z grubym cygarem w ustach. – Bywa się dla prestiżu, drogi przyjacielu – powiedział i czmychnął, jak gdyby ktoś nie życzył mu zamieszkania w hotelu Pod Katedrą, nawet z całą rodziną. Dzisiaj wszakże było inaczej: pan dyrektor już się nie wymknie!

I wieczorem Esch otworzył drzwi biura dyrekcji, z szyderczym uśmiechem zamknął je za sobą na klucz, schował go do kieszeni spodni, i z szyderczym uśmiechem przedłożył uwięzionemu Gernerthowi skrupulatne „Obliczenie zysku od wkładów pana Fritza Lohberga i panny Erny Korn”, z którego wynikało, że obojgu wymienionym ma być zwrócony wkład kapitałowy – 2000 marek – z zyskiem – 1123 marki – w sumie 3123 marki, a pod spodem figurowały słowa: „z upoważnienia pokwitował własnoręcznym podpisem August Esch”. Poza tym zażądał też swoich własnych pieniędzy. Gernerth podniósł wrzask. Po pierwsze, Esch nie ma uwierzytelnionego pełnomocnictwa, a po drugie, walki jeszcze się nie zakończyły, przed zakończeniem zaś transakcji nie zwykło się dokonywać żadnych wypłat. Kłócili się jakiś czas i wśród wielkich lamentów Gernerth zgodził się w końcu wypłacić Eschowi połowę żądanej sumy dla Lohberga i Erny, podczas gdy druga połowa miała pozostać ulokowana w przedsięwzięciu i ewentualnie przynieść jeszcze dalsze zyski. Dla siebie samego jednak poza pieniędzmi na podróż w wysokości pięćdziesięciu marek Esch nic nie zdołał wydebić. Może był zbyt ustepliwy. Bądź co bądź na koszty podróży to starczy.

Pani Hentjen przyszła na dworzec w brązowej jedwabnej sukni i zerknęła ostrożnie wokoło, czy nie ma kogoś znajomego, kto by ją wziął na języki. Bo mimo wczesnej pory roiło się od ludzi. Na sąsiednim peronie odprawiano w przeciwnym kierunku pociąg, do którego zostało dołączonych kilka wagonów dla emigrantów, Czechów czy Węgrów, i kręciło się przy nich kilka osób z Armii Zbawienia. To, że odprowadzała go matka Hentjen, było w porządku; najwyższy czas, żeby skończyła ze swoim nedorzecznym ukrywaniem się. Ale wobec emigrantów i żołnierzy Armii Zbawienia Esch miał jednak nieczyste sumienie. – Głupia mania – prychnął. Bóg wie, czemu tak się irtował. Prawdopodobnie zdążył już się zarazić

niemądrą tajemniczością. Gdy przechodziła jedna ze zbawieniówek, odwrócił wzrok. Pani Hentjen to zauważyła: – Wstydzisz się, że tu jestem? Może ona w ogóle jedzie z tobą, ta twoja pani? – Esch dość szorstko wyprosił sobie te głupstwa. Ale to jeszcze nie było wszystko: – Oto podzięka za to, że kobieta dla mężczyzny naraża się na kompromitację... kto z psami spać się kładzie, z pchłami wstaje. – Esch znowu nie rozumiał, co go pociągało w tej kobiecie. Kiedy tak stała przed nim w dziennym świetle, zniknęły obrazy jej miłosnej gotowości i ciemnej alkowy, te obrazy, które prześladowały go, ledwie się od niej oddalił, zniknęły do cna, jakby ich nigdy nie było. Tym samym pociągiem pojechał wówczas z matką Hentjen do Bacharach; wówczas to się zaczęło – może dzisiaj się skończy. Wyczuła chyba jego obojętność, bo powiedziała nagle: – Jak mi będziesz niewierny, to zobaczysz... – Pochlebiony chciał usłyszeć więcej na ten temat; jednocześnie korciło go, żeby jej dokuczyć: – Dobra, jeszcze dzisiaj urwę ci się... i co zobaczę? – Zesztywniała, nie dała żadnej odpowiedzi. Zrobiło mu się jej żal i wziął ją za rękę, która ciężko i niezdarnie spoczęła w jego ręce. – No, no, co się zatem stanie? – Odrzekła z pustką w oczach:

– Zabiję cię. – Była to jakby obietnica i zbawcza nadzieja; mimo to zmusił się do śmiechu. Ona jednak nie dała się odwieść od swoich myśli. – Cóż innego by mi pozostało? – Po pauzie: – Jedziesz może do Ober-Wesel?... do tej osoby? – Esch zniecierpliwił się: – Bzdura, sto razy ci mówiłem, że muszę zlikwidować swoje mannheimskie interesy z Lohbergiem... wybieramy się przecież do Ameryki. – Pini Hentjen nie była przekonana:

– Bądź szczerzy. – Esch czekał niecierpliwie na sygnał odjazdu; w żadnym razie nie mógł wyjawić, że jedzie do Bertranda: – Czy nie zaprosiłem cię, żebyś pojechała ze mną? – Nie myślałeś tego poważnie. – Teraz, tuż przed sygnałem odjazdu, wydawało mu się, że jego propozycja była jak najbardziej poważna i trzymając jej grube ramię zapragnął ją pocałować; odepchnęła go: – Coś ty, tutaj, przy tych wszystkich ludziach! – A tymczasem musiał już wsiadać.

Właściwie miał zamiar jechać wprost do Badenweiler i dopiero w St. Goar na widok tablicy z nazwą stacji ostatecznie postanowił jeszcze dzisiaj zatrzymać się w Mannheim. Tak, i z Mannheim nawet do niej napisze; to ją uspokoi – i Esch uśmiechnął się czule, kiedy pomyślał, że byłaby gotowa go zabić; właściwie można by zaryzykować. Wszelako wizyta w Badenweiler to było pewne niebezpieczeństwo, to była gra o wszystko i przyzwoitość nakazywała odwieść przedtem cudze pieniądze. Przypomniało mu się zdanie: „nie igra się z ludzkim życiem” i dostroiło się do rytmu toczących się kół. Ujrzał matkę Hentjen unoszącą małe rewolwer, a potem znów usłyszał słowa Harry’ego: „nic mu nie zrobisz”. Stanęli mu teraz przed oczyma także Lohberg i Ilona, i panna Erna, i Baltazar Korn, i dziwił się, że tak dawno ich nie widział; być może z biegiem czasu nie było ich zgoła przy życiu. Rytmicznie unoszą ręce na powitanie i ma się wrażenie, jakby poruszał nimi niewidzialny i dystygowany lalkarz pociągając za druty, które nagle się pojawiają. Przedział trzeciej klasy jest jakby więzienną celą, a na scenę u góry po lewej, gdzie człowiek zwykle ma szczerbę, wysunęła się szara kulisa, kulisa z tektury, za którą nie kryje się nic prócz szarych, pokrytych kurzem murów. Ale na kulisie można było przeczytać słowo „więzienie” i choć wiedziało się, że za nią nic nie ma, wiedziało się też, że w więzieniu siedzi ktoś, kto w ogóle nie istnieje i kto mimo to jest główną postacią. Ale scenę, w której więzienna kulisa sterczy jak ząb, zamyka w głębi wielkie malowidło przedstawiające wspaniały park. Sarny pasą się pod potężnymi drzewami, dziewczyna, której suknia mieni się cekinami, zrywa kwiaty. Ogrodnik w kapeluszu z szerokim rondem, ze lśniącymi nożycami w dłoniach i w asyście małego psiaka stoi koło ciemnego stawu, którego fontanna posyła w powietrze biały strumień niby migotliwy bicz i daje ochłodę. W oddali dostrzega się światła i ozdoby wspaniałego zamku, na którego blankach powiewa czarno-biało-czerwona flaga. I to człowieka zbija z tropu.

Zbliżając się do Mannheim pomyślał sobie, że Erna na pewno sypia z cnotliwym Józefem. Właściwie nie ulegało to kwestii, było tak oczywiste, że nie wymagało wcale zastanowienia, tak oczywiste jak to, że człowiek ma twarz wyposażoną w nos albo nogi, na których chodzi. Nic i nikt nie mógłby odwieść Escha od takiego mniemania; cóż innego mieliby oboje robić ze sobą? Mimo to mylił się. Bo choć treści życia są ubogie i z pewnością niewiele trzeba, żeby dwie osoby różnej płci doprowadzić do porozumienia, to przecież niejedno jest mniej oczywiste, niż chciałoby się sądzić. Kto jak Esch tkwi jeszcze w powszednio ziemskim życiu lub wznosi się ponad nie tylko odrobinę, łatwo zapomina, że jest królestwo wybawienia, którego istnienie odbiera pewność wszelkiego rodzaju ziemskości, ba, że naraz może stać się rzeczą wątpliwą, czy człowiek chodzi na nogach, a tym bardziej, czy dwoje ludzi ze sobą sypia. Tutaj w istocie było tak, że Lohberga od przekroczenia granicy szlachetnej i serdecznej przyjaźni powstrzymywała po części nieśmiałość, po części jednak też wciąż żywa nieufność wobec płci żeńskiej, zwłaszcza odkąd po brzydkim doświadczeniu nauczył się lękać trucizny brzydkich chorób, a zgoła wówczas, gdy zważył, że Erna była narażona drzwi w drzwi na wszelkie zakusy rozpustnika! Cóż, taki był Lohberg. Z panną Erną chodził jedynie na spacer, pił z nią kawę i traktował to jako czas oczyszczenia i pokuty, który miał dobiec kresu dopiero, kiedy zostanie mu dany znak z góry, niejako znak prawdziwej, zbawczej łaski.

Esch znalazł wprawdzie cnotliwość idioty, niewyobrażalna była jednakże dla niego miara tej cnotliwości, a w jeszcze mniejszym stopniu domyślał się, że on sam nie przestawał niepokoić panny Erny, że powodował wzburzenie jeśli nie jej serca, to przecież krwi i że ona chyba z tego powodu nie spieszyła się z daniem Lohbergowi znaku zbawczej łaski, może nawet rozmyślnie z tym zwlekała, ponieważ w owym zwlekaniu widziała właściwe przygotowanie do stanu małżeńskiego. Tak, tego wszystkiego Esch nie mógł się domyślać, a już w żadnym razie tego, że oboje lubili zajmować się odkrywaniem odpychających cech jego charakteru i zgodnie ze swą skłonnością do egzaltacji sądzili nawet, iż takie wspólne zainteresowanie stanowi dobrą podstawę mariażu.

Nieświadom całej tej sytuacji Esch liczył na radosne i uroczyste przyjęcie. A tymczasem panna Erna przestraszyła się, gdy stanął w drzwiach. Ach, powiedziała opanowując się szybko, jak to ładnie, że pan Esch znów się pokazał, ach, to naprawdę bardzo ładnie ze strony pana Escha, że łaskawie raczył sobie przypomnieć, bo nawet mu się nie chciało napisać choćby pocztówki. A potem powiedziała: – Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one – i dalej nie szczędziła mu uszczypliwości, tak że Eschowi nawet nie udało się wejść do przedpokoju. Natomiast Korn, który usłyszał głosy wyszedł w samej koszuli z bawialni, a usposobienie miał bardziej szorstkie niż siostra i przez dwa miesiące ani pomyślał o Eschu, toteż wcale nie brał mu za złe jego milczenia, przeciwnie, nadzwyczaj by się zdziwił, gdyby Eschowi przyszło na myśl napisać do niego, Korn więc był wielce uradowany, bo nie tylko żywił sympatię do wszystkiego, co kiedykolwiek znał, ale natychmiast dostrzegł w powracającym Eschu źródło ożywienia, a ponadto pożądanego dochodu ze stojącej pustką izby. A potrzebował pieniędzy na Ilonę. Wobec tego wśród serdecznych okrzyków ścisnął dłoń gościa i zapraszał go, żeby zaraz pomaszerował do swojego pokoju, który cały czas na niego czekał. Taka serdeczność dobrze robi człowiekowi, któremu było markotno na duszy, i Esch zamierzał wnieść swoje manatki do pokoju, który na niego czekał i czekał, gdy powstrzymała go panna Erna i zwrócona na poły do brata powiedziała, że nie wie, czy to uchodzi. Na to Korn się zapienił: – A czemu to nagle ma nie uchodzić! Jak ja mówię, że uchodzi, to uchodzi! – Niewątpliwie Esch jako człowiek taktowny powinien był w tym momencie wycofać się ze słowami ubolewania, lecz nawet gdyby był taktowny, a bynajmniej nie był, to o wiele za bardzo zżył się z tą rodziną, aby ciekawości nie dać pierwszeństwa przed taktem; cóż tu zaszło? i zaskoczony nie ruszał się z miejsca. Panna Erna tymczasem, która także nie zwykła była mówić ogródkami, bardzo prędko zaspokoiliła tę ciekawość, bo syknęła na brata, że jej, która szykuje się do uczciwego ślubu, on nie może zmuszać, by

mieszkała pod jednym dachem z obcym mężczyzną; ona i tak musi w tym domu dosyć znosić wstydu i gdyby jej przyszedł nie był człowiekiem tak wielkodusznym, to pewnie jej noga by tu nie pozostała. Na to Korn odrzekł w dialekcie swych rodzinnych stron: – Trele-morele, zamknij dziób. Esch tu zostanie. – Esch z kolei pod wrażeniem napomknień panny Erny zapomniał o wszystkim innym i zawołał: – A to ci niespodzianka, serdeczne gratulacje, panno Erno, kim jest ten szczęśliwiec? – Wówczas panna Erna nie mogła postąpić inaczej jak przyjąć gratulacje i oznajmić, że jest z panem Lohbergiem niemal po słowie. Wzięła Escha pod rękę, zaprowadziła go do bawialni. Tak, a zresztą jej narzeczony też zaraz tu będzie. I kiedy tak rozmawiali o Lohbergu, Kornowi przyszedł do głowy wspaniały pomysł: Esch stanie w ciemnym kącie, aby nieświadomy rzeczy pan narzeczony zerwał się z przerażeniem, kiedy ten włączy się nagle do rozmowy jak duch.

Gdy zabrzmiał dzwonek w przedpokoju i Erna poszła otworzyć, Esch posłusznie zaszył się w ciemny kąt. Korn, który pozostał przy stole, dawał mu władcze znaki, że ma jeszcze bardziej wcisnąć się w narożnik. Bo Korn był człowiekiem, który przywiązywał wagę do technicznej doskonałości i wpadał w złość, jeśli wykonanie szwankowało. Ale to nie z obawy przed wściekłością Korna Esch tak spokojnie trwał w swoim kącie, o nie, nie był bynajmniej z tych, co to potulnie dają się zapędzić do kąta, i nie znajdował się bynajmniej w miejscu kary i upokorzenia; najzupełniej dobrowolnie przywarł jeszcze ciaśniej do ściany i było mu obojętne, czy ściera rękawem farbę, bo w tym mrocznym narożniku obudziło się w nim zniechęcające pragnienie, żeby dystans do tych przy stole coraz bardziej się powiększał. Parę minut, jakie upłynęły do wejścia Lohberga, nie wystarczyło, żeby sobie z tego jasno zdał sprawę, lecz wydawało mu się, iż znów zapada w ową dziwną samotność, która jakoś wiązała się z Mannheim i zabraniała pospolitowania się z innymi tutaj, wymagającą samotność, która jednak sprawiała mu teraz tyle przyjemności, że nie mogła być dość samotna, i gdyby wciskał się w swój kąt coraz dalej i dalej, to stałby się wybawionym i dostojnym eremitem, odcięty od świata w swej celi, duchem unoszącym się nad stołem uwięzionych w cielesności. Rzecz rozumiała, nie mogło to trwać długo, bo takie rozważania snuje się tylko wtedy, kiedy nie starcza czasu, żeby je doprowadzić do końca, i również Esch zapomniał już o tych myślach, gdy zgodnie z programem wszedł Lohberg i był do tego stopnia zaskoczony, że nawet się ucieszył z obecności gościa. Zapewne Esch nie bardzo do nich należał, jak nie bardzo należała do nich Ilona, ale kiedy siedzieli teraz wokół stołu, byli jak jedna rodzina i wypytywali się nawzajem o wiele rzeczy. A że te pytania doszły niebawem do kwestii dobrobytu, Esch dumnie wyciągnął portfel i sakiewkę i odliczył na stół 1561 marek i 50 fenigów. Panna Erna radośnie sięgnęła po pieniądze, bo uważała je za swój wkład wraz z zyskiem; ale gdy Esch objaśnił, że tyle wprawdzie powinna była dostać, jednakże na razie musi podzielić się tą sumą z Lohbergiem, ponieważ druga połowa nie została jeszcze wycofana, wrzasnęła, że w takim razie zamiast korzyści poniosła stratę. I także gdy on próbował jej tłumaczyć, nie chciała się opamiętać, darła się, że niczego nie da sobie wmówić, bo potrafi bardzo dobrze liczyć: proszę – przyniosła kartkę i ołówek – dopłaciła do interesu dwie-ście-dzie-więt-naś-cie marek i dwadzieścia pięć fenigów, ma to czarno na białym, i jazgocząc podsunęła Eschowi pod spuszczonej na kwintę nos. Lohberg nie otworzył ust; a przecież jako kupiec musiał bardzo dobrze zrozumieć wyliczenie. Nie chce narażać się pannie narzeczonej, tchórzliwy idiota. Esch powiedział gburowato: – Ktoś taki jak ja też ma swoje poczucie przyzwoitości – prawdopodobnie większe od niejednego, co tutaj milczy. – I chwycił rękę Erny, ale nie z miłością, po czym gniewnie i nader niedelikatnie wraz z kartką położył ją z powrotem na stole. Może ona w gruncie rzeczy jednak rozumiała, a może sprawiła to twarda reakcja Escha, dość, że panna Erna zamilkła. Korn, który dotychczas się nie wypowiadał, oznajmił jedynie, że Teltscher, Żydzisko, to po prostu bandzior. No to niech on złoży doniesienie, odparł Esch, należy donosić na każdego bandziora zamiast godzić się na zamykanie niewinnych.

A jako że tchórzliwa, nieprzyzwoita postawa Lohberga domagała się ukarania, upokorzył go słowami: – O niewinnych się zapomina! Czy na przykład pan Lohberg odwiedził już biednego Martina? – Erna, dopiero co skarcona i przepełniona rozgoryczeniem, zareplikowała, że zna innych ludzi, którzy zapominają o przyjaciółach, ba, nawet im szkodzą, i że to chyba zadaniem pana Escha byłoby zatroszczyć się o pana Geyringa. – Po to przecież przyjechałem – powiedział Esch. – Aha – odparła panna Erna – bo w przeciwnym razie w ogóle nie zobaczylibyśmy już pana Escha – i ociągając się, prawie nieśmiało, ponieważ z obowiązku nierezygnowania z odważnej walki, dodała: – i naszych pieniędzy też. – A Korn, który myślał wolno, powiedział: – Żydzisko każ pan zamknąć.

Było to w rzeczy samej dziwne rozwiązanie i choć Esch sam je przed chwilą zaproponował, miał chęć odparować, że byłoby to tylko rozwiązanie częściowe wobec lepszego, radykalniejszego, niejako duchowego, którego bliskość już czuje. Co by przyszło z zamknięcia Teltschera na parę miesięcy, skoro Ilona znów byłaby wystawiona na świszczące noże. Teraz dopiero go tknęło, że nie przyszła, choć właściwie tutaj było jej miejsce, jakby chodziło o to, żeby nie pokazywał się jej na oczy, póki nie wywiąże się ze swego zadania. Zadanie zadaniem – człowiek myśli o wielkim poświęceniu, jakie go czeka, i jednocześnie obiecuje dodatkowe zyski! Jeśli rzeczywiście ma zapanować porządek, to trzeba skończyć z zapasami. A ponieważ podejrzewał jazgoczącą Ernę, że wyłożyła swoje pieniądze ze względu na niego, zrodziło się poczucie winy, które w gruncie rzeczy nie było wcale nieprzyjemne; ale ponieważ tamtych nic to nie obchodziło, zaczął krzyczeć: więc to takie jest podziękowanie, a w ogóle to żałuje, że przyjechał z pieniędzmi, skoro tak go przyjmują, a w sprawie pozostałej sumy napisze do Gernertha. Może sobie robić, co uważa, powiedziała uszczypliwym głosem panna Erna. To niech z łaski swojej sama napisze, bo on zdecydowanie umywa ręce. Ona tego nie robi. Dobra, wobec tego on to robi, bo jest porządnym człowiekiem. – Ach? – rzuciła panna Erna. A Esch zażądał atramentu i papieru i wycofał się do swego pokoju, nie zważając już na obecnych.

W swoim pokoju przechadzał się długimi krokami tam i z powrotem, jak to zwykł był czynić w zdenerwowaniu. Potem zaczął gwizdać, aby tamci nie pomyśleli, że się złości, a może też gwizdał, ponieważ czuł się samotny. Wkrótce usłyszał Ernę i Lohberga w przedpokoju. Byli cicho; widać Lohberg, taki to tchórz, wciąż jeszcze bał się jego gniewu, z bezradności wywraçał białymi oczami. Jak tylekroć wyobrażenie Lohberga połączyło się z obrazem matki Hentjen. Teraz i ona była bezradna, musiała godzić się na wszystko, biedaczka. Nasłuchiwał, czy Erna i Lohberg wygadują na niego. Ładna sytuacja, w którą wpakowała go matka Hentjen przez swoją niedorzeczną zazdrość; nie było to potrzebne, już dawno mógłby być w Badenweiler. W przedpokoju było cicho, Lohberg już wyszedł; Esch usiadł i starannym pismem buchaltera napisał: „Pan Alfred Gernerth, dyrektor teatru, obecnie Kolonia, Teatr Alhambra. Proszę o przekazanie mojej należności w sumie 780,75 marek i równoczesne przedłożenie ostatecznego rozliczenia. Z poważaniem”. Z kartką w jednej ręce, z kałamarzem i piórem w drugiej poszedł prosto do izby Erny.

Erna, człapiąc w filcowych pantoflach, ścieliła właśnie łóżko i Esch zdziwił się, że zdążyła tak szybko zmienić buty. Już miała oburzyć się na jego wtargnięcie, gdy spostrzegła, z czym przyszedł: – Czego pan chce z tym świstkiem? – Rozkazał: – Podpisać. – Panu już nic nie podpiszę...

– Tymczasem jednak obejrzała list i podeszła z nim do stołu: – Niech tam.

– Nic to co prawda nie da, pieniądze przepadły, roztrwonione, przepuszczone, trzeba się z tym pogodzić, oczywiście pana Escha to nie wzrusza. Pośród jej jazgotu znów zbudziło się dziwaczne poczucie winy wobec niej; ach, co tam, on pomoże jej odzyskać pieniądze i wziął ją za rękę, żeby jej pokazać, gdzie ma się podpisać. Gdy chciała się wyrwać, zezłościł się na nowo; mocniej ścisnął jej rękę, obchodził się z nią zgoła niedelikatnie i oto zdarzyło się po raz drugi, że panna Erna stała się milcząca i bezbronna. Z początku tego nie spostrzegł,

poprowadził tylko jej rękę do podpisu, jednakże wtedy padło na niego z dołu jej ukośne jaszczurcze spojrzenie jak wezwanie. I kiedy ją objął, przytuliła policzek do jego piersi. Nad tym, że to zrobiła, nie łamał sobie głowy, nie zastanawiał się zbytnio, czy było to jedynie echo jej dawnego zakochania, czy też chciała się zemścić za niemęskość Lohberga, czy wreszcie – i to byłoby dla Escha najbardziej przekonujące – po prostu uległa, ponieważ on akurat się zjawił, ponieważ to musiało przyjść, ponieważ nie musieli się już kłócić o żeniączkę. Sprawy się wyklarowały: Erna miała konkurenta, a on sam, on z matką Hentjen zwieje do Ameryki; nawet wściekłość na Lohberga ustąpiła, żywił wręcz pewną czułość dla idioty, który pod tak wielu względami przypominał matkę Hentjen, a że panna Erna w zażyłym obcowaniu zapewne niejedno od narzeczonego przejęła, można było z grubsza sądzić, że obejmując Ernę obejmuje się częśćką matki Hentjen, i nie była to zdrada. Wszelako wspomnienie dawnych walk jeszcze nie całkiem zbladło, jeszcze oboje się wahali, była to chwila jakby nieprzyjaznej czystości i niewiele brakowało, a Esch wróciłby do swojej izby nic nie wskórawszy jak kiedyś. Nagle ona powiedziała: – Pst, cicho – i odsunęła się od niego; skrzypnęły drzwi wejściowe i Esch domyślił się, że przyszła Ilona. Stali bez ruchu. Kiedy jednak ucichły kroki w korytarzu i trzasnęły drzwi do bawialni, za którą znajdował się pokój Korna, także oni padli sobie w ramiona.

Wsunąwszy się później do swego łóżka musiał pomyśleć o matce Hentjen i o tym, że w Mannheim zatrzymał się jedynie po to, żeby ułagodzić jej zazdrosną podejrzliwość. Oto co ona teraz ma ze swojej głupiej zazdrości. Jego groźba, że jeszcze dzisiaj ją zdradzi, była naturalnie tylko żartem. A teraz spełniła się naprawdę i nie była to jego wina. W gruncie rzeczy nie była to nawet prawdziwa zdrada; takiej kobiety po prostu nie można zdradzić tak łatwo. Mimo wszystko pozostawało to świństwem. A dlaczego? Dlatego że swoje rachunki bez zwłoki doprowadziło się do porządku, że dla przyzwoitości powinno się już być w Badenweiler zamiast mieć wzgląd na taką głupią zazdrość. Tyle teraz miało się z tego. Ładna historia, ale nie da się tego zmienić. Esch przekreślił się do ściany.

Otwierając oczy poznał swój dawny pokój; jasne przedpołudniowe słońce zaglądało przez firanki i poczuł jakby pchnięcie lancą: czy nie musi iść do swego magazynu spedycyjnego? Potem przypomniał sobie, że nie ma już nic wspólnego ze Środkoworeńską. Nikt już nie mógł go budzić na sąd. Pozostawał w łóżku, chociaż nie sprawiało mu to już przyjemności, ale mógł leżeć, jak długo mu się podobało. Było też bardzo prawdopodobne, że matka Hentjen go zabije, bo przecież nigdy nie pojmie, że on pozostał jej wierny; będzie chciała go zabić i ta myśl dawała również poczucie pewności i wolności. Kto staje wobec śmierci, jest wolny, a kto jest wybawiony do wolności, wziął śmierć na siebie. Ujrzał przed sobą blanki zamku, na których spokojnie powiewała czarna flaga, lecz mogła to być również wieża Eiffla, bo któż potrafi odróżnić przyszłość od przeszłości! W parku jest grób, dziewczęcy grób, grób zaszytowanej dziewczyny. Tak, przed śmiercią człowiekowi wszystko wolno, wszystko jest dostępne, niejako darmowe i osobliwie niezobowiązujące. Wolno było podejść na ulicy do każdej kobiety i zaproponować jej, żeby się z człowiekiem przespąła, i miałyby to równie przyjemną niezobowiązującą moc jak z Erną, którą opuści dziś lub jutro, aby pojechać w ciemność. Słyszał ją, jak się krząta, mała, koścista jędza, i czekał, że przyjdzie jak dawniej, bo trzeba korzystać z okazji, póki jeszcze ogląda się słońce. Że pozwolenie na zdradę trzeba najpierw okupić zdradą i że mimo wszystko chce się być za to zabitym, doprawdy, matka Hentjen nie była z tych, co by to zrozumieli; cóż ona wiedziała o tego rodzaju skomplikowanych zapisach w księgach – jakże mogłaby poznać się na tych błędach w księgowaniu, które tak podstępnie zakradły się do świata, że tylko ten, kto umie dokładnie liczyć, ma prawo umrzeć śmiercią wybawiciela. Najdrobniejsza omyłka może przecież zachwiać gmachem wolności. Teraz usłyszał z kuchni głos panny Erny: – Czy wolno łaskawemu panu przynieść kawę? – Nie – zawołał Esch – już przychodzę – wyskoczył z

łóżka, w mig się ubrał, wypił kawę i był już na przystanku tramwajowym, sam zaskoczony błyskawicznym tempem, w jakim się wszystko odbyło. Dopiero gdy wóz, który kursował do zakładu karnego, kazał na siebie czekać, zastanowił się, czy to jedynie myśl o wizycie w więzieniu tak prędko wyгнаła go z łóżka, czy też winę ponosił głos Erny: nie był to głos przyjemny, zwłaszcza kiedy wrzeszczała tak jak wczoraj wieczorem. W rzeczy samej żadna jeszcze jazgotaniem nie przynagliła go do pośpiechu. A więc to nie sprawa głosu, w przeciwnym razie dawno by go już wypłoszyła z tego mieszkania, na przykład wówczas, gdy zawołała go do kuchni, żeby sobie zobaczył śpiącą Ilonę. Co do Ilony to on nie potrzebuje już w ogóle jej oglądać, ani tutaj, ani gdzie indziej. A najlepiej było chyba trzymać się z dala od tych rzeczy, nic nie wiedzieć o tym, że prawdopodobnie była to tylko ucieczka przed Erną i jej złymi żądzami, ucieczka przed tą niezobowiązującą rozkoszą, w której na przyszłość wszystko ma się rozgrywać, która jednak boi się światła dziennego, bo jedynie noc jest czasem wolności.

W więzieniu dowiedział się, że odwiedziny wypadają tylko trzy razy w tygodniu; jutro musi zgłosić się ponownie. Esch zastanowił się. Co robić? Niezwłocznie jechać dalej do Badenweiler? Zaczął kłąć, bo to burzyło mu swobodę działania. W końcu jednak powiedział: – No dobra, egzekucja odroczone – i słowa „egzekucja odroczone” nie chciały go opuścić, zagnieździły się w jego uchu i dały mu nawet miłe, dumne poczucie koleżeństwa z człowiekiem tak potężnym jak prezes Bertrand, bo odroczenie egzekucji dotyczyło zarówno tamtego, jak i jego samego. Nie, nie mógł wyjechać, jechać w ciemność nie zobaczywszy przedtem Martina i byłoby czymś śmiesznym, ba, wręcz niegodnym, gdyby ten pobyt w Mannheim objął jedynie noc z Erną. Odbywając wielką podróż nie pozostawia się spraw nie załatwionych, a należało jeszcze wymienić ukłony i słowa pożegnania. Toteż pojechał przede wszystkim do portu, aby odwiedzić znajomych w magazynach i kantynie. Czuł się nieomal jak krewniak, który z amerykańskiej dali wraca do swoich bliskich i obawia się trochę, że go nie poznają, bo wyrosła mu broda. Na przykład byłoby wszak możliwe, że straż przy wejściu wcale go nie wpuści. Ale sprawy potoczyły się bardzo przyjaznym trybem, między innymi i dlatego, że wszyscy, których spotykał, zapewne czuli, iż nic mu nie można zrobić; strażnicy celni od razu powitali go z jowialną serdecznością i wywiązała się z nimi niefrasobliwa rozmowa. No, powiedzieli ze śmiechem, skoro już nie jest w Żegludze, to nie ma tu nic do roboty, a Esch odrzekł, że już on im pokaże, iż ma tu coś do roboty, i gdy wchodził, oni nie podjęli najmniejszej próby, aby go zatrzymać. Nikt mu nie przeszkadzał oglądać wedle upodobania wszystkich tych szop i dźwigów, magazynów i wagonów, a kiedy zawołał na progu składów, wychodzili placowi i magazynierzy i stawali przed nim jak bracia. Mimo to nie żałował, że opuścił to wszystko, tylko bardzo wyraźnie zapamiętywał, co się dało, i dotykał czasem wagonu czy pomostu ładunkowego, tak że na jego twardej dłoni pozostawał ślad zetknięcia się z suchym drewnem. Tylko w kantynie przeżył rozczarowanie; jego wzrok szukał Korna, ale na próżno; Korn był głupi i bał się, a Esch nie mógł się powstrzymać od śmiechu, bo już nie brał mu za złe Ilony, Ilona przecież zniknie, przepadnie w niedostępnym zamku. Toteż wypił tylko jedną wódkę z policjantami i potem zwykłą drogą, która nie była już zwykłą, wszelako rozpościerała się przed nim bardziej znajomo niż kiedykolwiek, doszedł do rogu ulicy, na którym mieścił się sklep z cygarami, niecierpliwie wyglądając jego przyjścia, jak gdyby Lohberg z utęsknieniem czekał na niego, aby z nim pogawędzić.

I oto Lohberg rzeczywiście siedział przy swojej kasie rejestrującej i trzymał w ręce duży obcinacz do cygar, a gdy wszedł Esch, uprzejmie odłożył przyrząd, bo musiał przeprosić Escha za wiele rzeczy, o czym jednak żaden z nich nie wspomniął, bo Esch gotów był wybaczyć i nie chciał, żeby Lohberg się rozplakał. Może to naruszało umowę, że Lohberg zaczął mówić o Ernzie, ale była to rzecz tak błaha, że Esch nie zwracał na nią uwagi. Któż mógłby go zbudzić wcześniej, niż mu się podobało; był wolny! – Ona jest wspaniałym kompanem – oznajmił Lohberg – i mamy wiele wspólnych zainteresowań. – A że Eschowi

wolno było mówić, co mu się podoba, powiedział: – No, ona pana nie zabije. – Patrzył przy tym na cherlawą postać Lohberga, którego matka Hentjen mogłaby rozgnieść jednym palcem, i żał mu było Erny, bo ona nawet do tego nie była zdolna. Lohberg zaś uśmiechał się trwożliwie, trochę się bał ponurych żartów i w oczach swego gniewnego gościa coraz bardziej wątał i malał. Nie, to nie był przeciwnik, z którym Esch chciał się zmierzyć; silni są dopiero zmarli, choćby w życiu wyglądali jak zabiedzeni czeladnicy krawieccy. Esch krążył po sklepie jak duch, chłonał zapach powietrza, otwierał tę i tamtą szufladę, przesuwał dłonią po gładkiej ladzie. Powiedział: – Jak pan umrzesz, to pan będziesz silniejszy ode mnie... Ale przecież pana nie można zabić – dorzucił pogardliwie, bo przyszło mu na myśl, że nawet zmarły Lohberg nie wchodziłby w rachubę; tego to za dobrze znał, ten to pozostał idiotą, a tylko ci, co się ich nigdy nie znało, ci, co nigdy nie żyli, byli przepotężni. A Lohberg, nieufny wobec kobiet, zapytał: – Co pan ma na myśli? Chodzi panu o wdowie zaopatrzenie? Zawarłem ubezpieczenie na życie. – Prawdę mówiąc byłby to powód, żeby podać mężowi truciznę, powiedział Esch i musiał roześmiać się tak głośno, że śmiech utkwiał mu w gardle paralizującym bólem. Tak, matka Hentjen to była kobieta! Nie posługiwała się trucizną, takiego Lohberga nadziałaby po prostu na szpilkę jak chrząszcza. Trzeba było mieć dla niej respekt i wysoki szacunek, a to, że kiedykolwiek mógł ją porównywać z Lohbergiem, dziwiło Escha. I był z lekka wzruszony, bo ona przy tym podawała się za słabą kobietę i przypuszczalnie miała nawet rację. Lohberg dostał gęziej skórki, wywracał swymi białymi oczami: – Trucizna – powiedział, jakby to słowo, którego przecież używał wystarczająco często, usłyszał po raz pierwszy albo przynajmniej w ostatecznej wersji. Śmiech Escha uspokoił się i przybrał z lekka pogardliwy ton: – Ona pana wcale nie otruje; Erna nie jest do tego zdolna. – Nie – odparł Lohberg – ona ma złote serce; ona by nawet nie była zdolna skrzywdzić muchy... – Nadziać chrząszcza na szpilkę – podsunął Esch. – Ach, na pewno nie – powiedział Lohberg. – Ale jak pan ją zdradzisz, to mimo wszystko pana zabije – zagroził Esch. – Ja mojej małżonki nigdy nie zdradzę – oświadczył idiota. Esch wszelako uprzytomnił sobie nagle, a było to zrozumienie przyjemne i jasne, dlaczego mógł porównywać Lohberga z matką Hentjen: Lohberg był w gruncie rzeczy babą, był czymś w rodzaju transwestyty i dlatego nie miało to znaczenia, że on przespał się z Erną; Ilona przecież także leżała w łóżku Erny. Esch podniósł się, stał mocno na nogach i rozłożył ręce jak ktoś, kto budzi się ze snu, albo jak ukrzyżowany. Czuł się silny, pewny i dobrze ustawiony, facet, którego opłaciłoby się zabić. – Albo on, albo ja – powiedział i czuł, że świat należy do niego. – Albo on, albo ja – powtórzył przemierzając lokal długimi krokami. – Co pan ma na myśli? – zapytał Lohberg. – Nie pana – odrzekł Esch i pokazał mu swe końskie zęby: – Pan, pan dostanie Ernę. – Bo tak było sprawiedliwe: ten tutaj miał piękny, wychuchany sklep wraz z ubezpieczeniem na życie, dostanie małą Ernę i będzie mógł żyć bez udręki i łamania sobie głowy; natomiast on przebudził się i wziął na siebie zadanie. A że Lohberg kontynuował wychwalanie Erny w ciepłych słowach, Esch powiedział to, co tamten chciał usłyszeć i czego właściwie jako znaku z góry od dawna oczekiwał: – Ach, pan z tym swoim bajdurzeniem spod znaku Armii Zbawienia... Jak pan będziesz dalej tak zwlekał, to dziewczyna panu bryknie. Byłby już czas, żebyś pan się zdecydował, panie ciepłe kluski. – Tak – powiedział Lohberg – tak, sądzę, że wypełnił się czas oczyszczenia. – Jasno i miło prezentował się sklep w blasku dość pochmurnego letniego dnia; żółte dębowe meble robiły solidne i mocne wrażenie, koło kasy rejestrującej leżała księga ze starannie podliczonymi kolumnami. Esch usiadł przy pulpicie Lohberga i napisał do matki Hentjen, że dojechał zdrów i cały i przystępuje do załatwiania swoich interesów.

To, że tę drugą noc znów spędził z Erną, uważał za formalność, którą człowiek wolny ma prawo spełnić. Rozmawiali przyjaźnie o małżeństwie z Lohbergiem i okazywali sobie czułość z delikatnością i melancholią, tak jakby nigdy ze sobą nie walczyli. A po tej długiej i nie

przespanej nocy wstał z przyjemnym poczuciem, że dopomógł Ernie i Lohbergowi osiągnąć wspólne szczęście. Bo człowiek nosi w sobie wielorakie możliwości i zależnie od łańcucha logiki, jaki zarzuca na rzeczy, może dowieść sobie, że są dobre albo złe.

Zaraz po obiedzie ruszył w drogę do zakładu karnego. U Lohberga kupił papierosy, które chciał podsunąć Martinowi; nic innego nie przyszło mu do głowy. Zrobiło się nieznośnie gorąco i Esch musiał wspomnieć popołudnie w Goarshausen, kiedy to litował się nad Martinem z powodu upału. W zakładzie skierowano go do rozmównicy, której zakratowane okna wychodziły na gołe podwórze. Pokryte żółtym tynkiem budynki rzucały kanciaste cienie na pusty dziedziniec. Pośrodku placu ustawiono chyba szafot, na którym musiał uklęknąć skazaniec, aby czekać, aż ostrze topora spadnie mu na kark i odrąbie głowę. Stwierdziwszy to Esch nie chciał już patrzeć na podwórze i odwrócił się od okna. Oglądał pokój.

W środku stał pomalowany na żółto stół ze śladami atramentu, które pozwalały przypuszczać, że przytaszczono go z jakiejś kancelarii, było też kilka krzesel. Rozmównica mimo cienia buchała żarem, bo rozgrzało ją przedpołudniowe słońce, a okna były zamknięte. Eschowi zachciało się spać; był sam i usiadł; kazano mu czekać.

Potem usłyszał kroki na brukowanym korytarzu i stukot kul Martina. Esch podniósł się, jakby na wejście przełożonego. Martin jednak wszedł tak samo jak do gospody matki Hentjen. Gdyby tu był automat muzyczny, to pewnie by pokuśtykał do niego i włączył. Rozejrzał się po pokoju i zdawał się zadowolony, że Esch jest sam, podszedł do niego i podał mu rękę: – Sie masz, Esch, ładnie z twojej strony, żeś przyszedł mnie odwiedzić. – Oparł kule o stół, jak to zawsze czynił u matki Hentjen, i usiadł.

– No, ty też siadaj, Esch. – Strażnik, który go przyprowadził, przypominał mundurem Korna; przepisowo pozostał przy drzwiach. – Nie chce pan usiąść, panie oddziałowy? Nikt przecież nie przyjdzie, a ja panu na pewno nie zwieję. – Tamten burknął coś o regulaminie służbowym, ale podszedł do stołu i położył na nim wielki pęk kluczy. – O – powiedział Martin – teraz to jest wygodnie – a potem wszyscy trzej milczeli, siedzieli wokół stołu i oglądali nacięcia w drewnie. Martin był jeszcze bardziej poźólkły niż zwykle; Esch nie miał odwagi zapytać, jak się miewa. Martin musiał uśmiechnąć się z zakłopotanego milczenia i powiedział:

– No to opowiadaj, Augustie, co nowego w Kolonii? Jak się czuje matka Hentjen i reszta?

Esch czuł, jak mimo rozpalonych policzków czerwienieje, bo nagle było mu tak, jak gdyby wykorzystał uwięzienie Martina, żeby odebrać mu przyjaciół. I nie wiedział też, czy wobec strażnika wolno mu ich wyjawić. W końcu nie każdy lubi, żeby w rozmównicy zakładu karnego łączyć go z przestępcą. Powiedział: – Wszyscy czują się dobrze.

Martin pewnie zrozumiał skrupuły, bo nie nalegał na szczegółową odpowiedź, lecz spytał: – A ty sam?

– Jadę do Badenweiler.

– Na kurację?

Esch uznał, że Martin nie ma powodu, żeby nabijać się z niego. Powiedział sucho. – Do Bertranda.

– Do stu piorunów, to jest awans! Wytworny człowiek ten Bertrand.

Esch nie był pewien, czy Martin wciąż jeszcze żartuje, czy też ucieka się do ironii. Wytworny pedał ten Bertrand, to była prawda. Ale przy strażniku nie można było mówić czegoś takiego. Mruknął: – No, jakby taki był wytworny, to byś tutaj nie siedział.

– ?

– Przecież jesteś niewinny.

– Ja? Mam potwierdzone czarno na białym, wręcz sądownie, że kilka razy postradałem niewinność.

– Daj wreszcie spokój tym głupim żartom. Jak Bertrand jest takim wytwornym człowiekiem, to trzeba mu powiedzieć, co wtedy zaszło. A on już się postara, żebyś wyszedł.

– Tym chcesz go molestować? Dlatego jedziesz do Badenweiler? – Martin zaśmiał się, wyciągnął do niego rękę ponad stołem: – Ależ, Auguście, co ci strzeliło do głowy! Szczęście, że człowieka tam nie będzie...

Esch zapytał spiesznie: – Gdzie on jest?

– Ach, on ciągle podróżuje, po Ameryce czy gdzieś indziej.

Esch zdumiał się: więc Bertrand był w Ameryce! Ubiegł go, wcześniej dotarł za ocean do oświecającej wolności. I chociaż Esch zawsze domyślał się, że wielkość i wolność dalekiego kraju musi pozostawać w bardzo znaczącym, aczkolwiek niezupełnie uchwytnym związku z wielkością i wolnością nieosiągalnego człowieka, to teraz wydało mu się, że amerykańska podróż prezesa unicestwia na zawsze jego własne plany emigracyjne. A ponieważ tak to się przedstawiało i ponieważ wszystko było takie dalekie i nieosiągalne, wpadł w złość na Martina: – Prezesowi łatwo pojechać do Ameryki... ale wystarczą i Włochy.

Martin powiedział ustępliwie: – Niech będą Włochy.

Esch zastanawiał się, czy będzie musiał w centrali Środkoworeńskiej dowiadywać się o miejsce pobytu Bertranda. Ale nagle uznał to za zbyt ciężkie i oznajmił: – On jest w Badenweiler.

Martin zaśmiał się: – No, choćbyś miał rację, to i tak cię nie dopuszczą... Czy jakaś dziewczyna kryje się za tą podróżą, co?

– Już ja znajdę sposoby, żeby mnie dopuścili – powiedział groźnie Esch.

Martin coś zwietrzył: – Nie rób żadnych głupstw, Auguście, nie naprzykrzaj mu się; to przyzwoity człowiek, dla którego należy mieć respekt.

Widać nie miał pojęcia o sprawkach Bertranda, pomyślał Esch, ale nie mogąc nic powiedzieć stwierdził jedynie: – Przyzwoici są oni wszyscy, nawet Nentwig. – I po krótkim namyśle: – Zmarli też byli przyzwoici, wszakże jak ta przyzwoitość wygląda, widzi się dopiero po spadku, jaki człowiekowi zostawiają.

– Co to znaczy?

Esch wzruszył ramionami: – Nic, tak tylko sobie powiedziałem... no, że w końcu to przecież obojętne, czy ktoś jest przyzwoity, czy nie; zawsze jest taki tylko z jednej strony; zresztą nie chodzi wcale o niego, tylko o to, co zrobił. – I dodał wściekły: – Bo inaczej to człowiek już w ogóle się nie połapie.

Martin potrząsnął głową z rozbawieniem, ale i z niepokojem: – Ty, Auguście, masz tu w Mannheim przyjaciela, który w kółko gadał o truciźnie. Wydaje mi się, że on cię zatrzał...

Esch jednak ciągnął niewzruszony: – I tak już nie wiadomo, co jest czarne, a co białe. Wszystko się miesza. Nie wiesz nawet, co było i co jeszcze jest...

Martin znów się zaśmiał: – A jeszcze dużo mniej wiem o tym, co będzie.

– Bądźże wreszcie poważny. Ty poświęcasz się dla przyszłości; sam to powiedziałeś... to jedyne, co pozostaje: poświęcenie dla przyszłości i pokutowanie za to, co się stało; człowiek przyzwoity poświęca się, w przeciwnym razie nie ma żadnego porządku.

Strażnik więzienny przysłuchiwał się podejrzliwie: – Nie wolno panu wygłaszać tutaj rewolucyjnych mów.

Martin powiedział: – To nie jest rewolucjonista, panie oddziałowy. Prędkiej pan nim jest.

Esch był zaskoczony, że jego wypowiedź można było tak zrozumieć. Więc teraz i on jest socjaldemokratą! Też dobrze! I przekornie dodał:

– A niech to będzie sobie rewolucyjne. Nawiasem mówiąc sam zawsze opowiadałeś, że to obojętne, czy kapitalista jest przyzwoity, czy nie, ponieważ trzeba go zwalczać jako kapitalistę, nie jako człowieka.

– Widzi pan, panie oddziałowy – odezwał się Martin – czy można przyjmować wizyty? Ten człowiek swoim gadaniem zatrąca mi jeszcze całą duszę. A ona dopiero co została oczyszczona. – I zwracając się do Escha:

– Jak byłeś, tak i jesteś narwaniec, drogi Auguście.

Strażnik powiedział: – Służba to służba – a że i tak było mu już za gorąco, popatrzył na zegarek i oznajmił, że czas odwiedzin minął. Martin wziął kule: – No to dobra, odprowadzamy mnie z powrotem. – Podał Eschowi rękę.

– I pozwól, że ci powiem, Auguście: nie rób żadnych głupstw. I bardzo dziękuję za wszystko.

Esch nie był przygotowany na tak nagłe odejście. Trzymał dłoń Martina w swojej i zastanawiał się, czy powinien podać rękę również wrogiemu strażnikowi. Ale podał, ponieważ siedzieli razem przy jednym stole, i Martin kiwnął na to z zadowoleniem głową. Potem odszedł i Esch na nowo się zdziwił, że wyglądało to tak, jakby Martin opuszczał lokal matki Hentjen, a przecież szedł do więziennej celi! Wydawało się, że wszystko, co dzieje się na świecie, jest rzeczywiście obojętne. A mimo to nic nie było obojętne: trzeba to było jedynie wymusić.

Przed bramą więzienia Esch odetchnął; poklepał się, jakby chcąc się upewnić o własnym istnieniu, wymacał w kieszeni przeznaczone dla Martina papierosy i znów wezbrał w nim ten przeklęty, niewytłumaczalny gniew i znów miał usta pełne wyzwisk. Nawet Martina nazwał śmiesznym krzykaczem, demagogiem, jak to się mówi, chociaż w gruncie rzeczy nie mógł mu nic zarzucić, co najwyżej to, że pozował na głównego bohatera, a tymczasem doprawdy chodziło o coś ważniejszego. Ale tacy już są demagodzy.

Esch pojechał z powrotem do miasta, zżymał się, że konduktor jest w mundurze, i zabrał swoje rzeczy od panny Erny. Przyjęła go z oznakami wielkiej sympatii. A on w swojej złości na zawłość świata znosił to z pogardą. Następnie pożegnał się krótko i pospieszył na dworzec, aby złapać wieczorny pociąg do Müllheim.

Kiedy zagęszczają się pragnienia i cele, kiedy sen dociera do wielkich przełomów i wstrząsów żyda, wówczas zwięża się droga ku ciemniejszym sztolniom i przedsen śmierci opada na tego, kto dotychczas wędrował we śnie: to, co minęło, pragnienia i cele, raz jeszcze przesuwają się przed oczyma umierającego i można by to bez mała nazwać przypadkiem, gdyby nie prowadziło do śmierci.

Człowiek, który w siennej dali tęskni do żony lub choćby tylko do krainy swego dzieciństwa, stoi na początku lunatyzmu.

Być może niejedno już się szykowało, jedynie on tego nie zauważał. Na przykład kiedy w drodze na dworzec rzuca mu się w oczy, że domy składają się z ułożonych warstwami cegieł, drzwi z przepiłowanych desek, okna z czworokątnych tafli szkła. Albo kiedy przypomina sobie redaktorów i demagogów, którzy zachowują się tak, jakby wiedzieli, gdzie jest prawa i gdzie lewa, podczas gdy wiedzą to tylko kobiety, i to bynajmniej nie wszystkie. Ale o takich rzeczach nie można myśleć bez ustanku i on ze spokojem w sercu wypija na dworcu szklanekę piwa.

Na widok nadjeżdżającego z hukiem pociągu do Müllheim, tego pędzącego tak pewnie do celu dużego i długiego robaka, ogarnia go jednak nagle, ogarnia go nagle zwątpienie w niezawodność lokomotywy, która zapewne mogłaby zmylić drogę, ogarnia go lęk, że mając do spełnienia, jak wiadomo, bardzo ważne ziemskie obowiązki, zostanie tych obowiązków pozbawiony i w rezultacie zgoła wprowadzony do Ameryki.

W swoim zwątpieniu zwróciłby się najchętniej wzorem niedoświadczonych podróżnych do umundurowanego kolejarza, ale peron jest tak rozległy, jest tak niezmiernie długi i goły, że nie sposób go przebiec i można mówić o szczęściu, jeśli co prawda bez tchu, lecz jeszcze w porę doleci się do pociągu, dokądkolwiek by jechał. Naturalnie człowiek stara się wtedy odcyfrować tabliczki na wagonach z nazwą stacji docelowej, jednakże rychło przekonuje się, że jest to bezużyteczny wysiłek, bo nazwy na tabliczkach to jedynie słowa. I podróżny dość niezdecydowanie staje przy wagonie.

Niezdycydowanie i zasapanie z pewnością wystarczają, żeby człowiek o gniewnym usposobieniu zaczął kłać, zwłaszcza jeśli poganiany przez sygnał odjazdu musi błyskawicznie wdrapać się po niewygodnych stopniach wagonu i uderza się w goleń. Klnie, klnie na stopnie i na ich głupią konstrukcję, klnie na los. Wszelako za takim nieokrzesaniem kryje się właściwsze, ba, bardziej prowokujące przeświadczenie i gdyby to był człowiek jasno myślący, mógłby to chyba wypowiedzieć: wszystko to jest tylko dziełem ludzkim, ach, te stopnie, dopasowane do ugięcia i wyprostowania człowieczego kolana, ten niezmiernie długi peron, te tabliczki z wypisanymi słowami i gwizdy lokomotyw, i stalowe, błyszczące szyny, mnóstwo ludzkich dzieł, jedno w drugie to dzieci bezpłodności.

Podróżny wie mgliście, że dzięki takim rozważaniom wznosi się ponad powszedniość i chciałby wbić je sobie w pamięć na całe życie. Bo choć tego rodzaju rozważania zasługują na miano ogólnoludzkich, to podróżni, szczególnie ci o gniewnym usposobieniu, są na nie bardziej otwarci aniżeli piecuchy, którzy nic nie myślą, choćby w ciągu dnia nie wiedzieć jak często latali w dół i w górę po schodach. Piecuch nie zauważa, że jest otoczony ludzkimi dziełami i że jego myśli to również jedynie ludzkie dzieło. Wysyła myśli, tak jak wysyła się wypróbowanych i rzutkich podróżnych, aby objeździli cały świat, i uważa, że w ten sposób uda mu się wtłoczyć świat do swojej izby i w swój własny interes.

Człowiek natomiast, który zamiast swych myśli wysyła samego siebie, utracił taką pochopną pewność; jego gniew zwraca się przeciwko wszystkiemu, co jest ludzkim dziełem, przeciwko inżynierom, którzy konstruują stopnie tak i nie inaczej, przeciwko demagogom, którzy bajdurzą o sprawiedliwości, porządku i wolności, jak gdyby mogli urządzić świat według swojego pomysłu, przeciwko przemądrzalcom zwraca się gniew człowieka, w którym świta świadomość niewiedzy.

Daje o sobie znać bolesna wolność, poczucie, że mogłoby też być inaczej. Słowa, którymi opatruje się rzeczy, niepostrzeżenie zapadły w niepewność; jest tak, jakby słowa osierociały. Podróżny idzie niepewnie długim korytarzem wagonu, z lekka zdziwiony, że są tu szklane okna jak w domach, i dotyka dłonią chłodnej powierzchni. Tak to człowiek, który odbywa podróż, wpada łatwo w stan niewiążącej nieodpowiedzialności. Jako że pociąg pędzi teraz na pełnych obrotach, z pozoru gnając do celu, z pozoru zdążając w nieodpowiedzialność, a jego pęd można zatrzymać co najwyżej za pomocą hamulca bezpieczeństwa, jako że podróżny jest teraz unoszony z ogromną szybkością pod stopami, próbuje on, nawet w bolesnej wolności białego dnia nie zatraciwszy sumienia, iść w przeciwnym kierunku. Wszelako nie ma to końca, bo tutaj wszystko jest przeszłością.

Żelazne koła dzielą go od poczciwej, twardej ziemi i podróżny na korytarzu myśli o statkach z długimi korytarzami, gdzie koją ciągnie się za koją, płynących na górze wody ponad dnem morza, które jest ziemią. Słodka, nigdy nie spełniona nadzieja! Cóż to da: ukryć się we wnętrzu statku, skoro jedynie morderstwo może przynieść wolność – ach, statek nigdy nie zacumuje pod zamkiem, w którym mieszka ukochana. Podróżny na korytarzu porzuca wędrówkę i udając, że ogląda krajobraz i dalekie warownie, rozpląszcza nos na szybkie okna, jak to robił w dzieciństwie.

Wolność i morderstwo, tak blisko spokrewnione jak płodzenie i śmierć! A kto został rzucony w wolność, jest osierociały jak morderca, który idąc na szafot przywołuje matkę. W pędzącym pociągu wszystko jest przyszłością, ponieważ każda chwila należy już do innego miejsca, i ludzie w wagonie są zadowoleni, jak gdyby wiedzieli, że oddalają się od pokuty. Ci, co pozostali na peronie, próbowali jeszcze okrzykami i machaniem chusteczkami poruszyć sumienie umykających i przywołać w nich poczucie obowiązku, ale podróżni już nie wyzbywają się nieodpowiedzialności, zamykają okna pod pretekstem, iż boją się, by ich nie zawiąło, i wypakowują zapasy jedzenia, którymi nie muszą już z nikim się dzielić.

Niejednen z nich wetknął bilet pod wstążkę u kapelusza, ażeby jego niewinność była już z daleka widoczna, większość wszakże szuka biletu w gorączkowym strachu, kiedy odezwie się

głos sumienia i pojawi się umundurowany konduktor. Kto myśli o morderstwie, zostanie prędko przyłapany i nic mu nie pomoże, że jak dziecko raczy się rozmaitością jadła i przysmaków; pozostaje to ostatnią uczta skazańca.

Siedzą na ławkach, które zostały przez konstruktorów w bezwstydną i chyba nieprzemyślany sposób dopasowane do dwakroć przełamanego kształtu siedzącego ciała, siedzą uformowani w ósemki i ściśnięci w swoich drewnianych klatkach, trzęsą głowami, słyszą trzeszczenie drewna i lekki skrzyp cięgiel nad toczącymi się, postukującymi kołami. Kto siedzi w kierunku jazdy, gardzi innymi, którzy patrzą w przeszłość; boją się przeciagu, a kiedy drzwi zostaną gwałtownie otwarte, boją się kogoś, kto mógłby przyjść, żeby przekreślić im głowę w tył. Bo kogo to spotka, ten już nic nie wie o sprawiedliwości między winą a pokutą; wątpi, czy dwa plus dwa jest cztery, wątpi, czy jest dzieckiem swojej matki, nie zaś jakimś potworkiem. Toteż i czubki ich stóp skierowane są starannie do przodu i wskazują na interesy do załatwienia. Bo na interesach, jakie prowadzą, polegają ich wspólnota. Wspólnota bez siły, lecz pełna niepewności i pełna złej woli.

Jedynie matka może uspokoić dziecko, że nie jest potworkiem. Natomiast podróżni i sieroty, wszyscy, którzy palą za sobą mosty, nie wiedzą już, jak to z nimi jest. Rzuceni w wolność, muszą na nowo ustanawiać porządek i sprawiedliwość; nie chcą już, żeby inżynierowie i demagodzy wpierali im niestworzone rzeczy, nienawidzą ludzkiego dzieła w instytucjach państwowych i urządzeniach technicznych, nie mają jednak odwagi zbuntować się przeciwko liczącemu sobie tysiące lat nieporozumieniu i wywołać strasznej rewolucji poznania, po której dwa plus dwa nie da się już zsumować. Bo nie ma nikogo, kto by ich przekonał o utraconej i odnalezionej niewinności, nikogo, na czyich kolanach mogliby położyć głowę, uciekając w zapomnienie z wolności dnia.

Gniew wyostrza zmysły. Podróżni starannie ułożyli swoje bagaże na siatkowych półkach, prowadzą gniewne i krytyczne rozmowy na temat instytucji politycznych Rzeszy, na temat porządku publicznego i systemu prawnego, krytykują rzeczy i instytucje w ostrej formie, aczkolwiek słowami, w których stosowność nie bardzo już mogą wierzyć. I mając nieczyste sumienie z powodu swojej wolności boją się straszliwego łoskotu katastrofy kolejowej, w trakcie której żelazne ciężła przeszyją ich na wylot. O czymś takim już nieraz czytało się w gazecie.

Jednakże są jak ludzie, których za wcześnie zbudzono ze snu i do wolności, aby zdążyli na pociąg. Toteż ich słowa stają się coraz bardziej niepewne i senne, a niebawem rozmowa cichnie przechodząc w niewyraźne mamrotanie. Ten czy ów pewnie jeszcze mówi, że woli teraz zamknąć oczy aniżeli oglądać przemykające w szalonym tempie życie, ale współpodróżni, uciekając w sen, już go nie słyszą. Zасыpiają z zaciśniętymi pięściami i płaszczem naciągniętym na twarz, a ich sny są pełne złości na inżynierów i demagogów, którzy ze świadomością nikczemników nazywają rzeczy po imieniu, które jest fałszywe, tak bezwstydną w swojej fałszywości, że gniewny sen musi nadawać rzeczom nowe i bardzo niepewne imiona, przepełnione jednak tęsknotą, żeby matka wymieniła te właściwe i żeby świat stał się pewny jak niezawodna ziemia ojczysta.

Rzeczy są superbliskie i superdalekie, jak u dziecka, i podróżny, który wsiadł do pociągu i w siennej dali tęskni do żony lub choćby tylko do ojczystej krainy, jest jak ktoś, kogo wzrok zaczyna zawodzić i kogo ogarnia lekki strach, że mógłby oślepnąć. Wiele wokół niego stało się niejasne, przynajmniej on sądzi, że tak jest, odkąd zasłonił twarz płaszczem, a jednak zaczyna w nim kiełkować wiedza, którą być może już posiadał, ale nie zwracał na nią uwagi. Stoi na początku lunatyzmu. Jeszcze podąża drogą przygotowaną przez inżynierów, ale trzyma się już tylko jej skrajów, tak że zachodzi obawa, iż spadnie. Słyszy jeszcze głos demagoga, ale to już dla niego nie jest mowa. Wyciąga ręce w bok i do przodu niczym smutny linoskoczek, który wysoko nad poczciwą ziemią ma świadomość lepszego oparcia. Zeszywniała i pokonana buja w powietrzu uwięziona dusza i śpiący unosi się w górę, gdzie

opiekuńcze skrzydła zakochanych muskają jego oddech jak puch, który kładzie się na ustach zmarłych, a on pragnie, żeby go, jak gdyby był dzieckiem, zapytano o imię, żeby chłonąc ojczyście wonie zapaść bez snów w ramiona kobiety. Jeszcze nie wzniosł się bardzo wysoko, lecz stoi już na pierwszym, niskim na razie szczeblu tęsknoty, bo już nie wie, jak się nazywa.

Że przyjdzie Ktoś, kto poświęci swoje życie i wybawi świat do stanu nowej niewinności: z takiego odwiecznego pragnienia człowieka rodzi się morderstwo, z takiego odwiecznego snu rodzi się jasnowidzenie. Między wyśnionym pragnieniem a intuicyjnym snem rozciąga się wszelka wiedza, rozciąga się wiedza o poświęceniu i królestwie wybawienia.

Przenocował w Müllheim. Zielone góry Schwarzwaldu spoczywały w chłodnej porannej mgłę lata, gdy wsiadał do małego pociągu, który miał go zawieźć do Badenweiler. Świat wydawał się przejrzysty i bliski jak niebezpieczna zabawka. Lokomotywa była tak dychawiczna, że chciałoby się rozpiąć jej parę haftek pod szyją; wszakże czy ciągnęła pociąg właściwie prędko, czy wolno, tego się nie wiedziało. Tak czy inaczej można było beztrudno się jej powierzyć. Kiedy przystanęła, drzewa kłaniały się uprzejmiej niż kiedykolwiek, a obok budynku stacji pośród lekkich, aromatycznych powiewów wznosił się kiosk z wystawą pełną pięknych widokówek. Wszystkie pasowałyby do kolekcji matki Hentjen i Esch wybrał jedną, na której widać było uroki Góry Zamkowej, wetknął ją do kieszeni i poszukał cienistej ławki, żeby tam napisać parę słów. Ale nie napisał. Siedział sobie spokojnie jak ktoś, kto nie ma już nic do stracenia, jego dłonie spoczywały nieruchomo na kolanach. Siedział tak długo, przez zamknięte powieki widział zieleń drzew, siedział tak długo, że pełen zdziwienia nie pamiętał już, jak tu trafił, idąc potem beztrudnymi ulicami, na których oddychali ludzie. Przed jednym z domów stał groźnie wyglądający automobil i Esch obejrzał go uważnie, czy nadawałby się do przenocowania. Nie spiesząc się oglądał też inne rzeczy, bo była w nim pewność i ulga jeźdźca, który osiągnął swój cel i odwracając się w siodle widzi, że inni pozostali w siennej dali; opada z niego całe napięcie i ostatni odcinek pokonuje wygodnie, niemal z ociąganiem, ba, przepelnia go pragnienie, żeby wyrosła przed nim jeszcze nadzwyczaj wysoka i trudna przeszkoda, zanim dotrze do celu i sięgnie po pewne zwycięstwo. Toteż choć dzień był taki miły, nieprzyjemny wszelkiemu bólowi, sprawiało mu wręcz ból, że z taką pewnością zmierzał do domu Bertranda: bez zatrzymywania się i nie pytając wiedział, dokąd ma się zwrócić. Wspinał się łagodnie krętą parkową drogą; dosięgnęło go tchnienie lasu, dotykało czoła, dotykało skóry pod kołnierzem i w rękawach, i żeby przyjąć ten powiew, wziął kapelusz w rękę i rozpiął guziki kamizelki. Oto wszedł w parkową bramę, nie dziwiąc się zbyt, że posiadłość nie miała wcale owego wspaniałego charakteru, jaki nadały jej jego senne rojenia. I chociaż w każdym z okien tam na górze nie widać było Ilony w migotliwej sukni, najpiękniejszego przeciwieństwa pięknego krajobrazu, będącej już u celu i rozpartej niedbale, ach, chociaż bardzo tego brakowało, nietknięty pozostawał wyśniony zamek, nietknięte rojenie ze snu i było tak, jakby to, co wyraźnie widział przed sobą, stanowiło jedynie symboliczną namiastkę, wzniesioną na chwilowy i praktyczny użytek, sen we śnie. Powyżej łagodnie spadzistej ciemnozielonej łąki, która leżała w porannym cieniu, stała willowa budowla w umiarkowanym i solidnym stylu, i jak gdyby swobodny i gładki chłód tego ranka, jak gdyby symbol miał być symbolicznie przedstawiony raz jeszcze, na szczycie skarpy znajdowała się prawie bezgłówna fontanna i był to jakby napój, który pije się jedynie dla czystości wody. Ze stojącego za bramą i obrośniętego wiciokrzewem domku portiera wyszedł mężczyzna w szarym ubraniu i zapytał, czego przybysz sobie życzy. Srebrne guziki u jego surduta nie były znakiem munduru czy liberii, lecz błyszczwały i mieniły się lekko i chłodno, jakby zostały przyszyte jedynie na ten połyskliwy ranek. O ile wczoraj zdarzyła się jeszcze chwila zachwianej wiary w siebie, wątplenia, czy pana prezesa w ogóle się zastanie, o tyle obecnie pierzchnęły wszelkie wątpliwości i Esch o mało co nie oznajmił, że należy do tych, co to mają prawo bywać tu nie nagabywani. Nie dziwił się więc odźwiernemu, który zaniedbał

wpisania nazwiska i życzenia do kopiału, nie myślał też o tym, że być może naleźyciej byłoby zaczekać u wejścia, lecz dołączywszy do portiera szedł u jego boku, a ten milcząco godził się na to. Weszli do mrocznego i chłodnego holu i podczas gdy odźwierny zniknął w jednych z wielu polakierowanych na biało drzwi, które łagodnie się otworzyły i łagodnie za nim zamknęły, Esch czuł miękkie, sprężyste dywan pod nogami, czekał cierpliwie na posłańca, który wrócił i poprowadził go przez kilka pomieszczeń do innej furty, przy której z ukłonem opuścił gościa. I aczkolwiek ten bez problemu obywa się bez przewodnika, myśli, że byłoby słuszniejsze i nawet bardziej pożądane, gdyby rząd pokoi ciągnął się jeszcze dalej, może w nieskończoność, w nieosiągalną wieczność, poprzedzając najbardziej wewnętrzne sanktuarium, niejako salę tronową, i gość wręcz wierzy, że w cudowny, nieprzyzwoity i niedostrzegalny sposób przemknął jednak nieskończony rząd nieskończonych pomieszczeń, gdyż stanął już przed tamtym, który podał mu rękę. I chociaż Esch wiedział, że to był Bertrand, i nie było już żadnych wątpliwości, ani tutaj, ani gdzie indziej, to nie odstępowało go wrażenie, że ten to jedynie symbol drugiego, lustrzane odbicie właściwszego i być może większego, który pozostawał w ukryciu, tak prosto i gładko, tak doprawdy jak z płatka poszło to wszystko. Oto widział go, pozbawionego zarostu jak aktor, a przecież nie będącego aktorem; jego twarz była młodzieńcza, jego kędzierzawe włosy były białe. W pokoju było dużo książek i Esch usiadł obok biurka, jakby przyszedł do lekarza. Usłyszał, że tamten mówi, głos był współczujący, jakby należał do lekarza: – Co pana do mnie sprowadza?

A śniący usłyszał swój własny, cichy głos: – Doniosę policji na pana.

– O, szkoda – brzmiała odpowiedź tak cicha, że również Esch nie śmiał podnosić głosu. Niemal dla samego siebie powtórzył: – Doniosę policji.

– Nienawidzi mnie pan?

– Tak – skłamał Esch i zawstydził się kłamstwa.

– To nieprawda, mój przyjacielu, przecież pan mnie lubi.

– Niewinny człowiek siedzi w więzieniu zamiast pana.

Esch czuł, że tamten się uśmiecha, i ujrzał przed sobą Martina, jak mówił i uśmiechał się przy tym. I ten uśmiech był też w głosie Bertranda: – Ależ, dziecko, to już dawno powinien był pan donieść na mnie.

Nic mu nie można było zrobić; Esch powiedział hardo: – Ja nie zabijam z ukrycia.

Na to Bertrand zgoła się roześmiał, lekkim, niesłyszalnym śmiechem, a że ranek był taki przyjemny, ba, że ranek zapowiadał się tak przyjemnie, Esch nie potrafił się zirytować, jak zwykle irytuje się człowiek, którego wyśmiewają, lecz zapomniał, że przed chwilą mówił przecież o zabijaniu, i gdyby to odpowiadało przyzwoitości, chętnie włączyłby się w lekki śmiech Bertranda. I zmuszając się do powagi, ciągnął dalej, choć obie te myśli nie bardzo do siebie pasowały bądź pozostawały jedynie w innym i trudniej zrozumiałym związku: – Nie, ja nie popełnię skrytobójczego mordy; musi pan uwolnić Martina.

Bertrand zaś, który najwidoczniej wszystko rozumiał, zdawał się rozumieć i to; jego tym razem poważniejszy głos wciąż jeszcze był pełen uspokajającej i lekkiej wesołości: – Ależ, Esch, jak można być tak tchórzliwym? Czy do mordy trzeba pretekstu?

Oto znów było tu to słowo, aczkolwiek przyfrunęło tylko jak cichy, ciemny motyl. I Esch pomyślał, że właściwie Bertrand nie musiałby umierać, skoro Hentjen i tak był już martwy. Ale potem za sprawą wyraźnego i łagodnego olśnienia okazało się, że człowiek może umrzeć dwa razy. I Esch dziwiąc się, że ta myśl nie przyszła mu wcześniej do głowy, powiedział: – Ma pan przecież możliwość uciec. – I podsunął kuszaco: – Do Ameryki.

Było tak, jak gdyby Bertrand mówił nie do niego: – Ty wiesz, mój drogi, że ja nie uciekam. Za długo już czekałem na tę chwilę.

Wówczas Esch pokochał tego człowieka, który stał o tyle wyżej niż on, młody urzędnik w jego przedsiębiorstwie i do tego sierota, a przecież rozmawiał z nim o umieraniu jak z przyjacielem. Esch był rad, że dobrze prowadził księgi magazynowe i pracował sumiennie i

wiernie. I nie śmiał potwierdzić, że wie, jak to było z Bertrandem, nie śmiał też prosić, żeby Bertrand go zabił, ale tylko ze zrozumieniem kiwał głową. Bertrand powiedział: – Nikt nie stoi tak wysoko, żeby miał prawo zadać śmierć drugiemu; i nikt nie jest aż tak nikczemny, żeby jego nieśmiertelna dusza nie wymagała szacunku.

I oto Eschowi otworzyły się oczy jak jeszcze nigdy, wiedział też, że oszukiwał siebie i świat, bo było tak, jak gdyby wiedza, jaką Bertrand miał o nim, powracała teraz do niego: on nigdy w to nie wierzył, że ten człowiek uwolni Martina. A Bertrand, rozpoznający i rozpoznany, oznajmił z dość lekceważącym gestem: – I gdybym spełnił pańską lękliwą nadzieję i warunek nie do spełnienia, to czy obaj nie musielibyśmy się potem wstydić: pan, ponieważ byłby pan tylko małym, banalnym szantażystą, ja, ponieważ wydałbym się w ręce takiego szantażysty.

I chociaż nic nie uchodziło uwagi Escha, superczujnie śniącego, ani trochę pogardliwy ruch ręki, ani ironiczny rys, jaki w uśmiechu pojawił się teraz wokół ust Bertranda, to jednak nie tracił nadziei, że Bertrand mimo wszystko spełni warunek albo przynajmniej ucieknie: Esch liczył na to, bo znienacka pojawiła się obawa, że w drugiej śmierci pana Hentjena mogłaby też umrzeć tęsknota za matką Hentjen. Ale to była jego prywatna sprawa i uzależnianie od niej losu Bertranda wydawało mu się nie mniej niegodne, niż gdyby szantażem wydusił z niego pieniądze, i nie zgadzało się też z czystością tego ranka. Toteż powiedział: – Nie ma innego wyjścia – muszę na pana donieść.

A Bertrand odparł: – Każdy musi spełnić swój sen, niecny i święty zarazem. W przeciwnym wypadku nie będzie uczestniczył w wolności.

Esch nie w pełni go zrozumiał i żeby się upewnić, powtórzył: – Muszę na pana donieść. W przeciwnym wypadku będzie coraz gorzej.

– Tak, mój drogi, w przeciwnym wypadku będzie coraz gorzej i będziemy się starali temu zapobiec. Z nas dwóch ja mam łatwiejszą rolę: wystarczy mi odejść. Obcy nigdy nie cierpi, nic go nie trzyma – cierpi jedynie ten, co trwa uwikłany.

Esch jakby znów dostrzegł ironiczny rys wokół ust Bertranda: w tak zimną obcość zatem zgubnie uwikłany Harry Kohler musiał marnie skończyć, a jednak Esch nie mógł wykrzesać z siebie złości na sprawcę nieszczęścia. Najchętniej zbyłby to lekceważącym gestem i zdanie, jakie wypowiedział, było niemal uzupełnieniem słów Bertranda: – Gdyby nie pokuta, nie byłoby żadnego wczoraj, żadnego dzisiaj i żadnego jutra.

– O, Esch, przez ciebie ciężko mi się robi na sercu. Za dużo się spodziewasz. Jeszcze nigdy nie liczono czasu po śmierci: zawsze narodziny były u jego początku.

Eschowi też było ciężko na sercu. Czekał, że tamten wyda rozkaz wciągnięcia czarnej flagi na blanki, i myślał: on musi zrobić miejsce dla tego, podług którego będzie liczony czas. Ale Bertrand mimo to zdawał się tym nie smucić, bo powiedział lekko, niejako na marginesie: – Wielu musi umrzeć, wielu musi zostać poświęconych, aby zrobić miejsce rozpoznającemu, kochającemu wybawicielowi. I dopiero złożenie przez niego życia w ofierze wybawi świat do stanu nowej niewinności. Przedtem jednak musi przyjść antychryst – obłąkany, wyzbyty snów. Najpierw świat musi zostać odpowietrzony, odessany jak pod zbiornikiem próżniowym... do cna.

To było przekonujące jak wszystko, co mówił Bertrand, tak przekonujące i znajome, że ryzyko naśladowania jego ironicznej miny chciało stać się wręcz powinnością, wręcz porozumieniem: – Tak, trzeba zrobić porządek, żeby można było zacząć od nowa.

Jednakże wypowiadając to już się wstydił, wstydił się sarkastycznej miny i intonacji; bał się, że Bertrand znowu go wyśmiej, bo czuł się przed nim nagi, i był wdzięczny, że tamten tylko go lekko skarcił: – Mord i kontrmord oto ten porządek, Esch – porządek maszyny.

Esch pomyślał: gdyby mnie zatrzymał tutaj, to byłby porządek; wszystko poszłoby w zapomnienie i dni płynęłyby w spokoju i jasności; lecz on odpycha mnie. A i tak musiałby

odejść, jeśli będzie tu Ilona. Toteż powiedział: – Martin się poświęcił i nikogo nie wybawił. – Dłoń Bertranda zrobiła niewielki, trochę pogardliwy, beznadziejny ruch.

– Nikt nie widzi drugiego w ciemności, Esch, a płynna jasność to tylko sen. Ty wiesz, że nie mogę cię zatrzymać przy sobie, jakkolwiek tak bardzo boisz się samotności. Ja też mogę zajmować się tylko swoimi sprawami.

To zrozumiałe, że Esch bardzo się tym zmartwił i powiedział: – Przybity do krzyża.

Bertrand znów się uśmiechnął i Esch czując się przez niego odepchnięty życzyłby mu niemal śmierci, gdyby ten uśmiech nie był taki przyjemny, przyjemny i cichy jak mowa, która odgadywała wszystko: – Tak, Esch – przybity do krzyża. I w ostatecznej samotności przebity włócznią i orzeźwiony octem. I potem dopiero mogą zapaść owe ciemności, na które świat musi się rozpaść, ażeby stał się na powrót jasny i niewinny, owe ciemności, w których droga żadnego człowieka nie znajdzie drogi drugiego – i idąc nawet obok siebie nie słyszymy się i zapominamy siebie nawzajem, tak jak i ty, mój drogi ostatni przyjacielu, zapomnisz, co ci mówiłem, zapomnisz jak sen.

Nacisnął guzik i wydał rozkazy. Potem poszli do pięknego ogrodu, który za domem ciągnął się hen w nieskończoność, i Bertrand pokazywał kwiaty i swoje konie. Między kwiatami fruwały ciemne motyle, a konie nie rżały. Bertrand przemierzał swoją posiadłość lekkim krokiem, a jednak Esch często miał wrażenie, jakby lekkonogi szedł o kulach, bo na niebie było zaćmienie słońca. Potem siedzieli razem przy obiedzie; srebra, wino i owoce zdobiły stół, a oni byli jak dwaj przyjaciele, którzy wiedzą o sobie wszystko. Gdy spożyli posiłek, Esch wiedział, że bliski był czas pożegnania, bo wieczór mógł zapaść nieoczekiwanie. Bertrand odprowadził go do stopni, które prowadziły do ogrodu, a tam czekał już wielki, czerwony automobil z czerwonymi, gładkimi skórzanymi poduszkami, które były jeszcze gorące od południowego słońca. A kiedy na pożegnanie dotknęły się ich palce, Esch miał wielką chęć pochylić się nad dłonią Bertranda i ją ucałować. Ale kierowca automobilu gwałtownie włączył klakson, tak że gość musiał czym prędzej wsiąść do pojazdu. Ledwie ruszyli, zerwał się tak gwałtowny, choć ciepły wiatr, że dom i ogród zostały jakby zdmuchnięte, a ten wiatr ucichł dopiero w Müllheim, gdzie na podróżnego czekał sąpiąc oświetlony pociąg. Była to pierwsza w życiu Escha jazda automobilem i była bardzo przyjemna.

Wielki jest strach tego, kto się budzi. Wraca z mniejszym prawem i lęka się sity swego snu, który stał się może nie czynem, ale chyba nową wiedzą. Wygnaniec ze snu wędruje we śnie. I nie pomaga mu nawet to, że ma w kieszeni widokówkę, którą może oglądać; przed sądem pozostanie fałszywym świadkiem.

Często człowiek nie zważa na to, że jego tęsknota w ciągu niewielu godzin zmieniała oblicze. Być może są to tylko drobne różnice, jedynie niuanse oświetlenia, które przeciętny podróżny niedbale przeoczą, podczas gdy tęsknota za ojczystą krainą przeobraża się raptem w tęsknotę za ziemią obiecaną, i chociaż jego serce pełne jest ciemnej trwogi, trwoży się o noc spoczywającej, czekającej ojczystej krainy, jego oczy już wypełnia niewidzialna jeszcze jasność, która skądś nadeszła, jeszcze niewidzialna, aczkolwiek człowiek przeczuwa, że jest to jasność zza oceanów, gdzie rzedną ciemne mgły: a gdy mgły idą do góry, widać tam rozpostarte jasne rzędy pól i lekko spadziste zielone łąki, kraj, w którym usadowił się ranek tak wieczny, że ów zatrwóżony zaczyna zapominać o kobietach. Kraj jest wyludniony, a nieliczni koloniści to cudzoziemcy. Nie utrzymują między sobą żadnych stosunków, każdy mieszka sam dla siebie w swoim zamku. Zajmują się swoimi interesami i uprawiają pola, sieją i pielą. Ramię sprawiedliwości nic im nie może zrobić, bo oni nie potrzebują ani praw, ani ustaw. Jeżdżą swoimi automobilami po stepie i dziewiczym kraju, który jeszcze nie został poprzecinany drogami, a ich jedyną przewodniczką jest nieukocona tęsknota. Nawet osiadłszy na stale koloniści czują się obcy; ich tęsknota jest nostalgią za dałą, tyczy się dali o coraz to

większej, nigdy nie osiągananej jasności. I to jest właściwie dziwne, bo są to przecież ludzie zachodni, to znaczy tacy, których wzrok zwrócony jest ku zachodowi, jakby nie było tam nocy, tylko brama światła. Czy tak bardzo szukają tej jasności dlatego, że myślą przenikliwie i zdecydowanie, czy też tylko dlatego, że boją się w ciemności, to pozostaje nierozstrzygnięte. Wiadomo jedynie, że osiedlają się zawsze tam, gdzie rośnie mało lasów, lub że je karczują pozostawiając przerzedzony park; bo lubią też chłód gęstwiny, mówią jednak, iż muszą chronić dzieci przed jej niesamowitą ciemnością. Może to prawda, może nie, w każdym razie pokazuje, że ci koloniści nie odznaczają się szorstkością, jaką przypisuje się zwykle kolonistom czy pionierom, lecz że ich sposób bycia przypomina krygowanie się kobiet, a ich tęsknota tęsknotę kobiet, tęsknotę, która na pozór tyczy się ukochanego mężczyzny, w rzeczywistości zaś ziemi obiecanej, do której on ma ją wywieść z ciemności. Lecz z takimi wypowiedziami trzeba być ostrożnym, koloniści bowiem szybko się obrażają i jeszcze bardziej zamknięci wycofują się w swoją samotność. Za to na stepach, w pagórkowatym, trawiastym terenie, pożyłkowanym ochładzającymi rzekami, a przez nich ulubionym, są pogodni, choć nazbyt wstydlivi, żeby śpiewać. Takie jest odwrócone od bólu życie kolonistów, którego szukają za oceanem. Umierają lekko i młodo, nawet jeśli ich włosy są już posiwiałe, bo ich tęsknota jest ustawicznym pożegnaniem. Są wyniośli jak Mojżesz, gdy wypatrywał ziemi obiecanej, on jeden przejęty boską tęsknotą i on jeden wyłączony. I często dostrzeże się u nich ten sam trochę beznadziejny, trochę pogardliwy ruch ręki jak u Mojżesza na górze. Bo ojczysta kraina ludu leży bezpowrotnie za nimi, dal niedosiężnie przed nimi i człowiek, którego tęsknota przeobraziła się bez jego wiedzy, czuje się czasem jak ktoś, kto jedynie znieczulił swoje bóle i nigdy nie zdoła o nich zapomnieć całkowicie. Płonne nadzieje. Bo kto potrafi odróżnić zapuszczanie się w głąb krainy szczęśliwości od błędzenia osierociałego? Choćby ból i bezpowrotność zmniejszały się coraz bardziej, im dalej człowiek się wdiera w głąb ziemi obiecanej, choćby niejedno rozpuszczało się i przepadało w narastającej jasności, ból będzie też coraz bardziej rozpuszczony, coraz jaśniejszy, może nawet bardziej niewidoczny, ale nie zniknie tak samo jak tęsknota mężczyzny, w którego lunatycznym wędrowaniu ginie świat, rozpadając się we wspomnieniu nocy jego kobiety, tęsknym i matczynym, na koniec już tylko bolesnym tchnieniu dawnego. Płonne nadzieje, często bezpodstawna pycha. Toteż wielu kolonistów, nawet jeśli wydają się pogodni i spokojni, ma nieczyste sumienie i jest bardziej skłonnych do pokuty niż niektórzy inni ludzie, grzesniejsi przecież od nich. Ba, nie jest rzeczą nieprawdopodobną, że bywają nawet tacy, co nie wytrzymują już przejrzystości i spokoju, które sobie obrali, i choć mogłoby od razu nasunąć się przypuszczenie, iż to ich nieukożona nostalgia za dalą stała się tak wielka, że z konieczności musiała przejść w swoje przeciwieństwo i być może powrócić do źródła, to właśnie dlatego jest nie mniej prawdopodobne, że podobno widziano kolonistów, którzy zasłaniając twarz rękoma łkali, jak gdyby doskwierała im nostalgia za ojczystą krainą.

Tak to Esch, zbliżając się o szarym, mglistym świcie do miasta Mannheim, zapadał w coraz boleśniejsze zatrzwożenie i niemal nie wiedział już, czy pociąg nie wiezie go wprost do gospody w Kolonii albo czy matka Hentjen, żeby począć z nim dziecko, nie będzie czekała na niego w Mannheim. Był rozczarowany, gdy zastał jedynie list, którego i tak się spodziewał, i najchętniej w ogóle by go nie przeczytał. W dodatku skoro widać było po tym parszywym liście, że został napisany pod podobizną pana Hentjena. Może dlatego, może jednak też z zatrzwożenia Eschowi drżała ręka, gdy mimo to sięgał po list.

Nie zwrócił zbytniej uwagi na Ernę, nie dostrzegł też jej urażonej miny i natychmiast poszedł do miasta, bo wiedział, że w prezydium policji trzeba mu złożyć jakieś doniesienie. Dziwnym trafem jednak wstąpił najpierw do Lohberga, przywitał się z nim i teraz zastanawiał się, czy ma znów iść do portu. Jednakże na to też nie miał ochoty i najchętniej pojechałby do więzienia, chociaż było mu wiadomo, że wpuszczają tam dopiero po południu. Z daleka dała

o sobie znać samotność i w końcu stanął przed pomnikiem Schillera i byłby zadowolony widząc obok wieżę Eiffla i Statuę Wolności. Może była to jedynie różnica wymiaru: pomnik w naturalnej wielkości nic mu nie mówił i on teraz nawet już nie potrafił wyobrazić sobie lokalu matki Hentjen. Tak to obijał się cały ranek i walczył z pamięcią; tak, chciał złożyć doniesienie na policji, jednakże nie potrafił sformułować treści tego doniesienia. Z uczuciem dużej ulgi poniechał w końcu tego planu doszedłszy do przekonania, że mannheimska policja, która uwięziła Martina, nie jest godna przyjąć doniesienia, podczas gdy on tak czy owak wciąż jeszcze był winien kolończykom kogoś zamiast Nentwiga. Zżymał się: mógł być już wcześniej wpaść na ten pomysł, ale teraz już było w porządku i w towarzystwie Lohberga z apetytem zjadł obiad.

Potem pojechał do zakładu karnego. Znowu dzień był upalny, znowu siedziło się w rozmównicy – czy kiedykolwiek się ją opuściło? – wszystko pozostało po staremu i nic nie weszło w paradę: znowu Martin wszedł z więziennym strażnikiem, znowu Esch czuł dręczącą pustkę w głowie, znowu było niewytłumaczalne, czemu przebywał w tym urzędowym pomieszczeniu, chociaż doszło do tego przecież w określonym i dawno obmyślanym celu. Na szczęście czuł w kieszeni papierosy, które tym razem na pewno podsunie Martinowi, tak że te odwiedziny zmażą przynajmniej dawną winę. Ale to był pretekst, tak, pretekst, pomyślał Esch, a potem: kto nie ma w głowie, musi mieć w nogach. Wszystko było irytujące, kiedy znowu siedzieli we trzech wokół stołu – szczególnie irytowała go dzisiaj ironiczna uprzejmość Martina – przypominała mu o czymś, o czym nie chciał pamiętać.

– Więc wracasz z kuracji, Auguście? Wspaniale wyglądasz. Spotkałeś wszystkich znajomych?

Esch nie skłamał mówiąc: – Nikogo nie spotkałem.

– Oho, więc wcale nie byłeś w Badenweiler?

Esch nie umiał odpowiedzieć.

– Esch, narobiłeś głupstw?

Esch milczał nadal i Martin spoważniał: – Jeśliś coś zmalował, to między nami koniec.

Esch powiedział: – Dziwne to wszystko. Co ja miałbym zmalować?

Na to Martin: – Masz czyste sumienie? Coś jest nie w porządku.

– Mam czyste sumienie.

Martin wciąż jeszcze przyglądał mu się badawczo i Esch musiał przypomnieć sobie ów dzień, kiedy to Martin kuśtykał za nim na ulicy, jakby chciał go grzmotnąć kulą z tyłu. Ale Martin znowu był uprzejmy i spytał:

– A co w takim razie robisz jeszcze w Mannheim?

– Lohberg ma się żenić z Erną Korn.

– Zaraz, Lohberg... już wiem, ten od cygar. I dlatego zostajesz tutaj?

– Spojrzenie Martina znowu było podejrzliwe.

– I tak wyjeżdżam dzisiaj... najpóźniej jutro.

– I co potem z tobą będzie?

Esch pragnął być jak najdalej stąd. Powiedział: – Chcę jechać do Ameryki.

Martin uśmiechnął się swoją twarzą starego dziecka: – Tak, tak, tego chciałeś od dawna... a może teraz masz jakiś szczególny powód, który cię tam gna?

Nie, on sądzi tylko, że ma teraz dobre widoki za oceanem.

– No, Esch, mam nadzieję, że cię jeszcze przedtem zobaczę. Lepiej mieć dobre widoki za oceanem, niżby coś miało cię stąd gnać... Ale gdyby miało być inaczej, to ty mnie nigdy nie zobaczysz, Esch! – Zabrzmiało to wręcz jak groźba i w gorącym, nie wietrzonym pomieszczeniu znowu zapadło milczenie między trzema mężczyznami przy poplamionym atramentem stole. Esch wstał i powiedział, że musi się pospieszyć, jeśli chce zdążyć na dzisiejszy pociąg, a że Martin na pożegnanie znowu patrzył na niego pytająco i podejrzliwie,

wsunął mu papierosy w rękę, podczas gdy umundurowany strażnik udawał, że tego nie widzi, albo naprawdę nic nie widział. Potem Martin kazał się odprowadzić.

W drodze powrotnej do miasta w uszach Escha brzmiała groźba Martina i być może ta groźba już się spełniła, bo nagle nie mógł już sobie wyobrazić Martina, ani jego utykania, ani jego uśmiechu, ani tego, że kulas jeszcze kiedykolwiek wkroczy do gospody. Stał się obcy. Esch maszerował długimi, sztywnymi krokami, jak gdyby jak najprędzej musiał powiększyć odległość między sobą a więzieniem, odległość między sobą a wszystkim, co miał za sobą. Nie, ten to nie będzie już za nim gonił, nie zdzieli go od tyłu kulą; nikt nie może gonić drugiego ani go odsyłać, każdy skazany jest na to, żeby iść własną, samotną drogą, wyobcowany z wszelkiej wspólnoty: należało wyrwać się z uwikłania minionego, żeby nie cierpieć. Trzeba było tylko maszerować dostatecznie prędko. Groźba Martina stała się dziwnie nieistotna, była jakby skromnym, ziemskim odbiciem wyższego stanu rzeczy, w którym od dawna się uczestniczyło. I jeśli zostawiło się Martina, jeśli go się niejako poświęciło, to i to było ziemskim powtórzeniem wyższego poświęcenia, też potrzebnym, aby ostatecznie zniszczyć minione. Co prawda ulice Mannheim były jeszcze dobrze znane, ale droga wiodła w obcość i ku wolności; szło się jakby na wyższym szczeblu i przyjechawszy jutro do Kolonii człowiek nie będzie już poddany miastu i jego wyglądowi, zostanie je posłuszne i uległe, posłuszne zmianom. Esch zrobił lekceważący ruch rękami, którymi wymachiwał, udał mu się też ironiczny grymas.

Był tak zatopiony w myślach, że przeoczył drzwi do mieszkania Kornów; dopiero u wejścia na strych spostrzegł, że musi zejść z powrotem piętro niżej. I przestraszył się, gdy otworzyła panna Erna. Zapomniał o niej, a ona wyglądała oto przez uchylone drzwi, ukazywała swój żółtawy uśmiech i domagała się swojej części. To sam diabeł przeszłości zastawiał bramę tęsknoty, wykrzywiona gęba ziemskości, bardziej niezwykła i drwiąca niż kiedykolwiek, żądająca, aby człowiek wciąż na nowo zstępował w uwikłania minionego. I nie pomagało tu czyste sumienie, nic tu nie pomagało, że mógł w każdej chwili jechać dalej, do Kolonii i do Ameryki – przez ułamek sekundy było tak, jak gdyby Martin jednak go dopędził, jak gdyby to zemsta Martina zepchnęła go w dół i do Erny. A panna Erna zdawała się wiedzieć, że nie było dla niego ucieczki, bo niczym Martin uśmiechała się domyślnie, jakby z sekretną znajomością ciemnego jeszcze, ziemskiego związku, który był nieuchronny, groźny, a przecież o nadzwyczajnej ważności. Badawczo popatrzył w twarz panny Erny, było to oblicze zwiędłego antychrysta i nie dawało odpowiedzi. – Kiedy przyjdzie Lohberg? – Esch zapytał o to znienacka i bodaj z mglistą nadzieją, że znajdzie tu rozwiązanie; a gdy panna Erna chytrze dała do zrozumienia, że umyślnie nie zawiadomiła narzeczonego, było to podniecające wyróżnienie, a mimo to oburzało. Nie zwracając uwagi na jej złą twarz wybiegi z domu, żeby zaprosić na wieczór Lohberga.

I rzeczywiście to, że zastał idiotę, było uspokajające, tak uspokajające, że Esch zaraz wziął go ze sobą i kupił nie tylko różne rzeczy do jedzenia, lecz ponadto dwa bukiety kwiatów, z których jeden wetknął w rękę Lohbergowi. Nic dziwnego, że na ich widok panna Erna klasnęła w ręce i wykrzyknęła: – To są prawdziwi kawalerowie! – Esch odparł z dumą: – Uroczyste pożegnanie – i podczas gdy ona nakrywała do stołu, on siedział na kanapie ze swym przyjacielem Lohbergiem i śpiewał Muszę ja, muszę ja jechać do miasta, co ściągało na niego pełne dezaprobaty i smutku spojrzenia panny Erny. Tak, może było to rzeczywiście uroczyste pożegnanie, uroczyste zerwanie z tą ziemską wspólnotą i najchętniej nie pozwoliłby Ernie położyć nakrycia dla Ilony. Bo Ilona także powinna zerwać i być już u celu. I to pragnienie było tak silne, że Esch jak najpoważniej spodziewał się, że Ilona nie przyjdzie, nie przyjdzie już nigdy. A przy okazji cieszył się trochę z oczekiwanego rozczarowania Korna.

No i Korn rzeczywiście okazał rozczarowanie; wszelako objawiło się ono w nieprzyzwoitym urąganiu na węgierskie babsko jak też w niecierpliwej chęci natychmiastowego filtrowania. Poruszał przy tym swą zwałistą masą po pokoju z osobliwą

zwinnością; dopadał do butelki likieru, dopadał do stołu, skąd grubymi paluchami brał sobie plasterki kiełbasy, a gdy Erna mu tego zabroniła, dopadł do Lohberga i z uniesionymi pięściami spędził go z kanapy, domagając się dla siebie tego zasiedziałego miejsca. Hałas, jaki czynił przy tym ten człowiek, był nadzwyczaj wielki, jego ciało i jego głos coraz bardziej i bardziej wypełniały bawialnię, wypełniały ją po brzegi, ba, wszystko ziemskie i cielesne za sprawą Kornowej zachłanności przelewało się poza pokój, groziło przemożnym wypełnieniem całego świata, chłonęło przeszłe i niezmiennie, wypierając wszystko inne, dławiąc nadzieję; ciemniej podwyższona i jaśniejsza scena, a może w ogóle jej nie było. – No, Lohberg, gdzie teraz jest pańskie królestwo wybawienia? – krzyknął Esch, jak gdyby mógł w ten sposób zagłuszyć zgrozę w sobie, krzyczał z wściekłości, ponieważ ani Lohberg, ani nikt inny nie umiał dać odpowiedzi: czemu Ilona musiała zniżyć się do zetknięcia z ziemskim i martwym? A Korn siedział sobie na szerokim tyłku i komenderował: – Podawać do stołu! – Nie! – odkrzyknął Esch. – Dopiero jak będzie tu Ilona! – Bo nieomal bał się spotkania z Iloną, wszystko teraz zostało zakwestionowane, i nagle Esch był pełen niecierpliwości, że przyjdzie Ilona – poniekąd jako probierz prawdy.

Weszła Ilona. Nie zwracała na obecnych większej uwagi, usłuchała jedynie skinienia żującego w milczeniu Korna, usiadła przy nim na kanapie i stosując się do również milczącego rozkazu leniwie objęła jego plecy pulchnym ramieniem. Lecz poza tym widziała jedynie dobre rzeczy, które dostanie do jedzenia. Erna, która obserwowała wszystko, powiedziała: – Ja to na twoim miejscu, Ilona, przy jedzeniu zdjęłabym rękę z Baltazara.

– Wszelako te słowa padły w próżnię, bo Ilona najwidoczniej w dalszym ciągu ani w ząb nie rozumiała niemieckiego, przypuszczalnie nigdy nie zrozumie, tak jak przypuszczalnie niewiele wiedziała o ofiarach, jakie zostały dla niej poniesione. Trudno było ją, nie znającą żadnego języka, nazwać gościem przy stole spętanych cielesnością, była raczej osobą odwiedzającą więzienie ziemskości lub dobrowolnie uwięzioną. A Erna, która dzisiaj zdawała się wiedzieć niejedno, nie wspomniała więcej ani słowem o rzeczach ziemskich i było to jakby świadectwem wznioślejszego porozumienia, że wzięła bukiet kwiatów ze stołu i podsunęła Ilonie pod nos:

– Powąchaj, Ilona – powiedziała, a Ilona odparła: – Tak, bardzo dziękuję – i brzmiało to jakby z oddali, której żujący Korn nigdy nie sięgnie, brzmiało jakby z wyższego stopnia, gotowego ją przyjąć, jeśli tylko nie ustanie się w poświęceniach. I choć należało żałować, że ten cnotliwiec ma dostać Ernę, i choć Ilona nie domyśli się nigdy, że oto rachunek został definitywnie zakończony, było to zakończenie i zwrot, było to świadectwo i nowa wiedza, gdy Esch wstał, przepił do towarzystwa i z krótkimi, serdecznymi gratulacjami wniósł zdrowie narzeczonych, tak że wszyscy z wyjątkiem Ilony, dla której w gruncie rzeczy to się działo, okazali wielkie zaskoczenie. Ale że to wyrażało pragnienia ich wszystkich, byli wdzięczni i Lohberg z wilgotnymi oczami wiele razy ścisnął mu rękę. Potem na jego rozkaz narzeczeni ucałowali się zaręczynowo.

Mimo wszystko to, co zaszło, nie wydawało mu się jeszcze ostateczne i gdy wszyscy się podnieśli, a Korn z Iloną wymknął się już do siebie, panna Erna zaś chciała włożyć kapelusz, żeby wraz z Eschem odprowadzić do domu nowego narzeczonego, Esch się wzdragał: nie, on to uważa za nieprzyzwoite, żeby on, kawaler, nocował w domu narzeczonej Lohberga, on jest gotów spędzić dzisiejszą noc u pana Lohberga albo zamienić się z nim, niech oni zresztą sami się zastanowią, bo jako świeżo upieczeni narzeczeni na pewno dużo mają sobie do powiedzenia: i z tymi słowami wepchnął oboje do pokoju Erny, a sam udał się do swojego.

W taki sposób skończył się dzień jego pierwszego zrywania i nadeszła dla niego noc niezwykajnego, nieprzyjemnego wyrzeczenia.

Bezsenny, który zwilżonym, miękkim czubkiem palca zgasił spokojną świecę przy łóżku i w chłodniejszym teraz pokoju czeka na chłód snu, żyje z każdym uderzeniem serca zbliżając się do śmierci, bo przestrzeń wokół niego tak osobliwie chłodno się poszerzyła, tak zadyszanie gorący i spieszny jest czas w jego głowie, tak zadyszanie, że początek i koniec, zaranie i śmierć, wczoraj i jutro zbiegają się w jedynym i samotnym teraz, wypełniają je po brzegi, ba, wręcz rozsadzają.

Esch zastanawiał się chwilę, czy Lohberg idąc do domu nie zajdzie po niego. Ale z ironicznym grymasem postanowił, że można iść do łóżka, i wciąż jeszcze uśmiechając się szyderczo zaczął się rozbierać. W blasku świecy przeczytał list od matki Hentjen; liczne informacje na temat gospody były nudne; był natomiast fragment, który go ucieszył: „I nie zapominaj, kochany Augustie, że byłeś i będziesz moją jedyną miłością na tym świecie i że bez ciebie nie potrafię żyć i będę musiała zabrać cię do zimnego grobu”. Tak, to go ucieszyło i ze względu na matkę Hentjen był teraz zadowolony, że posłał Lohberga do Erny. Potem zwilżył czubek palca, zgasił świecę i wyciągnął się jak długi.

Bezsenna noc zaczyna się od banalnych myśli, tak jak zongler pokazuje najpierw banalne i łatwe sztuczki, zanim przejdzie do trudniejszych i bardziej zapierających dech. Jeszcze w ciemności Esch musiał szczyrzyć zęby, ponieważ Lohberg wślizgnął się pod kołdrę do chichoczącej Erny, i cieszył się, że wcale nie musi być o cnotliwca zazdrosny. Prawdę mówiąc, ochota na Ernę zupełnie teraz człowiekowi przeszła, ale to było bardzo dobrze i w porządku. I właściwie myśli on o sprawach po tamtej stronie korytarza jedynie, żeby wypróbować, jak dalece pozostawiają go obojętnym, obojętnym na to, że Erna przesuwa swoimi dłońmi po cherlawym ciele idioty i że cierpi przy sobie taką pokrakę, i że w ogóle było całkowicie obojętne, jakie wrażenia i wyobrażenia fallusa – użył innego słowa – nosi ona w sobie. Tak łatwo było sobie to wszystko wyobrazić, że wydawało się bez znaczenia, a ponadto przy cnotliwym Józefie nie miało się nawet pewności, czy sprawy rzeczywiście przebiegają w ten sposób. Łatwe byłoby życie, gdyby to wszystko u matki Hentjen pozostawiało go tak samo obojętnym – już samo zetknięcie się z tą myślą było tak bolesne, że zdrzął, niewiele inaczej niż matka Hentjen w pewnych momentach. I chętnie uciekłby myślami z powrotem do Erny, gdyby coś nie zagradzało drogi, coś niewidzialnego, o czym wie się tylko, że to groźba, nieuchronna groźba z popołudnia. To już woli myśleć o Ilonie, u której dla zaprowadzenia porządku chodzi wyłącznie o to, żeby z jej pamięci wymazać wspomnienie świszczących noży. Niejako na rozgrzewkę przed trudniejszymi zadaniami chce o tym pomyśleć, ale to się nie udaje. Jednakże gdy w końcu ze złością i odrazą uzmysławia sobie, że ona teraz leniwie i ulegle znosi Korna, nie dbając o siebie, tak jak uśmiechając się stała pomiędzy nożami, czekając, że któryś ugodzi ją w serce – o, nagle dostrzega on już rozwiązanie zadania: to samobójstwo, popełniane przez nią w dziwnie skomplikowany i kobiecy sposób, samobójstwo, które wciąga ją w kontakty z ziemskością. Więc to przed tym trzeba ją ratować! Rozwiązanie zadania, a mimo to nowe zadanie! Doprawdy, gdyby owa groźba nie tarasowała drogi, po prostu opuściłoby się Ilonę, poszłoby się do Erny, wzięłoby się Lohberga za kołnier i nie namyślając się długo wyrzuciłoby się go za drzwi. Po czym można by spać spokojnie i bez snów.

Lecz gdy bezsenny usiłuje wyobrazić sobie, jaki spokój zapanowałby wtedy na świecie, i odzyskuje najprostsze pożądanie kobiety, ogarnia go myśl, która jest równocześnie trochę zabawna i trochę straszna: nie miał prawa wracać do Erny, bo nie dałoby się już rozstrzygnąć, kto będzie ojcem dziecka. To więc było niewytłumaczalne, głębsze ziemskie powiązanie, to była groźba, która go dzisiaj odstraszała od Erny! Rachunek pewnie już się zgadzał; bo ktoś odszedł, żeby zrobić miejsce dla tego, według którego ma być liczony czas, i aż się prosi, żeby ojcem wybawiciela był cnotliwy Józef. Bezsenny próbuje znów przywołać ironicznego grymas, ale bez powodzenia; jego powieki są zbyt mocno zamknięte i nikt nie potrafi śmiać się po ciemku. Bo noc jest czasem wolności, śmiech zaś to zemsta niewolnych. O, to było

sprawiedliwe, że leżał tu bezsenny i superczujny, w zimnym i obcym podnieceniu, które nie było już żądzą, pozornie zmarły w swoim grobowcu, gdy tamten wyzbyty snów i zeszywniały spoczywał w swoim. Wszelako jak można było przypuścić, że tamten dlatego został poświęcony, ażeby z mizernego naczynia, które miało na imię panna Erna, wyrosło nowe życie. Bezsenny klnie, jak to nieraz zwykli czynić bezsenni, ale klnąc uświadamia sobie, że mimo to coś tu nie gra, o ile magiczna godzina śmierci miała być godziną płodzenia. Nie można być jednocześnie w Badenweiler i w Mannheim; był to więc wniosek wyciągnięty pochopnie i chyba wszystko to jest bardziej skomplikowane i bardziej godne.

Pokój był chłodny w swej ciemności. Esch, człowiek porywczych zachowań, leżał nieruchomo w łóżku, serce mu waliło sklepując czas na cienkie nic i trudno było doszukać się przyczyny, dla której należałoby śmierć przesunąć w przyszłość, która i tak jest już terażniejszością. Człowiekowi, który czuwa, wyda się to pewnie nielogiczne, ale zapomina on, że przeważnie sam znajduje się w stanie zamroczenia i że jedynie bezsenny w swej superczujności myśli prawdziwie logicznie. Bezsenny ma zamknięte oczy, jak gdyby nie chciał oglądać chłodnej grobowej ciemności, w której leży, obawiając się jednak, że bezsenność mogłaby zmienić się nagle w całkiem pospolite czuwanie wobec firanek, które wiszą w oknie jak damskie spódnice, i wszystkich przedmiotów, które wyrwałyby się z ciemności, gdyby otworzył oczy. Ale on chce być bezsenny i nie chce czuć, w przeciwnym razie nie mógłby zszedłszy ze świata leżeć tutaj z matką Hentjen bezpiecznie w grobie, pełen pożądania, które nie było już żądzą: ba, wyzbyty pożądania i to też było dobre. W śmierci złączony, myśli bezsenny, na pozór uśmiercony, tak, w śmierci złączony i właściwie byłoby to uspokajające, gdyby nie musiał myśleć o Ernzie i Lohbergu, którzy teraz jakoś tam byli też złączeni w śmierci. Ale jak! Cóż, bezsenny nie ma już ochoty do cynicznych żartów, chce poddać się działaniu niejako metafizycznej zawartości zdarzeń i chce należycie oszacować niezwykle wielką odległość, jaka dzieli jego legowisko od pozostałych pomieszczeń tego domu, chce z całą powagą zastanowić się nad osiągalną wspólnotą, nad spełnieniem snu, które ma doprowadzić do doskonałości; a że tego wszystkiego już nie rozumie, robi się mrukliwy i strapiony, robi się zły i już nie rozmyśla, jak to jest możliwe, że z martwego może powstać coś żywego. Bezsenny przesuwając dłonią po krótko ostrzyżonych włosach, pozostaje na niej chłód i kłucie; jest to w pewnym sensie niebezpieczny eksperyment, którego nie powtórzy.

I przeszedłszy w taki sposób do trudniejszych i bardziej godnych ćwiczeń czuje, jak narasta w nim złość, a jest to być może złość bezsilnego, markotnego pożądania. Ilona w osobliwie skomplikowany i kobiecy sposób popełnia samobójstwo, noc w noc po troszeczkę umiera, tak że jej twarz już teraz jest obrzmiała, jak gdyby dotknęło ją gnicie. I każda noc, która na nowo utrwala w niej nieprzyzwoite obrazy, musi powiększać taką obrzmiałość. To dlatego więc bal się dzisiaj widoku Ilony! Wiedza bezsennego staje się jasnowidzącym przedśnem śmierci i on pojmuje, że matka Hentjen już nie żyje, że ona, martwa, nie mogła mieć z nim dziecka, że dlatego miast przyjechać do Mannheim przysłała tylko list, napisany pod wizerunkiem tego, któremu dała się zabić, tak jak teraz Ilona daje się zabijać temu bydlakowi Kornowi. Także policzki matki Hentjen są obrzmiałe, czas i umieranie widnieją na jej twarzy, a miłość jej nocy jest martwa, martwa jak automat muzyczny, który mechanicznie chrypi, wystarczy tylko sięgnąć ręką. I Escha bierze złość.

Bezsenny nie wie, że jego łóżko stoi w określonym miejscu, w domu przy określonej ulicy, i nie życzy sobie, żeby mu o tym przypominać. Wiadomo, że ludzie bezsenni łatwo ulegają gniewnym emocjom; huk samotnego tramwaju na nocnej ulicy potrafi ich doprowadzić do wściekłości. O wiele silniejszy będzie gniew z powodu sprzeczności, która jest tak wielka i straszna, że nie sposób już jej określić mianem błędu w księgowaniu. Bezsenny przynagla swoje myśli do najwyższego pośpiechu, aby znaleźć sens pytania, które nasunęło mu się przychodząc skądś tam, z daleka, może z Ameryki. Czuje, że w jego głowie

znajduje się okolica, która jest Ameryką, okolica, która nie jest niczym innym jak miejscem przyszłości w jego głowie i która nie może jednak istnieć, dopóki przeszłość tak niepoohamowanie wali się w przyszłość, unicestwione w nowe. Wichura tego zwałania się porywa go, ale nie on jeden, lecz wszyscy wokół zostają zdmuchnięci wraz z nim przez orkan lodowatego, wszyscy podążają za tym, który pierwszy rzucił się w wichurę, został zmieciony, ażeby czas na powrót stał się czasem. Teraz nie było już czasu, było tylko niezwykle dużo przestrzeni: bezsenny, superczujny słyszy umieranie ich wszystkich i choćby nie wiem jak mocno zaciskał powieki, żeby tego nie widzieć, wie, że śmierć zawsze jest morderstwem.

Oto znów pojawiło się to słowo, słowo „morderca”, ale nie przyfrunęło jak motyl, lecz nadciągnęło z hurkotem jak tramwaj na nocnej ulicy i krzyczało. Zmarły przekazuje śmierć dalej. Nikt nie ma prawa przeżyć. Jak gdyby śmierć była dzieckiem, matkę Hentjen zapłodnił nią martwy krawiec, a Ilona zachodzi w nią za sprawą Korna. Być może Korn jest również martwy; jest otyły jak matka Hentjen i nie wie nic o wybawieniu. Albo, jeśli jeszcze nie jest martwy, umrze – mała, uszczęśliwiająca nadzieja – umrze jak krawiec dokonawszy morderstwa. Mord i kontrmord zwalają na siebie, bez ustanku, przeszłość i przyszłość, strącają je w chwilę śmierci, która jest terażniejszością. Trzeba to przemyśleć bardzo wnikliwie i bardzo poważnie, bo taki błąd w księgowaniu wkrada się z powrotem nazbyt szybko. Tymczasem trudne ponad wszelką miarę jest już odróżnienie poświęcenia od morderstwa! Czy wszystko trzeba zniszczyć, nim świat zostanie wybawiony do stanu niewinności? Czy musi nadciągnąć potop, nie wystarczy, że jeden się poświęcił, jeden zrobił miejsce? Jeszcze żyje bezsenny, choć jak każdy bezsenny jest z pozoru martwy, jeszcze żyje Ilona, choć śmierć już ją dotknęła, i tylko jeden poświęca się dla nowego życia i dla porządku świata, w którym nie wolno już rzucać nożami. Poświęcenia nie da się już cofnąć. A że do wszelkich abstrakcyjnych i powszechnie obowiązujących zrozupełnień dochodzi się w stanie bezsennej superczujności, Esch wyciągnął wniosek: martwi są mordercami kobiet. On jednak nie był martwy i jego obowiązkiem jest ocalić Ilonę.

Znów odzywa się w nim niecierpliwe pragnienie, żeby spotkała go śmierć z ręki matki Hentjen, wątpliwość, czy to już nie nastąpiło. Jeśli odważy się na śmierć, która przychodzi od martwych, to ich udobrucha i poprzestaną na jednej ofierze. Byłaby to pocieszająca myśl! I jak gniew może zawładnąć bezsennym gwałtowniej niż kimś, kto czuwa w stanie zamroczenia, tak też o wiele intensywniej odczuwa on szczęście, można by wręcz powiedzieć: ze swego rodzaju szaloną lekkością. Ba, to lekkie i wybawione uczucie szczęścia może nabrać takiej jasności, że ciemność pod jego zamkniętymi powiekami zacznie świecić. Bo nie ulegało już wątpliwości, że on, żywy, z którym kobiety mogły mieć dzieci, że on, oddając się matce Hentjen i jej śmierci, że on przez ten niezwykły krok nie tylko dokona wybawienia Ilony, nie tylko uwolni ją na zawsze od noży, nie tylko przywróci jej urodę i uchyli wszelkie umieranie, uchyli aż po nowe dziewictwo, lecz że tym samym niechybnie ocali od śmierci matkę Hentjen, ożywi jej łono, ażeby urodziła tego, kto podźwignie czas.

Oto budzi się w nim wrażenie, jakby wraz z łóżkiem przybył z najdalszej dali i jakby stało ono znów w określonym miejscu określonej alkowy, i bezsenny, odrodzony dzięki wznieconemu na nowo pragnieniu, wie, że jest u celu, jeszcze co prawda nie owego celu ostatecznego, w którym symbol i pierwowzór na powrót stają się jednością, ale przecież owego celu tymczasowego, którym musi zadowolić się ziemianin, celu, który nazywa miłością i który jest jakby ostatnim dostępnym stałym punktem wybrzeża przed nieosiągalnym. I poniekąd w przeciwieństwie do symbolu i pierwowzoru kobiety są dziwnie zespolone, a przecież oddzielone; wprawdzie matka Hentjen siedzi w Kolonii i cierpliwie czeka na niego, to on wie, wprawdzie Ilona odsunęła się w sferę nieosiągalnego i niewidzialnego, i on wie, że nigdy więcej jej nie zobaczy – ale tam na owym wybrzeżu, gdzie widzialne zespała się z niewidzialnym, osiągalne z nieosiągalnym, przechadzają się obie, a ich sylwetki zlewają się ze sobą w jedno, a nawet jeśli się rozłączą, to pozostają zespolone

nigdy nie spełnioną nadzieją: żeby matkę Hentjen otoczyć miłością doskonałą, niosąc jej życie jako własne, żeby ją, martwą, w swoich objęciach zbawczo zbudzić, czule starzejącą się obejmując zdejmie on z ciała Ilony ciężar starzenia się i wspomnienia, wzniesie dla nowej, dziewiczej piękności Ilony wyższy stopień swej tęsknoty; tak, obie kobiety, choć tak rozdzielone, były jednak złęczone, były odbiciem tego Jednego, Niewidzialnego, za którym nie wolno się oglądać i który jest przeciw ojczystą krainą.

Bezsenny był u celu. Aczkolwiek dzięki swej superczujności przewidywał rozwiązanie, pojmuje, że przeciągnął tylko logiczną nić wokół niego i tylko dlatego musiał pozostawać bezsenny, iż nić wydłużała się coraz bardziej; a teraz pozwala sobie zawiązać ostatni węzeł i jest to jakby zawiłe zadanie buchalteryjne, które doprowadził wreszcie do rozwiązania, i jest to nawet coś więcej niż zadanie buchalteryjne: wziął na siebie prawdziwe zadanie miłości w pełnym jego wymiarze, podporządkowując swoje ziemskie życie matce Hentjen. Rad byłby powiadomić Ilonę o tym rezultacie, ale ze względu na jej marną znajomość niemieckiego będzie chyba musiał poniechać tego.

Bezsenny otwiera oczy, poznaje swój pokój, po czym zadowolony zasypia.

Zdecydował się na matkę Hentjen. Ostatecznie. Esch nie wyglądał z okna przedziału. I zwracając myśli ku doskonałej, bezwarunkowej miłości przeprowadza jakby ryzykowny eksperyment: przyjaciele i goście będą popijać w jasno oświetlonym lokalu; on wejdzie, a matka Hentjen nie zważając na wielu naocznych świadków pospieszy ku niemu i przypadnie do jego piersi. Lecz gdy dotarł do Kolonii, to wyobrażenie osobliwie się odsunęło; bo nie było to już miasto, które znalazł, a droga przez wieczorne ulice ciągnęła się bardzo długo i obco. Nie do pojęcia, że wyjechał jedynie na sześć dni. Czas przestał istnieć, nieokreślony był dom, który otwierał się przed nim, nieokreślona przestrzeń w niewyraźnej dali. Esch stanął przy drzwiach, popatrzył w stronę matki Hentjen. Królowała za szynkwasem. Nad lustrem płonęło światło w kolorowym kloszu, w powietrzu wisiało milczenie, a w mrocznej sali nie było żadnego gościa. Nie zdarzyło się nic. Dlaczego tutaj przyszedł? Nie zdarzyło się nic; matka Hentjen pozostała za szynkwasem i w końcu powiedziała ze zwykłą obojętnością: – Dzień dobry. – Rozejrzała się przy tym lęklonie po lokalu. Wezbrał w nim gniew i naraz przestał rozumieć, dlaczego zdecydował się na tę kobietę. Powiedział więc również tylko: – Dzień dobry – bo choć w jakiś sposób akceptował jej dumny chłód i wiedział też, że nie wypadało mu odpłacać tą samą monetą, to przecież był rozgniewany: kto nosi w sercu postanowienie o bezwarunkowej miłości, ten bądź co bądź ma prawo stawiać się na równi – wygarnął: – Dziękuję ci za list. – Ona rozejrzała się wściekle po pustym lokalu: – Jak ktoś pana usłyszał? – a Esch, na dobre wyprowadzony z równowagi, rzucił szczególnie donośnie: – A jeśli nawet... skończę wreszcie z tą głupią tajemniczością! – rzucił to zupełnie bez sensu, bo lokal był pusty, a on sam nie wiedział, dlaczego tu jest. Matka Hentjen milczała przerażona, zaczęła poprawiać fryzurę. Odkąd odprowadziła go na dworzec, była pełna skruchy, że posunęła się za daleko, że za bardzo się poddała, a już po tym nierozważnym liście do Mannheim matka Hentjen wpadła w prawdziwą panikę; byłaby Eschowi wdzięczna, gdyby o liście nie wspomniał. A teraz, kiedy z drewnianą zawieszoną miną najwidoczniej obstawał przy swoim, czuła się znów schwytna w potrzask i bezbronna. Esch powiedział: – Mogę sobie pójść – i ona rzeczywiście ruszyłaby z szynkwasu, gdyby akurat nie weszli pierwsi goście. Toteż oboje nie ruszali się z miejsc i milczeli przez chwilę; potem matka Hentjen zaznaczając pogardliwym tonem, że mówi to jedynie po to, by położyć kres tej scenie, szepnęła: – Przyjdiesz dzisiaj w nocy. – Esch nic nie odpowiedział, ze szklanką wina usiadł przy stoliku. Czuli się opuszczony. Jego wczorajszy rachunek, który tak był jednoznaczny, zrobił się nieprzejrzysty: czemu z powodu Ilony miał się zdecydować na tę kobietę? Rozejrzał się po lokalu i uznał, że jest nadal obcy; nic go nie obchodził, on za bardzo oddalił się od tego wszystkiego. Co w ogóle miał jeszcze do roboty w Kolonii? Dawno już powinien być w

Ameryce. Ale raptem jego wzrok padł na wizerunek pana Hentjena, wiszący tam u góry nad insygniami wolności, i było tak, jakby raptownie wróciła mu pamięć; kazał sobie dać atrament i papier i swoim najpiękniejszym pismem buchaltera napisał:

Doniesienie!

Podaję do wiadomości prześw. Prezydium Policji, że pan Edward von Bertrand w Badenweiler, przewodniczący rady nadzorczej Żeglugi Środkoworeńskiej SA w Mannheim, utrzymuje niestety stosunki nierządne z osobami pici męskiej, i jestem gotów udowodnić moje informacje jako świadek.

Już miał złożyć podpis, ale zatrzymał się, bo o mało co nie napisał: „Za pogrążonych w żałobie bliskich” i chociaż chciało mu się z tego śmiać, obleciał go strach. W końcu jednak opatrzył dokument swoim nazwiskiem i adresem i złożony go starannie schował do portfela. Do jutra, powiedział sobie, termin gardłowy. Do portfela włożył też widokówkę z Badenweiler. Zastanawiał się, czy powinien dać ją matce Hentjen już dzisiejszej nocy. Czuł się opuszczony. Lecz oto ujrzał alkowę, ujrzał znowu ją w boleśnie rozbudzonej miłosnej gotowości i przechodząc koło bufetu miał ochrypły głos: – To na razie. – Siedziała sztywno na swoim krześle i zdawało się, że nic nie usłyszała, tak iż pełen nowego gniewu, który był jednak inny od poprzedniego, wrócił i powiedział brutalnie głośno: – Zdejmiesz z laski swojej ten portret z góry. – Ona wciąż jeszcze ani drgnęła, a on trzasnął za sobą drzwiami.

Gdy wrócił potem i chciał otworzyć kluczem, zastał drzwi wejściowe zaryglowane od środka. Nie zważając na to, że dziewczka może go usłyszeć, zadzwonił, a kiedy nic się nie ruszało, począł dzwonić jak na alarm. To pomogło; usłyszał kroki; miał niemal nadzieję, że będzie to mała dziewczka: jej mógłby powiedzieć, że zapomniał czegoś w gospodzie, a poza tym mała by nim nie wzgardziła i byłaby to dla mateczki dobra lekcja. Ale to nie mała dziewczka mu otworzyła, lecz pani Hentjen we własnej osobie: była jeszcze całkowicie ubrana i płakała. Jedno i drugie wzmogło jego wściekłość. W milczeniu weszli na górę, a tam z miejsca rzucił się na nią. Kiedy uległa i jej pocałunki zmiękły, zapytał groźnie: – Portret zniknie? – Ona z początku nie wiedziała, o czym on mówi, a gdy to do niej dotarło, nie od razu zrozumiała: – Portret?... Aaa, portret, dlaczego? Nie podoba ci się? – On, doprowadzony do rozpaczki jej niezrozumieniem, odparł: – Nie, nie podoba mi się... w ogóle wiele mi się nie podoba. – Ona powiedziała potulnie i uprzejmie: – Jak ci się nie podoba, to mogę go powiesić gdzie indziej. – Była tak bezdennie głupia, że chyba już tylko biciem można było coś wskórać. Cóż, Esch się pohamował: – Portret zostanie spalony. – Spalony? – Tak, spalony. A jak będziesz jeszcze dalej udawała Greka, to podpale całą budę. – Odsunęła się od niego przestraszona, a on zadowolony z rezultatu dorzucił: – Mogłoby to ci być na rękę; przecież tak czy siak nie lubisz gospody. – Nie odpowiedziała, a choć prawdopodobnie nic nie myślała, lecz widziała jedynie buchające na dachu płomienie, to jednak sprawiała wrażenie, jakby chciała coś ukryć. Ofuknął ją: – Czemu ty nic nie mówisz? – Ostry ton sprawił, że całkiem zeszywniała. Czy tej baby nie da się nakłonić, żeby w końcu zrzuciła maskę? Esch podniósł się i stanął groźnie u wejścia do alkowy, jakby nie chcąc dopuścić, że mu ucieknie. Trzeba było nazywać rzeczy po imieniu, inaczej nie dojdzie się z tym cielskiem do ładu. Ale zdołał tylko chrapliwie i zacinając się zapytać: – Dlaczego wyszłaś za niego? – bo wokół tego pytania kłębiło się w nim tyle szaleństwa i beznadziejności, że myślami uciekł do Erny. Opuścił ją, mimo że u niej nic go nie dręczyło i było zupełnie bez znaczenia, jakie wyobrażenia fallusa nosiła we wspomnieniu. I było mu obojętne, czy Erna zachodziła w ciążę, czy też zapobiegała jej sztuczkami. Bał się odpowiedzi, nie chciał nic słyszeć, a jednak wrzeszczał: – No, powiesz? – Natomiast pani Hentjen w zbudzonym na nowo strachu, że za bardzo się odsłoni, może też w strachu, że mógłby przepaść nimb, z powodu którego czuła się kochana, zdobyła się na odpowiedź: – To tak dawno temu... może ci być obojętne. – Esch wysunął dolną szczękę, odsłonił końskie zęby: – Obojętne ma to mi być... ma to mi być

obojętne... – krzyknął: – Tak, to mi jest obojętne... mam to gdzieś! – To tak mu się odwdzięczyła za jego absolutne i całkowite oddanie i za jego udrukę. Była głupia i uparta; jemu, który wziął jej los na siebie jako własny, jemu, który chciał wchłonąć jej życie, choć zostało przez śmierć postarzone i skalane, jemu, Augustowi Eschowi, który gotów był poświęcić się jej na mocy bezapelacyjnego postanowienia, który chciał roztopić w niej całą swoją obcość, aby przez to niejako w drodze wymiany pozyskać także całą jej obcość i jej myśli, choćby były dla niego nie wiedzieć jak bolesne: jemu więc miało to być obojętne! Och, była głupia i uparta, a ponieważ była taka, musiał ją uderzyć; podszedł do łóżka, zamierzył się i ugodził ją w gruby, nieporuszony policzek, jakby mógł w ten sposób ugodzić też w nieporuszoność jej ducha. Nie broniła się i nadal leżała sztywno, choćby rzucał w nią nożami, ona by się nie ruszyła. Jej policzek poczerwieniał i gdy z krągłości skapnęła łza, jego złość złagodniała. Usiadł na łóżku i ona odsunęła się w bok, żeby zrobić mu miejsce. Potem rozkazał: – Weźmiemy ślub. – Ona wykrztusiła jedynie: – Tak – i Esch o mało co nie wpadł ponownie we wściekłość, ponieważ nie powiedziała, że jest szczęśliwa, iż nareszcie pozbędzie się znenawidzonego nazwiska. Ona jednak nie wiedziała, co jeszcze odpowiedzieć, tylko zarzuciła mu rękę na szyję i przyciągnęła go do siebie. Był zmęczony i nie wzbraniał się; może to było słuszne, może obojętne, bo wobec królestwa wybawienia i tak wszystko jest niepewne, niepewny każdy czas, niepewna każda liczba i każde sumowanie. Co prawda był znów poirytowany, co ona wiedziała o królestwie wybawienia? co w ogóle chciała o tym wiedzieć? Prawdopodobnie równie mało jak Korn! Trzeba chyba czasu, nim się to jej wbije w głowę. Ale na razie trzeba się z tym pogodzić, trzeba poczekać, aż ona to zrozumie, trzeba pozwolić jej prowadzić księgę handlową, jak to właśnie robiła. W krainie sprawiedliwości, w Ameryce, będzie inaczej, tam minione odpadnie jak huba. A kiedy ze ściśniętym gardłem zapytała, czy zatrzymywał się w Ober-Wesel, nie zezłościł się, lecz poważnie potrząsnął głową i mruknął: – Ach, skąd.

– Tak to świętowali swoją noc poślubną, mówili o sprzedaży gospody i matka Hentjen była mu wdzięczna, że on niczego nie podpali. Za miesiąc mogliby już być na pełnym morzu. On jutro postara się pchnąć do przodu amerykański interes z Teltscherem.

Został dłużej niż zwykle. Ze schodów nie schodzili już na palcach. A gdy go wypuszczają, na ulicy byli już ludzie. To go napełniło dumą.

Nazajutrz rano udał się do Alhambry. Naturalnie nikogo jeszcze tam nie było. Grzebał w korespondencji na biurku Gernertha. Znalazł nie otworzoną kopertę zaadresowaną jego charakterem pisma i był tym tak zdumiony, że w pierwszej chwili jej nie poznał: był to list od Erny, który sam napisał w Mannheim. Hm, ona znów podniesie straszny wrzask, jak tak długo nie dostaje odpowiedzi. Właściwie nie bez racji. Flejtuchowate tałatajstwo w tym teatrze.

W końcu nadciągnął Teltscher. Esch niemal się ucieszył na jego widok. Teltscher był łaskawy: – No, najwyższy czas, żeś pan się z powrotem zjawił – każdy załatwia swoje prywatne sprawy i Teltscher ma sam odwalać parszywą robotę. – Gdzie jest Gernerth? – No, w Monachium u szanownej rodziny... ciężka choroba w domu, pewnie mają katar. – Na pewno wróci, stwierdził Esch. – Powinien wrócić jak najprędzej, ten pan dyrektor, wczoraj na sali było niecałe pięćdziesiąt osób. Trzeba to omówić z Oppenheimerem. – Dobra – powiedział Esch – idziemy do Oppenheimera.

Z Oppenheimerem uzgodnili, że walki wkroczą w końcową fazę. – Ja panów ostrzegałem, może nie? – oznajmił Oppenheimer. – Zapasy dobra rzecz, ale wieczne zapasy? Kogo to interesuje? – Eschowi to raczej dogadzało; musi tylko po powrocie Gernertha wydusić swoją należność, a im szybciej skończą, tym wcześniej pojedą do Ameryki.

Tym razem z własnej woli zabrał Teltschera na obiad, bo należało wziąć się do amerykańskiego projektu. Zaraz po wyjściu na ulicę Esch wyciągnął z kieszeni listę i policzył dziewczyny, które wytypował na wyjazd.

– Ja też mam jakieś nazwiska – powiedział Teltscher – ale najpierw Gernerth musi mi oddać pieniądze. – Esch zdziwił się, bo Teltschera powinno się było zaspokoić z wpłat Lohberga i Erny. Teltscher rzucił z irytacją:

– A z jakich pieniędzy, myśli pan, finansowaliśmy walki? Przecież on był bierny, rozumie to pan? Dał mi w zastaw wyposażenie, ale co ja z tym wyposażeniem zrobię w Ameryce? – Było to wprawdzie dość zaskakujące, ale bądź co bądź, jak zlikwidują zapasy, Gernerth dostanie gotówkę i Teltscher będzie mógł jechać. – Ilona jedzie z nami – postanowił Teltscher. Mylisz się, mój drogi, pomyślał Esch, Ilona nie ma już z tymi rzeczami nic do czynienia; choćby teraz jeszcze trzymała się Korna, długo to nie potrwa, wkrótce zamieszka w dalekim, niedostępnym zamku, w którego parku pasą się samy. Powiedział, że musi jeszcze wstąpić do prezydium policji, i nadłożyli trochę drogi. W sklepie z papierem kupił gazety i kopertę; gazety wetknął w kieszeń, a kopertę od razu opatrzył zawijasowatym adresem. Potem wyjął z portfela starannie złożone doniesienie, włożył do koperty i poszedł do prezydium. Wróciwszy z tego gmachu kontynuował rozmowę: to niepotrzebne, żeby jechała Ilona. – Nie ma gadania – odparł Teltscher – po pierwsze, czekają tam na nas wspaniałe kontrakty, a po drugie, jak z wyjazdu nic nie wyjdzie, to trzeba tutaj wziąć się do roboty. Dość się naleniuchowała; już zresztą do niej napisałem.

– Bzdura – powiedział grubiańsko Esch – jak się jest handlarzem żywym towarem, to nie zabiera się żony. – Teltscher zaśmiał się: – No, jak pan uważasz, że mam zrezygnować, to odkup pan ode mnie te szanse za oceanem. Jesteś pan teraz kapitalista całą gębą... z podróży w interesach przeważnie wraca się z pieniędzmi? – Esch zbaraniał; było tak, jakby Teltscher mrugnął w stronę prezydium policji – co to miało znaczyć. Co wiedział ten żydowski kuglarz? Przecież on sam o tej podróży nie wiedział nic; wsiadł na Teltschera: – Idź pan do diabła, nie przywiozłem żadnych pieniędzy. – Najmocniej przepraszam, panie Esch, nie bierz mi pan tego za złe, to było tylko na marginesie.

Zaszli do matki Hentjen i Esch znów miał takie wrażenie, jakby Teltscher posiadał jakieś sekretne wiadomości i mógł na przykład powiedzieć na niego „morderca”. Nie miał odwagi rozejrzeć się po lokalu. W końcu podniósł oczy i na miejscu portretu Hentjena ujrzał białą plamę obramowaną pajęczynami. Popatrzył na Teltschera, a ten nic nie powiedział, ponieważ najwidoczniej nic nie zauważył, nie, nic a nic nie zauważył! Esch wpadł w nastrój wręcz swawolny; po części ze swawoli, po części dla odwrócenia uwagi Teltschera od portretu podszedł do automatu muzycznego i puścił jakiś hałaśliwy kawałek, hałas zwabił matkę Hentjen i Escha korciło, żeby powitać ją z głośną i poufałą serdecznością; chętnie przedstawiłby ją jako panią Esch i jeśli powstrzymał się od takiego sympatycznego żartu, to stało się tak nie tylko dlatego, że był jej wdzięczny i gotowy uszanować jej powściągliwość, lecz i dlatego, że pan Teltscher-Teltini najzupełniej nie zasługiwał na takie zaufanie. Wszelako Esch bynajmniej nie czuł się zmuszony do posuwania się w tej dyskrecji nazbyt daleko i gdy Teltscher po obiedzie zabrał się do wyjścia, nie towarzyszył mu jak zwykle, aby potem wrócić okrężnymi drogami, lecz powiedział otwarcie, że chce jeszcze zostać i przeczytać gazety. Wyjął je z kieszeni, ale zaraz schował z powrotem. Siedział sobie. Jego dłonie spoczywały spokojnie na kolanach. Nie chciało mu się czytać. Oglądał jasną plamę na ścianie. A kiedy zrobiło się cicho, poszedł na górę. Był wdzięczny matce Hentjen i spędzili przyjemne popołudnie. Mówili znów o sprzedaży gospody i Esch wyraził nadzieję, że być może Oppenheimer znajdzie kupca. I mówili czule o swoim ślubie. Na suficie alkowy była plama, która wyglądała jak ciemny motyl; ale był to jedynie brud.

Wieczorem chciał się udać na obowiązkowe poszukiwanie dziewczyn. Jednakże po zastanowieniu uznał, że musi najpierw zobaczyć, co porabia chłopak, Harry. Szukał go

daremnie i miał już opuścić spelunkę, gdy wszedł Alfons. Grubas był w dziwnym stanie; tłuste włosy lepiły mu się w nieładzie do czaszki, jedwabna koszula była rozpięta ukazując białą, bezwłosą pierś i człowiekowi przypominały się jakoś zmietoszone poduszki. Esch nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Grubas usiadł przy stoliku koło wejścia i jęknął. Esch stanął przed nim i nadal się śmiał, ale wyglądało to tak, jakby chciał w ten sposób coś zagłuszyć: – Halo, Alfons, co się dzieje? – Muzyk popatrzył na niego spośród swego tłuszczy drętwa i wrogo. – Każ sobie podać coś do picia i powiedz, co się stało. – Alfons wypił koniak i milczał. W końcu: – Boże święty... to niesłychane... sam jest winien i pyta, co się stało! – Nie gadaj głupstw, co się stało? – Boże święty! On nie żyje! – Alfons podparł twarz rękoma i wlepił wzrok w przestrzeń. Esch usiadł przy stoliku. – Więc kto nie żyje? – Alfons wybełkotał: – Za bardzo go kochał. – Znów dziwnie to wyglądało: – Kto? Kogo? – Alfonsowi głos się załamał: – Niechże pan nie udaje; Harry nie żyje... – Coś takiego, Harry nie żyje, Eschowi nie mieściło się to w głowie, bez zrozumienia spoglądał na grubasa; po policzkach Alfonsa spływały łzy: – Pan swoim gadaniem doprowadził go wtedy do szaleństwa... on za bardzo go kochał... jak to przeczytał w gazecie, zamknął się... dzisiaj w południe... a teraz go znaleźliśmy... weronal. – Coś takiego, Harry nie żyje; miało to jakąś swoją logikę, musiało to tak nastąpić. Esch nie wiedział tylko, co to była za logika. Rzekł: – Biedaczysko – i nagle już wiedział, był pełen odprężonego szczęścia, ponieważ w południe oddał list w prezydium policji; tutaj wreszcie jak na koncie znosiły się mord i kontrmord, pozycja i kontrpozycja, tutaj znalazło się nienagannie wyprowadzone konto! Dziwne tylko, że mimo to on miał być czemuś winien; powtórzył: – Biedaczysko... dlaczego on to zrobił? – Alfons nieprzytomnie wybałuszył na niego oczy: – Przeczytał to przecież w gazecie... – Co? – To – Alfons wskazał plik gazet, który wystawały z kieszeni surduta Escha. Esch wzruszył ramionami – zapomniał o gazetach. Wyciągnął je; ta wiadomość wydrukowana dużymi literami w czarnej ramce powtarzała się wielokrotnie na ostatniej stronie, bo żadne z jego przedsiębiorstw, ani urzędnicy, ani robotnicy nie omieszkali obwieścić z żalem smutnej wiadomości, że pan Edward von Bertrand, przewodniczący rady nadzorczej, kawaler wysokich orderów itd., wyzionął ducha po krótkich i ciężkich cierpieniach. W tekście na czołówce jednak można było obok chlubnych nekrologów przeczytać, że zmarły przypuszczalnie w stanie nagłego zamroczenia umysłu położył kres swemu życiu strzałem z rewolweru. Esch przeczytał to wszystko bez większego zainteresowania. Stwierdził jedynie, jak słuszne było dzisiejsze usunięcie portretu. Zabawne, że ktoś nie mający z tym nic wspólnego jak ten muzyk mógł z tego powodu robić tyle szumu. Z lekkim, ironicznym grymasem życzliwie i uspokajająco poklepał grubasa po gąbczastych plecach, zapłacił za jego wódkę i poszedł do pani Hentjen. Stawiając długie i swobodne kroki myśli o Martinie i o tym, że ten nie będzie już za nim gonił na swoich twardych kulach i nie będzie mu zagrażał. I również to było dobre.

Pozostawiony sam muzyk Alfons przyłożył pięści do skroni i patrzył w pustkę. Esch wydawał mu się złym człowiekiem, jak wszyscy mężczyźni, którzy chodzą do kobiet, aby je brać w posiadanie. Przekonał się, że wszyscy ci mężczyźni sieją zło. Wydawali mu się jakby ogarniętymi żądzą mordu szaleńcami, którzy pędzą przez świat, a kiedy się zbliżają, nie można zrobić nic innego jak tylko się skulić. Pogardzał tymi mężczyznami, którzy nadbiegają głupi i zagonieni, żądni nie życia, którego najwidoczniej w ogóle nie dostrzegają, lecz czegoś, co leży poza nim i dla czego w imię swoistej miłości niszczą życie. Muzyk Alfons był zbyt smutny, żeby to jasno przemyśleć; ale wiedział, że ci mężczyźni co prawda z wielką pasją mówią o miłości, jednakże mają na myśli tylko posiadanie czy też co tam jeszcze się przez to rozumie. Z nim naturalnie nie było się co liczyć, bo jest człowiekiem bezmyślnym i wykolejonym grajkiem z orkiestry; ale wiedział, że decydując się na kobietę ma się jeszcze daleko do absolutu. I usprawiedliwiał złośliwą wściekłość mężczyzn, bo wiedział też, że wpływa ona ze strachu i z rozczarowania, wiedział, że owi namiętni i złośliwi mężczyźni

uganiają się za cząstką wieczności, aby ich chroniła przed strachem, który stoi im za plecami i zwiastuje śmierć. Był głupim i bezmyślnym skrzypkiem z orkiestry, ale umiał grać sonaty z pamięci i wiedząc niejedno mógł mimo smutku uśmiechnąć się z tego, że ludzie w swej trwożnej żądzy absolutu chcą kochać się wiecznie, mniemając, że ich życie wtedy się nie skończy i będzie trwało wiecznie. Choćby go lekceważyli, ponieważ musiał grywać także potpourri i skoczne polki, on mimo to stwierdził, że ci zagonieni, co w ziemskości szukają nieprzemijającego i absolutnego, znajdują zawsze tylko symbol i namiastkę tego, czego szukają, nie umiejąc tego czegoś nazwać: bo patrzą na śmierć drugiego bez żalu i bez smutku, tak bardzo opętani są własną; gonią za posiadaniem, ażeby ono ich posiadało, ponieważ spodziewają się po nim czegoś trwałego i niezmiennego, co ma ich posiadać i strzec, i nienawidzą kobiety, na którą się w ślepotcie zdecydowali, nienawidzą jej, gdyż jest jedynie symbolem, który rozbijają pełni wściekłości, kiedy znów poczują się wystawieni na strach i śmierć. Muzyk Alfons współczuł kobietom; bo chociaż one też są nieźle stuknięte, to jednak nie popadają w tę niszczycielsko idiotyczną namiętność posiadania i nie dają się aż tak gnąć strachowi, łatwiej wpadają w ekstazę, kiedy się je uraczy muzyką, mają gorętsze i bardziej zażyłe związki ze śmiercią: w tym kobiety podobne są do muzyków i choćby człowiek sam był tylko tłustym, homoseksualnym grajkiem z orkiestry, ma prawo czuć się im bliski, ma prawo przypisać im coś z przeczucia, że śmierć jest czymś smutnym i pięknym, wiedząc, iż one płaczą nie dlatego, iż odebrało im się posiadanie, lecz coś, czego używały i na co patrzyły łagodnie i przyjemnie. O, jakże niebywałym kłębowiskiem jest życie, nie zrozumiane przez żadnych posiadania, mało zrozumiane przez innych, a przecież wyczuwane przez muzykę, która uchyla dźwięczący symbol wszystkiego, co pomyślane, czas, ażeby zachować go w każdym takcie, uchyla śmierć, ażeby w dźwięku powstawała na nowo. Kto wyczuł to, na podobieństwo kobiet i muzyków, temu niestraszna opinia głupiego i bezmyślnego i muzyk Alfons dotykał zwałów tłuszczu na swoim ciele, jak gdyby były dobrą, miękką kołdrą, przez którą można wymacać coś cennego i miłego: niech tam ludzie nim gardzą i wyzywają go od bab, cóż, on był jedynie zwykłym nieborakiem, ale mimo to szczęśliwiej, swobodniej i uległej oddanym różnorodnej wieczności aniżeli ci, którzy go wyzywali i którzy wszelako tylko mały ziemski wycinek czynią symbolem i celem swych smętnych dążeń. To on miał prawo gardzić innymi. Również Escha było mu żal i musiał pomyśleć o heroicznym dźwiękach bojowych, jakie towarzyszą zapaśnikom przy wyjściu na arenę, aby pobudzona odwaga siłaczy puściła w niepamięć śmierć, która za nimi stoi. Zastanawiał się, czy ma czuwać przy zwłokach Harry'ego, ale bał się woskowego oblicza i wolał się upić obserwując gości i kelnerów, którzy poruszali się, a przecież mieli na twarzach piętno śmierci.

Ilona zaś o tej samej porze owej nocy wstała z łóżka i w blasku czerwonej lampki oliwnej sprzed obrazu Matki Boskiej przyglądała się śpiącemu Baltazarowi Kornowi. Chrapał, a kiedy charkot ustawał, było to jak zamilknięcie muzyki w teatrze przed jej numerem; w świstaniu jego oddechu pobrzmiwał wtedy lekki szum ciskanych noży. Prawdę mówiąc nie myślała o tym, chociaż list Teltschera przyzywał ją do pracy. Przyglądała się Kornowi i próbowała sobie wyobrazić, jak też mógł wyglądać bez czarnych wąsów i jako mały chłopak. Nie wiedziała dobrze, czemu to robi, ale wydawało się jej, że Matka Boska na ścianie dzięki temu szybciej wybaczy jej grzechy. Bo grzechem było, że przed świętym obliczem Dziewicy używała go do nieświętej rozkoszy i gdyby wcześniej nie nabawiła się choroby, miałaby też dzieci. To, że musi opuścić Korna, było jej obojętne, wiedziała, że przyjdzie po nim inny, i było jej obojętne, że wróci do Teltschera; nie zaprzętała sobie tym głowy, że czeka na nią w Kolonii i że Ignie do niej, lecz zdawała sobie jedynie sprawę, że jej potrzebuje, aby rzucać w nią swoimi nożami. Również to, że ma jechać do Ameryki, było jej obojętne. Najeżdżała się już ponad miarę, a Ameryka to było miasto jak każde inne. Żyła bez nadziei i bez strachu. Nauczyła się opuszczać ludzi, ale na dzisiaj czuła się jeszcze własnością Koma. Miała bliźnię na szyi i uważała, że mężczyzna, któremu była niewierna, postąpił słusznie chcąc ją zabić.

Gdyby Kom był jej niewierny, toby go nie zabiła, tylko oblała witriolem. Tak, taki rozdział wydawał się jej w zazdrości właściwy, bo kto posiada, ten chce unicestwić, ale kto jedynie używa, może zadowolić się zepsuciem obiektu. Odnosi się to do wszystkich ludzi, także do królowej angielskiej. Bo ludzie są wszyscy jednacy i żaden nie potrafi zrobić drugiemu czegoś dobrego. Gdy stała na scenie, było jasno, a gdy leżała z mężczyzną, było ciemno. Życie znaczyło jeść, a jeść znaczyło żyć. Kiedyś jeden zabił się przez nią: nie bardzo ją to obeszło, ale lubiła o tym myśleć. Wszystko inne tonęło w cieniu i w owym cieniu poruszali się ludzie jako ciemniejsze cienie, które zlewały się ze sobą i znów rozdzielały. Wszyscy czynili tylko zło, jak gdyby musieli się karać szukając u siebie nawzajem rozkoszy. Była trochę dumna, ponieważ ona też przynosiła nieszczęście, i kiedy tamten skończył ze sobą, była to jakby kara i rekompensata przyznana jej za bezpłodność przez Boga. Wiele było rzeczy niepojętych, właściwie wszystkie. Nie można było rozmyślać nad sensem zdarzeń; tylko kiedy dzieci przychodziły na świat, cienistość zdawała się gęstnieć i cielesnieć, a wtedy było tak, jak gdyby słodka muzyka wiecznie wypełniała świat cieni. Dlatego też pewnie Maryja trzyma małego Jezusa tam w górze nad czerwoną lampką. Erna wyjdzie za mąż i będzie miała dzieci: czemu Lohberg nie wziął jej zamiast tej zgryźliwej, żółtawej małej. Przyglądała się Kornowi i nie znajdowała w jego twarzy nic z tego, czego szukała; jego owłosione pięści leżały na kołdrze i nigdy nie były delikatne i młode. Lękała się jego oświetlonego czerwono mięsistego oblicza i po cichu poszła na bosaka do Erny, wsunęła się miękko i leniwie obok niej, przytuliła się czule do jej kanciastego ciała i w tej pozycji zasnęła.

Esch zachowywał się już prawie jak narzeczony czy raczej jak opiekun, bo co prawda nikomu jeszcze nie powiedzieli o swym związku, jednakże Esch wiedział, co się należy słabej kobiecie, a ona pozwalała, by dbał o jej interesy. Wolno mu było pertraktować nie tylko z dostawcą wody mineralnej i lodu, lecz także z Oppenheimerem, któremu z jego inicjatywy powierzona została sprzedaż gospody. Obrotny Oppenheimer prowadził bowiem, gdy co do czego przyszło, obok swoich interesów teatralnych również pośrednictwo w handlu nieruchomościami i różne inne usługi agencyjne i oczywiście chętnie podjął się przeprowadzić tę transakcję z całą uwagą. Chwilowo co prawda miał na głowie inne zmartwienia. Przyszedł obejrzeć dom, ale w połowie schodów przystanął i powiedział: – Nie do wytłumaczenia ta sprawa z Gernerthem; chyba mu się, uchowaj Boże, nic nie przytrafiło... zresztą co mnie to obchodzi, nie moja rzecz. – I chociaż w ten sposób raz po raz starał się uspokoić samego siebie, równie często powracał do tego, że Gernertha nie ma już bity tydzień, akurat teraz, kiedy wy chcecie zakończyć walki i będziecie potrzebowali pieniędzy na honoraria i zaległy czynsz. Do głowy by mu nigdy nie przyszło, że Gernerth, taki przyzwoity człowiek, mógłby zalegać z czynszem. A przy tym interes do ostatka szedł świetnie, po prostu świetnie. Teraz naturalnie nie starczy na pokrycie wydatków. No, najwyższy czas zwinąć żagle. – A ten koń, Teltscher, pozwala mu wyjechać i nie ma kluczy od kasy, i nie może niczym dysponować. Miał przecież forszę w Darmstadtzie... zbyt wyniosły, pan Teltscher, żeby się o to zatroszczyć, pan artysta.

Esch przysłuchiwał się dotąd obojętnie, tym bardziej że wydawało mu się całkiem zrozumiałe, iż Teltscher wołał myśleć o Ameryce niżli o zamierających zapasach. Teraz jednak nadstawił ucha: forsa w Darmstadtzie? Huknął na Oppenheimera: – W tej forsie w Darmstadtzie są wkłady moich przyjaciół; ta forsa musi być zwrócona! – Oppenheimer pokręcił głową: – Mnie to właściwie mało obchodzi – powiedział – w każdym razie zatelegrafuję do Gernertha do Monachium. Niech przyjedzie, zrobi porządek. Ma pan rację, co tu zwlekać. – Esch zaakceptował ten krok i telegram został wysłany; nie dostali odpowiedzi. Zaniepokojeni w dwa dni później wysłali następny z opłaconą odpowiedzią do pani Gernerth i radzi nieradzi dowiedzieli się, że Gernerth wcale nie pokazał się w domu. To było podejrzane. A w końcu tygodnia miały być wypłaty! Było się zmuszonym zawiadomić

policję; policja ustaliła w Darmstadtzie, że już jakieś trzy tygodnie temu Gernerth podjął z konta resztę gotówki i nie ulegało już wątpliwości: Gernerth zwiął z forszą! Na Teltschera, który do ostatniej chwili bronił Gernertha, a teraz nazywał siebie najgłupszym Żydem na świecie, gdyż znowu dał się nabrać takiemu złemu człowiekowi, na Teltschera padło podejrzenie, że był w zмовie z Gernerthem. Wobec oddanego w zastaw urzędzenia miał wielkie kłopoty z udowodnieniem swojej niewinności; cóż z tego, że mu się to udało – w kieszeni nie zostało mu nawet tyle pieniędzy, żeby przeżyć najbliższe dni. Bezradny jak dziecko obwinał siebie i cały świat, gadał w kółko, że musi przyjechać Ilona, i dzień w dzień wiercił Oppenheimerowi dziurę w brzuchu o natychmiastowy kontrakt. Oppenheimerowi łatwiej było zachować zimną krew, bo nie chodziło o jego pieniądze; pocieszał Teltschera: nie jest tak źle, taki Teltscher-Teltini jako właściciel teatralnego wyposażenia będzie wspaniałym dyrektorem teatru; jeśli tylko wytrzaśnie trochę kapitału obrotowego, to wszystko będzie w najlepszym porządku i on ze starym Oppenheimerem dobieje jeszcze niejednej transakcji. To trafiło Teltscherowi do przekonania i odzyskał dawną energię tak szybko i do tego stopnia, że wkrótce wymyślił nowy plan i poszedł z nim jak w dym do Escha.

Escha natomiast zwrot, jaki nastąpił, bardziej niż zirytował. Chociaż stałe przeczuwał, ba, nawet wiedział, że do podróży nigdy nie dojdzie, i chociaż być może z tego powodu zajmował się werbunkiem dziewczyn w sposób dorywczy i niedbały, i chociaż nawet doznał pewnej satysfakcji, bo miała rację jego wiedza wewnętrzna: jego życie było jednak nastawione na projekt amerykański i teraz czuł się wstrząśnięty do głębi, wydawało mu się przecież, że podkopany został jego związek z matką Hentjen. Dokąd miał się z nią udać? I jak on wyglądał wobec tej kobiety? Chciała go widzieć panem całej tej artystycznej bandy, a on tak haniebnie dał się tej bandzie wystrychnąć na dudka! Wstydział się przed matką Hentjen.

W ten nastrój wdarł się Teltscher ze swoim projektem: – Posłuchaj pan, Esch, jesteś pan teraz kapitalista całą głową, mógłbyś pan zostać moim wspólnikiem. – Esch popatrzył na niego jak na wariata: – Wspólnikiem? Oszalałeś pan? Wiesz pan równie dobrze jak ja, że z Ameryki wyszły nici. – Zarobić można również w Europie – odrzekł Teltscher – i jeśli chcesz pan owocnie zainwestować swoją forszę... – Jaką forszę? – wrzasnął Esch. – No, no, nie ma co wrzeszczeć; zdarzyło się ponoć, że ktoś coś odziedziczył, powiedział Teltscher i rozwścieczył tym Escha do reszty:

– Całkiem pan oszalałeś – ryknął – co to za bajdurzenie? Nie dość, że raz dałem się panu nabrać... – Jak Gernerth, łajdak, daje drapaka, to nie możesz pan winy zwać na mnie – powiedział Teltscher urażony. – Ja jestem bardziej poszkodowany od pana, a że cienko przędę, to pan nie musisz mnie obrażać, skoro proponuję panu uczciwy interes. – Esch burknął:

– Chodzi o szkodę nie moją, lecz moich przyjaciół... – Proponuję panu możliwość odzyskania tej forsy. – To naturalnie budziło nadzieję i Esch zapytał, jak Teltscher sobie sprawę wyobraża. No cóż, mając teatralne wyposażenie można już coś zacząć, tak mówi też Oppenheimer, a Esch sam przecież widział, że da się trochę zarobić, jeśli tylko weźmie się do rzeczy z pewną zręcznością. – A jak nie? – Wtedy oczywiście nie byłoby innego wyjścia jak zlicytować wyposażenie i zaangażować się gdzieś z Iloną. Esch zamyślił się: taka sprawa? to Teltscher musiałby zaangażować się z Iloną... rzucać nożami?... tak, tak... on musi się zastanowić...

Nazajutrz zasięgnął języka u Oppenheimera, bo wobec Teltschera należało zachować jak najdalej idącą ostrożność. Oppenheimer potwierdził dane Teltschera. – To tak?... Więc musiałby wtedy zaangażować się z Iloną... – Ja zrobię co w mojej mocy, żeby mu załatwić zaangażowanie – powiedział Oppenheimer – bo co innego Teltscher może robić? – Esch skinął głową: – A jak sam weźmie dzierżawę, to będzie potrzebował forsy?...

– A pan nie ma paru tysięcy na zbyciu? – spytał Oppenheimer. Nie, on nie miał. Oppenheimer pokręcił głową: bez forsy nie da rady; może udałoby się kogoś innego

zainteresować tą sprawą... jak by to było na przykład z panią Hentjen, która chce, jak słyhać, sprzedać swoją gospodę i będzie miała kupę pieniędzy. On nie ma na to żadnego wpływu, odpad Esch, ale przedstawi rzecz pani Hentjen.

Zrobi to niechętnie, było to nowe zadanie, ale nie do uniknięcia. Esch czuł się zaatakowany w podstępny sposób. Możliwe, że mimo wszystko Oppenheimer miał konszachty z Teltscherem; dwa Żydy! Czemu takiemu gościowi miałyby nie pozostawać nic innego jak ciskanie nożami? Jak gdyby nie było żadnej przyzwoitej i uczciwej pracy! I co to za bajdurzenie o śmierci i spadku? Zapędzili go w ślepią uliczkę, jakby wiedzieli, że niczego już nie da się przekreślić, jeśli ma się uchronić Ilonę od noży i świat od niesprawiedliwości, jeśli Bertrand miał zostać poświęcony, a portret pana Hentjena usunięty nie na darmo! Nie, niczego już nie można i nie wolno było cofnąć, bo chodziło o sprawiedliwość i o wolność, której nie wypadało powierzać dłużej demagogom, socjalistom i sprzedajnym pismakom. To było zadanie. A to, że musiał ratować forszę dla Lohberga i Erny, wydawało się jakby częścią i jakby symbolem owego wyższego zadania. Nie było ucieczki. Esch ważył konta winien i ma, przeliczał i z liczenia wyszło jednoznaczne rozwiązanie: musi nakłonić matkę Hentjen, żeby jak on oddała się zadaniu.

Skoro uzyskał jasność, odstąpiły go niepewność i gniew. Wsiadł na rower, pojechał do domu i napisał Lohbergowi szczegółową relację o niewiarygodnym i oburzającym występku pana dyrektora Gernertha, dodając, że natychmiast podjął niezawodne starania o odzyskanie wkładów i że prosi o uspokojenie szanownej panny Erny.

Z Ameryki wyszły więc nici. Ostatecznie. Teraz trzeba było zostać w Kolonii. Zatrzasnęły się drzwi klatki. Człowiek był uwięziony. Zgasła pochodnia wolności. Dziwnym trafem nie potrafił złościć się na Gernertha. Winą wypadało obarczyć raczej kogoś większego, kogoś, kto mimo pokusy i nadziei szlachetnie wzgardził ucieczką do Ameryki. Cóż, takie chyba było prawo, chociaż nie sprawiedliwość: kto się poświęca, ten musi najpierw złożyć w ofierze swoją wolność. Niemniej jednak sytuacja pozostawała nieprawdopodobna. Esch powtórzył: – Uwięziony – jak gdyby musiał potwierdzić to sobie samemu. I nieomal w dobrej wierze i tylko w niewielkiej części z nieczystym sumieniem opowiedział matce Hentjen, że podróż do Ameryki muszą tymczasem odłożyć, gdyż Gernerth pojechał naprzód, żeby rozkręcić interes za oceanem.

Matce Hentjen można było w rzeczy samej opowiadać, co się chciało; nie interesowała się nigdy ani zapasami, ani panem dyrektorem Gernerthem, a ze zdarzeń zewnętrznych w ogóle przyjmowała do wiadomości jedynie to, co jej dogadzało. Toteż i teraz usłyszała tylko, że nie dojdzie do budzącego lęk wyjazdu do krainy awanturników, i była to niespodziewanie dla jej duszy jakby ciepła kąpiel uspokojenia, którą musiała najpierw porozkoszować się w milczeniu, zanim powiedziała: – Jutro sprowadzam malarzy, bo robi się zima i ściany porządnie nie wyschną. – Esch był skonsternowany: – Malowanie! Przecież chcesz sprzedać gospodę! – Matka Hentjen wzięła się pod boki: – Nieee, do naszego wyjazdu kawał czasu – każe malować, dom ma być piękny. – Esch ustąpił, wzruszył ramionami:

– Możliwe, że wliczymy to w cenę kupna. – Tak – powiedziała matka Hentjen. Mimo to nie mogła pozbyć się resztek niepewności – kto tam wiedział, czy amerykańskie widmo naprawdę zostało zakłęte – i uważała za rzecz jak najbardziej stosowną, że na dach nad głową i poczucie bezpieczeństwa nie ma co sobie żałować. Toteż Esch i Oppenheimer byli nadzwyczaj przyjemnie zaskoczeni, gdy wystarczyło jedynie trochę perswazji, by pani Hentjen nabrała przekonania, że pod nieobecność Gernertha trzeba sfinansować teatralne przedsięwzięcie; i równie szybko udało się uzyskać jej zgodę na przezornie przyniesiony od razu przez Oppenheimera wniosek o obciążenie hipoteki domu. Interes został ubity i Oppenheimer zarobił 1 procent prowizji.

Takim sposobem matka Hentjen została udziałowczynią nowego przedsięwzięcia teatralnego Teltschera; za pośrednictwem Oppenheimera wzięło się dzierżawę w ruchliwym

Duisburgu i miało się podstawy żywić nadzieję, że matka Hentjen będzie partycypować w pokaźnych zyskach. Esch postawił trzy warunki: po pierwsze, zastrzegł sobie prawo buchalteryjnej kontroli, po drugie, przed wykupieniem wyposażenia teatralnego należało wypłacić Lohbergowi i Ernie zaległe kapitały (co było bardzo słuszne, choć matka Hentjen nie musiała o tym nic wiedzieć), a po trzecie, wymógł on na zdumionych panach Teltscherze i Oppenheimerze kontraktowe zobowiązanie, że z ewentualnych występów żonglerskich zostanie skreślony popisowy numer z rzucaniem nożami. – Wariactwo – powiedzieli obaj panowie; ale Esch się tym nie przejął.

W zasadzie sprawy toczyły się całkiem przyzwoitym trybem. Poniesiona przez matkę Hentjen ofiara związała go z nią na zawsze i jego postanowienie uczyniła nieodwołalnym. Co prawda znienawidzona gospoda nie została jeszcze sprzedana, lecz hipoteka była niejako pierwszym krokiem do zniszczenia przeszłości. A także w zachowaniu matki Hentjen pojawiły się oznaki czegoś, co można było tłumaczyć jako początek nowego żyda. Nie sprzeciwiała się jego planom małżeńskim, tak jak nie sprzeciwiała się hipotece, a jej dusza pełna była łagodności, z którą dotychczas nikt się u niej nie zetknął. Nadeszła wczesna i chłodna jesień, a ona znów chodziła w szarym barchanie i często nie wkładała gorsetu. Nawet jej sztywna fryzura zdawała się rozluźniona; niewątpliwie nie dbała już o swój wygląd zewnętrzny z dawną, schludną starannością i również w tym minione różniło się od teraźniejszego.

Esch człapał po domu. Skoro nie miało się zajęcia i było się uwięzionym, to przynajmniej powinno się to opłacać. W rzeczy samej nowym życiem nie można było tego nazwać. Siedział przy śniadaniu w gospodzie i wciąż jeszcze siedział tam przy kolacji. Matka Hentjen nie szczędziła uwag na temat próżniaka i nicponia, który się tutaj rozsiada, ale karmiła go chętnie. Esch przyjmował jedno i drugie. Studiował swoją gazetę, a czasami przyglądał się widokówkom w ramie lustra; był rad, że nie ma wśród nich żadnej z jego własnym podpisem. I dla przyzwoitości doglądał malarzy i tynkarzy. Matce Hentjen łatwo było mówić. Co ją tam obchodziło nowe życie! W ogóle kobietom jest łatwiej – Esch nie mógł powstrzymać się od śmiechu – one potrafią nosić nowe życie wszędzie, szczególnie pod sercem. Dlatego chyba nie wyrwyją się w nowy świat, mają już wszystko w swoich czterech ścianach, uważają, że wystarczy siedzieć w klatce, by osiągnąć niewinność! Zatem sprzątają, szorują i myślą, że odrobina mechanicznego porządku załatwia sprawę! Nowe życie w klatce? Jak gdyby to było takie proste!

Nie, drobnymi sztuczkami, małymi zmianami nie można było w więzieniu ustanowić nowego życia, stanu niewinności. Z niezmiennym, minionym, ziemskim nie tak łatwo sobie poradzić. Nie zmieniony trwał dom i nie widać było po nim parszywej hipoteki. Nie zmienione trwały ulice, trwały wieże, wokół których świślał jesienny wiatr, i nie czuło się już wcale tchnienia przyszłości. I właściwie trzeba by było podpalić Kolonię ze wszystkich stron, zrównać z ziemią, żeby nie pozostał kamień na kamieniu, ożywiający przeszłość i wspomnienia matki Hentjen. Bo co z tego, że matka Hentjen nosiła teraz włosy mniej starannie uczesane: nieodmiennie paradowała po ulicach i ludzie uchylali kapelusza, a każdy wiedział, czyje nazwisko nosiła. Bóg świadkiem, że to nie tak było pomyślane, gdy w imię poświęcenia wzięło się na siebie jej starzenie się i przekwitanie jej wdzięków. Cóż, gdyby przez noc jej włosy zbieleły, stałaby się od razu zupełnie starą kobietą, która niczego sobie nie przypomina, dla wszystkich nie do poznania, obca, niczym już nie związana z dawnym otoczeniem – cóż, to byłoby nowe życie! I Esch musiał pomyśleć o tym, że każde dziecko postarza matkę i że kobiety bezdzietne nie starzeją się: są nie zmienione i martwe, nie posiadają czasu. Ale oczekując nowego życia są pełne nadziei, że ich czas znów będzie liczony, i jest to zarazem starzenie się i nowe dziewictwo, jest to nadzieja na stan niewinności wszystkiego, co żywe, przedsen śmierci, a jednak nowe życie, królestwo wybawienia w starym świecie. Słodka, nigdy nie spełniona nadzieja.

Prawdę mówiąc nie byłoby to w guście matki Hentjen. Nazwałaby to anarchicznymi pomysłami. Może nawet słusznie. Człowiek po prostu ma rewolucyjne myśli, wygłasza rewolucyjne zdania, kiedy trafi do więzienia. Sam nie wie, że tak jest. Esch wchodził na górę, schodził na dół, kłął na dom, kłął na schody, kłął na rzemieślników. Ładnie tu wyglądało nowe życie! Jasna plama na ścianie, gdzie wisiał kiedyś portret szynkarza, została zamalowana, tak że można było teraz sądzić, iż portret zdjęto jedynie ze względu na malowanie. Z żadnego innego powodu. Esch wlepił oczy w ścianę. Nie, to, co się tutaj zaczynało, to wcale nie było nowe życie, przeciwnie, czas miał zostać cofnięty. Ta kobieta przecież wręcz dążyła do przekreślenia i unieważnienia wszystkiego. I któregoś dnia zeszła z góry do lokalu, zdyszana i spocona od sprzątanania po malarzach, a jednak zadowolona: – Uff, nie do wiary, jak bardzo dom potrzebował tego remontu. – Esch spytał roztargniony: – Kiedy był ostatnim razem odnawiany? – ale nagle zaświtało mu, że musiało to być z okazji jej ślubu z Hentjenem; walnął w stół, aż talerze zabrzęczały, krzyknął: – Kłatkę zawsze tylko wtedy się maluje, jak się wsadza nowego ptaka! – Niewiele brakowało, a sprząby ją na środku lokalu. Dość miał tego, że go zmuszała do oglądania się wstecz, do ciągłego patrzenia w przeszłość. Przy tym wymagała jeszcze, żeby zabiegał o jej względy; bo do zamążpójścia zdawało się jej wcale nie spieszyć. Wszędzie na nowo wdzierały się nieodparcie dawne nawyki.

I dość wyraźnie w nurcie całego jej nowego wygodnictwa i łagodności płynęła szeroka struga zasiedziałości i wszystko przemawiało za tym, że ona nie tylko zamierzała podjąć dawne życie i kontynuować je po wszystkie czasy, lecz też jakby chciała zepchnąć miłość wraz z kochankiem do rangi drugorzędnej ozdoby, czegoś w rodzaju malowania w domu swego życia. Usiłowała nawet ograniczyć ową półoficjalną poufałość, którą go obdarzyła poniekąd pod zastaw ich związku. Kiedy jechał do Duisburga, żeby sprawdzić rozliczenia Teltschera, nie znajdowała ani słowa uznania, a kiedy zaprosił ją, żeby z nim pojechała, nazwała to bezczelnością i pozostawiła mu wolną rękę, gdyby chciał tam od razu zostać: tam bowiem byłby na swoim miejscu.

Matka Hentjen miała rację! Również tym razem! Słusznie pokazywała mu, że jest w jej domu ni mniej, ni więcej tylko ledwie tolerowanym obcym sierotą, kimś, z kim nie może być jakiegokolwiek wspólnoty. A mimo wszystko nie miała racji! I to może było najgorsze. Bo zza na pozór uzasadnionego odtrącania, zza na pozór sprawiedliwej kary wzywał wciąż na nowo dawny, nedorzeczny strach, że i on – on, August Esch! – mógłby chcieć się żenić jedynie dla jej pieniędzy. Ujawniło się to znów bardzo wyraźnie, gdy nadeszły dokumenty hipoteczne; wtedy matka Hentjen najpierw jakiś czas grzebała obrażona w papierach, a w końcu powiedziała z wyrzutem: – Szkoda, że procenty są takie wysokie... mogłabym to bez kłopotu pokryć z moich oszczędności – przez co okazało się jasno jak na dłoni, że miała ciche rezerwy i wołała je zataić, ba, wołała wziąć hipotekę, niż zaznajomić go ze stanem rzeczy. Nie mówiąc już o prawdziwej buchalteryjnej kontroli. Cóż, taka była ta kobieta. Niczego się nie nauczyła, nie wiedziała nic o królestwie wybawienia, nie chciała nic o nim wiedzieć. A nowe życie to były dla niej puste słowa. Och, znów dążyła do owej rzeczowej i pouczającej formy miłości, której w swoim czasie uległ i której nie mógł już znieść; była to cyrkulacja, z której nie dało się wyrwać. Nieuchronnie, niezmiennie trwało minione. Nienaruszalnie. I choćby nawet zniszczyć całe miasto – zmarli pozostawali przepotęźni.

Na dodatek pojawił się jeszcze Lohberg. Nie krył nieufności, ponieważ wypłacony został jedynie kapitał, nie zaś obiecywane zyski. Takich akurat żądań jeszcze Eschowi brakowało. Wszelako gdy idiota trochę zmieszany, a przecież z pewną dumą napomknął, że dla nich liczy się każdy grosz, bo Erna niedługo się spodziewa i trzeba poważnie zakrzętnąć się wokół ślubu, zabrzmiało to dla Escha jak głos z tamtego świata i wiedział, że ofiara jeszcze się nie dopełniła. Mała i nędzna nadzieja, że to dziecko, od którego już się był odżegnał, mogłoby jednak być dzieckiem Lohberga, zgasła w niezmiernie pewności pokuty naznaczonej miłości doskonałej, na którą się zdecydował, naznaczonej na odkupienie bezczelności, w której groźnie

pobrzękiwało morderstwo, rzucając na tę miłość przekleństwo bezpłodności, podczas gdy dziecko poczęte w grzechu i bez miłości urodzi się niechybnie. I chociaż bardzo był zły na matkę Hentjen, która nie wiedziała o niczym i myślała tylko o malowaniu swego domu zamiast dzielić jego przerażenie, łaknął takiej pokuty, a pragnienie, żeby matka Hentjen podniosła rękę dla zabicia go, znowu bardzo przybrało na siłę. Niemniej jednak musiał pogratulować Lohbergowi i ściskając mu ręce powiedział: – Pieniądze z zysku zostaną wypłacone jak najprędzej... na chrzciny. – Cóż innego mu pozostawało? Przesunął rękę po krótkich, sztywnych włosach i na dłoni pozostało chłodne szczypanie. Od Lohberga dowiedział się również, że Ilona niebawem przeniesie się do Duisburga. I postanowił, że od najbliższego pierwszego księgi Teltschera mają być co miesiąc przysyłane do kontroli do Kolonii.

Tak, cóż innego mu pozostawało? Wszystko przecież było w porządku. Erna urodzi ślubne dziecko, on ożeni się z matką Hentjen, a lokal zostanie świeżo pomalowany i wyłożony brązowym linoleum. I nikt nie przeczuwał, co też to się kryło pod pięknymi pozorami, nikt nie wiedział, przez kogo zostało zrobione dziecko, które będzie nosiło nazwisko Lohberga, i że miłość doskonała, w której szukał ratunku, to nic innego jak bujda na resorach, zwykłe oszukaństwo mające zatuszować fakt, że on miotał się tutaj jako pierwszy lepszy następca krawczyny, miotał się w tej klatce jako ktoś, kto myślał o ucieczce i dalekiej wolności, a mógł tylko szarpać kraty. Ciemniało coraz bardziej i nigdy nie rozjaśnia się mgły po tamtej stronie oceanów.

Często stronił teraz od domu, stał się on ciasny i obcy. Włóczył się nad brzegami, oglądał rzędy szop, patrzył za statkami, które z wolna płynęły w dół rzeki. Dochodził do Mostu Reńskiego, włókł się dalej do prezydium policji, do opery, docierał do Volksgartenu. Stać na ławce – mając przed sobą dziewczyny z tamburynami – i śpiewać, tak, to by chyba było właściwe, śpiewać o uwięzionej duszy, która zostaje wyzwolona dzięki sile zbawczej miłości. Może idioci z Armii Zbawienia mieli i rację, że przede wszystkim trzeba znaleźć drogę do prawdziwej, doskonałej miłości. Nawet pochodnia wolności nie zdoła chyba doprowadzić swym blaskiem do wybawienia, przecież tamten mimo wszelkich możliwych podróży do Ameryki i do Włoch nie został wybawiony. Szachrajstwami po prostu nic się nie wskóra, człowiek pozostaje osierociały, pozostaje marznąć w śniegu, czekając, że łaska miłości łagodnie spłynie. Wtedy, tak, wtedy może też spłynąć cud, cud doskonałego spełnienia. Powrót sieroty. Cud podwojenia świata i losu – i dziecko, za które tamten odszedł, nie było dzieckiem Erny, lecz dzieckiem jej, która mimo wszystko będzie nosić prawdziwe nowe życie! Wkrótce będziemy mieli śnieg, miękki, puszysty śnieg. A uwięziona dusza będzie wybawiona, alleluja, będzie stała na ławce, wyżej niż ten, który zazwyczaj stał o tyle wyżej. I tę, która za jego sprawą miała zostać matką, nazwał w duchu po raz pierwszy jej imieniem: Gertruda.

Wracając do domu patrzył w jej twarz. Twarz była zimna, a jej usta wyliczały wiernie, co też to przed południem ugotowała. I jeśli August Esch akurat nie odczuwał wielkiego apetytu, to się odwracał. Ciarki go przechodziły i nieuchronnie zdawał sobie sprawę, że jej łono było martwe albo że co gorsza musiałyby wydać potworka. Zbyt był pewny przekleństwa, zbyt pewny morderstwa, jakiego zmarły dopuścił się, dopuszcza się na kobiecie. Znowu pytanie sprawiało taki ból, że nie śmiał go zadać... czy dzieci nie były im sądzone, czy też oddawali się jedynie swojej żądzy? Jego pożądliva złość na matkę Hentjen rosła i znowu nie mógł nazywać jej imieniem, którym zwracał się do niej zmarły, ba, przysiągł sobie, że nie wypowie tego imienia, dopóki ona nie pojmie, o co chodziło. Ona jednak nie pojmowała. Przyjmowała go miękko i rzeczowo i pozostawiała go samego w jego samotności. Starał się ustępować losowi: może nie szło o dziecko, lecz istotna powinna być jej gotowość i on czekał na tę gotowość. A i tutaj ona pozostawiała go samego i kiedy on, żeby ją pobudzić, napomykał, że po ślubie będą chcieli mieć dzieci, odpowiadała sucho i rzeczowo „tak”, ale nie dawała mu

tęgo, czego oczekiwał, i podczas ich nocy nie krzyczała, że ma jej zrobić dziecko. Bił ją, ale ona nie pojmowała i pozostawała niema. Aż doszedł do przekonania, że i to na nic by się nie zdało; wówczas zbudziłyby się wątpliwości nie do odparcia, czy tak samo nie błagała o dziecko pana Hentjena, i dziecko, którego pragnął być ojcem, byłoby w jej łonie takim samym przypadkiem jak to z nasienia Hentjena. Żadnej pomocy nie może kobieta udzielić mężczyźnie w udręce wątpliwości nie do rozproszenia. I choćby nie wiedzieć jak się dręczył, ona musiała godzić się z tym bez zrozumienia: mimo to kiedy ją prał, było to już całkiem pozbawione siły, było niejako raczej symbolem i napomknieniem. Jego bunt osłabł.

Bo Esch przekonał się, że w rzeczywistości nigdy nie może być spełnienia, przekonywał się coraz bardziej, że nawet najodleglejsza dal znajdowała się w obrębie rzeczywistości, a wszelka ucieczka, aby tam szukać ratunku przed śmiercią, spełnienia i wolności, nie miała sensu – i nawet dziecko, gdy wyjdzie z brzucha matki, nie znaczy nic więcej niż przypadkowy krzyk rozkoszy, z którym zostało poczęte, przebrzmiewający i dawno rozproszony krzyk, który nie ma żadnej mocy dowodowej dla istnienia tego z kochanków, którego dotyczył. Obce jest dziecko, tak obce jak miniony dźwięk, obce jak minione, obce jak martwy i śmierć, nieczułe i wyzbyte treści. Bo ziemskość jest niezmienna, choćby z pozoru się zmieniała, i gdyby nawet cały świat narodził się na nowo, w ziemskich okolicznościach mimo śmierci wybawiciela nie uzyskałby stanu niewinności, nie osiągnąłby go przed końcem czasu.

Wprawdzie takie przekonanie nie było zbyt wyraźne, jednakże wystarczyło, by skłonić Escha do tego, że urządził się w swym ziemskim, kolońskim życiu, szukał przyzwoitej posady i zajmował się swymi interesami.

Dzięki dobrym świadectwom, jakie posiadał, znalazł godniejszą i bardziej odpowiedzialną pracę niż kiedykolwiek przedtem i ponownie zaskarbił sobie całą dumę i podziw, jakie miała dla niego w zanadrzu matka Hentjen. Kazała wyłożyć salę gospody brązowym linoleum i teraz, skoro niebezpieczeństwo emigracji zostało chyba ostatecznie zażegnane, sama zaczęła mówić o amerykańskich zamkach na lodzie. On przystawał na to, częściowo dlatego iż czuł, że ona takimi rozmowami chce mu sprawić przyjemność, częściowo z poczucia obowiązku: bo choćby miał Ameryki nigdy nie zobaczyć, drogi wiodącej do niej już nie opuści, nie zawróci, mimo niewidzialnego, który podąża z włócznią, gotów dźgnąć, a wiedza, zawieszona pomiędzy pragnieniem a przecuciem, mówiła mu, że ta droga to jedynie symbol i aluzja do wyższej drogi, która trzeba podążać w rzeczywistości i dla której tamta jest jedynie ziemskim odbiciem, płynnym i niepewnym jak obraz w mrocznym stawie. Wszystko to nie było dla niego w pełni jasne, ba, nie dysponował nawet słowem na określenie duchowości, w której należałoby szukać spełnienia i absolutu. Ale przekonał się, że był to ślepy przypadek, jeśli zgadzało się zsumowanie kolumn, toteż miał prawo patrzeć na ziemskość bądź co bądź jakby z wyższego szczebla, jakby z jaśniejszego zamku, który wznosi się ponad równiną, odcięty od świata, a przecież zwierciadlanie nań otwarty, i często można było sądzić, że przeszłe czyny, słowa i zdarzenia to nic innego jak spektakl na słabo oświetlonej scenie, przedstawienie, które idzie w zapomnienie i nigdy się nie odbyło, minione, którego nikt nie może się uchwycić nie powiększając ziemskiego cierpienia. Bo wciąż zawodzi spełnienie w rzeczywistości, ale droga tęsknoty i wolności jest nieskończona i nie do przemierzenia, jest wąska i ekscentryczna jak szlak lunatyka, choć jest to droga, która wiedzie w rozwarte ramiona ojczystej ziemi i na jej dyszącą pierś. Zatem Esch był obcy w swej miłości, a jednak z ziemskością bardziej obeznany niż dawniej, tak że nie miało to żadnych skutków i pozostało właściwie w sferze niezemskości, kiedy w imię sprawiedliwości trzeba było jeszcze załatwić parę ziemskich spraw dla Ilony. Rozmawiał z matką Hentjen o wolnej Ameryce, sprzedaży gospody i ślubie jak z dzieckiem, którego wolę chętnie się spełnia, i nieraz mógł ją znów nazywać Gertrudą, choćby w owe noce, kiedy to pogrążał się w niej, była dla niego bezzienna. Szli ręką w rękę, wszelako każde swoją własną i bezkresną drogą. Gdy potem wzięli ślub i gospoda została sprzedana o wiele za tanio, były to przystanki na drodze

symbolu, jednakże przystanki na drodze zbliżania się do tego, co wyższe i wieczne, a co, gdyby Esch nie był wolnomyślicielem, można by nawet nazwać boskim. Ale on mimo to wiedział, że tu, na ziemi, wszyscy musimy podążać naszym szlakiem o kulach.

Kiedy zbankrutował teatr w Duisburgu i Teltscherowi z Iloną znów groziło, że zostaną bez środków do życia, Esch i jego żona włożyli niemal całą resztę swego majątku w przedsięwzięcie teatralne i wkrótce stracili pieniądze ostatecznie. Ale Esch znalazł teraz posadę starszego buchaltera w dużym przedsiębiorstwie przemysłowym swej luksemburskiej ojczyzny i małżonka podziwiała go z tego powodu jeszcze bardziej. Szli ręką w rękę i kochali się. On czasem bił ją jeszcze, ale zdarzało się to coraz rzadziej, a w końcu w ogóle ustało.

1918

Huguenau, czyli rzeczowość

Huguenau, którego przodkowie nazywali się zapewne Hugueneau, póki w roku 1682 ziemi alzackiej nie zajęły wojska Kondeusza, miał wygląd w każdym calu mieszczkańskiego Alemana. Tęgi i krępy, nosił okulary od młodych lat, a ściślej mówiąc od owych czasów, kiedy to w Schlettstadt pobierał nauki w szkole handlowej, gdy zaś w chwili wybuchu wojny zbliżał się do trzydziestki, z jego twarzy i zachowania zniknęły wszelkie znamiona młodzieńczości. Prowadził interesy w Badenii i w Wirtembergii, po części kierując filią ojcowskiego przedsiębiorstwa (André Huguenau, Tekstylija, Kolmar, Alz.), po części na własny rachunek i jako przedstawiciel alzackich fabryk, których wyroby rozprawdzał w tym rejonie. W kołach fachowych miał opinię rzutkiego, roztropnego i solidnego kupca.

Z pewnością etos kupiecki skłaniałby go raczej ku bliższemu wymogom czasu handlowi pokątnemu niż ku wojennemu rzemiosłu. Ale bez szemrania pogodził się z faktem, gdy w 1917 nie zważając wcale na znaczną krótkowzroczność powołano go pod tak zwaną broń. Wprawdzie jeszcze podczas szkolenia w Fuldzie udało mu się ubić ten czy inny tytoniowy interes, lecz dość szybko poniechał tych praktyk. Nie tylko dlatego, że służba odbierała mu siły czy ochotę na wszystkie inne rzeczy. Jakże było przyjemnie nie musieć myśleć o niczym innym; budziło się dalekie wspomnienie szkolnych czasów: uczeń Huguenau (Wilhelm) pamiętał jeszcze uroczystość rozdania końcowych świadectw w schlettstadzkiej uczelni i wyraziste słowa, jakimi wówczas dyrektor wyprawiał na trudy życia zapalonych do handlu młodzieńców, na trudy życia, z którymi człowiek dotychczas zupełnie dobrze sobie radził i które musiał teraz porzucić na rzecz nowych szkolnych czasów. Znowu zważyło się na niego cale mnóstwo obowiązków, o których przez wiele lat sądził, że poszły w zapomnienie, był traktowany jak uczeń, obrzucany wrzaskliwymi wyzwiskami, miał podobny jak w młodości stosunek do wychodków i zbiorowego z nich korzystania; również żarcie stało się znów ośrodkiem zainteresowania, a oddawanie honorów i ambitne dążenia, w które człowieka wplątywano, nadawały całości piętno zupełnego infantylizmu. Ponadto było się zakwaterowanym w budynku szkolnym i przed zaśnięciem widziało się dwa rzędy lamp z zielono-białymi abażurami nad sobą i czarną tablicę, którą pozostawiono w sali. Przez to wszystko czasy wojny i młodości zmieszały się w nierozdzielalną jedność i również gdy batalion wyruszył wreszcie na front, śpiewając dziecinne piosenki i przystrojony chorągiewkami, zajmując prymitywne kwatery w Kolonii i w Liège, fizylier Huguenau nie mógł uwolnić się od wrażenia, że jest na szkolnej wycieczce.

Któregoś wieczora jego kompanię skierowano na linię walki. Był to umocniony kompleks okopów, do którego musieli dojść długimi, zabezpieczonymi rowami łączącymi. W schronach panował bezprzykładny brud, podłoga była usiana śladami zaschniętej i świeżej tytoniowej płwociny, ściany miały zacieki od uryny, czy to cuchnęło fekaliami, czy trupami, nie sposób było rozróżnić. Huguenau był zbyt zmęczony, żeby to, co widział i czego zapach czuł, rzeczywiście sobie uprzytomnić. Już biegnąc truchtem, jeden za drugim, rowem łączącym mieli chyba poczucie wypędzenia spod osłony koleżeństwa i solidarności i chociaż bardzo zobojętnieli na niedostatek jakiegokolwiek czystości, chociaż niezbyt im brakowało cywilizacyjnych zdobyczy, którymi człowiek usiłuje bronić się przed zapachami śmierci i gnicia, chociaż to przewyciężanie wstrętu stanowi zawsze pierwszy stopień do bohaterstwa – wskutek czego powstaje osobliwe powiązanie z miłością – chociaż trwoga dla niejednego z nich przez długie lata wojny stała się zwyczajną rzeczywistością, chociaż szykowali sobie leże wśród przekleństw i dowcipów, to nie było takiego, który by nie wiedział, że jako

samotny człowiek z samotnym życiem i samotną śmiercią został tutaj wystawiony na przemożny bezsens, na bezsens, którego nie mogli pojąć nazywając go co najwyżej zasraną wojną.

Wówczas rozmaite sztaby generalne donosiły, że na odcinku flandryjskim panuje całkowity spokój. Także zluźwana kompania zapewniała ich, że nic się nie dzieje. Mimo wszystko po zapadnięciu ciemności zaczęła się obustronna kanonada z dział, bądź co bądź dostatecznie nieprzyjemna, aby nowo przybyłych pozbawić wszelkiego snu. Huguenau siedział na swego rodzaju pryczy, miał bóle brzucha i dopiero po dłuższym czasie spostrzegł, że drży na całym ciele i szczeka zębami. Inni nie mieli się lepiej. Jeden beczał. Starzy natomiast śmiali się: już nowi się do tego przyzwyczajają, to taka pukanina dla hecy, jaką co noc urządzają sobie baterie, nie ma żadnego znaczenia; i nie troszcząc się więcej o mięczaków chrapali w najlepsze już po paru minutach.

Huguenau chętnie by się poskarżył: wszystko to odbywało się wbrew umowie. Czując się słabo i podle łaknął powietrza i gdy drżenie w kolanach ustało, powlókł się na nogach jak z waty do wejścia do schronu, przycupnął tam na skrzyni i wlepił puste oczy w fajerwerkowe niebo. Raz po raz ukazywał mu się obraz Pana z uniesioną dłonią ulatującego ku niebu w pomarańczowym obłoku. Potem przypomniał sobie Kolmar i jak to kiedyś jego klasę zaprowadzono do muzeum i zanudzano objaśnieniami; ale przed obrazem, który stał na środku jak ołtarz, dopadł go lęk: ukrzyżowanie, a on nie lubił ukrzyżowań. Przed paru laty, kiedy to musiał któregoś razu między wizytami u klientów zmitrężyć niedzielę w Norymberdze, zwiedził katownię. To było interesujące! I mieli tam też mnóstwo obrazów. Na jednym widać było mężczyznę, przywiązanego łańcuchem do czegoś w rodzaju pryczy, który – jak głosił opis – zamordował pastora w Saksonii wieloma ciosami sztyletu i za to teraz na tej pryczy oczekiwał na karę łamania kołem. O tym, jak przebiegało to łamanie, można było dowiedzieć się szczegółowo dzięki innym eksponatom. Mężczyzna miał nadzwyczaj dobroduszny wygląd i fakt, że ten człowiek zasztyletował pastora i został skazany na łamanie kołem, był tak samo niewyobrażalny jak to, że samemu miało się trwać tutaj na pryczy w trupim odorze. Z pewnością mężczyzna również cierpiał na bóle brzucha i będąc przywiązany łańcuchem musiał się sfajdać. Huguenau splunął i powiedział: – Merde!

Tak to Huguenau siedział u wejścia do schronu niczym sztyldwach; głowę oparł o węgar, postawił kołnierz płaszcz, już nie marzył, nie spał i też nie czuł. Katownia i schron wtapiały się coraz bardziej w brudnawę, choć lśniące barwy owego Griinewaldowego ołtarza, a podczas gdy w migoczącym pomarańczowym blasku armatnich fajerwerków i rakiet świetlnych gałęzie nagich drzew wyciągały ramiona do nieba, ku promieniście otwierającej się kopule szybował mężczyzna z uniesioną dłonią.

Kiedy pierwszy świt począł szarzeć zimno i ołowianie, Huguenau dojrzał na skraju okopu kępki trawy i kilka zeszłorocznych stokrotek. Wtedy wypełził i oddalił się. Wiedział, że z linii angielskich mogą go ustrzelić bez trudu i że po niemieckich posterunkach musiałby także spodziewać się odpowiednich nieprzyjemności. Ale świat spoczywał jakby pod zbiornikiem próżniowym – Huguenau musiał pomyśleć o kloszu do sera – świat spoczywał szary, zrobaczywiał i całkiem martwy w niezłomnym milczeniu.

Pośród przejrzystego powietrza, które przygotowuje wiosnę, dezterter ciągnie bez broni przez belgijską krainę. Z pośpiechu nic by mu nie przyszło, bardziej przydaje się roztropna ostrożność, a broń by go nie chroniła; idzie on poniekąd jako człowiek nagi pomiędzy siłami przemocy. Jego szczerą twarz lepiej go chroni niż broń, pospieszna ucieczka czy fałszywe papiery.

Belgijscy chłopcy to faceci nieufni. Cztery lata wojny nie uszlachetniły ich charakteru. Ich zboże, ich ziemniaki, ich konie i krowy musiały w to wierzyć. A jeśli dezterter chce uciec do nich, to przyglądają mu się podwójnie nieufnie, czy to nie ten gość, co kiedyś kolbą karabinu dobijał się do bramy. I choć taki mówi znośną francuszczyzną i podaje się za Alzaticzka, w dziewięciu na dziesięć wypadków niewiele mu to pomaga. Biada temu, kto wędruje przez wieś jedynie jako smutny i wymagający pomocy zbieg. Kto jednak, jak Huguenau, rzuci prędko celny żart, kto wkracza do zagrody z rozpromienioną twarzą, ten łatwo dostanie legowisko na strychu, ten może siedzieć wieczorem z rodziną w ciemnej izbie i opowiadać o zbrodniach Prusaków, o tym, co wyprawiali w Alzacji, zyska uznanie, otrzyma też swoją część ze skąpych, ukrywanych zapasów i jeśli ma szczęście, to dziewczka odwiedzi go, obcego, na sianie.

Wszelako jeszcze korzystniej jest dostać się na plebanię i Huguenau rychło zorientował się, że może w tym człowiekowi pomóc spowiedź. Odbywał ją po francusku, zręcznie splatając grzech złamania żołnierskiej przysięgi z opowieścią o swym godnym pożałowania losie. Jednakże nie zawsze było to przyjemne; raz trafił na proboszcza, chudego, wysokiego mężczyznę o tak ascetycznym i fanatycznym wyglądzie, że wieczorem po spowiedzi nie śmiał zająć na plebanię, a gdy zobaczył tego surowego człowieka przy wiosennych pracach w sadzie, najchętniej by odszedł. Lecz ksiądz podszedł szybko do niego, rozkazał szorstko: – *Suivez-moi* – i zaprowadził do domu.

Ulokowany w izdebce na poddaszu Huguenau mimo lichego wiktów pozostał około tygodnia na plebanii. Przywdziawszy niebieską bluzę pracował w sadzie; budzono go na mszę i wolno mu było jadać z małomównym proboszczem przy stole w kuchni. Na temat jego ucieczki nie padła żadna wzmianka i całość była jakby okresem próby, który Huguenauowi nie bardzo przypadł do gustu. Nosił się już nawet z myślą, żeby mimo względnego bezpieczeństwa porzucić schronienie i kontynuować niebezpieczną wędrówkę, gdy w jego izdebce – był to ósmy dzień od przybycia – pojawiło się cywilne ubranie. Niech on je sobie weźmie, powiedział proboszcz, i niech wybierze, czy chce odejść, czy zostać; tylko że on, proboszcz, nie może go dłużej żywić, bo chleba nie starcza. Huguenau zdecydował się na dalsze wędrowanie i począł wygłaszczać dziękczynną orację, ale ksiądz mu przerwał: – *Haissez les Prussiens et les ennemis de la sainte religion. Et que Dieu vous bénisse.* – Uniósł dwa błogosławiące palce, zrobił znak krzyża, a oczy w jego kościstej chłopskiej twarzy patrzyły pełne nienawiści w dal, w której domyślał się obecności Prusaków i protestantów.

Opuszczając plebanię Huguenau zdawał sobie sprawę, że teraz należało ułożyć porządną plan ucieczki. O ile przedtem wałęsał się często w pobliżu stanowisk wyższego dowodzenia, gdzie mógł dać nura w tłum żołnierzy, o tyle obecnie stało się to niemożliwe. W gruncie rzeczy ciążył mu cywilny strój; był jakby upomnieniem, żeby wrócić do bytowania w pokoju i codzienności, a to, że włożył go na rozkaz klechy, wydawało mu się teraz głupotą. Była to nieuprawniona ingerencja w jego życie prywatne, a on to prywatne życie naprawdę drogą okupił. Aczkolwiek nie uważał się już za członka cesarskiej armii, jako dezterter był jednak z

tą armią związany w sposób osobliwy, chciałoby się rzec: negatywny i na pewno był uczestnikiem wojny, której istnienie aprobował. Nigdy też nie mógł znieść, kiedy ludzie w kantynach i gospodach psioczyli na wojnę albo twierdzili, że gazety zostały kupione przez Kruppa, aby przedłużyć wojnę. Bo Wilhelm Huguenau był nie tylko dezertorem, lecz także kupcem i podziwiał wszystkich fabrykantów, ponieważ wytwarzają towary, którymi reszta ludzi handluje. Jeśli więc Krupp i potentaci węglowi kupowali gazety, to wiedzieli, co robią, i było to ich dobrym prawem, tak jak jego dobrym prawem było noszenie munduru, jak długo mu się podobało. Nic więc nie mogło przemawiać za tym, by wracać w głąb kraju, dokąd najwidoczniej chciał go wysłać klecha wraz ze swoim cywilnym ubraniem, nic nie przemawiało za tym, by wracać w rodzinne strony, w których nie było wakacji i które oznaczały powszedniość.

Toteż pozostawał na tyłach frontu. Zwrócił się na południe, unikał miast, odwiedzał wsie, szedł przez Hainaut, dotarł do Ardenów. Wówczas wojna postradała już sporo pryncypialności i dezertarów nie ścigano już tak zawzięcie jak niegdyś – było ich zbyt wielu i nie chiano się do tego przyznać. Ale to jeszcze nie tłumaczy faktu, że Huguenau nie nagabywany wydostał się z Belgii; w dużo większym stopniu można to przypisać lunatycznej pewności, z jaką poruszał się w tej niebezpiecznej strefie: podążał przed siebie w przejrzystym powietrzu przedwiośnia, podążał jakby pod kloszem pełen niefrasobliwości, odseparowany od świata, a przecież w nim obecny, i niczym się nie przejmował. Z Ardenów wkroczył na ziemię niemiecką, znalazł się w ponurej Eifel, gdzie królowała jeszcze zima i ciężko się szło. Mieszkańcy nie troszczyli się o niego, byli opryskliwi i skryci, nienawidzili każdej gęby, która chciała odebrać im tę odrobinę jedzenia. Huguenau musiał korzystać z kolei, musiał uszczknąć coś z pieniędzy, których dotychczas oszczędzał. Trudy życia wyłoniły się przed nim w nowej, zmienionej formie. Musiało się coś stać, aby zabezpieczyć i przedłużyć czas wakacji.

Miasteczko otoczone winnicami leżało w bocznej dolinie Mozeli. Grzbiet wzniesienia porastał las. Winnice były już uprawione, rzędy palików ciągnęły się pod sznurek, tu i ówdzie przerywane przez czerwonawą skałę. Huguenau zauważył z dezaprobatą, że niektórzy właściciele nie wykarczowali zielska na swojej parceli i że taka zaniedbana winnica wyglądała jak żółta, prostokątna wyspa pomiędzy szaroróżową ziemią pozostałych.

Po ostatnich dniach zimy w położonej bardziej na północ Eifel raptem nastąpiła prawdziwa wiosna. Jakby na znak niezniszczalnego porządku i przyzwoitości uśmiechnięte słońce wlewało w serce błogie zadowolenie i lekką pewność; jeśli usadowił się tam strach, to oddychając z ulgą można było się go pozbyć. Z satysfakcją patrzył Huguenau na okazały budynek szpitala okręgowego pod miastem, którego długi front spoczywał w ciepłym przedpołudniowym cieniu, uznał za stosowne, że jak w sanatorium na południu wszystkie okna były otwarte, i mile było mu wyobrażenie, że lekki wiosenny powiew przeciąga przez sale chorych. Uznał też za słuszne, że dach szpitala był opatrzony dużym czerwonym krzyżem, przechodząc życzliwym okiem spoglądał na wojaków, którzy odziani w szare kitle powracali do zdrowia częściowo w cieniu, częściowo w ogrodowym słońcu. Za rzeką stały koszary, wzniesione w charakterystycznym urzędowym stylu, stała przypominająca klasztor budowla, o której Huguenau dowiedział się później, że była więzieniem. Ale droga opadała przyjemnie i łagodnie ku miastu i przechodząc przez średniowieczną bramę miejską, z fibrową walizką w ręce, jak dawniej z walizką próbek, Huguenau nie miał niemilego wrażenia, że zbytnio przypominało to wchodzenie do wirtemburskich miejscowości, do których niegdyś wkraczał – jak to było dawno – aby odwiedzić klientów.

Na widok starodawnych ulic musiał także przypomnieć sobie ów dzień wymuszonych wakacji w Norymberdze. Tu, na ziemi trewirskiej, wojna o sukcesję Palatynatu nie szalała tak bezlitośnie jak gdzie indziej na zachód od Renu; nietknięte stały kamienice z XV i XVI wieku, nietknięty stał w rynku gotycki ratusz z renesansową nadbudówką i wieżą, a przed nim pręgierz. I choć Huguenau podróżując w interesach odwiedził już niejedno piękne stare miasto, ale żadnego nie zauważył, tym razem owładnęło go uczucie, wprawdzie nie znane, którego nie umiałby ani nazwać, ani wywieść od jakiegoś początku, a które jednak wydawało się mu osobiście swojskie: gdyby ktoś określił je mianem uczucia estetycznego lub takiego, które ma swoje źródło w wolności, zaśmiałyby się z niedowierzaniem, zaśmiałyby się jak ktoś, kogo nigdy jeszcze nie tknęło przecucie piękna świata, i miałyby o tyle rację, że nikt nie potrafi rozstrzygnąć, czy to za sprawą wolności dusza otwiera się na piękno, czy też piękno obdarza duszę przecuciem wolności, ale mimo wszystko byłby w błędzie, gdyż i dla niego musi istnieć głębsza ludzka wiedza, ludzka tęsknota do wolności, w której zaczyna się całe światło świata i z której wyrasta coniedzielne uświęcenie tego, co żywe – a ponieważ jest tak i nie będzie inaczej, być może to w owej chwili, kiedy Huguenau wyczołgał się z okopu i pierwszy raz uwolnił się od ludzkich zobowiązań, padło na niego lśnienie wyższego blasku, który jest wolnością, stało się również jego udziałem, on zaś po raz pierwszy został ofiarowany niedzieli.

Porzuciwszy tego rodzaju medytacje Huguenau zajął pokój w hotelu przy rynku. Jak gdyby raz jeszcze delektując się swymi wakacjami urządził sobie ekstra wieczór. Wino mozelskie było podawane bez kartek i mimo wojny pozostało wyśmienitym napitkiem. Huguenau wytrąbił trzy dzbanuszki i pora zrobiła się późna. Przy różnych stolikach siedziały mieszcuchy, Huguenau do nich nie należał; co pewien czas rzucił im przelotne pytające

spojrzenie. Wszyscy oni mieli swoje zajęcia i interesy, a on nie miał nic. Niemniej jednak był pogodny i zadowolony. Sam się sobie dziwił: nie miał na oku żadnego interesu, a mimo to był zadowolony! Tak zadowolony, że chętnie zatrzymał się nad myślą o mnóstwie trudności, jakie wyłoniłyby się nieuchronnie, gdyby taki człowiek jak on, człowiek bez dokumentów, bez stałej klienteli, chciał w obcym mieście założyć interes i uzyskać kredyt. I odmalowywanie sobie tych kłopotów było nadzwyczaj zabawne. Możliwe, że zawiniło tu wino. W każdym razie kładąc się do łóżka z ciężką głową Huguenau czuł się nie jak zgnębiony troskami komiwojazer, lecz jak wesoły i lekko podpity turysta.

Kiedy murarza i rezerwistę Ludwiga Gödickego wygrzebano z zasypanego okopu, jego usta otwarte do krzyku były wypełnione ziemią. Twarz była sina i czarniawa, bicia serca nie dawało się wyczuć. Gdyby dwaj sanitariusze, którym wpadł w ręce, nie założyli się o jego śmierć i jego życie, od razu by go z powrotem pogrzebano. To, że miał na nowo oglądać słońce i osłoneczniony świat, zawdzięczał owym dziesięciu papierosom, które stanowiły wygraną w zakładzie.

Ze sztucznym oddychaniem ci dwaj co prawda nie bardzo sobie poradzili, chociaż namęczyli się i napocili zdrowo; ale zabrali go i dobrze pilnowali, często mu też wymyślali, bo ani rusz nie chciał wyjawić zagadki swego życia, która była tu zagadką jego śmierci, i nie omieszkali podsunąć go lekarzom. Toteż przedmiot ich zakładu leżał cztery dni w połowym lazarecie, leżał nieruchomo, z czarną skórą. Czy przez ten czas tliło się uczucie szczątkowego, drzemiącego, słabego życia, czy to nikle życie wśród bólu i zmór poddane zostało gonitwie przez ruinę ciała, czy też było to ciche i uszczęśliwiające pukanie na skraju przepaści, tego nie wiemy i na ten temat rezerwista Gödicke nie mógłby udzielić informacji.

Bo życie wstępowało w jego ciało jedynie po kawałku, niejako po pół papierosa na raz, a ta powolność i ta ostrożność były celowe i naturalne, bo zgniecione ciało wymagało krańcowego bezruchu. Przez wiele długich dni Ludwig Gödicke mógłby się uważać za dziecko w powijakach, którym był czterdzieści lat temu, obezwładnionym przez niepojęte skrępowanie i nie czującym nic prócz tego skrępowania. I gdyby był do tego zdolny, to pewnie by popłakiwał dopominając się o mleczną pierś matki i faktycznie wkrótce nadszedł czas, w którym począł kwilić. Zaczęło się to podczas transportu i brzmiało jak żałosne i nieustające kwilenie noworodka; nikt nie chciał leżeć koło niego i którejs nocy pacjent z sąsiedniego łóżka nawet czymś weń rzucił. W tym okresie sądzono, że w końcu będzie musiał umrzeć z głodu, gdyż lekarze nie mieli żadnej możliwości, by podać mu pożywienie. To, że dalej żył, było niewytłumaczalne, a opinia komendanta lazareta Kuhlenbecka, że ciało żywiło się całą tą krwią rozduzowaną pod skórą, nie bardzo zasługiwała na miano opinii czy zgoła teorii. Szczególnie podbrzusze było mocno pokiereszowane. Robiono chłodne okłady, ale czy przynosiły mu ulgę, tego nie udawało się stwierdzić. Ba, może wcale tak strasznie nie cierpiał, bo kwilenie stopniowo ucichło. Aż po kilku dniach buchnęło na nowo ze zdwojoną siłą: było teraz tak – albo można sobie wyobrazić, że tak było – jak gdyby Ludwig Gödicke odzyskiwał tylko pojedyncze kawałki swej duszy i jak gdyby każdy z osobna napływał na fali męki. I pewnie, czego nie sposób potwierdzić, mogło być tak, że ból rozerwanej na atomy i rozproszonej duszy, która pod presją ma się na powrót zjednoczyć, jest większy niż jakikolwiek inny ból, gorszy od bólów mózgu przenikanego drzeniem coraz to nowych fal skurczów, gorszy niż wszelkie męki fizyczne, jakie towarzyszą temu procesowi.

Tak to rezerwista Gödicke leżał sobie w łóżku na nadymanyach powietrzem kauczukowych kołach i podczas gdy jego wycieńczonemu ciału, do którego inaczej nie można było się dostać, podawano pomалу odżywcze wlewki, jego dusza skupiała się, niepojęcie dla komendanta Kuhlenbecka, niepojęcie dla lekarza naczelnego Flurschütza, niepojęcie dla siostry Carli, jego dusza w męce skupiała się wokół jego ja.

Huguenau zbudził się wcześniej. Jest to człowiek pilny. Przyzwoity pokój; nie jakaś tam służbówka jak u klechy; dobre łóżko. Huguenau podrapał się po udach. Potem usiłował zorientować się w położeniu.

Hotel, rynek, po tamtej stronie ratusz.

W gruncie rzeczy wiele powodów skłaniałoby go do podjęcia na nowo życia tam, gdzie mu je przerwano, niejedno przemawiałoby za tym, żeby powrócił do obowiązków kupieckich i zajmąwszy się paskarskim handlem masłem i tekstyliami zbierał pieniądze leżące na ulicy. To, że mimo wszystko z taką niechęcią odsuwał wszelką myśl o beczkach masła, workach kawy i tkaninach, zdumiewało go samego, a coś takiego rzeczywiście mogło zdumieć człowieka, dla którego od chłopięcych lat nie było w mówieniu i myśleniu innych treści niż pieniądze i interesy. I dziwnym trafem znów pojawiła się myśl o szkolnych wakacjach. Huguenau woli myśleć o mieście, w którym się znajduje.

Za miastem są winnice. Tak, a w niejednej pleni się zielsko. Mąż poległ albo jest w niewoli. Żona nie może sobie sama poradzić. Albo szlaja się z innym. Poza tym ceny wina są kontrolowane przez państwo. Kto nie potrafi sprzedawać na lewo, temu nie opłaca się uprawianie winnicy. A są to pierwszorządne gatunki! Głowa człowiekowi troszkę po nich ciąży.

Taka wdowa po wojaku powinna by właściwie tanio sprzedać taką winnicę.

Huguenau zastanawiał się, jacy odbiorcy mozelskich win wchodziłoby w rachubę. Trzeba by ich znaleźć. Można by na tym zarobić niezłą prowizję. W rachubę wchodziłyby hurtownie win. Friedrichs w Kolonii, Matter i Spółka we Frankfurcie. Dawniej dostarczał tam gumowe węże.

Huguenau wyskoczył z łóżka. Powziął plan.

Przed lustrem szykował się do wyjścia. Zaczesał włosy do tyłu. Zdrowo odrosły, odkąd zgolił mu je kompanijny fryzjer. Kiedy to było? Było to w dawniejszym życiu – gdyby zimą włosy nie rosły tak powoli, musiałyby teraz być właściwie jeszcze dużo dłuższe. Zmarłym nadal rosną włosy i paznokcie. Huguenau wziął kosmyk i przyłożył do czoła; sięgał prawie do czubka nosa. Nie, tak nie można było pójść między ludzi. Przed świętami człowiek każe sobie przystrzyc włosy. Nie były to co prawda święta. Ale jednak coś podobnego do świąt.

Ranek był jasny. Nieco chłodny.

U fryzjera stały dwa żółte fotele z czarnymi skórzanymi siedzeniami. Mistrz, cherlawy starowina, założył Huguenauowi niezbyt czysty fartuch; u góry wetknął mu pod kołnierz papier. Huguenau lekko przesunął podbródkiem w tę i we w tę; papier drapał.

Na haczyku wisiała gazeta i Huguenau kazał ją sobie podać. Był to ukazujący się w mieście „Goniec Elektorski” (z dodatkiem „Rolnictwo i Uprawa Winorośli na Ziemi Mozelskiej”). Akurat to, czego potrzebował.

Siedział spokojnie, studiował dziennik, a potem przyjrzał się sobie w lusterku; można by go wziąć za jednego z miejscowych notabli. Włosy były teraz zgodnie z życzeniem przystrzyżone, krótko, solidnie, z niemiecka. Na wierzchołku głowy pozostało wąskie pasmo dłuższych włosów celem utworzenia przedziałka. Mistrz rozrobił rzadką pianę, która rozsmarowywała się na twarzy zimno i skąpo. Mydło było nic nie warte.

– Mydło jest do niczego – zauważył Huguenau.

Mistrz nie odpowiedział, tylko chlastał brzytwą o rzemień. Huguenau był urażony, po chwili jednak rzekł ustępliwie: – Wojenny wyrób.

Mistrz zaczął golić. Krótkimi, drapiącymi pociągnięciami. Golił źle. Mimo to przyjemnie jest być golonym. Golenie się samemu to też taka wojenna sprawa, ale wypada taniej. No, w wyjątkowych wypadkach przyjemnie jest pozwolić się obsługiwać. Odświeżenie. Na ścianie wisiała podobizna mocno wydekoltowanej dziewczyny, pod nią można było przeczytać: „płyn Houbiganta”. Huguenau przechylił głowę w tył, trzymał gazetę w beczynnych dłoniach. Facet skrobał mu teraz podbródek i szyję; chyba nigdy nie dojrzy z tym do końca. Jednakże Huguenau nie miał nic przeciwko temu; nam się nie spieszy. I żeby sprawę jeszcze bardziej przeciągnąć, zamówił „płyn Houbiganta”. Dostał wodę kolońską.

Świeżo ogolony, człowiek ogolony i świeży, z zapachem wody kolońskiej w nozdrzach, pomaszerował z powrotem do hotelu. Zdjąwszy kapelusz powąchał jego wnętrze. Pachniało pomadą i to również było zadowolające.

W sali jadalnej było pusto. Huguenau dostał kawę, a kelnerka przyniosła też kartkę na chleb, z której oderwała jeden kupon. Masła nie było, tylko czarniawa, syropowata marmolada. Kawa też nie była kawą i Huguenau chłepcząc gorącą cieczą obliczał, ile to fabrykanci zarabiają na surogacie kawy; obliczał bez zawiści i uznał, że to w porządku. Wszelako nabycie po taniej cenie terenów pod uprawę winorośli w rejonie Mozeli to także był niezły interes, to była pierwszorzędna lokata kapitału. I skończywszy śniadanie zabrał się do układania oferty kupna tanich terenów pod winnice. Potem udał się z ogłoszeniem do redakcji „Gońca Elektorskiego”.

Szpital okręgowy był całkowicie zmilitaryzowany. Przez sale chorych przechodził lekarz naczelny, doktor Friedrich Flurschütz. Do białego lekarskiego fartucha nosił wojskową czapkę; podporucznik Jarecki twierdził, że robi to śmieszne wrażenie.

Jarecki został umieszczony w pokoju oficerskim III. Doszło do tego przez przypadek, bo dwuosobowe pokoje były przeznaczone dla oficerów sztabowych, ale już tam pozostał. Gdy wszedł Flurschütz, siedział na brzegu łóżka. Siedział tam z papierosem w ustach, a obandażowaną rękę położył na nocnym stoliku.

– No, jak leci, Jarecki?

Jarecki wskazał na rękę: – Był tu właśnie komendant.

Flurschütz oglądał rękę, obmacywał ją ostrożnie: – Kiepska sprawa... poszło dalej?

– Tak, znowu parę centymetrów... stary chce amputować.

Ręka leżała sobie czerwona, dłoń opuchnięta, palce jak czerwone kiełbaski, wokół przegubu wianek żółtych ropnych pęcherzy.

Jarecki popatrzył na rękę i powiedział: – Biednie wygląda, jak sobie tak leży.

– Niech pan się nie przejmuj, to lewa.

– Ba, gdybyście tylko umieli krajać.

Flurschütz wzruszył ramionami: – Czego pan chce, był wiek chirurgii, ukoronowany wojną światową z armatami... teraz przekwalifikowujemy się na gruczoły i podczas następnej wojny będziemy już sobie świetnie radzić z tymi przekłętymi zatruciami gazem... na razie chyba rzeczywiście nie pozostaje nic innego jak krajanie.

Jarecki powiedział: – Podczas następnej wojny? Chyba pan nie wierzy, że ta kiedykolwiek się skończy.

– Bez czarnowidztwa, Jarecki, Rosjanie już skończyli.

Jarecki zaśmiał się niemile: – Niech Bóg zachowa pańską dziecięcą wiarę i obdarzy nas porządnymi papierosami...

Zdrową prawą ręką wziął paczkę papierosów z odkrytej półki pod szufladą nocnego stolika i podsunął Flurschützowi.

Flurschütz wskazał na popielniczkę pełną niedopałków: – Nie powinien pan tyle palić...

Weszła siostra Matylda: – No to zawijamy z powrotem... jak pan uważa, panie doktorze?

Siostra Matylda wyglądała schludnie. U nasady włosów miała piegi. Flurschütz powiedział: – Świństwo z tym gazem.

Popatrzył jeszcze, jak siostra bandażuje rękę, a potem ruszył w dalszy obchód. Na obu końcach korytarza szeroko pootwierano okna, ale szpitalnego fetoru nie sposób było usunąć.

Dom znajdował się przy Fischerstrasse, jednej z krętych uliczek, które prowadziły ku rzece; była to budowla z muru pruskiego, w której najwidoczniej od wieków uprawiano rozmaite rzemiosła. U wejścia czarna, porysowana blaszana tabliczka głosiła bladymi literami: „Goniec Elektorski, Redakcja i Wydawnictwo (w podwórzu)”.

Przez wąską, korytarzową sień, w której ciemnościach potknął się o klapę wjazdu do piwnicy, Huguenau, minawszy drzwi na klatkę schodową, wyszedł na zaskakująco obszerne podwórze w kształcie podkowy. Do podwórza przylegał ogród; kwitło tam kilka wiśni, a za nimi rozciągał się widok na piękne górzyste tereny.

Całość świadczyła o na poły chłopskim trybie życia dawnego właściciela. Obydwie oficyny mieściły kiedyś pewnie spichlerz i stajnię; ta po lewej była jednopiętrowa, wyposażona w wąskie, podobne do drabinki dla kur drewniane schody biegnące przy ścianie zewnętrznej; prawdopodobnie na górze znajdowały się dawniej izby dla parobków. Stajenną budowlę po prawej zamiast pierwszego piętra wieńczył wysoki dach strychu, a jedno z wrót zostało zastąpione dużym, praktycznym metalowym oknem, przez które widać było pracującą maszynę drukarską.

Od człowieka przy maszynie Huguenau dowiedział się, że pana Escha zastanie po tamtej stronie na pierwszym piętrze.

Wspiął się więc po drabince dla kur i wyszedł wprost na drzwi z napisem „Redakcja i Wydawnictwo”, za którymi urzędował pan Esch, właściciel i wydawca „Gońca Elektorskiego”. Był to chudy mężczyzna o twarzy bez zarostu, w której ruchliwe aktorskie usta pomiędzy dwiema długimi, ostrymi bruzdami policzków układały się w sarkastyczny grymas i odsłaniały długie, żółtawe zęby. To i owo przypominało aktora, to i owo duchownego, to i owo konia.

Wręczone ogłoszenie zostało poddane oględzinom z miną sędziego śledczego, niczym rękopis. Huguenau sięgnął po portfel, z którego wyjął pięciomarkowy banknot, dając poniekąd do zrozumienia, że chce wydać tę sumę na ogłoszenie. Ale tamten nie zwrócił na to uwagi, tylko spytał obcesowo: – To pan chcesz żerować na tutejszych ludziach? Widać już się rozeszła wieść o nędzy wśród naszych winogrodników... he?

Była to nieoczekiwana agresja i Huguenau miał wrażenie, że jej celem jest wyśrubowanie ceny za ogłoszenie. Wydobył więc jeszcze markę, osiągnął jednak tym odwrotny skutek: – Dziękuję... ogłoszenie się nie ukáže... widać pan nie wiesz, co to znaczy sprzedajna prasa... widzisz pan, ja nie jestem na sprzedaż ani za pańskie sześć marek, ani za dziesięć, ani za sto!

Huguenau nabierał coraz większej pewności, że ma przed sobą przebiegłego człowieka interesu. Ale właśnie dlatego nie wolno było ustąpić; być może tamtemu świtała myśl o spółce, a to też wydawało się nie pozbawione korzyści.

– Hm, słyszałem, że takie ogłoszeniowe interesy chętnie załatwia się na zasadzie procentowego udziału... Jak by to było z półprocentową prowizją? Wszelako musiałby pan wtedy zamieścić anons co najmniej trzy razy... naturalnie może pan to zrobić częściej, dobroczynności nie narzuca się żadnych ograniczeń. – Zaryzykował porozumiewawczy uśmiech i usiadł koło surowego kuchennego stołu, który panu Eschowi służył za biurko.

Esch go nie słuchał, lecz z posępnie zagniewaną miną przechadzał się tam i z powrotem po pokoju, ciężkimi, niezdarnymi krokami, które zupełnie nie pasowały do jego chudości. Wyszorowana podłoga skrzypiała pod ciężkim stąpaniem, a Huguenau obserwował dziury i kawałki gruzu między deskami, jak również ciężkie czarne półbuty pana Escha, dziwnym

trafem nie zawiązywane na sznurowadła, lecz zapinane na klamry jakby z siodła wzięte; ponad brzegiem butów uwypuklały się szare, dziane skarpetki. Esch monologował: – Już sępy dopadają biedaków... ale jak się chce zwrócić uwagę opinii publicznej na nędzę, to ma się do czynienia z cenzorem.

Huguenau założył nogę na nogę. Oglądał przedmioty na stole. Pusta filiżanka z zaschniętymi brązowymi śladami po kawie, wykonana w brązie kopia nowojorskiej Statuy Wolności (aha, przycisk do listów!), lampa naftowa, której biały knot w szklanym kloszu z daleka przypominał niewyraźnie płód albo tasiemca w spirytusie. Z kąta pokoju dochodził teraz głos Escha: – Cenzor powinien kiedyś na własne oczy zobaczyć tę biedę z nędzą... do mnie przychodzą ludzie... byłaby to wręcz zdrada...

Na chybotliwym regale leżały papiery i zesnurowane sterty gazet. Esch znów podjął swoją wędrówkę. Pośrodku pomalowanej na żółto ściany, na przypadkowym gwoździu, wisiał mały, pożółkły obrazek w czarnej ramce „Badenweiler z Górą Zamkową”; może była to stara widokówka. Huguenau zastanawiał się: takie obrazki czy statuetki z brązu ładnie by wyglądały także w jego biurze. Ale kiedy chciał przywołać na pamięć to biuro i tamtejsze zajęcia, nic z tego nie wyszło, było to tak dalekie i obce, że dał sobie spokój, a jego wzrok ponownie odszukał wzburzonego pana Escha, którego brązowy aksamitny surdut i jasne sukienne spodnie tak samo nie pasowały do ciężkich butów jak statuetka z brązu do kuchennego stołu. Esch poczuł chyba jego wzrok, bo krzyknął: – Do diabła, czemu pan w ogóle jeszcze tu siedzisz?

Naturalnie Huguenau mógłby sobie pójść – ale dokąd? Niełatwo było powziąć nowy plan. Huguenau czuł się postawiony przez nieznaną moc na torze, którego nie można było opuścić dowolnie i bezkarnie. Siedział więc spokojnie i przecierał okulary, jak to trzymając fason zwykł był czynić w trakcie trudnych handlowych pertraktacji. Również tym razem nie pozostało to bez wrażenia, bo Esch, rozdrażniony, wyrósł nagle przed nim, wybuchnął na nowo: – Skąd pan właściwie się wziąłeś? Kto pana przysłał?... Nie jesteś pan stąd i nie wmówisz mi pan, że sam chcesz tutaj zostać winogrodnikiem... Pan tutaj chcesz tylko szpiegować. Powinno się pana zamknąć!

Esch stał przed nim. Skórzany pasek wyłaził spod brązowej aksamitnej kamizelki. Jedna nogawka była bardziej wypłowiała. Tu nie pomoże chemiczne czyszczenie, pomyślał Huguenau, powinien ufarbować spodnie na czarno, ja mu to powiem, czego on właściwie chce ode mnie? Jeśli faktycznie chce mnie wyrzucić, to przecież nie musi najpierw prowokować kłótni... chce więc, żebym został. Coś tu było nie w porządku. Huguenau czuł jakąś koleżeńską więź z tym człowiekiem, a jednocześnie wietrzył coś korzystnego. Przybierając ustępliwy ton starał się upewnić: – Proszę pana, ja zaproponowałem panu uczciwy interes, a jeśli pan chce go odrzucić, to jest to pańska sprawa. Jeśli natomiast chce mi pan tylko naubliżać, to nasza dalsza rozmowa nie ma sensu.

Złożył okulary, uniósł się lekko z miejsca, w taki sposób symbolizując ciałem, że może odejść – wystarczy mu to powiedzieć.

Esch zdawał się teraz nie mieć rzeczywiście ochoty na przerwanie rozmowy: podniósł dłoń w pojednawczym geście i Huguenau z powrotem zamienił symboliczne przykucnięcie na pozycję siedzącą: – Cóż, to, czy ja sam będę tutaj uprawiał winorośl, jest w rzeczy samej niepewne, co do tego ma pan chyba rację – chociaż nie byłoby to wykluczone; człowiek łącznie spokoju. Ale nikt nie chce żerować – mówił z coraz większym ferworem – pośrednik zasługuje na szacunek tak samo jak każdy inny człowiek, chce tylko doprowadzić do skutku interes, który zadowoli obie strony, wtedy i on ma satysfakcję. Nawiasem mówiąc chciałbym pana prosić o trochę ostrożniejsze posługiwanie się takimi słowami jak szpieg, to w czasach wojennych nie jest bezpieczne.

Esch był zawstydzony: – No, nie chciałem pana urazić... ale czasami obrzydzenie podchodzi człowiekowi do gardła i musi się wydostać... budowniczy z Kolonii, patentowany

oszust, skupował działki za bezcen... wypędzał ludzi z domów... a tutejszy aptekarz poszedł w jego ślady... po co panu aptekarzowi Paulsenowi winnice? może pan potrafisz mi to powiedzieć?

Huguenau powtórzył urażony: – Szpiegować...

Esch znów ruszył: – Powinno się wyemigrować. Dokądkolwiek. Do Ameryki. Gdybym był młodszy, to bym rzucił wszystko i zaczynał od początku... – Ponownie stanął przed Huguenauem. – Ale z pana to miody człowiek, dlaczego właściwie nie jesteś pan na froncie? Jakim sposobem możesz pan się tutaj obijać? – Raptem znowu zrobił się agresywny. Huguenau wolał nie roztrząsać tego tematu; zvekslował rozmowę na inny tor: przecież to niepojęte, że człowiek o uznanej pozycji, stojący na czele gazety, zamieszkały w pięknej okolicy, otoczony szacunkiem swoich współobywateli i w ogóle, teraz, w zaawansowanym wieku, nosi się z planami emigracji.

Esch skrzywił się sarkastycznie: – Szacunek moich współobywateli, szacunek współobywateli... rzucają się na mnie jak psy...

Huguenau obejrzał Górę Zamkową w Badenweiler, po czym powiedział: – Nie do wiary...

– No, może pan zgola weźmiesz stronę tego towarzystwa, wcale by mnie to nie zdziwiło...

Huguenau złapał wiatr w żagle: – Znowu te mgliste oskarżenia, panie Esch, niechże pan przynajmniej wyraża się precyzyjniej, jeśli ma pan mi coś do zarzucenia.

Jednakże nie tak łatwo było ujarzmić żywiołowe i chimeryczne myślenie pana Escha: – Wyrażać się precyzyjnie, wyrażać się precyzyjnie, to też takie gadanie... jak gdyby wszystko można było nazywać po imieniu... – Wrzasnął Huguenauowi w twarz: – Miody człowieku, póki pan nie wiesz, że wszystkie imiona są fałszywe, nie wiesz pan nic... nawet ubranie na pańskim ciele nie jest prawdziwe.

Dla Huguenaua było to niesamowite. Powiedział, że tego nie pojmuje.

– Pan tego naturalnie nie pojmujesz... ale że aptekarz za psi grosz zagarnia działki, tak jest, to pan pojmujesz... i nie jest dla pana niepojęte, że prześladują człowieka, który nazywa rzeczy po imieniu, że dyskredytują go jako komunistę... Że nasyłają mu cenzora na kark, to pan pochwalasz... Pewnie pan też jesteś zdania, że żyjemy w państwie prawa?

Huguenau odparł, że to niemiła sytuacja.

– Niemiła! Powinno się wyemigrować... Dość mam szarpania się z tym wszystkim...

Huguenau spytał, co pan Esch zamierza zrobić z gazetą.

Esch pogardliwie machnął ręką, on już nieraz mówił żonie, że najchętniej sprzedałby cały ten kram, zatrzymując dom dla siebie – myślał już też o założeniu księgarni.

– To gazeta pewnie bardzo ucierpiała wskutek napaści? Chodzi mi o to, że ze zbytem są chyba duże kłopoty?

Nie, nie jest tak źle „Goniec” ma stałą klientelę, knajpy, fryzjerów, przede wszystkim okoliczne wsie; napaści ograniczają się do pewnych kręgów w mieście. Ale on ma dosyć szarpania się z tym wszystkim.

Czy pan Esch pomyślał już o cenie?

A i owszem... gazeta wraz z drukarnią ani chybi warta jest najmarniej 20000 mareczek. Poza tym on chce na dłuższy czas, powiedzmy: na pięć lat, bezpłatnie oddać pomieszczenia do dyspozycji wydawców gazety; byłoby to dla kupca korzystne. Tak sobie to wyobraził, to jest przyzwoita oferta, on nie chce nikogo nabierać, tylko ma po prostu dosyć. Żonie też to powiedział.

– Cóż – odrzekł Huguenau – nie pytam ze zwykłej ciekawości... już panu mówiłem, że jestem pośrednikiem, i może będę mógł coś dla pana zrobić. Widzi pan, drogi Esch – i protekcjonalnie poklepał właściciela gazety po kościstych plecach – my dwaj jeszcze ubijemy

interesik; przedwcześnie nikogo nie należy wyrzucać za drzwi. Ale dwadzieścia tysięcy musi pan sobie wybić z głowy. Na kaprys nikt już w dzisiejszych czasach nie wyda pieniędzy.

Pewien siebie i pogodny Huguenau zszedł po drabinie dla kur.

Przed drukarnią siedziała dziewczynka.

Huguenau zlustrował dziewczynkę, zlustrował wejście do drukarni. „Obcym wstęp wzbroniony” głosiła tabliczka.

Dwadzieścia tysięcy mareczek, pomyślał, i ta mała na dodatek.

Był obcy, ale już nikt nie mógł mu zabronić wstępu; kto ma pośredniczyć w kupnie, musi przedtem poznać towar. Ten Esch powinien był właściwie pokazać drukarnię. Huguenau zastanawiał się, czy go nie ściągnąć na dół, ale potem dał sobie z tym spokój: za dzień czy dwa i tak znów się tu przyjdzie, może nawet z konkretnymi ofertami kupna – Huguenau był tego całkowicie pewny, a poza tym nadeszła pora obiadowa. Udał się więc do hotelu.

Hanna Wendling przebudziła się. Nie otwierała oczu, bo jeszcze istniała możliwość pochwycenia pierzchającego snu. Ale ten odpływał powoli i w końcu pozostało tylko uczucie, w którym sen był przedtem zanurzony. Gdy i to uczucie słabło, na chwilę przed tym, nim całkowicie zniknęło, Hanna porzuciła je dobrowolnie i mrugając popatrzyła krótko w okno. Przez szpary w żaluzjach sączyło się teraz mleczne światło; musiał to być blady świt albo też deszczowa pogoda. Prążkowane światło było jakby dalszym ciągiem snu, może dlatego, że wraz z nim nie wdzierał się żaden szmer, i Hanna uznała, że zapewne jest jeszcze bardzo wcześnie. Żaluzje poruszały się kołysząc lekko między otwartymi skrzydłami okna; był to chyba poranny wiatr i żeby poczuć jego chłód, wciągnęła raz i drugi powietrze przez nos, jak gdyby mogła w ten sposób uchwycić zapach tej chwili. Potem, z zamkniętymi oczami, sięgnęła w lewo do sąsiedniego łóżka; było nie rozesełane; poduszki, pierzynka, kołdry, porządnie ułożone, spoczywały pod pluszową narzutą. Zanim cofnęła dłoń, aby ją wraz z nagim ramieniem wetknąć z powrotem pod ciepłą kołdrę, pogładziła jeszcze raz sprężysty i dość chłodny plusz, a było to jakby upewnienie się, że jest sama. Cienka nocna koszula zsunęła się powyżej bioder tworząc tam nieprzyjemne zgrubienie. Ach, znowu spało się jej niespokojnie. Tymczasem prawa dłoń, niejako dla kompensaty, leżała na ciepłym, gładkim ciele, a czubki palców ledwie dostrzegalnie i lekko głaskały skórę i puszek na łonie. Jej samej nasunęło się skojarzenie z jakimś swawolnym francuskim rokokowym obrazem; potem przysła jej do głowy Maja naga Goi. Leżała tak jeszcze trochę. Następnie zsunęła koszulę – dziwne, że cieniutka koszula natychmiast tak bardzo rozgrzewa – zastanawiała się, czy obrócić się w lewo, czy w prawo, zdecydowała się, że w prawo, jak gdyby zaścienione sąsiednie łóżko odbierało jej powietrze, wsłuchiwała się jeszcze przez chwilę w ciszę na ulicy i zapadła w nowy sen, uciekła w nowy sen, zanim zdołała cokolwiek z zewnątrz usłyszeć.

Gdy po godzinie obudziła się ponownie, nie mogła się łudzić co do tego, że przedpołudnie było już mocno zaawansowane. Dla kogoś, kogo jedynie bardzo słabe i ledwie przezeń wyczuwalne nici wiążą z tym, co w oczach ogółu lub w jego oczach uchodzi za życie, poranne wstawanie stanowi zawsze trudne zadanie. Może nawet niewielki gwałt. I Hannę Wendling, która czuła, że znów zbliża się codzienna nieuchronność, rozboleła głowa. Zaczęło się to pod potylicą. Skrzyżowała ręce na karku i gdy sięgnęła we włosy, które układały się łagodnie wokół palców, na moment zapomniała o bólu. Potem nacisnęła bolące miejsce; było to rwanie, które zaczynało się za uszami i sięgało w dół do kręgów szyjnych. Znała to. Kiedy była w towarzystwie, ból chwycił ją nieraz tak gwałtownie, że zupełnie mąciło się jej w głowie. Podejmując nagłą decyzję odrzuciła kołdrę, włożyła ranne pantofle na wysokich obcasach, otworzyła żaluzje nie podnosząc ich i przy pomocy ręcznego lusterka usiłowała obejrzeć bolący kark w dużym lustrze toaletki. Co tam sprawiało ból? nie można było niczego się dopatrzeć. Zwracała głowę to tu, to tam; kręgi odznaczały się pod skórą – był to właściwie ładny kark. Ramiona też były ładne. Miałyby ochotę na śniadanie w łóżku, ale była wojna; i tak to wstyd i hańba tak długo się wylegiwać. Właściwie powinna była odprowadzić chłopca do szkoły. Codziennie podejmowała takie postanowienie. Dwa razy je wypełniła, potem znów pozostawiła to służącej. Naturalnie chłopiec już dawno powinien był mieć Francuzkę albo Angielkę. Angielki są lepszymi wychowawczyniami. Jak wojna się skończy, trzeba chłopca wysłać do Anglii. Ona w jego wieku, mając siedem lat, lepiej mówiła po francusku niż po niemiecku. Wyszukała flakon z octem toaletowym i natarła kark i skronie, uważnie przyjrzała

się w lustrze swoim oczom; były złotobrzowe, w lewym pokazała się czerwona żyłka. To skutek niespokojnego snu. Narzuciła kimono na ramiona i zadzwoniła na służącą.

Hanna Wendling była małżonką adwokata, doktora Heinricha Wendlinga. Pochodziła z Frankfurtu. Heinrich Wendling od dwóch lat przebywał w Rumunii czy Besarabii, czy gdzieś tam na południu.

Huguenau zajął miejsce w sali jadalnej. Przy jednym z sąsiednich stolików siedział białowłosy major. Akurat kelnerka postawiła przed nim zupę i starszy pan zademonstrował osobliwe zachowanie: złożywszy dłonie, z nabożnie nieporuszoną czerwonawą twarzą pochylił się lekko nad stołem i dopiero po zakończeniu niewątpliwej modlitwy przełamał chleb.

Na tak niezwykły widok Huguenau osłupiał; przywołał kelnerkę i dość bezceremonialnie zapytał o dziwnego oficera.

Kelnerka nachyliła się do jego ucha: to jest komendant miasta, szlachetnie urodzony ziemianin z Prus Zachodnich, reaktywowany na czas wojny. Zona i dzieci pozostały w majątku i on codziennie z nimi koresponduje. A komendantura jest w ratuszu, pan major jednak już od początku wojny mieszka w tym hotelu.

Huguenau zadowolony skinął głową. Nagle poczuł w żołądku obezwładniające zimno i nagle też uprzytomnił sobie, że oto siedzi tutaj człowiek ucieleśniający władzę wojskową, że temu człowiekowi wystarczy wyciągnąć rękę z łyżką do zupy, aby go unicestwić, że on zatem poniekąd mieszka drzewi w drzewi ze swoim katem. Przeszedł mu apetyt! Czy nie powinien zrezygnować z zamówionego obiadu i uciec?!

Ale kelnerka przyniosła tymczasem zupę i gdy Huguenau machinalnie zaczął jeść, obezwładniające zimno ustąpiło przechodząc w niemal błogą chłodną słabość i bezbronność. Nie miał prawa uciekać, musiał przecież doprowadzić do końca sprawę z „Gońcem Elektorskim”.

Ba, zrobiło mu się niemal przyjemnie. Bo człowiek co prawda sądzi, że jego postanowienia i decyzje zapadają w sferze wielkiej różnorodności, ale w rzeczywistości są jedynie oscylowaniem między ucieczką a tęsknotą, a wszelkie uciekanie i wszelkie tęsknienie dotyczy przecież śmierci. I w tym wahaniu się duszy i umysłu między diametralnymi przeciwieństwami Huguenau, przed chwilą jeszcze gotów do ucieczki Wilhelm Huguenau, czuł, że coś go dziwnie ciągnie do tego starego człowieka przy sąsiednim stoliku.

Jadł machinalnie, nie zauważył nawet, że dzisiaj był dzień mięsny, pił machinalnie, a w bardziej krańcowej, niejako bardziej wyrazistej realności, w której uczestniczył już od tygodni, rzeczy rozpadały się, rozchodziły się do biegunów, rozchodziły się do granic świata, gdzie wszystko, co rozdzielone, na powrót się jednoczy i anuluje się oddalenie – lęk staje się tęsknotą, tęsknota lękiem, a „Goniec Elektorski” łączy się z owym białowłosym majorem w osobliwie nierozdzielalną jedność. Nie da się tego wyrazić dużo precyzyjniej czy racjonalniej, bo i działania Huguenau następowaly w sytuacji anulującej jakiegokolwiek oddalenie, poniekąd irracjonalnie, jakby w wyniku zwarcia i bez namysłu; kiedy więc Huguenau czekał, aż major skończy się posilać, nie było to właściwe czekanie, była to swoista równoczesność przyczyny i skutku, jako że wstał w chwili, gdy major odmówiwszy ponownie milczącą modlitwę odsunął krzesło i zapalił cygaro: zbliżał się do majora bez jakiegokolwiek skrepowania i prosto jak strzełił, podchodził do majora swobodnie, chociaż nie wiedział jeszcze, jakiego pretekstu użyje dla wytłumaczenia takiego najścia.

Jednakże skoro tylko uprzejmie się przedstawił, usiadł zaraz bez zaproszenia i z jego ust łatwo popłynęły słowa: pozwala sobie zameldować posłusznie, że jest przydzielony do służby prasowej i przebywa tutaj z jej polecenia, w mieście wychodzi bowiem lokalny dziennik, zatytułowany „Goniec Elektorski”, co do którego postawy wypowiedane są po cichu rozmaite wątpliwości, i on, wyposażony w odpowiednie pełnomocnictwa, przyjechał, aby na miejscu

zbadać sytuację. Tak to jest, a ponieważ – co ja teraz powiem, myślał Huguenau, ale potok wymowy płynął dalej; było tak, jakby formował się dopiero w ustach – tak to jest, a ponieważ kwestie cenzury w pewnym sensie i w pewnej mierze należą do kompetencji komendy miasta, uważa on za swój obowiązek niniejszym wyrazić panu majorowi uszanowanie i złożyć meldunek.

W trakcie tej oracji major podrywając się lekko przyjął regulaminową postawę i usiłował wysunąć zastrzeżenie, iż dla tych spraw stosowna wydaje się normalna droga służbowa; Huguenau, który nie mógł sobie pozwolić na przerwanie strumienia wymowy, ledwie słuchał i z miejsca zbył to zastrzeżenie uwagą, że z całym szacunkiem zwrócił się do pana majora w charakterze nie oficjalnym, lecz jedynie półoficjalnym, gdyż wspomniane pełnomocnictwa zostały udzielone nie przez instancje państwowe, ale przez koła patriotyczne wielkiego przemysłu, nazwisk on nie musi wymieniać, i tak wiadomo, które to poruciły mu misję ewentualnego wykupienia wątpliwych gazet w wypadku przystępnej ceny, gdyż trzeba zapobiegać przenikaniu wątpliwych idei do ludu. I Huguenau powtórzył: „przenikanie wątpliwych idei”, jak gdyby powrót do punktu wyjścia dawał mu wszelkie bezpieczeństwo, jak gdyby wyrażenie to było dobrym łóżkiem, w którym wygodnie się leży.

Prawdopodobnie major nie rozumiał, czym to się miało skończyć, ale skinął głową i Huguenau znów dosiadł swego konika: tak, chodzi o wątpliwe gazety, a na jego własny, jak w ogóle na zdrowy rozum „Goniec” jest wątpliwą gazetą, której wykupienie bezwarunkowo by zalecał.

Popatrzył triumfalnie na majora, bębnił palcami po stole i było tak, jakby oczekiwał od komendanta miasta podziwu i pochwały za to, czego dokonał.

– Bez wątplenia bardzo to patriotyczne – zgodził się w końcu major – dziękuję za informację.

Huguenau mógłby zatem odejść, ale zależało mu na osiągnięciu lepszego rezultatu, toteż podziękował panu majorowi przede wszystkim za okazaną przychylność i poprosił, ażeby wobec takiej przychylności wolno mu było dołączyć krótką prośbę: – Moi mocodawcy przywiązują oczywistą wagę do tego, aby w tego rodzaju wykupieniu gazety, którą przecież w mniejszym czy większym stopniu trzeba nazwać lokalną, uczestniczyły też lokalne osobistości; to chyba zrozumiałe, ze względu na kontrolę etcetera... Pan major rozumie?

Tak, to zrozumiałe, odpowiedział major bez zrozumienia.

Zatem, podjął Huguenau, jego prośba zmierza do tego, żeby pan major, który może tu uchodzić za osobę najbardziej powołaną, zechciał wymienić kilku godnych zaufania i majątnych miejscowych panów, których – oczywiście z zachowaniem odpowiedniej dyskrecji – można by tym projektem zainteresować.

Major odrzekł: właściwie ta sprawa podlega kompetencji administracji cywilnej, nie dowództwa wojskowego, ale on może panu Huguenauowi poradzić, żeby zjawił się tutaj w piątek wieczorem, gdyż tego dnia można zawsze spotkać kilku radnych miejskich i innych miejscowych obywateli.

– Wyśmienicie! Ale pan major również będzie obecny – powiedział Huguenau, który nie ustępował tak łatwo. – Wyśmienicie, jeśli pan major obejmie patronat nad akcją, to mogę ręczyć za powodzenie, zwłaszcza że chodzi tu przecież o stosunkowo niewielkie kapitały, a dla bardzo wielu panów nadzwyczaj interesujące będzie wejście tym sposobem w kontakt i pewne współnictwo z wielkim przemysłem... Wyśmienicie, doprawdy wyśmienicie... Pan major pozwoli, że zapalę – i przysunął bliżej swoje krzesło, wyjął cygaro z etui, przetaił szklą okularów i zaczął palić.

Major oznajmił, że to z pewnością zapowiada się bardzo pomyślnie i że on ubolewa, iż zupełnie się nie zna na interesach.

Och, to nic nie szkodzi, odpad Huguenau, to nie ma nic do rzeczy. I ponieważ zapragnął jeszcze raz przejechać się na swoim koniku, może z wirtuozerii, może dla utwierdzenia

uzyskanej pewności, może ze zwykłej pychy, przysunął się jeszcze odrobinę bliżej do majora i poprosił o pozwolenie dodania jeszcze jednej informacji, która wszelako przeznaczona jest wyłącznie dla pana majora. On mianowicie podczas dotychczasowych rozmów z wydawcą owej gazety, niejakim Eschem, o którym pan major na pewno już słyszał, odniósł nieodparte wrażenie, że za gazetą kryją się, jak by się tu wyrazić, potajemne knowania wątpliwych, wywrotowych elementów, o niejednym wieść, zdaje się, już się rozeszła, jeśli jednak projektowany zakup gazety faktycznie dojdzie do skutku, to on uzyska możliwość wglądu w takie ciemne machinacje, do którego należy koniecznie dążyć w interesie całego ludu.

I zanim starszy pan zdążył odpowiedzieć, Huguenau wstał i zakończył swoją przemowę: – Proszę, och, panie majorze, to jedynie mój patriotyczny obowiązek... nie ma o czym wspominać... pozwolę sobie więc w piątek wieczorem skorzystać z tak zaszczytnego zaproszenia.

Trzasnął obcasami i lekkim, niemal tanecznym krokiem udał się z powrotem do swego stolika.

To, że pan August Esch swoją pracę w redakcji wykonywał w sposób tak wściekle niewyrozumiały i że czuł się na tym miejscu szczególnie źle, można w dużej mierze wytłumaczyć faktem, że całe życie uprawiał zawód buchaltera, przez wiele lat był nawet głównym buchalterem dużego przedsiębiorstwa przemysłowego w swej luksemburskiej ojczyźnie, póki – był to już środek wojny – za sprawą nieoczekiwanego spadku nie wszedł w posiadanie dziennika „Goniec Elektorski” i przynależnej posesji.

Bo buchalter, a w szczególności główny buchalter, jest człowiekiem żyjącym w ramach własnych i nadzwyczaj precyzyjnych porządków, porządków o takiej precyzji, że nie zdoła mu ich nigdy zaoferować żadne inne zajęcie. Wspierany i umacniany przez takie porządki przywyka do życia w potężnym, a mimo to uległym świecie, w którym każda rzecz ma swoje miejsce, w którym on sam zawsze się odnajduje, a jego spojrzenie pozostaje niezmaćcone i niewzruszone. Przewraca strony głównej księgi i porównuje je ze stronami dziennika i księgi rachunków bieżących; nieprzerwane mosty prowadzą w tamtą i w tę stronę, zabezpieczają życie i codzienną pracę. Rano woźny albo panienka z biura korespondencji przynosi dokumenty do księgowania, a główny buchalter stawia na nich parafę, aby z kolei młodzi ludzie wpisali je do memoriału. Kiedy to zostanie zrobione, główny buchalter może w spokoju zastanawiać się nad trudniejszymi przypadkami, wydaje polecenia, każe to i owo sprawdzić. Skoro potem dojdzie w duchu do ładu z trudnym buchalteryjnym problemem, rozpinają mu się i rozciągają nowe i zabezpieczone mosty z kontynentu na kontynent i ta płatanina zabezpieczonych związków między jednym a drugim kontem, ta sieć nie do rozplątania, a przecież dla niego tak wyraźna, sieć, w której nie brakuje żadnego węzła, znajduje w końcu symboliczny wyraz w jednej jedynej liczbie, którą on przewiduje już teraz, choćby miała pojawić się w bilansie dopiero za ileś miesięcy. O, słodkie podniecenie bilansem, obojętne, czy wykaże zysk, czy stratę, bo buchalterowi każda transakcja przynosi zysk i zadowolenie. Już miesięczne bilanse próbne stanowią zwycięstwa siły i biegłości, a jednak są niczym wobec wielkiego zamknięcia ksiąg na koniec półrocza; w tych dniach jest on szyprem na statku i nie wypuszcza steru z rąk; młodzi ludzie z działu są niczym wioślarze na swoich miejscach, nikt nie zważa na przerwę obiadową i sen, póki wszystkie konta nie zostaną zamknięte; ale zestawienie rachunku strat i zysków i ostateczne zbilansowanie zastrzega on sobie, a wyprowadziwszy saldo i nakreśliwszy ukośną końcową linię przypieczętowanie pracę swoim podpisem. Biada jednak, jeśli bilans nie zgadza się o feniga. Nowa, lecz gorzka przyjemność. W towarzystwie starszego buchaltera przegląda oczyma detektywa podejrzane konta, bezwzględnie przelicza się na nowo wszystkie zapisy półrocza. I biada młodemu człowiekowi, w którego pracy wykryje się błąd – dotyka go złość, zimna pogarda, ba, zwolnienie. Jeśli natomiast okaże się, że błąd zakradł się nie przy księgowaniu, lecz przy sporządzaniu remanentów w magazynach, to główny buchalter tylko wzrusza ramionami i ma na ustach litościwy lub sarkastyczny uśmiech, bo sporządzanie remanentów nie podlega jego kompetencji, a ponadto wie, że w magazynach jak w życiu nigdy nie osiągnie się takiego porządku, jaki on utrzymuje w swoich księgach. Machnąwszy pogardliwie ręką wraca do swego biura, a kiedy potem nastają spokojniejsze dni, zdarza się nierzadko, że główny buchalter na chybił trafił otwiera jeden z foliałów, szybkim kciukiem wygląda stronę i sumuje na próbę kolumnę liczb, ciesząc się ze swojej wprawy, która pozwala przy całej pewności płynnie przebiegającego liczenia bujać myślami gdzieś daleko i delektować się niespodzianką, której się oczekuje i która mimo to zachwyca, gdy cud

rachunku wciąż jeszcze trwa jak niezłomna skała w świecie nieokreślonego. I zdarza się również wtedy, że jego dłoń zsuwa się z księgi, a serce ogarnia smutek i on rozmyśla o nowych systemach, których wprowadzanie należy do obowiązków nowoczesnego buchaltera, i jeśli przy tym zważy, że nowe systemy zamiast ciężkich i wielkich ksiąg posługują się przyziemnymi kartami i zastępują osobistą umiejętność maszynami do liczenia, to wypełnia go zgryzota.

Poza swoim zawodem buchalterzy są drażliwi. Bo nigdzie nie można dostrzec wyraźnej granicy między rzeczywistością a nierzeczywistością, a kto żyje w świecie ścisłych powiązań, nie dopuszcza myśli, że gdzieś tam istnieje inny świat, którego powiązania są dla niego niezrozumiałe i nieprzejryste: kto wyjdzie ze swojego ugruntowanego świata albo zostanie z niego wyrwany, jest niewyrozumiały, staje się ascetycznym i gorliwym zapaleńcem, ba, staje się buntownikiem. Cień śmierci spłynął na niego i dawny buchalter – jest już dość leciwy – nadaje się właściwie już tylko na skromne powszednie bytowanie emeryta, który nie dając przystępu wszelkim zewnętrżnościom i wszelkim przypadkowościom ogranicza się do podlewania trawnika w swoim ogrodzie i pielęgnowania drzewek owocowych; jeśli wszelako jest jeszcze krzepki i pracowity, to jego życie staje się wyczerpującą walką z rzeczywistością, która dla niego jest nierzeczywistością. A już zwłaszcza, kiedy los albo spadek wyniesie go na tak eksponowane stanowisko jak wydawca gazety, choćby chodziło tylko o mały prowincjonalny dziennik, którym ma kierować. Bo nie ma chyba zawodu, który tak bardzo jest uzależniony od nieobliczalności i niepewności biegu dziejów jak zawód redaktora, szczególnie w czasach wojennych, w których wiadomość i kontrwiadomość, nadzieja i rozpacz, otucha i niedola tak blisko ze sobą sąsiadują, że zgodne z przepisami wpisanie do ksiąg staje się oczywistą niemożliwością: tylko z pomocą urzędów cenzorskich można ustalić, co ma uchodzić za prawdziwe, a co musi pozostać nieprawdziwe, a każdy naród żyje w swojej własnej patriotycznej rzeczywistości. Buchalter jest tutaj nie bardzo na miejscu, bo bez problemu skłonny jest napisać, że nasze dzielne wojska, czekając na rozkaz dalszego marszu naprzód, znajdują się jeszcze na lewym brzegu Marny, podczas gdy w rzeczywistości Francuzi ze swej strony już dawno wdarli się na prawy brzeg. I jeśli cenzor gani takie nieprawdy, to buchalter, przede wszystkim kiedy jest człowiekiem porywczych zachowań, nieuchronnie wpadnie w gniew i będzie wykazywał, że kwatermistrz generalny doniósł wprawdzie o utworzeniu przyczółka mostowego na lewym brzegu, ale że o wycofaniu wojsk nigdy nie było mowy. Jest to tylko przykład jeden z wielu, można by chyba powiedzieć: jeden z setek innych, i na ich podstawie da się raz za razem pokazać, jak niemożliwe jest dokonywanie wpisów do annałów historii z ową dokładnością, która przy księgowaniu poszczególnych transakcji uchodzi za pierwszy i bezwzględny wymóg, i jak nierzetelność z biegiem czasu nieprzejrzystej wojny podsyca bunt, do którego człowiek ścisły i rzetelny już nawet w okresie pokoju znalazłby niejedną powód, który jednak tutaj musi stać się nieodzowną i nieuniknioną walką między władzami a sprawiedliwością, walką między dwiema nierzeczywistościami, między dwoma pogwałceniami, walką, która musi toczyć się zawsze, porównywalną do krucjaty Don Kichota przeciwko światu, który nie chce się poddać żądaniom ducha usiłującego ustanowić porządek. Buchalter będzie zawsze spierał się o słuszność, będzie przez wszystkie instancje procesował się o feniga, jeśli tego wymagają jego księgi, i nie będąc właściwie człowiekiem dobrym weźmie na siebie rolę obrońcy naginanego prawa, skoro tylko dostrzeże i zarejestruje krzywdę i bezprawie, będzie trwał na swoim miejscu nieustępliwie i gniewnie, chudy rycerz, który krusząc kopie musi szarżować raz po raz na cześć rachunku, który w świecie powinien zgadzać się bez reszty.

Takim to sposobem praca redakcyjna pana Escha nie była bynajmniej taka prosta, jak by się chciało mniemać. Pewnie, cały materiał do ukazującego się dwa razy w tygodniu dziennika dostarczała informacyjno-felietonowa agencja z Kolonii i redaktor nie miał właściwie nic innego do roboty, jak wśród palących aktualności wyszukiwać najbardziej

palące, jak z pięknie napisanych powieści i artykułów wybierać najpiękniejsze, i co najwyżej działem lokalnym, który zresztą w większej części składał się z tekstów „nadesłanych”, musiał zajmować się sam. Ale choć zapowiadało się to bardzo prosto i w gruncie rzeczy było też bardzo proste, dopóki Esch ograniczał się do prowadzenia buchalterii, którą w „Gońcu” zorganizował na nowo (co prawda na modłę nie amerykańską, lecz skromniejszą włoską), wszelkie komplikacje pojawiły się, gdy dotychczasowy redaktor został powołany pod broń i zarówno naturalna oraz buchalteryjna oszczędność, jak i coraz trudniejsza sytuacja nakłoniły pana Escha do wzięcia redakcji dziennika w swoje ręce. I zaczęła się walka! Zaczęła się walka o ścisły wizerunek świata i przeciwko fałszywym i sfałszowanym danym, jakie chciano dostarczać ludziom, zaczęła się walka z władzami, które nie tolerowały tego, że „Goniec” informował opinię publiczną o niedomogach na froncie i na zapleczu, o buntach marynarzy i niepokojach w fabrykach amunicji, ba, nawet o wysuwanych przez gazetę propozycjach skutecznego zwalczania takiego zła nie chciano nic słyszeć; natomiast uznano to za podejrzane – chociaż uznać to za podejrzane mógł tylko ktoś nieprzyjazny – że pan Esch otrzymywał takie wiadomości, i rozważano już kwestię zabronienia mu jako obywatelowi obcego państwa (Luksemburczykowi) pracy redakcyjnej; ostrzegano go kilkakrotnie, a stosunki z urzędem cenzorskim w Trewirze układały się z każdym tygodniem coraz bardziej nieprzyjemnie. Nic więc dziwnego, że pan Esch, sam skłócony ze światem, odkrył w sobie poczucie braterstwa z ludźmi upokarzonymi i poniewieranymi, że stał się opozycjonistą i buntownikiem. Ale sam się do tego przed sobą nie przyznawał.

Historia dziewczyny z Armii Zbawienia w Berlinie (1)

Do wielu niewyrozumiałości i ograniczeń, w które obfitowały czasy przedwojenne i których dzisiaj słusznie się wstydzimy, należy chyba też całkowite niezrozumienie dla wszelkich zjawisk, które choć trochę wykraczały poza świat mieniący się w pełni racjonalnym. A że człowiek był wówczas przyzwyczajony uznawać za obowiązujące jedynie kulturę zachodnią i jej myślenie, całą resztę zaś zbywać jako coś pośledniego, łatwo ulegał skłonności do zaliczania wszystkiego, co nie odpowiadało racjonalnej jednoznaczności, do kategorii podeuropejskości i lichoty. I gdy wystąpiło takie zgoła zjawisko jak Armia Zbawienia, w skromnej szacie pokoju i z błagalną prośbą, drwinom nie było końca. Chciano oglądać rzeczy jednoznaczne i heroiczne, innymi słowy: estetyczne, uważano, że taka powinna być postawa człowieka europejskiego, poddano się opacznie rozumianemu nietzscheanizmowi, choć większość nigdy nie słyszała nazwiska Nietzschego, i ta okropność skończyła się dopiero, kiedy świat tyle się napatrzył na heroizm, że z przesytu heroizmem nie mógł już na niego patrzeć.

Ja dzisiaj przyłączam się do każdego zgromadzenia Armii Zbawienia, na jakie natykam się na ulicy, chętnie daję coś na tacę i często nawiązuję rozmowę z żołnierzami Armii. Nie dlatego, że nawróciły mnie dość prymitywne nauki o zbawieniu, ale uważam, że my, ulegający kiedyś uprzedzeniom, mamy etyczny obowiązek naprawiania naszych uchybień, gdzie tylko się da, nawet jeśli te uchybienia sprawiają wrażenie jedynie estetycznego wykołajenia, a my ponadto możemy na usprawiedliwienie powoływać się na naszą ówczesną górną młodość. Co prawda zrozumienie tego bardzo powoli przenikało do mojej świadomości, zwłaszcza że w czasie wojny nader rzadko spotykało się ludzi z Armii Zbawienia. Słyszałem wprawdzie, że prowadzili oni rozległą działalność charytatywną, ale byłem wręcz zaskoczony ujrawszy na jednej z odległych ulic Schönebergu dziewczynę z Armii Zbawienia.

Zapewne sprawiałem wrażenie kogoś dość zaniedbanego i potrzebującego pomocy, jednakże mój przyjaźnie zaskoczony uśmiech ośmielił ją do zagadnięcia mnie pod taktownym pretekstem: zaoferowała mi jedno z pism ulotnych, których cały plik niosła pod pachą. Może byłaby rozczarowana, gdybym ulotkę po prostu od niej kupił; powiedziałem więc: – Niestety nie mam pieniędzy. – To nic nie szkodzi – odrzekła – niech pan przyjdzie do nas.

Przemierzaliśmy kilka typowych przedmiejskich ulic, mijając nie zabudowane parcele, a ja gadałem o wojnie. Myślę, że uważała mnie za dekwana czy zgoła dezertera, który ze swojej potrzeby zwierzeń nie odstępował od tematu, bo w sposób widoczny starała się skierować rozmowę na inne sprawy. Ale ja trzymałem się swojego tematu, dlatego, tego już dzisiaj nie potrafiłbym powiedzieć, i wyrzekłem dalej.

Nagle zabłądziliśmy. Wąską drogą obchodziliśmy wokoło kompleks fabryczny, a gdy doszliśmy do rogu, okazało się, że kompleks ciągnie się jeszcze i ciągnie. Skręciliśmy więc w lewo w niepozorną ścieżkę, którą odgradzał niepotrzebny, dość obwisły drut kolczasty – niezrozumiała rzecz, co tu było do odgradzania, gdyż teren za drutem wypełniały jedynie śmieci i odpadki, doniczki, powyginane konewki, w ogóle przeróżne naczynia, które z niepojętych powodów przytaczono w to trudno dostępne i odległe miejsce – a ta ścieżka po jakimś czasie kończyła się w szczerym polu, nie takim prawdziwym, bo nic tu nie rosło, ale

bądź co bądź w polu, które może przed wojną, a może jeszcze w zeszłym roku było uprawiane. Świadczyły o tym stwardniałe bruzdy, które wyglądały jak zamrożone gliniaste fale. Chyba nigdy potem tu nie siano. W oddali z wolna toczył się przez pola pociąg.

Za nim leżały fabryki, leżało wielkie miasto Berlin. Nasza sytuacja nie była więc rozpaczliwa, mimo że popołudniowe słońce ostro przygrzewało. Naradzaliśmy się, co robić. Wędrować dalej do najbliższej wsi? – W takim stanie nie możemy się nigdzie pokazać – powiedziałem, po czym ona posłusznie próbowała strzepać kurz z ciemnej kurtki munduru. Był to szorstki materiał, z którego szyto mundury konduktorek, materiał zastępczy przetykany papierową nitką.

Dostrzegłem palik, który był tak wbity w ziemię jak znak graniczny. Ruszyliśmy w jego stronę. Siedzieliśmy na zmianę w wąskim cieniu palika. Mówiliśmy niewiele, jedynie o tym, że bardzo mi się chciało pić. A gdy ochłodziło, wróciliśmy do miasta.

Rozpad wartości (1)

Czy to zdeformowane życie ma jeszcze rzeczywistość? Czy ta przerośnięta rzeczywistość ma jeszcze życie? Patetyczny gest gigantycznej gotowości na śmierć kończy się wzruszeniem ramion – oni nie wiedzą, dlaczego umierają; wyzbyci rzeczywistości wpadają w pustkę, jednakże otaczani i zabijani przez rzeczywistość, która jest ich, gdyż rozumieją jej przyczynowość.

Nierzeczywiste jest nielogiczne. A te czasy, jak się zdaje, nie zdołają już spotęgować kulminacji nielogicznego, antylogicznego: jest tak, jak gdyby potworna realność wojny anulowała realność świata. Fantastyczność staje się logiczną rzeczywistością, lecz rzeczywistość rozplywa się w najbardziej alogiczną fantasmagorię. Te czasy, tchórzliwe i żałośliwsze niż jakiegokolwiek wcześniejsze, toną we krwi i gazach trujących, chmary urzędników bankowych i kombinatorów rzucają się na druty kolczaste, dobrze zorganizowany humanitaryzm niczemu nie zapobiega, lecz skrzykuje się w Czerwonym Krzyżu i do produkcji protez; miasta głodują i zbijają forsy na swoim własnym głodzie, nauczyciele w okularach prowadzą do szturmów oddziały uderzeniowe, ludzie z wielkich miast gnieźdzą się w ziemiankach, robotnicy fabryczni i inni cywile czołgają się jako szperacze, a na koniec, kiedy wrócą szczęśliwie na zaplecze, kaleki na powrót stają się kombinatorami. Wobec rozkładu wszelkich form, w mroku apatycznej niepewności nad upiornym światem, człowiek, niczym zabłąkane dziecko, trzymając się nici malej, dychawicznej logiki porusza się w krajobrazie ze snu, który nazywa rzeczywistością, a który przecież jest dla niego tylko zmorą.

Patetyczne przerażenie, z jakim nazywa się te czasy obłądnymi, patetyczne upodobanie, z jakim nadaje im się miano wielkich, tłumaczą się spotęgowaną niepojętością i nielogicznością zdarzeń, które na pozór stanowią ich rzeczywistość. Na pozór! Bo obłądne lub wielkie mogą być zawsze tylko jednostkowe losy, nigdy czasy. A nasze jednostkowe losy są tak samo normalne jak przed wiekami. Nasz los zbiorowy jest sumą naszych losów jednostkowych, a każde jednostkowe życie toczy się najzupełniej „normalnie”, zgodnie ze swą, by tak rzec, kalesonową logiką. To, co się dzieje w życiu zbiorowym, odczuwamy jako obłądne, ale nasz los jednostkowy potrafimy z łatwością logicznie objaśnić. Czy jesteśmy obłąkani, ponieważ nie wpadliśmy w obłąd?

Wielkie pytanie: jak jednostka, której ideologia skądinąd doprawdy skierowana jest na inne rzeczy, może pojąć i poddać się ideologii i rzeczywistości umierania? Można odpowiedzieć, że wielka masa i tak wcale tego nie robiła i została do umierania po prostu zmuszona – pewnie to odpowiada prawdzie teraz, kiedy występuje znużenie wojną, ale istniało i nawet istnieje po dziś dzień prawdziwe entuzjasmowanie się wojną i zabijaniem! Można odpowiedzieć, że przeciętny człowiek, którego życie upływa między korytem a łóżkiem, nie ma w ogóle żadnej ideologii i stąd łatwo go było pozyskać dla ideologii nienawiści – bądź co bądź najbardziej przekonującej, czy chodzi o nienawiść narodową, czy klasową – ba, że takie nędzne życie wprzęgnięte do służby ponadindywidualnej sprawie, nawet jeśli była ona zgubna, nabierało jednak pozorów społecznej wartości życiowej: ale choć to może być trafne, te czasy gdzieś tam miały wszakże inne, wyższe wartości, w których jednostka przy swej żałosnej ludzkiej przeciętności mimo wszystko partycypowała. Te czasy gdzieś tam miały czyste dążenie do poznania, miały jakąś czystą wolę sztuki, miały w

każdym razie precyzyjne wyczucie społeczne; jakże człowiek, twórca i odbiorca tych wszystkich wartości, jakże może on „pojąć”, przyjąć bez sprzeciwu i zaaprobować ideologię wojny? Jakże mógł wziąć karabin do ręki, jakże mógł pociągnąć do okopu, aby w nim zginąć albo z niego wrócić do swoich codziennych zajęć, nie wpadając w obłąd? Jakże możliwa jest taka zmienność? Jakże ideologia wojny mogła w ogóle znaleźć miejsce w tych ludziach, jak ci ludzie mogli w ogóle pojąć taką ideologię i przynależną do niej sferę rzeczywistości? Nie mówiąc już o, zupełnie przy tym możliwej, entuzjastycznej afirmacji? Czy są obłąkani, ponieważ nie dostali obłądę?

Obojętni na cudze cierpienie? Ową obojętnością, która pozwala mieszcuchowi spać spokojnie, kiedy na podwórzu pobliskiego więzienia ktoś leży pod gilotyną albo jest duszony przy słupie? Ową obojętnością, którą wystarczy pomnożyć, aby z tych, co pozostali w domu, żaden się nie przejmował, kiedy tysiące zawisną na drutach kolczastych! Na pewno jest to ta sama obojętność, ale sprawa ma szerszy wymiar, bo tu chodzi już nie o to, że jedna sfera rzeczywistości zamyka się obco i obojętnie na inną, lecz o to, że w jednym człowieku zespoleni są kat i ofiara, że zatem w jednym obrębie mogą się połączyć najróżnorodniejsze elementy i że mimo to jednostka jako nosicielka tej rzeczywistości porusza się w niej całkowicie naturalnie i z absolutną oczywistością. To nie zwolennik wojny ściera się z przeciwnikiem wojny, to nie przeobrażenie jednostki, która wskutek czteroletniego niedostatku żywności „zmięła” się w inny typ i teraz niejako staje obca naprzeciw samej siebie: to rozszczepienie całości życia i przeżywania, które sięga dużo głębiej aniżeli podział na poszczególne jednostki, rozszczepienie, które dotyka poszczególnej jednostki i jej jednolitej rzeczywistości.

Ach, my wiemy o naszym własnym rozszczepieniu i nie potrafimy jednak go objaśnić, chcemy odpowiedzialność za to zrzucić na czasy, w których żyjemy, lecz czasy są przemożne i my nie umiemy ich pojąć, tylko nazywamy je obłądnymi lub wielkimi. My sami uważamy się za normalnych, ponieważ bez względu na rozszczepienie naszej duszy wszystko w nas przebiega według logicznych motywów. Gdyby istniał człowiek, w którym całe dzianie się tych czasów przedstawiałoby się jasno jak na dłoni, którego własne logiczne postępowanie stanowiłoby dzianie się tych czasów, to wtedy, tak, to wtedy te czasy nie byłyby już obłądne. Dlatego chyba tęsknimy za „wodzem”, aby dostarczył nam motywacji do dziania się, które bez niego możemy jedynie nazwać obłądnym.

Patrząc z zewnątrz należałoby życie Hanny Wendling nazwać próżnowaniem w dostatnich warunkach. I dziwnym trafem także patrząc od wewnątrz. Prawdopodobnie również ona sama nie określiłaby tego inaczej. Było to życie zwisające między porannym wstawaniem a wieczornym chodzeniem spać jak wiotka jedwabna nić, wiotka i pofałdowana z braku napięcia. Życie w swej różnorodności wymiarów w tym szczególnym przypadku traciło jeden wymiar za drugim, ba, ledwie już wypełniało trzy wymiary przestrzeni: nie bez racji można było powiedzieć, że sny Hanny Wendling były bardziej plastyczne i krwiste niż jej jawa. Ale jakkolwiek była to w dużej mierze opinia samej Hanny Wendling, nie utrafiła w sedno sprawy, bo naświetlała jedynie makroskopijne warunki jej bytowania jako młodej kobiety, nie mając bodaj pojęcia o warunkach mikroskopijnych, które wyłącznie się liczą: żaden człowiek nie wie czegokolwiek o mikroskopijnej strukturze swej duszy i z pewnością nie powinien wiedzieć. A tutaj było tak, że pod widomym zwiotczeniem trybu życia utrzymywało się stałe napięcie poszczególnych elementów. Gdyby chciało się wyciąć jedynie niewielki kawałek z pozornie sflaczałej nici, zobaczyłoby się niesamowite zwijanie się, niejako spazm molekuł. To, co by się wówczas objawiło na zewnątrz, można by najprzystępniej określić słowem „nerwowość”, o ile rozumie się przez to wyczerpującą wojnę partyzancką, jaką ludzkie ja w każdej, choćby najkrótszej chwili musi toczyć z owymi najdrobniejszymi cząstkami empirii, z którymi styka się jego powierzchnia. Lecz choć to w dużej mierze odnosiło się do Hanny, swoiste napięcie jej natury nie polegało jednak na nerwowej niewyrozumiałości wobec przypadkowości życia, nawet jeśli te przypadkowości dawały o sobie znać w postaci kurzu na jej lakierkach, ucisku pierścionków na jej palcach czy tylko nie dogotowanego ziemniaka, nie, to nie na tym polegało, bo to wszystko nawet odznaczało się drobnym, połyskliwym poruszeniem, było jak migotanie lekko poruszonej powierzchni wody w słońcu i ona nie chciałaby obejść się bez tego, to jakoś chroniło przed nudą, nie, to nie polegało na tym, ale chyba na rozbieżności między tą tak wielorako cieniowaną powierzchnią a niewzruszonym i nieporuszonym morskim dnem jej duszy, które rozciągało się tak głęboko pod tym wszystkim, że nie można było go dojrzeć, że nigdy go się nie dojrzy: była to rozbieżność między widoczną powierzchnią a niewidoczną, której nic już nie ogranicza, była to owa rozbieżność, w której nieskończoności rozgrywa się najbardziej napięta gra duszy, była to niezmierna odległość między awersem a rewersem zmroku, napięcie bez równowagi, można by chyba rzec: zmienne napięcie, gdyż po jednej stronie stoi życie, a po drugiej wieczność, która jest morskim dnem duszy i życia.

Było to życie w dużej mierze pozbawione wszelkiej substancji i być może z tego powodu bez znaczenia. Fakt, że było to życie mało znaczącej małżonki mało znaczącego prowincjonalnego adwokata, nie ważył tu zbyt wiele. Bo ze znaczeniem ludzkich losów w ogóle nie zajadzie się specjalnie daleko. I chociaż wartość etyczną próżniaczki pośród czasu pełnego wojennych okropności ocenić trzeba jako bardzo niską, to nie należy jednak zapominać, że z tych wszystkich, co dobrowolnie lub pod przymusem wzięli na siebie bohaterskie wypełnianie wojennych obowiązków, prawie każdy zamieniałby chętnie swój etyczny los na nieetyczny los próżniaczki. I być może, choć tylko być może, bezwład, w jaki Hanna Wendling popadała wraz z postępującą i rozszerzającą się wojną, nie jest niczym innym jak wyrazem nadzwyczaj etycznego przerażenia grozą, na której pastwę natura ludzka czuje się wydana. I być może to przerażenie tak się już w niej rozrosło, że Hanna Wendling sama nie mogła więcej nic o nim wiedzieć.

Jednego z następnych popołudni Huguenau był znów u pana Escha.

– No i co pan powie, panie Esch: sprawa się rozkręca!

Esch poprawiał zadrukowaną płachtę, podniósł głowę: – Jaka sprawa?

Imbecyl, pomyślał Huguenau, ale powiedział: – Ta z gazetą.

– Pytanie, czy ja przyłożę do tego rękę.

Huguenau nabrał podejrzeń: – No, niechże pan posłucha, nie może mnie pan kompromitować... a może układa się pan już z kimś innym?

Potem spostrzegł dziewczynkę, którą widział wtedy pod drukarnią: – Pańska córka?

– Nie.

– Tak... widzi pan, panie Esch, jeśli mam sprzedać pańską gazetę, to powinien mi pan pokazać całość...

Esch wskazał na pokój, Huguenau próbował go rozweselić: – Panienska więc też należy do gazety...

– Nie – odparł Esch.

Huguenau nie ustępował; właściwie nie bardzo wiedział, czemu go to interesuje: – Ale drukarnia należy... muszę ją zobaczyć...

– A niech tam – powiedział Esch i wziął dziewczynkę za rękę – idziemy do drukarni.

– Jak ty się nazywasz? – spytał Huguenau.

Dziewczynka odparła: – Margerita.

– *Une petite Française* – stwierdził Huguenau.

– Nie – powiedział Esch – tylko ojciec jest Francuzem...

– Ciekawe – rzekł Huguenau – a matka?

Zeszli po drabince dla kur. Esch powiedział cicho: Matka już nie żyje... ojciec był elektrykiem, tutaj w piapierni, teraz jest internowany.

Huguenau potrząsnął głową: – Smutna sprawa, bardzo smutna... i pan wziął małą do siebie?

Esch odparował: – Wszystko chce pan wiedzieć?

– Ja? Nie... ale mała musi przecież gdzieś mieszkać...

Esch powiedział opryskliwie: – Mieszka u siostry matki... tutaj przychodzi tylko czasami na obiad... to są biedni ludzie.

Huguenau był zadowolony, że wiedział już wszystko: – *Alors tu es une petite Française, Margerito?*

Dziewczynka popatrzyła na niego, iskra przypomnienia przemknęła przez jej twarz, mała puściła Escha, wzięła palec Huguenaua, ale nic nie odpowiedziała.

– Ona nie umie ani słowa po francusku... to już cztery lata, jak ojciec jest internowany...

– Ile ma teraz lat?

– Osiem – odparła dziewczynka.

Weszli do drukarni.

– To jest drukarnia – powiedział Esch – same maszyny i zecernia warte już są swoje parę tysięcy.

– Starsza konstrukcja – stwierdził Huguenau, który jeszcze nigdy nie widział drukarni. Po prawej była zecernia; staroświeckie kaszty zecerskie nie zainteresowały go, ale podobała mu się maszyna drukarska. Ceglana posadzka, w wielu miejscach łątana dużymi plamami betonu, była wokół maszyny przesycona olejem i brązowa. Maszyna stała ciężka i mocna, lane żelazo

polakierowane na czarno, pręty z kutego żelaza lśniące, a na przegubach i łożyskach były osadzone mosiężne pierścienie. Stary robotnik w niebieskiej bluzie pękiem pakół pocierał lśniące pręty, nie zwracając uwagi na gości.

Esch rzucił: – No i to wszystko, idziemy... chodź, Margerito.

Odszedł bez pożegnania, po prostu zostawiając gościa. Huguenau spojrział w ślad za gburem i całkiem mu to odpowiadało; teraz można było tutaj rozejrzeć się swobodnie. Panowała przyjemna atmosfera spokoju i stałości. Wyciągnął cygarnicę, wyszukał cygaro, którego wierzchni liść był lekko uszkodzony, i podsunął je człowiekowi przy maszynie.

Drukarz popatrzył na niego pytająco, bo tytoń rzadko się trafiał i cygaro to był bądź co bądź prezent. Wytarł rękę o niebieski strój, wziął cygaro, a nie bardzo wiedząc, jak podziękować, powiedział: – To rzadkość. – A tak – odrzekł Huguenau – z tytoniem kiepsko to wygląda. – Ze wszystkim kiepsko wygląda – potwierdził drukarz. Huguenau nadstawił ucha: – Coś podobnego mówi pański szef. – Wszyscy to mówią.

Nie była to odpowiedź, którą Huguenau chciał usłyszeć: – Niechże pan zapali – rozkazał. Mężczyzna silnymi, brązowymi zębami odgryzł, trochę jakby rozgniatając orzech, czubek cygara i zapalił. Jego kombinezon i koszula były rozpięte i ukazywały biały włos na piersi. Huguenau oczekiwał rewanżu za swoje cygaro; mężczyzna powinien coś opowiedzieć; dodał mu bodźca: – Fajna maszynka, nie? – Obleci – brzmiała zwięzła odpowiedź. Huguenau, który darzył maszynę sympatią, był za nią urażony z powodu skąpej pochwały. A ponieważ nie przychodziło mu do głowy nic innego, by przerwać milczenie, zapytał: – Jak pan się nazywa? – Lindner.

– Potem milczeli już na dobre i Huguenau zastanawiał się, czy nie powinien pójść sobie, gdy jego palce znów chwyciła dziecięca dłoń; Margerita na bosaka podeszła bezszelestnie.

– *Tiens* – powiedział – *tu lui as échappé*.

Mała patrzyła na niego bez zrozumienia.

– Ach, prawda, nie znasz francuskiego... wstydź się, musisz się nauczyć.

Mała zrobiła pogardliwy gest, taki sam, jaki Huguenau zaobserwował już u Escha: – Ten z góry też zna francuski...

Powiedziała: ten z góry.

Huguenau był zadowolony; zapytał cicho: – Nie lubisz go?

Dziewczynka z ponurą miną wysunęła dolną wargę, ale potem spostrzegła, że Lindner palił: – Pan Lindner pali!

Huguenau zaśmiał się i otworzył cygarnicę: – Ty też chcesz cygaro?

Mała odsunęła cygarnicę od siebie i odrzekła powoli: – Daj mi pieniądze.

– Co? Chcesz dostać pieniądze? A po co ci pieniądze?

Lindner powiedział: – One teraz wcześniej zaczynają.

Huguenau przysunął sobie krzesło; wziął Margeritę między kolana:

– Widzisz, ja sam potrzebuję pieniędzy.

Dziewczynka powtórzyła ze swoją zawziętą powolnością: – Daj mi pieniądze.

– Dam ci pralinki.

Mała milczała.

– Po co ci pieniądze?

I chociaż Huguenau wiedział, że „pieniądze” to bardzo ważne słowo, i chociaż go ono nie odstępowało, nagle nie mógł sobie pod tym nic wyobrazić i musiał zastanawiać się z wysiłkiem: – Po co ludziom pieniądze?

Margerita oparła się rękami o jego kolana i trzymała się pomiędzy nimi bardzo sztywno.

Lindner mruknął: – Ach, niech pan ją puści – a do Margerity: – Zmiataj stąd, drukarnia nie jest dla dzieci.

Margerita miała złe, kose oczy. Znowu wzięła palec Huguenaua, zaczęła ciągnąć do drzwi.

– Co nagle to po diable – powiedział Huguenau podniósłszy się z krzesła – tylko spokój może nas uratować, nie, panie Lindner?

Lindner znów bez słowa pucował swoją maszynę i naraz Huguenau dopatrył się niewytłumaczalnego pokrewieństwa między dziewczynką a maszyną, niejako siostrzanej więzi. I jak gdyby mógł w ten sposób pocieszyć maszynę, nim doszedł do drzwi, powiedział prędko do małej: – Dam ci dwadzieścia fenigów.

Gdy dziewczynka wyciągnęła rękę, powtórnie ogarnęło go osobliwe zważenie w pieniądze i ostrożnie, jakby chodziło o tajemnicę, która dotyczyła tylko ich dwojga i o której nikomu, nawet maszynie, nie wolno było usłyszeć ani słowa, przyciągnął małą blisko do siebie, nachylił się do jej ucha: – Po co ci pieniądze?

Dziewczynka powiedziała: – Daj.

A kiedy Huguenau nic takiego nie zrobił, zamyśliła się ponuro. Potem rzekła: – Ja ci to powiem – wyrwała się z jego uścisku i pociągnęła go do drzwi.

Gdy stanęli na podwórzu, zrobiło się dziwnie chłodno. Huguenau chętnie wziąłby na ręce małą istotę, której ciepło czuł dopiero co; było niewłaściwością ze strony Escha, że o tej porze roku pozwalał dziewczynce chodzić boso. Był z lekka zakłopotany i przetarł szkła okularów. Dopiero kiedy mała znów wyciągnęła rękę i powiedziała: – Daj – przypomniał sobie o dwudziestu fenigach. Ale zapomniał spytać o ich przeznaczenie, otworzył sakiewkę i wysupłał dwie żelazne monety. Margerita wzięła je i uciekła, a Huguenau pozostawszy sam nie miał nic lepszego do roboty jak zlustrować jeszcze raz podwórze i budynki. Potem poszedł sobie i on.

Z chwilą, w której rezerwista Ludwig Gödicke skupił najpotrzebniejsze kawałki duszy wokół swego ja, wstrzymał ten bolesny proces. Można by tutaj zarzucić, że wojak Gödicke przez całe życie był człowiekiem prymitywnym i że dalsze szukanie wcale by mu nie pomogło dojść do większego duchowego bogactwa, ponieważ po prostu nigdy, nawet w kulminacyjnych momentach swoje żywota, nie miał do dyspozycji większej liczby składników dla swojego ja. Nie można jednak ani dowieść – a to z góry zbija taki zarzut – że wojaka Gödickego należało zaliczyć do prymitywów, ani określić go w nowym układzie jako prymitywa, a tym bardziej nie wolno wyobrażać sobie, że świat i dusza prymitywa są poniekąd z ubogiego budulca i jakby wyciosane siekierą. Wystarczy zważyć, jak skomplikowaną konstrukcję mają języki ludów pierwotnych w porównaniu z językami ludów cywilizowanych, aby pojąć absurdalność tego zarzutu. Żadną miarą nie sposób więc rozstrzygnąć, czy rezerwista Gödicke dokonał węższego czy szerszego wyboru spomiędzy składników swojej duszy, ile ich dopuścił do budowania na nowo swojego ja, a ile wykluczył, można jedynie powiedzieć, że trapiło go uczucie, iż brakuje mu czegoś, co niegdyś należało do niego, czego wprawdzie nie potrzebował bezwarunkowo do swego nowego życia, czego brak jednak odczuwał i czemu mimo to musiał zabronić przystępu, bo w przeciwnym razie to by go zabiło.

A że faktycznie czegoś tu brakowało, można to było skonstatować po oszczędności, z jaką przejawiało się jego życie. Mógł chodzić, aczkolwiek z mozołem, mógł jeść, aczkolwiek bez apetytu, i tylko trawienie, jak w ogóle wszystko, co się wiązało ze zgniecionym podbrzuszem, sprawiało mu jeszcze dolegliwy trud. Może też do tej kategorii wypadało zaliczyć trud mówienia, bo często miewał wrażenie, jakby żelazna obręcz ściskająca mu brzuch opasywała również klatkę piersiową i przeszkadzała w mówieniu. Ale taka niemożność i niezdolność do wykrztuszenia choćby najzwyczajszego słówka na pewno miała swoje źródło w owej oszczędności, z którą zbudował teraz swoje ja i która pozwalała ledwie na jak najskromniejszą i jak najkapszą przemianę materii, dla której wszakże każde dalsze zadanie, choćby sprowadzało się do tchnięcia jednego jedynego słowa, stanowiłoby manko nie do powetowania.

Tak to, wsparty na kulach, chodził w kółko po ogrodzie, bujna brązowa broda spoczywała rozwichrzona na piersi, brązowe oczy ponad głębokimi, porośniętymi czarniawym włosem dolami policzków patrzyły w pustkę, miał na sobie szpitalny fartuch albo wojskowy płaszcz, zależnie od tego, co mu tam siostra naszykowała, i na pewno nie zdawał sobie sprawy, że przebywa w lazarecie albo że przed nim rozpościera się miasto, którego nazwy nie znał. Murarz Ludwig Gödicke wznosił niejako rusztowanie dla domu swojej duszy i chodząc w kółko o kulach czuł się w pełni rusztowaniem z różnymi podporami i krzyżulcami; jednakże nie mógł się zdecydować, a raczej nie potrafił zgromadzić sam kamieni i cegieł na dom, lecz wszystko, co robił, a wyrażając się ściślej: wszystko, co myślał – bo przecież nie robił nic – było zaprzątnięte budową rusztowania jako takiego, ukształtowaniem tego rusztowania, w którym były wielorakie drabiny i połączenia, rusztowania, które z każdym dniem robiło się bardziej oszalałymi i o którego trwałość trzeba było dbać: rusztowania stanowiącego cel sam w sobie, niemniej jednak cel prawdziwy, gdyż pośrodku rusztowania i na każdej z poszczególnych części wspierających zawisło niewidzialnie ja budowniczego domu, Ludwiga Gödickego, i należało je chronić przed zawrotem głowy.

Doktor Flurschütz często nosił się z myślą, żeby oddać tego człowieka do zakładu dla umyślowo chorych. Ale komendant Kuhlenbeck był zdania, że szok to tylko skutek zasypania, nie jest więc uwarunkowany organicznie, i że z biegiem czasu pacjent go zwalczy. A ponieważ Gödicke stał się pacjentem spokojnym, którego pielęgnacja nie sprawiała jakichkolwiek kłopotów, zgodzono się zatrzymać rezerwistę tak długo, aż jego cielesne niedomagania zostaną całkowicie wyleczone.

Historia dziewczyny z Armii Zbawienia w Berlinie (2)

Niejedną rzecz powiedzieć da się tylko wierszem,
Choć ktoś, kto mówi jeno prozą, rzeknie: bajda,
Wiersz często z powinności twardej zwalnia,
I w rymach wyśpiewasz wiele, a pierwsze
Jest cierpienie, co w dni przepojone nocą
Jakienne maryl z serca się dobywa,
Jak pienia Armii Zbawienia: i nikt nie podrwiwa,
Gdy oni w tamburyny i bębny swe grzmocą.
Takoż Maria kroczyła ulicami śmiało,
Takoż dzielnie berlińskie knajpy odwiedzała;
Mundur, kapelusz ze słomy szpeciły ją niemało,
Dziewczyną będąc w kwiecie przekwitła się zdała,
A kiedy zaśpiewała, cienko pieśń jej brzmiała
I sensu nie stawało, a przecież skrzydła miała.
Maria, tak się zwała, w przytułkach mieszkała,
Gdzie w szarym korytarzu woniało stęchlizną,
Podgniłą kapustą i swądem spalenzny,
A czystość ze wszystkich szpar buchała.
Gdzie latem po plecach dreszcze przebiegały,
Gdzie starcy wysiadują w zimnej rozmównicy,
Czuć im z ust i pocą się nogi bez różnicy...
Tu schronienie miała, tu co dnia wracała,
Tu łóżko za brązowym przepierzeniem stało,
Tu pod brązowym krzyżem z nadzieją kłękała,
Za trudy powszednie szczerze dziękowała,
Na przeznaczenie z nieba zesłane czekała.
Tu zasypiała, a noc jej dźwięki wypełniały.
Zaś rano myła się w zimnej wodzie,
Bo ciepła w tym domu była zabroniona;
Blask nieba pozostawał szaro zabarwiony,
Powietrza spokój żagiel na pamięć przywodził,
Co mokry, wiotki zwisa i z rzadka łopocze.
Dużo jest o tej porze smutku głuchego:
Któż spodziewać się może radości albo tego,
Że będzie ten dzień nowy wspominał ochoczo?
Że owego dnia, co zaczął się samotnie,
Przyjaźń zawrze, o której marzył?
Maria nic o tym nie wie – kawę parzy,
Zamiata, kurze ściera, a potem w oknie
Na chwilkę przystaje: coś jakby się udało
I weselem tchną rzeczy, tchnie ulica cała.

Dość rzadko zdarzało się Hannie Wendling bywać w mieście. Nienawidziła drogi, i to nie tylko zakurzonego traktu, co byłoby ostatecznie zrozumiałe, lecz także ścieżki wzdłuż rzeki. Przy tym było tego ledwie 25 minut, a traktem zgoła tylko kwadrans. W gruncie rzeczy nigdy nie lubiła tej drogi, nawet w tych czasach, kiedy jeszcze codziennie przychodziła po Heinricha do kancelarii. Później było auto, co prawda tylko na parę miesięcy, bo potem przyszła wojna. Dzisiaj doktor Kessel zabrał ją do miasta swoją jednokonką.

Robiła zakupy. Jej nowa suknia sięgała jedynie do kostek i Hanna czuła spojrzenia ludzi na swoich stopach. Miała dobre wyczucie mody, miała je zawsze, czuła modę, tak jak ktoś budzi się o określonej porze i nie potrzebuje patrzeć na zegarek. Żurnale były dla niej zwykle tylko późniejszym potwierdzeniem. A to, że ludzie spoglądali na jej stopy, też było jakby potwierdzeniem. Naturalnie jest wielu ludzi, którzy potrafią budzić się punktualnie, i jest wiele kobiet z dobrym wyczuciem immanentnej logiki mody, ale ktoś, komu właściwa jest taka zdolność, uważa się najczęściej za jedyne w swoim rodzaju. Toteż Hanna Wendling była teraz troszkę dumna i chociaż przeczuwała, że ta duma jest bezpodstawna, odezwało się w niej nieczyste sumienie na widok tych wszystkich wynędzniałych kobiet, które stały w ogonku pod piekarnią. Jednakże skoro się zważyło, że przy odrobinie zmysłu do tego, co modne, każda z tych kobiet mogłaby sobie skrócić spódnicę, co przecież prawie nic nie kosztuje – pokojówka uporała się z tym w godzinę, mimo nowego oblamowania – to znowu duma nie była taka bezpodstawna, a że duma wytwarza dobry humor, Hanny Wendling nie denerwowały ani brudne paznokcie handlarza zieleniną, ani muchy, które harcowały w sklepie, i przez chwilę nic sobie nie robiła z tego, że jej pantofle były zakurzone. Kiedy tak przechadzała się po ulicach przystając to przy tej, to znów przy tamtej wystawie, miała bez wątpienia ów dziewczęcy czy też mniszy wygląd, dostrzegany – w czasie wojny można było często poczynić to spostrzeżenie – u kobiet, które przez dłuższy czas są rozłączone z mężami i dochowują im wierności. Lecz ponieważ Hanna Wendling była teraz troszkę dumna, jej twarz się odsoniła, a owa nieokreślona, delikatna zasłona, która może spoczywać na takich twarzach jak zwiastun nadchodzącego starzenia się, została niewidzialną ręką odsunięta: oblicze było podobne do pierwszego dnia wiosny po nazbyt długiej zimie.

Doktor Kessel, który odbywał wizyty w mieście, aby następnie pojechać do lazaretu, miał ją odwiedzić do domu; umówiła się z nim koło apteki. Kiedy nadeszła, jednokonka już tam stała, a doktor Kessel rozmawiał z aptekarzem Paulsenem. Co należało sądzić o aptekarzu Paulsenie, tego Hannie Wendling nie trzeba było mówić, ba, żywiła ona przekonanie, wykraczające chyba poza ten pojedynczy przypadek, że wszyscy mężczyźni, którzy wiedzą, iż są zdradzani przez żony, odnoszą się do innych kobiet ze szczególną i szczególnie pustą galanterią; a mimo to pochlebilo jej, gdy rzucił się ku niej ze słowami: – Jaka urocza wizyta, jaki miły wiosenny dzień! – Bo aczkolwiek Hanna Wendling zazwyczaj odrzucała i zbywała ludzi radykalnie i bezapelacyjnie, to dzisiaj, czując się rozluźniona i swobodna, chętnie słuchała nawet pustych komplementów aptekarza – było to popadanie z jednej skrajności w drugą, oscylowanie między całkowitym zamknięciem się w sobie a całkowitym rozluźnieniem, niepohamowanie, jakie występuje u osób wewnętrznie spętanych, będące z pewnością nie tyle niepohamowaniem renesansowych papieży, ile raczej chwiejnością i nijakością mieszczaucha, któremu niedostaje instynktu wartości. Co najmniej dałoby się powiedzieć, że to chyba niedostatek instynktu wartości skłonił teraz Hannę Wendling, która usiadła na czerwonej pluszowej kanapie w aptece, do promiennego patrzenia przyjaznymi

spojrzeniami na aptekarza Paulsena i nadawania jego liryce treści, w którą zarazem wierzyła i nie wierzyła. Ba, była mocno zagniewana na doktora Kessela, którego obowiązek wzywał do lazaretu, ponieważ musiał ponaglać do odjazdu, i gdy siedziała obok niego w powozie, zasłona znów okryła jej twarz.

Była małomówna w drodze, małomówna w domu. Znowu nie rozumiała, czemu tak bardzo się wzbraniała przed powrotem na czas wojny do frankfurckiego domu rodzinnego. Że w małej mieścinie łatwiej się przeżyć, że nie mogła zostawić willi bez opieki, że tutejsze powietrze miało lepiej służyć chłopcu, to były preteksty służące jedynie maskowaniu osobliwego stanu wyobcowania, któremu nie dało się zaprzeczyć. Była odludkiem, powiedziała to także doktorowi Kesselowi: „odludkiem”, powtórzyła, a wypowiadając to słowo miała wrażenie, że odpowiedzialnością za to należało obarczyć Heinricha, tak samo jak zarzucała mu, że to z jego winy mosiężny moździerz z kuchni trafił do składnicy złomu. To tajemnicze wyobcowanie rozciągało się nawet na chłopca. Budząc się w nocy z wielkim trudem potrafiła sobie wyobrazić, że chłopiec śpi w sąsiednim pokoju i że ma to być jej dziecko. A kiedy wystukiwała parę dźwięków na fortepianie, to już nie swoją ręką, lecz obcymi, nieruchawymi palcami, i wiedziała, że utraci nawet muzykę. Hanna Wendling poszła do łazienki, aby zmyć z siebie miejskie przedpołudnie. Potem uważnie przejrzała się w lustrze szukając, czy to jeszcze jest jej twarz. Znalazła ją, znalazła ją jednak dziwnie przesłoniętą i chociaż właściwie to się jej podobało, odpowiedzialnością obarczyła Heinricha.

Zresztą często teraz przyłapywała się na tym, że jego imię ulatywało jej z pamięci i że również sama dla siebie nazywała go tak, jak zwykła go była nazywać wobec służby: doktor Wendling.

Historia dziewczyny z Armii Zbawienia w Berlinie (3)

Na kilka tygodni straciłem z oczu Marię, dziewczynę z Armii Zbawienia. Berlin był wówczas podobny – ba, do kogo albo do czego był podobny? Nadeszły upalne dni, asfalt był miękki, często podziurawiony, niczego nie naprawiano, kobiety miały dużo do gadania, pełniły urzędowe funkcje konduktorek czy czegoś tam innego; drzewa na ulicach więdły już na wiosnę, wyglądały jak dzieci o twarzach starców, a gdy dmuchał wiatr, to wzbijał kurz i strzępy gazet; Berlin stał się bardziej wiejski, niejako bardziej naturalny, ale właśnie przez to nienaturalny, był poniekąd podobny do swej własnej kopii. W mieszkaniu, w którym znalazłem kąt dla siebie, dwa lub trzy pokoje zajmowali żydowscy uchodźcy z okolic Łodzi, nigdy właściwie nie zdołałem ustalić, ilu ich było i co ich łączyło; byli starcy w długich rurowatych butach i z pejsami, a raz spotkałem takiego, spod którego chałata wyzierały białe skarpety do kolan i buty z klamerką, jakie nosiło się w XVIII wieku; byli mężczyźni, którzy jedynie pozorowali chałat dłuższym krojem swych surdutów, i młodzieńcy o dziwnie mlecznym obliczu, z puszystą, jasną brodą, która była przyklejona jak broda teatralna. Od czasu do czasu pokazywał się też ktoś w szarozielonym mundurze i miało się wrażenie, jakby nawet mundur miał w sobie coś z chałata. A niekiedy przychodził mężczyzna w nieokreślonym wieku, po miejsku ubrany, a jego brązowy zarost był jak u Wuja Krugera wygolony w ramkę i tylko w okolicy skroni pozostawiony nietknięty. Nosił zawsze laskę ze staromodną rączką i binokle na czarnym sznurku. Od razu wziętem go za lekarza. Naturalnie były także kobiety i dzieci, matrony w perukach, dziewczyny nad podziw modnie ubrane.

Z czasem pochwyciłem parę słów w jidysz, którym rozmawiali. Nigdy tej mowy naturalnie nie rozumiałem. Ale im wydawało się to niewyobrażalne, bo ilekroć znalazłem się w ich pobliżu, przerywali gardłowe szwargotanie, które tak osobliwie dobywało się z ust dostojnych starców; patrzyli na mnie z obawą. Wieczorem siedzieli przeważnie w nieoświetlonym pokoju, a kiedy rano wychodziłem do przedpokoju, gdzie stale pełno było najróżniejszych części garderoby i gdzie służąca czyściła buty, często widywałem jednego ze starszych mężczyzn stojących przy oknie. Założył sobie rzemienie modlitewne na czoło i przegub, poruszał górną częścią ciała w takt czyszczenia butów całując co jakiś czas frędzle swego modlitewnego płaszczka, modlił się wypowiadając szalenie szybkimi zwiędłymi wargami szalenie szybkie zwiędłe słowa w stronę okna. Może dlatego, że okno wychodziło na wschód.

Byłem tak zafascynowany życiem Żydów, że wiele godzin w ciągu dnia poświęcałem cichej obserwacji. W przedpokoju wisiały dwa oleodruki przedstawiające rokokowe sceny i musiałem zastanawiać się nad tym, czy oni potrafią dostrzec i oglądać te obrazy i wiele innych rzeczy takimi samymi oczami jak my. I zaprzątnięty tymi obserwacjami całkiem zapomniałem o Marii, dziewczynie z Armii Zbawienia, chociaż w jakiś sposób łączyłem ją z tym wszystkim.

Ręka podporucznika Jaretzkiego została amputowana. Powyżej łokcia. Kuhlenbeck robił swoje gruntownie. Reszta Jaretzkiego siedziała w szpitalnym ogrodzie, siedziała pod kępą zarośli i przyglądała się kwitnącej jabłoni.

Inspekcja przeprowadzana przez komendanta miasta.

Jaretzki wstał, sięgnął do chorej ręki, sięgnął w pustkę. Potem stanął na baczność.

– Dzień dobry, panie poruczniku, już pan się lepiej czuje?

– Wedle rozkazu, panie majorze, brakuje sporego kawałka.

Wydawać się mogło, że major von Pasenow czuje się odpowiedzialny za rękę Jaretzkiego, gdyż powiedział: – To jest zła wojna... może pan usiąść, panie poruczniku.

– Dziękuję posłusznie, panie majorze.

Major zapytał: – Gdzie został pan ranny?

– Nie zostałem ranny, panie majorze... to gaz.

Major popatrzył na kikut ręki Jaretzkiego: – Nie bardzo rozumiem... od gazu ludzie się duszą...

– Są i takie skutki gazu, panie majorze.

Major zastanawiał się chwilę. Potem powiedział: – To nierycerska broń.

– Na pewno, panie majorze.

Obaj pomyśleli, że Niemcy też posługują się taką nierycerską bronią. Ale nie powiedzieli tego.

Major zapytał: – He pan ma lat?

– Dwadzieścia osiem, panie majorze.

– Na początku wojny jeszcze nie było gazu.

– Nie, panie majorze, myślę, że nie było.

Słońce oświetlało długi, żółty mur szpitala. Kilka białych obłoków zawisło na błękitnym niebie. Żwir alejki tkwił mocno w czarnej ziemi, a brzegiem trawnika pełzała dżdżownica. Jabłoń była jak wielki, jasny bukiet.

Z budynku wyszedł Kuhlenbeck w białym fartuchu.

Major powiedział: – Życzę panu rychłego wyzdrowienia.

– Dziękuję posłusznie, panie majorze – odpad Jaretzki.

Rozpad wartości (2)

Groza tych czasów jest bodaj najbardziej uderzająca w doznaniach architektonicznych: z wędrowania po ulicach zawsze przynoszę do domu okropne zmęczenie. Wcale nie muszę specjalnie oglądać fasad domów; budzą we mnie niepokój, choćbym nie spojrział na nie. Czasami uciekam do jakże wychwalanych nowych budowli, ale – to z pewnością niesprawiedliwe – dom towarowy Messela, który jest niewątpliwie wielkim architektem, ma dla mnie w swoim gotyku coś komicznego, a jest to komizm niemiły i męczący. Męczy mnie tak bardzo, że prawie już nie potrafię wypoczywać przy klasycznych budowlach. A przecież lubię pełną rozmachu przejrzystość architektury Schinkla.

Jestem przekonany, że w żadnej z dawniejszych epok człowiek nie patrzył na architektoniczne formy ekspresji z niechęcią i odrazą; to pozostało zastrzeżone dla naszej epoki. Aż po klasycyzm budowanie było działalnością naturalną. Być może w ogóle nie dostrzegano nowych budowli, tak jak nie musi się zwracać uwagi na nowo posadzone drzewo, jednakże dostrzegając je wiedziano, że stało się coś dobrego i naturalnego; tak jeszcze Goethe patrzył na współczesne sobie budowle.

Nie, nie jestem estetą, z pewnością nigdy nim nie byłem, choćby to i owo wywoływało takie wrażenie, nie jest to również zapatrzone w przeszłość sentymentalizm, idealizujące spojrzenie na minione epoki. Nie, za całą moją odrazą i moim zmęczeniem kryje się stare, bardzo mocno ugruntowane przeświadczenie, przeświadczenie, że dla danej epoki nie ma rzeczy ważniejszej niż jej styl. Nie ma w dziejach ludzkości epoki, którą charakteryzowałoby coś innego niż jej styl, a przede wszystkim jej styl architektoniczny, wolno chyba nazwać ją epoką jedynie o tyle, o ile ma swój styl.

Można mi zarzucić, że moje zmęczenie i rozdrażnienie tłumaczy się niedożywieniem. Można mi powiedzieć, że te czasy mają swój wyrazisty maszynowo-armatnio-żelazobetonowy styl, można mi powiedzieć, że dopiero przyszłe pokolenia zrozumieją styl tych czasów. Cóż, jakiś tam styl mają każde czasy i nawet lata grynderskie mimo całego eklektyzmu miały swój styl. I przyznaję nawet, że technika po prostu zgmiotła wolę stylu i że na nowych materiałach budowlanych nie zdołano jeszcze wymóc adekwatnych form ekspresji, że uporanie się z całą tą niepokojącą dysproporcją tymczasem jest jeszcze celem do osiągnięcia. Bądź co bądź nikt mi nie będzie mógł zaprzeczyć, że nowa architektoniczna ekspresja, czy to za sprawą nowego materiału, czy też ludzkiej niezdolności, coś zatraciła, ba, z całą świadomością coś odrzuca i konsekwentnie musi odrzucać, coś, co radykalnie różni ją od wszystkich dawniejszych stylów: wyróżnik ornamentu. Zapewne można dopatrywać się w tym cnoty i twierdzić, że dopiero teraz budowniczowie potrafią konstruować z takim wyczuciem materiału, iż mogą się obyć bez ornamentalnych dodatków. Ale czy termin „wyczucie materiału” nie jest tylko modnym hasłem? Czy gotyk lub jakakolwiek inna epoka nie budowały z wyczuciem materiału? Kto uważa ornament za dodatek, ten nie zdaje sobie sprawy z wewnętrznej logiki budowli. „Styl architektoniczny” to jest logika, to logika, która przenika całość budowli, poczynając od rzutu poziomego po kontur przestrzenny, i w ramach tej logiki ornament to jedynie ostatni, zminiaturyzowany, charakterystyczny wyraz jednolitej i ujednocniającej myśli przewodniej całości. Czy to jest niezdolność do ornamentu, czy też jego odrzucenie, wychodzi to na jedno i to samo, nie oznacza nic innego jak fakt, że

architektoniczna forma ekspresji tych czasów różni się zasadniczo od wszystkich dawniejszych stylów.

Na co się jednak zda takie zrozumienie! Nie można ani stworzyć formy ornamentalnej na zasadzie eklektyzmu, ani sztucznie uzyskać nowej nie popadając w komiczne struktury takiego van der Veldego. Co pozostaje, to głębokie zaniepokojenie, zaniepokojenie i wiedza, że ten styl architektoniczny, który nie jest już stylem, stanowi jedynie symptom, złowróżbny znak stanu ducha, który musi być złym duchem tych czasów. Ach, oglądanie go męczy mnie. Gdybym mógł, już bym się nie ruszał ze swego mieszkania.

Pomijając fakt, że jądanie w hotelu było kosztowne i Huguenau zamierzał pozwolić sobie na nie dopiero, gdy znajdzie nowe źródło dochodów, miał nieodparte wrażenie, że mógłby zagrozić planowanej akcji, zbyt często pokazując się majorowi na oczy. Dalsze pertraktacje tylko by zaszkodziły i nie posunęły sprawy naprzód i wydawało się, że będzie korzystniej, gdy major zapomni o nim do czasu piątkowego spotkania. Huguenau stołował się więc w skromniejszej knajpie i w sali jadalnej pojawił się dopiero w piątkowy wieczór.

Nie zawiódł się. Siedział tam major i okazał wielkie zaskoczenie, kiedy on podszedł spieszenie do niego i w serdeczny sposób podziękował mu powtórnie za tak uprzejme i zaszczytne zaproszenie. – A tak – powiedział major, który w końcu sobie przypomniał – tak, przedstawię pana panom.

Huguenau raz jeszcze podziękował i usiadł skromnie przy innym stoliku. A gdy major skończył kolację i podniósł wzrok, Huguenau uśmiechnął się do niego i uniósł się lekko, aby pokazać, że jest do dyspozycji majora. Przeszli potem razem do małej sąsiedniej salki, gdzie znajdował się stół piątkowych bywalców.

Panowie zebrali się w komplecie, był nawet burmistrz. Huguenau nie mógł spamiętać wszystkich nazwisk. Natychmiast po wejściu do salki odniósł wrażenie, że witają go z ciepłą sympatią, i miał przeczucie wielkiego sukcesu. Przeczucie nie myliło. Większość panów wiedziała już o jego obecności w mieście i w hotelu; najwidoczniej był już tematem rozmów, a jego wywodom, jak opowiadał później Eschowi, okazywano najżywsze zainteresowanie. Wieczór zakończył się nadzwyczaj pozytywnym rezultatem.

Ostatecznie nie było w tym nic dziwnego. Panowie pozostawali pod wrażeniem, że biorą udział w tajnym konwentyklu, a jednocześnie odbywali sąd kapturowy nad buntownikiem Eschem. I jeśli Huguenau znalazł u swoich słuchaczy tak niezwykle posłuch, to stało się tak nie tylko dzięki silnej woli zdobycia owego posłuchu, nie tylko dzięki jego lunatycznej pewności, lecz także dzięki temu, że nie był buntownikiem, ale był kimś, kto dba o siebie i swoją kieszeń, i że mówił językiem, który tamci rozumieli.

Huguenau z łatwością mógłby był nakłonić panów do zadeklarowania żądanych przez Escha 20 000 marek. Ale nie zrobił tego. Jakiś tajemny lęk nakazywał pozostawienie wszystkiego w sferze ogólnikowości z niewielką dozą konkretności, ponieważ prawdziwą pewność ma się poza czy ponad realnością i ponieważ nazbyt duża konkretność jest niebezpieczna niczym jakieś niewytłumaczalne obciążenie. Pewnie to wygląda nedorzecznie; jednakże o każdej absurdalności da się myśleć z odrobiną rozsądku i to, co w tym przypadku myślał Huguenau, było zupełnie rozsądne i dziwnym sposobem prowadziło do takiego oto wniosku: gdyby zażądał lub przyjął od panów zbyt dużo pieniędzy, to ktoś mógłby wpaść na pomysł zapytania go o pełnomocnictwa; jeśli jednak zachowa się dumnie i odrzuci propozycje zbyt wysokich udziałów, zastrzegając główną część deklarowanych wpłat dla swojej własnej (zmyślonej) grupy, to dla nikogo nie będzie ulegało wątpliwości, że faktycznie wypada w nim widzieć przedstawiciela najsilniejszej kapitałowo grupy przemysłowej w Rzeszy (Kruppa). I rzeczywiście nikt nie wątpił, a na koniec uwierzył sam Huguenau. Oświadczył, że szanownym panom nie może odstąpić większego udziału aniżeli jedna trzecia wchodzącej w rachubę sumy 20 000 marek, a więc łącznie 6600 marek; wszelako gotów jest przeprowadzić ze swą grupą rozmowy, czy zamiast większości dwóch trzecich nie zadowoliliby się zwykłą większością 51 procent, i przyjmuje do życzliwej wiadomości

wniosek o późniejsze podwyższenie kapitałów – na razie jednak, choć mu z tego powodu przykro, panowie muszą poprzestać na mniejszej sumie.

Było to dla panów godne ubolewania, ale nic się na to nie dało poradzić. Uzgodniono, że wpłaty zostaną dokonane w zamian za tymczasowe zaświadczenia udziałowe, skoro tylko Huguenau doprowadzi do kupna „Gońca”, i że po kolejnym skontaktowaniu się z grupą centralną rozbudowane przedsiębiorstwo otrzyma status spółki z ograniczoną odpowiedzialnością lub zgoła towarzystwa akcyjnego. Wybiegano myślą ku przyszłym posiedzeniom rady nadzorczej i wieczór zakończył się toastem na cześć sprzymierzonych armii i jego cesarskiej mości.

Obudziwszy się Huguenau sięgnął pod poduszkę; tam zwykł był chować na noc swój portfel. Miał przyjemne uczucie posiadania 20 000 marek i chociaż wiedział, że w portfelu nie było nawet owych 6600 marek, które powinien otrzymać od miejscowych panów dopiero po zakupieniu „Gońca Elektorskiego”, i że znajdowała się w nim jedynie pozostałość ze 185 marek, to obstawał przy 20 000. Posiadał 20 000 mareczek i koniec.

Wbrew swym przyzwyczajeniom pozostawał jeszcze w łóżku. Jeśli posiadał 20000 mareczek, to szaleństwem było dawać je Eschowi, tylko dlatego że tyle zażądał za swój szmatławy dziennik. Każda cena jest z założenia przedmiotem targów i on coś od Escha wytarguje, o to ten może być spokojny. Dając za gazetę 14 000 marek i tak by się przepłaciło, a osobisty zysk wyniósłby 6000 mareczek. Trzeba tylko zręcznie zamieszać, żeby nie wyszło na jaw, iż Esch nie dostanie całych 20 000 marek. Można to nazwać rezerwą kapitałową albo powiedzieć, że grupa przemysłowa zadowala się na razie zwykłą większością zamiast kwalifikowanej większości dwóch trzecich, albo coś w tym stylu. Już tam coś człowiek wymyśli! i Huguenau zadowolony wyskoczył z łóżka.

Było jeszcze dość wcześnie, gdy udał się do redakcji. I obsypał zaskoczono go pana Escha najostrożniejszymi zarzutami z powodu jego zaszarganej reputacji. To okropne, czego on, Wilhelm Huguenau, który przecież doprawdy nie odpowiada za pana Escha, musiał w ciągu tych paru dni nasłuchać się na temat gazety. Jako pośrednikowi mogłoby to na pewno być mu obojętne, ale serce się rozdziera, tak, to jest rozdzierające, kiedy się patrzy, jak ktoś swawolnie niszczy dobry interes; gazeta żyje ze swojej opinii, a kiedy jej opinia zostaje zepsuta, to i ona sama pada. W obecnej sytuacji za sprawą pana Escha „Goniec Elektorski” stał się kiepskim towarem, nie do sprzedania. – Musi pan zdać sobie sprawę, drogi Esch, że temu, kto przejmie dziennik, powinien pan właściwie coś dopłacić zamiast jeszcze domagać się pieniędzy.

Esch miał strapioną minę; potem skrzywił się pogardliwie. Huguenau jednak nie dał się tym wyprowadzić z równowagi: – Nie ma co uśmiechać się szyderczo, drogi przyjacielu Esch, sprawa jest bardzo poważna, prawdopodobnie dużo poważniejsza, niż pan sam sądzi. – O rentowności nie może być mowy, a jeśli chce się jednak ją osiągnąć, to jest to możliwe jedynie za cenę niesłychanych ofiar, tak, ofiar, mój drogi panie Esch. Gdyby wśród jego przyjaciół, jak chciałby wierzyć i mieć nadzieję, znalazła się grupa ofiarnych ludzi, którzy byliby gotowi na to całkowicie bezsensowne, bo utopijne przedsięwzięcie, to pan Esch mógłby mówić o szczęściu, jakie trafia się być może tylko raz w życiu, ponieważ dzięki nadzwyczaj korzystnym okolicznościom i swojemu na pewno energicznemu pośrednictwu wydębi on jeszcze ewentualnie dla Escha profit w wysokości 10 000 marek, a jeśli Esch nie skorzysta, to mu przykro, że tak bezinteresownie zajmował się sprawami Escha, które nic, ale to nic go nie obchodzą.

– To daj pan sobie spokój! – krzyknął Esch i wałnął w stół.

– Proszę, ja naturalnie mogę sobie dać spokój... ale trudno zrozumieć, czemu pan wpada w taką wściekłość, kiedy ktoś po prostu nie akceptuje pańskich fantastycznych pomysłów co do ceny.

– Nie żądałem czegoś fantastycznego... gazeta warta jest najmarniej dwadzieścia tysięcy.

– Czy pan nie rozumie, że ja nawet akceptuję pańskie oszacowanie? Bo przyzna pan, że jeszcze co najmniej dziesięć tysięcy trzeba wpakować w rozbudowę gazety... a trzydzieści tysięcy to byłoby grubo za dużo, prawda?

Esch namyślał się. Huguenau czuł, że jest na dobrej drodze: – No, niech pan to rozważy... naturalnie nie chcę pana przynaglać... może pan przespać się ze sprawą...

Esch przechadzał się po pokoju tam i z powrotem. Potem powiedział: – Chcę o tym pogadać z żoną...

– Niech pan to spokojnie zrobi... tylko żeby pan nie zastanawiał się zbyt długo... Gotówka, panie Esch, uśmiecha się, ale nie czeka.

Wstał: – Jutro znów wpadnę, żeby zapytać... a tymczasem przesyłam ukłony dla pańskiej szanownej małżonki.

Doktor Flurschütz i podporucznik Jaretzki szli ze szpitala do miasta Droga była pełna dziur i dołów wyjeżdżonych przez ciężarówki, które miały żelazne obręcze zamiast opon, bo nie było już gumy.

Nieczynna fabryka papy wysuwała cienkie, czarne blaszane kominy w nieruchome powietrze. W lesie świergotały ptaki.

Rękaw Jaretzkiego był przypięty agrafką do kieszeni kurtki munduru.

– Dziwna rzecz – powiedział Jaretzki – odkąd pozbyłem się lewej, prawa zwisa mi jak ciężarek... najchętniej obciąłbym i ją.

– Jest pan po prostu człowiekiem symetrycznym... Inżynierowie mają zmysł symetrii.

– Wie pan, Flurschütz, czasami zupełnie zapominam, że miałem taki zawód... Pan tego nie rozumie, pan przecież pozostał w swoim zawodzie.

– No, tego nie da się stwierdzić tak po prostu... byłem raczej biologiem niż lekarzem...

– Złożyłem ofertę w A.E.G.⁵, wszędzie teraz przecież brakuje ludzi... ale nie mogę sobie wyobrazić, że znów zasiądę przy rysownicy... jak pan myśli, ilu w sumie jest zabitych?

– Nie wiem, pięć milionów, dziesięć milionów... może będzie dwadzieścia, zanim to się skończy.

– Jestem przekonany, że to się nigdy nie skończy... wiecznie będzie się tak ciągnęło.

Doktor Flurschütz przystanął: – Niech pan powie, Jaretzki, czy panu mieści się w głowie, że tutaj spaceruje się tak spokojnie, że w ogóle życie tak spokojnie toczy się dalej, podczas gdy o parę kilometrów stąd odchodzi strzelanina na całego?

– Cóż, niejedno nie mieści mi się w głowie... nawiasem mówiąc my obaj dostaliśmy już za swoje...

Doktor Flurschütz machinalnie dotknął blizny od postrzału pod daszkiem czapki: – Ja tak nie myślałem... to było na początku, kiedy człowiek sam się pchał, bo było mu wstyd... nie, teraz na dobrą sprawę musiałby oszaleć.

– Tego jeszcze brakowało... bardzo dziękuję, to już lepiej się schlać...

– Pan bardzo skrupulatnie przestrzega tego przepisu.

Wiatr przywiał do nich zapach smoły z nieczynnej fabryki papy.

Doktor Flurschütz, cienki i pochylony, z jasną szpicbródką i w binoklach, wyglądał w mundurze dość niezgrabnie. Jakiś czas milczeli.

Droga opadała w dół. Rozrzucone parterowe domki, wzniesione tutaj u bram miasta w nowszych czasach, stały coraz bliżej siebie tworząc szereg i tchnęły spokojem. We wszystkich ogródkach przed domami hodowano mizerne jarzyny.

Jaretzki powiedział: – To żadna przyjemność cały rok mieszkać w zapachu smoły.

Flurschütz odrzekł: – Byłem w Rumunii i byłem w Polsce. Widzi pan... i wszędzie domy stoją tak samo spokojnie... z takimi samymi tabliczkami, murarz, ślusarz i tak dalej... w schronie koło Armentieres pod deskami oszalowania była tabliczka: „Tailleur pour dames”... może to kiczowate, ale dopiero tam na dobre zrozumiałem całe to szaleństwo.

Jaretzki powiedział: – Teraz, z jedną ręką, mogliby mnie też wziąć na inżyniera do jakiejś wojskowej fabryki.

– Wolałby pan to niż A.E.G.?

⁵ Allgemeine Elektrizitäts-Gesellschaft – niemiecki koncern elektrotechniczny

– Nieee, ja bym w ogóle niczego nie wolał... może z tą jedną ręką jeszcze raz zgłoszę się na front... do rzucania granatów jedna wystarczy... niech pan mi pomoże zapalić papierosa.

– Co pan już dzisiaj wypił, Jarecki?

– Ja? Nie ma o czym mówić, byłem trzeźwiutki, żeby móc napić się wina, na które pana teraz zaprowadzę.

– Więc jak to jest z A.E.G.?

Jarecki zaśmiał się: – Szczerze mówiąc: to sentymentalna próba powrotu do mieszczańskiego życia, żeby mieć karierę przed sobą, już się nie łądaczyć, ożenić się... ale pan tak samo w to nie wierzy jak ja.

– Dlaczego miałbym nie wierzyć?

Jarecki z papierosem w ustach wyskandował: – Po-nie-waż – woj-na – nig-dy – się – nie – skończy... ile razy jeszcze mam to panu mówić!

– To też jest rozwiązanie – powiedział Flurschütz.

– To jest jedyne rozwiązanie.

Dotarli do bramy miejskiej. Jarecki postawił nogę na kamiennym pachołku, wyjął rękawiczki z kieszeni i z papierosem w kąciку ust otrzepał sobie buty z kurzu gościńca. Potem przygładził wąsy i przez chłodny łuk bramy weszli w wąską, cichą uliczkę.

Rozpad wartości (3)

Prymat stylu architektonicznego pośród charakterystycznych cech danej epoki jest jedną z najdziwniejszych rzeczy. W ogóle ta cała osobliwie uprzywilejowana pozycja, jaka w historii przypadła sztuce plastycznej! Niewątpliwie stanowi ona tylko niewielki wycinek ludzkich działań, które wypełniają epokę, z pewnością nawet niezbyt duchowy wycinek, a jednak charakterystycznością przewyższa wszystkie inne duchowe dziedziny, przewyższa poezję, przewyższa nawet naukę, przewyższa nawet religię. Co trwa przez wieki, co pozostaje przedstawicielem epoki i jej stylu to dzieło plastyczne.

Nie może to polegać tylko na trwałości materiału: z ostatnich stuleci zachowało się mnóstwo zapisanego papieru, a jednak każda gotycka rzeźba jest „bardziej średniowieczna” niż cała średniowieczna literatura. Nie, to byłoby bardzo marne wytłumaczenie – jeśli wytłumaczenie jest możliwe, to trzeba je znaleźć w samej istocie pojęcia „styl”.

Bo styl na pewno nie jest czymś, co się ogranicza do budowania czy do plastyki. Styl jest czymś, co w taki sam sposób przepaja wszystkie przejawy życia danej epoki. Absurdalne byłoby uznawanie artysty za człowieka wyjątkowego, za kogoś, kto w ramach stylu pędzi żywot na swój sposób osobny i tworzy go, podczas gdy inni pozostają wyłączeni.

Nie, jeśli styl istnieje, to przenika wszystkie przejawy życia, to styl danego okresu występuje zarówno w jego myśleniu, jak i w każdym działaniu podejmowanym przez ludzi tego okresu. I jedynie w tym fakcie, który jest taki, bo nie może być inny, należy szukać wytłumaczenia zadziwiającej okoliczności, że właśnie te działania, które przejawiają się w przestrzeni, nabrały tak niezwykłego, w prawdziwym znaczeniu tego słowa widomego znaczenia.

Może tego rodzaju rozważania byłyby zbędne, gdyby nie stał za nimi problem, który wyłącznie uzasadnia wszelkie filozofowanie: strach przed nicością, strach przed czasem, który prowadzi ku śmierci. I może całe to zaniepokojenie, które wywodzi się ze złej architektury i doprowadza do tego, że zaszywam się w swoim mieszkaniu, nie jest niczym innym jak owym strachem, Bo cokolwiek czyni człowiek, czyni to, aby unicestwić czas, aby go skasować, a to kasowanie nazywa się przestrzeń. Nawet muzyka, która jest tylko w czasie i wypełnia czas, przeobraża czas w przestrzeń, a teoria, że wszelkie myślenie odbywa się w kategoriach przestrzennych, że proces myślenia stanowi kombinację niezmiernie zawiłych, wielowymiarowych logicznych przestrzeni, ta teoria odznacza się jak największym prawdopodobieństwem, A jeśli tak jest, to pewnie będzie też jasne, że tym wszystkim przejawom, które bezpośrednio odnoszą się do przestrzeni, przypada znaczenie i wyrazistość, jakie nie mogą nigdy przypaść żadnemu innemu ludzkiemu działaniu. I w tym układzie jasne stanie się też szczególne, symptomatyczne znaczenie ornamentu. Bo ornament, uwolniony od wszelkiej funkcji użytkowej, choć z niej wyrosły, staje się abstrakcyjnym wyrazem, „formułą” całej myśli przestrzennej, staje się formułą samego stylu, o tym samym formułą całej epoki i jej życia.

I na tym, jak mi się wydaje, polega owo, chciałoby się wręcz powiedzieć: magiczne, doniosłe znaczenie faktu, że epoka tak bez reszty związana z umieraniem i piekłem musi żyć w stylu, który nie potrafi już stworzyć ornamentu.

Gdyby nie było wówczas widoków na budowę domu, to być może Hanna Wendling nie zakochałaby się w młodym prowincjonalnym adwokacie. Ale w roku 1910 młode dziewczyny z lepszych mieszczańskich rodzin czytywały „Studio”, „Dekorację Wnętrz”, „Sztukę Niemiecką i Dekorację”, miały na własność dzieło Meble stylowe w Anglii, a ich erotyczne wyobrażenia o małżeństwie były jak najściślej związane z problemami architektonicznymi. Dom Wendlingów albo „Dom w Różach”, jak głosił barokowymi literami napis na jego szczycie, odpowiadał w skromnej skali tym ideałom; miał nisko opadający dach; majolikowe putta u wejścia symbolizowały miłość i płodność; był angielski hol z kominkiem z surowej cegły, a na gzymsie kominka stały mosiężne bibeloty. Dużo zapału i trudu wymagało takie ustawienie wszystkich mebli, aby wszędzie mogła zapanować architektoniczna równowaga, a gdy wszystko było gotowe, Hanna Wendling odnosiła wrażenie, że tylko ona jedna jest świadoma doskonałości tej równowagi, choćby Heinrich też miał w niej udział, ba, choćby spora część ich małżeńskiego szczęścia polegała na takiej wspólnej świadomości sekretnej harmonii i kontrapunktowości układu mebli i obrazów.

Cóż, od tego czasu meble się nie przesunęły, przeciwnie, skrupulatnie zwracało się uwagę na to, żeby pierwotnego planu nie zmienić ani o milimetr, a jednak zrobiło się inaczej; cóż to zaszło? czy równowaga może się zużyć, czy harmonia może ulec wyświechtaniu? Z początku nie zdawała sobie sprawy, że kryło się za tym zubożenie – to, co pozytywne, przeszło po prostu w neutralne i dopiero gdy zmieniło się w negatywne, stało się zauważalne: nie znaczy to, że dom czy ustawienie mebli nagle przestały się jej podobać, z tym od biedy poradziłyby sobie dokonując przemeblowania, nie, to było coś sięgającego głębiej; to było przekleństwo przypadkowości i bezładu ciężące na rzeczach i związkach między rzeczami, a nie dałoby się wymyślić sobie układu, który nie byłby równie przypadkowy i dowolny jak istniejący. W tym wszystkim niewątpliwie tkwiło pewne pomieszanie, pewna mroczność, ba, zgoła niebezpieczeństwo, zwłaszcza że nie sposób było doszukać się powodu, dla którego niepewność architektoniczna miałyby się zatrzymać przed innymi sprawami uczuć czy wręcz przed kwestiami mody; było to dziwnie zatrzważające i mimo iż Hanna Wendling dobrze wiedziała, że są rzeczy dużo ważniejsze i trudniejsze, to chyba nic nie było bardziej zatrzważające od wyobrażenia, że nawet żurnale utracą swą atrakcyjność i że któregoś dnia samego „Vogue’a”, angielskiego „Vogue’a”, którego przez te cztery lata wojny tak bardzo jej brakowało, można by oglądać bez zachwyty, bez zainteresowania, bez zrozumienia.

Przyłapując się na tego rodzaju wyobrażeniach nazywała je fantastycznymi, aczkolwiek właściwie były to myśli w dużo większym stopniu trzeźwe aniżeli fantastyczne, wypełnione otrzeźwieniem, które fantastyczne było jedynie o tyle, że trzeźwiało tutaj nie odurzenie, lecz i tak trzeźwy oraz niemal normalny stan poddany późniejszemu, drugiemu otrzeźwieniu, że ten stan normalniał niejako jeszcze bardziej i lądował w negatywnym. Takie oceny naturalnie są do pewnego stopnia z reguły relatywne; nie zawsze da się uchwycić granicę między trzeźwością a upojeniem, a czy mianem upojenia należałoby określić dopiero rosyjską miłość do ludzi, czy też można by to określenie zastosować już do normalnej więzi społecznej między człowiekiem a człowiekiem, ba, czy zbiorcze widzenie rzeczy trzeba wziąć za odurzenie, czy za trzeźwość, to koniec końców pozostaje nie rozstrzygnięte. Jednakże niewykluczone, że dla trzeźwości istnieje stan entropii czy absolutnego punktu zerowego, do którego nieuchronnie i niepowstrzymanie zdążają wszystkie powiązania. A za tym, że Hanna Wendling znajdowała się na tej drodze, przemawiało niejako prawdopodobieństwo i w

zasadzie nie było to chyba nic innego niż jej wyprzedzanie mody: entropią człowieka jest jego absolutne osamotnienie, a to, co przedtem nazywał harmonią czy równowagą, było być może jedynie odbiciem, jakie stworzył sobie i musiał stworzyć ze struktury społecznej, dopóki jeszcze był jej częścią. W miarę zaś jak zwiększa się jego samotność, coraz bardziej mu się rozpadają i izolują rzeczy, coraz obojętniejsze muszą się dla niego stawać związki między rzeczami, a w końcu nie potrafi on już ich dostrzegać. Tak to Hanna Wendling chodziła po swoim domu, chodziła po swoim ogrodzie, chodziła po drózkach, które na modłę angielską były wybrukowane odłamkami płyt, i nie widziała już nic z architektoniki i nic z plątaniny białych drózek i jakkolwiek mogłoby to być nader bolesne, prawie bolesne nie było, bo było konieczne.

Huguenau bywał teraz codziennie przy Fischerstrasse u pana Escha. Często trzymając się wypróbowanego kupieckiego zwyczaju nie poruszał sprawy, ze względu na którą przyszedł, ani słowem, czekał, aż partner zacznie, mówił o pogodzie, mówił o zbiorach, mówił o zwycięstwach. Spostrzegłszy, że Esch nie chciał słuchać o zwycięstwach, pomijał zwycięstwa i ograniczał się do pogody.

Na podwórzu spotykał czasem Margeritę. Dziewczynka była ufna, uwieszała się u jego palca i chciała, żeby znów poszli do drukarni. Huguenau oznajmił: – Aha, myślisz, że to ci znów przyniesie dwadzieścia fenigów, ale wujek Huguenau nie jest jeszcze tak bogaty, wszystko wymaga czasu.

Mimo to wetknął jej dziesięć fenigów, które miała włożyć do skarbonki.

– No, co zrobimy, jak oboje będziemy bogaci...?

Mała nie odpowiedziała, patrzyła w ziemię. W końcu rzekła: – Zabierzemy się stąd.

Huguenauowi z jakiegoś powodu przyjemnie było to usłyszeć: – Więc na to ci trzeba pieniędzy... cóż, jak się wzbogacimy, to możemy razem wyjechać... wezmę cię ze sobą.

– Dobrze – odparła Margerita.

Gdy wspinał się na górę do Escha, ona przeważnie przepelzała w ślad za nim, siadała na podłodze i słuchała. Albo przynajmniej ze śmiechem dopadała do drzwi.

Huguenau mówił wtedy, bo to już był temat do rozmowy: – Ja to lubię dzieci.

Eschowi chyba się to spodobało; uśmiechnął się: – To szelma... potrafiłaby człowieka zabić.

Häissez les Prussiens, musiał pomyśleć Huguenau, chociaż Esch nie był Prusakiem, tylko Luksemburczykiem. Esch ciągnął: – Często myślę o tym, żeby adoptować małą szelmę... bo jesteśmy bezdzietni.

Huguenau zdziwił się: – Cudze dziecko...

Esch odparł: – Cudze czy własne... to wszystko jedno... inaczej trudno wytrzymać.

Huguenau roześmiał się: – No cóż, z własnymi też nigdy nie wiadomo.

Esch powiedział: – Ojciec jest internowany... mówiłem żonie, że można by małą adoptować... jest prawie sierotą.

– Hm – odezwał się Huguenau – ale wtedy musiałby pan o nią zadbać.

– Naturalnie – rzekł Esch.

– Jeśli pan ma albo zdobędzie trochę kapitału, na przykład ze sprzedaży, to mógłby pan zawrzeć ubezpieczenie na życie dla swojej rodziny... ja mam kontakty z różnymi towarzystwami.

– Ano – powiedział Esch.

– Ja, chwalić Boga, jestem jeszcze kawalerem, w tych ciężkich czasach to nieoceniona korzyść... jeśli jednak kiedyś założę rodzinę, to zabezpieczę ją kapitałem albo jakoś inaczej... no, pan jest w tej godnej pozazdroszczenia sytuacji, że może to zrobić.

Huguenau oddalił się.

Na podwórzu czekała na niego Margerita.

– Chciałabyś zostać tutaj na zawsze?

– Gdzie tutaj? – spytała miała.

– No tutaj, u wujka Escha.

Dziewczynka spojrzała na niego wrogo.

Huguenau zamrugnął oczami i otrząsnął się: – Nie bardzo, co?

Margerita też się zaśmiała.

– Więc nie chcesz...

– Nie, nie lubię.

– Ty go w ogóle nie lubisz... pewnie jest dla ciebie bardzo surowy, hę? – I Huguenau ruchem ręki zamarkował bicie.

Margerita pogardliwie skrzywiła usta: – Nie...

– A ona... ciocia Esch...?

Mała wzruszyła ramionami.

Huguenau był zadowolony: – Więc nie zostaniesz tutaj... wyjedziemy oboje, do Belgii... chodź, teraz pójdziemy do pana Lindnera do drukarni.

Zgodnie podeszli do maszyny drukarskiej i przyglądali się, jak pan Lindner zakłada papier.

Historia dziewczyny z Armii Zbawienia w Berlinie (4)

Potwierdziło się przypuszczenie, że Żydzi mnie obserwują. Przez dwa dni byłem trochę niedysponowany, prawie nie ruszałem śniadania i wychodziłem tylko na pół godziny. Wieczorem drugiego dnia rozległo się pukanie do moich drzwi i ku memu zaskoczeniu do środka wszedł ów nieduży mężczyzna, którego stale brałem za lekarza. I rzeczywiście okazał się lekarzem.

– Podobno jest pan chory – powiedział.

– Nie – odrzekłem – a gdyby nawet, to nikogo to nie obchodzi.

– To pana nic nie kosztuje, nie chodzi o pieniądze – oznajmił nieśmiało – trzeba pomóc.

– Dziękuję – powiedziałem – czuję się zupełnie dobrze.

Stał przede mną z laską przyciśniętą do piersi.

– Gorączka? – spytał prosząco.

– Nie, czuję się zupełnie dobrze, właśnie wychodzę.

Wstałem i razem wyszliśmy z pokoju.

W przedpokoju czekał jeden z młodych Żydów, z teatralnym puszkim na policzkach.

Lekarz przedstawił się teraz: – Nazywam się doktor Litwak.

– Bertrand Müller, doktor filozofii. – Podałem mu rękę; młody Żyd wyciągnął do mnie swoją. Była sucha i chłodna, gładka jak jego twarz.

Przyłączyli się do mnie, jakby to była najoczywistsza rzecz pod słońcem. Nie miałem co prawda żadnego celu, szedłem jednak bardzo szybko. Obaj, po mojej lewej i prawej stronie, dotrzymywali kroku i rozmawiali między sobą w jidysz. Zirykowałem się nie na żarty: – Ja nie rozumiem ani słówka.

Roześmiali się: – Mówi, że nic nie rozumie.

Po chwili: – Naprawdę nie rozumie pan jidysz?

– Naprawdę.

Doszliśmy do Reichenberger Strasse i wziąłem kurs na Rixdorf.

I oto spotkaliśmy Marię.

Stała oparta o słup latarni. Było już dość ciemno, ale oszczędzano na gazie. Mimo to poznałem ją od razu.

Maria też mnie poznała; uśmiechnęła się do mnie. Potem spytała: – To pańscy przyjaciele?

– Sąsiedzi – odparłem.

Zaproponowałem, żebyśmy poszli do gospody, bo wydawało mi się, że Maria jest zmęczona i powinna coś przegryźć. Jednakże tamci dwaj wzbraniali się przed wejściem do lokalu. Może bali się, że będzie się ich zmuszać do jedzenia wieprzowiny, może bali się wyszydzenia albo jeszcze czegoś innego. Tak czy owak można by było skorzystać z okazji, żeby się ich pozbyć.

Wszelako zdarzyło się coś dziwnego: Maria poparła Żydów, oznajmiła, że wcale nie jest głodna, i jak gdyby inaczej być nie mogło, ruszyła przodem z młodym Żydem, a tymczasem ja z doktorem Litwakiem podążyłem za nimi.

– Kto to jest? – zapytałem lekarza wskazując na młodego Żyda, którego szare poły majtały się przede mną.

– Nazywa się Nuchem Sussin – powiedział doktor Litwak.

Komendant Kuhlenbeck i doktor Kessel operowali. Na ogół Kuhlenbeck oszczędzał doktora Kessela, który w lazarecie co prawda pełnił służbę pomocniczą, ale był przeciążony praktyką cywilną i kasą chorych; teraz jednak ofensywa przyniosła nowy rzut poszkodowanych i już nie było mowy o oszczędzaniu. Szczęście, że przydzielono im tylko lżejsze przypadki. To, co po prostu nazywa się lżejszymi przypadkami.

A że byli prawdziwymi lekarzami, rozmawiali o tych przypadkach siedząc później w pokoju Kuhlenbecka. Zjawił się także Flurschütz.

– Szkoda, że dzisiaj pana przy tym nie było, Flurschütz, miałby pan uciechę – powiedział Kuhlenbeck – to niebywałe, ile można się tu nauczyć... gdybyśmy nie operowali, to ten człowiek kuśtykałby do końca życia... – Zaśmiał się. – A tak za sześć tygodni może znów wystawiać się na kule.

Kessel rzucił: – Ja bym tylko chciał, żeby nasi biedni pacjenci z kasy chorych mieli tak dobrze jak ci wojacy tutaj.

Kuhlenbeck powiedział: – Znacie panowie historię skazańca, który połknął ości i którego operowano, żeby rano móc go powiesić? Na tym mniej więcej polega nasze zajęcie.

Flurschütz stwierdził: – Gdyby lekarze wszystkich walczących stron zastrajkowali, to wojna prędko by się skończyła.

– No to już, Flurschütz, może pan zrobić początek.

Doktor Kessel wyznał: – Miałbym wielką ochotę odesłać wstążeczkę... nie wstyd panu, Kuhlenbeck, żeby staremu koledze nawarzyć takiego piwa!

– Co robić, musiałem pana podać... dla cywilów biało-czarna to norma.

– Tak, i sam pan lata z biało-czarną... Nawiasem mówiąc dawno już jest kolej na pana, Flurschütz.

Flurschütz zauważył: – W gruncie rzeczy sprawa polega na tym, że siedzimy sobie tutaj i mówimy o mniej czy bardziej ciekawych przypadkach nie myśląc o czym innym... nie mamy w ogóle czasu pomyśleć o czymś innym... a tak jest wszędzie. Zżera nas to, co robimy... zwyczajnie zżera.

Doktor Kessel westchnął: – Wielkie nieba, mam pięćdziesiąt sześć lat, o czym tu jeszcze myśleć... rad jestem, kiedy wieczorem kładę się do swojego łóżka.

Kuhlenbeck zaproponował: – Napijcie się panowie na koszt państwa?... o drugiej przywiozą nam znów ze dwudziestu ludzi... zostaniecie na ich przyjęcie?

Wstał i podszedł do szafki z lekarstwami przy oknie, z której wyjął butelkę koniaku i trzy kieliszki. Kiedy stał profilem pod oknem i sięgał na półkę szafki, jego broda wyraźnie rysowała się w świetle i wyglądała potężnie.

Flurschütz powiedział: – Wszystkich nas pustoszy zawód, w jakim akurat tkwimy... a wojsko i patriotyzm nie różnią się niczym od takich zawodów... nie można już wprost pojąć, co się dzieje w jakiejś innej dziedzinie niż własna.

– Dzięki Bogu – odezwał się Kuhlenbeck – lekarze nie muszą filozofować.

Weszła siostra Matylda. Pachniała czystością. Albo myślało się, że musi tak pachnieć. Jej wąska, długonosa twarz kontrastowała z czerwonymi dłońmi służącej.

– Panie komendancie, dzwonią z dworca, że przyszedł transport.

– No to dobrze, jeszcze papierosa na pożegnanie... siostrze, pojedzie pani z nami?

– Siostra Carla i siostra Emmy są już i tak na dworcu.

– Też dobrze... no to jazda, Flurschütz.

– Z lukiem i strzałą – powiedział doktor Kessel, ale bez wielkiego animuszu.

Siostra Matylda stała przy drzwiach. Lubiła przebywać w pokojach lekarskich. A gdy wszyscy wychodzili, Flurschütz pochwycił blask jej białej szyi, zobaczył piegi przy nasadzie włosów i poczuł się z lekka wzruszony.

– Wszystkiego dobrego, siostró – powiedział komendant.

...stkiego dobrego, siostró – powiedział również Flurschütz.

– Bóg z nami – powiedział doktor Kessel.

Drzewa i domy stały przed oczyma murarza Gödickego, zmieniała się pogoda, był dzień i była noc, ludzie poruszali się i słyszał, jak rozmawiają. Na przeważnie okrągłych przedmiotach z blachy lub fajansu przynoszono jedzenie i stawiano przed nim. Wszystko to znał, ale droga, która prowadziła do tych rzeczy albo którą one przychodziły do niego, była drogą mozolną: murarz Gödicke musiał teraz pracować ciężiej, niż to mu się kiedykolwiek w pracowitym życiu zdarzyło. Bo to wcale nie było takie oczywiste: podnieść łyżkę do ust, skoro nie miało się jasności, kogo właściwie się w ten sposób karmi, i wobec okropnej presji, żeby sobie sprawę wyjaśnić, stawało się to udręką pracy bez nadziei i powinności nie do spełnienia; bo nikt, a już w najmniejszym stopniu sam mężczyzna Gödicke, nie zdołałby stworzyć teorii na temat elementów konstrukcyjnych owej budowli, którą stanowiła dusza tegoż Gödickego. Toteż na przykład błędem byłoby twierdzić, że mężczyzna Gödicke składał się z wielorakich Gödiczków, choćby z chłopca Ludwiga Gödickego, który bawił się na ulicy, onanizował się razem z kolegami i na wysypiskach i w piaskowniach budował tunele, z tego chłopca Gödickego, którego matka wołała na obiad, aby z kolei posiać go z obiadem na budowę do ojca wykonującego także zawód murarza, twierdzenie zatem, że ten chłopiec Ludwig Gödicke stanowi składnik jego teraźniejszego ja, byłoby takim samym błędem jak doszukiwanie się innego składnika choćby w owym młodzieńcu Gödicke, który hamburskim cieślom tak bardzo zazdrościł kapeluszy z szerokim rondem i kamizelek w kolorze masy perłowej, że nie spoczął, póki na złość im wszystkim nie dopadł w zaroślach nad brzegiem rzeki do narzeczonej cieśli Gürznera, i błędem byłoby twierdzenie, że jeszcze innym składnikiem jest ów mężczyzna, który podczas strajku uszkodził betoniarce przez obluźowanie bębnow i który mimo to wystąpił z organizacji, poślubiając służącą Annę Lamprecht po prostu dlatego, że z powodu dziecka tak bardzo płakała: nie, tego rodzaju przekrój podłużny osobowości, tego rodzaju *quasi*-historyczne rozszczepienie nigdy nie daje składników osobowości, bo nie może wykroczyć poza sferę biografii. Trudności, z jakimi musiał walczyć mężczyzna Gödicke, z pewnością więc nie polegały na tym, że czuł, iż żyje w nim szereg tych osób, trudność polegała raczej na tym, że ten szereg urywał się nagle, że biografia została w określonym punkcie przerwana, że nie było żadnego połączenia z nim, który przecież powinien być ostatnim ogniwem takiego łańcucha, i że w taki sposób, oderwany od czegoś, co już trudno mu było nazywać swoim życiem, utracił własną egzystencję. Widział owe postacie jak przez czarne od sadzy szkło i choć unosząc łyżkę do ust chętnie pokarmiłby tego mężczyznę, który przespał się w zaroślach z narzeczoną Gürznera, ba, choć byłoby to bardzo przyjemne, to jednak nie miało się możliwości przerzucenia mostu, pozostawało się niejako na drugim brzegu i nie można było pochwycić mężczyzny po tamtej stronie. I może mimo wszystko przerzuciłoby się most, gdyby tylko wiedziało się na pewno, kto właściwie przypominał sobie narzeczoną Gürznera: oczy, które widziały przed sobą ówczesne zarośla nadbrzeżne, nie były tymi samymi, które patrzyły tutaj na drzewa przy szosie, a te z kolei były niezupełnie identyczne z tymi, które rozglądały się tu po pokoju. I z pewnością istniał taki Gödicke, które nie zgadzał się, który zabraniał karmienia owego mężczyzny, co to wciąż jeszcze gotów był przespać się z narzeczoną Gürznera. A Gödicke, który musiał znosić bóle w podbrzuszu, mógł być równie dobrze tym, który wydawał zakaz, jak i tamtym, którego zakaz dotyczył, ale równie dobrze mógł być całkiem innym. Były to nadzwyczaj skomplikowane układy i murarz Gödicke nie potrafił w żaden sposób się w nich rozeznąć. Być może powstały one dlatego, że powracający do świadomości

Gödicke nie chciał przywoływać kawałków swojej duszy, być może jednak były też przyczyną tego, że nie był do tego zdolny. Prawdę mówiąc gdyby mógł teraz wejrzeć w siebie, to nie można by było wykluczyć, że w każdym z dopuszczonych kawałków swego ja dostrzegłby osobnego Gödickego, mniej więcej tak, jakby każdy z tych kawałków utworzył wokół siebie własną, samodzielną sferę. Bo istnieje możliwość, że z duszą rzecz ma się nie inaczej niż z protoplazmą, w której przez rozcięcie można uzyskać pomnożenie jąder komórek i tym samym sfer samodzielnego, nietkniętego, odrębnego życia. Jakkolwiek to jest i jakkolwiek mogło powstać: w duszy Gödickego egzystowały wielorakie samodzielne i nietknięte rozszczepione życia, z których właściwie każde z osobna wolno było nazwać Gödicke, a pogodzenie ich wszystkich było mozolną i niemal niewykonalną pracą.

Tę pracę murarz Gödicke musiał wykonywać zupełnie sam; nikogo nie miał do pomocy.

Gdy Huguenau odczekawszy dla przyzwoitości dwa dni znowu zjawił się u Escha, zastał na plecionym fotelu obok Eschowego biurka szerokobiodrą, nieatrakcyjną i bezpłciową osobę w nieokreślonym wieku. Była to pani Esch i Huguenau wiedział, że ma już wygraną grę. Wystarczyło tylko, żeby korzystnie się jej zaprezentował: – O, łaskawa pani będzie nam pomagać w naszych jakże trudnych pertraktacjach...

Pani Esch zdystansowała się nieco: – Nie znam się na interesach, to jest sprawa mojego męża.

– Aaa, szanowny małżonek to człowiek interesu *comme il faut!* Jest, jak to się mówi, kuty na cztery nogi i jeszcze niejedną połamie sobie na nim zęby.

Pani Esch uśmiechnęła się lekko i Huguenau poczuł się zachęcony:

– Miał doskonały pomysł, żeby wykorzystać koniunkturę i uwolnić się od gazety, która i tak przynosi mu tylko przykrości i zmartwienia, a interes idzie coraz gorzej i gorzej.

Pani Esch odparła uprzejmie: – Tak, mąż ma z gazetą dużo nieprzyjemności.

– Mimo to nie rezygnuję – powiedział Esch.

– Ale, ale, panie Esch, jeśli pańskie zdrowie nic dla pana nie znaczy, to chyba szanowna małżonka ma tu jeszcze coś do powiedzenia... zresztą – Huguenau zastanowił się... gdyby nie chciał pan całkowicie wycofać się z działalności, to może pan przecież zastrzec sobie luźniejszą współpracę, grupa nabywców przyjmie to z wielkim uznaniem, jeśli zapewnię jej tak cennego fachowca.

O tym dałoby się jeszcze pogadać, stwierdził Esch, ale poniżej 18 000 marek nic z tego nie wyjdzie, tak właśnie ustalili z żoną.

Cóż, to bądź co bądź rozsądne, że pan Esch już trochę spuścił z fantastycznej ceny, lecz jeśli chce zachować udziały w interesie, to powinien chyba i to wkalkulować.

Jak dalece, spytał pan Esch.

Huguenau czuł, że należałoby się pospieszyć.

– Najprościej będzie chyba, moi państwo, jeśli ułożymy próbną umowę i omówimy przy tym poszczególne punkty.

– A niech tam – powiedział Esch i wziął kartkę papieru – dyktuj pan.

Huguenau przybrał stosowaną postawę: – Dobra jest. Tytuł: Protokół z pamięci.

Zatem wśród licznych utarczek i sporów, które zajęły całe przedpołudnie, powstała umowa:

§1. Pan Wilhelm Huguenau jako pełnomocnik i powiernik połączonej grupy nabywców przystępuje do przedsiębiorstwa prasowego: otwarte towarzystwo handlowe „Goniec Elektorski” jako jawny wspólnik, przy czym majątek firmy zostaje podzielony jak następuje:

10% pozostaje w posiadaniu pana Augusta Escha,

60% otrzymuje reprezentowana przez pana Huguenaua „grupą przemysłowa”,

30% otrzymuje reprezentowana również przez pana Huguenaua grupa lokalnych nabywców.

Wysuwane początkowo przez Escha żądanie połowy udziałów zostało przez Huguenaua odrzucone: – To byłoby wbrew pańskim interesom, drogi Esch, im większe pańskie udziały, tym mniejsza wypłata w gotówce... Widzi pan, że mam na względzie pański interes.

§2. Majątek firmy składa się z praw wydawniczych i innych, jak również z całego wyposażenia biura i drukarni. W związku z nowym podziałem własności zostaną wydane tymczasowe zaświadczenia udziałowe.

Statuę Wolności i widok Badenweiler, będące według słów pana Escha własnością prywatną, wyłączono z majątku firmy. – Proszę bardzo – powiedział wspaniałomyślnie Huguenau.

§3. Zyski netto będą dzielone między partnerów proporcjonalnie do posiadanych udziałów, o ile nie zasilą funduszu rezerwowego. Straty będą pokrywane w takiej samej proporcji.

Postanowienie o stratach zostało wprowadzone do umowy na żądanie pana Escha, jako że pan Huguenau strat w ogóle nie brał pod rozwagę. Także fundusz rezerwowy był pomysłem Escha.

§4. Pan Huguenau jako pełnomocnik i przedstawiciel nowej grupy udziałowców wnosi do firmy kapitał w wysokości 20 000 marek (słownie: dwadzieścia tysięcy marek). Trzecią część kapitału należy wpłacić od razu, pozostałe dwie trzecie, na życzenie wpłacających partnerów, po pół roku bądź najpóźniej po roku. Za opóźnienie wpłat firma dostanie odszkodowanie w wysokości 4% za półrocze. Zaświadczenia udziałowe będą wydawane w miarę wpłat.

Jako że zaświadczenia udziałowe miały być wydawane od razu przy wpłacie, a znaczne odsetki w wysokości 4% stanowiły dostateczny środek odstraszający, Huguenau specjalnie się nie obawiał, że lokalni nabywcy skorzystają z prawa do wpłat ratalnych. A gdyby mimo wszystko skorzystali, to już znajdzie się sposób, żeby wyjść obronną ręką. Huguenau nie przejmował się też zbyt tym, skąd sam wytrząśnie pieniądze na raty zmyślonej grupy przemysłowej – następna rata i tak przypadała dopiero za pół roku, a więc na Nowy Rok 1919, a do tego terminu było dużo czasu i wiele mogło się zdarzyć; sytuacja wojenna wytwarza chaos w różnych dziedzinach, może wtedy będzie pokój, może gazeta sama zarobi owe sumy i konieczne okaże się nawet zamaskowanie tych zysków fikcyjnymi stratami i zagarnięcie ich do swojej kieszeni, może Esch do tego terminu nie będzie żył – już tam człowiek jakoś sobie poradzi i będzie się przebijał przez życie.

§5. Wpłaty pana Wilhelma Huguenaua w łącznej wysokości 20 000 marek będą księgowane na dwóch kontach, a mianowicie 13 400 na koncie „grupy przemysłowej Huguenaua” i 6600 na koncie „grupy lokalnej”.

Obecnie jednak nadszedł najtrudniejszy punkt pertraktacji. Bo Esch upierał się przy swoich 18 000 marek, podczas gdy Huguenau twierdził, że z tej ceny trzeba by potrącić przede wszystkim na pozostałe udziały Escha, a dalsze 2000 na uczestnictwo w podwyższonym kapitale obrotowym, łącznie zatem 4000, tak że Esch, gdyby nawet akceptował jego własną wycenę, dostałby jedynie 14 000 marek, że to jednak wciąż jeszcze jest o wiele za dużo, że pośrednik musi być obiektywny i że on nigdy nie zdoła przeforsować takiej ceny w swojej grupie, choćby tego nie wiem jak Eschowi i jego łaskawej małżonce życzył, nie, to byłoby po prostu niemożliwe, bo on musi wystąpić do swoich mocodawców z poważną propozycją i nie ma ochoty narazić się na śmieszność; on w tej sprawie z pewnością nie jest stroną, lecz kimś obiektywnym i obiektywnie oceniając może za sprzedawane 90% zaproponować 10 000 i ani feniga więcej.

Nie, krzyknął Esch, on chce osiemnaście tysięcy.

– Jakże człowiek może być taki głuchy – Huguenau zwrócił się do pani Esch – przecież dopiero co mu wyliczyłem, że nawet według swojej własnej wyceny mógłby zażądać jedynie czternastu tysięcy.

Pani Esch westchnęła.

W końcu zgodzono się na 12 000 marek i umowę o pracę.

§6. Pan August Esch jako dotychczasowy wyłączny właściciel otrzymuje:

a) odprawę w wysokości 12 000 marek, z których jedną trzecią, tj. 4000, firma wypłaci panu Eschowi natychmiast, a pozostałe dwie części po 4000 – 1 stycznia i 1 lipca 1919 roku. Obie późniejsze raty będą oprocentowane w wysokości 4% rocznie;

b) umowę o pracę na stanowisku redaktora i szefa buchalterii z uposażeniem miesięcznym w sumie 125 marek na okres dwóch lat.

Być może Esch wciąż jeszcze by nie ustąpił, nawet wtedy, gdy Huguenau zrećnie skierował spór na uboczny temat oprocentowania rat, aby po na pozór ostrym starciu dać sobie wydrzeć 4%, wciąż jeszcze by wtedy nie ustąpił, gdyby nie olśniła go perspektywa skomplikowanych księgowości i nie zachwyciła tak bardzo, iż w ogóle nie przyszło mu na myśl, że kolejne raty – o których w rzeczy samej nie wiedział, iż zapłacenie ich wymagałoby szczególnego cudu – że zatem kolejne raty mogłyby pozostać nie uregulowane albo że różnica między 12 000 a 20 000 marek mimo wszelkich nęcących buchalteryjnych perspektyw mogłaby popłynąć do oszukańczo otwartej kieszeni Huguenaua. Wszelako sam Huguenau niewiele myślał o czymś równie brzydkim, tak jak w niewielkim stopniu dochodziło do jego świadomości, że wraz z wpłatą lokalnych nabywców zostanie *via facti* „Gońca Elektorskiego” w prezencie; z całym przekonaniem walczył o interesy swego hipotetycznego mocodawcy i wyczerpany oznajmił: – Uff, więc niech będzie 12 000 i – jak pan sobie życzy – 4%, żeby już zakończyć sprawę; wezmę to na siebie... ale teraz i ja coś dostanę:

§7. Wzajemne prawa i obowiązki:

a) Pan Huguenau pełni funkcję wydawcy. Handlowe i finansowe kierowanie przedsiębiorstwem pozostaje wyłącznie w jego rękach. Ponadto ma on prawo według swojego uznania przyjmować lub odrzucać artykuły do gazety. Za tę pracę firma gwarantuje mu wynagrodzenie w wysokości minimum 175 marek miesięcznie, tj. 2100 marek rocznie.

b) Pan Esch w okresie objętym umową o pracę ma prawo i obowiązek prowadzić buchalterię przedsiębiorstwa i pełni funkcję drugiego redaktora.

Na ograniczenie swych redaktorskich kompetencji Esch musiał się zgodzić przez wzgląd na grupę przemysłową; uprawnienia buchalterskie stanowiły rodzaj rekompensaty.

§8. Wykorzystywane dotychczas przez gazetę pomieszczenia w domu pana Escha pozostają w użytkowaniu przedsiębiorstwa na dalsze trzy lata. Ponadto pan Esch na ten sam okres oddaje do dyspozycji wydawcy dwa kompletnie umeblowane pokoje ze śniadaniem we frontowej części wyżej wymienionego budynku. Za te świadczenia pan Esch otrzymuje od przedsiębiorstwa ekwiwalent w wysokości 25 marek miesięcznie.

§9. Przy późniejszym przekształcaniu otwartego towarzystwa handlowego w Sp. z o.o. lub Tow. Akc. należy odpowiednio uwzględnić powyższe postanowienia.

W wypadku tego projektowanego przekształcenia w towarzystwo rozliczające się publicznie domek z kart naturalnie musiałby się zawalić. Ale Huguenau wcale się tym nie martwił; dla niego cała sprawa była najzupełniej legalnym interesem i jedynie to, że przyniosła mu darmową kwaterę ze śniadaniem, uważał za mały figiel, który jednak serdecznie go cieszył. Esch natomiast utyskiwał, że nie wyszło im dziesięć paragrafów. Zastanawiali się jakiś czas, a potem znaleźli:

§10. Ewentualne spory wynikłe z tej umowy będą rozstrzygane przez sąd powszechny.

Tak to Huguenau w zadziwiająco krótkim czasie – było 14 maja – mógł donieść, że transakcja została gładko załatwiona. Miejscowi notable nie zwlekali z wypłaceniem całego kapitału w wysokości 6600 marek; z tego 4000 zgodnie z umową zostały przekazane panu Eschowi, 1600 pan Huguenau jako przezorny i solidny kupiec przeznaczył na pokrycie kosztów produkcyjnych, a pozostałe 1000 opatrzył mianem funduszu dyspozycyjnego i spożytkował dla siebie. Tymczasowe zaświadczenia udziałowe zostały wydane subskrybentom i już po niewielu dniach w należytym formie zapowiedziano, że od 1 czerwca gazeta będzie się ukazywała pod nowym kierownictwem i w nowej szacie. Huguenau zdołał nakłonić majora do rozpoczęcia nowej ery artykułem wstępnym, a odświętny numer miały też uświetnić częściowo patriotyczne, częściowo ekonomiczne, przeważnie jednak patriotyczno-ekonomiczne teksty pióra mających udziały w gazecie miejscowych notabli.

A Huguenau dla uczczenia nowej epoki zajął udostępnione mu dwa pokoje w domu Escha.

Rozpad wartości (4)

Z pewnością nie tylko artystę kształtuje styl jego epoki, z pewnością styl przenika wszelkie działania współczesnych, z pewnością styl znajduje wyraz nie tylko w dziele sztuki, lecz i we wszystkich wartościach, które tworzą kulturę danego czasu i których dzieło sztuki jest zaledwie niewielką częścią, a mimo to stajemy dość bezradnie wobec konkretnego pytania, jak dalece styl miałby uosabiać się w przeciętnym człowieku, choćby w pośredniku pokroju Wilhelma Huguenaua. Czy człowiek, który handluje wężami gumowymi i tekstyliami, ma coś wspólnego z wolą stylu, jaka przejawia się bądź co bądź w budowanych przez Messela domach towarowych czy w hali turbin Petera Behrensa? Kierując się własnym gustem na pewno wyżej postawiłby zwieńczone blankami wille z mnóstwem bibelotów w środku, a gdyby nawet tego nie zrobił, to pozostałby jednak częścią publiczności, którą bez względu na jej zachowanie dzieli od artysty przepaść.

Jeśli wszakże przyjrzeć się bliżej takiemu człowiekowi jak Huguenau, to widać, że wcale nie chodzi o przepaść między nim a artystą. Można chyba przyjąć, że w epokach o wyraźnej, woli stylu niezrozumienie między artystami a ich współczesnymi było mniej rażące niż dzisiaj, że zatem nowy obraz Dürera w kościele Świętego Sebalda wzbudziłby powszechną radość i podziw również wśród ówczesnych Huguenauów; bo niejedno przemawia za tym, że artysta i jego współczesny żyli wówczas w zupełnie innej wspólnotcie i że zrozumienie, jakie malarz miał dla sukienników i ostrożników, było co najmniej równie duże jak radość, jaką odczuwali oni oglądając jego obrazy. Naturalnie jest to nie do sprawdzenia i być może niejedna rewolucyjna nowość znajdowała u współczesnych niewiele uznania; przypuszczalnie spotkało to choćby Grünewałda. Ale tego rodzaju odchylenia nie są zbyt istotne i to, czy w średniowieczu panowało zrozumienie między artystami a ich współczesnymi, czy też nie, jest obojętne wobec faktu, że zarówno zrozumienie, jak i niezrozumienie w takim samym stopniu są wyrazem legendarnego „ducha czasu” jak samo dzieło sztuki czy inne działania współczesnych.

A jeśli tak się rzeczy mają, to jest także obojętne, ku czemu zwraca się architektoniczny i wszelki inny gust pośrednika typu Huguenaua, i nie ma też znaczenia, że Huguenau żywił pewne estetyczne upodobanie do maszyn: ważne jedynie jest pytanie, czy jego pozostałe działania, czy jego pozostałe myślenie kieruje się tymi samymi zasadami, które w innym miejscu życia wytworzyły styl bezornamentowy lub zrodziły teorię względności, lub doprowadziły do wywodów neokantyzmu – innymi słowy czy również myślenie danej epoki nosi w sobie styl, jest poddane owemu stylowi, który uchwytnie objawia się w dziele sztuki; czy zatem prawda, jako efekt myślenia, nie nosi tak samo znamion stylu epoki, w której się ją znajduje i w której obowiązuje, jak wszystkie inne wartości tej epoki.

I zgoła nie może być inaczej. Bo rzecz nie tylko w tym, że prawda z pewnego punktu widzenia jest wartością pośród wszystkich innych wartości, lecz że działanie człowieka podlega przewodnictwu prawdy, jest niejako przepojone prawdą: cokolwiek czyni, jest to dla niego w każdej chwili przekonujące, on uzasadnia to motywami, które są dla niego prawdą, wspiera logicznym ciągiem argumentów, zawsze – przynajmniej na tę chwilę, w której to się dzieje – postępuje właściwie. Jeśli zatem jego działanie podlega stylowi, to jego myślenie też musi mu podlegać: czy przy tym (praktycznie i teoriopoznawczo) działanie wysunęło się

przed myślenie, czy myślenie przed działanie, prymat życia przed prymat rozumu, sum przed cogito, cogito przed sum, tego nie ma potrzeby rozstrzygać – uchwytne pozostaje tylko racjonalna logika myślenia, podczas gdy irracjonalną logikę działania, która wyznacza wszelki styl, poznaje się jedynie po stworzonym dziele, jedynie po rezultacie.

Przez to bardzo ściśle powiązanie między istotą logicznego myślenia a stwarzanymi przez działanie wartościami i antywartościami schemat myślowy, który opanowuje takiego Huguenaua i zmusza do takiego a nie innego postępowania, narzuca mu reguły prowadzenia interesów i każe tak a nie inaczej układać umowy – cała logika wewnętrzna takiego Huguenaua zostaje włączona w ogólną logikę epoki i wciągnięta w charakterystyczną zależność od owej logiki, którą przeniknięty jest twórczy duch epoki i jej dostrzegalny styl. I choćby to racjonalne myślenie, choćby ta racjonalna logika były jedynie cienką, poniekąd jednowymiarową nitką, którą trzeba owijać wielowymiarowość życia, to jednak myślenie, zawieszone w abstrakcji logicznej przestrzeni, jest abrewiaturą wielowymiarowości dziania się i jego ogólnego stylu, podobnie jak ornament w przestrzeni fizycznej jest abrewiaturą widzialnego rezultatu stylu, abrewiaturą wszystkich dzieł, które tworzą styl.

Huguenau jest człowiekiem, który działa pragmatycznie. Pragmatycznie podzielił swój dzień, pragmatycznie prowadzi interesy, pragmatycznie układa i zawiera umowy. Wszystko to opiera się na logice, która jest całkowicie wolna od ornamentów, i to, że taka logika na każdym kroku domaga się wolności od ornamentów, nie wydaje się wnioskiem zbyt śmiałym, ba, wydaje się nawet rzeczą równie dobrą i równie słuszną, jak dobre i słuszne jest wszystko, co konieczne. A przecież z tą wolnością od ornamentów wiąże się nicość, wiąże się śmierć, kryje się za nią monstrum umierania, w którym czas ulega rozpadowi.

Buntownika nie wolno mylić z przestępcą, choćby społeczeństwo często piętnowało buntownika jako przestępcę, choćby przestępca podawał się nieraz za buntownika, żeby upiększyć swoje czyny. Buntownik występuje w pojedynkę: najwierniejszy syn wspólnoty, która stanowi dla niego cel opozycji i buntu, zwalczany świat jest dla buntownika obfitością żywotnych więzi, których nici zostały jedynie poplątane przez diabelską złośliwość, a ich rozplątanie i uporządkowanie według lepszego planu staje się jego zadaniem. Tak to Luter protestował przeciwko papieżowi, a Esch zasłużył na miano buntownika.

To jednak bynajmniej nie powód, żeby wobec tego besztać Huguenaua jako przestępcę. Byłoby to dla niego nie tylko obraźliwe, lecz i mocno krzywdzące. Z wojskowego punktu widzenia dezertjer jest naturalnie przestępcą i z pewnością nie brak zawołanych żołnierzy, którzy nienawidzą dezertera z taką samą intensywnością jak chłop złodzieja kur i jak on jedynie w karze śmierci widzą sprawiedliwe pomszczenie występku. Niemniej jednak istnieje tutaj zasadnicza i obiektywna różnica: istota przestępstwa polega na jego powtarzalności; w swej powtarzalności nie jest ono niczym innym jak mieszczańskim zawodem. Przystępczość tylko w bardzo luźnej formie jest skierowana przeciwko społeczeństwu, nawet jeśli jej walka z mieszczańskim łaodem przybiera amerykańskie formy; złodziej i fałszerz weksli nie bardzo by wiedzieli, co począc z proklamowaniem komunizmu, a kasiarz, który wieczorem w cichych butach na gumie idzie wykonywać swoje rzemiosło, jest rzemieślnikiem jak każdy inny, jest konserwatywny jak każdy rzemieślnik, i nawet zawód mordercy, który z nożem w zębach wdrapuje się na niewygodny mur, nie kieruje się przeciwko ogółowi, lecz jest jedynie osobistą sprawą, którą morderca musi załatwić ze swoją ofiarą. Nic nie zwraca się przeciwko istniejącemu porządkowi. Propozycje co do ulepszenia albo złagodzenia prawa karnego nigdy nie wychodzą od przestępców, jakkolwiek przecież ich przede wszystkim dotyczą. Gdyby to zależało od przestępców, to złodziei i fałszerzy pieniędzy nadał wieszano by na szubienicy i nie doszłoby nawet do rozróżnienia między morderstwem a zabójstwem, chociaż przestępcy na ogół mają znakomite wyczucie niuansów wykonywanego zawodu i chętnie patrzą na to, gdy wymiar sprawiedliwości dostosowuje się do ich zróżnicowanych odcieni i wymagań; ale właśnie dlatego, że czują potrzebę, by za ten czyn orzekano szubienicę, za tamten łamanie kołem i rozżarzone cęgi, za ów chłostę i dyby, właśnie przez te nieporadne życzenia, które w gruncie rzeczy nie są niczym innym jak nieskładnym bąkaniem ludzi prostych, którzy nie umieją należycie się wyrazić i topornie, niejako z pomocą symboli domagają się rzeczy stanowiących zaledwie niewielką częśćkę czegoś, za czym opowiada się ich serce i co jest ledwie uchwytnie, właśnie przez to wyraźne się staje, do czego zmierzają ich pragnienia: żeby zamieszkały przez nich kraj, ten kraj na granicy świata pełnego dobrych porządków, został wciągnięty w sferę owego większego, dobrego, wręcz kochanego porządku, którego nie ma potrzeby zmieniać – i jeśli przestępcy potrafią sobie wyobrazić to wciągnięcie i powiązanie jedynie poprzez system uporządkowanych surowych kar, to można z tego wywnioskować, że są to natury społeczne i tęskne, całkowicie wypełnione chęcią unikania sporów granicznych, spokojnego wykonywania swojego zawodu i coraz powściągliwszego, cichszego, ba, wrażliwszego dopasowania się do służby, która dotyczy ogólnego porządku i tego, co istnieje.

Buntownik i przestępca, obaj przybliżają swój porządek, swój system wartości do tego, co istnieje. Podczas gdy jednak buntownik chce ujarzmić to, co istnieje, przestępca stara się przystosować. Dezertjer nie należy ani do sfery jednego, ani do sfery drugiego albo należy do obu. Pewnie odczuwał to Huguenau stając przed zadaniem urządzenia swego małego świata i

swej rzeczywistości na skraju większego porządku i dopasowania ich do niego, i chociaż aprobował karanie dezerterów śmiercią przez rozstrzelanie, to na razie wydawało się to rzeczą odległą i nie było niedorzeczne, nie było bardziej niedorzeczne niż język jego snów, że „Goniec Elektorski” jawił mu się jako część wielkiej maszyny, jako mosiężny przegub, który łączy wały, jako punkt, w którym kraina jego prawa graniczyła z tą, której prawa szanował i kochał, do której chciał wtargnąć i w której zamieszkać. I wszystkie te czynniki sprawiły, że zdobycie „Gońca Elektorskiego” stało się dla Huguenaua sprawą tak nadzwyczaj niezbędną, ale też tłumaczą, czemu podjęte starania potoczyły się tak nadzwyczaj szczęśliwie.

Artykuł wstępny „Gońca Elektorskiego” z 1 czerwca 1918

PRZEŁOMOWA CHWILA W ŻYCIU
NIEMIECKIEGO NARODU

*Rozważania komendanta miasta
majora Joachima von Pasenowa*

*Wtedy opuścił go diabeł, a oto
aniołowie przystąpili i służyli mu.
Mat. 4,11*

Chociaż zmiana w kierownictwie tej gazety jest tylko drobnym wydarzeniem w porównaniu z tym ogromnym, którego czwartą rocznicę będziemy mogli niebawem obchodzić, to wydaje mi się, że jak tylekroć moglibyśmy i tutaj uznać zdarzenie na mniejszą skalę za zwierciadło zdarzeń na skalę większą.

Bo również my z naszą gazetą znajdujemy się w punkcie zwrotnym i również mamy zamiar pójść nową i lepszą drogą, która powinna nas zbliżyć do prawdy, mamy też ufność, że to się nam, o ile starczy ludzkich sił.....

.....
.....
gdzie jest diabeł, którego trzeba przepędzić ze świata, gdzie aniołowie, których chcemy przywołać na pomoc? Staremu żołnierzowi wypada powiedzieć swoje zdanie bez ogródek, narażając się na niebezpieczeństwo, iż zabrzmie ono niemodnie

.....
.....
uwolnić z okrażenia przez wrogie narody, lecz też wyzwolić ojczyznę, a z nią cały świat od bezecnego ducha, który na ziemi się co dziwić, że narody pokarane zostają stokrotną niezgodą i tysiącrotnym rozdarciem. Bo ta część ciała, którą zgrzeszyłeś, powinna zostać ukarana.

Słyszę zarzut, że my w taki sposób po prostu przyjmujemy karę, znosimy razy, nadstawiamy dręczycielowi drugi poli

.....
.....
...
jak walka Lutra ze zdeprawowanym papieżem była walką sprawiedliwą. Nasz mistrz Clausewitz uczy nas, że do oręża wojny należy duch sprawiedliwości, który

.....
.....
naszej walki niech brzmi: „I odpędzeni zostali nieprzyjaciele jego z bojaźni przed nim, a wszyscy sprawcy nieprawości wpadli w trwogę, i poszczęściło się wybawienie jego w ręce jego” (I Księga Machabejska, 3, 6), toteż nie może chodzić o ściganie uciekających wrogów, lecz o wybawienie, o wybawienie zarówno własnego, jak i obcego narodu. Bylibyśmy

krótkowzroczni i doprawdy wszystkie ofiary poszłyby na marne, gdyby tak lekkomyślnie i Bogu

posiada ową wewnętrzną wolność, którą musimy zdobywać, tylko jeśli równocześnie obdarzony zostanie wewnętrzną, wyższą i prawdziwie boską wolnością. A tej nie zdobywamy na polach bitew, choćbyśmy odnosili w nich triumfy, lecz znajdujemy ją tylko w naszych sercach. Bo wolność wewnętrzna jest równoprawna z wiarą, do której utraty świat się szykuje. Toteż ta wojna jest nie tylko

według Pisma? „Dobre, pobożne uczynki przenigdy dobrego, pobożnego człowieka nie czynią, lecz to dobry, pobożny człowiek dobre, pobożne uczynki czyni”, powiada Luter o wolności chrześcijanina i dodaje: „Jakoż uczynki nikogo pobożnym nie czynią i człowiek pobożnym być musi, zanim uczynki czyni, takóŜ widocznym jest, że jedynie wiara z samej łaski przez Chrystusa

i gdy mówi Jan (3, 30): „On ma wzrastać, a ja maleć”, to wojna musiała wzrastać, gdyż wiara zmalała i póki wiara nie narodzi się na nowo i nie rozwinie się, ta wojna nie będzie mogła się skończyć. Zło w imię zła

i wręcz wydaje się nam, że najpierw czarne wojska muszą rozlać się po całym świecie, aby z ognia Apokalipsy mogło powstać nowe braterstwo i wspólnota, aby znów stworzone zostało królestwo Chrystusowe i do nowej, wspaniałej

czarne oddziały, wyposażone w nierycerską broń, przeciwko nam zostaną wystawione, to jest to tylko straż przednia. Za nią podąża czarny hufiec, podąża postrach Janowej Apokalipsy. Bo póki biała rasa nie przewycięży bezwładu uczuć i

honor odbiera, jest to rodzaj stracony, straszna ciemność go spowije i nie przyjdzie nikt, żeby mu pomóc

trucizna bezbożników i awanturników, która zaraża nie tylko dumne metropolie wroga, nie oszczędziła także naszej ojczyzny. Jak sieć nie do rozplątania kładzie się niewidzialnie na nasze miasta

jak musiała dopiero przyjść okryta chwałą kampania z roku 70., żeby zjednoczyć rozdarte niemieckie plemiona, tak chlubą tej duŜo większej i straszniejszej wojny będzie nie tylko braterskie zjednoczenie plemion, lecz poniekąd również wiara i łaska wolności znów będą nasze. Wtedy można powiedzieć: „Chrześcijanin jest słuŜebnym pachołkiem wszystkich rzeczy i kaŜdemu poddanym”, jak i: „Chrześcijanin jest wolnym panem wszystkich rzeczy i nikomu nie poddanym”, liczyć się będzie jedno i drugie i w ten sposób musimy wyobraŜać sobie prawdziwą wolność.

Nie wiem, czy zdołałem wyrazić się dostatecznie jasno, sam przecież musiałem zmagać się długo, aby dojść do tych poglądów, i jestem przekonany, że są one fragmentaryczne. Ale i tutaj liczą się chyba słowa generała Clausewitza: „Rozdzierający serce widok niebezpieczeństw i cierpień pozwala uczuciu zdobyć łatwo przewagę nad rozumowym przeświadczeniem i w mroku wszelkiego pojawiania się głębokie, jasne zrozumienie jest tak trudne, że jego zmiana staje się bardziej rozumiała i wybaczalna. Działa się zawsze tylko w oparciu o domysł i przecucie prawdy”.

*

Tak to major von Pasenow zmagał się z problemem wojny i niemieckiej przyszłości i ciężko mu szło. Wojna, dla której rzemiosła został wychowany, wojna, dla której przez całą młodość nosił mundur i dla której przed czterema laty znów go włożył, wojna przestała nagle być sprawą mundurów, sprawą niebieskich spodni i czerwonych spodni, sprawą wrogich towarzyszy broni, którzy po rycersku krzyżują szpady, wojna nie była ani ukoronowaniem, ani spełnieniem umundurowanego życia, lecz niepostrzeżenie i coraz bardziej odczuwalnie wstrząsała podstawami tego życia, podkopała jego moralną spójność, a przez oka w wyświechtanej tkaninie szyderczo uśmiechała się grzeszność. Na to, by zapanować nad grzesznością, nie wystarczały siły duchowe wyćwiczone w szkole kadetów w Chełmnie, co zbytnio nie dziwiło, gdyż nawet Kościół mimo lepszego wyposażenia nie potrafi uporać się bez reszty z antynomią grzechu pierwородnego. Ale to, co jawiło się świętemu Augustynowi jako zbawienie ziemskiego świata, co przed nim wymarzyli już stoicy, idea państwa Bożego, które ogarnia wszystko, co ma ludzkie oblicze, ta szczytna idea przeświecała przez obraz rozdzierających serc niebezpieczeństw i cierpień, zakiełkowała – raczej uczucie niż rozumowe przeświadczenie, raczej mrok niż głębokie, jasne zrozumienie – również w duszy starego oficera i tak to zamazana i niekiedy wykrzywiona, ale bądź co bądź dostrzegalna linia ciągnęła się od Zenona i Seneki, może już nawet od pitagorejczyków, aż do przemyśleń majora von Basenowa.

Rozpad wartości (5)

Exkurs logiczny

To prawda, że w królewsko-pruskiej szkole kadetów w Chełmnie panował inny styl myślenia niż choćby w rzymskokatolickim seminarium duchownym, wszelako pojęcie „styl myślenia” mocno przypomina mglistość owych kierunków filozoficznych i historycznych, których szkopał metodologiczny tkwi w słowie „intuicja”. Bo aprioryczna jednoznaczność myślenia i logosu nie pozwala na żadne stylistyczne odcienie, nie potrzebuje więc prócz apriorycznego samopoznania ducha jakiegokolwiek innej intuicji i spycha całą resztę w dziedzinę empirycznych odchyłeń, patologicznych odchyłeń, pozostawionych badaniom nie filozoficznym, lecz psychologicznym i medycznym. Niewydolność empirycznego i ziemskiego myślenia ludzkich mózgów wobec absolutnej logiki ja, wobec absolutnej logiki Boga.

Albo też można by się sprzeciwić: absolutna logika formalna istnieje przecież nadal, jest niezmienna także dla ludzkich mózgów – zmieniają się jedynie treści myślenia, zmienia się rozumienie istoty świata, jest to więc w najlepszym razie kwestia teoriopoznawcza, nigdy zaś logiczna. Logika pozostaje „bezstylowa” jak matematyka.

Czy forma tego, co logiczne, faktycznie nie ma nic do czynienia z treściami? dziwnym sposobem sama jest bowiem w jakiejś mierze treścią, najwyraźniej chyba wówczas, gdy śledzi się tak zwane formalne łańcuchy dowodów, bo nie dość, że ogniwa tych łańcuchów są aksjomatami albo twierdzeniami aksjomatopodobnymi – choćby zasada sprzeczności – a więc wypowiedziami, które tworzą nieprzekraczalną barierę osiągalności (aż pewnego dnia, jak na przykład w wypadku zasady wyłączonego środka, zostanie ona jednak przekroczona) i których oczywistość można już tylko uchwycić treściowo, ale nie udowodnić formalnie, to ponadto niepodobna byłoby w ogóle ułożyć tego rodzaju logiczny łańcuch, bo natychmiast utknęłaby cała logiczna maszyna wnioskowania i udowadniania, gdyby nie istniały metalogiczne i, mimo całego przesuwania granicy formalnej, koniec końców metafizyczne i treściowe pryncypia, dzięki którym zastosowaniu cały mechanizm utrzymuje się w ruchu. System logiki formalnej opiera się na treściowych podstawach.

Intuicyjno-psychologiczny idealizm zakładał „wycucie prawdy”, na którego oczywistości kończy się wreszcie każdy łańcuch pytań, rozpoczęty zdziwionym „co to jest?”, kontynuowany w powtarzającym się stale „dlaczego?”, dochodzi do ostatniej aksjomatycznej osiągalności: „Jest tak i nie inaczej”. Jeśli wobec niezmienności apriorycznego i czysto formalnego logosu wprowadzenie wycucia prawdy jest krokiem zbędnym, to wobec elementów treściowych w logicznym wywodzie odgrywa ono ponownie zaszczepną i bardziej uzasadnioną rolę. Bo pozycje oczywistości u końca łańcuchów pytań i dowodów oderwały się od formalnej niezmienności i powinny mimo to wywierać decydujący wpływ na logiczny tok dowodzenia i na jego formę. Problem, jaki się przy tym wyłania: „W jaki sposób treści, czy to logiczno-aksjomatycznej, czy pozallogicznej natury, mogą do tego stopnia wkraczać w logiczność formalną, że przy zachowaniu formalnej inwariancji występuje zmienność stylu myślenia?”, ten problem ma charakter już nie psychologiczny i empiryczny, ale

metodologiczny i metafizyczny, bo za nim stoi z wszelką apriorycznością odwieczne pytanie wszystkich etycznych roztrząsam Jak Bóg może dopuścić do błędu, jakim prawem w świecie Boga żyje szaleniec?

Można sobie wyobrazić, że łańcuch pytań w ogóle się nie kończy: wszystkie łańcuchy pytań ontycznych najwidoczniej mają tę właściwość – problem materii, który przechodzi od jednego podstawowego pojęcia do drugiego, od pierwiastka do atomu, od atomu do elektronu, od elektronu do kwantu i raz za razem zatrzymuje się tylko na chwilę, jest przykładem takiego nie kończącego się łańcucha pytań.

To, w którym miejscu tego rodzaju łańcuch pytań zostanie przerwany, jest sprawą wyczucia prawdy i oczywistości, a więc sprawą obowiązującej aksjomatyki. Jeśli według teorii Talesa tym punktem osiągalności dla łańcucha pytań ontycznych miała być substancja wody, to świadczy to o tym, że dla Talesa liczył się system aksjomatów, w ramach którego wodnistość materii wydawała się rzeczą „do udowodnienia”. Tutaj łańcuch pytań zostaje zatrzymany przez aksjomaty treściowe, nie formalno-logiczne, przez aksjomaty obowiązującej kosmogonii – ale te aksjomaty treściowe muszą pozostawać w jakimś stosunku z formalno-logicznymi, co najmniej w stosunku niesprzeczności, bo treściowy tok dowodzenia nie zgadzałby się z formalnym, nie byłoby osiągalności. (Że niemniej jednak treściowe i logiczne aksjomaty mogą popadać w sprzeczność, to widać na przykładzie teorii dwóch prawd). Ale nawet jeśli z całkowitym sceptycyzmem staje się na stanowisku „ignorabimus” i przecząc istnieniu kosmogonicznej osiągalności i jej aksjomatyki uznaje się łańcuchy pytań za nieprzerwywalne, a ich przerywanie traktuje się jak czysto pragmatyczną, lecz fikcyjną arbitralność, to jasne jest, że również postawa „ignorabimus” jako taka ma charakter określonej osiągalności i że znajduje on wsparcie w określonej logiczności i w określonej logicznej aksjomatyce.

Pewne, wykraczające poza ramy czystego intuicjonizmu, racjonalne przedstawienie tej sytuacji mogłoby chyba uzmysłwić mnogość zawartych w obrazie świata i czynnych aksjomatów. Oczywiście tej mnogości nie da się ani wykazać, ani przeliczyć – można tylko w skrajnych wypadkach unaocznic bogactwo lub ubóstwo aksjomatów. Kosmogonia ludów pierwotnych jest na przykład niezwykle skomplikowana: każda rzecz w świecie prowadzi własne życie, jest poniekąd *causa sui*, każde drzewo jest zamieszkane przez swego własnego boga, każda rzecz przez swego własnego demona; jest to świat o nieskończenie wielu aksjomatach i każdy łańcuch pytań, które odnoszą się do rzeczy tego świata, po paru krokach, ba, może już po pierwszym kroku natyka się na jeden z tych aksjomatów. Wobec takiej wielości krótkich, wręcz jednoogniwowych ontologicznych łańcuchów te łańcuchy w świecie monoteistycznym są już bardzo długie, chociaż nie nieskończenie długie, tak długie mianowicie, że zbiegają się w jedynej praprzyczynie – w „Bogu”. Jeśli więc wziąć pod uwagę jedynie aksjomaty ontologiczno-kosmogoniczne – zapominając o innych, a więc choćby czysto logicznych – to w obu skrajnych wypadkach, które reprezentują biegunowo różne kosmogonie prymitywnej magii i monoteizmu, liczba aksjomatów spada od nieskończoności do jednego.

O ile język jest wyrazem logiki, o ile logika występuje immanentnie w strukturze języka, to można zeń wyciągnąć wniosek co do liczby ontologicznych aksjomatów, natury logiki i zmienności jej „stylu”. Bo właśnie skomplikowany system ontologiczny ludów pierwotnych, właśnie ich rozległy system aksjomatów odzwierciedla się w nadzwyczaj skomplikowanej strukturze i składni ich języków. I w jak małym stopniu przeobrażenie metafizycznego obrazu świata można wytłumaczyć względami użytkowymi – nikt nie będzie mógł twierdzić, że metafizyka zachodnia jest „bardziej użytkowa” aniżeli stojąca co najmniej na tym samym stopniu rozwoju metafizyka chińska – tak też upraszczania i zasadniczej zmiany stylu w

obrębnie języków (nie kwestionując ich praktycznego wygładzania) nie należy przypisywać wyłącznie zamiarom użytkowym, pomijając fakt, że dla wyjaśnienia całego szeregu przeobrażeń i składniowych osobliwości użytkowość nie wystarcza.

Jakie funkcje system aksjomatyczny, czy to ontyczny, czy logiczny, może spełniać pod kątem właściwej struktury logicznej, w jaki sposób mimo formalnej niezmienności wyciska swoje piętno jako „styl”, to można bądź co bądź przedstawić obrazowo: przy pewnych konstrukcjach geometrycznych arbitralnie umieszcza się nieskończenie daleki punkt w obrębie skończonej płaszczyzny rysunkowej, a potem konstruuje się tak, jak gdyby ten fikcyjny punkt nieskończoności był rzeczywiście nieskończenie daleki. Położenie poszczególnych elementów konstrukcyjnych wobec siebie pozostaje w takiej konstrukcji takie samo, jak gdyby ów punkt był rzeczywiście nieskończenie daleki, jedynie wszystkie wymiary zniekształciły się i zsunęły. I podobnie wypada sobie wyobrazić przeobrażenia, jakim ulegają konstrukcje logiczne, kiedy logiczny punkt osiągalności zostanie przesunięty z nieskończoności w skończoność i ziemskość: logika formalna jako taka, jej sposób wnioskowania, ba, nawet jej treściowe sąsiedztwa skojarzeniowe istnieją nadal – co się zmienia, to jej „wymiary”, jej „styl”.

Krok, jaki pozostawało zrobić poza monoteistyczną kosmogonię, był prawie niedostrzegalny, a przecież miał większe znaczenie od wszystkich poprzednich: praprzyczynę przesuwają się ze „skończonej” nieskończoności bądź co bądź jeszcze antropomorficznego Boga w prawdziwą, abstrakcyjną nieskończoność, łańcuchy pytań nie kończą się już na tym wyobrażeniu Boga, lecz biegają faktycznie w nieskończoność (nie zmierzają już niejako do jednego punktu, ale poruszają się równolegle), kosmogonia nie opiera się już na Bogu, tylko na ciągłym kontynuowaniu pytania, na świadomości, że nigdzie nie ma punktu spoczynku, że można, że trzeba pytać coraz dalej, że nie da się wykazać ani pramaterii, ani praprzyczyny, że za każdą logiką stoi jeszcze metalogika, że każde rozwiązanie jest tylko rozwiązaniem tymczasowym i że nie pozostaje nic prócz aktu pytania jako takiego: kosmogonia radykalnie się unaukowiła, a jej język i składnia wygładziły swój „styl”, przeobraziły się w wyraz matematyczny.

We wtorek, 4 czerwca, Esch i Huguenau szli przez rynek. Była dżdżysta pogoda. Zażywny i okrągły, w rozpiętym płaszczu, kroczył Huguenau. Jak zwycięzca, pomyślał zgryźliwie Esch.

Skręciwszy koło ratusza napotkali smutną eskortę: dwaj strażnicy z bagnetami na karabinach, nadchodząc chyba z dworca albo z gmachu sądu, prowadzili do więzienia skutego niemieckiego żołnierza. Była dżdżysta pogoda, krople deszczu chlastały żołnierzowi w twarz, a on, żeby je zetrzeć, musiał od czasu do czasu unosić dłonie w kajdankach i pocierać o nie twarz; był to gest nieporadny i zarazem wzruszający.

– Co on przeszkobał? – zapytał Esch również trochę speszzonego Huguenaua.

Huguenau wzruszył ramionami, wymamrotał coś o morderstwie rabunkowym i gwałceniu dzieci: – A może zakłuł proboszcza... kuchennym nożem.

Esch powtórzył: – Zakłuł nożem.

– Jeśli to dezertor, to zostanie rozstrzelany – zakończył sprawę Huguenau, a Esch ujrzał sąd wojenny obradujący w dobrze znanej sali sądu przysięgłych, ujrzał komendanta miasta w roli sędziego, usłyszał jego bezlitosny werdykt i ujrzał, jak w chlastającym deszczu prowadzą żołnierza na podwórze więzienia i jak ten przed plutonem egzekucyjnym po raz ostatni o skute dłonie ociera twarz, na której zlewały się woda, łzy i zimny pot.

Esch był człowiekiem porywczych zachowań; świat dzielił się dla niego na czerń i biel, zdawał mu się przedmiotem rozgrywki złych i dobrych sił. Ale porywczość często wysuwała na pierwszy plan osobę, nie sprawę i był już bliski obarczenia odpowiedzialnością za okrucieństwo, jakie zostanie popełnione na biednym dezercerze, nie zimnego, bezwzględniego militarysty, lecz majora, i już chciał powiedzieć do Huguenaua, że major to Świnia – gdy nagle coś tu się nie zgadzało: nagle zatracił orientację, bo nagle wydało mu się niepojęte, by major miał być tożsamy z autorem tamtego artykułu.

Major nie był świnia, major był czymś lepszym, major przesunął się nagle z czarnej na białą stronę świata.

Esch miał bardzo wyraźnie przed oczami artykuł wstępny i niezupełnie co prawda zrozumiałe, ale szlachetne myśli majora były dla niego jasne i wielkie, wydawały mu się częścią wyższej misji zadbania o wolność i sprawiedliwość świata, a było to tym bardziej godne uwagi, że odnajdywał w niej część swego własnego zadania i celu, jednakże wyrażoną w sposób tak podniosły, przejrzysty i swobodny, że wszystko, co sam w tej materii pomyślał czy zrobił, było teraz w jego odczuciu tępe, ciasne, pospolite i krótkowzroczne. Esch przystanął: – Trzeba płacić – powiedział.

Huguenau był niemile dotknięty: – Łatwo panu mówić, pan nie będzie rozstrzelany.

Esch potrząsnął głową, pogardliwie i trochę beznadziejnie machnął ręką: – Gdyby to tylko o to chodziło... chodzi o przyzwoitość... wiesz pan, że był taki czas, kiedy chciałem przystąpić do stowarzyszenia wolnomyslicieli!

– A jeśli nawet? – odparł Huguenau.

– Nie powinienes pan tak mówić – powiedział Esch – w Biblii coś przecież jest. Przeczytaj pan tylko artykuł majora.

– Piękny artykuł – przyznał Huguenau.

– A więc?

Huguenau zamyślił się: – Jeszcze jednego artykułu raczej nam nie napisze... teraz trzeba by zamieścić coś innego... ale naturalnie znów będę musiał to zrobić sam, panu przecież nic a nic nie przychodzi do głowy. I to pan chciał wydawać gazetę!

Esch popatrzył na niego rozpaczliwie: z takim ścierwem widać daleko się nie zajdzie, facet nie rozumiał albo nie chciał rozumieć. Esch chętnie by go wygrzmocił. Wrzasnął na niego: – Jeśli pan masz być aniołem, który przystąpił do niego, aby mu służyć, to ja już wolę być diabłem!

– Wszyscy nie jesteśmy aniołami – rzekł filozoficznie Huguenau.

Esch nie podtrzymał rozmowy; i tak byli już w domu.

W sieni Margerita bawiła się z paroma chłopakami z sąsiedztwa. Gniewnie podniosła wzrok, ponieważ jej przeszkadzili, ale Esch się tym nie przejął, chwycił ją i posadził sobie na karku, przytrzymując jej nogi.

– Uwaga na drzwi – zawołał i skulił się na progu.

Huguenau ruszył za nimi.

Gdy wspinali się po schodach i Margerita, unosząc się wysoko ponad poręczą, spoglądała na osobliwie powiększone podwórze i rozkołysany ogród, ogarnął ją strach; twardymi dziecięcymi dłońmi chwyciła czoło Escha, usiłowała wczepić się pazurami w jego oczodoły.

– Spokój tam na górze – zakomenderował Esch – uwaga na drzwi. – Ale nic to nie dało, że się schylił: Margerita zeszywniała, odchyliła korpus do tyłu, walnęła głową o framugę i zaczęła beczeć. Esch, nawykły od dawna do uspokajania płaczących kobiet przez kontakt fizyczny, opuścił dziewczynkę na wysokość pocałunku, ale ona wymachiwała nogami, znowu usiłowała dobrać mu się do oczu, tak że rad nierad musiał postawić ją na ziemi i puścić wolno. Margerita chciała uciekać, ale na drodze stał Huguenau i szykował się, żeby ją złapać. Przedtem z przyjemnością patrzył, jak mała wrywa się Eschowi, i gdyby teraz została nie z tamtym, tylko z nim, byłaby to duża satysfakcja. Jednakże widząc ponurą minę dziewczynki nie odważył się jej zatrzymać, ale stanął w rozkroku i powiedział: – To jest brama. – Mała zrozumiała, roześmiała się i na czworakach przeczołgała się przez bramę.

Oczy Escha podążały za nią: – Potrafiłaby zabić człowieka jak nic – pobrzmiwało to wzruszeniem – taka mała, czarna szelma. – Huguenau usiadł naprzeciwko niego: – Cóż, na pański gust to zdaje się w sam raz... aleja niedługo będę musiał wstawić tu własne biurko. – Nie mogę temu przeszkodzić – burknął Esch – tak czy owak byłby czas, żebyś pan się zatroszczył o sprawy redakcji. – Myśli Huguenaua były jeszcze przy dziewczynce: Mała stale tu przesiaduje. – Esch uśmiechnął się lekko: – Dzieci to szczęście i utrapienie, panie Huguenau, ale pan tego nie rozumiesz. – Wystarczy, by skapować, że przepada pan za małą... w przeciwnym razie nie chciałby pan adoptować takiego cudzego ziółka. – Własne czy cudze, to na jedno wychodzi, już raz to panu mówiłem. – Niezupełnie na jedno, skoro ktoś inny miał przyjemność. – Pan tego nie rozumiesz! – krzyknął Esch i zerwał się.

Przemierzył pokój kilka razy tam i z powrotem, potem podszedł do kąta, gdzie piętrzyły się paczki gazet, wziął jeden egzemplarz, był to numer odświętny, i zaczął studiować artykuł majora.

Huguenau przyglądał mu się z zainteresowaniem. Esch trzymał głowę w dłoniach, krótkie siwe włosy sterczały spomiędzy palców – miał wygląd zagorzałego, niemal ascety i Huguenau, chcąc odepchnąć ozywające mrocznie i niemile wspomnienie, powiedział rześkim głosem: – Zobacz pan, Esch, że z gazetą jeszcze zajdziemy wysoko. – Esch odrzekł: – Major to dobry człowiek. – Tak – zgodził się Huguenau – ale niech pan lepiej pomyśli, co by można zrobić z naszego dziennika. – Podszedł do Escha i jakby chcąc go zbudzić dotknął jego ramienia. – O „Gońca Elektorskiego” muszą pytać w Berlinie i w Norymberdze, i we frankfurckiej kawiarni Hauptwache, zna pan Frankfurt, tam też musi być wyłożony... musi stać się gazetą światową.

Esch nie zwracał uwagi. Wskazał palcem fragment artykułu: „Jakoż uczynki nikogo pobożnym nie czynią i człowiek pobożnym być musi, zanim uczynki czyni...”, wiesz pan, co

to znaczy? że nie chodzi o małą, ale o zasady, obce czy własne, to na jedno wychodzi, słyszysz pan, na jedno!

Huguenau był jakoś rozczarowany: – Ja wiem tylko, że pan jest durniem i że ze swoimi zasadami doprowadził pan gazetę do upadku. – Powiedziawszy to wyszedł z pokoju.

Drzwi już dawno się zatrzasnęły, a Esch wciąż jeszcze siedział na swoim miejscu, wpatrywał się w drzwi, siedział i rozpamiętywał. Nie było to jasne, ale bądź co bądź z tymi zasadami Huguenau mógł mieć rację. Niemniej jednak wydawało się, że będzie teraz porządek. Świat był podzielony na dobro i zło, na winien i ma, na czarne i białe, a jeśli zakradł się jakiś błąd w księgowaniu, to trzeba go usunąć i człowiek go usunie. Esch ochłonął. Jego dłonie spoczywały nieruchomo na kolanach, siedział spokojnie, patrzył przez zamknięte powieki na drzwi, widział przez zamknięte powieki cały pokój, który teraz osobliwie przechodził w krajobraz a może była to widokówka? – i był oto niczym kiosk pod zielonymi drzewami, drzewami badenweilerskiej Góry Zamkowej, widział oblicze majora, a było to oblicze kogoś większego i wyższego. I Esch siedział tak długo, aż pełen zdumienia nie wiedział już, gdzie się znalazł, i z najwyższym trudem wrócił do swojej lektury. Co prawda mógłby artykuł wyrecytować z pamięci zdanie po zdaniu, lecz zmuszał się do dalszego czytania i już znowu wiedział, gdzie jest jego miejsce na tym świecie. Bo rozważania majora skierowane do narodu niemieckiego podziały na pewną, choć niezbyt znaczną część tego narodu, a tą częścią był właśnie pan Esch.

Cztery kobiety szorowały salę chorych.

Wszedł komendant Kuhlenbeck, przyglądał się im przez chwilę: – No, jak wam leci?

– A jak ma nam lecieć, panie komendancie...

Kobiety westchnęły, potem szorowały dalej.

Jedna uniosła głowę: – Mój mąż w przyszłym tygodniu przyjeżdża na urlop.

– Wspaniale, Tielden... to łóżka będą chodziły...

Pani Tielden poczerwieniała pod wygarbowaną na brąz skórą twarzy. Pozostałe roześmiały się. I pani Tielden zaśmiała się z nimi.

Naraz z jednego z łóżek dobiegło szczekanie. Nie było to prawdziwe szczekanie, było to zdyszane, ciężkie i bardzo bolesne wykrztuszenie czegoś, co niewiele miało wspólnego z dźwiękiem i dobywało się z wielkiej głębokości.

Rezerwista Gödicke siedział na swoim łóżku; rysy miał boleśnie wykrzywione i to on śmiał się w tak szczególny sposób.

Był to pierwszy dźwięk, jaki usłyszano z jego ust od czasu przywiezienia do lazaretu (jeśli nie liczyć jego początkowego kwilenia).

– A to huncwot – powiedział komendant Kuhlenbeck – to on potrafi się śmiać.

Historia dziewczyny z Armii Zbawienia w Berlinie (5)

Zwiędła wiosna prawa z kamienia,
Zwiędła wiosna żydowskiej wybranki,
Zwiędły hałas miasta, wieczorem i rankiem
Niewidzialną spętany siecią milczenia.
Letni dzień kamienny, ani kropli zmiłowania,
Zwiędłe niebo na place asfaltowe spoziera,
W ulic przepastne wąwozy i jak świerzb się rozpościera
Na szarej skórze ziemi kamień – niepowstrzymanie.
O miasto fałszywego blasku, o miasto fałszywej wrzawy,
Pokutnik nie chce drzew oglądać zielonych,
Jaskini pustelniczej szuka na ustroniu,
Gdzie świętość powstanie z prawa,
Tryskając jak fontanna z myśli skłębionych,
Rozterek, księgi świętej i zwątpień minionych.
To miasto wędrowców, ascetów, grzeszników skruszonych,
Miasto ludu wybrańców Bożych,
Co z myślą tylko o synach bez rozkoszy się mnoży,
Ludu starców przy oknie zamodlonych.
Ludu o mniszych brodach, co z Bogiem się zespala
Przez obrzędy surowe, rzemienie, świeczniki,
A niewiasty mieszą prząsne podpłomyki
I kaganek oliwny nikło się zapala.
Ten lud kobiety bierze, aby w łożu płodzić
Błatego młodzika z teatralną brodą,
Jakubowego młodzieńca, co w aniołach budzi podziw,
Jego to prawda powiedzie drogą
Do owego źródła, gdzie bywali anieli,
Do wodopoju owiec Racheli.
O szare miasto, białych nomadów przystani
Na drodze Syjonu, przez Boga wskazanej,
Bezbożne miasto, pustą siecią omotane,
Kamienne pustkowie klątwą i bólem rani,
Tam Armia Zbawienia bębniąc nie spoczywa,
Ażeby grzesznik zła odstąpił,
Na łaski pełną drogę prawdy wstąpił,
Drogę Syjonu, którą miłość odkrywa.
W tym mieście Berlinie, w owych dniach wiosny
Nuchem Sussin spotkał Marię od Zbawienia
I było przez chwilę słodkie poruszenie,
I na kolana dusze padły ich radośnie;
Nie czuli ciężkiej losu ręki,

Ujrzeni Syjon i żyli podzięką.

Od blisko dwóch lat Heinrich Wendling nie miał urlopu. Mimo to Hanna była zaskoczona, tak zaskoczona, jakby nastąpiło niepojęcie irracjonalne zdarzenie, gdy nadszedł list, w którym Heinrich zapowiadał przyjazd do domu. Podróż z Salonik trwa co najmniej sześć dni, prawdopodobnie nawet dłużej, ale bądź co bądź była to już tylko kwestia dni. Hanna bała się jego przyjazdu, jak gdyby musiała ukrywać przed nim potajemnego kochanka. Każdy dzień zwłoki przyjmowała jak dar; ale każdego wieczora robiła na noc jeszcze staranniejszą niż zwykle toaletę i rano jeszcze dłużej niż zwykle leżała w łóżku, czekając, bojąc się, że przyjezdny, brudny i nie ogolony, natychmiast weźmie ją w posiadanie. I chociaż właściwie mogła wstydzić się tego rodzaju wyobrażeń i już tylko z tej przyczyny spodziewać się, że jakaś ofensywa albo inne nieszczęście udaremni urlop, to odczuwała nakładającą się na to wszystko jeszcze dużo silniejszą i bardzo dziwną nadzieję, miała przeczucie, o którym nie chciało się nic wiedzieć i nic też się nie wiedziało, a które przypominało stan ducha przed ciężką operacją: trzeba było się jej poddać, aby uchronić się przed czymś niezmiennym, do czego zazwyczaj nieuchronnie się zdążało, była to jakby ostatnia, straszna ostoja, też ciemna, wszelako niosąca jakby ocalenie przed głębszą ciemnością. W takim zachowaniu, tym podszytym nadzieją zatrwożeniu i lęklwym oczekiwaniu, dopatrywać się masochizmu znaczyłoby pozostawać na najbardziej zewnętrznej powierzchni duszy. A wy tłumaczenie tego stanu, na które pewnie pozwalała sobie – o ile w ogóle przyjmowała go do wiadomości – sama Hanna, w istocie nie odbiegało od owej niemądrej opinii starych kobiet, które w małżeństwie widzą jedyny środek leczniczy na to, aby raz na zawsze uporać się ze wszystkimi dolegliwościami młodych anemicznych dziewcząt. Nie, nie odważyłaby się snuć dalej tych rozmyślań, był to gąszcz, w który nie miała ochoty się zapuszczać, a jeśli jakoś tam liczyła się z tym, że wraz z przyjazdem Heinricha uda się przywrócić naturalny porządek, to z równą intensywnością przeczuwała, że takiego porządku nigdy już się osiągnie.

Nadeszło prawdziwe lato. „Dom w Różach” pokazywał, że jest godny tej nazwy, chociaż zgodnie z wymogami czasu pielęgnowanie kwiatów ustąpiło pierwszeństwa hodowli warzyw, a i z nią zatrudniany dorywczo chorowity ogrodnik nie bardzo sobie radził. Lecz crimsony ramblersy nie dawały się okiełznać nawet wojnie i pięły się w górę aż do amorków u wejścia, kępy piwonii były białe i różowe, a pasma heliotropu i lewkonii na obrzeżach trawników znajdowały się w pełnym rozkwicie. Tchnąc spokojem rozciągał się zielony krajobraz przed domem, rozległa pochyłość doliny przykuwała wzrok i wiodła go aż na skraj lasu, stojąca tam leśniczówka, którą zimną widziało się w całej okazałości, ze wszystkimi oknami, znów zniknęła w zieleni, zazieleniły się winnice i ciemno rozpościerał się las, ciemniej jeszcze, gdyż nad górą pojawiły się czarne chmury.

Po południu Hanna rozłożyła leżak przed domem. Leżała pod kasztanami i patrzyła na nadciągające chmury, których cień przesuwiał się po polach, zamieniając jasną, pogodną zielenią w czarniawy i osobliwie spokojny zieleniofiolet, a gdy cień rozsnuł się nad ogrodem i nagle zrobiło się chłodno i piwnicznie, kwiaty, dotychczas zamknięte od upału kwiaty, zaczęły pachnieć ni z tego, ni z owego, jak gdyby nabrały tchu. A może to nagły chłód sprawił, że Hanna poczuła zapach, ale było to tak nagłe, tak niepowtarzalne, tak gwałtowne, ta zalewająca fala słodkiego zapachu była tak chłodna i urocza jak wieczór w południowym ogrodzie, jak zmierzch na skalistym brzegu takiego Morza Tyrreńskiego. Tak to ziemia leżała na brzegu chmury, która wysyłała w dół swoje fale, deszcz przed burzą, gęsty i łagodny, i Hanna stojąc w otwartych drzwiach werandy czuła woń południa, a kiedy wręcz łączywie

chłoneła łagodną wilgoć, pozostawiającą w nozdrzach wrażenie chłodu i rześkości, wraz ze wspomnieniem zapachu odżył ów strach, jaki po raz pierwszy odczuła w czasie podróży poślubnej na Sycylii stojąc w deszczowy wieczór na brzegu morza: za nią wznosił się hotel, pachniały kwiaty hotelowego ogrodu, a ona nie wiedziała, kim był stojący koło niej obcy mężczyzna – nazywał się doktor Wendling.

Przestraszyła się: dróżką podążał ogrodnik, żeby pochować meble ogrodowe przed deszczem; przestraszyła się, pomyślała nieodparcie, że to włamywacz, chociaż dobrze wiedziała, co ten człowiek zamierzał. Gdyby Walter nie wyszedł do niej, uciekłyby do pokoju i zamknęła drzwi na klucz. Walter usiadł na progu; wystawił gołe nogi na deszcz i zajął się ostrożnym zdrapywaniem zaschłego strupa z kolana, aby następnie pogłaskać z zadowoleniem nową, różową skórę. Hanna także usiadła na progu; nogi, swoje piękne, smukłe nogi, objęła rękoma – ona też przebywając u siebie w ogrodzie nie nosiła pończoch – gładkie golenie były chłodne w dotyku.

Tymczasem deszcz przytłumił woń kwiatów, którą przedtem zbudził, i pachniało już tylko mokrą ziemią. Brązowo pocętkowany kryty dachówką dach domku ogrodnika błyszczał wilgocią, a gdy ogrodnik znów przechodził dróżką, żwir nie chrzęścił już sucho, lecz szeleścił ziarniście i czysto. Hanna położyła rękę na ramionach dziecka – czemu nie mogli siedzieć tak wiecznie, harmonijnie wtopieni w schludny i chłodny świat! Czuła już tylko odrobinę strachu. Niemniej jednak powiedziała: – Jak dzisiaj w nocy będzie tak grzmiało, to możesz spać ze mną, Walterze.

Gdy komendant Kuhlenbeck i doktor Kessel weszli do sali jadalnej hotelu, major siedział na swoim stałym miejscu. Czytał nadeszłą właśnie „Kölnische Zeitung”. Obaj panowie ukłonili się, major zaś wstał i zaprosił ich do swojego stolika.

Kuhlenbeck w nader nietaktowny sposób wskazał na gazetę: – Będziemy mieli przyjemność poczytać pana i w innych gazetach, panie majorze?

Major jedynie potrząsnął głową, podał gazetę komendantowi lazaretu, zwracając uwagę na doniesienia z wojny: – Złe wiadomości.

Kuhlenbeck przebiegł oczyma komunikaty: – Właściwie nie gorsze niż zwykle, panie majorze.

Major spojrział pytająco.

– No cóż, może być tylko jedna dobra wiadomość, a ona brzmi: pokój.

– Ma pan rację – odparł major – ale powinien to być pokój honorowy.

– Pięknie – powiedział Kuhlenbeck i podniósł szklanke – a więc za pokój.

Obaj pozostali panowie tręcili się z nim, a major powtórzył: – Za honorowy pokój... w przeciwnym razie na cóż byłyby wszystkie poniesione ofiary? – Zachował szklanke w dłoni, jakby chcąc jeszcze coś powiedzieć, ale się nie odezwał; w końcu przełamał odrętwienie i rzekł: – Honor to nie jest tylko konwenans... dawniej gaz trujący jako broń byłby zakazany.

Panowie milczeli i popijali wino.

Potem odezwał się doktor Kassel: – Na co się zdadzą najpiękniejsze teorie na temat wojennego odżywiania się... kiedy wieczorem wracam do domu, ledwie mogę utrzymać się na nogach; dla starszego człowieka to zwyczajnie nie wystarcza.

Kuhlenbeck zauważył: – Pan jest defetystą, Kessel; cukrzyca, jak wykazano, spadła do minimum, podobnie jest, jak się wydaje, z rakiem... to po prostu pański osobisty pech, że nie jest pan cukrzykiem... zresztą, drogi kolego, jeśli czuje pan, że ma nogi... nikt z nas nie młodnieje.

Major von Pasenow powiedział: – Honor to nie jest bezwład uczuć.

– Nie bardzo rozumiem, panie majorze – stwierdził komendant Kuhlenbeck.

Major patrzył w pustkę: – Ach, nic... wie pan... mój syn zginął pod Verdun... niedługo miałyby dwadzieścia osiem lat...

– Ale ma pan jeszcze rodzinę, panie majorze?

Major nie odpowiedział od razu; być może odczuł pytanie jako niedyskrecję. W końcu powiedział: – Tak, mam młodszego i dwie córki... chłopak... niedługo też pójdzie do wojska... trzeba oddać cesarzowi, co cesarskie... – zaciął się; potem podjął: – Widzicie panowie, że Bogu nie oddaje się, co boskie, to jest przyczyna zła.

Doktor Kuhlenbeck odparł: – Nawet człowiekowi nie oddaje się, co człowiecze... myślę, że od tego powinniśmy zacząć.

– Od Boga – powiedział major von Pasenow.

Kuhlenbeck zadarł głowę; jego czarnosiwa broda sterczała w powietrzu: – My, lekarze, jesteśmy nędznymi materialistami.

Major zaoponował łagodnie: – Nie powinien pan tak mówić.

Doktor Kessel też był innego zdania; prawdziwy lekarz zawsze jest idealistą. Kuhlenbeck zaśmiał się: – Racja, zapomniałem, że pan przyjmuje w kasie chorych.

Po chwili doktor Kessel powiedział: – Jak tylko będzie to jako tako możliwe, wracam do mojej muzyki kameralnej.

A major oznajmił, że jego żona też lubi muzykować. Zamyślił się na chwilę, po czym dodał: – Spohr, dobry kompozytor.

Odkąd rozeszła się wieść, że Gödicke się śmiał, jego współtowarzysze próbowali wszystkiego, żeby go znów pobudzić do śmiechu. Opowiadali mu najpięprniejsze dowcipy, a kiedy leżał w łóżku, rzadko się zdarzało, żeby ktoś z przechodzących pełen oczekiwania tym łóżkiem nie zakołysał. Ale to nic nie dawało. Gödicke nie śmiał się więcej. Milczał.

Aż któregoś dnia siostra Carla przyniosła kartkę z poczty polowej: – Gödicke, żona do pana napisała... – Gödicke ani się ruszył. – Przeczytam panu. – I siostra Carla przeczytała mu, że jego wierna żona długo już nie miała od niego żadnej wiadomości, że ona i dzieci czują się dobrze i że wszyscy oni mają nadzieję na jego rychły powrót. – Odpiszę w pana imieniu – powiedziała siostra Carla. Gödicke nie dał ani znaku zrozumienia i można byłoby sądzić, że faktycznie nic nie rozumiał. I prawdopodobnie udałoby mu się przed każdym obserwatorem ukryć burzę w swojej duszy, tę burzę, która zakotłowała cząstkami jego ja i jedną po drugiej prędko wyniosła na powierzchnię, aby równie prędko zanurzyć je z powrotem w ciemnych odmętach, udałoby mu się uśmierzyć i stopniowo powstrzymać burzę, gdyby w tym momencie nie przechodził obok największy wesolek na sali, dragon Josef Sattler, i nie uwiesił się, jak to zazwyczaj czynił, w nogach łóżka, aby nim trochę zakołysać. Wtedy rezerwista Gödicke wydał okrzyk nie będący bynajmniej śmiechem, którego po nim oczekiwano i do którego byłby właściwie zobowiązany, wydał okrzyk gniewny i ciężki, usiadł, bynajmniej nie tak powoli i mozolnie jak zwykle, wyrwał siostrze Carli kartkę z poczty polowej i podarł na strzępy. Potem opadł na posianie, bo szybki ruch wywołał boleści, i trzymał się za podbrzusze.

Leżał tak, patrzył w sufit i usiłował zaprowadzić w myślach jaki taki ład. Był przekonany, że postąpił słusznie; miał pełne prawo odeprzeć intruza. To, że tym intruzem była służąca Anna Lamprecht z trojgiem dzieci, wydawało się zupełnie obojętne i pewnie szybko pójdzie w zapomnienie. Wręcz cieszył się, że mężczyzną, który poślubił Annę Lamprecht, zdołał tak prędko uspokoić i odesłać za ciemną barierę – niech tam czeka, aż zostanie zawołany. Mimo to sprawa nie była zakończona: kto przyszedł raz, może przyjść ponownie, nawet nie wołany, a skoro otworzyło się jedne drzwi, to każde inne drzwi mogą rozewrzeć się same. Pełen lęku czuł, aczkolwiek nie potrafiłby tego sformułować, że każde wtargnięcie w jakąkolwiek część duszy odbijało się na wszystkich pozostałych częściach, ba, że wskutek tego wszystkie się zmieniały. Było to jakby huczenie w uszach, huczenie duszy, huczenie ja, które huczało tak mocno, że czuł to całym ciałem, ale było też tak, jakby człowiekowi wsunęli pod język knebel z ziemi, dławiący knebel, który odmieniał wszystkie myśli. A może też było inaczej, w każdym jednak razie człowiek czuł się wydany na pastwę czegoś przemożnego. Było tak, jak gdyby chciał rozsmarować zaprawę na warstwie cegieł, a zaprawa zastygała już na kielni. Było tak, jak gdyby podmajstrzy ponaglał do niestosownego i niemożliwego pośpiechu i kazał wciągać cegły na rusztowanie w szalonym tempie, tak że piętrzyły się i nie sposób było ich zużyć. Rusztowanie jak nic się zawali, jeśli dla położenia kresu takim praktykom nie uszkodzi się w porę ceglano-wyciągnika i betoniarki. Najlepiej byłoby, gdyby oczy na powrót zarosły i uszy na powrót zostały zatkane; niechby mężczyzna Gödicke nic nie widział, nic nie słyszał, niechby nic nie jadł. Gdyby nie miał teraz tak dotkliwych bólów, poszedłby do ogrodu i przyniósłby sobie garść ziemi, żeby pozatykać otwory. I podczas gdy trzymał się za obolałe podbrzusze, z którego wzięły kiedyś początek dzieci, podczas gdy przyciskał je dłońmi, jakby już nigdy nie miało prawa cokolwiek z niego wyjść, podczas gdy zaciskał zęby i sznurował usta, żeby nie wymknęło się z nich choćby westchnienie bólu, miał

wrażenie, że przybywa mu tak dużo sił, że te nowe siły potrafią wznosić rusztowanie coraz wyżej i coraz bardziej przejrzyste, że on sam jest wszechobecny na każdym piętrze i na każdym poziomie rusztowania i że w końcu stoi całkiem sam na najwyższym piętrze, na szczycie rusztowania, może stać, ma prawo stać, wolny od bólów i swobodny, śpiewając, jak dawniej zawsze śpiewał na górze. Pod nim pracują cieśle, walą młotkami, wbijają klamry, a on słuwa, jak dawniej zawsze słuwał, szerokim łukiem ponad nimi, a gdzie spada i rozbryzguje się ślina, tam wyrastają drzewa, które choć rosną i rosną, to jednak nie sięgają aż do niego.

Gdy przyszła siostra Carla z miednicą i ręcznikami, leżał spokojnie i równie spokojnie pozwolił owinać się kompresami. Znowu przez dwa dni odmawiał jedzenia i picia. A wkrótce potem nastąpiło zdarzenie, w trakcie którego zaczął mówić.

Historia dziewczyny z Armii Zbawienia w Berlinie (6)

Ku memu własnemu zdumieniu zacząłem znów zajmować się swoimi historycznofilozoficznymi pracami na temat rozpadu wartości. Chociaż prawie nie wychodziłem z domu, praca bardzo powoli posuwała się naprzód. Zachodził do mnie czasem Nuchem Sussin, przysiadł na szarych połach swego surduta. Nigdy go nie rozpiął; chyba nie pozwalał mu na to swego rodzaju wstyd. Często zadawałem sobie pytanie, jak ci ludzie mogą mieć zaufanie do doktora Litwaka, który swą krótką marynarką kpił z wszystkich ich zapatrywań. Aż wytłumaczyłem sobie, że laska, z którą paradował doktor Litwak, była swoistą rekompensatą za brak dłuższych okryć. Ale naturalnie jest to tylko przypuszczenie.

Długo nie można było się dowiedzieć, czego Sussin właściwie chciał. Siadając nie omieszkiał nigdy powiedzieć: – Pan łaskawie pozwoli – i po pauzie bezradnego milczenia wyłaniał się jakiś tam prawniczy problem: czy rząd jest uprawniony do konfiskowania jada i tłuszczów, które człowiek ma już w domu albo na talerzu, czy zasiłek, jaki dostają żony żołnierzy, mógłby być połączony z ubezpieczeniem na wypadek śmierci... nie wiedziało się właściwie, do czego on w ten sposób zmierza, wydawało się, że na los szczęścia łączy jakieś tam druciki, a jednak miało się wrażenie, iż wynikają z tego prawdziwe problemy albo iż w jego wnętrzu rozpościera się prawniczy krajobraz, do którego oglądania przez taką sztuczną i skomplikowaną lunetę zostało się zaproszonym.

Nawet kiedy brał książkę w rękę i przysuwał do krótkowzrocznych oczu, wydawało się, że wyczytuje zupełnie inne rzeczy. Miał bezmierny respekt dla książek, ale potrafił niepohamowanie śmiać się z jakiejś linijki u Kanta i był zdziwiony, jeśli mu nie wtórowałem. Nadzwyczaj dobrym dowcipem było na przykład zdanie znalezione u Hegla: „Zasadą czarów jest, że nie dostrzega się związku między środkiem a skutkiem”. Z pewnością miał mnie za nic, ponieważ nie umiałem przenikać rzeczy i ich komizmu tak jak on, i dziwnym trafem byłem skłonny przyznać mu właściwsze, chociaż bardziej skomplikowane rozumienie. Wszelako były to jedyne okazje, przy których widziałem, jak się śmieje.

A ponadto miał on pewien stosunek do muzyki. W moim pokoju wisi lutnia z wieloma bontami. Myślę, że należała do syna gospodyni; ten syn przebywał w niewoli albo zaginął. Za każdym razem Sussin wzywał mnie: – Niech pan zagra – i nie chciał mi wierzyć, że tego nie potrafię. Uważał mnie za zbyt wstydlivego. Ale w końcu docierał tą drogą do swego właściwego tematu: – Słyszał już pan, jak grają ci ludzie... ci w mundurach... bardzo pięknie.

Miał na myśli Armię Zbawienia i uśmiechał się ukradkiem, ponieważ to odgadłem. – Idę posłuchać dziś wieczorem. Pójdzie pan ze mną?

Radość Huguenau z gazety nie trwała długo, nie trwała nawet całego miesiąca. Czerwiec jeszcze się nie skończył, a Huguenau już miał dość. W pierwszym porywie udało mu się duża rzecz: odświętny numer z odświętnym artykułem; skoro jednak zaraz nie przyszło mu do głowy nic nowego, stracił ochotę. Było tak, jakby rzucił zabawkę do kąta; nie chciał już więcej. I choć być może kryto się za tym jasne zrozumienie, że z prowincjonalnego dziennika nie da się zrobić wielkiej gazety, to właściwie był tylko znudzony, nie chciał po prostu nic więcej wiedzieć i doskwierała mu realność gazetowej praktyki. O ile dawniej nigdy nie było dla niego ze wcześniej, żeby pójść do swojej firmy, o tyle teraz chętnie wylegiwał się w łóżku, przeciągał śniadanie ponad miarę i bardzo niechętnie ruszał w drogę do oficyny, ba, często zdarzało się nawet, że zachodził do kuchni, aby z panią Esch porozmawiać o cenach żywności. A gdy docierał wreszcie do biura redakcji, to przeważnie schodził niebawem z powrotem na dół i przemykał się do maszyny drukarskiej.

Margerita bawiła się w ogrodzie. Huguenau wołał do niej przez podwórze: – Margerito, jestem w drukarni.

Dziewczynka przybiegała i razem wchodzili do środka. ...ń dobry – powiedział krótko Huguenau, bo odkąd Lindner i pomocnik zecera stali się jego podwładnymi, usiłował zadawać się z nimi możliwie jak najkrócej. Obaj drukarze jednak nie przejmowali się tym zbytnio i on z kolei odnosił wrażenie, że ponieważ nie znał się zupełnie na maszynach, mieli go w dużej pogardzie. Teraz pracowali w zecerni i Huguenau, trzymając małą za rękę, starał się z miną fachowca zaglądać im przez ramię, ale odetchnął wyszedłszy z zecerni i znalazłszy się przy swojej maszynie drukarskiej.

Maszynę kochał nadal. Bo człowiek, który przez całe życie sprzedawał towary wytwarzane przez maszyny, dla którego jednak fabryki i właściciele maszyn to coś nadrzędnego i w gruncie rzeczy nieosiągalnego, taki człowiek z pewnością uzna to za szczególne przeżycie, kiedy sam stanie się nagle właścicielem maszyn, i być może wtedy wytwarza się w nim ów serdeczny stosunek do maszyny, jaki niemal zawsze spotyka się u chłopców i młodych ludów, stosunek, który maszynę heroizuje i rzutuje ją na wyższą, swobodniejszą płaszczyznę własnych pragnień i wielkich bohaterskich czynów. Chłopiec może godzinami oglądać lokomotywę na stacji, wielce uradowany, że ona przetacza wagony z jednego toru na drugi, i Wilhelm Huguenau mógł godzinami siedzieć przed swoją maszyną drukarską i poważnym, pustym chłopięcym spojrzeniem patrzeć na nią serdecznie, uszczęśliwiony bez reszty, że ona się rusza, połyka papier i wypluwa go z powrotem. A nadmiar miłości do tej żywej istoty wypełniał go tak dalece, że nie mogła w nim zakiełkować ambicja czy zgoła powstać próba zrozumienia kiedykolwiek tego niepojętego i cudownego działania maszyny; przyjmował ją, jaka była, z podziwem, czułością i niemal lękiem.

Margerita wdrapała się na bele papieru, a Huguenau siedział na stojącej tam ławce z nie heblowanego drewna. Spoglądał na maszynę, spoglądał na dziewczynkę. Maszyna była jego własnością, należała do niego, dziewczynka należała do Escha. Jakiś czas rzucali sobie zmięty arkusz papieru; potem Huguenau zmęczył się zabawą, założył nogę na nogę, przetarł okulary i powiedział: – Na ogłoszeniach dałoby się jeszcze coś wyciągnąć.

Dziewczynka bawiła się papierową kulą.

Huguenau kontynuował: – Nie wyobrażałem sobie, że będzie aż tak źle. Gazeta nie była tyle warta... bądź co bądź mamy drukarnię... ty przecież lubisz maszynę drukarską?

– Tak, bawmy się w maszynę drukarską, wujku Huguenau!

Margerita zgramoliła się ze swoich bel papieru i wdrapała mu się na kolana. Potem wzięli się za ramiona, miarowo pochyłali się i odchylali, i skandowali w takt: – Pum, pum.

Huguenau zahamował. Margerita nadal siedziała mu okrakiem na kolanach. Huguenau był lekko zadyszany: – Gazeta nie była tyle warta... jak dobrze pójdzie, to dociągniemy do czterystu egzemplarzy... ale jak damy dwie strony ogłoszeń, to ubijemy dobry interes i będziemy bogaci. Prawda, Margerito?

Margerita podskakiwała mu na kolanach i Huguenau wprawił ją w rozhuśtany kłus; mała śmiała się, bo jej słowa rwały się przez to i mieszały ze sobą: – Tak, będziesz bogaty, będziesz bogaty.

– Cieszy cię to, Margerito?

– Wtedy dasz mi dużo pieniędzy.

– Tak?

– Dużo pieniędzy.

– Wiesz, Margerito, weźmiemy facetów, żeby zbierali ogłoszenia... po wsiach... wszędzie. Za prowizję.

Mała poważnie skinęła głową.

– Ja to już sobie obmyślałem, zawiadomienia o ślubach, sprzedaży *et cetera, et cetera*... przynieś mi formularze od pana Lindnera – i zawołał w stronę zecerni: – Lindner, formularze ogłoszeniowe!

Mała pobiegła i przyniosła formularze.

– Widzisz, takie formularze damy akwizytorom... zobaczysz, jak to chwyci. – Ponownie wziął dziewczynkę na kolana i razem studiowali formularze. Potem Huguenau powiedział: – Więc chcesz im nawiać z pieniędzmi... dokąd się wybierzesz?

Margerita wzruszyła ramionami: – Gdzieś daleko.

Huguenau zastanowił się: – Przez Eifel dotrzesz do Belgii. Tam mieszkają dobrzy ludzie.

Margerita spytała: – Wybierzesz się ze mną?

– Może... może później, tak.

– Kiedy później?

Przytuliła się do niego, ale Huguenau powiedział nagle i szorstko: – Koniec – wziął ją i posadził na maszynie drukarskiej. Dziwnie wyraźnie stanął mu znów przed oczyma obraz owego mordercy, owego przykutego do pryczy gwałciciela dzieci, i ten obraz zaniepokoił go. – Wszystko w swoim czasie – powiedział i przyglądał się dziewczynce, która siedziała lekka i ruchliwa na masywnej, nieporuszonej maszynie, a mimo to jakoś do niej pasowała. Gdyby maszyna ruszyła, połknęłaby Margeritę, jak połykała papier, i Huguenau upewnił się, że pas napędowy został zdjęty jak należy. Nieomal lękliwie powtórzył: – Wszystko w swoim czasie, jeszcze przyjdzie pora... on tutaj nam i tak nie przeszkadza.

I zastanawiając się, na co jeszcze przyjdzie pora, przypomniał sobie, że ten Esch z końskimi zębami, że ten chudy, nieznośny nauczyciel nie dawał mu spokoju i powołując się na umowę raz po raz próbował wpakować mu redakcyjne prace – powołuje się na umowę i żąda, żeby on cały dzień siedział przy nim i pracował, prawdopodobnie zażąda jeszcze, żeby włożył niebieską bluzę. Obstawać przy swoim papierku to taki potrafi, ale pomysłów za grosz! I Huguenaua znowu wypełniła niezwykła błogość, jako że panu nauczycielowi jeszcze ani razu nie udało się zmusić go do pracy.

Składając formularze ogłoszeniowe powiedział: – My jeszcze panu nauczycielowi damy nauczkę – co, Margerito?

– Zdejmij mnie – powiedziała dziewczynka.

Huguenau podszedł do maszyny, ale gdy mała objęła go za szyję, stał chwilę w zamyśleniu, bo oto znalazł rozwiązanie: po kryjomu wysunął się przed nauczyciela; sam się przecież zaofiarował, że będzie kontrolować i śledzić tego podejrzanego człowieka, i major to zaaprobował! Huguenau miał wrażenie, że trafił tutaj jedynie po to, aby odnaleźć właściwy

cel życia, że życie spełni się całkowicie, kiedy uda się odsłonić bez reszty knowania pana Escha. Ano, tak to było i Huguenau serdecznie ucałował Margeritę w powalany drukarską czernią policzek.

A pan Esch siedział sobie na górze w redakcji, zadowolony, że może kontynuować swoją pracę i nie musi odstępować jej Huguenauowi. Bo na dobitkę był przekonany, że Huguenau nigdy nie potrafi poprowadzić gazety zgodnie z owymi wytycznymi, jakie wyznaczył jej major, i jego starania zmierzały do tego, by osiągnąć ten cel samemu, służąc w ten sposób majorowi i dobrej sprawie.

Doktor Flurschütz badał w sali operacyjnej kikut ręki Jaretzkiego: – Wygląda wspaniale... w najbliższych dniach szef pana wypisze... panu to przecież odpowiada... pojedzie pan do jakiegoś domu wypoczynkowego.

– Naturalnie, że mi odpowiada, najwyższy czas wyrwać się stąd.

– Mnie też się tak wydaje, w przeciwnym razie będziemy jeszcze musieli zatrzymać pana z delirium.

– A co można robić prócz pijaństwa... naprawdę przyzwyczyłem się do tego dopiero tutaj.

– Dawniej nigdy pan nie pił?

– Nie, nigdy... no cóż, troszeczkę, jak wszyscy... wie pan, byłem na politechnice w Brunshwiku... a pan gdzie robił doktorat?

– W Erlangen.

– No, to musiał pan wytrąbić swoje... po prostu taki jest uzus w małych miastach... a jak człowiek potem wysiaduje tak jak tutaj, to tamto samo wraca... – Flurschütz nadal gmerał przy kikutach... widzi pan, jedno parszywe miejsce ani rusz nie chce się zagoić... jak tam z moją protezą?

– Już zamówiona... bez protezy pana nie odeślemy.

– Dobra, ale niech pan się postara, żeby przyszła... gdyby nie miał pan tej pracy tutaj, też by pan wrócił do picia.

– Nie wiem... miałbym jeszcze to i owo do roboty... z książką doprawdy jeszcze nigdy się pana nie widziało, Jaretzki.

– Niech pan powie, ale uczciwie, naprawdę czyta pan tę kupę książek, które walają się w pańskim gabinecie?

– Tak.

– Dziwne... i ma to jakiś sens i cel?

– Najmniejszego.

– To się uspokoilem... wie pan, doktorze Flurschütz... tak, już się nie ruszam... wyekspediował pan już na tamten świat sporo ludzi, od tego pan przecież tu jest, ale kiedy się paru własnoręcznie zabiło... widzi pan, wtedy chyba przez całe życie nie potrzebuje się już brać książki do ręki... ja to tak odczuwam... już się wszystko załatwiło... dlatego też wojna się nie skończy...

– Śmiałe spekulacje, Jaretzki, co pan już dzisiaj wypił?

– Nic, jestem trzeźwy jak osesek...

– Już, gotowe... najdalej za dwa tygodnie przymierzemy protezę... właściwie powinien by pan wtedy pójść do takiej szkoły... chce pan przecież rysować...

– Owszem, czemu nie, tylko nie mogę sobie tego wyobrazić.

– A A.E.G.?

– Więc niech już będzie ta szkoła dla bezręcznych... czasami myślę sobie, że najzupełniej niepotrzebnie oberżnęliśmy mi łapę... zrobiliście to, że tak powiem, jedynie z poczucia sprawiedliwości, ponieważ ja wtedy szurnałem Francuzowi granatem między nogi... – Flurschütz uważnie popatrzył mu w oczy: – Wolnego, Jaretzki, niech pan się opamięta, coś niepokojącego się z panem dzieje... ile pan już dzisiaj naprawdę wydudlił?

– Nie ma o czym mówić... jestem wam wdzięczny za wasze poczucie sprawiedliwości, a operowaliście znakomicie... czuję się teraz dużo lepiej na tym świecie... cholernie dobrze i wszystko załatwione na cacy... a A.E.G. tylko na mnie czeka.

– Poważnie, Jarecki, powinien pan zacząć tam pracować.

– Ale żeby pan wiedział... dorwaliście się nie do tej ręki, co trzeba... tą tutaj – Jarecki uderzył dwoma palcami w szklany blat stolika z narzędziami – tą tutaj cisnąłem granat... prawdopodobnie dlatego nadal dynda mi się jak ołowiany ciężarek.

– To się jeszcze uładzi, Jarecki.

– I tak już wszystko jest uładzone.

Rozpad wartości (6)

W logice żołnierza mieści się ciskanie wrogowi granatu między nogi; w logice wojska w ogóle mieści się wykorzystywanie potencjału militarnego z najwyższą konsekwencją i radykalnością i jeśli zajdzie potrzeba, to wytopianie narodów, burzenie katedr, ostrzeliwanie szpitali i sal operacyjnych;

w logice specjalisty od gospodarki mieści się wykorzystywanie potencjału gospodarczego z najwyższą konsekwencją i bezwzględnością i, za sprawą niszczenia konkurencji, torowanie drogi własnemu podmiotowi gospodarczemu, czy to jest sklep, fabryka, koncern, czy jeszcze jakiś inny organizm gospodarczy, do wyłącznej dominacji;

w logice malarza mieści się realizowanie do końca zasad malarskich z najwyższą konsekwencją i radykalnością, bez oglądania się na niebezpieczeństwo, że powstanie dzieło całkowicie ezoteryczne, zrozumiałe już tylko dla twórcy;

w logice rewolucjonisty mieści się podsycanie rewolucyjnego zapалу z najwyższą konsekwencją i radykalnością aż do ustanowienia rewolucji jako takiej, jak w ogóle w logice człowieka zajmującego się polityką mieści się doprowadzenie celu politycznego do absolutnej dyktatury;

w logice mieszczańskiego kombinatora mieści się praktykowanie z bezwzględną konsekwencją i radykalnością hasła „bogaćcie się!”: w ten sposób, dzięki takiej bezwzględnej konsekwencji i radykalności, Zachód osiągnął światowy sukces – aby przez tę bezwzględność, która unicestwia samą siebie, doprowadzić go do absurdu: wojna to wojna, sztuka dla sztuki, w polityce nie ma skrupułów, interes to interes – wszystko to oznacza jedno i to samo, wszystko to nacechowane jest tą samą agresywną radykalnością, tą samą niesamowitą, chciałoby mi się wręcz powiedzieć: metafizyczną drapieżnością, ową zwróconą ku rzeczy i tylko ku rzeczy okrutną logicznością, która nie patrzy ani w prawo, ani w lewo – och, to wszystko to jest styl myślenia tych czasów!

Przed tą brutalną i agresywną logiką, która wyziera ze wszystkich wartości i antywartości tych czasów, nie można się ustrzec, nawet jeśli człowiek zaszyje się w samotności zamku albo żydowskiego mieszkania; jednakże ktoś, kto lęka się poznania, a więc romantyk, któremu idzie o jednolitość obrazu świata i wartości i który szuka upragnionego obrazu w przeszłości, nie bez powodu będzie spoglądał ku średniowieczu. Bo średniowiecze miało idealne centrum wartości, o które chodzi, miało najwyższą wartość, której były podporządkowane wszystkie inne wartości: wiarę w chrześcijańskiego Boga. Od tej centralnej wartości uzależniona była zarówno kosmogonia (mało tego, można ją było z owej wartości scholastycznie wydedukować), jak i sam człowiek, człowiek z całym swoim działaniem, stanowił część owego porządku świata, który był jedynie odbiciem eklezjastycznej hierarchii, zamkniętym w sobie i skończonym odzwierciedleniem wiecznej i nieskończonej harmonii. Dla średniowiecznego kupca nie istniała zasada „interes to interes”, walka konkurencyjna była w jego odczuciu czymś zakazanym, średniowieczny artysta nie znalazł sztuki dla sztuki, znał tylko służbę wierze, średniowieczna wojna jedynie wówczas rościła sobie prawo do bezwzględności, kiedy była prowadzona w służbie jedynej wartości bezwzględnej, w służbie wiary. Był to świat całościowy, oparty na wierze, finalny, nie kauzalny, świat, którego podstawę stanowił byt, nie stawanie się, a jego struktura społeczna, jego sztuka, jego spoiwo

społeczne, krótko mówiąc, jego cały układ wartości był podporządkowany obejmującej rozległe dziedziny życia wierze: wiara była punktem osiągalności, na którym kończył się każdy ciąg pytań, to ona przenikając logikę nadawała jej owo specyficzne zabarwienie i ową stylotwórczą siłę, która zaznacza się nie tylko jako styl myślenia, ale raz po raz, dopóki w ogóle żyje wiara, jako styl epoki.

Wszelako myślenie odważyło się na krok od monoteizmu ku abstrakcji i Bóg, w skończono-nieskończoności Trójcy widzialny i osobowy Bóg, stał się tym, którego imienia nie można już wymówić i którego nie można już zobrazować, wyniesiony i pogrążony w nieskończoną neutralność absolutu, zaginiony w okrutnym bycie, który już nie spoczywa, lecz jest nieosiągalny.

W mocy takiego przeobrażenia, spowodowanego radykalizowaniem, ba, można by chyba powiedzieć: rozpętanem tego, co logiczne, w tym przemieszczeniu punktu osiągalności na nową płaszczyznę nieskończoności, w tym usunięciu wiary z ziemskiego działania unicestwienia się oparcie bytu. Stylotwórcza siła w ziemskiej przestrzeni, jak się zdaje, przestała istnieć, a obok rozmachu Kantowskiego systemu i obok buchających płomieni rewolucji stoi wciąż jeszcze delikatne rokoko, stoi zdegenerowany natychmiast w *biedermeiera empire*. Bo aczkolwiek *empire* i krótko po nim romantyzm dostrzegły dysonans między duchowym przeobrażeniem a ziemsko-przestrzennymi formami wyrazu, aczkolwiek ich zwrócone wstecz spojrzenie przywoływało na ratunek również antyk i gotyk, procesu zmian nie dało się już powstrzymać; wobec rozkładu bytu sprowadzonego do czystej funkcjonalności, wobec rozkładu nawet fizykalnego obrazu świata, rozkładu do takiego stopnia abstrakcyjności, że po dwóch pokoleniach można go było zgoła pozbawić przestrzeni, decyzja na rzecz czystej abstrakcji już zapadła. A w obliczu nieskończenia dalekiego punktu, do którego nieosiągalnie noumenalnej dali musi teraz zdążać każdy ciąg pytań i osiągalnych wyjaśnień, powiązanie poszczególnych dziedzin wartości z wartością centralną stało się raptem niemożliwe; abstrakcja przenika bezlitośnie logikę każdego z osobna tworzenia wartości, a odsłaniając treści nie tylko nie pozwala na jakiegokolwiek odchylenie od funkcjonalnej formy, czy to funkcjonalnej formy budowania, czy jakiejś innej czynności, ale radykalizuje poszczególne dziedziny wartości do tego stopnia, że te, zdane na siebie i odniesione do absolutu, rozdzielają się, występują paralelnie i, niezdolne do stworzenia wspólnego układu, stają się równoprawne – niczym obcy stoją obok siebie, ekonomiczna dziedzina wartości „robienia interesów samych w sobie” obok artystycznej dziedziny sztuki dla sztuki, militarna dziedzina wartości obok technicznej czy sportowej, każda autonomiczna, każda „sama w sobie”, każda „rozpętana” w swej autonomii, każda usiłuje z całą radykalnością swojej logiki wyciągnąć ostateczne konsekwencje i pobić własne rekordy. I biada, jeśli w tym konflikcie dziedzin wartości, które jeszcze utrzymują równowagę, jedna uzyska przewagę, wyrośnie ponad wszystkie inne wartości, wyrośnie jak wojskowość teraz na wojnie albo jak ekonomiczny obraz świata, któremu podlega nawet wojna – biada! bo opanuje świat, opanuje wszystkie inne wartości i wypleni je jak rój szarańczy, który spada na pole.

Człowiek zaś, człowiek, niegdyś obraz i podobieństwo Boga, zwierciadło wartości świata, której był nosicielem, już nim nie jest; choćby zachował jeszcze jakieś poczucie dawnego bezpieczeństwa, choćby zadawał sobie pytanie, jaka to nadrzędna logika przekreśliła mu sens, człowiek wypchnięty w przerażającą nieskończoność, choćby dreszcz go przechodził, choćby pełen był romantyzmu i sentymentu i tęsknił za ostoją w wierze, będzie bezradny w trybach usamodzielnionych wartości i nie pozostanie mu nic innego jak poddać się pojedynczej wartości, która stała się jego zawodem, nie pozostaje mu nic innego jak stać się funkcją tej wartości – zawodowcem, pożarty przez radykalną logiczność wartości, w której pazury się dostał.

Huguenau umówił się z panią Esch, że będzie jadał u niej obiady. Było to pod każdym względem sensowne i pani Esch bardzo się starała, to trzeba jej było przyznać.

Przyszedłszy któregoś dnia na obiad zastał Escha przy nakrytym stole, zatopionego w lekturze czarno oprawionej książki. Ciekawie zajrzał mu przez ramię i poznał biblijne drzeworyty. Ponieważ mało kiedy dziwił się czemuś, chyba że ktoś zdołał w interesach wystrychnąć go na dudka, co jednak zdarzało się dość rzadko, powiedział tylko: – Aha – i czekał, aż obiad zostanie podany.

Pani Esch przechodziła przez pokój szerokobiodra, nieatrakcyjna i bezpłciowa; jej jakoś tam jasne włosy były niestarannie upięte w kok. Ale po drodze zniecka i niepotrzebnie dotykała twardych pleców męża i Huguenau odniósł nagle wrażenie, że potrafi ona co noc korzystać w pełni ze swoich małżeńskich praw. Była to dla niego myśl nieprzyjemna, toteż odezwał się: – No, Esch, wybiera się pan do klasztoru?

Esch podniósł wzrok znad książki: – Nasuwa się pytanie, czy wolno uciekać – i dodał z właściwym sobie grubiaństwem: – ale pan tego nie rozumiesz.

Pani Esch wniosła zupę i Huguenau nie odstępowała owa nieprzyjemna myśl. Ci dwoje żyją bez dzieci jak para kochanków, pewnie dlatego chcą adoptować małą Margeritę, żeby to zamaskować. Właściwie to on siedzi na miejscu, które powinien byłby zajmować syn. Prostudusznie powrócił więc do rzuconego żartu i oznajmił pani Esch, że jej mąż wstępuje do klasztoru. Na co pani Esch zapytała, czy to prawda, że we wszystkich klasztorach między panami zakonnikami panują nieobyczajne stosunki.

I zaśmiała się wyobrażając sobie te sprośności. Potem jednak powoli i podejrzliwie zwróciła oczy na męża:

– Po tobie wszystkiego można się spodziewać.

Panu Eschowi najwidoczniej zrobiło się przykro; Huguenau zauważył, jak poczerwieniał i gniewnie odpowiedział na jej spojrzenie. Ale starając się nie stracić wobec kobiety fasonu, ba, zaimponować jej, Esch oświadczył, że w końcu to jest tylko kwestia przyzwyczajenia, a zresztą powszechnie wiadomo, że w życiu zakonnym wcale nie musi się być pedałem, a on uważa, że również w życiu zakonnym pozostałby normalnym mężczyzną.

Pani Esch zupełnie spoważniała i zeszywniała. Machinalnie przesunęła ręką po włosach i w końcu powiedziała: – Smakuje panu, panie Huguenau?

– Wybornie – odparł Huguenau i zajadał zupę.

– Zje pan jeszcze talerz? – Pani Esch westchnęła. – I tak nie mam już na dzisiaj nic specjalnego, tylko placek kukurydziany.

Z zadowoleniem kiwnęła głową, gdy Huguenau dał sobie jeszcze raz napełnić talerz. On tymczasem trzymał się swojego tematu: prawdopodobnie panu Eschowi sprzykrzył się już wojenny wikt; w klasztorze nie ma kartek na mięso i na mąkę, tam jeszcze żyje się jak w czasach największego pokoju; przy ziemskich posiadłościach klechów nie ma się czemu dziwić. Tam jeszcze można sobie napchać brzuch. Jak był w Maulbronn, to jeden z pracowników klasztoru opowiadał...

Esch przerwał mu: kiedy świat stanie się znów prawdziwie wolny, nie będzie musiał wcinać więziennego żarcia...

– Kapusty i brukwi – wtrąciła pani Esch.

– Badyli – dorzucił Huguenau. – Co pan nazywa prawdziwie wolnym?

Esch odparł: – Wolność chrześcijanina.

– A niech tam – rzekł Huguenau. Chciałbym wiedzieć, jak to się ma do badyli.

Esch sięgnął do Biblii: – Mój dom jest domem modlitwy; a wy uczyniliście z niego jaskinię morderców.

– Hm, mordercy dostają badyli – zaśmiał się szyderczo Huguenau; potem spoważniał: – Zatem uważa pan, że wojna to swego rodzaju mord, mord rabunkowy, jak mówią specjaliści.

Esch nie zwracał na niego uwagi; wertował książkę: – Dalej w Kronikach... księga druga... rozdział szósty, wiersz ósmy... jest napisane: Ponieważ było wolą twoją, żeby zbudować dom imieniu memu, dobrześ wprowadzić uczynił, żeś miał taką wolę, ale nie ty zbudujesz ten dom, ale syn twój, który wynijdzie z biodr twoich, on zbuduje dom imieniu memu. – Esch poczerwieniał. – To bardzo ważne.

– Możliwe – powiedział Huguenau. – Dlaczego?

– Mord i kontrmord... wielu musi się poświęcić, ażeby narodził się wybawiciel, syn, który będzie miał prawo zbudować dom.

Huguenau spytał ostrożnie: – Ma pan na myśli państwo przyszłości?

– Same związki zawodowe nie wystarczą.

– Aha... to też jest w artykule majora?

– Nie, to jest w Biblii, tylko jeszcze nikt się tego nie doczytał.

Huguenau pogroził Eschowi palcem: – Z pana to szczwany lis, Esch... i pan wierzy, że ten stary, major, nie spostrzeże pańskich machinacji z Biblią?

– Czego?

– No, tej komunistycznej propagandy.

Esch wyszczerzył w uśmiechu żółte, mocne zęby: – Pan jesteś idiota.

– Łatwo być grubianinem... jak pan widzi to swoje państwo przyszłości?

Esch zamyślił się głęboko: – Przecież panu nic nie można wytłumaczyć... ale jedno daj pan sobie powiedzieć: kiedy ludzie na nowo nauczą się czytać Biblię, to wtedy już nie trzeba komunizmu i socjalizmu... tak jak nie będzie już republiki francuskiej czy niemieckiego cesarza.

– No, to jednak mamy rewolucję... niech pan to powie majorowi.

– Spokojnie mu powiem.

– Bardzo się ucieszy... i co będzie potem, jak już pan skasuje cesarza?

Esch powiedział: – Panowanie wybawiciela nad wszystkimi ludźmi.

Huguenau mrugnął do pani Esch: – A więc pańskiego syna?

Esch również popatrzył na żonę; zdawał się przestraszony: – Mojego syna?

– Jesteśmy bezdzietni – powiedziała pani Esch.

– Przecież mówił pan, że to pański syn zbuduje dom – zaśmiał się drwiąco Huguenau.

Ale tego już było Eschowi za wiele: – Panie, bluźnisz pan... jesteś pan taki głupi, że bluźnisz pan albo przekręcasz cudze słowa...

– On wcale tak źle nie myśli – uspokajała pani Esch. – Jedzenie całkiem wystygnie przez te wasze kłótnie.

Esch zamilkł i pozwolił nałożyć sobie kukurydzianego placka.

– Ja już nieraz siadałem do stołu z milkliwym proboszczem – powiedział Huguenau.

Esch nadal się nie odzywał i Huguenau znowu zaczął: – Więc jak to jest z tym panowaniem wybawiciela?

Pani Esch miała oczy pełne oczekiwania: – Powiedz mu.

– Symbol – burknął Esch.

– Ciekawe – powiedział Huguenau – i to będą klechy?

– Boże święty, żeby to zaraz... pana czegoś nauczyć to beznadziejne zadanie... nigdy jeszcze pan nie słyszał o panowaniu Kościoła... i takie coś chce być wydawcą gazety!

Huguenau ze swej strony był szczerze oburzony: – Tak zatem wygląda pański komunizm... jeśli naprawdę tak wygląda... wszystko chce pan podsunąć klechom. Dlatego

wybiera się pan do klasztoru... żeby klechom jeszcze tłściej się żyło... dla nas nie będzie nawet badyli... ciężko zarobione pieniądze chce wpakować tej ferajnie... nie, to ja naprawdę wolę swój uczciwy interes od pańskiego komunizmu.

– Do diabła, no to idź pan załatwiać swój interes, ale jak pan niczego nie chcesz się nauczyć, to przy swoich ograniczonych – tak, mówię: ograniczonych! – poglądach nie napieraj się pan na wydawanie gazety. To rzeczy nie do pogodzenia!

Na to Huguenau wyrąbał prosto z mostu, że mogą się cieszyć, iż znaleźli jego; bo przy takiej akwizycji ogłoszeń, jaką uprawiał niejaki pan Esch „Goniec”, można to sobie wyliczyć na palcach, upadłby w ciągu roku. I z nadzieją mrugnął do pani Esch, przypuszczając, że ona go poprze na tym praktycznym polu. Jednakże pani Esch sprzątnęła placek kukurydziany ze stołu i była nastrojona łagodnie: Huguenau znów musiał z dezaprobatą odnotować, że położyła dłoń na ramieniu małżonka, nie słuchała, co się mówi, tylko stwierdziła, że są rzeczy, które takim jak my, panu, drogi panie Huguenau, i mnie, nie jest tak łatwo sobie przyswoić. A Esch, teatralnie wstając od stołu, zamknął dyskusję: – Musisz pan się uczyć, młody człowieku, musisz pan się uczyć otwierać oczy.

Huguenau opuścił pokój. Klesza gadanina, pomyślał. *Hâissez les ennemis de la sainte religion*. Tak, *merde*, fanfarony, on był już gotów nienawidzić, ale nie da sobie narzucać, kogo ma nienawidzić. *D’ailleurs je m’en fous*. Szczęk zmywanych talerzy i mdły zapach kuchennych popłuczyn towarzyszyły mu na drewnianych schodach i przypominały osobiwie wyraźnie dom rodzinny i matkę w kuchni.

W kilka dni później z pióra Huguenaua spłynęło następujące pismo:

*Jaśnie Wielmożny
Pan Komendant Miasta
Major Joachim von Pasenow*

wm.

Dot. tajny raport nr 1

Jaśnie Wielmożny Panie Majorze!

Powołując się uprz. na odn. rozmowę, jaką miałem zaszczyt odbyć, pozwalam sobie uprz. zawiadomić, że wczoraj miałem spotkanie ze wzmiankowanym panem Eschem i kilkoma osobnikami. Jak wiadomo, pan Esch kilka razy w tygodniu spotyka się z elementami wywrotowymi w gospodzie „Palatynat” i wczoraj tenże zaprosił mnie łask., żebym z nim poszedł. Prócz majstra z papierni, niejakiego Liebla, znajdował się tamże robotnik ze wspomnianej fabryki, którego nazwiska na skutek umyślnie niewyraźnej wymowy nie zrozumiałem, dalej dwaj pacjenci szpitala wojskowego, którzy mieli wychodne, a mian. kapral nazwiskiem Bauer i kanonier polskiego nazwiska. Trochę później przyszedł jeszcze ochotnik z oddziału miotaczy min. Nazywa się Betger, Betzger czy coś w tym rodzaju, a wzmiankowany E. tytułował go panem doktorem. Nawet nie trzeba było zachęty z mojej strony, żeby skierować rozmowę na wydarzenia wojenne, i mówiło się przede wszystkim o możliwym końcu wojny. W szczególności wspomniany wyżej ochotnik utrzymywał, że sprawa zmierza do końca, ponieważ Austriakom już się nie chce. Od ludzi z przejeżdżającego pociągu pancernego naszych sprzymierzeńców słyszał, że największa fabryka prochu pod Wiedniem wyleciała w powietrze wskutek włoskiego nalotu bądź zdrady i że flota austriacka po wymordowaniu jej oficerów przeszła na stronę wroga, a to z kolei zostało udaremnione dopiero przez niemieckie łodzie podwodne. Kanonier powiedział na to, że nie może w coś takiego uwierzyć, bo niemieccy marynarze też już nie chcą walczyć. Kiedy go zapytałem, skąd to wie, odrzekł, że od dziewczyny z otwartego tutaj domu publicznego, u której był na urlopie płatnik z marynarki. Po sławnej bitwie pod Skagerrakiem, opowiada ona albo płatnik, albo kanonier, marynarze odmawiali dalszej służby, a wyżywienie załóg też jest niestrawne. Zatem wszyscy się zgodzili, że trzeba skończyć. Majster podkreślał, że wojna nikomu nie przynosi korzyści z wyjątkiem wielkiego kapitału i że Rosjanie pierwsi to zauważyli. Ti wywrotowe idee prezentował także E., który powoływał się przy tym na Biblię, ale na podstawie moich doświadczeń z panem E. sędzę, iż mogę z całą pewnością powiedzieć, że on dąży w ten sposób do obłudnych celów i że majątki kościelne są mu solą w oku. Najwidoczniej dla zamaskowania przygotowywanego spisku zaproponował utworzenie towarzystwa biblijnego, co jednak wywołało drwiny większości obecnych. Skoro obaj pacjenci szpitala i robotnicy z papierni poszli sobie, żeby dowiedzieć się czegoś więcej z jednej strony o E., z drugiej o płatniku, zaproponowałem pójście do domu publicznego. Więcej informacji na temat płatnika nie zdołałem tam co prawda uzyskać, natomiast zachowanie pana E. stawało się dla mnie coraz bardziej podejrzane. Doktor, który w tym domu jest niewątpliwie stałym bywalcem, przedstawił mnie bowiem słowami: to jest pan z rządu, musicie mu to zrobić za darmo, z czego mogłem wywnioskować, że E. powziął wobec

mnie określone podejrzenie i zalecił swoim współpracownikom ostrożność w stosunku do mojej osoby. Nie zdołałem więc nakłonić pana E. do wyjścia ze swojej rezerwy i chociaż na moje zaproszenie i mój koszt bardzo dużo wypił, mimo namów nie uległ pokusie odwiedzenia pokoju, lecz pozostał na oko całkowicie trzeźwy, który to stan wykorzystał do wygłaszania w salonie hałaśliwych mów o niechrześcijańskości i zdrożności w tego rodzaju przybytkach. Dopiero gdy ochotnik i doktor uświadomił mu, że te domy ze względów sanitarnych cieszą się poparciem władz wojskowych, a więc należy je szanować jako instytucje wojskowe, poniechał swoich opozycyjnych wypowiedzi, które wszakże podjął na nowo w drodze powrotnej.

Na tym kończąc na dzisiaj kreślę się z najwyższym szacunkiem i polecam się gotów do dalszych usług

pełen poważania Wilh. Huguenau

PS. Pozwalam sobie dodać w uzup., że w trakcie posiedzenia w gospodzie Palatynat” pan Esch wspomniął, iż w tutejszym więzieniu przebywa jeden czy też kilku dezertersów, którzy mają być rozstrzelani. W związku z tym wyrażono reprezentowaną również przez niego Opinię, że nie ma sensu teraz, przed końcem wojny, na który ci ludzie z pewnością liczą, rozstrzeliwać jeszcze dezertersów, ponieważ i tak dosyć przelano krwi. Pan Esch stwierdził, że należy podjąć odpow. akcję. Czy miał na myśli wystąpienie zbrojne, czy jakieś inne, tego nie powiedział. Chciałbym jeszcze raz uniż. podkreślić, że wspomnianego E. uważam za wilka w owczej skórze, który ukrywa swój drapieżny charakter za pobożnymi rozmowami. Raz jeszcze polecając się pełen szacunku

ww.

Po ukończeniu raportu Huguenau spojrzął w lustro i sprawdził, czy wychodzi mu podobnie ironiczna mina, jaka już tyle razy drażniła go u Escha. Tak, liścik był majstersztykiem; czuł zadowolenie z przypięcia łątki Eschowi i ta przyjemna myśl tak bardzo go poruszała, że wyobraził sobie uciechę, jaką odczuje major otrzymując dokument. Zastanawiał się, czy ma go doręczyć osobiście, ale potem wydało mu się bardziej stosowne, żeby raport dotarł do rąk majora wraz z urzędową korespondencją. Nadał więc list polecony, wypisawszy uprzednio na kopercie dużymi literami trzykrotnie podkreślone słowa: „do rąk własnych”.

Cóż, Huguenau się pomylił; major wcale się nie ucieszył znalazłszy list wśród papierów na swoim biurku.

Był to ponury, burzowy ranek, deszcz spływał po szybach okien biura, a powietrze pachniało siarką albo sadzą. Coś brzydkiego i brutalnego kryło się za tym listem, coś utajonego, a choć major nie wiedział, nie miał obowiązku wiedzieć, że brutalność i gwałt zawsze wchodzi w grę, kiedy ktoś podejmuje próbę połączenia własnej rzeczywistości z rzeczywistością drugiego i wdarcia się w tę rzeczywistość, to jednak przyszły mu na myśl słowa „zmory nocne” i miał wrażenie, że musi bronić się, musi bronić żony i dzieci przed czymś, co nie było jego światem, lecz bagnem. Z ociąganiem sięgnął jeszcze raz po list; w gruncie rzeczy nie można było nic zarzucić człowiekowi, którego brutalność była niejako niedostrzegalna, który jedynie spełnił patriotyczny obowiązek i złożył doniesienie, a jeśli doszło do tego na podstawie wstrętnych, niehonorowych praktyk szpicla, to nie wolno było obciążać tym niewykształconego człowieka. Ale ponieważ wszystko to było właściwie niepojęte, nie do ogarnięcia, major czuł tylko zawstydzenie, że obdarzył zaufaniem człowieka niższego duchowego gatunku, i twarz pod białymi włosami ze wstydu jeszcze bardziej poczerwieniała. Niemniej jednak komendant miasta nie miał podstaw, by uważać, iż wolno mu dokument wyrzucić po prostu do kosza, nakazem służbowego obowiązku było raczej dalsze obserwowanie podejrzanego z umiarkowaną nieufnością, poniekąd podążanie za nim z

daleka, aby zapobiec ewentualnemu nieszczęściu, jakie mogłoby – kto wie? – grozić ojczyźnie ze strony pana Escha.

Komendant lazaretu Kuhlenbeck rozmawiał telefonicznie z doktorem Kesselem: – Kolego, może pan dzisiaj o trzeciej przyjść na operację? Drobne usunięcie kuli...

Doktor Kessel odparł, że chyba nie da rady, tak mało ma czasu.

– Zwykle wycięcie kuli to dla pana pewnie za łatwe, dla mnie też... ale trzeba poprzestawać na małym... co prawda na dłuższą metę to żadne życie, żadna praca, ja też się przeniosę... ale dzisiaj nic z tego... rozkazuję panu przyjechać, posyłam auto, uwiniemy się w pół godziny.

Kuhlenbeck odłożył słuchawkę. Zaśmiał się: – No, dwie godziny ma z głowy.

Flurschütz siedział obok: – I tak się dziwiłem, że ściąga pan Kessela z powodu takiego drobiazgu.

– Poczciwy Kessel coraz to przychodzi mi do głowy. Ślepą kiszkę Kneesego zaraz obkoczemy.

– Naprawdę chce go pan operować?

– Czemu nie? Chłopu należy się jakaś przyjemność... mnie także.

– A on chce się operować?

– Eee, Flurschütz, teraz to pan jest tak samo naiwny jak nasz stary Kessel. Czy ja kiedykolwiek któregoś pytałem? A potem wszyscy byli wdzięczni. A cztery tygodnie zwolnienia lekarskiego, które każdemu załatwiam... no, widzi pan.

Flurschütz chciał coś powiedzieć. Kuhlenbeck powstrzymał go gestem: – Ach, niech mi pan da spokój ze swoimi teoriami na temat wydzielenia... drogi przyjacielu, kiedy mogę zajrzeć do brzucha, niepotrzebne mi żadne teorie... niech pan weźmie ze mnie przykład i zostanie chirurgiem... to jedyna możliwość, żeby pozostać młodym.

– I całą moją pracę nad gruczołami mam zawiesić na kołku?

– Niech pan spokojnie zawiesi... Już pan operuje całkiem gracko.

– Z Jaretkim trzeba coś zrobić, panie komendancie... facet jest wykończony.

– Spróbujmy trepanacji.

– Pan go już spisał na straty... a on ze swoimi nerwami wymaga specjalistycznego leczenia.

– Zgłosiłem go do Kreuznach, tam stanie na nogi... Co z was za pokolenie! Troszkę picia i już się załamujecie i trzeba was leczyć na nerwy... Ordynans!

Ordynans pojawił się w drzwiach.

– Powiedźcie siostrze Carli, że o trzeciej będziemy operować... no i że Marwitz z drugiej sali i Kneese z trójki nie dostają dzisiaj nic do jedzenia... to tyle... niech pan powie, Flurschütz, właściwie biedny Kessel nie byłby nam wcale potrzebny, śpiewając zrobimy to sami... Kessel tak czy owak tego nie docenia, skarży się tylko, że go nogi bolą; to istny sadyzm z mojej strony, że go ściągam na siłę... no, co pan myśli, Flurschütz?

– Za pozwoleniem, panie komendancie, ze mną to jeszcze obleci, ale długo już tak nie potrwa... a potem nie będzie już możliwe odkomenderowanie medycyny po prostu do operowania.

– Niesubordynacja, Flurschütz?

– Tylko teoretyczna, panie komendancie... nie, ja sądzę, że w niezbyt dalekiej przyszłości medycyna tak dalece się wyspecjalizuje, że konsylium między internistą a chirurgiem czy dermatologiem nie da w ogóle żadnego rezultatu, ponieważ nie będzie już żadnego sposobu porozumienia między specjalnościami.

– Błąd, wielki błąd, Flurschütz, niedługo będą w ogóle już tylko chirurdzy... to jedyne, co pozostanie z całej tej nędznej medycyny... człowiek jest rzeźnikiem i zawsze będzie rzeźnikiem, nie zna się na niczym innym... ale na tym zna się na sto dwa. – I doktor Kuhlenbeck przyjrzał się swoim dużym, zręcznym, owłosionym dłoniom z bardzo krótko obciętyimi paznokciami.

Potem powiedział w zamyśleniu: – Wie pan, kto się z tym faktem nie pogodzi, ten rzeczywiście może oszaleć... trzeba brać rzeczy, jakimi są, i mieć z nich frajdę... a zatem, Flurschütz, niech pan posłucha rady, niech pan się przerwuci na chirurgię.

O każdą belę papieru, którą chciało się sprowadzić, trzeba było się bić i chociaż Esch miał w ręku urzędowy przydział na nakład „Gońca Elektorskiego”, musiał co tydzień bywać w papierni. I prawie za każdym razem dochodziło do awantury ze starym panem Kellerem albo z kierownikiem zakładu.

Było akurat po pracy, gdy Esch opuścił papiernię. Na ulicy dogonił majstra Liebla i maszynistę Fendricha. Właściwie nie lubił Liebla, tego jasnego blondyna z wielką głową i grubą żyłą na czole. Powiedział: ...bry wieczór.

...bry wieczór, Esch, namodlił się pan ze starym?

Esch nie zrozumiał.

– No, żeby dostarczył panu papier.

– Głupie żarty – obruszył się Esch.

Fendrich przystanął, pokazał dziurawe podeszwy swoich butów: – To kosztuje sześć marek... tyle ma się z tego, że płace rosną.

Dla Escha był to punkt zaczepienia: – Samymi płacami nie załatwi się sprawy, to błąd wszystkich związków zawodowych.

– Jak to jest, Esch, chce pan buciska Fendricha łątać Biblikiem... – i odkrył: – Bibliisko, bucisko, to się rymuje.

– Głupie żarty – powtórzył Esch.

Żrenice Fendricha błyszczały ciemno w rozgorączkowanych oczach; był suchotnikiem i dostawał za mało mleka. Powiedział: – Może wiara to też luksus, na który mogą sobie pozwolić tylko bogaci.

Liebel dorzucił: – Majorowie i wydawcy gazet.

Esch powiedział, jakby się usprawiedliwiając: – Ja w gazecie też jestem tylko pracownikiem – ale potem wybuchnął: – W ogóle to bzdura, jak gdyby związki zawodowe składały śluby ubóstwa!

Fendrich zauważył: – Byłoby wspaniale, gdyby człowiek potrafił wierzyć.

Esch oznajmił: – Ja coś odkryłem: również wiara musi się odnawiać, również dla niej musi nadejść nowe życie... w Biblii jest napisane, że dopiero syn zbuduje dom.

Liebel stwierdził: – Naturalnie następne pokolenie będzie miało lepiej, to żadna nowość... ja nie mogę wyżyć ze swoich stu czterdziestu marek, nawet jeśli doliczyć premie produkcyjne... stary tego nie rozumie... a jestem poniekąd majstrem.

– Ja też nie mam więcej – powiedział Esch – i to nawet doliczywszy dom... mam dwóch lokatorów, od których przez przyzwoitość nie mogę żądać czynszu, bieda z nędzą... konto budynku jest obciążone.

Wieczorny wiatr przybrał na sile. Fendrich kaszłał.

Liebel rzucił: – No cóż.

Esch przyznał się: – Byłem już u proboszcza...

– Po co?

– Przez ten fragment z Biblii, idiota nawet nie słuchał... głądził coś o modlitwie i Kościele i to było wszystko. Głupi klecha... człowiek musi pomagać sobie sam.

– Tak – zgodził się Fendrich – człowiekowi nikt nie pomoże.

Liebel powiedział: – Jak ludzie trzymają się razem, to sobie nawzajem pomagają... to jest zaleta związków zawodowych.

– Doktor jest zdania, że powinienem wyjechać w góry, już dziesięć razy składał wnioski w kasie chorych... ale kto nie przychodzi z frontu, ten może teraz czekać, a ja kaszlę coraz gorzej.

Esch przybrał swoją ironiczną minę: – Ze związkami i kasami chorych nie zajdziecie panowie dużo dalej niż ja z tym klechą...

– Zdychać trzeba w pojedynkę – stwierdził Fendrich i zakaszłał.

Liebel zapytał: – Czego pan właściwie chce?

Esch zastanowił się: – Dawniej uważałem, że wystarczy po prostu wyjechać... do Ameryki... statkiem przez wielkie morze... żeby można było zacząć nowe życie... ale teraz...

Liebel czekał na ciąg dalszy: – A teraz?

Ale Esch oznajmił zniechęcająco: – Może protestanci są w lepszej sytuacji... major też jest protestantem... ale najpierw trzeba to samemu przemyśleć... trzeba by usiąść razem i czytać Biblię, żeby sobie wyrobić pogląd... jak człowiek jest sam, to ciągle ma wątpliwości, choćby myślał i myślał bez ustanku.

– Jak się ma przyjaciół, to jest łatwiej – powiedział Fendrich.

– Niech pan przyjdzie do mnie – zaproponował Esch – pokażę panu to miejsce w Biblii.

– Dobrze – powiedział Fendrich.

– A co z panem, Liebel? – czuł się w obowiązku zapytać Esch.

– Najpierw wy musicie mi opowiedzieć, coście wspólnie wykombinowali.

Fendrich westchnął: – Każdy patrzy tylko własnymi oczami.

Liebel roześmiał się i odszedł.

– On jeszcze przyjdzie – powiedział Esch.

Historia dziewczyny z Armii Zbawienia w Berlinie (7)

Niewiele zapamiętałem z owego wieczoru, kiedy to towarzyszyłem Nuchemowi Sussinowi do Armii Zbawienia. Byłem zaprzątnięty ważniejszymi sprawami. Można działalność filozoficzną oceniać, jak się chce, ale czyni ona świat zewnętrzny niepozornym i mniej godnym uwagi. A poza tym rzeczy najbardziej godne uwagi też są niepozorne, dopóki się je przeżywa. Krótko mówiąc przypominam sobie, jak Nuchem Sussin kroczył u mego boku, w swoim zapiętym pod szyję, szarym surducie, w o wiele za krótkich i stąd trzepoczących spodniach oraz w o wiele za małym, śmiesznym aksamitnym kapeluszu. Wszyscy ci Żydzi, o ile nie nakrywają głów tymi swoimi czarnymi czapkami z daszkiem, noszą te za małe aksamitne kapelusze, nawet modny skądinąd doktor Litwak, i nie mogłem powstrzymać się od obcesowego pytania, skąd Nuchem sprowadził sobie taki kapelusz. – Jakoś się dostaje – brzmiała odpowiedź.

W dodatku owe zdarzenia nie były warte wzmianki. Pozorów ważności nabrały dopiero przez doktora Litwaka, który wczoraj był u mnie. Ma on niemiły zwyczaj wdzierania się po prostu; przy okazji mojej tak zwanej choroby też się tak wdarł. Stał zatem przede mną, leżącym na szezłagu, miał nieodzowną laskę w ręce i śmieszny mały aksamitny kapelusz na głowie. To znaczy kapelusz wcale nie był taki mały, miał szerokie rondo, ale siedział za wysoko, nie zakrywał czaszki. Nawiasem mówiąc uderzyło mnie, że doktor Litwak w młodości też musiał mieć mleczną cerę. Teraz przypominała ona nieskazitelnie żółtą śmietaną.

– Pan mi będzie mógł powiedzieć, co jest z Sussinem.

Odrzekłem, ponieważ to odpowiadało prawdzie: – To mój przyjaciel.

– Przyjaciel, pięknie... – doktor Litwak przyciągnął sobie krzesło ... ludzie są zaniepokojeni, posłali po mnie... pan rozumie?

W gruncie rzeczy nie miałem żadnego obowiązku rozumieć go, ale chciałem skrócić procedurę: – On ma prawo chodzić, dokąd zechce.

– No, kto ma prawo, kto nie ma prawa... przecież nie robię panu zarzutu... ale po co on włóczy się z tą gojką?

Teraz dopiero przypomniałem sobie, że owego wieczoru przyprowadziłem Marię i Nuchema do swojego pokoju. Kto nie ma pieniędzy, nie może pętać się po gospodach.

Musiałem się roześmiać.

– Pan się śmieje, a żona siedzi za ścianą i płacze.

To rzeczywiście była nowina; bądź co bądź mógłbym być wiedzieć, że ci Żydzi żenią się już mając piętnaście lat. Gdybym tylko wiedział, kto był żoną Nuchema; jedna z modnych dziewczyn? czy jedna z matron w peruce? to ostatnie wydawało mi się bardziej prawdopodobne.

Wziąłem doktora Litwaka za sznur od binokli: – Ma dzieci?

– A co ma mieć? Kota?

Doktor Litwak zrobił tak oburzoną minę, że musiałem go zapytać o imię.

– Doktor Samson Litwak – przedstawił się ponownie.

– Więc niech pan posłucha, doktorze Samsonie, czego pan właściwie ode mnie chce?

Namyślał się chwilę: – Jestem człowiekiem oświeconym... ale co idzie za daleko... musi go pan powstrzymać.

– Od czego mam go powstrzymać? Od tego, że chce iść do Syjonu? Niech mu pan zostawi tę niewinną przyjemność.

– On się jeszcze ochrzczi... musi go pan powstrzymać.

– Czy do Jeruzalem przybędzie jako Żyd, czy jako chrześcijanin, to przecież wszystko jedno.

– Jeruzalem – powiedział jak ktoś, komu się włożyło cukierek w usta.

– A więc – odezwałem się w nadziei, że teraz da już spokój.

On najwidoczniej nadal cmokał tę nazwę: – Ja jestem człowiekiem oświeconym... ale śpiewem i kupletami nikt tam jeszcze nie doszedł... dc tego trzeba innych ludzi... ja muszę chodzić do każdego, jestem doktorem, mnie może być obojętne, czy ktoś jest Żydem, czy chrześcijaninem... wszędzie są zacni ludzie... powstrzyma go pan?

Ten upór działał mi na nerwy: – Jestem wielkim antysemitą – on uśmiechnął się niedowierzająco – jestem agentem Armii Zbawienia, jestem kwatermistrzem w Jeruzalem...

– Kpiny – powiedział ubawiony, chociaż to wyraźnie było mu niemiłe – kpiny w żywe oczy.

W rzeczy samej miał rację: kpiny w żywe oczy to była mniej więcej postawa wobec życia, jaką przybrałem. Kogo należało za to winić? Wojnę? Tego nie wiedziałem, nie wiem prawdopodobnie i dzisiaj, aczkolwiek niejedno się od tej pory zmieniło.

Nadal trzymałem doktora Litwaka za sznur od binokli. Powiedział:

– Przecież pan jest człowiekiem oświeconym...

– I co z tego?

– Czemu nie zostawi pan ludziom ich... – ciężko mu to było wykrztusić ...ich przesądów?

– O, to pan to nazywa przesadami!

Był teraz zupełnie skonfundowany: – Właściwie to nie są przesady... cóż to są przesady?... – i na koniec uspokojony: – to rzeczywiście nie są żadne przesady.

Po jego wyjściu myślałem o wieczorze Armii Zbawienia. Jak się rzekło, przebiegł dla mnie zupełnie bez wrażenia. Od czasu do czasu patrzyłem na Nuchema Sussina, jak sobie tam siedział i z dość zbaraniałym uśmiechem wokół wygiętych żydowskich ust w mlecznym obliczu przysłuchiwał się śpiewom. A potem przyprowadziłem oboje do siebie, a raczej tylko Marię, bo Nuchem i tak tu mieszkał – no i siedzieli oboje w moim pokoju, pozwalali mi gadać i milczeli. Aż Nuchem znów wskazał na lutnię i powiedział: Niech pani zagra. – Wtedy Maria wzięła lutnię i zaśpiewała pieśń: „Przeszły wielkie zastępy przez Syjonu bramy, krwią baranka obmyte – dla cię miejsce mamy”. A Nuchem przysłuchiwał się z dość zbaraniałym uśmiechem.

Huguenau czekał tydzień, że nadejdzie jakaś pochwała czy przynajmniej odpowiedź majora. Czekał dziesięć dni. Potem się zaniepokoił. Widać raport nie zadowolił majora. Ale czy to była jego wina, że ten kretyn Esch nie dostarczał żadnego materiału? Huguenau zastanawiał się, czy wysłać drugi raport, ale co miałyby w nim napisać? To, że Esch po staremu zadawał się z hodowcami winorośli i robotnikami, nie było niczym nowym, to musiało majora nudzić!

Major nie powinien się nudzić – Huguenau łamał sobie głowę nad pytaniem, co by mógł majorowi zaoferować. Coś musiało koniecznie się stać; w redakcji rządził Esch i postępował tak, jakby nie było żadnego wydawcy, a w drukarni monotonia była już nie do wytrzymania. Huguenau szukał bodźca w wielkich gazetach i znalazł go dokonując odkrycia, że wszystkie te dzienniki działały na rzecz patriotycznej dobroczynności, podczas gdy „Goniec Elektorski” nie zrobił w tej materii nic, ale to nic. Tak to wyglądało dobre serce pana Escha, które nie może znieść widoku nędzy wśród winogrodników. Ale on, jeśli o niego chodzi, wiedział już, co robić.

W piątek wieczorem, po długiej nieobecności znowu pojawił się w hotelu i udał się wprost do salki notabli, bo tam było jego miejsce. Major siedział przy swoim stoliku we frontowej sali jadalnej i Huguenau przechodząc skłonił mu się powściągliwie i krótko.

Szczęśliwym trafem panowie byli już zebrani w większej liczbie i Huguenau oznajmił, iż bardzo się cieszy, że ich zastaje, bo ma coś ważnego do omówienia, i to natychmiast, zanim jeszcze wejdzie pan major. W dłuższym przemówieniu wykazał, że miasto odczuwa brak, boleśnie odczuwa brak towarzystwa dobroczynności z prawdziwego zdarzenia, takiego, jakie dla złagodzenia szkód wojennych istnieją wszędzie już od lat, i zachęcił, by takowe niezwłocznie założyć. Co się tyczy celów takiego towarzystwa, to spośród wielu innych chce on wymienić jedynie pielęgnowanie żołnierskich mogił, opiekę nad wdowami i sierotami po poległych i tym podobne, dalej: na te szlachetne cele trzeba wytrzasnąć środki, można dla przykładu postawić na rynku „Żelaznego Bismarcka”, gwóźdź za dziesięć fenigów, jako że to właściwie duży wstyd, iż akurat nie ma takiego posągu, a wreszcie kasę będą stale uzupełniały różnego rodzaju dobroczynne imprezy, nie wspominając już o kwestach. A protektorat nad tym towarzystwem, dla którego pozwala sobie zaproponować nazwę „Mozelska Podzięka”, można zaofiarować panu komendantowi miasta. On sam i jego „Goniec Elektorski” w każdej chwili stoją – naturalnie w ramach swoich skromnych sił – do dyspozycji towarzystwa i jego szlachetnych celów.

Właściwie nie ma potrzeby nadmieniać, że projekt zyskał ogólny aplauz i został przyjęty jednogłośnie jak też bezdyskusyjnie. Huguenaua i pana aptekarza Paulsena desygnowano do przekazania wniosku panu majorowi i ci obciągnąwszy surduty z pewną pompą wkroczyli do sali jadalnej.

Major patrzył z lekka zdziwiony, potem wziął się w regulaminowe karby i słuchał frazesów obu panów uważnie, ale bez zrozumienia. Frazesy krzyżowały się i prześcigały, major słuchał o „Żelaznym Bismarcku”, o wdowach po poległych, o „Mozelskiej Podzięce” i nie pojmował. Huguenau zreflektował się w końcu i pozostawił glos panu aptekarzowi Paulsenowi; wydawało mu się też, że tak będzie skromniej, i siedział w milczeniu, oglądał zegar na ścianie, obraz Następcy tronu Fryderyk po bitwie pod Gravelotte i reklamę browaru Spatena (z łopata), zawieszoną na sznurku koło obrazu z następcą tronu. Gdzie teraz dostać piwo Spatena! Tymczasem major zrozumiał mowę aptekarza Paulsena: sądzi, że żadne

względy wojskowe nie przemawiają przeciwko objęciu patronatu, wita z uznaniem patriotyczną akcją, może jedynie jak najgoręcej podziękować i wstał, aby przekazać wyrazy podziękowania pozostałym panom w sąsiedniej salce. Paulsen i Huguenau podążyli za nim, dumni ze swego dokonania.

Dłuższy czas spędziło się razem, bo to było przecież coś w rodzaju uroczystości założycielskiej. Huguenau upatrywał sposobności, żeby podejść do majora, i ta sposobność nadarzyła się niebawem, jako że piło się za zdrowie i pomyślność nowego towarzystwa oraz jego protektora, oczywiście nie zapominając przy tym o inicjatorze tej pięknej idei, panu redaktorze Huguenau.

Huguenau, ze szklanką w ręku obchodząc stół dokoła, dotarł do majora von Pasenowa: – Mam nadzieję, że pan major jest dzisiaj ze mnie zadowolony.

On nie miał nigdy powodów do niezadowolenia, odparł major.

– Owszem, owszem, panie majorze, mój raport wypadł nad wyraz mizernie... ale proszę wziąć pod uwagę na moje usprawiedliwienie, że sytuacja jest bardzo trudna. Dochodzi do tego moje przeciążenie reorganizacją gazety; proszę nie traktować tego jako zaniedbania, że nie wysłałem jeszcze drugiego raportu...

Major wzbraniał się: – Myślę, że nie warto dalej zajmować się tą sprawą; spełnił pan swój obowiązek całkowicie.

Huguenau był zaskoczony: – O, daleko mi do tego, daleko – wymamrotał i postanowił, że teraz dopiero weźmie się do szpiclowania na dobre.

Gdy major nic na to nie powiedział, Huguenau kontynuował: – Jutro wydrukujemy natychmiast apele w sprawie „Mozelskiej Podziękki”... czy pan major przy tej okazji nie zaszczyciłby swoimi odwiedzinami naszego przedsiębiorstwa, któremu tak łaskawie patronował... byłaby to z pewnością najlepsza propaganda na rzecz nowego towarzystwa.

Major odrzekł, że na pewno bardzo chętnie odwiedzi przedsiębiorstwo; dzień jutrzejszy ma już rozplanowany, ale przecież dzień jest obojętny.

– Im szybciej, tym lepiej, panie majorze – zaryzykował Huguenau – wprowadzie pan major nie zobaczy tam nic szczególnego... wszystko jest nadzwyczaj skromne... a pracy reorganizacyjnej z zewnątrz naturalnie prawie nie widać, ale drukarnia jest zupełnie w porządku, mówiąc z całą skromnością...

Nagle przyszło mu do głowy coś nowego: – Drukarnia na przykład znakomicie by się nadawała do produkowania druków władz wojskowych – zapalił się, najchętniej złapałby majora za guzik kurtki – widzi pan, panie majorze, widzi pan, jak Esch zaniedbał sprawę... ja musiałem dopiero przyjść, żeby o tym pomyśleć. Powinniśmy dostać zamówienia wojskowe, teraz, skoro dziennik pozostaje niejako pod pańskim bezpośrednim patronatem i skoro wsadziliśmy tyle pieniędzy... w przeciwnym wypadku skąd wyduszę forszę na dywidendy dla akcjonariuszy... przy stanie, w jakim zastałem interesy! – lamentował wręcz i był szczerze rozgoryczony.

Major odrzekł dość bezradnie: – To nie jest moja dziedzina...

– Pewnie, pewnie, panie majorze, ale jeśli pan major poważnie chce... jak pan major zobaczy drukarnię, to na pewno zechce...

Patrzył na majora zachęcająco i kusicielsko, a zarazem rozpaczliwie. Potem jednak opamiętał się, przetarł szkła okularów, rozejrzał się wokoło: – To leży także w interesie wszystkich uczestniczących panów... oczywiście wszyscy panowie są zaproszeni do odwiedzenia przedsiębiorstwa.

Cóż, ci w większości i tak znali już ruderę Escha. Jednakże tego nie powiedzieli.

Odkąd Heinrich Wendling zapowiedział przyjazd na urlop, upłynęły przeszło trzy tygodnie. I chociaż Hanna rano nadal pozostawała dłużej w łóżku, nie bardzo już wierzyła, że Heinrich rzeczywiście przyjedzie. Ale nagle zjawił się, ani wieczorem, ani rankiem, tylko w samo południe. Pół nocy spędził na dworcu w Koblencji, potem jechał noga za nogą wojskowym pociągiem. A podczas gdy to opowiadał, stali naprzeciwko siebie na brukowanej ścieżce w ogrodzie; piekło południowe słońce, na środku trawnika błyszczał czerwony ogrodowy parasol obok leżaka, na którym dopiero co leżała, czuło się zapach gorącej czerwonej bawełny, a lekki południowy wiatr przewracał kartki porzuconej książki. Przybysz nie tknął jej, nawet nie podał ręki, ale uporczywie wpatrywał się w jej twarz, a ona wiedząc, że pewnie szukał obrazu, jaki nosił w sobie od ponad dwóch lat, spokojnie wytrzymywała szukające spojrzenie i sama też patrzyła w zwrócone ku sobie oblicze, też szukając, co prawda nie obrazu, który jej przez ten czas towarzyszył, bo w niej już nie było żadnego obrazu, lecz rysów, dla których musiała kiedyś pokochać to oblicze. Osobliwie niezmienione wydało się jej teraz to oblicze, znała i rozpoznawała linię warg, ustawienie i kształt zębów, nacięcie powyżej podbródka pozostało takie samo, a przestrzeń u nasady nosa między oczami z powodu szerokiej kości czołowej była trochę za duża. – Muszę cię zobaczyć z profilu – powiedziała i on posłusznie odwrócił głowę. Oto znów miała przed sobą ten sam prosty nos nad długą górną wargą, tylko cała miękkość zniknęła. Trzeba było właściwie nazwać go pięknym mężczyzną, ale ona mimo to nie znajdowała tego, co niegdyś tak bardzo ją zachwyciło i zniewoliło. Heinrich spytał: – Gdzie chłopiec? – Jest w szkole... nie wejdiesz do domu? – Weszli do domu.

Ale i teraz nie dotknął jej, nie pocałował, tylko na nią patrzył. – Przede wszystkim muszę się umyć... nie kąpałem się od Wiednia.

– Dobrze, przygotujemy ci kąpiel.

Przyszły obie służące, żeby powitać pana. Było to dla Hanny niezbyt przyjemne. Poszła z nim na górę do łazienki. Sama naszykowała ręczniki kąpielowe.

– Wszystko jeszcze jest na dawnym miejscu, Heinrich.

– O, wszystko jeszcze jest na dawnym miejscu.

Opuściła łazienkę; trzeba było wydać nowe zarządzenia, pozmieniać stare; czyniąc to czuła się zmęczona.

Ścięła róże w ogrodzie na stół do obiadu.

Po jakimś czasie wróciła cichaczem pod drzwi łazienki, słyszała, jak Heinrich pluska się w środku. Pod potylicą czuła zbliżający się ból głowy. Trzymając się poręczy zeszła z powrotem do holu.

W końcu chłopiec przyszedł ze szkoły. Wzięła go za rękę. Pod drzwiami łazienki zawołała: – Można już wejść? – Naturalnie – zabrzmiała trochę zdziwiona odpowiedzią. Uchyliła drzwi, zajrzała przez szparę; Heinrich na poły ubrany stał przed lustrem, Hanna wcisnęła chłopcu jedną z róż w niechętnie otworzoną dziecięcą dłoń, wepchnęła go do środka i sama uciekła.

Czekała na nich obu w jadalni i gdy weszli, musiała odwrócić wzrok. Byli do siebie śmiesznie podobni, te same szeroko rozstawione oczy, takie same ruchy, taka sama nasada brązowych włosów, tylko Heinrich miał je teraz bardzo krótko ostrzyżone. Wyglądało to tak, jakby dziecko nie wzięło po niej nic a nic. Był to straszny mechanizm; o, to jest straszne, że

było się kiedyś zakochaną. I własne życie wydało się jej w tym momencie jedną jedyną niepoczytalnością, rozpaczliwą niepoczytalnością, której człowiek nigdy nie zdoła się pozbyć.

Heinrich powiedział: – Znowu w domu – i usiadł na swoim dawnym miejscu. Chyba ta wypowiedź jemu samemu wydała się głupia; uśmiechał się niepewnie. Chłopiec obserwował go uważnie i nieufnie.

Oto siedział sobie jak ojciec rodziny i był intruzem.

Również służąca nie mogła od niego oderwać wzroku; było w tym coś z nieśmiałego podziwu i zazdrości, i gdy służąca znowu weszła, Hanna powiedziała bardzo głośno: – Mam zatelefonować do Rödorsa... z powodu wieczoru?

Mecenas Rödors był kolegą Wendlinga z kancelarii; miał po pięćdziesiątce i nie podlegał służbie wojskowej.

Zegar w angielskiej mahoniowej obudowie wydał głęboki dźwięk gongu.

Hanna małym palcem dotknęła brzegu grzbietu jego dłoni, jakby ta pieszczota miała być przeproszeniem za myśl o wieczorze z Rödorem, a jednocześnie przypomnieniem, że chcieli unikać cielesnego kontaktu.

Heinrich powiedział: – Naturalnie to ja muszę zadzwonić do Rödorsa... załatwię to zaraz potem.

Hanna oznajmiła: – Po południu pójdziemy z tatą na spacer, pokazać się.

– Tak, zrobimy to – potwierdził Heinrich.

– Czy to nie jest przyjemne, że tata znowu z nami siedzi?

– Jest – odrzekło dziecko po pewnym wahaniu.

– Musisz zobaczyć jego zeszyty... umie już pisać i rachować. Swoje listy pisał zupełnie sam.

– To były bardzo piękne listy, Walterze.

– To były tylko kartki – odparł nieśmiało Walter.

To, że wzięli dziecko między siebie, aby odnaleźć się ponad jego brązową czupryną, wydawało się im obojgu nadużyciem. Z pewnością lepiej byłoby powiedzieć: pocałujemy się dopiero, jak nasza tęsknota stanie się nie do zniesienia. Ale ta tęsknota nie była tęsknotą, była jedynie oczekiwaniem nie do zniesienia.

Poszli do dziecięcego pokoju, na którego boazerii wymalowany był tak zwany wesoły dziecięcy fryz. I za sprawą owej drugiej, jaśniejszej i trochę przeinaczonej inteligencji, jaka może wykluczyć się z nadmiernego oczekiwania albo z opasującego, kłującego bólu głowy, Hanna wiedziała, że te meble na wysoki połysk i cała ta biel również były nadużyciem wobec dziecka, wiedziała, że nie miało to nic wspólnego z byciem i charakterem dziecka, lecz że został tu stworzony i wystawiony na pokaz symbol, symbol jej białych piersi i białego mleka, jakie powinno z nich popłynąć po udanej kopulacji. Przyłożyła dłonie do bolącego karku. Była to bardzo daleka i bardzo niewyraźna myśl, a przecież w niej tkwiła przyczyna, dla której nigdy nie lubiła przebywać w dziecięcym pokoju i wołała zabierać chłopca do siebie. Powiedziała: – Musisz też pokazać tacie swoje nowe zabawki. – Walter przyniósł nowe klocki i szarozielonych żołnierzy. Było dwudziestu trzech strzelców i jeden oficer, który ugiąwszy kolano dobytą szpadą wskazywał wroga. Żadne z trojga nie zauważyło, że także doktor Heinrich Wendling miał na sobie szarozielony mundur oficera; wszelako każde miało inny motyw tego niezauważenia: Walter uważał ojca za intruza, Heinrich nie mógł utożsamić heroicznego gestu ołowianego żołnierza z własną wojaczką, Hanna ku swemu przerażeniu widziała przed sobą tego człowieka nagim, nagim i w swej nagości izolowanym. Była to taka sama izolacja, w jakiej meble wokół niej stały jakby nagie, nie związane z otoczeniem, pozbawione więzi między sobą, obce i dziwne.

On też musiał to odczuwać. A idąc na spacer wzięli dziecko w środek i było to rozdzielanie, chociaż Hanna, wesoło wymachując ramieniem, prowadziła chłopca za rękę i chociaż Heinrich często chwycił drugą rękę małego. Nie patrzyli na siebie, byli niejako

onieśmieleni przez wstyd, spoglądali w przestrzeń przed sobą albo na łąki, gdzie pośród traw rosły dmuchawce i fioletowa koniczyna, kartuzki i liliowe skabiozy. Był to ciepły dzień, Hanna nie nawykła do popołudniowych spacerów. Mimo to nie tylko z powodu upału odczuwała po powrocie do domu tak silną potrzebę kąpieli; każde pragnienie odkładało się teraz dziwnie w głębszej warstwie: jak gdyby ciało zanurzone w wodzie otaczała wielka samotność, były to wyobrażenia magicznego odrodzenia, jakiego człowiek samotny zaznaje dzięki wodzie. Wyraźniejsza wszakże od takich myśli była przy tym obawa przed koniecznością wieczornego odwiedzenia łazienki w obecności Heinricha. Zwróciłoby to jednak uwagę służącej, gdyby wzięła kąpiel w środku dnia i pod pretekstem, że musi przebrać się na wieczór, poprosiła Heinricha, żeby przez ten czas zamówił powóz i zajął się Walterem. Potem udała się do łazienki, żeby się przynajmniej wyprysnicować. Kiedy jednak weszła do wanny, na której ściankach pozostało jeszcze kilka kropeł z przedpołudnia, bo w prysznicu była jeszcze woda, nogi ugięły się pod nią z osłabienia i musiała tak długo polewać się zimną wodą, aż jej skóra zrobiła się jak szkło, a czubki jej piersi całkiem stwardniały. Potem było znośniej.

Wieczorem pojechali do Rödorsa; Heinrich odesłał powóz, wieczór był taki piękny i Hanna z wdzięcznością przystała na powrót piechotą – im zrobi się później, tym lepiej. I chyba o północy opuścili dom Rödorsa. Ale kiedy przemierzali potem cichy rynek, na którym oprócz wartownika przed komendanturą nie było widać nikogo, i ten rynek z ciemnymi domami dokoła, bez chociażby jednego światełka, leżał przed nimi jak krater samotności, jak krater ciszy, z którego wylewały się na śpiące miasto coraz to nowe fale spokoju, Heinrich Wendling wziął żonę pod rękę, a ona w tym pierwszym zetknięciu ciała zamknęła oczy. Może on też zamknął oczy, nie widział ani ciężkiego nieba letniej nocy, ani białego pasma gościńca, który ciągnął się przed nimi i w którego kurzu szli, może każde z nich widziało inny firmament, oboje zamknięci jak ich oczy, każde w swojej samotności, a przecież zespoleni w rozpoznawaniu się ciała, które wreszcie złączyły się w pocałunku, z odsłoniętymi twarzami, nieprzyzwoite w wyrazistości płci, a mimo to czyste w bólu nie kończącej się obcości, której nie zdoła już usunąć żadna czułość.

Po pogrzebie Samwalda mężczyzna Gödicke zaczął mówić.

Ochotnik Samwald był bratem zegarmistrza Friedricha Samwalda, zegarmistrza, który miał sklep przy Römerstrasse. Po ogniu huraganowym i natarciu miody Samwald zaczął nagle kaszleć i stracił przytomność. Był miłym, dzielnym dziewiętnastolatkiem, lubianym przez wszystkich, dzięki czemu zdołał wyjednać sobie, że wystano go do lazaretu w rodzinnym mieście. Nie przyjechał nawet z transportem chorych, tylko sam, jak na urlop, i komendant Kuhlenbeck powiedział: – No, ciebie, chłopie, to raz dwa postawimy na nogi. – I choć również doktor Kessel bardzo się troszczył o Samwalda, a chłopak wydawał się zdrowy jak rydz, raptem znów dostał krwotoku i po trzech dniach wyzionął ducha. Mimo pięknego słońca, które śmiało się z nieba.

Ponieważ był to szpital dla lekkich przypadków, śmierci nie ukrywano jak w dużych szpitalach. Przeciwnie, ze śmierci zrobiono uroczyste wydarzenie. Zanim chłopaka zaniecono na cmentarz, wystawiono trumnę przed wejściem do lazaretu i tam odprawiono egzekwie. Pacjenci lazaretu, o ile nie byli obłożnie chorzy, przywdziali mundury i stanęli w szeregu, mnóstwo ludzi przyszło z miasta. Komendant szpitala wygłosił wspomnienie o zmarłym bohaterze, proboszcz stał przy trumnie, chłopak w czerwonej sutannie z białą narzutką wywijał kadzielnicą. Potem uklękły kobiety, także niektórzy z mężczyzn, i jeszcze raz odmówiono różaniec.

Gödicke przebywał w ogrodzie. Spostrzegłszy zbiegowisko nadciągnął o kulach i dołączył do tłumu. To, co się tu działo, to był dobrze znany widok i dlatego on musiał go odrzucić. Zastanawiał się; chciał ten widok unicestwić, podrzeć na strzępy, jak drze się kawałek papieru czy kartonu – nad tym musiał zastanowić się wnikliwie i ściśle. Gdy kobiety padły na kolana jak do szorowania podłogi, śmiech usadowił mu się w gardle, ale nie wolno mu było wydać z siebie dźwięku. Stał oparty na obu swoich kulach, pośród klęczących kobiet, stał jak rusztowanie i właczał kule w ziemię, i wypychał dźwięk z powrotem do gardła. Ale oto kobiety odmówiły swoje Ojczy nasz i trzy zdrowaśki i doszły do miejsca: „Zstąpił do piekieł, trzeciego dnia zmartwychwstał”, a wtedy jakby na niższym poziomie rusztowania, jakby wypowiedane przez brzuchomówcę, którego kiedyś tam słyszał, gdzieś powyżej jakże bolącego i ściśniętego podbrzusza uformowały się słowa i miał zaszczekać murarz Gödicke, może nawet niesłyszalnie, tak jeszcze głęboko tkwiły słowa, powiedział: – Trzeciego dnia zmartwychwstał... – Zaraz na powrót milknąc, tak bardzo przeraziło go to, co zdarzyło się na niższej kondygnacji rusztowania. Nikt nie zwracał na niego uwagi; uniesiono trumnę; z przytroczonym do wieka krzyżem chybotą się na ramionach karawaniarzy; zegarmistrz Samwald, mały i lekko zgarbiony, wśród pozostałych krewnych ruszył za karawaniarzami; potem podążali lekarze; potem szli wszyscy inni. Za nimi, w szpitalnym kitlu, wsparty na dwóch kulach, kuśtykał murarz Gödicke.

Na szosie dostrzegła go siostra Matylda. Przepchała się do niego:

– Gödicke, tak pan przecież nie może iść... niech pan się zastanowi, w szpitalnym kitlu... – ale on jej nie słuchał. Nawet gdy ściągnęła posiłki w osobie komendanta lazaretu, nie dał się zbić z tropu, lecz patrzył wprost przed siebie i szedł dalej swoją prostą drogą. Kuhlenbeck powiedział w końcu: – Ach, niech go pani zostawi, wojna to wojna... jak się zmęczy, to niech któryś z nim zostanie, żeby go przyprowadzić z powrotem.

Ludwig Gödicke przemierzył w taki sposób długą drogę; kobiety wokół niego modliły się, a po brzegach traktu pełno było zarośli. Jeśli jedna grupa kończyła zdrowaśkę, to zaczynała

druga, a w lesie kukała kukułka. Niektórzy mężczyźni, w tym mały zegarmistrz Samwald, byli w czarnych ubraniach jak cieśle. Sporo było tłoczenia się, zwłaszcza kiedy na zakrętach drogi orszak zwalniał kroku i ciała przysuwały się do siebie; a spódnice kobiet przypominały jego własny kitel; spódnice owijały się wokół nóg przy chodzeniu; a jedna na samym przedzie szła z pochyloną głową i chusteczką przy twarzy. I choć mężczyzna Gödicke nie przyglądał się, lecz wlepił wzrok w koleiny, ba, często próbował nawet zamknąć oczy, tak jak zaciskał zęby, aby cząstki jego duszy jeszcze bardziej się ścieśniły, zdusiły jego ja, ba, choć wolałby zatrzymać się, z kulami wbitymi w ziemię, i wszystkich tych ludzi doprowadzić do milczenia i zatrzymania, zobaczyć ich rozproszonych na cztery wiatry, to jednak dawał się ciągnąć, nieść, płynął i unosił się, sam jak chybotająca trumna, na fali powtarzającej się modlitwy, która mu towarzyszyła.

Gdy na cmentarzu ponownie odprawiono egzekwie i nad rozkopaną ziemią, do której spuszczone zwłoki, ponownie zabrzmiała litania: „Trzeciego dnia zmartwychwstał”, gdy mały zegarmistrz Samwald nieporuszenie wpatrywał się w grób i łkał, a każdy podchodził, żeby sypnąć żołnierzowi trochę ziemi i ucisnąć dłoń zegarmistrza, wtedy wyrósł, widoczny już dla wszystkich, wsparty na swych dwóch kulach, z rozwianą brodą, w szarym, długim szpitalnym kitlu, przed małym zegarmistrzem Samwaldem na skraju grobu wyrósł potężnie ten mężczyzna Gödicke i nie zwrócił uwagi na wyciągniętą dłoń, ale z wielkim wysiłkiem, mimo to dla wszystkich słyszalnie, wymówił swoje pierwsze słowa; powiedział: – Trzeciego dnia zmartwychwstał. – A następnie odłożył kule, nie po to wszakże, by wziąć łopatę i sypnąć nieco ziemi, nie, tego nie zrobił, stało się coś zupełnie innego i nieoczekiwanego – szykował się, by samemu zejść do grobu, szykował się nieporadnie i mozolnie, by zsunąć się w dół, jedną nogę szczęśliwie spuścił już do wykopu. Naturalnie nikt nie odgadł jego zamiarów; sądzono, że on, który jeszcze nigdy nie poruszał się bez kul, osunął się z osłabienia. Komendant lazaretu i jeszcze kilku żałobników doskoczyło, wyciągnęło go z grobu i zaniósło na jedną z ławek. Być może siły rzeczywiście opuściły mężczyznę Gödickego; nie stawiał już żadnego oporu, siedział sobie teraz zupełnie spokojnie, zamknął oczy, głowa opadła mu na bok. A zegarmistrz Samwald, który nadbiegł i gorliwie pomagał nieść, został przy nim; a że wielki ból potrafi rozluźnić duszę człowieka, Samwald przeczuwał, że stało się tutaj coś szczególnego; siedząc obok mówił do mężczyzny Gödickego słowa pocieszenia jak do osoby ciężko doświadczonej, mówił jak do kogoś, kto musi znosić największe cierpienie, i mówił o zmarłym bracie, który miał piękną, młodą i bezbolesną śmierć. I mężczyzna Gödicke słuchał tego z zamkniętymi oczami.

Tymczasem do grobu podeszli miejscowi dostojnicy, wśród nich, jak się należało, także Huguenau w niebieskim garniturze, ze sztywnym czarnym kapeluszem w jednej ręce, z wieńcem w drugiej. I Huguenau rozglądał się w najwyższym stopniu oburzony, że nie było na posterunku brata zmarłego, aby podziwiać ten wieniec, piękny dębowy wieniec, ufundowany przez towarzystwo „Mozelska Podzięka”, naprawdę piękną wiązaną z szarfą, na której można było przeczytać: „Dzielnemu żołnierzowi – Ojczyzna”.

Historia dziewczyny z Armii Zbawienia w Berlinie (8)

Jak u źródeł przyszłych mórz lustrzanych,
Tchnienie nad przestrzenią wód bez końca,
Drżące pęki złotych włócznie słońca
Spoczywają w tęczy srebrnej piany,
A na skraju hen daleko
Dla narodzin spodziewanych
Niebo – lustro mórz lustrzanych,
W snu bogini spływa rzekę:
Czy to wówczas go spotkało?
Czy to wtedy już w przestworzach,
W bólu wielkim, co rozgorzał,
Słodkiej zgrozy zaznał całej?
Czy to łąki w lasów kole
Pod przeklętym nikły w dole?
Bo wśród gromów roziskrzenia
Głos go dalej wciąż porywa,
W oku jego trwoga żywa,
Gdy wirując w skał płomieniach
W żółte zapada wąwozy
Wali się niepowstrzymanie
Słabnie w nim usiłowanie,
By z ognistej uciec grozy,
W cyprysowe wrócić gaje,
Gąszcze w toni pogrążone,
Noce z dniami połączone,
Od kwitnienia wonne maje.
Zmierzchu pora w piniach, bukach
Wiecznie będzie chwil tych szukał
Bo na wieczność są stracone,
Odkąd głosem porażone,
Wiedzą nagle obudzoną
Aż po brzegi wypełniony.
I niebyłe przeczyło byłemu,
Siejąc niepewność bezmierną:
Było to morze? Cyprysy to wierne?
Ale kres położył temu
Głos, co cisnął go jak z procy,
Głos, co miał go w swojej mocy,
Gdyby dopadł głosu, byłby oczyszczony,
Zapomniane – przywrócone,
W morzu ciężkim zapachu buchając,

Łąki, gaje odbijając.
Wiedza, nowo w nim zrodzona,
Ze zwątpienia pcha w zwątpienie
I pędzi go przez pustynie
Za głosem niedoścignionym.
Głos ucieka, on wciąż za nim
Z fałszywą przysięgą, daną
Temu Ongiś przez się, zdrajcę, wybranemu,
I usta jego krzykiem pozostaną,
Krzykiem, co wiedzę zagłusza,
Krzykiem w łaskocie wąwozów,
Krzykiem rozproszonym w głuszy,
Krzykiem zwierzęcia ze zgrozy,
Krzykiem bestii w jaskrawych płomieniach,
O krzyku zdumienia! krzyku nawiedzenia!
Odczuwam zdumienie! Cud to zdumienia? Czy to zdumiewa się moje ja?
Znad jakiej przybywasz granicy,
Myśli, coś jest tajemnicą?
Ja nad śmierci strefą krążę tak
Po wieczny krzycząc czas, Ahaswer!
W krwawo-żółtym, bezsennym piekiel blasku
Zmysły tracę, jestem jak w potrzasku,
Do krzyku jam zrodzony, Ahaswer!
Od źródeł wygnany w otchłanie wpędzony,
Wiedzą wywyższony, zwątpieniem toczony,
Kamienie siejący, pyłem karmiony,
Z wiedzy wykuty, tęsknotą trawiony,
Głosami błogosławiony, głosu klątwą naznaczony,
Zakazanego owocu siewca wysławiony.

Major był jakoś niemile dotknięty, gdy ordynans zameldował mu o przybyciu pana redaktora Escha. Czy ten gazeciarz był wysłannikiem Huguenaua? emisariuszem bagna i plugastwa? Major przy tym nieomal zapomniał, że sam Huguenau odciął się od rzekomo podejrzanego politycznie Escha, a ponieważ po paru chwilach niesmaku nie znalazł nic rozstrzygającego, powiedział w końcu: – A, przecież to wszystko jedno... niech wejdzie.

Esch w rzeczy samej nie sprawiał wrażenia ani emisariusza piekieł, ani podejrzanego politycznie osobnika; był speszony i zakłopotany jak ktoś, kto żałuje podjętej decyzji: – Chodzi o to, panie majorze... krótko mówiąc, bardzo sobie wziąłem do serca artykuł pana majora...

Major von Pasenow zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu dać się zwieść pochlebnym słowom, choćby przeświadczenie, że jego pisarskie rozważania odnoszą skutek, były nie wiem jak krzepiące.

– I jeśli pan major nazwał mnie diabłem, którego trzeba wypędzić...

Na to major uznał za konieczne stwierdzić, że cytat z Biblii nie zawiera jakiegokolwiek osobistego przytyku czy aluzji, że coś takiego stanowiłoby nawet sprostowanie Pisma Świętego i że w każdym momencie zwrotnym naszego życia, kiedy ma się ono zmienić na lepsze, musimy zostawić za sobą jakąś część diabelstwa. Jeśli zatem pan Esch przyszedł teraz żądać zdania rachunku czy satysfakcji, to niech się zadowoli tym wyjaśnieniem.

W trakcie przemowy majora Esch odzyskał kontenans: – Nie, panie majorze, nie o to idzie. Ja wziąłbym na siebie nawet diabła... jednakże nie dlatego, że kilka razy skonfiskowali mi gazetę – zrobił lekceważący gest – nie, panie majorze, nie można mi zarzucić, że moja dawniejsza praca dziennikarska była mniej przyzwoita niż obecna. Przychodzę w innej sprawie.

I zażądał ni mniej, ni więcej, tylko żeby major jemu i jego przyjaciołom – albo jak się wyraził w podnieceniu: braciom – wskazał drogę do wiary.

Kiedy Esch tak stał przed biurkiem, z kapeluszem w dłoniach, z zabarwionymi na czerwono plamami wzburzenia na kościach jarzmowych, czerwienią, która zanikała na brązowej skórze policzków, przypominał majorowi rządcę jego majątku. Co rządca ma do powiedzenia na temat wiary? I major miał wrażenie, że zajmowanie się kwestiami wiary jest prawem zastrzeżonym dla właściciela. Stały mu przed oczyma znajome sceny z życia religijnego, ujrzał kościół, pod który zajeżdżał z rodziną, w letnim kurzu powozem na wysokich kołach, zimą niższymi, okrytymi futrem saniami; ujrzał odbywane ze swymi dziećmi i czeladzią bożonarodzeniowe i wielkanocne czytanie Biblii, ujrzał polskie dziewczki w czerwonych chustach i fartuchach wędrujące do katolickiego kościoła w sąsiedniej wsi i podczas gdy ów kościół przypominał mu o przynależności pana Escha do wiary rzymskokatolickiej, on sam ocierał się w jego oczach o niemile pokrewieństwo z polskimi fornalami i tę atmosferę budzącej niepokój niepewności, z którą częściowo z własnego doświadczenia, częściowo ze względu na jej politykę, częściowo ze zwykłego uprzedzenia zwykł był łączyć polską narodowość. I ponieważ tak to już bywa, że problemy nurtujące sumienie bliźniego często sprawiają, iż czujemy się zgoła nieswojo, jakby ktoś tutaj przesadzał z czymś, co wcale nie jest dla niego aż takie ważne, jak sam twierdzi, major poprosił, żeby Esch usiadł, ale pominął poruszony temat i dopytywał się, jak tam prosperuje gazeta.

Wszelako Esch nie był z tych, co łatwo dają się odwieść od powziętego zamiaru: – To właśnie gazeta zobowiązuje pana, panie majorze, do wysłuchania mnie. – I na pytające spojrzenie majora: – Tak, to pan, panie majorze, wytyczył „Gońcowi” nową drogę... i chociaż sam zawsze sobie mówiłem, że trzeba na świecie zrobić porządek i że również redaktor, o ile nie chce być anarchista i świnią bez skrupułów, musi do tego się przyczyniać... panie majorze, wszyscy szukają ratunku, wszyscy boją się trucizny, wszyscy oczekują, że nadejdzie wybawienie i niesprawiedliwość zostanie unicestwiona.

Począł krzyczeć i major patrzył na niego zdumiony. Po chwili Esch ochłonął: – Widzi pan, panie majorze, socjalizm to tylko jeden wśród wielu innych znaków... ale od artykułu w inauguracyjnym numerze... panie majorze, chodzi o wolność i sprawiedliwość na świecie... nie igra się z ludzkim życiem, musi coś nastąpić, w przeciwnym razie wszystkie ofiary byłyby daremne.

– Wszystkie ofiary daremne – powtórzył major, jakby to sobie przypominając. Lecz potem zastanowił się: – Może pan chce z powrotem skierować gazetę na socjalistyczne tory? I spodziewa się pan w tym względzie zgoda mojego poparcia?

Mina Escha była pozbawiona respektu i pogardliwa: – Nie idzie o socjalizm, panie majorze... idzie o nowe życie...o przyzwoitość... o wspólne poszukiwanie wiary... moi przyjaciele i ja urządzamy wspólne czytanie Biblii... kiedy pisał pan swój artykuł, panie majorze, było panu przecież ciężko na sercu, więc teraz nie może pan nas odrzucać.

Było rzeczą jasną: Esch przedkładał rachunek, choć tylko duchowy, i major musiał znów wspomnieć rządcę, który siedzi naprzeciw niego w kancelarii ze swoimi rachunkami, a on znów myśli o polskich fomalach, którzy starają się go oszwabić. Czy i oni nie grozili socjalizmem? Może nawiązał do czegoś dawno zapomnianego mówiąc: – Zawsze, proszę pana, ktoś nas odrzuca.

Esch wstał i swoim zwyczajem zaczął ciężkimi krokami przemierzać pokój tam i z powrotem. Ostre podłużne bruzdy koło ust były jeszcze głębsze niż zwykle; jaki on ma zatroskany wygląd, pomyślał major, to nie do wiary, żeby ten poważny człowiek miał być bywalcem gospód i gościem lokali o podejrzanej reputacji, emisariuszem podziemnego świata. Czy jest z niego taki obłudnik? Było to nie do wyobrażenia, podobnie jak sam ów świat.

Esch raptem stanął przed nim: – Panie majorze, żeby to powiedzieć bez ogródek... jakże mam sprawować swoją funkcję, skoro nawet nie wiem, czy w wierze protestanckiej nasza droga nie byłaby łatwiejsza...

Major mógłby chyba odpowiedzieć, że do obowiązków redaktora nie należy bynajmniej rozwiązywanie problemów teologicznych, ale bezceremonialnym pytaniem Escha był nazbyt przestraszony, aby w ogóle znaleźć odpowiedź: niewiele różniło się ono od prośby Huguenaua o zamówienia wojskowe i przez chwilę wydawało się, że postacie obu mężczyzn znów się zleją. Major dotknął Krzyża Żelaznego na piersi i przybrał służbową postawę: Czy jemu, wojskowemu na eksponowanym stanowisku, godzi się pozyskiwać prozelitów? Kościół katolicki jakoś tam uchodzi w końcu za sprzymierzeńca, a on nie podjąłby się też namawiania Austriaka czy Bułgara lub Turka do wyrzeczenia się własnej państwowości na rzecz niemieckiej. Dość irytujące było obstawanie tego Escha przy swoim urojeniu, ale miało też w sobie coś przyjemnego i kuszącego: czy w tym wezwaniu do dzielenia się nie było laski wiecznie się odnawiającej i wciąż rodzącej się na nowo wiary? Ale major jeszcze się wzbraniał i uważał, iż musi zaznaczyć, że będąc sam protestantem nie czuje się powołany do przewodzenia katolikowi w sprawach wiary.

Esch znów lekceważąco machnął ręką: to nie ma nic do rzeczy; w artykule majora zostało napisane, że chrześcijanin ma pomagać chrześcijaninowi – nie ma więc rozróżnienia na katolickie i protestanckie chrześcijaństwo, a katolicki proboszcz w mieście o takich wątpliwościach i pytaniach wie jeszcze dużo mniej.

Major nie odpowiedział. Czy rzeczywiście zaplątał się w sieć swoich własnych słów? Sieć, którą tamten chciał go wciągnąć w bagno i ciemność? A przecież zdawało się, że to łagodna dłoń chce go powieść ku cichym brzegom spokojnych rzek. Musiał pomyśleć o chrzcie w Jordanie i niemal wbrew swej woli powiedział: – W sprawach wiary, proszę pana, nie ma wytycznych; wiara jest naturalnym, tryskającym źródłem, jak to zostało już powiedziane w Biblii. – A potem dorzucił w zamyśleniu: – Łaski każdy musi doświadczyć sam.

Esch niegrzecznie odwrócił się plecami do majora; stanął przy oknie przyciskając czoło do szyby. Teraz odwrócił się; miał poważny, niemal proszący wyraz twarzy: – Panie majorze, przecież nie chodzi o wytyczne... chodzi o zaufanie... – I po chwili: – Bo inaczej... – nie znajdował właściwego słowa – bo inaczej ta gazeta nie byłaby wcale lepsza od wszystkich innych gazet... sprzedajna prasa... gadanina demagogów... a pan, panie majorze, chciał czegoś innego...

Major von Pasenow znowu poczuł błogość płynięcia, unoszenia z prądem, jakby miał go przyjąć srebrny obłok zawisły nad wiosennymi rzekami. Pewność zaufania! Nie, ten człowiek, który tak poważnie stał przed nim, nie był awanturnikiem, zdrajcą, szalawilą, nie był kimś, kto przenosi zaufanie na drugą stronę życia, aby je tam bez wstydu i bez osłonek wystawić. Toteż major zrazu z wahaniem, ale potem z coraz większym zapałem zaczął opowiadać o przewodnictwie Lutra, w którego naśladowanie nikt nie powinien wątpić, nikt, proszę pana! bo każdy nosi iskierkę na dnie duszy i nikt – o, jak mocno odczuwał to samo major von Pasenow, aczkolwiek nie wolno mu było tego powiedzieć – nie jest wyłączony z łaski, a będąc w stanie łaski ma prawo iść i głosić zbawienie. I każdy, kto wejrzy głęboko we własne serce, pozna prawdę i drogę; i on też znajdzie pewnie tę drogę do jasności i będzie nią kroczył. – Niech pan będzie spokojny, panie redaktorze – powiedział – wszystko obróci się ku lepszemu. – I jeśli pan redaktor Esch sobie życzy, a jemu skąpy czas na to pozwoli, to gotów jest znowu z nim porozmawiać – major wstał i ponad biurkiem podał Eschowi rękę – zresztą niedługo wpadnie obejrzyć drukarnię „Gońca Elektorskiego”. Skinął gościowi głową. Ten stał niezdecydowanie i major obawiał się mowy dziękczynnej. Ale nic takiego nie nastąpiło, gdyż Esch zapytał wręcz obcesowo: – A moi przyjaciele? – Major ponownie przybrał ton nieco bardziej oficjalny: – Później, proszę pana, może później. – Esch wykonał niezgrabny ukłon.

Mimo to nic już nie mogło powstrzymać Escha i jego radykalnej porywczosci. Dla jego poszukującej duszy był to zarazem hołd złożony majorowi, gdy w niewiele dni później – ku zdumieniu wszystkich, którzy się o tym dowiedzieli, a dowiedziało się niebawem całe miasto – przyjął wiarę protestancką.

Rozpad wartości (7)

Ekskurs historyczny

Owych zbrodniczych i buntowniczych czasów nazywanych renesansem, owych czasów, kiedy to chrześcijański układ wartości został rozbity na połowy: katolicką i protestancką, owych czasów, kiedy to rozpadnięcie się średniowiecznego organonu zapoczątkowało pięćsetletni proces rozkładu wartości i zasiało ziarno nowoczesności, czasów zasiewu i zarazem pierwszego rozkwitu, tych czasów nie da się jednoznacznie określić ani przez protestantyzm, ani przez indywidualizm, ani przez racjonalizm, ani przez nacjonalizm, ani przez zmysłowość, ani też przez humanistyczne i przyrodnicze odrodzenie: jeśli te czasy, które w swoim stylu szczególnie uderzają jednością i zespalają się w całość, jeśli miały one odpowiedniego dla tej jednolitości ducha czasu i odpowiedni nośnik stylu, to nie mógł on opierać się na tym czy innym z wielorakich zjawisk, nawet wówczas, gdy chodzi o zjawisko o tak głębokiej rewolucyjnej sile jak protestantyzm, ale wszystkie te zjawiska trzeba sprowadzić do wspólnego mianownika, muszą one posiadać wspólne korzenie, a te korzenie muszą tkwić w logicznej strukturze myślenia, w tej specyficznej logice, która przenika i wypełnia wszelkie działania epoki.

Z pewną dozą słuszności wypada stwierdzić, że gruntowna rewolucja stylu myślenia – a zrewolucjonizowanie wszystkich zjawisk życia wskazuje na taki kompletny przełom w myśleniu – następuje zawsze wtedy, kiedy myślenie dotrze do granicy swojej nieskończoności, kiedy już nie potrafi rozwiązywać antynomii starymi sposobami i stąd zmuszone jest do zrewidowania swych własnych podstaw.

Najwyraźniej, jako że z bezpośredniej bliskości, można zaobserwować tego rodzaju przełom myślowy badając podstawy nowoczesnej matematyki, która biorąc za punkt wyjścia antynomie nieskończoności dochodzi do zrewolucjonizowania metody matematycznej, do przekształcenia o zasięgu dziś jeszcze nie do oszacowania. W rzeczy samej nie sposób rozstrzygnąć, czy chodzi tutaj o nową rewolucję myślenia, czy o definitywną likwidację średniowiecznego logicyzmu (prawdopodobnie w grę wchodzi jedno i drugie). Bo nie tylko pozostałości średniowiecznej struktury wartości sięgają aż do naszych czasów i dają asumpt do przypuszczeń, że również przynależne im pozostałości myślowe jeszcze utrzymują się w mocy, to jest właśnie antynomia, a istota antynomii nieskończoności polega na tym, że wyrastają na gruncie dedukcji, a tym samym chyba też na gruncie teologii: nie ma teologicznego systemu świata, który nie byłby dedukcyjny, tzn. który nie stara się wywieść wszystkich zjawisk z najwyższej zasady, a więc z Boga, i wszelki platonizm, oglądany z tej perspektywy, jest koniec końców dedukcyjną teologią. Jeśli zatem w systemie nowoczesnej matematyki platońsko-teologiczna zawartość nie jest na pierwszy rzut oka widoczna, może nawet musi pozostawać niewidoczna, to póki ta matematyka jest adekwatnym wyrazem panującej i opanowującej ją logiki, wychodzi wszakże na jaw uderzające pokrewieństwo między jej antynomiami nieskończoności a takimiż antynomiami scholastyki: z pewnością średniowieczna dyskusja o nieskończoności nie toczyła się na płaszczyźnie matematycznej (co najwyżej dotykając jej tylko mimochodem w kosmicznych rozważaniach), ale nieskończoność „etyczna”, jak chyba wolno byłoby ją nazwać, gdyż w takim charakterze

występuje choćby w kręgu problemów wokół nieskończonych atrybutów Boga, obejmuje wszystkie kwestie aktualnie i potencjalnie nieskończonego, stanowi strukturalnie to właśnie pogranicze, na którym uwidaczniają się antynomie i trudności nowoczesnej matematyki. I tu, i tam antynomiczny stan rzeczy powstaje w wyniku zabsolutyzowania funkcji logicznej, zabsolutyzowania, którego nie sposób ominąć, dopóki panująca logika nie zechce wyrzec się samej siebie, i które można dostrzec dopiero, gdy dotrze się do antynomicznej granicy. Dla scholastyki to fałszywe zabsolutyzowanie przybiera kształt przede wszystkim w interpretacji symboli: widzialność Kościoła, a więc jego ziemski i skończona forma istnienia, która niemniej jednak wysuwa absolutystyczne roszczenia, arystotelesowska „skończoność” nieskończenie odległego platońsko-logicznego punktu musiała pociągnąć za sobą skończoność wszystkich symbolicznych form i kiedy wytworzył się system godnych podziwu odzwierciedleń symboli, system obejmujący symbole symboli, przemożnie przyćmiony i złączony w magiczną jedność przez wzniośle ziemski, nieskończono-skończony symbol Eucharystii, to przełomu myślowego w skończonym nie można już było powstrzymać, i na antynomiczno-nieskończonej granicy myślenie scholastyczne musiało zawrócić, aby dialektycznie rozłożyć skończoną ideę platońską, tzn. przygotować zwrot ku pozytywizmowi i pojąć ów automatyczny proces, którego początki były już widoczne w arystotelesowskim ukształtowaniu Kościoła, a którego dalszego biegu mimo różnorodnych prób ratunku ze strony scholastyki (doktryna podwójnej prawdy, spór nominalistów z realistami, podjęte przez Ockhama nowe uzasadnienie teorii poznania) nie dało się zahamować; musiał on potknąć się na zabsolutyzowaniu, na antynomiach nieskończoności – logiczność była uchylona.

A wszelkie myślenie tylko tak długo odpowiada faktom, jak długo utrzymuje się zaufanie do jego logiczności. Dotyczy to każdego myślenia, nie jedynie dedukcyjno-dialektycznego (tym bardziej że nie sposób rozstrzygnąć, ile dedukcji zawiera się w jakimś tam akcie myślowym). Błędem byłoby powiedzieć, że człowiek stracił zaufanie do dedukcji, bo nauczył się nagle patrzeć na fakty innymi, lepszymi oczami; jest akurat odwrotnie: na fakty patrzymy inaczej dopiero wtedy, gdy załamie się dialektyka, a tego załamania nie da się wytłumaczyć niewydolnością wobec rzeczywistości, tej rzeczywistości, której naprawa trwałaby jeszcze długo, lecz ono musi dokonać się przedtem na najbardziej właściwym obszarze logiki, mianowicie wobec problemu nieskończoności. Cierpliwość człowieka wobec autorytetu logiki jest wręcz niewyczerpana i można ją co najwyżej porównać z jego niezmienną cierpliwością wobec sztuki lekarskiej i jak ludzkie ciało bywa ufnie wystawiane na najbardziej bezsensowne kuracje i nawet przy tym zdrowieje, tak też rzeczywistość wytrzymuje najbardziej niemożliwe systemy teoretyczne – dopóki teoria sama nie ogłosi bankructwa, dopóty cieszy się zaufaniem i rzeczywistość jej się podporządkowuje. Dopiero po ogłoszeniu bankructwa człowiek przeciera oczy, dopiero wtedy zwraca się ponownie ku rzeczywistości, przenosi źródło swej wiedzy z obszaru rozumowego wnioskowania na obszar żywego doświadczenia.

U schyłku średniowiecza można wyraźnie zaobserwować te dwie fazy duchowej rewolucji: bankructwo scholastycznej dialektyki i następnie zwrot – prawdziwie kopernikański – ku bezpośredniemu przedmiotowi. Albo innymi słowy: jest to zwrot od platonizmu do pozytywizmu, od języka Boga do języka rzeczy.

Wszelako z tym zwrotem od centralistycznie eklezjastycznego organonu do różnorodności możliwych wrażeń bezpośrednich, z tym przejściem od platońskiego układu średniowiecznej teokracji do pozytywistycznego spojrzenia na dany empirycznie i nieskończenie ożywiony świat, z tym zatimizowaniem dawnej całości musiało z konieczności iść ręką w rękę zatimizowanie sfer wartości, o ile zbiegają się one ze sferami przedmiotów.

Krótko mówiąc postawy wartościujące nie są już kierowane centralnie, to przedmiot wpływa na ich kształt – chodzi już nie o utrzymanie biblijnej kosmogonii, lecz o „naukową” obserwację naturalnego przedmiotu i o eksperyment, jaki można na nim przeprowadzić,

chodzi już nie o ustanowienie państwa Bożego, lecz o usamodzielniony obiekt polityczny, który wymaga nowej politycznej metody w postaci makiawelizmu, nie ku wojnie absolutnej, takiej, jaka skonkretyzowała się w wyprawach krzyżowych, skłania się rycerz, lecz ku ziemskiej walce, którą toczyło się przy użyciu nowej, nierycerskiej broni palnej, idzie już nie o chrześcijaństwo, lecz o określone, empiryczne grupy ludzi, których zewnętrzny znak językowy zespala w narodowość, nie człowieka jako części eklezjastycznego organonu, lecz jednostki ludzkiej w jej swoistym znaczeniu dotyczy zainteresowanie powstającego indywidualizmu, a dla sztuki świętych obcowanie i jego apoteoza nie są już jedynym, ostatecznym celem, jest nim wierna obserwacja świata zewnętrznego, owa wierność, która stanowi o naturalizmie renesansu. Ale jakkolwiek ten zwrot ku bezpośredniemu przedmiotowi może wyglądać świecko, a fakt, że z radością przywoływał na sprzymierzeńca odkrytą na nowo starożytność, prawdziwie pogańsko, to obok przedmiotu zewnętrznego z nie mniejszą siłą narzucał się przedmiot wewnętrzny, ba, bezpośredniość renesansu jest chyba właśnie w tej kontemplacji wnętrza najbardziej bezpośrednia: Bóg, któremu dotychczas dane było objawiać się jedynie przez medium kościelno-platońskiej hierarchii, wraz z wejściem we wnętrze duszy, z odkryciem iskielki na jej dnie stał się bezpośrednim mistycznym poznaniem, stał się odnalezioną łaską – i to zadziwiające współistnienie skrajnej pogańskiej świeckości z nader konsekwentną głębią wewnętrzną mistycznego protestantyzmu, to współzycie najbardziej różnorodnych tendencji wartościujących w obrębie jednej jedynej sfery stylu byłoby chyba całkiem niewytłumaczalne, gdyby nie dało się go sprowadzić do wspólnego mianownika bezpośredniości. Protestantyzm, podobnie jak wszystkie inne zjawiska renesansu, a może jeszcze bardziej niż inne, stał się zjawiskiem bezpośredniości.

Ale jeszcze jedna i bardzo decydująca właściwość konstytucyjna tej epoki może czerpać stąd uzasadnienie: zjawisko „czynu”, które tak uderzająco uzewnętrznia się w każdym przejawie życia renesansu, w tym i w protestantyzmie, owe zaczątki pogardy dla słowa, która pragnie możliwie ograniczyć wyraz językowy do jego poetyckiej i retorycznej autonomii, nie pozwala mu wdrzeć się w pozostałe dziedziny i zamiast tego jako jedyny czynnik wprowadza działającego człowieka, to dążenie do niemoty, która miała przygotować niemotę całego świata, wszystko to ma niezaprzeczalny związek z poszatkowaniem świata na poszczególne sfery wartości, jest zależne od owego zwrotu ku językowi rzeczy, który – pozostał przy tym samym obrazie – jest językiem niemy. Wydawać by się mogło, iż celem tego jest udokumentowanie, że porozumienie między poszczególnymi sferami wartości stało się zbyt techniczne albo że tego rodzaju porozumienie mogłoby zafałszować ścisłość i jednoznaczność języka rzeczy. Obydwa wielkie racjonalne środki porozumiewania się nowoczesności, język nauki w matematyce i język pieniądza w buchalterii, znalazły punkt wyjścia w renesansie, obydwie powstały z owego wyłącznego i jednoznacznego ukierunkowania na własną sferę wartości i z ezoteryzmu wyrazu, którego surowość należałoby wręcz określić mianem ascezy. Jednakże takie nastawienie mało ma wspólnego z ascezą katolicko-mniszą, bo nie jest jak tamta środkiem do celu, nie chce być ekstazy „pomocą”, lecz wyłączenia się z jednoznaczności czynu, tego czynu, który ma odtąd uchodzić za jedyny język jednoznaczny i który je podporządkowuje wyłącznie sobie. Toteż protestantyzm stosownie do swego źródła i charakteru jest „czynem”, stawia na człowieka działającego w imię Boga, szukającego Boga, znajdującego Boga, a wyposażonego w taką samą aktywność, jaka była właściwa nowego typu badaczowi przyrody, ba, żołnierzowi i politykowi nowego typu. Religijność Lutera jest na wskroś religijnością człowieka czynu i w gruncie rzeczy jest jak najdalsza kontemplacji. Ale właśnie w „czynie”, w tej „czynnej realności” zawiera się również tutaj surowość, kategorycznie-imperatywne wypełnianie obowiązku, odgrodenie się od wszelkich innych sfer wartości, owa wręcz obrazoburcza asceza takiego Kalwina, chciałoby się rzec: asceza teoriopoznawcza, która kazała nawet Erazmowi domagać się wykluczenia muzyki z nabożeństw.

W rzeczy samej również średniowiecze znało czyn. I jakkolwiek nowy pozytywizm odcinał się mocno od scholastycznego platonizmu, to odsyłając jednostkę do samotnego ja odślaniał zarazem „pozytywistyczne korzenie” wszystkiego, co platońskie. Nowe chrześcijaństwo nie tylko protestowało, także reformowało, czuło się w pełni renesansem myśli chrześcijańskiej i chociaż początkowo występowało bez teologii, to jednak później na autonomicznej i węższej podstawie wytworzyło teologię czysto platońsko-idealistyczną: bo jako taką można potraktować filozofię Kanta. „Nastawienie na wartości”, etyczne wymogi pod adresem działania, nie zmieniło się w stosunku do średniowiecza i nie mogłoby się zmienić, bo tylko w woli działania na rzecz wartości i jej absolutyzacji konstytuuje się wartość – nie ma innych wartości niż absolutne. Co uległo zmianie, to odgraniczenie stanowiącego wartość czynu: podczas gdy dotychczas intensywność absolutyzacji ogółu wartości chrześcijańskiego organonu, to teraz radykalność usamodzielnionej logiki, surowość jej autonomii została przyporządkowana każdej z osobna poszczególnej sferze, każda z tych poszczególnych sfer została zabsolutyzowana jako odrębna sfera wartości, pojawił się ów rozmach, z jakim zabsolutyzowane sfery wartości mają istnieć obok siebie bez związków i kontaktów, ów rozmach, który nadal czasom renesansu specyficzne zabarwienie.

Z pewnością dałoby się zauważyć, że ogólny styl tych czasów obejmował równomiernie wszystkie różnorodne sfery wartości, ba, że nawet osobowość Lutera nie ograniczała się bynajmniej ascetycznie do jednej jedynej sfery, lecz że właśnie u niego elementy religijne i świeckie łączą się w osobliwy sposób. Ale równie dobrze da się powiedzieć, że mamy tu do czynienia dopiero z początkiem procesu, który na to, by rozwinąć się w pełni, potrzebował pięciuset lat, że te czasy były jeszcze pełne tęsknoty za średniowiecznym zespoleniem i że właśnie taka osobowość jak Luter, który co prawda już nie na zasadzie logiki, lecz na mocy swego ludzkiego bogactwa zbierał w sobie najróżniejsze wartościowe tendencje, wychodząc naprzeciw tej potrzebie epoki uczynił z niej epokę własną i wywarł na nią wpływ na pewno nieporównanie większy aniżeli „logiczniejszy” Kalwin. Jest tak, jak gdyby te czasy pełne były jeszcze lęku przed „surowością” i rozpoczynającą się niemotą, jak gdyby chciały zagłuszyć tę straszną, nadciągającą niemotę i jak gdyby z tego chyba powodu musiały stać się godziną narodzin nowego języka Boga, narodzin nowej polifonicznej muzyki. Ale są to przypuszczenia, których nie sposób udowodnić. Natomiast można uznać za pewne, że to ta sytuacja epoki, że to zamieszanie początku umożliwiło katolicką kontrrewolucję, że to strach przed zaczynającą się samotnością i izolacją wywołał gotowość do podjęcia ruchu, który obiecywał odnalezienie jedności. Bo kontreformacja wzięła na siebie gigantyczne zadanie ponownego skupienia sfer wartości wyłączonych przez ascetyczną tylko religijność protestantyzmu, ponownego zespolenia świata i wszystkich jego wartości oraz dążenia pod wodzą nowej jezuickiej scholastyki raz jeszcze do średniowiecznej całości, aby platońska jedność Kościoła górując jako wartość najwyższa nad wszystkimi innymi sferami wartości zachowała na zawsze swoją boską pozycję.

Zegarmistrz Samwald częściej teraz zachodził do szpitala. Odwiedzał miejsca, gdzie pielęgnowano jego brata, chciał też okazać wdzięczność i okazywał ją nie tylko regulując bezpłatnie zegary lazaretu, ale i proponując wszystkim pacjentom darmowe naprawienie ich kieszonkowych zegarków. A potem odwiedzał rezerwistę Gödickego.

Gödicke zaś czekał na te odwiedziny. Od pogrzebu to i owo przedstawiało mu się jaśniej i spokojniej; ziemskość jego życia zagaściła się, a mimo to wydawała się podnioślejsza i eteryczniejsza nie tracąc na pewności. Wiedział już z całą wyrazistością, że nie musi więcej lękać się ciemności, za którą stał ów inny Gödicke, a raczej stało wielu owych dawnych Gödiczków, tej ciemnej bariery, bo była ona tylko czasem, jaki spędził leżąc w grobie. I gdyby teraz zjawił się ktoś, kto by chciał przypomnieć mu o tym innym, o tym, co działo się przed złożeniem do grobu, to już nie trzeba było się bać, ale można to było zbyć niejako wzruszeniem ramion, wiedząc, że już nie miało żadnego znaczenia. Musiał teraz już tylko przeczekać, bo nie było powodu, żeby bać się życia, które zbierało się wokół niego, nawet jeśli podchodziło bardzo blisko: on miał już śmierć za sobą i wszystko, co następowało, służyło jedynie wznoszeniu rusztowania coraz wyżej. Co prawda nadal nie mówił ani słowa i też nie słuchał, kiedy siostry i koledzy z sali zwracali się do niego, ale niemota i głuchota Gödickego były w dużo mniejszym stopniu obroną własnego ja i własnej samotności niż pogardą i karą dla intruzów. Tylko zegarmistrza Samwalda tolerował, ba, oczekiwał.

Samwald niewątpliwie ułatwiał mu sprawę. Nawet idąc pochylony i wsparty na kulach Gödicke mógł na małego zegarmistrza patrzeć z góry; ale to bynajmniej nie było istotne. Bardziej chyba liczyło się to, że Samwald, jakby wiedząc, kogo ma przed sobą, nie podejmował najmniejszej próby wypytywania go czy przypominania mu o czymś, co dla niego, Ludwiga Gödickego, nie było miłe. Właściwie Samwald w ogóle niewiele mówił. Siedząc z Gödicke na ławce w ogrodzie pokazywał mu zegarki, które wziął do reperacji, otwierał wieczko, tak że można było zobaczyć mechanizm, i próbował wyjaśnić, na czym polegało uszkodzenie. Albo opowiadał o zmarłym bracie, któremu – jak mawiał – należało zazdrościć, ponieważ dokonawszy żywota przebywa już na tamtym, lepszym świecie. Kiedy wszakże zegarmistrz Samwald zaczynał potem gadać o raju i niebiańskich radościach, to z jednej strony wypadało to chyba odrzucić, bo było sprawą, która załatwywała przygotowaniem do confirmacji zaginionego chłopca Gödickego, z drugiej jednak było jakby hołdem dla mężczyzny Gödickego, jakby pytaniem skierowanym do niego, który wiedział więcej, gdyż miał już za sobą bytność w zaświatach. A kiedy Samwald wspominał o spotkaniach biblijnych, na których bywał i doznawał oświecenia, kiedy mówił, że niedola tej wojny musi w końcu doprowadzić do promienniejszego dobra duszy, to Gödicke nadal jeszcze nie nastawiał ucha, jednakże było to jakby odległe potwierdzenie odnalezionego życia i jakby wezwanie, żeby zająć w tym życiu stosowne, poniekąd zaświatowe miejsce. Mały zegarmistrz wydawał mu się wtedy kimś w rodzaju jednego z chłopaków czy jednej z kobiet noszących cegły na budowie i co prawda nie zaszczycanych rozmową, tylko co najwyżej szorstko besztanych, a mimo to potrzebnych. Być może to z tego powodu któregoś razu przerwał opowieści małego zegarmistrza i wydał mu rozkaz: – Przynieś no mi piwo! – a gdy rozkaz nie został natychmiast spełniony, patrzył przed siebie z oburzonym niezrozumieniem. Przez wiele dni był zły na Samwalda, nie raczył spojrzeć na niego i Samwald łamał sobie głowę, jak by tu udobruchać Gödickego. Było to dosyć trudne. Bo Gödicke właściwie sam nie wiedział, że był zły na Samwalda, i bardzo nad tym cierpiał, że pod presją nieznanego nakazu musiał

odwracać twarz, skoro tylko zjawiał się Samwald. I to nie dlatego, by właśnie Samwalda uważał za autora takiego nakazu, lecz miał mu do głębi za złe, że ten nakaz nie został uchylony. Między obu mężczyznami dokonywało się coś w rodzaju mozolnego szukania się nawzajem i była to wręcz genialna myśl zegarmistrza, gdy któregoś pięknego dnia wziął mężczyznę Gödickego za rękę i pociągnął za sobą.

Było to przyjemne, ciepłe popołudnie i zegarmistrz Samwald prowadził dawnego murarza Gödickego za rękaw munduru, krok za krokiem, ostrożnie, zważając też na to, by na drodze unikać kostropatego bazaltowego szutru. Co jakiś czas odpoczywali. A jak chwilę odpoczęli, Samwald szarpał Gödickego za rękaw, a Gödicke wstawał i szli dalej. Tak dotarli do posesji Escha.

Drabina prowadząca do redakcji była dla Gödickego zbyt stroma, więc Samwald posadził go na ławce nie opodal ogrodu i na górę wspiął się sam; wrócił z Eschem i Fendrichem. – To jest Gödicke – powiedział Samwald. Gödicke nie przywitał się. Esch chciał ich zaprowadzić do altany. Jednakże przy obu inspektach, których szklane okna były pootwierane, ponieważ Esch zasiał jesienne uprawy, Gödicke zatrzymał się i spoglądał na zagłębienia, w których leżała brązowa ziemia. – No? – zapytał Esch. Ale Gödicke nadal wpatrywał się w inspekty. Tak to zatrzymali się wszyscy, z gołymi głowami i w czarnych garniturach, jakby zebrali się nad otwartym grobem. Odezwał się Samwald: – Pan Esch urządza spotkania biblijne... chcemy szukać Boga. – Na to zaśmiał się mężczyzna Gödicke, nie był to śmiech dziki, był to może uśmiech cokolwiek bezgłośny, i powiedział: – Gödicke Ludwig trzeciego dnia zmartwychwstał – powiedział to niezbyt głośno i spojrzał triumfalnie na Escha, ba, porzucił swą pokornie pochyloną postawę i wyprostowawszy się był niemal równy wzrostem Eschowi. Fendrich z Biblią pod pachą obserwował go pałającymi gorączką oczami suchotnika, a potem dotknął lekko jego munduru, jakby chcąc się upewnić, czy Gödicke istnieje naprawdę. A dla mężczyzny Gödickego sprawa wydawała się zakończona, on zrobił swoje, nie było to nawet tak bardzo męczące, miał prawo odpocząć i usiadł po prostu na drewnianej krawędzi inspektu, czekając, że Samwald usiądzie obok niego. Samwald powiedział: – Jest zmęczony – a Esch długimi krokami wrócił na podwórze i zawołał w stronę okna kuchni, żeby żona przyniosła kawę. Potem przyszła pani Esch z kawą, ściągnęli też pana Lindnera z drukarni, żeby napił się z nimi, i otaczali Gödickego, siedzącego na krawędzi inspektu, i patrzyli, jak chłepcze kawę. I tylko Gödicke widział coś innego. A skoro pokrzepił się kawą, Samwald znów wziął go za rękę i ruszyli w drogę powrotną do lazaretu. Szli ostrożnie i Samwald uważał, żeby Gödicke nie stapał po kostropatym szutrze. Co jakiś czas odpoczywali. I kiedy Samwald uśmiechał się do swego towarzysza, ten już nie odwracał wzroku.

Cóż, Huguenau był bardzo poirytowany. Apele w sprawie Żelaznego Bismarcka wypadły żałośnie. Że drukarnia nie miała kliszy wizerunku Bismarcka, to jeszcze można wybaczyć, ale nie było nawet porządnego Krzyża Żelaznego w laurowym obramowaniu i nie pozostawało nic innego jak opatrzyć każdy z czterech rogów apelu jednym z owych małych Krzyży Żelaznych, jakimi zazwyczaj ozdabiano się nekrologi poległych. Nie poszedłby z tym świstkiem sam do majora, gdyby nie miał w kieszeni również dobrej wiadomości: warsztat rzeźbiarski w Giessen, którego ogłoszenie wyszukał i do którego z miejsca zatelegrafował, wyraził gotowość dostarczenia posągu Bismarcka w ciągu dwóch tygodni. Ale major był oczywiście głęboko rozczarowany niegustownymi apelami: z początku w ogóle nie słuchał i kwitował usprawiedliwienia jedynie markotnie obojętnymi słowami: – To przecież wszystko jedno. – A kiedy w końcu zgodził się zapowiedzieć swoją wizytę na dzisiaj, to zaraz jednak zepsuł człowiekowi przyjemność dopytując się o Escha. Było to tym bardziej niesprawiedliwe, że to przecież z winy Escha drukarnia nie miała przyzwoitych klisz.

Z rękami w kieszeniach spodni Huguenau przemierzał podwórze w tę i we w tę, czekał na majora. Co się tyczy Escha, to rzecz ukartowało się bądź co bądź całkiem dobrze. Bardzo sprytnie powstrzymało się go wczoraj, gdy wybierał się do papierni – no, a dzisiaj, cóż, popełniło się błąd, dzisiaj dziwnym trafem było jednak za mało papieru na składzie i wysłało się pana redaktora do fabryki. Niestety facet uznał za konieczne pojechać rowerem i jeśli major jeszcze długo każe na siebie czekać, to cały rozkład jazdy weźmie w łeb i ci dwaj jednak tu się spotkają.

Był ciepły, pochmurny dzień. Huguenau spojrzął parę razy na zegarek, potem poszedł do ogrodu, oglądał owoce, które jeszcze nie dojrzałe wisiały na gałęziach, szacował zbiory. W rzeczy samej w tych czasach nic nie dojrzeje, jak należy, na długo przed tym wszystko zostanie rozkradzione. Pewnego ranka Esch zastanie swój ogród ogołocony. Długo to już nie potrwa; po słonecznej stronie czerwienią się już śliwki, Huguenau sięgnął ku górze i sprawdził owoc w palcach. Esch powinien by ogrodzić ogród drutem kolczastym; ale zbiory na pewno nie były tyle warte. Po wojnie drut kolczasty będzie tani.

Czekanie jest jak naprężony drut kolczasty w głębi duszy. Huguenau znowu popatrzył na gałęzie, zamrugał oczyma spoglądając ku szarym chmurom; tam, gdzie słońce się kryło, oślepiało białym blaskiem. Kilkakrotnie zagwizdał na Margerite; ta jednak nie pojawiła się i Huguenau zżymnął się: naturalnie znów była z chłopakami nad rzeką. Najchętniej by ją przyprowadził. Ale musiał czekać na majora.

Nagle – akurat chciał na nią znowu zagwizdać – Margerita stanęła przy nim. Powiedział surowo: – Gdzie ty się ciągle podziewasz! Będziemy mieli gościa. – Potem wziął ją za rękę, przecięli podwórze, przeszli przez sieni i na Fischerstrasse wyglądali majora. Za wcześniej wyprawilem Escha, musiał myśleć wciąż na nowo Huguenau.

W końcu zza rogu ukazał się major; towarzyszył mu leciwy oficer aprowizacyjny, który jednocześnie pełnił w komendanturze obowiązki adiutanta. Huguenauowi, który wprawdzie liczył na to, że będzie miał majora wyłącznie dla siebie, pochlebilo jednak, że wizyta przybierze tak oficjalną formę. Właściwie głupotą było spławienie Escha, cały personel powinien byłby utworzyć szpaler, a Margerita w białej sukieneczce wręczyć bukiet kwiatów. W jakiejś mierze odpowiedzialność również za to zaniedbanie można było zwalić na Escha, ale już się stało i odświętność Huguenaua musiała ograniczyć się do kilku ukłonów, jako że obaj oficerowie zatrzymali się teraz przed domem.

Na szczęście oficer prowiantowy pożegnał się, tak że sytuacja z oficjalnej zmieniła się w prywatną i gdy major wszedł do bramy, Huguenau promieniał oddaniem. – Dygnij, Margerito – zakomenderował. Margerita wlepiła oczy w twarz nieznanego. Major przesunął dłonią po jej czarnych kędziarach: – No, mówi się: dzień dobry, mała Tataro. – Huguenau tłumaczył: – To mała od Escha... – Major uniósł podbródek Margerity: – O, jesteś córką pana Escha? – Po prostu bywa w tym domu... jakby przybrana córka – sprostował Huguenau. Major znowu pogłaskał ją po kędziarach: – Mała czarna Tataro – powtórzył, gdy przemierzali się. – Z pochodzenia to Francuzka, panie majorze... Esch nosi się z myślą, żeby ją ewentualnie adoptować... ale to zbyt ciężkie, ona i tak mieszka u ciotki... nie chce pan major od razu obejrzeć drukarni? proszę, to tutaj, zaraz w prawo... – Huguenau wybiegł naprzód. – Dobrze, proszę pana – powiedział major – ale najpierw chciałbym przywitać się z panem redaktorem Eschem. – Esch zjawi się lada chwila, panie majorze, pomyślałem, że przede wszystkim zechce pan bez przeszkód obejrzeć urządzenie. – Pan Esch wcale mi nie przeszkadza – odrzekł major i Huguenau był dotknięty dość ostrym tonem. Wietrzył jakąś intrygę Escha... no, już on przejrzy sztuczki tamtego, a wtedy powstanie pikantny tajny raport numer dwa. I to, że taki raport powstanie, uspokoiło Huguenau: bo żadna dusza nie zniesie zatrzymywania i tamowania z zewnątrz wewnętrznego nurtu swego działania. Toteż powiedział powściągliwie: – Pan Esch musiał niestety pojechać do papierni... moim obowiązkiem było zadbać o dostawy papieru... może jednak tymczasem pan major obejrzy drukarnię.

Na cześć majora uruchomiono maszynę i również na jego cześć Huguenau kazał niepotrzebnie odbić partię apelu „Mozelskiej Podzięki”. Nadal trzymał Margeritę za rękę, a gdy Lindner ułożył pierwszą partię apelu, Huguenau wziął arkusz z samego wierzchu i wręczył go majorowi. Ponownie uznał, że musi się usprawiedliwić: – Bardzo to skromnie wygląda, na miejscu byłby przynajmniej porządny Krzyż Żelazny z wieńcem laurowym... w wypadku akcji, której przewodzi osobiście pan major!

Major dotknął Krzyża Żelaznego przy butonierce, zdawał się uspokojony że jeszcze tam wisiał. – Ach, Krzyż Żelazny, po co jeszcze jeden? przecież to zbyt ciężkie. – Huguenau skłonił się: – Tak, pan major na pewno ma rację, w takich ciężkich czasach musi wystarczyć skromna forma, mogę się z panem majorem tylko zgodzić, ale skromny obrazek nie spowodowałby dodatkowych kosztów... naturalnie panu Eschowi jest to obojętne.

– Major zdawał się tego nie słyszeć. Po chwili powiedział jednak: – Myślę, że pan krzywdzi pana Escha. – Huguenau uśmiechnął się grzecznie i trochę też pogardliwie. Ale major patrzył nie na niego, tylko na Margeritę:

– Wziąłbym ją za Słowiankę, to taka mała, czarna tatarska dziewczynka.

– Huguenau czuł się w obowiązku wskazać jeszcze raz na francuskie pochodzenie malej. – Ona jedynie bywa w tym domu. – Major pochylił się do Margerity: – Ja też mam taką dziewczuszkę w domu, jest trochę większa, ma czternaście lat... i nie jest taka czarna jak mała Tataro... ma na imię Elżbieta... – A po krótkiej chwili dodał: – Więc to mała Francuzka.

– Mówi tylko po niemiecku – odparł Huguenau – wszystko zapomniała.

– Major zapytał: – Na pewno bardzo lubisz swoich przybranych rodziców?

– Tak – odrzekła Margerita i Huguenau dziwił się, że dziewczynka potrafi tak kłamać; ale ponieważ major zdawał się nieobecny duchem, powtórzył wyraźnie: – Ona mieszka u swoich krewnych. – Major powiedział: – Pozbawiona domu rodzinnego... – Pobrmiewała w tym rzeczywiście jakaś duchowa nieobecność, był to po prostu starszy pan, i Huguenau potwierdził: – Bardzo słusznie, panie majorze, to właściwe słowa, pozbawiona rodzinnego domu... – Major patrzył uważnie w twarz Margerity. Huguenau kusił: – Zecernia, panie majorze, zecerni pan jeszcze nie widział.

– Major przesunął dłonią po czole dziewczynki: – Nie wolno ci patrzeć z taką złością, nie wolno ci tak marszczyć czoła... – Margerita zastanowiła się poważnie, a potem spytała: – Dlaczego? – Major uśmiechnął się, lekko dotknął palcem jej powiek, pod którymi twardo

spoczywały gałki oczu, uśmiechnął się i powiedział: – Małym dziewczynkom nie wolno marszczyć czoła... to grzech... ukryty i zarazem widoczny, taki jest zawsze grzech. – Margerita odsunęła się i Huguenau przypomniał sobie, jak się wyrывała Eschowi; ma rację, pomyślał. Major dotknął teraz swoich oczu: – No, to przecież wszystko jedno... – I Huguenau, który czuł, że major również się odsuwa, choć z nadwątłymi siłami, wręcz ucieszył się widząc, jak Esch na swoim trochę za niskim rowerze wjeżdża krzywonogi na podwórze i zeskakuje przy drewnianych schodach.

Wszyscy wyszli na podwórze, żeby powitać Escha, i major stanął między Huguenauem a małą.

Esch oparł rower o ścianę pod drabiną dla kur i ruszył wolno ku grupie. Nie okazał żadnego zdziwienia, że zastaje tu majora, nie dziwiąc się wcale powitał gościa z taką oczywistością, że Huguenau podejrzewał, iż ten chudy nauczyciel wiedział już wcześniej o wizycie. Dał więc wyraz swemu niezadowoleniu: – Co pan powie na ten zaskakujący zaszczyt? Pan chyba wcale nie jest zaskoczony?

– Cieszę się – odparł Esch.

Major powiedział: – Ja się cieszę, proszę pana, że zdążył pan wrócić w porę.

Esch rzekł poważnie: – Może o dwunastej godzinie, panie majorze.

Huguenau wtrącił: – Jeszcze nie jest tak późno... zechce pan major obejrzeć pozostałe pomieszczenia; tylko że schody są dość niewygodne.

Esch powiedział: – To była daleka droga.

Mała zauważyła: – Przyjechał na rowerze.

Major odezwał się w zamyśleniu: – Daleka droga... a on jeszcze nie jest u celu.

Huguenau oznajmił: – Najgorsze jest za nami... mamy już dwie strony ogłoszeń... a gdybyśmy mogli uzyskać zamówienia władz wojskowych...

Esch powiedział: – Nie chodzi o obwieszczenia.

Huguenau odrzekł: – Nie mamy nawet kliszy z Krzyżem Żelaznym... o to pana zdaniem też nie chodzi!

Dziewczynka wskazała na pierś majora: – Tu jest Krzyż Żelazny.

Major oświadczył: – Odznaczenie jest zawsze niewidoczne, jedynie grzech jest widoczny.

Dziewczynka powiedziała: – Kłamstwo jest największym grzechem.

Esch stwierdził: – Ściga nas niewidzialne, przychodzimy z kłamstwa i jeśli nie znajdziemy drogi, zagubimy się w ciemności niewidzialnego.

Dziewczynka powiedziała: – Nikt tego nie słyszy, jak się kłamie.

Major odparł: – Bóg to słyszy.

Huguenau zauważył: – Nikt nie słucha dezertera, nikt go nie zna, nawet jeśli we wszystkim, co mówi, ma rację.

Esch powiedział: – Nikt nie widzi drugiego w ciemności.

Major oznajmił: – Widzialni, a przecież jeden przed drugim ukryty.

Dziewczynka powiedziała: – Pan Bóg tego nie słyszy.

Esch odparł: – Głos dzieci kiedyś znów usłyszysz.

Huguenau rzekł: – To lepiej, że nikt człowieka nie słyszy, trzeba przebijać się samemu... my już sobie poradzimy.

Major oświadczył: – Myśmy go opuścili i on nas zostawił samych... tak samych, że nie możemy już się odnaleźć.

Esch powiedział: – Uwięzieni w samotności.

Dziewczynka podchwyciła: – Nie będzie można mnie znaleźć.

Major oznajmił: – Kogo opuszczamy, tego musimy szukać wiecznie.

Huguenau powiedział: – Ty chcesz się schować.

– Tak – odrzekła dziewczynka.

Mlecznoszare niebo zaczęło się przecierać w niektórych miejscach zrobiło się niebiesko. Dziewczynka, bosonoga i niesłyszalna, uciekła. Potem poszli też mężczyźni. Każdy w inną stronę.

Historia dziewczyny z Armii Zbawienia w Berlinie (9)

Wczoraj więc znowu u mnie byli, Nuchem i Maria, i śpiewaliśmy razem. Na moją propozycję zaśpiewaliśmy najpierw pieśń:

*Idziemy wraz na ciężki bój,
wierze z ufnością oddani,
nie straszny nam jest bitew
znój ni podstępna złość szatana.
Sztandar dumnie nas tu wiedzie
na zwycięskiej walki szlak, wciąż na czele
wciąż na przedzie,
to triumfu nasz jest znak.*

(chór)

*Zawsze wierni ci będziemy,
wierni zawsze aż do zgonu,
życie ci poświęcić chcemy,
niebiesko-żółto-czerwoni.*

Śpiewaliśmy to na melodię pieśni o Andreasie Hoferze, Maria akompaniowała na lutni, Nuchem nucił i wybijał takt cichymi, gładkimi dłońmi. Podczas gry spoglądali niekiedy na siebie, ale być może tak mi się tylko zdawało, ponieważ po przemowach doktora Litwaka zrobiłem się podejrzliwy. Na wszelki wypadek wydzierałem się bardzo głośno, a miało to różne powody. Bo z jednej strony chciałem w ten sposób uspokoić rodzinę, która niewątpliwie zgromadziła się tymczasem pod moimi drzwiami: dzieci tłoczące się w pierwszym rzędzie i chyba z uchem przy drewnie, białobrody dziadek z pochyloną naprzód górną częścią ciała, z dłonią przy uchu, podczas gdy kobiety trzymają się bardziej w głębi, a ta czy inna popłakuje cicho, wszyscy razem posuwając się pomału do przodu, jednak nie mając odwagi otworzyć drzwi – tak, z jednej strony chciałem ich uspokoić, z drugiej odczuwałem sadystyczną przyjemność wiedząc, że są tam na korytarzu, wabiąc ich i odpychając. Ale wydzierając się tak głośno chciałem też w ten sposób powiedzieć Nuchemowi i Marii: nie krępujcie się, moje dzieci, widzicie, że jestem zajęty sobą i swoim głosem, rozepnij surdut, Nuchemie, unieś jego poły, skłoń się pannie, a ty Mario, nie ociągaj się dłużej, weź spódnice w dwa palce i tańczcie oboje, tańczcie do Jeruzalem, tańczcie do mojego łóżka, zachowujcie się tak, jakbyście byli u siebie w domu. I śpiewałem już nawet nie tekst Marii, lecz swój własny, właściwszy: „Wierny Hofer w Mantui leżał spętany”, dalej niestety nie wiedziałem, jak to idzie, ale modulowałem ten wers i uważałem, że jest stosowny i piękny.

Maria wszelako zakończyła pieśń owym brzdękiem, którym kończą się wszystkie pieśni z akompaniamentem lutni, i powiedziała: – Dobrze się spisaliśmy a teraz w nagrodę trochę się pomodlimy.

I już zsunęła się z krzesła, uniosła złożone dłonie na wysokość twarzy i zaczęła psalm 122: „Uweseliłem się z tego, co mi powiedziano: »Pójdziemy do domu Pańskiego!« – Stały

nogi nasze w dziedzińcach twoich, Jeruzalem! Jeruzalem, które się buduje jak miasto w sobie zespolone! – Bo tam wstępowały pokolenia Pańskie: ustawa dla Izraela, by sławić imię Pana”.

Nie mogłem jej pohamować, chyba żebym rozbił lutnię na jej głowie. Zatem i ja ukląkłem, rozłożyłem ręce i modliłem się: – Córom i synom Izraela herbatę zaparzemy, do herbaty rumu wiejemy, rumu wojennego, rumu bohaterskiego, rumu zastępczego, aby naszą samotność zagłuszyć, bo nasza samotność bezmierna jest, czy to w Syjonie, czy w świętym mieście Berlinie. – Ale podczas gdy tak mówiłem i pięściami waliłem się w piersi, Nuchem podniósł się: stanął przede mną, stanął tyłem do mnie i zwracając nabożną twarz ku otwartemu oknu, w którym podarta, brudna zasłona z perkalu trzepotała w nocnym powiewie jak wyblakła żółto-czerwono-niebieska flaga, wprawił swój tułów w kołyszący ruch. O, to było nieprzyzwoite, to było nieprzyzwoite ze strony Nuchema, którego miałem przecież za przyjaciela.

Skoczyłem do drzwi, rozwarłem je na oścież, krzyknąłem: – Wejdz, Izraelu, wypij z nami herbatę, popatrz na sprośne ruchy mojego przyjaciela i na otwarte oblicze mojej przyjaciółki.

Przedpokój wszakże, przedpokój był pusty Widać rozpierzchli się, pognali na łeb, na szyję do swoich izb, kobiety na wyścigi z dziećmi, a między nimi postępujący dziadek, który nie może się wyprostować.

– Pięknie – powiedziałem, zamknąłem drzwi i zwróciłem się z powrotem ku moim domowym zjawom – pięknie, moje dzieci, to niech was teraz złączy pocałunek Syjonu.

Oboje stali jednak ze zwieszonymi rękami, nie śmieli dotknąć się nawzajem, zatańczyć, stali z głupkowskim uśmiechem. I w końcu napiliśmy się herbaty.

Symposium, czyli rozmowa o wybawieniu

Niezdolny do dzielenia się sobą, niezdolny do rozsadzenia swej samotności, skazany na odgrywanie samego siebie, na zastępowanie własnego jestestwa – to, czegokolwiek człowiek może doświadczyć od człowieka, pozostaje jedynie symbolem, symbolem niepojętego ja, nie wykracza poza wartość symbolu: i wszystko, co trzeba wypowiedzieć, staje się symbolem symbolu, staje się symbolem drugiego, trzeciego, entego stopnia i w prawdziwie podwójnym znaczeniu tego słowa domaga się przedstawienia. Toteż nikomu to nie sprawi trudności i co najwyżej posłuży zwięzłości opowiadania, jeśli zechcemy przedstawić sobie, jak to małżonkowie Esch wraz z majorem i panem Huguenauem znajdują się na teatralnej scenie, uwikłani w spektakl, którego nie uniknie żaden człowiek: występując w roli aktorów.

Przy stole w altanie Escha siedzą: pani Esch, po jej prawej stronie major, po lewej Huguenau, naprzeciw niej (plecami do widza) pan Esch. Jest po kolacji. Na stole chleb i wino, które pan Esch nabył od ogłaszającego się właściciela winnicy.

Zaczyna się ściemniać. W głębi widać jeszcze kontury pasma gór. Wokół dwóch świec, płonących w szklanych kłozach tak zwanych wiatrochronów, tańczą komary. Słychać przerywane, astmatyczne odgłosy pracy maszyny drukarskiej.

ESCH: – Mogę jeszcze nalać, panie majorze?

HUGUENAU: – Wspaniale wino, nic mu nie można zarzucić: my z naszymi alzackimi winami możemy się schować. Pan major zna nasze alzackie wina?

MAJOR (*roztargniony*): – Myślę, że nie.

HUGUENAU: – Cóż, to jest nieszkodliwe wino... my, Alzatzycy, jesteśmy w ogóle nieszkodliwi... że tak powiem, zacny trunek, nic podstępnego (*śmieje się*), a potem ma się co najwyżej zwyczajnego, naturalnego rausza... człowiek zasypia, jak ma dość, to wszystko.

ESCH: – Rausz nigdy nie jest naturalny, rausz to zatrucie.

HUGUENAU: – Ej, patrzcie go, a ja mogę sobie przypomnieć sytuację, kiedy to pan całkiem ochoczo pozwalał sobie na szklaneczkę ponad miarę... na przykład... proszę pana, powiem tylko: gospoda „Palatynat”... nawiasem mówiąc (*przygląda się Eschowi uważnie*) nie wydaje mi się pan taki całkiem nie zatruty.

MAJOR: – Wie pan, te pańskie ataki na naszego przyjaciela Escha są doprawdy godne pożałowania.

ESCH: – Niech sobie gada, panie majorze, on tego nie mówi poważnie.

HUGUENAU: – Owszem, mówię poważnie... w ogóle zawsze walę prosto z mostu, co myślę... nasz przyjaciel Esch to wilk w owczej skórze... tak, obstaję przy tym... i za pozwoleniem powiem, że swoich rauszów pozbywa się po kryjomu.

ESCH (*lekceważąco*): – Mnie jeszcze żadne wino nie zważyło z nóg...

HUGUENAU: – Tak, tak, zawsze trzeźwiusieńki pan Esch, wtedy człowiek się nie zdradzi.

ESCH: – ...może się zdarzyć, że wypiję, tak, i że potem świat robi się Laki prosty, jakby się składał z samej prawdy... taki prosty jak we śnie... prosty i jednak bezwstydnie pełen fałszywych imion... prawdziwego imienia niepodobna znaleźć...

HUGUENAU: – Po prostu musi pan pić wino mszalne, wtedy już dopadnie pan do swoich imion... albo do państwa przyszłości, co kto woli.

MAJOR: – Nawet w żartach nie powinno się bluźnić... także w winie i chlebie jest parabola.

(Huguenau spostrzega swoją gafę i czerwieni się).

PANI ESCH: – Ach, panie majorze, tak to zawsze bywa, kiedy pan Huguenau spotyka się z moim mężem... pewnie, kto się lubi, ten się czubi, ale nieraz naprawdę nie można już tego słuchać, jak on miesza z błotem wszystko, co dla mojego ukochanego męża jest święte.

HUGUENAU: – Świątoszkowate! *(Już odzyskał kontenans i ceremonialnie zapala zgasłe cygaro).*

ESCH *(opanowany tokiem swoich myśli)*: – Prawda we śnie przychodzi o kulach... (uderza w stół) cały świat chodzi o kulach... niewydarzony kulawiec...

HUGUENAU *(zaciekawiony)*: – Inwalida?

ESCH: – ...jeśli w świecie jest jeden jedyny błąd, jeśli w jednym jedynym miejscu nieprawdziwe miałyby być prawdziwe, to wtedy... tak, to wtedy cały świat jest nieprawdziwy... wszystko staje się nierzeczywiste... znika za sprawą diabelskich czarów...

HUGUENAU: – Hokus-pokus i już go nie ma...

MAJOR *(nie słuchając Huguenaua)*: – Nie, przyjacielu Esch, przeciwnie: wśród tysiąca grzeszników wystarczy jeden sprawiedliwy...

HUGUENAU: – ...wielki czarownik Esch...

ESCH *(grubiańsko)*: – Co pan tam wiesz o czarach... *(wrzeszczy na niego)*...to prędzej pan jesteś magik, żongler, kuglarz...

HUGUENAU: – Panie, jest pan w towarzystwie. Niech pan się miarkuje.

ESCH *(spokojnie)*: – Magia, kuglarstwo to diabelstwo, to zło, zawsze tylko powiększa nieporządek...

MAJOR: – Gdzie brakuje poznania, tam jest zło...

ESCH: – ...i musi dopiero przyjść ten, kto usunie błąd i zaprowadzi porządek... kto weźmie na siebie śmierć ofiarną, aby wybawić świat do nowej niewinności...

MAJOR: – Kto weźmie na siebie próbę... *(z przekonaniem)* ale on już przyszedł: to on unicestwił fałszywe poznanie i przepędził kuglarstwo...

ESCH: – ...jeszcze jest ciemność i w ciemności świat jest rozpadły... przybity do krzyża i w ostatecznej samotności włóczy przesyty...

HUGUENAU: – Hm, nieprzyjemna sprawa.

MAJOR: – Straszna ciemność była wokół niego, mrok otępiełej niepewności i żaden nie przystąpił do niego, aby mu pomóc w samotności... a on wziął na siebie zło, wybawił świat od zła...

ESCH: – ...jeszcze jest mord i kontrmord, a porządek wtedy dopiero nastanie, kiedy się zbudzimy...

MAJOR: – Wziąć na siebie próbę, zostać zbudzonym z grzechu...

ESCH: – ...jeszcze nic nie zostało rozstrzygnięte, jesteśmy tylko uwięzieni i musimy czekać...

MAJOR: – ...jesteśmy okrążeni przez grzech, a duch jest duchem nieczystym...

ESCH: – ...czekamy na sąd, po raz ostatni sprawa została odroczone i możemy jeszcze zacząć nowe życie... zło jeszcze nie zwyciężyło...

MAJOR: – ...uwolnieni od ducha nieczystego, uwolnieni przez łaskę... wtedy zło zniknie, jakby go nigdy nie było...

ESCH: – ...to był zły urok, omamienie...

MAJOR: – ...zło zawsze jest poza światem, poza jego granicami; tylko ten, kto przekracza granice, kto wychodzi poza prawdę, wpada w przepaść zła.

ESCH: – ...stoimy na skraju przepaści... na skraju ciemnej otchłani...

HUGUENAU: – To dla nas za mądre, prawda, proszę pani?

(*Pani Esch przygląda włosy; potem przykłada palec do ust, żeby Huguenauowi nakazać milczenie*).

ESCH: – Wielu jeszcze musi umrzeć, wielu musi się poświęcić, aby powstało miejsce dla syna, który zbuduje dom... wtedy dopiero mgła się przerzedzi i powstanie nowe życie, jasne i niewinne...

MAJOR: – Zło tylko na pozór jest między nami, przybiera wielorakie kształty, ale nigdy nie występuje samo... parabola nicości – prawdziwa jest jedynie łaska.

HUGUENAU (*który nie chce się pogodzić z narzuconą mu rolą milczącego słuchacza*): – No, jeśli kradzieże albo gwałcenie dzieci, albo dezercje, albo upadłości istnieją tylko na pozór, to wygląda to całkiem pocieszająco.

MAJOR: – Zło to coś nie istniejącego... łaska wybawiła świat od zła.

ESCH: – Im większa niedola, im głębsza ciemność, im ostrzejszy świszczący nóż, tym bliższe królestwo wybawienia.

MAJOR: – Jedynie dobro jest prawdziwe i rzeczywiste... istnieje tylko jeden grzech: nie chcieć dobra, nie chcieć poznania, nie mieć dobrej woli...

HUGUENAU (*skwapliwie*): – Tak, panie majorze, zgadzam się... ja na przykład z pewnością nie jestem aniołem... (*z namysłem*) wszelako wtedy nie można by w ogóle karać... na przykład dezercera, który ma dobrą wolę, nie wolno by było rozstrzelać, żeby podać tylko jeden przykład.

ESCH: – Nikt nie stoi tak wysoko, żeby miał prawo zadać śmierć drugiemu, nikt nie jest tak nikczemny, żeby jego nieśmiertelna dusza nie wymagała szacunku.

HUGUENAU: – W rzeczy samej.

MAJOR: – Kto chce zła, może równocześnie chcieć dobra, ale kto dobra nie chce, ten postradał łaskę... jest to grzech bezwładu, ociężałości uczuć.

ESCH: – Nie chodzi o dobre i złe uczynki...

HUGUENAU: – Przepraszam, panie majorze, ale to się niezupełnie zgadza... kiedyś w Reutlingen przez jednego bankruta straciłem sześćset mareczek, kawał grosza, a dlaczego? ponieważ gość wpadł w manię religijną, czego naturalnie nie sposób było przewidzieć... i słusznie uniewinnili go i wsadzili do domu wariatów. Ale moja forsa przepadła.

ESCH: – Co to ma oznaczać?

HUGUENAU: – No, że był sobie dobry człowiek, który mimo to popełnił złe uczynki... (*szczerząc zęby*) i jeśli pan mnie zabije, panie Esch, to zostanie pan uniewinniony z powodu manii religijnej, a jeśli ja zabiję pana, to skrócą mnie o głowę... co teraz powie na to pan Esch ze swoją świętoszkowatością? hm? (*Patrzy na majora licząc na poklask*).

MAJOR: – Maniak jest jak marzyciel; ma fałszywą prawdę... przeklina swoje własne dziecko... nikt bezkarnie nie będzie tubą Boga... jest człowiekiem napiętowanym.

ESCH: – On ma fałszywą rzeczywistość... wszyscy mamy jeszcze fałszywą rzeczywistość... w imię słuszności musielibyśmy wszyscy być szaleni! szaleni w swojej samotności.

HUGUENAU: – Tak, ale ja zostanę rozstrzelany, a on nie! przepraszam, panie majorze, na tym właśnie polega jego hipokryzja... (*unosząc się*) *ach, merde, la sainte religion et les curés à faire des courbettes auprès de la guillotine, ach, merde, alors...* jestem człowiekiem oświeconym, ale to jednak przechodzi wszelkie granice!

MAJOR: – Ale, ale, proszę pana, wino mozelskie jest jednak niebezpieczne dla pańskiego temperamentu (*Huguenau robi przeproszający gest*)...dobrowolnie wziąć na siebie próbę i karę, jak musieliśmy wziąć na siebie wojnę, ponieważ zgrzeszyliśmy... to nie jest hipokryzja.

ESCH (*roztargniony*): – Tak, wziąć na siebie pokutę... w ostatecznej samotności...

Maszyna drukarska zatrzymuje się; milkną uderzenia; słychać cykanie świerszczy. Nocny wiatr porusza liśćmi drzew owocowych. Wokół księżycy widać kilka biało oświetlonych chmur. W nagle zapadłej ciszy cichnie rozmowa.

PANI ESCH: – Jak dobrze robi cisza.

ESCH: – Czasami jest tak, jakby świat był tylko jedną straszną maszyną, która nigdy nie ustaje... wojna i wszystko... toczy się to według zasad, których człowiek nie pojmuje... według zuchwałych, pewnych siebie zasad, inżynierskich zasad... każdy musi działać, jak mu to jest przepisane, każdy twarzą do przodu... każdy jest maszyną, którą widać tylko z zewnątrz i która zachowuje się wrogo... o, maszyna to zło, a zło to maszyna. Jej porządek to nicość, która musi przyjść... zanim czas znów będzie mógł ruszyć...

MAJOR: – Symbol zła...

ESCH: – Tak, symbol...

HUGUENAU (*nastawiając ucha w stronę drukarni, ukontentowany*): – Teraz Lindner założy świeży papier.

ESCH (*w nagłym przestkach*): – Mój Boże, czyż nie ma możliwości, żeby człowiek zbliżył się do człowieka?! nie ma wspólnoty, nie ma zrozumienia?! Każdy ma tylko być dla drugiego złą maszyną?!

MAJOR (*kładzie uspokajająco dłoń na jego ramieniu*): – Jakże to, Esch...

ESCH: – Kto nie jest dla mnie zły, mój Boże?

MAJOR: – Ten, kto cię poznaje, mój synu... jedynie poznawanie przełamuje się obcość.

ESCH (*z twarzą w dłoniach*): – Boże, tyś powinien mnie poznać.

MAJOR: – Tylko temu, kto poznanie posiada, dane będzie poznawanie, tylko ten, kto miłość zasieje, będzie zbierał miłość.

ESCH (*wciąż z twarzą w dłoniach*): – Ponieważ ja, o Boże, poznaję cię, nie będziesz już gniewał się na mnie, a ja pozostanę twoim ukochanym synem, wydobyty z sieroctwa... Kto odważy się na śmierć, jest w miłości... dopiero kto rzuci się w straszne spotęgowanie obcości i śmierci... temu przypadnie jedność.

MAJOR: – A łaska spłynie na niego i odbierze mu strach, ów strach, że jego życie na ziemi nie ma sensu, że musi zagubiony bezsensownie i bezradnie iść w nicość...

ESCH: – Tak to poznanie staje się miłością, a miłość staje się poznaniem, niedotykalna wszelka dusza, która przeznaczona jest na naczynie poznającej łaski; przyjęte do miłości, tworząc wspólnotę dusz – wszystkie one nietykalne i samotne, a przecież poznając złączone najwyższy nakaz poznania to nie ranić tego, co żywe: skoro poznałem cię, Boże, jestem nieśmiertelny w Tobie.

MAJOR: – Odrzuć maskę za maską, aż nagie twe serce i twe oblicze. Wystawiony na tchnienie wiecznego...

ESCH: – Stanę się pustym naczyniem,

Odcięty od wszystkiego, wszelkiej żądy wyzbyty

biorę karę na siebie, aby zatracić się w nicości.

Okropny, och, okropny strach...

MAJOR: – Strach to kielkujące posłanie

Bożej łaski, strach to nakaz Boga u wrót zbawienia – przechodź...

ESCH: – Poznaj mnie, o Panie, poznaj w strasznej opresji,

kiedy przedsen śmierci opada na mnie, którym we śnie wędrował. Strach śmiertelny szumi nade mną, porzucony jestem i samotny, odcięty od wszystkiego w mym samotnym umieraniu...

(*pani Esch słucha męża z lękiem, Huguenau bez zrozumienia*).

MAJOR: – A jednak nie jesteś samotny, kiedy w nicości obumierasz,

wyzwolony od zła, strach uciszony,

nikniesz, aby rosła wspaniałość,

potem dopiero poznany poznajesz
powstały potężnie kosmos wspaniale otwartego świata.

ESCH: – Poznaję ciebie kochając przez niego, który mnie kochając poznał, Pustynia
zamienia mi się w ogród wiecznego światła,

łąki bezkresnie rozpostarte, słońce nigdy nie zaćmione...

MAJOR: – Ogród łaski, ogród świat porastający,

łagodność w wiosennym powiewie, ziemia ojczysta, lęku wyzbyta i bezpieczna,

ESCH: – Grzeszny byłem i zły, zły w świadomym strachu,

świadomym fałszywej drogi, pędząc skrajem przepaści,

twarz i ręce wyschnięte, gnany przez pustynie i wąwozy,

ucieczką od noża ocalały, na karku strach Ahaswera,

na stopach lęk Ahaswera, w oczach żądza Ahaswera

goniącego za tym jednym, którego wciąż traciłem,

za tym jednym, którego nie widziałem,

za tym jednym, którego zdradziłem, a on mimo to wybrał mnie

wydanego wichrom, lodowatym burzom w mnóstwie gwiazd,

ziarno łaski zatopione, przebija się, o, wschodzi

spiesząc mi na ratunek...

MAJOR: – Bądź mi bratem sprzed lat, bratem utraconym,

bądź mi jak brat bliski...

*(Obaj śpiewają na przemian, mniej więcej na modłę Armii Zbawienia, major barytonem,
pan Esch basem):*

Boże, coś zastępów Panem,

do swej łaski przyjmij nas,

w jedno wstęgą owiń wraz,

dłonią pewną prowadź w czas,

Boże, coś zastępów Panem,

z krętych ścieżek prostą drogą

wieź do Ziemi Obiecanej,

Boże, coś zastępów Panem.

(Huguenau, który dotychczas wybijał takt na stole, włącza się tenorem):

Od topora strzeż pospołu,

strzeż od końca z ręki kata,

Boże, coś zastępów Panem.

WSZYSCY TRZEJ: – Boże, coś zastępów Panem.

PANI ESCH *(włącza się głosem nie do określenia):*

Proszę cię do mego stołu,

co przez ciebie jest nakryty,

Boże, coś zastępów Panem.

WSZYSCY *(Huguenau i Esch bębniąc w stół):*

Boże, coś zastępów Panem,

daj mym duszom zmiłowanie,

ocal je od wiecznej śmierci,

nie zwól im doświadczać męki,

niech się w wierze zanurzają,

szkody żadnej nie zaznają,

od marności odwracają,

z małej iskry pożar wielki

niech czerwieni w nich powstanie,

Boże, coś zastępów Panem,

ocal, ocal mnie od śmierci.

Major objął ramieniem plecy Escha. Huguenau, z bębniącą pięścią jeszcze na stole, opuszcza ją powoli. Świece się dopaliły. Pani Esch nalewa mężczyznom resztę toina do szklanek, starannie zważając na to, by każdy dostał tyle samo; niewielki ostatek trafia do szklanki jej męża. Księżyc pociemniał lekko, a z czarnego krajobrazu wieje teraz chłodniejszy wiatr, jakby z drzwi do piwnicy. Maszyna drukarska na nowo podejmuje swoją przerywaną pracę, a pani Esch dotyka ręki męża: – Nie pójdziemy już spać?

(zmiana)

Przed domem Escha. Major i Huguenau

Huguenau, wskazując kciukiem okna sypialni małżeństwa Eschów: – Teraz kładą się do łóżka. Esch mógłby być jeszcze zostać z nami... ale ona wie, czego chce... Pozwoli pan major, że go jeszcze parę kroków odprowadzę. Trochę ruchu dobrze zrobi.

Idą milczącymi średniowiecznymi ulicami. Bramy domów są jak czarne dziury. W jednej stoi, oparta o drzwi, para zakochanych, z innej wyskakuje pies i na trzech łapach biegnie ulicą; znika za rogiem. W niejednym oknie pali się jeszcze skąpe światło – co jednak dzieje się za nie oświetlonymi? możliwe, że leży tam zmarły, wyciągnięty na swoim łóżku, zadarłszy spiczasty nos, a prześcieradło tworzy mały namiot ponad skierowanymi ku górze palcami u nóg. Zarówno major, jak i Huguenau spoglądają w okna i Huguenau miałby ochotę zapytać majora, czy pan major także musi myśleć o zwłokach – jednakże major kroczy milczący, niemal zafrasowany: myślami jest prawdopodobnie przy Eschu, mówi sobie Huguenau i dezaprobuje fakt, że Esch leży sobie teraz przy żonie i martwi poczciwego starego. Ale czym ten u diabła, czym ten w ogóle ma się martwić? z miejsca zaprzyjaźnił się z Eschem zamiast obronić się przed natarczywością tego obłudnego konia! ładna przyjaźń wywiązała się między obu panami, między tymi obu panami, którzy widać zapomnieli, że bez niego nigdy by się nie zetknęli: kto zatem miał prawo pierwszeństwa do majora? – i jeśli major jest teraz zmartwiony, to słusznie mu się to należy. Odwrotnie, gdyby zdecydowała tu słuszność i sprawiedliwość, to byłoby to o wiele za mało i pan major ze swoim ukochanym panem Eschem musiałby jeszcze za zdradę specjalnie odpokutować... Huguenau zdumiał się: w pełnym blasku wykiełkowała szalona i podniecająca myśl: związać się z majorem nową, ryzykowną więzią, Escha, który leży sobie z babą w łóżku, poniekąd zdradzić z majorem i samego majora postawić w upokarzającej sytuacji! tak, to znakomita i obiecująca sukces myśl i Huguenau powiedział: – Pamięta pan major mój pierwszy raport, w którym donosiłem o swoich wizytach w bur... – Huguenau pacnął się w usta – przepraszam, w domu publicznym. Pan Esch śpi sobie teraz zacie w małżeńskim łóżku, ale wtedy dotrzymywał towarzystwa. Od tego czasu dalej badałem sprawę i myślę, że znalazłem pewien ślad. Chciałbym teraz znowu zajrzeć do tego domu... jeśli pana majora interesuje sama rzecz i tamtejsze, chciałoby się rzec: ciekawe środowisko, to proponowałbym posłusznie, żeby pan major teraz przeprowadził inspekcję.

Major jeszcze raz przesunął wzrokiem po rzędach okien, po bramach domów, które wyglądały jak wejścia do czarnych piwnicznych czeluści, a potem, ku zaskoczeniu Huguenaua, nie stawiając już oporu powiedział: – Chodźmy.

Zawrócili, bo ów dom znajdował się w przeciwnym kierunku i poza miastem. Major szedł obok Huguenaua znów milczący, może jeszcze bardziej zafrasowany niż przedtem, i Huguenau, aczkolwiek marzył mu się lekki i poufaly ton, nie śmiał nawet wszcząć rozmowy. Ale czekała go jeszcze gorsza niespodzianka: gdy dotarli pod dom, nad którego bramą świeciła się duża czerwona latarnia, major powiedział nagle: – Nie – i podał mu rękę. A że osłupiały Huguenau wlepił w niego oczy, zmusił się do uśmiechu: – Lepiej jednak niech pan dzisiaj prowadzi te swoje dochodzenia sam. – Starszy pan ruszył z powrotem ku miastu.

Huguenau patrzył za nim ze złością i rozgoryczeniem; potem wszakże pomyślał o Eschu, wzruszył ramionami i otworzył drzwi.

Po niespełna godzinie opuścił przybytek. Nastrój mu się poprawił; uleciał ciężący strach, Huguenau doprowadził coś do porządku, i choć nie umiał tego nazwać, odczuwał wyraźnie, że odzyskał samego siebie i swą jasną trzeźwość. Niech inni robią sobie, co chcą, niech tam go wykluczają, jemu to może być obojętne. Szedł dziarsko dalej, przypomniła mu się pieśń Armii Zbawienia, którą musiał gdzieś usłyszeć, i z każdym krokiem wybijał laską rytm: „Boże, coś zastępów Panem”.

Festyn zwycięstwa przez stowarzyszenie „Mozelska podzięka” w piwiarni

„Hala Miejska” urządzony na pamiątkę bitwy pod Tannenbergiem

Jaretzki snuł się po ogrodzie „Hali Miejskiej”. W sali tańczono. Naturalnie będąc jednorękim też by można puścić się w pląsy, ale Jaretzki czuł się skrepowany. Ucieszył się spotkawszy przy jednym z wejść do sali siostrę Matyldę: – O, pani też nie tańczy, siostrzyczko?

– Owszem, tańczę, spróbujemy, poruczniku?

– Póki nie będę miał tego paskudztwa, protezy, do niczego się nie nadaję... tylko chlać i palić... papierosa, siostrzyczko?

– Ach, co pan, przecież jestem tu na służbie.

– A, więc pani tańczy służbowo, w takim razie proszę się zatroszczyć także o biednego, jednorękiego kalekę... niech pani przysiądzie się do mnie na chwilę.

Jaretzki dość ociężale usiadł przy najbliższym stoliku.

– Podoba się pani tutaj, siostrzyczko?

– Ach, jest całkiem przyjemnie.

– Bo mnie się nie podoba.

– Ludzie się bawią, a to im się należy.

– Wie pani, siostrzyczko, ja chyba mam już trochę w czubie... ale to nie szkodzi..., powiem pani, że ta wojna nigdy się nie skończy... a jak pani uważa?

– No, kiedyś wreszcie musi się skończyć...

– Co będziemy robili, jak już nie będzie wojny... jak już nie będzie się fabrykować dla pani kalek do pielęgnowania?

Siostra Matylda zamyśliła się: – Po wojnie... pan przecież wie, czym się pan będzie zajmował. Mówił pan o posadzie...

– Ze mną to inna historia... byłem na froncie... zabijałem ludzi... przepraszam, to brzmi chyba trochę mętnie, ale sprawa jest zupełnie jasna... ja mam to już z głowy... ale jest tylu innych... – wskazał na ogród – ich wszystkich to czeka... Rosjanie podobno wystawiają już bataliony kobiece...

– Pan, panie poruczniku, to potrafi człowiekowi napędzić stracha...

– Ja? nieee... ja to mam już z głowy... wracam do domu... znajdę sobie kobietę... noc w noc tę samą... dość mam kurw... zdaje mi się, że jednak mam w czubie, siostrzyczko... ale widzi pani, to niedobrze, że człowiek jest samotny, to niedobrze, żeby człowiek był samotny... już w Biblii jest tak napisane. A pani, siostrzyczko, wysoko sobie Biblię ceni.

– Jak tam, panie poruczniku, nie chciałby pan się stąd ruszyć? kilku naszych chce już iść... mógłby się pan zabrać z nimi...

Poczuła na twarzy jego przesycony alkoholem oddech: – Ja, powiadam pani, siostrzyczko, bo człowiek stał się samotny... bo kolejno jeden po drugim staje się samotny... a każdy, kto jest samotny, musi zabić drugiego... uważa pani, siostrzyczko, że za dużo wypilem, ale pani wie, że mam mocną głowę... naprawdę nie ma powodu pakować mnie do łóżka... ale co pani powiadam, to jest prawda.

Podniósł się: – Zabawna muzyka, co?... nie wiem zupełnie, co oni właściwie tańczą, popatrzymy trochę?

Ochotnik doktor Ernst Pelzer z oddziału miotaczy min zderzył się z rozpędzonym Huguenauem: – Hopla, wielki mistrzu ceremonii... gna pan jak wicher... zawsze w pogoni za paniami...

Huguenau wcale go nie słuchał; z radosnym zaaferowaniem wskazał dwóch panów w odświętanych surdutach, którzy właśnie weszli do ogrodu piwiarni: – Przybył pan burmistrz!

– Aha, grubsza zwierzyna... no, to nadal udanych łowów, darzbór, wiwat, hura, szlachetny myśliwce...

– Dzięki, dzięki, panie doktorze – Huguenau, który nie słuchał, rzucił to przez ramię i już szykował się do oficjalnej przemowy na powitanie.

Komendant Kuhlenbeck powinien był właściwie siedzieć przy stole dla notabli. Ale długo tam nie wytrzymał.

– Rzucamy się w wir zabawy – powiedział – jesteśmy lancknechtami w zdobytym mieście.

Ruszył ku grupie młodych dziewcząt. Zadarł głowę, jego broda sterczała niemal poziomo. Przechodząc koło fizyliera Kneesego, który smutny i znudzony opierał się o drzewo, klepnął go po ramieniu: – Co to, opłakuje pan swoją ślepą kizkę? Macie być mi lancknechtami jak się patrzy, jak co do czego przyjdzie, macie babom robić dzieci... trzeba się wstydić za was, niedojdy... naprzód, stara ofermo! – Wedle rozkazu, panie komendancie – odparł Kneese i stanął na baczność.

Kuhlenbeck wziął pod rękę Bertę Kringel, przycisnął jej ramię do siebie: – Teraz zatańczę rundkę z wami wszystkimi... która najlepiej umie tańczyć, dostanie całusa.

Dziewczęta wrzasnęły, Berta Kringel usiłowała się wyswobodzić. Ale gdy jego miękka męska łapa objęła jej krótkopalcą dłoń mieszczkańskiej panny, czuł, jak jej palce słabną i tuła się do jego ciała.

– Więc nie chcecie tańczyć... pewnie boicie się mnie... dobra, to zaprowadzę was do loterii fantowej... małe dziewczynki chcą sobie zagrać.

Lisbeth Wöger zawołała: – Przecież pan zawsze nabija się z nas, panie komendancie... komendant przecież nie tańczy.

– No, Lisbeth, ty mnie jeszcze poznasz.

I komendant Kuhlenbeck chwycił również Lisbeth za rękę.

Gdy stanęli przy stole loterii, nadeszła pani Paulsen, małżonka aptekarza Paulsena, zatrzymała się koło komendanta Kuhlenbecka i wyszeptwała zbielałymi wargami: – Że ty się nie wstydzisz... z takimi siusiumajtkami.

Rosły mężczyzna spojrział dość lęklivo zza binokli, potem zaśmiał się: – O, łaskawa pani, to pani przypadnie wielka wygrana.

– Dziękuję – powiedziała pani Paulsen i odeszła.

Lisbeth Wöger i Berta zaszeptały między sobą: – Widziałas, jak zzieleniała?

Chociaż obecność Heinricha do pewnego stopnia przerwała jej pustelnicze życie, Hanna Wendling nie miała ochoty wybrać się na festyn. Ale mecenas Wendling jako wybitny obywatel miasta i jako oficer czuł się do tego zobowiązany. Toteż pojechali z Rödersem.

Siedzieli na sali; był z nimi doktor Kessel. Pod węższą ścianą ustawiono stół dla notabli, biało nakryty, przystrojony kwiatami i girlandami z liści; przewodzili tam burmistrz i major, nie opodal miał też swoje miejsce pan redaktor Huguenau. Gdy spostrzegł nowo przybyłych, ruszył ku nim. Odznaka komitetu tkwiła w butonierce, ale jeszcze wyraźniej jaśniało jego czoło. Nikt nie mógłby przeczyć godności pana Huguenaua. Naturalnie Huguenau dawno

wiedział, kogo ma przed sobą; pani mecenasowa Wendling dość często zwracała jego uwagę na ulicy, a reszty łatwo było się dowiedzieć.

Zwrócił się do doktora Kessela: – Czy mogę, wielce szanowny panie doktorze, prosić o niezwykle zaszczyt uprzejmego przedstawienia mnie państwu?

Tak, mógł prosić.

– Niezwykły zaszczyt, niezwykle zaszczyt – powiedział pan Huguenau – niezwykle wyróżnienie; łaskawa pani żyje tak na uboczu i gdyby niezwykle szczęśliwy traf nie zrządził, że szanowny małżonek jest tu na urlopie, na pewno nie mielibyśmy przyjemności powitania pani dzisiaj wśród nas.

Hanna Wendling odrzekła, że to wojna uczyniła z niej odludka.

– To niesłuszne, łaskawa pani. Właśnie w tak ciężkich czasach człowiek potrzebuje rozweselenia... mam nadzieję, że państwo zostaną tutaj na tańce.

– Nie, żona jest trochę zmęczona, więc chyba niedługo będziemy niestety musieli wyjść.

Huguenau był szczerze urażony: – Ależ, panie mecenasie, skoro pan i łaskawa pani sprawiacie nam raz tę przyjemność, skoro tak piękna kobieta upiększa nasz festyn... przecież to na cel dobroczynny, to pan porucznik powinien w drodze wyjątku przymknąć oko i okazać wielkoduszność.

I chociaż pani Hanna Wendling w pełni zdawała sobie sprawę z płytkości tej gadaniny, odrzekła z rozjaśnionym obliczem: – No to dla pana, panie redaktorze, zostaniemy jeszcze chwilę.

Pośrodku ogrodu zestawiono stół dla żołnierzy, a „Mozelska Podzięka” ufundowała im beczkę piwa, która stała obok na dwóch kozłach. Piwo dawno już wyszło, ale kilku wojaków wciąż jeszcze rozpierało się przy pustym stole. Dołączył do nich Kneese i w piwnych kałużach na blacie z desek kreślił czubkiem palca esyfloresy: – Komendziarz mówi, że mamy im zrobić dzieci.

– Komu?

– Dziewczynom tutaj.

– Powiedz mu, żeby dał nam przykład.

Rechot.

– Już daje.

– Lepiej niech nas puści do naszych bab.

Lampiony kołysały się na nocnym wietrze.

Jaretzki samotnie wałęsa się po ogrodzie. Spotykając panią Paulsen zgina się w ukłonie: – Piękna kobieta taka samotna.

Pani Paulsen odpowiada: – Pan też, poruczniku.

– U mnie to już bez znaczenia, przestało mnie dotyczyć.

– Może spróbujemy szczęścia na loterii, poruczniku? – Pani Paulsen bierze Jaretzkiego pod zdrową, prawą rękę.

Huguenau spotyka komendanta Kuhlenbecka, który z Lisbeth i Bertą przechadza się pod drzewami.

Huguenau pozdrawia: – Dobrej zabawy, panie komendancie, dobrej zabawy, młode panie! I już go nie ma.

Komendant Kuhlenbeck wciąż jeszcze trzyma krótkopalce dłonie mieszczańskich pańnek w swoich dużych, ciepłych łapach: – Podoba się wam ten elegancki młody człowiek?

– Niiie... – chichoczą obie dziewczyny.

– O! Dlaczego?

– Są tu inni.

– Na przykład kto?

Berta odparła: – Tam porucznik Jarecki spaceruje z panią Paulsen.

– Nie zwracaj na nich uwagi – powiedział komendant – ja spaceruję z tobą.

Orkiestra zagrała tusz. Huguenau stał obok kapelmistrza na muzycznej estradzie, która z jednej strony sięgała sali, z drugiej wrzynała się pawilonowato w ogród.

Przyłożywszy dłonie do ust niczym tubę Huguenau krzyknął ponad stołami na cały ogród:
– Uciszcie się!

W ogrodzie i w sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

– Uciszcie się! – wrzasnął jeszcze raz Huguenau w ciszę. Kapitan von Schnaack, ten z zagojonym postrzałem płuca spod szóstki, zjawił się przy nim na podium, rozłożył kartkę papieru: – Zwycięstwo pod Amiens. 3700 Anglików wziętych do niewoli, trzy nieprzyjacielskie samoloty zestrzelone, w tym dwa przez kapitana Bölckego, który tym samym odniósł swoje dwudzieste pierwsze zwycięstwo w powietrzu.

Kapitan von Schnaack podniósł rękę: – Wiwat, wiwat, wiwat! – Orkiestra zaintonowała hymn narodowy. Wszyscy wstali; większość śpiewała. Kiedy na powrót zapadła cisza, z cienistego kąta rozległo się: – Hura, hura, hura, niech żyje wojna!

Wszyscy się obejrzeni.

Siedział tam podporucznik Jarecki. Miał przed sobą butelkę szampana i zdrową ręką usiłował objąć panią Paulsen.

Ściany sali były ozdobione wizerunkami sprzymierzonych wodzów i władców, liśćmi dębowymi i papierowymi girlandami; nie brakowało draperii z chorągwanego płótna. Patriotyczno-reprezentacyjna część festynu została zakończona i Huguenau mógł poświęcić się przyjemnościom. Zawsze był dobrym tancerzem, zawsze miał prawo pochlebiać sobie, że mimo tęgawej przysadzistości robi dobre wrażenie; ale tutaj było to coś więcej, tutaj było to więcej aniżeli giętkość i zwinność niedużego, tęgawego mężczyzny, tutaj, na oczach wodzów, taniec stawał się świętem zwycięstwa.

Tancerz zapomina o całym świecie. Poddany muzyce wyrzeka się swobody działania, a mimo to działa z wyższą i jaśniejszą swobodą. W precyzji rytmu, który go wiedzie, czuje się bezpiecznie i z tego poczucia bezpieczeństwa wypływa ogarniające go wielkie rozluźnienie. Tak to muzyka wprowadza jedność i porządek w zawilość i pogmatwanie życia. Uchylając czas uchyla śmierć, a jednak w każdym taktacie pozwala powstawać jej na nowo, nawet w taktach owego nudnego i długiego *potpourri*, które tu rozbrzmiewa i pod nazwą *Ze wszystkich muzycznych krain* łączy w różnorodną wiązaną melodie rodzime z nieprzyjacielskimi tańcami jak cake-walk, matchiche i tango. Partnerka tancerza nuci, a rozkrochmalając się śpiewa. I jej roztkliwiony a nie wyćwiczony głos sprawia, że barbarzyńskie teksty, które ona bez wyjątku zna na pamięć, z przymilnym tchnieniem jej oddechu muskają jego twarz, gdy w tangu nachyla się ku niej. Ale już tancerz znów się pręży, jego zbudzona odwaga spogląda nieruchomo i surowo przez szklę okularów, spogląda w dal, a kiedy orkiestra bucha heroicznym tempem marsza, tancerz i tancerka odważnie stawiają czoło wrogim mocom; teraz zaś przechylają się w rytm podstępnie rozhuśtanego one-stepa, kołyszą się osobiwie jak kaczkę, prawie nie poruszając się naprzód, w jednym miejscu, aż znów nadciągają długie fale tanga i krok staje się na powrót koci i miękkie, postawa i uda robią się giętkie. Gdy przesuwają się koło stołu dla notabli, przy którym za wazonami kwiatów siedzą major i burmistrz, tancerz płynnym ruchem bierze szklankę ze stołu – bo on sam też ma przy nim miejsce – i nie przerywając tańca, niczym linoskoczek, który wysoko w powietrzu z nonszalanckim uśmiechem zajada smakowity posiłek, przepija do siedzących.

Prawie nie prowadzi tancerki; tylko jedną dłoń, wytwornie owinięta chusteczką, spoczywa poniżej ponętnego wcięcia na plecach, druga, lewa, zwisa niedbale. Dopiero kiedy orkiestra przechodzi raptownie w walca, łączą się wolne dłonie, sztywne i podwojone wysuwają się

zespolone ramiona i splótszy palce para wiruje wkoło. Obrzucając sałę wzrokiem tancerz stwierdza, że szeregi się przerzedziły. Prócz nich tańczy jeszcze tylko jedna para, zbliża się, niemal ociera, oddala, sunie wzdłuż ścian. Pozostali wmieszali się między widzów; nie znając nieprzyjacielskich tańców podziwiają. Gdy orkiestra milknie, widzowie i tancerze klaszczą w dłonie, a orkiestra zaczyna grać na nowo. Są to nieomal zawody. Huguenau nie patrzy na partnerkę, która ulegle odrzuciwszy w tył głowę poddaje się jego silnemu, jednakże ledwie widocznemu przewodnictwu, nie zauważa, że muzyka wyzwala w jego damie delikatniejszą i bardziej napiętą sztukę pici, rozpasaną kobiecość, jaka małżonkowi damy, jaka jej kochankowi, jaka jej samej na zawsze pozostanie nie znana, nie widzi też ekstatycznego uśmiechu, z jakim druga dama obnażając dziąsła zawisa na swoim panu, widzi tylko jego, widzi tylko tego nieprzyjacielskiego tancerza, chudego pośrednika w handlu winem, który we fraku i czarnym krawacie, z Krzyżem Żelaznym, jego samego, mającego do dyspozycji tylko niebieski garnitur, przyćmiewa elegancją i odznaczeniem za męstwo. Tak mógłby tu również tańczyć chudy Esch i żeby odebrać mu kobietę, Huguenau wpatruje się teraz w oczy przesuwającej się obok tancerki, a czyni to tak długo, aż ona odwzajemni spojrzenie, odda mu się w spojrzeniach, tak że on, Wilhelm Huguenau, posiada w danej chwili obie kobiety, posiada je nie pożądamy ich, bo nie chodzi mu o kobiece względy, choćby tu o nie zabiegał, nie chodzi mu o miłosne rozkosze, gdyż ta uroczyść i ta obszerna sala zacieśniają się coraz bardziej wokół tamtego nakrytego białym obrusem stołu, a jego myśli coraz dobitniej kierują się ku majorowi, który białobrody i piękny siedzi za kwiatami i przygląda się jemu, Wilhelmowi Huguenauowi, na środku sali; on jest wojownikiem, który tańczy przed swoim wodzem.

Ale oczy majora wypełniają się rosnącą trwogą. Ta sala z obu mężczyznami, kolebiącymi się bezwstydnie, podskakującymi bezwstydnie, jeszcze bezwstydniej niż szczipione z nimi kobiety, była jakby osławionym przybytkiem, była piekłem. A to, że wojnie mogły towarzyszyć takie święta zwycięstwa, czyniło z wojny krwawą karykaturę nikczemności. Było tak, jakby świat zatracił twarz, zatracił jakiegokolwiek oblicze, stał się bagnem pełnym materii nie do rozróżnienia, bagnem, z którego nie było już ratunku. Major Pasenow, zdjęty zgrozą, przyłapywał się na tym, że on, pruski oficer, najchętniej zdarłby płótno chorągwiane ze ścian, nie dlatego że zbezczeszczała je świąteczna okropność, lecz że było ono niepojęcie złączone z okropnością i piekielną pompą, a za tą niepojętością kryła się cała nierycerskość nierycerskich broni, zdradzieckich przyjaciół i zerwanych przymierzy. I w osobliwie lodowatym znieruchomieniu wzbiera w nim straszne pragnienie unicestwienia, wytępienia demonicznego pomiotu, ujrzenia, jak leży zmiażdżony u jego stóp. Ale ponad pomiot wznosi się nieporuszony i wielki jak spiętrzone pasmo gór, jak cień turni na ścianie obraz przyjaciela, być może obraz Escha, poważny i uroczysty, i major von Pasenow ma wrażenie, że to dla przyjaciela zło powinno zostać zmiażdżone i odesłane w nicość. Major von Pasenow tęskni za bratem.

Siostra Matylda szukała komendanta Kuhlenbecka. Znalazła go w kręgu szanowanych przedsiębiorców. Siedzieli tam kupiec Kringel, oberżysta i masarz Quint, pan budowniczy Salzer, pan dyrektor poczty Westrich. A u ich boku siedziały żony i córki.

- Na chwilę, panie komendancie.
- Jeszcze jedna kobieta, która sobie mnie upatrzyła.
- Tylko na chwileczkę, panie komendancie.
- Kuhlenbeck wstał: – Co się dzieje, moje dziecko?
- Musimy zabrać porucznika Jaretzkiego...
- A, pewnie ma już dość.
- Siostra Matylda uśmiechnęła się na potwierdzenie.
- Rzucę okiem na niego.

Jaretzki położył zdrowe ramię na stole, wtulił głowę i spał.

Komendant spojrzął na zegarek: – Flurschütz mnie zluzuje. Lada chwila powinien tu być samochodem. Niech go zabierze.

– Można tu go tak zostawić śpiącego, panie komendancie?

– I tak nie pozostaje nic innego. Wojna to wojna.

Doktor Flurschütz mrugając z lekka zaczerwienionymi oczami przemierzał ogród piwiarni. Potem wszedł na salę. Major i reszta znakomitego towarzystwa opuściła już festyn. Wyniesiono długi stół i cała sala służyła do tańca, który przetaczał się posuwicie w tłoku, dymie i pocie.

Trochę to trwało, nim wypatrzył komendanta; Kuhlenbeck z poważną miną, zadarłszy brodę, wirował w walcu z panią aptekarsową Paulsen. Flurschütz poczekał na koniec tańca, po czym się zameldował.

– No, nareszcie, Flurschütz. Oto widzi pan swego dostojnego przełożonego, który oddaje się takim dziecinnyim igraszkom wskutek pańskiej opieszałości... ale teraz nic panu nie pomoże; kiedy komendant tańczy, lekarz naczelny musi iść w jego ślady.

– Panie komendancie, niesubordynacja, ja nie tańczę.

– To się nazywa młodość... myślę, że ja jednak jestem młodszy od was wszystkich... ale teraz już idę, przyślę potem panu samochód. Niech pan weźmie Jaretzkiego; chwilowo jest zalany w pestkę... jedna z obu sióstr pojedzie ze mną, druga z panem.

W ogrodzie wytropił siostrę Carlę: – Siostró Carlo, zabieram panią do domu razem z czterema kulawcami. Niech pani ich ściągnie, ale migiem.

Potem rozmieścił swój ładunek. Trzej żołnierze siedzieli z tyłu, siostra Carla i czwarty ranny na przedzie, a on sam zajął miejsce koło szofera. Siedem kul sterczało w czarne powietrze (ósma leżała gdzieś w samochodzie). Gwiazdy wisiały w czarnym namiocie. Pachniało benzyną i kurzem. Ale od czasu do czasu, zwłaszcza na zakrętach, czuło się bliskość lasu.

Podporucznik Jaretzki podniósł się. Miał takie uczucie, jakby zasnął w przedziale. Oto pociąg zatrzymał się na jakiejś większej stacji; Jaretzki ruszył do bufetu. Na peronie było dużo ludzi i dużo świateł. – Niedzielny ruch – powiedział sobie Jaretzki. Zrobiło mu się zimno. Tak w okolicy żołądka. Dobrze mu zrobi coś ciepłego. Nagle poczuł brak lewej ręki. Pewnie leży na siatce na bagaż. Torował sobie drogę pomiędzy stolikami i ludźmi. Zatrzymał się przy stoliku loterii.

– Jeden grog – zamówił.

– Dobrze, że pan jest – powiedziała siostra Matylda do doktora Flurschütza – z Jaretzkim dzisiaj nie pójdzie tak łatwo.

– Damy sobie jakoś radę, siostró... dobrze się pani bawiła?

– O tak, było całkiem przyjemnie.

– Czy dla pani, siostró, też jest to trochę upiorne?

Siostra Matylda usiłowała zrozumieć, nie odpowiedziała.

– No, czy dawniej mogłaby pani sobie coś takiego wyobrazić?

– Przecież to przypomina nasze odpusty.

– Cokolwiek historyczny odpust.

– Może i tak, panie doktorze.

– Puste formy, które jeszcze żyją... wygląda jak odpust, ale ludzie nie wiedzą już, co się z nimi dzieje...

– Wszystko się jeszcze naprawi.

Stała przed nim zdrowa i prosta.

Flurschütz potrząsnął głową: – Jeszcze nigdy nic się nie naprawiło... a już najmniej Sąd Ostateczny... tak to wygląda: nie?

– Co panu przychodzi do głowy, doktorze!... ale musimy zebrać naszych pacjentów.

Koło pawilonu dla orkiestry błakającego się Jaretzkiego dopędził ochotnik doktor Pelzer: – Panie poruczniku, pan zdaje się pilnie czegoś szukać.

– Tak, grogu.

– To wspaniały pomysł, panie poruczniku, nadchodzi zima, a ja przyniosę grogu... pan tymczasem niech sobie usiądzie. – Puścił się biegiem, a Jaretzki usiadł przy stole, zaczął wymachiwać nogami.

Z zamiarem opuszczenia festynu przechodził nie opodal doktor Wendling z żoną. Jaretzki zasalutował: – Pozwoli pan, panie poruczniku, podporucznik Jaretzki, ósmy batalion jebrów heskich, grupa armii Następca Tronu, utrata lewej ręki w wyniku zatrucia gazem pod Armentieres, przedstawia się posłusznie.

Wendling popatrzył na niego zdziwiony: – Bardzo mi miło – odparł – porucznik doktor Wendling.

– Inżynier dyplomowany Otto Jaretzki – poczuł się w obowiązku uzupełnić Jaretzki, przy czym stanął na baczność również przed Hanną, aby pokazać, że prezentacja dotyczyła także jej.

Hanna Wendling była już dzisiaj często obiektem podziwu. Powiedziała uprzejmie: – To jednak straszne z pańską ręką.

– Tak jest, pani dobrodziejko, straszne, ale sprawiedliwe.

– Ale, ale, panie kolego – zaprotestował Wendling – tu przecież nie można mówić o sprawiedliwości.

Jaretzki uniósł palec: – Nie chodzi o sprawiedliwość prawników, panie kolego... otrzymaliśmy nową sprawiedliwość, po co człowiekowi tyle kończyn, skoro jest sam... pani dobrodziejka chyba się z tym zgodzi.

– Dobranoc – powiedział Wendling.

– Szkoda, wielka szkoda – odparł Jaretzki – ale naturalnie każdy trzyma się swojej samotności... dobranoc państwu. – I wrócił do swego stołu.

– Dziwny człowiek – mówi Hanna Wendling.

– Pijany dureń – odpowiada jej mąż.

Nadchodzi ochotnik Pelzer z dwiema szklankami grogu i staje na baczność.

Huguenau wypadł z sali tanecznej. Otarł pot z czoła, wetknął chusteczkę pod kołnierz.

Zatrzymała go siostra Matyllda: – Proszę pana, niech pan nam pomoże skrzyknąć naszych pacjentów.

– Wielki to zaszczyt, łaskawa panno, czy mam kazać zagrać tusz? – Chciał już zwrócić się do orkiestry.

– Nie, nie, proszę pana, niech pan nie robi takiej sensacji, można to załatwić zwyczajnie.

– Bardzo proszę... festyn był wspaniały, prawda, łaskawa panno? pan major też wypowiadał się nadzwyczaj przychylnie.

– Z pewnością to piękny festyn.

– Również pan komendant zdawał się niezwykle zadowolony... był w znakomitym nastroju... mogę panią prosić o przekazanie panu komendantowi ukłonów ode mnie?... tak prędko nas opuścił, nie mogłem go odprowadzić.

– Proszę, niech pan może zwróci uwagę żołnierzom na sali tanecznej, że doktor Flurschütz i ja czekamy na nich przy wejściu.

– Zrobi się, zrobi się natychmiast... ale że pani chce nas opuścić tak prędko, to niedobrze, łaskawa panno... nie jest to chyba znak, że pani się nie bawiła... mam taką nadzieję...

Z chusteczką pod kołnierzem Huguenau podążył z powrotem na salę.

- A jak tam z oficerami, siostrze? – spytał Flurschütz.
- Ach, o nich nie musimy się już martwić, zabrali się chyba z jakąś okazją.
- Pięknie, to wszystko zdaje się jednak wracać do normy... ale Jarecki nas nie ominie.

Jarecki i ochotnik doktor Pelzer wciąż jeszcze siedzieli w ogrodzie pod muzyczną estradą. Jarecki próbował patrzeć na lampiony przez brązową szklankę grogu.

Flurschütz przysiadł się do nich: – Jak by to było z pójściem spać, Jarecki?

– Z kobietą idę spać, bez kobiety nie idę spać... sprawa zaczęła się od tego, że mężczyźni szli spać bez kobiet, a kobiety bez mężczyzn... to było złe.

– Ma rację – powiedział ochotnik.

– Możliwe – przyznał Flurschütz – i teraz wpadł pan na to, Jarecki?

– Tak, właśnie teraz... ale wiem o tym już dawno.

– Dzięki temu na pewno wybawi pan świat.

– Wystarczy, jeśli wybawi Niemcy... – zauważył ochotnik Pelzer.

– Niemcy... – podchwycił Flurschütz i zapatrzył się na pusty ogród.

– Niemcy... – powtórzył Pelzer – wtedy na ochotnika zgłosiłem się na front... teraz cieszę się, że jestem tutaj.

– Niemcy... – powiedział Jarecki, który zaczął płakać – ...za późno... – wytarł sobie oczy – Flurschütz, miły z pana chłop, kocham pana.

– To ładnie z pańskiej strony, ja też pana kocham... pójdziemy teraz do domu?

– My już nie mamy domu, Flurschütz... spróbuję ożenku.

– Na to dzisiaj chyba też jest za późno – stwierdził ochotnik.

– Tak, późno jest, Jarecki – powiedział Flurschütz.

– Na to nigdy nie jest za późno – zatkał Jarecki – ale ty mi ją obciąłeś, ty Świnio.

– No, Jarecki, już czas, żeby się pan wreszcie obudził...

– Ty mi obcinasz moją, ja ci obetnę twoją... dlatego wojna musi toczyć się wiecznie... próbowałeś już kiedyś granatu?... – poważnie pokiwał głową – ...ja próbowałem... fajne jajka te granaty... zgniłe jajka.

Flurschütz wziął go pod rękę: – Tak, Jarecki, prawdopodobnie ma pan nawet rację... tak, i prawdopodobnie jest to rzeczywiście jedyny środek porozumienia się... ale chodźmy już, przyjacielu.

U wejścia żołnierze zebrali się już wokół siostry Matyldy.

– Postawa, Jarecki – powiedział Flurschütz.

– Wedle rozkazu – odrzekł Jarecki i podszedłszy do siostry Matyldy stanął na baczność i zameldował: – Obecni: jeden podporucznik, jeden lekarz naczelny i czternastu żołnierzy... melduję posłusznie, że on mi ją obciął... – zrobił krótką sztuczną pauzę, a potem wyciągnął z kieszeni pusty rękaw i pomachał nim przed długim nosem siostry Matyldy: – Niepokalany i pusty.

Siostra Matylda zawołała: – Kto chce jechać, niech jedzie; ja z pozostałymi idę piechotą.

Nadbiegł Huguenau: – Mam nadzieję, że wszystko grało, łaskawa panno, i jesteśmy w komplecie... czy mogę życzyć szczęśliwego powrotu do siebie...

Pożegnał się z siostrą Matyldą, z doktorem Flurschützem, z podporucznikiem Jareckim, z każdym z czternastu żołnierzy, przedstawiając się każdemu z nich jako „Huguenau”.

Historia dziewczyny z Armii Zbawienia w Berlinie (10)

Jakie właściwie mam zamiary wobec Marii? zapraszam ją, pozwalam jej śpiewać, przy całej niewinności stręczę ją Nuchemowi, talmudyście, trzeba chyba powiedzieć: odszczepieńczemu talmudyście, i pozwalam jej odchodzić, wracać na niwę jej szarego przytułku. Jakie mam wobec niej zamiary? i dlaczego ona godzi się na tę grę? chce uratować moją duszę, chce zgoła porwać się na niezmierzone, na z gruntu niemożliwe zadanie pochwylenia talmudycznej duszy Żyda, doprowadzenia jej do Jezusa? Nawiasem mówiąc, co sobie myślał ten Nuchem? Oto dwoje ludzi znalazło się na pozór całkowicie w moich rękach, a jednak ja nic o nich nie wiem, nie wiem, co myślą i co dzisiaj wieczorem będą jedli: tak samotny jest człowiek, że nikt, nawet Bóg, który przecież go stworzył, nie wie o nim czegokolwiek.

Sprawa niezwykle mnie niepokoiła, tym bardziej że zawsze mogłem sobie wyobrazić Marię tylko jako istotę, która jest po brzegi wypełniona pieśniami i biblijnymi sentencjami, i powodowany tym zaniepokojeniem wybrałem się w drogę do przytułku.

Musiałem pójść tam dwa razy, zanim ją zastałem. Odwiedzała chorych i do domu wracała zawsze dopiero wieczorem. Siedziałem więc w rozmównicy, oglądałem wersety z Biblii na ścianie, oglądałem portrety generała Bootha i jeszcze raz rozważałem wszystkie możliwości: przypominałem sobie moje pierwsze spotkanie z Marią, dalej przypadkowe zetknięcie się z Nuchemem, uprzytamniałem sobie wszystko, co się dotąd stało, wbijałem sobie wszystko bardzo dokładnie w pamięć i nie pomijałem chwili obecnej: z wielką uwagą oglądałem rozmównicę, chodziłem w kółko po pokoju, który powoli już mroczniał, bo na dworze się zachmurzyło; za oknem spadały ciężkie krople i nadciągnęła przyspieszona ciemność. Zastanawiałem się, czy dla obu starych mężczyzn, którzy jak ja siedzieli w tej rozmównicy, należy zrobić miejsce w mojej pamięci, i zrobiłem dla nich miejsce – na wszelki wypadek. Byli bardzo zmęczeni, ich myśli nie do przeniknięcia, ja byłem dla nich powietrzem.

Było już późno, gdy wreszcie przyszła Maria. Tymczasem wyprowadzono obu starych mężczyzn i ja wręcz bałem się, że ze mną obejdą się tak samo. W kiepsko oświetlonym pomieszczeniu nie od razu mnie poznała, powiedziała: – Niech pana Bóg błogosławi – a ja odparłem: – To jest parabola. – Poznając mnie teraz odrzekła ze swej strony: – To nie jest parabola, Bóg ma pana błogosławić. – Ja z kolei powiedziałem: – U nas, Żydów, wszystko jest parabolą. – Na to ona odrzekła: – Pan nie jest Żydem. – A ja: – Chleb i wino są również parabolą; poza tym mieszkam razem z Żydami. – Powiedziała: – Nasz dom jest zawsze w Panu. – To było słuszne, tak sobie ją wyobrażałem, na wszystko święta sentencja. Miałem ją teraz znowu w garści i podniosłem głos: – Zabraniam pani przychodzenia kiedykolwiek do mego żydowskiego mieszkania – ale tutaj zabrzmiało to pusto, musiałem chyba mieć ją znów u siebie, aby móc z nią rozsądnie porozmawiać; roześmiałem się więc i powiedziałem: – To żart, wielkie mi mecyje, to tylko żart. – Ale choćbym w taki sposób szukał ratunku przed swymi własnymi słowami w słowach kogoś obcego, ba, obcej rasy, choćbym chronił się pod skrzydła obcego Boga, nic nie pomagało, nie odnajdowałem dawnej pewności. Być może byłem rzeczywiście nazbyt znękanym czekaniem, postarzałem się jak ci dwaj starzy mężczyźni, których w końcu wyprowadzono z poczekalni, zostałem poniżony czekaniem, stworzenie zamiast stwórcy, zdetronizowany Bóg. Musiałem powiedzieć niemal pokornie: – Chciałem

panią uchronić przed szkodą, doktor Litwak zwrócił mi uwagę na niebezpieczeństwa. – Było to w rzeczy samej przekręcenie stanu faktycznego, bo Litwak obawiał się tylko niebezpieczeństw dla Nuchema. I żeby takiego śmiesznego półwolnomyśliciela przywoływać na świadka! doprawdy, mojej pewności siebie nie mógłbym bardziej zaszkodzić. I choć miała w zanadrzu prostą odpowiedź, było to pouczenie: – Kto radości doznaje, tego szkoda się nie ima. – Przez to upokorzenie straciłem cierpliwość i nie zauważyłem, że właściwie załatwiam sprawy dziadka i doktora Litwaka. – Żebyś nie zadawała się więcej z tym młodym Żydem, on ma grubą żonę i kupę dzieci. – O, gdybym mógł czytać w jej duszy, gdybym mógł wiedzieć, czy w ten sposób uraziłem ją i zraniłem, rozdarte to serce, które twierdzi, że doznaje radości – ale nic się nie dało zauważyć, może mnie w ogóle nie zrozumiała. Powiedziała jedynie: – Chcę przyjść do pana. Będziemy śpiewali. – Uznałem się za pokonanego. – Możemy zaraz iść – oznajmiłem z resztką nadziei, że to jednak ja będę wyznaczał jej drogę. Odrzekła: – Z wielką chęcią, ale muszę jeszcze raz iść do moich chorych.

Tak to byłem zmuszony nic nie wskórawszy ruszyć w drogę do domu. Deszcz siąpił już tylko. Przedemną maszerowała bardzo młoda para zakochanych; szli przytuleni i wymachiwali rękami w takt marszu.

Rozpad wartości (8)

Religie powstają z sekt i znów rozpadają się na sekty, wracają do swego źródła, zanim całkiem przestaną istnieć. U początku chrześcijaństwa legły osobne kulty Chrystusa i Mitry, u jego końca występują groteskowe sekty amerykańskie, występuje Armia Zbawienia.

Protestantyzm – pierwsza wielka formacja sekciarska chrześcijańskiego rozpadu. Sekta, nie nowa religia. Bo zabrakło najważniejszej cechy nowej religii: nowej teologii, która zespala nową kosmogonię z nowym przeżyciem Boga w nową całość świata. A protestantyzm, z natury niededukcyjny i nieteologiczny, nie zdobył się na wyjście ze sfery autonomicznego, wewnętrznego przeżycia Boga.

Kantowskie odnowienie jako spóźniona protestancka teologia podjęło się co prawda nadać pozytywistyczno-naukowej zawartości religijno-platońską treść, lecz było dalekie od dążenia do teologicznego całokształtu wartości na katolicką modłę.

Obronę przeciwko postępującemu rozpadowi katolicyzmu na sekty zorganizowali jezuiti kontreformacji poprzez drakońskie, wprost militarne scentralizowanie wartości. Były to czasy, w których nawet pozostałości dawnych pogańskich zwyczajów ludowych wciągnięto do służby dla Kościoła, w których doszło do katolickiego przełomu w sztuce ludowej, w których Kościół jezuitki osiągnął niebywały przepych, mając na celu i uzyskując ekstatyczną jedność – nie była ona już wprawdzie nasyconą symbolami jednością gotyku, była raczej jej heroiczno-romantycznym przeciwieństwem.

Protestantyzm musiał obywać się bez takiej ochrony przed dalszym rozpadem na sekty. Jego stosunek do pozareligijnych sfer wartości polega nie na wciąganiu, ale na tolerowaniu. Gardzi on pozareligijną „pomocą”, bo jego ascetyczne wymogi żądają radykalnej głębi wewnętrznej przeżycia Boga. I choć również dla niego wartość ekstatyczna była przyczyną i najwyższym sensem religijności, to tę wartość z całą ścisłością należało uzyskać, czysto, niezmaczenie i autonomicznie, z religijnej sfery wartości.

To podług zasady ścisłości protestantyzm reguluje swój stosunek do pozareligijnych ziemskich sfer wartości i stara się też zabezpieczyć swoje ziemskie i kościelne istnienie. Nastawiony czysto i wyłącznie na Boga z konieczności zdany jest na jedynie istniejącą duchowo-ziemską emanację Boga: ma Pismo Święte – i więz z Pismem staje się owym najwyższym ziemskim obowiązkiem, na który przenosi się cała radykalność, cała ścisłość metody protestanckiej.

Myśl protestancka: kategoryczny imperatyw obowiązku. Cała sprzeczność z katolicyzmem: zewnętrznych wartości życia nie wciąga się do wiary, nie kanonizuje się teologicznie, lecz jedynie na podstawie Pisma kontroluje się je ściśle i chłodno.

Gdyby protestantyzm poszedł inną, katolicką drogą, aby ze swej strony dotrzeć do protestanckiego systemu wartości, jak to się na przykład zdarzyło Leibnizowi, uchroniłby się

być może nie mniej skutecznie od katolicyzmu przed dalszym odłączaniem się sekt, ale siłą rzeczy wyrzekłby się swej własnej istoty. Znajdował się i znajduje w sytuacji partii rewolucyjnej, której grozi konieczność utożsamienia się ze zwalczanym starym państwem, kiedy przejmuje jego instrumenty władzy. Wysuwany przeciwko Leibnizowi zarzut kryptokatolicyzmu nie był całkiem bezpodstawny.

Nie ma surowości, za którą nie stałaby bojaźń. Ale bojaźń przed rozpadem na sekty byłaby o wiele za słabym motywem, aby wyjaśnić protestancką surowość. A ucieczka do wierności literze, ucieczka do Pisma jest nasycona bojaźnią Bożą, ową bojaźnią, która bucha z Lutrowej *poenitentia*, ową „absolutną” bojaźnią przed „okrucieństwem” absolutu, którego doświadczał Kierkegaard i w którym „króluje zasmucony” Bóg.

Ma się wrażenie, że protestantyzm przez związenie z Pismem chciał zachować ostatni ślad mowy Boga w świecie, który zamilkł w mowie rzeczy, skazany na niemotę i okrucieństwo absolutu – a w bojaźni Bożej protestant dostrzegał, że to własny cel budzi w nim lęk. Bo wraz z wyłączeniem wszystkich sfer wartości, z radykalnym odniesieniem się do autonomicznego przeżycia Boga przychodzi kolej na ostatnią abstrakcję, której logiczny rygoryzm niedwuznacznie popycha do usunięcia jakiegokolwiek ziemsko-religijnej treści wiary, do absolutnego ogołocenia z treści, nie pozostawiając nic prócz czystej formy, czystej, pozbawionej treści i neutralnej formy „religii samej w sobie”, „mistyki samej w sobie”.

Uderzająca zbieżność ze strukturą religijną judaizmu: może tutaj proces neutralizacji przeżycia Boga, ogołocenia mistyczności ze wszystkiego, co uczuciowo-ziemskie, wyeliminowania „zewnętrznej” ekstatycznej pomocy posunął się jeszcze dalej, może zostało tutaj już osiągnięte nieznośne dla osadzonego w ziemskości człowieka zbliżenie do zimna absolutu – lecz i tutaj jako ostatnia pozostałość więzi z ziemsko-religijnym trwa cała surowość i rygoryzm prawa.

Tę zbieżność w procesie uduchowienia, tę zbieżność form wiary, której skutki sięgają ponoć nawet często podkreślanej zbieżności pewnych cech charakteru ortodoksyjnych Żydów i kalwińskich Szwajcarów czy purytańskich Anglików, tę zbieżność dałoby się naturalnie wytłumaczyć także pewnym podobieństwem sytuacji zewnętrznej: protestantyzm jako ruch rewolucyjny, żydostwo jako uciskana mniejszość są opozycyjne i można by nawet powiedzieć, że również katolicyzm znalazłszy się w mniejszości, jak choćby w Irlandii, wykazuje te same charakterystyczne cechy. Lecz katolicyzm takiego rodzaju ma z rzymskim równie mało wspólnego jak pierwotna myśl protestancka z rzymskimi tendencjami w łonie High Church. Nastąpiło po prostu odwrócenie wróżebnych znaków. Jakkolwiek jednak interpretować tego typu empiryczne fakty, ich wartość objaśniająca jest nieduża – bo gdyby nie zaistniały fakty, nie doszłoby poza nimi do decydującego przeżycia Boga.

Czy to ta niema, radykalna i wyzbyta ozdobników religijność, czy to ta poddana surowości i tylko surowości nieskończoność stanowi styl nowej epoki? czy w tym rygoryzmie boskiego manifestuje się odsunięty w nieskończoną dal punkt osiągalności? czy w tym totalnym zmiążdzeniu wszystkiego, co treściowo-ziemskie, należy widzieć źródło zdruzgotania wartości? Tak.

Żyd, na mocy abstrakcyjnej surowości swojej nieskończoności, to człowiek nowoczesny, wręcz „najbardziej zaawansowany”: to on z absolutnym radykalizmem poświęca się raz wybranej sferze wartości i sferze zawodowej, to podnosi „zawód”, pracę zarobkową, którą podjął przypadkiem, do nie znanej dotąd potęgi, to on, nie powiązany z inną sferą wartości i z bezwarunkową surowością oddany swojemu działaniu, wznosi się ku najwyższym duchowym osiągnięciom, poniża się do najbardziej bezecnej nikczemności w dziedzinie materialnej: w

złym jak i w dobrym, ale zawsze z jednej skrajności wpadając w drugą – jest tak, jak gdyby nurt absolutnie abstrakcyjnego, który od dwóch tysięcy lat płynął sobie jak ledwie widoczny strumyczek getta obok wielkiego nurtu życia, miał się teraz stać nurtem głównym, jest tak, jak gdyby radykalizm myśli protestanckiej uczynił zaraźliwą całą okropność abstrakcji, która przez dwa tysiące lat pozostawała pod opieką najbardziej niepozornego i była zredukowana do minimum, jak gdyby doprowadził do wybuchowego rozpętania absolutnej rozciągłości, która tkwi potencjalnie w tym, co czysto abstrakcyjne, i tylko w tym, ażeby rozsądzić czas i z niepozornego stróża myśli uczynić pragmatyczną inkarnację rozpadającego się czasu.

Na pozór dla chrześcijanina istnieją tylko dwie możliwości: albo jeszcze na razie istniejące bezpieczeństwo w katolickiej wszechwartości, albo odwaga wzięcia na siebie wraz z absolutnym protestantyzmem trwogi przed abstrakcyjnym Bogiem – gdzie ta decyzja nie została podjęta, tam ciąży lęk przed tym, co nadejdzie. I faktycznie jest tak, że we wszystkich krajach, gdzie panuje niezdecydowanie ten lęk nieustannie krąży i występuje w ukryciu, choćby wyrażał się jedynie w odrazie do Żyda, w którego duchu i sposobie życia nie tyle się dostrzega, ile wyczuwa znienawidzony obraz nadchodzącego.

W idei protestanckiego organonu wartości żyje z pewnością tęsknota za ponownym zjednoczeniem całego chrześcijaństwa, za owym zjednoczeniem, do którego dążył także Leibniz: to, że on, który ogarniał wszystkie sfery wartości swoich czasów, był pod taką tego presją, odczuwa się wręcz jako konieczność, tak samo jednak i to, że on, który wyprzedzał stulecia i przewidywał powstanie *lingua universalis* logiki, w owym ostatnim zjednoczeniu musiał widzieć też abstrakcyjność *religio universalis* i może tylko on, najgłębszy mistyk protestantyzmu, był zdolny znieść jej chłód. Lecz linia protestancka wymagała najpierw zmiężdżenia wszystkiego; protestancką teologią stała się filozofia nie Leibniza, lecz Kanta, a odkrycie Leibniza na nowo dokonało się, co znamienne, za sprawą katolickich teologów.

Wszystkie te liczne sekty, które z biegiem czasu odłączyły się od protestantyzmu i były przezeń traktowane z ową pozorną tolerancją, jaka jest właściwa każdemu ruchowi rewolucyjnemu, zmierzają w tym samym kierunku, są kopią, pomniejszeniem, spłaszczeniem dawnej myśli o protestanckim organonie wartości, są nastawione „kontrreformacyjnie”: nie ma co wspominać o groteskowych sektach amerykańskich, ale na przykład Armia Zbawienia nie tylko przejmując właściwą jezuitomowi kontrreformacji militarną oprawę, lecz też wykazuje wyraźną tendencję do scentralizowania wartości, do skupienia wszystkich sfer wartości, wykazuje, jak należy całą sztukę ludową aż po śpiewki uliczne skierować z powrotem ku religijności i włączyć do programu „ekstatycznych pomocy”. Wzruszający i niewystarczający trud.

Wzruszający i niewystarczający trud, złudna nadzieja na ocalenie myśli protestanckiej ze zgrozy absolutu. Wzruszające wołanie o pomoc, wołanie o „pomocę” boskiej wspólnoty, choćby się czuło, że to już tylko naśladownictwo wielkiej, niegdysiejszej wspólnoty. Bo niemota, srogość, neutralność w całej swojej surowości stoją pod drzwiami, a o pomoc usilnie wołają ci wszyscy, którzy nie potrafią wziąć na siebie tego, co nadchodzi.

W niedzielne popołudnie, które nastąpiło po festynie w „Hali Miejskiej”, major von Pasenow ku swemu zaskoczeniu zdecydował się przyjąć zaproszenie Escha i pójść na spotkanie biblijne. Doszło do tego w następujący sposób: właściwie nie myślał wcale o Eschu i winna była chyba tylko laska, którą nagle spostrzegł opartą o obręcz wieszadła, laska z białą rączką z kości słoniowej, która jakimś sposobem znalazła się w bagażu i najwidoczniej do tej pory musiała być schowana w szafie. Naturalnie znał tę laskę od dawien dawna, ale mimo wszystko była to obca laska. Przez chwilę majorowi von Pasenowowi wydawało się, iż będzie musiał włożyć cywilne ubranie i odwiedzić jeden z owych dwuznacznych lokali rozrywkowych, do których oficerom nie wolno było wchodzić w mundurze. I niejako dla osiągnięcia wartości przybliżonej nie przypasał szpady, lecz wziął laskę w rękę i opuścił hotel. Na ulicy przystanął wahając się nieco, po czym ruszył w stronę rzeki. Szedł wolno, opierając się na lasce, jak ranny lub chory oficer w uzdrowisku – i przemknęło mu przez myśl, że lasce brakowało gumowej nasadki. Tak to spacerowym krokiem dotarł za miasto i miał lekkie poczucie wolności człowieka, który w każdej chwili może zawrócić, oficer na urlopie. I faktycznie wkrótce zawrócił – było to jak uszczęśliwiające i uspokajające, a zarazem niepokojące odnalezienie domu – i jak gdyby musiał czym prędzej spełnić pilne przyrzeczenie, najkrótszą drogą udał się do posiadłości Escha.

Odkąd liczba zwolenników wzrosła i jako że w cieplej porze roku i tak nie potrzebowało się ogrzewanego lokalu, spotkania odbywały się w jednym z pustych pomieszczeń dawnego budynku gospodarczego. Ciesła, który należał do kółka, dostarczył proste ławki; na środku pomieszczenia stał mały stół z krzesłem. Z braku okna zostawiało się otwarte wrota i major wchodząc na podwórze wiedział od razu, dokąd się zwrócić.

Gdy major pojawił się we framudze wrót i zatrzymał się na chwilę, by przyzwyczać oczy do półmroku, wszyscy wstali; wyglądało to wręcz tak, jak gdyby czekali na przełożonego dokonującego inspekcji koszar, a wrażenie to zwiększały mundury obecnych wojskowych. Ten wprawdzie paraboliczny tylko powrót do lepiej znanej roli złagodził w odczuciu majora niezwykłość sytuacji; wydawało się, że to jakaś lekka, a przecież mocna dłoń powstrzymała go przed posuwaniem się po omacku, tknęło go przecucie, że wyszedł cało z grożącego niebezpieczeństwa – i zaszalutował.

Esch zerwał się uprzednio wraz z innymi, a teraz poprowadził gościa do krzesła za stolikiem. Sam stanął obok, poniekąd anioł, który przystąpił do niego, aby nad nim czuwać. I major odczuł to jakoś podobnie, ba, miał wrażenie, jakby cel jego wizyty już się spełnił, jakby otaczała go atmosfera zabezpieczenia, uproszczona przestrzeń życiowa, która chciała go przyjąć niczym kogoś, kto powrócił do domu. Również otaczające go milczenie było jakby celem samym w sobie, mogłoby trwać wiecznie: nikt nie odezwał się ani słowem, pomieszczenie wypełnione milczeniem, przez milczenie osobliwie opustoszałe, rozszerzyło się jakby poza własne granice, a żółte światło słoneczne przed otwartymi wrotami przepływało jak odwiecznie niezmierniona rzeka, na której brzegu się siedziało. Nikt nie wiedział, jak długo utrzymywał się milczący bezruch, była to jakby zastygła nieokreśloność sekundy, w której śmierć staje koło człowieka, i choć major zdawał sobie sprawę, że to Esch stoi koło niego, czuł całą braterskość śmierci, czuł jej groźbę jak słodkie oparcie. A gdy spróbował odwrócić się do niego, odbyło się to z całym wyężeniem kogoś, kto oczekuje czegoś decydującego, a mimo to wie, że do ostatniej chwili musi trzymać fason. Z wielkim wysiłkiem odwrócił się do niego i powiedział: – Proszę kontynuować.

Ale nic takiego nie nastąpiło, bo Esch patrzył na białą czuprynę majora, słyszał jego cichy głos i miał wrażenie, jakby major wszystko o nim wiedział, jakby on wiedział wszystko o majorze, dwaj przyjaciele, którzy dużo o sobie wiedzą. On i major byli niejako na podwyższonej i rozjaśnionej scenie, byli w uprzywilejowanym miejscu, zebrani byli cisi, jak gdyby dzwonek nakazał im milczenie, i Esch, który nie śmiał położyć ręki na ramieniu majora, oparł się o poręcz krzesła, aczkolwiek właściwie i to było niestosowne. Czul się silny, pewny i pokrzepiony, tak silny jak w najlepszych dniach młodości, a przecież bezpieczny i łagodny, jak gdyby uwolnił się od wszystkiego, co jest dziełem ludzkim, jak gdyby to pomieszczenie nie było już wzniesione z układanych warstwami cegieł, jak gdyby wrota nie składały się już z przepiłowanych desek, jak gdyby wszystko było dziełem Bożym i jak gdyby słowa w jego ustach były słowami Boga. Otworzył Biblię i przeczytał fragment 16 rozdziału Dziejów Apostolskich: „Lecz nagle powstało wielkie trzęsienie ziemi, tak iż poruszyły się fundamenty więzienia. I wnet otwały się wszystkie drzwi, i rozwarły się pięta wszystkich. Stróż zaś więzienia, gdy się obudził, i ujrzał drzwi więzienia otwarte, dobywszy miecza, chciał się zabić, mniemając, że więźniowie puciekali. Lecz Paweł zawołał głosem wielkim, mówiąc: Nie czyn sobie nic złego, bo jesteśmy tu wszyscy”.

Włożywszy palec między stronicę zatrażniętej księgi i chrząknąwszy ostrożnie Esch czekał. Czekał, że zadrżą fundamenty budowli, czekał, że otworzy się teraz wielkie poznanie, czekał, że ów wyda rozkaz, by wciągnąć czarną flagę, i pomyślał: muszę zrobić miejsce temu, wedle którego czas będzie liczony. Jednakże dla majora usłyszane słowa były jak krople, które spadając zamieniały się w lód; milczał, a z nim milczeli wszyscy.

Esch powiedział: – Wszelka ucieczka nie ma sensu, musimy dobrowolnie przyjąć uwięzienie... niewidzialny z mieczem stoi za nami.

Jak to sobie major przez chwilę bardzo trafnie przedstawił, Esch ujął sens biblijnego fragmentu po części zgodnie z istotą rzeczy, po części nader niejasno i fantastycznie, ale starszy pan nie zatrzymał się nad tą myślą, gdyż zatoneła ona w obrazie, który będąc podobny do wspomnienia nie był jednak wspomnieniem, jako że widział wszystko przed sobą jak żywe: starzy landszturmiści i młodzi rekruci byli jak apostołowie i uczniowie, jak wierni, którzy spotkali się w piwnicy na jarzyny albo w ciemnej pieczarze, mówiąc ciemnym, obcym językiem, wszelako zrozumiałym jak język dzieciństwa, opromienieni przez srebrny obłok na niebie – i pełni niezachwianej żarliwości, ufni jak on uczniowie spoglądali ku temu na niebie.

– Zaśpiewajmy – powiedział Esch i zaczął:

*Boże, coś zastępów Panem,
do swej łaski przyjmij nas,
w jedno wstęgą owiń wraz,
dłonią pewną prowadź w czas,
Boże, coś zastępów Panem.*

Esch wystukiwał takt butem; wielu ludzi robiło to samo, kołysali się i śpiewali. Może śpiewał także i major, nie wiedział tego, było to raczej śpiewanie w jego wnętrzu, śpiewanie w jego zamkniętych oczach, kryształowa kropla, która śpiewając spada z obłoku. I usłyszał głos: Nie czyn sobie nic złego, bo jesteśmy tu wszyscy.

Esch uciszył śpiew, a potem powiedział: – Ucieczka z mroku więzienia nic nie daje, bo uciekamy jedynie w nowy mrok... musimy zbudować nowy dom, jak przyjdzie czas.

Jakiś głos zaintonował ponownie:

*Roznieć, iskro, pożar wielki,
Niechaj spłonie podłóż wszelka,
Boże, coś zastępów Panem.*

– Stul pysk – rzucił inny głos. A jeszcze inny odpowiedział:

*Ogniem, Chryste, ochrzczij nas, ześlij ogień!
Oto nadszedł ognia czas, ześlij ogień!
Panie Jezzu, usłysz nas, ześlij ogień!
My błagamy ciebie wraz, ześlij ogień!*

– Stul pysk – odezwał się znowu tamten inny głos, głos ociężały, ale dudniący jak piwniczne sklepienie, a był to głos człowieka w mundurze landwery, który stał, z długą brodą, wsparty na dwóch kulach. I mimo wysiłku, jaki mu to sprawiało, ciągnął dalej mówiąc: – Kto nie był martwy, niech stuli pysk... kto był martwy, jest ochrzczony, inni nie.

Ale poderwał się też pierwszy śpiewak i zaśpiewał w odpowiedzi:

*Ty od śmierci ocal mnie,
Boże, coś zastępów Panem.*

– Ześlij ogień – powiedział również major, a chociaż powiedział to bardzo cicho, było na tyle słyszalne, że Esch pochylił się nad nim. Było to poniekąd bezcielesne pochylenie, przynajmniej tak to odczuł major, była jakaś lekka pewność w tym przybliżeniu, uspokajająca i zarazem niepokojąca, i major przyglądał się wykonanej z kości słoniowej rączce swojej laski na stoliku przed sobą, przyglądał się białemu mankietowi, który wystawał z rękawa munduru – w tym ciemnym pomieszczeniu i ponad całą tą mieszaniną głosów rozpościerał się poniekąd bezcielesny spokój, poniekąd rozcieńczony, jasny, niemal biały spokój, dźwięcząca, przezroczyista sieć w dziwnie abstrakcyjnym uproszczeniu. Na dworze jak ostra, ognista ochrona przetaczały się fale słonecznego światła; było się w porcie, w pieczarze, w piwnicy, w katakumbach.

Być może Esch spodziewał się, że major będzie mówił dalej, bo ten dwukrotnie podnosił dłoń, jakby włączając się w rytmiczny takt śpiewu, jakby ciesząc się nim – Esch wstrzymywał oddech, jednakże major z powrotem opuszczał dłoń. Wówczas Esch, jak gdyby przez to z martwego miało powstać żywe, powiedział: – Pochodnia wolności... oświecający pożar... pochodnia prawdziwej wolności.

Dla majora wszakże było to coś w rodzaju stopienia i nie potrafił powiedzieć, czy widział nad sobą oświecający krąg pochodni, czy słyszał głos męczyzny, który raz po raz wyśpiewywał refren „ześlij ogień”, czy to był głos Escha, czy też płacz małego zegarmistrza Samwalda, który dochodził cicho z tylnych rzędów: – Ocal nas, Panie, z ciemności, prowadź do rajskich radości.

Ale żołnierz landwery, który wyprostował się dysząc i wywijając jedną ze swych kul, wydawał z siebie chrapliwe dźwięki, wyrzucane słowa:

– Trzeciego dnia zmartwychwstał... kto nie był w ziemi, niech stuli pysk.

Esch odsłonił swoje końskie uzębienie, zaśmiał się: – Sam byś stulił swój niewyparzony pysk, Gödicke.

Były to grubiańskie słowa; Esch musiał sam śmiać się z nich tak głośno, że poczuł w gardle paraliżujący ból jak ktoś, kto śmieje się we śnie. Major wszelako nie słyszał ani grubiaństwa tej wypowiedzi, ani zbyt głośnego śmiechu, bo wiedząc lepiej patrzył poprzez szorstkość powierzchni, ba, nie dostrzegał jej wcale i miał wrażenie, że Esch lekką ręką zdoła doprowadzić wszystko do porządku, że rysy Escha, prawie nie do poznania w półmroku, zwały się z całym pomieszczeniem w osobliwie mroczny krajobraz, a spoza gromkiego śmiechu wyzierała ku niemu dusza, która wychyla się z sąsiedniego okna i uśmiecha się, dusza brata, jednakże nie pojedyncza dusza, jednakże nie w sąsiedztwie, lecz jako nieskończenie daleka ziemia rodzinna. I uśmiechnął się do Escha. Ale i w Eschu była wiedza i także on wiedział, iż wspólny uśmiech wyniósł ich wspólnie na wyższy stopień, miał wrażenie, że przybył z

najodlegleszej dali pośród huczącego wiatru, który zmiata wszystko minione, że przybył ognistym, czerwonym pojazdem, aby tutaj być u celu, owego wyższego celu, u którego jest obojętne, jak się człowiek nazywa, obojętne, czy rozplywa się w drugim człowieku, celu, u którego nie istnieje już Dzisiaj i nie istnieje Jutro – czuł dotykające czoła tchnienie wolności, sen we śnie, i rozpinając guziki kamizelki wyprężył się cały, jakby chciał wstąpić na schody do zamku.

Wszelako Esch mimo wszystko nie zdołał zdeprimować mężczyzny Ludwiga Gödickego. Ten przykuśtykał niemal do samego stolika i gotów do walki krzyknął: – Kto chce gadać, niech najpierw w ziemię wlezie... tutaj... – wbił koniec swej kuli w gliniastą podłogę – ... tutaj... najpierw sam tutaj wleź.

Esch znów nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Czuł się silny, pewny i pokrzepiony, mocno stojący na nogach, facet, którego warto byłoby zabić Rozłożył ręce jak ktoś, kto budzi się ze snu, albo jak ukrzyżowany:

– No co, pewnie chcesz mnie zatłuc... tymi swoimi kulami... bo ty chodzisz o kulach, pokrako.

Kilku wołało, żeby zostawić Gödickego w spokoju, bo to jest święty człowiek.

Esch lekceważąco machnął ręką: – Nikt nie jest święty... święty będzie dopiero syn, który zbuduje dom.

– Wszystkie domy ja buduję – ryknął murarz Gödicke – budowałem wszystkie domy... coraz wyższe... – i splunął z pogardą.

– Drapacze chmur w Ameryce – zadrwił Esch.

– On może budować i drapacze – zapłakał zegarmistrz Samwald.

– Tak, sam się podrap... on może drapać ściany.

– Z ziemi do samego nieba... – Gödicke uniósł ręce z obu kulami, wyglądał groźnie i potężnie – ...trzeciego dnia zmartwychwstał.

– Z martwych! – wrzasnął Esch. – Martwi myślą, że są potężni... tak, są potężni, ale życia w ciemnym domu zbudzić nie potrafią... martwi to są mordercy! to mordercy!

Zaciął się, wystraszony słowem o mordzie, które niczym ciemny motyl fruwało teraz w powietrzu, ale nie mniej wystraszony i oniemiały z powodu zachowania majora: bo major podniósł się, osobiście sztywnym ruchem, i powtórzył to słowo, powtórzył drętwo: – Mordercy – i patrzył na otwarte wrota i na podwórze jakby oczekując czegoś strasznego.

Wszyscy milczeli i spoglądali na majora. Major nie ruszał się, wciąż jeszcze jak urzeczony wpatrywał się we wrota i Esch również tam popatrzył. Nie było widać nic nadzwyczajnego; powietrze drżało w świetle słońca, mur domu na drugim brzegu słonecznej rzeki – mur nabrzeża, musiał pomyśleć major – oslepiął, czworokątny, białe wycięcie w brązowej bryle wrót i ich skrzydeł. Ale parabola straciła swoją uszczęśliwiającą bezpośredniość i gdy Esch, wykorzystując uspokojenie zebranych, jeszcze raz odczytał fragment Biblii: „I wnet otwarły się wszystkie drzwi”, wrota były dla majora na powrót zwyczajnymi wrotami stodoły i na dworze nie pozostało nic z tego, co z daleka przypominało rodzinne strony i wielkie podwórze majątku pośród stajen. A gdy Esch zakończył: „Nie czyni sobie nic złego, bo jesteśmy tu wszyscy”, nie było już spokoju, był strach – strach, że w świecie paraboli i zastępstwa jedynie zło może być rzeczywiste. – Jesteśmy tu wszyscy – powiedział jeszcze raz Esch, ale major nie mógł w to uwierzyć, bo przed oczyma miał już nie apostołów i uczniów, lecz landszturmistów i rekrutów, członków żołnierskiego stanu, i wiedział, że Esch jak on sam, podobnie samotny, ze strachem wlepił wzrok we wrota. Tak stali ramię w ramię.

I zdarzyło się, że w głębi ciemnej bryły, że w obramowaniu wrót pojawiła się postać, okrągława, przysadzista postać, która poruszała się po białym żwirze podwórza, nie zaciemniając jednak słońca. Huguenau. Założywszy ręce na plecy, przechodzień, który snuje się wolno, przemierzył spacerowym krokiem podwórze i przystanął u wrót, mrugając oczyma

zajrzał do środka. Nieporuszenie stał jeszcze major, stał Esch, bo choćby im wydawało się to wiecznością, trwało ledwie kilka sekund, a gdy Huguenau się upewnił, co się tu odbywa, zdjął kapelusz, wszedł na palcach, ukłonił się majorowi i usiadł skromnie na końcu jednej z ławek. – Diabeł – wymamrotał major – morderca... – ale może wcale tego nie powiedział, bo gardło miał ściśnięte i spojrzął na Escha nieomal wzywając pomocy. Esch tymczasem uśmiechał się, uśmiechał się zgoła sarkastycznie, aczkolwiek sam odczuł wtargnięcie Huguenaua jak podstępny atak albo jak skrytobójczy mord, jak nieuchronną śmierć, której człowiek mimo to pragnie, nawet wówczas, kiedy ręka, która dzierży sztylet, należy do szubrawego pośrednika – Esch uśmiechał się, a że ten, kto staje w obliczu śmierci, jest wybawiony do wolności i wszystko mu wolno, dotknął ramienia majora: – Zawsze jest zdrajca między nami. – A major odparł równie cicho: – Niech idzie precz... niech idzie precz... – a gdy Esch potrząsnął głową, dorzucił: – ...nadzy i bosy jesteśmy wystawieni... tak, nadzy i bosy jesteśmy wystawieni z drugiej strony... – a potem powiedział na koniec: – ... przecież to wszystko jedno... – bo z falą obrzydzenia, której wzbieranie poczuł nagle w sobie, płynęła szeroko i przemożnie obojętność, płynęło znużenie. I znużony i ociężały opadł z powrotem na krzesło przy stoliku.

Najchętniej również Esch nic by z tego wszystkiego nie słyszał i nie widział. Najchętniej zakończyłby zgromadzenie. Ale nie mógł pozwolić na to, żeby major wyszedł z poczuciem przykrego dysonansu, toteż niezbyt stosownie walnął Biblią w stół i zawołał: – Idziemy dalej! Proroctwo Izajasza, rozdział 42, wiersz 7: „Abyś otworzył oczy ślepych, wywiódł więźniów z zamknięcia, z domu ciemnicy siedzących w ciemności”.

– Amen – odpowiedział Fendrich.

– To piękna parabola – odezwał się teraz i major.

– Parabola o wybawieniu – stwierdził Esch.

– Tak, parabola o zbawczej pokucie – powiedział major i przepisowo wziął się w garść – piękna parabola... czy na tym dzisiaj skończymy?

– Amen – odparł Esch i zapiął kamizelkę.

– Amen – powtórzyli zebrani.

Gdy opuścili szopę i ludzie rozmawiając cicho stali jeszcze niezdecydowanie na podwórzu, Huguenau przepchał się pomiędzy grupkami do majora, był jednak speszony jego niechętną miną. Nie zważając na to nie chciał zrezygnować z powitania, tym bardziej że już ułożył sobie żart na tę okazję: – To pan major przyszedł na prymicję naszego świeżo upieczonego pastora? – Krótkie, nieprzychylnie kiwnięcie głową, jakim zostało skwitowane to zdanie, pouczyło go, że coś się w stosunkach zepsuło, a stało się to jeszcze wyraźniejsze, gdy major obrócił się do Escha i nadzwyczaj głośno powiedział: – Chodźmy, Esch, przejdziemy się trochę za miasto. – Huguenau pozostał z mieszaniną niezrozumienia, wściekłości i poszukującego przyczyny, niejasnego poczucia winy.

Tamci dwaj szli przez ogród. Słońce chyliło się już ku zachodnim pasmom wzniesień.

Wydawało się wówczas, że lato w ogóle się nie skończy: dni o pozłacanej, drżącej ciszy następowały jeden po drugim w takim samym promieniejącym blasku, jakby swym błogim spokojem chciały ze zdwojoną mocą wykazać bezsens najkrwawszego okresu wojny. Kiedy słońce znikало za łańcuchem gór, niebo jaśniało coraz delikatniejszym błękitem, gościniec ciągnął się coraz bardziej idyllicznie, a życie wszędzie układało się w sobie jak oddychanie snu, wtedy ów spokój stawał się coraz bardziej widoczny i otwarty na duszę człowieka. Ten niedzielny spokój rozpościerał się pewnie nad całą niemiecką ojczyzną i z raptownie narastającą tęsknotą major wspomniął swoją żonę i dzieci, które ujrzał, jak idą przez wieczorne pola: – Żeby to wszystko już przeszło – a Esch nie umiał znaleźć dla niego żadnego słowa pocieszenia. Pozbawione nadziei wydawało się im obu wszelkie życie, jedyna skąpa korzyść to spacer w wieczornym krajobrazie, na którym spoczywały spojrzenia ich obydwu. I tak szli w milczeniu.

Błędem byłoby mówić, że Hanna wyglądała końca urlopu. Bała się go. Noc w noc była kochanką tego mężczyzny. A jejienne zajęcia, będące również dotychczas zamazanym przemykaniem świadomości, które zmierzało ku wieczorowi i łóżku, było teraz jeszcze dużo bardziej jednoznacznie poddane takiemu celowi, z zastraszającą jednoznacznością, której bodaj nie można już było nazwać zakochaniem, tak boleśnie, tak nieszczęśliwie było wszystko zanurzone w wiedzy o byciu kobietą i byciu mężczyzną: błogość bez uśmiechu, wręcz anatomiczna błogość, która dla adwokackiego małżeństwa była częściowo zbyt bolesna, częściowo zbyt niegodna.

Na pewno jej życie było pogrążaniem się w letargu. Ale to pogrążanie przebiegało niejako warstwowo, nie zapadało nigdy w nieświadome, było raczej nazbyt wyraźnym snem i bolesną wiedzą o sparaliżowaniu woli, a im bardziej doprawdy zwierzęco czy roślinnie otaczały ją zdarzenia, tym czujniejsza stawała się warstwa poznania, która rozciągała się powyżej. Tylko nie było jak o tym mówić, i nie tylko dlatego, że na przeszkodzie stawał wstyd, lecz w dużo większym stopniu ze względu na to, że słowo chyba nigdy nie dorówna obnażeniu, które wypływa z działania jak noc z dnia – także mowa była podzielona na co najmniej dwie warstwy, na mowę nocną, która była bełkotaniem, poddanym temu, co się działo, i na mowę dzienną, która, oderwana od tamtego dziania się, obchodziła je szerokim tukiem i trzymała się metody okrażania, która jest zawsze metodą racjonalnego, dopóki w krzyku i płaczu rozpacz nie poniecha samej siebie. I często jej mowa bywała szukaniem po omacku przyczyny choroby, na jaką zapadła. – Kiedy wojna się skończy – mówił Heinrich prawie codziennie – wszystko się na powrót odmieni... przez wojnę zrobiliśmy się jacyś prymitywniejsi... – Ja tego nie mogę zrozumieć – zwykła wtedy odpowiadać Hanna albo: – Tego nie sposób zgoła ogarnąć myślą, wszystko to jest niewyobrażalne. – Przy tym w zasadzie nie chciała rozmawiać z Heinrichem jak z równym partnerem, on ponosił winę i właściwie powinien był się bronić miast stać ponad rzeczami. I wyjmując przed lustrem jasne grzebyki z włosów blond powiedziała: – Ten dziwny człowiek w „Hali Miejskiej” mówił o samotności. – Heinrich zbył ją: – Był pijany. – Hanna cesała włosy i musiała myśleć o tym, że od uniesionych ramion przeżyły się jej piersi. Czuła to pod jedwabiem koszulki, na którym zaznaczały się jak dwa małe, spiczaste namioty. Widać to było w lustrze, po którego każdej stronie, z lewej i z prawej, paliła się świecowa żarówka pod różowym abażurem w delikatny wzór. Potem usłyszała słowa Heinricha: – Zostaliśmy jakby przesiani przez sito... rozsiani. – Ona powiedziała: – W takich czasach dzieci nie powinny przychodzić na świat. – Pomyślała o chłopcu, który był podobny do Heinricha, i wydawało się jej niewyobrażalne, że jej jasne ciało było przystosowane do tego, by przyjmować kawałek mężczyzny; być kobietą. Musiała zamknąć oczy. On powiedział: – Możliwe, że wyrasta pokolenie przestępców... nie ma żadnej gwarancji, że dziś czy jutro nie zacznie się u nas to samo co w Rosji... no, miejmy nadzieję, że nie... ale przemawia za tym jedynie niebywała trwałość panującej jeszcze ideologii... – Oboje czuli, jak ta rozmowa jałowuje. Nie odbiegała zbyt od sytuacji, w której oskarżony chce powiedzieć: – Wspaniała dzisiaj pogoda, Wysoki Sądzie – i Hanna milczała chwilę, pozwalając unosić się fali nienawiści, tej fali, za której sprawą jej noce stawały się jeszcze sromotniejsze, jeszcze mroczniejsze, jeszcze rozkoszniejsze. Potem oznajmiła:

– Musimy odczekać... to chyba wiąże się z wojną... ale nie tak... jest, jak gdyby wojna to było dopiero drugie... – Jak to drugie? – zapytał Heinrich. Między brwiami Hanny pojawiła

się zmarszczka. – My jesteśmy drugie i wojna jest drugie... pierwsze to coś niewidzialnego, co wyszło z nas...

– Przypomniała sobie, z jakim utęsknieniem czekała na zakończenie podróży poślubnej, aby – tak wówczas sądziła – jak najprędzej powrócić do urządzania domu. Bądź co bądź obecna sytuacja była taka podobna; podróż poślubna to też jest urlop. Co się wtedy odezwało, to chyba nic innego jak przecucie odosobnienia i samotności – być może, zaświtało jej teraz, samotność to pierwsze, samotność to sedno choroby! A ponieważ zaczęło się to wówczas zaraz po ślubie – Hanna przeliczyła: tak, zaczęło się już w Szwajcarii – i wszystko zgadzało się co do joty, spotęgowało się w niej podejrzenie, że Heinrich musiał wtedy popełnić błąd nie do naprawienia czy zrobić jej jakąś krzywdę, krzywdę, której nigdy nie da się cofnąć, którą można tylko powiększać, gigantyczną krzywdę, która przyczyniła się do rozpętania wojny. Nałożyła krem i starannie roztarła czubkami palców, a teraz przyglądała się swojej twarzy w lustrze z ostrożną uwagą. Twarz ówczesnej młodej dziewczyny zniknęła i stała się twarzą kobiety, przez którą tamta dziewczęca już tylko przeświecała. Nie wiedziała, czemu to wszystko wiązało się z sobą, ale zakończyła milczący tok myśli mówiąc: – Wojna nie jest przyczyną, wojna to tylko drugie. – A potem wiedziała: wojna to druga twarz, nocna twarz. To rozpad świata, nocna twarz, rozpylona na zimny i leciusieńki popiół, i rozpad jej własnej twarzy, rozpad, który poczuła, kiedy on całował jej pachy. Powiedział: – Pewnie, wojna to dopiero skutek naszej chybionej polityki – i może nawet potrafiłby zrozumieć, że polityka to też tylko drugie, skoro istnieje przyczyna, która tkwi jeszcze głębiej. Ale on był zadowolony ze swojego wytłumaczenia i Hanna, oszczędnie zwilżając się becznymi teraz francuskimi perfumami i chłonąc zapach, już nie słuchała: pochyliła kark, aby zostać pocałowaną u srebrzystej nasady włosów, co też nastąpiło. – Jeszcze – powiedziała.

Esch był człowiekiem porywczych zachowań. Dlatego każdy drobiazg mógł nakłonić go do poświęcenia. Pragnie jednoznaczności: chciałby ukształtować świat, którego jednoznaczność jest tak silna, że jego własna samotność byłaby uwiązana do niej jak do żelaznego słupa.

Huguenau był człowiekiem, który zawsze wiedział, skąd wieje wiatr; nawet gdy znajdował się w próżni, wiatr świstał mu mimo uszu.

Był taki, co uciekał przed swoją własną samotnością aż do Indii i Ameryki. Chciał rozwiązać problem samotności ziemskimi środkami – był esteta i dlatego musiał się zabić.

Margerita była dzieckiem, dzieckiem spłodzonym w akcie płciowym, obciążonym grzechem pierwotnym i samotnie pozostawionym w grzechu: może się zdarzyć, że ktoś kiwnie jej głową i spyta ją, jak się nazywa – ale takie przelotne zainteresowanie już jej nie uratuje.

Nie ma paraboli, której nie trzeba z kolei wyrażać poprzez parabolę – czy bezpośrednio stoi u początku, czy u końca ciągu paraboli?

Wiersz średniowiecza: ciąg paraboli zaczyna się od Boga i do Boga wraca – zawisa w Bogu.

Hanna Wendling pragnęła porządku rzeczy, w którego chwiejnej równowadze parabola wraca do samej siebie jak w wierszu.

Jeden się żegna, drugi dezertuje – wszyscy dezertują z chaosu, ale tylko jeden, który nigdy nie był związany, nie zginie od kuli.

Nie ma nic beznadziejniejszego niż dziecko.

Kto cierpi na osamotnienie ducha, może się ratować ucieczką w romantyzm, a z osamotnienia duszy zawsze jeszcze prowadzi droga do płci przeciwnej – ale dla samotności samej w sobie, dla samotności bezpośredniej nie da się znaleźć ratunku w paraboli.

Major von Pasenow był człowiekiem, który tęsknił całym sercem do swojskości rodzinnych stron, do niewidzialnej swojskości w rzeczach widzialnych. A jego tęsknota była tak silna, że widzialne warstwa za warstwą pogrążało się w niewidzialnym, niewidzialne zaś warstwa za warstwą w widzialnym.

– Ach – mówi romantyk i przywdziewa szatę obcego systemu wartości – ach, teraz należę do was i już nie jestem samotny. – Ach – mówi esteta i przywdziewa tę samą szatę – pozostaję samotny, ale to jest piękna szata.

– Wyznawca estetyzmu przedstawia w romantycznych ramach złą zasadę.

Dziecko natychmiast oswaja się z każdą rzeczą: natychmiast nawiązuje z nią bezpośredni kontakt, a zarazem widzi w niej parabolę. Stąd radykalność dziecka.

Kiedy Margerita płakała, to tylko ze złości. Nawet dla siebie samej nie miała litości.

Im bardziej samotny staje się człowiek, im bardziej rozluźnia się system wartości, w którego ramach się obraca, tym wyraźniej na jego postępowanie wpływają czynniki irracjonalne. Wyznawca romantyzmu, uczepony form obcego i zdogmatyzowanego systemu wartości, jest – nie chciałoby się w to wierzyć – z gruntu racjonalny i niedzieciący.

Racjonalność irracjonalności: człowiek z pozoru absolutnie racjonalny jak Huguenau nie potrafi rozróżnić dobra i zła. W absolutnie racjonalnym świecie nie ma absolutnego systemu wartości, nie ma grzeszników, są co najwyżej szkodnicy.

Również esteta nie rozróżnia dobra i zła, dlatego fascynuje. Ale bardzo dobrze wie, co jest dobre i co złe, nie chce tylko rozróżniać. I to czyni go nikczemnym.

Czas, który jest tak racjonalny, że nieustannie musi umykać.

Historia dziewczyny z Armii Zbawienia w Berlinie (11)

Unikam Żydów, jak tylko się da, ale po staremu jestem zmuszony nadal ich obserwować. Wciąż na nowo zadziwia mnie zaufanie, jakim cieszy się wśród nich półwolnomyśliciel Samson Litwak. Nie ulega wątpliwości, że ten Litwak to dureń, którego posiano na studia jedynie dlatego, że nie nadawał się do jakiegoś porządnego zajęcia – wystarczy jego gładką, golą twarz, która spomiędzy pejsów już od przeszło pięćdziesięciu lat spogląda na świat, porównać z pobrużdżonymi, pooranymi od myślenia twarzami żydowskich starców! – a mimo to zdaje się uchodzić u nich za swego rodzaju wyrocznię, którą sprowadzają przy lada okazji. Może jest to pozostałość wiary w bełkotliwca, który ma być tubą Boga, bo nie może to być szacunek dla wiedzy; oni nazbyt są świadomi posiadania wyższej wiedzy. Trudno przypuścić, że się myślę. Doktor Litwak w rzeczy samej stara się zamaskować ten stan rzeczy, ale słabo mu to wychodzi. Historia z jego oświeceniem jest bowiem zwykłym oszukaństwem; jego szacunek dla wiedzy żydowskich starców jest ogromny, a jeśli mimo złego traktowania, jakie spotyka go z mojej strony, za każdym razem wita mnie uprzejmie, to niewątpliwie zawdzięczam ten fakt temu, że wzbraniałem się określić talmudyczny światopogląd żydowskich starców mianem „przesądu”. Widać wywiódł z tego jeszcze nadzieję, że utrzymam Nuchema na właściwej drodze; i dlatego godzi się z tym, że ja raz za razem odrzucam jego samego i jego poufałość.

Dzisiaj spotkałem go na schodach. Ja wspinałem się w górę, on schodził na dół. Gdyby było odwrotnie, mógłbym być po prostu przemknąć obok; zbiegającemu w dół nie tak łatwo zastąpić drogę. Ale ja wdrapywałem się zbyt wolno, wielkowiejska duchota i niedożywienie. Dla żartu zagroził przejście laską. Pewnie chciał, żebym ją przeskoczył jak pudel (łapię się na tym, że w ostatnim czasie łatwo, nazbyt łatwo się obrażam; pewnie i to bierze się z niedożywienia). Uniosłem laskę dwoma palcami, żeby uterować sobie drogę.

Ach, jaki wstręt budził we mnie ten poufały uśmiezek. Kiwnął mi głową: – Co pan teraz powie? Ludzie są całkiem nieszczęśliwi.

– Tak, jest gorąco.

– Gdyby to było od upału!

– Tak, a Austriacy utknęli w Siedmiu Gminach.

– Żarty z tymi Siedmioma Gminami... no, co pan na to naprawdę powie? on mówi, że trzeba mieć radość w sercu.

Mój stan ma to do siebie, że wdaję się w najgłupsze dyskusje: – To bądź co bądź pobrzmiwa psalmami Dawida... ma pan coś przeciwko?

– Przeciwno? przeciwno... mówię tylko, że stary dziadek ma rację, starzy ludzie zawsze mają rację.

– Przesady, Samsonie, przesady.

– Mnie pan nie będzie strofować!

– Więc co mówi szanowny dziadzio?

– Niech pan posłucha! On mówi, że Żyd ma się radować nie w sercu, lecz tu... – Dotknął dłonią czoła.

– To znaczy głową?

– Tak, głową.

– A co robicie z sercem, jak się radujecie głową?

– Sercem mamy służyć... uwchol lewowcho uwchol nawszecho uwchol meaudecho, to znaczy po niemiecku: całym sercem, całą duszą i całym majątkiem.

– To też mówi dziadek?

– Nie tylko dziadek to mówi, tak to jest.

Usiłowałem popatrzeć na niego z politowaniem, ale nie bardzo mi to wyszło: – I pan się mieni człowiekiem oświeconym, panie doktorze Samsonie Litwak?

– Naturalnie jestem człowiek oświecony... tak jak pan jest człowiek oświecony... naturalnie... ale chce pan z tego powodu obalać prawo?

Zaśmiał się.

– Niech pana Bóg błogosławi, doktorze Litwak – powiedziałem i ruszyłem w górę.

Odparł: – Aż do setki – wciąż jeszcze się śmiał – ale obalić prawa to nikt nie potrafi, ani pan, ani ja, ani Nuchem...

Szedłem po schodach dla proletariuszy. Czemu tu tkwiłem? W przytułku miałbym lepsze warunki. Biblijne sentencje zamiast oleodruków na ścianie. Mówiąc przykładowo.

Historia dziewczyny z Armii Zbawienia w Berlinie (12)

Mówił: muł mój śmigłym kłusem mknie,
w dzwonekach i uździe z purpury jak konie
niesie nas dwoje przez sen o Syjonie.
Mówił: to ja wołam cię.
Mówił: w mym sercu wielkie oglądanie,
patrzę na świątynię i jej schody strome,
patrzę na miasto przez przodków wzniesione.
Mówił: przed nami domu budowanie.
Mówił: dotąd było czekanie, że się zmarnuję,
tylko czekanie, w księgach zatopienie.
Mówił: wyglądałem go i oto się raduję...
To nie były słowa, to było serca tchnienie.
Ona też, milczała. Szli w milczeniu pograżeni.
Szli tak, szli i byli wszakże upojeni.
Szli tak, szli i byli wszakże upojeni
milczeniem, tęsknotą i przepychem skrytym,
szli tak i żadne nie zważało przy tym na ulice,
czynszówki i knajpy w zieleni.
Mówiła: na samym serca mego dnie
iskierka płonie coraz jaśniej,
nabiera blasku, świetlistej wspaniałości.
Mówił: myślałem o tobie całe dnie.
Mówiła: serce moje rozgorzało,
y na pokutnicę łagodnie spojrzales.
Mówił: droga, droga Syjonu zajaśniała.
Mówiła: ty za nas na krzyżu cierpieles
Nic nie mówili: słowa już się wyczerpały.
Nic nie czynili: czyny już się dokonały.

– Co to, o tej porze jeszcze pan wychodzi, poruczniku Jaretzki!

Siostra Matylda siedziała u wejścia do lazaretu, a podporucznik Jaretzki, w oświetlonych drzwiach, zapalał papierosa.

– Przy tym upale jeszcze dzisiaj nosa nie wysadziłem na dwór... – zatrzasnął zapalniczkę ...dobry wynalazek te benzynowe zapalniczki... że w przyszłym tygodniu wyjeżdżam, już pani wie, siostrze?

– Tak, słyszałam. Do Kreuznach na wypoczynek... pewnie się pan bardzo cieszy, że wreszcie się stąd wyrwie...

– No cóż... pani zresztą też musi się cieszyć pozbywając się mnie.

– Nie można powiedzieć, żeby pan był niekłopotliwym pacjentem.

Milczenie.

– Niech pani przejdzie się trochę, siostrze, teraz jest chłodno.

Siostra Matylda ociągała się: – Niedługo muszę wracać... jak pan chce, to kawałek w pobliżu.

Jaretzki powiedział uspokajająco: – Jestem całkiem trzeźwy, siostrze.

Wyszli na drogę. Szpital z dwoma rzędami oświetlonych okien mieli po prawej. Miasto w dole było rozpoznawalne w swych konturach, jeszcze trochę czarniejsze od czerni nocy. Płonęło tam parę świateł, a i na wzgórzach to czy tamto światło sygnalizowało istnienie samotnego chłopskiego domu. Zegary miejskie wybiły dziewiątą.

– Czy i pani nie chciałaby stąd wyjechać, siostrze Matyldo?

– Ach, ja jestem całkiem zadowolona... mam swoją pracę.

– Właściwie to strasznie miło z pani strony, że poszła pani na spacer z takim pijanicą i niezdarzeńcem.

– Czemu miałabym nie iść z panem na spacer, poruczniku Jaretzki?

– No tak, właściwie czemu nie... – Po chwili: – Więc pani chce tu zostać na całe życie?

– Aż tak długo to nie... do końca wojny.

– Wróci pani wtedy do domu?... na Śląsk?

– To pan wie?

– Człowiek szybko się dowiaduje... i pani myśli, że tak zwyczajnie pojedzie sobie z powrotem do domu... jak gdyby nigdy nic?

– Właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałam... zawsze przecież wszystko układa się inaczej.

– Wie pani, siostrze... jestem całkiem trzeźwy... ale według mego najgłębszego przekonania to tak naprawdę nikt już nie wróci do domu.

– Wszyscy chcemy wrócić do domu, panie poruczniku, o co byśmy walczyli, jeśli nie o nasze rodzinne ziemie?

Jaretzki przystanął: – O co walczyliśmy? o co walczyliśmy... lepiej niech pani nie pyta, siostrze... zresztą ma pani rację, i tak wszystko układa się inaczej.

Siostra Matylda milczała. Potem zapytała: – Jak pan to rozumie, panie poruczniku?

Jaretzki zaśmiał się: – No, czy kiedykolwiek pomyślałaby pani, że pójdzie na spacer z zapijaczonym jednorękim inżynierem... pani przecież jest hrabianką.

Siostra Matylda nie odpowiedziała. Nie była hrabianką, była panną z ziemiańskiego rodu, hrabianką była jej babka.

– Może to obojętne... gdybym był hrabią, nic by to nie zmieniło, też bym musiał się zalewać... wie pani, każde z nas jest zbyt samotne, żeby coś takiego mogło jeszcze mieć jakieś znaczenie... będzie pani teraz na mnie zła?

– Ach, skąd... – Widziała w ciemności linię jego profilu i bała się, że weźmie ją za rękę. Przeszła na drugą stronę drogi.

– Trzeba już wracać, panie poruczniku.

– Pani też musi być samotna, siostrze, w przeciwnym razie nie wytrzymałaby pani tego... cieszymy się, że wojna się nie skończy...

Wrócili pod żelazną bramę lazaretu. Większość okien była teraz ciemna. W salach chorych paliło się słabe światło dyżurne.

– No, a teraz pójdę się czegoś napić, mimo wszystko... pani i tak nie dotrzyma mi towarzystwa, siostrze.

– Najwyższy czas, żeby weszła, poruczniku Jarecki.

– Dobranoc, siostrze, bardzo dziękuję.

– Dobranoc, panie poruczniku.

Siostra Matylda czuła się jakoś rozczarowana i smutna. Zawołała za nim: – Niech pan nie wraca zbyt późno, panie poruczniku.

Od czasu tamtego wędrowania z Eschem przez wieczorne pola zdarzało się nieraz, że po skończonej służbie major obierał drogę przez Fischerstrasse, ba, że przeszedłszy ledwie parę ulic zwalniał kroku, przystawał niezdecydowanie i zawracał. Można by było wręcz powiedzieć, że kręcił się wokół „Gońca Elektorskiego”. Kto wie, czyby zgoła nie wstąpił, gdyby nie obawiał się zetknięcia z Huguenauem, ba, nie chciał go spotkać nawet na ulicy, nie mógł nawet myśleć o tym bez uczucia niepokoju. Ale gdy zamiast Huguenaua nagle wyrósł przed nim Esch, major nie był pewien, czy tego spotkania nie obawiał się jeszcze bardziej. Bo oto on, komendant miasta w mundurze, ze szpadą u boku, stał sobie z dziennikarzem w cywilu, stał w mundurze na środku ulicy i podał rękę temu człowiekowi, a miast na tym poprzestać był, zapominając o wszelkich wymogach, nieomal szczęśliwy, że ten człowiek zamierzał mu towarzyszyć. Lecz Esch z uszanowania zdjął kapelusz i major spoglądał na pomarszczoną, poważną twarz, spoglądał na krótko ostrzyżoną, sztywną, siwą czuprynę – i nadeszło uspokojenie, ożyło raptem wspomnienie rozważań nad Biblią w rodzinnych stronach, a jednocześnie na nowo zakiełkowało poczucie braterstwa z tamtego popołudnia, z nim zaś potrzeba powiedzenia czegoś dobrego temu mężczyźnie, który był niemal przyjacielem, może po to tylko, żeby przyjaciel zachował o nim dobre wspomnienie; major trochę się jeszcze ociągał, po czym powiedział: – Chodźmy.

Później te spacerunki się powtarzały. Wszelako nie tak często, jak sobie by tego życzyli major czy zgoła Esch. Bo nie tylko czasy robiły się coraz bardziej niespokojne – oddziały stawały na kwaterze i odchodziły, kolumny samochodów z łoskotem przejeżdżały ulicami i niejednej nocy komendant musiał poświęcić służbie swój spokój – ale major von Pasenow nie mógł też się przemóc, aby ponownie odwiedzić „Gońca Elektorskiego”, i upłynęło bądź co bądź trochę czasu, nim Esch się tego domyślił. A wtedy zaczął przystosowywać się do sytuacji: niepostrzeżenie czekał w pobliżu komendantury, a jak się składało, to brał ze sobą Margeritę. – Mała szelma koniecznie chce iść z nami – mówił; co prawda major nie bardzo wiedział, czy poufałość dziecka uznać za miłą, czy za natrętą, ale traktował ją przyjaźnie i gładził Margeritę po czarnych kędziarach. Potem wędrowali w trójkę przez pola albo ścieżką wzdłuż nadbrzeżnych zarośli i nieraz było tak, jakby budziła się tęsknota za pożegnaniem, miękkie, łagodne rozpływanie się serca, jakby ruszyły wody przemijania, była to jakby pewność końca, w którym zawiera się zalążek początku. Jakkolwiek było to łagodne, towarzyszyło temu jednak lekkie rozgoryczenie, może dlatego, że Esch w tym pożegnaniu nie brał udziału, może dlatego, że niedopuszczalne było, by Esch w tym uczestniczył, a może dlatego, że Esch nie dawał nic poznać po sobie, tylko trwał w przynoszącym rozczarowanie milczeniu. Było to jakieś mroczne i podstępne, bo żyła jeszcze mglista nadzieja, że wszystko ułoży się dobrze i prosto, jeśli tylko Esch zacznie mówić. Ach, to, co właściwie spodziewał się usłyszeć od Escha, było dziwnie nieuchwytnie, a jednak Esch powinien był o tym wiedzieć. Szli zatem milcząc, szli milcząc w wieczorny blask i rosnące rozczarowanie, a jasność nad polami była wtedy fałszywą i znużoną jasnością. I kiedy Esch zdejmował kapelusz, wystawiając na wiatr przystrzyżoną na jeża czuprynę, to mogło się to przerodzić w tak niestosowną poufałość, że major wprost litował się nad małą dziewczynką, iż znalazła się we władzy takiego człowieka. Raz powiedział: – Mała niewolnica – ale i to rozpląnęło się w znużonej obojętności. A Margerita wybiegała naprzód i nie przejmowała się obu mężczyznami.

Wspięli się na wzniesienie i podążali skrajem lasu. Krótka, sucha trawa szeleściła im pod butami. Cicho było ponad doliną. Słyszało się skrzypienie wozów na drodze w dole, żółte pola ukazywały brązową ziemię, z ciemnej głębi listowia nadciągał chłodny powiew. Winnice rozpościerały się zielono na zboczach, w szum lasu mieszała się już srebrzyście metaliczna ostrość jesieni, a krzaki na brzegu lasu z czarnymi i czerwonymi jagodami gotowe były jesienią uschnąć. Nad zachodnimi stokami opadało słońce, lśniło ogniście w oknach domów w dolinie. Każdy z domów stał na długim (skierowanym na wschód) dywanie cienia, widziało się pocętkowane czarno-czerwone dachy kompleksu więzienia, spoglądało się na gołe, puste podwórza, a również tam leżały mroczne, ostrokanciaste cienie.

Polna dróżka prowadziła w dół zbocza i niedaleko zakładu karnego wychodziła na gościniec. Margerita, wybiegając naprzód, skręciła i major wziął to za znak od Boga: – Wracamy – powiedział zmęczonym głosem. Dotarłszy mniej więcej do połowy stoku major i Esch zatrzymali się i nasłuchiwali: docierało do nich przerywane brzęczenie, przy czym nie sposób było określić, skąd pochodziło. Nic nie było widać, tylko z miasta wyjechał samochód, motor warczał jak zwykle i co chwila odzywał się klakson: za autem ciągnęła się długa chmura kurzu. Niesamowity dźwięk nie miał nic wspólnego z samochodem. – To zły dźwięk – powiedział major zdziwiony. – Maszyna – odparł Esch, chociaż wcale nie wyglądało to na maszynę. Samochód pokonał zakręty drogi i z gwałtownym trąbieniem dotarł do zakładu karnego. Esch, mając ostrzejszy wzrok, zdołał stwierdzić, że był to samochód komendantury, i zaniepokoił się nie widząc, by za zakładem ponownie ukazał się na drodze. Nic nie powiedział, ale przyspieszył kroku. Dźwięk stawał się coraz ostrzejszy i coraz mocniej akcentowany, a kiedy zobaczyli bramę zakładu, stał tam samochód pośród gromady wzburzonych ludzi. – Coś tam się stało – powiedział major i już z zakratowanych i zabitych drewnem okien więzienia usłyszeli okropny chór skandujący raz za razem trzy słowa: – Głód, głód, głód... głód, głód, głód... głód, głód, głód... – a co jakiś czas chórowi przerywał ogólny ryk jak w rzeźni. Szofer pospieszył ku nim: – Melduję posłusznie, panie majorze, bunt... szukaliśmy pana majora na próżno... – po czym pobiegł z powrotem, żeby wydzwonić wartownika.

Ludzie rozstąpili się, żeby przepuścić majora, ale ten nie ruszał się z miejsca. Powietrze nadal drgało od trójdzielnego chóru, a teraz Margerita zaczęła skakać w takt: – Głód, głód, głód – pokrzykiwała radośnie. Major patrzył na budynek z okropnie nieprzeniknionymi oknami, patrzył na podskakujące dziecko, którego śmiech wydawał mu się osobliwie zdrętwiały, osobliwie złośliwy, i owładnęło nim przerażenie. Nieuchronny los, nieodparta próba! Szofer wciąż jeszcze szarpał żelazne cięgło dzwonka i walił bagnetem w bramę, aż wreszcie otworzyła się kłapa judasza i brama skrzypiąc obróciła się ciężko w zawiasach. Major oparł się o drzewo, a jego wargi mamrotały: – To koniec. – Esch zrobił ruch, jakby chciał pomóc, ale major machnął ręką: – To koniec – powtórzył, wyprostował się jednak, dotknął wstążki Krzyża Żelaznego, a potem, z dłonią na rękocyfry, ruszył żwawo ku bramie więzienia.

Major zniknął w bramie. Esch usiadł na zboczu niedużego pagórka przy drodze. Powietrze nadal przecinały synkopowane okrzyki. Rozległ się pojedynczy strzał, po nim ponownie nastąpił ogólny ryk. Potem jeszcze ostatnie okrzyki jak ostatnie krople z przykręconego kranu. Potem zrobiło się cicho. Esch spoglądał na bramę, która zamknęła się za majorem. – To koniec – powiedział teraz również on i czekał. Ale koniec nie nadszedł, nie nastąpiło trzęsienie ziemi i nie pojawił się anioł, a brama nie została otworzona. Dziecko przycupnęło obok niego, a on miał ochotę wziąć je na ręce. Jak teatralna dekoracja sterczały mury więzienia w jasne wieczorne niebo, jak zęby poprzedzielane szczerbami i Esch poczuł się daleki sobie, daleki zdarzeniu, którego był teraz świadkiem, daleki wszystkiemu; bał się zmienić pozycję i nie pamiętał już, jak się tu znalazł. Obok bramy wisiła tablica, której nie można już było odcyfrować; naturalnie wypisano na niej pory odwiedzin, ale to były jedynie

słowa. Bo nawet demagodzy, mordercy i potwory, które trafiły za kratki, wyjdą z więzienia, by wejść do nowej i jaśniejszej wspólnoty w Ziemi Obiecanej. Usłyszał słowa dziecka: – To jest wujek Huguenau – i zobaczył Huguenaua przechodzącego spieszonym krokiem i nie zdziwił się, takie bezgłośnie było to wszystko, bezgłośny krok Huguenaua, bezgłośnie ruchy ludzi pod bramą więzienia, bezgłośnie to wszystko jak ruchy sztukmistrzów i linoskoków, kiedy umilknie muzyka, takie bezgłośnie jak jasne wieczorne niebo, które blednie. Nieosiągalna rozpościerała się dał przed śniącym nie śniącym, przed opuszczonym, nigdy nie zadomowionym, a on był jak człowiek, którego tęsknota odmieniła się bez jego wiedzy, jak ktoś, kto swoje bóle tylko zagłuszył i nie może o nich zapomnieć. Pojawiły się pierwsze gwiazdy i Esch miał wrażenie, że całe dnie i całe lata siedzi w tym miejscu, otoczony upiornym i wywatowanym spokojem. Potem ruchy ludzi stawały się coraz bardziej nikłe, coraz bardziej podobne do cienia, aż całkiem zamarły i pod bramą pozostała bezgłośnie czekająca czarna masa. A w końcu Esch czuł już tylko wilgotną trawę na wewnętrznej powierzchni dłoni.

Dziecko zniknęło; może poleciało z Huguenauem; Esch nie zważał na to, wlepił wzrok w bramę. Wreszcie wyszedł major. Szedł szybko, niezwyczajnie prosto, wydawało się wręcz, że lekko utyka i stara się to ukryć. Szedł wprost do samochodu. Esch zerwał się. Major stał teraz w wozie, stał tam wyprostowany i patrzył ponad nim, spoglądał ponad tłumem, który w milczeniu zgromadził się wokół auta, patrzył na białą drogę przed sobą i na miasto, w którym już migotały światła w oknach. W pobliżu zabłysło czerwone światło; Esch wiedział już gdzie. Być może major też je zauważył, bo spojrział teraz w dół na Escha i podając mu rękę z poważną miną powiedział: – No, przecież to wszystko jedno. – Esch nie powiedział nic; przecisnął się prędko przez tłum i ruszył przez pola. A gdyby się obejrzał i gdyby nie było tak ciemno, mógłby zobaczyć, że major stał nadal i patrzył za nim, znikającym w nocy.

Po jakimś czasie usłyszał warkot zapuszczanego motoru i ujrzał, jak obydwa światła wozu przemierzają kolejne zakręty drogi.

Huguenau wrócił z zakładu karnego forsownym marszem; Margerita biegła za nim. W drukarni kazał zatrzymać maszynę: – Jeszcze ważna aktualność, Lindner – po czym udał się do swego pokoju i przystąpił do pisania, Uporawszy się z tym powiedział: – Cześć! – i splunął w stronę pokoi Escha. – Cześć! – powiedział jeszcze raz, przechodząc koło kuchennych drzwi, a potem wręczył Lindnerowi elaborat: – W rubryce: Wydarzenia w mieście petitem – polecił. A nazajutrz w „Gońcu Elektorskim” w rubryce: Wydarzenia w mieście petitem można było przeczytać:

Incydent w naszym więzieniu

Wczoraj wieczorem w naszym więzieniu doszło do kilku nieprzyjemnych scen. Kilku pensjonariuszy dopatrzyło się powodów do narzekań, że jedzenie nie jest tak dobre jak zwykle, a to zostało wykorzystane przez pewne wynarodowione elementy do ubliżania w hałaśliwy sposób więziennym władzom. Dzięki krokom zarządzonym przez wezwanego natychmiast komendanta miasta, pana majora von Pasenowa, dalej dzięki jego spokojowi i roztropności, dalej dzięki hartowi ducha incydent został natychmiast zażegnany. Pogłoski, jakoby chodziło o próbę ucieczki rzekomo uwięzionych tutaj i oczekujących na sprawiedliwy wyrok dezertersów, są, jak się dowiadujemy z najlepszego źródła, całkowicie bezpodstawne, gdyż nie ma takowych uwięzionych. Nikt nie odniósł obrażeń.

Było to znów jedno z owych natchnionych posunięć i Huguenau z radości nie mógł wprost spać. Raz po raz wyliczał sobie:

po pierwsze, major zirytuje się z powodu dezertersów, ale i historia z kiepskim jedzeniem nie może być dla komendanta miasta miłą; a jeśli ktoś zasłużył sobie na irytację, to właśnie major;

po drugie, major będzie miał pretensje do Escha, zwłaszcza za wzmiankę o dobrze poinformowanym źródle; nikt nie uwierzy panu redaktorowi, że nic o tym nie wiedział – spaceru obu panów już się chyba skończyły;

po trzecie, wyobrażając sobie, jak chudy pastor o końskiej twarzy będzie się teraz wściekał, człowiek czuł na języku uszczęśliwiający i słodki smak;

po czwarte, wszystko odbyło się jak najbardziej legalnie – był wydawcą i miał prawo pisać, co chciał, a za pochlebne słowa major powinien właściwie być mu wdzięczny;

po piąte i szóste, dałoby się to ciągnąć jeszcze dalej, była to jednym słowem sprawa ze wszech miar udana, był to jednym słowem strzał w dziesiątkę – a ponadto major nabierze teraz szacunku dla niego: raporty niejakiego Huguenaua mają jednak ręce i nogi, nawet jeśli się nimi gardzi;

ba, po piąte, szóste i siódme, można by tak jechać i jechać, tkwiło w tym jeszcze dużo więcej, wszelako również coś nieprzyjemnego, o czym nie bardzo się chciało myśleć.

Rano w drukarni Huguenau przeczytał artykuł i był znów bardzo zadowolony. Popatrzył z okna w stronę redakcji i przybrał ironiczną minę. Ale nie poszedł na górę. Nie dlatego, że bał się siedzącego tam pastora. Jeśli tylko wypełnia się swoje dobre prawo, to nie ma się czego bać. A trzeba wypełniać swoje dobre prawo, kiedy jest się prześladowanym. I choćby przez to wszystko zginęło, trzeba wypełniać swoje dobre prawo! Chce się jedynie żyć w pokoju i

niezakłóconym porządku, chce się jedynie zajmować należne człowiekowi miejsce. I Huguenau poszedł do fryzjera, gdzie jeszcze raz studiował „Gońca Elektorskiego”.

Wszelako pozostawał problem obiadu. Nieprzyjemnie było siedzieć przy jednym stole z Eschem, który jakoś tam, aczkolwiek niesłusznie, mógł czuć się oszukany. Zna się te karcące spojrzenia klechów; wtedy jedzenie nie idzie człowiekowi na zdrowie. Taki klecha sam jest komunistą, który wszystko chce zsocjalizować, a zachowuje się tak, jakby to ten drugi chciał obalić porządek świata, tylko dlatego że on nie na wszystko się godzi.

Huguenau idzie na spacer i zastanawia się nad tym. Jednakże nic odpowiedniego nie przychodzi mu do głowy. Jest jak w szkole: możesz być nie wiem jak pomysłowy, ale jak co do czego przyjdzie, nie pozostaje ci nic lepszego jak wykręcić się chorobą. Zawraca więc, żeby być w domu jeszcze przed Eschem, i wspina się po schodach do matki Escha (bo tak zwykł ją od niedawna nazywać). I z każdym stopniem jego cierpiętnicza mina staje się prawdziwsza. Może on rzeczywiście czuje się niezbyt dobrze i najwłaściwiej byłoby nic w ogóle nie jeść. Ale w końcu zapłacił za utrzymanie, a temu Eschowi nie musi niczego dawać w prezencie.

– Proszę pani, jestem chory.

Pani Esch podnosi wzrok i jest poruszona żalną miną Huguenaua.

– Proszę pani, ja nic nie będę jadł.

– Ale, ale, panie Huguenau... zupę, zrobię panu dobrą zupkę... to jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

Huguenau namyśla się. Potem pyta smutno: – Bulion?

Pani Esch jest speszona: – Tak, ale... nie mam w domu mięsa na zupę.

Huguenau robi się jeszcze smutniejszy: – Tak, tak, nie ma mięsa... myślę, że mam gorączkę... niech pani dotknie, jaki jestem gorący...

Pani Esch podchodzi i z wahaniem kładzie palec na dłoni Huguenaua.

Huguenau mówi: – Omlet byłby chyba w sam raz.

– Nie lepiej zrobić panu herbaty?

Huguenau wietrzy oszczędności: – Ach, omlet dałoby się przełknąć... ma pani jajka w domu... może z trzech jajek.

Następnie człapiącym krokiem opuszcza kuchnię.

Częściowo dlatego, że choremu tak wypada, częściowo po to, by nadrobić zaległości nieprzespanej nocy, kładzie się na kanapie. Ale ze snem jest kiepsko, wciąż jeszcze drży w nim podniecenie dziennikarskim strzałem w dziesiątkę. Może należałoby położyć się do łóżka. Odurzony z niewyspania patrzy na lustro ponad umywalką, patrzy w okno, nasłuchuje odgłosów domu. Są to zwyczajne kuchenne odgłosy: słyszy zbijanie mięsa – więc jednak go oszwabiła, gruba Eschyca, żeby facetowi dostało się całe mięso. Naturalnie będzie się tłumaczyła, że na wieprzowinie nie można ugotować bulionu, ale taka delikatna, lekko podsmażona wieprzowina choremu by nie zaszkodziła. Potem słyszy krótkie, ostre siekanie na deseczce i uznaje, że to krojenie jarzyn – tak, on zawsze lękliwie przyglądał się matce, kiedy szybkimi, siekącymi cięciami kroila pietruszkę czy selera, zawsze z lękiem, że skaleczy się w czubek palca. Noże kuchenne są ostre. Rad jest, że odgłos siekania kończy się teraz i matka wyciera ścierką nietknięty palec. Gdyby tylko udało się zasnąć; lepiej byłoby jednak położyć się na łóżku, Eschyca powinna siedzieć obok i robić na drutach albo kłaść mu kompresy. Dotyka swojej dłoni; rzeczywiście jest bardzo gorąca. Trzeba pomyśleć o czymś przyjemnym. Na przykład o kobietach. O gołych kobietach. Skrzypią schody, ktoś idzie na górę; dziwne, ojciec zwykle nie przychodził tak wcześnie. No tak, to tylko listonosz. Matka Esch rozmawia z nim. Dawniej w domu stale był piekarz, teraz nigdy się go nie widzi. To absurd; nie sposób spać, kiedy człowiek jest głodny.

Huguenau mrugając oczyma spogląda w okno, dostrzega w dali łańcuch Gór Kolmarskich; kasztelanem zamku Hochkönig jest major, powołany na ten urząd przez samego cesarza.

Haïssez les Prussiens et les ennemis de la sainte religion. Ktoś śmieje się Huguenauowi w ucho; słyszy mowę alzacką. Kipi woda w garnku; syczy palenisko. Ktoś szepcze mu na ucho: głód, głód, głód. To zupełnie od rzeczy. Dlaczego nie wolno mu jeść razem z innymi! Zawsze był traktowany gorzej i niesprawiedliwiej. Czy na jego miejscu usiadłby teraz może major? Schody znowu skrzypią – Huguenau wzdryga się, to jest krok ojca. Ach Boże, to tylko Esch, walebnny pastor.

Ten drań Esch, dobrze mu tak, że się irytuje. Jak ty mnie, tak ja tobie. Noże kuchenne są ostre; i są też spiczaste. Teraz szczęśliwie przeszedł na protestantyzm, potem przejdzie na judaizm, każe się obrzezać; trzeba o tym powiedzieć jego żonie. Czubek palca, czubek noża. Najlepiej wstać od razu i pójść tam, zapytać go, czy przejdzie na judaizm. Bać się go to niedorzeczność; jestem tylko za leniwy. Ale ona powinna mi przynieść jedzenie, i to zaraz... zanim pastor dostanie swoje żarcie. Huguenau nasłuchuje w napięciu, czy już siadają do stołu. Nic dziwnego, że człowiek wciąż chudnie, skoro Esch wszystko mu wyżera. Ale taki już jest. Klecha musi mieć brzuch. Oszukaństwo z tym jego pastorskim surdudem. Kat też ma czarne ubranie. Nigdy nie wiadomo, czy biorą już człowieka na egzekucję, czy jedynie przynoszą jedzenie. Odtąd będzie się chodziło do hotelu i przy stoliku majora wcinało mięso. Już dziś wieczór Jeśli z omletem jeszcze długo potrwa, to będzie awantura. Na omlet wystarczy pięć minut!

Pani Esch wchodzi cicho do pokoju, stawia talerz z potrawą z jajek na krześle i przysuwa je do kanapy.

– Nie zaparzyć panu jednak herbaty, panie Huguenau, ziołowej herbaty?

Huguenau podnosi wzrok. Jego irytacja niemal się ulotniła, współczucie dobrze robi.

– Wie pani, mam gorączkę.

Powinna by przesunąć mu dłońią po czole, sprawdzić gorączkę; irytuje go, że tego nie robi.

– Położę się do łóżka, matko Esch.

Pani Esch jednak stoi nieporuszenie i upiera się przy tym, żeby go uraczyć herbatą: to jest wyśmienita herbata, nie tylko prastary, ale i sławny lek, zielarz, który odziedziczył tajemnicę po ojcu i pradziadku, doszedł do wielkiego bogactwa, ma dom w Kolonii, pielgrzymują do niego ludzie z całej okolicy. Rzadko kiedy zdarzało się jej powiedzieć tak dużo jednym tchem.

Huguenau mimo to nie jest przekonany: – Kieliszek wiśniaku dobrze by mi zrobił.

Ona krzywi się ze wstrętem: wódka? nie! Również swego męża, który jest nie najmocniejszego zdrowia, namówiła na herbatę.

– Co, to Esch pija herbatę?

– Tak – odrzekła pani Esch.

– No to, w imię boskie, niech mi pani też zrobi herbatę – i Huguenau usiadł z westchnieniem i spałaszował swój omlet.

Pożegnanie z Heinrichem przebiegło zadziwiająco bezboleśnie. O ile można rozdzielić sprawy fizyczne i duchowe, było to przeżycie wyłącznie fizyczne. Wróciwszy z dworca Hanna sama czuła się trochę jak opustoszały dom, w którym spuszczone zasłony. To było wszystko. Nawiasem mówiąc wiedziała z całą pewnością, że Heinrich wróci z wojny cało. I dzięki tej pewności, która nie pozwalała Heinrichowi stać się męczennikiem, można było nie tylko uniknąć budzącego obawy lęklivego sentymentalizmu na dworcu, lecz i – wykraczając daleko poza przykrość pożegnania – odsunąć w sferę bezsensu i nierealności pragnienie, żeby Heinrich nigdy już nie wrócił. Kiedy powiedziała do chłopca: – Tata niedługo znów będzie z nami – to oboje dobrze wiedzieli, co miała na myśli.

Przeżycie fizyczne, którym to mianem słusznie określała ten sześciotygodniowy okres urlopu, w duchu przedstawiało się jej teraz jak zwężenie nurtu życia, jak ścieśnienie własnego ja; było to jak zamknięcie tego ja w granicach cielesności, jak spienione przedzieranie się rzeki przez wąwóz. O ile przedtem, jeśli dobrze się zastanović, stale miała poczucie, że skóra nie ogranicza jej ja i że może ono przez tę bardzo przepuszczalną skórę przenikać aż po jedwabną bieliznę, jaką nosiła, i było wręcz tak, jakby nawet jej suknie gościły odrobinę jej ja (stąd chyba duża pewność w kwestiach mody), ba, było wręcz tak, jakby to ja żyło daleko poza ciałem, raczej otaczając je, aniżeli zamieszkując, i jakby myślało już nie w jej głowie, lecz gdzieś poza nią, poniekąd na wyższej wieży obserwacyjnej, z której mogła spoglądać na własną cielesność, choćby nie wiem jak ważną, niczym na malusieńką błahostkę, o tyle w ciągu sześciotygodniowego okresu przeżycia fizycznego, w ciągu przepływania wąwozu na łeb, na szyję, z całej tej rozproszonej przestrzenności pozostał już tylko połyskliwy opar, lśnienie tęczy nad huczącymi wodami, poniekąd ostatnie schronienie duszy. A teraz, skoro znów rozpościerała się spokojna równina i niejako opadły krępujące więzy, takiemu odetchnięciu i uspokojeniu od razu towarzyszyło pragnienie, żeby zapomnieć o huczącym ścieśnieniu. To zapominanie wszakże dokonywało się po trochu. Wszystko, co osobiste, zatoneło stosunkowo szybko, zachowanie Heinricha, jego głos, jego słowa, jego chód, wszystko to pogrążyło się bardzo prędko; pozostało natomiast to, co ogólne. Albo żeby użyć nieprzyzwoitej przenośni: najpierw zniknęła jego twarz, potem wszystko, co w nim ruchome, dłonie i stopy, ale nieruchomy i sterczący sztywno tors, ten tułów, który sięgał od klatki piersiowej po kikuty ud, ten nader sprośny obraz męczyzny, zachował się w głębi jej pamięci, bożyszczce, osadzone w ziemi albo oblewane przybrzeżnymi falami Morza Tyrreńskiego. A im dalej postępowało takie zapominanie po trochu – i to było w nim okropne – im bardziej kurczyło się to bożyszczce, tym bardziej koncentryczna i wyizolowana stawała się jego nieprzyzwoitość, nieprzyzwoitość, do której zapominanie zbliżało się coraz wolniej i wolniej, coraz drobniejszymi krokami – bezsilne wobec nieprzyzwoitości. To jest tylko przenośnia i jak każda przenośnia wyjaskrawia prawdziwy stan rzeczy, który pozostając zawsze w strefie cienia jest zlewaniem się niejasnych wyobrażeń, falowaniem na poły pamiętanych wspomnień, na poły pomyślanych myśli, na poły chcianych chceń, rzeką bez brzegów z unoszącym się nad nią srebrzystym oparem, srebrzystym powiewem, który sięga chmur i czarnych gwiazd. Toteż tors w szlamie rzeki nie był torse, był wygładzonym krzemieniem, był odosobnionym meblem, sprzętem domowym czy gratem, wrzuconym w nurt zdarzeń, rzuconym na przybrzeżne fale: fala płynęła za falą, dzień osnuwał noc, noc osnuwała dzień, a to, co dnie dawały sobie nawzajem, było nie do poznania, czasem jeszcze bardziej nie do poznania niż sny, które następowały po sobie, i czasem było w nich coś, co

przypominało sekretną wiedzę pensjonarek i jakoś tam budziło jednak skryte pragnienie, żeby uciec od takiej infantylnej wiedzy, uciec w świat indywidualnego i wydrzeć twarz Heinricha zapomnieniu. Ale było to tylko pragnienie, a jego spełnienie dopuszczałoby co najmniej tyle możliwości, ile możliwości uzupełnień daje znaleziony w ziemi grecki tors: to znaczy, że było to pragnienie nie do spełnienia.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydać rzeczą bez znaczenia, czy w pamięci Hanny Wendling przeważa indywidualne, czy ogólne. Ale w czasach, kiedy ogólne w sposób tak powszechnie widoczny objęło rolę dominującą, kiedy społeczna więź między ludźmi, która wiąże tylko jednostkę z jednostką, została zerwana na rzecz kolektywnych pojęć nigdy dotąd nie przeczuwanej jednolitości, kiedy zapanował pełen okrucieństwa stan odindywidualizowania, jaki odpowiada właściwie tylko dzieciństwu i późnej starości – również pamięć jednostkowa nie uchyli się od takiej powszechnej reguły, a osamotnienia nader niepozornej kobiety, choćby ładnej i będącej dobrą partnerką w łóżku, nie można wytłumaczyć zaistniałym niestety pozbawieniem seksualnej satysfakcji, bo stanowi ono część całości, jak każdy los jednostkowy odzwierciedla metafizyczne prawidłowości, jakim podlega świat, stanowi, jeśli ktoś chce, przeżycie fizyczne, niemniej jednak metafizyczne w swoim tragizmie: bo temu tragizmowi na imię osamotnienie jaźni.

Historia dziewczyny z Armii Zbawienia w Berlinie (13)

Czy ten czas, czy to rozpadające się życie ma jeszcze rzeczywistość? Moja bierność rośnie z dnia na dzień, nie dlatego, że wyczerpuje mnie ścieranie się z rzeczywistością, która jest ode mnie silniejsza, lecz dlatego że wszędzie natykam się na nierzeczywiste. W pełni zdaję sobie sprawę, że sensu i etosu mojego życia muszę szukać tylko przyjmując postawę aktywną, ale przeczuwam, że te czasy nie mają już czasu na jedynie prawdziwą aktywność, na kontemplacyjną aktywność filozofowania. Usiłuję filozofować – ale gdzie się podziela godność poznawania? czy dawno nie obumarła, czy filozofia wobec rozpadu swego przedmiotu sama nie rozpadła się na puste słowa? Ten świat bez bycia, świat bez spoczynku, ten świat, który może znaleźć i zachować równowagę tylko w rosnącej prędkości, jego pęd stał się pozorną aktywnością człowieka, by cisnąć go w nicość – o, czy jest głębsza rezygnacja od rezygnacji czasu, który nie potrafi już filozofować! Nawet filozofowanie stało się estetyczną zabawą, zabawą, której już nie ma, wpadła w jałowy bieg zła, stała się zajęciem mieszczuchów, którzy wieczorem się nudzą! Nie pozostaje nam już nic prócz liczby, nie pozostaje nam już nic prócz prawa!

Często wydaje mi się, że stanu, który mną zawładnął i który zatrzymuje mnie w tym żydowskim mieszkaniu, nie można już nazwać rezygnacją, że jest to raczej mądrość, która nauczyła się godzić z wszechogarniającą obcością. Bo nawet Nuchem i Maria są mi obcy, oni, z którymi wiązała się moja ostatnia nadzieja, nadzieja, że są moimi stworzeniami, nierealna, słodka nadzieja, że wziętem w ręce ich los, aby o nim decydować. Nuchem i Maria nie są i nigdy nie byli moimi stworzeniami. Żłudna nadzieja, że można kształtować świat!

Czy świat ma własną egzystencję? Nie. Czy Nuchem i Maria mają własną egzystencję? Na pewno nie, bo żadna istota nie prowadzi własnego życia. Ale instancje, które decydują o losach, znajdują się daleko poza sferą mojego władania i myślenia. Ja sam mogę jedynie wypełniać moje własne prawo, zajmować się moją własną, przepisaną mi sprawą, nie ma mowy, żebym poza to wykroczył, i choćby moja miłość do tych stworzeń, Nuchema i Marii, nie wygasła, choćbym nie ustawał w walce o ich dusze i losy, to instancje, od których zależą, są dla mnie nieosiągalne, pozostają dla mnie tajemnicze, tak tajemnicze jak białobrody dziadek, którego czasami spotykam chyba w przedpokoju, który jednak swoją właściwą postać przybiera dopiero w zawsze przede mną zamkniętej izbie i który utrzymuje ze mną stosunki jedynie przez swego delegata Litwaka, pozostają dla mnie tajemnicze jak białobrody generał Booth, którego portret wisi w rozmównicy przytułku. I jeśli dobrze się zastanowić, to nie jest to wcale walka, ani z dziadkiem, ani z generałem Armii Zbawienia, staram się bowiem dogodzić im obydwu i to ich dotyczą też moje zabiegi o Nuchema i Marię, ba, czasami myślę, że chodzi mi wyłącznie o pozyskanie moim działaniem miłości tych starców, aby mnie pobłogosławili i abym nie umierał samotnie. Bo rzeczywistość jest przy tych, którzy ustanowili prawo.

Czy to jest rezygnacja? Czy to jest odwrócenie się od wszystkiego, co estetyczne? Co się kiedyś ze mną działo? Moje minione życie tonie w mroku, nie wiem, czy żyłem, czy też zostało mi to opowiedziane, tak bardzo zatoneło w obcych morzach. Czy statki zawoziły mnie tam do brzegów dalekiego Wschodu i dalekiego Zachodu? Czy byłem zbieraczem bawełny na plantacjach Ameryki, czy byłem białym myśliwym w zamieszkałych przez słonie indyjskich

dżunglach? Wszystko jest możliwe, nic nie jest nieprawdopodobne, nawet zamek w parku nie byłby nieprawdopodobny, wyż i niż, wszystko jest możliwe, bo nic nie pozostało w tej dynamice, która istnieje sama dla siebie, na pozór w pracy, na pozór w spokoju i jasności, nic nie pozostało – ciśnięte moje ja, ciśnięte w nicość, tęsknota nie do spełnienia, nieosiągalna Ziemia Obiecana, niewidzialna coraz większa, nigdy niedostępna jasność, a wspólnota, której szukamy, jest wspólnotą bez sity, ale pełną złej woli. Płonne nadzieje, często bezpodstawna wyniosłość – świat pozostał obcym wrogiem, jeszcze mniej niż wrogiem, czymś obcym, czego powierzchni mogłem dotykać do woli, w co jednak nigdy nie zdołałem się wdrzeć, czymś obcym, w co nigdy się nie wdrę, obcy we wciąż zwiększającej się obcości, ślepy we wciąż zwiększającej się ślepcie, przemijający i rozpadający się we wspomnieniu nocy w rodzinnych stronach, a w końcu już tylko rozpadające się tchnienie przeszłości. Przeszedłem wiele dróg, aby znaleźć tę jedną, w której zbiegają się wszystkie inne, jednakże one zawsze dalej się rozchodzą i nawet Boga ustaliłem nie ja, tylko ojcowie.

Powiedziałem do Nuchema: – Jesteście ludem nieufnym, ludem złym, nawet Boga stale kontrolujecie w jego własnej księdze.

Odrzekł: – Prawo się ostaje. Bóg jest dopiero, kiedy się wszystko wyczytało z prawa.

Powiedziałem do Marii: – Jesteście ludźmi zacnymi, ale bezmyślnymi. Myślicie, że wystarczy być dobrym i muzykować, i że w ten sposób zwabicie Boga.

Odrzekła: – Radość w Bogu jest Bogiem, jego łaska jest niewyczerpana.

Powiedziałem sobie: – Jesteś cymbałem, jesteś platonikiem, myślisz, że ogarniając świat możesz nadawać mu kształt i samego siebie wybawić ku Bogu. Nie widzisz, że się w ten sposób wykrwawiasz?

Odrzekłem sobie: – Tak, wykrwawiam się.

Rozpad wartości (9)

Ekskurs teoriopoznawczy

Czy te czasy mają jeszcze rzeczywistość? Czy posiadają rzeczywistość wartości, w której przetrwa sens ich życia? Czy istnieje rzeczywistość dla niebycia w niezyciu? – Gdzie się schroniła rzeczywistość? W nauce? W prawie? W obowiązku? Czy w wątpliwościach wiecznie pytającej logiki, której punkt osiągalności zniknął w nieskończonym? Hegel obiecywał historii „drogę do wyzwolenia duchowej substancji”, drogę do samowyzwolenia duchowości – stała się ona drogą do samorozszarpywania wszystkich wartości.

Na pewno nie w tym rzecz, czy wojna światowa obaliła Heglowską konstrukcję historii (o to postarała się już siódemka planet), bo zautonomizowana w wyniku czterechsetletniego procesu rzeczywistość w żadnym razie nie była już skłonna i zdolna poddać się systemowi dedukcyjnemu. I ważniejsze byłoby pytanie o logiczne możliwości tej antydedukcyjnej rzeczywistości, o logiczne przyczyny takiej antydedukcji, krótko mówiąc: o „warunki możliwego doświadczenia”, w jakich ten proces duchowy musiał się odbywać – ale pogarda dla wszystkiego, co filozoficzne, znużenie słowem należą chyba same do tej rzeczywistości i do tego procesu, i tylko z wielką nieufnością wobec przekonującej mocy słów zadaje się owe naglące pytania metodologiczne: Co to jest wydarzenie historyczne? Co to jest historyczna jedność? Albo sięgając jeszcze dalej: Co to w ogóle jest wydarzenie? Jakiej trzeba selekcji, żeby pojedyncze fakty złożyły się w jedność wydarzenia?

Więź autonomicznego życia z kategorią wartości jest równie nierozzerwalna i dogłębna jak więź autonomicznej świadomości z kategorią prawdy – można by dla takich fenomenów jak wartość czy prawda szukać innych nazw, ale mimo to pozostają one fenomenami, równie niechybnymi jak „sum” i „cogito”, obydwa wywiedzione z wyosobnionej autonomicznej jaźni, obydwa będące zarówno aktem jak i ustanowieniem tej jaźni; toteż wartość dzieli się na wartościotwórczy, w najogólniejszym znaczeniu kształtujący świat czyn i na ukształtowany, widzialny w przestrzeni, widzialny w świecie rezultat, pojęcie wartości dzieli się na kategorie uzupełniające: na etyczną wartość czynu i estetyczną wartość uczynionego, dwie strony tego samego medalu, i dopiero ich zespolenie daje najogólniejsze pojęcie wartości i logiczne usytuowanie wszelkiego życia. I faktycznie w dziejach zawsze tak było: już historiografia starożytna podlegała swoim pojęciom wartości, moralizująca historia XVIII wieku z całą świadomością stosuje swoje, a w koncepcji Hegla wartość absolutna występuje najwyraźniej w pojęciach zarówno „ducha świata”, jak i „sędziowskiej roli historii”. Nic zatem dziwnego, że metodologiczna funkcja pojęcia wartości stała się głównym tematem poheglowskiej historiozofii, wszelako ze zgubnym skutkiem ubocznym, który polegał na rozbiciu całości poznania na przyrodnicze, wyzbyte wartości, i humanistyczne, odniesione do wartości – było to, jeśli ktoś chce, pierwsze bankructwo filozofii, gdyż tym sposobem tożsamość myślenia i bycia została ograniczona do dziedziny logiczno-matematycznej, a jeśli chodzi o całą resztę obszaru poznania, to owo idealistyczne główne zadanie filozofii wydaje się anulowane lub przesunięte w niejasną sferę intuicji.

Hegel wysunął przeciwko Schellingowi zarzut (słuszny), że ten cisnął absolut w świat „jak wystrzał z pistoletu”. To samo dotyczy jednak chyba także pojęcia wartości w Heglowskiej i

poheglowskiej filozofii. Ciśnięcie tego pojęcia po prostu w historię i określenie wszystkiego, co zachowane w historii, krótko i węzłowo mianem „wartości” jest od biedy jeszcze dopuszczalne w odniesieniu do czysto estetycznych wartości sztuk plastycznych, gdzie indziej jednak wytwarza taki dysonans, że człowiek czuje się zmuszany do uznania historii za konglomerat antywartości i zaprzeczenia w ogóle rzeczywistej wartości dziejów.

Teza pierwsza:

historia składa się z wartości, ponieważ życie można ogarnąć jedynie tą kategorią – ale tych wartości nie można wprowadzać do rzeczywistości jako bytów absolutnych, można je tylko pomyśleć w powiązaniu z działającym etycznie, wartościotwórczym podmiotem wartości. Hegel ustanowił w rzeczywistości taki podmiot w postaci absolutnego i zobiektywizowanego „ducha świata”, lecz jego konstrukcja przez swą wszechogarniającą absolutność doszła do absurdu. (Tutaj znów daje o sobie znać bariera nieskończoności wyrastająca przed myśleniem dedukcyjnym). Są tylko stanowienia skończone. Gdzie istnieje konkretny, z góry skończony podmiot wartości, a więc konkretna osoba, tam zrelatywizowanie wartości, ich zależność od wprowadzającego podmiotu są całkowicie przejrzyste – biografia osoby powstaje przez spisanie wszystkich wartościowych treści, które dla niej samej były ważne. Osoba jako taka może być zupełnie bezwartościowa, ba, wroga wartościom, na przykład hersztem bandy albo dezertorem, ale jako ośrodek wartości z przynależnym do niej kręgiem wartości jest mimo to dojrzała do biografii i do historii. I tak samo ma się rzecz z fikcyjnymi ośrodkami wartości: historię państwa, klubu, narodu, niemieckiej Hanzy, ba, nawet historię przedmiotów nieożywionych, choćby architektoniczną historię domu, tworzy się przez selekcję owych faktów, które dla danego ośrodka wartości, gdyby miał wolę wartości, byłyby ważne. Wydarzenie bez centrum wartości rozplywa się we mgle – bitwa pod Kunowicami składa się nie z listy uczestniczących w niej grenadierów, lecz z ukształtowania rzeczywistości, które podkłada się pod plany wodza. Wszelka jedność historyczna zależy od rzeczywistego bądź fikcyjnego ośrodka wartości; nie byłoby „stylu” epoki, ba, samej epoki jako wydarzenia historycznego, gdyby w jej centrum nie ustanowiono jednoczącej zasady selekcji, „ducha epoki”, któremu przypisuje się wartości- i stylotwórczą siłę. Albo, żeby posłużyć się wytartym wyrażeniem: kultura jest strukturą wartości, kulturę można sobie wyobrazić jedynie z pomocą pojęcia stylu, a żeby w ogóle można było ją sobie wyobrażać, potrzeba stylo- i wartościotwórczego „ducha kultury” w centrum owego kręgu wartości, który stanowi kulturę.

Czy to oznacza zrelatywizowanie wszystkich wartości? Porzucenie wszelkiej nadziei, że jednością myślenia i bycia objawi się kiedykolwiek w rzeczywistości absolutność logosu? Porzucenie nadziei, że choćby w przybliżeniu można będzie kiedyś kroczyć drogą do samowyzwolenia ducha i człowieczeństwa?

Teza druga:

dojrzałość historyczna, dojrzałość biograficzna wartościotwórczego czynu jest uwarunkowana absolutnością logosu. Bo rzeczywisty bądź fikcyjny podmiot wartości można sobie wyimaginować jedynie w samotności jego jaźni, w owej niewzruszonej, wyosobnionej i platońskiej samotności, której dumą jest wyłączna zależność od wymogów logiki, a koniecznością podporządkowanie czynu takiej logicznej ciągłości; a to oznacza, w duchu na wskroś Kantowskim, nie tylko żądanie „dobrej woli”, która tworzy dzieło dla dzieła, ale także wymóg wyciągnięcia wszystkich konsekwencji z autonomicznego prawa jaźni, aby dzieło, niezawisłe od jakiegokolwiek dogmatyki, tworzone było w czystej oryginalności tej jaźni i tego prawa. Innymi słowy: to, co nie powstaje na mocy własnego prawa, znika z historii.

Ale jakkolwiek to autonomiczne prawo działa w czasie, a zatem jest czasowo i stylowo uwarunkowane, to takie uwarunkowanie stylowe może być w każdej sytuacji tylko cieniem nadrzędnego logosu, owego logosu, który działa dzisiaj i który jest myśleniem, z pewnością i dzisiaj niczym innym jak ziemskim cieniem, jednakże on, przebijając się przez wszelkie cienie, z niezbywalnym roszczeniem do ponadczasowości umożliwia rzutowanie myślenia związanego ze stylem na inne ja. A ta zasadnicza jednolitość formalna w węższym zakresie dokonanego dzieła i ogólnych zasad estetycznych, mianowicie w sferze artystycznej, przejawia się najwyraźniej, wciąż na nowo i z pełną jasnością, w niezniszczalności artystycznych form.

Stąd w podsumowaniu wynika

teza trzecia:

świat jest stanowieniem intelligibilnej jaźni, bo niezatracona i niezatracała pozostaje idea platońska. Lecz to stanowienie nie stanowi „wystrzału z pistoletu”, można tylko raz za razem stanowić podmioty wartości, które z kolei odzwierciedlają strukturę intelligibilnej jaźni i które ze swej strony podejmują stanowienie, formowanie swoich własnych wartości: świat nie jest bezpośrednim stanowieniem jaźni, jest jej stanowieniem pośrednim, jest „stanowieniem stanowień”, „stanowieniem stanowień stanowień” itd. w nieskończoność. Dzięki owemu „stanowieniu stanowień” świat staje się metodologicznie zorganizowany i zhierarchizowany, z pewnością zorganizowane relatywistycznie, mimo to nie umniejszone ostaje się – podług formy – absolutne, bo etyczne żądanie, jakie stawia się rzeczywistym czy fikcyjnym podmiotom wartości, a z nim też immanentna ważność logosu w dokonanym dziele: ostaje się logika rzeczy. A choć logiczny postęp historii raz po raz musi się łamać, skoro tylko dotrze do granicy nieskończoności jej metafizycznej konstrukcji, choć platoński obraz świata musi raz po raz ustępować pozytywistycznemu oglądowi, niepowstrzymany pozostaje dynamizm idei platońskiej, która w każdym pozytywizmie wciąż na nowo porusza macierzystą ziemię, aby, na fali patosu doświadczenia, wciąż na nowo podnosić głowę.

Każda pojęciowo ujęta jedność w świecie jest „stanowieniem stanowienia”, jest nim każde pojęcie, każda rzecz i ta metodologiczna funkcja jednoczącego poznania, które może ująć rzeczy jedynie jako autonomiczny i wartościotwórczy podmiot wartości, sięga prawdopodobnie aż po matematykę, likwidując w taki sposób różnicę między matematyczno-przyrodniczym a empirycznym tworzeniem pojęć. Bo nie tylko „stanowienie stanowienia” jest, z metodologicznego punktu widzenia, po prostu wprowadzeniem hipotetycznego obserwatora w dziedzinę obserwacji, co w naukach empirycznych, na przykład w fizycznej teorii względności, całkiem niezależnie od poglądów teoriopoznawczych, nastąpiło już dawno, ale też badania podstaw matematyki z takimi pytaniami jak: „co to jest liczba?”, „co to jest jednostka?” dotarty do punktu, w którym z konieczności poczuły się zdane na awaryjne wyjście intuicji: a za sprawą zasady „stanowienia stanowienia” intuicja uzyskuje logiczną legitymizację, bo ulokowanie jaźni w hipostatycznym podmiocie wartości może być słusznie uważane za metodologiczną strukturę intuicyjnego aktu!

To, że zasada „stanowienia stanowienia” mogła tak długo pozostawać nie zauważona, wolno chyba wytłumaczyć jej oczywistością, ba, jej prymitywizmem. Tak, prymitywizmem! A dla pychy człowieka wydaje się ciężarem nie do udźwignięcia, kiedy ma się on przyznać do prymitywnych zachowań. Bo chociaż proces „stanowienia stanowienia” gwarantuje wnikanie intelligibilnej jaźni we wszystkie rzeczy świata, to – abstrahując na chwilę od tego platońskiego tła – w „stanowieniu stanowienia” dokonało się wszechuduchowienie natury, więcej jeszcze: wszechuduchowienie świata w całej jego totalności, wszechuduchowienie, które każdą rzecz i każde, choćby najbardziej abstrakcyjne pojęcie obdarza podmiotem wartości i które można porównywać jedynie z wszechuduchowieniem świata, jakie występuje w myśleniu ludów pierwotnych: jest tak, jak gdyby rozwój logiczności odbywał się w ramach

swoistej ontogenezy, która nawet w najwyższej rozwiniętej strukturze logicznej utrzymuje przy życiu wszystkie dawne i na pozór obumarłe formy myślenia, a więc również tę od bezpośredniego uduchowienia, praformę spójnego łańcucha osiągalności, i każdemu krokowi myśli nadaje piętno, choć nie treść prymitywnej metafizyki – na pewno obrazem dla racjonalisty, jednakże pociechą dla panteistycznego poczucia.

A mimo to można tu szukać pociechy także dla sfery racjonalnej. Jeśli bowiem „stanowienie stanowienia” w jego powiązaniu z logosem interpretować jako strukturę logiczną aktu intuicyjnego, to wolno w nim również widzieć „warunek możliwego doświadczenia” dla skądinąd niewytłumaczalnego faktu porozumienia między człowiekiem a człowiekiem, między samotnością a samotnością: daje ono więc nie tylko teoriopoznawczą strukturę przekładalności wszystkich języków, choćby nie wiedzieć jak bardzo różniły się między sobą, lecz ponadto, daleko ponadto, w jedności pojęcia daje wspólny mianownik wszelkiej ludzkiej mowy, daje rękojmię jedności człowieka i jego człowieczeństwa, które mimo samorozszarpywania pozostaje obrazem i podobieństwem Boga – bo będąc lustrem dla samego siebie człowiekowi w każdym pojęciu i w każdej jedności, jaką ustanawia, przyświeca logos, przyświeca słowo Boże jako miara wszystkich rzeczy. I choćby stałość tego świata, choćby jego wartość estetyczna uległa zagładzie i rozplynęła się w funkcji, rozplynęła się w zwątpieniu we wszelką prawidłowość, więcej jeszcze: rozplynęła się w obowiązku pytania i wątpienia, to nietknięta pozostaje jedność pojęcia, nietknięte etyczne żądanie, nietknięty pozostaje rygorizm wartości etycznej jako czystej funkcji, rzeczywistość obowiązku przestrzegane jak najściślej i jako taka wciąż jeszcze jedność świata, jedność człowieka, obecna we wszystkich rzeczach, niezatraczona i niezatracałna ponad przestrzeniami i czasami.

Doktor Flurschütz pomagał Jaretzkiemu założyć protezę. Obok stała też siostra Matyllda.

Jaretzki gmerał przy rzemykach: – No, Flurschütz, serce się panu nie kraje, że wkrótce przyjdzie się pożegnać... że już nie wspomnę o siostrze Matyldzie!

– Widzi pan, Jaretzki, właściwie to bardzo chętnie zatrzymałbym pana jeszcze tutaj pod swoją opieką... jest pan teraz w nie najlepszym okresie.

– Czy ja wiem... niech pan poczeka... – Jaretzki usiłował wcisnąć papierosa między palce protezy ... niech pan poczeka... jakby to było, gdybyśmy z tego urzędnika zrobili uchwyt do papierosów... albo wieczną cygarniczkę... to byłby pomysł...

– Niech pan chwilę się nie rusza, Jaretzki – Flurschütz zapinał paski ...no i jak pan się czuje?

– Jak nowo narodzona maszyna... maszyna we wspaniałym okresie... gdyby papierosy były lepsze, byłoby jeszcze wspanialej.

– Nie lepiej, żeby pan rzucił palenie... naturalnie to drugie też.

– Miłość? Chętnie.

Siostra Matyllda niepotrzebnie sprostowała: – Nie. Doktor Flurschütz uważa, że powinien pan przestać pić.

– Ach tak, tego nie skapowałem... na trzeźwo zawsze ciężko się kapuje... że pan jeszcze na to nie wpadł, Flurschütz... dopiero jak człowiek się urznie, rozumie jeden drugiego.

– To śmiało usprawiedliwienie!

– No, Flurschütz, niech pan sobie tylko przypomni, jak wspaniale upojeni byliśmy w sierpniu czternastego... wydaje mi się, że wtedy po raz pierwszy i ostatni stanowiliśmy całość.

– Coś podobnego mówi Scheler...

– Kto?

– Scheler. Geniusz wojny,, niedobra książka.

– Ach tak, książka... to nic... ale ja chcę panu coś powiedzieć, Flurschütz, i to całkiem serio: niech mi pan da jakieś inne, jakieś nowe upojenie, choćby morfinę, patriotyzm, komunizm czy jeszcze coś, co ludzi upaja na całego... niech mi pan da coś, żebyśmy znowu byli wszyscy razem, a rzucę picie... z dnia na dzień.

Flurschütz zamyślił się, po czym powiedział: – Coś tu jest na rzeczy... ale jeśli koniecznie ma to być upojenie i bycie razem, to jest na to prosty sposób, Jaretzki: niech pan się zakocha.

– Na rozkaz lekarza, tak jest... czy pani już kiedyś zakochała się na rozkaz, siostrze?

Siostra Matyllda zarumieniła się; na jej usianej piegami szyi pokazały się dwie czerwone pręgi.

Jaretzki na to nie patrzył: – To zły okres na zakochanie... wydaje mi się, że wszyscy jesteśmy w złym okresie... z miłością też jest koniec... – wypróbował przeguby protezy ...właściwie przydałaby się instrukcja obsługi... powinien przecież gdzieś być specjalny przegub do uścisków.

Flurschütz był osobliwie urażony. Może dlatego, że była przy tym siostra Matyllda. Ta zarumieniła się jeszcze bardziej: – Co też panu przychodzi do głowy!

– Dlaczego? To bardzo sympatyczne pomysły... protezy dla miłości... w ogóle byłaby to piękna sprawa, specjalna wersja dla oficerów sztabowych od pułkownika wzwyż... założę fabrykę.

Flurschütz zapytał: – Ciągłe pan musi odgrywać enfant terrible?

– Nie, tylko mam pomysły dla przemysłu zbrojeniowego... teraz to odepniemy. – Jarecki manipulował przy paskach; siostra Matylda pomagała mu. Wyprostował metalowe palce: – O, a teraz włożymy rękawiczkę... raz, dwa, trzy, to palce są, co śliwki rwą.

Flurschütz oglądał blizny na obnażonym kikucie ramienia: – Myślę, że pasuje jak ulał, musi pan tylko uważać, żeby na początku nie obetrzeć sobie skóry.

– Dzielne praczki trą i trą... a tam śliwki rwą.

– Z panem, Jarecki, naprawdę nie można się porozumieć.

Naturalnie nic to nie dało, że wtedy przy obiedzie Huguenau ukrył się przed Eschem. Jeszcze tego samego wieczora doszło do okropnej sceny. Wszelako Esch rychło został rozbrojony, bo Huguenau nie tylko obstawał przy zagwarantowanym na piśmie prawie wydawcy, które pozostawiało mu całkowitą swobodę zamieszczania dowolnych artykułów, lecz posłużył się też własnymi argumentami Escha: – Drogi przyjacielu – drwij – ile to razy pan biadolił, że rzucają panu kłody pod nogi, ponieważ chce pan odsłaniać publiczne nieporządki... a kiedy ktoś inny zdobywa się na odwagę, żeby to zrobić naprawdę, chowa pan ogon pod siebie... no pewnie, nie chce się stracić protekcji pana komendanta miasta... zawsze się patrzy, skąd wiatr wieje, nie? – Cóż, takiego to gadania musiał wysłuchać Esch i chociaż został zaatakowany zniechęca i podstępnie, potrafił odpowiedzieć tylko cytatem z Götza, a poza tym milczał.

Huguenau zaś zręcznie wykręciwszy ster poszedł po tej rozmowie do pani Esch, aby gorzko poskarżyć się na jej męża, który brutalnie potraktował sumiennego współpracownika, a dlaczego? tylko dlatego, że ten sumiennie i bezinteresownie spełnił swój obowiązek. Nie pozostało to bez następstw i gdy Esch przyszedł nazajutrz na obiad, zastał zarówno nadąsanego i obrażonego Huguenaua, jak i małżonkę, która pojednawczymi słowami wzięta w obronę niewinność pana Huguenaua, tak że nim się człowiek obejrzał, zgodnie i wspólnie zajadało się zupę, ku wielkiemu zadowoleniu pani Esch, która bardzo się już bała, że straci gościa, który nigdy nie szczędził pochwał.

Ale być może fakt, że udało się uniknąć decydującej awantury i wyrzucenia Huguenaua, nawet Eschowi dogadzał; nie sposób było przewidzieć, jakie jeszcze ataki na majora knuł ten facet... w każdym razie dobrze było mieć go na oku. I tak to Huguenau został, chociaż obiady przebiegały niezbyt przyjemnie, zwłaszcza że Esch nabrał zwyczaju lustrowania stołownika ponad zastawionym stołem nieufnymi spojrzeniami.

Huguenau, trzeba to powiedzieć na jego korzyść, nie szczędził starań, żeby wytworzyć pogodniejszy nastrój; ale rezultat był mierny. Również dzisiaj, chociaż minął już przeszło tydzień, Esch znów pokazał się od swej najnieznośniejszej strony I w odpowiedzi na nieśmiałe pytanie małżonki burknął tylko:

– Wyjechać do Ameryki...

Potem już się nie rozmawiało.

W końcu jednak Huguenau rozsiadł się najedzony na krześle i przerwał nieprzyjemne milczenie obiecującymi słowami. – Matko Esch – powiedział i unióś palec – matko Esch, wystraszałem chłopą, który dostarczy nam mąkę, a może nawet szynkę.

– Czyżby? – odezwał się Esch. – Gdzieś go pan znalazł?

Naturalnie ten chłop jeszcze nie istniał, ale czego nie ma, to może być i Huguenau zżymał się, że jego dobra wola nigdy nie spotyka się z uznaniem. Ale nie chciał znów klócić się z Eschem, przeciwnie, chciał mu powiedzieć coś uprzejmego: – Trzeba troszkę ulżyć matce Esch... cztery gęby., podziwiam ją, że w ogóle jakoś sobie radzi... małą trzeba przecież też doliczyć.

Esch uśmiechnął się: – A tak, małą trzeba.

Huguenau spytał uprzedzająco: – Gdzie ona się teraz podziewa?

Pani Esch westchnęła: – Ma pan rację, nakarmić cztery gęby to dzisiaj nie takie proste... byłoby lepiej, gdyby mój mąż nie obarczył nas troską o małą.

– Tego nie dam sobie wmówić – uniósł się Esch. Popatrzył gniewnie na żonę, która siedziała z dziwnie wymuszonym uśmiechem, jakby była świadoma winy. Esch trochę złagodniał: – Jak nie ma nowego życia, to wszystko jest martwe.

– Tak, tak – przyznała pani Esch.

Huguenau powiedział: – Ale cały dzień wałęsa się po ulicy... z chłopakami; musicie państwo uważać, żeby nie dała drapak.

– No, bardzo jej u nas smakuje – odrzekła pani Esch. A Esch, niemal ostrożnie, niemal jakby dotykał ciężarnej, ujął grube ramię żony: – Chciałoby się wierzyć, że lubi u nas być, no nie?

Huguenau zirytował się na małżonków. Powiedział: – Mnie również smakuje u państwa, matko Esch... może zechcieliby państwo adoptować i mnie? – Chętnie by dorzucił, że Esch miałby wtedy syna, o którym ciągle bajdurzy i który ma zbudować dom – ale z jakiegoś, dla niego samego niezrozumiałego powodu był głęboko dotknięty i cała sprawa nie wydawała mu się już zabawna. Gdyby Esch zerwał się nagle, żeby mu pogrozić,

Huguenau wcale by się nie zdziwił. Ani chybi lepiej było opuścić lokal i poszukać Margerity; będzie pewnie na podwórzu. Najlepiej byłoby prysnąć z Margeritą.

Także pani Esch wydawała się przestraszona żądaniem, z jakim zwrócił się Huguenau. Czuła, jak koścista dłoń Escha obejmuje jej ramię, i z otwartymi ustami wpatrywała się w Huguenaua, który tymczasem wstał; dopiero gdy był przy drzwiach, wyjąkała: – Dlaczego nie, panie Huguenau...

Huguenau jeszcze to usłyszał, ale zapiekła uraza do Escha nie zmniejszyła się. Na dole spotkał Margeritę i podarował jej całą markę. – Na podróż – powiedział – ale musisz się porządnie ubrać... pokaż no się... wydaje mi się wprost, że jesteś goła... na jesieni będzie chłodno.

Było już po dziewiątej, gdy u doktora Kessela rozległ się dzwonek do drzwi. Kuhlenbeck siedział z cygarem w rogu kanapy: – No, no, Kessel, jeszcze jeden pacjent? – A niby kto – odparł Kessel, który podniósł się automatycznie – niby kto... nie ma nocy, żeby człowiek mógł się wyspać. – I znużony poszedł do sąsiedniego pokoju po torbę.

Tymczasem na górę weszła służąca: – Panie doktorze, panie doktorze, pan major jest na dole. – Kto? – zawołał Kessel z sąsiedniego pokoju. – Pan major? – To dotyczy mnie – powiedział Kuhlenbeck. – W tej chwili – zawołał Kessel i, jeszcze z czarną torbą w dłoni, wybiegł na przyjęcie gościa.

I oto major stanął w drzwiach; uśmiechał się z lekka zakłopotany.

– Wiadomo mi było, że panowie są razem... a że pan, panie doktorze Kessel, tak uprzejmie mnie zapraszał... pomyślałem, że może panowie muzykują.

– No, Bogu dzięki, myślałem już, że znowu coś się stało – powiedział Kuhlenbeck ...no, tym lepiej.

– Nie, nic się nie stało – odparł major.

– Więc nikt się nie zbuntował? – spytał Kuhlenbeck z właściwym sobie brakiem taktu i dodał: – Kto właściwie zamieścił w „Gońcu” ten idiotyczny artykuł? Esch czy ten pajac o francuskim nazwisku?

Major nie odpowiedział; był pytaniami Kuhlenbecka niemile dotknięty. Żałował, że tu przyszedł. A Kuhlenbeck ciągnął dalej: – Cóż, tym panom w więzieniu zapewne nie wiedzie się nadzwyczajnie... ale nie siedzą na froncie i mieliby wszelkie powody, żeby zachowywać się spokojnie. Widać nie pamiętają już, jaki to wielki dar żyć, po prostu żyć, chociażby jak najędniej... człowiek ma kiepską pamięć.

– Gazeciarze – rzucił major, chociaż nie była to już właściwa odpowiedź.

– Już się bałem, że znowu mnie wezwą – powiedział Kessel – miejmy nadzieję, że dzisiaj nic nam nie przeszkodzi.

Kuhlenbeck gadał dalej: – Żeby państwo w dzisiejszych czasach utrzymywało więzienia, to niebывały luksus... poza tym niepotrzebny... cały świat to więzienie... i tak długo nie pociągnie... nawiasem mówiąc zakład dawno już należałoby ewakuować... co zrobimy z tymi ludźmi, jak wszyscy się przeniesiemy?

– Tak źle jeszcze nie jest – powiedział major – i z Bożą pomocą tak źle nie będzie. – Powiedział to, ale w to nie wierzył. Dopiero tego popołudnia otrzymał znów tajny rozkaz z instrukcjami na wypadek ewentualnej ewakuacji miasta. Krzyżowały się sprzeczne rozkazy i człowiek nie wiedział, co przyniesie najbliższa godzina. To było bagno.

Kuhlenbeck oglądał swoje duże, dobre łapy chirurga: – Jak przyjdą Francuzi... niech pan będzie pewny, że wydusimy ich gołymi rękami.

Kessel oznajmił: – Czasami uważam to za szczęście, że moja biedna żona nie dożyła tych czasów. – Popatrzył na fotografię, która wisiała nad fortepianem, ozdobiona wiankiem nieśmiertelników i krepą.

Popatrzył na nią również major: – Czy małżonka pana także była muzykalna? – zapytał w końcu. Koło fortepianu stała wiolonczela w szarym lnianym pokrowcu, na którym wyszyte były czerwona lira i dwa skrzyżowane flety. Dlaczego tu przyszedł? Dlaczego przyszedł do lekarzy? Czy czuł się chory? Przecież nie znosił lekarzy, wszystko to wolnomyśliciele, na których nie można polegać. Nie wiedzą, co to honor. Oto w rogu sofy siedział komendant lazaretu z przechyloną w tył głową, wypuszczał w sufit kółka dymu, wystawiał brodę w górę.

Wszystko to było nieprzyzwoite. Dlaczego tu przyszedł? Ale lepiej już być tutaj niż w odludnym pokoju hotelowym czy w sali jadalnej, gdzie lada chwila mógł się zjawić ten Huguenau. Kessel kazał przynieść jeszcze butelkę bernkastelera i major szybko wypił szklankę. Potem powiedział: – Myślałem, że panowie będą muzykować.

Kessel uśmiechnął się roztargniony: – Tak, moja żona była bardzo muzykalna.

Kuhlenbeck powiedział: – Jak by to było, Kessel, gdyby pan jednak wyjął tę swoją basetłę... dobrze nam to wszystkim zrobi.

Major czuł, że Kuhlenbeck chciał mu w ten sposób wyświadczyć grzeczność, choć było to chyba trochę zbyt poufale. Toteż rzekł jedynie: – Tak, byłoby miło.

Kessel podszedł do wiolonczeli i patrząc na fotografię wydobyl instrument z futerału. Ale potem zawahał się: – A kto będzie mi akompaniować?

– Sam pan pociągnie, Kessel – powiedział Kuhlenbeck – śmiało! – Kessel jeszcze się ociągał: – A co mam zagrać? – Coś chwytającego za serce – odparł Kuhlenbeck i Kessel przyciągnął krzesło, usiadł koło fortepianu, jak gdyby był tu ktoś, kto będzie akompaniował; uderzył w klawisz, przeciągnął po strunach i nastroił instrument. Potem zamknął oczy.

Grał sonatę wiolonczelową e-moll opus 38 Brahmsa. Jego łagodna twarz była osobliwie zwrócona do wewnątrz, siwy wąs nad ściągniętymi wargami nie był już wąsem, lecz szarym cieniem, fałdy policzków ułożyły się inaczej, nie była to już twarz, była prawie niewidoczna, może był to szary krajobraz jesienny w oczekiwaniu śniegu. I także gdy łaza spłynęła wzdłuż nosa, to nie była już łaza. Tylko dłoń była jeszcze dłonią i miało się wrażenie, że ruchy smyczka przyciągają do niej wszelkie życie, wznoszone i opuszczane przez fale brązowej, łagodnej rzeki dźwięków, która stawiała się coraz szersza i jego, który tam grał, opływała, tak że był bardzo samotny i odosobniony. Grał. Prawdopodobnie był amatorem, ale jemu, majorowi i chyba także Kuhlenbeckowi mogło to być obojętne: bo hałaśliwa niemota tych czasów, nieme, nieprzeniknione brzmienie ich łomotu, wzniesione między człowiekiem a człowiekiem, ściana, przez którą głos człowieka nie przechodzi ani w jedną, ani w drugą stronę, tak że musi ona zadrzeć – bo zniesiona została okropna niemota czasu, zniesiony został sam czas, przeobraził się w przestrzeń, która obejmowała ich wszystkich, gdy rozbrzmiewała wiolonczela Kessela, dźwięk niósł się wzbijając w górę, rozbudowując przestrzeń, wypełniając przestrzeń, wypełniając ją całą.

Kiedy muzyka przebrzmiała i doktor Kessel stał się na powrót doktorem Kesselem, major wyprężył się lekko, aby przepisową postawą pokryć wzruszenie. I czekał, że Kessel powie zaraz coś pocieszającego – teraz powinno by to zostać powiedziane! Ale doktor Kessel tylko spuścił głowę i widać było przeredzone pukle – nie sztywną, siwą szczotkę jak u Escha – które cienko pokrywały łysinę. Niemal zawstydzony odstawił instrument, zapakował w płótno, co sprawiało wręcz nieprzyzwoite wrażenie, a Kuhlenbeck ze swego kąta sofy wykrztusił jedynie: – No tak. – Być może wstydzili się wszyscy trzej.

W końcu Kuhlenbeck powiedział: – No tak, lekarze są muzykalni.

Major szukał w pamięci. Za młodych lat miał przyjaciela, czy to był przyjaciel? Ten grał na skrzypcach, ale nie był lekarzem, chociaż... być może był lekarzem albo chciał nim być. Pamięć utknęła, pamięć zeszywniała, zeszywniał ruch i major widział jedynie swoją własną golą dłoń na czarnym materiale spodni od munduru. I wbrew jego woli wargi wyszeptaly: – Nagi i bosy wystawiony...

– Halo! – zawołał Kuhlenbeck.

Major obrócił się ku niemu: – Ach nic... to ciężkie czasy... Dzięki, panie doktorze Kessel.

Tym razem odezwał się i Kessel: – Tak, muzyka jest pociechą w tych czasach... pozy tym niewiele już nam zostaje.

Kuhlenbeck walnął w stół: – Nie będziemy tu się zamartwiać... a choćby i świat pełen był diabłów, kto żyje, nie ma prawa rozpaczać... niech tylko pokój nastanie, raz-dwa się pozbieramy!

Major potrząsnął głową: – Wobec nędznej zdrady jest się bezsilnym. – Przed oczami stanął mu Esch, ta żółto-brązowa twarz z wyzywającym uśmiechem, tak, „wyzywający” to było właściwe słowo, ta twarz, która zarazem prosiła jakoś o wybaczenie i miała pełen wyrzut wyraz powalonego konia.

– My, Niemcy, zawsze byliśmy zdradzani – powiedział Kuhlenbeck – a mimo to żyjemy.
– Uniósł szklanę: – Niech żyją Niemcy!

Major też uniósł szklanę i pomyślał: „Niemcy”, pomyślał o wzorowym porządku i poczuciu bezpieczeństwa, z czym dotychczas zawsze kojarzyły mu się Niemcy. Nie widział już Niemiec. W jakiś sposób obarczał Huguenaua odpowiedzialnością za niedolę ojczyzny, za przemarsze wojsk, za sprzeczne rozkazy dowództwa, za nierycerskie bronie wojny gazowej, za narastający powszechny nieporządek. I wręcz pragnął, żeby obraz Escha złączył się i złął w jedno z obrazem Huguenaua dowodząc, że obaj to przedstawiciele zła, obaj awanturnicy, wynurzeni z nie dającego się rozsypać kłębowiska interesów i twarzy, których się nie rozumiało, obaj nie zasługujący na zaufanie i godni pogardy, winni, demonicznie winni fatalnemu wynikowi wojny.

Kessel powiedział: – Ja już położyłem krzyżyk... spełniam swój obowiązek, ale położyłem krzyżyk.

Życie było nie do rozsypiania, nad światem rozpościerała się sieć zła i znowu zaczął się niemy, potężny hałas. Kto zbacza ze ściśle wytyczonego szlaku ewangelicznego obowiązku, jest grzeszny i grzeszna była nadzieja, że łaska spełni się już w ziemskości, zapowiedziana głosem przyjaciela, który rozbija milczenie i sztywność pancerza i wybawia z samotności ku błogiemu płynięciu z prądem. I major powiedział: – Zboczyliśmy ze szlaku obowiązku i musimy ścierpieć karę.

– No, no, panie majorze – zaśmiał się Kuhlenbeck – na to ja się nie piszę, ale jestem za tym, żeby wstąpić na szlak wiodący do domu i żeby nasz zmęczony Kessel mógł wreszcie pójść do łóżka. – Podniósł się z sofy, a kurtka munduru marszczyła się luźno na jego masywnym ciele. Przebrany cywil, musiał pomyśleć major – to nie był strój żołnierza. Major von Pasenow podniósł się również. Dlaczego tu przyszedł, on, który nosił żołnierski mundur? Ziemski obowiązek jest odbiciem boskiego nakazu, a służba czemuś większemu, niż samemu się jest, zobowiązuje człowieka do podporządkowania się wyższej idei, żąda od niego rezygnacji także z ostatniego, wąskiego skrawka osobistej wolności, jeśli zachodzi taka potrzeba. Dobrowolne posłuszeństwo, tak, to była postawa wyznaczona przez Boga, wszystko inne można było uważać za niebyt. Major obciągnął kurtkę, dotknął wstążki Krzyża Żelaznego i przybrawszy na pożegnanie przepisową postawę odzyskał ową jasność i pewność, jaką dają człowiekowi obowiązek i mundur.

Doktor Kessel szedł z nimi na dół. Przy drzwiach wejściowych major powiedział dość ceremonialnie: – Dziękuję panu, panie doktorze, za duchową ucztę, jaką nam pan zgotował. – Kessel zwlekał trochę z odpowiedzią, a potem rzekł cicho: – To ja muszę podziękować, panie majorze... muzykowałem dzisiaj po raz pierwszy od śmierci mojej biednej żony. – Jednakże major tego nie usłyszał i nieco sztywnym gestem po prostu podał mu rękę. Szedł z Kuhlenbeckiem wąskimi ulicami, szli przez rynek, rzadki jesienny deszcz zaczął z ukosa, obaj mieli na sobie szare oficerskie płaszcze, obaj mieli oficerskie czapki, a mimo to nie byli kolegami w żołnierskim stroju. Skonstatował to major.

Historia dziewczyny z Armii Zbawienia w Berlinie (4)

Poznaniu, jakiego dostępuje się za sprawą postów i umartwień, brakuje z pewnością ostatecznej logicznej ścisłości. Myślę, iż mogę powiedzieć z całą pewnością, że w owym czasie dokonała się zmiana mojej sytuacji poznawczej. Jednakże obserwowałem tę przemianę z najwyższą nieufnością, jako że szła ręka w rękę z ustawicznym niedożywieniem, ba, byłem wręcz gotów zgodzić się z opinią doktora Litwaka i uznać się za chorego, a to tym bardziej, że dużo prędzej można było mówić o wyraźniejszym samopoczuciu fizycznym aniżeli o wyostreniu mojego poznawania świata. Jeśli na przykład przedkładałem sobie stare pytanie, czy moje życie ma jeszcze sensowną rzeczywistość, to odpowiedzi udzielało mi owo samopoczucie fizyczne i dawało pewność, że żyję w swoistej rzeczywistości drugiego stopnia, że zaczęła się swego rodzaju nierzeczywista rzeczywistość, rzeczywista nierzeczywistość, i to przepoiło mnie osobliwą radością. Było to coś w rodzaju stanu zawieszenia między jeszcze-nie-wiedzą a już-wiedzą, był to symbol, który z kolei też znajdował symboliczny wyraz, lunatyczne wędrowanie, które wiodło w jasność, strach, który znosił się, a przecież sam z siebie się odnawiał, było to jak szybowanie ponad morzem śmierci, śmigłe wznoszenie się i opadanie nad falami, bez dotykania ich, tak bowiem zrobiłem się lekki – było to niemal cielesne poznanie, którym chłonałem wyższą platońską rzeczywistość świata, i całego wypełniało mnie niezachwiane przeświadczenie, że wystarczy mi zrobić niewielki krok, aby takie poznanie cielesne zamienić w racjonalne.

W tej chybotliwej rzeczywistości rzeczy przyplływały do mnie, wpływały we mnie, nie musiałem o nie zabiegać. To, co dawniej wyglądało na bierność, teraz nabrało sensu. Jeśli dawniej zostawałem w domu, żeby oddawać się swoim myślom, wygłaszać filozoficzne monologi i od czasu do czasu notować je w szkicowej formie, to teraz zostaję w swojej izbie jak chory, który jest posłuszny swojemu lekarzowi i swojej chorobie. Ziściło się wszystko, czego chciał doktor Litwak. Stale mnie teraz odwiedza, a niekiedy to nawet ja sam wołam go do siebie; i jeśli zmieniając nagle zdanie chce mi wmówić, że nie jestem chory, „jest pan cokolwiek anemiczny, a poza tym stuknięty”, to również to się ziszcza, bo czuję się jak wykrwawiony. Nie chcę już myśleć, nie dlatego, że bym nie potrafił, lecz nie myślę już, ponieważ myślenie mam w pogardzie. Na pewno nie stałem się jeszcze taki mądry, nie roszczę sobie bynajmniej pretensji do tego, że osiągnąłem ów ostatni stopień wiedzy, który pozwalałby mi stanąć ponad wiedzą, ach, stoję o wiele poniżej wiedzy, jest to raczej strach przed utratą owej chybotliwej równowagi, jaka kryje się za pogardą dla słowa. A może to nagle zbudzone przekonanie, że jedność myślenia i bycia można urzeczywistnić tylko w najskromniejszych ramach? Zarówno myślenie, jak i bycie zredukowane do minimum!

Maria odwiedza mnie czasem, przynosi mi coś do jedzenia, jak swoim pozostałym chorym, i ja się z tym godzę. Niedawno zastała u mnie Litwaka i Nuchema. Zgodnie ze swoim zwyczajem pozdrowiła ich uprzejmym: – Niech Bóg panów błogosławi! – a Litwak i tym razem nie omieszkał odpowiedzieć na to: – Aż do setki. – Maria kaszlała i on zrobił zatroskaną minę: – To nie jest potrzebne – powiedział, przy czym pozostało sprawą otwartą, czy miał na myśli przypuszczalną chorobę płuc, czy groźbę zarażenia, na jaką w jego oczach wystawiony był Nuchem. Zaofiarował się też, że bezpłatnie zbada Marię, a gdy odmówiła, poradził: – Niech pani przynajmniej dużo spaceruje na świeżym powietrzu... i niech pani jego

zabiera, jest anemiczny. – Nuchem stał obok i wertował moje książki. Nawiasem mówiąc Litwak przepisywał mi coraz to nowe środki, a wręczając mi receptę śmiał się: – Brać tego pan tak czy owak nie będzie, ale doktor musi zapisywać. – Osiągnęliśmy coś w rodzaju dobrego porozumienia.

Co było sednem naszego zrozumienia? Dlaczego musiałem u nich zostać – dlaczego prowizoryczność tego żydowskiego mieszkania stała się dla mnie czymś trwałym, czego opuszczenia nie mogłem już sobie wyobrazić? Skąd moje posłuszeństwo wobec tych Żydów? Wszystko było prowizoryczne, prowizoryczni byli uchodźcy, ba, taka była cała ich egzystencja, nawet sam czas był prowizoryczny, równie prowizoryczny jak wojna, która przeciągnęła się poza swój własny koniec. Prowizoryczność stała się definitywna, znosi nieustannie samą siebie i nadal istnieje. Goni nas i my układamy się z nią, w żydowskim mieszkaniu, w przytułku. Ale wznosi nas ponad minione, utrzymuje nas w szczęśliwym, zgoła euforycznym stanie zawieszenia, w którym wszystko jest przeszłością.

W końcu uległem doktorowi Litwakowi i szedłem na spacer, o ile towarzyszyli mi Nuchem albo Maria.

Były to bardzo piękne jesienne dni i siedziałem z Marią pod drzewami. A ponieważ wszystko rozgrywało się w jasnej szczerości, a słowa nie miały znaczenia, spytałem: – Jesteś upadłą dziewczyną?

– Byłam – odrzekła.

– A teraz jesteś czysta?

– Tak.

– Wiesz, że nigdy nie uratujesz Nuchema?

– Wiem.

– Więc kochasz go?

Uśmiechnęła się.

Lustrzane odbicie samego siebie, symbol symbolu! Do jakiej granicy może nas doprowadzić kontynuowanie paraboli, jeśli nie do śmierci!

– Posłuchaj, Mario, chcę się zabić, zastrzelić albo skoczyć do Kanału Landwehry... ale ty musisz mi towarzyszyć, sam nie zrobię kroku.

Brzmiało to żartobliwie, ale było pomyślane poważnie. Ona to pewnie wyczuła, bo nie śmiejąc się, jakby rzeczowo, odparła: – Nie, ja nie będę towarzyszyła, a panu też nie wolno się zabijać.

– Ale przecież twoja miłość do Nuchema jest beznadziejna.

Nie umiała wyciągnąć z tego konsekwencji; wlepiła jedynie pytający wzrok we mnie, szukając możliwości porozumienia. Jej oczy były bezbarwne.

Gra, jaką z nią prowadziłem, nie była dobra, a jednak porozumienie między nami dawno już zostało osiągnięte, bo powiedziała: – My jesteśmy w radości.

Odrzekłem: – Nuchem się nie zabije, nie wolno mu, jest w obowiązku, ale my jesteśmy w radości... nam wolno to zrobić.

Chyba uspokoiło ją to, że Nuchemowi nie grozi samobójstwo, bo znów się uśmiechnęła, ba, nawet założyła nogę na nogę jak dama i miała jak dama wypisane na twarzy przeświadczenie, że ona wie lepiej: – My też jesteśmy w obowiązku.

Nie mogłem brać jej za złe frazesów Armii Zbawienia, być może dlatego, że w tymczasowości każdy frazes zatracił już sens, być może dlatego, że już z góry dostaje on i potwierdza nowy sens. Być może słowa też mogą zawisnąć między przeszłością a przyszłością, może też zawisają między prawem a radością, zbiegłe od należnej im pogardy, zbiegłe ku nowemu sensowi w poruszeniu.

Wszelako nie chciałem nic słyszeć na temat obowiązku, bo przywołałby mnie z powrotem do poznania; nie chciałem nic słyszeć na temat obowiązku, chciałem utrzymać stan mego własnego zawieszenia i zapytałem: – Jesteś szczęśliwa, mimo że kochasz nieszczęśliwie?

– Tak – odpowiedziała.

Bezpowrotnie traci się ziemię rodzinną, niedosiężnie rozciąga się dal przed nami, jedynie ból coraz bardziej rzadnie, coraz bardziej jaśniej, może nawet staje się coraz bardziej niewidzialny, nie pozostaje nic poza bolesnym tchnieniem minionego. I Maria rzekła: – Zło na świecie jest wielkie, ale radość jest większa.

Powiedziałem: – Ach, Mario, poznałaś obcość i mimo to jesteś szczęśliwa... i wiesz, że jedynie śmierć, jedynie ta ostatnia chwila skasuje obcość, a mimo to chcesz żyć.

Odrzekła: – Kto jest w Chrystusie, nigdy nie jest samotny... niech pan przyjdzie do nas.

– Nie – powiedziałem – moje miejsce jest w moim żydowskim mieszkaniu, idę do Nuchema.

Ale to nie zrobiło już na niej żadnego wrażenia.

Mężczyzna, któremu amputowano ręce, jest torse. Z tego myślowego pomostu korzystała zazwyczaj Hanna Wendling usiłując przejść od tego, co ogólne, do tego, co indywidualne i konkretne. A na końcu tego pomostu stał wówczas nie Heinrich, lecz, zataczając się lekko, Jarecki z pustym rękawem w kieszeni kurtki munduru. Długo to trwało, nim zdołała jasno rozpoznać to wyobrażenie, a jeszcze dłużej, nim zauważyła, że temu wyobrażeniu mogłaby gdzieś odpowiadać realna rzeczywistość. A potem trwało to jeszcze dłuższy czas, nim zdecydowała się zadzwonić do doktora Kessela.

Ten bardzo spowolniony proces z pewnością nie wiązał się ze szczególnie moralną postawą Hanny; nie, ona tylko zatraciła wszelkie poczucie czasu i tempa, było to spowolnienie rzeki życia, wszakże nie jego spiętrzenie, lecz w dużo większym stopniu wyparowywanie i ulatnianie się w nicłość, wsiąkanie w całkowicie porowate podłoże, znikanie i zapominanie dopiero co pomyślanego. I gdy doktor Kessel zgodnie z umową zajął swoją jednokonką, żeby ją zabrać do miasta, miała takie wrażenie, jak gdyby poprosiła lekarza do siebie z powodu jakiegoś dziwnego i nie dającego się sformułować niepokoju o syna, i z wielkim wysiłkiem doprowadziła pamięć do przytomności. Potem wszakże, w nagłym lęku, że znowu zapomni, spytała zaraz – szli właśnie przez ogród – kim jest właściwie jednoręki podporucznik w lazarecie. Doktor Kessel nie od razu się zorientował, lecz skoro już pomógł jej wsiąść do bryczki i postępując sam zajął miejsce obok niej, przypomniało mu się: – Naturalnie, chodzi pani o Jareckiego, naturalnie... biedny młody człowiek, teraz pójdzie pewnie do zakładu dla nerwowo chorych. – Na tym skończyła się dla Hanny sprawa Jareckiego. Załatwiła zakupy w mieście, wysłała Heinrichowi paczkę, złożyła wizytę Rödersowi. U Rödersa też umówiła się z Walterem, chcieli potem wrócić do domu pieszo. Niewytłumaczalne niepokoje o Waltera raptem pierzchły. Łagodny i spokojny jesienny wieczór.

Nie byłoby dziwne, gdyby Hanna Wendling śniła tej nocy o greckim torsie w szlamie rzeki, o marmurowym bloku albo – to też by wystarczyło – o krzemieniu obmywanym przez fale. Ponieważ jednak nie przypominała sobie takiego snu, byłoby niestosowne i bezprzedmiotowe cokolwiek na ten temat mówić. Pewne jest natomiast, że miała niespokojną noc, budziła się często i spozierała na otwarte okno, oczekując, że żaluzje zostaną uniesione i ukaże się zamaskowana twarz włamywacza. Rankiem myślała o tym, żeby pokój gospodarczy koło kuchni urządzić dla małżeństwa ogrodników, bo wtedy w razie czego byłby w domu mężczyzna, którego można by wezwać na pomoc, zarzuciła jednak ten plan, gdyż mały, słabowity ogrodnik doprawdy nie stanowił żadnej ochrony, i pozostała tylko pokaźna resztką pretensji do Heinricha, że zbudował domek ogrodnika tak daleko od willi; nie dopilnował też założenia krat w oknach. Ale sama musiała przyznać, że wszystkie te pretensje niewiele miały wspólnego z właściwym strachem: to był nie tyle strach, ile swoiste rozdrażnienie samotnym, izolowanym położeniem willi i przy całej niechęci do mieszkania bliżej ludzi, jaką Hanna na pewno żywiła i wyrażała, pusta przestrzeń otaczająca posiadłość była tak pusta, wymarły i jakby po kawałku odtwarzany na nowo krajobraz był tak wymarły, że stawał się niejako pierścieniem pustki, który coraz bardziej zaciskał się wokół samotnej, pierścieniem, który można było przerwać jedynie gwałtem, rozbiciem, przełamaniem lub włamaniem. W gazecie czytała niedawno o rewolucji rosyjskiej i Sowietach pod tytułem *Wdzieranie się od dołu*; to słowo przyszło jej na myśl w nocy i raz po raz rozbrzmiewało jej w uszach jak szlagier. W każdym razie dobrze będzie dowiedzieć się u ślusarza Kruhla o ceny krat do okien.

Noce zrobiły się dłuższe i zimny księżyc płynął po niebie jak krzemień. Mimo dokuczliwego nocnego chłodu Hanna nie mogła zdobyć się na zamykanie okien. Jeszcze okropniejszy od bezgłośnego włamywacza wydawał się jej brzęk, jaki spowodowałyby wybijane szyby, i to osobliwe napięcie, które właściwie nie było strachem, jednakże w każdej chwili mogło się przerodzić w panikę, skłaniało ją do z pozoru romantycznych zachowań. I tak niemal co noc stawała w otwartym oknie i patrzyła na martwą strefę jesieni, dziwnie przyciągana, wręcz wsysana przez pustkę krajobrazu, a strach, który właśnie przez to został odarty z wszelkiego strachu, był lekką pianą – serce dygotało lekko jak kwiat, a zeszywnienie samotności rozluźniło się w nieskrępowanej swobodzie oddychania. I była to niemal jakby uszczęśliwiająca niewierność wobec Heinricha, był to stan, który odczuwała jako skrajne przeciwieństwo innego, minionego stanu... ba, tylko jakiego stanu? I wtedy zorientowała się, że było to przeciwieństwo tego, co nazwała kiedyś przeżyciem fizycznym. I dobre było to, że w tych momentach przeżycie fizyczne ulegało całkowitemu zapomnieniu.

Obawy Escha miały się potwierdzić: majorowi została wyrządzona przez Huguenaua kolejna niegodziwość. Co prawda zrazu Huguenau odgrywał bierną rolę.

Z początkiem października na biurko majora trafiła jedna z owych list, jakie zwykle rozsyłać dowództwo ścigając wojskowych podejrzanych o dezercję bądź z jakichś innych względów poszukiwanych przez przełożonych; znalazło się na niej także nazwisko niejakiego Wilhelma Huguenaua z Kolmaru, fizylera z 14 pułku fizylierów.

Major odłożył listę na bok, gdy tknęło go zaniepokojenie. Wziął więc listę jeszcze raz do ręki, ze względu na swą dalekowzroczność odsunął ją na odległość ramienia i zwrócony pod światło przeczytał jeszcze raz: „Wilhelm Huguenau”, nazwisko, które przecież musiał już słyszeć. Spojrzał pytająco na ordynansa, który w trakcie przeglądania korespondencji miał pozostawać w pokoju do dyspozycji, zobaczył jeszcze, jak żołnierz, widać spodziewając się rozkazu, poderwał się na baczność, miał jeszcze siłę, żeby wydać komendę: – Możecie odejść – ale zostawszy sam pada na blat biurka, z twarzą w dłoniach.

Z odrętwienia ocyka się z myślą, że ordynans stoi jeszcze przy drzwiach i że ordynansem jest Esch. Początkowo nie ma odwagi tam spojrzeć, a gdy wreszcie spostrzega, że naprawdę nikogo tam nie ma, mówi w pustym pokoju: – Przecież to wszystko jedno... – jak gdyby mógł w ten sposób załatwić sprawę. Wszelako nic to nie daje, postać Escha nadal stoi przy drzwiach i patrzy na niego, Esch patrzy na niego, jakby zauważył na nim piętno. Spoczywa na nim karcące, pełne wyrzutu spojrzenie i major wstydzi się, że przyglądał się Huguenauowi w tańcu. Ale myśl umyka i nagle słyszy głos Escha: – Zawsze jest zdrajca między nami.

– Zawsze jest zdrajca między nami – mówi teraz major. Zdrajca to człowiek niehonorowy, zdrajca to człowiek, który zdradza ojczyznę, zdrajca to człowiek, który sprzeniewierzył się ojczyźnie i kolegom... dezertor to zdrajca. I podczas gdy major takim sposobem coraz bardziej zbliża się w myślach do ukrytego przedmiotu, nagle rozdziera się zasłona i on w jednej chwili wie wszystko, wszystko: to on sam jest zdrajcą, to on sam, on, komendant miasta, wezwał do siebie dezertera i przyglądał mu się w tańcu, to on wezwał dezertera do siebie, aby dezertor zaprosił go do redakcji, aby dezertor uitorował mu drogę do cywilności, do przyjaciół, którzy nie są kolegami... major dotknął Krzyża Żelaznego i szarpnął wstążkę: zdrajca nie ma prawa nosić odznaczenia, zdrajca musi zdjąć odznaczenie, nie wolno mu leżeć na marach z odznaczeniem... niehonorowy postępek można zmasać jedynie kulą z pistoletu... trzeba było przyjąć karę... i major, zastygły w bezruchu, ze szklanym wzrokiem, powiedział: – Nierycerski koniec.

Dłoń miał jeszcze przy guzikach munduru; machinalnie upewnił się, czy wszystkie są zapięte, i poczuł osobliwe uspokojenie, poczuł budzącą się nadzieję na powrót do obowiązku, powrót do właściwego, unormowanego życia, chociaż postać Escha jeszcze nie zniknęła. Była połyskliwa i niesamowita, przebywała w tym i zarazem w tamtym świecie, reprezentowała zło i zarazem dobro, była pełna lekkiej pewności, a przecież pełna też przesyconej najzupełniej obcą niepewnością cywilności, była człowiekiem, który rozpina kamizelkę i odsłania koszulę. I major, z dłonią wciąż jeszcze przy guzikach munduru, wyprostowuje się, wygładza kurtkę, po czym przesuwając rękę po czole i mówi: – Urojenia.

Rad byłby wezwać Escha, ten mógłby wszystko wyjaśnić... miałyby ochotę to zrobić, ale byłoby to ponowne zboczenie z drogi obowiązku, ponowne zboczenie w cywilność. Nie wolno było do tego dopuścić. Poza tym... trzeba sprawę przemyśleć samemu: całe podejrzenie może okazać się bezpodstawne... i jeśli dobrze się zastanowić, to ten Huguenau

zawsze zachowywał się poprawnie i patriotycznie... może jednak wszystko samo się wyjaśni i ku dobremu obróci.

Major, z lekko jeszcze drgającymi dłońmi, ponownie przyjrzał się liście, po czym odłożył ją i wrócił do pozostałej korespondencji. Jednakże choć bardzo się starał doprowadzić myśli do porządku, to te starania rozbijały się o sprzeczne rozkazy i polecenia służbowe, a on nie potrafił sprzeczności rozwikłać. Chaos świata wzmagął się wszędzie, wzmagął się chaos myśli i chaos świata, wzmagala się ciemność i ta ciemność miała brzmienie piekielnego umierania, w którego dudnieniu tylko jedno było słyszalne, tylko jedno pewne: klęska ojczyzny – och, wzmagala się ciemność, wzmagal się chaos, ale z chaosu w bagnie trujących gazów szczyrzyła zęby gęba Huguenaua, gęba zdrajcy, narzędzia boskiej kary, sprawcy rosnącego nieszczęścia.

Dwa dni znosił major męki niezdecydowania, z których w natłoku lawinowo następujących po sobie zdarzeń zewnętrznych sam nie zdawał sobie sprawy. Wobec ogólnego nieporządku mógłby był naturalnie dać spokój drobnej sprawie dezercji, lecz rzeczą równie naturalną było to, że dla komendanta miasta takie łatwe wyjście w ogóle nie wchodziło w rachubę. Bo kategoryczny imperatyw obowiązku nie tolerował spiętrzenia niesumienności; i drugiego dnia major polecił wezwać Huguenaua do komendantury.

Gdy zobaczył zdrajcę przed sobą, cała powstrzymywana odraza wezbrała w nim z nową mocą. Na serdeczne powitanie zareagował chłodną oficjalnością i podając listę ponad biurkiem wskazał bez słowa rubrykę „Wilhelm Huguenau”, podkreśloną na czerwono. Huguenau pojął, że teraz idzie o wszystko, i w obliczu grożącego niebezpieczeństwa odnalazł niezachwianą pewność, która dotychczas zawsze go ochraniała. Wprawdzie przybrał lekki ton, ale surowość spojrzenia zza błyskających szkieł dawała majorowi do zrozumienia, że był to ktoś, kto umie dobrze bronić swojej skóry: – Czegoś podobnego dawno już się spodziewałem, wielce szanowny panie majorze; pozwolę sobie powiedzieć, że w wojsku panoszy się coraz większy bałagan... cóż, pan major kręci głową, ale tak to jest, ja niestety stanowią żywy tego przykład; kiedy odmeldowywałem się w głównym wydziale prasowym, dyżurny podoficer zabrał moje papiery, podobno po to, żeby powiadomić pułk; ja wtedy od razu obawiałem się poważnych nieprzyjemności, bo to przecież nie uchodzi, żeby żołnierza służby czynnej wysyłać bez dokumentów – tu pan major na pewno przyzna mi rację – ale uspokojono mnie zapowiedzią, że dokumenty mi doślą; dano mi jedynie tymczasowy bilet wojskowy do Trewiru, pan major rozumie, nie miałem w kieszeni nic prócz biletu, poza tym: radź sobie sam! no, a bilet oddałem przepisowo w komendzie dworcowej... cóż, taka to była historia. Naturalnie muszę mieć pretensje również do samego siebie, że od tamtego czasu wciąż zapominałem o sprawie; ale pan major sam wie najlepiej, jaki jestem przeciążony; a skoro już władze zawodzą, to trudno winić zwykłego podatnika i obrońcę kraju. Tak by się wydawało. Zamiast jednak pilnować porządku u siebie naturalnie łatwiej jest napiętnować porządnego człowieka jako dezercera! Panie majorze, gdyby mi tego nie zabraniał mój patriotyczny obowiązek, miałbym wielką ochotę opisać ten niesłychany wypadek w prasie!

Wszystko to brzmiało przekonująco; majora znów opadły wątpliwości.

– Jeśli wolno przedłożyć panu majorowi pewną propozycję, to prosiłbym o zgodne z prawdą poinformowanie żandarmerii i pułku, że kieruję tutaj półurzędową lokalną gazetą i że oczekuję jak najszybszego przysłania mi brakujących dokumentów, o które zamierzam się tymczasem upomnieć.

Niechęć majora skrupiła się na słowach „zgodne z prawdą”. Jakiego języka śmie używać ten człowiek!

– Nie pańską sprawą jest wydawanie mi instrukcji co do rodzaju moich meldunków. A poza tym, żeby pozostać całkowicie w ramach zgodności z prawdą: ja panu nie wierzę!

– O, pan major mi nie wierzy? To może pan major już zbadał, na jakim to wiarygodnym donosie opiera się to oskarżenie? A że chodzi tu o donos – i to niedorzeczny, a w dodatku złośliwy – to przecież jasne jak słońce...

Popatrzył triumfująco na majora, który zaskoczony ostatnim atakiem nie połapał się wcale, że do tego oskarżenia nie trzeba było żadnego donosu. A Huguenau triumfująco ciągnął dalej: – Bo ilu w ogóle ludzi wie, że miałem kłopoty z papierami? Ja znam tylko jednego jedyne, a ten jeden jedyny, pan major zechce sobie przypomnieć, rzekomo żartobliwie czy symbolicznie, jak to lubi nazywać, dość często wymyślał mi od zdrajców... znam takie obłudne żarty... panowie nazywają to manią religijną, a ktoś z nas może przez to stracić pieniądze, jeśli nie zapłacić głową...

Całkiem niespodziewanie major mu przerwał; wałnął nawet nożem do papieru w biurko: – Pana redaktora Escha niech pan w to łaskawie nie miesza. To człowiek godny szacunku.

Może to było niemądre ze strony Huguenaua, że zawziął się i nie wywinął, domek z kart groził lada chwila zawaleniem. On wiedział o tym, ale coś w nim mówiło *va banque* i nie mógł się powstrzymać: – Zwracam panu majorowi posłusznie uwagę na to, że to nie ja, lecz pan pierwszy wymienił nazwisko pana Escha. Więc nie myliłem się i to on jest nieskazitelnym donosicielem. Ach, jeśli stąd wiatr wieje i pan major przez wzgląd na przyjaźń z panem Eschem chce prowadzić jego interesy, to cóż, to uprzejmię proszę aresztować mnie.

To nie chybia celu. Major wyciągnął palec w stronę Huguenaua i z trudem wyjąkał: – Precz stąd, precz stąd... każę pana wyprowadzić.

– Proszę, panie majorze, proszę... jak tylko pan sobie życzy. Ale wiem, co mam sądzić o pruskim oficerze, który ucieka się do takich podstępów, żeby pozbyć się świadka swoich defetystycznych wystąpień na komunistycznych zebraniach, to ładnie patrzeć, skąd wiatr wieje, ale ja nie mam ochoty być za wiatrołapa... Cześć.

Ostatnich, właściwie bezsensownych słów, dodanych przez Huguenaua jedynie dla retorycznego efektu, major już nie słyszał. Bezdźwięcznie mamrotał jeszcze: – Precz stąd... niech się wynosi... zdrajca... – a tymczasem Huguenau dawno już wyszedł z pokoju i na znak pogardy trzasnął za sobą drzwiami. To był koniec, nierycerski koniec! napiętnowany, na zawsze napiętnowany!

Czy było jeszcze wyjście? Nie, nie było wyjścia... major wyjął z szuflady rewolwer i położył przed sobą. Potem wziął arkusz papieru listowego i również położył przed sobą; miało to być podanie o dymisję. Najchętniej poprosiłby o karne usunięcie z wojska. Ale wszystko miało pójść należytą, służbową drogą. On nie opuści zajmowanego stanowiska, dopóki podług przepisów nie przekaże służby.

Aczkolwiek major sądził, że wszystkie te czynności wykonuje z szybką żołnierską dokładnością, wszystko odbywało się bardzo wolno, a każdy ruch wymagał bardzo dużego wysiłku. I z bardzo dużym wysiłkiem zaczął pisać, chciał pisać pewną ręką. Może za sprawą tego nadmiernego wysiłku nie wyszedł poza pierwsze słowo: „Do...”, wypisał na papierze literami, które jemu samemu były obce, a potem utknął – złamała się stalówka, rozdarła papier i spowodowała brzydką plamę. I mocno, ba, kurczowo ściskając obsadkę major, już nie major, tylko bardzo stary człowiek, powoli zapadł się w sobie.

Jeszcze próbował umoczyć złamaną stalówkę, jednakże to się nie udało, przewrócił kałamarz, atrament popłynął wąską strugą po blacie, skapywał na nogawkę. Major już na to nie zważał. Siedział z powalonymi atramentem rękami i wpatrywał się w drzwi, za którymi zniknął Huguenau. Lecz gdy po jakimś czasie drzwi się otworzyły i ukazał się ordynans, udało mu się wyprostować i rozkazująco wyciągnąć dłoń: – Precz stąd – rozkazał trochę zbaraniałemu żołnierzowi – precz stąd... ja zostaję w służbie.

Jarecki wyjechał z kapitanem von Schnaackiem. Siostry stały jeszcze przed metalową bramą i machały za wozem, który zabrał obu na stację. Gdy wracały do lazaretu, siostra Matylda wyglądała jak wychudzona stara panna.

Flurschütz powiedział: – W gruncie rzeczy to okropnie miło z pani strony, że wczoraj wieczorem tak się pani nim zajęła... facet był w strasznym stanie... skąd wytrzasnął tę polską wódkę?

– Nieszczęśliwy człowiek – odparła siostra Matylda.

– Czytała pani Martwe dusze?

– Niech no się zastanowię... myślę, że tak...

– Gogol – rzekła siostra Carla z dumą osoby wykształconej i zdolnej do celnych odpowiedzi – rosyjski chłop pańszczyźniany.

– Taką martwą duszą jest Jarecki – powiedział Flurschütz i po chwili, wskazując grupę żołnierzy w ogrodzie: ...wszyscy oni to martwe dusze... prawdopodobnie my wszyscy; każdego jakoś dopadło.

– Może mi pan pożyczyć tę książkę? – spytała siostra Matylda.

– Tutaj jej nie mam... ale gdzieś się już znajdzie... zresztą książki... wie pani, ja już nie mogę czytać...

Usiadł na ławce obok wejścia do lazaretu, patrzył na drogę i na góry, na jasne jesienne niebo, które chmurzyło się na północy. Siostra Matylda wahała się chwilę, po czym i ona usiadła.

– Wie pani, siostrzo, należałoby właściwie wynaleźć jakiś nowy sposób porozumiewania się prócz języka... to, co się pisze i mówi, stało się zupełnie głuche i nieme... należałoby stworzyć coś nowego, w przeciwnym razie będzie miał rację nasz komendziarz ze swoją chirurgią...

– Nie bardzo rozumiem – powiedziała siostra Matylda.

– Ach, niech pani się nie trzusi, to bzdura... chodziło mi mniej więcej o to, że jak dusze są martwe, to pozostaje tylko chirurgiczny nóż... ale to absurd.

Siostra Matylda zamyśliła się: – Czy porucznik Jarecki nie mówił czegoś podobnego, jak trzeba mu było amputować rękę?

– Bardzo możliwe, on też miał pociąg do radykalizmu... naturalnie nie miał innego wyjścia, musiał być radykalny... jak każde uwięzione zwierzę...

Siostra Matylda była zaszokowana słowem „zwierzę”: – Myślę, że on tylko usiłował o wszystkim zapomnieć... kiedyś o tym nadmieniał; a ta historia z piciem...

Flurschütz odsunął czapkę w tył; czuł bliznę na czole i potarł ją lekko: – Właściwie wcale bym się nie zdziwił, gdyby teraz nadszedł okres, w którym ludziom będzie zależało jedynie na tym, żeby zapomnieć, tylko zapomnieć: spać, jeść, spać, jeść... tak jak ci tutaj... spać, jeść, grać w karty...

– To byłoby okropne, zupełnie bez ideałów!

– Droga siostrzo Matyldo, to, co pani przeżywa, to nie jest wojna, to tylko miniaturowe wydanie wojny... pani od czterech lat nie ruszała się stąd... a ludzie wszyscy milczą, chociaż są ranni... milczą i zapominają... ale żaden nie wrócił z ideałami, może mi pani wierzyć.

Siostra Matylda podniosła się. Burza wznosiła się teraz jak szeroka, czarna ściana chmur na tle jasnego nieba.

– Ja zgłoszę się jak najszybciej do lazaretu polowego – powiedział Flurschütz.

- Porucznik Jarecki mówił, że wojna nigdy się nie skończy.
 - Cóż... może właśnie dlatego chcę się tam wyrwać znowu.
 - Ja chyba też powinnam zgłosić się na front...
 - No, siostrze, pani ma co robić tutaj.
- Siostra Matylda spojrzała w niebo: – Muszę pozbierać leżaki.
- Niech pani zbiera, siostrze.

Była sobota; Huguenau wypłacał w drukarni tygodniówki.

Życie toczyło się dalej po staremu, ani przez chwilę nie przyszło Huguenauowi na myśl, że będąc jawnie poszukiwanym i ściganym dezserterem powinien by w gruncie rzeczy uciekać. Po prostu został. Nie tylko dlatego, że już za bardzo związał się ze swoją sferą działania, nie tylko dlatego, że kupieckiemu sumieniu trudno znieść myśl o porzuceniu przedsiębiorstwa, w które zainwestowało się już spore, cudze czy własne, pieniądze, nie, w dużo większym stopniu zatrzymywało go i nie dawało mu skapitulować poczucie otwartości na wszystkie strony, poczucie, które zmuszało go do obrony swojej rzeczywistości przed rzeczywistością innych. I choć wokół było dość dużo mgły, to jednak wszystko razem wzięwszy miał bardzo wyraźne wyobrażenie: że major i Esch znów się skrzykną i będą się z niego naigrawać. Został więc i tylko zawarł z panią Esch umowę co do zwrotu kosztów za nie zjedzone posiłki, tak że bez materialnych strat mógł teraz częściej nie przychodzić na znienawidzone obiady.

Naturalnie wiedział, że warunki nie sprzyjały podejmowaniu pojedynczych akcji przeciwko małemu alzackiemu dezserterowi; znajdował się w sytuacji względnie bezpiecznej, a poza tym miał majora wręcz we władzy szantażu. Wiedział o tym, ale nie chciał wiedzieć. Przeciwnie, igrał z myślą, że szczęście wojenne jeszcze się odwróci i major znowu będzie wielkim panem, że major i Esch tylko na to czekają, żeby go zniszczyć. Należało zatem pokrzyżować takie plany. Może to był tylko przesąd, ale on nie mógł siedzieć z założonymi rękami, musiał wykorzystać swój czas, zbyt wiele naglących spraw miał jeszcze do załatwienia, a ponieważ nie potrafiłby dokładnie podać, dokąd właściwie gna go ta nagłość, to uspokajał się myślą, że jego wrogowie sami są winni podejmowanym przezeń krokom odwetowym.

Teraz wypłacał tygodniowe. Lindner obejrzał pieniądze, jeszcze raz przeliczył, jeszcze raz obejrzał i zostawił na stole. Pomocnik zecerski stał obok i też nic nie mówił. Huguenau nie pojmował: – No, Lindner, czemu pan nie bierze?... forsa panu się nagle nie podoba?

Lindner powiedział wreszcie z widocznymi oporami: – Stawka taryfowa wynosi 92 fenigi.

To było coś nowego. Ale Huguenau nie stracił rezonu: – Tak, tak, w dużych zakładach... ale w takim kurniku... pan, stary, doświadczony robotnik, musi wiedzieć, jak to z nami jest. Zwalczają nas ze wszystkich stron, dokoła sami wrogowie... gdybym nie postawił gazety na nogi, nie byłoby dzisiaj żadnej wypłaty... to jest podziękowanie. Myśli pan może, że nie życzyłbym panu dwa razy większego zarobku... ale skąd ja mam brać? Pewnie pan uważa, że jesteśmy rządową gazetą z subwencjami... wtedy miałyby sens wstąpienie do związku i domaganie się taryfowych stawek. Wtedy sam bym wstąpił do związku, miałbym się lepiej.

– Ja nie jestem w związku – mruknął Lindner.

– To skąd pan ma taryfowe stawki?

– Wie się o takich rzeczach.

Huguenau tymczasem zastanowił się. Naturalnie to wina Liebla i jego związkowej propagandy. Więc to też był wróg! Ale z Lieblem właśnie teraz trzeba było się dogadać. Powiedział więc: – No, my już dojdziemy do porozumienia... powiedzmy, nowa taryfa od listopada, do tego czasu omówimy sprawę.

Obaj drukarze przystali na to.

Wieczorem poszedł do gospody „Palatynat”, żeby spotkać Liebla. W gruncie rzeczy incydent z Lindnerem był jedynie pretekstem. Huguenau miał nie najgorszy humor, jasno

patrzył na świat; trzeba tylko wiedzieć, gdzie jest wróg, to wtedy w razie potrzeby można zmienić front. No, on wiedział, gdzie był wróg. Teraz zamknęli bajzel i dwie knajpy za miastem... ale kiedy on zaferował swoją pomoc w walce z elementami wywrotowymi, to major ją odrzucił. No, jutro stary znów zostanie pochwalony w gazecie, tym razem za zamknięcie burdelu. I Huguenau zanucił pod nosem: – Boże, coś zastępów Panem.

W „Palatynacie” siedzieli Liebel, ochotnik Pelzer i jeszcze kilku. Doktor Pelzer natychmiast spytał: – A gdzie pan zostawił Escha? W ogóle go się już nie widuje.

Huguenau zaśmiał się szyderczo.

– Spotkanie biblijne w święty szabas... niedługo każe się obrzezać.

Wszyscy ryknęli i Huguenau był dumny. Pelzer jednak powiedział:

– Nic nie szkodzi, Esch to równy gość.

Liebel potrząsnął głową: – W głowie się nie mieści, co to się dzisiaj dzieje...

Pelzer odparł: – Właśnie w takich czasach każdemu kłębi się w głowie... ja jestem socjalistą i pan też, Liebel... ale mimo to Esch to równy gość... ja go lubię.

Wysokie jak wieża czoło Liebla poczerwieniało i nabrzmiała przebiegająca przez nie żyła: – Moim zdaniem to jest oglupianie ludu i powinno się z tym skończyć.

– Tak jest – powiedział Huguenau – destrukcyjne idee.

Jeden z siedzących przy stole zaśmiał się: – Rany, jak teraz gadają wielcy kapitaliści!

Szklą okularów Huguenaua błysnęły w stronę tamtego: – Jak bym był wielkim kapitalistą, to nie siedziałbym tutaj, tylko w Kolonii, jeśli nie od razu w Berlinie!

– No, komunistą to pan też nie jest – powiedział Pelzer.

– Też nie jestem, wielce szanowny panie doktorze... ale wiem, co to prawo, a co bezprawie... kto pierwszy odkrył nieporządki w więzieniu? hę?

– Nikt nie przeczy pańskim zasługom – przyznał Pelzer – gdzież byśmy mieli pięknego Żelaznego Bismarcka, gdyby nie pan!

Huguenau przybrał pozę pocziwca; klepnął Pelzera w plecy: – Dogadywać to może pan swojej babci, mój drogi!

Ale potem wygarnął: Zasługi raz są, raz ich nie ma. Na pewno on był zawsze dobrym patriotą, na pewno święcił zwycięstwa swej ojczyzny, kto ośmielił się ganić go za to! ale bardzo dobrze wiedział, że to jedyny sposób na wyduszenie forszy z burżuazji, która ma przecież węża w kieszeni, żeby zrobić coś dla dzieci biednych, poległych proletariuszy; o ile sobie przypomina, to właśnie on tego dokonał! a podziękowanie? wcale by się nie dziwił, gdyby już teraz wydano tajne nakazy policyjne przeciw niemu! ale on się nie obawia, niech tylko przyjdą, on ma jeszcze przyjaciół, którzy w razie czego wyciągną go z więzienia, w ogóle trzeba skończyć z potajemnymi sądami! człowiek znika, nie wiadomo gdzie, a potem się okazuje, że został pochowany na podwórzu więzienia, Bóg wie, ilu jest takich, co zdychają w kryminale! Nie, my nie mamy sprawiedliwości, mamy sprawiedliwość policyjną! a najgorsza jest obłuda tych policyjnych siepaczy, zawsze mają pod ręką Biblię, ale jedynie po to, żeby dzielić człowieka w łeb. A przed i po jedzeniu jest modlitwa, reszta zaś z modlitwą czy bez może sobie umierać z głodu...

Pelzer słuchał z upodobaniem; teraz mu przerwał: – Wydaje mi się, Huguenau, że jest pan prowokatorem.

Huguenau podrapał się w głowę: – A myśli pan, że nie miałem jeszcze takich propozycji? gdybym chciał panu opowiedzieć... no, zostawmy to... zawsze byłem w porządku i będę w porządku, choćby za to trzeba było zapłacić głową... ja tylko nie znoszę obłudy.

Liebel powiedział z aprobatą: – Z Biblią to tak jest... karmić lud biblijnymi kawałkami to panowie lubią.

Huguenau przytaknął: – A jakże, najpierw biblijne kawałki, a potem: ognia!... nie brak ludzi, którzy wtedy słyszeli strzelaninę w więzieniu... no, ja nic nie powiedziałem. Ale zamiast siedzieć na takim biblijnym spotkaniu, wolę pójść sobie do kina.

Tak to Huguenau zajął pozycję w rozpoczynającej się walce między górą a dołem. I choć bolszewicka propaganda była mu najzupełniej obojętna i on pierwszy wzywałby pomocy, gdyby chodziło o jego własny dobytek, ba, choć z wielkim niesmakiem tylko informował na łamach „Gońca Elektorskiego” o rosnącej liczbie włamań, to teraz powiedział ze szczerym przekonaniem: – Rosjanie to łebscy faceci.

A Pelzer odrzekł: – Chciałbym w to wierzyć.

Gdy opuszczali lokal, Huguenau pogroził palcem majstrowi Lieblowi: – Z pana to też dobry obłudnik... podburza pan poczciwego starego Lindnera, a ja i tak właściwie pracuję tylko dla ludzi... pan o tym doskonale wie. No, razem doprowadzimy już sprawę do ładu.

Ośmioletnie dziecko, które zamierza samo pójść w świat.

Idzie wąskim pasem trawy między kolejnami i widzi więdnące bladoliliowe pąki koniczyny, która się tutaj zabłąkała, widzi zszarzałe ze starości, zaschnięte placki krowiego łajna, w którego szczelinach rośnie już trawa, i dostrzega rzepy łopianu, które czepiają się pończoch i kłują. Dziecko widzi poza tym różności, widzi zimowity jesienne na łąkach, widzi dwie żółtoszare krowy, które pasą się na stoku, a ponieważ nie może patrzeć cały czas na krajobraz, patrzy na swoją sukienkę i widzi dzikie różyczki wydrukowane na czarnym perkalu: zawsze rozwinięty kwiat i pąk razem na jasnozielonej łodydze między dwoma zielonymi listkami; w środku rozwiniętej róży jest żółta kropka. Dziecku marzy się czarny kapelusz, do którego przypięłoby się różę z pąkiem i dwoma liśćmi – dobrze by to pasowało. Ale dziecko ma szary lodenowy płaszcz z kapturem.

Dziecko, które tak sobie wędruje wzdłuż rzeki, jedną ręką podpierając się pod bok, w drugiej ściskając markę na prowiant podróżny, dobrze zna tę okolicę. Nie boi się. Jak pani domu chodzi po swoim mieszkaniu, tak dziecko idzie przez krajobraz, a gdy powodowane przyjemnym uczuciem w dużym palcu u nogi skopuje kamyk z pasa trawy, zaprowadza też w ten sposób trochę porządku. Dokoła wszystko jest jasne. Dziecko widzi teraz kępy drzew, które stoją wyraziście w przejrzystym powietrzu wczesnego jesiennego popołudnia, i krajobraz nie ma dla niego tajemnic; za przejrzystym powietrzem jest jasnoblękitne niebo, między przejrzystym zielonym listowiem, jakby tak musiało być, co jakiś czas wylania się drzewo z żółtymi liśćmi, także odcinające się od nieba, a czasem, choć nie ma żadnego powiewu, nadlatuje skądś żółty liść, który pomалу wirując opada na drogę.

Jeśli dziecko zwróci oczy w prawo, tam, gdzie wierzby i zarośla ogradzają brzeg, to może zobaczyć biały żwir koryta rzeki, zobaczy też wodę, bo jesienią listowie zarośli przerzedziło się i odsłania brązowe gałęzie, nie jest to już nieprzeniknione zielone ścianą jak latem. Jeśli natomiast dziecko zwróci oczy w lewo, to zobaczy bagnistą łąkę: ciągnie się ona niesamowicie i podstępnie, a kiedy postawi się stopę na jej trawie, woda gulgocze i leje się do buta; nie wolno przechodzić przez taką łąkę, bo kto wie? można by utopić się w bagnie bez ratunku.

Wrażliwość dzieci na przyrodę jest mniejsza, a mimo to intensywniejsza niż dorosłych. One nie będą zatrzymywać się w miejscu z pięknym widokiem, nie będą chłonać okolicy, ale drzewo stojące na dalekim wzgórzu może być dla nich tak pociągające, że najchętniej wzięłyby je do ust i biegną ku niemu, żeby je dotknąć. A krajobrazu wielkiej doliny, który rozpościera się u ich stóp, nie chcą oglądać, chcą się weń rzucić, jakby tym samym mogły cisnąć weń także swój lęk; dlatego dzieci są w ciągłym, często bezużytecznym ruchu, tarzają się w trawie, wdrapują na drzewa, próbują zjadać liście, a wreszcie chowają się w koronie drzewa albo w ciemnym zaciszu zarośli.

Jeśli więc wiele z tego, co na ogół przypisuje się wprost niewyczerpanej energii młodości i bezsensownie sensownemu jej wyładowywaniu, jest ni mniej, ni więcej tylko wielkim strachem stworzenia, które zaczęło umierać, gdyż odkryło swą samotność, jeśli więc bezładna biegania dzieci pod bardzo wielu względami jest błakaniem się u zarania żywota, jeśli więc ich śmiech bez powodu, tak często karcony przez dorosłych, jest śmiechem kogoś, kto czuje się zaskoczony i oszołomiony samotnością, to będzie zrozumiałe nie tylko, że ośmioletnie dziecko potrafi zdobyć się na decyzję pójścia sobie w świat, aby taką niezwykłą, chciałoby się rzec: heroiczną i ostateczną mobilizacją wziąć własną samotność w garść, pokonać w niej

wielką samotność, rzucić nieskończoność przeciwko jedności, jedność przeciwko nieskończoności – będzie zrozumiałe nie tylko to i nie tylko, że przy tego rodzaju kroku nie chodzi ani o zwyczajne motywy, ani o ich wagę, lecz że liczą się tu zupełnie inne motywacje: choćby motyl, a więc coś o tak niewielkim ciężarze, że w żaden sposób nie waży na szali, może mieć decydujący wpływ na bieg sprawy, tak, to może się zdarzyć – kiedy na przykład motyl, który jakiś czas frunął przed dzieckiem, zbacza teraz z drogi, aby zniknąć nad bagnistą łąką, to nie ma znaczenia tylko w oczach dorosłych, ponieważ oni nie umieją dostrzec, że dziecko zostało opuszczone przez duszę motyla, nie przez niego samego, lecz przez niego będącego duszą. I oto dziecko zatrzymuje się, odrywa dłoń od boku i ruchem z góry skazanym na niepowodzenie usiłuje schwytać dawno już pierzchłego owada.

Dziecko co prawda przemierza jeszcze kawałek początkowej drogi. Dociera niemal do owego dużego mostu, który przenosi przez rzekę nadciągający ze wschodu i zdążający do miasta gościniec. W tym miejscu nadbrzeżna ścieżka, której dziecko dotąd się trzymało, wspięłaby się na skarpę gościńca i po drugiej stronie zesła z powrotem w dół. Ale dziecko nawet do tego miejsca nie dociera. Bo wobec tego jakże dobrze znanego mostu, wobec szarej kratownicy, zza której wзираł czarny jodłowy las, podzielony na czarne czworokąty, widok, którego dziecko zawsze się bało, i wobec tej zaskakującej, z pozoru nie kończącej się nigdy swojskości okolicy dziecko decyduje się nagle na ostateczne opuszczenie doliny. Myśl obleczona w czyn. I jeśli dziecko porzucając dom miało być może nadzieję, że to, co znane i swojskie, bardzo, bardzo powoli, niejako bezboleśnie przejdzie w obce, to bolesność raptownego rozstania zostaje zagłuszona przez silne pragnienie dojścia na drugi brzeg bagnistej łąki, tam, gdzie zniknął motyl.

Wznosi się tam niezbyt wysokie wzgórze, jednakże na tyle wysokie, że dziecko widzi jedynie dach domu, który stoi na szczycie, i jedynie czubki rosnących tam drzew. Może najbardziej wskazane byłoby rozpoczęcie wspinaczki po prostu z gościńca. Lecz niecierpliwość dziecka jest na to zbyt wielka: pod jasnoblękitnym niebem, tym chłodno-gorącym niebem babiego lata, w promieniach słońca, które pieką w plecy, dziecko zaczyna biec; biegnie wzdłuż bagnistej łąki, żeby znaleźć dróżkę czy steczkę, chce znaleźć choćby wąziutką ścieżynę, ale szukając zdążyło już okrążyć łąkę i staje u stóp wzgórza, jak gdyby wzgórze wyszło mu naprzeciw, wielbłąd, który kłęka, żeby go dosiąść. Ten podwójny pośpiech, własny i wzgórza, ma w sobie coś niesamowitego i w tej chwili dziecko rzeczywiście się waha chcąc postawić stopę na niedostrzegalnym zgięciu, którym płaska łąka przechodzi w spadzistość. Gdy dziecko teraz podnosi głowę, chłopski dom w górze jest całkowicie poza zasięgiem jego wzroku, widać tylko parę wierzchołków drzew. Jednakże im wyżej się wspina, tym więcej wyrasta przed jego oczami, najpierw drzewa w soczystej zieleni, jakby wabiła tam wiosna, potem dach, z którego unosi się prosta jak świeca smuga dymu, a wreszcie wyłaniają się białe mury domu między pniami: jest to chyba chłopski dom pośród bardzo zielonego sadu, a ostatni stok, tak stromy, że dziecko wdrapuje się nań na czworakach, jest również tak zielony, że dziecko tylko po omacku wyciąga dłonie, po czym leży jak długie na brzuchu, z twarzą w trawie, i dopiero później wolniutko podciąga kolana.

Skoro dziecko faktycznie znajdzie się już na górze i pies podwórzowy ujadając szarpie łańcuch, nie ma śladu po spodziewanej wiosnie. W rzeczy samej krajobraz jest obcy i nieznan, nawet dolina, na którą dziecko rzuca teraz okiem, nawet ona nie jest już doliną, z której przyszło. Podwójna przemiana! przemiana nasycona smutkiem, niemniej jednak to nie rozstrzygnięcie, bo przemianę trzeba wytłumaczyć jedynie światłem: z właściwą jesieni prędkością jasna czystość światła zmętniała, ale równocześnie naprzeciw białawej tarczy nieba powstaje antyniebo, gdyż dolina zaczyna się wypełniać tak samo białą mgłą. Jest jeszcze popołudnie, lecz zapadł już wieczór obcości. Daleko w nieskończone ciągnie się droga, przy której leży posiadłość, a w szybko nasilającym się zimnie umierają motyle. To zaś jest decydujące! Dziecko w jednej chwili zdaje sobie sprawę, że nie ma celu, że błąkanie się i

poszukiwanie celu nic mu nie przyniosło, że co najwyżej samo nieskończone może być celem. Dziecko tego nie myśli, jednakże tym, co robi, odpowiada na nigdy nie zadane pytanie, rzuca się w obcość, ucieka na drogę, ucieka na ciągnącą się nieskończenie drogę, traci świadomość, nie potrafi nawet płakać w biegu bez tchu, który jest jak stanie w miejscu między ścianami mgły. A potem przez mgłę rzeczywiście sący się wieczór, księżyc staje się jasną plamą w jej ścianie, a kiedy potem mgły rozwiewają się za jednym, bezgłośnym zamachem i wszystkie gwiazdy sklepiają się na niebie, kiedy nieporuszoność zmierzchu ustąpi sztywności nocy, dziecko dotrze do obcej wsi, będzie potykało się na milczących ulicach, na których tu i ówdzie stoi furmanka bez zaprzęgu.

Jest rzeczą bez mała obojętną, jak daleko dotarła Margerita, czy ją przyprowadzono z powrotem, czy padła ofiarą jakiegoś włóczęgi – owładnęło ją lunatyczne wędrowanie nieskończoności i nigdy już jej nie uwolni.

Historia dziewczyny z Armii Zbawienia w Berlinie (15)

O roku nowy, jesienny, na ulicach głodu,
O gwiazdy łagodne, co jesień ogrzewały,
O strachu długiego dnia! o, strachu nieurodzaju,
O strachu pożegnania, rozstania u progu,
Gdy w oczach spokojnych, lecz wielce strapionych
Łez żadnych nie było, okruczeństwo tylko zrozumienia:
Już się nie zobaczą, na przekór pragnieniom,
I w mieście, hałasem aut wypełnionym,
Nikła droga za drogą, niknął ślad za śladem,
Nikło serce za sercem, niepokój targał stworzeniem
Słońce nie lśniło, księżyc był białym kamieniem,
Ale trwogi nie czuli, bo mędrców srebrny diadem,
Co nad duszą czuwają, odkryciem zajaśniał,
Że niepokój to duszy najwspanialszy dar właśnie!
Bo to chyba niepokój popchnął ich ku sobie
Jak liście wiatrem niesione sposobnym?
A niepokój ich miłości częstką był snadź drobną
Niepokoju niebios, co to w każdej dobie
Srebrzą się na purpurze jego spojrzzeniami.
Z dala płochliwy gołąb nadlatuje,
Nad potopu falami ciemnymi szybuje
I przymierze niesie nad wszystkimi morzami:
Bóg w niepokoju króluje, w ciszy opuszczenia,
Miłość w nim niepokojem, niepokój miłości łaknieniem,
Czas wieczny z ziemskimi sprzymierza się czasami,
Samotność z wszystkimi łączy się samotnościami
W miłości wielki Boga niepokój zatopiony,
W tym niepokoju, Boże, byt twój w myśl przemieniony.

Spotkania biblijne miały teraz słabą frekwencję. Zdarzenia zewnętrzne odwracały wzrok od tego, co działo się we własnej duszy, a dotyczyło to w szczególności obcych, którzy dawali posłuch wszystkim pogłoskom wietrząc w nich możliwość rychłego powrotu do domu. Miejscowi byli bardziej stateczni; dla nich biblijne rozważania stały się już dobrym nawykiem, który chcieli zachować niezależnie od wojny czy pokoju, ale w gruncie rzeczy każdy miał jakiś kącik, w którym pogłoski o pokoju raczej przeszkadzały, niż cieszyły.

Fendrich i Samwald byli miejscowi i należeli do najwierniejszych. Huguenau twierdził co prawda, że Fendrich przychodzi jedynie dlatego, że pani Esch stale ma w domu mleko, ba, czasami twierdził nawet, że to kosztem jego porannej kawy pani Esch stara się uszczknąć mleka dla nabożnisia. I bynajmniej nie krył się z tą opinią; pani Esch śmiała się z tego: – A kto by był taki zazdrosny, panie Huguenau – a Huguenau miał gotową odpowiedź: – Niech pani ma się na baczności, matko Esch, ci nabożnisie od szanownego małżonka jeszcze panią do cna objedzą. – Nawiasem mówiąc zarzuty Huguenaua były niesłuszne; Fendrich przychodziłby i bez mlecznej kawy.

Bądź co bądź teraz obaj, Samwald i Fendrich, znów siedzieli w kuchni. Huguenau, który naszykował się do wyjścia, wetknął nos: – Smakuje panom? – Pani Esch odpowiedziała za nich: – Ach, przecież ja nic w domu nie mam. – Huguenau popatrzył obu na usta, czy przypadkiem nie żują, popatrzył na stół i nie dostrzegłszy żadnego jedzenia był zadowolony. – No, to mogę panią spokojnie zostawić – oznajmił – jest pani w najlepszym towarzystwie, matko Esch. – Mimo to został; rad byłby wiedzieć, o czym pani Esch rozmawiała z tymi dwoma. A kiedy wszyscy milczeli, zaczął rozmowę: – A gdzie to dzisiaj pański przyjaciel, panie Samwald? ten o kulach? – Samwald wskazał na okno, które dygotało w jesiennym wietrze:

– Przy zlej pogodzie ma bóle... czuje z góry. – O la la – odparł Huguenau – reumatyzm; tak, to nieprzyjemna sprawa. – Samwald potrząsnął głową:

– Nie, on czuje z góry... on bardzo dużo wie z góry... – Huguenau słuchał tylko jednym uchem: – Może to też być artretyzm. – Fendrich wzdrygnął się lekko: – Ja też czuję to we wszystkich kościach... u nas w fabryce przeszło dwudziestu ma grypę... wczoraj umarła córka starego Petriego... w lazarecie też byli już zmarli, Esch mówi, że to dżuma... dżuma płucna. – Huguenau skrzywił się: – Ten to powinien uważać ze swoim defetystycznym gadaniem... dżuma! tego by jeszcze brakowało. – Samwald powiedział: – Gödickemu to nawet dżuma nic nie robi... to zmartwychwstały. – Fendrich też miał coś do powiedzenia na ten temat: – Według Biblii muszą teraz przyjść wszystkie plagi Apokalipsy... major też to przepowiadał... Esch też tak mówi. – *Merde*, ja już mam dosyć – oznajmił Huguenau – życzę dalszej miłej rozmowy. Cześć.

Na schodach natknął się na Escha: – Dwaj bardzo mili pańscy kompani siedzą na górze... jeśli całe miasto będzie gadać o dżumie, to będzie to pana wina... z tymi swoimi nabożniami doprowadzi pan wszystkich do szalu, to ogłupianie ludu. – Esch odsłonił końskie uzębienie i pogardliwie machnął ręką, co zirytowało Huguenaua: – Nie ma co szczyrzyć zębów, pastorce. – Ku jego zaskoczeniu Esch natychmiast spoważniał: – Ma pan rację, tu nie ma co szczyrzyć zębów... ludzie mają rację. – Huguenau obruszył się: – Z czym mają rację... z dżumą? – Esch odparł spokojnie:

– Tak, i byłoby lepiej dla pana, tak, dla szanownego pana, gdybyś pan w końcu zechciał zauważyć, że znajdujemy się pośród strachu i plagi...

– Chciałbym wiedzieć, co by mi z tego przyszło – powiedział Huguenau i ruszył dalej w dół schodów. Esch uderzył w swój belferski ton: – Mógłbym to panu w rzeczy samej wytłumaczyć, ale pan nie chcesz tego wiedzieć... boisz się pan tego wiedzieć... – Huguenau odwrócił się. Esch stał o dwa stopnie wyżej i wyglądał potężnie; nieprzyjemnie było patrzeć tak na niego w górę i Huguenau postąpił o jeden stopień wyżej. Nabrał jakiejś nieufności. Cóż to takiego Esch miał w zanadrzu, czego nie chciał wyjawić? Co on mógł wiedzieć? Gdy jednak Esch zaczął: – Tylko kto w strachu jest, łaski dostąpi... – Huguenau go powstrzymał: – Stop, tego naprawdę nie potrzebuję już słuchać... – Esch ponownie odsłonił zęby w zniechęconym sarkastycznym śmiechu: – A nie mówiłem? Pewnie to nie pasuje do pańskiego nowego kierunku... nawiasem mówiąc nigdy nie pasowało. – I chciał iść w swoją stronę.

Za szklami okularów Huguenaua błysnęło: – Chwileczkę, proszę pana...

Esch zatrzymał się.

– Cóż, panie Esch, muszę to powiedzieć... naturalnie to bajdurzenie do mnie nie pasuje... czy będzie pan teraz szczerzył zęby, czy nie, nigdy do mnie nie pasowało... zawsze byłem wolnomyślicielem i nigdy się z tym nie kryłem... ja panu w pańskich modłach nigdy nie przeszkadzałem, niech więc pan z łaski swojej pozwoli, że będę szczęśliwy po swojemu... co do mnie, to może pan to nazywać nowym kierunkiem, pozwalam panu nawet szpiclować mnie, co pan najwidoczniej robi, a poza tym nie jestem trybunem ludowym jak pan, nie mączę ludziom w głowach, nie mam ambicji, ale kiedy tak słucham ludzi, naturalnie nie pańskich nabożnisiów tam na górze, to wydaje mi się, że sprawy przybierają jednak inny obrót, niż to panu, pastorze, jest mile... chodzi mi o to, że niedługo coś się zdarzy i widzę już parę osób na latarni... gdyby pan major nie był łaskaw gniewać się na mnie, to bym go posłusznie ostrzegł; ja jestem dobry facet... z panem co prawda on też nie bardzo już będzie chciał gadać, stary, niezdecydowany głupiec, ale bądź co bądź zostawiam panu wolną rękę co do przekazania mu ostrzeżenia. Widzi pan, że mną można grać w otwarte karty; ja na nikogo nie rzucam się od tyłu jak inni.

I po tych słowach ostatecznie zrobił w tył zwrot i pogwizdując zszedł ze schodów. Poniewczasie był wszakże zły na swoją dobroduszość – nie miał przecież żadnego powodu do jakiegokolwiek poczucia winy wobec panów Pasenowa i Escha, dlaczego właściwie i przed czym ich ostrzegł?

Esch nie ruszał się z miejsca. Poczuł jakieś takie ukłucie w sercu. Potem powiedział sobie: – Kto się poświęca, ten jest przyzwoity. – I chociaż po tym gościu można było spodziewać się każdej niczemności – dopóki się przechwalał, było dobrze; psy, które szczekają, nie gryzą. A jeśli ten rozwiera gębę w gospodach, to wyrządza jeszcze mniejszą szkodę, a już najmniejszą majorowi. Esch uśmiechnął się, stanął pewnie i mocno na nogach, po czym wyciągnął ręce jak ktoś, kto budzi się ze snu, albo jak ukrzyżowany. Czul się silny, pewny i pogodny, i jak gdyby to był rachunek, który w świecie wychodzi bez problemu, powtórzył: – Kto się poświęca, ten jest przyzwoity – po czym pchnął drzwi do kuchni.

„Nikt nie widzi drugiego w ciemności”

Wydarzenia z 3, 4 i 5 listopada 1918

To, co powiedział Huguenau, faktycznie się spełniło: zdarzyło się coś, a to 3 i 4 listopada.

Rankiem 2 listopada odbyła się mała demonstracja robotników papierni. Ludzie, jak zwykle przy takich okazjach, poszli pod ratusz, ale tym razem, właściwie bez specjalnego powodu, wybili szyby. Major wysłał półkompanię, jaka pozostawała jeszcze w jego dyspozycji, i demonstranci rozproszyli się. Jednakże zapanował jedynie pozorny spokój. Miasto było pełne pogłosek; wiedziano o załamaniu się frontu, natomiast o rokowaniach na temat zawieszenia broni nie można było dowiedzieć się nic, straszne rzeczy wisiały w powietrzu.

Tak minął dzień. Wieczorem widać było na zachodzie czerwonawą łunę i mówiło się, że pali się cały Trewir. Huguenau, który teraz żałował, że już dawno nie sprzedał gazety komunistom, chciał wydrukować dodatek nadzwyczajny, lecz obaj drukarze byli nieuchwytni. W nocy doszło do strzelaniny w pobliżu zakładu karnego. Przebąkiwano, że był to znak mający skłonić więźniów do ucieczki. Później podano do wiadomości, że to strażnik więzienny na skutek nieporozumienia oddał strzały na alarm; ale nikt w to nie wierzył.

Tymczasem nastał chłodny, mglisty, zimowy ranek. Już o siódmej w nie ogrzanej, marnie oświetlonej, wyłożonej boazerią sali posiedzeń zebrał się magistrat; powszechnie domagano się uzbrojenia obywateli miasta – na postawiony zarzut, że mogłoby to zostać uznane za krok prowokacyjny wobec robotników, postanowiono powołać straż obywatelską, do której mieli należeć zarówno mieszczanie, jak i robotnicy. Było trochę kłopotów z komendantem miasta, jeśli chodzi o wzięcie karabinów z zapasów składu amunicji, ale w końcu – niemalże ponad głową majora – broń otrzymano. Naturalnie nie było już czasu na normalny zaciąg, toteż wybrano jedynie ukonstytuowany pod przewodnictwem burmistrza komitet, który miał się zająć rozdziałem broni. Jeszcze przed południem wydano karabiny tym wszystkim, którzy wykazali, że stale tu mieszkają i umieją obchodzić się z bronią, a gdy to nastąpiło, komendant miasta nie mógł już odmawiać współdziałania wojska i straży obywatelskiej; o wystawieniu posterunków decydowała już komendantura.

Zgłosili się oczywiście Esch i Huguenau. Esch – dążący przede wszystkim do tego, żeby być w pobliżu majora – prosił o przydział w obrębie miasta. Przypadła mu warta nocna, podczas gdy Huguenau miał po południu pilnować mostu.

Huguenau siedział na kamiennej balustradzie mostu i marzył w listopadowej mgle. Jego karabin z osadzonym bagnetem stał obok. Między cegłami balustrady rosła trawa i Huguenau zajął się wyrywaniem jej. Można było też wydłubywać spomiędzy cegieł kawałeczki starej jak świat zaprawy i wpuszczać do wody. Nudził się okropnie i uznał, że cała sprawa nie ma sensu. Stojący kołnierz niedawno kupionego zimowego płaszcza ocierał szorstko kark i brodę i nie dawał ciepła. Z nudów załatwił się, ale to nie trwało długo i znów siedział na balustradzie. To bez sensu siedzieć tutaj, z głupią zieloną opaską na rękawie, a poza tym było zimno. I zastanawiał się, czy nie iść do burdelu – choćby dlatego, że jego zamknięcie nic majorowi nie dało; przybytek nazywał się teraz przedsiębiorstwem tajnym.

Akurat wyobraża sobie, że bajzelmama pewnie napaliła i że będzie tam ciepłutko, gdy staje przed nim Margerita. Huguenau ucieszył się: – A to dopiero – powiedział – co ty tu robisz... myślałem, że wyjechałaś... co zrobiłaś z moją marką?

Margerita nie odpowiedziała.

Huguenau wolałby burdel: – Nic mi po tobie... nie masz nawet czteremastu... zabieraj się do domu.

Niemniej jednak bierze ją na kolana; tak jest cieplej. Po chwili pyta: – Włożyłaś ciepłe majtki? – Gdy przytaknęła, był ukontentowany. Siedzieli mocno przytuleni do siebie. Przez mgłę doszło bicie ratuszowego zegara; piąta godzina, a jak już ciemno.

– Krótkie dni – powiedział Huguenau – znów kończy się rok.

Dołączył drugi zegar czterema i pięcioma uderzeniami. Jemu było coraz smutniej. Po co to wszystko? Co on tutaj miał do roboty? Po tamtej stronie pół leżała posesja Escha i Huguenau szerokim łukiem splunął w odpowiednim kierunku. Ale raptem doszło go gwałtowne przerażenie: nie zamknął drzwi do drukarni i jeśli dojdzie dzisiaj do plądrowań, to porozbijają mu maszyny.

– Złaź – powiedział szorstko do Margerity, a gdy się ociągała, wymierzył jej policzek. Spiesznie przetrząsnął kieszenie w poszukiwaniu klucza od drukarni. Ma pójść sam czy posłać Margeritę z kluczem do Eschycy?

Był już bliski porzucenia obowiązku i udania się do domu, gdy wzdrygnął się, bo był to rzeczywiście strach, który przenika do szpiku kości: na skraju lasu tam w górze rozbłysło jaskrawo i w następnej chwili nastąpił okropny wybuch. Zdążył się zorientować, że było to w koszarach kompanii miotaczy min, że jakiś dureń musiał doprowadzić do zdetonowania resztek amunicji, ale już instynktownie rzucił się na ziemię i był na tyle mądry, żeby na leżąc przeczekać następne eksplozje. I rzeczywiście w krótkich odstępach nastąpiły jeszcze dwa gwałtowne wybuchy, a potem huk przeszedł w pojedyncze trzaski.

Huguenau wyjrzał ostrożnie zza kamiennej balustrady, zobaczył tłące się rozświetlone od wewnątrz ruiny magazynów i dach koszar w płomieniach. – No to się zaczyna – powiedział do siebie, wstał, otrzepał nowy zimowy płaszcz. Potem rozejrzał się za Margeritą, zagwizdał na nią parę razy, ale ona uciekła – oby do domu. Miał niewiele czasu do namysłu, bo od strony koszar nadbiegała hurma ludzi, z kijami, kamieniami, a nawet karabinami w rękach. I ku zdumieniu Huguenaua obok nich biegła Margerita.

Szli na więzienie, to było jasne. Huguenau skapował to w mig i czuł się jak szef sztabu generalnego, którego rozkazy wykonywane są z dokładnością co do sekundy: – Dzielni ludzie – powiedziało w nim coś i uznało za naturalne, że się do nich przyłączył.

Biegiem dotarli wrzeszcząc pod więzienie. Brama była zamknięta. Posypał się na nią grad kamieni, po czym nastąpiło bezpośrednie natarcie. Huguenau pierwszy walnął kolbą w dyle. Któryś zaopatrzył się w łom, nie trzeba było długo się mozolić, szybko powstał wyłom, brama rozwarła się raptem i tłum wpłynął na podwórze. Było opustoszałe, personel gdzieś się pochował; no, już się wykurzy tych drani – ale z cel dochodził szalony śpiew: „Niech żyje, niech żyje, niech żyje nam!”

Gdy nastąpił pierwszy wybuch, Esch znajdował się w kuchni. Jednym susem był przy oknie, odskoczył jednak w tył, kiedy przy drugiej eksplozji obluzowane okno wraz z ramą zważyło się na niego. Czy to był atak lotniczy? Zona klęczała między odłamkami szkła i klepała Ojczy nasz. Przez sekundę patrzył z otwartymi ustami: całe życie się nie modliła! Potem szarpnął ją w górę: – Do piwnicy, nalot! – Jednakże już ze schodów zobaczył pożar magazynu amunicji, usłyszał dochodzący stamtąd terkot. A więc zaczęło się. I jego następną myślą było: „Major!” Wepchnąć kwilącą żonę – jeszcze miał w uszach jej lamenty, żeby jej nie zostawiał – z powrotem do pokoju, wziąć karabin i zbiec ze schodów było kwestią chwili.

Ulicy była pełna rozwrzeszczanych ludzi. Z rynku dochodził sygnał trąbki. Esch puścił się pędem. Za nim prowadzono truchtem parę koni w szorach; wiedział, że były przeznaczone dla

straży pożarnej, i dobrze mu zrobiło, że jakaś część dawnego porządku pozostała jeszcze nietknięta. Sikawka stała już na rynku, wyprowadzono ją z remizy, ale brakowało obsady. Trębacz wlaź na kozioł, raz po raz trąbił na zbiórkę, tymczasem było zaledwie sześciu strażaków. Z drugiej strony rynku nadbiegła kompania i kapitan był tak roztropny, że przyszedł z nią w sukurs straży pożarnej; oddaliła się z turkotaniem sikawki.

W ratuszu wszystkie drzwi były pootwierane. Ani żywej duszy; komendantura pusta. Była to ulga dla Escha; więc przynajmniej tutaj nie znajdą zaraz starego. Ale gdzie on był? Wychodząc Esch natknął się wreszcie na żołnierza. Zawołał na niego pytając, czy widział komendanta. Tak, major ostatnio zaalarmował straż obywatelską i jest albo pod koszarami, albo pod więzieniem... które zostało podobno zaatakowane.

Więc do więzienia! Esch ruszył ciężkim, niezgrabnym kłusem.

Podczas gdy tłum wdarł się do budynku więzienia, Huguenau pozostał na podwórzu. To był sukces, bez wątpienia, to był sukces – Huguenau przybrał ironiczną minę, która wychodziła mu już całkiem dobrze. Major zdrowo by się zdziwił, gdyby go tu zobaczył, tak samo Esch. Niewątpliwie był to znakomity, wspaniały sukces; niemniej jednak Huguenau czuł się markotnie – co dalej? spoglądał na podwórze, płonące koszary dawały piękne światło, ale w końcu nie był to wcale taki niesłychanie nadzwyczajny widok, nigdy nie wyobrażał sobie podwórza inaczej. A tej całej bandy też miał już dość.

Nagle przeraźliwe krzyki! Wytropili strażnika i wywlekli go na podwórze. Gdy nadszedł Huguenau, mężczyzna leżał na ziemi jak ukrzyżowany, tylko jedną nogę, kurczowo wyprostowaną, unosił rytmicznie w górę. Rzuciły się na niego dwie kobiety, a jedną z dłoni przygniotł podkutym butem facet z łomem i rachował żelazem kości udręczonego. Huguenau czuł, że zbiera mu się na wymioty. Z paniką w brzuchu i sercu, z karabinem na ramieniu pognął z powrotem do miasta.

To zaś leżało w blasku płonących koszar ostro oświetlone, o spiczastych szczytach, a ponad czarne kontury kamienic wystawały wieże ratusza i kościołów. Niosło się stamtąd bicie na wpeł do szóstej, beztroskie, jakby nad tym ludzkim siedliskiem rozpościerał się jeszcze całkowity spokój. I znajomy dźwięk zegarów, znajomy widok kamienic, cały ten spokój, jaki tu jeszcze panował, podczas gdy wokół już się paliło, zamienił zdyszany strach Huguenaua w niezmierną tęsknotę za ludzką bliskością. Biegi na przełaj przez pola, czasami przystając, żeby zaczerpnąć tchu. Poczul raptem, że pachnie wędzarnią, i znów go tknęło, że drzwi do drukarni są nie zamknięte, że rabusie i włamywacze ruszą teraz hurmą z więzienia, i ze zdwojonym strachem, ze zdwojonym wysiłkiem podążał dalej, ku domowi.

Hanna Wendling leżała w łóżku z wysoką gorączką. Doktor Kessel chciał z początku zwalić winę na co noc otwierane okna; później musiał przyznać, że była to grypa hiszpańska.

Gdy nastąpiła eksplozja i w pokoju z brzękiem posypały się szyby, Hanna wcale się nie zdziwiła: nie ona ponosiła odpowiedzialność za zamknięte okna, te zostały jej narzucone, a że Heinrich zaniedbał założenia krat, to teraz naturalnie wejdą włamywacze. Wręcz z satysfakcją skonstatowała: – Wdzieranie się od dołu – i czekała na to, co za chwilę nastąpi. Lecz że huczało coraz głośniejsze i głośniejsze, oprzytomniała, wyskoczyła z łóżka w nagłym przeświadczeniu, że musi iść do chłopca.

Przytrzymała się słupka przy łóżku, starała się zebrać myśli: chłopiec był w kuchni, tak, przypomniała sobie, że względu na niebezpieczeństwo zarażenia wysłała go na dół. Musiała zejść na dół.

Ostry przeciąg wiał przez pokój, wiał przez cały dom. Wszystkie okna i drzwi zostały wyrwane z ram, a na pierwszym piętrze wybite wszystkie szyby od frontu, bo w tym wysoko położonym miejscu doliny podmuch okazał się szczególnie silny. Następny wybuch zerwał z trzaskiem połowę dachówek. Gdyby dom nie miał centralnego ogrzewania, pożar byłby nieunikniony. Hanna wszelako nie zauważała zimna, bodaj nie zauważyła trzaskającego

hałasu, nie rozumiała, co się stało, wcale nie usiłowała zrozumieć: mijając wrzeszczącą pokojówkę, którą spotkała w garderobie, pospieszyła do kuchni.

W kuchni zastanowiło ją to, że przedtem musiało być zimno, bo tam było przyjemnie. Tu na dole okna nie ucierpiały. W kącie przycupnęła kucharka i trzymała na kolanach płaczącego, drżącego chłopca. Kot leżał spokojnie koło paleniska. Zniknął też drażniący nozdrza dziwny zapach spalenizny; pachniało czystością i ciepłem. Miało się uczucie, że się ocalało. Potem spostrzegła, że w niepojętej przytomności umysłu wzięła ze sobą kołdrę. Owinęła się nią i usiadła w najdalszym rogu kuchni; trzeba było uważać, żeby chłopiec się nie zaraził, i wzbraniała się, gdy chciał przybiec do niej. Pokojówka przysłała jej śladem, a teraz pokazał się także ogrodnik z żoną: – Pała się koszary... tam. – Ogródnik wskazał na okno, ale kobiety nie miały odwagi podejść, pozostały na swoich miejscach. Hanna czuła się zupełnie przytomna. Powiedziała: – Musimy to przeczekać – i mocniej owinęła się kołdrą. Nagle z jakiegoś powodu zgasło światło elektryczne. Pokojówka znów wrzasnęła. Hanna powtórzyła w ciemności: – Musimy to przeczekać... – a potem z powrotem zapadła w półsen. Chłopiec zasnął na kolanach kucharki. Pokojówka i żona ogrodnika siedziały na skrzyni z węglem, ogrodnik opierał się o ścianę przy palenisku. Szyby wciąż jeszcze brzęczały, a co jakiś czas z dachu spadała kolejna warstwa dachówek. Siedzieli w mroku, patrzyli wszyscy w oświetlone okna, patrzyli nieporuszenie przed siebie i stawali się coraz bardziej nieporuszeni.

Drogą, która prowadziła do zakładu karnego, pędził Esch – karabin zsunął mu się z ramienia, więc trzymał go w dłoni jak żołnierz biegnący do szturm. Gdzieś w połowie drogi usłyszał wrzaski nadciągającej hurmy. Rzucił się w krzaki, żeby ją przepuścić. Było ze dwustu ludzi, wszelka możliwa hołota, w tym więźniowie, rozpoznawalni po szarych ubraniach. Jedni próbowali śpiewać Marsylianke, inni Międzynarodówkę. Jakiś feldfobelowy głos nawoływał stale: – Maszerować czwórkami! – ale nikt się do tego nie stosował. Na czele pochodu ponad głowami maszerujących unosiła się kukła: na żerdzi, swoistej szubienicy, wisiał wypchany szmatami i rupieciami mundur strażnika więziennego – w tym celu rozebranego przez nich prawdopodobnie do naga – kukła miała przypiętą do piersi białą kartkę i w migotliwym świetle płonących składów Esch zdołał odcyfrować słowa „komendant miasta”. Mieli ze sobą nawet dziecko, siedziało na ramionach jednego z mężczyzn, mała dziewczynka, która przypominała Margeritę, ale Esch już na to nie zwracał uwagi: przepuścił pochód i żeby nie natknąć się na ewentualnych maruderów, biegł dalej łąką obok drogi.

Wyłoniły się przed nim reflektory samochodu. Eschowi krew zastygła w żyłach – to mógł być jedynie major! major, który jechał niechybnie prosto w ręce buntowników. Trzeba było go zatrzymać! zatrzymać za wszelką cenę! Esch wspiał się na skarpe, głośno krzycząc i machając rękami stanął na środku drogi. Ale nie zauważono go lub nie chciano zauważyć i gdyby nie uskoczył, zostałby przejechany. Zdążył jeszcze dostrzec, że był to faktycznie wóz majora, że prócz majora jechało nim trzech żołnierzy, z tego jeden na stopniu. Bezradnie popatrzył za samochodem, po czym co sił popędził za nim; pędził w okropnym strachu, lada sekunda spodziewając się ujrzeć coś przerażającego. I już tam na przedzie padło kilka strzałów, nastąpiło huczące, podobne do wybuchu uderzenie, krzyki i hałasy. Esch skoczył z powrotem w dół skarpy.

Przed pierwszymi domami stała ciżba; okolica była wciąż jeszcze oświetlona przez pożar. Kryjąc się za krzaki Esch dotarł do pierwszego płotu i pod osłoną ogrodzenia zdołał się zbliżyć. Wóz przekoziółkował i paląc się leżał na przeciwległej skarpie. Widać szofera, na widok tłumu albo trafiony kamieniem, stracił panowanie nad kierownicą i zjechał na bok. Na poły przykucnąwszy pod drzewem, o które rozbił sobie czaszkę, rzeził jeszcze, podczas gdy jeden z żołnierzy leżał wyciągnięty jak długi na drodze. Drugi natomiast, podoficer, który wyszedł z wypadku chyba bez szwanku, był otoczony przez wściekłą zgraję. Okładany pięściami i kijami wykonywał słabe, błagalne ruchy, mówił coś, co w hałasie pozostawało

niezrozumiałe; potem i on padł na ziemię. Esch zastanawiał się, czy strzelić w tłum, ale w tym momencie zamigotał niebieski płomień spod maski silnika i ktoś zawołał: Wóz wybuchnie! – Ciżba cofnęła się, umilkła i czekała na wybuch. Gdy jednak nic nie nastąpiło i wóz nadal jedynie się żarzył, rozległy się niebawem okrzyki: – Na komendanturę! – Na ratusz! – i tłuszcza ruszyła dalej ku miastu.

Ale gdzie był major? Nagle Esch to wiedział: pod samochodem, w niebezpieczeństwie spalania się żywcem. Gnany strachem Esch przesadził płot, doskoczył do wozu, szarpnął podwoziem; porwał go suchy szloch, gdy zorientował się, że sam jeden nie zdoła go unieść. Zrozpaczony stał przy palącym się pojeździe, poparzył sobie bezsilne ręce przy kolejnych próbach. Wtem ktoś nadszedł. Był to trzeci żołnierz, któremu nic się nie stało, bo przeleciał nad skarpą i spadł na łąkę. We dwóch udało się im unieść jedną stronę wozu. Esch wczołgał się, podparł plecami karoserię, a żołnierz wyciągnął majora. Chwała Bogu! Lecz to jeszcze nie było wszystko, należało czym prędzej uciekać z pobliza niebezpiecznego automobilu, toteż wnieśli nieprzytomnego na skarpę, ułożyli go za paru krzakami na łące.

Esch ukląkł przy majorze, patrzył mu w twarz; była to twarz spokojna, oddech miarowy, choć słaby. Serce biło również spokojnym rytmem – Esch rozpiął płaszcz i kurtkę majora – i z wyjątkiem paru poparzeń i otarć nie można było dostrzec żadnych obrażeń zewnętrznych. Żołnierz stał obok. – Mamy jeszcze tamtych... – Esch podniósł się ciężko. Nie znane zmęczenie. Bolały go wszystkie członki. Mimo to jeszcze raz się zebrał i przenieśli również ранego podoficera w bezpieczne miejsce. Zwłoki zabitego w wypadku żołnierza i szofera położyli na skarpie.

Po tym wszystkim Esch rzucił się na trawę obok majora: – Chwilę odetchnąć... Już nie mogę. – Był tak wyczerpany, że prawie nie zwrócił uwagi, gdy ponad dachami miasta wystrzeliły w górę szybkie płomienie i żołnierz krzyknął: – Dranie podpalili ratusz!

W lazarecie zapanowało ogólne zamieszanie.

Z początku wszyscy uciekli do ogrodu, nie zważając na ludzi, którzy nie mogli się podnieść; nikt się nie przejmował ich biadoleniem.

Trzeba było całego autorytetu Kuhlenbecka, żeby przywrócić porządek. Komendant osobiście przetransportowywał najcięższe przypadki na parter, nosił ludzi na rękach jak małe dzieci, jego grzmiący głos niósł się po korytarzach, każdy, kto nie wykonywał momentalnie jego rozkazów, nawet Flurschütz i siostra Matylda, bywał zwymyślany od ostatnich. Siostra Carla uciekła i nie sposób było jej znaleźć.

W końcu sprawy wróciły do normy. Łóżka ze spustoszonego piętra zniesiono na dół i stopniowo odnajdywali się pacjenci. Kilku brakowało. Byli w ogrodzie albo jeszcze dalej, w lesie czy gdzieś indziej.

Flurschütz w asyście pielęgniarza udał się na poszukiwanie. Jednym z pierwszych, których odkryli poza ogrodem, był Gödicke; nie odszedł daleko, stał na stoku góry, który wybrał sobie na punkt widokowy, i unosił obie kule ku niebu.

Można by było sądzić, że wydaje radosne okrzyki.

I rzeczywiście: podszedłszy bliżej usłyszeli, jak się śmiał, tym ryczącym, zwierzęcym śmiechem, na który cały szpital czekał już od miesiący.

Nie zwracał uwagi na tych dwóch, którzy wołali do niego, a gdy się zbliżyli i zamierzali go zabrać, zamachał groźnie kulami.

Flurschütz był dość bezradny: – Ależ, Gödicke, niechże pan idzie...

Gödicke wskazał kulami płomień w oddali i ryknął zachwycony: – Sąd Ostateczny... trzeciego dnia zmartwychwstał... trzeciego dnia zmartwychwstał... kto nie zmartwychwstanie, pójdzie do piekła... diabli porwą was wszystkich... wszystkich porwą was teraz...

Co było robić! Ale skoro już jakiś czas naprzyglądali mu się, pielęgniarz wpadł na właściwe słowa: – Ludwig, przerwa obiadowa, złaż z rusztowania.

Gödicke umilkł; spoglądał nieufnie znad swojej brody, lecz w końcu pokuśtykał z nimi.

Zdyszany i drżący Huguenau przemierzył ogród i dotarł do drukarni. W pierwszej chwili nie wiedział, co go tu sprowadziło. Potem pojął: Maszyna drukarska! Wszedł do środka. Ciemne pomieszczenie było migotliwie oświetlone z zewnątrz i tchnęło odświętnym porządkiem. Huguenau, z karabinem między nogami, usiadł naprzeciw maszyny. Był rozczarowany; maszyna nie zasługiwała na jego wysiłek – stała sobie zimna i nieporuszona, rzucając jedynie niespokojne cienie, które były mu niemiłe. Jeśli banda złoczyńców rzeczywiście przyjdzie, to parszywej maszynie należy się w gruncie rzeczy, żeby ją porozbijać. Chociaż jest to piękna maszynka... kładzie na niej ręce, złości się, że żelazo jest w dotyku takie zimne. *Merde*, czym tu się złościć! Huguenau wzrusza ramionami, patrzy na podwórze, na siedlisko niedzielnego kaznodziei po drugiej stronie. Czy w najbliższą niedzielę Esch znowu będzie głosić kazanie? *Hâissez les ennemis de la sainte religion*. Klesza hołota. Puste cztery ściany, oto ich sprawa... co taki ma do stracenia! Należałoby mu pogruchotać kości. Nie ma żadnych zmartwień... w niedzielę palnąć kazanko, a teraz siedzi sobie na górze przy swojej babie, pocieszają się nawzajem, tymczasem człowiek musi tu siedzieć przy parszywej maszynie.

Ponownie zapomina, czemu tu przyszedł. Huguenau opiera karabin o maszynę. Na podwórzu coś czuć: znowu zalatuje go zapach wędzarni. Dzisiaj pewnie nici z kolacji... no, na górze coś już tam będzie – Esch nie da się zagłodzić.

Stając na górze w sieni przeraża się, ponieważ drzwi do jego pokoju są wyrwane z zawiasów. Coś tu jest nie po kolei. Drzwi są poza tym zaklinowane, z dużym trudem udaje mu się je otworzyć, a w pokoju panuje jeszcze większe spustoszenie: lustro nie wisi już nad umywalnią, tylko leży na potłuczonych naczyniach. Niezrozumiale i niepokojąco przypomina to ułamki kości. Huguenau siada na kanapie, chciałby wytłumaczyć sobie tę historię, ale nie chce mu się zastanawiać... niechby ktoś przyszedł, wszystko mu po kolei wyjaśnił i uspokoił go... pogłaskał po głowie.

Raptem przychodzi mu na myśl, że i tak musi zawołać panią Esch, pokazać jej szkody... w przeciwnym razie jeszcze w końcu jego zrobi za nie odpowiedzialnym... on ani myśli płacić za szkody, których nie wyrządził. Ale właśnie gdy chce ją zawołać, ona, która usłyszała, że przyszedł, wpada do pokoju: – Gdzie jest mój mąż?

Na widok znajomej twarzy Huguenau ogarnęło błogie i podniecające uspokojenie. Uśmiechnął się do niej przyjaźnie i serdecznie: – Matko Esch... – wręcz promieniał... wszystko już będzie dobrze, niechże ona położy mnie do łóżka...

Ona jednak zdawała się go w ogóle nie dostrzegać: – Gdzie jest mój mąż? – Głupie pytanie mieszało mu szyki – czego ta kobieta chciała teraz od Escha? jeśli go nie ma, to przecież bardzo dobrze... odpowiedział szorstko: – Skąd ja mogę wiedzieć, gdzie go nosi, na pewno przyjdzie na kolację.

Ona chyba wcale tego nie słyszała, bo podeszła do niego, chwyciła go za barki; zgoła wrzasnęła na niego: – Poleciał, poleciał z pukawką... słyszałam, jak strzelali!

Zaświtała nadzieja: Esch został zastrzelony! Ale w takim razie dlaczego ta kobieta miała taki żaloszny głos? Dlaczego zachowywała się niestosownie? On chciał zaznać od niej spokoju, a zamiast tego sam miał ją uspokajać, i to w dodatku z powodu Escha! Nadal pytała błagalnie: – Gdzie on jest? – i nadal nie puszczała jego barków. Zakłopotany i zarazem zły począł głaskać jej grube ramiona, jakby miał do czynienia z płaczącym dzieckiem, rad byłby nawet zrobić jej coś dobrego, przesuwając dłońmi w dół i w górę, jednak jego usta wypowiadały niemiłe słowa: – Czemu pani tak lamentuje za Eschem? Pani też nie ma już dość patrona?... przecież ja jestem tutaj przy pani... – a mówiąc tak sam dopiero zmiarkował, że żąda od niej

czegoś grubszego kalibru... jakby w charakterze namiastki tego, co mu pozostawała dłużna. Teraz i ona poczuła, do czego to zmierzało: – Panie Huguenau, na miłość boską, panie Huguenau... – Ale od razu prawie bezwolna, pod jego sapiącym naporem już mu się nie opierała. Jak skazaniec, który sam pomaga katowi, rozpięła mu spodnie i on między jej szeroko rozwartymi i uniesionymi wysoko udami bez pocałunku zwałił się z nią na kanapę.

Jej pierwsze słowa po tym: – Niech pan ratuje mego męża! – Huguenauowi było to obojętne; teraz niech on sobie żyje, jak długo zechce. Jednakże ona w następnej chwili narobiła przeraźliwego krzyku: okno nagle zajaśniało krwistoczerwono, wzbily się w górę pomarańczowożółte snopy iskier, płonął ratusz. Osunęła się na ziemię, bezkształtna masa... to ona, ona była wszystkiemu winna: – Jezus Maria, co ja zrobiłam, co ja zrobiłam... – poczołgała się ku niemu: ... niech go pan ratuje, niech go pan ratuje... – Huguenau podszedł do okna. Był skwaszony; teraz zaczęło się i tutaj. Już tego za miastem miał dosyć, po dziurki w nosie. I czego chciała od niego ta baba? odpowiedzialny był ostatecznie Esch... niech się tam usmaży razem z majorem, święci zawsze się smażyli. I teraz będzie jeszcze plądrowanie... a on znów zapomniał zamknąć drukarnię na klucz... skorzystał z okazji, żeby wynieść się w dobrym stylu: – Rozejrzę się za nim. – Gdyby spotkał teraz Escha, pomyślał wychodząc, zrzuciłby go ze schodów.

W drukarni jednak po starym wszystkim było w porządku. Karabin stał tam oparty, a maszyna rzucała swoje niespokojne cienie. Z ratusza strzelały w niebo czerwone, czarne, żółte, pomarańczowe snopy iskier, podczas gdy koszary i magazyny wciąż jeszcze dymiły brudno-brązowo. Drzewa owocowe uparcie wyciągały w górę puste gałęzie. Huguenau obserwował spektakl i naraz doszedł do przekonania, że było jak należy... wszystko było jak należy, doprowadzone do porządku, on sam odzyskał siebie i swą jasną trzeźwość... teraz trzeba już tylko postawić kropkę nad i, a wszystko będzie dobrze.

Po cichu wszedł z powrotem na górę, ostrożnie zajrzał do spustoszonej kuchni, podkraść się do pudła na chleb, ukroił sobie grupą pajdę, a że nie znalazł nic poza tym, wrócił do drukarni, usiadł sobie wygodnie, wziął karabin między wyprostowane nogi i zaczął powoli jeść... z rabusiami człowiek jakoś już sobie poradzi.

Esch i żołnierze klęczeli przy majorze. Chcieli go ocucić i nacierali mu piersi i dłonie mokrą trawą. Gdy wreszcie otworzył oczy, poruszali jego rękoma i nogami i okazało się, że nic nie było złamane. Ale nie odpowiadał na żadne wołanie, leżał jak kłoda, tylko dłonie były niespokojne, chwyciły wilgotną ziemię, ryły ją, szukały grud, kruszyły je.

Było jasne, że trzeba go jak najprędzej stąd zabrać. Nie można było wezwać pomocy z miasta; musieli zatem poradzić sobie sami. Ranny podoficer tymczasem na tyle doszedł do siebie, że mógł siedzieć – można więc było na trochę zostawić go samego i postanowili przede wszystkim zanieść majora przez pola na posesję Escha; drogą byłoby to zbyt niebezpieczne.

Gdy akurat naradzali się, jak będzie najlepiej go wziąć, wydało się, że major chce coś powiedzieć: z grudką ziemi w palcach unosił dłoń, wargi otwierały się i wysuwały naprzód, ale dłoń raz za razem opadała z powrotem i nie rozlegał się żaden dźwięk. Esch przysunął ucho do ust majora i czekał; w końcu zrozumiał: – Koń się przewrócił... łatwa przeszkoda, mimo to się przewrócił... złamał sobie prawą przednią nogę... sam go zastrzele... niehonorowy postępek zmazuje się kulą... – a potem, wyraźniej i jakby dopraszając się aprobaty: ... kulą, nie bronią nierycerską... – Co on mówi? – zapytał żołnierz. Esch odparł cicho: – Myśli, że spadł z konia... ale już idziemy... gdyby tylko niebyło tak piekielnie jasno... w każdym razie bierzemy karabiny.

Major z powrotem zamknął oczy. Dźwignęli go ostrożnie i ponieśli, często odpoczywając i zamieniając się miejscami, przez mokre od deszczu, rozmiękłe pola, których ziemia czepiała się butów ciężko i lepko. Raz major otworzył oczy, zobaczył pożar w mieście i patrząc

Eschowi prosto w oczy zakomenderował: – Gaz... miotacze płomieni... gasić... – Potem znów zapadł w letargiczny sen.

Dotarłszy na swoją posesję Esch odprawił żołnierza: niech szybko wraca do swojego kolegi, on sam przyjdzie później, a do wniesienia majora znajdzie już pomoc tutaj. Położyli go na razie na ławce koło altany. Gdy jednak żołnierz się oddalił, Esch wszedł po cichu do domu, oparł karabin o ścianę sieni i otworzył drzwi spustowe do schodów piwnicznych. Potem wziął majora na plecy i zniósł do piwnicy, człapiąc ostrożnie po schodach, a na dole ułożył go na stercie ziemniaków, przezornie nakrywając ją kocem. Zapalił lampę naftową, umocowaną do brudnego muru, deskami i szmatami uszczelnił okienko piwniczne, żeby światło nie przenikało na zewnątrz. W końcu nabazgrał kartkę, którą wetknął majorowi między złożone dłonie: „Panie majorze! W wypadku samochodowym stracił pan przytomność. Ja zaraz wracam. Z poważaniem Esch”. Raz jeszcze przyjrzał się lampie, czy dosyć jest w niej nafty; być może on nie przyjdzie tak prędko. Do drzwi piwnicznych prowadziły trzy stopnie; Esch, zanim otworzył, odwrócił się jeszcze raz, wręcz z ociąganiem spojrzawszy na niskie sklepienie i leżącego pod nim nieruchomo człowieka: gdyby nie swąd nafty, można by było pomyśleć, że to chłodny grobowiec.

Pomału wyszedł do sieni. Tam jeszcze chwilę nasłuchiwał z uchem ku górze. Nic się nie ruszało... no, żona pewnie się już uspokoiła; ranny za miastem był teraz ważniejszy. Zarzucił karabin na ramię i wyszedł na ulicę.

Lecz myślami przebywał przy człowieku, który leżał w piwnicy, z lampą naftową u wezgłowia. Kiedy światło zgaśnie, wybawiciel będzie blisko. Światło musi zgasnąć, żeby można było liczyć czas.

Huguenau właśnie uporał się z chlebem i rozmyślał, jak by tu zdobyć jeszcze coś do jedzenia, gdy w ostrym świetle na dworze dostrzegł jakąś postać w ogrodzie. Sięgnął po karabin, ale w tej samej chwili poznał, że był to nie kto inny tylko Esch i że Esch niósł na plecach jakby worek. A więc szanowny pastor przystał nawet do rabusiów! Nie byłoby to nic dziwnego, cóż, zaraz się okaże, i czekał zaciekawiony, aż tamten podejdzie z ciężarem bliżej. Kroki Escha człapały powoli i ciężko przez podwórze, długo to trwało, nim ukazał się za oknem. Ale potem Huguenau wręcz zatkało – Esch taszczył człowieka! Esch taszczył majora! Pomyłka była wykluczona, to majora taszczył Esch. Huguenau na palcach podkraść się do drzwi, wysunął głowę przez szparę – ani chybi to był major – i widział, jak Esch znika ze swoim ciężarem w piwnicy.

Huguenau był nadzwyczaj ciekaw, jak dalej potoczą się sprawy. I gdy Esch znów się wyłonił i wyszedł na ulicę, Huguenau zarzucił karabin na ramię i podążył za nim w należytej odległości.

Ulice, które prowadziły w stronę ratusza, były skąpane w jaskrawym blasku, domy w przecznicach rzucały ostre, drżące cienie. Nie widać było żywej duszy. Wszyscy popędzili na rynek, skąd dochodził przytłumiony hałas. Huguenau nie mógł nie pomyśleć o tym, że w wyludnionych uliczkach każdy mógłby rabować do woli; i gdyby on sam wdarł się do jakiegoś domu i wyniósł, co mu się żywnie spodobało, nikt by mu w tym nie przeszkodził – wszelako cóż wielkiego dałoby się wynieść z takiej rudery i przyszło mu na myśl powiedzenie „grubsza zwierzyna”. Esch skręcił na najbliższym rogu; nie szedł więc do ratusza, obłudny łajdak. Przemknęło dwóch chłopaków; Huguenau wziął karabin w ręce, gotów uderzyć. Z bocznej uliczki wyłonił się chwiejnym krokiem mężczyzna prowadzący rower: lewą kurczowo ścisnął kierownicę, prawa zwisała, jakby złamana, niczym worek; Huguenau patrzył ze zgrozą na rozbitą, zmiażdżoną twarz już tylko z jednym okiem, które nie widząc spoglądało w przestrzeń. Starając się jedynie przytrzymać rower, jakby chciał wziąć go na tamten świat, pobity przeczłapał chybotliwie. Cios kolbą w twarz, powiedział sobie Huguenau i mocniej chwycił karabin. Z bramy wyskoczył pies, węsząc ruszył śladem

popbitego, zlizywał skapującą krew. Escha nie było teraz widać, Huguenau przyspieszył kroku. Na następnym skrzyżowaniu znów zobaczył przed sobą połyskiwanie bagnetu. Podążył za nim szybciej. Esch maszerował prosto przed siebie, nie patrzył ani w prawo, ani w lewo, nawet płonący ratusz zdawał się nie zwracać jego uwagi. Jego kroki nie rozbrzmiewały już na wyboistym bruku, bo tu, z dala od śródmieścia, nie było żadnego bruku, i teraz skręcił w ulicę biegnącą wzdłuż miejskich murów. Huguenau pchało coś do przodu; był teraz jakieś dwadzieścia kroków za Eschem, który spokojnie szedł przed siebie: czy ma go zabić kolbą? nie, to byłoby bez sensu, trzeba przecież postawić kropkę nad i. I raptem jakby doznał olśnienia – opuszcza karabin, paroma kocimi susami rodem z tanga jest przy Eschu i wbija mu bagnet w kościste plecy. Esch, ku zdziwieniu mordercy, spokojnie idzie jeszcze parę kroków, po czym w milczeniu pada na twarz.

Huguenau stoi koło zabitego. Stopą dotyka dłoni, która leży na koleinie w tłustym ulicznym brudzie. Czy ma nastąpić na nią? Niewątpliwie Esch nie żyje. Huguenau był mu wdzięczny – wszystko poszło dobrze! Kucnął i popatrzył na zwróconą na bok, obsypaną świeżym zarostem twarz. Nie znalazłszy w niej budzącego obawy ironicznego rysu był zadowolony i życzliwie, wręcz czule poklepał trupa po ramieniu.

Wszystko poszło dobrze.

Zamienił karabiny, swój własny, zakrwawiony zostawił przy zabitym, w takim dniu chyba zbyt ostrożność, ale on lubił, żeby wszystko było jak trzeba. A następnie udał się w drogę do domu. Mury miejskie były jasno oświetlone przez ratusz, drzewa zaznaczały na nich swoje cienie, z dachu ratusza wystrzelił ostatni pomarańczowożółty snop iskier – Huguenau nieodparcie przypomniał sobie mężczyznę z kolmarskiego obrazu, który unosił się w górę ku rozwartemu niebu, najchętniej uściskałby mu podniesioną prawicę, tak było mu lekko i wesoło na duszy – po czym wieża ratuszowa runęła i pożar przygasł w brązowej czerwieni.

Na poły zrujnowany „Dom w Różach” stał wciąż jeszcze pozbawiony światła i milczący w nocnym wietrze, jaki wiał tu na górze.

W kuchni nic się nie zmieniło. W odrętwiałym bezruchu nadal trwało tam sześć osób, nadal siedziało nieruchomo, może jeszcze bardziej nieporuszenie niż przedtem, przytwierdzonych i spętanych drutami czekania. Nie spali i nie czuwali, nie wiedzieli też, jak długo trwa już ten stan. Tylko chłopiec drzemał. Z ramion Hanny zsunęła się kołdra, Hanna nie zmarzła. Raz powiedziała w ciszy: – Musimy to przeczekać – ale tamci chyba tego nie usłyszeli. A przecież nasłuchiwali, nasłuchiwali pustki, nasłuchiwali głosów, które docierały z zewnątrz. I jeśli w uszach Hanny raz po raz brzmiało: „wdzieranie się od dołu”, a ona nie umiała już powiązać z tym jakiegoś sensu, bezsensowne słowa, bezsensowny dźwięk, to jednak nasłuchiwała, czy tam na zewnątrz nie wołano tych bezsensownych słów. Z kranu kapąło jednostajnie. Żadna z sześciu osób nie ruszała się. Może inni też słyszeli wołanie o wdzieraniu, bo mimo dużych różnic społecznych, mimo izolacji i niepowiązania wszyscy stali się całością, wszystkich ich otoczyło zaczarowane koło, łańcuch, którego ogniwami byli oni sami i którego bez poważnego uszczerbku nie można było przerwać. I przez to zaczarowanie, przez ten wspólny trans staje się zrozumiałe, że dla Hanny wołanie o wdzieraniu się było coraz wyraźniejsze, tak wyraźne, jak nigdy nie mogłaby go usłyszeć swymi cielesnymi uszami; wołanie dochodziło jakby niesione siłą wspólnego nasłuchiwania, płynęło z nurtem siły, która jednak była siłą bezsilną, siłą samego wchłaniania i słuchania, a wołanie było bardzo mocne, głos coraz bardziej potężniał i przypominał szumiący wiatr, który wiał na zewnątrz. Pies skamlał w ogrodzie, kilka razy zaszczekał. Potem zamilkł i pies, a ona słyszy już tylko głos. I głos jej rozkazał: Hanna podnosi się, wstaje, pozostali zdają się tego nie zauważać, nie zauważają też, jak otwiera drzwi i wychodzi z kuchni; idzie boso, ale nie wie o tym. Jej bose stopy idą po betonie, to był korytarz, idą po pięciu kamiennych stopniach, idą po linoleum, to był pokój kredensowy, idą po parkiecie i dywanach, to był hol, idą po bardzo

suchej macie kokosowej, po odłamkach dachówek, po bruku ogrodowej alejki. W tym prostym jak strzała chodzeniu, które należałoby nazwać wręcz kroczeniem, jedynie stopy znają drogę, bo oczy znają tylko cel – i gdy Hanna wychodzi przed drzwi, widzi go zaraz, widzi cel! na końcu bardzo wydłużonej brukowanej alejki, na końcu bardzo długiego mostu, tam, w połowie przesadziwszy plot, włamywacz, mężczyzna, tam, wdrapał się na balustradę mostu – mężczyzna w szarym więziennym ubraniu, szara kamienna bryła, tam zawisł. I nie rusza się. Z wyciągniętymi rękami Hanna wchodzi na most, upuszcza kołdrę, nocna koszula wydyma się na wietrze, i tak ona kroczy ku nieruchomemu mężczyźnie. Ale czy to dlatego, że ludzie w kuchni spostrzegli jednak jej wyjście, czy dlatego, że pociągnął ich magiczny łańcuch, podąża za nią ogrodnik, podąża pokojówka, podąża kucharka, podąża żona ogrodnika i choć bardzo słabo, zdławionymi głosami, wołają swoją panią.

To chyba osobliwość tej procesji, prowadzonej przez białą damę w widmowych szatach, zjeżyła włamywaczowi włosy na głowie i tak bardzo go sparaliżowała, że nader trudno było mu cofnąć nogę przerzuconą na drugą stronę. A gdy już ją cofnął, to jeszcze przez chwilę wybałuszał oczy na upiorny widok, a potem uciekł i zniknął w ciemności.

Hanna jednak szła dalej swoją drogą, a gdy była przy płocie, wysunęła dłonie między prętami jak przez kratę w oknie i jakby chcąc pomachać komuś odchodzącemu. Od strony miasta jaśniał pożar, ale wybuchy ucichły i czar prysł. I nawet wiatr teraz ustał. Śpiąc osunęła się po kracie ogrodzenia, a ogrodnik i kucharka zanieśli ją do domu, gdzie pościelono jej w pokoju gospodarczym koło kuchni.

(W pokoju gospodarczym koło kuchni Hanna Wendling zmarła nazajutrz na ciężką grype).

Huguenau maszerował z powrotem. Przed jednym z domów stało zapłakane dziecko, na pewno nie miało więcej niż trzy lata. Gdzie też podziewa się Margerita? pomyślał. Wziął dziecko na ręce, pokazał mu piękny fajerwerk, który promieniował znad rynku, i tak długo naśladował buchanie i syczenie płomieni, trzask belkowania, sss szszsz szszszszsztrach, aż dziecko się roześmiało. Potem zaniósł je do matki, pouczając ją, że w takich czasach nie wolno małego dziecka wypuszczać bez opieki na ulicę.

Dotarłszy do domu postawił karabin pod ścianą sieni, tak samo jak to zrobił Esch, otworzył następnie drzwi spustowe i zszedł do majora.

Major od wyjścia Escha nie zmienił pozycji; nadal spoczywał na stercie ziemniaków, z kartką między palcami, ale jego niebieskie oczy były otwarte i wpatrywały się w światło piwnicznej lampy. Nie odwrócił wzroku również wtedy, gdy wszedł Huguenau. Ten chrząknął, a że major ani się ruszył, poczuł się urażony. Czasy doprawdy nie były po temu, żeby tak długo podtrzymywać dziecinny zatarg. Przyciągnął zydeł, używany zazwyczaj do przebierania ziemniaków, i z powściągliwym ukłonem usiadł naprzeciw majora: – Panie majorze, ja rozumiem, że pan major ma powody, by nie chcieć mnie widzieć, ale w końcu wszystko idzie w niepamięć, a okoliczności mnie przecież przyznały rację, nie chciałbym też pominąć milczeniem faktu, że pan major zobaczył mnie w z gruntu fałszywym świetle; niech pan major nie zapomina, że byłem ofiarą niskiej intrygi, o zmarłych nie należy mówić źle, ale niech pan major zważy, z jakim lekceważeniem ten pastor traktował mnie od samego początku. I nigdy podzięki! pan major znajdował słówko uznania za wszystkie uroczystości, jakie urządziłem na cześć pana majora; zawsze tylko słówko, dziękuję panu – ale poza tym: trzy kroki ode mnie! Ale nie chcę być niesprawiedliwy, bo raz pan major całkiem spontanicznie podał mi rękę, wtedy, jak było poświęcenie Żelaznego Bismarcka: widzi pan, panie majorze, że dobrze zapamiętałem każdą uprzejmość pana majora, ale nawet wtedy miał pan major ironiczny rys wokół ust, gdyby pan wiedział, jak nienawidziłem, kiedy Esch tak się szydlerczo uśmiechał! zawsze byłem wyłączony, jeśli wolno mi się tak wyrazić. A dlaczego? Tylko dlatego że nie należałem od samego początku do tego układu... byłem, że tak powiem,

nietutejszy, przybłąda, jak lubił mawiać Esch, ale to nie powód, żeby mnie wyszydzać i odsuwać; ja zawsze miałem kucać, to też jego wyrażenie – zawsze miałem kucać, żeby ten pan pastor mógł podnosić głowę i pysznić się przed panem majorem. Ja to dobrze rozumiałem, pan major może być pewny, że to człowiekowi ubliża; a także aluzje pana majora, że ja mam być „zły”, o tak, bardzo dobrze je rozumiałem, pan major chyba sobie przypomina, cały wieczór mówił pan o złu, nic dziwnego, jeśli człowiek, któremu się to mówi, w końcu rzeczywiście stałby się zły; przynajmniej, że faktycznie na to wyglądało i że pan major być może nazwie mnie dzisiaj szantażystą albo mordercą, ale mimo wszystko to tylko tak wygląda; w rzeczywistości wszystko przedstawia się inaczej, tylko nie można tego, że tak powiem, precyzyjnie wyrazić; a pan major prawdopodobnie nie jest wcale zainteresowany tym, żeby wiedzieć, jak jest naprawdę. Cóż, pan major dużo też wtedy mówił o miłości i od tego czasu Esch w kółko bajdurzył o miłości – rzygać się chciało na to jego bajdurzenie, ale jak się mówi wciąż o miłości, to powinno się przynajmniej chcieć zrozumieć drugiego, proszę, panie majorze, ja naturalnie wiem, że nie mogę tego żądać i że człowiek o takiej pozycji jak pan major nie pozwoli sobie na takie uczucia wobec kogoś, kto jak ja jest zwyczajnym dezertorem, chociaż pozwolę sobie nadmieniwać, że Esch nie był czymś dużo lepszym ode mnie... nie wiem, czy pan major dobrze rozumie, co mam na myśli, ale proszę pana majora o cierpliwość...

Przecierając szkła okularów patrzył na majora, który wciąż jeszcze nie wydał dźwięku i ani się ruszył: – Usilnie proszę pana majora, by nie sądził, że ja przetrzymuję go w tej piwnicy, żeby pana majora zmusić do wysłuchania mnie; na zewnątrz dzieją się rzeczy straszne i jak pan major wyjdzie na ulicę, to pana majora powieszają na latarni. Jutro pan major będzie mógł się o tym sam przekonać, tylko na miłość boską niech mi pan raz zaufa...

Tak Huguenau przemawiał do żywej nieruchomej kukły, aż wreszcie spostrzegł, że major go nie słyszy. Ale wciąż jeszcze nie chciał w to wierzyć: – Przepraszam, pan major jest zmęczony, a ja gadam. Przyniosę coś do jedzenia.

Szparko pomknął na górę. Pani Esch siedziała skulona na kuchennym krześle i płakała spazmatycznie. Na jego widok zerwała się: – Gdzie jest mój mąż?

– Czuje się dobrze, niedługo przyjdzie. Ma pani coś do jedzenia? Potrzebuję dla rannego.

– Mój mąż jest ranny?

– Nie! Mówiłem pani, że niedługo przyjdzie. Niech mi pani da coś do jedzenia, może pani zrobić omlęt; nie, to będzie za długo trwało...

Poszedł do pokoju; na stole leżała tam kiełbasa. Wziął ją bez pytania, włożył między dwie kromki chleba. Pani Esch pospieszyła za nim, wrzasnęła przerażona: – Niech pan to zostawi, to dla mojego męża!

Huguenau miał niemiłe uczucie, że nieboszczykowi nie wolno nic zabierać, może też zjedzenie posiłku zmarłego przyniosłoby majorowi nieszczęście. Zresztą kiełbasa chyba i tak nie była dla niego wskazana. Pomyślał chwilę: – Dobra, ale mleko pewnie pani ma... zawsze ma pani w domu mleko.

Tak, miała mleko. Huguenau napełnił garnuszek z dzióbkiem i ostrożnie zaniósł go na dół.

– Panie majorze, mleko, pyszne, świeże, zdrowe mleko! – zawołał rześkim głosem.

Major nie poruszył się. Widać mleko też nie było tym, co trzeba; Huguenau zżymnął się: Może raczej powinienem mu przynieść wina? to by go postawiło na nogi i pokrzepiło... wydaje się bardzo słaby... no, mimo wszystko spróbujemy! I Huguenau pochylił się, uniół głowę starego, który bezwolnie i bezsilnie godził się na to, a nawet posłusznie otworzył usta, gdy Huguenau przystawił do nich dzióbek garnuszka. A gdy major zaczął sączyć i łykać powoli płynące mleko, Huguenau był szczęśliwy. Pomknął na górę, żeby przynieść drugi garnuszek; przy drzwiach obejrzał się, zobaczył, że major obrócił głowę, żeby widzieć, dokąd on idzie, i przyjaźnie kiwając głową skinął ręką: – Zaraz wracam. – A gdy wrócił, major nadal

spoglądał na drzwi piwnicy i lekko uśmiechał się, a raczej śmiał się do niego. Ale wypił już tylko parę kropel. Chwycił Huguenaua za palec i zasnął.

Huguenau siedział trzymany przez majora za palec. Przeczytał kartkę leżącą jeszcze na brzuchu majora i schował ten dowód rzeczowy. Naturalnie nie będzie go potrzebował, bo gdyby znalazł się w opałach, odpowiedziałby w każdym razie, że to Esch przekazał mu majora; bądź co bądź ostrożność nie zawadzi. Co jakiś czas próbował delikatnie uwolnić palec, ale wtedy major się budził, uśmiechał leciutko i nie wypuszczając palca znów zasypiał. Zydell był bardzo twardy i niewygodny. Tak spędzili resztę nocy.

Nad ranem Huguenau zdołał się uwolnić. To nie bagatela przesiedzieć całą noc na zydle.

Wyszedł na ulicę. Było jeszcze ciemno. Miasto zdawało się spokojne. Podążył na rynek. Ratusz, wypalony do fundamentów, tlił się dymiąc. Wojsko i straż pożarna wystawiły posterunki. Ogień ogarnął również dwie kamienice w rynku, sprzęty domowe leżały przed nimi na kupie bez ładu i składu. Co pewien czas uruchamiano sikawkę, aby gasić buchające na nowo płomienie. Huguenau zwrócił uwagę, że także ludzie w więziennych ubraniach pomagali przy sikawce i z zapalem pracowali przy odgruzowywaniu. Zagadnął mężczyznę, który podobnie jak on miał zieloną opaskę, spytał, co tu się jeszcze wydarzyło, bo on sam był zajęty gdzie indziej. Mężczyzna chętnie opowiedział: cóż, właściwie wraz z runięciem ratusza wszystko się skończyło. Ludzie, swoi i wrogowie, stali skonsternowani wokół ogniska pożaru i mieli pełne ręce roboty, żeby uchronić sąsiednie domy. Paru drani próbowało co prawda wdzierać się do domów, ale na krzyk kobiet na rabusiów rzucili się nawet ich własni towarzysze. Kilku przy tym zdrowo oberwało, ale to było potrzebne, żeby już nikt nie myślał o rabunku. Akurat teraz zabrali rannych do szpitala – był najwyższy czas, bo lamentowali tak, że nie dało się tego słuchać. Oczywiście telefonowano zaraz do Trewiru; ale tam naturalnie też panuje zamęt i dopiero teraz, jak już jest po wszystkim, przyjechały dwa samochody żołnierzy. Poza tym mówią, że podobno komendant miasta zaginął...

O komendanta nie ma się co martwić, odparł Huguenau, bo to on sam się nim zajął; w rzeczy samej major był w kiepskim stanie, jemu właściwie należałby się medal za uratowanie, bo stary jest teraz pod dobrą opieką i, jak się rzekło, uratowany.

Zasalutował przykładając palec do kapelusza, zrobił w tył zwrot i potruczał do lazaretu.

Nie od razu dało się znaleźć Kuhlenbecka, ale nadszedł wkrótce i ujrawszy Huguenaua krzyknął na niego: – Czego pan chce, panie pajac?

Huguenau przybrał swą najbardziej obrażoną minę: – Panie komendancie, mam obowiązek zameldować panu, że pan Esch i ja musieliśmy dziś w nocy ukryć u siebie komendanta miasta, który jest ciężko ranny... zechce pan spowodować, żeby go zaraz zabrano.

Kuhlenbeck podbiegł do drzwi: – Doktorze Flurschütz! – huknął na cały korytarz. Przyszedł Flurschütz. – Weźmie pan auto – wozy są teraz na miejscu?

– i pojedzie z dwoma sanitariuszami do gazeciarni... wie pan, gdzie... a pan – prychnął na Huguenaua – zabierze się z nimi. – Potem jakby się udobruchał; podał nawet Huguenauowi rękę i powiedział: – Toście się dzielnie nim zajęli...

Gdy zeszli do piwnicy, major nadal spokojnie drzemał na swojej stercie ziemniaków i drzemiącego wynieśli do samochodu. Huguenau tymczasem pomknął do redakcji. Nie było tam dużej gotówki, tylko kasa podręczna i znaczki, resztę, jeśli nie przekazał jej na konto w banku w Kolonii, nosił przy sobie; lecz znaczków też byłoby szkoda... nie wiadomo, co się jeszcze zdarzy... może jednak dojdzie jeszcze do rabunków! Kiedy wrócił, major był już zainstalowany, parę osób stało wokół auta, pytało, co zaszło, a Flurschütz szykował się właśnie do odjazdu. Huguenau był jak uderzony obuchem: chcieli zabrać majora bez niego! I nagle uprzytomnił sobie, że on sam pod żadnym pozorem nie może tu zostać – nie miał najmniejszej ochoty być przy tym, jak przyniosą Escha.

– Natychmiast przychodzę, panie doktorze, natychmiast!

– Jak to? To chce pan jechać z nami?

– Oczywiście, przecież muszę jeszcze podać całą sprawę do protokołu... proszę, tylko chwilę.

Rzucił się na górę. Pani Esch klęczała teraz w kuchni i modliła się. Gdy Huguenau ukazał się w odrzwiach, podsunęła się na kolanach. On jednak nie słuchał jej nawoływań, tylko skoczył do swego pokoju, ze swoich rzeczy – nie było ich dużo – chwycił, co popadło, wepchnął do fibrowej walizeczki, usiadł na niej, żeby zamek się zatrzasnął, po czym pomknął z powrotem. – Gotowe – rzucił szoferowi i odjechali.

Kuhlenbeck stał już przed bramą szpitala, z zegarkiem w ręce: – Więc co jest?

Flurschütz, który wysiadł pierwszy, popatrzył na majora z lekka przekrwionymi oczyma: – Może wstrząs mózgu, może coś gorszego...

Kuhlenbeck odrzekł: – U nas już i tak jest istny dom wariatów... i coś takiego nazywa się lazaretem... no, zobaczmy...

Major, który podczas jazdy spoglądał raz po raz w białawe poranne niebo, teraz przebudził się całkowicie. Gdy go wyjmowano z auta, zaczął zachowywać się niespokojnie; rzucał się to tu, to tam i widać było, że czegoś szuka. Podszedł Kuhlenbeck i pochylił się nad nim: – Co to za historie pan nam wyprawia, panie majorze?

Wówczas major dostał prawdziwego szału. Czy to dlatego, że poznał Kuhlenbecka, czy dlatego, że nie poznał, złapał go za brodę, szarpał nią gniewnie, szczyrzył zęby, trzeba było wielkiego trudu, żeby go poskromić. Ale uspokoił się natychmiast, gdy do noszy podszedł Huguenau. Major znów wziął go za palec, Huguenau musiał iść obok noszy, major pozwalał się badać tylko wtedy, gdy tuż przy nim był Huguenau.

Kuhlenbeck zresztą bardzo prędko przerwał badanie: – To nie ma sensu – powiedział – damy mu zastrzyk, a potem musimy go odesłać... i tak zostaniemy ewakuowani... więc jak najprędzej odesłać go do Kolonii... ale jak?... wszyscy są mi tutaj potrzebni, rozkaz ewakuacji może przyjść w każdej chwili...

Zgłosił się Huguenau: – Może ja mógłbym zawieźć pana majora do Kolonii... jako, jeśli wolno mi się tak wyrazić, ochotniczy sanitariusz... panowie przecież widzą, że pan major jest zadowolony z mojej opieki.

Kuhlenbeck zastanawiał się: – Popołudniowym pociągiem?... nie, to jest teraz zbyt niebezpieczne...

Flurschütz miał pomysł: – Dzisiaj musi przecież pójść ciężarówka do Kolonii... nie można by tego jakoś załatwić?

– Dzisiaj można wszystko – odrzekł Kuhlenbeck.

– To ja bym prosił o rozkaz wyjazdu do Kolonii – powiedział Huguenau.

I tak doszło do tego, że Huguenau, wyposażony w prawdziwe dokumenty wojskowe, z opaską Czerwonego Krzyża na rękawie, którą wyprosił od siostry Matyldy, oficjalnie dostał majora pod swoją opiekę i zawiózł go do Kolonii. Nosze wstawiono na ciężarówkę, Huguenau usiadł obok na swojej fibrowej walizeczce, major chwycił jego dłoń i już jej nie puścił. Później Huguenaua zmogło zmęczenie. Ułożył się, jak się dało, koło noszy, walizeczkę wsunął pod głowę i spoczywając obok siebie, z dłonią w dłoni, spali jak dwaj przyjaciele. Tak dojechali do Kolonii.

Huguenau przepisowo odstawił majora do szpitala, czekał cierpliwie przy jego łóżku, aż zastrzyk zażegna niebezpieczeństwo ponownego wybuchu, a potem mógł się wymknąć. Ale w komendzie szpitala uzyskał wojskowy bilet na przejazd w swe rodzinne, kolmarskie strony. Nazajutrz rano podjął w banku resztę pieniędzy „Gońca Elektorskiego” i następnego dnia wyjechał. Jego wojenna odyseja, piękny czas wakacji, dobiegła końca. Było 5 listopada.

Historia dziewczyny z Armii Zbawienia w Berlinie (16)

Kto potrafi być radośniejszy aniżeli człowiek chory? Nic go nie zmusza, by stawał do walki o byt, wolno mu nawet umrzeć. Nie jest zmuszony ze zdarzeń, jakie przynosi mu dzień, wyciągać wnioski indukcyjne, aby dostosować do nich swoje postępowanie, ma prawo pozostawać zamknięty w swym własnym myśleniu – zamknięty w autonomii swej wiedzy – ma prawo myśleć dedukcyjnie, teologicznie. Kto potrafi być radośniejszy aniżeli ten, co ma prawo myśleć swoją wiarą! Czasami wychodzę z domu sam. Idę powoli, z rękami w kieszeniach, i patrzę w twarze przechodniów. Są to twarze skończone – lecz często, ba, właściwie zawsze udaje mi się dostrzec w nich nieskończone. Są to poniekąd moje indukcyjne eskapady. To, że w trakcie tych wędrówek, które zresztą nie prowadzą mnie nazbyt daleko – tylko raz dotarłem do Schönebergu, ale bardzo mnie to zmęczyło – nigdy nie spotkałem Marii, że pośród twarzy nie pojawiła się nigdy jej twarz, że tak zupełnie znikła mi z oczu, nie stanowi dla mnie wielkiego rozczarowania, bo ona zawsze była przygotowana na to, że wysłą ją z misją gdzieś indziej, i pewnie to nastąpiło. Teraz jestem radosny również bez niej.

Dni zrobiły się krótkie. A że prąd elektryczny jest kosztowny, człowiek zamknięty zaś we własnej autonomii może z łatwością obyć się bez tego światła, mam długie noce. Nuchem wtedy często siedzi u mnie. Siedzi w ciemności i mówi niewiele. Myśli pewnie o Marii, lecz nigdy jej nie wspomina.

Raz powiedział: – Teraz wojna się skończy.

– Tak – przyznałem.

– Teraz będzie rewolucja – powiedział dalej.

Miałem nadzieję zbić go z tropu: – Wtedy zniosą religię.

Słyszałem, jak bezgłośnie zaśmiał się w ciemności: – Jest to napisane w pańskich książkach?

– Hegel mówi, że Bóg z nieskończonej miłości utożsamił się z obcym sobie, aby je zabić. Tak mówi Hegel... a potem nadejdzie religia absolutna.

Znowu się zaśmiał, lekki cień w ciemności: – Prawo pozostanie – powiedział.

Jego opór był niewzruszony; odrzekłem: – Tak, tak, wiem, pan jest Żyd Wieczny Tułacz.

Powiedział cicho: – Teraz pójdziemy do Jeruzalem.

Szeroki statku kil, niemego statku, co nigdzie nie zawija,
Ciężką bruzdą przecina falę mgły po fali,
Co roztrzaskują się bezkresnie w nieskończonej dali
O morze snu, co wokół nas w nicości się rozbijasz,
Sny źródeł obnażonych, śnie wizji przemycanych,
Przez cię na tym statku drugie ja ścigane,
O pragnienia! straszne! – jeszcze straszniej karane
Przez prawo bezlitośnie rozbijane:
Nigdy sen nie spotkał snu innego,
Samotna noc, choć oddech twój słyszymy,
Oczekiwania tchnienie naszego,
Że z mocy laski kiedyś się zbliżymy,
Na ducha wyżyny się wspinając,
Zbliżymy, wzajem się nie zabijając.

Rozpad wartości (10)

Epilog

Wszystko poszło dobrze.

I Huguenau, wyposażony w prawdziwy bilet wojskowy, wrócił bezpłatnie w rodzinne, kolmarskie strony.

Czy popełnił morderstwo? Czy dokonał rewolucyjnego aktu? Nie musiał zastanawiać się nad tym i nie zastanawiał się. Gdyby to jednak zrobił, mógłby jedynie powiedzieć, że jego postępowanie było rozumne i że każdy z miejscowych notabli, do których ostatecznie miał prawo się zaliczać, postąpiłby nie inaczej. Bo pewna była granica między rozumnym a nierozumnym, między rzeczywistością a nierzeczywistością i Huguenau przyznałby w najlepszym razie, że w czasach mniej wojowniczych czy mniej rewolucyjnych zaniechałby tego czynu, co jednak byłoby ze szkodą. I zapewne spokojnie dodałby: – Wszystko w swoim czasie. – Lecz do tego nie doszło, bo on właśnie nigdy owego czynu nie wspomniął i nigdy już nie wspomni.

Huguenau nie wspominał owego czynu i w jeszcze dużo większym stopniu był nieświadom irracjonalności, jaka wypełniała jego postępowanie, wypełniała do tego stopnia, że można by mówić wręcz o inwazji irracjonalnego; człowiek nigdy nic nie wie o irracjonalności, która stanowi istotę jego milczącego działania, nie wie nic o „wdzieraniu się od dołu”, na jakie jest narażony, nie może nic o tym wiedzieć, gdyż w każdej chwili swojego życia znajduje się w obrębie systemu wartości, a ten system służy ni mniej, ni więcej tylko maskowaniu i okiełznaniu wszystkiego, co irracjonalne, a co przenika ziemskie, empiryczne życie: nie tylko świadomość, także irracjonalne jest, mówiąc po Kantowsku, wehikułem, który towarzyszy wszystkim kategoriom – jest to absolutność życia, które ze wszystkimi swoimi popędami, zachceniemi, emocjami biegnie obok absolutności myślenia, przy czym nie tylko sam system wartości opiera się na spontanicznym akcie stanowienia wartości, będącym aktem irracjonalnym, lecz także odczuwanie świata, jakie stoi za każdym systemem wartości, zarówno w swojej genezie, jak i w swoim byciu wymyka się wszelkiej racjonalnej oczywistości. A potężny aparat poznawczej dopuszczalności, powstały wokół rzeczy i ich powiązań, ma tę samą funkcję co nie mniej potężny aparat dopuszczalności etycznej, w której ramach obraca się ludzkie działanie; mosty rozsądku, rozpinane między brzegami, służą jedynie temu, żeby ziemskie bytowanie z jego nieuchronną irracjonalnością, z jego „złością” doprowadzić do wyższego, „rozumnego” sensu i do owej właściwie metafizycznej wartości, której dedukcyjna struktura daje człowiekowi możliwość wskazania światu, rzeczom i własnym działaniom należnego miejsca, a zarazem odnalezienia samego siebie, aby jego spojrzenie pozostało niewzruszone i niezatraczone. Nic dziwnego, że w takich okolicznościach Huguenau nic nie wiedział o swojej własnej irracjonalności.

Każdy system wartości wypływa z irracjonalnych dążeń, a przekształcenie irracjonalnego, nieważnego etycznie, ujęcia świata w absolutnie racjonalne, to właściwe i radykalne zadanie „formowania”, staje się etycznym celem każdego ponadindywidualnego systemu wartości. I żaden system nie daje sobie rady z tym zadaniem. Bo metoda racjonalnego polega zawsze tylko na zbliżaniu się, na okrążaniu, które coraz mniejszym łukiem stara się dotrzeć do

irracjonalnego, ale do niego nigdy nie dociera, obojętne, czy występuje ono pod postacią irracjonalności wewnętrznego uczucia, nieświadomości tego życia i przeżywania czy irracjonalności warunków zewnętrznych i nieskończenie wielorakiego kształtu świata – racjonalne potrafi jedynie atomizować. I jeśli lud mówi: „Człowiek bez uczuć to żaden człowiek”, to kryje się w tym jakieś zrozumienie, że istnieje niezniszczalna irracjonalna resztką, bez której nie może się obyć żaden system wartości i która chroni racjonalne przed doprawdy zgubną autonomią, przed „superracjonalnością”, będącą z perspektywy systemu być może etycznie jeszcze zdrowszą, jeszcze bardziej „złą”, jeszcze „grzeszniejszą” niż irracjonalna: jest to czysta, dialektyczna i dedukcyjna, zautonomizowana ratio, która w przeciwieństwie do podatnego na kształtowanie irracjonalnego nie dopuszcza już żadnego kształtowania i która, przez swoje zeszytnienie znosząc własną logiczność, dochodzi do logicznej granicy nieskończoności – zautonomizowany rozum jest radykalnie zły, uchyla logiczność systemu i tym samym sam system; zapoczątkowuje jego rozpad i ostateczne rozdrobnienie.

Każdy system wartości przebywa odcinek drogi, na którym wzajemne przenikanie się racjonalnego i irracjonalnego osiąga swoje maksimum, dochodzi do nasyconego stanu równowagi, w którym obustronne zło staje się nieskuteczne, niewidoczne, nieszkodliwe – czasy kulminacji i stylistycznej pełni! Bo styl danej epoki można by wręcz zdefiniować tym wzajemnym przenikaniem się: to, przez ile porów racjonalne przenika do życia, podlega temu życiu i centralnej woli wartości, kiedy nadejdzie czas kulminacji, a irracjonalne, choćby płynęło w nie wiedzieć ilu żyłach systemu, jest niejako skanalizowane, a ponadto nawet w swych najdrobniejszych odgałęzieniach przeznaczone do służby i do pobudzania centralnej woli wartości – same w sobie zarówno racjonalne, jak też irracjonalne są bezstylowe, a ściślej: wolne od stylu, jedno wolnością od stylu właściwą naturze, drugie – właściwą matematyce, ale w zespoleniu, we wzajemnym powściągnięciu, w takim powściągliwie racjonalnym życiu irracjonalnego powstaje ów fenomen, który można określić mianem właściwego stylu systemu wartości.

Lecz ten stan równowagi nie jest trwały, zawsze stanowi tylko stadium przejściowe; logika faktów popycha racjonalne ku superracjonalnemu, popycha superracjonalne ku wyznaczonej granicy nieskończoności, przygotowuje proces rozpadu wartości, rozkład całościowego systemu na układy cząstkowe, a na końcu tego procesu obok rozpiętego autonomicznego rozumu staje rozpięte autonomiczne irracjonalne życie. Na pewno rozum wdziera się również w systemy cząstkowe, ba, wiedzie je ku własnemu, autonomicznemu rozwojowi, wiedzie je ku własnej, autonomicznej nieskończoności, ale zakres rozwojowy rozumu w ramach systemu cząstkowego jest ograniczony przez daną dziedzinę. Istnieje więc myślenie specyficznie kupieckie lub specyficznie wojskowe, z których każde dąży do konsekwentnej, bezkompromisowej absolutności, z których każde tworzy odpowiedni schemat dedukcyjnej osiągalności, każde swoją „teologię”, swoją, jeśli wolno to tak nazwać, „prywatną teologię” – i dokładnie w takiej samej mierze, w jakiej tego rodzaju wojskowa czy handlowa teologia zaczyna działać, aby stworzyć pomniejszony stosownie do potrzeb organon, dokładnie w takiej samej mierze w dziedzinach cząstkowych pozostają utajone irracjonalizmy; bo również dziedziny cząstkowe są odzwierciedleniami jaźni i systemu całościowego, również one znajdują się w stanie równowagi albo do takiego stanu dążą, tak że ze względu na ową równowagę można mówić o wojskowym lub kupieckim stylu życia. Jednakże im mniejszy system, tym bardziej ograniczona jego etyczna ekspansywność, tym słabsza jego etyczna wola, tym on sam bardziej nieczuły i obojętny wobec złego, wobec superracjonalnego i irracjonalnego, które jeszcze w nim działa, tym mniejsza liczba powiązanych sił, tym większa tych, wobec których jest indyferentny i które uważa za „prywatną sprawę” jednostki: im dalej postępuje rozbitcie całościowego systemu, tym bardziej rozpięte staje się rozum świata, tym widoczniejsze, tym aktywniejsze staje się irracjonalne –

całościowy system religii czyni ogarnięty przez nią świat racjonalnym, rozpętanie rozumu musi w taki sam sposób wyzwolić niemotę wszystkiego, co irracjonalne.

Ostatnią jednością poddaną rozbiciu w rozpadzie wartości jest jednostka ludzka. A w im mniejszym stopniu ta jednostka uczestniczy w nadrzędnym systemie i w im większej mierze zdana jest na swą własną empiryczną autonomię – również pod tym względem dziedziczka renesansu i już w nim zarysowanego indywidualizmu – tym węższa i skromniejsza jej „prywatna teologia”, tym mniejsza zdolność tejże do obejmowania jakichkolwiek wartości spoza najwęższej indywidualnej sfery: to, co dzieje się poza najwęższym kręgiem wartości, może być przyjmowane tylko w formie nieprzetworzonej, nieukształtowanej, jednym słowem: dogmatycznej – powstaje owa pusta i dogmatyczna gra konwencji, a więc przerwanych najniższego kalibru, typowych dla mentalności filistra (Huguenauowi tego miana nikt nie będzie mógł odmówić), powstaje bezkonfliktowe równoległe i skrzyżowane działanie związanej z irracjonalnym żywotności i superracjonalnego, które w upiornie martwym biegu jałowym służy już tylko temu irracjonalnemu, i to, i tamto bezstylowe i niepojęte, połączone różnorodnością, która już nie potrafi tworzyć wartości. Człowiek, który, wyłączony z każdego układu wartości, stał się wyłącznym nosicielem wartości jednostkowej, człowiek metafizycznie „wygnany”, wygnany, ponieważ rozpadła się i rozproszyła więź między jednostkami, jest wolny od wartości, wolny od stylu i poddany już tylko wpływom irracjonalnego.

Huguenau, człowiek wolny od wartości, należał wszelako także do systemu kupieckiego; był człowiekiem cieszącym się w sferach fachowych dobrą opinią, był sumiennym i przezornym kupcem i zawsze wypełniał swe kupieckie obowiązki w pełni, ba, z całym radykalizmem. To, że zabił Escha, nie wchodziło co prawda w zakres kupieckich obowiązków, ale i nie sprzeciwiało się kupieckim zwyczajom. Był to swego rodzaju czyn wakacyjny, popełniony w czasie, w którym również kupiecki system wartości był uchylony i pozostał jedynie indywidualny. Natomiast w obrębie kupieckiego etosu, do którego Huguenau powrócił, mieścił się fakt, że biorąc pod uwagę następującą po zawarciu pokoju dewaluację marki skierował do pani Gertrudy Esch takie oto pismo:

Wielmożna Pani N.N. Esch

Szanowna Pani,

tusząc, że ma Pani się dobrze, cieszę się mogąc to samo powiedzieć o sobie i korzystam z okazji, aby uprzejmie przypomnieć, że, w myśl umowy z dnia 14

V1918 jestem mandatariuszem 90% udziałów „Gońca Elektorskiego”. Dla porządku niniejszym zaznaczam, że z tych 90% jedna trzecia, tj. 30%, znajduje się w posiadaniu różnych miejscowych panów, których jednak w kierownictwie firmy ja reprezentuję, tak że bez mojej wiedzy i woli nie wolno prowadzić żadnej działalności i zawierać jakichkolwiek interesów i muszę Panią bądź innych panów wspólników w wypadku sprzecznego z tym postępowania obarczyć pełną odpowiedzialnością za wszelkie skutki i szkody. Gdyby mimo to Pani bądź inni czcigodni panowie wspólnicy podjęli działalność, to proszę przede wszystkim o przedłożenie odnośnych rachunków i przekazanie przypadających na moją grupę (w myśl § 3 umowy) 60 % zysku oraz zastrzegam sobie uprzejmie wszelkie dalsze kroki.

Ze znaną Pani lojalnością stwierdzam z drugiej strony, że na skutek siły wyższej w postaci zakończenia wojny nie zdołałem terminowo zapłacić firmie za siebie bądź za moją grupę obu pozostałych rat w wysokości 13 400 marek, z czego na Panią jako spadkobierczynię śp. pana Augusta Escha przypada jeszcze 8000 marek. Wszakże jednocześnie zwracam lojalnie uwagę, że Pani, jeśli miałyby takie zamiary, nie upomniała się w porę od gazety bądź ode mnie jako jej kierownika o wypłacenie tych rat z ustaleniem odpowiedniej prolongaty, tak że teraz, jeśli wystąpi Pani z upomnieniem, jestem zobowiązany jedynie wypłacić należność ze

zbonifikowaniem przepisanych prawem odsetek za zwłokę, ażeby zbilansować naszą sytuację prawną.

Chcąc wszelako uniknąć ewentualnego sądenia się z wielce szanowną małżonką mojego bardzo czcigodnego zmarłego przyjaciela pana Augusta Escha, chociaż miasto leży na terenie okupowanym, tak że dla mnie jako obywatela francuskiego przybycie na miejsce nie nastroczałoby większych trudności, i będąc zwolennikiem rychłych rozstrzygnięć składam uprzejmą propozycję stornowania naszej ówczesnej transakcji, z czego Pani uwzględniając sytuację prawną miałaby wszelkie korzyści.

Stonowanie to najprościej można przeprowadzić w taki sposób, że ja z powrotem odprzedam Pani należące do mnie bądź do mojej grupy 60% udziałów, a jestem gotów zrobić to na niezwykle intratnych warunkach oferując Pani bez zobowiązań, z zastrzeżeniem sprzedaży pośredniej, te udziały za połowę ówczesnej ceny pierwotnej, przeliczonej po kursie franka. Ogólna cena kupna wynosiła 13 400 marek, zatem w przeliczeniu na franki po kursie pokojowym około 16 000fr., tak że odstępuję Pani udziały w nadzwyczaj przystępny sposób za 8000fr., słownie

osiem tysięcy franków francuskich,

przy czym szczególnie podkreślam, że nie wkalkulowałem ani moich nakładów i wydatków poniesionych na rzecz firmy z własnej kieszeni, ani kilkumiesięcznego wkładu pracy, aczkolwiek właśnie dzięki niemu firma jest znacznie więcej warta aniżeli w momencie, kiedy ją obejmowałem, a do zajęcia tej niezwykle skromnej i przychyłnej postawy skłania mnie jedynie chęć ułatwienia Pani decyzji i spowodowania szybkiego załatwienia sprawy, tym bardziej że tę sumę, jeśli nie dysponuje Pani gotówką, uzyska Pani bez trudu przez hipotekę na swojej nie obciążonej posesji.

Pozwalam sobie na koniec zwrócić uwagę, że po odkupieniu tych 60% udziałów wraz z pozostającymi w Jej posiadaniu 10% będzie Pani miała w ręku przygniatającą większość 70%, dzięki której może Pani łatwo przyprzeć do muni mniejszościową grupę pozostałych panów wspólników, i jestem przekonany, że w niedługim czasie będzie Pani znów jedyną właścicielką kwitującego przedsiębiorstwa, w związku z czym nie chcę pomijać milczeniem faktu, że już same ogłoszenia, wprowadzone, pochlebiam sobie, przeze mnie, to kopalnia złota, a ja w tym względzie również nadal chętnie posłużę Pani radą. i czynem.

Na podstawie wszystkich tych okoliczności raczy Pani utwierdzić się w mniemaniu, że złożyłem ofertę nie bacząc na moje własne interesy, gdyż stąd trudno mi jest kierować gazetą, ale jestem przekonany, że inni reflektanci zaoferowaliby mi znacznie więcej, co Pani w żadnym razie nie może być na rękę, toteż proszę Panią o łaskawe nadesłanie mi w ciągu 14 dni przychyłnej odpowiedzi, w przeciwnym razie przekażę sprawę mojemu adwokatowi.

W przeświadczeniu, że doceni Pani moją przyjazną i uprzejmą propozycję, tak że wkrótce będziemy mogli przejść do jej ostatecznego sfinalizowania, pozwalam sobie jeszcze nadmienić, że interesy w naszych stronach stoją całkiem zadowolająco, a ja mam bardzo dobre zajęcia i pozostaję

z wyrazami szacunku
Wilh. Huguenau
u rodziny André Huguenau

Polecony

Był to ohydny szantaż, ale Huguenau tak tego nie odczuwał; list nie wykraczał ani przeciwko jego prywatnej teologii, ani przeciwko handlowemu systemowi wartości, ba, również współobywatele Huguenaua nie uznaliby go za ohydny, bo pod względem kupieckim i prawnym był bez zarzutu i nawet pani Esch przyjęła legalność tego postępku jak fatum, któremu poddała się chętniej niż na przykład konfiskacie przez komunistów. Huguenau w rzeczy samej żałował ponieważświe przesadnej skromności swojej oferty – połowa ceny kosztów własnych! – jednak nigdy nie wolno przeciągać struny, a gdy osiem tysięcy franków

rzeczywiście wpłynęło, był to pożądany zastrzyk dla kolmarskiego przedsiębiorstwa i było to jeszcze coś więcej: była to ostateczna likwidacja wojennej zaszłości, był to ostateczny powrót do domu i być może, chociaż tylko być może, było to nawet coś bolesnego. Bo oto zniknęła ostatecznie cała wakacyjność. I jeśli w przebiegu ludzkiego życia i w jego błahości można w ogóle znaleźć coś godnego wzmianki, to w dalszym życiu Huguenau już nic takiego nie ma. Objął ojcowską firmę i prowadził ją dalej w duchu przodków, solidnie i z myślą o zysku. A ponieważ życie kawalerskie nie jest czymś odpowiednim dla mieszczańskiego kupca, tradycja zaś rodzinnego domu, z której wywodził się także jego byt, wymagała od niego poślubienia zacnej kobiety, aby z jednej strony płodzić z nią dzieci, z drugiej zaś wykorzystać posag dla umocnienia firmy, począł czynić niezbędne kroki. A ponieważ z biegiem czasu frank tracił na wartości, Niemcy zaś wprowadzili markę złotą, to było rzeczą naturalną i niegodną większej uwagi, że skierował wzrok na krainę na prawym brzegu Renu. A ponieważ oblubienicę, która dysponowała odpowiednimi środkami, znalazł w końcu w Nassau, będącym okolicą protestancką, nie było to rzeczą dziwną, że miłość i korzyści majątkowe zdołały skłonić wolnomyśliciela do zmiany wiary. A ponieważ oblubienica i jej rodzina były na tyle głupie, by przywiązywać do tego wagę, przystąpił dla nich do wiary ewangelickiej. I kiedy ten czy ów z jego współobywateli kręcił głową z powodu tego kroku, wolnomyśliciel Huguenau wskazywał na nieistotność tego rodzaju formalności i jakby na potwierdzenie takiej opinii mimo przynależności do wiary ewangelickiej głosował na partię katolicką, gdy ta w roku 1926 zawarła sojusz wyborczy z komunistami. A ponieważ Alzacczyści, jak większość Alemanów, to lud często kapryśny i wielu z nich ma lekkiego szmergla, nie dziwili się zbyt długo odchyleniom Huguenau, które właściwie nie były odchyleniami, bo pomiędzy workami kawy i tekstyliami, spaniem i jedzeniem, interesami i grą w karty Huguenau żył sobie w pokoju. Został ojcem rodziny, jego elastyczna krągłość nabierała wypukłości i z czasem zrobiła się miękka, również jego sprężysty krok z czasem coraz widoczniej przechodził w kaczkowate kołysanie; dla klientów był uprzejmy, dla podwładnych był surowym szefem i wzorem zapału do pracy; wczesnym rankiem zrywał się na nogi, nie pozwalał sobie na urlopy, radości miał niewiele, przyjemności estetycznych nie doznawał wcale i miał je w pogardzie; jego powinności nie pozostawiały mu bodaj czasu, żeby w niedzielę pójść z żoną i dziećmi na spacer, nie mówiąc już o tym, żeby odwiedzić muzeum – do obrazów i tak czuł wstręt. Doszedł do miejskich godności, znów podążał szlakiem obowiązku. Jego życie było takie, jakie od dwustu lat wiedli jego cieleśni przodkowie, a jego twarz była ich twarzą. Wszyscy oni wyglądali tak samo, ci Huguenauowie, byli tłuści, syci i poważni, a że u jednego z nich wykształcił się sarkastyczno-ironiczny rys, tego nie można było przewidzieć. Ale czy było to rezultatem zmieszania krwi, zwykłą igraszką natury czy też czymś, co wskazuje na doskonałość wnuka i odrywa go od wszystkich przodków, to trudno rozstrzygnąć, to detal, do którego nikt, a już najmniej Huguenau, nie przywiązuje jakiegokolwiek wagi. Bo wiele mu zubożyło i gdy powracał myślą do wojennych zdarzeń, kurczyły się one coraz bardziej i bardziej, a w końcu nie pozostało już nic prócz jednej jedynej liczby; 8000 fr, w której znalazły symboliczny wyraz i z którą weszły do bilansu, a wszystko, co wówczas przeżywał, zachowało jedynie kontury i przeszło w delikatne odcienie francuskich banknotów, z którymi kupiec Huguenau miał odtąd do czynienia. Bładoszara mgła zwiewnego, srebrnego snu rozpostarła się nad minionym, stawało się ono dla niego coraz bardziej niewyraźne, coraz ciemniejsze, jakby widziane przez czarne od sadzy szkło, i w końcu nie wiedział już, czy to on przeżył owo życie, czy też zostało mu opowiedziane.

Dałoby się chyba obronić tezę, że całe to zanikanie i zapominanie stanowiło jedynie wyraz rezygnacji, uwarunkowanej wyłącznie przez mieszczański system wartości, przywrócony na ziemi alzackiej, a więc również w Kolmarze, pod osłoną zwycięskich francuskich bagnatów, podczas gdy ta sama ziemia, pomna wielowiekowych krzywd, których doznawała z prawa i z lewa, jako prawdziwe pogranicze była pełna rewolucyjnego ducha, a i Huguenaua nurtowały

rozmaite buntownicze myśli. Można by bądź co bądź wysnuć przypuszczenie, że uwolnione irracjonalne siły nie chcą już się poddać żadnemu staremu systemowi wartości i że, poddane presji, muszą z konieczności wywołać stan odrętwienia zarówno we wspólnocie, jak i u jednostki. I nasuwa się z kolei pytanie o los uwalnianych w trakcie rozpadu wartości irracjonalnych sił: czy faktycznie są już tylko orężem w walce poszczególnych sfer wartości? czy faktycznie są już tylko środkiem do wzajemnego rozszarpywania się? czy faktycznie są już tylko mordowaniem? czy muszą, kiedy rozpad wartości dotrze do ostatniej jednostki podległej rozbiciu, stać się walką jednostki z jednostką, muszą doprowadzić do walki wszystkich ze wszystkimi? Albo ograniczając się do sprawy Huguenau: czy cząstkowy system wartości, taki jak kupiecki, do którego powrócił Huguenau, może mieć dość integrującej mocy, aby również bez wsparcia bagnetów i policyjnych palek na nowo zespolić irracjonalne dążenie w organon i wskazać cel również uwolnionej woli wartości?

Z teoriopoznawczego punktu widzenia pytanie w rzeczy samej niedopuszczalne. Prowokuje bowiem do wypowiedzi na temat istoty irracjonalnego, do – samym już tylko określeniem: „siły” – mechanistycznej wykładni, do antropomorficznej i woluntarystycznej metafizyki, krótko mówiąc do interpretacji, której irracjonalne z istoty się opiera, ponieważ jest niemym i właśnie irracjonalnym życiem, które stanowi materiał do racjonalnego „formowania świata”, jednakże w pierwotnym stanie nie ukształtowanej irracjonalności pozwala jedynie na skonstatowanie swego anonimowego bytowania i nie dopuszcza do żadnego teoretyzowania. Nadrzędny system totalny, a więc system religijny, jest w pełni świadom tego stanu rzeczy. Kościół zna tylko jeden system wartości, ponieważ zgodnie ze swą platońską genezą zna tylko jedną prawdę, jeden logos: nastawiony całkowicie racjonalnie, nie toleruje pozalogicznego, jest skłonny z góry odmawiać irracjonalnemu i jego hipotetycznym „właściwościom” nie tylko teoriopoznawczej, lecz i etycznej racji bytu – irracjonalne staje się po prostu zwierzęciem i wszystko, co da się o nim powiedzieć, ogranicza się do stwierdzenia, że istnieje i że należy je podporządkować kategorii zła. Jeżeli irracjonalne pod tym kątem widzenia wchodzi w ogóle w rachubę jako problem, to tylko w postaci pytania o możliwość istnienia zła w świecie stworzonym przez Boga, i jeżeli należy w ogóle dyskutować o domniemanych systemotwórczych zdolnościach irracjonalnego, to tylko ze względu na możliwe formy występowania zła. Są to, ma się rozumieć, kwestie, których Kościół nigdy nie ignorował, których nigdy nie mógł ignorować; istnienie zła zawsze stanowiło przesłankę *ecclesia militans* i jeśli za sprawą procesu rozpadu wartości to istnienie manifestuje się w sposób ciągły, to Kościół zmuszony jest odpowiedzialnością za ów rozpad wciąż na nowo obarczać zło, innymi słowy wyrzywać superracjonalne, w którym tkwi źródło rozpadu, z jego własnego istnienia i lokować je w kategorii zła, a zatem irracjonalnego. A ponieważ Kościół z jednej strony przyswoił sobie równie dobrze jak każdy człowiek wiedzę o „stanowieniu stanowienia”, ba, wie chyba lepiej od każdego człowieka, że warunek możliwego doświadczenia wszelkich form występowania określa kategoria „wartości”, i ponieważ z drugiej strony musi uważać swą własną strukturę wartości za jedynie ważną, przyporządkuje irracjonalnemu złu co prawda nie systemotwórcze siły, ale za to formę naśladowania, dostrzeże w złu tylko naśladowanie swej własnej formy występowania, będzie imputował złu co prawda nie racjonalne myślenie, ale za to pustą, naśladowczą formę myślenia, myślenie „wyzbyte prawdy” (zło jako *privatio* dobra), pustą, superracjonalną i dogmatyczną grę konwencji, obalamucone irracjonalnym „mędrkowanie”, które służąc jedynie irracjonalnemu przeinacza wolę etyczną w puste klepanie morałów, a w ostatecznej konsekwencji rozbudowaną w totalny system złość małostkowości podniesie do gigantycznych wymiarów Antychrysta: im większa skala zła w świecie, tym większa skala imitacji, jakiej na Chrystusie dopuszcza się Antychryst, tym groźniejszy system wartości Antychrysta, który może być tylko systemem totalnym, gdyż systemem totalnym jest także system Kościoła, a samo zło niepodzielne i jednorodne, tak samo niepodzielne i jednorodne

jak przeciwna mu i imitowana przez nie prawda. To, że przy tym totalnym systemie błędną systemy cząstkowe, że pośród zjawisk rozkładowych katolicyzm szczególne znaczenie przypisuje najbardziej widocznemu wyrazowi rozpadu wartości, myśli protestanckiej, i podnosi ją do rangi dominującej, ba, przewodniej idei zgubnego, irracjonalnego rozwoju, to, że Kościół widzi w niej, jak we wszystkich systemach cząstkowych, jedynie karykaturę prawdziwego systemu wartości, początek zagrożenia totalnym systemem Antychrysta, ta ocena nie tylko odpowiada specyficznie kościelnemu punktowi widzenia, lecz ma też mocne oparcie w obiektywnym stanie rzeczy, np. w dziwnym powinowactwie, jakie łączy protestantyzm z każdym innym systemem cząstkowym: czy to kapitalistyczny, czy nacjonalistyczny, czy jakiś inny system cząstkowy, zawsze można go sprowadzić do wspólnego z protestantyzmem, „rewolucyjnego”, antykościelnego mianownika, tzn. z perspektywy systemu kościelnego do wspólnego mianownika występności, w którym mieszczą się wszystkie irracjonalne, wrogie wartościom siły kacerstwa. I chociaż Kościół często robi koncesje zewnętrzne i przedkładając mniejsze zło nad większe toleruje ten czy ów ruch cząstkowy, choćby nacjonalistyczny, z uwagi na jego konserwatywną postawę wobec radykalniejszych, czysto rewolucyjnych odłamów, to zasadnicze pytanie o los irracjonalnych sił bywa zawsze rozstrzygane z maksymalnym rygoryzmem: Chrystus albo Antychryst – albo powrót na łono Kościoła, albo zagłada świata w kompletnym rozbiciu wartości, jakie niesie obustronne zwalczanie się.

Obojętne, czy jest odbiciem, czy karykaturą, każdy system cząstkowy jako system wartości imituje strukturę systemu totalnego i jeżeli jego sądy są pryncypialne i formalne, to muszą powtórzyć się i potwierdzić w mniejszych związkach; natomiast odchylenia treściowe, nieodzowne, bo żaden system nie może określić sam siebie mianem „złego”, muszą mieścić się w ocenie irracjonalnego. Każdy system cząstkowy z racji swej logicznej genezy, swej logicznej motywacji jest rewolucyjny; jeśli na przykład nacjonalistyczny system cząstkowy, posłuszny własnej logicznej absolutyzacji, stworzy organon, w którego centrum znajdzie się ubóstwiane państwo narodowe, to owo odniesienie wszystkich wartości do idei państwa, owo podporządkowanie jednostki i jej duchowej wolności wymogom władzy państwowej jest nie tylko zajęciem rewolucyjno-antykapitalistycznego stanowiska, ale z jeszcze dużo bardziej nieodpartą siłą obraniem antyreligijnego, antykościelnego kierunku, który jednoznacznie i ściśle wskazuje na absolutnie rewolucyjny rozpad wartości, a zatem i na zniesienie własnego systemu. Jeśli zatem system cząstkowy chce zabezpieczyć własne istnienie w procesie rozbijania wartości, jeśli chce obronić się przed napierającą w danej chwili swoją własną *ratio*, to musi uciec się do środków irracjonalnych, a z tego wynika swoista dwuznaczność, mówiąc językiem teoriopoznawczym: nawet nieczystość, właściwa każdemu systemowi cząstkowemu: przejmując wobec postępującego rozpadu wartości rolę systemu totalnego, oceniając irracjonalne jako buntownicze i występne system cząstkowy jest zmuszony z jednorodnej masy irracjonalnego i jego anonimowego zła wyodrębnić grupę „dobrych” irracjonalnych sił i z ich pomocą powstrzymać budzący lęk dalszy rozpad i dowieść własnej racji bytu – każda „fragmentaryczna rewolucja”, a w tym znaczeniu każdy system cząstkowy jest „fragmentaryczną rewolucją”, powołuje się na irracjonalne aprioryczności, na wagę wartości uczuciowych, na godność „irracjonalnego ducha”, którego wygrywa się przeciwko radykalnemu rozumowi pełnej rewolucji; każdy system cząstkowy musi wyraźnie uznać „nie ukształtowaną” irracjonalną resztkę, poniekąd jako rezerwat pośród rzeki rozumu, aby w procesie rozpadu wartości pozostać punktem oparcia.

Bo rewolucje są buntami zła przeciwko złu, są buntem irracjonalnego przeciwko racjonalnemu, buntem irracjonalnego w szacie rozpiętanego rozumu przeciwko racjonalnym instytucjom, które dla zachowania swego istnienia powołują się we własnym zakresie na tkwiącą w nich irracjonalną wartość uczuciową – rewolucje są walką między

nierzeczywistością a rzeczywistością, między gwałtem a gwałtem, muszą następować, kiedy rozpętanie superracjonalnego pociągnie za sobą rozpętanie irracjonalnego, kiedy rozbicie systemu wartości dotrze do ostatniej, indywidualnej jednostki wartości i wszystko, co irracjonalne, przebije się w absolutnej awartościowości autonomicznie osamotnionego indywiduum. Jest to przebicie irracjonalnego, przebicie autonomicznego, przebicie życia, a samotny, awartościowy człowiek jest jego narzędziem; i jeśli cały doczesny strach i cała doczesna samotność musi opaść najpierw docześnie opuszczonego, a więc proletariusza wystawionego na głód, żołnierza w okopach wystawionego na huraganowy ogień, jeśli ci w prawdziwym znaczeniu tego słowa „wygnańcy” muszą pierwsi dojść do awartościowości, to również pierwsi słyszą zew morderstwa, który z łoskotem jak uderzenie żelaza o żelazo zagłusza niemotę irracjonalnego. I zawsze jest tak, że człowiek mniejszego układu wartości unicestwia człowieka rozpadającego się większego układu, w procesie rozpadu wartości zawsze on, najniebezpieczniejszy, obejmuje rolę kata i w dniu, w którym zabrzmią trąby na Sąd, to człowiek awartościowy stanie się katem świata, który sam skaże się na stracenie.

Huguenau popełnił morderstwo. Potem zapomniał o nim, nie myślał o nim więcej, podczas gdy każde kupieckie przedsięwzięcie, które mu się w przyszłości udawało (list do pani Esch!), wiernie przechowywał w pamięci. I było to oczywiste: przy życiu pozostają jedynie te czyny, które pasują do danego systemu wartości, a Huguenau powrócił do systemu kupieckiego. Bo proletariusz jako nosiciel rewolucji nie jest „rewolucjonistą”, za którego się uważa, a który w ogóle nie istnieje – nie ma różnicy między ludem, który przy ćwiartowaniu niedoszłego królobójcy Damiensa wznosił radosne okrzyki, a tym, który w 35 lat później tłoczył się wokół gilotyny Ludwika XVI – jest tylko eksponentem zjawiska na większą skalę, jest po prostu eksponentem europejskiego ducha: choćby pojedynczy człowiek ze swoim małostkowym życiem trwał jeszcze w starym systemie cząstkowym, choćby jak Huguenau wylądował w systemie kupieckim, choćby przyłączył się do przedrewolucji lub do rewolucji definitywnej, to duch pozytywistycznego rozkładu wartości rozciąga się nad całym światem zachodnim, a jego widomy wyraz nie ogranicza się bynajmniej do proletariacko-rosyjskiego materializmu, ten jest bowiem jedynie odmianą pozytywistycznego myślenia, w którym uległa rozkładowi cała zachodnia filozofia, o ile jeszcze w ogóle rości sobie pretensje do tej nazwy. Ba, nawet problemy rozdziału dóbr schodzą na dalszy plan, choć także różnica między amerykańskimi a komunistycznymi metodami pracy coraz bardziej się zmniejsza, schodzą na dalszy plan wobec jedności ideologii, które coraz jednoznaczniej dążą do wspólnego punktu, do celu, dla którego nie ma znaczenia, czy opatry się go taką czy ową sygnaturą polityczną, gdyż cała jego ważność – stosownie do kwestii zasadniczej – polega jedynie i wyłącznie na tym, że może to być system totalny, zdolny do ponownego zespolenia rozpętanych nurtów irracjonalnego. I dlatego też nieważne jest, czy jakaś tam „irracjonalna” przedrewolucja ma w sobie zdolność do życia, czy nie, bo pozostaje bez jakiegokolwiek wpływu na racjonalną rewolucję definitywną, która w końcu musi ją wchłoniąć; natomiast potrafi – poza wszelką mechanistyczną wykładnią – jako struktura cząstkowa pokazać to, co w ramach struktur totalnych z konieczności musi pozostać nie rozpoznane: że istnieją siły irracjonalne, że są aktywne i że ze swej istoty dążą do połączenia w obrębie nowego organonu wartości, do systemu totalnego, który z punktu widzenia Kościoła może być tylko systemem Antychrysta. Nie chodzi przy tym o symptomy podrzędne jak antyplatońskie zacierzowanie komunistów czy racjonalistyczną propagandę marksistowskich lub mieszczańskich stowarzyszeń wolnomyślicieli, a więc o ateizm, który przy całej grzeszności jest dla Kościoła nazbyt błahy, ba, nazbyt godny politowania, aby wypadało go wymieniać jednym tchem ze ziem Antychrysta, bo idzie o ducha europejskiego, o „kacerskiego” ducha bezpośrednio i pozytywizmu, tak że w tym najogólniejszym sensie staje się nawet obojętne, czy ideologia protestancka przeniknęła przez Fichtego do rewolucji nacjonalistycznej, czy przez Hegla (w

rzeczy samej bardziej jednoznacznie) do marksistowskiego komunizmu, i choć Kościół z nieomylnym instynktem nienawiści, swej nienawiści do kacerstwa, tropi protestantyzm aż po najdalsze pochodne i właśnie dlatego ze skądinąd niezrozumiałą zjadłością ściga komunizm, którego prachrześcijańskie zasady mógłby bez trudu zaakceptować, to konkretna forma występowania komunizmu nie jest jeszcze konkretyzacją Antychrysta, lecz jedynie etapem wstępnym. I choćby owa protestancka teologia kantyizmu rozwinęła się tutaj w prawdziwą „marksistowską” teologię, wyposażoną w ścisłą interpretację prawa, w określoną ontologię i niezachwianą etykę, zatem wyposażoną we wszystkie składniki prawdziwej teologii, przedstawiając w całości swój widzialny Kościół, i choćby ten Kościół z całą świadomością przyjmował na siebie rolę anty-Kościół, nadawał maszynom rangę przedmiotów kultowych, powoływał inżynierów i demagogów na swoich kapłanów, to jeszcze nie jest to system totalny jako taki, nie jest to jeszcze Antychryst – ale jest to droga i jest to znak rozkładu chrześcijańsko-platońskiego obrazu świata! I wyraźnie, a najwyraźniej właśnie dla katolicyzmu, w całej tej dogmatyce, w strukturze tego marksistowskiego anty-Kościół i jego ascetycznej i surowej idei państwa zaznacza się już potężny kontur ducha, który sięga daleko poza marksizm, daleko poza wszelkie ubóstwianie państwa i który wszystko, co rewolucyjne, bez względu na to, jaką przybrałoby formę, tak daleko pozostawia za sobą, że nawet droga marksistowska wydaje się drogą okrężną: jest to kontur bezkościelnego „Kościół samego w sobie”, asubstancjalna ontologia „przyrodzoności samego w sobie”, adogmatyczna „etyka sama w sobie”, krótko mówiąc organon o tej ostatecznej logicznej i trzeźwej abstrakcji, którą powinno się uzyskać przez nieskończone przesuwanie punktu osiągalności i w której przejawia się cała radykalność protestanckiego ducha – jest to owa pozytywistyczna afirmacja realiów świata i rygorystycznej ascezy obowiązku, właściwa już dla Lutra i całego renesansu, afirmacja, która wypełniając obecnie swą przyrodzoną i konieczną ideę dąży do nowej jedności myślenia i bycia, do nowej jedności etycznej i materialnej nieskończoności. Jest to owa jedność, która stanowi istotę każdej teologii i która musi istnieć, nawet jeśli podejmowane są próby wyparcia myślenia ze świata, a która może istnieć również wówczas, kiedy naukowy punkt osiągalności „tego, co uważane za prawdziwe”, zbiega się z punktem osiągalności „wiary” i podwójna prawda znów staje się prawdą jednoznaczną. Bo na końcu łańcucha pytań, który prowadzi do takiej osiągalności, stoi czysty czyn, stoi idea czystego organonu obowiązku, idea racjonalnej, aboskiej wiary, stoi z niewzruszoną prawidłowością wyzbyta treści forma „religii samej w sobie”, może nawet racjonalna bezpośredniość „mistyki samej w sobie”, której niemo-ascetyczna i pozbawiona ornamentów religijność, poddana surowości i tylko surowości, wskazuje na ostateczny cel tej prawdziwie protestanckiej rewolucji: bezdźwięczną próżnię okrutnej absolutności, w której króluje abstrakcyjny duch Boga, duch Boga, nie sam Bóg, a mimo to on sam, królujący pełen smutku w strachu wyzutego z marzeń bezwzględne milczenia, które jest czystym logosem.

W tej sytuacji europejskiego ducha Huguena miał niewielki udział, większy za to w panującej niepewności. Bo irracjonalne w człowieku wyczuwa irracjonalne świata i chociaż niepewność świata jest niejako niepewnością racjonalną, często nawet przedsiębiorczą, to przecież powstała ona przez rozpętanie rozumu, który w każdej sferze wartości dąży do nieskończoności i na tej superracjonalnej granicy nieskończoności znosząc sam siebie zamienia się w irracjonalne i już-nieuchwytnie. Nieokiełznane stały się pieniądz i technika, wahają się waluty i mimo wszystkich wytłumaczeń irracjonalnego, jakie człowiek ma pod ręką, skończone nie potrafi nadażyć za nieskończonym i żaden rozumowy środek nie zdoła przywrócić irracjonalnej niepewności nieskończonego sferze tego, co rozumowe i możliwe do opanowania. Jest tak, jak gdyby nieskończone zbudziło się do samodzielnego i konkretnego życia, przenikniętego i wchłoniętego przez absolutne, które w godzinie między upadkiem a wzlotem, w tej magicznej godzinie śmierci i poczęcia rozbłyskuje na najdalszym horyzoncie.

I choćby Huguenau odwracał oczy od blasku otwierającego się nieba i w ogóle nie chciał nic wiedzieć o tego rodzaju możliwościach, to jednak czuł lodowate tchnienie, które owiewając świat przyprawia go o zeszywnienie, a rzeczy tego świata pozbawia sensu. I jeśli Huguenau co ranka śledził w gazecie wydarzenia na świecie, to działo się to z niemiłym uczuciem wszystkich czytelników gazet, którzy łapczywie rzucają się na doniesienia, trawieni głodem faktów, zwłaszcza faktów ozdobionych ilustracjami, i którzy przy tym co dzień od nowa żywią nadzieję, że masa faktów zdoła wypełnić pustkę oniemiałego świata i oniemiałej duszy. Czytają swoje gazety i jest w nich strach człowieka, który co ranka budzi się w samotności, bo język starej wspólnoty zamilkł, a nowy jest dla nich niesłyszalny. Niech się ludźmi zrozumieniem i jasnym spojrzeniem, krytykując ostro instytucje polityczne, użyteczności publicznej czy wymiaru sprawiedliwości, niech w ciągu dnia wymieniają między sobą odnośne opinie, a mimo to stają pozbawieni mowy między jeszcze-nie a już-nie, nie ufają żadnemu słowu, chcą je zobaczyć poparte obrazami, nie potrafią wierzyć nawet w stosowność własnej wypowiedzi i, postawieni między końcem a początkiem, wiedzą jedynie, że logika faktów pozostaje niepowstrzymana, a prawo nienaruszalne: żadna dusza, nawet najniegodziwsza, nawet najbardziej przesiąknięta ziemią, nawet najbardziej małostkowa i oddana najmarniejszemu dogmatowi, nie może uwolnić się od tego zrozumienia i tego strachu – podobny dziecku, które zostało zaskoczone i ogarnięte przez samotność, owładnięty strachem stworzenia, które zaczęło umierać, człowiek musi w skończoności szukać brodu, który ma być jego życiem i jego pewnością. Nigdzie nie znajduje pomocy. I nic to nie daje, że raz po raz stara się ratować systemem cząstkowym, a czy to czyni dlatego, że od trzymania się starych, romantycznych form oczekuje ochrony przed niepewnością, czy dlatego, że ma nadzieję, iż w rewolucji cząstkowej to, co znajome i swojskie, bardzo, bardzo powoli, poniekąd bezboleśnie przejdzie w nieubłaganą obcość, nie znajduje pomocy, bo jest upojony pozorną wspólnotą, do której się zabląkał, a głębsze i utajone powiązanie, za którym się uganiał, rozwiązuje się w ręce, której zdaje się, iż schwytała nic, i kiedy rozczarowany ucieka w końcu w system pieniężno-handlowy, nie unika rozczarowania: nawet ta najwłaściwsza forma bytu małostkowej mieszczańskości, odporniejsza od wszystkich innych systemów cząstkowych, gdyż obiecuje trwałą jedność w świecie, jedność, której człowiek potrzebuje, aby ująć niepewności – dwie jednomarkówki to więcej niż jednomarkówka, suma 8000 franków składa się z wielu franków, a przecież jest całością i racjonalnym organonem, w którym rachunek świata mieści się bez reszty – nawet ta odporność, w którą mieszczanin mimo wszelkich walutowych wahań jakże chciałby wierzyć, maleje, nigdzie nie da się już powstrzymać irracjonalnego i żadnej postaci świata nie da się już przedstawić jako zliczenia racjonalnych kolumn. I jeśli kupiec Wilhelm Huguenau, wyniesiony do miejskich godności, człowiek, który przy wszystkich rzeczach życia zwykł najpierw pytać o cenę i korzyść pieniężną, jeśli ten Huguenau też uważał za najzupełniej racjonalne, że w takich czasach finansowej niepewności trzeba okazywać wzmożoną nieufność, to mogło się jednak zdarzyć, że z ironiczną miną lub pogardliwym machnięciem ręki usiłował zdobyć coś, z czego pochodzenia dziwnie nie mógł zdać sobie sprawy, i że raptem nagle pytał zaskoczony: – Co to są pieniądze? – a czasem też, zlustrowawszy klienta ostrym i nieufnym spojrzeniem, po prostu odbierał mu kredyt, jedynie dlatego że facet nagle przestał mu się podobać albo że sarkastyczny lub jakiś inny rys wokół ust wzbudziły w nim wstręt – czy taki krok okazywał się korzystny, czy niekorzystny, czy w ten sposób pozbył się w porę kiepskiego klienta, czy solidnego pchnął w ramiona konkurencji, była to, nie bacząc na wszelkie konsekwencje praktyczne, raptowna i prawdopodobnie przekonująca metoda, stanowiąca niejako efekt krótkotrwałego zamroczenia, w życiu handlowym bądź co bądź nie praktykowana, z pewnością irracjonalna i chyba to również z jej powodu wokół Huguenaua niepostrzeżenie wytwarzała się otchłań, martwa strefa milczenia, która oddzielała go od wszystkich innych obywateli miasta. Był to co prawda tylko jakby mglisty domysł, jednakże zagęszczał się,

stawał się nieomal uchwytny, skoro tylko Huguenau znalazł się pomiędzy wieloma ludźmi: w kinie, w lokalu, gdzie tańczyła młodzież, albo na uroczystościach, którymi święcono rocznicę francuskiego zwycięstwa, wtedy on, który sam być może zajmie kiedyś fotel burmistrza, mógł siedzieć spokojnie za przystrojonym kwiatami stołem między innymi notablami i poważnie pustym chłopięcym spojrzeniem zza grubych szkieł okularów przyglądać się tańczącym; i jakkolwiek daleko mu było do lat, które zalecają rezygnację z potańcówek, nie bardzo wierzył własnej pamięci szepcząc swemu sąsiadowi (a nigdy nie omieszkał tego zrobić), że sam był kiedyś wyśmienitym tancerzem. Bo czy to przebywając w takiej patriotycznej sali, czy też w niedzielę ze swoim starszym idąc na Aleję Strasburską, żeby zobaczyć start do wyścigu kolarskiego, ba, odwiedzając tę czy inną imprezę towarzyską właściwie tylko dla eksperymentu, nieuchronnie popadał w ów osobliwy niemiły nastrój, w którym rzeczy przesuwają się niepostrzeżenie i w którym każda uroczysta impreza, kojarzona przecież z należną jej niepodzielnością, zaczynała rozłazić się i zamieniać w coś niepokojąco niejednolitego, w coś, co przez kogoś tam za pomocą dekoracji, sztandarów i girland zostało wbrew przekonaniu ściśnięte i powiązane w nienaturalną jedność. I gdyby Huguenau nie lękał się takich zdrożnych myśli, niewątpliwie przekonałby się, że nie istnieją w ogóle pojęcia i nazwy, którym odpowiada konkretny substrakt, z pewnością przekonałby się, że to ukryte, choć widzialne symbole muszą zapewniać jedność zdarzenia i spoistość świata, symbole, których istnienie jest konieczne, ponieważ w przeciwnym razie wszystko widzialne rozpadłoby się tworząc bezimienny, nieważki, suchy układ zimnego i przejrzystego popiołu – i Huguenau poczułby przekleństwo przypadkowości i zbieraniny, które rozciąga się nad rzeczami i związkami, jakie między nimi występują, tak że nie sposób wyobrazić sobie jakiegokolwiek porządku, który nie byłby równie przypadkowy i dowolny: czy owi kolarze nie musieliby natychmiast rozpierchnąć się na cztery wiatry, gdyby nie zespoliły ich takie same stroje i takie same odznaki klubowe? Huguenau nie stawiał takiego pytania, bo przekraczało ono pojemność tego, co nie bez racji wolno było określić mianem jego prywatnej teologii; jednakże nie postawione pytanie czyniło go nie mniej drażliwym niż niewidzialność wszelkich instancji, od których był zależny, i ta drażliwość mogła się np. wyładować w policzku, jaki bez powodu wymierzał swemu dziecku w drodze powrotnej. Takim sposobem odprężony zwykł był w rzeczy samej powracać do prozaicznej rzeczywistości potwierdzając tym samym zdanie Hegla: „Prawdziwie wolna wola jest jednością teoretycznego i praktycznego ducha”. W dobrym humorze maszerował do śródmieścia mijając rozmaite świątynie, z których właśnie wychodzili ludzie, maszerował dalej nucąc wesoło, wybijał też laską takt, a ilekroć ktoś mu się kłaniał, salutował i mówił: – Cześć.

Bo we wszystkim bez wyjątku chodzi o stosunek do wolności i nawet najmniejsza i najciaśniejsza teologia, której zasięg akurat wystarcza, by uczynić zrozumiałymi najnędniejsze postęпки empirycznej jaźni, więc nawet prywatna teologia takiego Huguenaua, służy jeszcze wolności, nawet dla niej wolność jest właściwym, właściwie mistycznym ośrodkiem dedukcji (a to dotyczy Huguenaua co najmniej od owego dnia, kiedy to o brzasku opuścił okop i popełnił jawnie irracjonalny, mimo to bardzo racjonalny czyn w służbie wolności, tak że wszystko, do czego od tamtego dnia dążył, i wszystko, do czego w swoim życiu będzie jeszcze dążyć, przedstawia się jako powtórzenie owego pierwszego, uroczystego i odświętnego czynu), ba, jest zgoła tak, jak gdyby wolność unosiła się nad wszystkim racjonalnym i irracjonalnym niczym szczególna i wzniosła kategoria, niczym cel i niczym początek, podobna do absolutnego, z którym rozbłyskuje i które ją jednak przyćmiewa, ostatnia i łagodna jasność w ognistych wąwozach rozdartego nieba. Nigdy irracjonalne nie mogłoby się połączyć z racjonalnym, z kolei racjonalne nie mogłoby się rozpląnąć w harmonii żywego uczucia, gdyby jedno i drugie nie miało udziału w nadrzędnym, wspaniałym bycie, który jest najwyższą rzeczywistością i najniższą nierzeczywistością: dopiero z tego

zespoleń rzeczywistości i nierzeczywistości wyłoni się całość świata i jego postać – to w idei wolności znajduje usprawiedliwienie wieczna odnowa tego, co ludzkie, bo w ziemskim wymiarze na drogę ku niej, nieosiągalnej, trzeba wkraczać wciąż od nowa. O, bolesny obowiązek wolności! straszna i wciąż ponawiana rewolucja poznania, w której znajduje usprawiedliwienie rebela absolutnego przeciwko absolutnemu, rebela życia przeciwko rozumowi – usprawiedliwienie rozumu, który, na pozór sprzeniewierzając się samemu sobie, rozpętuje absolutne irracjonalnego przeciwko absolutnemu racjonalnego, usprawiedliwienie, ponieważ w nim zawiera się też ostatnia rękojmia, że rozpętane irracjonalne siły na powrót zjednoczą się w systemie wartości. Nie ma systemu wartości, który by nie podporządkowywał się wolności, i nawet najmniejszy poszukuje wolności, nawet człowiek popadły w najbardziej ziemską samotność i autonomię, on, który nie dociera dalej niż do wolności morderstwa, do wolności więzienia, w najlepszym razie do wolności dezertera, nawet on, człowiek odarty z wartości, na którym ciąży presja wszystkiego, co ziemskie – wśród wystawionych na tchnienie wieczności nie ma takiego, dla którego w nocy jego samotności nie rozstąpił się raz niebiański znak wolności: każdy musi spełnić swój sen, zły i święty zarazem, i czyni to, aby dostąpić wolności w mroku i przygnębieniu swego życia. I tak to niekiedy ogarniało Huguenaua wrażenie, iż siedzi w pieczarze albo w mrocznym szybie i wygląda na zimną strefę, która okala miejsce jego pobytu jak pierścień samotności, a życie przeciąga w odległych obrazach na ciemnym firmamencie, i wtedy miał wielkie pragnienie, żeby wypełznąć z takiego zakamarka i na zewnątrz dostąpić wolności i samotności, których istnienia domyślał się dzięki jakby jemu tylko danej intuicji; była to jakby wiedza o najgłębszej wspólności, w którą musi przeobrazić się owa najgłębsza samotność, ale nie wykraczała ona poza niejasne wyobrażenie, że być może tam na zewnątrz wolno będzie wymusić braterskie i serdeczne obcowanie, groźbą śmierci, przemocą czy przynajmniej policzkowaniem zmusić innych, żeby go przyjęli i wysłuchali jego lepszej prawdy, której on jednak nie mógł wypowiedzieć. Bo choćby zachowaniem i sposobem życia nie różnił się zbytnio od owych innych, choćby wagon jego życia coraz pewniej sunął po szynach, na których został postawiony już w czasach młodości i których bynajmniej nie zamierzał opuszczać, choćby zatem to życie, które toczyło się tutaj ku swej śmierci, było bardzo cielesne, ba, masywne, to mimo wszystko pod pewnym względem wydawało się wyższe i lżejsze, gdyż on z każdym dniem czuł się coraz bardziej wykluczony i samotny, ale przestał już nad tym cierpieć: odgraniczonemu od świata, a przecież tkwiącemu w jego środku ludzie odsuwali się w coraz to odleglejsze i bardziej wyjęsknione dale, ale on nie podejmował żadnej próby przemierzenia dali, a także w tym nie różnił się niczym od jakiegokolwiek z pozostałych śmiertelników, ponieważ właśnie każdy z nich wie, że nie starczy ludzkiego życia, aby przebyć drogę, która jak orbita kołowa wznosi się ku coraz wyższym płaszczyznom i na której minione i zanikające zmartwychwstaje jako cel wyższy, aby z każdym krokiem zapadać z powrotem w coraz odleglejsze mgły: nieskończona orbita zamkniętego kręgu i dopełnienia, wyrazista realność, w której rzeczy rozpadają się i odsuwają od siebie aż po bieguny i aż po granice świata, gdzie wszystko rozdzielone jednoczy się z powrotem, gdzie oddalenie zostaje ponownie zniesione, a irracjonalne przybiera widzialną postać, gdzie lęk już nie staje się tęsknotą, a tęsknota lękiem, gdzie wolność ludzkiego ja uchodzi z powrotem w platońską wolność Boga, nieskończona orbita zamkniętego kręgu i dopełnienia, dostępna tylko dla tego, kto wypełnił swoją istotę – nieosiągalna dla nikogo.

Nieosiągalna dla nikogo! I nawet gdyby Huguenau zamiast lądować w kupieckim wylądował w rewolucyjnym systemie, dla jego wędrówki orbita dopełnienia byłaby nadal zamknięta. Bo morderstwo pozostaje morderstwem, zło pozostaje złem, a małostkowość ograniczonej do jednostki i jej irracjonalnych popędów sfery wartości, ten ostatni produkt każdego rozpadu wartości pozostaje punktem absolutnej nikczemności, pozostaje poniekąd niezmiennie absolutnym punktem zerowym, który jest wspólny wszystkim skalom i

systemom wartości bez względu na ich wzajemną relatywność, musi być wspólny, ponieważ nie sposób stworzyć systemu wartości, który w swej idei i w swej istocie logicznej nie byłby poddany „warunkowi możliwego doświadczenia”, empirycznemu wycieniowaniu wspólnej wszystkim systemom logicznej struktury i związanej z logosem apriorycznej niezmienności. I wręcz rezultatem tej samej logicznej konieczności wydaje się to, że przejście od jednego systemu wartości do nowego musi pokonać ów punkt zerowy zatomizowania wartości, że musi pominąć jedną generację, która, pozbawiona wszelkiej więzi zarówno ze starym, jak i z nowym systemem wartości, właśnie w tym niezwiązaniu, w tej graniczącej z obłędem obojętności na cudze cierpienie, w tym najradykałniejszym odarciu z wartości dostarcza etycznej, a tym samym historycznej legitymacji okrutnemu nieposzanowaniu, na jakie wystawione jest wszystko, co ludzkie, w czasach rewolucji. I chyba musi tak być, ponieważ tylko generacja o tak absolutnej niemocie zdolna jest wytrzymać widok absolutnego i pojawiającej się luny wolności: blask, który migocze ponad najgłębszą ciemnością i tylko ponad najgłębszą ciemnością, jego ziemskie odbicie jest jak obraz w mrocznym stawie, a ziemskie echo jego milczenia jest żelaznym szczękaniem morderstwa, a mimo to nieprzeniknionym brzmieniem niemoty, wzniesionym jak ściana dudniącego milczenia między człowiekiem a człowiekiem, tak że jego głos nie może przeniknąć ani w tę, ani we w tę i on musi zadrzeć. Straszne lustro, straszne echo przebijającej się ku absolutnemu ratio! ziemski oddźwięk jej surowości staje się przymusem i niemą przemocą, a racjonalna bezpośredniość jej boskiego celu staje się bezpośredniością irracjonalnego, które przymusiło człowieka do niechętnie niemego posłuszeństwa, jej nie kończący się łańcuch pytań staje się jednoczłonowym łańcuchem irracjonalnego, które już nie pyta, tylko działa, rozsadzając wspólnotę, której już nie ma, gdyż bezsilna, ale pełna złej woli topi samą siebie we krwi i dusi gazami trującymi. O, jakże samotną śmiercią jest ziemskie odbicie boskiej samotności! Wtrącony w grozę rozpiętanego rozumu, skierowany na jego służbę, ale go nie pojmujący, więzień nadrzędnego działania, więzień swojej irracjonalności, człowiek podobny jest dzikusowi, który w rzuconych czarach nie dostrzega związku między środkiem a rezultatem, podobny jest szaleńcowi, który nie może się uwolnić ze splątania irracjonalnego z superracjonalnym, podobny jest złoczyńcy, który nie potrafi znaleźć drogi do wartościowej rzeczywistości bardziej upragnionej wspólnoty. Bezpowrotnie umyka mu minione, na zawsze pierzcha mu przyszłe, a huk maszyn nie wskazuje mu drogi do celu, który nieosiągalny i bezbrzeżny we mgle nieskończoności unosi czarną pochodnię absolutnego. Straszna godzino śmierci i poczęcia! straszna godzino absolutnego, podtrzymywana i wytrzymywana przez generację, która sama się unicestwiła, która nie wie nic o nieskończoności, choć pcha ją ku niej własna logika – ci ludzie bezwiednie, bezradnie, bezsensownie są wystawieni na podmuch huraganu lodowatego, muszą zapomnieć, aby móc żyć, i nie wiedzą, dlaczego umierają. Ich droga jest drogą Ahaswera, ich powinność jest powinnością Ahaswera, ich wolność jest wolnością zagonionego, a ich celem jest zapomnienie. Stracone pokolenie! nie istniejące jak samo zło, bez oblicza i bez historii pogrążone w bagnie nieodróżnialnego, skazane na zatracenie się w czasie, pozbawione historii w czasach, które wynoszą się do rangi absolutnej historii! Jakkolwiek pojedynczy człowiek zachowuje się wobec wydarzeń rewolucji, czy reakcyjnie czepia się kurczowo przeżytych form, estetyczne biorąc za etyczne, jak to czyni każdy konserwatyzm, czy trzyma się na uboczu w bierności egoistycznej wiedzy, czy też, poddany swym irracjonalnym popędom, dokonuje destrukcyjnego dzieła rewolucji: pozostaje nieuchronnie nieetyczny, wygnany z epoki, wygnany z czasu, ale nigdy i nigdzie duch epoki nie jest tak silny, tak prawdziwie etyczny i historyczny jak w owym ostatnim i zarazem pierwszym rozbłyśnięciu, jakim jest rewolucja – akt samolikwidacji i samoodnowienia, ostatni i największy etyczny akt rozpadającego się, pierwszy nowego systemu wartości, chwilami radykalnie dziejotwórczego zawieszenia czasu w patosie absolutnego punktu zerowego!

Wielki jest strach człowieka, który uświadamia sobie swoją samotność i ucieka od własnej pamięci; pokonany i odrzucony popada w najgłębszy, zwierzęcy strach, w strach kogoś, kto doznaje przemocy i zadaje przemoc, i popada w przemożną samotność, a jego ucieczka, jego rozpacz i jego apatia mogą stać się tak wielkie, że musi on myśleć o tym, żeby zrobić sobie coś złego, żeby ująć niewzruszonemu prawu biegu wydarzeń. I w lęku przed głosem Sądu, który może buchnąć z ciemności, budzi się w nim ze zdwojoną siłą tęsknota za przewodnikiem, który lekko i łagodnie weźmie go za rękę, zaprowadzając ład i wskazując drogę, przewodnikiem, który już za nikim nie podąża, tylko idzie przodem po nie przemierzanej jeszcze orbicie zamkniętego kręgu, aby wznosić się ku coraz wyższym płaszczyznom, aby wznosić się ku coraz jaśniejszemu zbliżeniu, za nim, który zbuduje nowy dom, aby z martwego na powrót stało się żywe, za nim powstałym z masy martwych, zbawcą, który swym własnym działaniem nada sens niepojętym zdarzeniom tego czasu, aby czas był liczony na nowo. Taka to jest tęsknota. Lecz nawet gdyby pojawił się przewodnik, upragniony cud by nie nastąpił: jego życie byłoby powszedniością w ziemskości i tak jak wiara zanurzona jest w domniemaniu prawdy, a domniemanie prawdy w wierze zawsze racjonalnej religii, zbawca chodzi w najbardziej niepozornym stroju i być może jest przechodniem, który teraz przecina ulicę – bo gdziekolwiek idzie, w ciżbie wielkomiejskich ulic czy w wieczornym blasku nad polami, jego droga jest drogą Syjonu, a mimo to drogą nas wszystkich, jest szukaniem brodu między złem irracjonalnego a złem superracjonalnego i również jego wolność jest bolesną wolnością obowiązku, jest ofiarą i pokutą za to, co zaszło, jego droga jest także drogą próby, poddaną surowości, a także jego opuszczenie jest opuszczeniem dziecka, jest opuszczeniem syna, któremu cel umyka w nieosiągalnym, gdyż został opuszczony przez ojca. I mimo to: już nadzieja na wiedzę przewodnika jest własną wiedzą, już przecucie łaski jest łaską, a choćby daremne było nasze spodziewanie, że wraz z widowym życiem przewodnika kiedykolwiek spełni się absolutne w ziemskim, pozostaje ciągle możliwość zbliżania się do celu, niezniszczalna Mesjaszowa nadzieja zbliżenia, ciągle powracające narodziny wartości. I choćby otaczała nas przybierająca wciąż na sile niemota abstrakcyjnego, choćby człowiek podlegał najzimniejszej presji, ciśnięty w nicość, jego ja ciśnięte w nicość, to tchnienie absolutnego dmie po świecie, a z przeczuwania i wyczuwania prawdy wyrasta uroczysta i odświętna pewność, z jaką wiemy, że każdy nosi iskierkę na dnie duszy i że jedność jest niezatracalna, niezatracalne braterstwo upokorzonego ludzkiego stworzenia, z którego najgłębszego strachu niezatracalnie i niezatracenie błyszczy strach boskiej łaski, jedność człowieka, przejawiająca się we wszystkich rzeczach, ponad przestrzeniami i czasami, jedność, w której zaczyna się wszelkie światło i uświęcenie wszystkiego, co żywe – symbol symbolu, lustro lustra, wyłaniające się z bytu pogrążonego w ciemności, tryskające z szaleństwa i braku marzeń jak podarowane, wydarte nieznanemu i odnalezione matczyne życie, prawzór symbolu, w buncie irracjonalnego, wymazując ludzkie ja i przełamując jego granice, uchylając czas i oddalenie, w huraganie lodowatego, w gwałtownym porywie wichury otwierają się wszystkie drzwi, poruszają się fundamenty więzienia i z najgęstszej ciemności świata, z naszej najprzykrzejszej i najgęstszej ciemności dochodzi do bezradnego wołania, rozbrzmiewa głos, który łączy minione ze wszystkim, co przyszłe, i samotność z wszystkimi samotnościami, a nie jest to przejmujący trwogą głos Sądu, rozbrzmiewa nieśmiało w milczeniu logosu, wszelako przezeń niesiony, wynoszony ponad wrzawę nie istniejącego, jest to głos człowieka i ludów, głos pociechy, nadziei i bezpośredniej dobroci: – Nie czyni sobie nic złego, bo jesteście tu wszyscy.

Posłowie

Hermann Broch (1886 – 1951), jeden z najwybitniejszych pisarzy XX wieku, jest autorem tak znaczącej powieści, jak *Śmierć Wergilego* (*Der Tod des Vergil*, 1945) – wydanej w Polsce dwukrotnie, w 1963 (Czytelnik) i 1993 (Wydawnictwo Dolnośląskie). Jego równie słynne dzieło *Die Schlafwandler* (*Lunacy*), które jest, obok utworów Marcela Prousta i Jamesa Joyce'a, jednym z najsłynniejszych eksperymentów formalnych w dziejach współczesnej powieści, ukazuje się wreszcie w polskim przekładzie.

Powieść powstała w latach 1931 – 1932; składa się z trzech tomów, a raczej części, których tytuły wzięte zostały od nazwisk głównych bohaterów; *Pasenow, czyli romantyzm; Esch, czyli anarchia; Huguenau, czyli rzeczowość*. Głównym tematem *Lunacy* jest kryzys kultury europejskiej, którego ramy czasowe przypadają, zdaniem Brocha, na lata 1888 – 1918. Obraz upadku i kryzysu, przede wszystkim wartości, kreśli autor na przykładzie Niemiec wilhelmińskich, a nie, jak Artur Schnitzler, Heimito von Doderer, Robert Musil, Albert Paris Gütersloh czy Joseph Roth – cesarstwa austro-węgierskiego. Można co prawda zasadnie dowodzić, że występujący w trzeciej części obraz lazaretu wojennego da się powiązać, poprzez biografię pisarza, właśnie z Austro-Węgrami, lecz przecież niezaprzeczalnie, szczególnie w pierwszej i właśnie w trzeciej części, akcja powieści rozgrywa się głównie na terenie Niemiec.

Dlaczego ten kraj staje się polem obserwacji pisarza? Przyczyna mogła tkwić w tym, iż to właśnie Niemcy gwałtownie rozwijając się (znacznie szybciej niż domena Habsburgów), zarazem odchodziły od dawnych, rycerskich jeszcze czy raczej junkierskich wzorów i ideałów. Ostro jest to podkreślone właśnie w trzeciej części, której istotnymi składnikami są m.in. dwa przeplatające się wątki; esej – *Rozpad wartości* oraz *Historia dziewczyny z Armii Zbawienia w Berlinie*.

Nim jednak powiemy kilka słów o samej powieści, na dwie sprawy, natury ogólniejszej, trzeba zwrócić uwagę.

Pierwsza kwestia wiąże się ze zmianami w traktowaniu powieści, jakie możemy zaobserwować, szczególnie w Europie, od początków XX wieku. Mamy wtedy do czynienia z dwojakimi zmianami: „praktycznymi”, które wyznaczają nazwiska takich twórców, jak Marcel Proust czy James Joyce, a także Joseph Conrad i John Dos Passos, oraz „teoretycznymi”, których autorami są badacze, np. Wilhelm Dibelius, György Lukács, Wiktor Szklowski czy także sam Hermann Broch. Szczególnie jego poglądy są istotne, stanowią bowiem teoretyczne uzasadnienie własnego pisarstwa. Powieść, jak napisze w jednym ze swoich studiów, ma podejmować problemy etyczne i metafizyczne porzucone przez filozofię.

Istotnym składnikiem nowej powieści staje się poetyckość postrzegana jako nie tylko uzupełnienie, ozdoba i tym podobne wprowadzenie do powieści, lecz jako te same powieści podstawowy element konstrukcyjny.

O problemach etycznych Broch będzie pisał także i nada im podstawowe znaczenie, ważkie nie tylko dla ostatecznego kształtu dzieła i w nim właśnie się ujawniające, ale i dla samego twórcy. Jedność etyczną zapewnić ma, zdaniem Brocha, mityzacja powieści.

Z takiej postawy, która przecież nie tylko samego Brocha dotyczy, wynikają dość istotne konsekwencje dla techniki powieściowej. Utwór staje się kompozycją wielowątkową i, co

więcej, swobodnie wchłania gatunki niepowieściowe (nie tylko poezję i dramat, ale np. esej). W konsekwencji prowadzi to do posługiwania się różnymi sposobami narracji. Powieść, jako pewien typ wypowiedzi językowej, ulega zasadniczej przemianie i, co istotniejsze, przemiana ta ma ważne uzasadnienie metodologiczne. Jego konsekwencją jest umacnianie pozycji powieści jako „sposobu opisu, zrozumienia i oceny świata oraz ludzi, ich zachowań, celów, jakie sobie wyznaczają, wartości, jakie wyznają i kultywują”. Powieść staje się swoistą formą „diagnozy zdrowia lub choroby” świata kultury, w którym żyjemy i który tworzymy.

Druga kwestia wiąże się z nurtującym Brocha przez całe życie zjawiskiem „rozpadu wartości kultury europejskiej”. Epokę, w której przyszło żyć, szczególnie po roku 1918, opanował „proces rozpadu wartości [który] posunął się najdalej, można by powiedzieć: do zupełnego zaniku wartości, a że w takiej sytuacji nikt nikogo nie słucha, kontakt między człowiekiem a człowiekiem musi sprowadzać się do odartej z wszelkich osłonek, najbezwzględniejszej, najbardziej abstrakcyjnej przemocy”. Słowa te, dramatycznie prorocze, pochodzą z *Posłowie* pisarza do jednego z najbardziej niezwykłych jego dzieł, powieści – w jedenastu opowiadaniach – *Niewinni*. Mimo że sformułowane dopiero po roku 1945, trafnie oddają poglądy pisarza z okresu, gdy pisał *Lunatyków*. Rozpad wartości wiązał Brocha ze zdradą, dokonaną przede wszystkim, aczkolwiek nie wyłącznie, przez Niemców, ideałów humanistycznych (których źródłem jest dla Brocha filozofia Platona) oraz chrześcijańskich. Także – odrzuceniem przez nowożytny świat, a zwłaszcza Europę, własnej tradycji. Problematyka ta będzie zresztą stale obecna w twórczości pisarskiej pierwszej połowy XX wieku, żeby wspomnieć m.in. Josepha Conrada, Roberta Musila, Tomasza Manna. Głos Brocha jest niewątpliwie szalenie indywidualny, ogólną bowiem konstatację tyjącą kryzysu i rozpadu wartości w kulturze współczesnej łączy on z dwojakim na ten temat spojrzeniem. Artysty – w powieściach, wierszach i dramatach, oraz badacza – w esejach z zakresu filozofii i kultury, a także studiach nad psychologią, a raczej obłudą mas.

Jednym z przejawów kryzysu wartości był dla Brocha także kicz, i rzecz można bez przesady, że walka z nim była obsesją pisarza, do tej tematyki bowiem wraca! wielokrotnie. Podkreślał przede wszystkim destrukcyjny wpływ, jaki wywiera kicz nie tylko na estetyczną, ale i na etyczną sferę naszej osobowości. Na niszczenie przez kicz naszej wrażliwości moralnej. Kicz – będący sfalszowanym romantyzmem, zarazem anarchizuje i czyni rzeczowymi m.in. relacje międzyludzkie, niszczy bowiem autentyczność przeżyć i uczuć, a kultywowanie tradycji (i towarzyszących temu wartości) sprowadza do np. bezmyślnego „zaliczania” muzeów, „rocznic ku czci”, „uroczystości obchodów” itp.

Wprowadzeni w ten sposób w ferment, który legi u podstaw powstania *Lunatyków*, poświęćmy teraz słów kilka samej powieści, a przede wszystkim – jej bohaterom.

Zacznijmy od Joachima von Pasenowa. Porucznik, w trzeciej części – major, jest człowiekiem, który – poza służbą wojskową, jako cywil – nie umie znaleźć miejsca w życiu. Wartości świata junkiersko-patriarchalnego okazują się złudzeniem, jego romantyzm nie jest nawet komiczny, raczej – upiorny. Pytanie o cel życia pozostaje dla Joachima nierozstrzygalne: jest, mimo iż ma żonę (którą dzieli z miłością do Claussewitza), rozpaczliwie samotny.

Drugim z bohaterów jest August Esch – buchalter. Później, znudzony monotonią życia, próbuje sił w teatrze, powraca do buchalterii, by odnaleźć swe powołanie w redakcji gazety. Dla Brocha to typowy przedstawiciel drobnomieszczaństwa. Jego „anarchia” to nieustanne bycie w swoistym „stanie przejściowym”, poszukiwanie wartości w czasach ich chronicznego rozpadu. Esch jest karykaturą „żałosnego zbawiciela”. Przypomina takie postaci, jak Klarysa z *Człowieka bez właściwości* Musila, Kiryłow z *Biesów* Dostojewskiego czy Bloom z *Uliksesa* Joyce’a. Podobnie jak i oni – nic nie osiąga.

Trzeci bohater – Wilhelm Huguenau – jest nie tylko drobnomieszczańcem, ale dodatkowo – dorobkiewiczem. Jest człowiekiem, dla którego nie istnieje już żadna wartość

(poza buchalteryjną trójcą: zysk strata, saldo). Przy nim zarówno Pasenow, jak i Esch, mają jakieś cechy pozytywne; rzeczowość Huguenaua jest przerażająca. Dla niego istnieje jedynie handlowy (czysto wymierny i przeliczalny – na gotówkę) system wartości; zbrodnia, którą popełnia (zabija Escha), jest sprawą marginalną. Obraz, który świadomie jest stylizacją biblijną, budzi grozę: „pomiędzy workami kawy i tekstyliami, spaniem i jedzeniem, interesami i grą w karty Huguenau żył sobie w pokoju”. Ale właśnie Huguenau jest jedynym, który coś wygrywa, do czegoś dochodzi. Nie jest on jednak parodią „wodza”. Jest raczej tym, który utorował mu drogę.

Tak oto poznaliśmy, w ogólnym zarysie, głównych bohaterów (odnotujmy także i akcent polski: służącą w domu Pasenowów ma szansę zostać Polka; interesująca jest, rzucona mimochodem, ogólna charakterystyka Polaków). Oni, wraz z innymi postaciami „oddają w rozmaitych wariantach i ze zdumiewająco dokładnie zaobserwowanymi szczegółami (...) polityczne, społeczne, moralno-obyczajowe, religijne i kulturalne oblicze odmalowanego okresu”. Autokomentarz Brocha wskazuje też wyraźnie, że aby to uczynić, musiał pisarz przekształcić samą powieść. Także – w sferze językowej.

Trzeba bowiem powiedzieć, że każda z części ma odmienny styl. Część pierwsza nawiązuje do Teodora Fontanego i typowej powieści pozytywistycznej II połowy XIX wieku. Część druga wyraźnie nawiązuje do Marcela Prousta i bez trudu odnaleźć w niej można fragmenty, którym patronuje (stylistycznie tylko!) autor *W poszukiwaniu straconego czasu*. Natomiast część trzecia jest doskonale zróżnicowana. Poezja (dość swoista) przeplata się z esejem filozoficznym oraz powieścią obyczajowo-sensacyjną pisaną stylem dość kapryśnym (bo znajdziemy i fragmenty nawiązujące do Prousta, np. w historii Hanny Wendling).

Spróbujmy teraz odpowiedzieć na pytanie – o czym jest ta powieść?

Odpowiedź kryje się w tytule, ale „die Schlafwandler” tłumaczyć, a raczej rozumieć winniśmy jako swoistą metaforę. Powiada ona, że życie zmieniło się w coś, co przypomina lunatyczne wędrowanie, poszukiwanie czegoś, co jest nieokreślone i co nieustannie nam się wymyka. Każda próba pochycenia tego czegoś kończy się tragicznie (jak w wypadku np. Hanny Wendling).

Jedną z przyczyn owego somnambulicznego wędrowania jest fakt, że wartości, które były znakami orientacyjnymi na naszą drodze – rozpadły się. Bohaterowie Brocha zaczynają zatracać, szczególnie dobitnie można to dostrzec w części drugiej, poczucie granic pomiędzy jawą, snem, bezsennością. Splotają się one w nierozzerwalny węzeł, a rzeczywistość i marzenia tracą granice przenikając się wzajemnie. Świat staje się w końcu wypełniony półcieniami, czymś, co posiada pozory realności, lecz nie może być w sposób trwały uchwycone i określone. Część bohaterów (zwracam uwagę na ważność, w trzecią część, scen w lazarecie Wojennym) zadowala się już tylko wypełnianiem funkcji biologicznych. Ów lazaret staje się jednocześnie rajem i piekłem – wędrówka bohaterów to tylko krążenie po kole. Krążenie, które czasem prowadzi do samozniszczenia.

Bohaterowie *Lunatyków* przypominają ludzi, którzy pomiesza li sen i jawę. Pisała o tym Hannah Arendt (która była blisko związana z Brochem i współuczestniczyła w pierwszym zbiorowym wydaniu jego dzieł) i niezwykle trafnie skomentowała ten istotny rys powieści: „Moment, który pozwolił Brochowi stać się poetą, wydaje się zbiegać z ostatnim stadium nadciągającej w Europie ciemności. Kiedy nastala noc, obudził się Broch”.

To przemieszanie snu i jawy jest metaforą ścisłego związku łączącego słowo i wyrażaną nim treść. Lecz związek ten, na co zwrócił uwagę Fryderyk Nietzsche, nie jest trwały ani dany raz na zawsze. Problem ten podjął i Broch w eseju *Duch a duch czasu* (1934), gdy zwracał uwagę na kryzys sposobu wyrażania, za pomocą języka właśnie, m.in. siebie samego, swego doświadczenia wewnętrznego, a także opisu doświadczenia świata.

Ścisły związek pomiędzy duchem a słowem wynika z faktu, że język wyraża zarówno racjonalne, jak i irracjonalne treści. Zwracał na to uwagę wcześniej i Broch, a przede

wszystkim psychoanalitycy, Zygmunt Freud oraz Carl Gustav Jung. Wszyscy oni mówili o konieczności zachowania równowagi pomiędzy racjonalną a irracjonalną sferą naszej świadomości, a co za tym idzie, pomiędzy sposobami wyrażania tych sfer. Lunatycy ukazują zachwianie równowagi pomiędzy nimi oraz jego skutki; prowadzi to do chaosu i utraty przez ludzi poczucia stałości i sensowności świata. Wszystko, co wydawało się trwałymi wartościami, nagle rozpadło się w pył.

Autor – pokazując, w jaki sposób tak się stało – jednoznacznie stwierdza, że to my sami zgodziliśmy się na zamianę jasno określonego systemu wartości na coś, co jest tylko bezcelowym, senno-rzeczywistym wędrowaniem nie prowadzącym do żadnego konkretnego celu (poza buchalteryjną trójcą!). Wyznaczająca nowe sensy przyczynowość jest naszym dziełem; przejawia się ona także w zacieraniu ścisłych granic między jawą i snem, racjonalnym i irracjonalnym w nas samych, a także – w języku, którym wyrażamy siebie i mówimy o świecie. Winniśmy sobie to w pełni uświadomić, aby spróbować, odrzucając to, co sami uczyniliśmy, zbudować świat nowych wartości lub aby powrócić do świata określonego IDEAMI Platońskimi. Jak to czynić, tego jednak Broch na kartach *Lunatyków* nie przedstawia. Jego zadaniem bowiem było, jak powiedział Erich von Kahler, pokazać, że „nasz świat (...) stracił dotychczasową stabilność. To jest świat płynący, świat kryzysu, świat nieustannej przemiany”.

*Lunatycy*to powieść o takim właśnie świecie. I nie łudźmy się, że to wszystko minęło. Na naszych oczach powtarza się, ze zmianą pewnych szczegółów, dramat ukazany przez autora *Śmierci Wergilego*. Częściowo jest to nasze dzieło i jeśli nie podoba nam się – mamy jeszcze czas, aby wszystko to zmienić.

Jakub Z. Lichański